Zwrot

1
2001

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ



W trzecie tysiąclecie na cztery ...łapki



TACY BYLIŚMY



Katolicki Chór Kościelny z Czeskiego Cieszyna,

liczący 64 chórzystów z Czeskiego Cieszyna i Sibicy. Dyrygent Józef Manderla (w dolnym rzędzie w środku). Zdjęcie wykonane zostało na przełomie roku 1938 i 39 na podwórku Szkoły Wydziałowej. Wśród chórzystów najliczniej reprezentowany był ród Janotów, aż siedem osób, a także Muchów, Kowalewskich, Ruśnioków, Bubików, Hessów, Wałęgów, Pindórów, Brannych. Chór śpiewał w Zielone Święta 1938 na Wawelu w Krakowie. Nie wyliczono go jednak w Ogniwie, które w 1937 roku opublikowało fotografie ponad stu chórów zaolziańskich, choć już z pewnością istniał. Właścicielem fotografii jest Józef Raszyk z Karwiny.

DRODZY CZYTELNICY,

chociaż trudno czasem w to uwierzyć, czas płynie w zawrotnym tempie, rozpoczęliśmy już 52. rocznik naszego pisma. Z nowym rokiem, w nowym stuleciu i tysiącleciu proponujemy Państwu ZWROT w nieco zmienionej szacie graficznej. Redakcja nadal będzie dokładać wszelkich starań, żeby nasz miesięcznik był interesujący. Nadal obok tradycyjnych rubryk będziemy się starali tworzyć nowe, również dla młodych czytelników. We współpracy z Macierzą Szkolną powinna również powstać rubryka poświęcona tej organizacji.

I w tym roku, pomimo dodatkowych kosztów związanych z ekspedycją miesięcznika, spowodowanych nowymi warunkami, jakie postawiła Poczta Czeska, cena ZWROTU pozostaje niezmieniona. Stało się to możliwe dzięki pomocy sponsorów, przede wszystkim Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Warszawie. O ile jednak chcemy nadal utrzymać dotychczasową cenę jednego egzemplarza ZWROTU, niewspółmiernie niską w stosunku do kosztów produkcji, niezbędne jest podwyższenie nakładu pisma lub przynajmniej utrzymanie go na poziomie roku 1999.

Aktywna część polskiego społeczeństwa na Zaolziu w sposób naturalny wykrusza się. Młodsi jakby zapominali o korzeniach. Powszechne zjawisko braku zainteresowania słowem pisanym nie pozostaje bez wpływu na ilość czytelników jedynego polskiego miesięcznika kulturalno-społecznego. Na szczęście w Kołach PZKO nie brakuje aktywnych działaczy, toteż jako redakcja nie narzekamy na brak tematów. Cieszymy się, że możemy pisać o tych wszystkich, którzy z racji osobistego zaangażowania nie powinni pozostać bezimiennymi. I dlatego zależy nam, aby o ciekawych wydarzeniach z życia PZKO i nie tylko, o ludziach służących sprawie podtrzymywania polskości czytali wszyscy, również ci, którzy te działania wspierają swoją obecnością jako odbiorcy dóbr kultury wytwarzanych przez krewnych, znajomych czy tylko pobratymców.

Stąd ponowny apel do Czytelników: Przekonujcie do prenumerowania ZWROTU swoje dzieci, bliskich, znajomych. Pokażcie im ZWROT, bo wielu nawet nie wie, jak on wygląda... Na pewno każdy może w nim znaleźć coś dla siebie.

I w tym roku ogłaszamy tradycyjny KONKURS DLA PRENUMERATORÓW, którzy opłacą prenumeratę na rok 2001 najpóźniej do końca marca. Nagrody będą równie cenne jak w latach poprzednich. Ogłaszamy też dodatkowy KONKURS O NOWYCH PRENUMERATORÓW. Czytelnicy, którzy zyskają nowych prenumeratorów, wezmą udział w losowaniu nagrody w postaci kilkudniowego pobytu w atrakcyjnym uzdrowisku w Polsce.

REDAKCJA

Zwrot 1 2001

Rok LII, Nr 614
Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 20,00 Kč

CZ III 6/2001

CZ 3168

W NUMERZE

3	Na progu nowego roku	ZYGMUNT STOPA
8	O polsko-czechosłowackich starciach z lat 1935, 1938 na styku cieszyńskim	EDWARD BUŁAWA
13	Z Nydku rodem. Paweł Gajdzica	STANISŁAW GAJDZICA
17	Pamięci Józefa Burka	JÓZEF KULA
19	Młodzież i alkohol	C. R.
22	Okruchy nie tylko literackie	WILHELM PRZECZEK
28	Poezja Władysława Sikory	
30	Artysta dłuta i pędzla. Franciszek Świder	CZESŁAWA RUDNIK
34	Kronika: „Roztomili ludeczkowie…", Pięćdziesięciolecie chóru Godulan, Wszystko z ziemniaka, Zapiekanka z „ciasta ziemniaczanego" z jarzynami, Gościli na kiermaszach książki, Obchody MOKiP-u, Hity Café Avion w bibliotece, Obradowali miłośnicy książki polskiej, „Kwiat paproci" w Jabłonkowie, Nowy ośrodek Towarzystwa Ewangelickiego, Przedstawienie szkolne w Koszarzyskach, Wigilijka nauczyczieli emerytów, Wystawa Władysława Kubienia	
49	Młode pióro: Maryla Adamec	
50	Przez sito intymności	MAREK SŁOWIACZEK
53	Zaolziańskie Towarzystwo Fotograficzne	F. B.
54	Fotograficy Zaolzia: Wiesław Przeczek	
56	Na półkach księgarskich: Z naszych wydawnictw w roku 2000	
58	Echo wydarzeń muzycznych: Koncert kameralistów, 75 lat Chóru Nauczycieli Polskich, Złote Pasmo dla Collegium Iuvenum	
69	Trybuna czytelników	
71	Nasze zdrowie: Depresja zimowa	
72	Pożegnania: Karol Polak	
74	Mozaika	
76	Ze starych kalendarzy	

Numer zamknięto 18. 12. 2000

316/02
18,00

NA PROGU NOWEGO ROKU W NOWYM WIEKU I NOWYM TYSIĄCLECIU

(Refleksje i poglądy do przemyślenia i przedyskutowania)

Rozpoczynamy XXI wiek naszej ery, który równocześnie otwiera jej trzecie tysiąclecie. Przeżyliśmy szczęśliwie magiczny rok 2000, który swymi wydarzeniami miał wprowadzić oczekiwane zmiany. Dotyczyło to także naszej zaolziańskiej społeczności łącznie z Polskim Związkiem Kulturalno-Oświatowym.

Roczny bilans dokonań PZKO w roku 2000 wypadł nieźle. Wszystkie przez Zarząd Główny zaplanowane tradycyjne imprezy kulturalne naszego Związku, takie jak Maj nad Olzą, 21. Festiwal PZKO 2000, 53. Gorolski Święto, Dożynki Śląskie w Gutach, Festyn Górski w Koszarzyskach, zostały ocenione jako bardzo udane. Na bardzo dobrym poziomie był także jak co roku szereg imprez *kulturalnych i towarzyskich naszych Kół Miejscowych*, m.in. bale pezetkaowskie.

Znaczącym wydarzeniem związkowym był w tym roku Festiwal PZKO. Został zorganizowany przez ZG i Koła obwodu trzynieckiego tym razem w hutniczym Trzyńcu. Współorganizatorami tej na wielką skalę zakrojonej imprezy był też zarząd i samorząd tego miasta. Barwnością pochodu, programem 12 zespołów ludowych na estradach w hali i pod lasem, w tym także dwóch miejscowych zespołów czeskich, występem Reprezentacyjnego Zespołu Wojska Polskiego, wspólnym śpiewem połączonych chórów z 1000 śpiewaków oraz czasem śpiewającą całą widownią, przyjacielską atmosferą festiwalu, ilością uczestników oraz poziomem usług kulinarnych udowodniliśmy, że tu jesteśmy i potrafimy działać nie tylko na użytek Polaków, ale dla całego miejscowego społeczeństwa.

Śpiewactwo zaolziańskie świętowało w ubiegłym roku wiele jubileuszy, najmłodsze chóry 10-lecia, najstarsze 95-lecie. Koncertami jubileuszowymi udowodnili, że śpiewactwo nasze żyje, choć się postarzało i że reprezentuje wysoki poziom artystyczny.

Z nieplanowanych imprez bardzo dobrze wypadło spotkanie Zaolziaków u źródeł Olzy pod Ganczorką w Istebnej. Spotkanie zostało zorganizowane przez Klub Propozycji Koła Cz. Cieszyn Centrum jako wiec wyborczy kandydatów do sa-

morządu ostrawskiego regionu, uświetniony występem zespołu góralskiego miejscowej młodzieży. W spotkaniu brało udział ponad 150 osób z obu stron Olzy łącznie z przedstawicielami władz lokalnych polskich i czeskich. Wierzymy, że została w ten sposób zapoczątkowana tradycja corocznych spotkań ludzi odczuwających wspólnotę korzeni nadolziańskiej społeczności, popierającej ideę Wspólnej Europy bez granic.

W aktualnym temacie wspólnej interpretacji historii regionu zostały opracowane i przedstawione na seminariach naukowych dwa zagadnienia: szkolnictwo polskie na pograniczu śląsko-morawskim do roku 1939 (Morawska Ostrawa i okolice) oraz Polacy w Czechosłowacji w okresie 1919–1938 oraz po II wojnie światowej 1945–1948 i 1948–2000. Szczególnie drugie seminarium cieszyło się znacznym zainteresowaniem nie tylko miejscowych historyków, ale także naukowców z Polski i Republiki Czeskiej.

Udało się również zjednoczyć w działaniach do tej pory zróżnicowane co do struktur i poglądów zgrupowania organizacji polskich Kongresu Polaków z jego stowarzyszeniami obywatelskimi i członkami indywidualnymi kierowane przez Radę Polaków, działającego tradycyjnymi sposobami PZKO i ruchu politycznego mniejszości narodowych Coexistentia-Wspólnota. Pierwszym znaczącym efektem współdziałania „Porozumienie 3x3" (po 3 działaczy z każdej z 3 organizacji), które omawia sposoby osiągania wspólnie wytyczonych celów oraz współuczestniczy w ich realizacji, była wspólna lista wyborcza zaoferowana przez ruch Coexistentia–Wspólnota polskim działaczom społecznym, w większości bezpartyjnym. Niestety nie osiągnęliśmy sukcesu wyborczego, ale pomimo to zwyciężyliśmy. W samorządzie regionu nie będzie przedstawiciela z polskiej listy, jednak nasze zwycięstwo pokazało, że ponad 7000 wyborców głosujących na wspólną listę gotowe jest zjednoczyć się pod hasłem zachowania naszej tożsamości. Z tymi głosami można będzie liczyć się w przyszłości, albowiem czekają nas dalsze zadania, jak tworzenie w gminach ze znaczącą liczbą Polaków tzw. komisji mniejszości narodowych oraz przygotowania do spisu ludności w roku 2001, który będzie bazą wyjściową dla naszych uprawnień albo dalszych ograniczeń naszych – mniejszości – praw.

Dzisiejszy stan posiadania możemy nadal określić jako zadowalający. PZKO liczy do dnia dzisiejszego 90 Kół Miejscowych z 18 000 zarejestrowanych członków. Z tych około 16 000 płaci regularnie składki członkowskie. Frekwencja na zebraniach i spotkaniach członków jest w większych Kołach w granicach 15%, w Kołach mniejszych około 30 %. O wiele większym zainteresowaniem cieszą się tradycyjne na większą skalę zakrojone imprezy lokalne i centralne. Jest to dowód, że poczucie wspólnoty u większości Polaków jeszcze istnieje.

Do pracy w Kołach Miejscowych wykorzystuje się bardzo dobrą ba-

zę materialną, bo ponad 20 Kół uzyskało swe domy na własność, ich liczba się nadal powiększa. Inne Koła korzystają na dogodnych warunkach z obiektów gminnych. Działalność Kół to przede wszystkim kluby zainteresowań. Do najaktywniejszych klubów należą wszędzie Kluby Kobiet, Kluby Seniora, działa również kilka Klubów Propozycji. Działalność kiedyś bardzo licznych i aktywnych Klubów Młodych zależy dzisiaj od miejscowych warunków, od zainteresowań młodzieży miejscowej oraz od inicjatywy młodych organizatorów. Na ogół wykazują Koła dużą samodzielność w działaniu. Przy Kołach Miejscowych działa 25 chórów, 7 małych zespołów wokalnych, 10 zespołów tanecznych oraz 6 kapel góralskich. Przy Kołach np. w Milikowie, Wędryni i Nawsiu działają z dużym powodzeniem teatry amatorskie.

Zarząd Główny stara się znaleźć nowe sposoby kierowania Związkiem, w którym podstawą jego działania są Koła Miejscowe deklarowane jako samorządne jednostki organizacyjne. Zadaniem ZG jest wytyczenie celów polityki kulturalnej polskiej społeczności Zaolzia i stwarzanie warunków dla jej realizacji. W stosunku do Kół Miejscowych jest ZG w pozycji świadczącego usługi organizacyjne, doradcy fachowego oraz koordynatora działań. Zgodnie z założeniami programowymi rozwija ZG pracę w specjalistycznych sekcjach według zainteresowań członków przez różnorodną tematykę kulturalną, oświatową i naukową. Należy się zastanowić, czy ich struktura i ukierunkowanie odpowiada bieżącym potrzebom. W celach reprezentacyjnych wspiera wprost działalność niektórych zespołów i chórów. Przy Zarządzie Głównym działa Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne oraz niektóre chóry jak Melodia z Nawsia, Chór Nauczycieli Polskich, jak również Zespół Reprezentacyjny Pieśni i Tańca Olza. Zarząd Główny jest wydawcą miesięcznika kulturalnego Zwrot, który został w roku 2000 przez czeską komisję ministerialną oceniony jako najlepszy periodyk mniejszości narodowych w Republice Czeskiej. Pomimo ciekawego doboru tematów i bardzo ładnej szaty graficznej obniża się liczba prenumeratorów, stawiając pod znakiem zapytania istnienie tego czasopisma. Dalszymi działaniami gospodarczymi Zarządu jest finansowanie Teatru Lalek Bajka, są usługi wypożyczalni kostiumów oraz prowadzenie ośrodka szkoleniowo-turystycznego w Koszarzyskach.

Podsumowując obecny stan posiadania, należy stwierdzić potrzebę intensywnego działania na wszystkich szczeblach Związku. Nie możemy się już dzisiaj zadowolić imprezami na bardzo dobrym poziomie, ale korzystającymi z utartej tradycji, a przede wszystkim ofiarności starszej generacji. Musimy znaleźć receptę na scalenie powstałej luki generacyjnej, tj. ludzi 25–45-letnich, których nie udało się wciągnąć do pracy w naszym Związku. Chodzi o propozycje kierunków zainteresowań, które mogą zaciekawić generację wieku średniego. Mamy na uwadze przedsiębiorczość, informatykę, nowe kierunki w kulturze.

Wielką wagę w naszym dalszym działaniu należy przypisać telewizji regionalnej z prawdziwego zdarzenia, docierającej do wszystkich zakątków naszego regionu. Mieszkańcy Euroregionu Śląsk Cieszyński powinni widzieć swój wizerunek w tym dziś wszechmocnym środku przekazu bez tendencyjnych deformacji, mieć możliwość przekonania się o wartości naszej kultury i o jej transgranicznej wspólnocie z polską częścią regionu. Dlatego usiłujemy przybliżyć się do tego celu, proponując stworzenie tzw. komputerowej pracowni nagrań i dokumentacji audiowizualnej. Oprócz przygotowania programów regionalnych można będzie pracownię wykorzystać do archiwizacji dokumentów naszej działalności oraz wzbogacenia materiałów do prowadzenia we wszystkich szkołach po obu stronach Olzy edukacji regionalnej. Naszą działalność kulturalno-oświatową musimy także rozszerzyć na naszych rodaków wychowanych w tradycjach czeskiej kultury. Należałoby uświadomić wszystkim wartość naszej kultury ludowej, szczególnie piękno naszej gwary pierwotnie niezachwaszczonej obcymi wyrazami oraz spuścizny kulturowej naszych przodków. Obowiązek zachowania kultury regionalnej nie dotyczy tylko tzw. polskiej mniejszości, ale powinien obowiązywać wszystkich „tu stela". Więc działajmy w tym kierunku, obroni nas to najskuteczniej przed asymilacją.

Następnym warunkiem naszego zorganizowanego przetrwania jest zjednoczenie działań wszystkich polskich organizacji na Zaolziu w celu stworzenia wspólnej reprezentacji. Nie narzucajmy sobie nawzajem struktur organizacyjnych, ale dążmy do ich wzajemnego przenikania, zachowując z każdej to najlepsze, oraz starajmy się dostosować do tej potrzeby wszystkie statuty.

W tym roku odbędzie się Zjazd PZKO, który wytyczy kierunki naszych działań na następne cztery lata. Czekają nas na pewno nowe wyzwania, szczególnie po wejściu do Wspólnej Europy. Na pewno będą one wymagały od nas znacznego wysiłku, by obronić stan dzisiejszego polskiego posiadania.

Szanowni Czytelnicy, kieruję do Was prośbę o zastanowienie się nad poruszonymi problemami i ewentualnie innymi sposobami ich rozwiązań oraz zapraszam wszystkich naszych członków do wymiany poglądów na łamach Zwrotu.

Życzę Wam Wszystkim zdrowia, Waszym przedsięwzięciom wszelkiej pomyślności oraz Błogosławieństwa Bożego dla Waszych Rodzin.

Wasz przewodniczący Zarządu Głównego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego

ZYGMUNT STOPA

Nowy Rok 2001

Miss Zaolzia Mariola Fryda, fot. WIESŁAW PRZECZEK ▶



O POLSKO-CZECHOSŁOWACKICH STARCIACH Z LAT 1935, 1938 NA STYKU CIESZYŃSKIM (1)

I

W jednej z ostatnich swoich prac profesor Józef Chlebowczyk potraktował ujęte w tytule wydarzenia jako fragment kryzysu czechosłowackiego państwa zdominowanego przez Czechów, którzy nie potrafili ułożyć współżycia nawet ze Słowakami, a tym więcej z pozostałymi mniejszościami narodowymi. Stwierdza on, że nie inną była sytuacja na styku z mniejszościami narodowymi w przedwojennej Polsce, Litwie, Rumunii i innych państwach. Jedynym przykładem pozytywnego rozwiązania współżycia między różnymi narodowościami była i jest Szwajcaria, ale to zbyt mało jak na Europę. Odnośnie mniejszości polskiej w Czechosłowacji profesor pisze, iż władze Czechosłowacji nie zdołały pozyskać swoich Polaków na lojalnych obywateli swego państwa. Mimo formalnie przyznanych demokratycznych praw. Od chwili włączenia ich do Czechosłowacji trwał bowiem ostry kurs czechizacyjny, co dokumentują między innymi spisy ludności, wpisy dzieci do szkół, wybory. Z tej racji wśród polskiej społeczności w Czechosłowacji od 1921 roku dominowały nastroje irredentystyczne, oczekiwanie na powrót do Polski.

W latach 1921 do 1932, kiedy stosunki między Polską a Czechosłowacją były względnie poprawne, mimo poczucia krzywdy spotykaliśmy się wśród czechosłowackich Polaków ze zgodą na sensowne współdziałanie z władzami czechosłowackimi i z Czechami. Sytuacja w tym względzie zasadniczo zmieniła się po wrześniu 1933 roku, kiedy Polacy w Czechosłowacji stali się przydatnym narzędziem do walki z państwem rozsadzanym przez opozycję składającą się ze Słowaków oraz przedstawicieli mniejszości narodowych, i nie potrafiącym nawiązać dobrych stosunków z Polską, a władze polskie też do tak potrzebnego obu stronom sojuszu Czechosłowacji pozyskać nie zdołały.

II

Od 1932 roku polityką zagraniczną Polski kierował pułkownik Józef Beck realizujący polityczny testament Józefa Piłsudskiego. Nowy minister, w odróżnieniu od polityków czechosłowackich, nie traktował sojuszu zawartego

z Francją jako spolegliwą i bezpieczną oporę, ale nigdy nie zmierzał do zerwania tego traktatu. Idąc za romantycznymi ideami Józefa Piłsudskiego, minister zakładał, iż Polska jest piątym mocarstwem europejskim i że stać ją na niezależność od dwu potężnych sąsiadów, przy zachowaniu wobec każdego z nich „równego dystansu". Do tego celu prowadziło zawarcie w 1932 roku paktu o nieagresji ze Związkiem Radzieckim oraz w 1934 roku paktu o niestosowaniu wobec siebie przemocy z III Rzeszą Niemiecką.

Pakt z Niemcami uważał minister Beck za wielki sukces polityczny, bo oto po raz pierwszy od odrodzenia się Polski nie zagrażało jej niebezpieczeństwo z zachodu. Ów fakt miał też inne konsekwencje. Ukierunkował on niemiecką ekspansję na południe, przeciw Austrii i Czechosłowacji. Licząc na rychłe wchłonięcie tych państw przez III Rzeszę, minister Beck zakładał, że później ekspansja tego mocarstwa skieruje się na zachód i w stronę kolonii. O dalszą przyszłość nie martwił się, uważając za Józefem Piłsudskim, że polityka to gra, w której jest zbyt wiele niewiadomych, stąd nie ma sensu planowanie jej na dłuższy niż kilkuletni okres.

Dla Polski położonej między niemieckim młotem, a rosyjskim kowadłem minister szukał oparcia w montowanym przez siebie ugrupowaniu zwanym Międzymorzem. Miał to być blok łączący pod domeną Polski Węgry, Rumunię, Jugosławię i Włochy. Idea Międzymorza nie miała jednak szans na urzeczywistnienie, gdyż wymienione państwa nie miały interesu w wiązaniu się z Polską, dzieliły je też mocne antagonizmy. Twórca programu Międzymorze liczył się z ekspansją niemiecką w kierunku południowym i za przesądzony uważał rozkład Czechosłowacji. W takiej sytuacji postanowił bronić wyłącznie interesów Polski, jakimi było odzyskanie Zaolzia, przyciągnięcie do Polski Słowacji oraz uzyskanie wspólnej granicy z Węgrami w wyniku zajęcia przez Madziarów dotąd czechosłowackiej Rusi Zakarpackiej.

Do gry o takie cele wciągnięto Polaków spoza Olzy, którzy nie utożsamiali się z nieprzyjazną im Czechosłowacją, stale za swoją ojczyznę uważali Polskę. Ważną rolę w nastawieniu ich na konfrontację z Czechami odegrali konsulowie Rzeczypospolitej w Morawskiej Ostrawie – Leon Malhomme i Franciszek Klotz. Przekonywali oni społeczność Zaolziaków razem z prasą polską i radiem Katowice, iż niedługo Wojsko Polskie zajmie Zaolzie i przywrócony zostanie stan z 1918 roku. Tworzenie takiej wizji przyszłości natrafiło na twardą, zdecydowaną i skuteczną kontrakcję władz czechosłowackich, dysponujących środkami nacisku administracyjnego i ekonomicznego. W takiej sytuacji w Warszawie postanowiono wzmocnić działania propagandowe środkami dywersji.

Od schyłku 1934 roku polskie służby specjalne, występujące pod kryptonimem towarzystwa Zjednoczenie, werbowały i szkoliły zaolziańskich ochotników, formowały z nich patrole, które od stycznia do listopada 1935 roku po-

dejmowały działania dywersyjne. Wypisywano na murach i parkanach hasła atakujące Czechosłowację i zapowiadające nadejście Polski. W Trzyńcu skuto z Pomnika Hymnu Narodowego napis „Kde domov můj", wstawiono „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród". W Olbrachcicach złamano lipkę zasadzoną ku czci prezydenta Masaryka. Najczęstszym celem ataków były czeskie szkoły, dokonano 19 napadów na nie. Wybijano szyby okienne, niszczono godła państwowe, portrety prezydenta, były wypadki pobicia gorliwych czechizatorów. Do akcji dywersyjnych należy zaliczyć również dostarczenie stronnictwom polskim ulotek propagandowych na wsparcie akcji wpisów szkolnych i wyborów parlamentarnych z 1934 roku. Celem ostatniej akcji bojowców Zjednoczenia było zakłócenie obchodów państwowego święta Czechosłowacji - 28 października. Poza rozklejaniem plakatów sięgnięto po petardy. Mimo czujności czeskocieszyńskiej żandarmerii zdetonowano dwie petardy o nikłej zresztą sile wybuchu i mizernym efekcie akustycznym.

Echem działań patroli Zjednoczenia były wystąpienia samorzutnie powstałych grup antyczeskich dywersantów jak i bojówek z Polski. Najaktywniejszą spośród tych drugich była grupa skupiona w Cieszynie wokół emerytowanego majora Józefa Płonki. To ona zdetonowała bombę pod mostem granicznym w Czeskim Cieszynie i spowodowała wykolejenie pociągu towarowego w Łąkach. Konsul Franciszek Klotz podjął próbę zorganizowania liczącej ponad 200 osób grupy pod nazwą Wilcze Zęby. Poza zdecydowanymi na działanie jej inspiratorami organizacja ta istniała tylko na papierze, przechował się bowiem spis nazwisk jej rzekomych członków, wpisanych na ów wykaz najczęściej bez porozumienia się z nimi.

W opinii społeczności polskiej w Czechosłowacji, wbrew lokalnym tradycjom cechujących się szacunkiem wobec oświaty i kultury, ataki na szkoły czeskie spotkały się ze zrozumieniem, bo w owych szkołach widziano główne narzędzie wyniszczania polskości w ich środowiskach. Z sympatią spotkał się fakt zdjęcia przez bojowców czechosłowackiego godła państwowego z siedziby straży granicznej przy moście granicznym w Czeskim Cieszynie czy zaopatrzenie posągu prezydenta Masaryka w Karwinie w dobrze wyładowany podróżny plecak. Potępiano fakty fizycznego terroru, choć dotkniętych nim za sprawiedliwych nie uważano. Nie aprobowano też prymitywnej, prostackiej formy atakowania Czechów w hasłach wypisywanych na murach.

Dywersyjne działania z 1935 roku nie spowodowały zmiany twardego czechizacyjnego kursu władz czechosłowackich. W takiej sytuacji następca konsula Franciszka Klotza w Morawskiej Ostrawie Jan Bociański, pewnie zgodnie z instrukcjami Warszawy, starał się uładzić wywołany zamęt, wyciszyć nastroje bezpodstawnie mówiące o rychłym nadejściu Polski i skierować energię Zaolziaków na tory konstruktywnej pracy dla siebie.

III

Po raz kolejny i to na większą niż dotąd skalę Warszawa postanowiła sięgnąć po zaolziańskich bojowców w związku z dokonanym przez III Rzeszę zaborem Austrii, kiedy już niewątpliwym celem agresji hitlerowskiej stała się Czechosłowacja. Nie stać nas w tym miejscu na analizowanie tej obszernej problematyki. Skoncentrujemy się na sposobie wykorzystania Polaków z Zaolzia dla osiągnięcia celów polityki ministra Becka.

Plan działań w tej sprawie przedstawił w dniu 28 lutego na zebraniu kompetentnych osób, nazwanych łącznie Sekcją Południową Pogotowia Młodych Polaków, twórca Zjednoczenia z 1935 roku podpułkownik Ludwik Zych. Postanowiono przeszkolić w Polsce 11 zaolziańskich działaczy narodowych, którzy w decydującej chwili winni byli, w oparciu o polskie partie i towarzystwa narodowe, pokierować odpowiednim zachowaniem się polskiej społeczności.

Drugim kierunkiem działań było przygotowanie ośmiu drużyn bojowych. Każda z nich składać się miała z trzech trzyosobowych patroli, których dowódcy, podobnie jak drużynowi mieli zostać przeszkoleni w Polsce. Zaplecze organizacyjno-materiałowe zapewnić bojowcom mieli funkcjonariusze polityczni, administracyjni i wojskowi, łącznie zwani Zakonem Rycerzy Piastowych. W Bielsku utworzono zakonspirowaną centralę Organizacji Bojowej, natomiast w Cieszynie i Wiśle, a później również w Istebnej, Ustroniu, Kaczycach i Zebrzydowicach powstały placówki terenowe, których zadaniem było utrzymanie łączności również z bojowcami z Zaolzia oraz przygotowanie magazynów broni i amunicji.

Na marcowym zebraniu zespołu kierowniczego postanowiono dla wsparcia drużyn zaolziańskich utworzyć kompanię bojowców, zwaną Podgrupą Cieszyn. Na gruncie kontaktów cywilnych polityczne cele realizować miał Komitet Walki o Prawa Polaków w Czechosłowacji, blisko powiązany z Zakonem Rycerzy Piastowych. Stan pogotowia wymienionego systemu organizacji wyznaczono na połowę maja 1938 roku.

Na Zaolziu też doszło do reorganizacji. W marcu dwie dotychczasowe polskie partie, a więc Związek Śląskich Katolików i Stronnictwo Ludowe, połączyły się w Związek Polaków w Czechosłowacji ideowo identyczny z rządzącym w Polsce Obozem Zjednoczenia Narodowego. Nie zgadzała się na taką orientację Polska Socjalistyczna Partia Robotnicza, jednak i ona popierała dążenia ministra Becka.

W dniu 19 marca podczas debaty w praskim parlamencie nad prawami mniejszości narodowych poseł Związku Polaków w Czechosłowacji doktor Leon Wolf wypowiedział się za przyznaniem mniejszości polskiej autonomii oraz, jak żądał tego minister Beck w swojej styczniowej mowie sejmowej, traktowania mniejszości polskiej w ten sam sposób jak mniejszość niemiecką.

A tymczasem przywódca sudeckich Niemców Konrad Henlein w pertraktacjach z prezydentem Edwardem Benešem stale poszerzał swoje żądania, gdyż jego celem nie była autonomia, a rozbicie Czechosłowacji. Taki kurs Konrada Henleina, a faktycznie Adolfa Hitlera, biernie obserwowany przez ministra Becka, prowadził do nieuchronnej konfrontacji również Polaków nad Olzą z państwem czechosłowackim.

By zagwarantować zdecydowaną postawę przywódców polskich za Olzą w chwilach przełomowych, powołano wewnątrz Związku Polaków w Czechosłowacji Zrzeszenie Młodzieży Polskiej kierowane przez młodych, radykalnych przywódców. Stanowiło ono praktycznie zaplecze drużyn bojowych. Przywódcy Zrzeszenia atakowali aktualnych liderów, a szczególnie posłów Karola Jungę, doktora Leona Wolfa oraz księdza pastora Karola Bergera, jako zbyt starych, zmęczonych, ugodowych i w sposób zdecydowany parli do oderwania się od Czechosłowacji przy użyciu najostrzejszych form, z powstaniem zbrojnym włącznie.

Do połowy września przeszkolono 124 bojowców i 10 łączniczek z Zaolzia. Drużyny bojowe zwerbowały nieobjętych szkoleniem ochotników i uzyskały pełny stan osobowy. Skompletowaną była Podgrupa Cieszyn składająca się z pięciu plutonów, łącznie ponad 200 bojowców. Pracowano nad sformowaniem silnych jednostek zwanych Legionem Zaolzie. Tworzono je w nadgranicznych powiatach - cieszyńskim, bielskim, pszczyńskim i rybnickim. Zgłosiło się około 15 tysięcy ochotników. Nastawiano się na budowę formacji najwyżej trzytysięcznej.

U schyłku drugiej dekady września agresywna polityka Hitlera oraz kapitulancka postawa Anglii i Francji wskazywały, iż krytyczny moment jest bliski. Ze strony polskiej przewidywano trzy wersje rozwoju sytuacji na Zaolziu:

a) Wybuch zwycięskiego powstania na Zaolziu wspartego przez oddziały paramilitarne z Polski, załamanie się rządów czechosłowackich i wkroczenie Wojska Polskiego dla osłony powstańców przed regularną armią.
b) Stan, w którym powstanie nie doprowadzi do załamania się czechosłowackich władz, w wyniku czego dojdzie do przewlekłych starć i działań terrorystycznych wspieranych bojowcami i dostawami broni z Polski po to, by nierówne zmagania zakończyć wkroczeniem Wojska Polskiego.
c) Władze czechosłowackie całkowicie opanują sytuację i powstanie konieczność starcia militarnego, w którym bojowcy i Legion Zaolzie zostałyby użyte na tyłach przeciwnika do celów dywersyjnych.

Każda z tych wersji przewidywała wydarzenia krwawe. Liczono się jednak z możliwością rozwiązań dyplomatycznych.

c.d.n.

EDWARD BUŁAWA

Z NYDKU RODEM
PAWEŁ GAJDZICA
(1895-1964)

W panteonie znaczących indywidualności, jakie wydało Zaolzie, nie może zabraknąć prof. Pawła Gajdzicy, urodzonego 2 marca 1895 roku w Nydku, w ówczesnym powiecie cieszyńskim.

Urodził się w rodzinie Jerzego Gajdzicy, robotnika leśnego, a później robotnika huty trzynieckiej, jako jedno z dziewięciorga dzieci. Jego najstarszy brat Józef wstąpił w sierpniu 1914 r. do legionów polskich, a dwaj młodsi Jerzy i Andrzej ukończyli cieszyńską Szkołę Handlową. Jerzy w latach 30. był członkiem Koła Polskiego w Pradze, a po drugiej wojnie światowej jego prezesem, z tytułem dożywotniego prezesa honorowego.

Paweł już w nydeckiej Szkole Ludowej zwrócił na siebie uwagę żądzą wiedzy i pilnością, nic więc dziwnego, że bystrzycki pastor ks. Michejda utorował mu ścieżkę do cieszyńskiego Seminarium Nauczycielskiego oraz ewangelickiego alumneum. Ucząc się znakomicie, utrzymywał się wyłącznie z udzielania korepetycji. Nauczył się też grać na skrzypcach i na klarnecie i jako klarnecista występował w szkolnej i różnych innych orkiestrach.

Po ukończeniu czwartej klasy, gdy skończyły się możliwości udzielania korepetycji, przyjął posadę nauczyciela pomocniczego w swojej macierzystej nydeckiej szkole. W roku 1915 jako ekstern zdał maturę z odznaczeniem w swoim macierzystym seminarium.

W latach 1911-1914 należał i brał czynny udział w życiu Jedności, tajnej organizacji młodzieży polskiej w Cieszynie.

W r. 1915 został powołany do wojska austriackiego i po półrocznej karierze „obrońcy ojczyzny" dostał się pod Dubnem do niewoli rosyjskiej. Pięcioletni okres niewoli przeżył w obecnym Uzbekistanie. W październiku 1920 wrócił do Polski, której jednak w swoim Nydku nie zastał.

Już w styczniu 1921 roku został objęty naborem nauczycielskim, jakiego dokonywał cierlicki rodak ks. Karol Kotula, powołany na stanowisko radcy szkolnego w poznańskim Kuratorium Oświatowym z zadaniem obsadzania kierownictwa szkół podstawowych Polakami-ewangelikami, celem repoloni-



Paweł Gajdzica (w środku) w koszarach austriackich w Neustadt r. 1915



Przy produkcji mydła i chemikalii w niewoli rosyjskiej



r. 1916 (w prawo), w stroju czerkieskim



r. 1920, przed repatriacją do Polski

zacji zniemczonych terenów południowej części województwa poznańskiego, zamieszkałego przez ewangelików-autochtonów.

I tak 25-letni wówczas nauczyciel stanął w szeregu tych ewangelików-Polaków, którzy pozbawieni własnej ojczyzny swój patriotyczny obowiązek mieli spełniać daleko od swojej rodzinnej ziemi.

Ale trzeba przyznać, że towarzystwo miał doborowe: Oskar, Jan i Maria Kotulowie (rodzeństwo księdza), Józef i Jerzy Milerscy, Paweł Ożana, Jan Rusnok, Adam Płoszek, Adam i Jan Pustówkowie, Jan Szarowski, ks. Karol Banszel i wielu jeszcze innych, w tym Jerzy Lanc z Kostkowic, bohater książki Melchiora Wańkowicza „Na tropach smętka".

Paweł Gajdzica swoją pracę rozpoczął we wsi Kotowskie, by po paru już miesiącach przenieść się do Ewangelickiej Szkoły Powszechnej w Ostrzeszowie, przekazawszy uprzednio swoje obowiązki koledze Pustówce z Oldrzychowic. W drodze awansu został następnie mianowany nauczycielem w nowo utworzonym Ewangelickim Seminarium Nauczycielskim w Ostrzeszowie, którego zadaniem było wyedukowanie możliwie największej ilości nauczycieli-ewangelików spośród wielkopolskiej młodzieży. Był w tym czasie czynnym członkiem Związku Obrony Kresów Zachodnich, co rzutowało na nie zawsze przyjazny stosunek do niego części miejscowej ludności.

W r. 1926 ukończył w Krakowie, z wynikiem bardzo dobrym, Studium Polonistyczne Uniwersytetu Jagiellońskiego, prowadzone przez profesorów Kazimierza Nitscha i Zenona Klemensiewicza, luminarzy polskiej polonistyki, uzyskując kwalifikacje do nauczania języka polskiego w szkołach średnich.

W r. 1927 przeniósł się do Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Białymstoku, a w dwa lata później do Wilna do Państwowej Szkoły Technicznej (obecnie Politechnika Wileńska), gdzie jako polonista łączył swoje obowiązki z pracą społeczną wśród uczniów. Był opiekunem Bratniej Pomocy, opiekunem Spółdzielni Uczniowskiej i założycielem Koła Uświadomienia Społecznego, którym kierował przez okres trzech lat. Miarą jego ambicji było wzięcie rocznego urlopu po to, aby zaliczyć ukończenie normalnego humanistycznego gimnazjum, co było warunkiem dostania się na studia uniwersyteckie. Dokonał tego w Państwowym Gimnazjum im. J. Kochanowskiego w Krakowie, gdzie jako ekstern w wiosennej sesji r. 1938 uzyskał maturę, znowu z wynikiem bardzo dobrym.

Tak było do wybuchu wojny 1939 roku, w czasie której już w litewskiej szkole uczył polskiego ucznia godności narodowej. Brał przy tym aktywny udział w tajnym nauczaniu, za co 2 marca 1945 r. został aresztowany i osadzony najpierw w wileńskim więzieniu na Łukiszkach, a później w tzw. Obo-

zie Filtracji Politycznej w Dzierżyńsku w Zagłębiu Donieckim. W październiku 1945 r. został zwolniony i przez Wilno, Olsztyn, Kraków repatriowany do Polski.

Na miejsce osiedlenia wybrał Wielkopolskę i ostatecznie osiadł w Wągrowcu Wlkp., przyjmując pracę profesora w miejscowym gimnazjum.

Zanim tam jednak dotarł, zatrzymał się w Krakowie, aby przyjąć wysłane przez rezydującego w Wilnie pełnomocnika PKWN książki. Było tego 10 dużych drewnianych skrzyń, wysłanych na adres Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Dorobek całego życia jego oraz żony Marii z Turkowskich. Paweł Gajdzica zobowiązał się wobec polskiego pełnomocnika w Wilnie do darowania 30 procent całego zbioru na rzecz Polskiej Akademii Umiejętności. W końcu sprawa przybrała taki obrót, że rozpakowane książki prawie w całości trafiły do PAU. Taka była jego ostateczna decyzja. A zbiór był naprawdę cenny i bogaty: Słownik Języka Polskiego Lindego, Słownik Warszawski, bogate „varsaviana" a nawet starodruki.

Pracę w wągrowieckim Gimnazjum im. Powstańców Wlkp. objął 26 lutego 1946 roku, by w latach 50. awansować na dyrektora. W roku 1954 przewodniczył komisji maturalnej w jednym z kaliskich liceów, podobnie jak to miało miejsce przed wojną w jednym z wileńskich gimnazjów humanistycznych. Mimo przejścia na emeryturę, co miało miejsce w r. 1963, uczył dalej języka polskiego.

Niestety śmierć, która nastąpiła 29 października 1964 roku przerwała pasmo jego jakże bogatego, pracowitego i barwnego życia. Nie zdążył już napisać dwóch fundamentalnych rzeczy: pamiętnika, który miał nosić tytuł „Musiałem to napisać", oraz opracowania słownika gwary nydeckiej. Pamiętnik miał się składać z trzech części, a już same podtytuły są frapujące i wiele mówiące, między innymi „Niewydarzony Paweł", „Rechtór Kowala", „Złota Orda", „Chwiłkowo-Taszkent" (rzecz dotyczy niewoli jenieckiej i uruchomienia przez jeńców produkcji mydła i innych chemikaliów w obozie chwiłkowskim koło Taszkientu).

Jego pogrzeb na wągrowieckim cmentarzu był żałobną manifestacją całej szkoły i środowiska nauczycielskiego.

W końcu nie od rzeczy będzie wspomnieć o stanie cywilnym Pawła Gajdzicy. Był dwukrotnie żonaty. Zawsze z nauczycielką. Szczególnie jednak jego pierwsza żona Maria z Turkowskich zasługuje na uwagę. Jej obecność w historii kultury polskiej notuje i Polski Słownik Biograficzny PAU, i Słownik uczestniczek walki o niepodległość Polski 1939-1945.

STANISŁAW GAJDZICA



PAMIĘCI JÓZEFA BURKA

Był społecznikiem, uczestnikiem ruchu oporu na Zaolziu, więźniem obozu koncentracyjnego, aktywistą z Łąk nad Olzą.

Urodził się 22.1.1908 roku w Darkowie, gdzie rozpoczął edukację w Szkole Ludowej. Kontynuował ją we Frysztacie, by ostatecznie pomyślnie ukończyć Państwowe Seminarium Nauczycielskie w Cieszynie na Bobrku. Z zawodu był nauczycielem, z przekonania Polakiem i patriotą, z życiowej potrzeby aktywnym i ofiarnym społecznikiem. Był chórzystą, dyrygentem, pracował w Macierzy i w Sile. Udzielał się w Związku Ogrodników, był wielce aktywnym członkiem Związku Bojowników o Wolność. Do Łąk przybył za głosem swego serca. Tu poświęcił się też największej życiowej pasji: zbieraniu dokumentacji tragicznych losów członków ruchu oporu z okresu okupacji hitlerowskiej.



Nie miał życia usłanego różami. Na początku okupacji hitlerowskiej, zadenuncjowany przez miejscowych donosicieli gestapa, został aresztowany i skierowany do ciężkich robót fizycznych w parowozowni w Karwinie. Tam udało mu się zorganizować komórkę sabotażowo-wywiadowczą, która działała prężnie i skutecznie. W lutym 1940 roku powstał nowy

zalążek ruchu oporu na Zaolziu - Związek Odwetu (ZO), w którym zaangażowani byli oprócz J. Burka m.in. nauczyciele Robert Chlebik, zamordowany w 1941 r. zastrzykiem fenolu, i Józef Kokotek, więzień Mauthausen-Gusen, po wojnie kierownik polskiej szkoły w Łąkach. J. Burek, aresztowany przez miejscowych hitlerowców, krótko więziony przez gestapo w Karwinie i Cieszynie, wywieziony został do Dachau, a po 6 tygodniach do kamieniołomów w Mauthausen-Gusen. Po powrocie został ponownie wysłany do parowozowni w Karwinie, w czerwcu 1941 roku zaś na przymusowe prace kolejowe do Gliwic. W lutym 1944 roku został wywieziony na roboty kolejowe do Belgii, skąd udało mu się przedostać do służby w I Korpusie WP gen. Maczka w Anglii, gdzie przebywał do 1946 roku.

Po powrocie do kraju pomimo nadwątlonego zdrowia rzucił się w wir pracy społecznej. Gromadził dokumentację ofiar hitleryzmu, owocem jego pracy był ogromny zbiór kilkuset życiorysów, wzbogacony licznymi fotografiami i innymi dokumentami. Mając w zanadrzu tak bogaty materiał, rozpoczął walkę z biurokracją, szowinizmem, nieudolnością sądów, domagając się sprawiedliwości dziejowej. Walczył m.in. o status żołnierza AK dla poległego Jana Gawlasa (alias Mołdrzyk) - „hanyska". Ostatecznie wraz z Emilem Remeszem i Rudolfem Szokałą ufundował mu grób, gdzie na pomniku wyrzeźbiono białego orła i ostrzeżenie: Ludzie czuwajcie!

8 września 1964 roku z inicjatywy J. Burka i jego współpracowników odbyła się Akademia Wspomnieniowa z okazji 20-lecia łęckiej tragedii w 1944 r. Właśnie z tej okazji wydał komitet rocznicowy jednodniówkę „Gehenna ludzi w Łąkach nad Olzą", w której wspomniano najbardziej tragiczne w skutkach wydarzenia z czasów hitlerowskiej okupacji. W uroczystościach udział wzięło i MK PZKO. Jednodniówka do dziś stanowi poważny dokument historyczny o tragicznych wydarzeniach tego okresu w Łąkach.

Na skutek szkód górniczych uległ zniszczeniu dom rodzinny Józefa Burka, który wraz z żoną znalazł schronienie u córki Danuty w Ustroniu. Zmarł 13 listopada 1991 roku w wieku 84 lat, pochowany został na cmentarzu w Ustroniu.

JÓZEF KULA

MŁODZIEŻ I ALKOHOL

Pod takim tytułem ukazał się w dzienniku niemieckim Der Nordschleswiger wychodzącym w Danii artykuł będący rozmową z młodymi ludźmi na temat konsumpcji alkoholu wśród nastolatków. Uczniowie dziesiątej klasy szkoły w Tondern, gdzie mieści się filia redakcji dziennika, dyskutowali o piciu alkoholu, jego granicach i alternatywach.

W jakich okolicznościach pijecie alkohol? – zapytała dziennikarka.

Sarah: *W domu nigdy nie piję alkoholu, ale kiedy idę na prywatkę, to trochę piję.* Pernille: *Kiedy wychodzę, np. na imprezę albo na dyskotekę, piję alkohol. Najczęściej są to napoje mieszane. W domu jednak piję bardzo rzadko. Niekiedy kieliszek białego wina do konkretnych potraw.* Jimmie: *Niekiedy po lekcjach idę z przyjaciółmi na piwo.*

Dlaczego pijecie alkohol? – brzmiało następne pytanie.

Pernille: *Właściwie to alkohol mi nie smakuje, mimo to piję często na dyskotece lub na prywatce. Jest wtedy jakoś weselej. Kiedy się człowiek napije, staje się bardziej dowcipny i bardziej na luzie.* Tina: *Po alkoholu staje się człowiek bardziej pewny siebie. Łatwiej wtedy zagadywać chłopców. Nie ma się po prostu żadnych hamulców.* Mette: *Nie wiem, co to za przyjemność, kiedy następnego dnia nie można sobie przypomnieć, co robiło się nocą.* Mareike: *W Tondern jest właściwie nuda. Nie wyobrażam sobie, by iść na trzeźwo do miasta.* Bettina: *Ja teraz nie piję, ponieważ w weekend pracuję w piekarni. Ale są też ludzie, którzy uważają wspólne picie za nudne.* Jimmie: *Kiedy się człowiek czegoś napije, może łatwiej nawiązywać znajomości z dziewczynami. Jest się po prostu bardziej odważnym.* Tina: *Kiedy idzie się na wielką uroczystość, trzeba być wesołym. Wielu sądzi, że to jest możliwe tylko z alkoholem.*

Następne pytanie dziennikarki brzmiało: *Kiedy jesteście na prywatce, czy zawsze pijecie, a jeśli nie, to czy musicie wysłuchiwać nieprzyjemnych uwag lub jesteście przez innych zmuszani do picia alkoholu?*

Hauke: *To zależy od tego, z jakimi ludźmi jestem. Z moimi przyjaciółmi nie ma problemu. Oni są w porządku. Ale jeśli są to ludzie, których znam tylko trochę, zdarza się, że mówią, nie udawaj, chodź, napij się.* Mareike: *Wszyscy inni są zawsze pijani, a ty czujesz się potem głupio.* Tina: *Gadanie, mogę się przecież z tego śmiać.* Bettina: *Nie potrzeba przecież iść do miasta, jeśli nie chce się pić i ulegać czyimś wpływom.*

Padło też pytanie, co robić, by już dwunastoletni nie zaczynali pić alkoholu.

Tina: *Musielibyśmy w szkole więcej mówić na ten temat. Nie dopiero teraz, kiedy dochodzi do skrajności. Powinno się było prowadzić te dyskusje o wiele wcześniej.* Hanke: *Kiedy młodzi widzą, ile piją ich rodzice, robią to samo. Zakazy tu nie pomogą.* Tina: *Są także wzory. Starsi uczniowie stają się dla młodszych przykładem, a jeśli ciągle chwalimy się, ile pijemy...* Bettina: *Ja widzę to tak samo. Podczas weekendu pijemy, potem przychodzimy do szkoły i krzyczymy wkoło na całe gardło: Hej, byłem pijany, to było wspaniałe, lub coś w tym rodzaju. Tym zawojuje się młodszych uczniów, którzy chcą potem także spróbować.*

Jakie są alternatywy? – zapytała na koniec dziennikarka. – *Czym chcielibyście się zająć, żeby mniej pić?*

Hanke: *Gdyby młodzież miała więcej możliwości, jak spędzać czas, na pewno piłaby mniej. Tina: Ja nie wiem. Klub młodzieżowy był kiedyś otwarty od godziny 19 do 23. Ale musiano go zamknąć, ponieważ mało kto przychodził. Młodzież chce tylko do miasta i pić. Prawdopodobnie wkrótce trzeba tam będzie zamknąć także dyskotekę, ponieważ nie sprzedaje się w niej napojów alkoholowych.*

Tyle uczniowie w Danii. Na temat picia wśród nastoletniej młodzieży rozgorzała niedawno dyskusja, również na łamach prasy regionalnej, niedaleko od naszych granic – na Opolszczyźnie. Bezpośrednim bodźcem był śmiertelny wypadek licealistki w ośrodku wypoczynkowym w czasie wycieczki szkolnej. Piętnastoletnia dziewczyna wyszła przez okno na drugim piętrze na biegnący pod nim gzyms szerokości 42 cm (młodzież przechodziła w ten sposób z pokoju do pokoju) i runęła w dół. Upadek na beton spowodował śmierć. Okazało się, że miała we krwi 0,7 promila alkoholu. Inni uczniowie pierwszej klasy liceum też pili alkohol. Badania krwi nie wykazały, by pili nauczyciele.

Nauczyciele przyznają, że w ich czasach szkolnych też piło się na wycieczkach. *Jednak* – mówią – *różnica polega na tym, że kiedy my mieliśmy po 15–16 lat, piekły nas policzki z wrażenia, że udało nam się wypić po kieliszku wina. I nikt nie dawał nam przyzwolenia na takie zachowanie. A już na pewno nie rodzice.* Dziś piwo w rękach piętnastolatka jest sprawą normalną, po co chowałby się przed nauczycielem, jeśli w domu wypija je razem z ojcem do obiadu.

Dzisiaj dorośli szkołę traktują jak sklep – mówi nauczycielka liceum – *na zasadzie ja płacę i wymagam. A my mamy obowiązki i coraz mniej praw. Nawet największe nerwy nie usprawiedliwiają nagannego zachowania. Człowiekowi nie może się wyrwać żadne tam: „Co ty mówisz, idioto, gadasz głupoty". Ale uczeń może w moim kierunku rzucić: „Możesz mi skoczyć, ty stara krowo".*

Wycieczki szkolne tak wspomina inna nauczycielka: *Za każdym razem, kiedy wracam z moimi uczniami z wycieczki czy z warsztatów, oddycham z ulgą, że jeszcze raz się udało. I odsypiam nieprzespane noce, bo na takich wypadach o spokojnym śnie mowy nie ma. Człowiek ciągle nasłuchuje, czy któreś nie wychodzi z pokoju, czy gdzieś nie jest za głośno. I zawsze zdaję sobie sprawę, że jak tylko będą chcieli, zawsze znajdą sposoby, żeby zmylić moją czujność.*

W naszej szkole – wyjaśnia wychowawczyni liceum – *zaraz po rozpoczęciu roku szkolnego przeprowadzamy wśród pierwszaków ankiety. Co z nich wynika? Że uczniowie z najlepszymi świadectwami najczęściej przyznają się, że mieli już kontakt z alkoholem i narkotykami. Tak, dziś piją, palą dzieci z tzw. dobrych domów, przecież te z patologicznych raczej nie zostają uczniami liceów. Tylko co to znaczy dobry dom?*

Tak naprawdę narkotyki czy alkoholizm – mówi polonistka w renomowanej szkole – *to tylko skutek innej, bardzo dziś powszechnej patologii. Myślę o patologii braku czasu dla własnych dzieci. To prawda, że one często są bardzo inteligentne, dojrzałe intelektualnie, ale emocjonalnie kalekie. W tym sensie zaniedbane przez własnych rodziców za wszelką cenę chcą zwrócić na siebie uwagę.*

opr. C.R.



foto – grafika FRANCISZEK BAŁON

OKRUCHY NIE TYLKO LITERACKIE... ZELÓW, ROŻNÓW, OPAWA, LIPSK

Jesień liście z drzew czesze... I nie tylko... Zbieramy plony, ptaki odlatują do cieplejszych krajów, na kartofliskach siedzi jesień mglista. Dużo fruwania, latania, zalatania...

Wróciłem z Lipskiej Jesieni Literackiej, oglądam pierwszy program telewizji czeskiej i cóż widzę? Reportaż z Zelowa! Widzę ten sam Dom Zborowy Braci Czeskich, w którym mieszkałem z Grażyną i Zbyszkiem Kresowatymi, Adamem Szyprem, Michałem Bukowskim i całą resztą literackiej braci uczestniczącej w IV Ogólnopolskich Konfrontacjach Literackich (28-30 września 2000).

Zaprosił nas na imprezę redaktor naczelny Gazety Kulturalnej wydawanej w Zelowie. Mieszka tu, jak powszechnie wiadomo, grupa osób pochodzenia czeskiego. W tym samym Domu Zborowym mieszkał przed dwoma laty prezydent Václav Havel podczas swoich odwiedzin Zelowa. Teraz widzę na ekranie pastora Jelínka, księdza Cioska, pana Smetanę. Rozmawiają o grupie, która już od dwunastu pokoleń utrzymuje swoją narodowość, to potomkowie emigracji pobiałogórskiej. Jest też w Domu Zborowym portret Jana Husa, tablica Jana Amosa Komenskiego...

Impreza literacka w Zelowie była bardzo dobrze zorganizowana. To zasługa poety Andrzeja Dębkowskiego i pracowników Domu Kultury. Przyjechałem do Zelowa ze znakomitym fotografikiem i poetą Michałem Bukowskim, który urodził się w Poznaniu i od 1985 r. mieszka w Wiedniu. W drodze powrotnej za Częstochową trafiliśmy na kolosalny korek i wleczemy się już tak aż do granicy, potem przed Piastem szybki przeładunek książek i żegnam się z Michałem, bo przed nim jeszcze daleka droga do Wiednia i wcale nie wiadomo, czy przeciwnicy Temelina nie zablokują w dodatku granicy.

W Rożnowie (11-13 października) odbywa się konferencja pisarzy polskich i czeskich na temat „Wkład literatury regionalnej w literatury narodowe". Pisarzy polskich reprezentuje grupa z polskiego miasta Śrem. Nie mogli przyjechać opolanie, bo w tym samym czasie odbywa się w Brzegu Najazd Poetów na Zamek Piastów Śląskich. Miasta Rożnów i Śrem od kilku lat utrzymują przyjacielskie kontakty. Łączy ich wspólna sprawa - skanseny. Organizatorem imprezy jest Gmina Pisarzy Morawsko-Śląskich z Ostrawy. Z Czech przyjechali do Rożnowa Milan

Hrabal, Karla Erbová, dr Ivo Harák, Augustin Skýpala i jest też Teofil Halama, który obecnie mieszka w Monterey w Kalifornii, a urodził się w Mistrzowicach koło Czeskiego Cieszyna. Z Zaolzia Wilhelm Przeczek i Jan Pyszko. Obrady prowadził prezes OMS - Oldřich Šuleř, referaty wygłosili Jiří Urbanec, prorektor UŚ z Opawy, Wilhelm Przeczek, Libor Martinek, Ivo Harák z Ujścia nad Łabą, Karla Erbowa z Pilzna i inni. Ze Śremu pisarze czescy gościli poetkę Ninę Szmyt, redaktor Gazety Śremskiej Barbarę Jahns, poetę i publicystę oraz kierownika wydziału kultury w jednej osobie Adama Lewandowskiego.

Wiele mówiono w Rożnowie o warunkach literatury w regionach. W tym kontekście bardzo aktualnie zabrzmiały informacje ze Śremu: *Jednym z podstawowych zadań społeczności lokalnych jest dbałość o dorobek kulturalny, dziedzictwo kulturowe. To nie tylko tradycja historyczna, to nie tylko dbałość o wizerunek architektoniczny miasta... To w Bninie, niedaleko Śremu, urodziła się laureatka literackiej Nagrody Nobla - Wisława Szymborska...*

Od 14 listopada konferencja na Uniwersytecie Śląskim w Opawie na temat „Współczesne kontakty czeskiej i polskiej literatury". Jestem zmęczony, ale muszę pojechać, bo mam tam odczyt na temat „Niektóre aspekty pracy edytorskiej i przekładowej Zrzeszenia Literatów Polskich w Republice Czeskiej". Konferencja odbywa się w klasztorze minorytów w Opawie i prowadzi ją prof. Jiří Damborský z Uniwersytetu Ostrawskiego. Nasz prezes Oldřich Šuleř wypowiada się na temat kontaktów czeskiej i polskiej literatury na terenach przygranicznych. Jest także wielu Polaków na konferencji z uniwersytetów w Opolu, Wrocławiu i Katowicach, na przykład dr Elżbieta Dąbrowska z Instytutu Filologii Polskiej w Opolu, prof. Irena Jokiel, dr Ewa Piasecka, jest Pavel Weigel z Pragi, Antoni Dąbrowski, redaktor naczelny pisma Radostowa.

Pojechałem do Opawy głównie z tego powodu, że odbywa się tu promocja książki poetyckiej Stanisława Nyczaja „Poezje-Poezie", książka ukazała się w wersji „lustrzanej", po polsku i w czeskim przekładzie w wydawnictwie EDUCATION w Opawie, a przetłumaczyłem ją wspólnie z Liborem Martinkiem.

Promocja miała uroczysty charakter, poza uczestnikami konferencji wzięli w niej udział studenci i wykładowcy opawskiego uniwersytetu. Przyjechała też grupa twórców z Kielc. Poza Stanisławem Nyczajem, Wiesław Malicki oraz Zbysław Śmigielski, który niedawno otrzymał nagrodę imienia Teligi za swoją książkę „Kapitanowie". Ciekawa dyskusja, nawiązanie nowych kontaktów literackich, trochę poezji, muzyki, jednym słowem „fajny wieczór".

Po powrocie, 17 listopada, konferencja poświęcona mitowi Ikara w literaturze. W Domu Polskim w Ostrawie odbywa się pierwsza część, druga natomiast, czyli ogłoszenie wyników czesko-polskiego konkursu poetyckiego O Skrzydło Ikara, rozpoczyna się po południu w Domu PZKO w Cierlicku Kościelcu, w pobliżu tzw. Żwirkowiska, czyli pomnika upamiętniającego tra-

giczną śmierć polskich lotników Żwirki i Wigury. Autokar z polskimi gośćmi wyjeżdża sprzed hotelu Piast w Czeskim Cieszynie. Jest wśród nich rzecz jasna Tadeusz Kijonka - prezes Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, świetny poeta i dusza całego przedsięwzięcia ikarowskiego. Przed laty wymyśliliśmy całą tę imprezę w hotelu Dom Śląski w Czeskim Cieszynie w trójkę: Tadek Kijonka, Kazek Kaszper i ja...

Główną Nagrodę w konkursie polskim zdobył Marcin Hałaś z Bytomia, w czeskim konkursie Franciszek Valouch z Ołomuńca. Nagrodę konsula generalnego RP w Ostrawie Lucyna Waszkowa z Czeskiego Cieszyna, a nagrodę czeskiego konsula generalnego w Katowicach Lech Przeczek z Trzyńca.

W Piaście spotkałem Andrzeja Żurka, świetnego publicystę polskiego, który jak się okazało, zajmuje się również tworzeniem limeryków. Andrzej wręczył mi swój tomik limeryków zatytułowany „Okropnie świńskie limeryki cieszyńskie". Pojechał z nami do Ostrawy a potem do Cierlicka. Już w autokarze czytałem jego limerykowe dowcipasy. Oto jeden z nich: *Jasio, góral, co był z Istebnego, wlazł do knajpy, by wypić jednego, lecz że sam go wypijał, dostał dwa razy w ryja. Więc już potem częstował każdego.*

Wróciłem do domu i patrzę: Jest przesyłka polecona z niemieckiego Reuttingen, a w niej bibliofilskie wydanie mojego poematu „Pisane dymem" w przekładzie na niemiecki. Autorką przekładu jest polska poetka Małgorzata Płoszewska od lat mieszkająca w Niemczech. Poznałem ją kiedyś na Warszawskiej Jesieni Poezji i teraz wysłała do mnie niespodziankę pt. „Mit dem Rauch geschreiben". Poemat z tematyką górniczą, który w 1979 r. otrzymał Złotą Lampkę Górniczą w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim w Wałbrzychu. Przy przekładzie współpracowała pani prof. Eleonora Jansen. Poza poematem są także przekłady wierszy.

Ale najważniejszy wyjazd czeka mnie w listopadzie. Musiałem już zrezygnować z Międzynarodowego Listopada Poezji w Poznaniu, dokąd mnie zaprosił Nikos Chadzinikolau, z Warszawskiej Jesieni Poezji, na którą zaproszenie podpisał Krzysztof Gąsiorowski. W obu przypadkach wysłałem usprawiedliwienia...

Polski Instytut w Lipsku zaprosił mnie na spotkanie autorskie w ramach Leipziger Literarischer Herbst 28 listopada.

Sprawdzam gorączkowo wszystkie możliwe dojazdy z Czech do Lipska. Nie da rady, jest wprawdzie taki pociąg przez Wrocław, ale na poszczególnych stacjach jest zbyt mało czasu na przesiadkę... Dzwonię więc do Instytutu z pytaniem, czy mogę przyjechać z małżonką i to samochodem. Jest na to zgoda. Po wylewie krwi do mózgu mam lekko sparaliżowaną lewą część ciała i sam nie poradzę sobie w takiej podróży...

Moja siostra Ewa Ditzmann, która ma paszporty czeski i niemiecki, załatwiła dla nas kierowcę, który często wyjeżdża do Niemiec. Wprawdzie nie był

jeszcze w Lipsku, ale chętnie się zgodził, że nas zawiezie... Ruszamy sprzed domu w Bystrzycy o 7,00 rano i teraz via Frydek na autostradę Brno-Praga i dalej na przejście graniczne Cinovec-Altenberg. Obiad zjedliśmy jeszcze w pensjonacie po czeskiej stronie, pod podjazdem do granicy. Nazwa pensjonatu przylegająca do pogranicza: Bohemia. Potem do Drezna, tak, tu już kiedyś byłem z wycieczką z Pragi. Jest nawet taki mój tekst zatytułowany „Galeria w Dresden" (z tomiku „Notatnik... liryczny", SDK, Warszawa 1990): Kurt Vonnengut zrzucił na to miasto/ cały ładunek bomb swej pamięci/ i pogrzebał w rzeźni fakty/ Przygnieciony obrazami/ Przebity płótnem/ wyszedłem przed gmach/ Prawdziwy widok opery mnie rozczarował/ jak mag który nie wykonał sztuczki/ Z OPERY dochodzi dudnienie/ ponure/ Może to gra orkiestra zapędzonych smyków/ a może warczą bombowce/ wybrane z pamięci.

Mijamy w Dreźnie budynek Opery, który teraz ja wybrałem z pamięci. Nic się nie zmienił od czasu, kiedy byłem tu przed dwudziestu laty... nadal stoją te osmalone mury jak porażony szkielet. Kierowca słucha rytmów rapu i nawet przed tą operą nie rezygnuje z tej muzyki. Do tej pory, na trasach szybkobieżnych, połykaliśmy kilometry bez przeszkód. Teraz przez miasto prawie się wleczemy w korkach i ten czas zyskany zaczyna topnieć. Widzę, że do Leipzig jeszcze ponad 100 kilometrów... Obiecałem w rozmowie telefonicznej panu Berndowi Karwenowi z Instytutu, że będziemy u niego między godziną 15,30-16,00.

Nieco po szesnastej dotarliśmy do Leipzig. Wita nas dyrektorka Instytutu pani Joanna Kiliszek, jej zastępca pan Łukasz Gałecki oraz nasz opiekun, cycero i tłumacz w jednej osobie - pan Bernd Karwen. Po szybkiej kawie i ciasteczkach (też coś na moją cukrzycę!) jedziemy do hotelu Holiday Inn Garden Court znajdującym się w Leipzig City Center. Zostało niewiele czasu, bo już przed 19,00 musimy być znowu w Instytucie. Żona z kierowcą zauważyli, że wiszą plakaty zapraszające na imprezę.

W pobliżu hotelu jest lipski dworzec i jak nas poinformowała pani Mariam Abdel Al - jest największym dworcem kolejowym w Europie. Mariam jest Egipcjanką urodzoną w Kairze. Poznałem ją swego czasu na Warszawskiej Jesieni Poezji, była wtedy pracownikiem Uniwersytetu Warszawskiego, współpracowała z Hatifem Janabim. Wtedy podarowałem jej „Kazinkowe granie". W międzyczasie Mariam przeniosła się do Lipska, gdzie na miejscowym uniwersytecie pisze doktorat. To właśnie ona znalazła niemieckiego tłumacza dla Kazinka - pana Bernda Karwena.

Jesteśmy ciekawi reakcji publiczności na wieczór literacki, który jest poświęcony właściwie jednej książce. Organizatorzy uprzedzają mnie, że na tego typu imprezy nie przychodzi zbyt wielu ludzi. Tym większe jest moje zdziwienie, że salka jest wypełniona prawie po brzegi, ponad 40 słuchaczy.

Bernd Karwen, który występuje w roli moderatora spotkania, szepcze mi jeszcze na wstępie, że w marcu br. miał w tej salce spotkanie Tadeusz Różewicz... Rozpoczyna informacjami na mój temat, podając biogram i bibliografię. Przypomina, że podobny wieczór poświęcony tej powieści odbył się już na uniwersytecie w Nancy i wita wśród obecnych tłumaczkę fragmentów „Kazinkowego grania" na francuski. Spotkanie przebiegało w miłej atmosferze. Czytałem po polsku, Bernd Karwen po niemiecku. Bardzo pomogła mi pracowniczka Instytutu Polskiego pani Monika Kozłowska w tym, że świetnie tłumaczyła pytania i moje odpowiedzi. Poinformowałem słuchaczy, wśród których przeważała inteligencja, wykładowcy i studenci slawistyki Uniwersytetu Leipzig. Impreza trwała niespełna trzy godziny, po programie jeszcze małe przyjęcie, dużo rozmów, trochę wina, flesze aparatów i podpisywanie egzemplarzy „Kazinkowego grania". Byłem rzeczywiście bardzo wzruszony, kiedy młody lekarz podszedł z książką i prosi, żeby ją zadedykować jego mamie, bo ona jest Polką, a on przeprasza, że jego język polski nie jest już tak czysty, jak mowa jego mamy, jej mowa macierzysta.

Jest cudowna pogoda, słoneczna, prawdziwie złota jesień polska w Bawarii. Drugi dzień od samego rana zwiedzamy miasto. Nie przypuszczałem, że to tak duże i piękne zespolenie budownictwa, widać że architektoniczne zabytki zostały odrestaurowane, że posiadają swoją historię. Zwiedzamy kościół św. Tomasza - to tu grywał na organach Jan Sebastian Bach, w tym mieście wykłócał się z radnymi o wysokość honorariów, to tu gdzieś na rynku stał stragan, na którym rzeźnik sprzedawał ochłapy mięsa zawinięte w partytury własnoręcznie spisanych przez Bacha fug. Dziś Jan Sebastian Bach posiada tu muzeum mojego imienia.

Lipska Jesień Literacka jest olbrzymią imprezą. Największą tego typu, jaką do tej pory widziałem! W czasie przechadzek po mieście Bernd Karwen pokazuje mi jeszcze prospekty, wymienia twórców, którzy gościli w tym mieście, w Instytucie Polskim, na niedawnych targach książki w Frankfurcie. Byli więc nobliści Szymborska, Miłosz. Niedawno gościł w Instytucie Wilhelm Dichter, Paweł Huelle, w październiku wystawiał tu swoje rysunki satyryczne Sławomir Mrożek, był cykl koncertów „Chopin i Schumann" w wykonaniu Joanny Ławrynowicz, fortepian, i Jarosława Domżała, wiolonczela, pokaz filmów Krzysztofa Kieślowskiego „Przypadek" i „Bez końca", konferencja z okazji 10-lecia Solidarności, w grudniu pokaz filmu Andrzeja Wajdy „Panny z Wilka", Janusza Zaorskiego „Matka Królów", Kazimierza Kutza „Śmierć jak kromka chleba".

Bernd Karwen w liście zapraszającym mnie do Instytutu napisał m.in.: *Nasz Instytut przy współpracy z urzędem miasta Lipska przygotowuje spotkanie z Panem w ramach Jesieni Literackiej w Lipsku. Jest to cykl imprez literackich poświęconych w głównej mierze współczesności... Nasz wybór związany z Pana*

osobą ma związek z zakorzenieniem Pana literatury w obszarze pogranicza polsko-czesko-niemieckiego oraz z Pana pracą translatorską... Będziemy wdzięczni za przyjęcie naszego zaproszenia.

Późnym popołudniem ruszamy do domu, jest jeszcze oficjalne pożegnanie w Instytucie, żona w towarzystwie Mariam Abdel Al robi jakieś zakupy mikołajkowe, tyle słodyczy, że nie mogę na to patrzeć. Jeszcze słoneczko przyświeca, ale nasz pobyt w Lipsku dobiega końca. I znowu przed nami trasa: Drezno - Altenberg - Cinovec - Praga, a potem Brno - via Frydek do Bystrzycy.

Na samym wierzchołku Cinovca pogoda się złamała, wjeżdżamy we mgłę, jest mżawka, a nawet pojawia się lekki szron. Już dawno nie dawano mi pieczątki do paszportu, ale tu okienko straży granicznej jarzy się jasnym światełkiem i podbijają stemple. Do Teplic zjeżdżamy bardzo ostrożnie, z radia słychać komunikat, że pod Pragą na autostradzie D5 była poważna kraksa samochodowa, 80 pojazdów bierze udział w tej stłuczce, są ofiary... Mieliśmy szczęście, pojechaliśmy inną trasą... Podwójne szczęście miałem ja sam, mój Kazinek ruszył z Bystrzycy w niemieckojęzyczny świat, zobaczyliśmy Lipsk, spotkaliśmy przyjaciół...

Na Zaolziu, a konkretnie pod domem w Bystrzycy kierowca zatrzymuje się o godzinie 22,30. Padamy ze zmęczenia, ale jesteśmy szczęśliwi.

WILHELM PRZECZEK



fot. OLA ABDEL AL - Leipzig

WŁADYSŁAW SIKORA

GODZINKI ZAOLZIAŃSKIE

MIEDZE

Psy szczekające sąsiadów bogacą
To pozostała wierna pamięć
Prócz Pana Boga są
jerzyki ponad nami

Odwracają dnie gołębie
roztrząsają babciną przędzę
krają odrzutowe snozy w niebie
splatają zaolziańskie miedze
11 VI 2000

MIEDZE SIĘ KOŃCZĄ

Tutaj nie czeka cię żadna sława
Pegazem się orze miedzkę jak Stonawa
z miedzy nie wyżyjesz wiatru nie oswoisz
co warto stracić ze śmiercią się dowiesz

Zapnij szelki pojazd dociera
po tamtej stronie ostaje się teraz
oraz wszelkie sprzed urodzin wieści
myśli zasukane trzy razy trzydzieści

Tyle Ramszowie zim się szamocą
z przyjaźnią zewsząd z życzliwą przemocą
a tu susza stygnie drobnolista
miedze się kończą dmie wiatr pendzyista
18 VII 2000

ŻWIRY NASTAJĄ

Władkowi Szkanderze w Rużomberku

Prawi mi mama zza bram koranu:
Nie spiesz się synku za mną za mamą
Nie minie piątek i świątek zleci
każde pro nostra znów będzie przeciw

Na dróżkach rano żwiry nastają
z Olzą z Revucą ku swym przystaniom
Idą Brathanki do Czech po wiano
we młynach mielą seno na siano

Mija Zaolzie zamiast wyrzutów
sumienia miast Dniestru i Prutu
Pojď sem tu! Leżeć! Pieska sprawa
tam seno siano tu mowa-trawa

19 VIII 2000

ŻÓŁKNĄ GODZINKI

Rubinstein od rana pod wilgłymi antenami
więc listopad biorą starcze liście
biorą wiek dwudziesty znów wszystko przed nami
było nie było nie ma zamaszyście

Żółkną godzinki sikorki brzozę skubią
rozlazłe po cmentarzach Zaolzie skore
coraz więcej schodów jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie
Sikorów po cmentarzach jak w brzozie sikorek

1 XI 2000

ARTYSTA DŁUTA I PĘDZLA
FRANCISZEK ŚWIDER
(27.1.1911 - 22.3.1997)

W tym miesiącu skończyłby dziewięćdziesiąt lat. Przed trzema laty jednak zamknięta została księga jego życia. Pozostawił po sobie ślady w postaci obrazów, rzeźb, szkiców, rysunków. Ale nie tylko. Skrupulatnie gromadził wszystkie umowy, dokumentację każdej swojej pracy. Wszystkie te materiały pieczołowicie przechowywane są przez najbliższych krewnych artysty. Bogata jest też jego korespondencja. Doczekał się nawet odpowiedzi na swój list skierowany do Papieża Jana Pawła II. Talent plastyczny odziedziczyła wnuczka Franciszka Świdra Ania, usiłująca iść w jego ślady.

Ciekawa zapewne byłaby wycieczka po Zaolziu szlakiem pomników jego autorstwa. Również tych nagrobnych. Zarabiał bowiem na chleb i dorabiał do emerytury również tworząc nagrobki i portrety - „głowy" - zmarłych. Jest autorem pomników na grobie m.in. Rudolfa Żebroka, Henryka Jasiczka, Janusza Gaudyna. Ilustrował również książki, np. „Przednówek" Pawła Kubisza, „Z Adamowej dzichty" Adama Wawrosza, ale także podręcznik do języka czeskiego dla klasy piątej. Był mistrzem dłuta i pędzla, najwybitniejszym wśród współczesnych artystów Karwiny, miasta, któremu wierny pozostał przez całe życie.

Urodził się w kolonii górniczej w starej Karwinie. Mimo trudnych warunków rodzice postanowili kształcić utalentowanego syna. Franciszek Świder rozpoczął studia w Krakowie w Szkole Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego. Kontynuował je w Pradze w Szkole Przemysłu Artystycznego i Akademii Sztuk Pięknych, w roku 1937 uzyskał dyplom. Wrócił do swojej Karwiny. Stał się jednym ze współzałożycieli Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego.

O tym, jakim człowiekiem był młody Franciszek Świder, wspomina w liście napisanym w 1997 roku jego przyjaciel i kolega z czasów studiów w Krakowie Franciszek Droździk z Bielska-Białej, współlokator z bursy studenckiej:

Była to przyjaźń przypadkowa - studencka, niebranżowa - on artysta, ja młodziutki nieopierzony technik...

Jak się ona zaczęła? - Dostałem przydział na zamieszkanie do bursy studenckiej księdza Kuźniewicza w Krakowie przy ul. Skabrowej; do pokoju 6-cio osobowego na 2-m piętrze, w którym mieszkało już 5-cioro studentów (wszyscy

z branży artystycznej - każdy o innej specjalizacji: plakatu, rzeźby, dekoracji, malarstwa wschodnio-bizantyjskiego oraz malarstwa ogólno-sztalugowego). - Otrzymałem wolne łóżko - sąsiadujące z łóżkiem Franciszka Świdra, który uprawiał malarstwo ogólne - sztalugowe.

Od zaraz zauważyłem wśród nich rywalizację twórczą - celował w niej Fr. Świder.

On dominował nad nimi talentem samorodnym - On był już wówczas artystą! Uczęszczając do uczelni, szlifował tylko swoje umiejętności.

Fr. Świder był ogromnie pracowity - bez nałogów. Malował pejzaże, portrety, obrazy Świętych dużych rozmiarów (dla kościołów pewnie). - Czynił to, by zarobić na studia i utrzymanie.

Był bezpośredni w obejściu, bezpardonowy w opiniach. Krytyczny wobec siebie i kolegów.

Nie wywyższał się jednak.

Świadomy swojej wartości - umiejętnościami (wiedział, że mu zazdroszczą), był Fr. Świder bardzo koleżeński, uczynny i pomocny.

Charakter miał twardy, ciosany. Uznałem już wówczas, iż trudno mu będzie w życiu.

Lubiliśmy się bardzo (mimo, iż byłem młodszy od niego o 2 lata). Sądzę, że może dlatego, iż obaj pochodziliśmy ze Śląska Cieszyńskiego (reszta tubylców z pokoju pochodziła ze wschodniej Polski). - Pichciliśmy razem nasze posiłki (jak to studenci).

Pamiętam dobrze Jego dużych rozmiarów malowane olejne obrazy Świętych: Teresy i Sebastiana, które malował w pokoju obok mnie.

Wykonany przez Niego mój portrecik młodzieńczy (w oleju) wisi po dziś w pokoju na ścianie.

Tyle kolega student. Z tych czasów pochodzi fresk, tryptyk o wymiarach 6,5 m x 11,5 m, na ścianie w polskiej szkole w Suchej Górnej, który powstał w roku 1933, czyli jego autor miał 22 lata, zamalowany został w czasie okupacji, a odnowiony przez samego Franciszka Świdra w 1994 roku. Do dziś najbliżsi przechowują farby, którymi był malowany, a po sześćdziesięciu latach odnawiany.

Monumentalizm w sztukach plastycznych od początku twórczości interesował Franciszka Świdra najbardziej. Pierwszymi, jeszcze przedwojennymi jego pracami były takie kompozycje malarskie jak „Śląscy rycerze na Czantorii" czy „Ondraszek", z tego okresu pochodzi też rzeźba „Ondraszek i Juraszek", czternaście stacji Drogi Krzyżowej dla kościoła w Cierlicku Kościelcu.

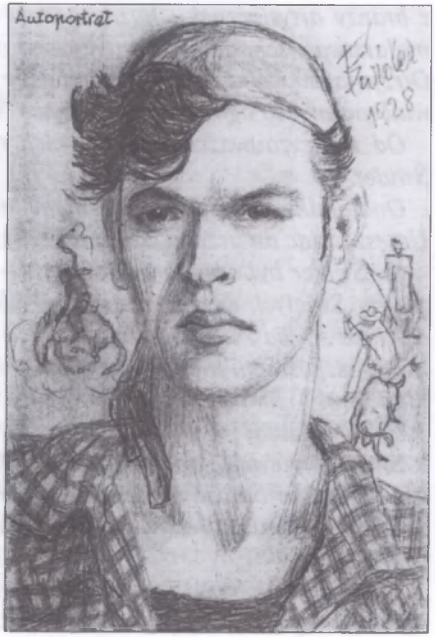
W roku 1949 odsłonięto w Żywocicach Pomnik Ofiar Tragedii Żywocickiej, którego autorem był Franciszek Świder. Burzliwe dzieje tego pomnika starczyłyby na osobny artykuł. Inne pomniki stanęły w Karwinie Kopalniach,

Trzyńcu, Nydku, Ropicy, Lesznej. W pierwszej połowie lat 50. namalował Świder w restauracji hotelu Piast fresk „Brygada kulturalna" (wielkości 22 metrów kwadratowych), który później zniszczono (zachowały się chociaż liczne szkice), taki sam los spotkał ostrawskie sgraffito „Wyzwolenie Ostrawy". To są dzieła, które zniknęły bezpowrotnie. Dla Kopalni ACS w Karwinie stworzył metaloplastykę „Górnicy". Był też autorem witraży. Namalował wiele obrazów: portretów, pejzaży. Były to obrazy olejne i akwarele. Charakter dokumentacyjny mają np. obrazy Cierlicka, tej jego części, którą pochłonęła zapora, czy starego Jabłonkowa. Pozostawił szkice, rysunki i grafiki. Również wiele drobnych rzeźb.

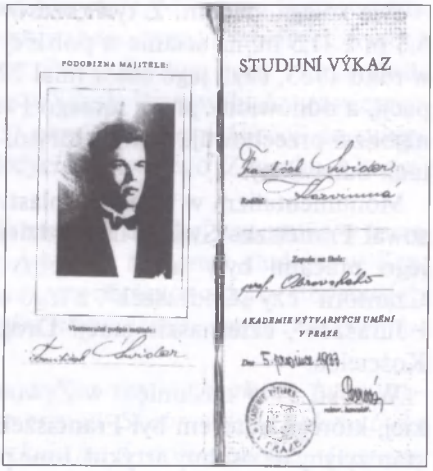
Rzadko prezentował swą twórczość na wystawach. Największa, na której przedstawił 150 swych prac, odbyła się w Miejskim Domu Kultury w Karwinie Nowym Mieście w roku 1992. Cztery lata później nadzorował przygotowaniom do wystawy w Bibliotece Regionalnej w Karwinie Frysztacie. Gromadził też dokumentację do monografii swej twórczości. Praca ta ukazała się jednak już po jego śmierci.

Pogrzeb Franciszka Świdra odbył się w Kościele św. Piotra z Alkantary, gdzie m.in. pomagał w odrestaurowaniu jasełek, w starej Karwinie Kopalniach i tam na cmentarzu spoczął na wieki.

CZESŁAWA RUDNIK



autoportret





portret matki artysty – akwarela

„ROZTOMILI LUDECZKOWIE..."

W wypełnionej publicznością auli Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie odbył się w dniu 21 października br. uroczysty koncert laureatów III Konkursu Znajomości Gwary na Śląsku Cieszyńskim, odbywającego się pod hasłem „Roztomili ludeczkowie".

Konkurs, organizowany co dwa lata przez Towarzystwo Miłośników Skoczowa, Macierz Ziemi Cieszyńskiej z udziałem Sekcji Folklorystycznej PZKO w Czeskim Cieszynie, kierowany jest do osób dorosłych, młodzieży i dzieci, które dobrze znają gwarę, potrafią posługiwać się nią na co dzień i zaprezentować przed publicznością. W tegorocznym konkursie wzięło udział prawie 60 uczestników z obu stron Olzy. Przesłuchania eliminacyjne odbyły się w dniach 30 września i 7 października br. w Skoczowie. Prezentowane teksty gwarowe oceniał zespół jurorów w składzie: prof. Daniel Kadłubiec, mgr Małgorzata Kiereś, dr Jadwiga Wronicz, mgr Robert Danel i mgr Marian Wójtowicz.

W wyniku eliminacji, na czołowych miejscach w kategorii osób dorosłych uplasowali się: Tadeusz Wojacki z Kończyc Małych, uzyskując I miejsce, Anna Boszczykowa z Żywocic (Republika Czeska) i Paweł Lazar z Wisły ex aequo II miejsce, oraz Bernadeta Wojtyła III miejsce.

W kategorii – dzieci i młodzież I miejsce uzyskały ex aequo Magda Barczuk z Wisły i Gabriela Janota z Drogomyśla. II równorzędne miejsca zdobyły Danuta Pustółka z Górek Wielkich i Michał Szarzec z Wisły. Na III miejscu również ex aequo uplasowali się: Mirosław Gajdacz z Karpentnej (Republika Czeska), Barbara Kaczmarzyk z Ustronia, Krzysztof Kałuża z Pogórza oraz Monika Brenza i Kinga Żurek w duecie z Ustronia. Ponadto 5 osób dorosłych oraz 7 spośród młodzieży i dzieci zostało wyróżnionych.

Na koncercie finałowym w uniwersyteckiej auli zwycięzcy otrzymali nagrody pieniężne i dyplomy, a wręczali je prezesi Towarzystwa Miłośników Skoczowa i Zarządu Głównego Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, dr Józef Drabina i mgr Mariusz Makowski.

Przewodniczący jury profesor Daniel Kadłubiec w swoim wystąpieniu nawiązał do staropolskich rejowskich korzeni gwary Śląska Cieszyńskiego, która – mimo wielowiekowej niewoli obcej tego regionu – przetrwała i dała świadectwo polskości tej ziemi. Podkreślając znaczenie gwary, jako czynnika wzbogacającego język literacki, wyraził zadowolenie wzrastającym zainteresowaniem gwarą, zwłaszcza u młodzieży, o czym świadczy liczny udział w konkursie. Złożył podziękowanie organizatorom za cenną inicjatywę i troskę o utrzymanie tradycji kulturowych Ziemi Cieszyńskiej.

Laureaci wygłaszający teksty wykazali się nie tylko dobrą znajomością gwary, lecz także swobodnym obyciem z estradą. Imprezę uświetnił regionalny zespół śpiewaczy Czantoria z Ustronia pod kierownictwem Władysława Wilczaka, a całość prowadziła mgr Małgorzata Kiereś, dyrektor wiślańskiego Muzeum

Beskidzkiego. Uroku dodawały bogate barwne stroje, w których wystąpili obok członków zespołu także wszyscy laureaci konkursu.

Swoją obecnością imprezę finałową konkursu gwary zaszczycili – sprawujący wspólnie patronat honorowy starosta cieszyński Andrzej Georg, burmistrzowie Cieszyna i Skoczowa Bogdan Ficek i Jerzy Malik, prorektor Filii Uniwersytetu Śląskiego prof. Alojzy Kopoczek, patron naukowy, oraz radni powiatu cieszyńskiego, wójtowie i radni gmin. Funkcję patrona prasowego pełnił Dziennik Zachodni.

Znakomitą rewię folklorystyczną zakończono wspólnym odśpiewaniem pieśni „Płyniesz Olzo". Do ponownego spotkania za dwa lata.

KAROL KAJZER



PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE CHÓRU GODULAN

Po drugiej wojnie światowej w Ligotce Kameralnej powstał chór, który przyjął nazwę Godulan. Na wniosek chórzystów z Ligotki nazwę tę przejął później chór obwodu gnojnickiego PZKO. Wiele pracy i wysiłku poświęcił chórowi dyrektor nowo powstałej polskiej szkoły w Gnojniku dr Józef Macura. Pierwszym dyrygentem ukonstytuowanego jesienią 1950 roku chóru był Wiktor Kubica.

Obecnie chór mieszany Godulan–Ropica (połączenie dwu samodzielnych chórów nastąpiło w roku 1996) prowadzi od roku 1999 Henryk Kotas. Szczegółowe informacje o historii chóru znaleźć można w wydanym z okazji jubileuszu folderze.

Koncert jubileuszowy odbył się w sobotę 18 listopada 2000 roku w Domu Kultury w Trzycieżu. Obok jubilata na koncercie wystąpili uczniowie z PSP w Gnojniku oraz chór mieszany Hejnał Mazańcowice z Polski.

F.B.

WSZYSTKO Z ZIEMNIAKA

W piątek 24 listopada br. w Domu PZKO w Skrzeczoniu odbyło się kulinarne spotkanie p.n. Wszystko z ziemniaka, które przygotował i prowadził Franciszek Bałon.

Prelegent przypomniał obecnym, że potrawy, których podstawową częścią składową jest ziemniak, należą w kuchni narodów środkowej Europy do bardzo popularnych. Są przygotowywane od wieków według w zasadzie takich samych przepisów. Dla przypomnienia i inspiracji przy wyszukiwaniu pomysłów na obiad czy kolację wymienił m.in. ziemniaki w koszulkach do bezpośredniej konsumpcji, obierane–gotowane i podawane w całości lub tłuczone, dalej opiekane, smażone – frytki, krokiety, zapiekanki, placki ziemniaczane, zupy ziemniaczane oraz zasmażka do gotowanej kiszonej kapusty.

W części praktycznej prelegent przygotował ćwiartki nieobieranych ziemniaków pieczone z tymiankiem, zupę ziemniaczaną rodem z Indii, placki ziemniaczane jako pizza, **zapiekankę z ciasta ziemniaczanego z jarzynami** oraz gotowane ziemniaki zapiekane z serem.

Spotkanie połączone było również z degustacją przyrządzanych potraw.

Dziękując Franciszkowi Bałonowi, ponad trzydziestka obecnych nie tylko pań, ale i panów wyraziła chęć uczestnictwa w następnym spotkaniu kulinarnym.

D.G.

ZAPIEKANKA Z „CIASTA ZIEMNIACZANEGO" Z JARZYNAMI

Podstawą większości dań z ziemniaków jest masa z obranych i utartych surowych ziemniaków z dodatkiem odpowiedniej ilości mąki i jajek. Jakość i smak „ciasta ziemniaczanego" zależy od ilości mąki i jaj. Trudno jednoznacznie określić stosunek składników – zależy on w dużej mierze od gatunku ziemniaków – trzeba po prostu wypróbować.

Na zapiekankę potrzebujemy (licząc na cztery osoby): 80 dag ziemniaków, 2 jajka, ok. 10 dag mąki („gładkiej"), ok. 20 dag brokułów, 20 dag kalafiora, 2 marchewki, 2 duże cebule, 20 dag wędzonego boczku, możemy również dodać kawałek pokrojonego w kostkę gotowanego czy duszonego mięsa wieprzowego, kurczaka, wątróbki... (co kto lubi), sól, pieprz, majeranek. Sos pieczarkowy: 20 dag pieczarek, łyżka masła, 3 łyżki mąki („gładkiej"), 0,2 l rosołu, 0,2 l śmietany.

Kalafior, brokuł i oczyszczoną marchewkę wrzucamy na dwie minuty do osolonego wrzątku, a następnie odcedzamy i schładzamy. Cebulę pokrojoną

w drobną kostkę lekko podsmażamy razem z boczkiem pokrojonym w płatki podzielone na mniejsze kwadraty.

Do zapiekanki użyjemy „ciasta ziemniaczanego" z utartych ziemniaków zmieszanych z jajkami i mąką, z dodatkiem soli i majeranku – identycznego jak do placków – z tym, że obrane ziemniaki trzemy na wiórki, na grubej tarce, jakiej używamy do mizerii.

Do wysmarowanej smalcem (olejem albo masłem) tortownicy (najlepiej z powłoką teflonową) kładziemy warstwę tego ciasta, na niej układamy cząstki podgotowanych jarzyn – kalafiora, brokuła, marchewki i kawałki lekko podsmażonego wędzonego boczku razem z cebulą (albo kiełbasy lub mięsa), zalewamy drugą częścią „ciasta", wtłaczany je dokładnie w warstwę jarzyn, wyrównujemy łyżką i wsadzamy do piekarnika nagrzanego na 180 °C. Pieczemy około 1 godziny aż do uzyskania złotawej skorupki. Wyjmujemy w całości na półmisek, kroimy na ćwiartki jak tort. Podajemy gorące. Można jeść z dodatkiem sosu.

Tu polecam sos pieczarkowy. Przygotujemy go z podduszonych na maśle pieczarek, które następnie miksujemy albo przepuszczamy przez maszynkę do mięsa. Zasmażkę z mąki, rozprowadzamy rosołem, dodajemy śmietanę i masę pieczarkową, dokładnie mieszamy i doprawiamy do smaku solą, szczyptą pieprzu i odrobiną cukru i podgrzewamy do momentu wrzenia.

FAŁ



GOŚCILI NA KIERMASZACH KSIĄŻKI

Jak co roku jesienią odbyły się w Kołach PZKO, szkołach i bibliotekach kiermasze polskiej książki. Na największych z nich w Jabłonkowie (19–21 listopada) i Karwinie (23–25 listopada), na których oferowano przede wszystkim liczne publikacje książkowe dla najmłodszych czytelników, ale również książki dla dorosłych, przygotowane przez hurt księgarski Danuty i Zenona Wirthów, gośćmi honorowymi byli twórcy z Polski. Na zaproszenie Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Książki i Biblioteki Regionalnej w Karwinie przyjechali na Zaolzie Joanna Papuzińska i Bohdan Butenko.

Joanna Papuzińska jest pisarką, autorką książek dla dzieci i w mniejszym stopniu dla dorosłych czytelników, ale również teoretykiem czytelnictwa i książki dziecięcej. Jako redaktor naczelny Guliwera, pisma o książce dla dziecka, zajmuje się także problematyką upowszechniania czytelnictwa dziecięcego, interesują ją np. zagadnienia funkcjonowania książki dziecięcej i rola bibliotek we współczesnym świecie. Na Zaolziu gościła już kilkakrotnie, tym razem spotkała się z młodymi czytelnikami w Jabłonkowie, Gnojniku, Trzyńcu i Orłowej. Podpisywała swoje książki także na kiermaszu w świetlicy PZKO w Karwinie Nowym Mieście.

Bohdan Butenko znany jest przede wszystkim jako ilustrator czasopism i książek dla najmłodszych czytelników. Jak zdradził na połączonym z wystawą rysunków spotkaniu autorskim dla dorosłych podczas kiermaszu książki w Domu PZKO w Karwinie Frysztacie, rysować zaczął już w szkole w zeszytach przeznaczonych do czego innego, czym zdobył uznanie kolegów, lecz niezrozumienie ciała pedagogicznego. Studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Rozpoczął pracę w wydawnictwie Nasza Księgarnia. Jego Gapiszon powstał jako pierwszy polski animowany program telewizyjny. Rysunki swoje zamieszczał m.in. także w czeskich pismach dla dzieci (Mateřídouška, Sluníčko). Pracuje również jako pedagog – w Danii. Ilustracja książkowa jest według niego dialogiem z autorem. Wizja ilustratora może być zgodna z autorem, ale może być też inna, co oznacza, że przy zachowaniu realiów danej sytuacji ilustrator buduje inną atmosferę. Na Zaolzie, gdzie oprócz Karwiny odwiedził Mosty koło Jabłonkowa, Trzyniec i Czeski Cieszyn, przybył po raz pierwszy, odebrał je jako bardzo sympatyczne, nie przyszło mu do głowy, że i tu dzieci znać będą jego rysunki.

C.R.


POLSKA


Z POZDROWIENIAMI
DLA
CZYTELNIKÓW
„ZWROTU"
Butenko pinxit
24. XI. 2000 r.

OBCHODY MOKiP–u

W niedzielę 26 listopada br. w skrzeczońskim Domu PZKO przebiegły tradycyjne obchody Miesiąca Oświaty, Książki i Prasy.

Na wstępie chór mieszany Hasło z dyrygentką Ireną Szeligą przedstawił ze swego repertuaru wiązankę okolicznościowych piosenek. Wystąpił również członek Klubu Dziecięcego Jakub Czapek z wierszem Wandy Chotomskiej pt. „Kurczę blade", z którym jako reprezentant elokowanej klasy dolnolutyńskiej szkoły w Boguminie pod opieką nauczycielki Wandy Kondziołki zwyciężył w kategorii I w październikowych VI eliminacjach centralnych dla Polaków z Republiki Czeskiej konkursu recytatorskiego Kresy, jak również otrzymał nagrodę publiczności.

Miłym akcentem było przekazanie legitymacji członkowskiej najmłodszemu członkowi Koła Leszkowi Kolebaczowi, którą wręczył wiceprzewodniczący Alojzy Sładeczek. Następnie kierownik miejscowej biblioteki Danuta Guziur zaprosiła pezetkaowców na tradycyjny kiermasz, kiedy to można było nabyć książki przywiezione z Czeskiego Cieszyna, jak również starsze książki ofiarowane przez członków Koła. Na zakończenie odbyło się spotkanie towarzyskie.

T.G.

HITY CAFÉ AVION W BIBLIOTECE

Pierwszy dzień grudnia w Oddziale Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie był bogaty w wydarzenia. Po normalnej codziennej pracy bibliotekarki wzięły udział w Walnym Zgromadzeniu Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Książki. Wieczorem zaś nastał czas odpoczynku z kulturą. Do uczestników Walnego Zgromadzenia dołączyli lekarze i ich rodziny, członkowie Polskiego Towarzystwa Medycznego w RC. Spotkanie „medyków" nie po raz pierwszy odbywało się we frysztackiej bibliotece, wielu członków Towarzystwa jest czytelnikami biblioteki i pojawia się na akcjach przez nią organizowanych.

Tym razem na wspólną imprezę członków SPPK i PTM zaproszono autorów i wykonawców płyty „Lamus", by zaprezentowali piosenki Kawiarni Avion. Rozpoczęto jednak od gratulacji dla Romualda Gąsiora, z jednej strony jako nowego prezesa Polskiego Towarzystwa Medycznego, z drugiej zaś jako pięćdziesięcioletniego jubilata. Romuald Gąsior i jego rodzina są wiernymi czytelnikami biblioteki i stałymi bywalcami imprez kulturalnych, również tych w teatrze w Czeskim Cieszynie i kawiarni Avion.

Hity Café Avion śpiewały Lena Pešák i Małgorzata Pikus. Wysłuchano pio-

senek, które znalazły się na płycie „Lamus", oraz pieśni żydowskich, znanych z programu Kawiarni Avion. Akompaniatorem był Zbigniew Siwek z gitarą, autor muzyki do pieśni z „Lamusa". Natomiast autorka słów Renata Putzlacher była „od mówienia". Przedstawiała kolejne punkty programu, opowiadając historię „Kawiarni Avion, której nie ma...", zapraszając jednocześnie do niej na wieczór z okazji pięciolecia (w marcu). Mówiła o planowany m wydaniu drugiej płyty, na którą składałyby się piosenki z jej tekstami i muzyką Zbigniewa Siwka, opowiedziała o występach w Brnie i Pradze.

W brneńskim Teatrze Husa na provázku (4 listopada), a następnie w Pradze w Teatrze Na zábradlí (5 listopada) w ramach projektu kierownika artystycznego tego teatru Jana Antonína Pitínskiego „Kulturalno-oświatowa nauka o kraju ojczystym" zaprezentowany został program poetycko-muzyczny „Genius loci (geniusz loce?) Śląska". Autorzy Renata Putzlacher i Bogdan Trojak przygotowali go wraz z muzykiem Zbigniewem Siwkiem i kapelą Kamraci oraz aktorami Leną Pešák, Małgorzatą Pikus, Zbigniewem Kaliną i Lukášem Homolą. Zabrzmiały w nim teksty w języku polskim, czeskim i jidysz oraz gwara śląska.

C.R.

OBRADOWALI MIŁOŚNICY KSIĄŻKI POLSKIEJ

Walne Zgromadzenie działającego od roku 1999 Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Książki, którego głównym zadaniem jest udostępnianie polskiej książki zaolziańskiemu czytelnikowi, jej propagowanie i rozpowszechnianie, odbyło się 1 grudnia ub. r. w Oddziale Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie. Za stołem prezydialnym zasiedli członkowie Zarządu SPPK prezes Helena Legowicz, prowadząca obrady, i wiceprezes Jan Kubiczek oraz Irena Mierzwa, która przeczytała sprawozdanie Komisji Rewizyjnej za rok 1999. Po krótkich obradach Zgromadzenie podjęło decyzję o zgłoszeniu akcesu SPPK do Kongresu Polaków i wyznaczyło delegatów do Rady Przedstawicieli w osobach Heleny Legowicz i Jana Kubiczka. Przedłużyło kadencję obecnego Zarządu, który pracuje w składzie: Helena Legowicz – prezes, Jan Kubiczek – wiceprezes, Ewa Sikora – skarbnik, Růžena Werner – sekretarz, Danuta Przeczek, Helena Śliwka i Zenon Wirth – członkowie, do roku 2002 włącznie. Stowarzyszenie liczyło w dniu Walnego Zgromadzenia 46 członków.

Ważną informację na temat Wystawy Książek Polskich Wydawców przekazał Zenon Wirth. Dzięki współpracy hurtowni księgarskiej Matras z Kato-

wic, Wydawnictwa Wiedza Powszechna i firmy księgarskiej Alfa Danuty Wirth z Czeskiego Cieszyna wystawa ta znowu zaistnieje. *Gwarantujemy* – stwierdził Zenon Wirth – *powrót na Zaolzie cyklicznej imprezy pod nazwą Wystawa Książek Polskich Wydawców w Republice Czeskiej. Będzie jej siódma edycja w 2001 roku, w terminach takich jak w poprzednich latach, czyli inauguracja odbędzie się 11 listopada. Zebraliśmy się w Katowicach w hurcie księgarskim Matras i postanowiliśmy, że wytypujemy dziesięciu czołowych polskich wydawców, którzy na pewno zdecydują się na przyjazd na Zaolzie, resztę wydawców, czyli około dwudziestu do trzydziestu pięciu, będzie Matras prezentował ze swoich zasobów, które ma na składzie. A współpracuje z około trzema tysiącami wydawców.*

Stowarzyszenie Przyjaciół Polskiej Książki jest jednym z organizatorów Wystawy Książek Polskich Wydawców i kiermaszów polskiej książki, przygotowuje konkursy czytelnicze dla uczniów polskich szkół podstawowych i średnich, do jego zadań należy też zapraszanie na Zaolzie znanych ludzi pióra. Współpracuje ściśle z Klubem Polskiej Książki i Prasy Wydawnictwa Olza oraz bibliotekami w regionie.

C.R.

„KWIAT PAPROCI" W JABŁONKOWIE

PSP w Jabłonkowie, a dokładnie uczniowie klas I – V z prowadzącymi je nauczycielkami przygotowali przedstawienie szkolne, które miało premierę 1 grudnia 2000 roku. W sali kina w ratuszu jabłonkowskim została zaprezentowana sztuka byłego nauczyciela tej szkoły – Władysława Młynka – „Kwiat paproci". Muzykę do przedstawienia przygotował Andrzej Macoszek.

Całość wyreżyserowana z polotem, bez dłużyzn i oprawiona ciekawą, pomysłową scenografią. Na szczególną uwagę zasługuje pomysł z owieczkami i sową, dużymi kukiełkami, noszonymi ponad głowami przez małych aktorów. Prawdziwą burzę oklasków, wypełnionej po brzegi przez widzów sali, zbierali również uczniowie za śpiewy i tańce, szczególnie podobały się czarownice, ale także muchomory i tańczące w ciemności świetliki.

Teksty Władysława Młynka, w których nie brak dowcipu, okazały się ponownie ponadczasowe.

F.B.





NOWY OŚRODEK TOWARZYSTWA EWANGELICKIEGO

Towarzystwo Ewangelickie w RC obchodziło w roku 2000 dziesięciolecie swego istnienia. W ramach obchodów jubileuszu w sobotę 2 grudnia 2000 roku zostało uroczyście poświęcone i otwarte Centrum Zborowe i Ośrodek Towarzystwa Ewangelickiego w Mistrzowicach. Ośrodek znajduje się w byłej szkole ewangelickiej (nie tak dawno jeszcze wykorzystywanej jako polskie przedszkole), wyremontowanej staraniem Towarzystwa Ewangelickiego przy współpracy z mistrzowickim MK PZKO, które będzie korzystało z lokali wspólnie z Towarzystwem.

Uroczystego poświęcenia obiektu dokonał biskup Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A.W. Vladislav Volny, po czym symbolicznie przekazał klucze księdzu seniorowi Bogusławowi Kokotkowi, przewodniczącemu Towarzystwa Ewangelickiego w RC.

Podczas uroczystości wystąpiły połączone chóry parafii czeskocieszyńskiej i hawierzowskiej oraz gościnnie Chór Akademii Medycznej z Poznania. Bogatą historię Mistrzowic, jej światłych obywateli i tutejszej szkoły opowiedział prof. dr hab. Daniel Kadłubiec.

Wspaniały Chór Akademii Medycznej wraz z młodzieżową Orkiestrą Kameralną z Poznania wystąpił również następnego dnia na tradycyjnym Koncercie Adwentowym w Kościele Ewangelickim w Czeskim Cieszynie Na Niwach. Szkoda, że słuchaczy było mało.

F.B.







PRZEDSTAWIENIE SZKOLNE W KOSZARZYSKACH

Polska szkoła w Koszarzyskach liczy zaledwie 18 uczniów, którymi opiekują się trzy nauczycielki – dyrektor Dorota Hupka oraz Ilona Piechaczek i Angelika Rusz.

Uczniowie wraz z opiekunkami przygotowali przedstawienie Marii Kownackiej „Leśne rachuneczki", które muzyką ożywił Andrzej Macoszek. W całej plejadzie przedstawień szkolnych z powtarzającym się wielokrotnie repertuarem to okazało się na naszym terenie czymś zupełnie nowym. Jak powiedziała pani dyrektor – tekst znaleziono w starej książeczce podczas penetracji strychu.

W piątkowe przedpołudnie 8



grudnia ub. r. w sali Gospody u Samca wystąpiły dzieci z polskiej szkoły w Koszarzyskach dla swych kolegów z miejscowego polskiego przedszkola oraz szkół polskich z Milikowa, Bystrzycy i Nydku. W niedzielę odbyło się przedstawienie dla rodziców.

F.B.

WIGILIJKA NAUCZYCIELI EMERYTÓW

14 grudnia zebrali się nestorzy zawodu nauczycielskiego zrzeszeni w Klubie Nauczycieli Emerytów na swym dorocznym spotkaniu przy choince. Pięknie ozdobiona sala Klubu PZKO na ulicy Bożka w Czeskim Cieszynie i suto zastawione stoły przybrane gałązkami choinki stwarzały, pomimo całkiem niezimowej, bo ciepłej i bez śniegu, pogody na dworze, miłą atmosferę i przypominały o zbliżających się Świętach Bożego Narodzenia. O dotworzenie nastroju zadumy postarały się nauczycielki Podstawowej Szkoły Artystycznej im. Pawła Kalety w Czeskim Cieszynie, które grą na fortepianie i skrzypcach oraz śpiewem wypełniły program kulturalny. W ciszy i skupieniu wysłuchali nauczyciele wiązanki melodii w ich wykonaniu.

Program spotkania choinkowego przeplatano kolędami, które śpiewała cała wypełniona po brzegi sala. „Bóg się rodzi, moc truchleje...“ zabrzmiało na początek. Prezes Klubu Nauczycieli Emerytów Jadwiga Sperling powitała członków KNE oraz gości. Zza Olzy przybyli prezes Śląskiego Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego Jerzy Surman i wiceprezes Jadwiga Lincer, z Wisły przyjechali Stanisław Madej i Jerzy Rencarz, była też delegacja Sekcji Emerytów i Rencistów ZNP z Cieszyna w składzie Henryk Cieńciała, Natalia Perlega i Bronisława Recmanik. Listowne pozdrowienia i życzenia otrzymali członkowie KNE z Bielska-Białej. Prezes Jerzy Surman wyraził radość, że może uczestniczyć w spotkaniu nauczycieli, ludzi, którzy wybrali najpiękniejszy z zawodów świata, wyjaśnił, że jest na takiej imprezie po raz pierwszy. Zwracając się do nauczycieli zaolziańskich, życzył im między innymi, by nie zapomnieli o nich ci, których kształcili, uczniowie. Życzenia świąteczne i noworoczne przekazał również prezes Zarządu Głównego PZKO Zygmunt Stopa, który już po raz drugi gościł na wigilijce u nauczycieli emerytów.

„Gdy się Chrystus rodzi...“ zaśpiewano wspólnie. Potem był toast i łamanie się opłatkiem. Wzajemnemu składaniu życzeń nie było końca. Spożywano kanapki, ciastka i owoce, popijano kawą czy herbatą. W programie nie zabrakło też loterii. Oficjalną część spotkania zakończono po odśpiewaniu kolejnych kolęd. Ale jeszcze długo trwały pogawędki dawno niekiedy niewidzianych znajomych.

C.R.

WYSTAWA WŁADYSŁAWA KUBIENIA

Po wystawach m.in. w Jiczynie, Ostrawie, Jastrzębiu Zdroju zaprezentował swe prace na obszernej wystawie indywidualnej w Galerii Teatru Cieszyńskiego pedagog Gimnazjum Polskiego w Czeskim Cieszynie – polonista i plastyk – Władysław Kubień.

Autor wystawy jest dobrze znanym na naszym terenie inicjatorem wielu godnych uwagi akcji dla młodzieży zarówno z dziedziny plastyki, jak i słowa (liczne wystawy uczniów gimnazjum, teatrzyk Sz.K.A.P.A., konkursy recytatorskie KRESY).

Prezentowane na przełomie listopada i grudnia 2000 roku prace Władysława Kubienia wykonane różnymi technikami pochodzą z ostatnich lat. Wszystkie bez wyjątku dają wrażliwemu widzowi, obok przeżycia estetycznego, wiele przemyśleń nad wizją współczesnego świata prezentowaną przez ich autora.

F.B.





obrazy olejne z wystawy **WŁADYSŁAWA KUBIENIA**

ZAGADKA PORANNEJ ULICY

Pusta ulica w jakimś mieście. Bardzo wcześnie rano. Już nie jest ciemno, ale dzień też jeszcze całkiem nie nadszedł.

Słychać szybkie kroki. Zza rogu wybiega zdyszany mężczyzna. Gdzie mu się śpieszy o tak wczesnym poranku? Czyżby uprawiał jogging? O tak wczesnej porze? W Ameryce, być może, ale nie u nas.

Nie jest nawet odpowiednio ubrany.

Jest ubrany całkiem zwyczajnie. Cały jego wygląd jest zwyczajny, można powiedzieć przeciętny.

A więc taki sobie zwykły przeciętny człowiek biegnie po ulicy.

Dlaczego?

Czy na pewno biegnie? Może lepiej byłoby powiedzieć ucieka?

A jeżeli ucieka, to kto go goni?

Czy goni go jakaś mafia? A jeśli tak, to jaka i dlaczego? Czy to hazardzista, który się zadłużył, a nie ma pieniędzy na spłacenie długu? A może widział coś, czego widzieć nie powinien?

A może jest przestępcą, który właśnie obrabował sklep i goni go policja?

Albo uciekł z więzienia i też goni go policja?

Czy to może terrorysta, który właśnie gdzieś podłożył bombę?

A jeśli on wcale nie ucieka? Ale przeciwnie to on kogoś goni?!

Może jest członkiem jakiejś mafii i ściga kogoś niewygodnego dla swych pracodawców? Na przykład niewygodnego świadka albo handlarza odmawiającego płacenia haraczu... Nie, to nie to. Do takiej roboty z pewnością wynajmuje się ludzi nieco młodszych albo chociaż w lepszej kondycji.

A może jest tajniakiem ścigającym jakiegoś przestępcę? Ale czy takiego pościgu dokonywałby sam?

A może...

Mężczyzna dobiega do dworca kolejowego.

(Czyżby chciał tam umieścić ładunek wybuchowy?)

Podchodzi do kasy.

Czy pociąg do Ostrawy już odjechał? Nie? To proszę bilet, już myślałem, że nie zdążę.

A więc o to chodziło?!

Ten człowiek zupełnie zwyczajnie chciał zdążyć na pociąg!!

Chociaż... Kto wie, po co jechał do tej Ostrawy...

MARYLA ADAMEC

NOCNE ROZMOWY, CZYLI GWIEZDNE WOJNY Z CZASZKĄ HAMLETA

Rozmowa dwóch panów na temat końca świata przerodziła się w poważną dyskusję. Rzadko kiedy poważne tematy są na porządku dziennym - raczej nocnym, gdyż lokal otwarty jest tylko nocą. Klienci siadają do stolików z zapalonymi lampkami czy też świeczkami - akcesoria dla romantyków; najczęściej jednak na stolikach prócz skąpego, z przepalonymi dziurami obrusa nie znajduje się nic. Ważne jest bowiem miejsce na ewentualne napoje czy też kwaśne przekąski. W każdym bądź razie atmosfera sprzyja nocnym rozmowom, których tematy często zadziwiają, bulwersują, śmieszą, czasami nudzą, ale przebieg dyskusji zawsze wabi wielu słuchaczy. Ich głębokie zainteresowanie tematem często zmienia ich pozycję z tego, kto słucha, na tego, kto mówi. To zjawisko jest tutaj na porządku dziennym, a raczej, jak temu było już niejednokrotnie, na porządku nocnym. Nie powinno się wykorzystywać zamiennie dwóch pojęć. Szczególnie jeżeli chodzi o tak daleko idące antonimy. Różnica jest bowiem oczywista - zaklinowany w swej hitynie rozmówca w ciągu dnia zajęty obowiązkami służbowymi, nocą odkrywa swe drugie oblicze. Puszczając słowa na wiatr, łapie w lot intencje dyskutantów.

Lokal nie za duży i nie za mały zadawala wszystkich obecnych. Do szczęścia bowiem nie potrzeba wiele miejsca. Oby był stół i parę krzeseł. Owszem, nikt z rozmówców nie pogardzi stołem bilardowym, ale taki luksus nie należy do rzeczy, które widujemy często. To fakt, że tego typu lokale bez bilardu czy jednorękich bandytów należą dziś już do rzadkości, gdyż właściciele z obawy o małą klientelę poświęcą w tym celu odrobinę nagromadzonego do tej pory majątku, ale tego typu akcesoria nie są aż tak konieczne do wymarzonego szczęścia, którego każdej nocy szukają sfrustrowani klienci. Kieszeń wprawdzie lżejsza, ale lokal pęka w szwach. Na pierwszy rzut oka można by rzec, że owe grono ludzi dorosłych, dojrzałych umysłowo i fizycznie, niczym nie różni się od grupy przedszkolaków. Tak jedni, jak drudzy uwielbiają zabawy w towarzystwie innych. Zabawie towarzyszy błogosławiony śmiech i niesamowita radość będąca przejawem doskonałego samopoczucia. Stan nieważkości przysparza niejednemu sporo kłopotów, ale akurat tym nikt się

nie przejmuje. W pobliżu znajduje się grono najlepszych kumpli, a ci zawsze i chętnie pomogą koledze dotrzeć do drzwi, dosiąść wymarzonego miejsca za stołem. Przejaw szczególnej uprzejmości uwidacznia się w chwili, gdy nieszczęsny, ledwo poruszający się wspólnik stawia wszystkim po kielichu. Tyle na marginesie. Wracając do kwestii przedszkola. Uczestnicy nocnej szkółki, gaworząc podczas rozmowy (często bez sensu – sens znany tylko uczestnikom spędu), uśmiechają się znacząco i nie zwracając w ogóle uwagi na świat, na to, co dzieje się wokół nich, są szczęśliwi. Szczęśliwi w świecie wyimaginowanej rzeczywistości, której namacalność nie jest konieczna. Konieczne jest uczucie bezpieczeństwa i totalnej ignorancji tego wszystkiego, co nas dręczy podczas dnia, obojętności wobec nierozwiązanych problemów i obietnic, jakie nieustannie podążają za naszymi stopami.

Powodów nocnych rozmów jest oczywiście o wiele więcej. Nie sposób wymienić wszystkich. Jednak wydaje się, jakoby nie powód, ale jakaś inna, niewidzialna siła popychała ludzi do podejmowania stale nowych decyzji. Niestety, klienci wspomnianych już lokali, podejmując nowe decyzje, grzęzną codziennie (co noc) w tej samej rzece, w tym samym bagnie, myśląc łudząco, że dziś jest zupełnie inaczej. Nie sposób wytłumaczyć tymże ludziom, że dzień dzisiejszy niesie z sobą koszmar dnia wczorajszego, bądź sytuacji, która miała miejsce miesiąc czy nawet rok temu. Nie zdarza się często, by petent z nieznanych dotąd powodów przyłączył się do grona uszczęśliwionych i upojonych czy raczej napojonych własną niemocą wyjścia, pogodzenia się z bezradnością i strachem przed utraconą odwagą, która pokonałaby wszystko to, czego nie udało się zwalczyć do tej pory.

Jesteśmy świadkami fenomenalnego wręcz zjawiska. Z jednej strony (noc) mamy do czynienia z klasycznym przykładem schorowanego społeczeństwa. Z drugiej zaś strony (dzień) niewinnie wyglądający członek ludzkiego stada śpi niczym niemowlę. Pewnego rodzaju rozdwojenie jaźni, a jednak świadomy wybór. A może coś na kształt nieświadomego połączenia dwóch różnych racji, które w swej sprzeczności zachowują się niczym paranoik w cyrku? W przepełnionym lokalu unosi się smuga dymu. Zapach moczu skutecznie odradza innych, żądnych ochłody od podjęcia jakiejkolwiek próby zaatakowania ostatnich wolnych miejsc. Jedyna spelunka w mieście, jedyny lokal, którego wnętrze tchnie niesamowicie odrażającym widokiem zdegenerowanych dorosłych ludzi, cieszy się niesamowitym powodzeniem. W czym tkwi „tajemnica wiary"? Gdzie szukać przyczyn, a gdzie lekarstwa na chorobę domniemanego dobrobytu? Odpowiedzi odchodzą w przeszłość z tą samą łatwością, z jaką zostały postawione pytania. W siłę uzdrowiciela wierzą i nie rezygnują z terapii. Podwójne oblicze tubylców odstrasza i wywołuje skruchę zarazem. Dwulicowość nie jest mile widziana, ale akurat tutaj nikomu to nie

przeszkadza. Wręcz odwrotnie. Zafascynowani nocnymi rozmowami podejmują ten trud tak często, jak tylko jest to możliwe. Jeżeli tylko Pan Bóg da zdrowie, to nawet do końca życia. Pytanie brzmi - jak długo jeszcze? Bóg chciał, żeby życie było wieczne. Co prawda konsystencja umysłu gruntownie się zmienia, ale perspektywa wieczności nas urzeka i konsekwentnie dążymy do tego właśnie, niezbadanego przez ludzi, zakątka świata. Podejrzewam, iż problemy, jakie gnębią uczestników nocnych libacji, przybierają tam zupełnie inne wymiary - nie z tej ziemi. I tak faktycznie będzie, nie słyszałem bowiem o zjawisku nocnych rozmów, które rzekomo powinny być również hen wysoko ponad naszymi głowami.

Schodząc zdecydowanie niżej, powracam do rzeczywistości, która dla wielu nie jest rzeczywistością prawdziwą. Czas na decyzję jest wprawdzie ograniczony, ale na rozpoczęcie boju nigdy nie jest za późno. Przykładowy bohater w podniebnej kaskadzie gwiazd toczy walkę - sam na sam, jeden na jednego, ego anioła z ego diabła, lewa ręka z prawą. Zwycięstwo należy do tego, który wcześniej pokona drugiego. Być czy się bić? Pokonać słabość, która legnie w gruzach. Zwycięstwo nad własnym ja.

Niech moc będzie z wami!

MAREK SŁOWIACZEK

ZAOLZIAŃSKIE TOWARZYSTWO FOTOGRAFICZNE

***Amatorzy dobrej fotografii wystąp!* - z takim hasłem, odezwą zwróciła się do szerokiego grona ewentualnych zainteresowanych grupa fotografików byłego pionu foto-filmowego SLA (Radomir Krygiel, Wiesław Przeczek, Adam Szop). Nieco wcześniej ta sama grupa zaproponowała redakcji Zwrotu nową stałą rubrykę, na łamach której zaolziańscy fotograficy będą prezentować swój dorobek. Redakcja, otwarta na wszelkie inicjatywy, szczególnie młodych, od styczniowego numeru roku 2001 niniejszym to czyni.**

Grono fotografików zaolziańskich nosi się z zamiarem utworzenia własnej organizacji. Myśl ta zrodziła się na jednym z nieformalnych spotkań-plenerów, jakie sporadycznie odbywały się po rozwiązaniu dawnego SLA-owskiego pionu fotograficznego.

Fotografia to twórcza, żywa dziedzina, rozwijająca się w różnych kierunkach... Pod wspólnym nagłówkiem łatwiej zdobyć potrzebne środki finansowe, łatwiej o prezentację własnego dorobku. Otwierają się szersze możliwości współpracy i wymiany doświadczeń z podobnymi towarzystwami.

Jaką organizacja przybierze formę i jaki będzie jej zakres działania, jest na razie sprawą otwartą. Inicjatorzy tego projektu zapraszają do udziału w nim nie

tylko ludzi zawodowo parających się fotografią, ale i amatorów czy choćby kolekcjonerów starych zdjęć. Jednym słowem miłośników dobrej fotografii.

Zgłoszenia można kierować do Wiesława Przeczka (tel. 0604 607 181) i Adama Szopa (tel. 0603 525 789), ewentualnie pod e-mail w.przeczek@world-online.cz.

Spotkanie konstytuujące ZAOLZIAŃSKIEGO TOWARZYSTWA FOTOGRAFICZNEGO odbyło się 14 grudnia 2000 roku w Domu Polskim Żwirki i Wigury w Cierlicku Kościelcu. Na spotkaniu było obecnych 10 osób, z tym że zainteresowanie nowym towarzystwem wyraziło do dnia jego ukonstytuowania 15 osób. Przewodniczącym ZTF wybrano Kazimierza Brannego.

Fotografię artystyczną, w tym szczególnie uprawianą amatorsko, dotknęły w ostatnich latach liczne negatywne wpływy. Tu należy wymienić przede wszystkim prawdziwy rozkwit automatyzacji procesów fotograficznych od powstania ujęcia aż po obróbkę chemiczną filmów i powiększeń. Powszechnie dostępna fotografia kolorowa odsunęła na bok zdjęcia czarno-białe razem z ich głębokim, prawdziwie artystycznym urokiem. Niestety tak szybko upowszechniające się zachłyśnięcie „cudami techniki" odebrało fotografii , w większości wypadków, jakikolwiek wyraz twórczy.

Cieszymy się, że prawdziwa, twórcza fotografia nie zaginęła, że ma swych amatorów i w naszym społeczeństwie. Życzymy wiele powodzenia, wytrwałości i osiągnięć artystycznych wszystkim członkom ZTF i obiecujemy poparcie w ramach możliwości redakcji.

F.B.

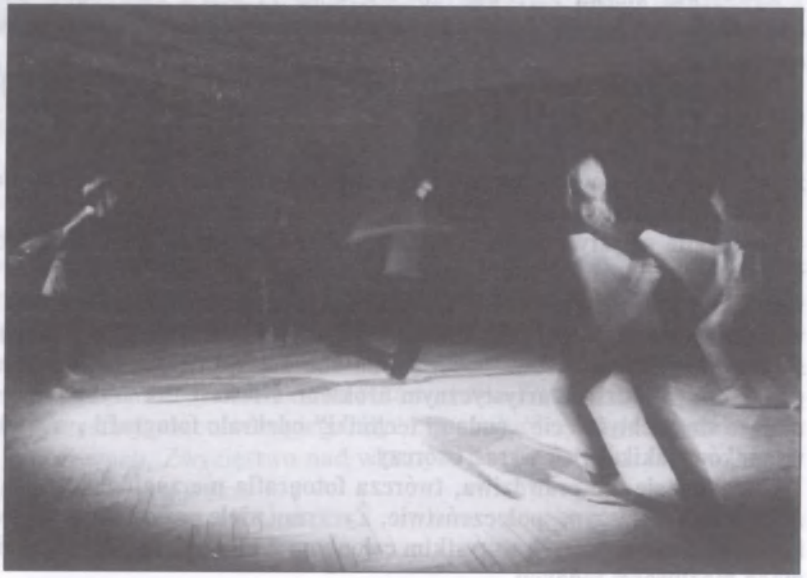
WIESŁAW PRZECZEK

Wiesław Przeczek (ur. 1960) swoją przygodę z fotografią rozpoczął przed kilkunastu laty po zdobyciu prawdziwej lustrzanki marki PRAKTICA. Jednymi z pierwszych przed jego obiektywem zostali uczestnicy Kursu Reżysera i Aktora w Koszarzyskach. Fotografii teatralnej pozostał wierny do dziś, pracując w Teatrze Cieszyńskim w charakterze fotografa. Interesuje go reportaż, więc zdjęcia teatralne traktuje reportażowo, starając się uchwycić niepowtarzalną atmosferę danej chwili.

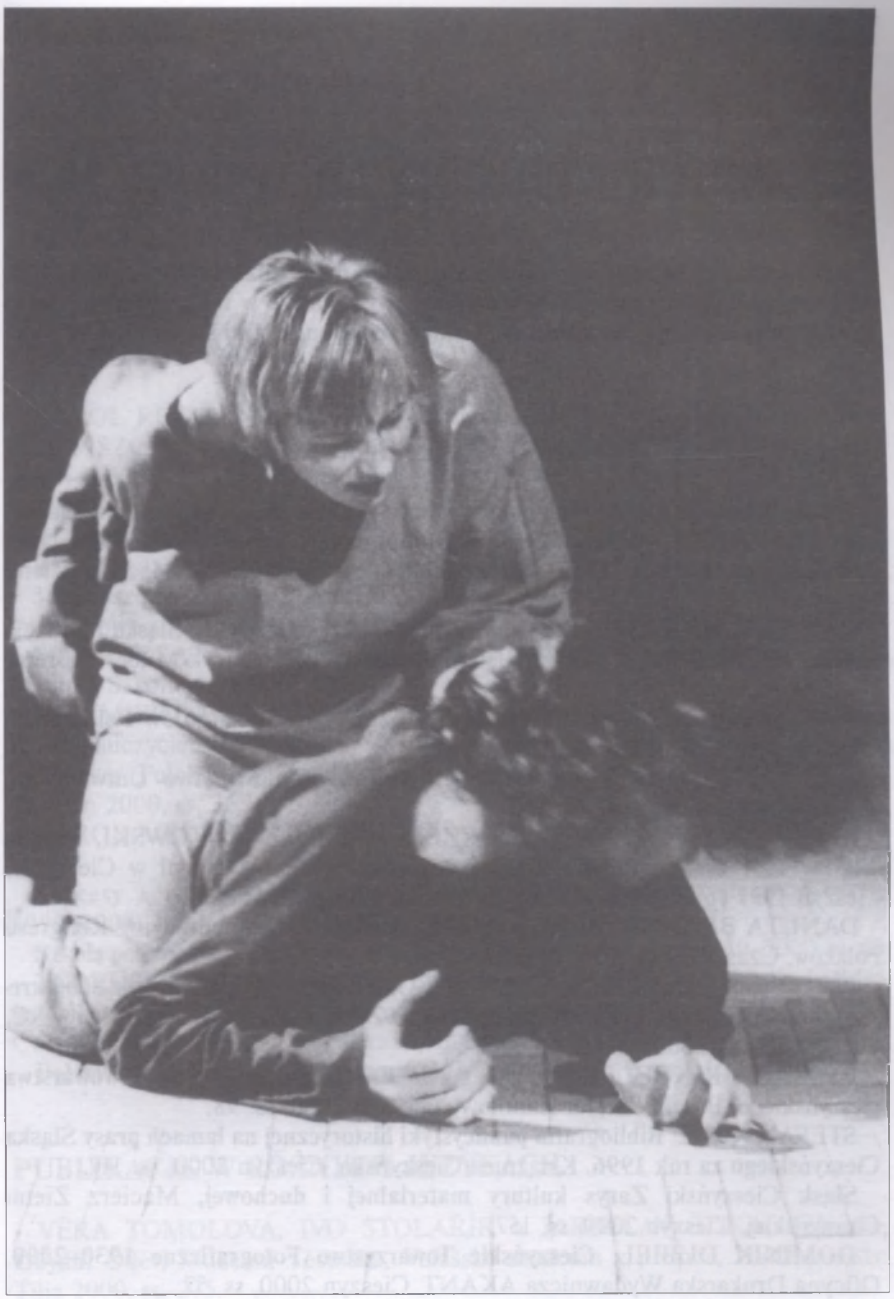
Szuka też inspiracji w portrecie, w uchwyceniu nie tyle zewnętrznego wyglądu fotografowanego, co jego głębi - w miarę prawdziwego oblicza, kryjącego się pod jedną z wielu masek, jakie na co dzień nosimy.

Fotografie Wiesława Przeczka, które zaproponował do naszej rubryki „Fotograficy Zaolzia" powstały w trakcie spektaklu „Faust" Cieszyńskiego Studia Teatralnego prezentowanego podczas ubiegłorocznego Incydentu na Granicy.

WIESŁAW PRZECZEK







Z NASZYCH WYDAWNICTW W ROKU 2000

Ilość wydanych książek u nas (na Zaolziu) lub o nas gdzie indziej wzrasta z roku na rok. Oto jak przedstawiały się sprawy wydawnicze w roku ubiegłym. Są to niestety dane niepełne, bo nie do wszystkich pozycji udało mi się dotrzeć.

PUBLIKACJE NAUKOWE I POPULARNONAUKOWE

100 lat polskiego szkolnictwa powszechnego w Cieszynie, Cieszyn 2000, ss. 10.

ALEKSANDRA KAWULOK, **Bibliografia zawartości Kalendarza Cieszyńskiego za lata 1985-2000**, Książniaca Cieszyńska, Macierz Ziemi Cieszyńskiej 2000, ss. 73.

DANIEL KADŁUBIEC, **Stanisław Hadyna twórca niezwykły**, Śląska Fundacja Kultury w Chorzowie, Centrum Usług Drukarskich - Henryk Miler, Chorzów 2000, ss. 92.

KRZYSZTOF NOWAK, **Czadecka ojcowizna**, Ośrodek Studiów Polonijnych i Społecznych PZKS, Lublin 2000, ss. 160.

IDZI PANIC, **Ostatnie lata Wielkich Moraw**, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2000, ss. 240.

IDZI PANIC, WACŁAW GOJNICZEK, MARIUSZ MAKOWSKI, **Familia Silesiae T. 1 i T. 2**, Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Cieszynie, Cieszyn 1997 (publikacje ukazały się w roku 2000), ss. 54 i 68.

DANUTA BRANNA, **Biuletyn nr 3-4,** Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków, Czeski Cieszyn 2000, ss. 78.

JÓZEF SZYMECZEK I KAZIMIERZ GAJDZICA, **O harcerstwie spod kresowych granic. Szkice z dziejów harcerstwa na Zaolziu**, Harcerstwo Polskie w RC, Czeski Cieszyn 2000, ss. 60.

RYSZARD KINCEL, **Od Mastnego do Brackiego. Z dziejów Piwowarstwa cieszyńskiego**, Bracki Browar Zamkowy Cieszyn 2000, ss. 98.

STEFAN KRÓL, **Bibliografia publicystyki historycznej na łamach prasy Śląska Cieszyńskiego za rok 1996**, Książnica Cieszyńska, Cieszyn 2000, ss. 117.

Śląsk Cieszyński Zarys kultury materialnej i duchowej, Macierz Ziemi Cieszyńskiej, Cieszyn 2000, ss. 157.

DOMINIK DUBIEL, **Cieszyńskie Towarzystwo Fotograficzne 1930-2000**, Oficyna Drukarska Wydawnicza AKANT, Cieszyn 2000, ss. 57.

UTWORY LITERACKIE

FRANCISZEK NASTULCZYK, **Jesień stulecia**, Bielsko-Biała 2000, ss. 60, poezja.

KAROLINA RUSZ, **Otwarte niebo**, Społeczność Chrześcijańska w Bystrzycy oraz Zbór Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A.W. w Bystrzycy 2000, ss. 120, wiersze religijne.

ANNA FILIPEK, **Na żiwot**, Olza, Czeski Cieszyn 2000, opowiadania gwarowe, ss. 107.

PUBLIKACJE OKOLICZNOŚCIOWE

KAROL RECMANIK, JÓZEF NIEMIEC, EMILIA MAKÓWKA, STEFANIA PISZCZEK I DANUTA SOBOCIK, **Polska szkoła Stonawa-Hołkowice 1900-2000**, Koło Macierzy Szkolnej, Stonawa 2000, ss. 24.

GRZEGORZ KASZTURA (przewodniczący kolegium redakcyjnego), **Kalendarz Cieszyński 2001**, Macierz Ziemi Cieszyńskiej Cieszyn 2000, ss. 340.

Zespół redakcyjny, **Kalendarz Ustroński 2001**, Ustroń 2000, ss. 316.

Jubileuszowa Polska Szkoła Wydziałowa w Suchej Górnej (1930), Szkoła Podstawowa z Polskim Językiem Nauczania w Suchej Górnej (2000), ss. 16.

MAŁGORZATA RAKOWSKA, **Jubileusz szkoły w Gnojniku 1950-2000**, Macierz Szkolna, 2000, ss. 32.

KAZIMIERZ FOBER, **Polscy nauczyciele śpiewają już 75 lat 1925-2000**, Chór Nauczycieli Polskich przy ZG PZKO, Czeski Cieszyn 2000, ss. 35.

Kongres Polaków w Republice Czeskiej, Kongres Polaków w RC, Czeski Cieszyn 2000, ss. 36.

KAROL MRÓZEK, HENRYK KOTAS, **50 lat Godulan 1950-2000**, 2000, ss. 24.

Sukcesy i osiągnięcia uczniów Polskiej Szkoły Podstawowej w Wędryni 1999-2000, 2000, ss. 30.

Szkoła pod wieżyczką. Milików, szkoła 1830-2000, przedszkole 1850-2000, ss. 48.

TADEUSZ TOMAN (redaktor), **Biuletyn nr 3, 4 i 5 Stowarzyszenia Elektrotechników Polskich w RC**, Stowarzyszenie Elektrotechników Polskich w RC, Czeski Cieszyn 2000, ss. po 30 każdy numer.

Polski Chór Mieszany Collegium Canticorum, folder, Czeski Cieszyn 2000.

PUBLIKACJE W RÓŻNYCH JĘZYKACH

VĚRA TOMOLOVÁ, IVO STOLAŘÍK a JAROSLAV ŠTIKA, **Těšínsko, Obydlí, Oděv**, Muzeum Těšínska, Valašské muzeum v přírodě, Nakladatelstvi Tilia 2000, ss. 275.

MILAN MYŠKA, **Biografický slovník Slezska a Severní Moravy, sešit 1. (13)** Ostravská univerzita v Ostravě, Filozofická fakulta a Ústav pro regionální výzkum, Ostrava 2000, ss. 116.

IRENA CICHÁ, BRONISŁAW ONDRASZEK, KAZIMIEZ JAWORSKI, BARBARA STALMACHOVÁ, JAN STALMACH, **Olza** Region Silesia, Czeski Cieszyn 2000, ss. 176, monografia Olzy w wersji czesko-polskiej.

KRZYSZTOF SZCZEPANIK, **Monte Cassino** Historia ludzie pamięć - History People Memory, Askon Warszawa 2000, ss. 243. Biogram Władysława Martynka z Trzyńca.

PETER CHMIEL, JAN DRABINA **Die konfessionallen Verhältnisse im Teschener Schlesien vom Mittelalter bis zur Gegenwart. Stosunki wyznaniowe na Śląsku Cieszyńskim od średniowiecza do współczesności**, Stiftung Haus Oberschlesien Ratingen 2000, ss. 362.

MILAN HRABAL, **Erotikon - Erotyki**, przekład Wilhelm Przeczek, Lucyna Waszek, Státní vědecká knihovna Ústí nad Labem 2000, ss. 88.

LECH PRZECZEK, JOSEF POLÁČEK, LADISLAV MUŠKA, **Postřehy. 333 aforizmů pro dobrou náladu**, GUMRUCH Praga 2000, ss. 48.

WILHELM PRZECZEK, **Kniha úrody**, tłumaczenie kolektyw, Olza, Czeski Cieszyn 2000.

Domov důchodců Třinec, folder, Trzyniec 2000, ss. 6.

1960 - 2000. 40 let škol. 40 lat szkół Třinec Konská-Podlesí (przedszkola i szkoły podstawowe), Trzyniec 2000, ss. 28.

Tandemové cyklistické trasy pro nevidomé a slabozraké. Tandemowe trasy rowerowe dla niewidomych i niedowidzących, Euroregion Těšínské Slezsko - Śląsk Cieszyński, folder, 2000.

KAZIMIERZ JAWORSKI

ECHO WYDARZEŃ MUZYCZNYCH

KONCERT KAMERALISTÓW

Wśród sporej ilości tegorocznych imprez muzycznych naszego regionu niezwykle sympatycznie zaprezentowały się dwa zespoły kameralne. Pierwszy to zyskujący coraz większą aprobatę młody sekstet wokalny z Nydku Musicae Amantes, drugi to goszcząca w naszym kraju po raz pierwszy Wileńska Orkiestra Kameralna. Koncert, który przygotowano z okazji 10-lecia Kongresu Polaków, odbył się 4 listopada ub. r. w czeskocieszyńskim teatrze. Oba młode zespoły urzekły swoim wdziękiem, prostą, a przede wszystkim szczerą radością wspólnego muzykowania. Zaprezentowały też wszechstronny, urozmaicony program od utworów muzyki dawnej po kompozycje nowsze, a także atrakcyjne opracowania muzyki rozrywkowej.

Cechą muzykowania kameralnego jest drobiazgowa i finezyjna praca tematyczna odznaczająca się cyzelowaniem szczegółów. Toteż nawet najdrobniejsze niedokładności muzyczno-techniczne są zauważalne i słyszalne nawet dla mniej wytrawnych odbiorców. Ale i nydeccy, i wileńscy kameraliści nie dali prawie żadnego powodu do niezadowolenia i uraczyli nas występami na solidnym poziomie kameralnego rzemiosła.

Sekstet wokalny Musicae Amantes pod kierownictwem Bogdana Szmeka przekonał, jak bardzo dobrze czuje się w madrygałach, gatunku muzycznym, który w epoce renesansu stał się wykładnikiem wytwornej kultury towarzyskiej. Śpiewanie madrygału wymaga dużej giętkości i ruchliwości głosów. I tak też zostało oddane „Matona mia cara" Orlando di Lasso, najświetniejszego przedstawiciela muzyki madrygałowej końca XVI wieku. Zaśpiewano ją z dużym polotem i lekkością, głosem czystym i jasnym, ujmując ją w wartki ruch rytmiczno-metryczny. Ścisłość związku między słowem a dźwiękiem podkreśliło jej wyjątkową malowniczość. Również bardzo nastrojowo odtworzono słynny madrygał angielskiego kompozytora Johna Berneta „Weep o mine eyes". Wystudiowany starannie aż do najdrobniejszych niuansów dynamicznych urzekał zmysłowym pięknem brzmienia.

Niezwykle sympatycznie zabrzmiała pieśń Hansa Leo Haslera „Tanzen und springen". Jest to niemiecki kompozytor żyjący na przełomie XVI i XVII wieku, którego twórczość wyrastała z renesansowych tradycji. Pieśń charakteryzuje giętkość melodii łatwych do zapamiętania, akordowa faktura i żywa rytmika. Oddana też została adekwatnie do swego charakteru, bo wesoło i tanecznie.

Istotną część programu Musicae Amantes stanowiły utwory muzyki sakralnej. Usłyszeliśmy „Ave verum corpus" Williama Byrda, angielskiego twórcy z przełomu XVI i XVII wieku, oraz „Sanctus" (z Missa quini vocibus) czeskiego muzyka Kryštofa Haranta. Wykonanie tego gatunku muzyki poważnej było bardzo rzetelne, świadczące o koncentracji i umiejętności budowania ruchu polifonicznego. Zachowano przy tym właściwe proporcje nasilenia dźwięku, przekonując, iż zespół stać na odpowiedni wolumen brzmienia i ładne piana.

Z dawnej muzyki polskiej zaprezentowali młodzi chórzyści psalm Mikołaja Gomółki „Klaszczmy rękoma" do słów Jana Kochanowskiego. W historii muzyki psalmy Gomółki, jednego z najważniejszych polskich twórców „złotego wieku", zajmują wyjątkową pozycję jako najwspanialszy pomnik kultury staropolskiej. Noszą znamiona muzyki narodowej dostępnej dla szerokich kręgów społeczeństwa. Psalm Gomółki oddany w tak małym składzie (bo przecież tylko sześciu wokalistów) okazuje się niezwykle trafnym rozwiązaniem - eksponuje bowiem prostotę tak szalenie istotną dla wymowy tego gatunku muzycznego. Zabrzmiał też nienagannie intonacyjnie, bardzo ciepło i przejrzyście.

Nie zabrakło w koncercie nydeckiej grupy śpiewaczej elementu śląskiego. Była nim pieśń Pawła Kalety „Po naszych Beskidach", zaśpiewana z nutą



Musicae Amantes

smętku, zadumy, może jednak ze zbyt przygaszoną ekspresją, za słabym wewnętrznym natężeniem tak typowym dla twórczości zaolziańskiego kompozytora.

W końcowej części występu zespół zaprezentował utwory „lżejsze", śpiewane radośnie i już na „luzie". Był to udany popis zmysłowego spirituals „Swing low, sweet charriot", dowcipnego i finezyjnie oddanego „Sum" oraz bardzo ciekawej wokalnej aranżacji przeboju The Beatles „Yesterday".

Wileńska Orkiestra Kameralna to dwunastka młodych profesjonalnych muzyków - Polaków z Litwy. Kierownikiem artystycznym orkiestry jest Zbigniew Lewicki, główny solista, na co dzień koncertmistrz Litewskiej Państwowej Orkiestry Symfonicznej. Swój koncert zainaugurowali brawurowo, wykonując „Cztery pory roku" Antoniego Vivaldiego (części: Zima, Lato). Wydaje się, że muzyka tego mistrza baroku pełna barw i bogactw niuansów nastrojowych wychodzi w takich kameralno-solistycznych proporcjach lepiej niż tutti dźwięku bardziej masywnego pełnej orkiestry symfonicznej. Ale wykonanie jej wymaga niesamowitej perfekcji techniki. Często nadmierne tempo, przy którym muzyka zamiast charakteru radosnego nabiera wrażenia nerwowego pośpiechu, może zatracić czytelność rysunku melodyczno-rytmicznego. W wykonaniu zespołu smyczkowego z Wilna pojawiły się pewne nieścisłości intonacyjne i pewne rozchwianie pulsu rytmicznego, zwłaszcza



Wileńska Orkiestra Kameralna, fot. FRANCISZEK BAŁON

w początkowych taktach utworu. Być może zbyt szybkie tempo narzucone przez koncertmistrza było tego przyczyną. Ponadto nienajwyższej klasy lutniczej instrumenty nie dały za dużych szans dla inspiracji kolorystycznych, które mogłyby wzbogacić piękno brzmienia. Niemniej jednak ich gra emanowała entuzjazmem i radością.

Po żywiołowym Vivaldim nieco mdło wypadł polonez a-moll Michała Ogińskiego, zwany też „Pożegnaniem Ojczyzny" (partię solową odtworzył sam koncertmistrz orkiestry). Nie zabrakło mu jednak nastrojowych momentów, polskiej zadumy i refleksji.

Niezapomniane wrażenie wywarły dwie kompozycje wspólnie stworzone przez zespół - „Suita góralska" oraz „Obrazek litewski". Pierwsza, bardzo oryginalnie przemyślana, wprowadziła nutę burdonu wiolonczeli, na tle której pojawiły się instrumenty. I naraz zabrzmiała góralska muzyka, którą spotęgowało wejście saksofonu, instrumentu nietypowego przecież dla tej muzyki. Można w tym momencie wyrazić obawę, na ile zachowano wierność góralskiemu folklorowi. Wydaje się jednak, iż dokonano tego świadomie. Nadrzędnym bowiem celem nie było oddanie autentyzmu muzyki góralskiej, lecz korzystanie z jej stylizacji jako twórczego materiału do formowania kompozycji. I nie powinno to obniżać wartości estetycznej tego utworu.

Druga kompozycja zespołowa „Obrazek litewski" zwróciła uwagę ciekawą

instrumentacją a równocześnie udaną inscenizacją. Wykorzystano tu akustyczny efekt dmuchania w butelki jako rytmicznego ostinata, na kanwie którego wprowadzono śpiew chóralny uwieńczony improwizacją saksofonu. Linia melodyczna improwizacji nasyconej zmysłowością stopniowo rozwijała się, dochodząc w punkcie kulminacyjnym do wysokiego, pełnego namiętności dźwięku, pozostawiając jego wybrzmienie aż do wyciszenia, do zupełnego zaniku. Gra instrumentalisty wzbudziła podziw swobodą muzykowania, a przede wszystkim pasją i młodzieńczym polotem. Sprawiał wrażenie, jakby się bawił kształtowaniem dźwięku oraz modelowaniem barwy i artykulacji. Ale jego gra pełna była skupienia, dyscypliny i odpowiedzialności w traktowaniu muzyki serio.

Grupa wileńska ma niewątpliwie własną, oryginalną estetykę. W sposobie ich muzykowania wyczuwa się obalenie barier między twórczością indywidualną i zbiorową. Ich gra wciąga słuchaczy w sposób niebywały; urzeka bezpośredniością i spontanicznością, będąc jednocześnie posłuszną wobec nadrzędnych koncepcji wykonywanych dzieł.

Tyle uwag i przemyśleń na temat owej imprezy muzycznej. Koncert dostarczył wielu autentycznych wrażeń artystycznych. Był jakby odpowiednio skomponowanym bukietem wokalnym i instrumentalnym - pełen kolorów i świeżości, emocji i kultu dla prawdziwej sztuki. Sądzę, że nie pozostawił słuchaczy obojętnych wobec twórczych prób młodych kameralistów, zarówno tych z bliskiego Nydku, jak i dalekiego Wilna.

KRYSTYNA SUSZKA

75 LAT CHÓRU NAUCZYCIELI POLSKICH

Bogate są dzieje polskiego śpiewactwa na Śląsku Cieszyńskim, bo jego początki to połowa wieku XIX. Warunki pogranicza sprawiły, iż kultura tej ziemi nie stanowiła wartości samoistnej, lecz była formą aktywności społeczno-narodowej i politycznej ludności polskiej. Wiele miejsca w urozmaiconym krajobrazie kultury tego regionu zajęły działania muzyczne, niezwykle żywotne, zwłaszcza w amatorskim ruchu śpiewaczym. *Śpiew nie tylko rozwesela umysł, ale też podtrzymuje ducha narodowego* - tak pisał w swoich pamiętnikach Paweł Stalmach, założyciel Czytelni Polskiej, która dała początek śpiewom zbiorowym. W tym też czasie zaznacza się wyraźnie rola nauczycieli. Oni to właśnie byli głównymi organizatorami ruchu śpiewaczego, zakładali i prowadzili zespoły muzyczne, upowszechniali polską pieśń ludową, opracowując ją dla potrzeb chórów ama-



fot. FRANCISZEK BAŁON

torskich. Kuźnią propagatorów polskiej pieśni było Seminarium Nauczycielskie w Cieszynie, gdzie nauka śpiewu i muzyki stała na wysokim poziomie.

Po podziale Śląska Cieszyńskiego w roku 1920, gdy społeczeństwo polskie zamieszkujące lewy brzeg Olzy stanęło w obliczu nowej rzeczywistości politycznej, to Macierz Szkolna, wskrzeszając stare i tworząc nowe szkoły, stała się również filarem śpiewactwa. I tak ożywały powstałe na początku wieku chóry Macierzy Szkolnej. W 1921 roku powstało Towarzystwo Nauczycieli Polskich. Cztery lata później z inicjatywy Jana Kiszy, nauczyciela z Karwiny, powstał stały chór nauczycielski. Jan Kisza został też jego pierwszym dyrygentem, a jego zastępcami Karol Berger i Karol Marosz. Pierwsza próba odbyła się 28 lutego 1926. Długo przygotowywano się do pierwszego koncertu. W repertuarze znalazły się utwory takich kompozytorów jak: Nowowiejski, Gall, Lachman, Styś, Wallek-Walewski i Kisza, który - jak zostało napisane w wydanej w roku bieżącym jubileuszowej broszurze - *przyniósł swoją wiązankę pieśni śląskich znad Olzy*. To właśnie te pieśni, a szczególnie pieśń „Zielone zasiałam..." stały się żelaznym punktem każdego koncertu i pozostały w repertuarze chóru do dziś. Pierwszy publiczny koncert odbył się w Karwinie 6 marca 1927.

Chór Nauczycieli Polskich cechowała niezwykła dbałość nie tylko o artyzm wykonywania pieśni, ale także, mówiąc językiem współczesnym o reklamę. Toteż słuchacze koncertów otrzymywali programy, które zawierały fotografie chóru i dyrygenta, repertuar zespołu i pełne teksty wykonywanych utworów. A wstęp do każdego programu otwierały słowa jego kierownictwa: *Nie żądza sławy, ani zysków materialnych była bodźcem do założenia chóru TNP. Przy powoływaniu do życia chóru TNP kierowano się jedynie ideą zapoznania naszego ludu polskiego w Czechosłowacji z pieśnią rodzimą - melodią swojską, artystyczną. Uważaliśmy za święty obowiązek podjąć się pracy na tym polu i podać ludowi, wśród którego pracujemy, wzory naszej bogatej sztuki wokalnej, tak dawnej, jak i współczesnej. Pracujemy od roku 1925, niosąc tę pieśń polską do miast i wiosek ku pokrzepieniu ducha współrodaków.*

Po 25. jubileuszowym koncercie chóru TNP w Czeskim Cieszynie 28 czerwca 1928 z funkcji dyrygenta niespodziewanie zrezygnował Jan Kisza. Rok później jego miejsce zajął prof. Ernest Berger. W tym czasie miał miejsce pierwszy duży sukces chóru, występ i słowa uznania za wysoki poziom artystyczny od polskiego kompozytora Feliksa Nowowiejskiego podczas Wszechsłowiańskiego Zjazdu Śpiewaczego w Poznaniu. Dwa lata później dyrygenturę chóru objął Karol Berger. Jemu to chór zawdzięcza odmłodzenie zespołu i sukces w postaci najwyższej oceny komisji w konkursie zorganizowanym w roku 1937 przez Związek Polskich Chórów w Czechosłowacji z okazji 10-lecia jego działalności. Tu warto wspomnieć, że w owym czasie Związek zrzeszał ponad 100 chórów, a spośród 81 dyrygentów 74 to nauczyciele.

Wojna poczyniła spustoszenie wśród chórzystów. Komunistyczne władze Czechosłowacji dopełniły dzieła, zabraniając wznowienia działalności przedwojennych polskich organizacji. I tak dopiero w roku 1955 udało się nauczycielom wznowić działalność śpiewaczą. Przy Zarządzie Głównym PZKO powstał Chór Nauczycieli Polskich. Dyrygentem został Karol Heczko, nauczyciel z Jabłonkowa. W ciągu dziesięciolecia jego dyrygentury do programu występów chóru wprowadzono solistów i małe zespoły wokalne, dwa tercety żeńskie prowadził Edward Kaim, a jeden Władysław Winkler. Działał też kwartet męski i na stałe wprowadzono funkcję konferansjera, którymi byli Józef Stebel, Józef Macura, Halina Kowalczyk, Kamila Kiełbińska, Fryderyk Gogółka. Obecnie od wielu lat funkcję tę pełni Aleksandra Opioł. Ważną osobą w chórze jest akompaniator. W latach 1955 - 1958 akompaniatorką była Wanda Miech, jej następczyni Marta Bury pełni tę funkcję do dziś.

Znaczący w historii chóru był okres dyrygentury Emanuela Guziura i Eugeniusza Fierli. W roku 1965 Chór Nauczycieli Polskich wystąpił na

Festiwalu Chórów w Poznaniu, zdobywając Złoty Laur, a później w Gdańsku, Sopocie i Warszawie. W roku 1966 i 67 nauczyciele przebywali podczas wakacji w Oliwie, dając koncerty wraz z solistami Jadwigą Niemiec, Karolem Ponczą i Oswaldem Buglem na terenie Trójmiasta. Drugi pobyt w Oliwie połączony został z tourneé po ziemi olsztyńskiej.

W roku 1972 ChNP wzięło udział w VII Międzynarodowym Festiwalu Pieśni Chóralnej w Międzyzdrojach, zdobywając Złotą Lirę, mimo iż chór poprowadził po nagłej rezygnacji Eugeniusza Fierli Henryk Kotas, dotychczas tenor w chórze. Prowadził chór przez osiem lat, a jego miejsce na krótko zajął również chórzysta Jan Gojniczek. W roku 1981 chórowi udało się pozyskać nowego dyrygenta, wysokiej klasy fachowca, pracownika naukowego Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie Alojzego Suchanka, który pozostał wierny chórowi do dziś.

Na historię chóru w latach osiemdziesiątych składają się sukcesy na V Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie w roku 1982, koncert w Cieszynie w roku 1984 z okazji 75-lecia chóru Harmonia, podczas którego wręczono byłemu dyrygentowi Emanuelowi Guziurowi dyplom honorowego członka ChNP oraz ponowny udział w Festiwalu Pieśni Chóralnej w Międzyzdrojach. Jednym z najważniejszych sukcesów początku lat dziewięćdziesiątych był niewątpliwie udział chóru w Praskich Dniach Śpiewu Chóralnego w Pradze, gdzie międzynarodowe jury przyznało reprezentantowi zaolziańskiego śpiewactwa Srebrne Pasmo. Chór Nauczycieli Polskich rozpoczął ścisłą współpracę z chórem męskim Hasło z Orłowej, którego śpiewacy wspierali ChNP swoimi głosami. Każdego roku było wiele koncertów, w roku 1995 koncert jubileuszowy z okazji 70-lecia działalności, później udział w Trojoku Śląskim w Katowicach, w Święcie Pieśni Gaude Cantem w Oświęcimiu, występy podczas uroczystości jubileuszowych zaolziańskich chórów i koncerty wychowawcze dla dzieci i młodzieży, które w całej długiej historii chóru były bodajże najważniejsze. W roku ubiegłym dzięki życzliwości prezesa Rozgłośni Polskiego Radia w Katowicach Leopolda Kurka Chór Nauczycieli Polskich nagrał kasetę.

Tegoroczny jubileusz 75-lecia działalności śpiewaczej chór uczcił 26 listopada w czeskocieszyńskim teatrze koncertem, którego gośćmi byli zespół kameralny Absolwent z Filii UŚ pod kierownictwem prof. Haliny Goniewicz, grupa taneczna ZPiT Olza i chór mieszany Lutnia z Lutyni Dolnej pod kierownictwem Władysława Ruska oraz solistki Jadwiga Niemiec - sopran i Wanda Miech - fortepian. Koncert z wdziękiem prowadziła Aleksandra Opioł. Miłośnicy Chóru Nauczycieli Polskich mogli nabyć kasetę z nagraniami i jubileuszową broszurę o historii śpiewania polskich nauczycieli.

E.S.

ZŁOTE PASMO DLA COLLEGIUM IUVENUM

Wśród wszystkich znanych mi festiwali, które odbywają się rokrocznie w naszym środowisku śląskim, opawskie dni muzyki chóralnej szkół gimnazjalnych „Opava Cantat 2000" są pod pewnymi względami imprezą szczególną. Po pierwsze mało mamy przeglądów muzycznych o tak starannie skomponowanym przebiegu, po wtóre „Opava Cantat 2000" jest właściwie jedynym festiwalem ukazującym muzykę chóralną w jej związkach z innymi sztukami, a kulturę muzyczną jako odzwierciedlenie kultury ogólnej. Taką właśnie odmienną postać przybrał festiwal od paru lat; odtąd postanowiono wszystkie jego koncerty powiązać pewną myślą przewodnią, nadać im wspólny temat, często z pogranicza muzyki i innych sztuk. Zawdzięczać to należy obecnym organizatorom: prężnie działającemu Gimnazjum Mendela w Opawie oraz jego dyrektorowi Petrowi Pavlíčkowi, który razem z Janą Prošvicową i Kateřiną Patoušową potrafili nadać mu rys własnej indywidualności.

Ostatni, piąty już festiwal chórów gimnazjalnych w Republice Czeskiej odbył się w dniach 23–26 listopada 2000 r. pod hasłem rozśpiewania, przyjaźni i pokoju, obejmując dzieła pisane od średniowiecza do współczesności. Pragnąc opisać niezwykłość interpretacji wykonawczych wszystkich utworów, trzeba by właściwie omówić każdy z zespołów, a było ich w sumie osiem: jeden z Głubczyc (Polska), drugi z Trnawy (Słowacja) oraz zespoły reprezentujące Republikę Czeską – Polskie Gimnazjum w Czeskim Cieszynie, Arcybiskupskie Gimnazjum w Kromierzyżu, dalej gimnazjum w Libercu, Brnie, Witkowie i Chomutowie, z których pierwsze cztery uplasowały się w Złotym Paśmie. Każdy z nich bowiem jest indywidualnością wybitną, każdy dzięki doskonałemu opanowaniu warsztatu chóralnego wnosi w brzmienie dzieła indywidualny wkład. Najbardziej zachwycił mnie zespół z Głubczyc, który prezentował pieśni A. Montenegro z charakterystyczną interpretacją podbarwioną elementami gry aktorskiej, stylizowanej według wyobrażeń gry na instrumentach perkusyjnych.

Drugi zespół, któremu należy się uznanie, to Collegium Iuvenum z Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie, pracujące pod auspicjami PTA Ars Musica, prowadzone przez dr. Leszka Kalinę. Prezentacja tego zespołu to znacznie więcej niż oryginalne i doskonałe odtwórstwo obowiązkowej pieśni E. Elgara „As torrents in summer", za którą zespół uzyskał pierwszą nagrodę; to niezwykle sugestywna wizja dźwiękowa zmuszająca do głębszej refleksji nad filozofią sztuki. Nie ma miejsca w krótkiej relacji, by chwalić zespół o tej renomie, wystarczy stwierdzić, że zawdzięcza on ją ogromnej

perfekcji technicznej, idealnemu zestrojeniu głosów, różnorodności interpretacji utworów, bogactwu i świetnemu opanowaniu emisji głosu i technik wykonawczych, sobie tylko właściwej barwie brzmienia, niezwykłej wyobraźni dźwiękowej zwłaszcza w utworze Leszka Kaliny „Tryptyk beskidzki".

Przepięknie z ogromną wrażliwością i interpretacyjnym wyczuciem śpiewał chór AVE - Gimnazjum Arcybiskupskiego w Kromierzyżu, zwłaszcza chorał „Salve, Regina" pięknym unisonowym śpiewem wypadł znakomicie.

Ogólnie rzecz biorąc, opawska koncepcja prezentowania muzyki chóralnej w stylowych wnętrzach klasztoru minorytów oraz zamku w Hradcu nad Morawicą ze słowem wiążącym pełnym myśli o zbieżnościach muzyki z szerszą perspektywą humanistyczną, sprawia ogromną przyjemność i daje poczucie wchodzenia w świat piękna. A jeśli u słuchaczy pojawiły się refleksje nad dziwnymi drogami naszej współczesnej „musica ludens", to znaczy, że impreza spełniła swoje posłanie: dawać przyjemność i uczyć. Uczyć myśleć o muzyce, a może także: uczyć rozśpiewania, przyjaźni i pokoju oraz jak należy organizować festiwale.

ALOJZY SUCHANEK



fot. FRANCISZEK BAŁON



WAŻNIEJSZE NIŻ WYBORY

Na ostatnim zebraniu sprawozdawczym pewnego Koła PZKO prowadzący to zebranie nie dopuścił do dyskusji na temat młodzieży. Twierdził (pomimo jego najwyżej średniego wieku), że z młodymi nie jesteśmy w stanie się dogadać, że oni mają swoje zainteresowania i że trzeba się z tym pogodzić. To mi się naturalnie nie podobało (pomimo mojego już zaawansowanego wieku emerytalnego), ale wolałem milczeć.

Sprawa dręczyła mnie przez cały prawie rok, zanim postanowiłem jakoś się odezwać. Pamiętam bowiem drugą połowę lat 70. i początek lat 80., kiedy w naszym Kole praca z młodzieżą i samej młodzieży prawie we wszystkim się udawała. Było całoroczne współzawodnictwo sportowe nie tylko dla całej miejscowej młodzieży, ale i dla „średniaków", były spotkania w sali gimnastycznej, wycieczki, udało się nawet przedstawienie teatralne, dwa razy odbyły się wianki nad miejscowym dopływem Olzy. Były kontakty ze szkołą w Ustroniu, ale też współpraca obu miejscowych szkół. W zarządzie Koła była co najmniej jedna trzecia młodych do lat 30. Potem były częste zmiany prezesa i dopiero przed dwoma laty nastały zmiany na lepsze, ale sprawa młodych ugrzęzła w martwym punkcie. Postanowiłem choć trochę ingerować, będąc świadomy tego, że pomóc już wiele nie mogę.

Postanowiłem tak trochę oficjalnie pogawędzić z najmłodszymi pezetkaowcami. Skłoniło mnie też do tego niepowodzenie dwu aktywniejszych chłopców, którzy próbowali wcześniej spotkać się ze swoimi rówieśnikami, ale pozostali sami. Na nowe spotkanie zaprosiliśmy kilkunastu najmłodszych członków, przeważnie jeszcze uczniów. Bo „starszych" młodych nie mamy, przez ponad 10 lat nikt nie zatroszczył się o narybek wśród absolwentów podstawówek.

Na spotkanie w szkolnej sali gimnastycznej przyszły jeszcze dwie nieco starsze członkinie oraz trójka z zaproszonych, niektórzy wprost odmówili. Salę gimnastyczną wybraliśmy dlatego, by jej piękny wystrój zachęcił młodych do korzystania z niej. Ale chłopców interesuje teraz głównie piłka nożna; koszykówka czy badminton ich nie pociągają. Byłem trochę zawiedziony,

◀ *Z „ZABAWY W JASEŁKA" - dzieci polskiego przedszkola i szkoły w Nawsiu - w plenerze koło kościoła ewangelickiego w grudniu 2000 roku - fot. FRANCISZEK BAŁON*

ale sport to nie wszystko. Dyskusja była zresztą bardzo żywa, bo obecni mówili bardzo otwarcie o sytuacji wśród młodych. Okazuje się, że są i tacy, którym nie odpowiada firma PZKO. Zrozumieliśmy potem, że chodzi o grupki ukierunkowane religijnie, a prowadzone często przez starszych. Nie wątpię, że z tych młodych wyrosną dobrzy ludzie, choć później będzie im może brakowało szerszych kontaktów i świadomości swoich korzeni. Reszta młodzieży coś tam sobie organizuje na dziko lub chodzi na imprezy organizowane przez innych, co nie wymaga własnego wysiłku, ale raczej trochę pieniędzy. Rodzice wolą wydać te pieniądze, bo nie mają czasu, by się swymi dziećmi bliżej interesować - są naturalnie wyjątki. Nie zaskoczyło nas już, że młodzi uczestnicy spotkania nie mieli pojęcia o SMP czy jakichś staraniach ZG PZKO dotyczących młodzieży. Wiedzieli tylko o letnim turnieju piłki nożnej. Pewną iskierkę nadziei budzi nieśmiałe zainteresowanie naszej trójki „czymś z teatru". Ale stanowczo odrzucili pomysł pogawędek na temat historii regionu czy własnej wioski - na pewno by nikt nie przyszedł!

Pomimo tak pesymistycznych głosów starsi obiecali wszystkim chętnym do jakiegoś działania wszelką pomoc. Głównie udostępnienie sali gimnastycznej, lokalu PZKO, wynajęcie autobusu na wycieczkę itp. Bo przecież młodzież nie może być gorsza niż dawniej, a jej obojętność jest raczej wynikiem obecnych warunków polityczno-społecznych. Może nie wszędzie jest tak źle, słyszymy o różnych zespołach, którymi możemy się pochwalić. Są to jednak najczęściej zespoły szkolne, a tam mamy jeszcze kilkunastu pedagogów, którzy potrafią to robić. Może przeholowałem z tym pesymizmem, może i u nas znajdzie się znów ktoś, kto potrafi i chce dla młodego pokolenia coś zrobić. Tu mam na myśli nie tylko tych najmłodszych, ale i pokolenie ich rodziców. Czasem wystarczy jeden, który potrafi skupić choć małą garstkę tych aktywniejszych.

Nie twierdzę, że te moje uwagi i rozmyślania są w pełni obiektywne. Miesięcznik Zwrot jest jednak czasopismem związkowym i na jego łamach nie powinny się ukazywać jedynie informacje o sukcesach i pochwały, ale też materiały dotyczące spraw przykrych, analizy niepowodzeń, możliwe rozwiązania i rady. Publicznie wypowiedziane różnice poglądów powinny nam raczej pomóc. Przypominam tu przy okazji dość szeroko zakrojoną analizę poglądów naszej młodzieży szkolnej sprzed kilku lat. Wyniki były już wtedy bardzo niepokojące, ale na tym się skończyło.

-vc-

(nazwisko do wiadomości redakcji)

DEPRESJA ZIMOWA

Depresja zimowa pojawia się, kiedy dochodzi do braku synchronizacji między wewnętrznym, biologicznym zegarem człowieka, a zegarem zewnętrznym - astronomicznym. Idealną sytuację biometeorologiczną charakteryzuje kilka czynników: odpowiednia długość dnia, tj. co najmniej 10 godzin światła dziennego, temperatura powietrza zmieniająca się od porannego chłodu do ciepła w południe, małe lub umiarkowane zachmurzenie oraz układ wyżowy, tj. wyższe ciśnienie powietrza.

Tryb życia współczesnego człowieka to przede wszystkim mało wysiłku fizycznego oraz przebywanie w źle wietrzonych i słabo oświetlonych pomieszczeniach. W zimie te niezdrowe dla organizmu ludzkiego czynniki oddziałują ze zdwojoną siłą. I może pojawić się depresja zimowa.

Depresja zimowa objawia się ogólnym zmęczeniem i znużeniem, małą wydolnością i zanikiem motywacji, a nawet skłonnościami samobójczymi. Człowiek zmęczony ma bladą cerę i sińce pod oczami. Źle śpi. Jest nerwowy i byle głupstwo wyprowadza go z równowagi. Trudno się koncentruje, popełnia więcej błędów. Towarzyszący mu stres ma ponadto ujemny wpływ na jego zdrowie fizyczne: Podnosi ciśnienie, wywołuje chorobę wrzodową, źle działa na komórki nerwowe, obniża odporność organizmu.

Jak walczyć z depresją zimową? Organizm potrzebuje odpoczynku psychicznego, ruchu i światła. Dużo słońca i ruch na świeżym powietrzu oraz ucieczka od codziennych obowiązków są najlepszym lekarstwem. A zatem urlop w zimie!

Idealnym odpoczynkiem zimowym jest spędzenie co najmniej tygodnia w górach na nartach. Wysiłek fizyczny włożony w jazdę na nartach, przy tym dostateczna ilość czystego, wchłanianego pełnymi płucami powietrza, jak również świecące intensywniej słońce są balsamem dla naszego ciała i dla naszych nerwów. Dla tych, którzy od gór wolą morze, również polecany jest zimowy odpoczynek nad morzem. Tu najzdrowsze dla organizmu są długie spacery po plaży, wdychanie zdrowego powietrza, dostarczanego przez wiejący znad morza wiatr. Podczas wielu godzin przebywania w przyrodzie organizm zdąży naczerpać potrzebną dla swego sprawnego funkcjonowania ilość światła. Kąpiel w wodzie morskiej zastąpić musi w tym wypadku basen z podgrzewaną wodą.

Wracający z takiego zimowego wypoczynku czują się odprężeni psychicznie, odświeżeni. Są milsi dla otoczenia. Naładowani energią z chęcią rzucają się w wir pracy zawodowej. I tej energii zazwyczaj wystarcza im aż do lata. W lecie zaś potrzebny jest kolejny wypoczynek, który tym razem powinien być co najmniej dwutygodniowy.

(dur)



fot. FRANCISZEK BAŁON

ODSZEDŁ WIELKI DUCHEM I CZYNEM CZŁOWIEK

W dniu 19 października 2000 zmarł w Czeskim Cieszynie w wieku 98 lat (ur. 12 III 1902 w Suchej Średniej) Karol Polak. Należał do najbardziej zasłużonych dla społeczności polskiej na Zaolziu osobistości – pedagog, społecznik, działacz narodowy, założyciel i członek wielu organizacji i instytucji.

Uczestnicy pogrzebu mieli możliwość zaznajomić się bliżej z jego bogatym, nadzwyczaj urozmaiconym życiorysem, zainteresowani znajdą jego drogę życiową rzetelnie opisaną i opublikowaną przez Jana Rusnoka w Zwrocie (nr 3/1992) w związku z jego 90. rocznicą urodzin. Natomiast jego rozległy

dorobek właściwie we wszystkich dziedzinach życia społecznego czeka na opracowanie i dogłębną ocenę.

Przypomnijmy w dużym skrócie jego aktywność życiową. Praca zawodowa to nauczycielstwo bądź to jako wychowawca kilku generacji wprost w szkołach podstawowych czy też jako metodyk w Okręgowym Ośrodku Pedagogicznym. Jego działalność społeczno-narodowa, chociaż miała mocny wydźwięk polityczny, koncentrowała się przede wszystkim w organizacjach i instytucjach kulturalno-oświatowych z myślą przewodnią służyć sprawie polskiej. Od młodzieńczych lat angażował się, często jako członek zarządu w Harcerstwie, Stowarzyszeniu Siła, Towarzystwie Nauczycieli Polskich, w Akcie Erekcyjnym schroniska na Kozubowej (r. 1928) widnieje jego podpis jako skarbnika Zarządu Głównego PTTS Beskid Śląski. Za tę działalność hitlerowcy „wynagrodzili" go przeszło dwuletnim pobytem w obozach koncentracyjnych Dachau i Gusen.

W trudnym okresie po wyzwoleniu należał do najbardziej zasłużonych, usiłujących o wskrzeszenie naszego szkolnictwa i organizowanych form życia narodowego. Równocześnie pogłębia swoje wykształcenie, w 1961 roku kończy wyższe studia w Ołomuńcu ze specjalizacją „język niemiecki, język czeski".

Po przejściu na emeryturę (1963) zaangażował się mocno w pracy MK PZKO Czeski Cieszyn, jako jego prezes doprowadził do rozkwitu Koła, założył znany Klub Propozycji. Bierze czynny udział w Sekcji Historii Regionu, Związku Antyfaszystowskich Bojowników, odnowionym Beskidzie Śląskim.

Cenna dziedzina działalności K. Polaka to również dokumentacja martyrologii i ruchu oporu naszego regionu w czasie okupacji oraz wartościowy zbiór materiałów dokumentalnych, często unikatowych, związany z jego działalnością społeczną. Kiedy przed laty zajmowałem się opracowaniem zagadnień odbudowy naszego życia narodowego po II wojnie światowej czy kompletowaniem materiałów do ofiar okupacji, zawsze służył mi cennymi dokumentami i radami. Jeszcze na początku br. przy okazji odwiedzin, kiedy prosiłem o niektóre materiały, obiecał, że chętnie posłuży po ich uporządkowaniu. Niestety, już nie zdążył.

Doczekał się licznych odznaczeń, uhonorowań. Zawsze skromny, zrównoważony, nigdy nie splamił się niegodnymi czynami.

Można zakończyć słowami jednego z mówców pogrzebowych: *„Odchodzą synowie tej ziemi. Odszedł kolejny z tych, których dokonania są bogactwem nas wszystkich"*.

STANISŁAW ZAHRADNIK

CO SIE NÓM PRZITREFIŁO (12.12.1983)

W poniedziałek dwanostego
Dolik prawi: „Dość móm tego!
Nie bedym jeść jałowisko,
kupim se jaki maśnisko".
Dóma budzi wszystkich ludzi,
do garaże troki kludzi.
Autym jedzie po masorza,
kieruje sie podle snorza.
W nocy sie mu pieknie śniło,
pry we chlywku prosie było.
Biere babcie, porwóz, dzichty,
pozbiyroł z góry gewichty.
Jedzie autym robić kszefty.
Do Danki i Władka zaloz,
i tam kupił browka zaroz.
Przyplacnęli gazdoszkowie,
przypili przy tym na zdrowie,
lecz świnie sie nie pytali,
jeśli chce iść z chlywka dali.
Zaroz klotke zgotowali.
Chłopstwo sie do chlywka wali.
Prawi świnia: „Wy zbójnicy,
nie bedziecie to mieć lehki.
Jak jo kwiknym, nogóm świtnym,
polecicie jak strzepiny,
odechce se wóm wędliny".
Masorz Tonda sie nie sere,
do chlywka sie zaroz biere,
za ocas go dobrze chycił,
do zadku kolanym pocis.
„To sóm do mnie małe wiecy,
widzicie - móm świnie w klecy".
Mioł z nióm ale wielkóm męke,
małem przy tym złómoł ręke.

„Zawiónżym tóm klec prowazym,
do Dolika cie odwiezym,
tam cie zaroz wyrychtujym,
za tóm całóm sumeryjym".
Biydno świnia niezkuszóno,
w klecy siedzi uciśnióno.
„Co to teraz dali bedzie,
kaj tyn pierón sy mnóm jedzie.
Nie wydyrżim ty zataczki,
dostanym z tej jazdy sraczki".
Wszistko sie ji w głowie mąci:
„Dyć mie jeszcze kaj przewróci,
już nimóm wiela żywota,
raczi skoczim pod autobus".
Ledwo se to pomyślała,
już po ceście se wolała.
Na pośrodku cesty siedzi,
autobus nad nióm zabrździ.
Jak to Dolik wszistko zoczył,
hned z Tóndóm z auta wyskocził.
„Dyć ón mi jóm przewalcuje,
jeśli to niezahamuje!"
Tónda porwóz przigotowoł,
za nogi jóm przziwiązowoł.
No a z żukym uż cofali,
że świnie stracili, też sie skapowali.
Tónda prawi: „Małe wiecy,
nie dowejmy jóm do klecy,
do żuka jóm nałożimy,
wszeci trze jóm udrżimy".
Do chałupy dojechali,
w garaży jóm hned zażgali.
Dobrze się wszistko skóńczyło,
warzónkóm sie to zapiło.
Ze śmiychym opowiadali,
jak do żuka jóm dźwigali.
Srandy z tego kopiec było,
po dziedzinie sie szyrziło,
jak Dolik zabijaczke robił,
a za świniom po dziedzinie gónił.

BABCIA MALKA

RADY GOSPODARSKIE

Sposoby przechowywania jaj. Jaja przechowują się bardzo dobrze w wodzie wapiennej, po dłuższym jednak czasie tracą smak i tylko do ciasta używane być mogą. Przechowywanie jaj w wodzie zaprawionej kwasem salicylowym jest zbyt kosztownem. Najlepiej jest osmarować je rozpuszczoną w wodzie gumą arabską lub olejem. Najtańszym i najodpowiedniejszym jest sposób, jakiego używają Chińczycy - maczając jaja w glinie rozpuszczonej w wodzie, przez co otrzymują powłokę nie dopuszczającą powietrza do ich wnętrza.

Przechowywanie owoców. Owoce tem dłużej się w stanie zdrowym przechowują, czem później w jesieni zebrane zostały. Potem należy je poukładać jedne obok drugich tak, aby się wzajemnie nie dotykały - lecz nie na słomie, od której nabierają zapachu stęchlizny, lecz na obsuszonych liściach, opadłych w jesieni z gatunków drzew im odpowiednich.

Przechowywanie kartofli. W piaszczystej ziemi, najlepiej na wzgórzu, wsypują się takowe do dołu na cztery stopy głębokiego, a przykrywszy je słomą - z wierzchu zasypuje się ziemią. Tak przechowują się kartofle tylko w niewielkich partiach. Robiąc kopce podłużne, trzeba wkładać do nich kartofle nie mokre, ani też przy zbiorze od słońca rozgrzane. By się nie zagrzały, nad podłużnym stosem ustawia się koziołki, a na nich tyki się kładzie. Tym sposobem utworzy się przewiew, który komunikuje z kominkami. Te zbija się z czterech kołów tak, aby mała przestrzeń była pomiędzy niemi; kominki te w czasie ciepłym w zimie się otwiera.

By uchronić kapustę od gąsienic, pamiętać należy, aby tu i owdzie rzucić ziarnko siemienia. Zapach konopi odstraszy białe motyle, składające na kapuście swe jaja.

Orzechy laskowe lepszych gatunków corocznie podobnie jak agrest przycina się do połowy i gnoi obficie. Owoce będą rzęsiste i wielki orzech laskowy wtedy tylko nie psuje się w zimie, gdy sam opadnie. Przed schowaniem należy obsuszyć na słońcu.

Aby kury jaja niosły i nie chorowały, potrzeba im w jesieni do karmu dodawać trochę papryki.

Chcąc ryby łowić wędką, trzeba w pewnych miejscach na kilka godzin naprzód je karmić. Rzuca im się w tymże celu na wodę obgotowaną pszenicę i usiekaną wątrobę, chleb i gotowane ziemniaki. Tym sposobem ryby przyzwyczajają się zbierać w pewnem miejscu. Najlepiej łowić je w deszcz lub przy lekkim wietrze.

Okopanie drzewa powinno odbywać się w jesieni. W spulchnioną ziemię nazbiera się żywności z opadów atmosferycznych. Okopanie jest potrzebne dla dostępu powietrza do korzeni, tak samo jak spulchnienie roli dla zbóż. Okopanie to powinno sięgać tak daleko, jakim jest obwód korony - gdyż tak daleko sięgają korzenie boczne i ich cienkie ssące końce. Gnojenie odbywać się powinno zawsze na wspomnianym obwodzie.

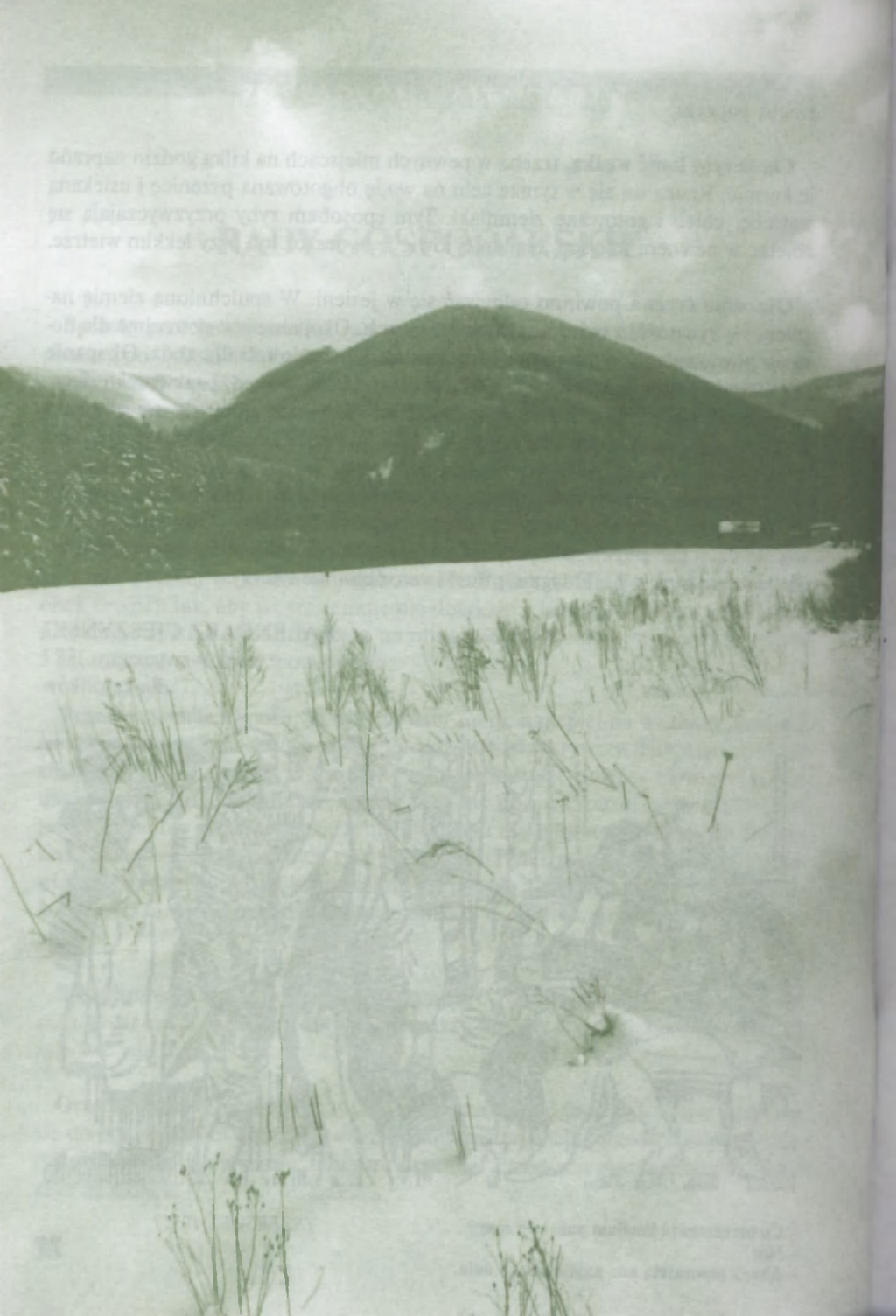
Przy uprawie ziemniaków koniecznem jest, aby ziemniak leżał na miękkiej ziemi. Przysypać go trzeba tyle tylko, aby go przykryć od słońca. Gdy zejdzie, uprawia się dalej jak zwykle, ale przy obsypaniu pamiętać potrzeba, aby to było niewysokiem od razu, bo łodyga się dusi i zarodków nie tworzy.

KALENDARZ CIESZYŃSKI
na rok zwyczajny 1887
dla katolików

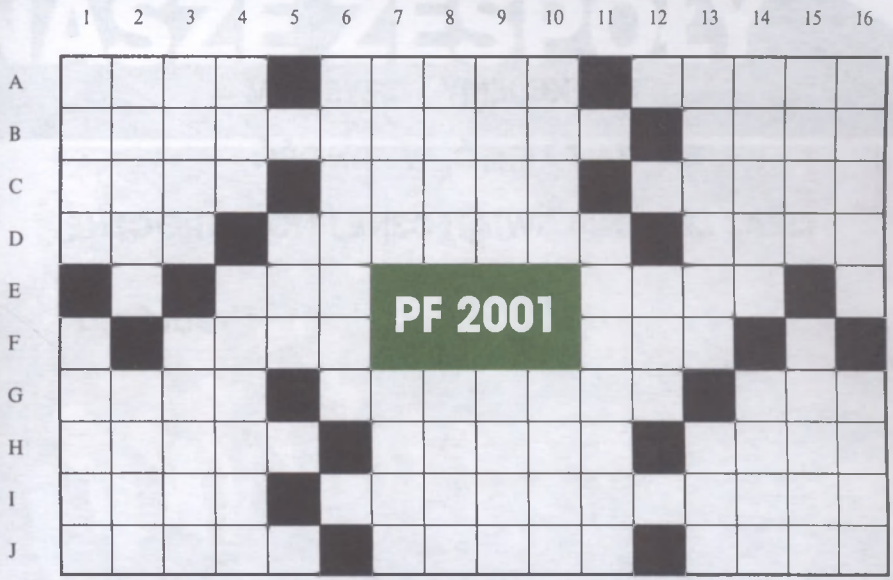


- Co przedstawia kostium pańskiej żony?
- Noc.
- Aha, z pewnością noc najdłuższego dnia.

(SZERSZEŃ 1935)



KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA

POZIOMO: A. Komediopisarz rzymski; ubiór, strój; miasto portowe w Chorwacji. **B.** Jest widoczny w pochodzie podczas manifestacji; magma. **C.** Potrzebna do wypieku; rodzina słynnych lutników z Cremony; cenne drewno. **D.** Poeta arabski (796-842); marka samochodu z byłej NRD; 1/100 dolara. **E.** Tytuł tragikomedii Corneille'a; kamień półszlachetny. **F.** „Morze" po łacinie; największa wyspa chorwacka. **G.** Stosowany jest przy narkozie; poprawianie błędów; strój żałobny. **H.** Cesarz rzymski, syn Wespazjana; filozof amerykański (Ralph, 1876-1957); język. **I.** Kosaciec, urządzenie do nawigacji morskiej lub lotniczej bez względu na widoczność. **J.** Bon, kupon; aktorka polska (Pola); plecionka ze słomy, trzciny.

PIONOWO: 1. Willa Szymanowskiego w Zakopanem; czcionka drukarska. **2.** ... jerychońskie; miejscowość w powiecie F-M. **3.** Awanport Tiencinu w Chinach; rodnik alifatyczny. **4.** Skrót na receptach; światowej sławy tenor (Enrico). **5.** Starożytne miasto fenickie. **6.** Pokład środkowej nadbudowy statku. **7.** Miejsce klęski Hannibala; obłok pary, mgła. **8.** Koń krwi czystej; przedport. **9.** Jedna z córek Kroka; obce imię męskie. **10.** Dzielnica mieszkaniowa Warszawy; przełącznica telefoniczna. **11.** Część sztuki wojennej. **12.** Zabawa towarzyska. **13.** Potrzebny jest do wycieczek, przemarszów; 3000 rzymskimi cyframi. **14.** Dawna gra hazardowa w karty; 60 sztuk. **15.** Imię Kryłowa; okrzyk radości, entuzjazmu. **16.** Krótki sztylet japoński; odmiana ustalona w hodowli.

Wyrazy trudne: ABU, ATTA, PERRY, TAKU, TANTO, ZAMA.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: F-15, I-1, A-16, J-8, F-3, H-11, A-13, C-10, G-1, B-8, H-15, I-4, A-7, E-5, B-2, G-7, F-11, D-15, H-14, B-15, G-9, E-12, J-4, C-9, H-2, I-16, I-9, C-2, E-4, J-3, H-8, D-13, A-15, J-16.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną rozlosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca stycznia.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru listopadowego: Z ADAMOWEJ DZICHTY.

Nagrody książkowe wylosowali: **Marian Kluz** - Czeski Cieszyn
Emilia Nieboras - Trzyniec
Zofia Siuda - Dziećmorowice

◀ *fot. FRANCISZEK BAŁON*

DZIĘKUJĘMY WSZYSTKIM

ZA PAMIĘĆ, WIERNOŚĆ

ORAZ ŻYCIENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE

redakcja

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny Ministerstwa Kultury RC: F 389

WYDAWCA: **POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE, IČO: 442771, przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej**

REDAKCJA: **ELŻBIETA STRÓŻCZYK** (redaktor naczelny), **CZESŁAWA RUDNIK** (redaktor), **FRANCISZEK BAŁON** (sekretarz redakcji), **ELŻBIETA KOLBER** (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: **ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN, Tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz**

RADA REDAKCYJNA: **Kazimierz JAWORSKI, Daniel KADŁUBIEC, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK**

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168 Kč, z wysyłką pocztową 240 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701028/00 z dnia 27 VI 2000 r. z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

NASZE ZESPOŁY



OLBRACHCICE

Już blisko 54 lata działa w Olbrachcicach chór mieszany Olbrachcice, który jest kontynuatorem tradycji chórów okresu międzywojennego i pierwszego chóru mieszanego, który po II wojnie światowej powstał w 1949 r. Dwa lata później dyrygentem chóru zostaje nauczyciel Władysław Molenda, który na tym stanowisku pozostaje aż do swojej śmierci w r. 1997. Chór przechodził różne koleje losu, np. w latach 1955–1965 pracował dorywczo przez połączenie chóru męskiego i żeńskiego. W r. 1974, kiedy obchodzono 50. rocznicę zorganizowanego śpiewactwa w Olbrachcicach, chór liczył aż 51 członków. W latach następnych na skutek różnych przyczyn stan liczebny chóru zmalał. Chór należał jednak zawsze do zespołów ambitnych i pracowitych, upiększał różne imprezy zaolziańskie, uczestniczył w konkursach i Festiwalach PZKO. Po śmierci Władysława Molendy pałeczkę dyrygencką przejęli Bruno Kalina, Regina Góralik i Anna Cyrzyk.

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

OT
P.P.
701 028/00
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE ZAOLZIE

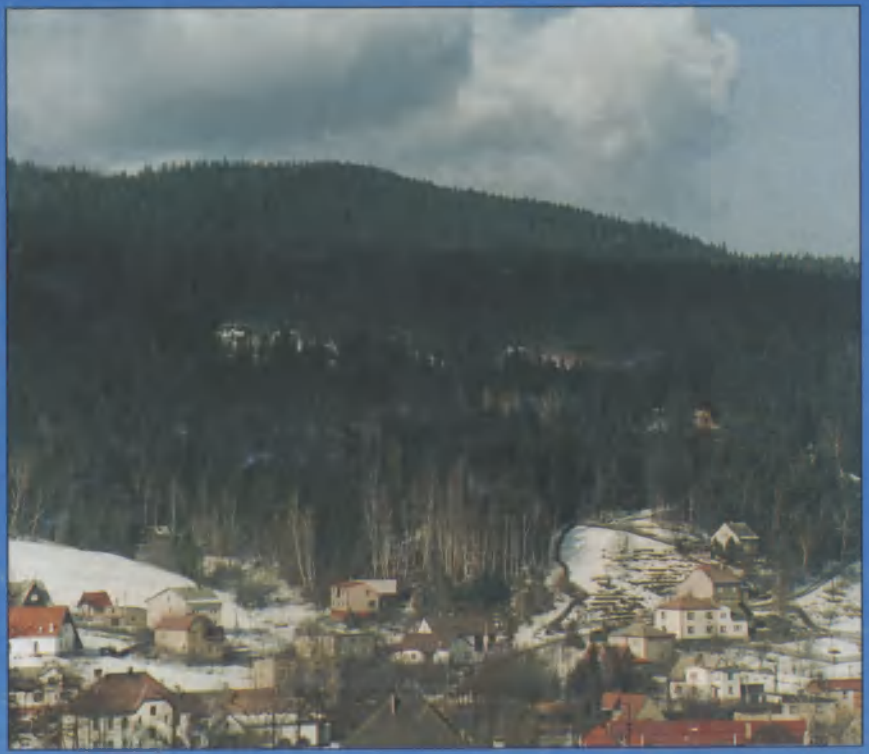
MOSTY KOŁO JABŁONKOWA

Ostatnia miejscowość na „Zaolziu" rozciągającym się przysłowiowo „od Bogumina po Mosty" właśnie. Droga prowadząca przez tę „najdłuższą" u nas wieś ma około 12 km i kończy się na przejściu granicznym na Słowację. Przełęcz Jabłonkowska i ostatni w RC, na trasie koszycko-bogumińskiej dworzec, za nim tunel...

Mosty to słynne „Szańce" obronne, niestety w latach po drugiej wojnie światowej zniszczone – rozebrane prawie do zera...

Jest tu jedna z naszych większych polskich szkół, która dała początek tradycyjnej imprezie zimowej Zjazd Gwiaździsty. Mosty to też zespół GOROLE, tradycyjne Bale Gorolskie. MK PZKO to chór Przełęcz, ale też jesienne koncerty Piękne głosy.

Mosty koło Jabłonkowa przyciągają turystów latem i zimą.





Zwrot

2
2001

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

TACY BYLIŚMY



5 II 1919
Polacy ze Śląska
internowani w Lipniku

PATRIOTA

Kiedy wspominamy naszych ojców i dziadów, z dumą podkreślamy – to był patriota. Czasy się zmieniły, zmienili się też ludzie. Dziś na progu nowego tysiąclecia słowo patriota wydaje się być nie z tej epoki.

W wielkim Słowniku Języka Polskiego opracowanym przez Polską Akademię Nauk pod hasłem PATRIOTA czytamy: *ten, kto kocha swoją ojczyznę i naród, do którego należy, kto gotów jest do pracy i poświęceń dla ich dobra*. Dziś rzadko używamy tego słowa, szczególnie w odniesieniu do osób współcześnie żyjących. Czasem nawet odnosi się wrażenie, że nie w pełni rozumiemy i doceniamy wagę jego znaczenia. A może świadomie unikamy jego używania, bo mamy wyrzuty sumienia w stosunku do dziadów i ojców, którzy miłość do Ojczyzny i swojego narodu przelewali nie tylko na papier. Toteż wielu Zaolziaków może z dumą opowiadać o swoich przodkach, którzy nie tylko walczyli i oddawali zdrowie i życie dla Ojczyzny, ale z myślą o niej budowali polskie szkoły, domy robotnicze, zakładali spółdzielnie, tworzyli chóry i zespoły teatralne. Po to, by, nawet wtedy, gdy od Ojczyzny oddzieliła ich granica, pracować dla siebie, czyli polskiego narodu w swojej małej Ojczyźnie czyli Zaolziu.

Co dziś znaczy kochać swoją Ojczyznę i naród? Każda epoka niesie z sobą nowe zadania do wypełnienia. I wydaje się, że dziś w porównaniu do naszych przodków nie stawia przed nami aż tak wielkich wyzwań. Nasi przodkowie uczynili wiele za nas. Bo cóż, mamy polskie szkoły, które wystarczy zapełnić uczniami, mamy Domy PZKO i wystarczy rzucić groszem na ich utrzymanie, mamy wreszcie jedyny w świecie, poza granicami Polski, zawodowy polski teatr i wystarczy kilka razy w roku pójść z rodziną i wysłuchać polskiego słowa, mamy biblioteki wypełnione najnowszymi polskimi książkami i wystarczy pójść obejrzeć, wypożyczyć, mamy polskie czasopisma, prenumerata których to nie tylko zdobyta wiedza o tym, co robimy, ale cegiełka dla polskości właśnie. Moglibyśmy długo jeszcze mnożyć dobra, którymi dysponujemy, a nie zawsze praktycznie doceniamy.

Ten nowy rok dla naszej małej społeczności będzie szczególny. Tak się złożyło, że na początku nowego wieku musimy złożyć deklarację swojej polskości, swojego patriotyzmu. Spis ludności pokaże naprawdę, jacy jesteśmy, co nasz przodek–patriota przekazał nam w dziedzictwie.

ELŹBIETA STRÓŻCZYK

Zwrot 2 2001

Rok LII, Nr 615
Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 20,00 Kč

W NUMERZE

3	Spis ludności	CZESŁAWA RUDNIK
8	Rola Towarzystwa Nauczycieli Polskich w działalności szkół na terenie Zaolzia	KORNELIA LASOTA
13	O polsko-czechosłowackich starciach z lat 1935, 1938 na styku cieszyńskim cz. II	EDWARD BUŁAWA
18	Jeden z nich	BRONISŁAW BUŁAWA
19	Dni polskie w Suczawie	KRYSZTOF NOWAK
22	Biblioteka w służbie emigracji	E.S.
24	Kazimierz Jaworski: Czytając Kamieńską	
33	Kronika: Spotkanie przy choince w Ambasadzie RP w Pradze, Świąteczne spotkanie w Łakach, Koncert Świąteczny w Trzyńcu, Spotkanie z kolędą w MK PZKO Czeski Cieszyn Centrum, Odznaczenia dla członków ChNP, Czantoryjka dla Józefa Wierzgonia, Wigilijka z folklorem w Skrzeczoniu, Radosne kolędowanie w Mostach k. Jabłonkowa, Wystawa w bibliotece frysztackiej, Bal Gorolski po raz 23., Noworoczne kolędowanie w Nawsiu, Ilja Racek w ZG PZKO i Kongresie Polaków, Konwent Prezesów	
47	Z naszej kuchni: Faworki czyli chrust	
49	Przez sito intymności	MAREK SŁOWIACZEK
52	Poezja Stanisława Nyczaja	
54	Fotograficy Zaolzia: Marek Santarius	
59	Do polskiej szkoły w nowych portkach	
60	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
66	Pochwała Kresów	ELŻBIETA STRÓŻCZYK
69	Walentynkę daj mi luby (aforyzmy)	
75	Mozaika	KAROL KAJZER
77	Trybuna czytelników	

Numer zamknięto 17. 01. 2001
Na okladce: Zjazd gwiaździsty 2000

SPIS LUDNOŚCI

Na przełomie lutego i marca odbędzie się w Republice Czeskiej Spis Ludności, Domów i Mieszkań. Po dziesięciu latach ponownie będziemy wszyscy wypełniać rubryki w arkuszu spisowym. Będzie to okazja do zastanowienia się nad sobą, do uświadomienia sobie własnej tożsamości. Także tej narodowej.

PRZYSZŁOŚĆ NASZEJ MNIEJSZOŚCI ZALEŻY OD NAS SAMYCH

CO TO JEST SPIS LUDNOŚCI

Spis ludności służy do uzyskania materiałów statystycznych na temat stanu ludności w państwie w danej konkretnej chwili. Jest to niezbędna akcja, dzięki niej zdobywane są dane, których nie można by ustalić innymi sposobami. Są to np. informacje na temat struktury i jakości bazy mieszkaniowej, poziomu poszczególnych typów gospodarstw domowych, stopy życiowej obywateli, ich aktywności ekonomicznej, wykształcenia, narodowości, języka ojczystego, wyznania, dane o rodzinach, ilości dzieci, rodzinach niepełnych, o migracji ludności, dojazdach do szkół i zakładów pracy itd. Główne cele spisu ludności, budynków i mieszkań to uzyskanie danych, które wykorzystywane są w następnym dziesięcioleciu jako podstawa do wszelkich statystyk i ewidencji, służą aparatowi administracyjnemu państwa, samorządom, instytutom naukowym i wyższym uczelniom, organizacjom międzynarodowym i stają się dokumentem historycznym dla następnych pokoleń.

Z DZIEJÓW SPISÓW LUDNOŚCI

Spisy są jedną z najstarszych metod otrzymywania i gromadzenia danych statystycznych. Na obszarze dzisiejszej Republiki Czeskiej spisy mieszkańców lub tylko niektórych wybranych grup obywateli odbywały się już w średniowieczu. Służyły przede wszystkim do celów wojskowych i podatkowych. Pierwszy spis obejmujący wszystkich obywateli miał miejsce w roku 1754 w okresie panowania cesarzowej Marii Teresy.

W roku 1869 odbył się pierwszy „nowoczesny" spis, spełniający wymagania i dotrzymujący zasad wytyczonych przez międzynarodowe kongre-

sy statystyczne w oparciu o konkretne normy ustawowe. Od tej pory spisy ludności odbywały się w Monarchii Austro-Węgierskiej co dziesięć lat, zawsze w roku zakończonym cyfrą zero.

W okresie międzywojennym były w Republice Czechosłowackiej dwa spisy: w roku 1921 i 1930. Po drugiej wojnie światowej niepełny spis przeprowadzony został w roku 1946 na Słowacji, na pozostałym obszarze państwa w roku 1947. W roku 1950 odbył się spis ludności, od roku przebiega poszerzony spis ludności, domów i mieszkań: w roku 1970, 1980 oraz w roku 1991, pierwszy w warunkach demokratycznych.

Spis ludności około roku 2000 przygotowany został przez organizacje międzynarodowe jako akcja ogólnoświatowa o wyjątkowym znaczeniu. Na podstawie Rezolucji Rady Ekonomicznej i Socjalnej ONZ nr 1995/7 z dnia 19 lipca 1995 roku dla programu światowego spisu ludności i mieszkań 2000 przy współpracy z Urzędem Statystycznym Unii Europejskiej i Europejską Komisją Gospodarczą opracowane zostało „Zalecenie w sprawie spisu ludności, domów i mieszkań około roku 2000 w regionie europejskim".

SPIS LUDNOŚCI W POLSCE

W roku bieżącym na podstawie ustawy o narodowym spisie powszechnym ludności i mieszkań w 2001 r. odbędzie się spis ludności także w Polsce. Przebiegać będzie w okresie od 22 maja do 9 czerwca, ale tzw. momentem decydującym dla zapisania danych do arkuszy spisowych jest północ z 21 na 22 maja 2001 roku.

Pierwszy spis ludności w Polsce odbył się w roku 1789. Obejmował wszystkich obywateli oprócz szlachty i duchowieństwa. Pierwszy po odzyskaniu przez Polskę niepodległości spis przeprowadzono w roku 1921, po drugiej wojnie światowej w roku 1946 nie było spisu imiennego, podano tylko ilość mieszkańców kraju, następne spisy odbyły się w roku 1950, 1960, 1970 i 1988.

Czekający Polaków spis obejmować będzie tak osoby, jak i budynki oraz mieszkania, pytania pomogą poznać strukturę ludności według charakterystyki demograficznej, socjalnej i ekonomicznej, strukturę gospodarstw domowych i rodzin oraz standard mieszkaniowy.

Ciekawe z naszego punktu widzenia jest porównanie spisu ludności w Polsce i u nas z punktu widzenia pytań o tożsamość narodową. W Polsce trzeba zapisać w formularzu spisowym kraj urodzenia i obywatelstwo. Po raz pierwszy od roku 1931 ustalana będzie narodowość oraz język używany przez daną osobę: *W ramach spisu zostanie przeprowadzone badanie narodowości obejmujące wszystkie osoby podlegające spisowi. W badaniu zostaną postawione następujące pytania: 1) do jakiej narodowości zalicza się osoba spisywana, 2) w jakim języku najczęściej rozmawia w domu.* W Republice Czeskiej w arkuszu spisowym są pytania o przynależność państwową, język ojczysty i narodowość.

SPIS LUDNOŚCI, DOMÓW I MIESZKAŃ W REPUBLICE CZESKIEJ W ROKU 2001

Spis odbędzie się na terenie całego państwa na przełomie lutego i marca br. Do formularzy spisowych (Arkusz do spisu osób, Arkusz do spisu domów, Arkusz do spisu mieszkań) wpisywane będą dane według stanu z północy z 28 lutego na 1 marca 2001 roku. Spisem objęte zostaną wszystkie osoby, które w danej chwili znajdą się na terenie Republiki Czeskiej (wyjątek stanowią dyplomaci). Każda osoba otrzyma wcześniej od komisarza spisowego formularze spisowe, komisarz spisowy udzieli też wszystkich potrzebnych informacji. Umówi się, kiedy odbierze wypełnione formularze.

POLSKOŚĆ ZAOLZIA JEST W NASZYCH RĘKACH

Nie ma w tym określeniu przesady. Od tego, w jaki sposób wypełnimy kwestionariusz spisowy, czy zadeklarujemy swoją polskość, zależeć będzie przyszłość naszej grupy narodowej.

Czeskie formularze spisowe zostały przetłumaczone na dziesięć języków: angielski, arabski, chiński, francuski, niemiecki, **polski**, romski, rosyjski, ukraiński, wietnamski.

Mamy prawo żądać, by komisarz spisowy dał nam arkusze spisowe w języku polskim.

Arkusz do spisu osób zawiera 25 pytań. Obowiązkiem osoby spisywanej jest podanie prawdziwych danych, na dwa pytania deklaratywne (narodowość oraz religia, wyznanie) udziela się odpowiedzi zgodnie z własnym sumieniem.

Jednym z pytań jest pytanie o NARODOWOŚĆ: *Podaj narodowość, do której się przyznajesz.* I tu każdy z nas powinien napisać słowo POLSKA. Nawet jeśli czujemy się Ślązakami. Przez wpisanie narodowości śląskiej przyczynimy się do wzrostu statystycznej liczby Czechów, gdyż narodowość śląska będzie automatycznie liczona jako czeska.

Do pytania o narodowość nawiązuje następne – o JĘZYK OJCZYSTY: *Podaj język, którym w dzieciństwie rozmawiała z Tobą matka lub osoby, które Cię wychowywały.* Mamy do wyboru język czeski, romski, niemiecki, słowacki, POLSKI lub inny (trzeba podać, jaki). Tu także nie trzeba zastanawiać się, co wpisać, jeśli mówimy „po naszymu". Piękna jest nasza gwara, ale źródeł jej trzeba szukać w polszczyźnie, nie w języku czeskim. NASZYM JĘZYKIEM OJCZYSTYM JEST JĘZYK POLSKI.

PRAWO DO POLSKOŚCI

Dlaczego tak ważne jest, byśmy przy wypełnianiu arkuszy wpisowych czuli się Polakami? Tyle będziemy mieli praw, ile sobie wywalczymy. A w jaki sposób walczyć będziemy o prawa polskiej mniejszości, jeśli tej mniejszości nie będzie? Jeśli w spisie ludności nie

zadeklarujemy, że jesteśmy Polakami, sami wykopiemy grób naszej polskości. Nie potrzeba będzie żadnej czechizacji, żadnej asymilacji, Zaolzie pozostanie faktem historycznym, ale nie naszą teraźniejszością i przyszłością. Jeśli pozostanie nas garstka, nikt nie będzie brał nas pod uwagę, nie będzie liczył się z naszą opinią, nie da nam szczególnych, przysługujących mniejszości narodowej, praw. Nie będzie wyjątków dla polskich szkół, nie będzie dotacji na polską kulturę, polską prasę... Toteż chociaż czujemy się Ślązakami z Zaolzia, wpiszmy w rubryce narodowość: polska, zaś w rubryce język ojczysty postawmy krzyżyk w kwadraciku przy wyrazie polski.

POLACY NA ZAOLZIU W SPISACH LUDNOŚCI

Dane statystyczne uzyskane w wyniku spisu ludności mówią same za siebie. Jak kształtowała się liczba ludności narodowości polskiej na naszym terenie według oficjalnych spisów z lat poprzednich?

W roku 1880 na terenie dzisiejszego Zaolzia 76 procent obywateli Austro-Węgier zadeklarowało narodowość polską, 17 proc. czeską, 7 proc. niemiecką. W 70 z 85 gmin polska ludność stanowiła większość. W roku 1890 aż 81 proc. obywateli czuło się Polakami i stanowiło większość w 72 gminach. Tak samo wypadł spis ludności w roku 1900. Dziesięć lat później liczba ludności polskiej nieco zmalała – do 69 proc., Czechów było 18 proc., Niemców 12 proc. Pierwszy spis w Republice Czechosłowackiej w roku 1921 wykazał spadek liczby Polaków do 38 proc. i wzrost liczby Czechów do 50 proc, Niemców pozostało 10 proc., Polacy zachowali większość w 43 gminach, Czesi w 38, Niemcy w 3. W roku 1930 Polacy stanowili 35 proc. ogółu mieszkańców. Po drugiej wojnie światowej Polacy byli większością już tylko w 12 gminach, pozostało ich 27 proc., natomiast liczba ludności czeskiej wzrosła do 71 proc, pojawiło się 2 proc. Słowaków. Spis z roku 1961 wykazał spadek ludności polskiej do 21 proc. (58 876 osób), większością była jeszcze w 6 gminach. Spis z roku 1970 potwierdził kolejny wzrost ogólnej liczby ludności, spadek liczby Polaków (56 075). W roku 1980 mieszkało na Zaolziu 51 586 Polaków. W ostatnim spisie w roku 1991 wprowadzono narodowość śląską i morawską, narodowość polską zadeklarowało 43 479 osób, tj. 11,8 proc. ogółu ludności zamieszkującej teren Zaolzia.

CZESŁAWA RUDNIK

Przy opracowywaniu tematu korzystano z materiałów internetowych na temat spisu ludności oraz z publikacji Stanisława Zahradnika „Spisy ludności 1880–1991" i „Leksykonu PZKO".

Fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



ROLA TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI POLSKICH W DZIAŁALNOŚCI SZKÓŁ NA TERENIE ZAOLZIA

Towarzystwo Nauczycieli Polskich w Czechosłowacji to organizacja, która aktywnie udzielała się w organizowaniu szkolnictwa polskiej mniejszości narodowej już od jego początków. Po podziale Śląska Cieszyńskiego w roku 1920 polskie szkolnictwo pozostało bez jakiejkolwiek ochrony prawnej. Wielu nauczycieli polskich zostało zwolnionych. Inspektorem dla szkół polskich w latach 20. został niejaki Błażej o orientacji niemieckiej, a po jego śmierci funkcję tę objął Glajcar - Ślązakowiec. Ślązakowców obsadzano na kierowniczych stanowiskach w szkołach polskich w Nawsiu, Bystrzycy, Wędryni, Łyżbicach, Trzyńcu, Końskiej, Błędowicach i Szumbarku. Doszło do mobilizacji sił nauczycieli polskich. Przygotowano statut nowej organizacji, wzorujący się na konstytucji Towarzystwa Pedagogicznego, działającego w okresie przed I wojną światową w Ustroniu.

W dniu 23 kwietnia 1921 roku odbyło się pierwsze Walne Zebranie. Członkami organizacji stali się wszyscy polscy nauczyciele, liczba członków wynosiła 250 osób. W skład pierwszego Zarządu Głównego weszli: Jan Chromik - prezes, Piotr Feliks - wiceprezes, Jerzy Walek - sekretarz, Rudolf Budnik - zastępca sekretarza, Teofil Wojtyła - skarbnik, Karol Biel - redaktor, Jan Rymorz - administrator, Jan Kisza - chórmistrz, Jan Ofiok - bibliotekarz. Pierwszym postulatem TNP w Czechosłowacji było domaganie się sprawiedliwych i godnych warunków pracy dla polskich nauczycieli. W wielu wypadkach konieczna była interwencja władz Ministerstwa Szkolnictwa w Czechosłowacji.

Wielkim sukcesem organizacji było otwarcie polskich paralelek przy czeskim Seminarium Nauczycielskim w Śląskiej Ostrawie, gdzie mogli się kształcić nauczyciele polscy z terenu Zaolzia. TNP ściśle współpracowało z Macierzą Szkolną w Czechosłowacji. Ich współpraca wynikała z tego samego pola działania. TNP organizowało kursy dla nauczycieli polskich, dając im możliwość podnoszenia własnych kwalifikacji. Działalność prowadzona była w pięciu kółkach: błędowickim, bogumińsko-ostrawskim, czeskocieszyńskim, frysztackim i jabłonkowskim. Każde z tych kółek posiadało własny Zarząd. Organizowano odczyty, kursy, konferencje, lekcje pokazowe, wycieczki naukowe. Podsumowania działalności dokonywano na corocznych Walnych Zgromadzeniach poszczególnych kół, a sprawozdania wysyłano do Zarządu Głównego TNP. Corocznie odbywało się Walne Zgromadzenie w Czeskim Cieszynie, na którym spotykali się wszyscy człon-

kowie oraz zaproszeni goście. Walne Zgromadzenie analizowało działalność poszczególnych sekcji Zarządu Głównego TNP. Były to: Komisja Czytankowa, Chór TNP, Sekcja Rysunkowa, Sekcja Prawna.

Niemniej ważnym aspektem pracy TNP było podporządkowanie swojej działalności potrzebom społeczeństwa. Nauczyciele pełnili ważne funkcje w organizacjach gminnych. Często byli prezesami, skarbnikami, sekretarzami, bibliotekarzami czy wręcz założycielami i organizatorami tych społeczności.

W roku 1922 TNP zaczęło wydawać czasopismo dziecięce Jutrzenka, które połączono z czasopismem wydawanym przez Związek Nauczycieli Śląska Wschodniego Nasza Młodzież i powstało jedno pismo dla dzieci pod nazwą Nasze pisemko. Redaktorem był Rudolf Siwek, a ilustratorem Gustaw Fierla, Zabystrzan, Maryniok, Molenda, Karol Piegza oraz J. Rzyman. Autorami artykułów i wierszy byli Adolf Fierla, Karol Berger, J. Rzyman i Karol Siwek. Artykuły przysyłali również uczniowie. W pracy organizacyjno-zawodowej pomagał Miesięcznik Pedagogiczny.

W latach 30. doszło do zmiany planów nauczania w szkołach ludowych w Czechosłowacji. ZG TNP utworzył komisję, która zajęła się opracowaniem planów dla szkolnictwa polskiego. Opracowano również katalog środków naukowych dla szkół polskich, utworzono nowy regulamin szkolny. Postarano się, by propozycje te zostały zatwierdzone przez Ministerstwo Szkolnictwa. Ogromnym sukcesem funkcjonowania TNP było mianowanie dwu polskich inspektorów powiatowych dla polskich szkół Pawła Rakusa oraz Władysława Wójcika.

W tym czasie (od roku 1912) działała też inna organizacja nauczycieli polskich - Towarzystwo Nauczycieli Polskich Uzupełniających Szkół Przemysłowych w Orłowej. Organizacja ta miała dbać o kształcenie młodzieży w szkołach zawodowych i uzupełniających. Ponieważ w grupie polskiej mniejszości narodowej większość populacji stanowiła młodzież robotniczo-chłopska, toteż organizacja ta miała ogromne znaczenie dla kształcenia środowiska polskiego. Zabiegała o kształcenie nauczycieli w zakresie zajęć praktycznych, zabezpieczała pomoce naukowe, organizowała kursy fachowe dla nauczycieli, majstrów i czeladników. W 1938 roku istniało 8 szkół przemysłowych oraz zorganizowano 3 kursy kroju i szycia, z których łącznie skorzystało 363 uczniów. Organizacja posiadała własny magazyn przyborów szkolnych i środków naukowych dla uzupełniających szkół przemysłowych. Wydatki na dojazdy i płace nauczycieli oraz środki nauczania i przybory naukowe dla uczniów pokrywała Macierz Szkolna. W szkołach uzupełniających przemysłowych uczono rachunków, buchalterii, fizyki, geometrii wykreślnej oraz rysunków zawodowych, w szkołach handlowych stenografii, pisania na maszynie oraz buchalterii, w szkołach rolniczych uprawy roślin, hodowli zwierząt oraz prac domowych.

TNP po drugiej wojnie światowej podzieliło los innych polskich organizacji, władze państwowe nie pozwoliły na kontynuowanie ich działalności.

W roku 1947 powstała nowa polska organizacja - PZKO, która przejęła funkcję innych zakazanych. Do reaktywowania Towarzystwa Nauczycieli Polskich w Czechosłowacji mogło dojść dopiero po roku 1989. I Zjazd odbył się 10 marca 1990 roku w Czeskim Cieszynie w Klubie PZKO przy ulicy J. Bożka. Wzięło w nim udział 153 przedstawicieli wszystkich szczebli nauczania. Organizację zarejestrowano w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych 24 maja 1990 roku. W skład Zarządu TNPC weszli Jan Szarowski - prezes, Małgorzata Rakowska - zastępca prezesa, Halina Siedlaczek - sekretarz, Jan Musioł - gospodarz, Eugenia Kania - komisja prawno-socjalna, Jadwiga Palowska - komisja dydaktyczno-wychowawcza, Maria Podzemna - komisja pedagogiczno-kulturalno-oświatowa, Tadeusz Kędziera - d/s kontaktów pozazwiązkowych oraz Bogusław Czernek - komisja gospodarczo-finansowa. W skład komisji kontrolnej weszli: Alojzy Kufa, Zbigniew Zuczek i Halina Branna. Siedziba Zarządu jest w Czeskim Cieszynie.

TNPC (od r. 1993 TNP) rozwija działalność zmierzającą do podniesienia rangi społecznej nauczyciela, jako rzecznik broni jego praw i interesów. Jest partnerem dla wszystkich organów i organizacji zajmujących się szkolnictwem, dąży do uwzględnienia specyfiki narodowościowej w kierowaniu tym szkolnictwem. Czyni starania w celu aktywnego współuczestnictwa przy opracowaniu planów pracy, programów nauczania oraz podręczników dla placówek szkolnych z polskim językiem nauczania, współpracuje z pismami młodzieżowymi. Prowadzi działalność społeczno-oświatową i popularnonaukową, umacnia wśród młodzieży poczucie odpowiedzialności, upowszechnia ideę patriotyzmu i kształtuje postawę aktywnego działania. Pomaga w organizowaniu fachowego kształcenia dla swych członków.

Kolejnym celem Towarzystwa jest zabezpieczenie działalności szkolnictwa polskiej mniejszości narodowej od strony prawnej i organizacyjnej. TNPC od początku czyniło starania, żeby stworzyć organizację, która będzie posiadała kompetencje równe Powiatowym Urzędom Szkolnym i będzie podlegała bezpośrednio Ministerstwu Szkolnictwa. Po wielu interwencjach doprowadzono do powstania, 2 stycznia 1992 roku, Filii Urzędu Szkolnego w Karwinie do spraw szkolnictwa narodowościowego z siedzibą w Czeskim Cieszynie (do r. 1994). Kierownikiem filii został Bogusław Kaleta.

Do najważniejszych zadań w tym okresie należało zabezpieczenie funkcjonowania szkolnictwa polskiego. Dlatego przedstawiciele Zarządu TNPC nawiązali kontakty z różnymi organizacjami społecznymi. Z Polski sprowadzono podręczniki, organizowano spotkania nauczycieli i zebrania dyrektorów. Z funduszy uzyskanych z Wojewódzkiego Kuratorium Oświaty udało się otworzyć klasę metodyczną do nauczania języka polskiego, która służy nauczycielom tego języka w obu powiatach. Pisano petycje i listy do władz czeskich, żeby uzyskać podręczniki w języku polskim i fundusze na specyficzne potrzeby szkolnictwa mniejszości narodowej.

27 października 1993 roku zorganizowano Forum Dyskusyjne, którego tematem był ogólny stan szkolnictwa polskiego na Zaolziu. Wzięli w nim udział

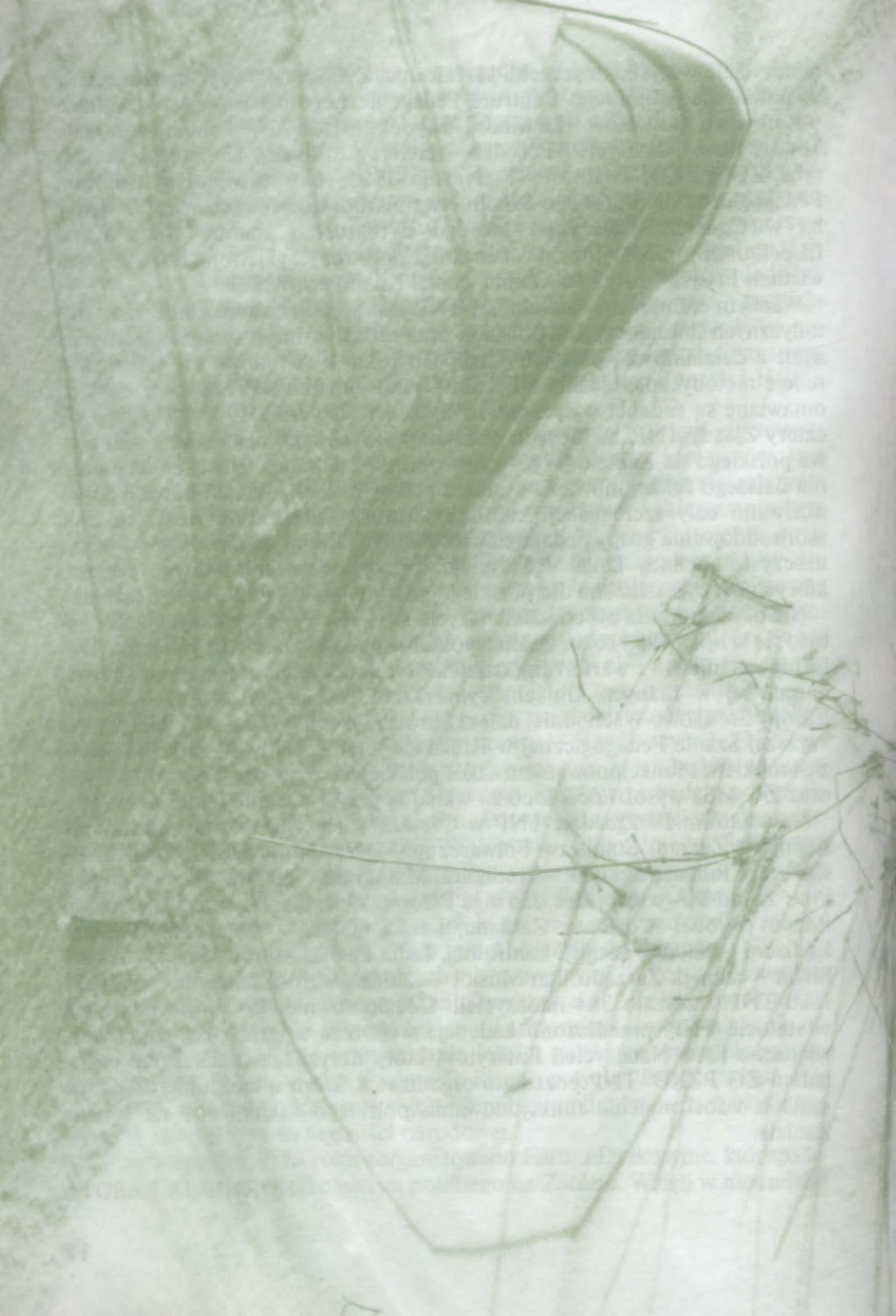
nauczyciele wszystkich szczebli kształcenia. Zwrócono uwagę na konieczność powstania jednolitego Centrum Pedagogicznego dla polskiego szkolnictwa obydwu powiatów Karwina i Frydek Mistek. W końcu, staraniem Towarzystwa Nauczycieli Polskich, Macierzy Szkolnej, Kongresu Polaków oraz ZG PZKO, udało się 1 stycznia 1995 roku zatwierdzić Centrum Pedagogiczne dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego w RC z siedzibą w Czeskim Cieszynie, którego dyrektorem została Irena Kufa. Inspektorem, między innymi dla szkół z polskim językiem nauczania w powiatach Frydek Mistek i Karwina, został Kazimierz Worek.

Ważnym elementem działalności TNP jest organizowanie konferencji metodycznych dla nauczycieli polskich oraz udział w imprezach ściśle związanych z działalnością polskich szkół. Do roku 1999 odbyły się trzy konferencje metodyczne, łącznie z Forum Dyskusyjnym TNP. Na konferencjach omawiane są zadania wytyczone na zjazdach. Do roku 1998/99 odbyły się cztery Zjazdy TNP, na których dokonano okresowych ocen stanu szkolnictwa polskiego na Zaolziu. Wyciągano wnioski i układano plany zabezpieczenia dalszego funkcjonowania systemu polskich szkół. W tym okresie zorganizowano cały szereg akcji kulturalno-towarzyskich, które miały na celu skonsolidowanie grupy pedagogów na Zaolziu. Takim celom służą coroczne uroczyste obchody Dnia Nauczyciela, z programem kulturalnym, podczas których osoby zasłużone dla polskiego szkolnictwa otrzymują odznaczenia.

Nie bez znaczenia był udział nauczycieli w Lecie Pedagogicznym, które odbyło się w lipcu 1994 roku. Celem spotkania pedagogów z różnych krajów było zapoznanie się z warunkami działalności nauczycieli polskiej mniejszości narodowej w różnych krajach. Tym razem pedagodzy z innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej dzięki Stowarzyszeniu Wspólnota Polska oraz Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie mieli możliwość zapoznania się z dorobkiem i funkcjonowaniem szkół polskich na Zaolziu. TNP, ZG PZKO oraz ZG MSz wysoko oceniono za wkład w przygotowanie tej imprezy.

Na ostatnim IV Zjeździe TNP w Czeskim Cieszynie został wybrany następujący Zarząd: Stanisław Folwarczny - przewodniczący, Irena Kufa - skarbnik, Tadeusz Szkucik - kronikarz, Małgorzata Rakowska - wiceprezes, Piotr Żabiński - wiceprezes, Jadwiga Palowska - członek komisji kontrolnej, Roman Wróbel - członek Zarządu, Lenka Gajger - metrykarz, Tadeusz Kędziera - członek komisji kontrolnej, Lidia Pawlas - protokolant, Andrzej Bizoń - członek Zarządu, Jan Musioł - członek komisji kontrolnej. W 1997 roku TNP zrzeszało 364 nauczycieli. Doszło również do drobnych zmian w statucie TNP, przedłużono kadencję wyborczą z trzech na cztery lata, włączono Klub Nauczycieli Emerytów, który dotychczas działał pod patronatem ZG PZKO. TNP pozostało organizacją, która nieustannie czyni starania o udoskonalenie funkcjonowania polskiego szkolnictwa na terenie Zaolzia.

KORNELIA LASOTA



O POLSKO-CZECHOSŁOWACKICH STARCIACH Z LAT 1935, 1938 NA STYKU CIESZYŃSKIM (2)

W dniu 12 września na zjeździe swojej partii w Norymberdze Adolf Hitler zapowiedział zabór czechosłowackiego pogranicza. W dniu 15 września Artur Neville Chamberlain, premier Wielkiej Brytanii, przybył do siedziby wodza III Rzeszy i w rozmowie z nim przyjął jego warunki. Od 17 września uzgadniał je z Francją, a 21 września rzekomi sojusznicy Czechosłowacji zażądali od rządu w Pradze „ofiary na rzecz pokoju" - rezygnacji z niepodległości.

Ów dyktat spowodował ostry protest czeskiej opinii publicznej, szczególnie armii, stąd w dniu 23 października prezydent Edward Beneš zarządził powszechną mobilizację. Premier Chamberlain na postawę Czechów zareagował ponowną wizytą w Niemczech, tym razem w nadreńskim Godesbergu i przyjął dodatkowo zaostrzone żądania wodza III Rzeszy. Po konsultacji z Francuzami 28 października zakomunikowano rządowi czechosłowackiemu, iż o losach jego państwa zadecyduje konferencja czterech mocarstw w Monachium.

Od dnia 19 września południową Polskę objęła fala manifestacji antyczeskich, wojenną atmosferę wytwarzały też prasa i radio. W tym dniu prezes Związku Polaków w Czechosłowacji doktor Leon Wolf wydał odezwę zapowiadającą, w sposób zamaskowany, włączenie Zaolzia do Polski. Już 18 września dowództwo Organizacji Bojowej zarządziło pogotowie w drużynach na Zaolziu i w Podgrupie Cieszyn, a w dniu następnym zapadła decyzja o utworzeniu na pograniczu Zaolzia Grupy Operacyjnej Wojska Polskiego Śląsk. Komitet Walki o Prawa Polaków w Czechosłowacji przemianowano na Komitet Walki o Śląsk za Olzą, jego wiceprzewodniczącym został doktor Leon Wolf przebywający już w Polsce. Rozbudowywano jednostki Legionu Zaolzie, do nadgranicznych magazynów napływała broń i amunicja. Społeczność polskich powiatów przygranicznych jednoznacznie popierała staranie rządu o odzyskanie Zaolzia. Nie można tego faktu traktować jako przejawu antyczeskiego szowinizmu. Był to raczej przejaw więzi narodowej z oderwanymi od Polski i czechizowanymi rodakami.

◀ *Fot. FRANCISZEK BAŁON*

Mocarstwa zachodnie, zmuszając Czechosłowację do przyjęcia żądań Niemiec, pomijały roszczenia Polski wobec niej, a to dla Józefa Becka oznaczało negację mocarstwowej roli jego państwa. Wtedy postanowił on działać samodzielnie i 21 września, kiedy Anglia i Francja zmuszały Czechosłowację do podcięcia własnej niepodległości, poseł Rzeczypospolitej w Pradze złożył ministrowi spraw zagranicznych Kamilowi Krofcie notę żądającą przekazania Polsce powiatów czeskocieszyńskiego i frysztackiego oraz zarządzenia plebiscytu na terenach przyległych. Rząd czechosłowacki nie odrzucił tych żądań, ale grał na zwłokę do 28 września, kiedy został zdruzgotany zapowiedzią monachijskiego dyktatu.

Formalną podstawę do zbrojnego wystąpienia Polski przeciw Czechosłowacji mogły stworzyć manifestacje na Zaolziu przerastające stopniowo w powstanie zbrojne. Pewnie nieprzypadkowo w dniu 21 września, a więc w chwili złożenia polskiej noty w Pradze, odbyła się w Czeskim Cieszynie wielka manifestacja uliczna, której ostry, konfrontacyjny ton nadały patrole bojowe wsparte przez młodzieżowe zaplecze - Zrzeszenie Młodzieży Polskiej. Żandarmeria nie była zdolna do opanowania sytuacji, stąd zamknęła się w swoich koszarach, by uniknąć wydarzeń, które byłyby pożywką dla antyczeskiej propagandy. Bojowcy też byli na swój sposób umiarkowani, gdyż do ataków na siedziby żandarmerii używali wyłącznie kamieni.

Zadaniem bojowców było sianie niepokoju na zapleczu przeciwnika. Stąd w wypadku starć z siłami czeskimi winni oni byli przerwać walkę, rozproszyć się, tu i tam oddać strzał lub rzucić granat dla wywołania u władz czeskich poczucia zagrożenia. Po wyczerpaniu amunicji czy w sytuacji wymuszającej to wrócić do Polski. Mieli oni głęboko wnikać w obszar czeski. Wyznaczano im cele nawet na Frydeccyźnie czy w okolicach Ostrawy.

Warunkiem wybuchu na większą skalę było dostarczenie zaolziańskim bojowcom pistoletów, amunicji, granatów. Akcję przerzucania tego sprzętu przez granicę rozpoczęto w nocy z 22 na 23 września. Przenoszono broń z Istebnej pod Jabłonków, z Ustronia do Trzyńca, podtrzynieckich wiosek i Czeskiego Cieszyna. Do ostrych starć doszło na wysokości Kaczyc, gdzie poza półplutonem Podgrupy Cieszyn to zadanie wykonywali też bojowcy z zagłębia. Trzeba stwierdzić, że wtedy służby czeskie zadziałały bardzo skutecznie. Doszło do starć, jak mówi pewnie zbyt optymistyczny komunikat, za Olzę dotarło 60%

sprzętu, ale większość tej broni trzeba było ukryć przy granicy i do zagłębia dotarło jej niewiele.

W dniu 23 września granica państwowa przekształciła się w linię frontu obsadzonego przez silne oddziały czechosłowackiej armii. W tym samym dniu ogłoszono powszechną mobilizację i bojowcy zamiast do armii przedzierali się do Polski, znaleźli się w obozie Legionu Zaolzie w Hermanicach pod Ustroniem. Planowane powstanie było nieaktualne, nastała faza działań terrorystycznych i dywersyjnych.

W nocy z 23 na 24 września doszło do prób przebicia się przez Olzę półplutonu Podgrupy Cieszyn, a po niej drużyny bojowców z Żukowa. Od Ustronia w stronę Jabłonkowa przeniknął półpluton ustroński z Podgrupy Cieszyn i działał tam przez dwa dni. W nocy z 25 na 26 września grupa bojowców z Karwiny, wsparta przez ochotników z Ochab, przedarła się od Zebrzydowic pod Frysztat, powodując spore zamieszanie. Inna grupa bojowców z zagłębia podjęła równocześnie próbę przebicia się pod Bogumin, lecz wpadła pod ogień karabinów maszynowych i wycofała się. Tej samej nocy półpluton z Cieszyna podjął akcję skierowaną w stronę Jabłonkowa od Istebnej. Po przekroczeniu granicy oddział wpadł w pułapkę, zginął wtedy Witold Reger.

Najostrzejsze walki toczyły się w podtrzynieckich wioskach, niepokój siali bojowcy w Trzyńcu. Całokształtowi walk w tych okolicach, toczących się od 24 do 30 września, sprzyjał zalesiony teren przylegający do granicy Polski, stąd niezależnie od udziału w walkach bojowców z tych okolic w grę wchodziło znaczące wsparcie walczących przez ludzi i broń z Polski. Ostatnią większą akcję podjęto w rejon gór oraz Mostów koło Jabłonkowa. W dniu 30 września dokonano zamachu bombowego na baraki koszarowe w Czeskim Cieszynie nad Olzą. Dowództwo Organizacji Bojowej planowało spalenie tych koszar, jednak uniemożliwiły to bardzo liczne straże czeskie.

W dniu 30 września dotarła do bojowców wieść o decyzjach monachijskich oraz o polskim ultimatum przedłożonym w Pradze, a w dniu następnym po godzinie trzynastej przyszła wiadomość o przyjęciu przez rząd czechosłowacki polskiego ultimatum, co oznaczało zakończenie działań bojowych i wstrzymanie przygotowań do akcji wojskowej.

IV

Pewien wgląd w społeczność członków polskich drużyn bojowych z lat 1935 i 1938 dają nam „Noty biograficzne" zamieszczone w książ-

ce Edwarda Długajczyka. Nie jest to wykaz kompletny, gdyż ujmuje tylko osoby, którym przyznano odznaczenia państwowe. Z wymienionych 259 osób 187 to Zaolziacy. Jeśli dodać do tej liczby 21 łączniczek, ujętych w odrębnym spisie i 15 imigrantów do Polski z Czechosłowacji, to liczba zaolziańskich ochotników interesujących nas wydarzeń wzrośnie do 223 osób.

W oficjalnym sprawozdaniu mowa jest o jednym poległym w boju, był nim Witold Reger, działacz harcerski znany również wśród harcerzy polskich w Czechosłowacji. Od odniesionych ran zmarł w cieszyńskim szpitalu Karol Śniegoń z Oldrzychowic, podobny los spotkał nieznanego nam z nazwiska Górnoślązaka, który został śmiertelnie ranny w Piotrowicach pod Frysztatem. Rany odniosło 11, ujętych przez władze czechosłowackie zostało 31 bojowców.

Wśród udekorowanych Medalem Niepodległości spotykamy trójkę bojowców z 1935 roku. Są to Jan Bocek z Żukowa Górnego i Wilhelm Latocha z Piotrowic, obaj byli przez wiele miesięcy więzieni. Trzecim był Hubert Kotrubczyk ze Stonawy, portier hotelu Polonia w Czeskim Cieszynie. Aktywny w 1935 roku, uniknął aresztowania dzięki przejściu do Polski, przebywał w podcieszyńskich Marklowicach. Jak twierdzi jego żona, zginął z rąk służb czechosłowackich. Pośmiertne przyznanie mu Medalu Niepodległości potwierdza polityczną przyczynę dokonanej na nim zbrodni. Pogrzebany został w Stonawie. (Szerzej o tej postaci w arytkule obok.)

Główną przyczyną nielojalnego zachowania się Polaków wobec państwa, którego najczęściej byli obywatelami, był twardy nacisk czechizacyjny przejawiający się między innymi w polityce szkolnej, wykorzystywaniu bezrobocia i środków administracyjnych do łamania opornych, wreszcie brak szans na uzyskanie przez młodych Polaków satysfakcjonującej ich pracy. Momentem przesądzającym o rozpoczęciu działań dywersyjnych był brak dobrych stosunków między Warszawą i Pragą, a od roku 1934 polityczny kurs ministra Becka na rozbicie Czechosłowacji.

Spróbujmy ocenić postawę bojowców z lat 1935, 1938. Byli najczęściej obywatelami czechosłowackimi, stąd ich działania z punktu widzenia prawa czechosłowackiego były określane jako zdrada, a jeśli tego obywatelstwa nie posiadali, byli obcymi agresorami. To jednak tylko jedna strona tego medalu. Uczestnicy tych wydarzeń byli mocno związani z narodem polskim, wychowani w polskiej, romantycznej,

powstańczej tradycji, jak i świadomości uczestnictwa ich zbiorowości w walce o przynależność do Polski. Tej sprawie służyli Ślązacy w szeregach Legionów w latach 1914-1917, to oni zadecydowali w 1918 roku o przyłączeniu się do Polski, a potem w latach 1919-1920 walczyli z czeskim naporem. Włączeni do Czechosłowacji, miażdżeni przez politykę czechizacyjną, stale swoją ojczyznę widzieli w Polsce, a nie wrogiej wobec nich Czechosłowacji. Stąd na wezwania Polski z lat 1935, 1938 zgłaszali się do żołnierskiej służby, złożyli przysięgę i byli jej wierni.

Trudno pozytywnie ocenić postawę kierujących polityką obu państw, gdyż nie potrafili oni połączyć potencjału swoich narodów do przeciwstawienia się groźnemu niebezpieczeństwu niemieckiemu i nie winą bojowców z Zaolzia jest, że wraz z narodami obu państw zostali wprowadzeni na bezdroża, a w konsekwencji znaleźli się pod jarzmem niemieckim.

Oceniani ze strony czechosłowackiej jako zdrajcy, a przez władze polskie przed wojną odznaczani medalami uczestnicy zdarzeń z lat 1935, 1938 stale pozostali wierni sobie. Nie tylko zresztą oni, ale i cała prawie społeczność polska Zaolzia zachowała swoje narodowe oblicze, składając w latach 1939-1945 wielką daninę krwi. Uczestniczyli w tej ofierze bojowcy z lat 1935, 1938. 35 spośród nich zginęło z rąk niemieckiego okupanta, trójka poległa w alianckich wojskach na Zachodzie, a na Wschodzie padły kolejne cztery ofiary.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej ich czyny nie doczekały się uznania. Prawda, że mimo prób nie byli karani przez czechosłowackie sądy, ale najczęściej określano ich dyskwalifikującymi w opinii ówczesnych Czechów epitetami „beckowców" czy „faszystów polskich". W Polsce ścigani nie byli, najczęściej spotykali się tylko z ironicznymi uwagami na temat ich służby dla swojej ojczyzny. Zarzutów współpracy z okupantem w Polsce im nie stawiano, bo nie było do tego podstaw, a w Czechosłowacji, gdyby były, to by ich nie przemilczano.

W latach siedemdziesiątych autor tych słów rozmawiał z bliskim mu karwiniakiem uczestniczącym w dniu 26 września 1938 w akcji z Zebrzydowic na Frysztat. Na pytanie o ocenę tego czynu odpowiedział krótko: Zrobiliśmy to dla Polski!

EDWARD BUŁAWA

Referat wygłaszany podczas Konferencji „Polacy na Zaolziu 1920-2000" w Czeskim Cieszynie (13-14 X 2000)

JEDEN Z NICH

W tym roku upływa 65 lat od tragicznej śmierci jednego z tych, których Edward Długajczyk w swej książce „Tajny front" nazwał dywersantami. Chodzi o Huberta Kotrubczyka, który był członkiem dywersyjnej grupy SC 2 i brał udział w niektórych akcjach, między innymi w akcji w Czeskim Cieszynie 28.10.1935.

Hubert Kotrubczyk urodził się 21.8.1909 w Stonawie. Ojciec Augustyn był kancelistą w powiatowym sądzie we Frysztacie, matka Elżbieta pochodziła z rodu Guziurów. Ojciec zmarł kilka miesięcy po ślubie. Hubert urodził się po śmierci ojca. Matka wyszła potem ponownie za mąż.

Hubert uczęszczał do szkoły ludowej w Stonawie, a następnie do polskiej szkoły wydziałowej we Frysztacie. Wyuczył się rzemiosła ślusarz-tokarz, lecz pracy w swoim zawodzie nie znalazł. Był na utrzymaniu ojczyma, który miał jeszcze dwóch synów.

Hubert był mi bardzo bliski, był moim kuzynem, mieszkał w sąsiedztwie. Często bywał u nas, zwłaszcza w okresie bezrobocia, kiedy to otrzymywał od mojej matki często jakieś wsparcie. W końcu udało mu się uzyskać posadę kierowcy u p. Ofioka, dyrektora Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek we Frysztacie. Następnie został portierem w hotelu Polonia w Cz. Cieszynie. Po kilkuletniej znajomości ze Stefanią Bonczek z Suchej Górnej wstąpił w związek małżeński, lecz małżeństwo to trwało zaledwie 18 miesięcy.

Dnia 24.1.1936 żandarmeria czeska otoczyła hotel Polonia i zaczęła przeczesywać wszystkie jego lokale. Doszło do licznych aresztowań wśród pracowników hotelu. Hubertowi udało się w ostatniej chwili wymknąć. Od opuszczającego właśnie hotel gościa wziął walizkę i płaszcz, a żandarmowi przy drzwiach oznajmił, że odprowadza gościa do pociągu, sam zaś zaraz wraca. Na dworcu wsiadł do pociągu w kierunku Bogumina i pojechał do Piotrowic. Tam jego towarzysz walki Wilhelm Latocha przeprowadził go przez zieloną granicę do Polski. Wilhelm Latocha odwiedził potem kilkakrotnie żonę Huberta i zabierał dla niego najpotrzebniejsze rzeczy (bieliznę, ubrania itp.).

Rozpoczęły się wizyty żandarmerii w mieszkaniu żony Huberta i jego matki. Dom mieszkalny był strzeżony dzień i noc. Odpowiedź była stale taka sama, że nie znają miejsca pobytu Huberta.

Żona Huberta odwiedzała kilka razy męża w Polsce. Z początku przez Olzę, gdyż nie mogła otrzymywać przepustki. Później władze czeskie wydały jej przepustkę. To umożliwiło żandarmerii wyśledzić miejsce pobytu Huberta.

W czasie ostatniej wizyty żandarmerii żona Huberta usłyszała z ust żandarma taki to wyrok: „My vám ho přivedeme, když ne živého, tak mrtvého". I sło-

wa dotrzymali. Kiedy po kolejnych odwiedzinach żony Hubert wracał na kwaterę w Marklowicach, został podstępnie ugodzony sztyletem w serce przez nieznanego sprawcę. Po kilkudniowym pobycie w cieszyńskim szpitalu zmarł dnia 22.6.1936. Zwłoki przewieziono do rodzinnej Stonawy i zostały pochowane na miejscowym cmentarzu. Pogrzeb odbył się w asyście policji. Spełnił się wyrok żandarma. Nie ulega też wątpliwości, kto był sprawcą morderstwa.

W roku 1939 władze Rzeczypospolitej Polskiej odznaczyły pośmiertnie Huberta Kotrubczyka Medalem Niepodległości.

Stefanię (dzisiaj Bielecką), 88-letnią wdowę po Hubercie Kotrubczyku, odwiedzam w Domu Emerytów w Karwinie Nowym Mieście. Od niej dowiedziałem się tych kilku szczegółów z życia jej męża.

BRONISŁAW BUŁAWA

POLACY POZA KRAJEM

DNI POLSKIE W SUCZAWIE

Przeciętny Polak nadal niewiele wie o rodakach żyjących w Rumunii, stąd nazwa Suczawa nie kojarzy się z czymś szczególnym. Są jednak ludzie, a ostatnio nawet całe środowiska, których nazwa ta od razu elektryzuje. Suczawa to stolica rumuńskiej Bukowiny, gdzie znajduje się największe skupisko rumuńskiej Polonii, z takimi wsiami (zob. Zwrot 4/2000) jak Pojana Mikuli, Plesza, Nowy Sołoniec, Kaczyka. W Suczawie też, w dniach 22-24 września 2000 r. odbyły się kolejne Dni Polskie, które stały się nową okazją do prezentacji i zaakcentowania kulturalnego dorobku rumuńskiej Polonii i bliższego zapoznania się Rumunów z kulturowym i naukowym dorobkiem Polski.

Otwarcie imprezy, która na stałe już weszła do kalendarza imprez polonijnych, nastąpiło w siedzibie Rady Wojewódzkiej Okręgu Suczawa, w obecności miejscowych władz rumuńskich, a także ambasadora RP Michała Klingera (był kiedyś attache kulturalnym w Pradze), konsula RP Kazimierza Jurczaka, polskiego posła do rumuńskiego parlamentu i prezesa Związku Polaków w Rumunii Jana Babiasza, przedstawicieli Stowarzyszenia Wspólnota Polska z Warszawy i Rzeszowa i innych zaproszonych gości.

Najważniejszym punktem programu tegorocznych Dni Polskich była konferencja popularnonaukowa pod nazwą Kontakty polsko-rumuńskie na przestrzeni wieków, która zgromadziła historyków z Polski, Rumunii, Ukrainy i Mołdowy, a także etnografów, polskich rumunistów i rumuńskich polonistów, obradujących w dwóch sekcjach: historycznej i etnograficzno-filologicznej. Wygłoszone na konferencji referaty historyczne zapoznawały z dziejami szerszych stosunków polsko-mołdawsko-ukraińsko-rumuńskich od średniowiecza do okresu drugiej wojny światowej (V. Ciobanu, G. Sobieski-Camarzan, K. Dach, W. Rojek. M. Oanea), dziejami samej Bukowiny (K. Nowak, W. Strutyński, M. Lesiecka), a także ze stanem badań nad tymi stosunkami (F. Hau, I. Bondariuc). Filolodzy i etnografowie skupili się wokół polsko-rumuńskich kontaktów literackich (S. Velea, I. Petrica, A. Kaźmierczak. M. Mitu, C. Geambasu, C. Antonesei), stereotypów językowych (J. Porawska), dziejów polskiego duchowieństwa na Bukowinie (ks. T. Rostworowski, J. Bujak), prezentacji dorobku festiwalu Bukowińskie Spotkania w Jastrowiu k/Piły (Z. Kowalski) i działań Wspólnoty Bukowińskiej w Polsce (W. Skibiński) oraz na stosunkach językowych (M. Ostrowska) i stereotypach etnicznych (G. Kłosek) w polskich wsiach rumuńskiej Bukowiny. Podsumowaniem konferencji był polsko-rumuński „okrągły stół", prowadzony przez konsula K. Jurczaka.

Mocnym akcentem suczawskich Dni Polskich był pokaz filmu „Ogniem i mieczem". Ten ryzykowny, zdawałoby się, pomysł organizatorów okazał się być jednym wielkim sukcesem, dzięki ciężkiej pracy tłumaczy i lektorów w wypełnionym po brzegi kinie Modern Polacy i Rumuni wspólnie przeżywali wzloty i upadki dawnej Rzeczypospolitej oraz perypetie jej sienkiewiczowskich bohaterów.

Artystyczną część programu wypełniły wystawy współczesnego malarstwa rumuńskiego oraz rzeźb Bolka Majerika z Pleszy, jak również występy zespołów folklorystycznych z Suczawy, Czerniowiec (Echo Prutu), Pojany Mikuli (Mała Pojana) i grup dziecięcych (Jaskółki, Krokus) z Domu Polskiego w mołdawskich Bielcach. Te dwie ostatnie grupy stanowiły część delegacji Polaków z Mołdowy, która wraz z ambasadorem RP w Kiszyniowie Piotrem Marciniakiem i konsulem Jackiem Doliwą była również gośćmi na Dniach Polskich, co dla organizatorów stało się okazją do nawiązania ściślejszych związków z rodakami z dawnej Besarabii, a dla gości z Polski okazją do pierwszego kontaktu z prawie zupełnie nieznaną Polonią, pochodzącą z egzotycznego, niestety, dla wielu z nas kraju, jakim jest niepodległa od niedawna Mołdowa.

Tegoroczne Dni Polskie w Suczawie ponownie zorganizował Związek Polaków w Rumunii Dom Polski wraz z Ambasadą RP w Bukareszcie przy

współudziale rumuńskiego Departamentu dla Ochrony Mniejszości Narodowych, Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Warszawie, Rady Wojewódzkiej Okręgu Suczawa i Muzeum Narodowego Bukowiny, dzięki pomocy sponsorów.

Przebieg Dni Polskich w Suczawie wyraźnie wskazuje na konieczność dalszego pielęgnowania i pogłębiania kulturalnego i politycznego zbliżenia polsko-rumuńskiego oraz likwidowania barier na tej drodze, tym bardziej, iż przy wymianie poglądów na sprawy stosunków polsko-rumuńskich wyraźnie wyczuwało się z jednej strony chęć do podjęcia takich kroków, z drugiej jednak także niewiedzę o współczesnych problemach obu krajów czy nawet pewne, wciąż żywe, negatywne stereotypy we wzajemnym postrzeganiu. W zbliżeniu tym coraz bardziej aktywizująca się rumuńska, a zwłaszcza bukowińska Polonia, silnie zakorzeniona w polskości, ale i w rumuńskiej współczesności może i powinna odegrać rolę pomostu łączącego oba kraje i narody, tym bardziej, że w przypadku stosunków polsko-rumuńskich nie dają znać o sobie komplikujące często dialog na dawnych kresach trudne zaszłości historyczne. Z naszego punktu widzenia ważny jest przy tym dostrzegalny fakt, że Rumuni po prostu lubią Polaków.

KRZYSZTOF NOWAK



Zespół Echo Prutu z Czerniowiec. Fot. Krzysztof Nowak

BIBLIOTEKA W SŁUŻBIE EMIGRACJI

Przemiany polityczne w Polsce wpłynęły na ożywienie kontaktów z Polonią i Polakami za granicą. Do kraju zaczęły też napływać pamiątki z życia polskiej emigracji rozproszonej po całym świecie. Jednym z miejsc ich gromadzenia stała się Biblioteka Towarzystwa Chrystusowego w Poznaniu. Nie stało się tak bez przyczyny, chrystusowcy bowiem zgodnie z wolą założyciela zakonu ks. kardynała Augusta Hlonda od lat niosą polskim emigrantom Chrystusa i Polskę.

Chlubą Biblioteki w Poznaniu jest Archiwum Jana Kowalika. Jest to bezcenny zbiór emigracyjnych czasopism ofiarowany przez Jana Kowalika z Kalifornii, autora pięciotomowego dzieła „Bibliografia czasopism polskich wydanych poza granicami kraju od września 1939 r." Unikalną kolekcję ponad 300 tytułów czasopism stanowi zbiór periodyków, gazet i biuletynów wydawanych przez organizacje i stowarzyszenia, parafie i wspólnoty polskich emigrantów z całego świata. Księgozbiór polonijny stanowi jedyną w swoim rodzaju kolekcję 12 tysięcy wydawnictw emigracyjnych i krajowych, dotyczących dziejów i współczesności polskiego wychodźstwa, a także migracji mniejszości narodowych. Biblioteka dysponuje także liczącym kilkanaście tysięcy woluminów księgozbiorem emigracyjnym, na który składają się pozycje książkowe wydane poza granicami Polski. W bibliotece znajdują również swoje miejsce archiwalia: dokumenty i rękopisy, korespondencje i pamiątki przekazywane przez polskich emigrantów.

Celem biblioteki, wpisanym w charyzmat Towarzystwa Chrystusowego, jest gromadzenie, archiwizacja i opracowywanie szeroko pojętego dorobku polskiego wychodźstwa. Zbiory służą klerykom przygotowującym się do pracy duszpasterskiej wśród Polonii oraz pracownikom naukowym i studentom zainteresowanym dziejami emigracji polskiej.

Biblioteka Towarzystwa Chrystusowego w Poznaniu, jak napisał w biuletynie jej poświęconym ks. Jarosław Staszewski, dyrektor biblioteki, *jest dziełem wielu ludzi dobrej woli, których serca biją w rytm narodowych pieśni, choć oni sami nie zawsze już mówią po polsku.*

Książki i czasopisma, które już nikomu nie służą, znajdują godne miejsce w Bibliotece w Poznaniu. Spełniły już swoją dziejową misję podtrzymywania i pielęgnowania najszczytniejszych, narodowych tradycji, a teraz w wolnej Rzeczpospolitej dalej służą sprawie polskiej.

E.S.

Rys. MONIKA MILERSKA ▶



KAZIMIERZ JAWORSKI

CZYTAJĄC KAMIEŃSKĄ

Niedziela 14 sierpnia 1988

Powrót do dzieciństwa jest swego rodzaju nawróceniem.

Dręczę się, gdy nie pracuję. Ale praca jest także nałogiem, swoistą narkomanią, którą trzeba zwalczać. Może teraz czas jest dany po to, aby przestać pisać i gadać, a zacząć słuchać.

Tyle Anna Kamieńska w swym wspaniałym „Notatniku 1973-79". Jej mądre, pisane nie tylko rozumem, ale i wiarą zdania, spostrzeżenia i przemyślenia są balsamem intelektualnym dla mej duszy. Jej świat bogatszy, pełniejszy i piękniejszy jest cząstką moich wspomnień, przeżyć i marzeń. Szkoda, że wcześniej nie poznałem tej poetki i pisarki poprzez jej książki.

I jeszcze Anna Kamieńska: *Pewna cisza letniego popołudnia na zawsze zakrzepła w raj dzieciństwa, który jest miarą przyszłej nadziei, absurdalnej nadziei powrotu. Już nigdy światło, barwy, dźwięki nie będą tak intensywne jak wtedy.*

Chwila powraca do raju.

Chęć powrotu w tamte lata beztroski i bezpieczeństwa (nie miałem wprawdzie ojca, ale dziadek mi go zastępował, a babka była tak trochę także moją matką) jest po prostu próbą poszukiwania harmonijnego i pełnego życia. Tej pełności zawsze mi brakowało. Wówczas żyło się chwilą bieżącą, dziś bardziej żyję wspomnieniami z przeszłości i obawami przed przyszłością - to codzienne dzisiaj życie, to praca, nie zawsze satysfakcjonująca, to wegetacja tylko. Do takiej roli zepchnął nas praktyczny socjalizm.

To naturalne, że fascynuję się miejscem i czasem swej młodości. Ale czyżby fakt, iż w podobny sposób zachwycam się miejscami i latami dzieciństwa Pauli, był przejawem autentycznej do niej miłości?

Nigdy przecież nie uda mi się wczuć w jej wspomnienia z tamtych lat tak jak w swoje własne, a jednak, kiedy przed laty byliśmy z Paulą i jej ojcem w jej rodzinnej wsi Divoky, byłem wzruszony wszystkim, co niegdyś otaczało tamto dziecko, dziś moją żonę.

Nie powinniśmy się wstydzić miłości i głębszych uczuć, unikając jednak sentymentalizmu.

Niedziela 21 sierpnia 1988

Anna Kamieńska: *Także filozofowanie nigdy nie jest procesem skończonym i nie służy do tworzenia systemu, bowiem myślenie ma wartość samo w sobie. Systemy są to już drogi myśli widziane ex post.*

Dlatego to marksiści (pseudonaukowcy) zamknęli marksizm w systemie już martwym. W niepłodnym dogmacie zabili proces filozoficznego myślenia i rozwoju myśli.

Niedziela 28 sierpnia 1988

Źródłem choroby psychicznej jest egocentryzm, postawa do-siebie, przekonanie, że należy nam się od losu szczęście, dobrobyt, sława. Psychoanaliza umacnia to zatrzymanie się na sobie zamiast wyjścia ku światu, ku ludziom, ku Bogu wreszcie.

I jeszcze Anna Kamieńska:

Wybiera się to, co nie budzi sprzeciwu, gładkie i szare. Jesteśmy we własnej niewoli. Zamiast jasno wybierać pewne wartości i walczyć o nie, myśli się z góry: czy to przejdzie? Co na to powie cenzura? I w rezultacie mamy ręce związane, kultura obumiera.

I jeszcze poetka, której twórczość poetycką znam tylko sporadycznie z prasy literackiej i którą coraz bardziej podziwiam za to, co utrwaliła w swym Notatniku.

To, co było, nie może być sensem życia, tylko to, co będzie. Więc sens życia to nadzieja, najtrudniejsza z cnót. Niemożliwa do osiągnięcia.

Jakże dziś człowiek zagubiony w bełkocie wielu ideologii, przerażony ich wypaczeniami i nieludzkością w życiu praktycznym, może mieć nadzieję, że przyszłość będzie lepsza, jak może w ideologii (jakiejkolwiek) szukać sensu życia? Ludzie dziś zresztą nie szukają w życiu sensu, ale wygód, korzyści, łatwizny.

Za oknem słońce, Taka aura wyłuskuje ze wspomnień tylko jaśniejsze chwile, bardziej słoneczne przeżycia. Jakieś fragmenty wędrówek po zalanym słońcem krajobrazie, jakiś przebłysk szczęścia, miłości lub zgody na wszystko, nawet na śmierć w chwilach zauroczenia na przykład urodą jesiennej pogody. Lub jeszcze tęsknota za czymś nieznanym, chociażby tylko kościółkiem katolickim z XV–XVIII wieku w Balatonberény, z widokówki, jaką przesłała mi J.

Szczęście to nie ciągłość, ale takie właśnie momenty zauroczenia wspomnieniem lub marzeniem.

Niedziela 4 września 1988

Raz w tygodniu tylko doznaję łaski, pozwalam sobie na luksus czytania rzeczy mądrych i pięknych zarazem. To takie moje intelektualne nabożeństwo niedzielne. Obcowanie z pięknem, prawdą i doświadczeniem innych, zapisanymi i utrwalonymi w książkach. Tym razem znów Anna Kamieńska:

Nasze kompleksy to wspomnienia, resztki przeszłości, niezagojone dzieciństwo. Dlatego tak trudno pozbyć się kompleksów, że kochamy je. Nasze ukochane kompleksy.

Letni wieczór. Wszystkie światła i blaski tego lata prowadzą mnie z powrotem w czas wczesnej młodości. Takie lata, smaki, barwy, zapachy były tylko wtedy, w świadomym już dzieciństwie.

Jest tylu ludzi na świecie. Dlaczego więc są tacy samotni? Bo trzeba mieć kogoś jednego, żeby dojść do wszystkich. Ten jeden tylko jest kluczem.

I jeszcze jedna sprawa.

Nagrodą za dobro jest dobro, karą za zło jest zło - mądrość talmudyczna (schar micwa micwa, schar awera awera).

Zmieniłem nieco kolejność słów, ale co za mądrość, chociaż może nie zawsze się sprawdza w praktyce...

A propos spraw biblijnych. Podziwiam nad wyraz tę kobietę, która doświadczona życiem - śmierć męża, również poety, Jana Śpiewaka, i samotność, zabrała się w wieku zaawansowanym do nauki języka hebrajskiego po to tylko, by móc w oryginale przeczytać Pismo Święte. Język opanowała i Biblię przeczytała w języku jej twórców. A ponieważ to człowiek pióra, nie mogło być inaczej i powstała z tego mądra książka esejów „Twarze Księgi", z której też chciałoby się cytować i cytować w nieskończoność.

Poniedziałek 5 września 1988

Człowiek umiera, a otoczenie (bliżsi i dalsi współpracownicy, sąsiedzi, znajomi) natychmiast przechodzi nad tym do porządku dziennego. Być może wśród potencjalnych kandydatów na miejsce wakującego szczebla drabiny awansu jakieś mrowie podniecenia - może ja - i jakby wdzięczność wobec zmarłego, że umarł. A poza tym komentarze - im wyżej kto stał, tym bardziej złośliwie... chciał mieć wszystko, chciał być wszędzie i ma teraz, a poprzedza je pomyślane tylko: Dobrze mu tak...

Człowiek umiera - naturalna kolej rzeczy. Pogrzeb jest okazją do powiedzenia czegoś o nieboszczyku. Im większa szycha, tym więcej ciekawskich się zjawia, jak gdyby chcieli być tam widziani, a przecież już niczе-

go nie mogą się od nieboszczyka spodziewać. A mówcy wtedy prześcigają się w pochwałach zasług zmarłego. Gdyby przynajmniej połowa z tego była prawdą, to człowiek taki musiałby być świętym.

Śmierć niweluje różnice między wszystkimi ludźmi, ale żywi nadal podtrzymują dawną hierarchię. Te wielkie słowa, wielkie pochwały, wielkie dziękczynienia są fałszywe z zasady. Gdyby ludzie naprawdę byli tacy, jakimi kreślą ich opiewacze pogrzebowi, na świecie byłby istny raj...

Niedziela 11 września 1988

Słoneczna pogoda o aurze już jesiennej. Jakże to pokrzepiające, w taki dzień czytać te mądre i poetyckie teksty Anny Kamieńskiej.

Bóg jest Bogiem naszego pragnienia. To znaczy, że istnieje tylko dla tych, którzy Go pragną, potrzebują.

Cytat Kamieńskiej z Karola Irzykowskiego (cytat z cytatu): *Prócz skrawka natychmiastowej chwili, cały świat składa się z tego, co nie istnieje.*

Po co te wszystkie ochłapy przeszłości (żale, wyrzuty, urazy, wspomnienia), po co wreszcie obawy z tego, co będzie lub może być? Przecież przeszłość już, a przyszłość jeszcze nie istnieją. My, przejmując się tym, co było lub będzie, zabijamy chwilę bieżącą, ów aktualnie istniejący „natychmiastowy skrawek chwili".

Nie będziesz miał człowieka na własność - to powinno być jedno z pierwszych przykazań.

Nie robić Boga z człowieka, ale widzieć w człowieku Boga.

A tak właśnie, jak nie powinni, postępują ludzie wszelkiej maści totalitaryzmów (komuniści i faszyści). Traktują ludzkość, klasę robotniczą, naród jako swoją własność, a sami chcieliby zostać bogami, każdy na swym szczeblu działania i urzędowania ogólnokrajowym, okręgowym, powiatowym i lokalnym.

Wspinać się tak mozolnie na tę górę, żeby dowiedzieć się, że ta góra nazywa się starość.

Oczekiwać wspaniałego widoku ze szczytu, a ten widok - to śmierć. Lęk młodości przed starością to lęk przed szczytem.

Zdrowie psychiczne jest równoznaczne z akceptowaniem siebie. Czyżby ludzie ograniczeni, bezmyślni, bez wyrzutów sumienia, zadowoleni z siebie w swym prymitywizmie psychicznym, byli psychicznie zdrowi? Przecież oni niewątpliwie siebie w pełni akceptują...

Przekraczanie zakazów i nakazów jest głębszą potrzebą człowieka niż sądzimy. Nie zawsze ci grzeczni i cnotliwi są miarą człowieczeństwa. Musi być także w człowieku element zuchwałości, odwagi, ryzyka, buntu. Bez nich nie

byłoby także cnoty. A na pewno nie byłoby sztuki i całej twórczości człowieka.

I ten nasz prymitywny polityk chciałby rządzić tylko grzecznymi, posłusznymi manekinami, robotami i robolami - bezmyślnymi wykonawcami jego urojeń ideologicznych. Nasze uprawianie polityki (może każde, ale nasze szczególnie i przede wszystkim) jest właściwie pozbawianiem ludzi człowieczeństwa, sprowadzaniem ich do rzeczy, przedmiotów, którymi można manipulować według swojego ograniczonego widzimisię... Jest nieustannym ich ugrzecznianiem i pozbawianiem ich odwagi, ryzyka i buntu. Nasza społeczność rzeczywiście jest politycznie cnotliwa.

Jedno jest pewne: sen jest rzeczywistością, jest rzeczywistością przeżycia.

Niedziela 18 września 1988

I znów niedziela. Czas wyznacza granice naszych poczynań. Kontynuuję więc swe coniedzielne nabożeństwo intelektualne w asyście Anny Kamieńskiej.

Czas, jego rozciągłość i niekonsekwencja - to my staramy się go ograniczać, wtłaczając go w zegary - pozwolił mi dopiero teraz w dwa lata po jej śmierci (10 maja 1986) poznać tę wspaniałą kobietę, poetę i filozofa, człowieka, z którym świat byłby pełniejszy, piękniejszy, poprzez to i lepszy. Chociaż za pośrednictwem jej notatek jak gdybym z nią dopiero co rozmawiał. A pisała te słowa przed dwunastu laty... W tym tkwi siła słowa, sztuki wreszcie.

Ktokolwiek dzisiaj mówi o ludzkiej egzystencji w kategoriach władzy, wydajności, zadań historycznych, szerzy tę truciznę... Chodzi tu o totalitaryzm, ten faszystowski i ten komunistyczny, o dyktaturę proletariatu itd.

Samotność nie jest tam, gdzie brak ludzi, tylko gdzie brak nadziei.

Należy odróżnić dwie rzeczy: izolację i prawdziwą głęboką samotność.

Jeszcze jedno z wielu jej prawdziwych stwierdzeń:

Brak zaufania obraża ludzi, ku którym jest skierowany... Nas dziś obraża się na każdym kroku, nie ufając nam w pracy, życiu społecznym, na granicy, obraża się nas jako ludzi, obywateli, Polaków... W ustroju tym zaufanie jest jakby na indeksie. Nawet ci z różnych klik rządzących, nie ufając nam, nie ufają też samym sobie. Jak można kierować narodem, nie ufając mu? Jeszcze gorzej, kiedy nie ufamy samym sobie, co też się niestety zdarza.

U nas wszystko drożeje, tylko człowiek i wszelkie wartości humanitarne tanieją...

Jeśli akceptujemy siebie, to mamy jeszcze siebie, nie jesteśmy całkiem samotni. Dopiero samotny, który nie ma nawet siebie - staje przed otchłanią.

Nie żyje się, lecz się przemija.

Nagroda i kara spotyka nas tu, nie gdzie indziej. Jest zawarta w samym życiu, w samym działaniu, w wartościach, jakie przez życie realizujemy.

Nie absolutyzujmy człowieka, wtedy będziemy bliżej prawdy. Człowiek nie jest i nie może być miarą.

Tak, na pewno nie może być miarą wszech rzeczy, ale przecież może być kilku ludzi (świętych, przykładnych, dobrych), do których można i należy się przymierzać, naśladować ich w tym, co wartościowe i co nam imponuje.

Chorobą czasu jest nieumiejętność przeżywania teraźniejszości. Dopiero we wspomnieniu sytuacja wraca jako godna przeżycia, zabarwiona żalem, że już minęła.

Przede wszystkim nie należy się bać. Los jest jak zły pies, natychmiast wyczuje kto się boi.

Dnia 8 grudnia 1976 zmarł prześladowany u nas poeta Henryk Jasiczek. Oto co w związku z tym napisała Anna Kamieńska pod datą 26 listopada 1976:

Śniła mi się koszula zapisana przez matkę Henryka Jasiczka słowami: „Nie umiem tego powiedzieć".

Obudziłam się z bólem serca. Otworzyłam szeroko okno na mroźne powietrze.

Śnił mi się dalej list od matki Jasiczka, z którego zapamiętałam taki sztuczny, literacki zwrot: „I zachłannie przyjął w ramiona Boga".

Tu coś w rodzaju intuicji, przeczucia...

A pod datą 9 grudnia 1976:

Umarł Henryk Jasiczek. Piękny człowiek, poeta, któremu nie pozwolono żyć. Zamykam teczkę jego listów i kartek. Więcej już ich nie będzie. Ostatni z września z odlotnym piórkiem ptasim. Znałam go tylko z listów, a uczyniło się jakieś puste miejsce.

Nie pozwolono żyć poecie, nie pozwala się też żyć jego poezji. Teraz coś się odkręca, ale będzie to wybiórcze. Chamy, brudnymi od złej polityki rękami będą grzebać i wybierać w jego poezji, a my będziemy posłusznie stosować się do ich prymitywnych decyzji.

A jakie są na dziś moje wspomnienia o człowieku, którego znałem bardzo mało, przypadkowo tylko spotykając się z nim?

Moja nim fascynacja rozpoczęła się od lektury jego wierszy w Zwrocie, tomikach poezji, podobały mi się także jego reportaże zagraniczne. Była to więc znajomość literacka tylko, lekturowa. Dopiero w roku 1963, byłem wtedy na pierwszym roku studiów polonistycznych w Ołomuńcu, od-

ważyłem się odwiedzić go w redakcji Zwrotu, przynosząc dwa tłumaczenia: z czeskiego „Przedmieście" Jana Trefulki oraz z rosyjskiego „List" Jurija Kuranowa. Przyjął mnie przychylnie i ku mojemu (obecnemu) zdziwieniu niebawem je opublikował - były to raczej nieudolne próby tłumaczeń... Fakt ten jednak ośmielił mnie i później sporo czasu poświęciłem tłumaczeniom.

Pomimo to z Jasiczkiem spotykałem się raczej sporadycznie. Należę do tego rodzaju ludzi, którzy są w pewnym stopniu onieśmieleni w stosunku do szanowanych przez nich ludzi.

Kiedy po roku 1968 odsunięto Jasiczka na boczne tory życia społecznego i literackiego, spotykałem go rzadko na ulicach Czeskiego Cieszyna i zaprzyjaźniony świeżo z Władysławem Sikorą i Bronisławem Liberdą (też odtrąconymi) nie uciekaliśmy na drugą stronę, tylko przystawaliśmy na krótką z nim rozmowę. Raz nawet odwiedziłem go bodajże w takim samym składzie w domu. Nie było w tym jednak bliższej z nim znajomości, ale to na skutek moich nieumiejętności w tym zakresie.

A potem już niestety tylko pogrzeb Henryka Jasiczka... Poszliśmy znów we trójkę. Tam w kościele w Alejach spóźniony żal, że tak rzadko go widywałem.

Po obrządkach pogrzebowych tak się złożyło, że z Bronisławem Liberdą poszliśmy na piwo do restauracji dworcowej, skąd krewni Jasiczka ściągnęli nas na stypę bodajże w Domu Śląskim. Z obecnych tam ludzi zapamiętałem tylko jego przyjaciela Oldřicha Šuleřa.

Żałośnie mało było tych spotkań z człowiekiem, który był mi bliski poprzez swą twórczość.

Niedziela 25 września 1988

Zasłyszane wczoraj w radiu: *Gdy się chce zabić człowieka, trzeba mu zabrać to, co kocha.* Jest w tym kawał tragicznej prawdy. Należy więc przed otaczającym nas światem trzymać w ścisłej tajemnicy obiekt naszej miłości i zainteresowań, by ktoś celowo nie pozbawił nas sensu życia. Gdybym nie miał swego wewnętrznego świata, tej skromnej cząstki życia prywatnego, które kocham, trudno byłoby mi pogodzić się z aktualnym bezsensem życia społecznego.

Sens ten znajduję także w lekturze Anny Kamieńskiej, jej rozmyślań sprzed jedenastu lat.

Lepiej jest niedoceniać niż przeceniać: A także lepiej być niedocenianym niż przecenianym. Brzmi to jak sentencja Koheleta.

Ludowładztwo... Lud to w ogóle kategoria mocno przestarzała, nic i nikogo

nie oznacza. Władztwo ludu jest fikcją. Lud nigdy i nigdzie nie miał bezpośredniej władzy. Podobnie ma się sprawa z proletariatem. Robotnicy przecież nigdy nie rządzili, zawsze byli rządzeni, manipulowani, wykorzystywani - nawet przez ich kierownicze siły, partie proletariackie, komunistyczne. Ci, którzy rzekomo w imieniu proletariatu rządzą proletariatem, już nie są robotnikami i dawno zatracili poczucie potrzeb ludzi pracy. Bronią tylko swoich interesów, by jak najdłużej przetrwać w funkcji dobrze płatnych przywódców, działaczy partyjnych, przeceniających swoją rangę.

Poznaj człowieka w sobie. Ale przede wszystkim poznaj ludzi w ludziach. Piękna i wzniosła prawda, ale jak w tamtych swoistych „nadludziach", bo za takich oni często się uważają, dostrzec człowieka, ludzi?

Rzeczy gorsze od śmierci: Zło, krzywda, niesprawiedliwość, chciwość, nienawiść, głupota... Wychodzi na to, że śmierć w tym ustroju jest lepsza...

Niedziela 9 października 1988

Słoneczny, lekko wietrzny dzień. Jesień pełna uroku, spokoju i zgody na rezygnację... Rezygnację tego, co niepokoi, co burzy nasze umysły i wobec czego człowiek jest bezsilny. Ucieczka w aurę jesieni? Czy rezygnacja ze swych praw do sprawiedliwości, bo jest się bezsilnym wobec zła społecznego, wobec tych, co już dwadzieścia lat tuczą się na demagogii ideologicznej wspierani sowieckimi czołgami. Czy oni jeszcze potrzebują wsparcia tej armii? Przecież niemal w całym wschodnim bloku są już widoczne zmiany w myśleniu, a tu wszystko po staremu.

A jednak poniektórzy zaczynają się jakby bać co nieco. W gospodarce coraz gorzej i na kogo tu się wymawiać? Będzie trzeba kogoś poświęcić. Kogo? Kiedy?

Najgorszy jest diabeł, który ma pełną gębę słów świętych i pobożnych. Nie naśladuje, ale przedrzeźnia. Tu rację ma Kamieńska. Najgorsi są ludzie, którzy mają pełne gęby ideologii i socjalizmu, a każdy ich krok i gest nawet jest przedrzeźnianiem zasad, w imię których zdolni są prześladować i mordować nawet...

...władza nie kończy się na pałce policyjnej, jest coś takiego jak władza duchowa, co przewyższa władzę polityczną... O tym nasze matoły polityczne nie wiedzą, bo nie mają zielonego pojęcia, co to życie duchowe, wewnętrzne. O ich płytkości świadczy to, w jak prymitywny sposób chcą „wychowywać" swych „poddanych" w swojej „wierze".

Jeżeli człowiek urodzi się na peryferiach świata, to jest skazany na wieczną miernotę wszystkiego co zewnętrzne. Tylko w swym wewnętrznym świecie można się czasami wznieść ponad przeciętność.

Jeszcze kilka refleksji i notatek Kamieńskiej na temat śmierci...

W śmierci najcięższe może jest rozstanie z samym sobą. Ostatecznie towarzyszy się sobie przez tyle lat i nagle trzeba się ze sobą pożegnać.

Najbardziej pewną rzeczą w życiu jest śmierć, a najmniej pewną jej godzina. To już odnotowane przez nią słowa kardynała Króla po śmierci papieża Jana Pawła I.

Anna Kamieńska, jak wynika z jej notatek, zachwycała się swego czasu „Bloc-notesem" Mauriaca. Ja również, a dziś tak samo zachwycam się jej „Notatnikiem". Jaka szkoda, że już skończyłem jego lekturę. Ale przecież mogę kiedykolwiek do niego powracać i na pewno wrócę, bo jest po co. Tyle w nim mądrości i pokory zarazem.

Niedziela 30 października 1988

Śnił mi się dziś literacki sen. Nie pamiętam dokładnie, gdzie i przy jakiej okazji znalazłem się w obszernym pomieszczeniu razem z Jaroslavem Seifertem. Byliśmy na ty, co mnie w pewnym stopniu onieśmielało. Były jakieś przemówienia (przypominam teraz sobie, że pierwotnie był to kościół i zanosiło się na jakieś nabożeństwo) i oto niespodziewanie występuje mój nowy przyjaciel, noblista i recytuje wiersz po polsku... Jestem zaskoczony jego piękną polszczyzną, a wiersz był o pięknie rodzinnej ziemi. Kiedy skończył, zagadnąłem go o ten wiersz. Powiedział mi, że wiersz ten przetłumaczył mu Jan Śpiewak (mąż Anny Kamieńskiej) i tak mu się spodobał, że nauczył się go na pamięć.

Później miało być jakieś przyjacielskie z nim picie wina (słusznie Seifert we swych wspomnieniach często pisał z rozkoszą o winie). Była też jakaś młoda kobieta. Wyszedłem gdzieś, a po chwili, kiedy wróciłem i zapytałem, jak jest, odpowiedział, że źle, bo owa kobieta leży bez siebie, a on nie może dodzwonić się do lekarza i nikt nie chce w niedzielę przyjeżdżać. Kobiecie temperatura opadła już do 1 stopnia Celsjusza! Zacząłem na gwałt przypominać sobie nazwiska swoich znajomych lekarzy, ale nie przypomniałem sobie żadnego i ze zdenerwowania się obudziłem, to sprawdzona ucieczka z moich snów, kiedy te stają się nieprzyjemne lub kłopotliwe.

Wróciłem do Kamieńskiej i po chwili znalazłem podkreślony przeze mnie jej cytat na temat snów: *Jak zawsze w snach najważniejsze są drobne symbole.*

Nadaremnie jednak szukałem ewentualnej wzmianki Kamieńskiej o tym, czy Jan Śpiewak tłumaczył kiedyś Seiferta.

SPOTKANIE PRZY CHOINCE W AMBASADZIE RP W PRADZE

12 grudnia ub. r. odbyło się w Ambasadzie RP w Pradze spotkanie przy choince – dla pracowników ambasady, Klubu Polskiego oraz praskiej Polonii. Z życzeniami świątecznymi wystąpili ambasador RP Marek Pernal, kardynał praski Miloslav Vlk i opolski arcybiskup Alfons Nossol.

W części artystycznej z programem świątecznym wystąpili soliści karwińskiej Przyjaźni Grażyna Wilk, studentka Uniwersytetu Ostrawskiego (sopran), i tenor Władysław Czepiec, pracownik Huty Trzynieckiej, zaś poezję bożonarodzeniową Kazimierza Szemiotha recytował i na fortepianie solistom akompaniował kierownik artystyczny Przyjaźni Józef Wierzgoń. Nie zabrakło wspólnego śpiewania przez prawie dwustu uczestników spotkania kolęd polskich.

Czy zauważył pan, ilu uczestnikom dzisiejszego spotkania wasza trafnie dobrana poezja świąteczna i solowe śpiewy wycisnęły łzy wzruszenia z oczu? Ze szczerego serca wam dziękuję za ten miły program i życzę dalszej pomyślności – powiedziała J. Wierzgoniowi, autorowi programu, Anna Olszewska, od listopada nowy radca Ambasady RP w Pradze.

(wj)

ŚWIĄTECZNE SPOTKANIE

Członkowie Koła PZKO w Łąkach, choć ich ilość znacznie zmalała od czasu przymusowej zmiany miejsca zamieszkania, spotykają się kilka razy w roku, a jednym z ważniejszych spotkań jest Bożonarodzeniowe przy świątecznej choince. Przyjeżdżają do Łąk z różnych miejsc Zaolzia i Polski, by w salce gościnnego Zacisza powspominać dawne dobre czasy świetności łęckiego Koła.

16 grudnia ub. r. spotkało się ponad 40 byłych i aktualnych mieszkańców Łąk (Koło liczy aktualnie 110 członków). Wszystkich jak zwykle mile przywitał prezes MK PZKO Karol Tomiczek, który funkcję tę pełni nieprzerwanie od 1968 roku. Były wiersze i piosenki przygotowane przez Wandę Pribulę i Bronisławę Nowak oraz świąteczna wieczerza.

J.K.

KONCERT ŚWIĄTECZNY W TRZYŃCU

Tradycyjny, bo już czwarty Koncert Świąteczny odbył się w Domu Kultury Trisia w Trzyńcu 17 grudnia ub. r. W foyer, jak zwykle, przed koncertem można było nabyć świąteczne słodkości sprzedawane przez członków zespołów biorących udział w koncercie. Zachwyt najmłodszych widzów wzbudzały piernikowe chatki i kolorowe lukrowane pierniczki.

W świąteczny nastrój koncertu wprowadził słowem prowadzący Tadeusz Filipczyk. A potem zaprezentowały się nasze zespoły i kapele: Olza, Suszanie, Bystrzyca, Gorole, Skotnica, jabłonkowska kapela Nowina, Kapela Góralska Andrzeja Niedoby z Mostów i ostrawska kapela cymbałowa Šajtar. Zespoły zaprezentowały bogaty repertuar ludowy tańców polskich i słowackich, które podobały się publiczności, a ta oklaskami dawała temu wyraz. Nowina i Górole zaprezentowall powszechnie na Zaolziu lubiane kantyczki Adama Sikory.

Organizatorką koncertu, tak jak i w latach poprzednich, była Urszula Niedoba Szczepaniak, kierownik ZPiT Olza.

E.S.





SPOTKANIE Z KOLĘDĄ W MK PZKO CZESKI CIESZYN CENTRUM

Tuż pod koniec ubiegłego roku, 28 grudnia, członkowie MK PZKO Czeski Cieszyn Centrum zeszli się w Klubie PZKO na ulicy Bożka na Spotkaniu z Kolędą. Na stołach obok palących się świec były ciastka, opłatki, jabłka – to wszystko, co charakteryzuje te święta. Tym razem w Czeskim Cieszynie nie było pustych miejsc przy stołach ...

Program wieczoru zagaił i prowadził Władysław Kristen. Prezentował on teksty z „Biblii Ślązoka". Jasełka „Dzisiaj w Betlejem" w reżyserii Maryli Szymanik przedstawiły dzieci z parafii Kościoła Serca Jezusowego w Czeskim Cieszynie. Towarzyszył im chór młodzieżowy tejże parafii pod batutą Beaty Brzuski przy akompaniamencie fortepianowym Maryli Mendrek. Maryla Szymanik wystąpiła również ze śpiewem solowym. Nie zabrakło występu miejscowego chóru Harfa pod batutą Tomasza Piwko przy akompaniamencie Danuty Palowskiej. Chór zaśpiewał sześć kolęd. Było tradycyjne łamanie się opłatkiem wraz z życzeniami wszelkiej pomyślności w nowym tysiącleciu. Kolędy rozbrzmiewały również przy wspólnym śpiewie. Wtedy przy fortepianie zasiadła Maria Cienciała.

F.B.



ODZNACZENIA DLA CZŁONKÓW CHNP

Z okazji 75-lecia działalności Chóru Nauczycieli Polskich jego członkowie zostali uhonorowani medalami i odznaczeniami. I tak medalami przyznawanymi przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP Zasłużony dla Kultury Polskiej uhonorowano: Martę Bury, Bogusława Czerneka, Józefa Franka, Jana Musioła, Józefa Niemca i Alojzego Suchanka. Medalem Komisji Edukacji Narodowej Stanisława Burego.

Złote odznaki honorowe Polskiego Związku Chórów i Orkiestr otrzymali: Gustaw Guńka, Leon Kasprzak, Władysław Milerski, Franciszek Przeczek, srebrną Aleksandra Opioł.

Zarząd Główny PZKO uhonorował wpisem do Złotej Księgi Karola Bartulca, Bronisława Bednarza, Edwarda Dzika, Alojzego Kiedronia, Franciszka Suchego i Gustawa Walka, a Bronisława Buławę i Erwina Dudę Złotą Odznaką Zasłużony dla Związku I Stopnia oraz Srebrną Odznaką Za Zasługi.

(r)

CZANTORYJKA DLA JÓZEFA WIERZGONIA

Już po raz trzeci od roku 1998 Stowarzyszenie Miłośników Kultury Ludowej Czantoria w Ustroniu wręczało Czantoryjki, statuetki przyznawane za wybitne osiągnięcia w zakresie pielęgnowania, propagowania i rozwijania folkloru Ziemi Cieszyńskiej. W poprzednich latach laureatami byli m.in. Zuzanna Kawulok, Józef Broda, zaś z Zaolzia Daniel Kadłubiec.

W roku bieżącym zaszczyt ten spotkał Annę Molin-Stanieczek, dyrygenta i kierownika zespołu Cantus z Goleszowa, Kazimierza Fobra z Cieszyna, długoletniego prezesa Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Bielsku-Białej i śpiewaka Chóru Nauczycieli Polskich w RC, oraz Józefa Wierzgonia z Karwiny, autora popularnego śpiewnika „Śpiewamy wszyscy", dyrygenta i kierownika artystycznego ZŚ-M Przyjaźń.

Statuetki wręczył laureatom na uroczystym koncercie Estrady Ludowej Czantoria w ustrońskiej Prażakówce Jan Albrewczyński, prezes Stowarzyszenia Miłośników Kultury Ludowej Czantoria w Ustroniu, które wyróżnienia przyznaje.

(on)

WIGILIJKA Z FOLKLOREM

29 grudnia ub. r. odbyło się w skrzeczońskim Domu PZKO tradycyjne spotkanie, podczas którego pożegnano stary magiczny rok 2000 i uroczyście powitano nowy 2001 rok.

Program kulturalny zagaił kolędami chór mieszany Koła Hasło z dyrygent

Ireną Szeligą. Z wierszykami „Pani Zima" i „Diabełek z Jasełek" gościnnie wystąpił przedszkolak Michał Bielak, syn członkini Koła zamieszkałej w Karwinie, po czym do programu dołączyli członkowie Klubu Dziecięcego, którzy przy świątecznej choince przedstawili okolicznościową wiązankę kolęd i wierszyków w opracowaniu kierownika Danuty Chorzempy. Przewodniczący Koła Bogusław Czapek podziękował wszystkim aktywistom za pomoc przy organizowaniu imprez Koła oraz utrzymaniu Domu PZKO, składając równocześnie setce obecnych życzenia wszelkiej pomyślności w życiu rodzinnym, zawodowym i społecznym.

I tym razem wigilijka była już tradycyjnie połączona ze spotkaniem z ubiegłoroczymi jubilatami, którym wręczono skromne podarunki. Najstarsza z nich 85-letnia Maria Ździebłowa nie była niestety obecna. Udział natomiast wzięła para małżeńska Anna i Benedykt Hanakowie, którzy w listopadzie ubiegłego roku obchodzili jubileusz – złote gody. Dla jubilatów gościnnie wystąpił zespół folklorystyczny Koła Gospodyń Wiejskich Odrzanki z gminy Gorzyce z Polski. Siedmioosobowy zespół pod kierownictwem Anny Zychmy zadedykował jubilatom wiązankę własnych piosenek folklorystycznych, wierszy oraz gawęd. Po gratulacjach odbyło się spotkanie towarzyskie.

D.G.



RADOSNE KOLĘDOWANIE

Prawdziwie świąteczny nastrój panował 29 grudnia ub. roku w Domu PZKO w Mostach koło Jabłonkowa, w którym miejscowy chór Przełęcz pod batutą Haliny Niedoby urządził tradycyjny już Koncert Kolęd. Obok chóru z solistkami Elwirą Zwyrtek i Janiną Mitrengą oraz akompaniatorem Erwinem Muchą zaprezentowały urocze widowisko jasełkowe pt. „Kolędowanie" dzieci z zespołu Gróniczek, który działa przy miejscowej polskiej szkole podstawowej pod kierownictwem nauczycielek Renaty Kohut i Krystyny Mruzek (opracowanie muzyczne i prowadzenie kapeli). W programie wystąpili również Grażyna Wilk (sopran) z Karwiny i znany na całym Zaolziu Władysław Czepiec (tenor), którym na fortepianie akompaniował i wiersze zarecytował Józef Wierzgoń, kierownik artystyczny karwińskiej Przyjaźni. Całość pięknego koncertu z wdziękiem prowadziła Urszula Czudek.

J.W.

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ WŁADYSŁAWA REYMONTA WYSTAWA W BIBLIOTECE FRYSZTACKIEJ

Tuż po Nowym Roku – 3 stycznia – otwarta została uroczyście w Bibliotece Regionalnej w Karwinie Frysztacie wystawa przedstawiająca sylwetkę jednego z polskich noblistów w dziedzinie literatury Władysława Stanisława Reymonta (1867–1925). I chociaż właśnie niedawno zakończony został Rok Reymontowski (w ramach którego w Zwrocie nr 9/2000 przypomnieliśmy fragment powieści Reymonta „Komediantka", zaś w numerze 11/2000 Krystyna Kardyni-Pelikánowa zapoznała czytelników ze znajomością twórczości pisarza w Czechach w artykule „Władysław Stanisław Reymont wśród Czechów"), wystawa o Reymoncie wędruje dalej po świecie.

Wystawa przygotowana została w 75. rocznicę śmierci pisarza przez powołane m.in. do promowania literatury polskiej Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie przy współpracy z Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego w Warszawie, placówki również zainteresowanej tematem, jako że Reymont sympatyzował z ruchem ludowym i niedługo przed śmiercią zgłosił akces do Polskiego Stronnictwa Ludowego Piast. Wystawę sfinansowało Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP.

O życiu i twórczości Reymonta opowiadamy – piszą organizatorzy w przewodniku po wystawie – *na 32 planszach, rezygnując ze ścisłej chronologii na rzecz układu problemowego. Staramy się pokazać pisarza na tle epoki, w jakiej tworzył: przedstawiamy jego korzenie, prądy umysłowe,*

które miały wpływ na jego twórczość, szczególnie zauroczenie naturalizmem francuskim, doświadczenia osobiste i zbiorowe, które kształtowały jego postawę wobec życia i pracy literackiej. Akcentujemy wychowanie w rodzinie pielęgnującej tradycje narodowe, znaczący związek z polską wsią, znajomość sfery mieszczańskiej, a także – liczne podróże po Europie.

Organizatorem wystawy we Frysztacie, która miała miejsce w dniach 3–30 stycznia i adresowana była przede wszystkim do uczniów polskich szkół i ich pedagogów, ale zainteresować mogła także szerokie rzesze miłośników literatury i historii, była karwińska Biblioteka Regionalna przy współpracy z Konsulatem Generalnym RP w Ostrawie i Stowarzyszeniem Przyjaciół Polskiej Książki. Na otwarcie przybyli m.in. nauczyciele karwińskich polskich szkół podstawowych oraz szkół średnich, w których są lekcje języka polskiego. Uczestników wernisażu, a nie zabrakło wśród nich konsula Mariana Ozimka, przedstawiciela Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, który nie taił swych powiązań z ruchem ludowym w Polsce i podzielił się z pozostałymi swymi refleksjami na temat wystawy, powitała Helena Legowicz, reprezentująca bibliotekę i SPPK. Fragment „Chłopów" Reymonta przedstawiła gimnazjalistka Barbara Humel.

C.R.

BAL GOROLSKI PO RAZ DWUDZIESTY TRZECI

Jak zawsze ten bal nad bale poprzedzał międzynarodowy Przegląd Kapel Ludowych i Zespołów Folklorystycznych. Jak zawsze sala pękała w szwach. A było na co popatrzeć. Obok zespołu – gospodarza – Góroli, którzy zorganizowali ten bal wspólnie z MK PZKO w Mostach koło Jabłonkowa, zaprezentowało się w sumie 12 kapel i zespołów. Burzliwe brawa zebrał genialny skrzypek kapeli Klinovci, kapeli romskiej (cygańskiej, jak kiedyś takie kapele z pełnym podziwem dla nich nazywano i nadal to tradycyjne określenie wcale nie uważam za obraźliwe) z Detvy na Słowacji. Ciekawostką był zespół Arcadanse z Saint Marcel we Francji. Tak samo inny zespół romski Mladosť z Banskiej Bystricy, który zaprezentował oryginalne tańce i śpiewy. Wśród zespołów tanecznych godnymi szczególnej uwagi były tańce wykonywane przez górali z zespołu Koniaków z Polski – taniec z beczką, tańce myjawskie i zemplińskie w wykonaniu zespołu Stavbár z Żyliny na Słowacji, jak również tańce góroli z zespołu Górole. Były kapele morawskie Lipka i Poľana i tradycyjnie najbliższy sąsiad spoza granicy – kapela gawędziarza Pavla Capka ze Skalitego. Zaś nasze kapele, można powiedzieć, w komplecie – kapela zespołu Nowina, kapela zespołu Olza, Kamraci, kapela Andrzeja Niedoby.

Tradycyjna kuchnia była tradycyjnie dobra. Atmosfera na sali tak samo. Wśród gości nie zabrakło przedstawiciela Konsulatu General-

nego RP w Ostrawie konsula Mariana Ozimka. Dyrektor Huty Trzynieckiej Jerzy Cienciała oraz prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa przybyli w oryginalnych strojach góralskich, zaś starosta Jabłonkowa Petr Sagitarius w stroju jackowskim. Strój ludowy przywdziała nawet przedstawicielka telewizji kablowej z Trzyńca. Nie sposób wymienić wszystkich gości – indywidualnych czy przybyłych w grupach. Z tych ostatnich warto wspomnieć o przedstawicielach Klubu Polskiego w Bratysławie. Należy też podkreślić uczestnictwo w Balu Gorolskim licznych sponsorów, bez których tak okazałej imprezy nie można by zorganizować.

F.B.





NOWOROCZNE KOLĘDOWANIE w NAWSIU

W niedzielę 7 stycznia w Domu PZKO w Nawsiu w Koncercie Noworocznym rozbrzmiewał śpiew trzech chórów. W wypełnionej po brzegi sali znalazło się wielu miłośników muzyki z całego naszego terenu.

Koncert, w którego repertuarze były wyłącznie kolędy, rozpoczął chór Melodyjka, pracujący przy nawsiańskiej szkole, a prowadzony przez nauczycielkę Elżbietę Nagy. Gościnnie wystąpił chór mieszany Przełęcz z Mostów koło Jabłonkowa pod batutą Haliny Niedoby. Nie zabrakło śpiewu solowego znanego na całym Zaolziu Władysława Czepca. Wspaniale brzmiącemu chórowi towarzyszyły organy elektroniczne, co jeszcze bardziej podkreśliło sakralny charakter koncertu. Na koniec wystąpił gospodarz imprezy – chór żeński Melodia, od niedawna pod kierownictwem nowego dyrygenta – Aleksandry Zeman.

F.B.







ILJA RACEK W ZG PZKO I KONGRESIE POLAKÓW

8 stycznia przyjechał na Zaolzie wiceminister kultury RC Ilja Racek, by w Czeskim Cieszynie spotkać się z przedstawicielami organizacji polskich: PZKO i Kongresu Polaków. W spotkaniach wziął udział także Rudolf Moliński, członek komisji do spraw kultury mniejszości narodowych, organu doradczego ministra kultury, omawiano bowiem przede wszystkim sprawy dotacji państwowych na działalność kulturalną polskich organizacji. ZG PZKO przygotował na rok 2001 trzy projekty, które wysłał do Ministerstwa Kultury RC: projekt na działalność kulturalno-oświatową o zasięgu regionalnym, projekt na działalność Teatru Lalek Bajka oraz projekt na działalność wydawniczą. Prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa i dyrektor biura ZG Bohdan Suchanek wysoko ocenili pomoc ministra Racka dla PZKO.

(r.)

KONWENT PREZESÓW

W nietradycyjnym czasie, bo już 9 stycznia, odbył się pierwszy w tym roku Konwent Prezesów, anonsowany w Biuletynie Informacyjnym ZG PZKO jako noworoczne spotkanie prezesów MK PZKO z ZG PZKO. Prezesi spotkają się w tym roku na Konwencie trzy razy, a nie dwa, jak było do tej pory. Zamiast do sali obrad skierowali tym razem swe kroki do Teatru Lalek Bajka, gdzie zespół tego teatru odegrał dla nich przedstawienie „Pastorałki. Cicha noc".

Wcześniej jednak odbyła się część robocza Konwentu. Po powitaniu przez prezesa ZG PZKO Zygmunta Stopę obecna na spotkaniu konsul Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Małgorzata Filipek przekazała życzenia od konsula generalnego Marka Masiulanisa.

Następnie prezesi przyjęli kilka uchwał. Najważniejsza z nich dotyczyła zmiany frekwencji i kolejności zebrań związkowych. Co miesiąc (ostatni wtorek miesiąca) odbywać się będą zebrania Prezydium ZG, natomiast cały Zarząd Główny zbierać się będzie co dwa miesiące (pierwszy wtorek parzystego miesiąca, oprócz sierpnia). Konwenty Prezesów zaplanowano na 21 marca i 19 września, zaś Zjazd PZKO na 27 października.

Prezesi zobowiązali Zarząd Główny, by do następnego Konwentu wyznaczył komisje robocze, których zadaniem będzie przygotowanie Zjazdu PZKO. Chodzi o następujące komisje: statutową, programową, wyborczą, ekonomiczną, do spraw gości i masmediów, techniczną.

Omawiano zadania prezesów MK PZKO w procesie powoływania w gminach komitetów ds. mniejszości oraz w przygotowaniach do zbliżającego się spisu ludności. Na zebraniach i wszelkich innych akcjach i imprezach PZKO powinni prezesi wyjaśniać zasady spisu ludności oraz celowość deklarowania swej narodowości jako polskiej. Od tego, ile nas będzie, zależy nasza przyszłość.

Na Konwent przybyła Helena Legowicz, kierownik Oddziału Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie, oddziału służącego pomocą wszystkim bibliotekom polskim w regionie. Przypomniała o prawie mniejszości do dostępu do źródeł informacji w swym języku ojczystym. Zaapelowała o zapisywanie się do bibliotek w swoich miejscowościach, by nie zniknęły z półek bibliotecznych polskie książki dlatego, że nikt ich nie wypożycza.

Prezes ZG PZKO zaznajomił na koniec obecnych z plonem wizyty w ZG wiceministra kultury RC Ilji Racka (8 stycznia).

C.R.







Fot. FRANCISZEK BAŁON

FAWORKI CZYLI CHRUST

Wspaniały smakołyk kojarzony z karnawałem, a częściej z jego zakończeniem, czyli ostatkami.

Faworki nazywane często chrustem, bo są chrupiące i lekkie, należą do ciast smażonych. Jest wiele przepisów przygotowania ciasta na faworki, ale zawsze najlepsze są te stare przepisywane od mamy czy babci, bo po prostu wielokrotnie sprawdzone.

Na ciasto potrzebujemy: 3 szklanki mąki „gładkiej", 6 żółtek, 10 łyżek gęstej, kwaśnej i tłustej śmietany, 2 łyżki spirytusu, wódki lub rumu, szczyptę soli, 1 szklankę cukru pudru, cukier waniliowy, 1 litr oleju.

Mąką przesiać na stolnicę, wymieszać z solą. Dodać żółtka i śmietanę, wlać alkohol. Wyrobić ciasto jak na makaron, zbić mocno wałkiem. Zawinięte w ścierkę lub folię wstawić na pół godziny do lodówki. Podzielić na części i każdą porcję wywałkować na cieniutki placek o grubości około milimetra. Cienki placek pokroić w paski długości 12–15 cm i szerokości 3 cm. Przez środek każdego paska zrobić nacięcie nożem o długości 5 cm i przez nie przewlec jeden koniec ciasta.

W płaskim naczyniu rozgrzać olej. Gdy będzie lekko ciepły, dodać łyżkę alkoholu. Faworki partiami wkładamy na gorący olej (jego temperaturę możemy sprawdzić wrzucając na początku mały kawałek ciasta, jeśli zaraz wypłynie, można zacząć smażenie). Każdy faworek pojedynczo, gdy będzie miał jasno złoty kolor, przewracamy na drugą stronę (najlepiej dwoma widelcami). Po wyjęciu faworki powinno się układać na półmisku wyłożonym papierowymi serwetkami lub papierowymi ręcznikami, aby osączyć je z tłuszczu. Następnie przekładamy na inny talerz i posypujemy przez sitko cukrem pudrem zmieszanym z cukrem waniliowym. Możemy posypać obficie, bo ciasto cukru nie zawiera. Dopiero teraz przekładamy, układając stos na półmisek, na którym smakołyk podamy. I jeszcze praktyczna uwaga. Ze składników podanych wyżej uzyskamy taką ilość faworków, która wystarczy dla dwu czteroosobowych rodzin, toteż o wiele łatwiej i wygodniej jest robić faworki jednocześnie przez dwie osoby. Jedna zajmuje się przygotowywaniem faworków, druga smaży, osącza i obsypuje.

Życzymy smacznego.



... i karnawał trwa, fot. FRANCISZEK BAŁON

DZIADEK

Po polach hula wiatr. Lekki powiew stanowi jednak duże zagrożenie dla obywateli łąki. Robactwo przymusowo zmienia miejsce swego zamieszkania. Wydaje się, jakoby tańczące drzewa, wyginając się niemiłosiernie, gotowe były na śmierć przez pęknięcie brzucha. Tylko ptaki, podążając przed siebie, zawzięcie nadstawiają dzioby smagane nieustannie przez ostre, lodowate powietrze. Stada czarnych kropek ruszają się pod wiatr niczym karma dla ryb rzucona samowolnie w wodę. Całe szczęście, że deszcz nie rozgościł się na dobre. Woda i wiatr - dwa żywioły mające podobne właściwości. Cud natury, który sieje spustoszenie i przerażenie w oczach bezbronnych mieszkańców.

Na ławce pod stuletnim dębem usiadł chłopczyk mający zaledwie osiem może dziesięć lat. Wiek tego młodzieńca nie jest jednak istotny, na uwagę zasługuje jego zmysł samozachowawczy i niesamowity dar postrzegania rzeczy na pozór tylko niewidocznych. Gdyby przyjrzeć się bliżej, jego niezbyt wyraźna postura stanowi odwrotność umysłu, jaki kryje się pod czerwoną basebolówką zrywaną z głowy przez złośliwość natury. Szybkość, z jaką przeciwstawia się nieubłaganemu Boreaszowi, zaskakuje turystów, którzy ostatkiem sił, zziębnięci z wycieńczonymi organizmami, pragną jak najszybciej znaleźć się we wnętrzu wygrzanego schroniska. Chłopczyk ruchem lewej ręki niweczy wszelkie próby zerwania czapki. Zirytowany nieco „wietrzyk" podwoił swój oddech. Nic z tego. Malec jak siedział, tak siedzi.

W górach rozpętała się prawdziwa burza. Ograniczona widoczność zaniepokoiła świadków tego zdarzenia, którzy bezskutecznie starali się zwabić chłopca do skromnych pomieszczeń górskiej daczy. Potężne konary drzew kładły się na wilgotnym leśnym podłożu. Ich barki łamały się niczym zapałki w palcach dorosłego człowieka. Od czasu do czasu pojawiła się na niebie srebrna nitka. Błyskawica sporadycznie dawała o sobie znać, ale w górach wszystko może się zdarzyć. Absolutnie nie można polegać na prognozie pogody. Nigdy się nie sprawdza. Dlatego też właściciel schroniska zawsze trzyma w zana-

drzu dużą ilość opału, skuter śnieżny oraz zapasy jedzenia na kilka tygodni. Dziś ma szczęście. Jego posiadłość pękała w szwach. Przerażeni turyści nie zważali na objętość swych portfeli. Już po godzinie kasa pod ladą nie była w stanie pomieścić wszystkich banknotów (drobne leżały obok, luźno na półce). Radość z zysku mieszała się na sali z przerażeniem płynącym z serc wczasowiczów. Wściekły podmuch powietrza, zirytowany przez totalną ignorancję ze strony małego chłopca, w okamgnieniu przerodził się w huragan.

Przy samym oknie, z nosami przyklejonymi do szyb, siedziały dzieci. Opierając się o wygrzane parapety, chciały być najbliżej tego niesamowitego widowiska. - Mamo, czy ten chłopczyk umrze? - Jeżeli w tej chwili dołączy do nas, to ma spore szanse na przeżycie - odparła impertynencko mama (pani w czarnej, przezroczystej bluzce z czerwonym kapeluszem na głowie). W oczach młodych widzów chłopiec-góral urósł do rangi bohatera narodowego. Jego postawa wobec najeźdźcy, spokój, bezruch w ruchomej przestrzeni - wszystkie cechy zasługiwały na podziw. On sam nie zwracał uwagi na nieustające hałasy dzieci, wzywające go do opuszczenia drobnej, niestabilnej ławeczki. - Chodź do nas ! - Zginiesz ! - krzyczały dzieci.

W przytulnym schronisku zapanowała przyjazna atmosfera. Ktoś wyjął z futerału gitarę. Na sali rozległy się śpiewy, śmiechy. Piwo lało się strumieniami. Przypadkowi turyści rychło zaprzyjaźnili się. Wyjątkowa sytuacja zmusiła wszystkich do serdecznego bratania się. - Oby więcej było takich okazji! - krzyczała pani z żółtymi szpilkami na nogach. Tak jest! - wtórował jej śniady pan w kremowym garniturze. W objęciu ciepła dochodzącego z kominka zawiązywały się nowe znajomości. Świat przyzwyczaił się do tego typu imprez. Wszechobecny zachwyt utwierdzał wszystkich w przekonaniu, że nieprzewidywalność pogody przyczyniła się do tak wspaniale spędzonych chwil. Grono „naprawdę szczęśliwych" ludzi przyrzekło sobie, że regularnie raz w roku będzie spotykać się w tym miejscu. Uczczą tym samym chwilę, która - jak mówiła pani z fioletową fryzurą - przejdzie do historii. Pan zajadający się pieczenią z dzika powiedział: - Nasi potomkowie będą to wydarzenie opisywać w kronikach. Ich dzieci będą pisać wypracowania w szkole na ten temat. - Piwo, wino, pieczeń, kotlety, komuś jeszcze pysznej, gorącej zupki? - darł się wniebogłosy właściciel tego dobrobytu.

Wszystko, co działo się w daczy, było tak rewelacyjne, tak wspaniałe i generalnie doskonałe, że uczestnicy tej (już prawie całodniowej) libacji zapomnieli o chłopcu, który wciąż jeszcze siedział pod stuletnim dębem i czekał. Czekał nie wiadomo na kogo; nie wiadomo na co. Nikt nie znał powodu, dla którego ten młody (dziecko to było, nie ma co ukrywać) człowiek cierpiał. Z zimna zsiniała mu cała twarz. Dzieci oglądające to zdarzenie zza okna nie były pewne, czy chłopiec jeszcze żyje. - Mamo, on chyba umarł? - No i dobrze kochanie, sztywnego wiatr nie zdoła porwać - odpowiedziała mama w alkoholowym uniesieniu.

Przed schroniskiem przewróciło się ogrodzenie, skrzynka na listy. Z dachu posypały się cegły, w kominku huknęło. Trzask niczym wybuch granatu. Przerażone dzieci, schowawszy głowy pod parapety, skuliły się i przytuliły do siebie. Coś pękło. Ze strychu (z pokoi na poddaszu) dochodziły okropne wrzaski. Na górze coś się stało. Krzyk mordowanego prosiaka jest milszy uchu, niż to, co dociera z górnej kondygnacji. W sali głównej zaprzestano hulanek. Ludzie zamarli z przerażenia. Pijany mężczyzna o włoskiej urodzie, podniósłszy głowę, mruknął pod nosem: Widzę dziurę, dziura między sufitem a ścianą!

Było już za późno na ucieczkę. Jakakolwiek próba ratunku utonęła na zawsze. W przeciągu zaledwie kilku sekund całe poddasze zostało dosłownie zmiecione ze stabilnego na pozór budynku. Częściowo runęły ściany. Uczestnicy libacji, chcąc uciec w pośpiechu, zadeptali się wzajemnie na śmierć, na śmierć - istota ludzkiego ciała bez życia.

Dziadku!!! - krzyknął chłopiec i wstał z ławeczki, zmierzając w kierunku postaci, która ukazała się na horyzoncie. Przerażone dzieci, wychyliwszy głowy spod parapetów, nie mogły uwierzyć własnym oczom. By odwrócić uwagę od „niecodziennego widoku", skierowały swój wzrok w stronę chłopca, który nie żył!? Wydawało im się, że nie żyje. Przeżył! Chłopiec, pełen energii, podparł dziadka swymi ramionami. - Zobacz synku - odezwał się dziadek drżącym głosem - kupiłem w mieście nową, metalową laskę. Na końcu ma nawet takie metalowe ząbki, żebym się nie pośliznął zimą na oblodzonej drodze. - Tę starą drewnianą laskę wyrzucisz, dziadku? - zapytał grzecznie chłopczyk. - Nie synku, zastanawiam się, czy nie wyrzucić tej nowej - odparł dziadek.

MAREK SŁOWIACZEK

STANISŁAW NYCZAJ

Z DEDYKACJĄ NASZYM CZASOM

Jest jak j e s t
To nieprawda
Jest d o b r z e tak jak jest
I to też nieprawda
Jest l e p i e j niż dobrze jesteśmy
b a r d z i e j niż zadowoleni

Co zamarzymy
wszystko się spełnia
(marzymy bowiem na miarę spełnienia)
Jak pomyślimy
tak też się staje
(jesteśmy bowiem realistami)

Historia znaczy tyle na ile tłumaczy
pochłoniętych bez reszty wielkimi sprawami
ogromnymi liczbami krzywiznami przestrzeni
Euklides pozostał szczególnym przypadkiem
od kiedy przezornie zwątpił Łobaczewski
Newton - od chwili zwątpienia Einsteina

Kto w z g l ę d n o ś ć przewątpi?!

Przyszłość należy
do mózgów-koncernów
jednostek wybitnych
w wybitnych zespołach
Przyszłość jest f a n t a s t y c z n i e naukowa

I to nas wzrusza a nie wiersz liryczny
sentymentalny naiwny bezbronny
(nawet kobiety gardzą lirnikami)

Jest lepiej niż można się było spodziewać
niż można było sobie wyobrazić?

1974

POSŁANIE

Nie szukaj wrogów wśród swoich
choć o ich szczerość najtrudniej
w tej przepychance do władzy
nad klaszczącymi obłudnie

Nie szukaj wrogów wśród swoich
zgorzkniałych synów i córek
Siądź z nimi przy wspólnym stole
spróbuj ich głód-bunt zrozumieć

Nie szukaj wrogów wśród swoich
spętanych zmianową taśmą
Największym wrogiem - milczenie
jak wiatr historii donośne

1-2.3.1982

⁂

Nie
nie mam
Nie mam choćbym chciał
Nie mam nic
Nie mam nic do nikogo
Nie mam nic nikomu

Tak
Tak mi dopomóż
Tak mi głupio
Tak mi się czasem wydaje

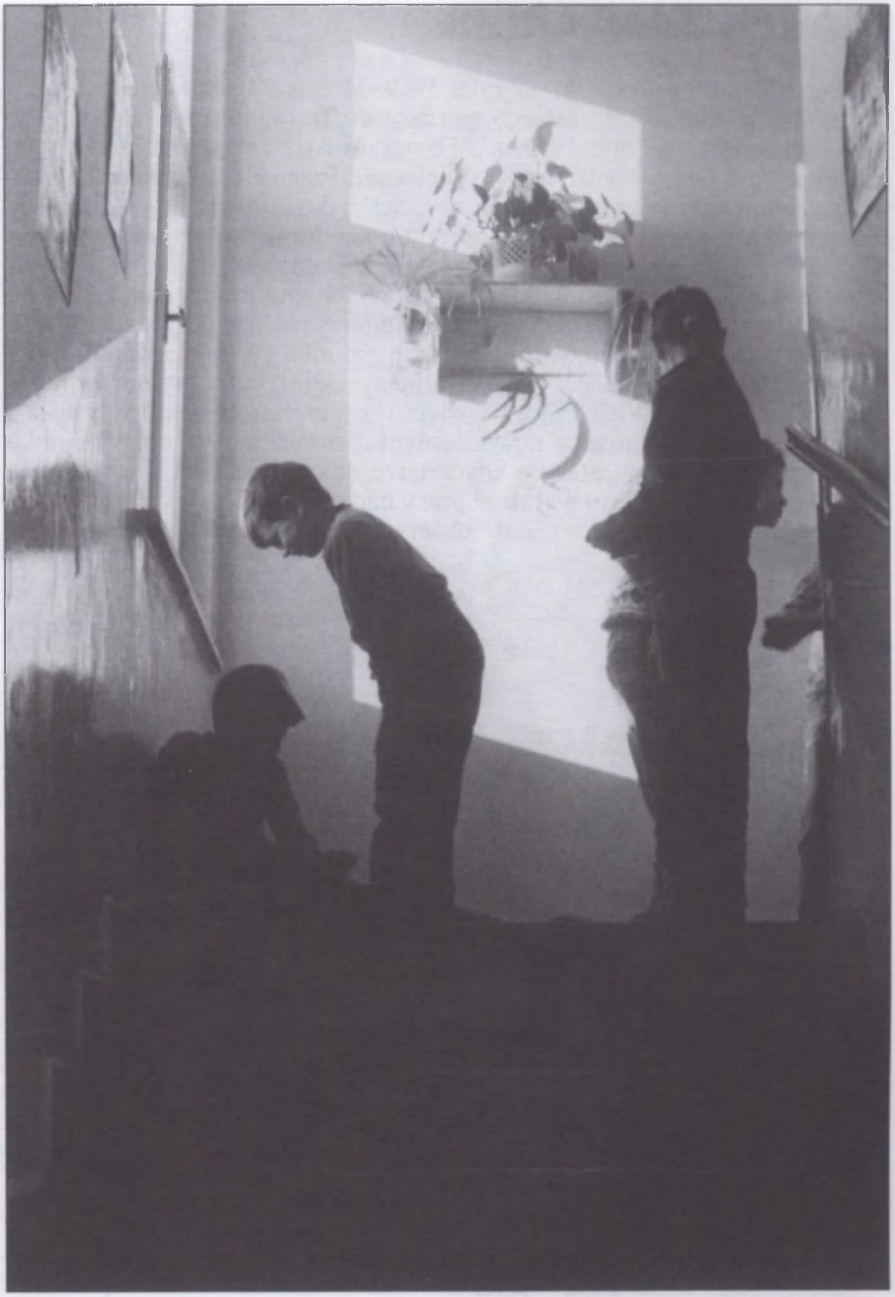
- Mylisz się - mówią -
Mylisz się nieludzko
Mylisz się
ludzka rzecz

Z tomiku „Poezie. Poezje" wydanego w Opawie w r. 1999.

MAREK SANTARIUS







MAREK SANTARIUS

Marek Santarius urodził się w roku 1969. Mieszka w Olbrachcicach. Jest absolwentem czeskocieszyńskiego gimnazjum, Technikum Elektrotechnicznego w Hawierzowie oraz Wydziału Fotografii Artystycznej na Uniwersytecie Śląskim w Opawie, gdzie uzyskał licencjat. Pracuje na oddziale diagnostyki technicznej Kopalni Darków oraz jako fotograf w zakładzie macierzystym; współpracuje z Głosem Ludu, dorywczo prowadzi zajęcia z fotografii w Prywatnej Szkole Policealnej w Bielsku-Białej. Fotografia pochłonęła go, kiedy był nastolatkiem. Podstaw fotografowania nauczył się od ojca. Ale sztuką światłocieni dogłębniej zainteresował się po 20. roku życia. Nie specjalizuje się w jednym określonym gatunku. W fotografii studyjnej fascynuje go temat „kobieta": jej harmonijny kształt ciała, wymowny, zmysłowy wyraz twarzy. Wiele czasu poświęca też fotografii surrealistycznej, stylizowanej martwej naturze w nowoczesnym rozumieniu. W swoim dorobku ma również reportaże i prace o charakterze dokumentalnym. Jego żelazną zasadą, której przestrzegał w trakcie pracy nad cyklem „Pierwszoklasiści" fotografie na stronach 54, 55), jest „obserwować i rejestrować, będąc niezauważonym".

(r)

PRZYPOMINAMY:

Od pierwszego numeru tego rocznika ZWROTU wprowadziliśmy nową rubrykę FOTOGRAFICY ZAOLZIA. Jako pierwszy zaprezentował się w niej swoją fotografią teatralną ze spektaklu „Faust" Cieszyńskiego Studia Teatralnego (foto obok) **Wiesław Przeczek.**

Jak pisaliśmy w ZWROCIE 1/2001, ZAOLZIAŃSKIE TOWARZYSTWO FOTOGRAFICZNE jest otwarte *„dla wszystkich miłośników dobrej fotografii"*. Oprócz podanych we wspomnianym tekście adresów **do kontaktu z ZTF jako pośrednik służy redakcja ZWROTU.**





Rys. MONIKA MILERSKA

DO POLSKIEJ SZKOŁY W NOWYCH PORTKACH

Przytaczamy poniżej fragment felietonu radiowego (umieszczonego następnie w wydanej przez wydawnictwo Votobia w roku 1999 książce „Jak si stojej nebožtíci"), który poszedł w eter w dzień wyborów. Nieważne jakich, parlamentarnych czy innych. Ważne w tym wypadku jest to, że autorka Lenka Procházkowa (ur. 1951 w Ołomuńcu pisarka i publicystka) ilustruje swą agitację przedwyborczą, a konkretnie nawoływanie do pójścia do wyborów, historyjką z lat międzywojennych, zapewne początku lat 20., i niechcący opowiada o jednej z prób i metod czechizacji wsi polskiej w okolicach Czeskiego Cieszyna.

ROZSĄDNY WYBÓR CZYLI WESOŁO DO URN!

A więc zacznę od wiejskiej historii z dawnych czasów, kiedy państwo było młode. Mój równie młody dziadek Přemysl był wtedy kierownikiem szkoły w gminie w pobliżu Czeskiego Cieszyna. Przed rozpoczęciem roku szkolnego objeżdżał zawsze na rowerze sąsiednie wsie i domy na odludziu i tłumaczył rodzicom przyszłych pierwszoklasistów, że ich dzieci powinny uczyć się czytać i pisać w języku ojczystym, a nie w języku polskim. Swoją żarliwą agitację patriotyczną kończył zawsze praktycznym dopowiedzeniem - podarował przyszłemu uczniowi nowe wełniane spodnie. Wieczorami w domu robił potem radosną wstępną statystykę, podczas gdy babcia Maria zasępiona cerowała stare spodnie trojgu ich własnych dzieci. Pierwszego września za każdym razem powtarzało się ubiegłoroczne rozczarowanie, kiedy to pierwszoklasiści w solidnych spodniach dziadka minęli jego uroczyście ozdobioną szkołę i zasiedli w ławkach w tej polskiej. Podczas gdy dziadek z goryczą szukał synonimów do wyrażenia „człowiek bez charakteru", babcia wiedziała, że przegraną spowodował błąd w kampanii. „Po co by je tu ojcowie jeszcze posyłali, jeśli portki już dostali?" „Przecież mi to obiecali!" argumentował dziadek statystyką. „W takim razie miałeś tylko obiecywać, mniej by nas to kosztowało", zarzuciła mu babcia.

PAPIEROWE SZCZĘŚCIE

Spotkanie dwojga ludzi - kobiety i mężczyzny - jest tematem nośnym pod każdą szerokością geograficzną. Tak przynajmniej wynika ze sztuki, jaką wybrała do realizacji Scena Polska Teatru Cieszyńskiego. Premiera „Papierowych kwiatów" chilijskiego dramatopisarza Egona Wolffa w przekładzie Elżbiety Komarnickiej miała miejsce w pierwszą sobotę nowego trzeciego tysiąclecia (6.1.2001).

Jest to sztuka małoobsadowa. Dialog kobiety i mężczyzny. Ewa wpuszcza do mieszkania bezdomnego - Sztokfisza. Nie, nie jest to gest samarytański. Ona ma w tym swój interes. Początkowo wydaje się, ponieważ pomógł jej wnieść do domu bagaże, że tylko do tego był jej potrzebny. Ale dlaczego wobec tego daje mu talerz zupy? Zamiast zapłaty za pomoc? On też ociąga się z opuszczeniem gościnnego mieszkania. I jemu ten dach nad głową jest na rękę. Tak jakby od początku miał zaplanowane pozostanie tutaj.

W miarę upływu kolejnych słów i zdań coraz wyraźniej widać, jak mylne są pierwsze wrażenia widzów słuchających przez czwartą, niewidzialną ścianę pokoju tego dialogu scenicznego. Dobrze sytuowana kobieta (chodzi do pracy, ma mieszkanie pełne bibelotów) o ustabilizowanej sytuacji rodzinnej (jest mężatką) okazuje się osobą samotną (mąż dawno odszedł) i spragnioną ciepła i miłości do tego stopnia, że nie pogardzi nawet kimś z ulicy, byle ją przytulił. I to jej wystarcza. Zaś brudny i obdarty początkowo mężczyzna, który znalazł się na ulicy, nieważne w tym wypadku, z jakiego powodu, kiedy powoli odsłania swoje wnętrze, odkrywa kolejne karty, okazuje się artystą, poetą, filozofem. Osobowością skomplikowaną do tego stopnia, a jednocześnie tak różną od swej partnerki w sposobie myślenia, że porozumienie pomiędzy nimi jest niemożliwe. Dialog powoli zamienia się w monolog i to on, mężczyzna, dominuje.

„Papierowe kwiaty" zrealizował w Scenie Polskiej Zbigniew Najmoła, przerywniki muzyczne są dziełem Krzysztofa Maciejowskiego. Autorka scenografii i kostiumów Barbara Guzik umieściła bohaterów spektaklu

w pokoju na poddaszu, co sugeruje duże okno nad ich głowami, gdzie dominują beże i jasne brązy, a łatwe w manipulacji elementy umeblowania tego pomieszczenia pozwalają, by dowolnie je przestawiać i ogrywać. Na sznurku wiszą słomiane ozdoby pani domu, w kącie stoi klatka z żywym kanarkiem, jednak nowy lokator morduje kanarka, niszczy słomiane pamiątki i wprowadza własny porządek przedmiotów, pokój ozdabiają teraz papierowe ptaki i kwiaty (sztuka origami autorstwa Romana Wirtha), niby ubogi tron królewski wygląda drewniany „fotel" zbity z dwóch krzeseł.

Ewę gra Ewa Czernek-Batycka, nowy członek zespołu aktorskiego Sceny Polskiej, znana już widzowi zaolziańskiemu z wcześniejszych gościnnych występów. W roli Sztokfisza występuje Szymon Kuśmider, gość z Krakowa. Nie są równorzędnymi partnerami. Tak jak osoba mężczyzny góruje w dramacie nad osobą kobiety, tak też aktor z Krakowa przewyższa swą grą aktorkę z Bielska-Białej. Jej gra jest bardzo nierówna, ma momenty dobre, zwłaszcza kiedy emocje jej Ewy sięgają zenitu, ale często jakby zastanawiała się, które słowo zaakcentować, jakby dopiero przymierzała się do tekstu i próbowała, jaka intonacja wybrzmi najlepiej. Nie zawsze umie znaleźć ze swoją bohaterką wspólny język. Sztokfisz Szymona Kuśmidra doznaje w trakcie spektaklu większych przeobrażeń niż jego partnerka, ale nie gubi się. Konsekwentny w rysunku postaci aktor prowadzi swego bohatera od początkowego onieśmielenia pod maską brutalności poprzez delikatność i czułość okazywaną jednak bardziej swym kwiatom z papieru niż kobiecie, u której znalazł dach nad głową, aż po pewność siebie w trakcie wypowiadania swych głęboko przemyślanych monologów świadczących o bogatych pokładach intelektualnych i równie bogatych doświadczeniach życiowych. I dla tych kilku myśli, i dla tego aktora warto „Papierowe kwiaty" obejrzeć.

Mnie jednak również gnębi pewna myśl, myśl, która nie dawała mi spokoju przy oglądaniu spektaklu. Przez całe lata mówiono w tym teatrze o tym, że trzeba grać sztuki o takiej ilość postaci scenicznych, by jak najlepiej wykorzystać siły zespołu aktorskiego. Rzadko sięgano po sztuki małoobsadowe. „Papierowe kwiaty" należą do tych wyjątków. Niech tak będzie. Ale kiedy na widowni zasiadają prawie wszyscy aktorzy tego teatru po to, by na scenie podziwiać w premierze tego teatru gościnne występy ludzi z innych teatrów, to coś, jakiś głos wewnętrzny podpowiada mi, że nie wszystko jest w porządku. Coś tu nie gra. A właściwie ktoś tu nie gra. I wpada mi do głowy myśl wywrotowa: Zróbmy kropkę za pięćdziesięcioleciem Sceny Polskiej, zamiast etatów niech są występy gościnne, zamiast

rocznych umów umowy na konkretną sztukę. Po co patrzeć ciągle na te same twarze, może zaoszczędzi się w ten sposób pieniądze i przeznaczy na sprowadzenie „gwiazd"?! Ale gdzie tu patriotyzm, przywiązanie do Naszej Małej Ojczyzny i kultury rodzimej? A co z „naszymi", mają zostać na bruku? - myślę zaraz potem i strofuję samą siebie za te wcześniejsze herezje. Na moje szczęście to nie moje zmartwienie. Niech o los Sceny Polskiej głowa boli nowego dyrektora teatru Karola Suszkę, wracającego notabene do tego przybytku Muzy po kilku latach przerwy tym razem jako władza najwyższa, bo któryż z dyrektorów zna ten teatr lepiej niż on.

CZESŁAWA RUDNIK







Fot. WIESŁAW PRZECZEK

BAJKOWE KOLĘDOWANIE

Swojską historię w kilku obrazach o narodzeniu Pana przygotował zespół Teatru Lalek Bajka na okres Świąt Bożego Narodzenia, kiedy to co roku wszyscy bez względu na wyznanie przypominamy sobie wydarzenie sprzed dwóch tysięcy lat - przyjście na świat Jezusa - i chętnie śpiewamy kolędy. Przedstawienie pod nazwą „Pastorałki" o podtytule „Cicha noc" autorstwa Bogumiły Pasionek-Szachnowskiej reżyserował Marek Mokrowiecki. Scenografię przygotowała Halina Szkopek, muzykę opracował Andrzej Macoszek, gościnnie zaśpiewała Urszula Niedoba-Szczepaniak. Zagrał, jak zwykle po kilka ról, cały pięcioosobowy zespół aktorski Bajki: Krystyna Czech, Beata Badošek, Dorota Grycz, Pawełka Niedoba i Jan Szymanik. Swoje zadania do spełnienia mają w tym spektaklu również lalki.

Przedstawienie rozpoczyna kolęda „Bóg się rodzi". Wykonawcy zapraszają widzów do wspólnego śpiewania, bowiem brzmiące w tym widowisku kolędy, np. „Gdy się Chrystus rodzi", „Do szopy hej pasterze", „Pójdźmy wszyscy do stajenki", „Wśród nocnej ciszy", należą do najbardziej znanych i lubianych. Służą między innymi jako przerywniki między poszczególnymi odsłonami - obrazkami scenicznymi - zapowiadanymi przez narratora.

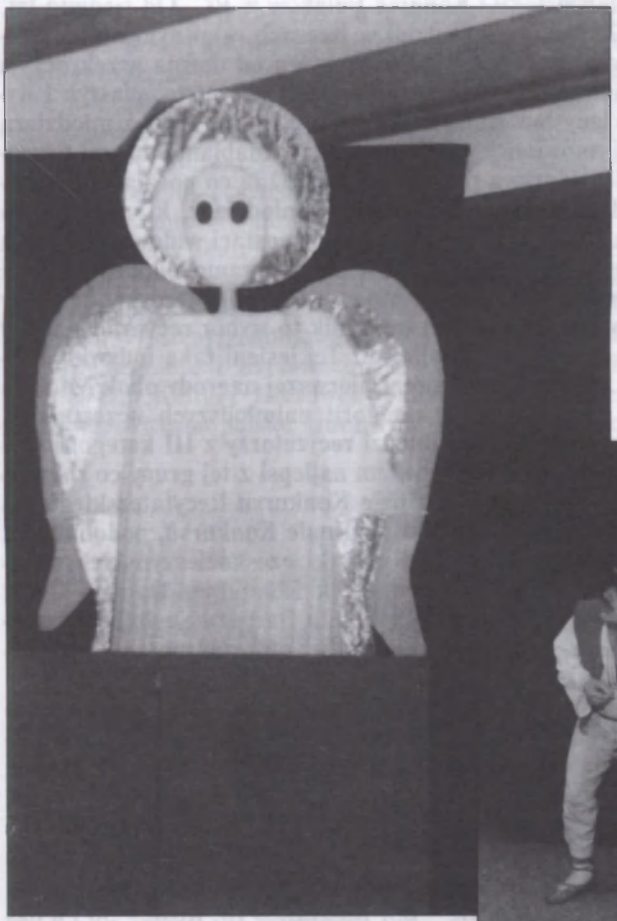
Pierwszy obrazek to zwiastowanie. Maria - śliczna panna - swym wyglądem przypomina Matkę Boską ze świętych obrazów, Józef jest siwym staruszkiem o lasce. Razem wyruszają na poszukiwanie miejsca, gdzie mogłoby się narodzić dziecię. Wzruszające to i porywające za serce sceny, które można by spokojnie odegrać w jakiejś świątyni jako misterium bożonarodzeniowe.

Zupełnie inny charakter mają sceny z pasterzami. Panuje w nich całkowicie odmienny nastrój, dominują motywy ludowe, którym towarzyszy rubaszny humor. „Idzie baca gróniem..." słychać śpiew. I już wiadomo, że miejsce i czas akcji w tym spektaklu są bardzo umowne. Pasterze także podążający do Betlejem to nasi sąsiedzi. Krążą po naszych wsiach i miastach, nie sprawia im żadnych problemów nawet wyjście na Kozubową. I tu sprawdza się przysłowie, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, a konkretnie w tym wypadku do Betlejem. W końcu pasterze z Beskidów trafiają do żłobka, gdzie nowo narodzonego pilnuje między innymi sympatyczny wołek i osiołek, i oddają dary, jakie przynieśli z sobą.

Nie może zabraknąć w tej historii złego Heroda, do którego przez przypadek trafiają trzej królowie. Herod, dowiedziawszy się o konkurencji w postaci teraz niemowlaka, ale w przyszłości króla, każe zabić wszystkich małych chłopców, nawet własnego syna. Jego rozkaz zostaje spełniony błyskawicznie

i bez szemrania. Tragiczne to sceny i drastyczny temat nie tylko dla ucha młodej widowni. Chociaż być może właśnie dorośli odbierają ten epizod bardziej uczuciowo niż dzieci, przyzwyczajone przecież do krwawych współczesnych bajek i filmów akcji. Najważniejsze, że wszystko dobrze się kończy, zły Herod zostaje ukarany. A przy żłóbku stają i pasterze, i trzej królowie.

CZESŁAWA RUDNIK





Fot. FRANCISZEK BAŁON

POCHWAŁA KRESÓW

Jesień w Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie to czas poetyckiej refleksji. A tę od kilku lat mamy dzięki Centralnym Eliminacjom Konkursu Recytatorskiego dla Polaków z Republiki Czeskiej KRESY. Organizatorami gimnazjalnych spotkań z poezją są Podlaski Oddział Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Białymstoku i Kongres Polaków w RC. Od siedmiu lat, odkąd przedstawiciele Zaolzia biorą udział w Kresach, głównym organizatorem, a zarazem motorem sprawczym imprezy, która od dawna przekroczyła ramy li tylko przesłuchań młodych recytatorów, jest polonista, plastyk i wychowawca młodzieży Władysław Kubień. Co roku jesteśmy wraz z młodzieżą świadkami święta poezji mówionej, śpiewanej i przyozdabianej innymi formami sztuki, gdzie plastyka odgrywa rolę nie mniej ważną co poezja. A wszystko to dzieje się przy dużym współudziale samej młodzieży, która zjawisko KRESÓW tworzy również poprzez uczestnictwo w postaci widowni. I z roku na rok udaje się zaobserwować niezwykłe zaangażowanie młodej widowni w kreowaniu wyników wyboru recytatora publiczności. To werdykt, na który składa się bystra obserwacja, a jej końcowy wynik to wybór recytatora, który wnosi swoim występem powiew oryginalności. Tej jesieni taką indywidualnością był Jakub Czapek z Bogumina, laureat pierwszej nagrody obok Michała Czudka z Mostów k. Jabłonkowa w kategorii najmłodszych uczestników. Największe emocje wzbudzają zawsze młodzi recytatorzy z III kategorii wiekowej, czyli uczniowie szkół średnich, bowiem najlepsi z tej grupy co roku jadą do Białegostoku, by wziąć udział w finale Konkursu Recytatorskiego dla Polaków z Zagranicy. W roku ubiegłym w IX finale Konkursu, podobnie jak to miało miejsce w latach poprzednich, finalistki czeskocieszyńskich eliminacji znalazły się wśród najlepszych recytatorek Konkursu. Daniela Goryl i Barbara Humel zostały nagrodzone II nagrodą, a Barbara Suchanek wyróżnieniem. Laury najwyższe przypadły w udziale reprezentantom młodych Polaków z Litwy i Białorusi.

Przez cały tydzień od 4 do 10 grudnia Białystok rozbrzmiewał polską poezją. I choć brzmi to patetycznie, trudno znaleźć inne określenie na opisanie tego zjawiska. Fakty mówią same za siebie. Przed białostocką publicznością wystąpiło 30 recytatorów z 9 krajów: Białorusi, Bułgarii, Republiki Czeskiej, Litwy, Łotwy, Mołdowy, Rosji, Rumunii i Ukrainy. Ta szczęśliwa trzydziestka to wybrani spośród 1672 uczestników eliminacji krajowych Kresów. Na Litwie w tegorocznym konkursie wzięło udział 400 recytatorów, Białorusi - 570, Ukrainie - 405, Rumunii - 71, Łotwie - 85, Bułgarii - 16, Rosji - 36 i u nas 88. W jury w Białymstoku zasiedli: Anna Romantowska - aktorka, ojciec Wacław Oszajca - pedagog i redaktor naczelny Tygodnika Powszechnego, Piotr Damulewicz - aktor, wykładowca Akademii Teatralnej na Wydziale Sztuki Lalkarskiej w Białymstoku (gdzie notabene studiują dwie nasze - zaolziańskie - studentki), i Izabela Półtorak - instruktor teatralny. Wśród re-

cytowanych wierszy były utwory Adama Mickiewicza i polskich poetów współczesnych, a także proza Władysława Reymonta. Koncert galowy, podczas którego wystąpili laureaci, poprzedziły warsztaty i oczywiście przesłuchania konkursowe.

Konkurs Recytatorski Kresy to jedna z najważniejszych imprez kulturalnych w Białymstoku, toteż główne nagrody fundowane są przez prezydenta miasta i wojewodę podlaskiego. Władze miasta są dumne, że właśnie tu młodzi Polacy, często potomkowie tych, którzy, nie przekraczając granicy, wskutek decyzji politycznych znaleźli się w obcym państwie, dziś język polski uczynili nośnikiem swojej kultury i z dumą świadczą poprzez polskie słowo o swojej narodowej tożsamości. A nie wszyscy z nich mają prostą drogę do polskości.

Na początku grudnia w Warszawie również miała miejsce ciekawa impreza pod znakiem kresów – pierwsze Dni Kultury Kresowej. Rzecz godna odnotowania nie tylko z tej przyczyny, że z udziałem przedstawicieli Zaolzia. Organizatorami przedsięwzięcia jest Federacja Organizacji Kresowych i Stowarzyszenie Wspólnota Polska. Na Dni Kultury Kresowej w Warszawie przybyli: Polski Teatr Ludowy ze Lwowa, który zaprezentował „Odprawę posłów greckich" Jana Kochanowskiego, Wileńska Orkiestra Kameralna, znana z występu w Czeskim Cieszynie, i zaolziański Chór Kameralny Musicae Amantes. Występy renomowanych zespołów z dawnych kresów Polski miały miejsce na Zamku Królewskim w Warszawie i w Domu Polonii. Organizatorzy Dni Kultury Kresowej pokazali warszawskiej publiczności, jak wygląda współczesna polska kultura na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK



rys. WŁADYSŁAW KUBIEŃ – Oślepione jury



Widokówka z roku 1924

„WALENTYNKĘ" DAJ MI LUBY

(aforyzmy)

Kto nikogo nie kocha, sam niczyjej nie zazna miłości.

Demokryt

W miłości jak w rybołóstwie: jedną siecią wszystkich gatunków ryb łowić nie można.

Wincenty Styś

I nie miłować źle, i miłować nędzna pociecha.

Mikołaj Sęp-Szarzyński

Kochać to nie patrzeć jedno na drugie, lecz patrzeć razem w tym samym kierunku.

Antoine de Saint-Exupéry

Kiedy człowiek jest zakochany, ukazuje się światu takim, jakim powinien być zawsze.

Simone de Beauvoir

Człowiek zakochany jest to człowiek, który chce być milszym niż jest w stanie; i oto dlaczego prawie wszyscy zakochani są śmieszni.

Nicolas de Chamfort

Gra miłosna jest jak jazda samochodem: kobiety wolą objazdy, mężczyźni – skróty.

Jeanne Moreau

Miłość od pierwszego wejrzenia kończy się często małżeństwem do ostatniego westchnienia.

Witold Zechenter

Kiedy miłości przybywa lat, schodzi na dziady.

Mieczysław Kozłowski

Kiedy one nas kochają, nie wiemy nigdy na pewno, czy tymi kochanymi jes-

teśmy my sami, lecz kiedy one nas przestaną kochać, wiemy doskonale, że to właśnie my już nie jesteśmy kochani.

Paul Geraldy

Kochająca kobieta jest niewolnicą, która nakłada kajdany swemu panu.

George Bernard Shaw

Istota, którą się kocha w pierwszych latach męskiej dojrzałości, nie jest osobą - jest wcieleniem pragnień.

Józef Weissenhoff

Trzeba kobiecie mówić, że jest inną od innych, uwierzy i będzie tak zadowolona, że pozwoli postępować z sobą jak z innymi.

Wyndham Lewis

Kochana kobieta to ta, której można zadać więcej cierpień.

Etienne Rey

Prawdziwego mężczyznę poznaje się po kobiecie.

Władysław Grzeszczyk

Na żonę należy wybierać tylko taką kobietę, jaką by się wybrało na przyjaciela, gdyby była mężczyzną.

Joseph Joubert

Najtrudniej czasem rozstać się z kobietą, z którą kto inny brał ślub.

Gothold Lessing

Małżonkowie poznają się trzy tygodnie, kochają się trzy miesiące, sprzeczają się trzy lata, a tolerują się trzydzieści lat.

Hippolite Taine

Z tym małżeństwem to zawracanie głowy. Prawdziwemu mężczyźnie winna wystarczyć niania!

Henryk Horosz

Kochać się za młodu, a ożenić na starość, jest to słuchać przez cały dzień śpiewu skowronka latającego w powietrzu, a wieczorem jeść pieczeń z niego.

Jean Paul Richter

Naprawdę ożeniony jest człowiek dopiero wtedy, kiedy rozumie każde słowo, którego nie wypowiedziała jego żona.

Alfred Hitchcock



Widokówka z roku 1924

GŁOS KOBIET

ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALNO-DEMOKRATYCZNEJ

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM ORGANIZACYI KOBIET PRACUJĄCYCH
WYCHODZI DWA RAZY NA MIESIĄC POD REDAKCYĄ DORY KŁUSZYŃSKIEJ

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: „GŁOS KOBIET" BOGUMIN. :: TELEFON NUMER 21.
:: PRZEDPŁATA WYNOSI WRAZ Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ ROCZNIE 2 KOR. 20 HAL. ::
NUMER POJEDYŃCZY 6 HAL.

BEZPŁATNY DODATEK DO TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO „PRAWO LUDU".

NR. 3. BOGUMIN, 1. LUTEGO 1912. ROK V.

P. LENOWICZ.

Wyścigi.

Hrabia Zdzisław nudził się śmiertelnie. Od czasu jak na warszawskich wyścigach trzyletków jego ulubiona „Qu'importe", w zwycięstwie której tyle nadziei pokładał, nie wzięła nagrody „Królewskiej", mniemać można było, że hrabia interesować się przestał swojemi karemi bułanemi, szaro-gniademi.

Nie bawiły go i ulubione polowania i psy, których w Zagórzu, majątku swoim, sfory całe utrzymywał. Nawet faworyt jego, wielki Zeus, daremnie podnosił oślinioną swą mordę i kładł ją na kolanie pana: hrabia nie zwracał uwagi na badające go psie oczy i kopnięciem nogi faworyta precz odpędzał.

Pewnego dnia wstał jak zwykle późno, ale w weselszym nastroju. Kiedy lokaj herbatę mu nalewał, rzekł:

— Michale, zawołaj mi tu rządcę!

— Słucham jaśnie pana hrabiego.

— Ca y est. — — teks.

„Torreadore" — nucił hrabia, kiedy wszedł rządca, pan Szymon Bielski.

— Bielsiu kochany — dzień dobry — odpowiadając na ukłon rządcy, zaczął hrabia. Wiesz? urządzamy wyścigi!

— Niby, jak wyścigi? — Tu w Zagórzu???!

— Tak wyś-ci-gi tu w Zagórzu!

— La donn'e mobile — nucił znów hrabia, podczas, gdy pan Szymon wzruszał ramionami nad nowym dzikiem swego pracodawcy.

— Bielsiu kochany, przyznaj, że pomysł takich wyścigów bajecznie jest oryginalny, i pewny jestem, że będzie on ostatnim wyrazem szyku.

— Tak, tylko, że ja jeszcze nie wiem jakie to mają być wyścigi i jakie konie biegać będą.

— Ha, ha, ha! Hi, hi, hi! Jakie konie biegać będą! A bodaj cię Bielsiu z twoją naiwnością. Konie powiadasz?! Nie, przysięgam na nogi Dunkan, że boki od śmiechu zerwać można. Oj stary, stary! — nie domyślasz się, jaki mam boski pomysł. Słuchaj tylko marcypanie miły. Ścigać się będą — no, zgadnij kto?

— Krowy?! cielęta?! albo może świnie??

— O! bodaj cię kule biły! Nie-e! powiedzieć już wolę, bo inaczej apopleksya tknąć mnie może. Ści-gać się bę-dą — baczność! Ścigać się będą..... dziewczyny!

W obecnej porze nadmiernej konkurencyi tylko wybornością towaru pozyskać można grono stałej i wiernej klienteli.

Takim zaś wybornym

to też pokupnym artykułem jest

woda sodowa

z fabryki

Ant. Rudola w Dąbrowie

ogólnie lubiana i wszędzie żądana.

Dobroć też tylko mojego wyrobu przyczyniła się ∴ do tak poważnego wzrostu mej firmy. ∴

Mój Mąż

pokosztowawszy kawy sporządzonej z Francka kawy z ziemiopłodów, nie spostrzegł wcale, że ja obecnie używam prawie tylko samej kawy z ziemiopłodów.

Tak zadziwiająco podobny do kawy ziarnistej smak ma ta grysikowata przymieszka do kawy, a przy jej używaniu można dużo zaoszczędzić na mleku i cukrze bo jest ona łagodną, wszakże silną.



Foto – grafika FRANCISZEK BAŁON

SAKRAMYNCKI HÓNCWÓTY

Był też, wiycie, w jednej dziedzinie kole Skoczowa taki farorz, co jak wygłoszoł kozani na kozatelnicy, mioł we zwyku dycki rozczyniać rynkami i ciyngym bić piyńściom po tej kozatelnicy. A jak wypóminoł tym swoim łowieczkóm roztomaite wystympki i grzychy, to dziepro walił tuplowanie aji łobiyma piyńściami o tyn blat kozatelnicy, aż w calutkim kościele dudniło.

Gorszyli sie też co ponikierzi, to je prowda, a zaś ministranci mieli dycki kupe uciechy. I jako tacy chłapczyska, wiycie, smówili sie też roz, że mu cosikej na paskude zrobióm. I hnetka cosi wymyślili. A było to pram w niedziele, na świyntych Pietra i Pawła. Przed kozanim po kryjómu położyli mu pore pluskiewek na blacie kozatelnicy i pieknie przikryli tym serwetym, co na nim dycki był rozcióngniynty. Za chwile też farorz wyszeł na te ambóne i mioł głosić kozani o Pietrze i Pawle. I zaczón tak: - Świyńci Pieter i Paweł to byli... to byli..., a sakramyncki hóncwóty, ale jo wóm pieróny pokożym - wrzasnął tak na cały głos, bo jak prasnół, wiycie, tóm piyńściom o tyn blat, tóż mu sie ty pluskiewki wbiły do rynki, aż z boleści chyba zaroz tych wszyckich świyntych uwidzioł.

Tóż tak se wielebny przikłón strasznie w kościele, ale to na tych ministrantów, a ni na tych świyntych, jak byście se myśleli.

UTOPIEC GRO W KARTY

W Olzie kole Cieszyna miyszkoł kiesi utopiec. Przez most przechodzili hawiyrze na szychte do Karwinej i dycki tego utopca spotykali, jak se szpacyrowoł kole wody. I już też niejednego do wody ściónghół. Utopiec łobleczóny był po pańsku, tóż go nie poznali.

Aż roz, jak szli ze szychty, sóm sie im doł poznać. Hawiyrze, jak wiycie, to sóm łodważne chłopy, tóż chcieli go chycić, bo mieli ś nim porachónki, ale ón sie nie doł. Tak se umyślili, żeby go wziońś do kómpanije i zagrać ś nim w karty. Utopiec sie zgodził i od tego czasu grywoł w karty z hawiyrzami. Ale że nie był w ciymie bity, siodowoł se kapke dali od nich, żeby ich mieć na oku i gdyby go chcieli chycić, żeby móg uciyc. I chłopy ni mógły żodnym sposobym utopca chycić. Tóż na kóniec uradzili, żeby póńś do farorza po porade. Farorz doł im stułe i świyncónej wody do flaszeczki i poradził, żeby jak siednie ś nimi ku kartóm, ciepli na niego z nienazdanio stułe i pokropili go świyncónóm wodóm, to go bydóm mieli.

Na drugi dziyń zaś idóm do roboty, stułe i flaszke z wodóm mieli w kapsie, spotykajóm utopca i jako dycki wołajóm ku sobie na karty. Ale utopiec stanół se z dalsza i prawi: - Pójdym s wami grać, ale jak wyciepiecie to, co mocie w kapsie od farorza, jyny ni do rzyki, ale tam do szutrowiska.

Musieli te stułe i flaszke ze świyncónóm wodóm do szutrowiska wyciepać i dziepro potym utopiec ś nimi zagroł. I nie chycili go. Ale było to już ostatni roz, bo od tego czasu nigdy go już nie spotkali ani już sie tam żodyn nie utopił. Isto sie sóm przekludził kaj indzi.

DOBRZE TATULKOWI

Był też na dziedzinie pachołek zdrzały do żyniaczki, tóż go łojcowie napalowali, żeby się już też żynił. Ale ón był taki doś mamlasiaty i nic sie kole dziołuch ni mioł. Tóż mu zaczli szukać galanki po dziedzinie, aż mu takóm jednóm dziywke naszli i chcieli go ś nióm sporować. Ale pachołek sie łokropnie wystraszył i za nic nie chcioł o niczym słyszeć. Uciekoł z chałupy, nie chcioł z nikim rzóndzić, a galanki na łoczy ani widzieć. Tatulek aji do bicio sie zabiyroł, żeby synka rozumu nauczyć. Tóż pachołek aż sie rozbeczoł ze żałości i prawi łojcu: - Nale tatulku, za cóż mie tak strasznie chcecie skorać. Wóm to je tatulku dobrze, boście se wziyni mamulke, a mie se kożecie cudze stworzyni brać.

KAROL KAJZER

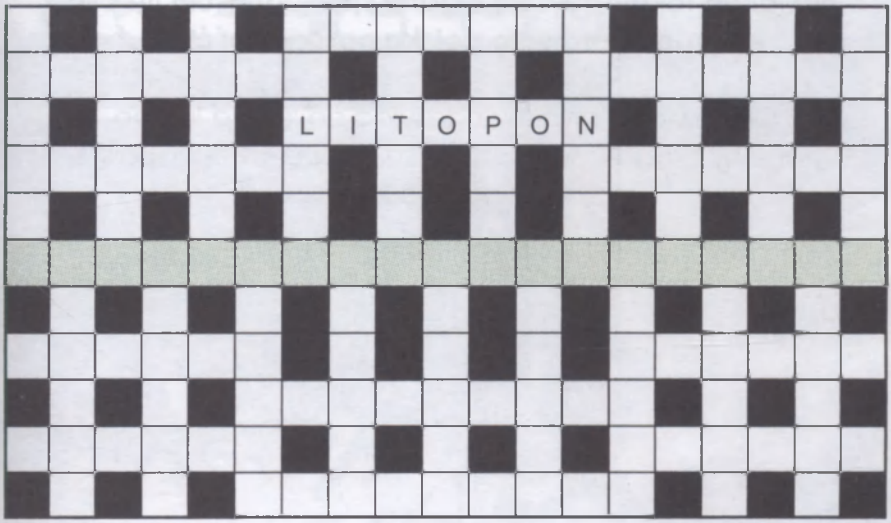
Szanowna redakcjo!
Inspirował mnie wiersz Babci Amalki „Co sie nóm przitrefiło" i przesyłam Wam podobny, który w naszej rodzinie jest znany bodajże od pięciu generacji.

NAMOWY

Jedyn chłopek od Cieszyna
chcioł ożynić swego syna.
Posłoł go do Dzięgielowa,
miała tam być kajsi wdowa.
Syn sie wybroł na namowy,
ale nie doszeł do wdowy,
nie chcioł utracić grejcara
i stawił sie do Glajcara.
Do Glajcara w siyni przisżeł,
stary Glajcar z izby wyszeł,
nimieli tam żodnej ciżby,
wołoł młodzieńca do izby.
Siednyli sobie przi stole,
dali se kwitu po póle,
fajki sobie pokurzyli,
szikownie se pomówili.
Glajcar mu szeptnył do ucha,
jest tu dlo Ciebie dzieucha.
Dziywka o tym nie wiedziała,
bo u sąsiada siedziała.
Po chwili do izby przisżła,
pośród izby silnie drzisła,
po izbie sie obezdrziła,
hned do pola wystrzeliła.
Pachołka to nie mierziało,
jyny sie mu rozśmioć chciało.
Dziywka sie mu podobała,
ale jesi by go chciała?
Z Glajcarym wsze domówili,
półkóm interes zapili.

Nie minęły trzi niedziele
i już było to wesele,
mięsa było do hojności,
na wóz było samych kości!

Ciotka Milka



SYNTEZA KRZYŻÓWKI

Po dłuższej przerwie zapraszamy naszych Czytelników nie do rozwiązywania, lecz do układania krzyżówki. Oto zestaw odpowiednio dobranych wyrazów, z których można ułożyć krzyżówkę (dla ułatwienia rozwiązywania tego typu zadania wpisaliśmy jeden wyraz na właściwe miejsce).

Człowiek nie ma przyjaciół. Przyjaciół ma tylko... (patrz rozwiązanie dodatkowe zadania).
Napoleon I (1769-1821)

Wyrazy 6-literowe: DYKTAT, EUFRAT, GOUNOD, INSEKT, KOCHAŚ, KOPIEC, KRAKÓW, ŁASICA, MROWIE, NEWTON, OFIARA, OGŁADA, OKTAWA, OSTRÓW, PIĘTNO, PLOTKA, POSTĘP, SALOME, SANDAŁ, SPANIE, TATAMI, ZIOMEK, ZURWAN.
Wyrazy 7-literowe: AKROPOL, DEKANAT, ODSŁONA, SZTUKAS, TORONTO.
Wyrazy 9-literowe: KONSTANTA, MOTORÓWKA.

Minisłowniczek trudniejszych wyrazów:
DEKANAT - jednostka administracyjna w Kościele katolickim
ZURWAN - ojciec Ormuzda i Arymana w mitologii irańskiej.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną rozlosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca lutego.

Rozwiązanie z numeru grudniowego: DZISIAJ W BETLEJEM
ANIOŁ PASTERZOM MÓWIŁ

Nagrody książkowe wylosowali: **Anna Kornuta** - Trzyniec
Roman Badura - Rychwałd
Jan Rusz - Bystrzyca n/Olzą

◀ *Fot. FRANCISZEK BAŁON*

MINIKONKURS

W którym roku odbył się ostatni spis ludności i ile osób zadeklarowało polską narodowość?

Odpowiedzi prosimy nadsyłać do końca lutego.
Wyłoniony drogą losowania autor prawidłowej odpowiedzi otrzyma nagrodę książkową.

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny Ministerstwa Kultury RC: F 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE, IČO: 442771, przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN, Tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI, Daniel KADŁUBIEC, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168 Kč, z wysyłką pocztową 240 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701028/00 z dnia 27 VI 2000 r. z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE ZESPOŁY



SUCHA

Chór Mieszany Sucha jest kontynuatorem długoletnich tradycji śpiewaczych w Suchej Górnej, które sięgają roku 1913, kiedy to skupiona wokół Macierzy Szkolnej młodzież założyła chór mieszany. W okresie międzywojennym w Suchej Górnej działało aż 7 chórów (chóry mieszane Lira, Podlesie, chóry męskie Harfa i studentów górnosuskich, młodzieżowy chór mieszany Związku Młodzieży Katolickiej, chór mieszany i męski Kółka Śpiewaczo-Teatralnego). Po II wojnie światowej w historię MK PZKO wpisały się chór mieszany (do 1960 r.), chór żeński Tęcza (1963–1992, dyrygenci Otokar Matuszek, Janina Urbaniec), zespoły wokalne Gama (1953 do dziś) i Melodia (1953–1970).

Chór Mieszany Sucha wywodzi się z chóru męskiego założonego w 1921 r. i reaktywowanego w 1945 r. (dyrygenci Władysław Żurek, Adolf Żyła, Zygmunt Pietraszek). W 1967 r. chór ten łączy się z chórem męskim Hejnał, trzy lata później przybiera nazwę Chór Męski Sucha, skupia śpiewaków z Suchej Górnej i Suchej Średniej. W r. 1992 do chóru dołączył chór żeński Tęcza i powstaje Chór Mieszany Sucha z kierownikiem artystycznym Otokarem Matuszkiem. Od blisko dwu lat chór prowadzi Anna Kiszka. Chór należy do bardzo aktywnych i pracowitych, jest współinicjatorem nowej imprezy śpiewaczej w Suchej Górnej „Pieśnią do naszych serc", która cieszy się coraz to większą popularnością.

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

OT
P.P.
701 028/00
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE ZAOLZIE

LIGOTKA KAMERALNA

Jedna z beskidzkich wiosek pełnych historii. Tu stoi jeden z najstarszych kościołów ewangelickich na Śląsku. W Ligotce Kameralnej są też ośrodki Diakonii Śląskiej tego Kościoła.

Jest tu wiele ośrodków turystyczno-rekreacyjnych.

Największą na Zaolziu sławę przyniósł Ligotce Jan Kubisz – miejscowy nauczyciel. Tu napisał hymn Zaolzia „Płyniesz Olzo" i „Pamiętnik starego nauczyciela".

Dom Kubiszów (na fotografii) stoi do dziś koło drogi i jakby otwiera Ligotkę.





Zwrot

3
2001

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

TACY BYLIŚMY



Chór z Dolnej Łomnej przed szkołą na Kamienitym

W górnym rzędzie od lewej: Paweł Cieciotka, Paweł Krzyżanek, Jan Hrycek, Adam Krzyżanek, Józef Bojko, Paweł Bojko, Józef Krzyżanek.

W dolnym rzędzie od lewej: Joanna Gomolanka, Janina Tolik, Zuzanna Cieciotka, Anna Hrycek, Anna Kohutówna, Zuzanna Kohutówna.

W środku nauczyciel Alojzy Maroszczyk. Fotografię wykonała Wanda Maroszczyk w roku 1936.

Właścicielem fotografii jest Karol Lisztwan z Czeskiego Cieszyna.

ŚWIADECTWO

Redakcja naszego miesięcznika ma swoją siedzibę (dobrze znaną większości czytelników) w Czeskim Cieszynie w budynku PZKO przy ulicy J. Bożka nieopodal granicznej rzeki Olza między dwoma przejściami granicznymi. Takie usytuowanie powoduje, że prawie każdego dnia spotykamy na ulicy przed budynkiem redakcji zbłąkanych polskich turystów, poszukujących różnego rodzaju sklepów, dojścia do granicy, rzadziej zabytków lub przybytków kultury. Jedno łączy naszych rodaków ponad wszelką wątpliwość – zdziwienie, że można tu spotkać ludzi mówiących po polsku, że są tu polskie organizacje, redakcje i szkoły. I za każdym razem niezbędna jest krótka z konieczności lekcja historii, która czasem przeradza się w dyskusję, wyniki której powodują z kolei zdumienie nas, Polaków tu żyjących. Bo oto okazuje się, że Polak gdzieś z głębi Polski wie o swoich rodakach – emigrantach mieszkających na różnych kontynentach, o potomkach Sybiraków, Polakach w Kazachstanie, czy na dawnych wschodnich rubieżach Polski, na Litwie, Ukrainie, Białorusi (głównie dzięki telewizji), ale nie ma świadomości, że w Republice Czeskiej jest również taki zakątek, gdzie żyją Polacy, którzy podobnie jak na Wschodzie, zostając na swojej ojcowiźnie, uświęconej potem i krwią pradziadków, tożsami z kręgiem polskiej kultury narodowej, wyrokiem historii znaleźli się w obcym państwie.

I w tym momencie budzi się we mnie refleksja. Nie mamy wpływu na świadomość i wiedzę naszych rodaków z kraju, ale tym bardziej powinniśmy zadbać o to, by wiedzę o swoim pochodzeniu posiadały kolejne pokolenia tutejszych Polaków, a nie da jej z pewnością czeska Telewizja Nova, z lubością oglądana przez młodych, czy czeskie czasopisma młodzieżowe.

Pamiętajmy, że jesteśmy żywymi świadkami polskiego obszaru narodowego w przeszłości, a nasze dzieci i wnuki będą w przyszłości świadczyć, jaką świadomość tego dziedzictwa otrzymały.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK

Zwrot 3 2001

Rok LII, nr 616
Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 20,00 Kč

W NUMERZE

3	Zaolzie w XX wieku	STANISŁAW ZAHRADNIK
12	Przed Zjazdem Polonii i Polaków z Zagranicy	E. S.
13	II Zjazd Polaków z Zagranicy (1)	RUDOLF WÓJCIK
20	Z góralskiej izby po najwyższe odznaczenia	JAN KORZENNY
24	Z pieśnią przez życie	BRONISŁAW BUŁAWA
26	Przez sito intymności	MAREK SŁOWIACZEK
31	Z pamiętnika Andzi Folwarcznej	GUSTAW FOLWARCZNY
34	Kronika: VI Regionalne Targi Firm Symulacyjnych w czeskocieszyńskiej Akademii Handlowej, Bal Śląski, Zespół Bystrzyca w karnawale, Spotkanie przewodniczących Klubów Kobiet, Internet i PZKO, Srebrne Spinki, Przed Festiwalem Piosenki Dziecięcej, Darina Krygiel i Monika Milerska wystawiały w Orłowej.	
49	Poetyckie pożegnanie XX wieku	Saw
50	Karolina Rusz – poetka religijna	WILHELM PRZECZEK
52	Poezja Karoliny Rusz	
54	Kornel Filipowicz: Ja ciebie nie kocham	
58	Młode pióro: Dariusz Jedzok	
60	Na półkach księgarskich	
61	Polacy poza krajem: Paryski Instytut Literacki	
63	Fotograficy Zaolzia: Radomir Krygiel	
66	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
71	Konkursy Fundacji Młodej Polonii	
74	Mozaika	AMALIA PAWLASOWA

Numer zamknięto 14. 2. 2001
Na okładce: Z przedstawienia „Kwiat paproci" W. Młynka w PSP Jabłonków

ZAOLZIE W XX WIEKU

PRÓBA PODSUMOWANIA PRZEMIAN SPOŁECZNO-NARODOWYCH

Zakończony niedawno XX wiek odznaczał się olbrzymimi kontrastami. Z jednej strony dochodziło do niewiarygodnego dotąd rozwoju we wszystkich dziedzinach życia społecznego, z drugiej strony spotykamy tu niezmiernie tragiczne dla ludzkości zjawiska, jak dwie wojny światowe, faszyzm i stalinizm, coraz bardziej odczuwalne negatywne skutki ekologiczne. Jednak to nie miejsce na ocenę, analizę różnych aspektów (ogólnospołeczne, polityczne, gospodarcze, techniczne, intelektualne, socjalne itp.) minionego wieku. Pragnę natomiast podjąć próbę podsumowania na tle wydarzeń światowych przemian na naszym Zaolziu, które nas Polaków na tym skrawku ziemi najbardziej interesują, to znaczy przemian na płaszczyźnie społeczno-narodowej.

Zaolzie w naszym ujęciu obejmuje etnicznie polski obszar historycznego Księstwa Cieszyńskiego – Śląska Cieszyńskiego, który został w 1920 roku na mocy decyzji Rady Ambasadorów przydzielony Czechosłowacji. Praktycznie jest to obszar byłych powiatów czeskocieszyńskiego i frysztackiego, obejmujący zaledwie 802 km^2. Na przełomie XIX i XX wieku mieszkało tu około 150 tys. osób, w tym 80% Polaków, 10% Czechów i tyluż Niemców, obecnie Polaków jest niewiele ponad 40 tys., co stanowi niespełna 12% ogółu ludności. Od połowy XIX wieku przechodził niespotykane nigdzie indziej przemiany gospodarcze, polityczne, socjalne, demograficzne i narodowościowe. W XX wieku siedmiokrotnie zmieniał przynależność państwową (Austro-Węgry do 1918 r. – okres sporu 1918–1920 – Czechosłowacja 1920–1938 – Polska 1938–1939 – okupacja hitlerowska 1939–1945 – Czechosłowacja 1945–1992 – Republika Czeska od 1993 r.). Polska ludność zaolziańska przetrwała różne burze dziejowe i istnieje do dziś. Zaolzie to również jeden z ważniejszych czynników kształtujących na przestrzeni XX wieku stosunki polityczne i gospodarcze między Polską i Czechami.

Księstwo Cieszyńskie ukształtowało się pod koniec XIII wieku. Rozłożone na granicach południowo-zachodnich Polski, było wystawione na wpływy czeskie i niemieckie. Zmieniały się przynależność państwowa, zwierzchność, języki urzędowe, ale polska mowa ludu pozostała. Szczególnie to było widoczne w szkolnictwie i kościele.

Uwolnienie z pęt pańszczyzny i rewolucyjny podmuch 1848 roku oraz miejscowe bogactwa naturalne i położenie strategiczne umożliwiły niespotykany dotąd rozmach Śląska Cieszyńskiego pod każdym względem. Rodzi się nowa warstwa społeczna robotników. Wzrasta ogólne znaczenie Śląska Cieszyńskiego i zainteresowanie nim, zwłaszcza ze strony czeskiej. Zanika dotychczasowa współpraca między przedstawicielami ludności czeskiej i polskiej, wzrastają tendencje germanizacyjne. Wymownym dowodem wysokiego stopnia polskiego uświadomienia narodowego było utworzenie w 1914 roku Legionu Cieszyńskiego z gimnazjalnej i socjalistycznej młodzieży polskiej.

Po upadku Monarchii Austro-Węgierskiej jesienią 1918 roku powstaje dwuletni zażarty spór o przynależność państwową Śląska Cieszyńskiego między Polską i Czechosłowacją. Spór z problemu lokalnego przerodził się w międzynarodowy. Strona czeska argumentowała prawem historycznym (od połowy XIV wieku Księstwo Cieszyńskie było częścią składową ziem czeskich) i niezbędnością ekonomiczną (kolej koszycko-bogumińska i węgiel kamienny), strona polska polskim charakterem etnicznym tego obszaru. W złożonych warunkach ówczesnego Zaolzia większość ludności miejscowej wyrażała zdecydowaną wolę przynależności do Polski. W styczniu 1919 miał miejsce zbrojny najazd Czechów na sporny obszar. Spór miał być załatwiony na podstawie plebiscytu. Ostatecznie 28 lipca 1920 roku Rada Ambasadorów wydała decyzję o podziale Śląska Cieszyńskiego pomiędzy Polskę i Czechosłowację. Polsce przyznano 1012 km^2 i 139 tys. mieszkańców, Czechosłowacji 1270 km^2 i 290 tys. mieszkańców. Górnictwo, przemysł hutniczy i kolej koszycko-bogumińską otrzymała Czechosłowacja.

W ostatecznym rozrachunku nie zwyciężyła zasada etnograficzna ani wola ludności miejscowej, ale lepsze stosunki Czechów z Zachodem, czynniki gospodarczo-polityczne, które przechyliły szalę wagi na korzyść Czechosłowacji. Decyzja nie usatysfakcjonowała żadnej ze stron.

Po ustaleniu granicy okazało się, że Polacy w Czechosłowacji zamieszkują, jako zwarta grupa, dwa powiaty: frysztacki i czesko-

cieszyński, czyli Zaolzie. Tutaj koncentrowały się główne problemy związane z bytem narodowym Polaków w Czechosłowacji.

Bezpośrednio po podziale dochodzi na Zaolziu do radykalnych zmian politycznych i demograficznych, zwłaszcza w strukturze narodowościowej. Spis ludności z 1921 roku wypaczał liczbę Polaków, która obniżyła się w stosunku do roku 1910 z 125 tys. do 67 tys. Polacy tworzyli najsłabszą warstwę ekonomiczną – byli chłopami, robotnikami, górnikami, bez większego kapitału.

Obowiązujący w Czechosłowacji system formalno-prawny zapewniał mniejszościom narodowym, w tym i Polakom, stosunkowo szerokie uprawnienia, lecz ich stosowanie w praktyce napotykało na poważne trudności i umożliwiało ucisk narodowościowy i czechizację. Status ludności polskiej normowała Konstytucja Republiki Czechosłowackiej, szereg ustaw zwyczajnych i rozporządzeń oraz umowa czechosłowacko-polska z 23 kwietnia 1925 roku.

Polska ludność Zaolzia, wykorzystując swe prawa, rozpoczęła aktywną działalność narodową na wszystkich odcinkach życia społecznego, działalność lojalną wobec państwa. Naczelną dewizą wszelkich poczynań była ochrona przed czechizacją i wynarodowieniem. Oprócz bogatych form organizacyjnych istniał płodny ruch wydawniczy. Szkolnictwo polskie dzieliło się na publiczne i prywatne. Czechizacja była główną przyczyną spadku liczby uczniów z 22 tys. w 1914 do 9,5 tys. w 1938 roku. W walce z przejawami ucisku narodowego liczyły się siły całego społeczeństwa polskiego. W zależności od wymogów dnia walka przybierała większe nasilenie, raz z uciskiem gospodarczym, innym razem z uciskiem politycznym, kulturalnym czy socjalnym.

W drugiej połowie lat 30. przedstawiciele polscy potęgują swe wysiłki mające na celu dotrzymywanie praworządności, równouprawnienia i uzyskanie autonomii. Zabiegi te rokowały duże nadzieje, lecz ich urzeczywistnieniu przeszkodziły wydarzenia monachijskie 1938 roku.

W pierwszych dniach października 1938 Polska zajęła na podstawie ultimatum sporny obszar z lat 1918–1920, czyli Zaolzie. Odstąpiony obszar oznaczał dla Polski podniesienie jej znaczenia gospodarczo-strategicznego. Zdecydowana większość miejscowej ludności polskiej witała zmianę jako wyzwolenie spod władzy czeskiej. Na zajętym obszarze wprowadzono polski język urzędowy, organizacje i instytucje czeskie oraz komunistyczne zlikwidowano i zakazano. Większość personelu czeskiego i osób zaangażowanych w działalność antypolską opuściło dobrowolnie lub pod przymusem Zaolzie. Dotychczasowy ucisk ludności polskiej prze-

mienił się w ucisk ludności czeskiej. Ostry kurs antyczeski zelżał po zajęciu Czechosłowacji przez Hitlera w marcu 1939 roku.

Entuzjazm, który udzielał się początkowo ludności polskiej, w konfrontacji z rzeczywistością stopniowo malał. Nowe władze często zapominały o zasługach i istnieniu miejscowych Polaków. Życie społeczne i narodowe ludności zaolziańskiej dostosowano do modelu ogólnokrajowego. Walkę z tzw. „okupantami beckowskimi" prowadziła czeska organizacja podziemna „Slezský odboj" bez szerszego poparcia ludności miejscowej.

Z pierwszym dniem drugiej wojny światowej, 1 września 1939 roku, rozpoczął się niespełna sześcioletni okres okupacji hitlerowskiej, najczarniejszy i najboleśniejszy w nowożytnej historii Zaolzia. Obszar ten wcielony do Rzeszy Niemieckiej miał dla niej wyjątkowe znaczenie, zwłaszcza gospodarcze.

Hitlerowcy od razu konsekwentnie przystąpili do realizacji swej polityki rasistowskiej – do likwidacji Żydów, inteligencji polskiej i byłych czołowych działaczy społecznych i narodowych. Polityka eksterminacyjna przybierała różne formy: więzień, obozów koncentracyjnych, prac przymusowych, masowych mordów, wywłaszczeń, wysiedleń, podatków wojennych, mniejszych przydziałów kartkowych, bezwzględnej germanizacji, upośledzeń na co dzień jako ludzi niższej kategorii rasowej. Wszystkie dotyczyły w głównej mierze ludności polskiej. Największy mord masowy miał miejsce 6 sierpnia 1944 roku w Żywocicach, gdzie zastrzelono 36 miejscowych obywateli. Wzmagający się ruch oporu miał charakter przede wszystkim narodowowyzwoleńczy, ale też socjalistyczny i komunistyczny. Na Podbeskidziu istniała partyzantka. Zaolziacy dzielnie walczyli z hitlerowcami na wszystkich frontach II wojny światowej.

Rasistowska polityka okupanta, różne formy walki z faszyzmem i represje stalinowskie spowodowały, że Zaolzie poniosło dotkliwe straty w ludziach: około 2 000 (w tym co najmniej 80% Polaków) zginęło w obozach koncentracyjnych, więzieniach i w walce z faszyzmem, ponad 400 (niemal wyłącznie Polacy) z rąk stalinowskich oprawców, wyniszczono ponad 2 500 Żydów, więcej niż 1 000 osób poległo na frontach wcielonych pod przymusem do Wehrmachtu, razem ponad 6 000 ofiar, tj. ok. 3% ogółu ludności Zaolzia. Tak wysokiej daniny krwi z czasów okupacji hitlerowskiej i II wojny światowej nie wykazują żadne inne okręgi Czech. Oprócz ofiar w ludziach II wojna światowa spowodowała szereg dotkliwych szkód materialnych i moralnych, które pozostawiły w społeczności zaolziańskiej niezatarte ślady.

Wyzwolenie spod okupacji hitlerowskiej na początku maja 1945 oznaczało dla Zaolzia powrót do Czechosłowacji. Sytuacja ludności polskiej w pierwszych latach po wyzwoleniu była bardzo trudna, nabrzmiała niepewnością jutra. Odgrywały tu rolę takie czynniki jak nowy charakter republiki, rok 1938, następstwa II wojny światowej, niewyjaśniona sprawa granicy państwowej i ostra walka polityczna. Od 1946 roku nasila się działalność antypolska, zwłaszcza ze strony czeskiej partii narodowosocjalistycznej pod wodzą Fr. Uhlířa. Próby wysiedlenia Polaków z Zaolzia do Polski nie doszły do skutku. Również usiłowania władz polskich mające na celu przyłączenie Zaolzia do Polski nie dały rezultatu. Usiłowania reaktywowania przedwojennych bogatych form życia organizacyjnego napotykały na stanowczy sprzeciw władz czechosłowackich. Dzięki niezmiernej ofiarności działaczy miejscowych i przychylności komunistów udało się wskrzesić szkolnictwo polskie, rozwinąć półlegalną działalność kilku stowarzyszeń i wydawać własne pismo Głos Ludu.

Sytuacja stopniowo stabilizowała się i to nie tylko na szczycie obu państw, ale i na Zaolziu. Dnia 10 marca 1947 roku dochodzi do zawarcia umowy o przyjaźni i wzajemnej pomocy między Polską i Czechosłowacją. Protokół Dodatkowy do tej umowy regulował prawa narodowe Polaków w Czechosłowacji oraz Czechów i Słowaków w Polsce. Władze czechosłowackie zezwoliły na utworzenie dwu nowych organizacji polskich: Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego (PZKO) i Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej (SMP), likwidując ostatecznie całe przedwojenne polskie życie organizacyjne. Równocześnie zakończyły się niepomyślnie starania o odzyskanie pokaźnych majątków byłych organizacji polskich i utworzenie polskiej organizacji spółdzielczej. Nowa konstytucja czechosłowacka zapewniała ludności polskiej tylko prawa obywatelskie, władze komunistyczne zaś prawo do kultury i szkolnictwa z polskim językiem nauczania. Każdy przejaw walki Polaków o zmianę lub poszerzenie praw narodowych był w zarodku stłumiony (np. „Platforma" Pawła Cieślara).

Nowe organizacje polskie PZKO i SMP rozwijały się od początku bardzo pomyślnie. Zaktywizowano Harcerstwo Polskie w Czechosłowacji i dynamicznie rozwijało się życie sportowe. Polskiemu szkolnictwu podstawowemu i średniemu udało się zapewnić dobre warunki rozwojowe. Wzmaga się ruch wydawniczy, twórczość literacko-artystyczna. W 1951 roku powstaje zawodowa Scena Polska przy czeskocieszyńskim teatrze, od 1949 roku wychodzi miesięcznik ZWROT, organ PZKO.

W połowie 1952 roku dochodzi niby to do połączenia polskiego ruchu młodzieżowego i sportowego z czeskim, co w praktyce oznaczało jego likwidację. W ten sposób na niespełna cztery dziesięciolecia pozostały Polakom na Zaolziu tylko kultura i szkolnictwo z polskim językiem nauczania.

Dalsze losy bytu narodowego Polaków na Zaolziu przebiegały zgodnie z wytyczoną przez Komunistyczną Partię Czechosłowacji drogą budowania socjalizmu. Wszystko podporządkowuje się wąsko pojętemu rozwojowi gospodarczemu i ideologii komunistycznej, a w stosunkach międzyludzkich internacjonalizmowi proletariackiemu. Rozmach gospodarczy (górnictwo i hutnictwo żelaza) pociągał za sobą wzrost ludności napływowej, zmiany struktury socjalnej i narodowościowej. Ludność Zaolzia wzrosła w latach 1950–1991 z 220 tys. do 368 tys., ludność polska w tym okresie zmalała z 59 tys. do 43,5 tys. i stanowiła niespełna 12% ogółu ludności Zaolzia.

Od lat 60. pogarsza się stan szkolnictwa polskiego. W latach 1961–1992 obniżyła się liczba szkół podstawowych z 84 do 29, zaś uczniów z 6 do 3 tysięcy.

W Praskiej Wiośnie 1968 roku polska ludność na Zaolziu od razu włączyła się aktywnie w demokratyzację życia. Rolę rzecznika interesów Polaków przejmuje PZKO. Deklaruje się po stronie reform, wysuwając równocześnie szereg postulatów w kwestii narodowej. Dochodzi do reaktywowania Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej i Harcerstwa Polskiego w Czechosłowacji.

Następstwa krótkotrwałego okresu odwilży i aktywnego zaangażowania się w nim polskiej społeczności Zaolzia były dla niej podwójnie bolesne: podporządkowano ją znów bezwzględnej władzy partyjnej oraz usunięto jej czołowych działaczy. Dyskryminacje przeprowadziły władze partyjne również za pośrednictwem Zarządu Głównego PZKO.

Należy podkreślić olbrzymie zasługi PZKO w podtrzymywaniu polskości na Zaolziu. Pomimo niesprzyjających warunków, nacisków władz partyjnych ofiarność, poświęcenie i trud tysięcy jego członków przynosiły bogate owoce. Pod koniec lat 80. Związek liczył 94 Koła Miejscowe rozsiane po całym Zaolziu i przeszło 24 tys. członków, co stanowiło połowę polskiej społeczności zaolziańskiej. Działalność Związku utrzymywała się na wysokim poziomie. Do najaktywniejszych sekcji należały Sekcja Literacko-Artystyczna, Sekcja Folklorystyczna, Sekcja Historii Regionu, Kluby Kobiet, Kluby Młodzieży, Klub Nauczycieli Emerytów. Odradza się życie sportowe w ramach Związku. Właściwą treścią działania PZKO jest śpiew, ta-

niec, muzyka, amatorski ruch teatralny i różne formy pracy oświatowej w Kołach Miejscowych.

Rozwinął się polski ruch wydawniczy. Pojawiają się periodyki, kalendarze i pozycje literackie miejscowych twórców. Brakuje potrzebnych, a dla władz komunistycznych niepopularnych prac historycznych, dlatego drukowano je częściowo w Polsce. Kontakty z Polską pomimo utrudnień władz rodziły się żywiołowo, oddolnie, z potrzeby chwili, przede wszystkim na polu kulturalno-oświatowym.

Społeczność polska może poszczycić się pięknymi wynikami nie tylko w pracy zespołowej, ale i indywidualnej. Z jej szeregów wywodzą się naukowcy, artyści, literaci, wybitni fachowcy na stanowiskach, sportowcy. Oprócz dorobku duchowego osiągnięto pokaźny dorobek materialny, m.in. w formie dziesiątków pięknych Domów PZKO, z których korzystają wszyscy miejscowi Polacy i nie tylko.

Dzień 17 listopada 1989 oznacza ostateczny upadek totalitaryzmu komunistycznego w Czechosłowacji. Rozpoczyna się trudna droga do demokracji. Zaistniała sytuacja społeczno-polityczna stwarza dla ludności polskiej na Zaolziu nowe możliwości życia narodowego. Wyłania się potrzeba stosowania nowych form pracy, nowego podejścia do tradycji, patriotyzmu opartego na bogatym, ostatnio niedostatecznie pielęgnowanym dorobku przodków. Nowa sytuacja stwarza przesłanki do pluralizmu poglądów.

Społeczność polska włącza się aktywnie w zachodzące przemiany demokratyczne, a równocześnie przystępuje do poszerzenia własnych, nowych form życia narodowego. PZKO przystosowuje swoją działalność do nowych warunków, stopniowo powstaje ponad 20 nowych organizacji i stowarzyszeń polskich na czele z Kongresem Polaków i jego organem wykonawczym Radą Polaków. Władze państwowe nie czynią żadnych trudności formalnych w tym kierunku, z drugiej strony wciąż czeka na uporządkowanie cała dziedzina praw narodowościowych. Pod koniec roku 1991 zdołano odzyskać dzięki wydatnej pomocy materialnej Polski centrum działań polonijnych od początku lat trzydziestych – Hotel Polonia, obecnie Piast w Czeskim Cieszynie, który w drugiej połowie lat 90. z powodu niefortunnych pociągnięć znów utraciliśmy i walka o jego odzyskanie trwa. Coraz większe poparcie moralne i materialne znajdują Zaolziacy w Polsce.

Historia nas uczy, że bez walki, bez własnej siły politycznej, bez własnego zaangażowania i optymalnego wykorzystania wszystkich zdrowych sił społeczeństwa nie można osiągnąć w pełni pożądanych wyników.

Na zakończenie spróbujmy wskazać ważniejsze przyczyny zaistniałych przemian na Zaolziu w dziedzinie struktury narodowościowej. Nasuwa się proste pytanie, jak to możliwe, że społeczność polska na Zaolziu o tak wysokim poczuciu uświadomienia narodowego i społecznego, o takim dorobku kultury duchowej i materialnej, która przez wieki nie ulegała wynarodowieniu pomimo obcego, narzuconego języka w urzędach, kościele i szkole, w ciągu zaledwie ośmiu dziesięcioleci XX wieku dochodzi do tak katastrofalnego załamania i ubytku stanu posiadania.

Uważam, iż olbrzymie zmiany zaistniałe w tym względzie – przypomnijmy 80% ludności polskiej w 1900 roku i niespełna 12% w 1991 roku – były spowodowane oprócz zawirowań dziejowych głównie czynnikami zewnętrznymi, często w sposób wyrafinowany przeprowadzanymi przez władze rządzącej większości pociągnięciami. Przy czym istnieją zasadnicze różnice sytuacji okresu międzywojennego i powojennego. Do roku 1945 były to: niedotrzymywanie przyznanych praw, skryte formy czechizacji, naciski ekonomiczne, katastrofalne skutki okupacji hitlerowskiej zwłaszcza w ofiarach ludzkich. Po 1945 roku: niewłaściwa polityka narodowościowa partyjno–rządowa, olbrzymi napływ sił roboczych z Czech, Moraw i Słowacji, wzrost odsetka narodowościowo mieszanych małżeństw, chroniczny wzrost przeciętnego wieku, szkody górnicze powodujące rozbicie dotychczasowej zwartości ludności polskiej, niektóre pociągnięcia władz państwowych (np. reorganizacja administracji terenowej w 1960 roku, rygorystyczne stosowanie czynników ekonomicznych w szkolnictwie polskim, brak odpowiedniej legislatywy), dalej ograniczone możliwości własnego życia narodowego, brak własnej bazy gospodarczej, brak głębszego zainteresowania ze strony Macierzy, spadek społecznego zapotrzebowania na język polski w życiu codziennym, brak bodźców do podtrzymywania świadomości narodowej i polskich tradycji kulturalnych. To są moim zdaniem główne przesłanki przyspieszonej, nienaturalnej asymilacji Polaków na Zaolziu. To, czego nie udało się dokonać przez wieki, dokonano w ciągu 80 lat istnienia Czechosłowacji czy Republiki Czeskiej.

Napawa optymizmem fakt, że Polacy na Zaolziu, chociaż stanowią dziś niewiele ponad 10% ogółu ludności, są na polu kultury i pracy społecznej bardziej widoczni niż społeczność większościowa.

STANISŁAW ZAHRADNIK

Fot. JAN MYRDACZ ▶



PRZED ZJAZDEM POLONII I POLAKÓW Z ZAGRANICY

Latem ubiegłego roku podczas spotkania z okazji obchodów dziesięciolecia Stowarzyszenia Wspólnota Polska prezesi głównych organizacji polonijnych świata postanowili zwołać w roku 2001 II Zjazd Polonii i Polaków z Zagranicy. *Uznano wówczas, że osiem lat, które upłynęły od poprzedniego Zjazdu wymaga podsumowania, a otwierające się przed nami kolejne tysiąclecie przynosi wyzwania mobilizujące do poszukiwania nowych form działania i współpracy. Uczestnicy, obradujący pod hasłem „Polonia i Polacy u progu nowego tysiąclecia", spróbują odpowiedzieć na pytanie, jaką wartością jest dla nich polskość i co uczynić, aby wartość tę ocalić, w dzisiejszym, tak szybko zmieniającym się świecie.* Te słowa prof. Andrzeja Stelmachowskiego, prezesa Stowarzyszenia Wspólnota Polska, popłynęły w świat wraz z zaproszeniami na Zjazd. Jego uczestnikami będzie około 300 delegatów polonijnych organizacji społecznych, kulturalnych, oświatowych z zagranicy oraz goście reprezentujący instytucje naukowe i kulturalne poza granicami kraju, duszpasterstwo Polonii, prasę polonijną, naukowców zajmujących się problematyką polskich i polonijnych środowisk za granicą oraz wybitne osobistości życia polskiego w świecie.

II Zjazd Polonii i Polaków z Zagranicy odbędzie się w Warszawie, Pułtusku i Krakowie w dniach od 28 kwietnia do 2 maja br. W dniu 3 maja uczestnicy Zjazdu wezmą udział w pielgrzymce na Jasną Górę, aby wspólnie modlić się o pomyślność Ojczyzny w święto Matki Bożej Królowej Polski. Otwarcie Zjazdu będzie miało miejsce w Teatrze Polskim w Warszawie w obecności prezydenta RP, premiera RP, prymasa Polski, marszałków Sejmu i Senatu. Obrady merytoryczne odbędą się w Domu Polonii w Pułtusku. Delegaci będą obradować w komisjach zjazdowych. Przewidziane jest pięć komisji: Komisja ds. Polaków za Granicą, Komisja Promowania Spraw Polskich w Świecie, Komisja ds. Duszpasterstwa, Komisja ds. Oświaty i Młodego Pokolenia, Komisja ds. Pomocy Socjalnej, Charytatywnej i Problemów Repatriacji oraz Komisja Organizacyjno-Wnioskowa. W drugiej części Zjazdu uczestnicy wezmą udział w obchodach Dnia Emigranta w Krakowie, któremu towarzyszyć będą występy zespołów polonijnych.

II Zjazd Polonii i Polaków z Zagranicy odbędzie się pod hasłem „Polacy i Polonia u progu nowego tysiąclecia", a głównymi tematami obrad prowadzonych w komisjach będą następujące kwestie:

1.Co kształtuje nową wartość polskości w XXI wieku.

2.Ocena tego, co Kraj zrobił dla naszych Rodaków za granicą.

3.Co Kraj zawdzięcza Polonii.

Organizację Zjazdu powierzono Stowarzyszeniu Wspólnota Polska, niemniej ważną rolę dla jego zaistnienia ma Senat RP z marszałek prof. Alicją Grześkowiak na czele oraz Senacka Komisja Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. Senat RP tradycyjnie od czasów II Rzeczpospolitej sprawuje w imieniu państwa polskiego opiekę nad zamieszkałymi poza granicami kraju rodakami.

E.S.

W tym numerze rozpoczynamy druk pamiętnika uczestnika II Zjazdu Polaków z Zagranicy, który miał miejsce w Warszawie w roku 1934. Autorem tego niezwykłego dokumentu historycznego pieczołowicie odtwarzającego fakty i atmosferę spotkania Polaków z całego świata jest jego uczestnik Rudolf Wójcik z Rychwałdu. Oryginalny dokument jest przechowywany w Domu PZKO w Skrzeczoniu.

II ZJAZD POLAKÓW Z ZAGRANICY (1)

Polacy są jednym z narodów najbardziej rozproszonych po świecie. Kiedy w kraju mieszka 26 mil., za granicą przebywa 8 mil., co stanowi 27%. Na każdych zatem trzech Polaków przybywa jeden za granicą. Zadaniem więc Macierzy jest zorganizowanie życia polskiego w ten sposób, aby mógł w nim uczestniczyć każdy Polak czy to w kraju, czy za granicą.

Problem ten istniał już przed laty i wówczas skupiał uwagę najtęższych umysłów, jednak szczególniejszego znaczenia nabrał po wojnie. Okres pierwszych lat niepodległości pochłonął uwagę całego społeczeństwa dla pracy wewnątrz państwa, wiele trudu i krwi kosztowało wybudowanie Polski takiej, jaką mamy dziś. W tym trudnym okresie, kiedy Polacy za granicą byli zdani tyko na własne siły, przed 8 mil. Polonią zagraniczną powstał problem „być albo nie być". Czy pozostać ma na dotychczasowych terenach, czy też gromadnie wracać do Polski. W szczególności problem ten nabierał znaczenia na terenach przygranicznych.

Polaków zagranicznych dzielimy bowiem na 2 grupy: 1. mniejszości, 2. emigracja.

Do pierwszej grupy należą Polacy zamieszkali poza krajem na ziemiach etnograficznie i historycznie polskich wzdłuż obecnej granicy Rzeczypospolitej, a więc poczynając od Litwy, przez Niemcy, Śląsk, Rumunię do Sowietów.

Do drugiej grupy należą ci, co opuścili Polskę bądź to chroniąc się przed prześladowaniem zaborców, bądź też w poszukiwaniu chleba.

Zwróćmy się teraz myślą do pierwszych lat państwa polskiego. Przeprowadzone granice nie zadowoliły wszystkich Polaków; na terenach przygranicznych powstało wielkie rozżalenie, gdyż wiele ziem, rdzennie polskich, zostało za granicami. Na terenach dzisiejszej Czechosłowacji, gdzie my mieszkamy, mamy zwartą i zorganizowaną grupę Polaków, również silny żywioł polski był na terenie Litwy, Inflant polskich, w Rumunii na

Bukowinie i wszędzie tam, wskutek bardzo trudnych warunków powstało zagadnienie, czy wracać do kraju, czy też przetrzymać na miejscu trudny okres. I nastąpiło to charakterystyczne przegrupowanie: zamożniejsi zaczęli wracać do Polski, natomiast chłopi i robotnicy zostawali, gdyż zwyciężył u nich instynkt narodowy, który nakazał im trwać na obcym i zachować je dla Polski.

Na terenach emigracji również powstał podobny problem. Wielu więc wynarodowiło się, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych.

Ogólnie jednak instynkt narodowy Polaków zwyciężył i zachował polskość w masach. Oczywiście, pewien procent odszedł i wynarodowił się, ale były to raczej zjawiska jednostkowe; masy trwają silnie przy polskości, starają się skupiać, organizować, wiązać z krajem.

Pod względem organizacyjnym życie Polaków za granicą cechuje daleko idące rozbicie. Początkowo organizacji było bardzo dużo i z reguły były one między sobą w ciągłej wojnie, nie chcąc się łączyć nawet dla obrony wspólnych interesów.

Niestety były tam zawlekane nawet kłótnie z kraju. Za granicę wyjeżdżali różni emisariusze, którzy, operując hasłami patriotyzmu, zbierali datki. Nic też dziwnego, że wkrótce zapanował prąd niechęci do tych przybyszów z kraju, wyzyskujących miłość Polonii zagranicznej do kraju dla swoich prywatnych nieraz celów.

Mimo tego Polonia zagraniczna dużo wówczas zrobiła dla budującego się państwa polskiego; wszystkich jednak możliwości nie wykorzystano, gdyż i w kraju byliśmy w rozbiciu. Sprawami Polonii zagranicznej zajmowało się w kraju około 30 organizacji, między którymi były ciągłe tarcia, walki i spory.

W tych nastrojach powstało groźne niebezpieczeństwo utraty wielkiego kapitału polskich sił za granicą. Wówczas rzucono hasło Pierwszego Zjazdu Polaków z Zagranicy. Trzeba było zwołać reprezentantów Polonii zagranicznej, aby oni zdecydowali, jaki ma być stosunek Polonii do kraju. Zjazd skupił wszystkie zagraniczne środowiska polskie w osobach 120 delegatów tych środowisk. Przygotowania do Zjazdu trwały 4 lata, które upłynęły na ciężkiej, mozolnej pracy. W r. 1929 Zjazd się odbył i dzięki pracom przygotowawczym spotkał się już z ogromnym zrozumieniem i entuzjazmem. Protektorat nad Zjazdem objął prezydent Rzeczypospolitej, obrady toczyły się w gmachu Sejmu, a cały kraj stworzył taką atmosferę serdeczności, jaką rzadko się spotyka. W stosunku do spraw Polonii zagranicznej w momencie Zjazdu wszystkie odłamy społeczeństwa polskiego jasno i wyraźnie określiły swój stosunek w sposób uczuciowy, miłości bratniej, a jednocześnie w pełnym zrozumieniu znaczenia tych spraw dla państwa i na-

rodu. Zjazd obradował 5 dni i w końcu manifestacyjnie określił w imieniu wszystkich wychodźców przynależność do narodu polskiego i silne więzy, łączące z krajem. Jednocześnie rzucił szereg haseł i idei, które dziś są podstawą do działania w kraju i za granicą. Powołano do życia Radę Organizacyjną Polaków z Zagranicy, jako instytucję dla realizowania haseł i idei wysuniętych przez Zjazd.

W powziętej deklaracji uchwalone zostały między innymi dwa naczelne postulaty:

1. *aby wszędzie, gdzie mieszkają za granicą Polacy, organizowano centralne instytucje dla zgodnej współpracy z krajem,*
2. *aby w każdej dziedzinie życia zachowano ścisłą łączność z Macierzą.*

Wszystkie powyższe uchwały Pierwszego Zjazdu Polaków z Zagranicy w całej pełni zostały urzeczywistnione na drugim zjeździe, jaki odbył się 5 sierpnia 1934 r.. II Zjazd Polaków z Zagranicy jest wielkim wydarzeniem w życiu Polonii zagranicznej i jej współpracy z Polską; Zjazd ten przetworzył Radę Organizacyjną w instytucję o charakterze światowym, na tzw. Światowy Związek Polaków z Zagranicy.

W dniu tym cała Polska ubrana nimbem odświętnym witała braci i siostry z obczyzny. Szczególnie przyjmowała ich stolica Polski Warszawa, dokąd kierował się każdy Polak z zagranicy. Nie brak więc rodaków naszych, którzy w największej liczbie reprezentowali Polonię zagraniczną, nie brak ich z Niemiec, Francji, Rumunii i Łotwy. Nawet Ameryka i Chiny są zastąpione.

II Zjazd Polaków z Zagranicy rozpoczął się 5 sierpnia br. wspaniałą rewią wojska polskiego. Gdy już 100 000 ludzi zajęło miejsca na trybunach i sąsiednich trawnikach błoń mokotowskich, rozlega się trąbka wojskowa: na pole wjechał gen. Jarnuszkiewicz, dowódca korpusu warszawskiego, w otoczeniu licznej świty. Cała grupa konna kłusem przebiegła między formacjami wojskowymi, dokonując ostatniego przeglądu sił przed przyjazdem zwierzchnika wojska polskiego pana prezydenta RP.

Przed godziną dziesiątą przybył pan prezydent w otwartym samochodzie i odebrał raport od gen. Jarnuszkiewicza, następnie pan prezydent przejechał przed frontem wszystkich pułków i zbliżył się do trybuny honorowej, gdzie zajął miejsce wraz z małżonką wśród członków rządu, generalicji korpusu dyplomatycznego i przedstawicieli Polonii zagranicznej.

O godzinie dziesiątej punktualnie rozpoczęła się Msza św. polowa przed ołtarzem ustawionym na samochodzie ciężarowym, okrytym szkarłatem i bielą. Mszę św. celebrował biskup polowy Gawlina w asyście kilku kapelanów wojskowych. Podczas nabożeństwa pienia religijne wykonał chór męski i przygrywała zjednoczona orkiestra trzech pułków warszawskich.

Msza trwała 20 minut, po czym ks. biskup Gawlina zaintonował: „Boże, coś Polskę", podchwyconą przez chór i całą zgromadzoną publiczność. Wojsko prezentowało broń.

Gdy nabożeństwo zostało skończone, gen. Jarnuszkiewicz, jako dowodzący całością, dał komendę przegrupowania oddziałów do defilady. Zmasowane przed trybunami pułki wszystkich rodzajów broni cicho, sprawnie, prawie niespostrzeżenie poczęły odsuwać się na dalszy plan, aż znikły niemal z oczu, otwierając przed publicznością olbrzymią perspektywę Pola Mokotowskiego.

Była godzina 10 minut 40, gdy gen. Kasprzycki, pierwszy wiceminister spraw wojskowych, zameldował panu prezydentowi, że wszystkie przygotowania do defilady są ukończone, i zapytał, czy może dać rozkaz jej rozpoczęcia.

Wysunęły się trzy połączone orkiestry pułków piechoty i zagrały marsz „Pierwszej Brygady". Pan prezydent dał znak rozpoczęcia defilady.

Wszystkie oczy otworzyły się w kierunku, gdzie w oddali widać było czoło niekończącej się kolumny wojska. Naprzód leciały rojami lekkie aeroplany myśliwskie. Było ich 6 roi, po 9 w każdym. Następnie nadleciały samoloty liniowe, także 6 rojami po 9 w każdym. Później szły trzy ciągi samolotów towarzyszących, cztery ciągi ciężkich maszyn bombardowych o 3 silnikach, wreszcie leciały eskadry zapasowe po 5 rojów. Ogółem na firmamencie niebieskim znalazło się od razu około 200 samolotów, które przeleciały nad trybunami w kierunku miasta, a następnie, zatoczywszy wielki łuk, poczęły się rozpadać na roje i klucze, aby kolejno lądować na nowym lotnisku wojskowym na Okęciu.

Ledwie znikło to imponujące widowisko w górze, gdy nowy wspaniały obraz odsłonił się przed oczyma widzów. Rozpoczęła się defilada prowadzona przez dowódcę korpusu warszawskiego gen. brygady Jarnuszkiewicza.

Czoło defilady stanowił batalion Szkoły Podchorążych Piechoty pod dowództwem płk. Bociańskiego. Cały batalion przybrany był we wspaniałe mundury historyczne z 31 roku, a gdy tak szedł przy dźwiękach „Warszawianki", zdawało się, że odżyła wizja sprzed 100 lat. Tak samo w mundurach historycznych przedefilowała podchorążówka inżynierii, wzbudzając zachwyt i wywołując burzliwą owację ze strony widzów.

Po tym pokazie wspaniałego wojska polskiego z odległej przeszłości ujrzeliśmy jego formacje nowoczesne. Sztandary chylą się przed zwierzchnikiem sił zbrojnych państwa.

Po tej demonstracji nowoczesności i techniki jakby dla kontrastu pokazano nam tradycyjną broń polską - konnicę. Ruszyła kurz-galopem druga dywizja kawalerii pod dowództwem popularnego gen. Bolesława Wie-

niawy-Długoszowskiego, którego pojawienie się na pięknym rumaku wywołało entuzjastyczne oklaski.

Zmotoryzowany batalion piechoty na samochodach ze sterczącymi równiutko bagnetami zakończył wspaniały przegląd wojska, po czym maszerowały jeszcze oddziały Przysposobienia Wojskowego pod dowództwem ogólnym ppłk. Czuryłło. Wszystkie głowy odkryły się przed kolumną pocztów sztandarowych, przedstawiającą historyczną formację wojska polskiego. Legionistów Hallerczyków, Dowborczyków, Murmańczyków, Żeligowszczyków, Bayończyków itd. Ten żywy przegląd historii formowania wojska polskiego był szczególnie interesującym dla przedstawicieli naszej emigracji.

Z kolei postępowały oddziały właściwego Przysposobienia Wojskowego, więc batalion kolejarzy, batalion poczciarzy, batalion tramwajowy, trzy bataliony Związku Rezerwistów, 8 kompanii strzelców, następnie strzelcy na rowerach, strzelczynie, Przysposobienie Wojskowe kobiece, harcerki, harcerze z lasem chorągwi o barwach narodowych i wreszcie kilkanaście samochodów LOPU z obsługą przeciwgazową w maskach i kostiumach ochronnych. Ta obrona przeciwgazowa zakończyła defiladę.

Defilada wywołała wprost oszałamiające wrażenie na Polakach z zagranicy, którzy mieli łzy radości w oczach, widząc potęgę militarną państwa polskiego.

O godzinie 12 minut 20 przegląd wojsk był ukończony.

Po rewii rozpoczęło się formowanie wielkiego pochodu delegacji i gości zagranicznych.

Przybysze z każdego państwa grupowali się przy odpowiednim transparencie, ozdobionym Orłem Białym i napisem danego państwa. Około godziny pierwszej ruszył pochód Polaków przybyłych z 20 kilku krajów. Wśród nich rzucają się w oczy zgrabni zapaśnicy i zapaśniczki, biorący udział w pierwszej Olimpiadzie Polaków z Zagranicy. Pochód z orkiestrami na czele przedefilował głównymi ulicami miasta, oklaskiwany przez tłumy warszawiaków, gromadzących się na chodnikach i w otwartych oknach. Całe miasto ogarnięte jest wielkim entuzjazmem dla rodaków z obczyzny i dla oddziałów wojska, które po świetnej rewii wracają do koszar i do miejsc zbiórki, skąd powrócą do swoich stałych garnizonów.

Po ukończonej rewii wojskowej na Polu Mokotowskim wszyscy uczestnicy Drugiego Zjazdu Polaków z Zagranicy, przedstawiciele Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy oraz legioniści, strzelcy, harcerze, Legion Młodych i organizacja młodzieży pracującej utworzyli pochód, który udał się do Belwederu, by złożyć hołd p. marszałkowi Piłsudskiemu.

Na ulicach, którymi przechodził pochód, zgromadzona na chodnikach

publiczność witała niezwykle serdecznie Polaków, przybyłych ze wszystkich krańców świata. Na dziedzińcu belwederskim reprezentanci ośmiomilionowej Polonii zagranicznej złożyli hołd marszałkowi. Do zebranych przemówił marsz. Raczkiewicz, podkreślając, że tu w Belwederze pracuje i mieszka wskrzesiciel państwa polskiego marszałek Józef Piłsudski.

Przemówienie swe zakończył p. prezes Raczkiewicz okrzykiem na cześć marsz. Piłsudskiego. Okrzyk ten podjęli zebrani i trzykrotnie powtórzyli go z niezwykłym entuzjazmem.

Po przemówieniu prezesa Raczkiewicza odbyła się defilada przedstawicieli Polonii zagranicznej oraz krajowych organizacji młodzieży. Defiladę przyjęli przed Belwederem prezes Raczkiewicz, wiceprezes Hełczyński, wiceprezes Szwedowski i dyrektor Lenartowicz. Podczas defilady publiczność gorąco witała zebrane tam licznie delegacje. Z piersi wielotysięcznych rzesz rodaków naszych, przybyłych z całego świata, wyrywały się raz po raz okrzyki: Niech żyje Polska! Niech żyje pan prezydent! Niech żyje marszałek Józef Piłsudski!

Pod wieczór o godz 16,30 p. marsz. Raczkiewicz z małżonką podejmował herbatą w salach Sejmu i Senatu przybyłych na Zjazd Polaków z zagranicy. Na herbatce byli obecni członkowie rządu, posłowie i senatorowie, weterani 63. roku, przedstawiciele duchowieństwa z Jego Eminencją kard. prymasem Hlondem na czele, władz państwowych przedstawiciele, wojskowych oraz przedstawiciele organizacji i instytucji społecznych. W przyjęciu tym wzięło udział około 2 000 osób.

Niezapomniany w pamięci narodu polskiego będzie ów wielki i uroczysty dzień, kiedy na niepodległej i wolnej ziemi przedefilowały przed Dostojnym Włodarzem Polski tysięczne zastępy młodzieży polskiej z zagranicy, z Czechosłowacji, Niemiec, Rumunii, Litwy, Francji, Belgii, Ameryki i Azji. Z tych zwartych szeregów, których żadna siła nie byłaby zdolna powalić, padały na twarz pana prezydenta spojrzenia, zawierające w sobie miłość, dumę i te wszystkie szlachetne uczucia, które w takt kroków przelewało serce do oczu. Łączyły się te spojrzenia z radosnym wzrokiem tych, którzy podźwignęli Polskę z chaosu i walk do wyżyn mocarstwowego i potężnego państwa i którzy mimo przeżytych trudów prowadzą dzieło swe dla chwały i dobra narodu. Witały naszych braci zza kordonu fanfary polskiej kawalerii, na którą nie można patrzeć inaczej, jak tylko przez łzy rozrzewnienia, dumy i radości. Witały ich chorągwiane orły, rozpostarte na wietrze jakby do lotu, i serca Polaków, którym dane było widzieć cud zmartwychwstania na ziemi ojczystej.

RUDOLF WÓJCIK

c.d.n.

Kółko Samokształcenia przy Macierzy Szkolnej w Karwinie

Nr.: 33.

Karta uczestnictwa

P. Bajorkówna Aniela

ur. 1904 zamieszkały(a) w Karwinie

posiada prawo brania udziału w II. Zjeździe Polaków z Zagranicy w Warszawie.

Karwina, dnia 4 sierpnia 1934.

Fr. Kwiczala, m. p.
sekretarz

R. Z. Kobiela, m. p.
przewodniczący

ŚWIATOWY ZWIĄZEK POLAKÓW Z ZAGRANICY

II-GI ZLOT
MŁODZIEŻY POLSKIEJ Z ZAGRANICY

Niniejszem stwierdzamy, że

P. Aniela Bajorkówna

jest uczestnikiem II Zlotu Młodzieży Polskiej z Zagranicy

ŚWIATOWY ZWIĄZEK POLAKÓW Z ZAGRANICY

w/z Dyrektora

(—) T. Kawalec

Ważna od dnia 1.VII do 31.VIII 35 r.



Z GÓRALSKIEJ IZBY PO NAJWYŻSZE ODZNACZENIA

(W piątą rocznicę śmierci dr. hab. Pawła Szotkowskiego)

Z nazwiskiem Pawła Szotkowskiego mieli czytelnicy Zwrotu okazję do zaznajomienia się na łamach tego pisma (nr 9, 10, 11, rok 1991) w związku z opublikowaniem przez wyżej wspomnianego wartościowych wspomnień z okresu międzywojennego w cyklu „Moje dwie Ojcowizny". Ujawnił w nich autor nie tylko swoją gorzką młodość, ale równocześnie ogrom losu człowieka bytującego w zapomnianych zaściankach Podbeskidzia. Paweł Szotkowski z Łomnej Dolnej Wiszczorzonki był jednym z pierwszych naukowców wywodzących się z naszego Podbeskidzia, który rozsławił dolinę Łomnej daleko poza granicami regionu, wnosząc wielki wkład w dorobek naukowy z zakresu florystyki i fitosocjologii.

Urodził się 11 stycznia 1924 roku w Łomnej Dolnej Wiszczorzonce. Jest to przysiółek tuż na granicy z Mostami położony pod Wielką Łąką. Wiszczorzonka to nazwa dzierżawcza, gdyż jednym z najstarszych osadników na tym obszarze był gospodarz nazwiskiem Wiszczor.

W swych wspomnieniach „Moje dwie Ojcowizny" Szotkowski pisze

m.in.: *Jeszcze dziadek ojca opowiadał, iż granica polsko-czeska w 1918 roku biegła przez gumno w stodole. Dom był w Czechosłowacji, a chlew w Polsce należał do wsi Mosty. Potem kilka razy się zmieniała...*

Taki zresztą był los mieszkańców i ich zabudowań na ziemiach pogranicza. Od niepamiętnych czasów toczyły się na tym obszarze nieustanne potyczki między gospodarzami mosteckimi a mieszczanami jabłonkowskimi, którzy dawniej zagospodarowywali te obszary. Często dochodziło nawet do zabójstw między jedną i drugą stroną. Stąd legendy o rzekomych zbójach w dolinie Łomnej. Już Adam Wacław, później księżna Lukrecja, w sposób jednoznaczny zadbali o to, ażeby przestrzegano nadanych przez nich przywilejów dotyczących ustalonych granic pastwiskowych. Spory graniczne wiązały się nie tylko z wypasem bydła, ale także z wycinaniem dla własnych potrzeb lasów.

Jak wielu innych, przeżył Paweł Szotkowski trudny okres dzieciństwa. Również jego liczna rodzina głęboko odczuła międzywojenny narodowościowy mechanizm i z nim związaną niesprawiedliwość społeczną. Ojciec był robotnikiem leśnym, co już wskazywało na bezpośrednią zależność otrzymania od ówczesnych władz pracy. Wynikiem tego były zmiany szkół i zmiany nauczania to w polskim, to w czeskim języku, zarówno w szkole podstawowej, jak i wydziałowej (w Jabłonkowie).

Także lata drugiej wojny światowej mocno zaznaczyły się w życiu Szotkowskiego. Przymusowa służba w wojsku, nabyte tam podczas działań wojennych kalectwo, a po zwolnieniu z wojska praca w hucie nie zaważyły jednak na decyzji kontynuowania nauki tym razem w Liceum Pedagogicznym w polskim Cieszynie, pomimo sześcioletniej przerwy w nauce. Już ten fakt świadczy o wielkim zainteresowaniu młodego chłopca zdobyciem dalszego wykształcenia. Zresztą Szotkowski był człowiekiem wyjątkowo uzdolnionym. Potwierdziły to później sukcesy w pracach naukowych.

Pobyt w cieszyńskim Liceum Pedagogicznym - pisze w swych wspomnieniach Szotkowski - *zaliczam do najszczęśliwszych w moim życiu. Było ciężko. Nie miałem pieniędzy. Oszczędzałem na wszystkim. Musiałem zająć się szabrem. Przenosiłem przez granicę towary chodliwe. Tak zarobione pieniądze przeznaczałem na zapłacenie internatu, na zeszyty itp. W czasie każdych wakacji zbierałem na Wiszczorzonce borówki, maliny, ostrężyny i grzyby. To były dla mnie uczciwie zarobione pieniądze na zeszyty i inne pomoce naukowe oraz na zakup odzieży. Pomagałem również w domu kosić trawę i zboże. Ojciec był bardzo zadowolony z mojej nauki w Polsce. Sprzyjał mi. W czasie każdych odwiedzin w domu otrzymałem jedzenie w takiej lub innej postaci. To też pomagało żyć w Liceum Pedagogicznym w Cieszynie.*

Po ukończeniu Liceum Pedagogicznego i zdaniu egzaminu dojrzałości

z wyróżnieniem podjął pracę najpierw w szkolnictwie podstawowym. Później prowadził zajęcia z zakresu biologii w szkołach średnich, piastując m.in. godność dyrektora szkoły. Jego pasją życiową stała się florystyka.

W trzy lata po ukończeniu Liceum Pedagogicznego rozpoczął studia zaoczne na Wydziale Biologii i Nauki o Ziemi w Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Łodzi, kończąc studia w 1956 roku ponownie z wyróżnieniem. Kolejno studiował jeszcze na Uniwersytecie Łódzkim oraz Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, gdzie zdobył tytuł doktora habilitowanego w zakresie agrotechniki. Już ten krótki zestaw wyższych uczelni świadczy o dużych ambicjach a także zdolnościach Szotkowskiego.

Wynikiem tych studiów był oczywiście pokaźny dorobek naukowy, który obejmuje ponad 120 publikacji, w tym ponad trzydzieści oryginalnych prac naukowych z zakresu fitosocjologii. Zbiory, które gromadził przez całe życie, wyniki badań, m.in. propozycje lasów do ochrony rezerwatowej, przeznaczył w całości (dwa pełne samochody) dla placówek naukowych. Prace Szotkowskiego dotyczyły przede wszystkim badań flory Śląska Opolskiego oraz regionalnego ekorozwoju Opolszczyzny, a także, co jest bardzo istotne, w znacznym stopniu przyczyniły się do rozwoju badań w zakresie racjonalizacji upraw i gleboznawstwa.

Poza pracą naukową poświęcił się w dużym stopniu pracy społecznej. Był członkiem wielu towarzystw, m.in. Opolskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Polskiego Towarzystwa Botanicznego, Ligi Ochrony Przyrody i innych.

Za wybitne osiągnięcia naukowe, za działalność społeczną otrzymał wiele odznaczeń, że przypomnimy tu m.in. chociażby: Srebrny Krzyż Zasługi (1972), Złoty Krzyż Zasługi (1975), Zasłużony Opolszczyźnie (1976), Srebrną Odznakę Honorową Ligi Ochrony Przyrody (1975), Medal Komisji Edukacji Narodowej (1979), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1982) i wiele innych.

Paweł Szotkowski wielce zasłużył się w zakresie badań nad systematyką roślin. Był jednym z pierwszych florystów u nas. Z prostej chałupy góralskiej wyniósł skromność a zarazem mrówczą energię, która pozwoliła mu zdobyć stałe miejsce w nauce polskiej i w życiu społecznym Opolszczyzny. W rodzinnej wsi stał się zaś wzorem dla potomnych, dokumentując, iż także z obszarów zaściankowych pogranicza można wnieść znaczący wkład w pozaregionalny dorobek naukowy.

Paweł Szotkowski zmarł po długoletniej chorobie 8 marca 1996 roku. Pochowany został na cmentarzu w Głogówku (powiat Rudnik).

JAN KORZENNY

Od redakcji

Postać Pawła Szotkowskiego przybliżył miłośnikom przyrody jego współpracownik Grzegorz Kopij na łamach dwumiesięcznika Chrońmy Przyrodę Ojczystą (z. 5/96) wydawanego w Krakowie przez Instytut Przyrody PAN. Tak m.in. napisał o naszym naukowcu: ***Należał do nielicznych polskich botaników, którzy swą naukową działalność uprawiali poza ośrodkami uniwersyteckimi. Harmonijnie godził ją ze wzorowo wykonywaną pracą zawodową i bardzo aktywną działalnością społeczną. Umożliwiała mu to benedyktyńska pracowitość, wysoka samodyscyplina posunięta nieomal do granic ascezy i anielska cierpliwość.(...) Dr hab. Szotkowski władał płynnie językiem polskim i czeskim, dzięki temu, poprzez liczne recenzje, przybliżył polskim czytelnikom bogate czeskie piśmiennictwo florystyczne. (...) Odszedł niezwykle prawy i szlachetny Człowiek, bezinteresownie oddany nauce i idei ochrony ojczystej przyrody. Skromny i nienarzucający nikomu swojej obecności.***



Zdjęcia:
Na str. 20 odnowiony dom rodzinny Pawła Szotkowskiego w Łomnej Dolnej, obok Paweł Szotkowski jako uczeń Liceum Pedagogicznego w Cieszynie.

Z PIEŚNIĄ PRZEZ ŻYCIE

Kiedy zastanawiam się nad swoim życiem, stosunkowo długim i bogatym w wydarzenia historyczne, i rozmyślam, co nadawało mu sens, wartość i godność, co dawało zasady moralne i patriotyczne, to trzeba przyznać, że w dziele tym prócz rodzinnego domu i szkoły ważną rolę odegrała pieśń i długoletnie uczestnictwo w amatorskim ruchu śpiewaczym.

Należę bowiem do pokolenia, którego życiu od kolebki towarzyszyła polska pieśń - pieśń religijna i świecka, pokorna w modlitwie, wzniosła w uczuciach patriotycznych.

Z pieśnią zetknąłem się już w okresie niemowlęcym. Śpiewała mi u kołyski moja matka. Nieraz musiała nią uciszać i mój dziecięcy krzyk. Mając cztery lata, uczęszczałem do ochronki (tak się przedszkole nazywało). Zabawy były urozmaicone piosenkami, które dzieci z radością śpiewały. W szkole ludowej była nauka śpiewu przedmiotem obowiązkowym. Od razu w pierwszej klasie, kiedy z nieba padały pierwsze płatki śniegu, śpiewaliśmy pieśń o św. Marcinie, który przyjeżdża na białym koniu. Później w polskim gimnazjum w pierwszej i drugiej klasie śpiewałem w chórze dziecięcym. Jedną z pierwszych piosenek była „Była babuleńka z rodu bogatego, miała koziołeczka bardzo rozpustnego". Później w klasach piątej i następnych (po przebytej mutacji) śpiewałem w chórze szkolnym. Dyrygentem i nauczycielem wychowania muzycznego był prof. Emanuel Guziur. W repertuarze były przede wszystkim pieśni ludowe, między innymi „Świta Wiślańska". Partie solowe śpiewała koleżanka klasowa Maryla Lipkówna (później Febrowa) oraz Żyła. W tym czasie w gimnazjum była nauka religii przedmiotem obowiązkowym. Na lekcje religii przynosił ks. Jerzy Juroszek śpiewniki kościelne i przed rozpoczęciem lekcji zawsze śpiewaliśmy. Równocześnie śpiewałem w chórze SMK (Stowarzyszenie Młodzieży Katolickiej) w Stonawie.

Po maturze w r. 1939 pracowałem w Junackich Hufcach Pracy na wschodnich rubieżach Polski. Żołnierska pieśń towarzyszyła nam codziennie przy wymarszu do pracy i przy powrocie do obozu. Tam zastała mnie wojna. W niedzielę została odprawiona przez księdza kapelana Msza św. Na leśnej polanie ustawiono prowizoryczny ołtarz, a my, junacy, na klęczkach śpiewaliśmy ze wzruszeniem i równocześnie z lękiem i obawą, co będzie z nami dalej.

W drodze powrotnej do domu wpadłem w ręce Niemców i zostałem osadzony w obozie dla jeńców wojennych w Radomiu. Za kwaterę służyły stajnie. Na betonowej podłodze było rozpostarte siano, na którym jeden obok drugiego spali jeńcy. Wieczorem przed położeniem się do snu na klęczkach śpiewaliśmy wszyscy pieśń wieczorną „Wszystkie nasze dzienne sprawy przyjm litośnie Boże prawy". Po odśpiewaniu dwóch zwrotek ze wstydem patrzyłem na kolegów niedoli, którzy ze łzami w oczach śpiewali kolejne zwrotki, o których mi się nawet nie śniło. To był śpiew błagalny, z przejęciem, bowiem wszystkich nas czekał ten sam los - wywóz do obozów pracy w Niemczech. Ta sama historia powtarzała się rano po przebudzeniu, kiedy śpiewano „Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze".

Inter arma silent musae - mówi łacińskie przysłowie. Na całych sześć lat zamilkła polska pieśń na Zaolziu. Nie wolno było śpiewać po polsku ani w kościele. Jeszcze nie opuścił okupant naszej wioski, a już w marcu 1945 roku zebrała się przy kopaniu rowów przeciwpancernych masa tych, co wytrwali i przeżyli te lata udręki, i zaczęła śpiewać polskie pieśni. Oczywiście przyciszonym głosem, bo gdyby tylu chłopów zaśpiewało na pełne gardło, to mógłby to usłyszeć znany wróg ludności polskiej stonawski burmistrz Müller. Zaraz po wojnie zebrało się kilkunastu przedwojennych chórzystów na próbie w szkole, by zaśpiewać z okazji świąt w kościele. I oto „soudruzi" (towarzysze) przyszli naszą próbę rozproszyć i zakazać dalszego zbierania się. Prowadzący próbę kolega J. Kazik, który właśnie wrócił z obozu koncentracyjnego, dał im należytą odprawę i śpiewaliśmy dalej.

Pierwsza próba chóru męskiego Siła odbyła się w Domu Robotniczym w Stonawie, przyszło na nią około stu chętnych do śpiewania. Szeregi chórzystów wykruszyły się z czasem tak, że zostało około czterdziestu. Poziom artystyczny się podnosił i chór zdobywał zaszczytne miejsca w różnych konkursach.

W roku 1984 zwrócił się do mnie dyrygent chóru Hasło w Orłowej z prośbą, abym zasilił szeregi chóru przynajmniej na trzy miesiące, a to w związku z jubileuszem trzydziestolecia jego dyrygentury w tymże chórze; z tej okazji miał się odbyć koncert. Wstąpiłem w szeregi Hasła i śpiewałem z nimi trzynaście lat. Zespół ten cechowała twarda dyscyplina i doskonały poziom artystyczny. Przez kilkadziesiąt lat zbierał najwyższe laury we wszystkich konkursach w kraju i za granicą. Niestety w następstwie naturalnych ubytków i braku nowych kandydatów chór był zmuszony do zaprzestania pracy w ogóle. Dnia 19 kwiet-

nia 1997 roku odbył się koncert jubileuszowy z okazji siedemdziesięciolecia zespołu Hasło z Orłowej. Był to niestety ostatni występ tego wielce zasłużonego dla zaolziańskiego śpiewactwa doskonałego zespołu męskiego.

Kilku członków Hasła zasiliło szeregi Chóru Nauczycieli Polskich i razem bierzemy czynny udział w jego pracy. Lecz i tu z upływem lat pogarszają się warunki pracy chóru. Członkom przybywa lat, brak dopływu nowych młodych kandydatów oraz naturalne ubytki nie wróżą nic dobrego.

I tak upływa 65 lat od czasu, kiedy wstąpiłem w szeregi śpiewactwa zaolziańskiego i chcę mu pozostać wierny, dopóki starczy sił.

Na koniec tego rozważania chciałbym przytoczyć słowa naszego zaolziańskiego poety Gustawa Przeczka: „W pieśni można się zakochać jak w najpiękniejszej dziewczynie i to miłością głęboką, pełniejszą, bezgraniczną i dozgonną, miłością najwierniejszą, której nie można zdradzić, bo nie pozwoli na to właśnie czarujący jej urok, urok pieśni..."

BRONISŁAW BUŁAWA

PRZEZ SITO INTYMNOŚCI

MAREK SŁOWIACZEK

OSZOŁOM CZYLI RZECZ O MIŁOSIERDZIU

Jakiś dziwak wpadł do sklepu. Językiem niemalże wytarł podłogę. Nie zważając na tłumy, wyminął petentów z obojętnością godną podziwu. W mgnieniu oka znalazł się w samym centrum uwagi. Wytrzeszcz, skierowany bezpośrednio w stronę sprzedawczyni, zmobilizował prawą rękę do działania. Uniesionym kciukiem dotknął paczki cukierków, które leżały na ladzie niczym darmowa gazeta ogłoszeniowa. Po dłuższej próbie nawiązania kontaktu z pracownikami sklepu dziwak wyartykułował kilka wyrazów. - Kupić, zapłacić, wziąć i odejść.

Wydarzenie niesamowite, zaskakująco dziecinne, wręcz banalne, w swej prostocie przerastało wyobrażenia licznych obserwatorów. Nie powołuję się na świadka koronnego. Nie mam zamiaru rozdmuchać jakiejś afery poli-

tycznej czy stać się źródłem, czynnikiem (nie mylić z cynikiem) aspołecznym, mającym bezpośredni wpływ na przebieg rozmów międzynarodowych. Mowa tutaj o ludziach najzwyklejszych, prostych, do których codziennie kierujemy (jakże pospolite w dzisiejszym języku) zwroty: dzień dobry, do widzenia, przepraszam, proszę. Ci właśnie ludzie doskonale zdają sobie sprawę z doniosłości tego wydarzenia. Mając poczucie godności, doceniając wysiłek i trud, z jakim pokonują strome schody własnego losu, spoglądają na siebie i na swoich sąsiadów w sposób łagodny, z ogromną dozą współczucia, skruchy i niespotykaną nigdzie chęcią pomocy.

Zacznijmy jednak od początku.

Tego dnia, nie po raz pierwszy i nie ostatni, miastem zawładnął nieznośny upał. Ciała ludzkie w przewiewnych podkoszulkach bezradnie wachlowały twarze, czym popadnie. Mokre plamy pod pachami, strumienie potu na szyi, czole, na nosie, za uszami stały się jawnym świadectwem zakłopotanych uczestników popołudniowego spaceru. Prawdziwy koszmar przeżywają podróżni znajdujący się w tej chwili w samochodach, pociągach, tramwajach. W przestrzeni zamkniętej wraz z wydzielinami organoleptycznymi rozchodzi się odór o niesamowicie przykrym zapachu. Człowiek brzydzi się drugim człowiekiem. Zmysł dotyku, węchu i wzroku dotkliwie dokucza i zniechęca ludzi do życia. Wzrok rozmywa się w zawiesinie drżącego powietrza. Susza świszczy na wskroś nosa, na wylot gardła. Ruch uliczny leniwo przesuwa się w kierunku wytycznej. Odgłosy sapania, nadymania, westchnień i bliżej niezidentyfikowane dźwięki wydobywające się z ośrodków mowy stanowią naturalny koloryt chwili.

Jest jednak ktoś, kto w żaden sposób nie pasuje do zastanej rzeczywistości. Mężczyzna o skąpej budowie ciała i rzadkich siwych włosach, z twarzą pooraną zmarszczkami niczym jesienne pole po ziemniakach. Śniady mężczyzna o zgarbionej sylwetce żwawo przedziera się przez grupki zniecierpliwionych ludzi, którzy od kilkudziesięciu minut czekają na spóźniony autobus. Gruby golf i długi ciemny płaszcz, zapewne stuletni, stał się główną atrakcją spragnionego odrobiny wody tłumu. Niejeden przechodzień odnosi wrażenie, jakoby owa tajemnicza postać nie należała do grona mieszkańców tego miasta. Każdy, kto choć przez chwilę ocknie się w bezpośredniej bliskości człowieka z garbem, bez większych emocji i bez zastanowienia odwraca się na pięcie, witając oszołoma uśmiechem własnych pleców. Persona non grata wcale nie przejmowała się zachowaniem współmieszkańców. Brak jakiegokolwiek skrępowania pozwala człowiekowi wyjadać resztki z koszy na śmieci. W biały dzień, na trzeźwo, w pełni rozumu oszołom angażuje się w publiczną zbiórkę jedzenia. Kosmata postać niczym barwne zwierzątko z „Alicji w krainie czarów", zwinnymi ruchami napychała lewą kieszeń pożywieniem. By zachować podstawowe warunki higieny, w prawej kieszeni lądowały niedopalone papierosy. Lekki uśmiech na twarzy zdradzał stan

umysłowy oszołoma. Było jasne, że jego zachowanie, niesplamione o nieposzlakowanej opinii, nie powinno budzić żadnych wątpliwości. Tubylcy, przyzwyczajeni do pana, którego imienia nikt nie był w stanie podać, nie narzekali na codzienny, przerażający widok niechlujnie wyglądającej postaci. Można tu mówić o pewnego rodzaju więzi emocjonalnej. Oszołoma traktowano na równi z salonikiem prasowym na rogu ulicy, który stoi tu od kilku lat. Zresztą analogia jest oczywista. Oszołom od dawna jest stałym elementem pejzażu miasta. Tak samo zresztą jak sprzedawczyni w kiosku, tajemnicza postać - zawsze rano - wzbogaca swój budżet o parę groszy. Nic więc dziwnego, że śródmieście nie może się pozbyć nieznajomego.

To fakt, że nie można go włączyć w poczet niekwestionowanych zabytków architektury narodowej, ale nikogo, jak do tej pory, nie skrzywdził. Nikomu nachalnie nie włazi w portfel. Wszelkie dochody oszołoma są uzależnione od datków. On sam nie namawia do hojności.Zdarza się, że jego umysł pogrąża się w łaźni alkoholowej. Uzbrojony w ogromną dawkę odwagi podchodzi do ludzi i wdaje się w dyskusję. Nie prosi o pieniądze (zmartwienie współczesnych); żądny rozmowy, pragnie zamienić kilka słów. Obojętne z kim - młodym, starym, kobietą czy mężczyzną. Nic nie jest w stanie usatysfakcjonować jego sumienia. Tylko rozmowa - ciepłe słowa wydobywające się z ludzkich gardzieli koją ból, tęsknotę po dawnym, wspaniałym życiu. Pogrążony w milczeniu przemierza betonową puszczę. Ta sama droga, ten sam smak samotności i ludzie z oczodołami bez iskry wskrzeszającej do życia. Oszołom spotyka się z brutalną rzeczywistością. Ludzie milczą; nie rozumieją problemów oddalonych w czasie, jak dwa bieguny w przestrzeni. Dwudziestolecie międzywojenne - przeszłość będąca dobrym materiałem na podręczniki historii. Jedno kliknięcie myszy; wywołanie ducha historii z zaświatów; przeszłość na ekranie komputera. Żal ogarnia oszołoma, samotność ściska go za gardło. Odjęło mu mowę.

Pod wieczór uliczny gwar zamilkł. Cisza przestrzeni nie zagraża człowiekowi. Jest ona niezbędnym sojusznikiem życia w tłumie, w izolacji zarazem. Uroczyste odsłonięcie wieczornego miasta współgra z orkiestrą kiszek. Pora coś zjeść. Uczta na schodach jednego z przydrożnych sklepów mody ślubnej, w pełni zadowala zgłodniałego wędrowca. Tuż obok „stołu" znajduje się sklep muzyczny i wypożyczalnia kaset wideo. Po przeciwnej stronie ulicy pizzeria kusi swym zapachem zakochanych, małżeństwa, ludzi, których wyróżnia poczucie pewnego dyskomfortu - pustki w żołądku. Trudno w tej sytuacji posługiwać się określeniem głodu. Talerze, bogato zdobione, lądują na stole. Prawie nie tknięte wracają z powrotem. Tylko oszołom poświęca im (talerzom) pełną uwagę. Koncentracja godna podziwu.

Wieczorny pejzaż całkowicie zapanował nad miastem. Zauważalne wyciszenie przerodziło się niemal w obsesję. Puste ulice pochłaniają wszelkie propozycje nocnych rozrywek. W niepewności o własne jutro oszołom w pośpie-

chu decyduje się na znalezienie noclegu. Osobiście nie przepada za dworcem. Motłoch. Mieszanina wielu narodów; lokatorzy w wieku od 15 do lat bliżej nieokreślonych. Poza tym nieustanne odjazdy i przyjazdy pociągów, tupot setek butów, monotonia informacji o spóźnieniach nieustannie przerywają sen. To nie to samo co ławka w parku. Szeroka, pojemna, w ustronnym miejscu, z dala od centrum. Z kurtką pod głową sen przychodzi z łatwością porównywalną do wydawania pieniędzy. Tu czas i miejsce na odrobinę prywatności. Samoistna kontemplacja ciała i duszy bezwarunkowo dokonuje relaksu. Sypialnia marzenie.

Jak widać do wszystkiego można się przyzwyczaić. Mijają dni, miesiące, lata. Nieustanny wyścig poranków z wieczorami uwikłał się w pętli czasu. Stuletnie dęby z godnością znoszą ułomności losu - szargane mrozem, dręczone upałami. Oszołom, w swej prostocie, znosi to wszystko przerażająco dobrze. Warunki godne podziwu - szklarnia bez szyb. Życie nie pieści nikogo. Traktując wszystkich na równi, poczuwa się do odpowiedzialności. Człowiek tuli człowieka; odrzuca, gardzi, wyrzuca na ulicę, ...stara ławka ugina się pod ciężarem ludzkiego ciała. Zwłoki stanowczo rezygnują z wszelkich spotkań towarzyskich. Po kilku godzinach zgiełk uliczny zwrócił swą uwagę na „drobny incydent" w parku.

Mężczyzna, odziany w stary płaszcz, leżał na ławce. Funkcjonariusze policji, przykrywszy ciało białą narzutą, zabrali się do przeszukiwania kieszeni. Ku zdziwieniu wszystkich „na sercu" oszołoma znaleziono dowód osobisty i trzy zdjęcia.

Imię:	Jan
Nazwisko:	Ostrogski
Data urodzenia:	11.11.1931
Miejsce urodzenia:	Lwów, Polska
Zameldowanie:	niezameldowany
Dzieci:	Anna, Michał, Jan

Patrząc na wszystko z lotu ptaka - skupisko gapiów, impreza plenerowa, niecodzienne zjawisko przyrody, cud. Owszem, cud życia i śmierci. Fenomen natury i tajemnica zarazem. „Pokarm" dla wtajemniczonych. Nie każdy zasmakuje ambrozji, esencji tego, co stanowi sedno świadomości bycia człowiekiem. Jeden wielki koszmar zawładnął umysłem oszołoma. To on jest ptakiem! Ptakiem bez skrzydeł. Lekkość dnia mająca na barkach doświadczenie myśli i krzywdy ludzkiej. Unosząc się niczym dym z papierosów, oszołom ro zgląda się po okolicy. Nie może się nacieszyć. Chyba się uśmiecha, lecz nie czuje tego. Wśród szarej masy dostrzegł kolorową plamę, plamkę zaledwie - nieśmiało zbliżała się do ławki. Wyciągając rękę, plama przemówiła:

- Weź, Janek, zawsze mówiłeś, że cukierki są jak miłosierdzie. Twarde na zewnątrz, słodkie w ustach człowieka.

GORZKI KONIEC



Z PAMIĘTNIKA ANDZI FOLWARCZNEJ

Prowadzenie pamiętnika było swego rodzaju modą wśród młodzieży w okresie międzywojennym. Wpisywali się najbliżsi, koledzy, koleżanki, nauczyciele, znajomi. Niektórzy korzystali z wierszy poetów, inni tworzyli własne, jeszcze inni malowali różne obrazki, najczęściej kwiaty.

Pamiętnik Andzi Folwarcznej, która wyszła za mąż za Adolfa Dzika, różni się od innych dwoma stronicami. Pamiętnik znalazł się w jej tobołku, który gestapo zezwoliło zabrać z sobą na nieznaną tułaczkę. Znajdowały się w nim 24 wpisy.

Z dworca we Fryształcie wyjechał pociąg towarowy, wypełniony tym razem polskimi rodzinami deportowanymi na przymusowe roboty do Niemiec. Na dworcu we Wrocławiu przemieszczono je do pociągu osobowego zmierzającego do Legnicy. I tutaj właśnie Andzia wpadła na pomysł zebrania podpisów. Miało to miejsce 5 czerwca 1942 roku w 1007. dniu wojny. Ołówkiem wpisało się 68 osób. Większość z nich nigdy już się potem nie spotkała.

Niewiele już dziś pozostało osób wpisanych wtedy do pamiętnika Andzi. Może jednak warto spotkać się ponownie z tymi, którzy jeszcze nie odeszli. Zorganizowania „spotkania deportowanych" podjąłby się Klub Kobiet oraz Klub Panów w Najlepszych Leciech MK PZKO w Hawierzowie Suchej Średniej. Zainteresowanych prosimy o kontakt pod numerem telefonu 069/6440123.

GUSTAW FOLWARCZNY

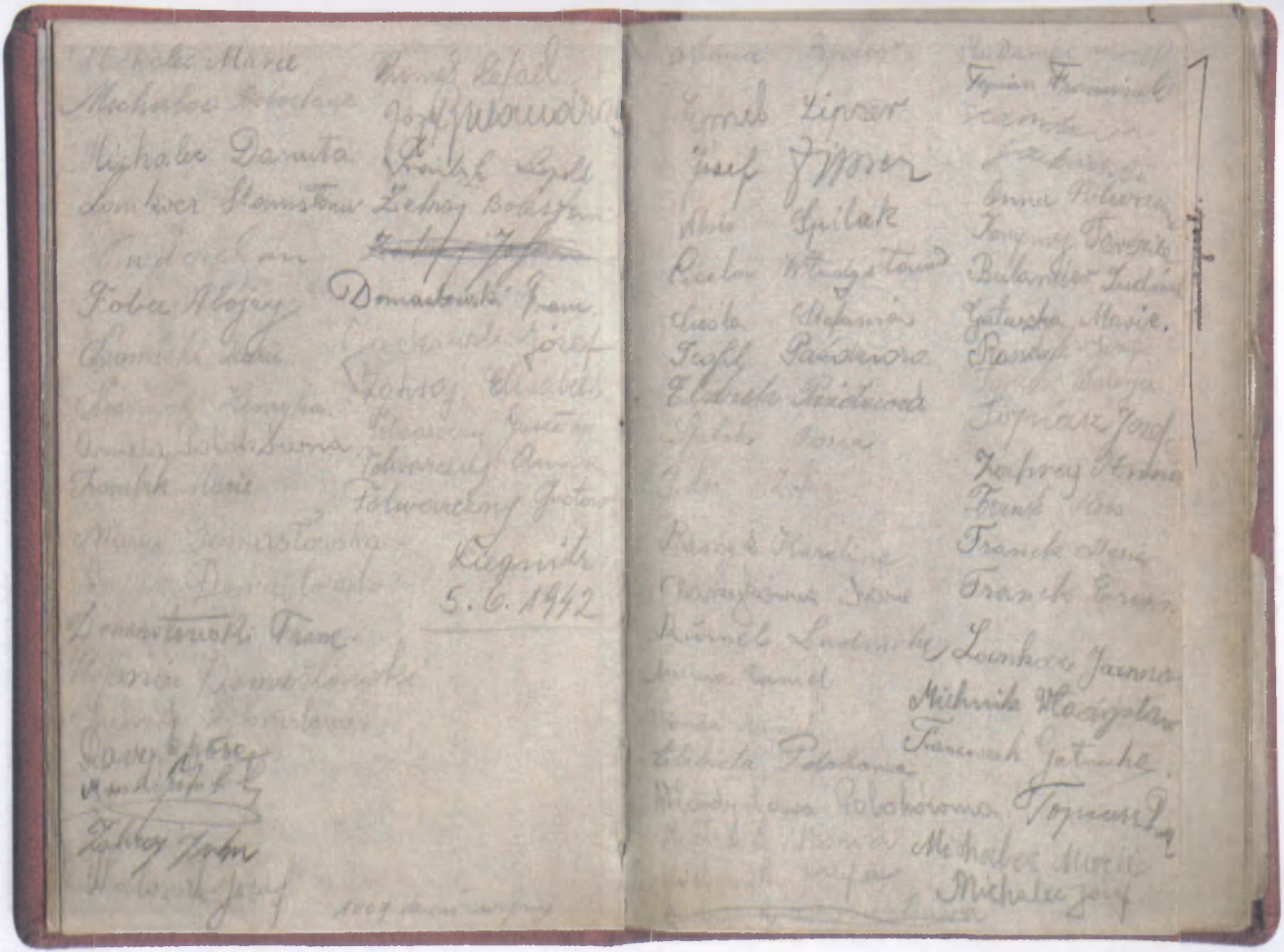
◄ *Fot. JAN MYRDACZ*

Alfabetyczny spis osób deportowanych przez gestapo do Niemiec na roboty przymusowe w czerwcu 1942 roku, które wpisały się koło dworca w Legnicy 5 czerwca 1942 roku do pamiętnika Andzi Folwarcznej z Suchej Średniej:

Bulandra	Józef, Ludwika	2
Cieśla	Władysław, Stefania	2
Domasłowski	Franciszek, Maria, Amalia, Franciszek, Stefan	5
Fober	Alojzy, Zofia	2
Folwarczny	Gustaw, Anna, Andzia, Gustaw	4
Franek	Alojzy, Maria, Erwin	3
Gałuszka	Franciszek, Maria	2
Jackowski	Józef, Stanisław	2
Kempny	Terezja	1
Lankocz	Stanisław, Joanna	2
Michalec	Józef, Maria, Bolesław, Maria, Danuta	5
Michnik	Franciszek, Maria, Józef, Władysław	4
Onderek	Jan	1
Polokówna	Aniela, Elżbieta, Władysława	3
Paździora	Teofil, Elżbieta	2
Raszyk	Józef, Karolina, Marta	3
Raszczyk	Józef	1
Rumel	Rafael, Ludwik, Józef, Maria, Wanda	5
Spilek	Józef, Alojzy	2
Trombik	Maria, Henryka, Maria	3
Trombik	Leopold, Anna	2
Topiarz	Franciszek, Karol, Waleria, Józef	4
Wałoszek	Józef	1
Zahraj	Jan, Bolesław, Elżbieta, Anna	4
Zipser	Józef, Anna, Emil	3

Z podpisów nie można było wnioskować, czy podane obok nazwisk imiona należą do osób z tej samej rodziny. Przepraszamy za niewłaściwie odczytane nazwiska.

Dnia 30 stycznia 2001 zestawił Gustaw Folwarczny.



Lignitz
5. 6. 1942

VI REGIONALNE TARGI FIRM SYMULACYJNYCH W CZESKOCIESZYŃSKIEJ AKADEMII HANDLOWEJ

25 stycznia już po raz szósty sale lekcyjne i korytarze budynku Akademii Handlowej w Czeskim Cieszynie zamieniły się w hale targowe, w których 26 przedsiębiorstw oferowało swe usługi. Chodziło oczywiście o przedsiębiorstwa fikcyjne, zaś reklamujące je osoby okazały się uczniami średnich szkół o profilu ekonomicznym i handlowym, które brały udział w VI Regionalnych Targach Firm Symulacyjnych.

Osiem stoisk handlowych przygotowali gospodarze – Akademia Handlowa w Czeskim Cieszynie – prezentujący firmy zajmujące się handlem pieczywem – Piekarnia Snów GATEX, odzieżą modną – firma Elex, i sportową – Maják, techniką komputerową i telefonami komórkowymi – H+S Computers, skupem i sprzedażą towarów – Toredan, a także biuro podróży NOTOUR oraz budowlaną kasę oszczędności (Akademická stavební spořitelna) i ubezpieczalnię (První akademic-





ká pojišťovna). Oprócz niej w Targach wzięło udział kilka szkół z bliższej i dalszej okolicy oraz z Polski i Słowacji.

Czeski Cieszyn reprezentowała jeszcze Zintegrowana Średnia Szkoła Przedsiębiorczości Handlowej, która w swych stoiskach oferowała sprzedaż samochodów Mercedes-Benz oraz płyt kompaktowych i książek specjalistycznych – firma Galaxy. Uczniowie Akademii Handlowej z Frydka Mistka sprzedawali samochody i telefony komórkowe jako spółka leasingowa Pegas i firma Oskárek, z Orłowej Lutyni zaś odzież męską i damską firmy Cleo. Spółka Arbis Prywatnej Trzynieckiej Akademii Handlowej i Szkoły Hotelowej handlowała telefonami komórkowymi. Karwińska Akademia Handlu i Bankowości zapraszała poprzez anioła z firmy Anděl do pensjonatu W Siódmym Niebie, spółka Baraccuda handlowała komputerami i pomagała klientom tworzyć własne strony internetowe, swoje usługi reklamował też Bank OBA. Do Czeskiego Cieszyna przyjechali także przedstawiciele Akademii Handlowej i Szkoły Rolniczej z Bruntalu, ich firma MASAJASHI zapraszała na herbatę „z Orientu", zaś biuro podróży Qartier organizowało wycieczki i wczasy. Stawiła się również Akademia Handlowa z Ołomuńca, przedstawiając handlującą odzieżą firmę OFIPA.

Targi stały się imprezą międzynarodową, ponieważ znalazły się na nich firmy ze Słowacji oraz z Polski. Słowację reprezentowała Akade-

mia Handlowa z Czadcy ze swoją firmą MAUBI – motelem z pokojami i zapleczem gastronomicznym. Bogata okazała się oferta firm symulacyjnych Zespołu Szkół Ekonomiczno-Gastronomicznych im. Macierzy Ziemi Cieszyńskiej z Cieszyna. Uczniowie zza Olzy sprzedawali napoje firmy Pepsi jako COOL DRINKS, aparaty fotograficzne firmy Kodak jako spółka PSTRYK EXPRESS, artykuły kosmetyczne jako firma VISIONS, bieliznę jako Firma Handlowa SOPHIA, zaś pod hasłem „Każda impreza jest udana, gdy przez IPC jest zorganizowana!" występowało przedsiębiorstwo usługowe organizujące bale, bankiety, studniówki, wesela itd.

Uroczystego otwarcia Targów, które zaszczycili swoją obecnością m.in. przedstawiciele Wydziału Szkolnictwa Urzędu Powiatowego w Karwinie, Urzędu Miejskiego w Czeskim Cieszynie na czele ze starostą Henrykiem Sznapką, banku ČSOB, Urzędu Pracy w Czeskim Cieszynie, spółdzielni Jednota-Jedność, Czeskiej Inspekcji Szkolnej we Frydku Mistku, Huty Trzynieckiej oraz Piekarni i Cukierni w Karwinie, dokonała dyrektor czeskocieszyńskiej Akademii Handlowej Eva Sudkowa. W krótkim programie kulturalnym zaśpiewał uczeń Akademii Michał Rzeszut, odbył się też pokaz mody, podczas którego uczennice szkoły zaprezentowały stroje na co dzień i na wieczór, sprzedawane w jednym ze sklepów w Czeskim Cieszynie. Targi połączono z „dniem otwartych drzwi", można było zwiedzić szkołę, wziąć udział w lekcjach pokazowych czy seminarium.

VI Regionalne Targi Firm Symulacyjnych, jako próba przedstawienia i wykorzystania własnych umiejętności handlowych, były dla ich uczestników również konkursem. Goście oficjalni, przedstawiciele prawdziwych przedsiębiorstw, stali się jurorami oceniającymi tak stoisko danej firmy, jak i podejście obsługujących ją osób do klienta. Werdykt jury brzmiał następująco: W kategorii o najlepsze stoisko zdecydowanie zwyciężyli młodzi handlowcy zza Olzy. Uczniowie Zespołu Szkół Ekonomiczno-Gastronomicznych im. Macierzy Ziemi Cieszyńskiej z Cieszyna zajęli pierwsze (COOL DRINKS – napoje firmy Pepsi) i drugie (VISIONS – kosmetyki) miejsce oraz trzecie (IPC – organizacja imprez) ex aequo z gospodarzami z czeskocieszyńskiej Akademii Handlowej (GATEX – pieczywo). W kategorii o najlepsze podejście do klienta ponownie triumfowała szkoła z Cieszyna (firma IPC), drugie miejsce zajęła Akademicka Budowlana Kasa Oszczędności Akademii Handlowej z Czeskiego Cieszyna, trzecie Bank OBA prowadzony przez Akademię Handlu i Bankowości z Karwiny.

Targi i przeprowadzone podczas nich operacje finansowe oraz zawarte tam kontrakty i umowy posłużą następnie jako podstawa do lekcji, w czasie których wszystkie te operacje handlowe muszą zostać doprowadzone do końca. C.R.



BAL ŚLĄSKI

Nasz tradycyjny, pierwotnie w Mistrzowicach, potem w hotelu Piast, w tym roku ponownie w lokalu Miejskiego Ośrodka Kultury Strzelnica w Czeskim Cieszynie. Balowano zaś po śląsku, chociaż już całkiem bez strojów ludowych, w sobotę 20 stycznia.

Tym razem na Balu Śląskim rej wodził dyrektor Teatru Cieszyńskiego Karol Suszka, wspomagany, jakże by inaczej, przez Daniela Kadłubca. Tradycyjnego inauguracyjnego poloneza poprowadziły, w strojach śląskich, dwie pary Zespołu Pieśni i Tańca OLZA. Na bal do Czeskiego Cieszyna zjechali goście nie tylko z całego Zaolzia, z różnych krańców Polski, ale również z południowych Moraw. Główną atrakcją programu balowego był tym razem zespół folklorystyczny Kisalfold z Węgier. Obok niego wystąpiły dwie młode mistrzowskie pary zespołu tańca towarzyskiego Elan z Trzyńca. Gościnnie na Balu Śląskim występowała również kapela Pawła Capka ze Skalitego na Słowacji. Do tańca grała orkiestra Wieława Farany. Nie zabrakło również, słynnego nie tylko na Balach Śląskich, duetu muzycznego Daniel Kadłubiec (skrzypce) i Józef Wierzgoń (akordeon).

F.B.









ZESPÓŁ BYSTRZYCA W KARNAWALE

W tym sezonie zespół taneczny Bystrzyca przygotował w ramach swego programu balowego m.in. poloneza, czardasza węgierskiego dla jednej pary, taniec ukraiński. Tak było 2 lutego w Domu Przyjaźni w Karwinie na wspólnym balu PSP z Karwiny Nowego Miasta i karwińskich klas Polskiego Gimnazjum (na fotografii). Swój program zespół Bystrzyca zaprezentował na kolejnych balach: szkolnym w Bystrzycy, PZKO w Bystrzycy, Q-Clubu w Bystrzycy oraz na Balu Piekarskim w Łomnej, gdzie bystrzyczanie zatańczyli jeszcze dodatkowo swego mietlorza.

F.B.








RESTAURACE

SPOTKANIE PRZEWODNICZĄCYCH KLUBÓW KOBIET

Kierownictwo Sekcji Kobiet przy ZG PZKO zorganizowało w czwartek 25 stycznia w Klubie PZKO przy ulicy J. Bożka w Czeskim Cieszynie spotkanie przewodniczących Klubów Kobiet. Warto tu powtórzyć podstawowe dane z przemówienia przewodniczącej Sekcji Henryki Żabińskiej, chociażby stwierdzenie, że Kluby Kobiet działają obecnie aktywnie w 60 z 90 Kół PZKO, poza tym w kilku innych Kołach panie spotykają się nieregularnie. Kluby Kobiet organizują swoje wystawy i troszczą się o zaplecze imprez kulturalnych Kół. Biorą nasze panie również aktywny udział w przygotowywaniu imprez centralnych PZKO, w tym ich własnej – Babskiego Festynu (w tym roku odbędzie się 15 września w Suchej Górnej).

Pierwsze w nowym tysiącleciu spotkanie przedstawicielek Klubów Kobiet miało charakter nie tylko roboczy, ale również towarzyski. Program wypełniła swymi gawędami Anna Boszczykowa z Żywocic oraz Tadeusz Filipczyk z zespołu Gorol.

F.B.



INTERNET I PZKO



Internet był tematem kolejnego spotkania Klubu Propozycji, działającego pod kierownictwem Władysława Kristena przy MK PZKO Czeski Cieszyn Centrum, które odbyło się 25 stycznia w Klubie PZKO przy ulicy J. Bożka. Współorganizatorem spotkania, na którym zgromadziła się pokaźna liczba zainteresowanych tym tematem ludzi z szerokiej okolicy, reprezentujących wszystkie kategorie wiekowe, był Zarząd Główny PZKO. Na sali nie zabrakło prezesa ZG PZKO Zygmunta Stopy oraz dyrektora biura ZG Bohdana Suchanka. Spotkanie zaszczycił swą obecnością również burmistrz Czeskiego Cieszyna Henryk Sznapka.

Prelegentami byli specjaliści w tej nowej, można powiedzieć, błyskawicznie rozwijającej się dziedzinie komunikacji. Z Polski przybył koordynator Cieszyńskiego Centrum Wspierania Organizacji Pozarządowych Robert Kalisz, dzięki któremu na spotkaniu można było skorzystać z udostępnionego przez starostwo powiatowe w tym mieście wysokiej klasy rzutnika multimedialnego. Robert Kalisz wtajemniczył zebranych w historię sieci komputerowych i ich możliwości. Milan Niemiec, technik czesko-cieszyńskiej firmy Silesnet, zaznajomił obecnych ze stronami internetowymi przygotowanymi przez tę firmę. Tomasz Stopa zaprezentował między innymi strony internetowe Polonii amerykańskiej. On również sprowokował długie rozmowy na temat powołania grupy roboczej, która zajmie się opracowaniem stron internetowych zaolziańskich polskich organizacji i ich dorobku. Inicjatorem powstania takiej grupy roboczej, która powinna przekształcić się w Sekcję Internetową, jest ZG PZKO.

F.B.

SREBRNE SPINKI

1 lutego br. w Konsulacie Generalnym Rzeczypospolitej Polskiej w Ostrawie spotkali się luminarze polskiej kultury z Zaolzia na uroczystości wręczenia „Srebrnych Spinek", nagrody konsula generalnego przyznawanej za wybitne osiągnięcia artystyczne. W tym roku laureatem nagrody, uzasadnienie której brzmiało: *za upowszechnianie wśród polskiej młodzieży miłości do muzyki oraz za wybitne osiągnięcia w pracy dyrygenckiej*, został Leszek Kalina, pedagog, dyrygent, muzyk i kompozytor.

Spotkanie w konsulacie miało muzyczną oprawę dzięki kapeli góralskiej Zorómbek, działającej pod auspicjami Polskiego Towarzystwa Artystycznego Ars Musica.

E.S.











Kilka ujęć z eliminacji centralnych FPDz, jakie przebiegły w Miejskim Ośrodku Kultury Strzelnica w Czeskim Cieszynie w dniach 7 i 8 lutego.

DARINA KRYGIEL I MONIKA MILERSKA WYSTAWIAŁY W ORŁOWEJ

Dwie członkinie Stowarzyszenia Artystów Plastyków przy ZG PZKO, po jednej już wspólnej wystawie w Hawierzowie, zaprezentowały ponownie razem swe prace. Orłowska wystawa Dariny Krygiel i Moniki Milerskiej zaprezentowana w Domu Kultury od 1 do 28 lutego jest obszernym pokazem dorobku ostatnich lat obu artystek, znanych również z łamów Zwrotu.

O ile chodzi o Darinę Krygiel, to znają ją dobrze również najmłodsi czytelnicy, ilustruje bowiem pisemka dla dzieci – Jutrzenkę i Ogniwo. Jej prace wystawiane w Orłowej zdominował cykl znaków zodiaku wykonany techniką akwareli, tak samo jak reszta jej prac na tej wystawie odznaczający się precyzyjną techniką, dobrze skomponowanym kolorem. W porównaniu z wcześniejszymi pracami tej autorki cechuje je nieco ostrzejszy koloryt, dużo czerwieni. O ile jej wcześniejsze, równie wysokiej klasy prace można by nazwać melancholijnymi, to te z orłowskiej wystawy zasługują na miano pogodnych, optymistycznych.

Monika Milerska wystawiła w Orłowej swe prace olejne i kilka rysunków. Tematyką płócien utrzymanych w ciepłych odcieniach, z przewagą czerwieni, są kompozycje tworzone z elementów ciała ludzkiego, które pojawia się w twórczości tej autorki od dłuższego czasu. Emanuje z tych prac swoista poezja spływania, zlewania się człowieka z otaczającym go światem. Kilka martwych natur wystawionych w Orłowej przez Monikę Milerską wzbudza u podziwiających jej dzieło chyba nieco niedosytu, wielu z tych naprawdę wspaniałych kompozycyjnie i kolorystycznie prac z tego cyklu na wystawie zabrakło.

F.B.

Monika Milerska

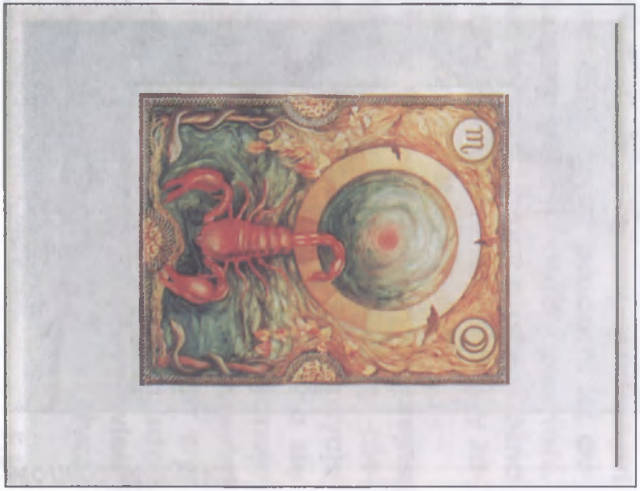


Darina Krygiel



DARINA KRYGIEL

z cyklu – znaki zodiaku





fotografie w kronice FRANCISZEK BAŁON

POETYCKIE POŻEGNANIE XX WIEKU

Dnia 16 marca trzyniecki poeta Gabriel Palowski dożyłby się 80 lat. Odszedł 1 grudnia 1999 roku.

Lektura wierszy G. Palowskiego nieodparcie nasuwa biografię ich autora - napisał Edmund Rosner. *Są to wiersze liryka, który ocenia świat z pozycji człowieka, któremu wojna odebrała młodość.* Należał przecież do pierwszych więźniów podopawskich Skrochowic, poznał też Buchenwald z „robotami" fortyfikacyjnymi organizacji Todta.

Robotnik, następnie zaś technik trzynieckiej huty, był synem karwińskiej kolonii górniczej Gabriela. Po swoim ożenku zamieszkał na trzynieckim Folwarku i przylgnął do sąsiedniej Lesznej Dolnej, gdzie znalazł przyjazne środowisko skupione wokół „Braterstwa" oraz PZKO-wskich zespołów artystycznych, takich jak Smyki lub Balbinki. Szło o ruchliwe środowisko, które inspirowało wiele udanych przedsięwzięć kulturalnych. Palowski prowadził przez dłuższy czas stały felieton w Głosie Ludu sygnowany pseudonimem Gabin. Z przyjaciółmi Ludwikiem Cienciałą - „Maciejem" oraz Henrykiem Sumerą założył tradycję głośnego ongi Festiwalu Piosenki Polskiej, organizowanego najpierw w Trzyńcu, następnie zaś w Karwinie i Czeskim Cieszynie. Należał wreszcie do grona literatów, którzy pragnąc kontynuować w trzynieckim środowisku wysiłki twórcze Pawła Kubisza, Gustawa Przeczka czy Adama Wawrosza, założyli w r. 1963, na tle ówczesnych poszukiwań sprawdzonych form organizacyjnych, Grupę Literacką '63 przy Domu Kultury w Trzyńcu VI. Gabriel od początku był jej sprawdzonym organizatorem: Prowadził agendę GL'63, troszczył się o jej wydawnictwa. Stanowiły je debiutanckie almanachy, ale także grupowe lub współautorskie tomy poetyckie, jak „Duet" (z Januszem Gaudynem) czy „Obecność" (z Piotrem Horzykiem). G.Palowski wydał samodzielnie: „Liryki" (Trzyniec 1980), „Dotykanie czasu" (Ostrawa 1986), „Miłość o zmierzchu" (Trzyniec 1990), „Zakola pamięci" (Trzyniec 1996), „Karwińska opuka" (Trzyniec 1997), „Przed progiem" (Trzyniec 1999).

Uprawiał tradycyjną lirykę refleksyjną i raczej nie poddawał się nowszym tendencjom poetyckim. Zdawał się jednak wywodzić swoje poetyckie wnioski od rewizji uproszczeń społecznikowskich. *...Są w Twoich dłoniach / zrodzonych do krajania chleba / dymiące pogorzeliska głodu // Są*

w twoich dłoniach / zrodzonych do słodyczy życia / wąwozy rzeźbionej gorzkości // Są w twoich dłoniach / zrodzonych do rozpalania ognia / nierozmarznięte grudy chłodu... Jedynie one wszak były w stanie wygładzać ludzkie zgryzoty. Kolejne tomy Palowskiego wnosiły tutaj pewne przewartościowania świadczące o stałym dojrzewaniu tej prostej, zdawałoby się, poezji i o przekraczaniu przez nią zaledwie regionalistycznego doświadczenia. Nie pozostając przy amatorszczyźnie ani wspomnianych tradycjach regionalistycznych, zaufał konieczności ich przekraczania, zmierzał do ogólniejszych wypowiedzi. Będąc przede wszystkim poetą społecznego odczucia, zaczął z czasem dostrzegać i uświadamiać sobie z bólem także „złudne hasła braterstwa" tam, gdzie się przyjęło jedno jedyne słowo: *MONEY, MONEY / jak cięte rany*. To już nasze przeraźliwe i ostateczne doświadczenia duchowych konkretów z końca XX wieku. Doświadczenia pustych dłoni po życiu pełnym niespodzianych, a niezasłużonych ciosów.

Saw

KAROLINA RUSZ - POETKA RELIGIJNA

Karolina Rusz urodziła się w Bystrzycy nad Olzą 1 listopada 1925 roku w rodzinie Karola Rusza i Anny z rodu Wałach. Po ukończeniu szkoły ludowej i wydziałowej pracowała w sklepie ojca. Po II wojnie światowej rozpoczęła naukę w Liceum Pedagogicznym w Cieszynie. Choroba oczu zmusiła ją do przerwania nauki i powrotu do sklepu ojca.

Od dzieciństwa Karolina interesowała się muzyką. Podstawowe wykształcenie muzyczne uzupełniła w Konserwatorium w Ostrawie. To pozwoliło jej na podjęcie pracy w szkole muzycznej w charakterze nauczycielki wychowania muzycznego. Uczyła gry na fortepianie i teorii muzyki.

Od dzieciństwa pisała wiersze. Konkursy literackie ogłaszane przez Sekcję Literacko-Artystyczną przy ZG PZKO były okazją do sprawdzenia własnych sił na polu literackim. W roku 1952 otrzymała wyróżnienie za „Baśnie". W jury konkursu zasiedli wtedy Ludwik Brożek, Zdzisław Hierowski, Józef Niemiec i Wilhelm Szewczyk. W uzasadnieniu czytamy: Za dobrze opracowane legendy i bajki, mogące stanowić materiał dla wydawców dziecięcych. Dwa lata później otrzymała wyróżnienie za sztukę dla teatru kukiełkowego „Ucieczka w krainę baśni".

Opowiadania i wiersze Karoliny Rusz zaczęły się pojawiać na łamach miesięcznika Zwrot, w Kalendarzach Zwrotu. Napisała kilkanaście obrazków scenicznych, które zostały wystawione w wielu szkołach i zespołach amatorskich na terenie Śląska Cieszyńskiego. Miesięcznik Zwrot przypomniał sylwetkę Karoliny Rusz w numerze lipcowym w 1986 roku. Jej twórczość nie była nigdy bardziej propagowana. Karolina Rusz stała jakby na uboczu, ale niektórzy obserwatorzy naszej prozy twierdzą, że wniosła do niej swój własny klimat.

Křesťanské společenství-Społeczność Chrześcijańska w Bystrzycy, w której działała od roku 1950, wydała w listopadzie 1995 zbiór jej wierszy „Boża partytura". We wstępie wydawca pisze m.in.: *Całe życie Karolki odzwierciedlało Bożą miłość i pokój. Służyła nie tylko społeczności ludzi wierzących - na godzinach biblijnych czy ewangelizacyjnych, ale przede wszystkim w codziennym życiu, wśród swoich bliskich. Nawoływała do tego, żeby najpierw szukać Królestwa Bożego z wiarą, że wszystko inne będzie od Boga przydane.*

Karolina Rusz jest także autorką dwu książek prozatorskich: „Podróż do złotego miasta" oraz „Syn proroka". Obie książki zostały przetłumaczone na język czeski. We wstępie do czeskiego wydania „Podróży do złotego miasta" napisał redaktor František Pala: *Bezsprzecznie jest to książka dla dzieci, która swoją głębią dotyka duchowości nie tylko dzieci, i można ją polecić każdej rodzinie, nie tylko chrześcijańskiej.* W latach 1957, 1960, 1961, 1962 na łamach Kalendarzy Zwrotu Karolina Rusz drukowała swoje opowiadania „Niespodzianki u górali", „Matka partyzantów", „Mocnym i słabym", „Pierwsza szychta". Wnikliwa lektura tych utworów przekonuje o tym, że Karolina Rusz doszła w swojej prozie do swoistego wtajemniczenia twórczego. Prawdopodobnie jest to związane z jej aktywnym uczestnictwem w Społeczności Chrześcijańskiej, z działalnością w chórze, nauczaniem w szkółce niedzielnej w Bystrzycy, Koszarzyskach i Gródku, w godzinach biblijnych. W tym czasie powstało kilka tekstów pieśni religijnych.

Karolina Rusz zmarła tragicznie, zginęła w wypadku drogowym w Czeskim Cieszynie 9 kwietnia 1976 roku.

Tomik wierszy „Otwarte niebo" wydany został przez Społeczność Chrześcijańską i Zbór Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A.W. w Bystrzycy w roku 2000. Tytuł zaczerpnięto z jednego z tekstów poetyckich Karoliny Rusz. Dobrze się stało, że Křesťanské společenství-Społeczność Chrześcijańska w Bystrzycy postarała się o to, że wiersze Karoliny Rusz mogą ukazać się ponownie. Przemawiają one do czytelnika także w czasach obecnych, w szczególności do ludzi wierzących.

WILHELM PRZECZEK

KAROLINA RUSZ

OTWARTE NIEBO

BOŻA PARTYTURA

Partytura ta, pisana krwią własną,
nasycona jest treściami zbawienia.
W niej miłość błyszczy ową wstęgą jasną,
co tony wiąże w harmonijne brzmienia.

Choć jestem tonem znaczącym niewiele,
włącza mnie w całość pięknego utworu.
Ja drżę, by fałszem nie zabrzmieć w tym dziele,
by nie naruszyć harmonii rygoru.

I pląsam z wielkiej radości już teraz,
że fałsz nie zabrzmi na wielkiej premierze.
Nie dożyła zła nuta, nieszczera,
i na wieczyste nie dotrze wybrzeże!

ŻYCIE W WIERZE

Stój - choć się nogi chwieją,
Czyń - choć ci ręce mdleją!
Wierz - choć niepewność w progu,
Ufaj - mimo zwątpień - Bogu!

Módl się - choć wołasz już długo,
Służ - choć nie jesteś sługą!
Świadcz - choć cię nikt nie słucha!
W ciszy nadstaw ucha!

Ciesz się - wśród cierpienia,
Śpiewaj - gdy Bóg plany zmienia,
Świeć - choć ciemność jest wszędzie!
Umrzesz, a niebo zdobędziesz.

KRZYŻ

I PODOBIEŃSTWO

Tak bardzo chcemy być podobni
do Ciebie Panie, Zbawicielu,
od grzechu z dala, w cnoty zdobni,
okryci zawsze czystą bielą.

Myślimy zawsze o swych czynach,
wielkich uczuciach i zamiarach,
Twe podobieństwo w Bożych synach
to szczyt wysiłków, naszych starań.

Lecz na myśl nigdy nie przychodzi
podobne mieć do Twego - życie,
a jednak Ty nas przecież wodzisz
tam, gdzieś sam czynił swe odkrycie.

Oto do krzyża mnie przybito -
zdumienie wielkie, żal i boleść.
Trudno już wierzyć w Łask obfitość,
trudno się zgodzić z Twoją wolą.

O, zaślepione oczy moje!
Właśnie ta Łaska jest najwyższa,
jeśliś z Chrystusem w krzyża znojach,
wtedy On chwały ci użycza.

II OTWARTE NIEBO

To przez Twój krzyż zbawienny, Panie,
przez mękę Twoją tak niewinną,
mój krzyżyk łatwym jest zadaniem,
męka igraszką znów dziecinną.

Gdyż otwierają się nade mną
Niebiosa Boże i Łask zdroje,
ach, jakże bliski Bóg jest ze mną
i jakim darzy mnie pokojem.

Ta miłość niebios ciągle słodzi
me wszystkie bóle i cierpienia
i czuję się w bezpiecznej łodzi
pomimo smutków utrapienia.

KORNEL FILIPOWICZ

OPOWIADANIA CIESZYŃSKIE

JA CIEBIE NIE KOCHAM

Był koniec czerwca, za parę dni mieliśmy dostać świadectwa. Wiedzieliśmy już dobrze, kto jakie ma noty, kto będzie celerem a kto zostanie na drugi rok w tej samej klasie. Nauki już żadnej nie było. Przychodziliśmy do szkoły z zeszytem zwiniętym w kieszeni po to tylko, aby się dowiedzieć, na którą godzinę mamy jutro przyjść do budy. Wychodziliśmy po dwóch lekcjach i włóczyliśmy się po mieście. Było strasznie gorąco, sucho i duszno. Jedliśmy lody i piliśmy lemoniadę w kioskach. Po obiedzie także nie było co robić. Był w ogóle głupi czas: nie było już nic do nauki, ale jeszcze nie nastały wakacje. Nie mieliśmy jeszcze zupełnej wolności, a już zaczynaliśmy się po trochu nudzić, jakby się wakacje kończyły.

Przyjaźniłem się ostatnio znów z Władysławem. Był o pół roku ode mnie młodszy, ale chodził do tej samej klasy. Miał siostrę, Annę, starszą ode mnie o rok. Mieszkali niedaleko mnie, w piętrowym domku. Brama ich domu była zawsze zamknięta i trzeba było przechodzić przez warsztat ich ojca. Po obu stronach drzwi prowadzących do warsztatu wisiały długie szyldy; na jednym był namalowany pan z czarnymi wąsikami i baczkami, z przedziałkiem we włosach, ubrany w jasny, letni garnitur; na drugim szyldzie starszy pan w kraciastym raglanie, w zielonym kapeluszu, z bambusową laską w ręku. Władek był ewangelikiem; jego ojciec był członkiem rady parafialnej, śpiewał w chórze i grał na fisharmonii. Na fisharmonii grali także Władek i Anna. Nie wiem, dlaczego przyjaźniłem się z Władkiem. Był to bardzo spokojny chłopak, mówił cicho i powoli, obyczaje miał zawsze bardzo dobre, cierpiał cały rok na katar, bał się strasznie ojca. Oboje, on i jego siostra, mieli wielkie, nie tyle wielkie, co długie nosy, wąskie, blade usta, dolną wargę schowaną pod górną. Byli więc bardzo podobni do siebie, tylko różnili się kolorem oczu i włosów: Anna była blondynką i miała niebieskie oczy, Władek miał czarne włosy i brązowe oczy. Obaj z Władkiem zbieraliśmy znaczki pocztowe i książki i prowadziliśmy drobny handel wymienny różnymi przedmiotami. Ja panowałem nad Władkiem zupełnie: byłem silniejszy fizycznie i mądrzejszy, lepiej się uczyłem. Opowiadałem mu różne rzeczy, a on słuchał i nie odzywał się, tylko patrzył na mnie. Jego siostra była niełądna i przeważnie nadąsana. Miała grube warkocze, długie ręce i trochę garbiła się. Zeszłego roku, jak wróciła z wakacji, to zauważyłem, że przez

ten czas wyrosły jej małe, okrągłe piersi. Później, kiedyś, jak bawiliśmy się w ich ogrodzie w ciuciubabkę, dotknąłem niechcący jej piersi. Miałem zawiązane chustką oczy; było cicho, słyszałem tylko dookoła szmery i chichoty. Szedłem powoli z rozłożonymi ramionami, przystawałem i nasłuchiwałem. Kierowałem się w róg ogrodu, gdzie zawsze można było kogoś zapędzić jak rybę w sak. Usłyszałem czyjś szybki oddech, potem stłumiony szelest i parsknięcie śmiechem. Czułem, że mam kogoś, że zapędziłem go w zaułek między murem i altanką. Wyciągnąłem ręce, rozgarnąłem wysokie łodygi floksów i dotknąłem dłońmi dwóch okrągłych i twardych kulek, obciągniętych jedwabiem. Dostałem po palcach, ktoś ryknął śmiechem, a ja krzyknąłem: - Anna! - i zerwałem opaskę z oczu. Anna siedziała w kucki na trawie, oczy miała zakryte rękami, śmiała się, jej twarz była czerwona jak burak.

Nacisnąłem klamkę u drzwi prowadzących do warsztatu i usłyszałem trzy, coraz niższe, dzwonki, potem, kiedy zamknąłem drzwi, rozległy się te same dźwięki w tercji, tylko w odwrotnym porządku. Było tu chłodno i pusto, tak jak zawsze. Stanąłem koło lady i powiedziałem głośno: - Dzień dobry! - Usłyszałem, jak ojciec Władysława powiedział dwa razy: - Dzień dobry, dzień dobry! - potem kotara uchyliła się i ojciec Władysława wyszedł i ukłonił się. Był bardzo niski, kiedy się kłaniał - był jeszcze niższy. Mój ojciec powiedział kiedyś, że im mniejszy człowiek, tym niżej trzeba mu się kłaniać. Moja matka powiedziała wtedy, żeby ojciec dziecku nie mącił w głowie socjalistycznymi dowcipami. Swoją drogą, że ojciec Władka był tak mały i tak grzeczny jednocześnie, że gdybym chciał mu dorównać, musiałbym chyba na czworakach chodzić. Próbowałem już rozmaitych sposobów, zginałem nogi w kolanach, ale bolały mnie łydki, kurczyłem brzuch, ale to też było bardzo niewygodne, zresztą raz ojciec Władka zapytał mnie, czy nie jestem chory. Teraz ojciec Władka stał za ladą i uśmiechał się. Spytałem:

- Jest Władek?

- Władek poszedł do magla z bielizną, zaraz wróci. Idź na górę i poczekaj - odpowiedział ojciec Władka uśmiechając się i kiwając głową. Odsunął kotarę na mosiężnych kółkach i otworzył mi drzwi. Wszedłem bokiem, kłaniając się, potem pobiegłem szybko schodami na górę. Schody były pomalowane na żółto, środkiem biegł czerwony chodnik. Na oknie kwitły biało jakieś rośliny o ciemnozielonych, sztywnych jak z blachy liściach. Słychać było brzęczące dźwięki fisharmonii. Zapukałem i wszedłem do pokoju. Anna siedziała przy fisharmonii. Wytarła chusteczką rękę i przywitała się ze mną.

- Co robisz? - spytałem.

- Gram - odpowiedziała i zaczęła znów kiwać się przyciskając miechy. Trzymała ręce prawie nieruchomo na klawiszach i poruszała leniwie palcami. Dźwięki wlokły się, fisharmonia burczała i brzęczała. Anna była w liliowej bluzce, na jej zgarbionych plecach leżały dwa grube, lśniące warkocze.

- Co grasz?

- Bacha - powiedziała nie przerywając grania i podniosła na mnie wilgotne, zaczerwienione oczy.

- To nudne jak flaki z olejem - powiedziałem.

Uczyłem się trochę grać na fortepianie, ale nikt mnie nie zmuszał do regularnego ćwiczenia. Pogardzałem grą z nut. Wyciągnąłem rękę i w tym czasie, kiedy ona wlokła wciąż jeden i ten sam akord - odegrałem w pianach bardzo szybko „Bubliczki". Było to dosyć zabawne, inaczej jak na fortepianie, gdzie trzeba było uderzać; tu wystarczyło tylko lekko dotknąć klawiszy, a już powietrze uciekało niby z wielkiej, nadętej bani i wydmuchiwało dźwięk. Anna nic nie powiedziała, tylko popatrzyła na mnie. Dałem spokój fisharmonii i zacząłem chodzić tam i z powrotem po wąskim pokoju, gdzie wszystko było bardzo czyste, bez jednego pyłka, bez plamki. Na ścianie, nad fisharmonią, wisiały fotografie rodziców od konfirmacji, nad łóżkiem Anny Chrystus w Ogrojcu, nad łóżkiem Władka krzyż, nad stołem długie, białe płótno z wyhaftowanym ozdobnie napisem: „Patrzcie, czuwajcie, a módlcie się, bo nie wiecie, kiedy czas będzie..." Na oknie stały doniczki z różowymi pelargoniami; ich blade liście odwrócone były wszystkie do światła. Wyjrzałem do ogrodu: matka Anny, wysoka, chuda, stała z koszyczkiem i zbierała porzeczki. Nie znosiłem porzeczek; były kwaśne i przyprawiały mnie o oskomę. Za chwilę wróci matka Anny, poczęstuje mnie porzeczkami i nie będę mógł odmówić.

- Kiedy Władek przyjdzie? - spytałem.

- Zaraz przyjdzie - odpowiedziała Anna, odwróciła kartkę i grała dalej.

Było strasznie nudno. W pokoju było mało miejsca. Krzesła były twarde, niewygodne. Łóżko Anny zaścielone było wysoko i nakryte koronkową narzutą. Raz, kiedy rodziców nie było w domu, biliśmy się z Władkiem i ja rzuciłem go na łóżko Anny. Zrobiła się wielka jama, wszystko się pomieszało i pomięło. Władek przerwał mocowanie się i powiedział, że trzeba zaraz naprawić łóżko, zrobić tak, jak było, bo Anna by się bardzo gniewała i powiedziałaby jeszcze mamie.

- Co robicie w czasie wakacji?

- Pojedziemy znowu do ciotki.

- Na całe wakacje?

- Tak.

- Tam pewnie jeszcze nudniej jak tu.

- Dlaczego? Są gęsi, krowy, konie.

- Kiedy jedziecie?

- Pojutrze, zaraz po świadectwach.

Zrobiło mi się trochę żal, że wyjeżdżają. Stanąłem koło Anny i popatrzyłem na nią. Miała na czole kropelki potu, mimo że w pokoju było chłodno.

- Pamiętasz, jak byłaś mniejsza, to chciałem się z tobą bawić w konie i ciągnąłem ciebie za warkocze...

Wziąłem do rąk jej grube warkocze i pociągnąłem lekko za lewy, potem za prawy warkocz: Cichij! Hetta!

- Przestań - syknęła Anna, ale bez złości, i potrząsnęła głową. Nie byłem już głupim dzieckiem, nie chciałem wcale, żeby ją bolało, robiłem to delikatnie. Położyłem ostrożnie warkocze na jej plecach i poszedłem sobie. Nie chciałem jej wcale robić przykrości, ale nie miałem też ochoty zawracać sobie Anną głowy. Anna była brzydka i niesympatyczna. Stanąłem koło półki z książkami i wyciągnąłem album ze znaczkami Władysława. Przeglądałem je, nie miał nic nowego, wszystkie znałem, były zresztą marne, składały się przeważnie z tych, które mu dałem. Jeden tylko znaczek był taki, którego nie powinienem był mu dawać; pożałowałem tego, ale nie mogłem mu już odbierać. Anna grała kiwając się, jakby jechała pod górę na rowerze. Poszedłem do okna zobaczyć, czy Władek nie wraca. Nie było go widać. Na ławce w ogrodzie stał już półmisek z wielką górą różowych porzeczek. Matka Anny zbierała dalej do koszyczka. Umyślnie wyobraziłem sobie, że nabieram i wkładam do ust całą garść porzeczek, i poczułem zaraz, jak twarz wykrzywia mi się. Nagle usłyszałem, jak Anna powiedziała głośno i bardzo wyraźnie:

- Po co tu właściwie przychodzisz?

Odwróciłem się i popatrzyłem na Annę. Siedziała teraz wyprostowana, nie patrzyła w nuty, ale w górę, na sufit, i grała dalej, tylko jakby trochę ciszej niż przedtem.

- Jak to po co? - roześmiałem się.

Anna przestała grać. Była jakaś dziwna, inna niż zwykle. Miała zmarszczone czoło, blady nos. Podniosła górną wargę i pokazała kawałeczek zębów. Poczułem się nieswojo. Odwróciłem się do okna. Usłyszałem, jak Anna mówi:

- Ja ciebie nie kocham, rozumiesz? Wcale ciebie nie kocham.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć i co począć ze sobą. Mogłem tylko obrazić się. Włożyłem ręce w kieszenie i wyszedłem powoli z pokoju, potem zbiegłem szybko po schodach i przeleciałem bez słowa pożegnania przez warsztat. Zadzwoniły dzwonki nad drzwiami, znalazłem się na ulicy. Panował tu zgiełk, świeciło oślepiająco słońce, w powietrzu unosił się kurz. Biegłem ulicą, potem skręciłem przez plac kościelny w stronę parku.

Zwolniłem dopiero, kiedy znalazłem się wśród drzew, nad ocienioną krzakami młynówką. Młynówka płynęła cicho w głębokich brzegach, między korzeniami i omszałymi palami. Oparłem się o poręcz i patrzyłem na biegnącą szybko, prześwietloną smugami światła wodę. Byłem zgnębiony, zawstydzony i jakby pobity przez kogoś; nie fizycznie, ale jakbym przegrał jakąś grę, niby w szachy albo w karty, ale jeszcze ważniejszą. Poszedłem kawałek dalej, przystanąłem znowu i myślałem: - Do diabła, to ja jej przecież nie kocham. Ale ona raczej powinna mnie kochać. - A później znów: - Jakżeż bardzo musi mnie ona nie kochać, skoro mi to powiedziała. Bo ja, który jej nie kocham - nigdy bym jej tego nie powiedział!

23/01/2001

Widziałem psa. Sunąłem właśnie po zaśnieżonej asfaltowej drodze, a nad moją głową mrugały chłodno bańki ulicznych lamp. Koło mnie tańczyły w dzikim popłochu tumany śniegu, zostawiałem za sobą płytkie ślady w dziewiczej bieli, a wiatr powoli rozdmuchiwał je na wszystkie strony, pogwizdując z zadowoleniem. Kilka kroków przede mną szedł mały chłopak (a może dziewczynka - spod czarnego kaptura sterczały tylko pucołowate policzki wysmagane przez ostry wiatr do czerwoności). W piąstce opatulonej w grube rękawiczki dziecko trzymało płócienną smycz, na której drugim końcu człapał chudy pies na długich, szczupłych nogach. Nogi wydawały się długie w porównaniu z psim ciałem, bo sam pies był niewielki. Brnął powoli przez wszechobecną zdziczałą firankę kolącego śniegu i mrużył swoje wielkie, wypukłe oczy - czarne jak noc ukryta za obłokami gdzieś tam w górze i spływająca czasem w dół między strugami śniegu. Właśnie oczy tego psa zwróciły moją uwagę - wilgotne, podrażnione od setek igiełek starających się wedrzeć pod powieki ... Pies od czasu do czasu rozsunął jednak powieki, nieśmiało zadarł głowę i spojrzał na linkę; na rękę, która ją trzyma; na osóbkę kroczącą obok niego ... a w jego oczach na chwilę ukazało się bezbrzeżne zaufanie, nim został zaatakowany przez następny poryw wiatru, a jego mordka skrzywiła się z bólu, może z zimna. Pies ufał tej małej istotce - w gruncie rzeczy nawet niewiele większej od niego - że zaprowadzi go gdzieś, gdzie jest ciepło i bezpiecznie. Odwracał głowę, gdy dziecko potykało się o kawałki lodu ukryte pod ruchliwym dywanem pyłu śnieżnego przebiegającego po drodze, sprawdzał, czy wszystko w porządku. Z naprzeciwka z rozbielonej ciemności wynurzyły się dwa poziome snopy światła, rozcięły jak skalpel białą firankę i minęły najpierw dziecko z psem, potem mnie. Cicho jak duch. Słyszałem tylko szelest opon. Dziecko przyciągnęło do siebie na tę chwilę postrzępioną smycz, pies posłusznie - a właściwie z ochotą - przywarł do szeleszczących spodni niebieskiego kombinezoniku. Obaj - dziecko i pies - weszli na dróżkę między wierzby, których żyrafie karki uginały się smętnie nad tym obrazkiem. W ich śladach - pasemko szerokich śladów zimowych bucików widniało obok pasemka drobnych miseczek odciśniętych w śniegu - chwilami przebłyskiwał jasny brąz

zmarzniętej na kamień gliny. W miarę jak się oddalali, ich kontury stopniowo rozmywały się, rozcierane miotłą śnieżnej nawałnicy. W końcu oba cienie znikły zupełnie.

Zostałem sam, jeszcze bardziej niż przedtem. Przebiegam przez drogę, skręcam do mojej ulicy, zza rogu wynurza się powoli mój dom, do jego ścian przywarły zmarznięte drzewka iglaste i podrygują spazmatycznie we wietrze. Koło mojej nogi zatrzymuje się czarny cień, tuż nad ziemią rozbłyskają dwa bursztynowe ogniki. Biorę naszego kota na ręce i chowam pod płaszcz.

I wstyd mi się zrobiło. Za niespełnione nadzieje, za zaufanie kierowane pod niewłaściwy adres.

Za nas wszystkich.

DARIUSZ JEDZOK



Fot. FRANCISZEK BAŁON

KORNEL FILIPOWICZ I CIESZYN

Tak zatytułował Zbigniew Machej, redaktor książki Kornela Filipowicza „Opowiadania cieszyńskie", rozmowę z Wisławą Szymborską, pisarką, którą łączyła z Kornelem Filipowiczem wieloletnia przyjaźń. Rozmowa ukazała się jako posłowie do książki opowiadań Filipowicza, wydanej przez Cieszyński Ośrodek Kultury Dom Narodowy w Cieszynie w roku 2000. Jedno z opowiadań zamieszczamy w tym numerze Zwrotu.

Kornel Filipowicz, ur. 1913 w Tarnopolu, zm. 1990 w Krakowie, był jednym z najlepszych współczesnych polskich nowelistów. Po pierwszej wojnie światowej przeniósł się z rodzicami do Cieszyna, tu ukończył gimnazjum (był m.in. uczniem poety Juliana Przybosia). Studiował biologię na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Był uczestnikiem kampanii wrześniowej, więźniem obozów koncentracyjnych. Po wojnie zajął się pracą literacką. Współpracował z wieloma pismami literackimi. Debiutancki tom opowiadań „Krajobraz niewzruszony" ukazał się w roku 1947. Wydał kilka zbiorów nowel („Biały ptak", „Kot w mokrej trawie", „Między snem a snem" itd.) oraz mikropowieści, m.in. „Niepokój młodego serca", „Romans prowincjonalny", „Ogród pana Nitschke". Najchętniej przedstawiał kameralne środowiska ludzi przeciętnych, często wracał do przeżyć okupacyjnych.

Lata szkolne spędził Kornel Filipowicz w Cieszynie. O tym, jak ważne były to lata, jak głęboki pozostawiły ślad w pamięci pisarza, mówią „Opowiadania cieszyńskie".

O związkach pisarza z Cieszynem rozmawia Zbigniew Machej z Wisławą Szymborską. Oto fragmenty tej rozmowy:

Zbigniew Machej: *Po wojnie Kornel zamieszkał w Krakowie. Do Cieszyna przyjeżdżał jednak regularnie, co najmniej raz w roku, w Dzień Zaduszny, na grób swojego ojca i babci, który znajduje się na cieszyńskim cmentarzu komunalnym.*

Wisława Szymborska: *Tak, przyjeżdżał regularnie, z wyjątkiem wojny i dwóch pierwszych lat po wojnie, kiedy ciężko odchorowywał obóz. Ale odwiedzał nie tylko cmentarz katolicki, również ewangelicki, bo tam także leżeli ludzie, których znał z dawnych lat. Gdzieś od końca lat 60. towarzyszyłam mu w jego wyjazdach do Cieszyna. Pamiętam - prawie zza każdego skrzyżowania ulicy wyłaniał się ktoś, z kim Kornel wymieniał pozdrowienia, przystawał, rozmawiał... Z biegiem czasu, niestety, tych spotkań robiło się coraz mniej... Ludzie znikali tam, skąd nikt nie wraca...*

Zbigniew Machej: *Jak pamiętasz Cieszyn z tamtych wizyt?*

Wisława Szymborska: *Bardzo lubiłam jeździć do Cieszyna. I nie tylko dlatego, że w tak miłym towarzystwie. Coś było w ludziach, w atmosferze tego miasta, co wydawało się rzadkie. Ustrój, w którym wtedy żyliśmy, dążył do tego, żeby wszystko maksymalnie ujednolicić. Począwszy od gazet, a skończywszy na smaku sera, poglądach na życie a nawet marzeniach... Otóż Cieszyn wydawał mi się jakiś inny, oporny. Jakby mniej było w nim krętactwa, pozerstwa, fałszywych słówek i wątpliwych aspiracji... Zapytałam kiedyś Kornela, na czym właściwie ta inność polega. „Może stąd - odpowiedział - że tutaj ludzie częściej niż gdzie indziej patrzą sobie prosto w oczy"...*

opr. C.R.

PARYSKI INSTYTUT LITERACKI - SYMBOL WOLNEJ POLSKI

We września ub. roku zmarł na atak serca w klinice pod Paryżem **Jerzy Giedroyć**, wybitny polski wydawca i publicysta, twórca **Instytutu Literackiego**, ośrodka niepodległej myśli polskiej, i miesięcznika **Kultura**. Chociaż miał 94 lata, nie poddał się starości, do końca zachował świeży umysł i wierność swym kontrowersyjnym często poglądom na polską rzeczywistość.

Jerzy Giedroyć pochodził z terenów dzisiejszej Białorusi. Studiował prawo i historię na Uniwersytecie Warszawskim. Przed wojną redagował dwutygodnik Bunt Młodych przekształcony w tygodnik Polityka. W czasie drugiej wojny światowej w 2. Korpusie Polskim generała Andersa kierował wydziałem wydawnictw i czasopism wojskowych, wydawał Orła Białego i Żołnierza Polskiego. Po wojnie nie wrócił do Polski.

W 1946 roku założył wraz z Józefem Czapskim, Gustawem Herlingiem-Grudzińskim oraz Zofią i Zygmuntem Hertzami w Rzymie Instytut Literacki. W czerwcu 1947 roku ukazał się pierwszy numer Kultury - wyboru szkiców, opowiadań i sprawozdań. W październiku tego samego roku Instytut Literacki, wydawca pisma Kultura, przeniósł się do Francji do nowej siedziby w Maisons-Laffitte pod Paryżem, gdzie mieści się do dnia dzisiejszego. Pierwszą wydaną przez Instytut Literacki książką były „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego" Adama Mickiewicza ze wstępem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Do grudnia 1999 roku ukazało się ponad 500 tomów serii Biblioteki Kultury, obejmującej dzieła literackie, ale także książki o charakterze politycznym czy pamiętnikarskim, w tym ponad sto numerów Zeszytów Historycznych, które wychodziły od roku 1962 co pół roku, od roku 1972 kwartalnie. W latach 70. rozpoczęto też drukowanie publikacji pisarzy mieszkających w Polsce. Regularnie wydawany był miesięcznik Kultura.

Paryska Kultura, której redaktorem naczelnym był od początku Jerzy Giedroyć, stała się najważniejszym pismem kulturalnym i politycznym Polaków na obczyźnie. Drukowali w niej najwybitniejsi polscy pisarze i publicyści emigracyjni. W Polsce była pismem zakazanym. *Czytaliśmy Kulturę Giedroycia* - wspomina Krzysztof Zanussi - *bo była dla nas, dla polskiej inteligencji busolą, wyznaczającą kierunek naszego myślenia zarówno o literaturze, jak i o życiu.* Ostatni zredagowany przez Jerzego Giedroycia - z września 2000 roku - numer był 636. z kolei. Historia paryskiej Kultury zakończona została wydaniem numeru specjalnego.

Umarł Redaktor, a wraz z nim pismo - pisała prasa polska. W Paryżu pozostali jednak współpracownicy Jerzego Giedroycia, którym nieobojętny jest los polskiego Instytutu Literackiego. Poniżej przytaczamy **Apel do Rodaków** w kraju i za granicą z prośbą o pomoc finansową, który wystosowali, by ratować Instytut Literacki, umożliwić jego dalszą działalność i zachować go dla następnych pokoleń Polaków.

opr. C.R.

APEL DO RODAKÓW

Nigdy nie zastanawiałem się nad kandydatem na mego następcę. Wszystkie plotki na ten temat są bezzasadne. Po mojej śmierci Kultura przestanie wychodzić. Zostanie natomiast Instytut Literacki jako archiwum i biblioteka. Kierować nim będą Zofia Hertz i mój brat Henryk. Byłoby dobrze, gdyby znalazły się jakieś pieniądze na stypendia, które umożliwiłyby prowadzenie tu badań i na stypendia „twórcze". Może uda mi się jeszcze przed odejściem tę sprawę załatwić.

Tę wypowiedź z „Autobiografii na cztery ręce" Jerzy Giedroyć potwierdził w kilku wywiadach prasowych i notatkach, które stanowią Jego ostatnią wolę. Toteż obecny numer Kultury, przygotowany przez Redaktora, jest jej numerem ostatnim.

Naszych Prenumeratorów żegnamy z żalem, dziękując im za wierność przez wiele lat i za tak wzruszające wyrazy współczucia, jakie otrzymaliśmy z całego świata.

Dla nas był to cios, z którym trudno się pogodzić.

Kultura była pismem wyjątkowym ze względu na to, że była prowadzona przez jednego człowieka, z pomocą garstki ludzi, która z Nim zaczynała. Wielu czytelników i przyjaciół mówi, że Kulturę należałoby zachować, ale czy jest gdzieś ktoś, kto mógłby ją prowadzić w tym duchu, co Jerzy Giedroyć? To jest naprawdę niemożliwe.

Chcielibyśmy jednak zachować nasz dom - zawsze otwarty dla wszystkich - nie jako muzeum, ale jako ośrodek tętniący życiem i pracą. Chcielibyśmy, żeby nasza biblioteka, nasze dokumenty, zbierane przez tyle lat, nasze obrazy i pamiątki, służyły nadal młodym i starszym, którzy chcieliby zapoznać się z prawdziwą historią Polski. Chcielibyśmy, jak dotąd, przyjmować studentów, stypendystów i autorów, którzy mogliby korzystać z naszych zbiorów. Chcielibyśmy, żeby nasz ośrodek - Instytut Literacki - pozostał w pamięci starszych i młodych, którzy nas odwiedzali. Chcemy wydawać w dalszym ciągu Zeszyty Historyczne (właśnie ukazał się Zeszyt 113, następny wyjdzie jeszcze w tym roku).

Wiemy, że na to wszystko potrzebne są pieniądze i ludzie, którzy kontynuowaliby naszą pracę.

Przed laty nie mieliśmy lokalu i nie mieliśmy pieniędzy, ale znaleźliśmy dom, jak gdyby wymarzony, blisko Paryża, nadający się na biuro i mieszkanie. Pieniądze pożyczyliśmy, ale jak wiadomo, trzeba je było oddać. Zwróciliśmy się wówczas do naszych Czytelników, prosząc o pomoc. Odzew był nadzwyczajny. Spłaciliśmy nasze długi po roku i zaczęliśmy nowe życie. Wszystko to opisaliśmy w swoim czasie w Kulturze.

Dziś są inne czasy i inne problemy, chcemy jednak przypomnieć, że nigdy nie uważaliśmy naszego domu za naszą osobistą własność, ale za dom polski - dom Polaków. Dziś myślimy tak samo i zwracamy się do Was z prośbą

o pomoc. Pomóżcie nam zachować ten dom dla naszych następców. Chcielibyśmy, aby stał się on kawałkiem naszej historii, tak jak jest nią Biblioteka Polska w Paryżu, która zostanie pamiątką po Wielkiej Emigracji.

Moglibyśmy zwrócić się do rozmaitych instytucji i uniwersytetów także zagranicznych - są takie, które już do nas pisały w tej sprawie, ale nie chcieliśmy tego i nie chcemy nadal - przez wszystkie te lata byliśmy całkowicie niezależni - tak, jak nas uczył Redaktor. I chcielibyśmy takimi pozostać. Dlatego zwracamy się do Was.

ZOFIA HERTZ, HENRYK GIEDROYĆ

Wpłaty z zagranicy dla Instytutu Literackiego można przekazywać na nasze konto bankowe:

INSTITUT LITTÉRAIRE, nr konta: 000 200 2246 1
W banku Société Générale, Agence de Maison-Laffitte,
22 Avenue de Longucil, 78600 Maison-Laffitte.
Wpłaty z Polski można przekazywać na konto:
Institut Litteraire S.A.R.L.
Bank Handlowy w Warszawie
II Oddział, al. Jerozolimskie 65/79,
00-679 Warszawa
10301029-31033002

Nazwiska wszystkich ofiarodawców ogłosimy w specjalnej broszurze pod koniec roku 2001.

RADOMIR KRYGIEL

Zainteresowanie fotografią artystyczną Radomir Krygiel przejawiał już w czasach gimnazjalnych. Pasja ta przetrwała do dnia dzisiejszego. Był aktywnym członkiem Pionu Foto-Filmowego SLA. Obecnie, chociaż prowadzi jedną z największych na naszym terenie firm reklamowych, nie przestał się udzielać społecznie (taki fakt u naszych współczesnych biznesmenów należy do rzadkości...). Radomir Krygiel należy, między innymi, do ścisłego grona założycieli nowo powstałego Zaolziańskiego Towarzystwa Fotograficznego.

Jego poczynania twórcze w dziedzinie fotografii artystycznej zdominowało zainteresowanie portretem kobiecym. Ma on na swym koncie uczestnictwo w kilku plenerach fotograficznych w Polsce, w wystawach zbiorowych.

RADOMIR KRYGIEL





Z KIPLINGIEM W TEATRZE PEŁNYM DŹWIĘKÓW

Teatr dla wszystkich. Tak można najkrócej określić najnowszą (10.2.2001) premierę Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego, ostatnią, jak nie omieszkał podkreślić jej reżyser Jerzy Batycki, wystawioną w czasie jego dyrekcji artystycznej w Scenie Polskiej. Na miejsce kierownika artystycznego Sceny Polskiej wraca bowiem po niezbyt długiej przerwie Rudolf Moliński. I jego głównym zadaniem będzie przygotowanie jubileuszu pięćdziesięciolecia Sceny Polskiej. Pod opiekuńczym okiem niedawno mianowanego nowego dyrektora Teatru Karola Suszki. Innymi słowy: Nasi wracają na jubileusz.

Przed rozpoczęciem przedstawienia premierowego wszedł na scenę dyrektor Karol Suszka, by powitać widzów, zacnych gości, starych znajomych, ale przede wszystkim chyba po to, by wyrazić swą radość, że znów może stać na deskach tego teatru. Mimo że jest aktorem i reżyserem, nie odegrał tym razem żadnej roli, nawet roli poważnego dyrektora, jego wystąpienie miało charakter spontaniczny, entuzjazm był autentyczny.

Dyrektor teatru wraz z kierownikiem literackim Sceny Polskiej Renatą Putzlacher wręczyli nagrody laureatom konkursu rodzinnego „Księga dżungli. Bairagi" i zaprosili do obejrzenia plonu konkursu - wystawy rysunków dziecięcych w galerii teatru. Kilkoma z tych rysunków zilustrowany został program do przedstawienia.

Jako przedstawienie rodzinne zapowiadali spektakl „Księga dżungli. Bairagi" jego twórcy. Scenariusz powstał w oparciu o prozę Rudyarda Kiplinga, angielskiego pisarza z przełomu XIX i XX wieku, laureata literackiej Nagrody Nobla, który większą część swej twórczości przeznaczył dla młodego czytelnika. Kipling spędził dzieciństwo i młodość w Indiach, kraju, który stanowił dla niego wielką inspirację. Tam powstał luźny cykl opowiadań, połączony przez osobę głównego bohatera, zebrany w dwa tomy jako „Księga dżungli" (1894) i „Druga księga dżungli" (1895). Opowiada historię Mowgliego, chłopca wychowanego przez wilki, niedźwiedzia Baloo i czarną panterę Bagheerę.

Na motywach książek Rudyarda Kiplinga stworzony został spektakl muzyczny, którego prapremiera odbyła się we Wrocławiu podczas Prze-

glądu Piosenki Aktorskiej w 1998 roku. Autorem musicalu „Księga dżungli. Bairagi" jest Roman Kołakowski, dyrektor artystyczny Przeglądu.

Widowisko odgrywa się w dwóch płaszczyznach: realnej i baśniowej. Realny jest Starzec (Ryszard Pochroń) - bairagi - święty mąż, który opowiada historię Mowgliego i który zna drogę do Kharna Pradam, zaginionego miasta, ukrywającego wielki skarb. Do skarbu dotrzeć pragnie oddział specjalny żołnierzy brytyjskich pod dowództwem kapitana Browna (Ryszard Malinowski). W wyprawie bierze udział młody porucznik Rudyard Kipling (Tomasz Kłaptocz), dziennikarz i poeta, którego najbardziej interesuje historia Mowgliego jako temat literacki, oraz profesor Smith (Kazimierz Siedlaczek), archeolog i orientalista, i jego córka Polly (Patrycja Czerwiec), lingwistka i tłumaczka. Dzięki rytualnemu obrzędowi Starca rozpoczyna się historia baśniowa, główni bohaterowie przeobrażają się w postacie z opowieści: Kipling staje się chłopcem, a właściwie nieźle zbudowanym młodym mężczyzną Nathoo, zwanym Mowgli, czyli Żaba, Smith to jego nauczyciel, czyli sympatyczny niedźwiedź Baloo, a Polly to zwinna i zgrabna czarna pantera Bagheera, zaś Brown jest złym tygrysem ludojadem Shere Khanem, który kiedyś porwał chłopca, a teraz nastaje na jego życie. Scena, w której szczęśliwa matka Messua (Róża Miczko) kołysze dziecko, które następnie porywa tygrys, jest prologiem, wstępem do spektaklu. Żołnierze Browna (Paweł Niedoba, Janusz Kaczmarski i Jerzy Leszczyński) nakładają maski Wilków, zaś Wieśniaczki (Janina Buława, Halina Pasekowa, Lidia Chrzan, Anna Paprzyca i Barbara Szotek-Stonawski) to zależnie od potrzeby Małpy, Węże, Boginie Śakti Matrika oraz chór i balet.

Spektakl muzyczny wymaga innych środków wyrazowych niż inscenizacja dramatu. Duża część tekstu to partie śpiewane, piosenki, których wykonawcami są soliści - główni bohaterowie, ale także wszystkie inne znajdujące się na scenie osoby. Pewną pomocą są wykorzystane w przedstawieniu nagrania Teatru Muzycznego-Operetki Wrocławskiej, jednak trzeba pochwalić aktorów Sceny Polskiej, bo zadania swe, również te śpiewacze, spełnili dobrze. Również tańce, układy choreograficzne (autorstwa Ivanki Kubicowej) wypadły bez zarzutu.

Odległe krainy i inne kultury przywodzi na myśl bogata w ornamenty dekoracja sceniczna oraz barwne nieraz kostiumy i ciekawe maski, pełniące w tym spektaklu zasadniczą rolę (scenografia Eliška Zapletalowa). Gra świateł podkreśla elementy dekoracji, ale głównie dotwarza atmosferę poszczególnych scen.

„Gesamtkunstwerk", czyli całościowe dzieło sztuki, to termin, który wy-

myślił przed 150 laty Ryszard Wagner na określenie wymarzonej realizacji swych oper. Dzieło sceniczne, które miało powstać, byłoby połączeniem literatury, muzyki, plastyki i sztuki inscenizacji. O takiej syntezie sztuk myślał też zapewne reżyser Batycki, realizując „Księgę dżungli. Bairagi". I zbudował spektakl przyjemny dla ucha i oka.

Jednak pojawia się mankament. Choć to klasyka literatury, zawierająca niejedną filozofię nie tylko ponadlokalną, a wręcz ogólnoludzką, sposób prezentacji tego wątku jest mało czytelny. Czy jednak na pewno owe myśli filozoficzne są w tym spektaklu najważniejsze? O ile widz zaakceptuje egzotyczny bez wątpienia temat i musicalowy sposób jego realizacji, będzie się po prostu bawił.

CZESŁAWA RUDNIK



Fot. WIESŁAW PRZECZEK

WIECZÓR W CAFÉ AVION

Już pięć lat minęło od chwili, w której skrzyknęli się Renata Putzlacher z Jaromírem Nohavicą, by nawiązać do tradycji nieistniejącej od dawna kawiarni Avion na lewym brzegu Olzy i stworzyć w Czeskim Cieszynie nową „Kawiarnię Avion, której nie ma...", kawiarnię literacką. Pierwszy jej program - 23 lutego 1996 roku - odbył się w wyremontowanym lokalu w podziemiach Teatru Cieszyńskiego, teatru, z którym związana była większość twórców i wykonawców wieczorów literackich czy kabaretowych nowego Avionu. Kawiarnia Avion, pojmowana nie jako lokal, ale pewne działanie twórcze na rzecz zbliżania kultur, przede wszystkim polskiej i czeskiej, zmieniała potem niejednokrotnie miejsca prezentacji swych programów, pozostając jednak wierna idei. Głównym motorem i duchem sprawczym była od początku i pozostała Renata Putzlacher, zmieniali się jej współpracownicy.

Kawiarnia Avion Anno Domini 2001 zaprezentowała się 27 stycznia w sali prób „B" Teatru Cieszyńskiego. Współautorem czesko-polskiego wieczoru stał się nowy młody kierownik literacki Sceny Czeskiej Teatru Vladimír Fekar. Część polską napisała Renata Putzlacher, kierownik literacki Sceny Polskiej. Wśród występujących na scenie osób znalazła się także wykonawczyni partii muzycznych wieczoru - grająca na skrzypcach - Iwona Bajger, notabene również pracownica pionu artystycznego tego teatru, bo sufler.

Autorzy zaskoczyli bywalców kawiarni, przybierając na samym początku pozę niefrasobliwości i rozpoczynając program od lekkiej improwizacji w stylu: Przyszliście, więc musimy was bawić. W tej atmosferze zbudowana została cała pierwsza - czeska - część programu. Część druga - polska - miała inny charakter, inny nastrój, nie pozwalała nawet na drobne przypuszczenie, iż nie została przemyślana w szczegółach, nie wprowadzała już co wrażliwszego widza w zażenowanie sugestią, że autorowi coś nie wyszło.

Na wieczór w Café Avion złożyły się dwa monodramy. Dwa monologi kobiet, powiedzmy trzydziestoletnich. Autorem pierwszego z nich był mężczyzna - Vladimír Fekar. Niby prosto z ulicy przyprowadził kobietę, trzymającą za rękę kilkuletnią córeczkę, postawił przed mikrofonem i kazał coś opowiadać. „YOYO, czyli «Wieczór z...»" nosił podtytuł „One woman show Jolany Štibránovej" i był monologiem tej aktorki Sceny Czeskiej z elementami dialogu z autorem, tu w roli podającego mikrofon, kieliszek czy popielniczkę i namawiającego do pozostania jeszcze przez chwilę, oraz

z dzieckiem. Bohaterka okazała się pracownicą Huty Trzynieckiej, cały jej sposób bycia i jej opowieść były wyrazem buntu przeciw życiu, które nie ułożyło się całkiem tak, jak sobie wymarzyła.

Odmienny charakter drugiej części wieczoru zapowiadały pieczołowicie ustawione na scenie elementy dekoracji. Napisany przez Renatę Putzlacher dla Małgorzaty Pikus monodram „Ja, Margot" mógł śmiało uchodzić za życiorys tej byłej aktorki Sceny Polskiej. Zgrabnie połączone przez autorkę elementy biografii aktorki, począwszy od znanego wszystkim polskim telewidzom, a pasującego tu zdania „Moje babička pochází z Chrzanowa" poprzez różnorakie wątki z życia osobistego i kariery zawodowej, złożyły się na interesującą całość na dobrym poziomie artystycznym, opowiedzianą przez bohaterkę przekonująco, z nutką liryzmu, ale też z odpowiednim dystansem do własnej osoby. Podkład muzyczny tworzyły fragmenty piosenek wykonywanych przez Małgorzatę Pikus podczas jej zaolziańskiego epizodu życiowego.

Podsumowaniem wieczoru w Café Avion niech będzie stwierdzenie, że siedzący przy stolikach widzowie po końcowych oklaskach nadal nie opuszczali swoich miejsc i powoli zaczęli zabierać się do wyjścia dopiero po zapewnieniu przez organizatorów, że naprawdę niczego więcej już nie przygotowali.

CZESŁAWA RUDNIK



Jolana Štibránywowa



Małgorzata Pikus

Fot. WIESŁAW PRZECZEK

FUNDACJA MŁODEJ POLONII: POLSKA–EUROPA–ŚWIAT
PL 00–322 WARSZAWA, Krakowskie Przedmieście 64

OGŁASZA:

MIĘDZYNARODOWY OTWARTY KONKURS PLASTYCZNY 2001

Warunki Konkursu:

I. Do udziału w Konkursie organizatorzy zapraszają dzieci i młodzież polonijną w kategoriach wieku: **do lat 9, od lat 10 do 14 i od lat 15 wzwyż** z krajów europejskich i pozaeuropejskich, niemieszkającą w Polsce. W konkursie mogą brać udział prace dotąd nigdzie niepublikowane. Termin przysłania prac: 20 maja 2001 r.

II. **Konkursy i wystawy prac można organizować także zbiorowo w szkołach** polonijnych, gdzie komisja powołana przez dyrektora wyblerze około 10 do 15 najlepszych prac i prześle je do 20 maja 2001 r. na adres organizatora, do Warszawy.

III. **Prace winny być oznaczone na odwrocie imieniem i nazwiskiem, wiekiem autora, dokładnym adresem** (kraj, miasto, ulica, nr domu i mieszkania, ew. telefon).

IV. Organizatorzy ustalają następujący regulamin Konkursu: Temat Konkursu: **„Skarby kultury polskiej w tysiącleciu – wspólnym dziedzictwem kulturowym"**

Cele konkursu:

- rozbudzanie więzi uczuciowej z krajem przodków,
- poznanie polskich symboli narodowych, zabytków sztuki świeckiej i sakralnej,
- przybliżanie związków kultury polskiej z krajem zamieszkania w celu zaszczepienia takich wartości jak: otwartość, tolerancja, ciekawość świata,
- rozbudzanie wyobraźni dzieci i młodzieży.

Tematyka konkursu:

- budowle, zabytki, pomniki, symbole miast; zespoły przyrodnicze, góry, jeziora, morze; legendy, fakty historyczne, sławni Polacy,
- i wszystko inne, co może zainspirować młodego twórcę, a co wiąże się z tematem konkursu.

Technika i forma prac:

- papier rysunkowy A3 i A4 plus 2 cm passe-partout w dowolnym kolorze,
- duża dowolność technik: ołówek, kredka, farby oraz techniki łączone, także artystyczna technika komputerowa.

Jury: Komisja plastyków z Pałacu Kultury w Warszawie, inni artyści plastycy oraz przedstawiciele Zarządu Fundacji.

Nagrody: dyplomy, nagrody rzeczowe, pobyty w Polsce.

Ogłoszenie wyników Konkursu odbędzie się na początku lipca 2001 r., a uroczyste wręczenie nagród odbędzie się w czasie czterodniowego sympozjum 1 sierpnia 2001 r.

Nagrodzone, wyróżnione oraz zakwalifikowane do wystawy prace będą prezentowane na wystawie pokonkursowej w Domu Polonii w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu 64.

MIĘDZYNARODOWY OTWARTY KONKURS LITERACKI DLA POLONII na wiersz, esej lub humoreskę w języku polskim

Warunki Konkursu:

I. Do udziału w Konkursie organizatorzy zapraszają dzieci i młodzież **w wieku od 12 do 35 lat** z krajów europejskich i pozaeuropejskich piszącą po polsku i niemieszkającą w Polsce, także młodzież państw obcych. W konkursie mogą brać udział prace dotąd nigdzie niepublikowane.

II. **Prace oznaczone GODŁEM** (skrótem 3 literowym), należy wysłać na adres Fundacji do dnia 10 maja 2001 r. W zaklejonej kopercie, oznaczonej tylko tym samym GODŁEM, należy podać nazwisko, adres i krótki życiorys. Prace powinny być wydrukowane po polsku na maszynie lub komputerze.

III. Organizatorzy przewidują następujące kategorie Konkursu do wyboru:
- wiersze własne, oryginalne w języku polski, dotąd niedrukowane do 3 utworów;
- esej literacki, filozoficzny, dotąd niedrukowany do 3 stron maszynopisu;
- humoreska, dotąd niedrukowana do 3 stron maszynopisu.

IV. Organizatorzy przewidują nagrody pieniężne, pobyty w Polsce oraz nagrody rzeczowe. Najwyższą nagrodą – Grand Prix dla poezji – będzie medal ZŁOTEGO SZERSZENIA. O przyznaniu nagród zadecyduje Jury.

V. Ogłoszenie wyników Konkursu nastąpi w końcu czerwca 2001 r.

VI. Uroczyste wręczenie nagród odbędzie się w czasie Sympozjum Literackiego zorganizowanego w dniach od 30 lipca do 2 sierpnia 2001 roku w Warszawie.

VII. Nagrodzone utwory zostaną opublikowane w formie książkowej.

VIII. W skład jury wejdą: członkowie Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

MIĘDZYNARODOWY OTWARTY KONKURS FOTOGRAFICZNY 2001

Warunki Konkursu:

I. Do udziału w Konkursie organizatorzy zapraszają młodzież polonijną

w wieku do 35 lat, z krajów europejskich i pozaeuropejskich, niemieszkającą w Polsce, także młodzież innych narodowości. W konkursie mogą brać udział fotografie dotąd nigdzie niepublikowane.

II. **Prace oznaczone GODŁEM**, (skrótem 3 literowym), należy wysłać na adres Fundacji do dnia 30 maja 2001 r. W zaklejonej kopercie, oznaczonej tylko samym GODŁEM, należy załączyć wypełnione karty zgłoszeniowe.

III. Organizatorzy ustalają następujący regulamin Konkursu:

a/ Każdy autor może nadesłać nie więcej niż 4 prace nieuszkodzone o formacie: 15 x 21 cm wykonane techniką fotograficzną, czarno-białe lub kolorowe.

b/ Nadesłane prace mogą tworzyć zestaw tematyczny, składający się z 4 zdjęć, wyczerpuje on wtedy dopuszczalny limit 4 prac na jednego autora.

c/ Każde zdjęcie na odwrocie powinno zawierać nast. opis: godło, tytuł, a w razie zestawu także kolejność zdjęć.

d/ Nadesłane prace nie będą zwracane.

e/ Wszystkie prace będą traktowane z największą dbałością, jednak organizatorzy nie mogą wziąć odpowiedzialności za ich ewentualne uszkodzenie lub zaginięcie.

f/ Autorzy zastrzegają sobie prawo do bezpłatnej reprodukcji w katalogu i telewizji oraz innych publikacjach.

g/ Prace konkursowe będą oceniane i kwalifikowane do wystawy przez jury składające się z przedstawicieli Związku Polskich Artystów Fotografików, Warszawskiego Cechu Fotografów oraz sponsorów.

h/ Nagrodzone, wyróżnione oraz zakwalifikowane do wystawy prace będą prezentowane na wystawie pokonkursowej w Domu Polonii w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu 64.

i/ Organizatorzy przewidują wydanie katalogu wystawy oraz kalendarza z pracami nagrodzonymi.

j/ Informacje o wynikach konkursu zostaną podane w prasie krajowej i zagranicznej.

k/ Wszyscy uczestnicy, których prace zostaną nagrodzone i wyróżnione, otrzymają honorowe dyplomy uczestnictwa.

l/ Ogłoszenie wyników Konkursu odbędzie się w lipcu 2001 r., a uroczyste wręczenie nagród odbędzie się w czasie sympozjum 1 sierpnia 2001 r.

m/ Nadesłanie prac i wypełnienie karty zgłoszeniowej jest równoznaczne z uznaniem niniejszego regulaminu.

Informacji udzielą organizatorzy:
FUNDACJA MŁODEJ POLONII w WARSZAWIE, POLSKA
PL 00-322 Warszawa, Krakowskie Przedmieście 64
Szef biura: tel/fax: 0048 22 663-77-12, komórkowy: 0 602 658 562, e-mail: fmp@fmp.com.pl

CHŁOP I MŁYNORZ

Stary Bardóń, ledwo w poniedziałek rano stanół, hned sie ze swoją babóm strasznie powadził. „Ty stare czupiradło, porządku nigdzi nimosz, nieumyto chodzisz, niepoczosano, ale nos to mosz dobry. Gdo mi wysznupoł ty dwie szustki, coch mioł schowane w papiyrku we świyczniku - kocur-pies? Dyć tu inszygo żodnego nima, jyny ty, ty kanalijo milijónsko!" „Widzicie go, ślimok, gupielok, wrazi se pinióndze za obrozek, a hledo ich we świyczniku. Móm pinióndze, ale nic ci nie dóm, bo sie ci uż i tak z tej gorzołki w głowie posprzekręcało." „Dej babo, dej grejcary, bo mie tak jakosi zima trzymie." „Widzicie go, zima go trzęsie, a dziepro go bedzie trzęść, bo zima na karku, a ty nimosz kónska drzewa przi chałupie. Gazda lyń, pijok smerdzący, bo weznym tóm mietłe posmolónóm, to cie opiszym, że sie ci roz na dycki gorzoły odniechce. Już bier sikiyre, piłe, idź i orąbej ty dwie wiyrby, co stojóm przi młynce, a śpiychej se, bo potym musisz zawiyźć na tragaczu żyto zemleć do młyna. Jak bedziesz szykowny, to to wszistko do wieczora zrobisz, a jo pujdym na radlice po sól, a możne jeszcze do tych twoich grejcarów cosi dołożym i przyniesym ci gorzołki, a wieczór po robocie se wypijesz".

Chłop już nic nie powiedzioł, bo musioł babe posłóchać, pobrusił sikiyre, wzión piłe i poszeł. Robota mu szła dobrze, wiyrby były nizki, sikiyra była ostro, tóż ze ziymie rąboł, aż trzoski leciały. Koło południa już mioł wiyrby prawie orąbane, gałęzie poukładane na kupkach, jyny na jednej wiyrbie zustała wielko, hrubo gałęź, wiyrba była pochylóno nad młynkóm, tóż nimóg nijak sikiyróm ani piłóm gałęź dostać. Do młynki też nimóg wlyźć, bo woda była zimno i dość głęboko. Teraz wzión piłke, wygramolił sie na wiyrbe, siednół na gałąź okrokym i zaczón od spodku pitwolić. Szło mu to procnie, bo to nimioł po ręce, ale był rod i pomyśloł se, a do siebie se rządził: „Jo ci tu dóm, dziwejcie sie ludzie jako grubo, tako macka, a ani jóm tak, ani siak, a jo se na nióm z góry siednym, a z dołu jóm piłóm bedym piłował". Jak tak tóm gałęź piłuje, przechodzi koło niego stary Brzezina. Był to taki stary chłop o jednej nodze, bo drugóm mioł drze-

wiannóm. Mieszkoł w taki stare drzewiannej chałupie pod Farskóm Brzezinóm. Chodził po dziedzinie, wszistko widzioł, wszistko wiedzioł, lyczył bydło, ludzi, przedpowiadoł pogode. Jak był kiery nimocny, to wołali Brzezine. Brzezina przyszeł, pooglądoł i powiedzioł, jaki trzeba warzić zieliny, dować obkłady albo prawił: „Idźcie po księdza". Dycki sie mu spełniło, jak powiedzioł: „tyn umrze", to go już żodyn dochtór nie wylyczy. A jak powiedzioł: „tyn wyzdrowi", to po dochtora nie było trzeba iść. Jak szeł po dziedzinie, to ludzióm powiadoł: „skludzejcie z pola, bedzie ku wieczoru deszcz", albo „siyczcie, a suszcie siano, bo tydziyń bedzie murowano pogoda", a spełniło sie mu to lepszi jak Wicherkowi. Ludzie go mieli radzi, bo go potrzebowali. Kuśtykoł se tyn Brzezina na drzewiannej nodze, aż zaszeł ku młynce i dziwo se na Bardónia, i powiado mu: „Chłopku, jak te gałąź urzniecie, to spadniecie do wody". Chłop se tego ani nie wszimnół, tak był na gałąź zawzięty - i myrche od spodku broł piłóm. W tym gałęź zatrzeszczała, gruch i już chłop był we wodzie. Nic sie mu nie stało, jyny sie porządnie oczochtoł, a kłobuk mu woda zebrała. Wygramolił sie z młynki, a teraz sie spómnioł, co mu Brzezina prawił. Brzezina nie uszeł jeszcze ani 20 kroków, a chłop już był za nim, cały utoplany, bez kłobuka, szczekoł na zębach ze zimy i powiado: „Jakeście mi tak trefnie przepowiedzieli, że z tóm gałęzióm spadnym do wody, tak mi powiydzcie, kiedy jo umrzym". Brzezina sie na niego podziwoł, znoł go dobrze, wiedzioł, że czasym sie mu od gorzoły w głowie pobałamónci i powiado mu: „Na chłopie, mocie trzi pierdy do śmierci" i pokuśtykoł ku młynu. Bardóń zaś zebroł sikiyre i piłe i polecioł do chałupy, bo był mokry, a zima z nim trzepała.

Baba sie już udobruchała, jak chłopa uwidziała, że je taki mokry i pyto sie: „Cóż sie ci stało?" „Na nic, szeł kole mie Brzezina, jakech urzinoł gałęź, a ón mi powiedzioł, jak tóm gałęź urznym, to spadnym do wody, no i tak ech spod".

Baba pokiwała głowóm i powiado. „Taki żebrok, jednóm noge jyny mo, ale wszistko wiy, a wszicko sie mu spełni. Ale stary, idź ku piecu, a jo ci przyniesym suche, ciepłe obleczyni, potym se pojydz, mosz w trąbie fazole ze szpyrkami, a kiszke w bóncloku na oknie. Troche se potym spocznij, żito już je w miechu na tragaczu pod szopóm, tóż przed wieczorym zawiyź do młyna, jo se teraz troche spocznym, a zalecym po gorzołke i sól".

Chłop sie przewlyk, pogrzoł pleca na piecu, potym zjod fazole, wypił kiszke, posiedzioł przy piecu, do młyna sie mu jechać nie chciało, ale boł

sie baby, a nejgorszi było to, że jak nie zawiezie żita do młyna, to mu nie do gorzołki. Obuł buty, wzión szerke, poszeł pod szope, dźwignół tragacz z miechym, polechkoł, było to dość ciężki, ale myśli se - do młyna nima daleko, a po rownym to jaksi zawiezym. Zawiesił tragacz na szerce i pojechoł. Zpod szopy ku wrotóm było troche do kopieczka, za wrotami było równo, ale była wykopano tako mało przykopa, żeby woda ściekała, tóż sie zażynół, żeby przykopke przejechać, jak kółko natrefiło na przikópke, tragaczym hórdło, a chłopu ze zadku ujechało, a teraz se siednół, a ciepło go obleciało, bo se spómnioł, co mu Brzezina prawił, jak spod z wiyrby do młynki. Troche posiedzioł, ale pomyśloł: to było przeca piyrszi roz. Dźwignół tragacz i pojechoł po rownym, dowoł pozór, żeby nie zaździoł o jaki kamiyń, żeby tragaczym nie hórdło i szczęśliwie zajechoł aż ku młynu. Wrota na placu przy młynie były zawrzyte, tóż postawił tragacz, wrota odewrzył, troche odsapnół, bo za wrotkami ku młynu było zaś do kopieczka. Szykownie narychtowoł tragacz naprzeciw wrót, zażynół sie, żeby szczęśliwie przejechać kopieczek, raźno se opiyroł nogami i cis tragacz przed siebie, już był prawie na równym, kółko natrefiło na kamiyń, tragaczym hórdło i tu gruch, chłopu ujechało po roz drugi i to tak porządnie, że mu aż galaty na zadku popuściły. Dojechoł jednak ku młynu, postawił tragacz, szeł zawrzyć wrota, siednół na tragacz ku miechu, a po placu chodziła świnia z prosiyntami. Teraz dziepro sie poszkroboł po głowie i ze strachu sie obłoł zimnym potym i myśli se, to milijónsko baba mi zrobiła na złość, bo sie mi dała najeść fazoli i takich tam nakroła fajnych szpyrek, a jo to wszistko zeproł do siebie, jak nieboski stworzyni, a potym jedź do młyna z takim ciężkim miechym żyta i nie puść bąka, ale tak już chyba musi być, chcesz sie mie pozbyć i basta. A jako była wartko lecieć po gorzołke, bo wiedziała, że mie tak czi tak macki weznóm, a óna gorzołke sama wychlaszcze. Ale tak czi tak, roz kozie śmierć. Jak bych nie puścił tych dwóch bąków, to by mie chyba rozerwało. Ale niech jóm tam wszyscy świynci (nie powiedzioł „djabli" weznóm), bo mioł strach. Dali głośno myśli: zawiezym jeszcze tyn miech do młyna i niech sie udusi tym biołym chlebym. Siednół jeszcze chwile i czekoł, jeśli kiery nie przyjdzie, żeby mu pumóg miech na pleca dźwignóć, ale nikogo nie było. Tóż zaczón kuckać, chrząkać, ale żodyn z młyna nie wyloz. Drapnół miech, napluł do rąk, a już go mioł na plecach, zrobił krok, a tu gruch, chłop sie przewrócił, miech spod na ziym, szpagat sie rozerwoł, a żito sie zaczyno z miecha suć

na ziym. Przisźła maciora z prosiyntami i zaczyna w miechu żrać, a prosiynta żito żrały, aż trzeszczało. A chłop leży i nic, bo nie wiedzioł, czy je żywy, czy je mortwy, bo jeszcze nigdy mortwy nie był. A Brzezina mu przeca prawił, że jak trzi razy bąka puści, to nie bydzie żył. Stało sie, nie żyje, je mortwy i kóniec. Ale dźwignół głowe, dziwo sie, a tu maciora w miechu niurze, a prosiynta żito żeróm. Tak pogroził im piynścióm i powiedzioł: „Wy hrómski świnie, gdyby jo był żywy, jo bych wóm doł! Nie żrały byście mojigo pieknego żita!"

Wtym wyloz z młyna młynorz, dziwo sie, chłop leży, a świnie żito żeróm. Świnie odegnoł, idzie ku chłopu, ruszo nim, a jak widzi, że mu nic nima, prawi: „Tóż stowejcie, pumóżcie mi to żito pozbiyrać i zaniyść do młyna". „Panie młynorz, nimogym stanóć, bo nie żijym, a każdy nieżywy cicho leży i cały świat nic go nie obchodzi, a co tam jakisi żito". „Nie plećcie głupot, a stowejcie, bo jo nimóm czasu, niechóm to tak, niech to wszystko świnie zeżeróm, a co potym z wami zrobi wasza baba, to mie już nic nie obchodzi".

To chłopa rusziło, bo sie strasznie baby boł. Tóż stanół, pozbiyrali z młynorzym żito, co sie dało i niyśli miech do młyna, a młynorz powiedzioł: „Jutro ku wieczoru se przidźcie po mąke, bo bedzie zemlete". Chłop wzión tragacz i pojechoł do dómu.

Przidzie ku chałupie, baba już na niego na placu czako, a pyto sie: „Zawióześ do młyna żito?" „Toć żech zawióz, a jutro ku wieczoru se móm przyjechać po mąke". „Nó to pódź do izby, bo je zima, dóm ci wieczerze i sztwierciok, boch je rada, że wiyrby sóm obrąbane, a żito we młynie." „Wiysz, babo, nie chcym wieczerze, boch sie dzisio umordowoł i wystrasził, bo ci doprowdy nie wiym, czych je żywy albo nieżywy".

Baba mu dała gorzołke, wypił wszystko naroz, potym jeszcze chwilke przewracoł próznóm szklónke, wylizowoł, zabyło mu ciepło, w głowie sie mu zakręciło, przewrócił sie na ławe przy piecu i zaczón chrapać. Baba dała mu pod głowe stary kabot, przykryła go starym kożuchym, zgasiła światło i też poszła spać. Rano, jak kokot zaśpiwoł, chłopa z ławy ściepła, musioł sie umyć w zimnej wodzie, na śniodani dała miske krupice z mlykym. Jak zjod, zaś sie wyciónġoł przy piecu na ławie. Baba na niego: „Małoś sie to wyleżoł, ty lyniu! Bier tragacz wozić gałęzie od młynki, pieknie porąbać i poukłodać pod szope i śpiychej sie, bo wiysz, że ku wieczoru musisz jechać do młyna po mąke". Chłop woził, rąboł, ukłodoł, gałęzio było moc, tóż sie śpiychoł, żeby skończyć do obiadu.

Jak były ze trzy godziny, był z robotóm gotowy, umył ręce w przykópce, przyszeł do izby i powiado: „Babo, dej aspóń łyk gorzołki, bo mie jeszcze od wczora zima trzęsie". „Wiym, wiym, że cie trzęsie, od tego sztwiercioka, coś wczora sóm wieczór wyrznół. Tu mosz obiod, najydz się, pojedziesz po mąke, dobrze wiysz, że teraz je dziyń krótki, jak przywieziesz mąkę, a bedzie piekno, to dostaniesz sztwierciok". Chłop pojod zimnioków z kapustóm, poglóndoł, czy jeszcze nima co więcej, a baba na niego: „Cóż sie tak oglóndosz, jak kocur za szpyrkóm? Pyndzyje mosz pore grejcarów, gorzołe chlaszczesz, a mięso byś chcioł żrać. Wczorach sprzedała świnie, abych miała na petroline, sól. Przez całóm zime bedziesz jod zimnioki z kapustóm za tyn wczorajszi borg, coch musiała zapłacić na radlicy - ryński i 6 szustek. Ty jeszcze za to dostaniesz, a jeśli jeszcze roz na borg wypijesz, to ci nogi połómiym".

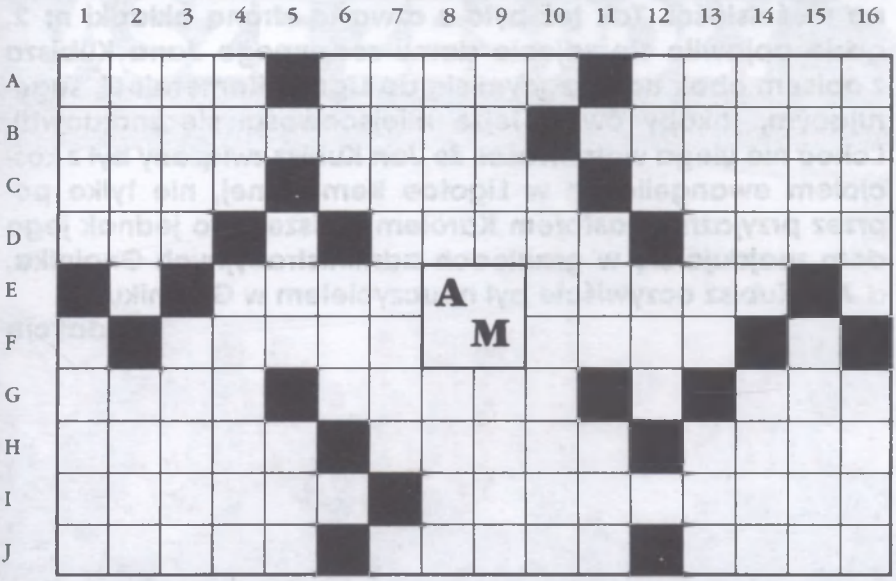
Chłop zacisnół gębe rękawym, doł kłobuk na głowe, oblyk kabot, szerke na pleca, wzión tragacz i pojechoł. Przijechoł do młyna, żito było zemlete, ale mąki było strasznie mało. Młynorzowi nimóg nic powiedzieć, bo dobrze wiedzioł, że skyrz jego głupoty świnie pół miecha żita zeżrały. Wzión miech a mąke, podziękowoł młynorzowi „a za zemleci zapłaci moja baba. Grejcarów mi nie dała, bo sie boła, że ich przepijym". Tragacz z mąką był lehki, tóż jechoł pumału i rozmyśloł, co też jyny babie powiy, że tak mało mąki przywióz. Wolołby nieżyć, ale cało biyda była w tym, że żył i wióz tak mało mąki do dómu. Óna mie możne zatłócze, ale roz kozie śmierć - tak czi tak mioł ech od wczora nieżyć, tak mi powiedzioł Brzezina, bo ón wszystko wiy.

Już na nic nie myśloł, pocisnół tragacz warciejszi i za chwile już był przi chałupie. Baba czakała na niego na placu, jak uwidziała miech z mąką na tragaczu, chyciła sie za głowe, wyrwała se z głowy gorść kudłów, potym skoczyła ku chłopu, chyciła go za koszule i rykła: „A teraz mów, ty przeklęty pijoku, coś zrobił z mąką, kumuś doł, kajś przepił, bo cie tu zaroz zatłóczym, ty kanalijo jedna!"

Chłop zbladnół, trząs sie jak osika i prawi: „Jo nikomu nic nie doł. To młynorzowa świnia, co tyn miech rozniurała, ón dobrze wiedzioł, że żijym, bo my zaroz to żito zbiyrali i zaniyśli do młyna. A jednak myśloł, że nie żijym, bo tyn brzidok z tymi prosiyntami mi tego żita połowice ukrod".

AMALIA PAWLASOWA

KRZYŻÓWKA



Motto: *Serce człowieka wino rozwesela, ale* ... (patrz rozwiązanie krzyżówki)

Adam Mickiewicz

POZIOMO: A. Polityk izraelski (Golda, 1898-1978); jest pożytkiem pszczelim; nieżyt. **B.** Technika graficzna (kwasoryt); egipska albo etruska urna. **C.** Ojczyzna; może być graficzna; duże metalowe naczynie. **D.** Płynie przez Przemyśl; opiekunka poezji miłosnej; słynny malarz hiszpański (Salvadore). **E.** Czeski „słowik"; książę Nowogrodu. **F.** Wyspy Żeglarzy; szwajcarski polityk (Gustave, 1845-1928). **G.** Miasto portowe nad Donem; ostatni król Troi; dźwięk g podwyższony o półton. **H.** Silny pociąg, żądza; olbrzym ulepiony z gliny; ojciec Wandy. **I.** Dawniej ziemie stanowiące własność wolną od zobowiązań; owoc winorośli. **J.** Włókno syntetyczne; madagaskarska małpiatka; natarcie.

PIONOWO: 1. Obchodzi imieniny 12 X; rezerwa. **2.** Przednia ścianka kineskopu; pisarz francuski, autor „Nany". **3.** ... IV Groźny; chorobliwe odrętwienie. **4.** Eden; towarzyska rozmowa. **5.** Budynek; skala światłoczułości. **6.** Sygnał wzywający pomocy; wierzchołek masztu lub stengi. **7.** Publiczna sprzedaż ruchomości lub nieruchomości. **8.** Olejek różany; jeden ze stanów USA. **9.** 1 stycznia 2001 roku; skała osadowa. **10.** Inkaust. **11.** Architekt holenderski (Jacobus); wymarły ptak nielatający. **12.** Przylądek; jezioro, z którego wypływa rzeka Pisa. **13.** Rzeka i miasto w Rosji; rozbija się o lodołamy. **14.** Fabryka kapeluszy w Nowym Jiczynie; ostrze włóczni. **15.** Wezwanie; bogini lasów i zwierząt. **16.** Polska piosenkarka (Joanna); wypad rabunkowy.

Wyrazy trudne: ADOR, KATTA, SARAN, OUD.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: H-1, G-15, B-6, D-1, H-10, J-5, A-12, D-9, C-4, A-2, F-3, E-7, D-13, I-2, J-13, F-5, E-13, G-12, H-9, D-16, B-3, G-8, D-3, C-15, A-1.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną rozlosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca marca.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru styczniowego: WITAMY PIERWSZY ROK NOWEGO TYSIĄCLECIA

Nagrody książkowe wylosowali: **Maria Janota** - Marklowice Dolne
Lidia Kozera - Mosty k. Jabłonkowa
Ema Fołtyn - Koszarzyska

Wdzięczni jesteśmy naszym Czytelnikom, że uważnie czytają teksty zamieszczone na łamach Zwrotu i zwracają uwagę na nieścisłości. Tak też było z czwartą stroną okładki nr 2, gdzie pojawiło się zdjęcie domu rodzinnego Jana Kubisza z opisem obok odnoszącym się do Ligotki Kameralnej, sugerującym, jakoby ów w tejże miejscowości się znajdował. I choć nie ulega wątpliwości, że Jan Kubisz związany był z kościołem ewangelickim w Ligotce Kemeralnej, nie tylko poprzez przyjaźń z pastorem Karolem Kuliszem, to jednak jego dom znajduje się w granicach administracyjnych Gnojnika, a Jan Kubisz oczywiście był nauczycielem w Gnojniku.

Redakcja

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny Ministerstwa Kultury RC: F 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE, IČO: 442771, przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN, Tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI, Daniel KADŁUBIEC, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168 Kč, z wysyłką pocztową 240 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701028/00 z dnia 27 VI 2000 r. z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE ZESPOŁY



CRESCENDO

Chór szkolny działający przy Polskiej Szkole Podstawowej im. Stanisława Hadyny w Bystrzycy nazwy Crescendo używa od pięcu lat. Aktualnie chór tworzy 36 uczniów. Dyrygentem Crescenda jest Danuta Cymerys, a Andrea Opluštil menagerem. Młodzi chórzyści uczą się kultywowanego śpiewu w stylu belcanto. Jak na chór szkolny, repertuar Crescenda jest bardzo ambitny – obejmuje między innymi renesansowe psalmy i madrygały. Nie brak jednak w repertuarze chóru opracowań muzyki ludowej i popularnej, włącznie ze współczesną.

Crescendo brzmi naprawdę mocno. W minionym roku chór wystąpił około dwudziestu razy. W eliminacjach regionalnych Ogólnokrajowego Przeglądu Chórów Dziecięcych w Hawierzowie zdobył pierwsze miejsce. W ubiegłorocznej edycji Konkursu Śląskie Śpiewanie zdobył drugie miejsce. Największym sukcesem jednak jest to, że bystrzycka młodzież potrafi śpiewać, chce śpiewać i lubi taką formę spędzania wolnego czasu!

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

OT

P.P.
701 028/00
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE ZAOLZIE

ŁĄKI NAD OLZĄ

Łąki, których nie ma... Pochłonięte przez szkody górnicze. Przepiękne stawy założone przed wiekami przez Larischów, z kilkusetletnimi dębami na groblach, uznane za rezerwat przyrody, zamieniły się w rozlewiska obsypane kamieniem węgielnym. Domy poznikały. Łęczanie, wśród których było wielu naszych sławnych i zasłużonych, poprzemieszczali się z konieczności do Cieszyna, Karwiny, Jabłonkowa...

Wzięli ze sobą żal i wielki ból w sercach...





Zwrot

4
2001

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

TACY BYLIŚMY



Zdjęcie z roku 1931 wykonane przez fotografa Podjukla w Łazach przedstawia młodą parę MVDr Jana Pawlasa (1905–1949), pochodzącego z rodziny Pawlasów „pod Harendą", weterynarza w Trzyńcu, oraz Marię Pawlas (1901–1989), córkę znanego kupca i gospodarza Wacława Pawlasa z Dolnych Błędowic.

Karol Kubaj

WIELKANOC 2001

Na czas podnoszenia oczu
ponad wiosenne pastwiska
w błękitne niebo
jeden po drugim
zmartwychwstaje z kryształowej rosy
jedenascie baranków

Ich zielone skrzydła
w kształcie liści palmowych
i w kształcie nadziei
poruszają się sennie

Kiedy rodził się dwunasty
trawy były już spalone
srebrnym chłodem
tak więc podniósł się
z ostatniej kałuży na drodze
na osikowych skrzydłach
bo był za duży
i nie był biały

Było mu przebaczone
na wszystkie lata
bez jednego
i na wszystkie
bez jednego
dni

Tak więc my nadal
w tak rzadki czas podnoszenia oczu
malujemy wszystkie baranki
na biało
i chwalimy tradycję

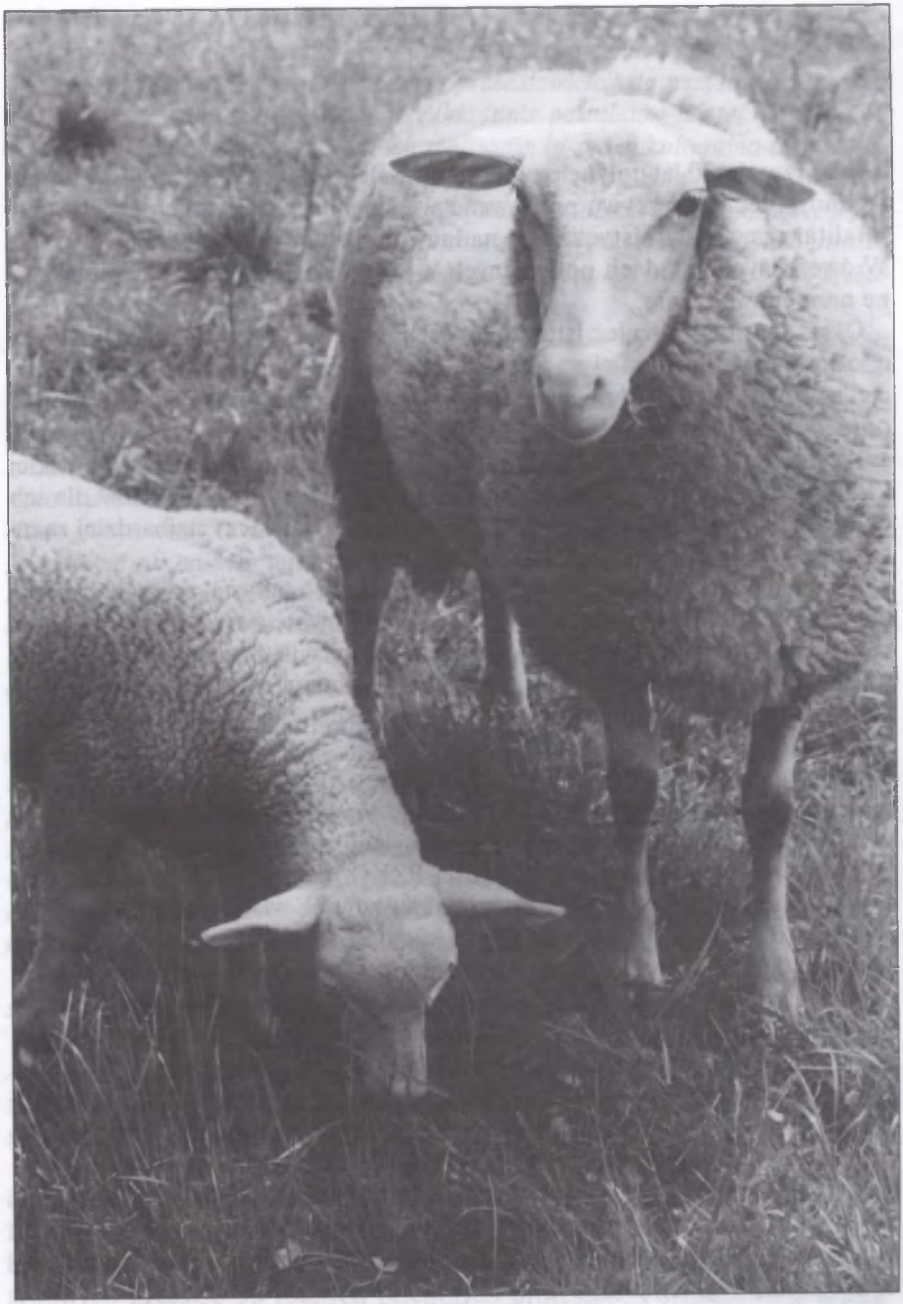
Zwrot 4 2001

Rok LII, nr 617
Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 20,00 Kč

W NUMERZE

4	Złudne nadzieje lat 1968-1970	STANISŁAW ZAHRADNIK
12	II Zjazd Polaków z Zagranicy (2)	RUDOLF WÓJCIK
18	Sędziwa i zasłużona	ROBERT DANEL
22	Tragiczne losy trzech łęckich świetlic	JÓZEF KULA
25	Nad „Księgą urodzaju" oraz innymi książkami. Rozmowa z Wilhelmem Przeczkiem	LIBOR MARTINEK
28	O przyszłości książki, Internecie, sytuacji polskiej książki w Niemczech. Rozmowa z Małgorzatą Płoszewską	WILHELM PRZECZEK
30	Poezja Małgorzaty Płoszewskiej	
32	Kronika: Wycieczki Sekcji Turystycznej MK PZKO w Sibicy, Zebranie Rady Kultury ZG PZKO, Klub Seniora w Wędryni, Cielsat w Cierlicku, Zjazd Gwiaździsty 2001, Pieczyni chleba i łuskani fazoli w Żukowie Dolnym, Bal Ostatkowy w Gródku, Stonawskie Ostatki, Plastycy bilansowali, Wystawa Władysława Ćmiela.	
50	Władysław Sikora: O Chodurce z Rzeki	
56	Fotograficy Zaolzia: Tomasz Zwyrtek	
58	Przez sito intymności	MAREK SŁOWIACZEK
61	Młode pióro: Anna Maria Kowalska, Lucie Macurowa, Alina Igonina	
64	Na półkach księgarskich	KAZIMIERZ JAWORSKI
66	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
70	Trybuna czytelników	
75	Nasze zdrowie	(dur)
77	Humor sprzed lat	

Numer zamknięto 14. 3. 2001



Fot. FRANCISZEK BAŁON

ZŁUDNE NADZIEJE LAT 1968 -1970

Już przeszło 30 lat upłynęło od krótkotrwałego okresu, kiedy pod wpływem ogólnospołecznego zrywu próbowano w Czechosłowacji zmienić skostniały totalitaryzm komunistyczny i nadać mu oblicze „z ludzką twarzą". W ówczesnych układach politycznych w świecie było to od początku skazane na niepowodzenie.

Okres ten miał również istotne znaczenie dla mniejszości polskiej w Czechosłowacji, zamieszkałej na Zaolziu. Postawa Polaków w tym niewątpliwie ciekawym momencie dziejów warta jest przypomnienia. Właśnie niniejsze opracowanie stawia sobie za cel przypomnienie wagi tych wydarzeń. W pierwszej części skupimy uwagę na aktywności społeczności polskiej i PZKO, część druga poświęcona będzie skutkom postawy Polaków dla ich dalszego bytu narodowego oraz następstwom dla działaczy najbardziej zaangażowanych w te wydarzenia.

W latach 60. również wśród Polaków zaolziańskich narastało niezadowolenie nie tylko w sprawach obywatelskich, ale i narodowościowych. Drażniły coraz bardziej odczuwane skutki przyspieszania asymilacji. Szukano prób obrony własnej tożsamości, domagano się zagwarantowania elementarnych praw. Nie godzono się z uznawaniem przez władze Polaków za mówiących po polsku Czechosłowaków. Równie boleśnie odczuwano brak zainteresowania ze strony Macierzy. Społeczeństwo polskie od razu włączyło się aktywnie w procesy demokratyzacji życia. Wierzono też, że nastanie wreszcie kres polityki narodowościowej, dyskryminującej Polaków.

Zgodnie z wolą polskiej społeczności PZKO przejął funkcję rzecznika interesów całej grupy narodowej. Poparcie dla nowych władz partyjno-państwowych wyraziło Plenum ZG PZKO w liście do I sekretarza KPC Aleksandra Dubčeka 26 III 1968. Czytamy w nim m.in.: *Dla nas, grupy narodowej, która dla zachowania swego bytu narodowego poniosła w ostatnim pięćdziesięcioleciu nieproporcjonalnie ciężkie ofiary, jest obecny proces odnowy naszego modelu socjalistycznego, w którym właściwe rozwiązanie znajdzie kwestia narodowościowa, czymś jak najbardziej pozytywnym, czymś, czego dawno oczekiwaliśmy* („Korzenie Zaolzia", s. 150). Następnie wymieniono szereg najważniejszych i najpilniejszych problemów zaolziańskich Polaków.

Wyniki niezwykle twórczych obrad X Zjazdu PZKO 27 IV 1968 w hotelu Piast w Czeskim Cieszynie odzwierciedliła przyjęta uchwała. Ze względu na fundamentalne znaczenie tego dokumentu warto zaznajomić się z jego najistotniejszymi fragmentami:

1. Postanawiamy, że działalność PZKO powinna obejmować trzy zasadnicze kierunki: a/ pracę polityczną, współudział przy tworzeniu organów rządzących na naszym terenie, wysuwanie naszych przedstawicieli do wszystkich organów politycznych i administracyjnych, przedkładanie postulatów naszej ludności odpowiednim czynnikom i wpływ na ich realizację; b/ praca kulturalna będzie rozwijała się w podobnym zakresie, jak dotychczas (...); c/ działalność gospodarcza - w związku z możliwością przejęcia pod zarząd polski majątków, należących dawniej do polskich instytucji w Czechosłowacji, w tym także do PZKO, uważamy za wskazane utworzenie polskiej spółdzielni, która by tymi obiektami i przedsiębiorstwami zawiadywała.

2. W związku z rozwojem naszego ruchu młodzieżowego i sportowego poczuwamy się do obowiązku opiekowania się jego działalnością.

3. Uważamy, że najlepszym rozwiązaniem, stwarzającym warunki do unormowania prawnego potrzeb naszej grupy narodowej jest, oprócz odpowiedniej zmiany konstytucji oraz wydania statutu narodowościowego i ustawy językowej, wprowadzenie w organach centralnych oraz w organach terenowych narodowościowo mieszanych naszego państwa systemu dwukomorowego. Wprowadzenie tego systemu na naszym terenie jest w pełni możliwe tylko w wypadku skupienia miejscowości narodowościowo mieszanych w ramach jednego powiatu. Domagamy się więc takiego przeprowadzenia reorganizacji w naszym rejonie.

4. Utworzenie własnej polskiej placówki ludoznawczo-historycznej z możliwością publikowania wyników badań (...).

6. Bardzo ważne znaczenie dla naszej grupy narodowościowej mają sprawy szkolnictwa (...), w szczególności spowodowanie rewizji programów nauczania w polskich szkołach i treści niektórych podręczników, kształcenie nauczycieli przedmiotów humanistycznych w Polsce, usamodzielnienie szkół fachowych i reaktywowanie średniej szkoły ekonomicznej, pilnowanie sieci polskich szkół w ogóle, zapobieganie likwidacji szkół z mniejszą ilością klas, organizowanie oddzielnych kolonii wakacyjnych dla polskiej młodzieży szkolnej, zapewnienie nauki języka polskiego w szkołach, kształcących kadry dla punktów usługowych (...).

7. Do spopularyzowania działalności i osiągnięć polskiej mniejszości wykorzystać wszystkie środki masowego przekazu, łącznie z ostrawską TV (...).

9. Domagać się ostatecznego załatwienia sprawy Głosu Ludu jako dziennika (...). Aby KO KPC jako wydawca Głosu Ludu konsultował sprawy zasadnicze tego pisma z kierowniczymi przedstawicielami życia społeczno-politycznego narodowości polskiej w ramach Związku. (AZ ZG PZKO, sygn. 24/9).

Aktywność społeczności polskiej, szczególnie list skierowany do A. Dubčeka i Uchwała X Zjazdu PZKO wywołały nadspodziewanie ostrą reakcję ludności czeskiej. Instytucje, organizacje społeczne, załogi przedsiębiorstw, a także osoby prywatne skierowały do władz partyjnych i państwowych przeszło 50 różnych pisemnych protestów. Polemizowano z tezą

przywłaszczenia sobie przez PZKO funkcji reprezentanta całej społeczności polskiej na Zaolziu. Uważano, że tę rolę w dalszym ciągu winna spełniać KPC. Zdecydowanie napastliwie występowano przeciwko passusowi uchwały, w którym Polacy uskarżali się na 60-letni okres dyskryminacji narodowej. Krytycznie odnoszono się do postulatów wprowadzenia dwóch języków urzędowych, utworzenia na obszarze zamieszkiwanym przez ludność mieszaną jednej jednostki administracyjnej, wprowadzenia do programów nauczania w szkołach z polskim językiem wykładowym historii i literatury polskiej oraz powołania polskiej placówki naukowej. Kategorycznie nie zgadzano się z tezą o autochtoniczności Polaków i ich stosunku do państwa czechosłowackiego. Negowano zarzut, że Polacy są dyskryminowani przy awansach w zakładach pracy i nie piastują w odpowiednich proporcjach funkcji w radach narodowych, wreszcie zarzucano, że kierownictwo PZKO należycie nie pojmuje procesu naturalnej asymilacji Polaków. Postawa taka większościowej społeczności czeskiej skłaniała do wniosku, że tworzenie „socjalizmu z ludzką twarzą" w warunkach zaolziańskich przyjąć miało formę bliższą epoki stalinowskiej niż ustroju opartego na demokratycznych zasadach prawno-organizacyjnych. Rzecz naturalna, że takie postępowanie strony czeskiej doprowadzało do pogorszenia stosunków między społecznościami polską i czeską.

Wieloletnim dążeniom grup narodowych żyjących w Czechosłowacji do zmiany polityki wobec mniejszości wyjść miała naprzeciw ustawa z 28 X 1968 pn. O położeniu narodowości w Czechosłowackiej Republice Socjalistycznej. Był to aż do r. 1989 jedyny tej rangi akt prawny traktujący o mniejszościach, przyjęty po II wojnie światowej w CSRS. Mówi się tu już o grupach narodowych, po raz pierwszy za mniejszość uznano również Niemców. Niestety, rząd nie wydał żadnych rozporządzeń wykonawczych, jej znaczenie miało wymiar bardziej moralny niż praktyczny.

Po wkroczeniu w sierpniu 1968 roku do Czechosłowacji wojsk Układu Warszawskiego zdecydowana większość Polaków, podobnie jak Czechów i Słowaków, jednoznacznie potępiła ten akt międzynarodowego bezprawia. Plenum ZG PZKO dało temu wyraz w listach do prezydenta gen. L. Svobody, do KC KPC A. Dubčeka i do Zgromadzenia Narodowego J. Smrkovskiego.

Przedsięwzięciem o dużej wadze społeczno-politycznej, podjętym przez Plenum ZG PZKO w drugiej połowie 1968 roku, była próba powołania Polskiej Rady Polaków w Czechosłowacji jako politycznej reprezentacji polskiej mniejszości narodowej w Czechosłowacji. Przedsięwzięcie to znalazło poparcie najwyższych władz partyjno-rządowych i rokowało duże nadzieje na sukces.

Sprawa utworzenia organu przedstawicielskiego polskiej grupy narodowej w Czechosłowacji wyłoniła się na X Zjeździe PZKO w kwietniu 1968 roku.

Od początku przedstawiciele PZKO uświadamiali sobie, że roli tej nie może spełniać PZKO. Utworzono komitet przygotowawczy, składający się z przedstawicieli wszystkich liczących się instytucji mających wpływ na życie narodowe Polaków, z odpowiednim uwzględnieniem KPC, i podjęto praktyczne kroki w celu realizacji zadania. Sprawa posuwała się naprzód.

Końcowy wniosek na utworzenie Rady Polaków w Czechosłowacji był omawiany na zebraniu grupy partyjnej ZG PZKO z udziałem przedstawiciela KO KPC tow. Hřivny dnia 2 IX 1969 w Cz. Cieszynie. Chodziło o to, by można było konkretny wniosek przedstawić do zatwierdzenia nadrzędnym organom partyjnym i państwowym. Większość zebranych opowiedziała się za nazwą Rada Polaków, władze forsowały Reprezentacja Polskiej Grupy Narodowej. Jednakowoż w szybko „normalizujących" się warunkach politycznych sprawa Rady Polaków nie miała najmniejszych szans powodzenia i upadła. XI Zjazd PZKO (r. 1971) w ogóle o niej nie wspomniał.

Okres odwilży sprzyjał również przeprowadzeniu rehabilitacji poszkodowanych przez PZKO członków Związku, czego domagał się teren. O co chodziło? ZG PZKO na polecenie partii, wykorzystując niektóre nieudane pociągnięcia oraz błędy formalne w 1957 roku, bez wystarczających powodów zwolnił Pawła Kubisza (1907–1968) ze stanowiska redaktora naczelnego Zwrotu i wszystkich zajmowanych czołowych funkcji w PZKO, łącznie z wykluczeniem z jego szeregów. Podobnie z powodów „usterek organizacyjnych" zwolniono w pierwszej połowie lat 60. Ferdynanda Króla (1906–1987) z funkcji kierownika Bajki. Utworzono Komisję Rehabilitacyjną ZG PZKO, która po przeprowadzeniu odpowiednich badań wydała komunikaty o przewodach rehabilitacyjnych w drugiej połowie 1968 roku, opublikowane w nr 12/1968 i 1/1969 Zwrotu. Komunikaty ogłosiły pełną rehabilitację obu poszkodowanych. Należy dodać, że podejmowane przez Pawła Cieślara zabiegi w KC KPC w celu rehabilitacji swej osoby zakończyły się niepowodzeniem.

Z dalszych ważniejszych przedsięwzięć podjętych przez ZG PZKO i służących usprawnieniu polskiego bytu narodowego przytoczymy postulaty dotyczące polskich miejscowych czasopism oraz projektu wybudowania Domu Związkowego w Czeskim Cieszynie. Sprawa polskich miejscowych czasopism była przedmiotem częstych rozważań Plenum ZG PZKO. Wysuwano na tym polu następujące postulaty: przekształcenie Głosu Ludu (nakład cca 10 tys.) w dziennik; stworzenie lepszych warunków do wydawania pisemek szkolnych Ogniwo (nakład 3 100) i Jutrzenka (nakład 2 750), tj. wspólną redakcję z dwoma redaktorami naczelnymi, jednego grafika, jednego redaktora odpowiedzialnego i jednej siły administracyjnej; załatwienie sprawy dotacji na wydawanie Naszej Gazetki (nakład 2 100) w ten sposób, by była ujęta do planu ZC FN i poszerzona o jednego redaktora. Po pewnym czasie nastała poprawa przy wydawaniu gazetek szkolnych i gazetki młodzieżowej,

przekształcenia Głosu Ludu w dziennik nie udało się przeforsować do dnia dzisiejszego. Sprawa budowy Domu Związkowego była omawiana w Zwrocie (nr 4/2000).

ZG PZKO był również inicjatorem działań w kierunku odbudowy samodzielnego polskiego życia młodzieżowego, harcerskiego i sportowego. W tym celu zwołano dnia 4 IV 1968 spotkanie byłych działaczy ruchu młodzieżowego z głównym punktem programu - wstępną dyskusją nad reaktywowaniem ruchu młodzieżowego na naszym terenie (AZ ZG PZKO, sygn. 986/393). Prowadzący spotkanie Henryk Szmeja zaznaczył, że zebrali się na tym spotkaniu po 16 latach dawni działacze SMP, harcerstwa i Rady Sokoła, by wspólnie zastanowić się nad możliwościami wznowienia działalności tych organizacji. *Trzeba więc, abyśmy dziś, kiedy sprawy organizacji młodzieżowych są już dyskutowane, znaleźli wspólną myśl działania.*

Z bogatej i rzeczowej dyskusji wypłynęło: 1/ by powstał samodzielny Związek Młodzieży Polskiej; 2/ by w ramach tego Związku pracowało harcerstwo i kluby sportowe; 3/ by pracy tej nie rozdrabniano, nie szufladkowano; 4/ by to wszystko było przy ZG PZKO; 5/ by zwołano zebrania młodzieży w różnych okręgach i na tych zebraniach niech młodzież wypowiada swoje myśli, życzenia itp. Na spotkaniu utworzono grupę do spraw młodzieżowych pod przewodnictwem Ernesta Sembola, grupę sportową pod przewodnictwem Józefa Raszyka i grupę harcersko-pionierską pod kierownictwem Władysław Wróbla. Grupy miały do X Zjazdu PZKO (27 IV 1968) przygotować plany pracy i od razu zacząć działać.

Od początku kwietnia 1968 roku coraz częściej pojawiają się informacje o samorzutnie powstających grupach Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. Należało nadać temu ruchowi pewne ramy organizacyjne. Dnia 16 IV 1968 na spotkaniu byłych aktywistów SMP, zwołanym głównie z inicjatywy E. Sembola, W. Milerskiego i K. Hrackiego, wybrano Tymczasowy Zarząd Główny na czele z Władysławem Jośkiem. Równocześnie poinformowano ZG PZKO o konieczności utworzenia samodzielnej organizacji młodzieżowej SMP oraz KC CzZM w Pradze, wyrażając ochotę włączenia się do przyszłej federacji organizacji młodzieżowych w CSRS. Grupy SMP powstawały bez jakiegokolwiek nacisku z góry, potwierdzając w ten sposób autentyczną konieczność istnienia polskiego związku młodzieżowego. Na końcu kwietnia 1968 istniało na Zaolziu już 27 grup SMP.

W oświadczeniu ideowym SMP z 14 V 1968, wysłanym do władz politycznych i państwowych, podkreślano, że SMP w pełni solidaryzuje się z Programem Działania KPC.

W dniu 22 VI 1968 odbył się w czeskocieszyńskim hotelu Piast I Zjazd SMP, na którym delegaci reprezentowali około 3,5 tysiąca członków SMP. Wybrano Plenum, które z własnych szeregów wyłoniło Prezydium oraz prezesa Jana

Szymika i wiceprezesów W. Jośka i W. Biłkę. Później dokooptowano sekretarza Jana Walczysko, od października 1968 jako etatowego pracownika. W marcu następnego roku został prezesem znów Wł. Josiek.

W dniach 19 i 20 sierpnia 1968 roku miał miejsce w Pradze Kongres Zjednoczeniowy Organizacji Dziecięcych i Młodzieżowych CSRS. Wzięła w nim udział 28-osobowa delegacja SMP. Zaistniała paradoksalna sytuacja, bowiem przedstawiciele SMP uczestniczyli w obradach Kongresu, uprzednio we wszystkich pracach przygotowawczych, ale nie mogli podpisać listy założycieli Zjednoczenia Organizacji Dziecięcych i Młodzieżowych, ponieważ Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie wyraziło zgody na rejestrację SMP. Delegaci Kongresu w pełni solidaryzowali się z postawą i postulatami SMP. Świadczy o tym czwarty punkt uchwały zjazdowej, który orzeka: *Kongres Zjednoczeniowy domaga się bezzwłocznej rejestracji SMP przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i poleca Radzie Zrzeszenia wykorzystać wszelkie środki dla przyśpieszenia tego aktu prawnego. Kongres poleca, aby SMP było uważane po rejestracji w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych za członka założyciela Zrzeszenia.* Batalia o rejestrację SMP pochłaniała dużo wysiłku ze strony kierownictwa Stowarzyszenia. W grupach miejscowych, rozprzestrzenionych po całym terenie Zaolzia, rozwijano bogatą działalność społeczno-kulturalno-sportową, często w zgodnej współpracy z ZG i Kołami Miejscowymi PZKO.

Więcej powodzenia w usiłowaniach o legislację miało odnowione Harcerstwo Polskie w Czechosłowacji. Wspominana wyżej grupa harcerska, wyłoniona na początku kwietnia 1968 roku pod kierownictwem przedwojennego harcerza Władysława Wróbla i członków E. Sembola, J. Rusnoka, H. Jasiczka, M. Piszczka, zaczęła energicznie działać na rzecz reaktywowania harcerstwa. Postanowiono reaktywować harcerstwo początkowo jako sekcję PZKO.

Nastają również zmiany w Organizacji Pioniera w Czechosłowacji, w ramach której działała dotychczasowa polska młodzież szkolna na zasadzie pewnych autonomicznych praw. Przeciw dążeniom harcerskiej grupy inicjatywnej wystąpiło nieoczekiwanie wielu dotychczasowych instruktorów pionierskich, nie życząc sobie żadnych zmian. Jednakże dzięki powszechnej akceptacji społecznej, poparciu dyrektorów szkół i inspektorów szkolnych, harcerstwo polskie zaczęło przybierać realne kształty. Wybrano Tymczasową Radę Naczelną, a z jej grona ukonstytuowało się Naczelnictwo w składzie Zofia Kowalczyk, Janina Kowalska, Konstanty Krzystek, A. Krzywoń, K. Mrózek, B. Niemiec, M. Piszczek, J. Raszka, T. Rzyman, A. Szurman, W. Wróbel, którego wybrano Naczelnikiem. Kręgosłupem działalności HPC stały się szczepy harcerskie. Opracowano statut HPC, zatwierdzony przez Radę Naczelną Organizacji Pioniera jako organizacji działającej autono-

micznie w strukturach OP na prawach samodzielnego powiatu. Było to rozwiązanie kompromisowe, ale korzystne dla harcerstwa zaolziańskiego w tych czasach.

Dnia 16 XI 1968 odbyła się w Czeskim Cieszynie I Konferencja HPC. Naczelnikiem HPC został wybrany druh Mieczysław Piszczek, powstały komendy: zuchowa pod kierownictwem hm. Br. Niemca, harcerska na czele z hm. Anną Bocek-Krzywoniową, starszoharcerska prowadzona najpierw przez A. Szurmana, później przez Wł. Sztebla. Etatową pracownicą Rady Naczelnej stała się druhna Janina Matloch.

Rok harcerski 1968-1969 na Zaolziu był rokiem rozmachu harcerstwa. Drużyny powstawały przy wszystkich szkołach, harcerze od Mostów k. Jabłonkowa po Bogumin organizowali różne akcje, spotykali się co kilka tygodni na zlotach i złazach.

Próby wznowienia samodzielnego życia sportowego Polaków na Zaolziu, inicjowane głównie przez Józefa Raszyka, zdołano tylko częściowo zrealizować. O wadze sportu i turystyki w życiu narodowym na Zaolziu oraz o ich stanie po likwidacji w 1952 roku i o potrzebnych pociągnięciach na tym polu dowiadujemy się z przyczynku dyskusyjnego Józefa Raszyka na X Zjeździe PZKO w 1968 roku. Należy tylko przyklasnąć jego słowom, do dziś aktualnym:

Dziś w okresie odrodzenia naszego życia ogólnospołecznego zaistniały warunki wznowienia naszych pięknych tradycji na odcinku pracy sportowej. Przepadły majątki, inwentarz dawnych Polskich Klubów Sportowych, nasi aktywiści sportowi postarzeli się o 16 lat, nie mieliśmy możliwości wychowania i przygotowania do pracy nowych, młodych kadr - ale mimo to czujemy w sobie tę siłę, która pozwoli nam na nowo rozbudzić w nas, a przez nas w naszej młodzieży ów dawny zapał, poświęcenie i entuzjazm do pracy na polu wychowania fizycznego. Równocześnie przedłożył wniosek do uchwały zjazdowej. Wniosek jest obrazem ówczesnych możliwości i potrzeb działań na polu sportowo-turystycznym. Ze względu na jego aktualność przytaczamy go we fragmentach:

1. Przy ZG PZKO utworzyć komisję sportowo-turystyczną z odpowiedzialnym pracownikiem etatowym, z perspektywą utworzenia samodzielnej organizacji sportowo-turystycznej na zasadach federacyjnych w ramach Związku.

2. Zobowiązać ZG PZKO do poczynienia starań w kierunku włączenia terenowych komórek sportowych przy miejscowych kołach PZKO do rozgrywek w ramach ČSTV i uzyskania miejsca dla swych przedstawicieli w powiatowych organach ČSTV.

3. Komisja sportowo-turystyczna przy ZG PZKO w pierwszym etapie swej pracy: a/ zajmie się wyszukaniem w terenie byłych instruktorów i wyszkoleniem w najbliższej przyszłości młodych instruktorów dla następujących gałęzi sportowych: turystyka, szachy, siatkówka, ping-pong, lekka atletyka, koszykówka,

badminton; b/ zatroszczy się o zorganizowanie wewnętrznych rozgrywek w wymienionych sportach w oparciu przede wszystkim o współpracę z młodzieżą szkolną; c/ w tym celu nawiąże ścisły kontakt ze szkołami i nauczycielami wychowania fizycznego w kierunku zaangażowania młodzieży szkolnej w pozalekcyjnej pracy sportowo-turystycznej.

4. Terenowym komórkom sportowo-turystycznym przysługuje prawo przyjmowania nazw symbolicznych jak: Beskid, Błyskawica, Górnik, Groń, Iskra, Jedność, Kresy, Lechia, Naprzód, Ogniwo, Olza, Piast, Polonia, Ruch, Siła, Warta, Wicher, Zryw.

Takie były główne inicjatywy polskiego społeczeństwa zaolziańskiego, inspirowane i kierowane przede wszystkim przez ZG PZKO w okresie odwilży społeczno-politycznej lat 1968-1969. Jaki los spotkał ów zryw, wywodzący się z pobudek głównie patriotycznych, pokażemy w następnym odcinku.

STANISŁAW ZAHRADNIK
(cdn.)



Fot. JAN MYRDACZ

II ZJAZD POLAKÓW Z ZAGRANICY (2)

Udział w II Zjeździe Polaków z Zagranicy bierze ponad 11 tysięcy Polaków ze wszystkich ośrodków emigracyjnych i mniejszościowych całego świata. Już sama cyfra świadczy najlepiej o tym, jak wielkie przywiązanie do Macierzy tkwi w sercach tych tysięcy, które pokonawszy wielkie przestrzenie i trudności natury materialnej, przybyły z dalekich stron, aby własnymi oczyma ujrzeć wolną Ojczyznę.

Udział Polaków z zagranicy jest wprost imponujący i procentowo, zważywszy liczbę ludności polskiej w ČSR z innymi ośrodkami emigracyjnymi i mniejszościowymi w Europie - największy.

W II Zjeździe Polaków z Zagranicy w Warszawie wzięły udział z Czechosłowacji następujące wycieczki zbiorowe:

1. *Zrzeszenie Związków Ewangelickiej Młodzieży - 330 osób*
2. *Towarzystwo Beskid Śląski - 86 osób*
3. *Kółko samokształcenia Macierzy w Karwinie - 100 osób*
4. *Prywatne polskie gimnazjum w Orłowej - 40 osób*
5. *Harcerze polscy z Czechosłowacji - 47 osób*
6. *Związek Akademików Jedność - 48 osób*
7. *Polski klub sportowy Czeski Cieszyn - 24 osób*
8. *Banderia konna ze Śląska czechosłowackiego - 30 osób*
9. *Towarzystwo Rolnicze Ziemia Czeski Cieszyn - 50 osób*
10. *Uczennice Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Końskiej - 28 osób*
11. *Chór Towarzystwa Nauczycieli Polskich w Czechosłowacji - 45 osób*
12. *Kółko Polskich Teologów w Widnawie - 21 osób*
13. *Reprezentacja sportowców na Igrzyska - 60 osób*
14. *Towarzystwo Gimnastyczne Siła - 40 osób*
15. *Sokoły polskie w Czechosłowacji - 70 osób*
16. *Rowerzyści, harcerze hufca z Witkowic - 7 osób*
17. *Rowerzyści Kółka Młodzieży Polskiej w Mariańskich Górach - 11 osób*
18. *Harcerze - kajakowcy z Ostrawy - 11 osób*

Razem 1048 osób.

Ponadto wyjechało na Zjazd Polaków z Zagranicy do Warszawy kilkadziesiąt osób prywatnie. Tak więc ogólna liczba Polaków z Czechosłowacji biorących udział w II Zjeździe, wynosi ponad 1100 osób.

Imponująca ta liczba jest dowodem, jak bardzo uświadomiona jest narodowo ludność polska żyjąca od dziesiątek lat za Olzą, skonsolidowana, zwarta, zawsze ofiarna i gotowa na każde skinienie śpieszyć na ratunek Macierzy.

Równocześnie ze Zjazdem Polaków z Zagranicy urządzono wielkie Igrzyska Sportowe Polonii Zagranicznej w Warszawie. Warszawa nie widziała jeszcze nigdy uroczystości sportowej tak podniosłej i okazałej, jak rozpoczęcie igrzysk sportowych Polaków z Zagranicy. Pisano o nich Olimpiada Wszechpolska. Tytuł ten okazał się słuszny w stu procentach, ślicznie wyglądające grupy zawodników, ubranych na biało z amarantowymi krawatami w niebieskich beretach, stojące przy transparentach z nazwą kraju, z którego przybyli - przypominały do złudzenia igrzyska olimpijskie w ich najbardziej uroczystym momencie ceremonii otwarcia.

Jeśli dodać, że trybuny stadionu Wojska Polskiego były przepełnione wibrującą entuzjazmem publicznością, że dzień był słoneczny i ciepły, że nad głowami krążyły biało-czerwone samoloty, z których wypuszczano gołębie i - zrzucono piłkę, jeśli wziąć wreszcie pod uwagę, że stadion był pięknie udekorowany - nastrój wyjątkowo świąteczny stanie się zupełnie zrozumiały.

W loży oficjalnej zajęli miejsca: marszałek Sejmu Świtalski, marszałek Senatu Raczkiewicz, ministrowie Butkiewicz i Kaliński, wiceminister Bobkowski, generałowie Kasprzycki, Orlicz-Dreszer, Gąsiorowski, Langner, Wieniawa-Długoszowski, kontradmirał Świrski, płk. Ulbrych i inni.

Gdy przy dźwiękach hymnu narodowego pojawił się w loży w towarzystwie p. premiera Kozłowskiego pan prezydent Rzeczypospolitej, którego przy wejściu przywitał jako prezes Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy marszałek Raczkiewicz, zawodnicy emigracyjni spontanicznie wznieśli na Jego cześć okrzyk: Niech żyje! Następnie dyrektor Państwowego Urzędu płk. dypl. Kiliński zwrócił się do Pana Prezydenta z prośbą o otwarcie igrzysk. Po chwili na maszcie podniesiono wielką chorągiew biało-amarantową i zawody się rozpoczęły.

W program igrzysk wchodziły zawody na 100 m pań i panów, przedbiegi 200 m i 800 m panów, biegi na 400 m i 5000 m, przedboje dysku i skoku wzwyż, przedbiegi pływackie, przedboje w koszykówce, siatkówce kobiecej i siatkówce męskiej, przedboje piłkarskie, skok w dal, dysk pań, sztafeta 4 x 100 m i przedboje bokserskie.

Urozmaiceniem programu była również próba pobicia rekordów światowych na 3 km: na 2 mile angielskie (3218 m), dokonana przez Janusza Kusocińskiego.

Przed startem na trybunach zapanowała naprężona cisza. Kusociński o twarzy chmurnie ściągniętej - zdecydowany, zawzięty, rozpoczął bieg w bardzo szybkim tempie, robiąc pierwsze 400 m w równe 60 sek.; do 1500 m można było przypuszczać, że próba się uda - czas wynosił 4 min. 5 sek. Później jednak tempo zaczęło opadać, choć mistrz olimpijski szedł bez oznak zmęczenia. Dopiero na mecie poznać było po nim, że był dysponowany nienajlepiej. Czas na 3 km wynosił 8 m 29,6 sek., na 2 mile 9:06:4 sek.

Szczególne zainteresowanie wzbudzały zawody w piłce nożnej, w której brały udział reprezentacje Polonii z Czechosłowacji, Austrii, Rumunii, Niemiec, Francji i Gdańska. Mistrzostwo piłki nożnej emigracji zdobyła Czechosłowacja (Polonia Karwińska), bijąc następujące kraje: Polonia - Austria 8:0, Polonia - Rumunia 4:2, Polonia - Niemcy 2:0; poza tym w meczach przyjacielskich Polonia pokonała Gwiazdę Warszawską w stosunku 3:2, Polonię Warszawską 2:1, K.S. Strzelec Kielce 8:1. Stosunek ogólny bramek dla Polonii wynosi tedy 27:6.

Niezwykle emocjonująco przedstawiał się finał piłkarski, w którym drużyna Czechosłowacji spotkała się z drużyną Niemiec 2:0. Obie drużyny wystąpiły do meczu wyraźnie zmęczone poprzednimi zawodami. Grały bowiem swój trzeci mecz w ciągu 4 dni. W pierwszej połowie przeważa zdecydowanie zespół Czechosłowacji, dla którego bramki zwycięskie zdobywają Cerrek i Stonawski. Po przerwie drużyna niemiecka posiadała kilka okazji do wyrównania, jednak atak jej nie potrafił ich wykorzystać.

Spotkaniu temu przypatrywali się z bijącym sercem przybyli na Zjazd reprezentanci ludności naszej. Ponad 1000 Polaków z Czechosłowacji gorąco oklaskiwało każdy sukces naszej drużyny i to pewnie też było jedną z przyczyn, dlaczego nasza drużyna mimo wielkiego zmęczenia dała z siebie rzeczywiście wszystko i do samego końca utrzymała niezwykle szybkie tempo gry. Na trybunach stadionu można było zauważyć wszystkich wybitnych przedstawicieli naszej ludności, dr. Wolfa, posła dr. Buzka, dyr. Feliksa, red. nacz. Dziennika Polskiego p. Waleczkę i wielu, wielu innych. Także p. konsul generalny RP Malhomme wraz z małżonką zaszczycili mecz swą obecnością.

Schodzącej zwycięsko z boiska drużynie naszej zgotowała publiczność gorącą owację, zasypując kwiatami. Niezwykle uroczyście przyjęto również drużynę Polonii, wracającą do domu w środę 15 sierpnia. Przyjmowano ich

w Czeskim Cieszynie w Domu Reprezentacyjnym, wreszcie w Karwinie uformował się na dworcu pochód, który otoczonych wieńcem dzielnych zwycięzców odprowadzał do sali Pracy, gdzie odbyła się huczna zabawa.

We wtorek dnia 14 sierpnia przed południem odbyła się konferencja komitetu organizacyjnego igrzysk Polaków z Zagranicy, podczas której dokonano ostatecznego obliczenia i zweryfikowano wyniki igrzysk emigracyjnych. Klasyfikacja przedstawia się następująco: 1. Francja 35, 2. Gdańsk 34, 3. Czechosłowacja 27, 4. Niemcy 21, 5. USA 20, 6. Rumunia 17, 7. Belgia 11, 8. Łotwa 10, 9. Kanada 3, 10. Austria 2.

Nagrody zespołowe zostały przyznane jak następuje:

1. *Nagroda pana prezydenta RP za ogólne zwycięstwo w igrzyskach - Francja.*
2. *Nagroda ministra spraw zagranicznych za zwycięstwo w piłce nożnej - Czechosłowacja.*
3. *Nagroda ministra oświaty w siatkówce kobiecej - Czechosłowacja.*
4. *Nagroda dyrektora państwowego urzędu WF za zwycięstwo w boksie - Francja.*
5. *Nagroda Banku Polskiego za zwycięstwo w kolarstwie - Francja.*
6. *Nagroda Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy za zwycięstwo w lekkiej atletyce - drużyna USA.*
7. *Nagroda Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej Kobiet za zwycięstwo w lekkiej atletyce kobiecej - USA.*
8. *Nagroda Ligi Morskiej i Kolonialnej za zwycięstwo w pływaniu - USA.*
9. *Nagroda stołecznego komitetu WF za zwycięstwo w siatkówce męskiej - Czechosłowacja.*
10. *Nagroda Prezydenta miasta Warszawy za zwycięstwo w koszykówce - Francja.*
11. *Nagroda komitetu igrzysk za 2 miejsce w piłce nożnej - Niemcy.*

Nadto przyznano nagrody indywidualne.

W środę 8 sierpnia w gmachu Sejmu odbyła się konferencja sportowo emigracyjna. Ukończono mecz lekkoatletyczny Polska - Emigracja, przynoszący Polsce zwycięstwo w stosunku 80:50 punktów, oraz mecz piłkarski Polska - Emigracja, zakończony sensacyjnym zwycięstwem Polski 8:1. Potem nastąpiło zamknięcie igrzysk i rozdanie nagród. W czwartek rano dokończono

konferencję, a po południu odbyła się herbatka, wydana przez dyrektora Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego.

Równocześnie ze zjazdem Polonii zagranicznej odbywa się w stolicy II Zlot Młodzieży Polskiej z Zagranicy, obesłany bardzo licznie, zwłaszcza przez młodzież harcerską żeńską i męską. Prócz części młodzieży, która uczestniczyła w uroczystym otwarciu II Zjazdu starszego pokolenia, reszta młodzieży spędziła ranek na obradach, które rozpoczęły się w gmachu Politechniki Warszawskiej, gdzie obradowały trzy grupy: akademicka i szkolna, młodzież wiejska i pracująca oraz harcerska.

Po południu 7 sierpnia udali się uczestnicy Zlotu Młodzieży na Zamek, gdzie złożyli hołd p. prezydentowi RP, który przyjął grupę młodzieży w liczbie 3000 na dziedzińcu zamkowym. Młodzież ustawiła się szeregami według krajów. Bardzo pięknie prezentowała się delegacja z Czechosłowacji. Z chwilą przybycia p. prezydenta na dziedziniec orkiestra strzelecka z Francji odegrała hymn narodowy, po czym w imieniu koła opieki przemówił p. Budzyński, a w imieniu młodzieży zagranicznej delegat z Niemiec p. Murek . P. prezydent zatrzymał się przy każdej delegacji, rozmawiając życzliwie z przewodnikami i informując się o warunkach życia młodzieży, po czym wrócił do swoich apartamentów, żegnany entuzjastycznie okrzykami zebranych. Uderzyło, iż specjalnie długo pan prezydent zatrzymał się wśród młodzieży z Czechosłowacji.

O godz. 17.30 wielki gmach politechniki zaroił się tłumami młodzieży, która zebrała się w auli na uroczystej akademii z okazji Zlotu Młodzieży. W wielkiej sali, przystrojonej zielenią, zajęły miejsca delegacje z poszczególnych krajów, wśród nich barwne grupy w strojach regionalnych i kapela łowicka. Wokoło zaimprowizowanej estrady stanęła młodzież ze sztandarami. Gdy na estradzie ukazał się marszałek Raczkiewicz, rozległy się oklaski, po czym orkiestra PW odegrała hymn narodowy i „Pierwszą Brygadę". Młodzież powitali przemówieniami marszałek Raczkiewicz i gen. Orlicz-Dreszer, po czym mówił emigrant ks. prof. dr Kaczmarek, podkreślając bogaty plon, jaki młodzież wychodźcza wywiezie ze sobą z Polski. Następnie przemawiali przedstawiciele młodzieży z poszczególnym krajów.

RUDOLF WÓJCIK

c.d.n.

MARSZAŁEK SENATU R. P.,
PREZES RADY ORGANIZACYJNEJ POLAKÓW Z ZAGRANICY
i WŁADYSŁAWOWA RACZKIEWICZOWA

MAJĄ ZASZCZYT PROSIĆ J W P. Wójcik Rudolf, nauczyciel

Rychwałd 120.

O PRZYBYCIE W DNIU 5 SIERPNIA 1934 R. O GODZINIE 4[15] NA HERBATĘ
W OGRODACH SEJMU I SENATU Z OKAZJI ZJAZDU POLAKÓW Z ZAGRANICY.

WIEJSKA 6/8.

424

KARTA WSTĘPU

na UROCZYSTĄ AUDJENCJĘ

U PANA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ
NA ZAMKU KRÓLEWSKIM

w dniu 6 sierpnia 1934 roku o godz. 18 min. 15

JWP. Wójcik Rudolf

SALA RYCERSKA

Wejście Bramą Zagarową. Przy wejściu należy okazać niniejszą kartę wstępu.

SĘDZIWA I ZASŁUŻONA

Nie ma na Śląsku Cieszyńskim instytucji, która mogłaby się poszczycić tak bogatymi tradycjami jak Bank Spółdzielczy. Jest on w prostej linii spadkobiercą utworzonego w 1873 roku Towarzystwa Zaliczkowego w Cieszynie, przemianowanego wkrótce na Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek. Nawet długowieczna i zasłużona Macierz Ziemi Cieszyńskiej jest od niego o dwanaście lat młodsza...

Genezy Towarzystwa należy upatrywać w ruchu spółdzielczym, który zaczął się szerzyć w XIX stuleciu najpierw w Europie Zachodniej, a nieco później także na ziemiach polskich. Kolebką spółdzielczości oszczędnościowo-pożyczkowej była tu Wielkopolska, skąd przenikały jej idee do pozostałych zaborów. Na Śląsku Cieszyńskim zaczęły kiełkować w latach sześćdziesiątych. Propagowała je m.in. Gwiazdka Cieszyńska, wskazując na pozytywne rezultaty działalności kas oszczędnościowych w zaborze pruskim, jak również na sąsiednich Morawach i w Czechach. Ale

WZORY CZERPANO

przede wszystkim z Krakowa, gdzie taka instytucja spółdzielcza powstała cztery lata wcześniej niż w Cieszynie. Jak wspominał Jan Kubisz: *Filasiewicz sprowadził Władysława Lecha, urzędnika bankowego z Krakowa, z nim nad założeniem zaliczki pracował.*

Początkowo noszono się z zamiarem utworzenia kasy pożyczkowej przy działającym od 1869 roku Towarzystwie Rolniczym. Na potrzebę taką wskazywała w 1870 roku Gwiazdka Cieszyńska i idea ta została szybko podjęta, ale władze wyszukiwały przeszkody natury formalnej, a w końcu definitywnie zatwierdzenia statutu odmówiły. Faktycznym tego powodem był narodowy podtekst inicjatywy, kasa miała bowiem służyć interesom ludności polskiej, przede wszystkim chłopskiej. Znalazłszy się w potrzebie czy chcąc podążać za postępem w rolnictwie, właściciele mniejszych gospodarstw musieli bowiem zaciągać pożyczki albo u lichwiarzy, z wiadomym tego skutkiem, albo w instytucjach kredytowych – niemieckich lub czeskich.

Wobec tego, że inicjatywa utworzenia kasy pożyczkowej przy Towarzystwie Rolniczym skończyła się fiaskiem, postanowiono utworzyć samodzielną spółdzielnię oszczędnościowo-pożyczkową. Ułatwiła zadanie austriacka ustawa o stowarzyszeniach zarobkowych i gospodarczych

z 9 kwietnia 1873 roku. Już 29 października tegoż roku odbyło się zebranie konstytucyjne Towarzystwa Zaliczkowego w Cieszynie, które przyjęło statut. Po rejestracji sądowej w sądzie handlowym spółdzielnia otwarła swoje biura w hotelu Pod Złotym Wołem, co miało miejsce 22 listopada.

Statut Towarzystwa, oprawiony, zachował się w doskonałym stanie do dziś i znajduje się w posiadaniu Banku Spółdzielczego w Cieszynie. Figurują pod nim podpisy 122 założycieli, wśród których znalazła się czołówka polskich działaczy narodowych tego okresu, m.in. Paweł Stalmach, Andrzej Cinciała, ks. Franciszek Michejda, twórca parku w dzisiejszym Cz. Cieszynie Adam Sikora, Hilary Filasiewicz, nauczyciel-poeta Jan Kubisz i wielu innych.

POCZĄTKI

były trudne, brakowało bowiem wzorców, doświadczenia, nawet nawyków oszczędności. Startowano od zera. *Fundusze nasze w chwili rozpoczęcia działalności składały się: z dobrej woli, z wiary w możliwość dojścia do zamierzonego celu, z przekonania o potrzebie takiej instytucji, z głębokiego przeświadczenia, że w ten sposób przyczynimy się bezpośrednio lub pośrednio do rozwoju ludności naszej i wydobycia jej spod obcego wpływu i niezłomnego postanowienia wytrwania i nie zrażania się żadnymi przeciwnościami i niepowodzeniami* - stwierdzono z okazji jubileuszu ćwierćwiecza. - *Poza tymi funduszami nie mieliśmy nic, tak dosłownie i tak dalece nic, że nawet na pierwsze potrzeby założenia, jak: druk, stemple itp. musieliśmy siedemdziesiąt kilka złotych pożyczyć od Towarzystwa Rolniczego w Cieszynie, które nam w ten sposób z pierwszą pośpieszyło pomocą.*

Spółdzielnia szybko stanęła jednak na nogi. Już w pierwszym roku działalności liczba członków uległa podwojeniu, a niedługo potem bank należał do najlepszych w całym Związku Stowarzyszeń Zarobkowych i Gospodarczych z siedzibą we Lwowie, który powierzył jej w 1891 roku rolę gospodarza swego zjazdu. Obrady toczyły się w sali hotelu Pod Złotym Wołem. Uczestnicy odbyli spotkanie z przedstawicielami miejscowej społeczności, w którym udział wzięli także posłowie Jerzy Cieńciała, dr Jan Michejda i ks. Ignacy Świeży, zaangażowani zresztą w pracy stowarzyszenia. Efektem była promocja, jakbyśmy dziś powiedzieli, Śląska Cieszyńskiego w Galicji. Korzyść niemal natychmiastową przyniosła podjęta jednomyślnie uchwała o udzieleniu

POMOCY FINANSOWEJ

Towarzystwu Domu Narodowego w Cieszynie. Sami uczestnicy zebrali

w swoim gronie 214 złotych. Dwutygodnik lwowski Związek poświęcił tej sprawie w numerze z 8 stycznia 1892 roku całą czołówkę. Nawiązując do uchwały cieszyńskiego zjazdu, pismo stwierdzało: *Z taką pomocą pospieszyć jest naszym obowiązkiem, a wykonamy go, jeżeli Polakom na Szląsku Austriackim usilnie dopomagać będziemy do utrzymania istniejących już na Szląsku instytucji, które mają na celu podniesienie ekonomiczne i moralne tamtejszego ludu, tudzież rozbudzanie i utrzymanie ducha narodowego.* W rezultacie tych działań tylko w latach 1892-1893 banki spółdzielcze przekazały na rzecz Towarzystwa Domu Narodowego kwotę 3.255 złotych.

Wspieranie działalności narodowej weszło do stałej praktyki cieszyńskiego Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek. *Spółdzielnia osiągała co roku wysokie zyski, które początkowo przeznaczała na fundusz rezerwowy, wypłacanie dywidendy, wynagrodzenie urzędników itp.* - pisze autor monografii Banku Spółdzielczego Jerzy Sowiński. - *Do wymienionego rejestru wydatków doszła w 1885 roku nowa, stała pozycja: „na cele publiczne". Pierwsze kwoty przeznaczone na ten cel były skromne i zamykały się w granicach stu, a później kilkuset złotych waluty austriackiej. W miarę rozwoju instytucji powiększano je systematycznie tak, że górna granica wydatków w tej pozycji wyniosła 5.200 koron (w 1912 roku).*

Pomoc Towarzystwa, udzielana polskiej ludności, była wszechstronna i obejmowała prawie wszystkie dziedziny życia. Finansowało ono powstanie i działalność wielu towarzystw i placówek gospodarczych, kulturalnych, oświatowych i sportowych. Na listach korzystających z jego pomocy nie brakowało również ludzi dotkniętych klęskami żywiołowymi, biednych dzieci, sierot, starców, chorych itp. Stowarzyszenie przyczyniło się także do zorganizowania i utrzymania Związku Spółek Rolniczych w Cieszynie, który stał się centralą finansową polskich kas Raiffeisena na Śląsku Cieszyńskim oraz Szkoły Gospodyń Wiejskich - bardzo potrzebnej i pożytecznej placówki dla ludności wiejskiej.

Po to, by wyjść naprzeciw potrzebom klienta oraz skutecznie przeciwstawiać się konkurencji czeskiej i niemieckiej, Towarzystwo tworzyło filie. Tylko jedna powstała po prawobrzeżnej stronie Olzy, w Skoczowie, natomiast pozostałe na dzisiejszym Zaolziu - we Frysztacie, Boguminie, Dąbrowie, Łazach, Suchej Górnej i w Trzyńcu.

Decyzja Rady Ambasadorów z lipca 1920 roku

PRZYSPORZYŁA KŁOPOTÓW

także Towarzystwu Oszczędności i Zaliczek. Po stronie czechosłowac-

kiej znalazły się dwie trzecie jej majątku i połowa członków. Mimo ustanowienia granicy na Olzie przez pięć lat stowarzyszenie działało pod wspólnym kierownictwem, choć w różnych warunkach. W 1926 roku nastąpił jego definitywny podział.

Po II wojnie światowej stowarzyszenie wznowiło działalność już tylko w polskiej części Śląska Cieszyńskiego. Nastąpiło to w połowie grudnia 1945 roku. Ale już pod koniec lat czterdziestych rozpoczęły się w spółdzielczości oszczędnościowo-pożyczkowej zmiany organizacyjne, których ogólny sens sprowadzał się do ograniczania społeczno-samorządowego charakteru jednostek spółdzielczych. W 1953 roku doszło nawet do ich faktycznego upaństwowienia. Bardziej korzystny okres nastał dopiero po październiku 1956 roku.

Nowe wyzwania przyniosły lata dziewięćdziesiąte, które przyniosły wcale nierzadkie przypadki ogłaszania upadłości polskich banków spółdzielczych. Cieszyńska placówka zdołała tym wyzwaniom sprostać, skutecznie stawia też czoła wyjątkowo silnej w Cieszynie konkurencji banków komercyjnych.

ROBERT DANEL

Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek

Rok założenia 1873 **w Czeskim Cieszynie.** Telefon nr. 163.

:-: **Kapitały obrotowe i fundusze gwarancyjne Kcz 60,000.000** :-:

Filje we własnych domach w Czechosłowacji:

w Jabłonkowie, Frysztacie, Nowym Bogumiinie, Orłowej, Trzyńcu, Dąbrowej i Karwinie

przyjmują wkładki na oszczędność i w rachunku bieżącym na: **5%** **Kapitały większe** oprocentowuje wyżej, zależnie od umowy.

Wszelki podatki od wkładek i lokal opłaca Towarzystwo za wkładkujących z własnego.

Złożone wkładki na oszczędność mają zabezpieczenie w całych aktywach, wpłaconych udziałach, funduszach rezerwowych Towarzystwa oraz nieograniczonej poręce jego członków.

Udzielają swym członkom kredytu na hipoteki i poręczenia na dogodnych warunkach.

TRAGICZNE LOSY TRZECH ŁĘCKICH ŚWIETLIC

Pierwsza historyczna wzmianka o Łąkach pochodzi z 1450 roku. Burzliwe są losy tej pięknej nadolziańskiej wsi, kiedyś jednej z największych i najdłuższych.

Najstarsze dostępne zapiski historyczne dobitnie świadczą o jej polskim rodowodzie. Około roku 1830 odnotowano skargę na niemieckiego urzędnika *...na dowolne, bez wszelkiego urzędowego dochodzenia karania, za bicie, zamykanie do stajni, zakuwanie w kajdany...* Przesłuchania odbywać się miały u frysztackiego dziekana ks. Mateusza Opolskiego, który występował tu w roli tłumacza z języka niemieckiego na polski. O polskim akcencie świadczą również wiarygodne zapiski w Katalogu Kleru Cieszyńskiego Diecezji Wrocławskiej, np. z roku 1849. Olbrzymią rolę w krzewieniu świadomości narodowej spełniała polska szkoła, której rodowód sięga do roku 1876, i kościół katolicki, który stanął na tzw. Fenedyku już w 1785 roku. W 1849 roku zapisano, że we wsi jest 637 katolików, 41 wyznawców innej wiary oraz 5 Żydów, a mową powszechną jest język polski. Nawet w latach największego terroru podczas okupacji hitlerowskiej język polski nadal dominował w konfesjonale.

Najdobitniej o polskości Łąk świadczą najstarsze spisy ludności, według których w latach 1880-1910 prawie 98 proc. ludności stanowili Polacy, np. w roku 1890 żyło tu w 147 domach 1081 Polaków, 3 Czechów i 28 Niemców. W 1921 roku powstaje we wsi „První česká menšinová škola" - szkoła jednoklasowa i to w dodatku w domku polskiego nauczyciela Józefa Paździory. W 1926 roku rozpoczęto naukę w nowo zbudowanej czeskiej szkole. Tymczasem jeszcze w 1922 roku w polskiej szkole uczy się 335 uczniów.

Zadanie utrzymania polskości po okupacji hitlerowskiej spada na PZKO, które zaistniało tutaj już w 1947 roku. Wcześniej kontynuuje chlubne tradycje śpiewactwa chór pod patronatem kościoła, a następnie w ramach PZKO. Bardzo pomyślnie rozwija się równocześnie ruch amatorski. Pierwsze przedstawienie „Zaloty na kwaterze" odegrano już w 1947 roku. Prężnie i owocnie działał zespół taneczny, reaktywowano harcerstwo. Do tej bogatej działalności konieczny jest własny dach nad głową - świetlica. Pierwsze spotkania odbywały się na przemian w szkole lub lokalu miejscowej gospody. Już na pierwszym zebraniu Zarządu 30 listopada 1947 roku w protokole ujęto taki zapis: *Omawiano potrzebę starania się o otwarcie gospody ob. Urbanka i umieszczenie w niej siedziby naszych Związków. Celem omówienia tej sprawy wyjdą do ob. Wałoszka - ob. Kadura, Gatnar, Kula i Kokotek...*

Po dłuższych pertraktacjach z władzami gminy i właścicielem dochodzi do porozumienia i uroczyste otwarcie **pierwszej świetlicy PZKO** w byłej gospodzie u Urbanka nastąpiło 17 października 1948 roku. Tam odbywały się te-



Byłe miejscowe kino w Łąkach - centrum. Z tyłu w przybudówce - druga świetlica PZKO

raz wszelkie próby, zebrania czy imprezy. Dnia 11 stycznia 1952 roku w wypełnionej po brzegi sali Scena Polska odegrała swoją pierwszą sztukę „Wczoraj i przedwczoraj". W 1956 roku tę pięknie zagospodarowaną świetlicę zamieniono na kino. Jubileusz 80-lecia Polskiej Szkoły Ludowej odbywał się już w sali Jednoty-Jedność - Centrum.

Rozpoczęto ponownie usilne starania o nową świetlicę. Zyskano ją dzięki uprzejmości państwa Pieczonków w lokalu byłej gospody p. Barankowej, nazywanej U Starki. Tak powstała **druga świetlica PZKO**. Warunki były znacznie skromniejsze. Imprezy na szeroką skalę, jak zabawy, bale czy przedstawienia odbywały się w dużej sali Jednoty-Jedność. Najbardziej znaczącą imprezą była akademia i wystawa z okazji 20-lecia wrześniowej tragedii z 1944 r. (8.9.1964), ukazała się też wtedy wydana przez Józefa Burka jednodniówka „Gehenna ludu w Łąkach nad Olzą". Koło korzystało z tego lokalu tylko do końca 1968 roku, ponieważ opłaty za wynajęcie okazały się za wysokie na możliwości Koła.

W latach 70. dzięki usilnym staraniom dyrektora Wiktora Dudy rozpoczęto rekonstrukcję i modernizację szkoły. PZKO uzyskało pozwolenie na dodatkową przybudówkę, w której mogłaby mieścić się **trzecia świetlica PZKO.** Uroczyste otwarcie nowej świetlicy PZKO z udziałem przedstawicie-

li najwyższych władz lokalnych, dyrekcji szkoły, SRPSz i ZG PZKO nastąpiło 15 listopada 1970 roku.

Niestety odwieczne prawo przemijania brutalnie wpisało się w historię wspaniałych niegdyś Łąk. Akt ich fizycznej zagłady podpisano już 1 września 1958 roku w Kopalni ČSM w Stonawie. Węgiel był ważniejszy. Rabunkowa gospodarka spowodowała, iż pierwsze szkody górnicze dały się odczuć już w latach 1968–70, zaś pierwsze domostwa runęły w 1973 roku. Później już dewastacja postępowała szybko.

Ostatnie spotkanie w trzeciej świetlicy PZKO odbyło się 11 października 1986 roku. Pomimo minorowych nastrojów wytyczono optymistyczne cele: *Dalej wysoko nieść oświaty kaganiec. PZKO musi nadal żyć i pracować dla utrzymania polskości w Łąkach!* Ostatni łyk goryczy wychylono, kiedy w listopadzie w 1987 roku runęła i legła w gruzach ponad stuletnia polska szkoła.

Polacy w Łąkach nad Olzą nadal żyją i pracują. Pozostało ich niewielu, to zaledwie 1/3 dawnych mieszkańców. Spotykają się okazjonalnie na różnych imprezach: w miejscowej gajówce, w restauracji Zacisze czy w skromnym lokalu budynku Urzędu Miejskiego. Zjeżdżają się byli aktywiści z Łąk z Orłowej, Karwiny, Jabłonkowa, Trzyńca i Czeskiego Cieszyna na pełne optymizmu i nostalgii spotkania z potrzeby serca i ku pokrzepieniu serc pod hasłem „Póki my żyjemy – polskość w Łąkach nie zaginie".

JÓZEF KULA



Trzecia i ostatnia z rzędu świetlica PZKO – w szkole

NAD „KSIĘGĄ URODZAJU“ ORAZ INNYMI KSIĄŻKAMI
LIBOR MARTINEK ROZMAWIA Z WILHELMEM PRZECZKIEM

Pojawienie się Twojej książki w czeskich przekładach w czeskocieszyńskim wydawnictwie Olza (2000 r.) może być momentem wyjściowym do szerszej rozmowy na tematy literackie.

Wierzę, że tak. Nie chciałbym jednak, żebyśmy się ograniczali wyłącznie do Zaolzia. Jeśli już, to porozmawiajmy w poszerzonych kontekstach. Nie będziemy ukrywali, że „Księga urodzaju“ ukazała się między innymi dzięki Tobie, Liborze. Jesteś jednym z jej redaktorów i tłumaczy.



Tak. Jednym z tłumaczy, więc należy wymienić wszystkich, którzy współpracowali przy tej publikacji: Otokar Bartoš, Vlasta Dvořáčková, Věnceslav Juřina, Vlastimil Kovalčík, Libor Martinek, Lech Przeczek, Eva Sobková, Erich Sojka, František Všetička, Karel Vůjtek, Lucyna Waszkowa, Jindřich Zogata.

Może należy jeszcze dodać, że autorem okładki, przerywników graficznych jest plastyk i poeta Zbyszek Kresowaty z Wrocławia.

Możesz przypomnieć czytelnikom, która to z kolei książka przetłumaczona na czeski. Oczywiście - Twoja książka?

O ile dobrze liczę, jest to siódma książka przełożona na czeski. „Krajina v kouři“, „Promlčený počet štěstí“, „Hudba z nebe“, „Břečťan“, „Bienále pivní pěny“, „Příliš pozdní milenec“, „Intimní bedekr“ i „Kniha úrody“... a więc jednak ósma.

A tłumacze?

Nie sposób tu wszystkich wymienić. Ograniczę się więc tylko do tych, którzy dokonali przekładów moich samodzielnych książek, bez tych pozycji, które były dziełem zespołu tłumaczy. I tak: Erich Sojka, Helena Stachowa, Libor Martinek, Jindřich Zogata, a ostatnio Karel Vůjtek... przetłumaczył poemat „Stuletni kalendarz“. Ukaże się, dzięki pomocy finansowej Minister-

stwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP, na moje 65. urodziny.

Za swoją twórczość literacką otrzymałeś wiele nagród. Które z nich cenisz sobie najbardziej?

Masz rację. Trochę się tego uzbierało. W 1999 roku obchodziłem 40-lecie pracy literackiej, licząc od debiutu „Pierwszy lot" (1959), który redagował jeszcze Henryk Jasiczek. A które sobie cenię najbardziej? Na pewno jest to Nagroda Imienia Juliusza Słowackiego. Przypomnę tylko, że laureatem pierwszej edycji tej Nagrody jest Tadeusz Różewicz. Potem otrzymywali ją między innymi ks. Jan Twardowski, Krzysztof Gąsiorowski, Marian Piechal, Andrzej Zaniewski. Jest to doroczna nagroda w dziedzinie poezji w Polsce.

Byłem w Warszawie, kiedy odbierałeś nagrodę imienia Witolda Hulewicza za twórczość poza granicami Polski.

Muszę w tym kontekście przypomnieć jeszcze medal Zasłużony dla Kultury Polskiej przyznawany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki w Warszawie. Wiele innych odznaczeń za działalność literacką oraz dziesięć pierwszych nagród w Ogólnopolskich Konkursach Jednego Wiersza.

A czeskie nagrody?

Przyznano mi prestiżową nagrodę nazywaną „Cena křepelek". To był rok 1993, a wręczył mi ją w Klubie Dziennikarza w Pradze przedstawiciel Czeskiego Funduszu Literackiego, jest to nagroda za publicystykę literacką.

Jak wiem, Twoja twórczość jest tłumaczona także na inne języki. Ostatnio byłeś w Instytucie Polskim w Lipsku na spotkaniu autorskim.

Spotkanie to prowadził tłumacz „Kazinkowego grania" na niemiecki Bernd Karwen, całe to spotkanie było poświęcone tej powieści, która nosi niemiecki tytuł „Melodie von Himmel". Obecna była także Beatrice Metre, tłumaczka na francuski.

Podobno także Słowacy przetłumaczyli „Kazinkowe granie"?

Tłumaczenia dokonał Ludovit Kiss, a obszerne fragmenty wydrukował Vlastimil Kovalčík na łamach pisma Literárny týždenník w Bratysławie. I to z ilustracjami Władysława Hasiora.

Wiem, że również inni wybitni polscy malarze ilustrowali Twoje utwory.

Niektóre opowiadania w przekładzie Heleny Stachowej, drukowane na łamach pisma Literární noviny w Pradze, ilustrował Wacław Panek, wiersze drukowane w Miniaturze w Bydgoszczy ilustrował Jerzy Duda Gracz, poezję na łamach Życia Literackiego w Krakowie siostry Maria i Grażyna Wahl... Muszę tu dodać, że miałem także szczęście do plastyków ilustrujących moje tomiki wierszy... i tak na przykład „Szumne podszepty" w Katowicach zredagował Jan Stachowski, ilustrowała Małgorzata Kacperek, „Księgę urodzaju" w Krakowie ilustrowała Małgorzata Kwiecińska, katowicką „Naukę wierności" Andrzej Świerczyński, „Mapę białych plam" oraz

czeskie wydanie „Nauki wierności" Zbigniew Kresowaty...

Ukazał się też Twój poemat „Pisane dymem" po niemiecku...

W Niemczech, w Reutlingen, ukazał się ten poemat w przekładzie polskiej poetki od lat mieszkającej w Niemczech. Nazywa się Małgorzata Płoszewska. Jest to bibliofilskie wydanie, podobnie jak kiedyś „Tercet" dedykowany Janowi Sztwiertni, autorowi wodewilu „Sałasznicy" z Ustronia. Wtedy poemat wydało Cieszyńskie Centrum Kultury, a zredagowali go Bożena i Ryszard Gabrysiowie, tomik drukowano na czerpanym papierze w Dessie w Jędrzejowie.

Przeglądając polskie pisma literackie, sprawdziłem, że jesteś w stopce redakcyjnej wielu z nich jako stały współpracownik.

Mogę je nawet wymienić, jeśli nie będzie to reklama. A więc pismo Radostowa w Starachowicach redagowane przez poetę Antoniego Dąbrowskiego, pismo Gazeta Kulturalna w Zelowie redagowana przez poetę Andrzeja Dębkowskiego, pismo dla dzieci Gazeta Dzieci we Wrocławiu redagowane przez wybitnego pisarza Stanisława Srokowskiego, pismo dla dzieci Iskra w Tarnowie redagowane przez świetnego autora tekstów nie tylko dla dzieci Andrzeja Grabowskiego, stale współpracuję z ogólnopolskim pismem Akant z Bydgoszczy, które redaguje poetka i plastyczka w jednej osobie Jolanta Baziak...

Dużo tego, wiele czasu musisz na to poświęcić.

Czego jak czego, ale czasu mi nie brakuje, wszak jestem na emeryturze...

Szkoda, że Zrzeszenie Literatów Polskich w Republice Czeskiej jakoś ustało w swoich inicjatywach, że działalność nie jest prężniejsza i bardziej widoczna. Przecież ostatnio odbywa się tyle literackich imprez na styku czesko-polskim, a wy jesteście prawie nieobecni.

O te sprawy trzeba zapytać Gustawa Sajdoka, który stale jeszcze jest przecież prezesem ZLPC. Ja z mojej strony jestem członkiem zarządu Gminy Pisarzy Morawskośląskich w Ostrawie oraz członkiem Rady Gminy Pisarzy w Brnie. Do tego dochodzi jeszcze członkostwo w Związku Literatów Polskich w Opolu, członkostwo w Towarzystwie Górnośląskim Literatów w Katowicach i członkostwo w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich w Warszawie, Związku Pisarzy na Obczyźnie w Londynie.

Dziękuję za rozmowę i życzę, żeby „Kniha úrody" dobrze się sprzedawała. Życzmy sobie tego wzajemnie.

WILHELMOWI PRZECZKOWI, ARTYŚCIE SŁOWA, Z OKAZJI URODZIN ŻYCZENIA SERDECZNE SKŁADA

REDAKCJA ZWROTU

O PRZYSZŁOŚCI KSIĄŻKI, INTERNECIE, SYTUACJI POLSKIEJ KSIĄŻKI W NIEMCZECH... Z POETKĄ MAŁGORZATĄ PŁOSZEWSKĄ ROZMAWIA WILHELM PRZECZEK

Małgorzatę Płoszewską poznałem w trakcie Warszawskiej Jesieni Poezji. Gosia - bo tak ją wszyscy nazywamy - urodziła się w Płocku (1956) i od lat mieszka w Reutlingen w Niemczech. Jest poetką, pedagogiem teatralnym oraz tłumaczką poezji polskiej na język niemiecki.

Niedawno przetłumaczyła mój poemat „Pisane dymem".

Jesteś świetną tłumaczką, ale swoich własnych tekstów poetyckich nie tłumaczysz...

Zapewne chodzi ci o mój ostatni polsko-niemiecki tomik „Kokarda na wietrze - Die Schleife auf dem Wind".

No właśnie. Tłumaczem tego zbioru poetyckiego jest niemiecki poeta Peter Huckauf. Konsultantką językową jest, podobnie jak w przypadku mojego przekładu, pani prof. Eleonore Jansen...

Pani Jansen jest wybitnym fachowcem i współpracowała także z Petrem Huckaufem. Nigdy nie tłumaczę własnych wierszy, to zasada.

Przed rokiem na Międzynarodowej Konferencji Pisarzy Europy Środkowej w Luhaczowicach zastanawialiśmy się nad tym, „czy książka jako artefakt zostanie wyparta przez Internet". W październiku byłaś na Targach Książki we Frankfurcie nad Menem. Co mówiono tam na ten temat?

Temat był podobny. Zresztą swój reportaż z imprezy zatytułowałam „Czy zdradzimy książkę dla komputera".

No i do jakich wniosków to doprowadziło?

Czytanie książek, według opinii nastolatków, jest przeżytkiem. Konkurencyjnym źródłem wszelkich informacji stała się skrzynka komputera, która unosi na niepojęte odległości nie tylko wyobraźnię, ale także fizyczne zaistnienie, w formie obecności w Internecie na łączach ze światem...

Młodzi twierdzili w Luhaczowicach, że jest to szybka forma kontaktu, która stała się koniecznością...

Nie tylko to, bo... jest to także szybka forma uczenia się, która niebawem wkroczy na szeroką skalę do szkół. Takie przynajmniej zapędy ma niemieckie szkolnictwo...

A co o tym sądzisz Ty, poetka polska żyjąca poza granicami Macierzy?

Jest to po prostu przyszłość, której nie sposób ominąć, przeskoczyć czy uniknąć. I nie ma w tym nic z czarnej magii...

Opuśćmy więc ten temat, bo dla mnie jest przygnębiający. Dla Radia

Wolna Europa dałem w Luhaczowicach wywiad pisarzowi i redaktorowi w jednej osobie, który nazywa się Antoni Bajaja, że jednak wierzę w to, że książka nie zginie, bo nic nie może zastąpić dotknięcia tego artefaktu i potrzymania książki w ciepłej ludzkiej dłoni... Jak słyszę Twoje słowa, można moje przekonanie włożyć między bajki o królewiczu Bajaji.

Nie musisz ulegać, Wilku, frustracji, bo głównym bohaterem polskiego pawilonu wystawowego Naszej Księgarni był właśnie Koszałek Opałek...



Pisałaś do mnie w jednym z listów, że nie możesz przyjechać na moje spotkanie autorskie do Instytutu Polskiego w Lipsku, bo to dla Ciebie zbyt daleko. Frankfurt nad Menem jest bliżej Twojego miejsca zamieszkania?

Zdecydowanie tak, ale do Frankfurtu nie przyciągnęła mnie perspektywa obejrzenia nowości w oprogramowaniach komputerowych. To był jednak Czar Książki i możliwość spotkania z ludźmi pióra.

Było tych spotkań dużo... W Kawiarni Literackiej na terenie hali polskiej podawano kawę bez ograniczeń... jak się dowiedziałem...

Honorowym gościem tegorocznych targów była polska książka. Nie ma tu miejsca na wyliczankę wszystkich polskich wydawnictw. Wiele rzeczy kręciło się wokół Deutsches Polen Institut z Darmstad. Prof. Karl Dedecius był nieustannie w otoczeniu łowców autografów. Tadeusz Różewicz wraz z K. Dedeciusem zaproponowali słuchaczom rozmowę zamiast prezentacji poezji w języku polskim...

Tak, Karl Dedecius jest niezmiernie zasłużonym tłumaczem dla polskiej poezji i literatury w ogóle... podobno już zrezygnował z szefowania Niemiecko-Polskiemu Instytutowi w Darmstad...

Wielką zasługą profesora jest to, że na powściągliwym rynku niemieckim pojawiła się literatura polska. Między innymi takie nazwiska jak Witold Gombrowicz, Bruno Schulz, Wisława Szymborska, Czesław Miłosz, Zbigniew Herbert, Sławomir Mrożek, Tadeusz Różewicz...

Może jeszcze przypomnisz, Gosiu, kiedy odbywała się ta największa tego typu impreza w Europie?

Było to w dniach od 18 do 23 października 1999 roku. I była to wspaniała sprawa!

Dziękuję za rozmowę w imieniu redakcji i czytelników.

MAŁGORZATA PŁOSZEWSKA

KOKARDA NA WIETRZE

* * *

łagodna i ciepła myśl
o twojej bliskości
obsypuje mnie płatkami róż
łapie moją bezsenność
na gorącym uczynku

* * *

zostałam
sam na sam z twoim wierszem
nie uwiodłam go

on
uwiódł mnie pierwszy

gadulstwo to potworna cecha wybacz
że obrzucam cię słowami odganiając myśli
jak muchy chyba obawiam się twojego
podejdź bliżej nie tym tonem proszę i nie tak
teatralnie przymykam powieki by wymyślić sobie
stado motyli o niebieskich oczach co ciche są
jak rozbite lustro

A gdy przypadkiem
Nagły obudzi cię świt
Bzu ostrą wonią
Czuwać będę nad tobą
Uwięziona w twoim śnie

zbliżyłam się do poręczy balkonu
latanie nie jest moją silną stroną
dopadł mnie zapach pieczonego ciasta
i zmierzch nadchodzący wyblakłym fioletem
dom do którego powracam rozebrali krewni
pozostał tylko drewniany krzyż
ubrany w krzak bzu po drugiej stronie drogi
pochyła jabłoń i przezroczysta postać
babci Marianny nad ziemniaczanym zagonem

Sina gałąź bzu
Szpak spłoszony dotknięciem
Kropelki deszczu
Spadły na moje oczy
Raniąc małe wspomnienie

na ławce przycupnęła pustka
szpak skacze jej po głowie wierzba głaszcze
gałązkami a ona nie skarży się że przyroda
ją pochłania oddycha miarowo przemoknięta
letnim deszczem mam wrażenie że nic z nikim
przyczaili się za krzakiem bzu

Niepowtarzalny
Dojrzałego jabłka smak
Kapie słońcem z warg
Zalewa twoje dłonie
Promiennymi kroplami

puste poczekalnie

to bramy do nikąd
jak duże miasta nocą
wyzute z odgłosów śmiechu

to czyściec podróży
czekanie na jutro
pięć minut przed północą

są bezpieczne jak sen
bez marzeń

WYCIECZKI SEKCJI TURYSTYCZNEJ MK PZKO W SIBICY

Bogatą działalność rozwija Sekcja Turystyczna Miejscowego Koła PZKO w Czeskim Cieszynie Sibicy. Prawie co tydzień jej członkowie organizują wycieczki krajoznawcze w bliższe i dalsze okolice. Jak wynika ze sprawozdania Sekcji, na rok 2000 planowano 51 wycieczek (25 w pierwszym półroczu i 26 w drugim).

Na uroczyste rozpoczęcie sezonu – 8 stycznia – odbyła się wycieczka Gnojnik – Godula. Tym radośniejsza i pełna niespodzianek, że razem z „trzema królami", którzy między Ligotką Kameralną i Godulą dołączyli do grupy wycieczkowiczów z Sibicy, oraz z turystami Beskidu Śląskiego, którzy na Goduli też sławili rozpoczęcie sezonu. Po spotkaniu pozostały pamiątkowe zdjęcia.

Podczas następnych czterech wycieczek również zaliczono szczyty górskie: Jabłonków – Baginiec (15.1), Gnojnik – Praszywa (22.1), Mosty – Połom (29.1) i Frydland – Solarka (5.2). Potem było pięć wycieczek tzw. nizinnych. Wędrowano odśnieżonymi drogami pod górami. A 18 marca rozpoczęto już normalne wycieczki. Niektóre z nich warte są szczególnego odnotowania.

20 maja odbyła się wycieczka krajoznawcza do miejscowości Hukwaldy, gdzie znajdują się ruiny jednego z największych grodów na Morawach, jak również stary młyn sprzed 200 lat i browar z roku 1570.

Na Zielone Święta smażyliśmy jajecznicę na „Studzienicznym" pod Girową obok ośrodka wczasowego Huty Trzynieckiej. I tu było bardzo wesoło przy smażeniu i podczas jedzenia, które wszystkim smakowało – czytamy w sprawozdaniu Sekcji.

Bardzo uroczyście zapowiadała się pierwsza wycieczka drugiego półrocza, ponieważ finał jej miał odbyć się na działce jednej z członkiń Sekcji, obchodzącej swój jubileusz życiowy – 80 lat. Jubilatka przygotowała niespodziankę w postaci propozycji godzinnego spaceru do Hrabyni koło Ostrawy. *Nieprzygotowani turystycznie, wszyscy jednak doszli do celu, gdzie zostali za to sowicie ugoszczeni* – zanotowano później w sprawozdaniu.

W sierpniu wyruszyli turyści na zaplanowaną trasę wycieczki Kocobędz – Cierlicko Kościelec – Żwirkowisko. Ze stacji Kocobędz usiłowali wyjść na wzgórze, gdzie znajdowało się cieszyńskie grodzisko, miejsce pierwotnego założenia Cieszyna. Marsz utrudniał ulewny deszcz. Kronikarz zanotował potem w sprawozdaniu: *Dopiero tego dnia nasi turyści poznali na własnej skórze, że i dzisiaj jest tam trudno wyjść na górę przy takiej pogodzie, jaka wtenczas była. Jednak mieliśmy ze sobą powróz, który ułatwił wyjście.* Z powodu niesprzyjającej pogody dokończyli turyści z Sibicy wy-

cieczkę już w Czeskim Cieszynie, gdzie zaznajomili się z historią dawnego Cieszyna i zamku w Kocobędzu.

W wycieczce do źródeł Olzy, zorganizowanej przez MK PZKO Czeski Cieszyn Centrum, wzięło udział wiele osób spoza tego Koła, również członkowie Sekcji Turystycznej z Sibicy. Wszyscy wrócili bardzo zadowoleni, a najbardziej smakowała im woda z tych źródeł.

W październiku przemierzano nie tylko szczyty górskie. Odbyła się też wycieczka krajoznawcza do Sztramberka. Najpierw poszli uczestnicy wycieczki na Białą Górę, gdzie po 137 schodach wyszli na wieżę, skąd roztaczał się wspaniały widok. Zobaczyć można było Hawierzów, Małą Fatrę, Rohacze... *Z Białej Góry* – czytamy w sprawozdaniu – *zeszliśmy na przyległe wzgórze z ruinami grodu z walcowatą wieżą, zwaną Sztramberska Truba. I ta wycieczka była bardzo udana i pożyteczna.*

Warte odnotowania są także dwie grudniowe wycieczki: Pierwsza (15.12) na Kolibiskach połączona została z wigilijką i przekazywaniem sprawiających wiele radości podarunków, druga (30.12) na Kozińcu była zakończeniem sezonu turystycznego.

Trzeba jeszcze dodać, że turyści z Sibicy wyjeżdżali również za granicę. W Polsce byli na Równicy i w Istebnej, zaś na Słowacji na Husaryku koło Czadcy i na Ostrym koło Kysuckiego Nowego Miasta. W wycieczkach w roku 2000 brało udział przeciętnie szesnaście osób.

C.R.



ZEBRANIE RADY KULTURY ZG PZKO

21 lutego odbyło się zebranie Rady Kultury Zarządu Głównego PZKO. Zaproszeni na nie zostali również kierownicy zespołów tanecznych działających pod nagłówkiem ZG PZKO. Prowadził je przewodniczący Rady Kultury Jerzy Czap.

Głównym tematem zebrania stała się sprawa Sekcji Ruchu Tanecznego ZG PZKO. Pod egidą ZG PZKO pracuje kilka zespołów tanecznych. Każdy z nich działa jednak jakby na własną rękę, sam organizuje występy, wyjazdy, sam szuka źródeł finansowania, sponsorów. Zarząd Główny PZKO nie może zespołom narzucać swojej woli, wydawać poleceń, formułować dyrektyw, może natomiast podać pomocną dłoń. Konkretnie chodzi o wykorzystanie możliwości biura ZG w rozwiązywaniu problemów dotyczących wzajemnych kontaktów między zespołami tanecznymi na Zaolziu, niezależnie od tego, czy są to zespoły szkolne, pezetkaowskie lub inne. Chodzi też o pomoc w nawiązywaniu kontaktów poza terenem, o reklamowanie zespołów, które nie mają większej siły przebicia lub ze względu na krótki staż pracy są mniej znane, a osiągnęły taki poziom, że warto je promować.

Uczestnicy zebrania, a wśród nich również kierownicy zespołów Skotnica i Skotniczka – Odonia Charvát, Suszanie – Janina Rzyman, Nowina – Krystyna Mruzek, Oldrzychowice – Marek Grycz, Olza – Urszula Szczepaniak i Rytmika – Kornelia Lasota (w tej chwili zastępuje chorą kierownik Helenę Wojnar), ustalili, że w biurze ZG PZKO powinno znaleźć się miejsce dla człowieka, który będzie fachowcem od spraw tanecznych, osobą, która zna nasze zespoły, ale jednocześnie jest niezależna, nie ma własnego zespołu. Zadaniem tej osoby będzie zebranie informacji i założenie bazy danych o zaolziańskich zespołach tanecznych, o ich programach, planach na najbliższą przyszłość, składzie osobowym oraz warunkach finansowych występów. Jeśli jednak któryś z zespołów nie będzie chciał skorzystać z pomocy biura ZG PZKO, może nie podawać swych danych.

Członkowie Rady Kultury i kierownicy zespołów zgodzili się z wnioskiem, by na instruktora Sekcji Ruchu Tanecznego powołać Kornelię Lasotę, która jest osobą kompetentną i spełnia podane warunki.

C.R.

KLUB SENIORA

Pracowicie spędzili koniec starego i początek nowego roku członkowie Klubu Seniora przy MK PZKO w Wędryni.

28 grudnia odbyła się wigilijka. W programie wystąpił chór Zgoda z dyrygent Ireną Małysz. Koncert polskich kolęd był znakomity, a choinka





świąteczna dodała tej uroczystości uroku. Życzenia noworoczne przekazał prezes MK PZKO Bogusław Raszka. Wspólnie zaśpiewano kolędę „Cicha noc" i łamano się opłatkiem. Wzajemnemu składaniu życzeń nie było końca. W programie nie zabrakło też loterii, była kolacja, ciastka, owoce i kawa.

25 stycznia odbyło się spotkanie Klubu Seniora z okazji Dnia Babci i Dziadka. Przybyli na nie również uczniowie polskiej szkoły, by przekazać pozdrowienia i wyrecytować wiersze przeznaczone dla wszystkich babć i prababć oraz dziadków i pradziadków.

Na zakończenie karnawału pod hasłem „Z muzyką i śpiewem żyje się weselej" zorganizował Klub Seniora Tradycyjne Spotkanie Ostatkowe. Zabawa odbyła się 26 lutego. W programie wystąpił muzyczny zespół kameralny z Trzyńca i para taneczna zespołu tańca Elan. Była loteria z pięknymi nagrodami, do tańca przygrywała miniorkiestra Władka Nowaka, zaś niezawodne panie przygotowały smaczny bufet.

W maju zaplanowali członkowie wędryńskiego Klubu Seniora wycieczkę autokarową do uzdrowiska na Słowacji. Co miesiąc odbywają się też spotkania uzupełnione jakimś wykładem albo związane z konkretną rocznicą.

J.K.

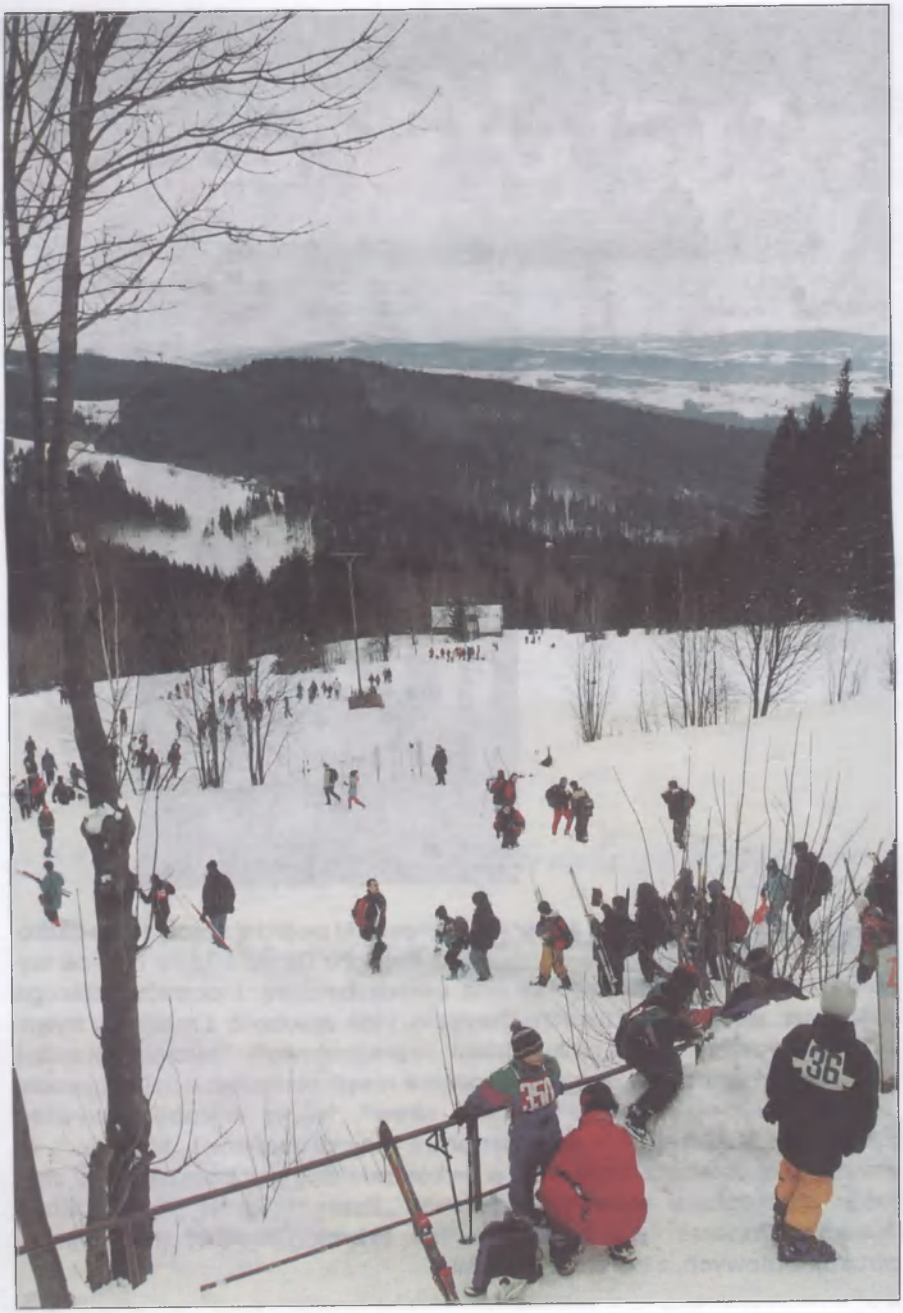




CIELSAT W CIERLICKU

Dyrektorki polskiej szkoły i przedszkola Barbara David i Zofia Włosok wymyśliły niekonwencjonalny bal dla przedszkolaków i uczniów, którego scenariusz opracował Czesław Curzydło, i tak w sobotę 3 marca w byłym Domu Młodzieży w Cierlicku dzieci zaprezentowały Lokalną Telewizję CIELSAT. W ramach jej programu rodzice mogli obejrzeć: odcinek serialu „Szpital na peryferiach", „Caruso show", lekcję aerobiku, wywiad z Adamem Małyszem, western, program dla ogrodników i „Mniam...". To wszystko, ze śpiewem i tańcami, w wykonaniu dzieci w pomysłowych strojach, przeplatane słowem wiążącym „komentatorów" – Asi Bilan, Janeczki Onderek i Tomka Glaca. Nie zabrakło również tradycyjnych atrakcji balowych, z bufetem włącznie.

F.B.


36



ZJAZD GWIAŹDZISTY 2001

Po zmianach terminu spowodowanych brakiem śniegu tradycyjny Zjazd Gwiaździsty, w tym roku jubileuszowy – trzydziesty, odbył się w sobotę 3 marca. I w tym roku miejscem zimowych zawodów narciarskich uczniów polskich szkół z całego Zaolzia w dwu dyscyplinach – slalomie i biegu – były stoki Bagińca. Gospodarzem jednej z największych imprez sportowych naszych szkół, który spisał się wzorowo, była tym razem PSP w Jabłonkowie.

W imprezie wzięło udział 503 zawodników z 23 szkół. Jak zawsze, obok nauczycieli i rodziców, o zaistnienie i pomyślny przebieg Zjazdu zatroszczyli się sponsorzy. Ogrom pracy organizatorów, w większości bezimiennych, jest niewyobrażalny, chociażby transport uczestników na Baginiec, przygotowanie tras, zapewnienie bezpieczeństwa i mnóstwo innych. Pomocą służyła również Macierz Szkolna, udostępniając chatę na Bagińcu, gdzie zorganizowano bufet.

Na stoku wśród dorosłych kibiców nie zabrakło i maluchów, którzy towarzyszyli swym starszym braciom i siostrom. Trzeba też wspomnieć o opiece, którą zorganizowano dla najmłodszych uczestników, czekających na oficjalne zakończenie Zjazdu. Grom i zabawom towarzyszył Marsjanik – zielony Ufoludek rodem z Walmarku (jednego ze sponsorów), który pełnił rolę maskotki zawodów.

Zjazd Gwiaździsty to masowa akcja, która obok sportowej spełnia także rolę towarzyską – zacieśnia kontakty naszego społeczeństwa, tych najmłodszych i najstarszych. Spotykają się tu bowiem co roku również byli uczestnicy zawodów, rodzice młodych sportowców a nawet ich dziadkowie.

F.B.



TRZYDZIESTY ZJAZD GWIAŹDZISTY ✶ ✸ ✶









✶ ✸ ✶ TRZYDZIESTY ZJAZD GWIAŹDZISTY



„PIECZYNI CHLEBA" i „ŁUSKANI FAZOLI"

Pomimo deszczowej pogody w dużej sali gospody Pod dzwonkiem w Żukowie Dolnym zebrała się w niedzielę 4 marca ponad setka osób. Zebrali się tu z szerokich okolic rozległego Żukowa starsi i młodsi, wśród których zwracało uwagę wiele małżeństw z małymi dziećmi. Wszyscy przyszli obejrzeć widowisko przygotowane przez zespół Żukowianka, działający przy MK PZKO w Żukowie Dolnym, oraz dzieci z Żukowa i sąsiadującej z nim Sibicy, uczęszczające do sibickiej szkoły. Autorką widowisk jest Anna Wacławik, która była kierowniczką powszechnie znanego zespołu Sibica. Całość wyreżyserowały panie Helena Gaura i Halina Wojnar.

W zaprezentowanym publiczności widowisku pieczołowicie odtworzono stare zwyczaje ludowe. Przypowieści, piosenki i tańce pełne były humoru. Zarówno scenariusz, jak i realizacja zasługują na najwyższą ocenę. Autorki widowiska ze znawstwem podeszły do tematu, a aktorzy - amatorzy, niezależnie od wieku, pomysłami i swobodą zachowania się na scenie zauroczyli publiczność. I tak dzięki Żukowiance na moment przenieśliśmy się w dawne czasy do wiejskiej chałupy, niejeden z widzów wrócił pamięcią do lat swej młodości. Podczas pierwszej części widowiska wszyscy, razem z wykonawcami, zarabiali ciasto i piekli domowy chleb. Ten, potem, dzięki paniom z Klubu Kobiet, można było w przerwie skosztować. Po przerwie łuskano fasolę. Gdy tylko odsłoniła się kurtyna, wszystkich zauroczyły maleńkie dzieci, ubrane jak za dawnych lat, baraszkujące, bez jakiejkolwiek oznaki tremy, „po izbie" w oczekiwaniu na „ciotki" schodzące się na „łuskani fazoli". Duże brawa, jakie zagrzmiały na widowni były szczere, i zasłużone. Mimo że przedstawienie dobiegło końca, nikt nie kwapił się z pójściem do domu. Widzowie pozostali na sali, by pogwarzyć po sąsiedzku.

Małe Koło PZKO w Żukowie Dolnym pracuje w bardzo skromnych warunkach. Niestety nie ma tu już polskiej szkoły, co bezspornie rzutuje na działalność społeczną na polu oświaty i kultury. Jednak dzięki wieloletniej ofiarności mieszkających tu pezetkaowców, w tym wymienionych na wstępie pań, Żuków można stawiać za wzór, co opisywane tu niedzielne popołudnie w pełni potwierdziło.

Naprawdę warto namówić działaczy innych Kół, żeby zaprosili Żukowiankę do zaprezentowania „Pieczynio chleba" i „Łuskanio fazoli" i poza swym terenem. Wierzę, że wykonawcy z Żukowa chętnie się zgodzą, chociażby tylko dlatego, że naprawdę szkoda tak duży wkład pracy, z bezspornie dobrym wynikiem, zaprezentować tylko raz.

F.B.



BAL OSTATKOWY W GRÓDKU

Zgodnie z długoletnią tradycją w ostatnią sobotę karnawału odbywa się w Gródku słynny w szerokiej okolicy Bal Ostatkowy. 24 lutego w sali miejscowego Domu PZKO (wbrew pesymistycznym prognozom notorycznych czarnowidzów) gości zeszło się stosunkowo dużo. Była nawet jedna para w stroju ludowym.

Bal uroczyście zagaił prezes Miejscowego Koła PZKO w Gródku Karol Pilch. Szybko zapełnił się parkiet taneczny, kiedy stało się jasne, że i tym razem miały gródeckie Ostatki szczęście do dobrej muzyki. Grał (po raz pierwszy u nas) p. Paszek z Trzyńca. Z muzyki, w której naturalnie nie zabrakło melodii polskich i śląskich, mógł każdy wybrać coś dla siebie i wytańczyć się do woli. A w przerwach mieli balowicze jeszcze ochotę na wspólne śpiewanie.

Ale nie tylko tańcami i śpiewem balowicz żyje. Czeka przecież także na balowe atrakcje. Tych w Gródku nie zabrakło. Szczególnie popularna jest loteria z pomysłowymi nagrodami (w dużej mierze ofiarowanymi przez samych balowiczów, nie tylko przez sponsorów), powodzeniem cieszy się też konkursowy taniec z pomarańczami o najzręczniejszą parę. Wprost rozchwytywane były na tegorocznych Ostatkach nietypowe kotyliony–pierniczki dla panów i kwiaty dla dam. Dzięki ofiarnym kucharkom (z Z. Grocholową na czele), które przygotowały pyszną kolację i bogaty bufet (nie brakło oczywiście niezbędnego pączka ostatkowego), nikt z uczestników balu nie był ani głodny, ani spragniony.

Dopisywały apetyty i humory. Zabawa i atmosfera – jak to już na naszych Ostatkach bywa – znakomite, a balowicze zadowoleni. Nad ranem dopiero zakończyły się kolejne udane gródeckie Ostatki. Ostatki, na które ludzie lubią przychodzić i wracać, bo wiedzą, że tu w Gródku mogą się dobrze zabawić. I to bez zbytniego nadwyrężenia kieszeni (co nie zawsze bywa regułą).

Na tym balu była i Czytelnikom go opisała

LIDIA KLUZ

ZA ROK ZNÓW ZAGRA

Są Koła PZKO, które urządzają „śledziówki" oraz ostatki, ale chyba tylko jedno, stonawskie, co roku kończy sezon karnawałowy w Stonawie w ostatki hucznym, tradycyjnym pochowaniem basa (albo basy – zdania na temat tego, jak obrzęd ten należy nazywać, są podzielone). Zwyczaj ten, znany szerzej na ziemiach czeskich, zadomowił się w Stonawie i od lat stanowi atrakcję, która przyciąga rzesze balowiczów z szerokiej okolicy. Dawniej pochówek basa był domeną panów z chóru Siła, którym towa-

rzyszyły w roli płaczek chórzystki z Halki, jednak od kilku lat „pochówkiem" zajęła się młodsza generacja, by w roku bieżącym przekazać sztafetę utalentowanej nastoletniej młodzieży. Ta zmieniła trochę teksty napisane kiedyś przez Tadeusza Chrząszcza, zamiast księdza był kapłan jakiejś religii wschodniej, ale całość wypadła jak zawsze, czyli bezbłędnie.

Stonawskie ostatki są największą imprezą stonawskiego MK PZKO, a zysk z nich pozwala dofinansować inną, niedochodową działalność Koła. Ponieważ, pomimo kryzysu finansowego, ostatkowa sala stale jest pełna, wydaje się, że organizatorom udało się znaleźć receptę na imprezę, która będzie się podobała uczestnikom bez względu na narodowość, a przy tej okazji zawsze zaprezentować im można w odpowiedni sposób trochę naszej pięknej zaolziańskiej kultury, przedstawić zespoły pezetkaowskie (w tym roku wystąpiły znakomite Oldrzychowice) i pobawić się w znakomitej atmosferze.

Tak więc stonawski bas (prawdę mówiąc pochodzący z czeskocieszyńskiej szkoły muzycznej) przez rok odpoczywać będzie, aby za rok znów zabrzmieć na balach nie tylko w Stonawie!

(mus)



Fot. BOHDAN PRYMUS

PLASTYCY BILANSOWALI

DZIAŁALNOŚĆ SAP W ROKU 2000

Pierwsze w tym roku zebranie członkowskie Stowarzyszenia Artystów Plastyków przy ZG PZKO odbyło się w styczniu w salce ZG PZKO. Obecnych powitał prezes SAP Oskar Pawlas. Zebranie zaszczycili swoją obecnością prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa oraz gość z Bazylei Jan Pyszko. Głównymi punktami programu zebrania była ocena działalności oraz wytyczenie planu pracy na rok 2001.

W roku 2000 odbyły się dwa zebrania członkowskie i piętnaście spotkań zarządu. Głównym tematem spotkań były sprawy organizacyjne i przygotowania do pleneru malarskiego u nas.

W zaprzyjaźnionych z plastykami zaolziańskimi środowiskach twórczych w Polsce organizowane są międzynarodowe plenery malarskie, na które zapraszani są także artyści z Zaolzia. Z zaproszeń do udziału w plenerach malarskich w Toruniu, Koźlu i Mosznej skorzystali następujący członkowie SAP: M. Milerska, J. Drong, O. Pawlas, P. Wałach, W. Ćmiel. W panującej podczas plenerów atmosferze przyjaźni, wzajemnego zrozumienia i życzliwości powstaje zawsze wiele wartościowych prac będących wyrazem najbardziej subtelnych przeżyć duchowych. Każdy uczestnik przedstawia potem swoje prace na wystawie poplenerowej. Obrazy, które powstały na plenerze malarskim w Mosznie (O. Pawlas, P. Wałach), były później wystawione w Łazienkach Królewskich w galerii w Starej Kordegardzie w Warszawie.

U nas Międzynarodowy Plener Malarski organizowany jest co dwa lata. Zapraszani są w rewanżu artyści z tych środowisk twórczych, które poznali nasi plastycy. Plenery odbywają się w miejscowościach podgórskich, atrakcyjnych dla artystów. W roku 2000 po raz trzeci od roku 1996 zorganizowano plener malarski w Łomnej Górnej w pensjonacie „U Studánky". Wzięli w nim udział plastycy z Polski z Katowic, Tychów, Chorzowa, Inowrocławia, Opola, Raciborza, Rybnika i nasi członkowie SAP: O. Pawlas – komisarz, P. Wałach, J. Rusnok oraz E. Baran, J. Drong. Każdy uczestnik pleneru wpłacił ustaloną kwotę i oddał jeden namalowany tam obraz.

Niełatwo zorganizować plener. Najtrudniej zdobyć fundusze na ten cel. Znaleźli się jednak w naszym środowisku wśród przyjaźnie do plastyków nastawionych przedsiębiorców sponsorzy. Każdy ofiarodawca, który wpłacił umówioną kwotę, otrzymał wybrany przez siebie na wystawie poplenerowej obraz.

Członkowie SAP z zadowoleniem przyjęli propozycję konsula generalnego RP w Ostrawie Marka Masiulanisa, by kontynuować pokaz swych prac w lokalach Konsulatu Generalnego. W roku 2000 wysta-

wiali tam swe prace: E. Baran, R. Taszek, P. Wałach, M. Milerska, W. Ćmiel, J. Drong. Oprócz tego wymienieni plastycy mieli swe wystawy w innych miejscowościach. Odbyły się również wystawy indywidualne E. Kaima, D. Krygiel, Z. Kubeczki, O. Pawlasa, J. Rusnoka, W. Taszka, T. Wratnego. Członkowie SAP uczestniczyli w wystawie zbiorowej Salon Karwiński i Salon Hawierzowski. Działalność plastyków obejmowała też ilustrowanie pism zaolziańskich (Jutrzenka, Ogniwo, Głos Ludu, Zwrot i inne).

Z okazji Festiwalu PZKO w Trzyńcu zorganizowano tam zbiorową wystawę prac plastyków SAP. W wystawie uczestniczyli następujący członkowie: Tadeusz Wratny, Paweł Wałach, Romana Taszek, Walter Taszek, Halina Szkopek, Oskar Pawlas, Monika Milerska, Zbyszek Kubeczka, Darina Krygiel, Józef Drong, Władysław Ćmiel, Edgar Baran. Wystawa cieszyła się powodzeniem i zwiedziło ją ponad 420 gości.

Za zaangażowanie w pracy społecznej, utrzymywanie od wielu lat kontaktów ze środowiskami twórczymi w Polsce oraz godne prowadzenie i reprezentowanie Stowarzyszenia Artystów Plastyków przyznana została prezesowi O. Pawlasowi nagroda konsula generalnego RP Marka Masiulanisa – Srebrne Spinki. Działalność prezesa docenił również Wydział Kultury miasta Hawierzowa i przyznał odznaczenie „Osobistość Kultury Miasta Hawierzowa w Roku 1999" (autor sgraffitów na budynkach w mieście). Odznaczenie przyznano za całokształt pracy twórczej.

W roku 2001 będą nadal kontynuowane wystawy w Konsulacie Generalnym. Planowane są wystawy zbiorowe w teatrze w Czeskim Cieszynie i w ratuszu w Jabłonkowie oraz trzy wystawy w Polsce w miejscowościach przygranicznych. Miałyby się też odbyć dwa seminaria połączone z malowaniem w plenerze przez dwa lub trzy dni. Takie są projekty Stowarzyszenia, można je jeszcze poszerzyć lub zmienić.

Podczas zebrania omówiono również skład zarządu na następną kadencję. W jego skład weszli: Oskar Pawlas, Zbigniew Kubeczka, Monika Milerska, Halina Szkopek, Paweł Wałach, prezesem pozostał Oskar Pawlas. Sekretarzem SAP jest Lidia Pawlas, zaś Erna Wratna zajmuje się sprawami gospodarczo-finansowymi.

Stowarzyszenie Artystów Plastyków, liczące obecnie 21 zarejestrowanych plastyków, chętnie przyjęłoby nowych członków. Zwracamy się do absolwentów oraz studentów sztuk plastycznych, chętnych poszerzyć SAP-owskie szeregi, o nawiązanie kontaktów za pośrednictwem biura ZG PZKO w Czeskim Cieszynie lub prezesa Oskara Pawlasa w Hawierzowie Suchej.

LIDIA PAWLAS



obrazy WŁADYSŁAWA ĆMIELA



Fotografie w kronice na str. 35, 37, 38, 39, 40, 41, 43, 49 – FRANCISZEK BAŁON

WYSTAWA WŁADYSŁAWA ĆMIELA

W marcu w Galerii Zdrowego Miasta w foyer Uniwersytetu Śląskiego w Karwinie miała miejsce kolejna wystawa twórczości artysty zrzeszonego w Stowarzyszeniu Artystów Plastyków działającym przy ZG PZKO. Swoje obrazy, wśród których przeważały prace wykonane techniką olejną, wystawiał Władysław Ćmiel, urodzony w 1939 roku w Sowińcu.

W katalogu wystawy Karol Šer tak zaprezentował Władysława Ćmiela: *(...) plastyk nie tylko z tytułem studiów specjalistycznych, lecz przede wszystkim z radości. (...) Jego twórczość malarska wychodzi z romantycznego oczarowania nie tylko przyrodą we wszelkich jej postaciach, lecz przede wszystkim przyrodą, która jest dotknięta piętnem historii. (...) Jego działalność doprowadziła aż do założenia prywatnej Galerii Magal, w której miał możliwość niekomercyjnie, toteż tym bardziej w sposób głęboko ludzki, przeżywać losy obrazów i ich twórców. (...) Działalność restauratorska doprowadza W. Ćmiela do zainteresowania się adiustacją dzieła. Jest prawdą, iż awers i rewers obrazu, ale i jego rama określają nieraz osobowość autora bardziej, niż może nam się wydawać...*

Wystawie towarzyszyła prezentacja porcelany z Ćmielowa w Polsce. Warto jeszcze odnotować, że na wernisażu zjawiło się ponad 500 osób, a w połowie marca do księgi zwiedzających było ich wpisanych ponad 800. Wystawa zaistniała dzięki pomocy Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie.

F.B.



Rys. OSKAR PAWLAS

WŁADYSŁAW SIKORA

O CHODURCE Z RZEKI

Wójtowi Wewiórce doniesiono, co i jak. To że nauczyciel Wyka biadoli w kółko i biadoli: „Była sztuka płótna i nie ma jej... sztuki płótna...“ Wewiórka nadal nie wiedział, co teraz będzie, lecz naprawdę się wkurzył, na dobre się zeźlił. Jednakże... Chodurka? Żeby Hanka Chodurka zza snózki... Twierdzą, że Chodurka, Chodurka zaś, okazuje się, to wcale szykowna, miła i robotna kobieta! O co tu zatem idzie? Jedno z drugim jakoś nie pasuje do siebie.

Były ponoć sztuki płótna, co się bieliły nad Rzeką; trzy sztuki były, i oto jednej z nich nie ma, nie doszukasz się. Hanka czy nie Hanka? Mówią, że Hanka, bo z przeciwka. Nie chce mu się wierzyć, ale tak się wpieklił, że aż go ponosi: oto nareszcie mają swoją wieś, już nie Śmiłowską Rzekę, ale własną, prawdziwą Rzekę. Jego zaś, Wewiórkę, ustanowiono nad nią wójtem ku wspólnej chwale i zacnemu pożytkowi. A oto wstyd taki i zostudzenie okropne; jak mu teraz jechać przez Śmiłowice - ku Trzycieżowi i Nieborom, ku Cieszynowi... Raźno trza rzecz załatwić i zbyte! Cała dolina tylko na to czeka, aby ich palcami wytykać. Nie, nie, na to on, Wewiórka, pozwolić nie pozwoli. Zawołać mu Hankę Chodurkę!!

Wdowa szła spokojna, rzucając swoimi głębokimi oczami na strony i wycierając dłonie w fartuch. Tego jeszcze nie było, aby jemu, Wewiórce, baba asystowała. Fojtowi oraz rajcom jego, pomocnikom... Krucy figiel! - na co tu zwyczajna wdowa zda się urzędowi?

***

Najpierw była Rzeka Śmiłowska, potem nastała sama Rzeka. Pisał się rok 1644, kiedy to ośmiu śmiłowickich chałupników nabyło od cieszyńskiej księżny Elżbiety Lukrecji puste grunty nad potokiem Suchym, nad rzeczką Czarną wreszcie oraz nad Rzeką

Śmiłowską. Byli wśród nich: Andrys Zientek-Gorzałka, Paweł Chodura, Szczepan Wewiórka i było kilku innych. Starali się, w nadziei poprawy swego położenia, odgrodzić od Śmiłowic oraz od Trzycieża, mocniej przymknąć do stoków Ropiczki oraz Bystrego z Lipowym Wierchem, uczepić się owej umykającej wśród nawisłych pod łączkami i porastających łoziną brzeżków swarliwej rzeczki, Rzeki. Skupił ich zaś i zapalił właśnie on, Wewiórka, tak że w uznaniu jego zasług wybrano go na rzeckiego fojta. Miał też to Szczepan za coś, z zapałem przecież i poświęceniem pilnował Rzeki, natenczas już wspólnej ich dumy i troski. Wszystko co trza, spisano w kancelarii książęcej na cieszyńskim zamku i odtąd wydawało się wszystkim w Rzece oraz w życzliwej okolicy, że najwcześniej zjawia się słońce i najpóźniej odchodzi za grzbietowiska beskidzkich szczytów w Rzece właśnie. Tak mogło być i było w istocie, gdyby nie gorące i przenikliwe oczy nad gładkimi licami Hanczynymi, oczy młodej wdowy po Pawle Chodurze, który nie podołał puszczy spod Ropiczki i oddał jej z życiem swe niespożyte ongi siły.

* * *

– Tu se stóńcie na postrzodku, Chodurko, i oto wobec prawa i krzyża powiedzcie, żeście ukradła! – powiedział Wewiórka.

Chodurka wstrzymała wycieranie swoich rąk, strzepnęła fartuch i szła tymi oczami swoimi po twarzach obecnych. Ludzie to zdawali się patrzeć na wójta, to usidlać ją wzrokiem.

– Ukradła...? Jako co... ukradła...? Coch takigo miała ukraść...?

– Sztukę płótna nauczycielowi Wyce! Przyznejcie sie, Chodurko! Bo całą wieś wezną na języki! – złościł się Szczepan Wewiórka.

* * *

Hanka była za swobody Gorewoda, ale nie mogła za to. Woda nie gore, ni, woda gasi! – osłaniano się przed podobną myślową herezją. Potem się okazywało, że słowom nigdy nie należy zaufać do końca. W chłopskim przypadku! – bo baby pozostawały innego zdania. To zaś Rzekę rozdzieliło na dwoje, na przeciwne sobie połowy: płynęły te połowy rozdzielnie, dwie żywe a gorące, dotkliwe strugi naprzeciwko sobie. Gore woda czy nie gore? Pierwszy poszedł sprawdzić Paweł Chodura.

Po ślubie z Gorewodzianki zrobiła się Chodurowa, Chodurka. To już

mniej niepokoiło. Bo cóżby to innego mogło znaczyć? Czy Chodura to człowiek, co rad chodzi, chodura? chodak? chodziwy? włóczęga? Względnie też Hodura, co hoduje lub goduje? Lub też ów chodur, co drzwi obraca? Obracać, oj, należało się zawsze! I kręcić raźno! Albo znacie, kochani, jakiś czas świąteczny pośród tygodnia? Czas bez starości?

* * *

Wyszła wtenczas Hanka Chodurka w zmierzch na podwórko. Krowa się położyła, owce też rómiegały... Z góry zaś, od Ropiczki, Bystrego i Lipowego Wierchu, wraz z zapadaniem zmroku schodził chłodek, ciepły chłodek z młodości; spiekota wyciekła ku Śmiłowicom. Hanka z ulgą uwolniła rympołek u studni i zawzięcie kręcąc, wyciągnęła skądś z dołu chybot żywej wody w putni. Zanurzyła ręce po samo dno i myła twarz, schlupała swe opalone ramiona, owłosienie pod pachami, uwolniła ciążące piersi, rozkraczona sięgnęła w podołek. Woda, jak cień i wiatr w połyskach, była jednocześnie oddechem i pogłaskaniem.

Wtem zaszurgały buty lub kierpce, nie wie, ktoś wziął ją od tyłu w ramiona, szeroko ucapił za piersi. Rzuciła ramieniem, aby się odwrócić, zetknąć z czyimiś oczami i albo bronić się, drapać i wierzgać lub też wczepić się, przywrzeć... Głowa odskoczyła, zobaczyła zawzięte wargi Wykowe.

- Panie rechtór, boją się Boga na niebie!...

Zza potoku, zza Rzeki dobiegło ich wołanie:

- Geooorg!

To Wykowej, Wyczki wyjącej jazgot.

- Geooorg, Geooorg!... Że ona go, że on ją... - intensywne sapanie sadła. - Suka!...

- Słyszą, panie rechtór - odtrąciła go Chodurka. - A tej waszej roz sie przyznejcie... nie zwolejcie swoich chętek na mnie... Już was ni ma! - płasko tupnęła stopą i ogarnęła się szczelniej koszulą.

* * *

- Mówię wam, Chodurko, bedymy was deptać w tej beczce, jak nie przymierzając kapustę na jesieni. I solić, i...

Mówi, szarpie się, mówi. Hanka siedzi skrępowana w beczce, wsadzono ją i upchnięto jak sztukę mięsa w garnek, związano popręgami do

spuszczania trumien... Zesztywnienie, bolący bezruch, którego już nie sposób rozprostować ani zmienić...

- Chodurko, że wyście to wziyna. Mówili, nauczyciel mówił, że Chodurka... Jeny Chodurka, nigdo inszy!

Liczyła chwile i mgnienia oczu pomiędzy chwilami, nie widziała już ani wójta Wewiórki, ani ciekawskiej gawiedzi, zwłaszcza odkąd słońce nie nasunęło jej na twarz swych gorących, pałających dłoni. Umykała oczami w bok za latającymi pod powiekami kolorowymi cętkami, plamami i rozlazłymi, bitymi w rondelek jajami; zieleń i czerwień, i żółte smugi, mokre od potu i gorzkie od soli jarzenia...

- Chodurko, choćbyście siedziała do wieczora, do rana siedziała i zaś do wieczora... Kaj je płótno? Sprzedane?... Kómu?

Czekała-cierpiała bardzo długo, zanim znów nie doszła do siebie i znowu nie mogła patrzeć na plac przed siebie. Ludzi nie pamięta, było ich coraz więcej. Wiedziała, że nie jest w stanie nic począć, choćby Wewiórka i pozwolił jej wydostać się z owej beczki, niechby i wydostał ją na świat kopniakiem, nie zdołałaby się rozprostować, trzeba by pewnie wyć i w ten sposób pozwolić krwi krążyć na nowo, pozostawać przez długi czas płasko na ziemi, potem dopiero wstać i odejść do domu, statku doglądnąć. Chciała... Chcieć...

Teraz już wie z całą pewnością: jedna sztuka z trzech - a ona jedna... Wykowa pewnie potrafi zliczyć do trzech... Georg i ona, to sztuki dwie, trzecia znalazła się tedy u niej, u Chodurki... Wdowia sztuka płótna, której by najpewniej szukać u samej Wyczki. W jej kurniku, u gęsi albo i w chlewiku nad prosięciem...

Miłość też ma swe odrębne pory, raz pali, raz studzi. Sama gorewoda. Tak jak góra - to się wznosi, to opada; góra po sałasz na Przysłopiu, potem z sałasza w dół. Tak jak woda żywa garnąca się od Bystrego z Lipowym, zraszająca, spływająca... Woda, wracając, nie zawraca. Miłość jest pierwsza, po miłości przychodzi nam nienawidzić.

* * *

- Gdóż ci pomagał? Mów! Z kim brałaś płótno, z kim?

Najpierw jeszcze była w stanie rozróżnić dwa albo kilka doznań naraz: powróz wrzynający się w ciało, stężałe mięśnie z połyskami pod powiekami zlewanymi potem, następnie wszystko to skupiło się w jedno udręczenie, któremu nie ma końca.

Po czasie, który spędzała gdzieś indziej i straszliwie sama, opuszczona, znowu posłyszała odległe głosy i uświadomiła sobie, że powraca: to słońce schodziło w bok i błyskało teraz jednostajnie, bez podmuchów żaru i przeszywania twarzy wskroś na wskroś.

Wewiórka też zauważył, że zelżało, i kopnął w beczkę, to potoczyła się o kilka kroków. Wdowa zawyła, dziwiąc się sobie, skąd w niej jeszcze tyle znalazło się świeżego czucia?

- Pić... - szeptała bez głosu.

- Ha, wody byś chciała... A płótno gdzie? Gdo kradł, z kim kradłaś płótno? No z kim?

- Pić! - długo już nie znajdowała odrobinki śliny na języku.

Czyjeś dziecko szło z kufelkiem wilgoci, Wewiórka trącił jego rękę, woda się rozlała i ledwie parę kropel spadło jej na oczy; przez tę szparkę postanawiała wydostać się z powrotem na świat.

- Rozwiąż, nie zostawiaj... - zdawało mu się, że w jej prośbie poczuł jadowity kolec, choć w jego dłoniach nadal pozostawały także silne ramiona Hanczyne sprzed czasu, spod brogu, drapieżne i chciwe, zanim zelżały.

Wewiórka sam teraz nie wiedział: Szedł z rozpędu za swoim przekonaniem, iż wszystko, co mu należne, oto go mija. Drażniło go i rozsadzało od środka. Głupia sztuka płótna! - ale tu o więcej idzie, o to, że on, Wewiórka, i o to, że Rzeka, że - było, nie było: gore woda!!

* * *

To było wczoraj, przedwczoraj, przed miesiącem albo i rokiem, nie pamięta: osuwała się w sobie jak snozy spod Bystrego, z wnętrza jego puszczy i buczyny, wiatr nią miotał, więc szybowała, chwytała dłońmi ostrą trawę z zaroślami, cała dolina ze swymi łanami i skosami sunęła za nią jak derka z cisawej kobyły... potem opadła na wznak pod wysokim ciężarem powietrza wiejącego na wybojach...

- ...kto ci... kto z tobą kradł...? - woła Szczepan zza przełęczy.

- ...kto kradł... co kradł... samiśmy... wspólnie... ty, nikt inny, ty jedynie... tam przy świecy, pod krzyżem, przed Bogiem!... Ty, nikt inszy, jedyny! Z tobą będę i w tobie, jak za wszystkich czasów naszych...

Poczuła, że Wewiórka zwalnia zwarcie swych paluchów uchwyconych jej ramienia i odstępuje, odchodzi, spada strącony...

Patrzano na niego w osłupieniu; prawdziwie staczał się ze stoku przy-

walony napastliwymi spojrzeniami, zdumionymi sobą słowami wyznania... Staniesz z nią, z Chodurką, na stosie drewna! Wiedz, wójcie, co jest miłością, wdową z pragnień gorących złożoną, ożywioną uściskami, przydybaną nad potokiem i niesioną na kępę, gdzie krew nigdy nie śpi...

Opętany nocą studzienną wie, że nie pomagał ani nie uczestniczył w kradzieży... Ale kiedy byli z sobą i wszystkie gwiazdy pętały się i wałały w trawie dokoła, czy naprawdę nie pomagał? Cóż to takiego tkwi w środku, na samym dole, przywalone dniami po kolei, robotą, rozpryskami namiętności i porywania się ku własnej, świętej prawdzie w piersi...

* * *

Zanim jeszcze zjechali zaalarmowani panowie z Cieszyna, nikt pewnie nie posłyszał w ciemności Wyków zza potoku:

- Geooorg, gdzieżeś... to płótno tam przenieś, na kępkę, gdzie więcej słońca... no, nad łączkę pod lasem...

- Głupiaś jak gęś! - ulżył sobie nauczyciel. - Leć! Zwiń to płótno, bo teraz to ty pójdziesz na stos, razem z Chodurką...

Potem więc zjechali zaalarmowani panowie z Cieszyna i nie było stosu dla zawziętej czarownicy Hanki Chodurki. Po dwóch miesiącach aresztu Wewiórkę złożono z urzędu. Wstawiali się za nim jego zwolennicy, skoro nie działał ze złej woli ani z chęci zysku, a z szczególnej gorliwości i dla dobra gminy Rzeki, jednak argumenty takowe nie przekonały władz i zarządzenie zostało utrzymane.

* * *

Jeszcze raz nauczyciel Wyka przemykał się pod oknami wdowy Chodurki, nasłuchiwał.

- Hanko, spowiadam się tobie... Miłość miewa głębokie korzenie, tak że nie sposób ich wyrwać - bez serca czy bez duszy samej. Ty jedna mi pozostajesz, pozostałaś pod powierzchnią dnia i nocy, na brzegach rzeki nieskończonej.

Odsunęła jego ręce:

- Nie, z tych dłoni, widzisz, już jadłam.

(Na podstawie historycznej relacji Franciszka Popiołka.)

TOMASZ ZWYRTEK





TOMASZ ZWYRTEK zainteresował się fotografią już w latach szkolnych. To dziadek pokazał mu stary aparat i pracę w ciemni. W szkole średniej zajmował się fotografią amatorską, to właśnie w gimnazjum w Czeskim Cieszynie postanowił studiować fotografię artystyczną w konserwatorium w Ostrawie. W trakcie tych studiów zdobywał doświadczenie w atelier fotograficznym w Trzyńcu. Obecnie kontynuuje studia w Instytucie Fotografii Twórczej na Uniwersytecie w Opawie. Ostatnio zajmuje się fotografią inscenizowaną i coraz bardziej fascynuje go portret.



KAROLINKA. PAMIĘTNIK PISANY OCZAMI.

Jestem spadkobiercą szczęścia. Nie miałem wyboru; pozwolono mi żyć. Nie prosiłem, nie błagałem, nie upadłem na kolana. Wszechświat stuknął mnie w czoło. Ogrom atomów zasypał mnie ciekawością, która swym zasięgiem pogrzebała mą wiedzę w umiejętności nabytej. Małostkowość w posiadaniu super ego umieszczono w cielesnej skrytce. Splot mimowolnych odruchów zagubił się na spacerach. Brak tematu prowokuje do podejmowania decyzji, jakie w swej impertynencji przypominają wilgoć w kuchennym narożniku. Wartością jest nieodparta pokusa życia. Udoskonalony zasięg naszych rąk otwiera podwoje na oferty, płynące z głębi ludzkiej dobrej woli. Pompka, mimo naszej woli, wpycha powietrze do płuc. Mechanizm działania - jakże wspaniałej maszyny - gwarantuje nam (ograniczony) zapas dostępu do otaczającej nas rzeczywistości. Czas i przestrzeń rozkochały się w sobie. Płomień ich miłości trwa. Omega zdarzeń bez kropki na końcu zdania. Tylko nasze zmysły łapczywie pochłaniają całość. Ich brak jest gwarantem śmierci.

Podczas kolacji przy świecach jubilat nie może zdmuchnąć świeczki. Dobroczyńca podnosi wiotkie ciało niczym papierową lalkę. Ręce opadły wzdłuż ciała. Głowa swobodnie oparła się o tułów swej opiekunki. Nogami nie dotyka podłogi. Prześliczne buciki na jej stopach nie mają zdartej podeszwy, a na kolanach nie widać dziur i śladów dziecinnych zabaw w piaskownicy. Widok zaciska mi gardło. Mowa odjęła sobie wszelkie prawa bytu. Zalałem się łzami. Ryczę jak dziecko, któremu zabrano zabawkę. Wiek pełen rozkoszy przerodził się w ciąg koszmarnego snu. Nikt - nawet przez chwilę - nie wątpi w wieczne cierpienie malucha. Los pomiata dziewczynką niczym wichura połamanymi gałęźmi leśnych drzew. Jesteśmy zazdrośni o własne życie. Pragnąc podzielić się cudami natury, nawet nie podejrzewamy, że strach przed samotnością może być tak straszny.

A jednak. Oczy, które rankiem otwierają się na świat, pochłaniają każdy kształt, kolor, mnogość, jedność, wielkość. Z pasją przyglądają się drzewom, ludziom, życiu. Te ruchliwe oczęta widziały już wiosnę, cud na-

rodzin, objawienie bujności przerodziło się w szczęśliwość. Kwiecisty dywan kolaboruje z trawnikiem. Zielone łodygi z białymi dzwoneczkami zwiastują koniec zimy. Gdzieniegdzie resztki śniegu przypominają o mrozach, o drzewach szarganych namiętnością śmierci. Teraz liście pobłażliwie kołyszą się na wietrze, który delikatnie łaskocze dziewczynkę w policzki. Zarumieniona twarz jest oznaką zdrowia - dziękuję Ci za to, że mogę poczuć smak wiatru na twarzy, że mogę obejrzeć to, co widzisz na co dzień; że mogę, wraz z pięknością wiosny, świętować jej przybycie... Dusza odezwała się ludzkim głosem. Echo ciszy poniosło domniemany krzyk szczęścia.

Karolinka widziała już lato. Obfitość kształtów i zapach sytości. Powietrze było wtedy takie ciepłe i miłe w dotyku. Oczy pobiegły za instynktem. Przekątna łąki wydawała się zbyt krótka. Ciało domaga się ogromnej porcji zmęczenia. Chciałoby położyć się wśród kwiatów i być jednym z nich. Kołysać się na wietrze i zachwycać się własnym powabem, żółtą kropką na środku twarzy, białymi płatkami, które niczym dłonie matki pieściłyby głowę swego dziecka... dziękuję ci za każdy ruch i wysiłek twych mięśni, bowiem moja radość czuje to samo co ty. Symbioza dwóch ciał nie marzy o górze złota. Pragnienie czasu, wyrozumiałości i cierpliwości zdominowało całkowicie każdą chwilę spędzoną na globie swych przodków.

Te oczy dostrzegły tajemnicę jesieni. Zdziwienie na twarzy współczuło światu, który umiera. Korony drzew wyłysiały niczym głowa człowieka zaatakowana rakiem. Ponuro tu, na ziemi. Jednak dziękuję ci za to, że poznałam przygnębienie wywołane śmiercią. Wiem, że ono przemija tak samo, jak ludzkie nieszczęścia. Nie płacz mamo. Moja materia jest ciepłem twego serca. Uwielbiam, gdy podnosisz moje nogi w nadziei, że one zaczną chodzić.

Źrenice żądne nowych wrażeń dotknęły nieba. Widok piękniejszy nad życie. Jakże trudno zdecydować się na sen. Szkoda każdej chwili spędzonej w ciemnościach. Niekończąca się otchłań nicości. Ciemno tu i zimno, lecz nie lękam się. Nauczyło mnie życie, że trzeba trwać w nadziei. Trzeba kochać wszystkich i wszystko, o co potknie się moja świadomość. Ludzie są istotami, które swą dobrocią obdarowują innych. Jestem przekonana, że nie może być inaczej, gdyż niebotyczne domy, meble, samochody, mój wózek jest dla nas, dla ludzi.

Minuta po minucie, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu. Jeszcze jestem. Swą obecnością pragnę odwdzięczyć się za Twą miłość. Jestem przykuta do łóżka, jednak Twoje ręce nie opuszczają mnie na krok. Z upartością

nosorożca wynosisz mnie na podwórko. Bez wstydu i odrobiny niechęci siadasz ze mną do stołu. Za pomocą strzykawki karmisz mnie z nadzieją, że odzyskam siły - nie zbliżę się do twych ust, MAMO, nie mogę. Marzę o uśmiechu. Chciałabym otworzyć usta i śmiać się bez końca. Śmiałabym się do utraty tchu. Wiem, że moje płuca stoją na stoliku obok mnie, ale już milion razy wyobrażałam sobie, że oddycham, biegam, całuję Cię - MAMO. Szmaciany pajacyk, który spaceruje po mojej ręce, wystarcza mi do tego, by moje ciało napełniło się niebiańskim zauroczeniem. Dziękuję Ci za jego towarzystwo. Ruch jest przeszkodą, której nie uda mi się pokonać. Jestem pajacykiem, którego życie zależy od Ciebie. Plastikowa rurka w tchawicy zabroniła mi rozmawiać. Uwierz, proszę, że mowa mych oczu w pełni odzwierciedla moje uczucia. Ja mówię, MAMO, krzyczę w niebogłosy i dziękuję. Moje istnienie jest uzależnione od ogromnego bukietu kwiatów z podziękowaniami za wszystko. Dziękuję Ci za to, że kładziesz się na podłodze obok mego łóżka. Dziękuję ci za to, że budząc się, całujesz mnie na dzień dobry. Wreszcie dziękuję za to, że Twój głos pieści mnie do snu.

Od zarania dziejów ludzie mniej doskonali byli skazani na klęskę. Mordowano nas - od swych narodzin poddanych śmierci - wrzucając w przepaść. Determinacja, z jaką spotykał się nasz umysł, zagnieździła się w każdej komórce, tkance, organie, który jeszcze działa prawidłowo. Zabijano nas we śnie. Wyrzucano na śmietnik, do rzeki, grzebano nas żywcem. Dziękuję Ci za to, że dostrzegłaś mnie (wtedy w szpitalu) pod białą pieluchą. Me ciało drżało z zimna. Nie wiedziałam, co zrobić. Wierz mi, czekałam na śmierć. Nie wiedziałam, kim ona jest. Mówiła, że jest moją matką, że jest mym zbawieniem. Domyśliłam się, że to jest jedyny powód, dla którego nie odpoczywałam w łóżeczku, jak inne dzieci. Nikt też nie siedział przy mnie i nie podziwiał mych delikatnych rączek, nóżek... Gdy lodowata postać o srogim spojrzeniu dotykała mych malutkich paluszków, zaślepiło mnie światło. To właśnie wtedy spojrzałaś mi pierwszy raz w oczy. Poczułam ciepło twych dłoni, które na szkle inkubatora wyglądały trochę obco, lecz czułam nieodpartą pokusę przytulenia się do nich. Dziękuję ci za to, że zdecydowałaś się na akt miłosierdzia. Pojawił się tak nagle. Pojawił się w ostatniej chwili.

Mamo, nigdy nie przygotuję dla ciebie śniadania. Nie zmyję naczyń, nie posprzątam w swoim pokoju. Nigdy nie pomogę Ci przygotować Wigilii. Za całą Ciebie oddam jednak życie, gdy będę umierać.

Kocham cię!

MAREK SŁOWIACZEK

CZY PRZEŻYJE JĘZYK FRYZYJSKI?

Północnowschodnie tereny Holandii nazywane są Fryzją, zaś część jej mieszkańców uważa się za fryzyjską mniejszość narodową. Język ojczysty jest jednym z najważniejszych elementów jej kultury i tożsamości. Obecnie językowi fryzyjskiemu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, ponieważ Fryzowie posługują się nim na co dzień. Dlatego może zbytnio nie troszczą się o swój język. Posługują się tym językiem w mowie i nie uważają, że język w formie pisemnej jest ważnym aspektem dziedzictwa dla przyszłych pokoleń, co właściwie staje się „ukrytą pułapką" dla jego przetrwania.

Zadajmy sobie pytanie, jaka jest przyszłość języka fryzyjskiego i czy ludzie, którzy zwą się Fryzami, mają prawo zachowywać się tak beztrosko w stosunku do swojego języka, jeśli wraz z zanikiem języka ludzie tracą swoją kulturę i tożsamość? Pragniemy objaśnić realną sytuację w Fryzji i udokumentować, że język jest zagrożony.

Fryzja, jako jedna z dwunastu prowincji Holandii, posiada w przybliżeniu 600 tysięcy mieszkańców. Z danych Akademii Fryzyjskiej wynika, że język fryzyjski jest zrozumiały dla 94% populacji, 74% potrafi nim mówić, 65% potrafi czytać, a tylko 10% mieszkańców umie po fryzyjsku pisać. Akademia Fryzyjska została założona w roku 1938 i pełni funkcję centralnego ośrodka badawczego i wychowawczego społeczeństwa fryzyjskiego, jego języka i kultury. Akademia w latach 1967, 1980 i 1994 przeprowadziła badania, z których wynika, że zmalała ilość mieszkańców, którzy rozumieją po fryzyjsku z 97% na 94%, natomiast znajomość formy pisemnej obniżyła się z 12% na 10%. To znaczy, że język fryzyjski nie utrzymuje się na tym samym poziomie, lecz wykazuje tendencję zniżkową. Język jest bardzo ważny dla kultury, lecz nie wystarczy jego forma mówiona. Język jest nie tylko głównym codziennym środkiem komunikacji międzyludzkiej, lecz jest również środkiem pozyskiwania wiadomości ze źródeł pisemnych. Zawsze mamy w pamięci państwa starożytne i usiłowania współczesnej nauki, by rozszyfrować ich pisma, np. hieroglify, w celu lepszego zrozumienia ich kultury. Czy chcecie, Fryzowie, aby za parę wieków podobnie było i z waszym językiem?

Biorąc pod uwagę stosunek Fryzów do swojego języka, można założyć, że przetrwanie ich języka jest rzeczywiście zagrożone. Badania Akademii Fryzyjskiej na temat „Jakie znaczenie dla Fryzów i Holendrów ma język fryzyjski?" wykazały, że język fryzyjski jest bardzo ważny dla 38% Fryzów i 5% Holendrów, nie jest bardzo ważny dla 12% Fryzów i 35% Holendrów, nie jest w ogóle ważny dla 1% Fryzów i 30% Holendrów. Jak widzimy, język fryzyjski nie jest ważny dla 13% populacji fryzyjskiej, która uważa się za mniejszość narodową.

Autorki niniejszego artykułu są przekonane, że język mniejszości powinien mieć duże znaczenie dla całego społeczeństwa mniejszościowego. Badania Akademii Fryzyjskiej na temat, ilu Fryzów używa w codziennej mowie, w domu języka fryzyjskiego, holenderskiego czy też mówi narzeczem, wykazały, co następuje:

rok	j. fryzyjski	j. holenderski	narzecze
1967	71%	13%	16%
1994	55%	34%	11%

Używanie języka fryzyjskiego w codziennym życiu ma tendencję spadkową na korzyść języka holenderskiego i o ile ta niekorzystna tendencja będzie trwała dalej, język z czasem zaniknie.

Podczas naszego pobytu na wyspie fryzyjskiej Skier doszłyśmy do wniosku, iż świadomość narodowa Fryzów nie jest tak mocna, jak sami w rozmowach starali się przedstawić. Istnieje także różnica pomiędzy Fryzami mieszkającymi na wyspach i na lądzie. Na wyspach rozmawiają dialektem, odbiegającym od języka. Na przykład w Północnej Fryzji w Danii istnieją trzy dialekty, a co ciekawe, ludzie, którzy się nimi posługują, nawzajem się nie rozumieją.

Edukacja

Przed rokiem 1998 uczono języka fryzyjskiego jako samodzielnego przedmiotu nauczania, resztę przedmiotów wykładano w języku holenderskim. Po 1998 roku doszło do gruntownej zmiany, chociaż nadal nie istnieją prawne podwaliny do kształcenia w języku fryzyjskim. Nauczanie w języku fryzyjskim zależy od decyzji grona nauczycielskiego, ponieważ szkoły posiadają pewną „wolność" w ustaleniu ilości godzin wykładanych w języku fryzyjskim. W systemie szkolnictwa istnieją niepisane zasady, że języka fryzyjskiego naucza się, o ile jest więcej niż 70% mówiących po fryzyjsku. Na terenie Fryzji 22% szkół nie wykłada w języku fryzyjskim, 40% szkół wykłada w języku fryzyjskim 10-20% czasu wykładowego i wreszcie 4% szkół używa fryzyjskiego do 70-80% wykładów. I co ciekawe, nie ma szkoły, która by nauczała wyłącznie w języku fryzyjskim, co dotyczy tak szkoły podstawowej jak i szkoły średniej. To bardzo mało dla zachowania języka. System edukacyjny od 2000 roku wprowadza programy bilingwistyczne (język holenderski i angielski) i trilingwistyczne (holenderski, angielski i fryzyjski).

Urzędy

Ogólnie mogą Fryzowie w kontaktach z urzędami i instytucjami państwowymi używać języka fryzyjskiego, lecz odpowiedzi otrzymują w języku holenderskim. Ponieważ tylko 10% Fryzów zna swój język w piśmie, przeważająca większość korzysta z języka holenderskiego.

Media

Sytuacja w mediach nie jest lepsza od sytuacji w urzędach. Telewizja regio-

nalna nadaje codziennie godzinę programu w języku fryzyjskim, zaś ogólnopaństwowa telewizja 32 godziny rocznie. Regionalna stacja radiowa nadaje 20 godzin tygodniowo w języku fryzyjskim, radio i telewizja dla szkół 20 minut tygodniowo. Nie ma prasy fryzyjskiej. Gazety publikują około 4% artykułów w języku fryzyjskim.

Podsumowanie

Zbieg negatywnych okoliczności, w jakich znalazł się język fryzyjski, prowadzi w rezultacie do jego zaniku. W Fryzji istnieje nieliczna grupa ludzi, która posiada silną świadomość narodową, lecz jest zbyt mała i słaba, by zahamować samowolnie przebiegający proces. Natomiast większość tej mniejszości, asymilująca się z kulturą holenderską, traci poczucie więzi z własną kulturą i językiem.

Jesteśmy przekonane, chociaż dla niektórych będzie to brzmiało tragicznie, że język fryzyjski nie przeżyje dłuższego czasu. Lecz wierzymy, że tragedia języka fryzyjskiego stanie się „dobrą nauczką" dla innych społeczeństw mniejszościowych, które będą się bardziej troszczyły o dziedzictwo swych ojców.

ANNA MARIA KOWALSKA, LUCIE MACUROWA, ALINA IGONINA

Tekst powstał w czasie ubiegłorocznego kursu dla młodych Europejczyków reprezentujących mniejszości i większości, organizowanego corocznie w Danii, na którym większość czeską z RC reprezentowała m.in. Lucie Macurowa.



Fot. FRANCISZEK BAŁON

DRAMATYCZNY KONFLIKT CIESZYŃSKI

Z lekkim opóźnieniem na czeskim rynku wydawniczym (ołomunieckie wydawnictwo Votobia 2001) ukazała się pozycja książkowa poświęcona czeskiej zbrojnej agresji na Śląsk Cieszyński w styczniu 1919 (tu naturalnie tak nieokreślanej) oraz podziałowi tego skrawka ziemi w dniu 1 sierpnia 1920. Autorem pozycji „Těšínský konflikt. Dramatické okamžiky česko-polských vztahů" jest Lubomír Kubík, usiłujący przedstawić czeskim czytelnikom tamte odległe w czasie lata, które na długo poróżniły obie strony sporu o ziemię cieszyńską.

Książka pod względem obiektywności faktów i interpretacji wydarzeń nie wnosi nic nowego, powtarza stare prawdy oraz mity i stereotypy, nic zresztą dziwnego, wystarczy przejrzeć spis prac, z których autor czerpał, by z góry założyć, że książka będzie tendencyjna, widziana przez pryzmat czeskich interesów i poglądów i na swój sposób obraźliwa. Należy jednak z przykrością przyznać, że autor na takie, a nie inne, zgodne z duchem czasu, podejście do tych spraw ma takie samo prawo, jak niektórzy polscy pseudohistorycy u nas, którzy również te sprawy traktują jednostronnie, tendencyjnie i obraźliwie (np. publikacja o wydarzeniach stonawskich w roku 1919 itp). W Polsce też na ogół do tych spraw podchodzi się jednostronnie.

Autor, być może, przytacza niektóre ciekawe fakty, ale czytelnik (polski w tym wypadku) po stwierdzeniu już na początku, że trzyma się on fałszywych poglądów o pochodzeniu Polaków na Śląsku Cieszyńskim, że nie zna realiów, jeśli chodzi o Legiony Piłsudskiego, twierdząc, że powstały one pod koniec wojny, myląc realia geograficzne, twierdząc na przykład, iż Przełęcz Jabłonkowka i tunele znajdują się w pobliżu Trzyńca koło Jabłonkowa itp., ma prawo nie wierzyć w obiektywność pozostałych wywodów.

Wprawdzie przyznaje on, że agresję czeską w pełni zaakceptował Masaryk i Beneš, że po części zgadzali się z nią Francuzi kibicujący bardziej Czechom i że krok ten potępiły mocarstwa zachodnie, ale cały czas przekonany jest w myśl ówczesnych poglądów o słuszności takiego postępowania. Przyznaje także, iż Czesi w walce o późniejsze Zaolzie wykorzystali trudną sytuację Polski zaangażowanej w wojnie polsko-bolszewickiej,

twierdząc poza tym, iż tzw. „cud nad Wisłą" zawdzięczali Polacy zdolnościom francuskiego dowódcy L. M. Weyganda.

Poza tym pełno tu inwektyw pod adresem Polaków w ogóle i tych z naszego terenu, którzy w sporze o tę ziemię są tą gorszą stroną konfliktu. Mówi się o polskich szowinistach, a przecież byli również czescy, mówi się o polskich nielegalnych bandach w okresie przedplebiscytowym i naturalnie o czeskich legalnych gwardiach itp.

Lektura tej pozycji wskazuje jeszcze na jeden aspekt, a mianowicie dyplomacji, która tutaj okazała się jedną wielką międzynarodową intrygą, chwiejną w zależności od podmuchów politycznych zmian lub osobistych sympatii lub antypatii.

Książkę chyba należy przeczytać, nie jednak po to, by zapałać nowym ogniem gniewu i nienawiści, zresztą nie mamy do tego prawa, jeśli akceptujemy podobne wybryki z naszej strony, lecz by przekonać się, że do pozycji obiektywnej i starającej się zrozumieć prawdziwe oblicze tego konfliktu mamy wciąż daleko. Jest to książka, która jeszcze po tylu latach może wzburzyć myśl i samopoczucie czytelnika czeskiego oraz polskiego.

Przed nami stoi pytanie, czy sprawom tym warto poświęcać uwagę, jeżeli ma ona być zawężona do jednostronnych ocen i interpretacji. Czy Polak lub Czech w obecnej sytuacji potrafi napisać o tym w taki sposób, który obie strony z myślą o przyszłości w strukturach europejskich zaakceptowałyby dwudziestowieczną historię tego skrawka naszej małej ojczyzny. Być może potrzebowalibyśmy do tego Normana Daviesa, który z wyżyn swej europejskości (autor obszernej historii Europy „Europa. Rozprawa historyka z historią") potrafiłby spojrzeć na nasze historyczne zagadnienia obiektywniej. On zresztą napisał wspaniałą, zdaniem polskich fachowców, historię Polski „Boże igrzysko. Historia Polski" bez tradycyjnych mitów i stereotypów, jakie na ogół towarzyszą wszystkim narodowym historiom pisanym przez narodowych historyków, poza nielicznymi wyjątkami. Tym sprawom wiele miejsca poświęca właśnie angielski historyk we wstępie do swej historii Europy.

Okazuje się, że jednak można pisać inaczej, to jest ciekawiej, lepiej i obiektywniej. Świadczy o tym książka, którą napisał Tomáš Zahradníček „Jak vyhrát válku. Češi, Poláci a Ukrajinci 1914 - 1918" (ISV Praga 2000). Autor korzystał z ogromnej ilości materiałów historycznych i publicystycznych, szczególnie polskich, czeskich i ukraińskich. Można zakładać, że gdyby ten autor napisał pracę o konflikcie czesko-polskim na Śląsku Cieszyńskim, byłaby to rzecz do przyjęcia przez obie strony, a o to w zasadzie chodzi.

KAZIMIERZ JAWORSKI

URODZINY AVIONU

Na polsko-czesko-słowacką rewię z okazji piątych urodzin Café Avion, które odbyły się 11 marca na scenie Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie, zaprosili widzów Teatr Cieszyński i Towarzystwo Avion. Autorką (scenariusz, realizacja, teksty wierszy i piosenek) programu nazwanego dwujęzycznie „V kavárně Avion, která není... III aneb Divertimento Cieszyńskie" była Renata Putzlacher. Wśród głównych realizatorów znaleźli się Karol Suszka i Ondrej Spišák (współpraca reżyserska), Linda Dostálkowa i Marti na Lukešowa (scenografia i kostiumy), Zbigniew Siwek (muzyka), Vladimír Fekar (współpraca choreograficzna). Większość z tych osób (oprócz pań od scenografii) zaprezentowała się osobiście na scenie. Obok wyżej wymienionych wystąpili aktorzy teatru Teatro Tatro z Nitry oraz Małgorzata Pikus, Halina Pasekowa, Eva Nádaždyowa, Patrycja Czerwiec, Ryszard Pochroń, Lukáš Homola, Zbigniew Kalina, Józef Kurek a także Dorota



Fot. FRANCISZEK BAŁON



Blahut (wiolonczela i śpiew) i Siwek Kwartet (zespół muzyczny Zigniewa Siwka).

Opowiedziana na scenie historia to dzieje Cieszyna i jego mieszkańców. Jako prolog można było potraktować głośną scenę o naszej współczesnej rzeczywistości, koło symbolicznego szlabanu granicznego, przedstawiającą charakterystyczne postacie, ludzi mieszkających tu i przybyszów kojarzonych z tym miastem. Siedzących na widowni gości urodzinowych powitali następnie gospodarze: kawiarni Renata Putzlacher i teatru Karol Suszka, który pełnił jednocześnie rolę narratora całego przedsięwzięcia. Stworzenie świata pokazał zespół teatru z Nitry. Potem było już założenie Cieszyna przez Lecha, Czecha i Rusa, a w tym wypadku nie Rusa, lecz Słowaka. Trzej bracia w tej legendzie z XXI wieku mieli też siostrę. Wybudowali Wieżę Piastowską aż do nieba, no i musiało się stać to samo, co kiedyś z Wieżą Babel. Doszło do pomieszania języków. Na szczęście Pan Bóg czuwał przez cały czas aż do końca i reagował od razu, gdy komuś wyrwało się bluźniercze „Panie Boże". Wiatr historii zadął mocno i szybko znaleźli się widzowie w czasach bardziej współczesnych.

Młodzi rozśpiewani kataryniarze stanowili przerywnik i zapowiedź kolejnego etapu historii. W programie nie zabrakło bowiem muzyki. Z jednej strony piosenek Doroty Blahut, będących jakby odrębnymi, niezwiązanymi z treścią widowiska wstawkami muzycznymi. Z drugiej nowych piosenek Renaty Putzlacher z muzyką Zbigniewa Siwka, stanowiących część składową opowieści o Cieszynie,

niezbędnych w tej całości. Były też tańce, gdzie m.in. talent baletowy ujawnił Vladimír Fekar.

Wśród mieszkańców Cieszyna sprzed stu lat nie zabrakło Niemców i Żydów. Pojawiły się postacie znane już z wcześniejszych Avionów, jak chociażby Żyd Kohn czy szalona Małgosia. I znów tak jak na samym początku znaleźli się widzowie „w naszych czasach", ale realizatorzy poszli dalej, przewidując proroczo zjednoczoną Europę, świat i kosmos. Zaś po śmierci wspólne teatralne niebo.

Jest jeden aspekt całego tego przedsięwzięcia, który wydaje się niemniej ważny, a może nawet ważniejszy od opowieści o dziejach granicznego dziś miasta Cieszyna. Na scenie przeplatały się podczas całego programu trzy główne języki: polski, czeski i słowacki. I nie wydawało się, by komuś to przeszkadzało. Być może był na widowni ktoś, kto nie wszystko rozumiał, ale zapewne domyślił się i pojął sens. Jak byłoby wspaniale, gdyby taka tolerancja i zrozumienie towarzyszyły nam na co dzień w naszych kontaktach ze współobywatelami innych nacji.

Kawiarnia Avion rozpoczynała przed pięciu laty swoją historię, jak na kawiarnię przystało, od małej sceny dla wykonawców i kawiarnianych stolików dla widzów. Były to bardziej kameralne programy: kabarety, promocje książek, spotkania z artystami, wieczory tematyczne. Autorce i patronce Kawiarni Renacie Putzlacher (patron Jaromír Nohavica chodzi swoimi drogami i przysłał na jubileusz pisemne pozdrowienia ze studia w Jabloncu) udawało się poziomem prezentowanych programów przyciągać coraz więcej widzów i sala kawiarni stała się zbyt ciasna. Dzieło przerosło swoją twórczynię. Promocja płyty „Lamus" odbyła się już w dużej sali teatru, podobnie stało się na piąte urodziny Avionu. Zmienił się charakter przedstawień, tytułowa kawiarnia stała się symbolem. A jednak żal, chciałoby się westchnąć, tej kawiarnianej atmosfery, tęskno za kawiarnianymi stolikami...

CZESŁAWA RUDNIK

Z MATOŁKIEM W PODRÓŻ DOOKOŁA ŚWIATA

Po klasyczną pozycję polskiej literatury dla dzieci sięgnął Teatr Lalek Bajka, działający przy ZG PZKO w Czeskim Cieszynie, na początku sezonu teatralnego przełomu XX i XXI wieku i wystawił we wrześniu ubiegłego roku przedstawienie na podstawie książek Kornela Makuszyńskiego o Koziołku Matołku. Po przerwie świątecznej, kiedy to grano pozycję najbardziej dla tego okresu aktualną, czyli „Pastorałki", powróciła Bajka do widzów z przedstawieniem „Koziołek Matołek".

Słowno-obrazkowe historyjki o Koziołku Matołku, napisane wierszem przez K. Matuszyńskiego i narysowane przez M. Walentynowicza, ukazały



Fot. WIESŁAW PRZECZEK

się po raz pierwszy w latach 1933-34. I bawią dzieci po dziś dzień. Inne książki Makuszyńskiego też są zresztą czytane, nieraz służyły jako podstawa do adaptacji teatralnych (wystarczy przypomnieć „Szatana z siódmej klasy" wystawionego przed kilku laty w Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego) czy filmowych. Mają bowiem te opowieści jakiś czar, który przyciąga czytelników, zaś treści często są ponadczasowe.

„Koziołka Matołka" przygotował dla Teatru Lalek Bajka Grzegorz Lewandowski, od lat przyjeżdżający z Częstochowy z ofertą współpracy i realizujący w Bajce kolejne przedstawienia dla dzieci. Reżyser Lewandowski przywiózł także swoją współpracowniczkę - scenograf Małgorzatę Zielińską, zresztą też nie po raz pierwszy goszczącą w Bajce. Muzykę do przedstawienia napisał „swój człowiek" - Andrzej Macoszek, stały dostarczyciel opracowań muzycznych i piosenek do bajkowych spektakli.

Wszystkie mądre polskie kozy, by je zliczyć, nie mam siły, na naradę się zebrały i rzecz taką uchwaliły... To początek przygód Koziołka Matołka, słowa, których nie znają jedynie ci zupełnie mali, najmłodsi czytelnicy czy widzowie. Chętnie poznają historię o Matołku, bo jest barwna, chwilami wesoła, czasem bardziej poważna, zawiera momenty grozy i napięcia, ale przecież z góry wiadomo, że musi się dobrze skończyć.

Koziołek wędruje przez świat, spotykając po drodze wiele osób, mnóstwo różnorakich postaci, które powinny znaleźć się w przedstawieniu. A przecież teatr Lalek Bajka to nader skromny zespół aktorski. Raptem cztery osoby (Pawełka Niedoba, Krystyna Czech, Dorota Grycz, Jan Szymanik) muszą sprostać zadaniu zeprezentowania wędrówki Koziołka Matołka w sposób wiarygodny i zaciekawiający najmłodszego widza. Toteż dosłownie dwoją się i troją ci aktorzy, łapiąc w ręce coraz to inne lalki i maski, sami pozostając najczęściej w kostiumach nierzucających się w oczy i nienarzucających widowni zbytnich skojarzeń. I wędruje Matołek przez kraje, ucząc się wiele nowego, poznając obyczaje, niestrudzenie, by dojść wreszcie do upragnionego Pacanowa.

Obejrzałam przedstawienie Bajki na imprezie ostatkowej MK PZKO we Frysztacie, gdzie przeważała dorosła widownia. Wydawało się, że najlepiej bawiły się dzieci, starsi z sentymentem wspominali, lecz zabrakło zaangażowania. „Koziołek Matołek" w tej realizacji jest raczej pozycją dla bardzo młodych widzów. Ale nie dlatego wspominam o tym konkretnym występie. Spektakl w Domu PZKO i to, co po nim nastąpiło, czyli rozebranie dekoracji, pakowanie walizek, przenoszenie do samochodu, które to zadania spełniają sami przed chwilą jeszcze aktorzy, teraz technicy oraz oświetleniowiec i akustyk Marian Mokrosz, tj. zobaczenie tego teatru niejako od kuchni, pozwoliło lepiej i wyraźniej uzmysłowić widzom wyjątkowość zjawiska nazwanego kiedyś przed kilkudziesięciu laty Teatrem Lalek Bajka i obowiązek popierania go dopóty, dopóki miał będzie tutaj jakąś rację bytu, innymi słowy dopóki dzieci będą go lubiły i chciały oglądać. A na razie tak jest.

CZESŁAWA RUDNIK

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

NIEZWYKŁE CZASOPISMO Z CIESZYNA

Już ponad 3 lata wychodzi w Cieszynie czesko-polskie pismo społeczno-kulturalne Znad Olzy redagowane prywatnie przez Stanisława Pietroszka. Ukazuje się w nieco nietypowym formacie na razie co dwa miesiące na 24 stronach. W pierwszym tegorocznym numerze jest obszerny materiał dotyczący prześladowań Kościoła katolickiego w Czechosłowacji, sprawa zagrożenia sektami i nowymi ruchami religijnymi, dla czeskich czytelników jest m.in. informacja pt.

„Proč žije v české části Těšínska polská národní menšina", w następnych numerach będzie więcej spraw aktualnych i fragmenty twórczości regionalnej.

Rozprowadzenie pisma po czeskiej stronie leży niestety na barkach kilku współpracowników redakcji. Można go nabyć w głównej księgarni w Czeskim Cieszynie, w Trzyńcu w małym sklepiku Dora przy ul. 1 Maja, w Jabłonkowie w podobnym sklepiku naprzeciw ratusza. Pomóc chyba powinny instytucje euroregionalne, bo chodzi o zbliżenie naszych narodów. Na najwyższym szczeblu niby jest wszystko w porządku, rośnie wymiana handlowa, a nawet kulturalna, ale ogólna atmosfera w kontaktach międzyludzkich na naszym pograniczu nadolziańskim pozostawia wiele do życzenia. Szczególnie gdy zacznie się mówić o prawach mniejszości. Wina leży po obu stronach. Ważny jest szczególnie sposób, jak dotrzeć z prawdą (często względną) do szerokich mas „większości". Ale i czytelnicy z polskiej części Śląska Cieszyńskiego powinni lepiej poznać czeskie realia, by się do nich odpowiednio ustosunkować. Chcemy, aby to pismo pozostało ideologicznie niezależne i było nadal otwarte na wszystkie poglądy.

Prosimy czytelników Zwrotu, którzy już pismo mieli w rękach, by przekazali redakcji swe uwagi i rady. Przesyłać je można pod adresem jednego ze współpracowników redakcji po czeskiej stronie: Oskar Lanc, 739 61 Trzyniec Końska 405, tel. 0659-33361.

OSKAR LANC

STONAWO, STONAWO...

W roku 1978, pewnego dnia, w skrzynce na listy znalazłem wyciętą z brulionu i złożoną we dwoje liniowaną kartkę, a na niej ręcznie napisany wiersz zatytułowany „Ballada o Stonawie", autor nieznany, rok 1978. Nigdy nie dowiedziałem się, kto wiersz napisał i kto mi go włożył do skrzynki.

Napisał go ktoś, kto doskonale znał Stonawę. Opisane w nim wydarzenia są prawdziwe. Osobiście widziałem i zapamiętałem, jak w latach przedwojennych zaprzężone cztery płowe woły ciągnęły pługi na dworskich „larischowych" polach. Wtenczas Larisch miał w Stonawie jeszcze cztery dwory i gorzelnię. Ostatnie dworskie zabudowania „Na Zamku" wyburzono przed sześciu laty. Młyn wodny też osobiście pamiętam, był blisko naszego domu. Jako mały chłopak często zafascynowany patrzyłem na olbrzymie, metalowe, obracające się koło i wodę, jak po jego łopatkach spływała. Również znałem wiatraki i kuźnie. W Stonawie były dwie, jedna dworska w centrum wsi, druga prywatna na Hołkowicach, świadcząca usługi dla rolników.

Po jakimś czasie włożyłem wiersz gdzieś między szpargały i zapomniałem o nim. Niedawno, robiąc porządki, znalazłem go i znowu uważnie przeczytałem.

Szczególnie zafascynowała mnie, zawarta w nim, jakby prorocza, nostalgiczna wizja ponownego w przyszłości wskrzeszenia - odbudowy Stonawy. Że może wnuki ówczesnych przymusowych wysiedleńców zaczną poszukiwać, gdzie to ich korzenie.

Dzisiaj już wiemy, że nie trzeba było aż tak długo czekać, ówczesna wizja staje się rzeczywistością. Stonawa już się odbudowuje i to jak, w jakim tempie i jak pięknie! Dzięki aksamitnej rewolucji i bezkompromisowemu, twardemu stanowisku radnych na czele ze starostą Andrzejem Febrem zmuszono kopalnie do odstąpienia od barbarzyńskiego sposobu wydobywania węgla tylko na zawał, co powodowało przymusowe wysiedlanie ludności, wyburzanie domów i kompletną dewastację środowiska naturalnego. W ten sposób zniknęły z mapy Stonawy gęsto zamieszkałe dzielnice Katarzyna, Krzywy Dół, Ameryka, Dolany, Meksyk, częściowo Stawy i Bąków. Dzisiaj jest tam tylko księżycowa kraina.

W roku 1948 Stonawa liczyła 4 740 mieszkańców, w 1980 - 2 516, w 1991 - 1 716. Według konkretnych planów wydobywczych z tamtego okresu (znajdują się w Urzędzie Gminnym) Stonawa miała zostać zlikwidowana. Cała szeroka dolina Stonawki od Olbrachcic aż po kopalnię Darków jest w planach pięknie zamalowana jako duże jezioro, a na jego obrzeżach zalesione tereny. W tym wypadku aksamitna rewolucja nadeszła na czas, natomiast dla zdewastowanych dzielnic o 20 lat za późno.

W pierwszych porewolucyjnych latach udało się zatrzymać narastającą dewastację Stonawy i zaczęto mobilizować środki i siły do jej stopniowej odbudowy. A dzisiaj to już nie start, lecz rozpęd - nieustępliwy, zadziorny bieg na długi dystans. I to bieg w czołówce! Dziś Stonawa liczy już 1870 mieszkańców. Nowy budynek z dziewięcioma małymi mieszkaniami dla młodych małżeństw jest już zamieszkały. Nawet w zimie trwają intensywne prace przy budowie sieci inżynieryjnej dla nowego, dużego osiedla domków rodzinnych w dzielnicy Bąków. Ten olbrzymi wysiłek radnych stonawskich dostrzeżono i w centralnych organach administracji państwowej. Stonawa w ubiegłym roku we współzawodnictwie gmin zajęła pierwsze miejsce w okręgu północnomorawskim, a trzecie w konkurencji krajowej!

Prorocza wizja nieznanego autora wiersza o Stonawie staje się rzeczywistością.

KAROL RECMANIK

BALLADA O STONAWIE

Stonawo, Stonawo, jakżeś miłą była...
dawno, kiedy jeszcze mama z tatą żyła.
Jak nasze lata dziecinne mijały,
auta czy kopalnie jak dziś nie huczały.
Kiedyśmy gromadą chodzili do szkoły,

jak pług jeszcze ciągły cztery płowe woły,
chociaż nie był program z kraju, z zagranicy
a setki śpiewaków było w Bażantnicy.
Dziś woły nie orzą szerokie zagony,
zaś wieże kopalni widać z każdej strony.
Gdzie ptaszki śpiewały, trzask robią maszyny,
tam gdzie domki stały - wysokie kominy.
Kiedy u Macurów młyn wodny turkotał,
a potok od Szwedzkiego Kopca go wodą zasilał.
W dniach, w które wiatr po okolicy huczał,
koła wiatraków - młynów rolnikom roztaczał.
Tam, gdzie rosło zboże, w nim sarny, zające,
dziś szerokie drogi, aut jeździ tysiące.
Tylko ta Stonawka płynie jak płynęła,
chociaż już Stonawa nie jest ta, co była.
Stonawo ty nasza, już cię opuszczamy,
dlatego, że domki podkopane mamy.
Chociaż wobec węgla wielkie zrozumienie,
to jednak w nas tęskne budzi się wspomnienie.
Jak cię opuszczają, odchodzą do świata,
nie będzie w Stonawie z młodości kamrata.
Może tu w przyszłości kiedyś wnuk osiędzie,
puste miejsca dzieciom pokazywać będzie,
gdzie dziad jego mieszkał, pracował w mozole,
czy na Hołkowicach lub na Krzywym Dole.
Może im przypomni te ręczne roboty...
jak pryskały iskry i dzwoniły młoty,
i tę starą kuźnię, co długo służyła.
Dziś nam przypomina przeszłość, jaka była!
Może jak wtenczas przed siedmiustu laty
Stonawa bowiem tak starej sięga daty,
przodkowie Stonawę zaczęli zasiedlać,
budować domy, stajnie i pola uprawiać.
Może w naszych wnukach obudzi się tchnienie,
zaczną poszukiwać, gdzie to ich korzenie?
I wrócą, znów odbudują Stonawy świetność,
nie dawną, lecz nową zapewnią jej przyszłość.
Lecz przeszłość nie wróci, ani młot zadzwoni,
a starość każdego jak kuźnię dogoni,
więc jak Pismo radzi, żyjmy według tego,
bo naprawdę tu nie ma miejsca stałego.

BIAŁY RAJD

Dzisiaj - 10 marca - wróciłam do domu, usiadłam i, jeju, poczułam, jak moje nogi pulsują i bolą. Biały Rajd dał mi się we znaki! To dziś przeszliśmy trasy Białego Rajdu i spotkaliśmy się na Kamienitym. Każdy się darł pod górkę po swojemu - piechotą, na biegówkach, na czterech łapach itd., ale muszę przyznać, że warto było.

Można było wystartować z Łomnej, z Jaworowego lub z Koszarzysk i trzeba było dotrzeć na Kamienity. Tam organizatorzy odbierali karty uczestnictwa i spisywali, zliczali, by móc wyłonić spośród wielu uczestników zdobywców nagród. Inni organizowali na miejscu zabawę dla dzieci, rozdawali słodkie nagrody i muszę przyznać, pierwszy raz widziałam budowanie bałwana w rekordowym czasie 30 sekund. W dodatku bałwan był złożony z czterech kul! Fajny był!

Grupka uczestników z Koszarzysk stanęła później pod murami schroniska i świetnie się bawiła. Ludzie ci śpiewali góralskie piosenki, co chwila słychać było ich gromki śmiech, a ich zaróżowione twarze były bardzo sympatyczne.

W schronisku nie można się było ruszyć. Przyszło bardzo dużo ludzi, więc budynek pękał w szwach. Wszyscy jednak zjedli parówkę, wypili herbatę, zameldowali obecność i większość wyszła na zewnątrz. Chociaż pogoda była deszczowa, a śnieg ciężki i mokry, na dworze było bardzo, bardzo fajnie. Pogodne twarze uczestników rozjaśniały niebo. Oczywiście były i „mamroki". Tacy jednak nie mieli szans na utrzymanie swego nastroju i wkrótce się uśmiechali.

Siedzę teraz w ciepłym domu, obok w pokoju gra telewizor, ale myślami ciągle jestem na Kamienitym. Myślę, że taka impreza była już dawno potrzebna. Dziś widziałam, ilu obcych ludzi może się naraz spotkać w jednym miejscu i to w tym samym celu - być, widzieć, wziąć udział, dorobić się nowych, pięknych wspomnień, spotkać długo niewidzianych znajomych, snuć plany na przyszłość... Jestem przekonana, że ojciec Białego Rajdu 2001 - pan Tadeusz Wantuła - może teraz usiąść i powiedzieć: Udało się.

Dziękujemy za ten dzień, bo było pięknie.

Każdy, kto nie wziął udziału w tej imprezie, każdy, kto w ostatniej chwili z powodu pogody zrezygnował, każdy, komu milsze było łóżko, może tylko żałować. Mam nadzieję, że organizatorzy Białego Rajdu (PTTS Beskid Śląski, Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, grupa AHA i Klub Kultury - przyp. red) nie zaniechają snucia planów i realizacji swych pomysłów.

Ten krótki tekst nie opisuje dzisiejszej imprezy fachowo i szczegółowo. Oddaje odczucia osoby przyjemnie zmęczonej, która jest szczęśliwa, bo może powiedzieć: Ja tam byłam!

WERONIKA KONDZIOŁKA

DBAJMY O KRĘGOSŁUP

Prawie połowa ludności świata cierpi z powodu bólu pleców. Naprawdę zdrowy kręgosłup ma zaledwie jedna ze stu pięćdziesięciu osób. Na kłopoty z kręgosłupem narzeka co dziesiąte dziecko, natomiast w grupie osób po pięćdziesiątce trudno znaleźć kogoś, kto chociażby okresowo nie odczuwał jakichś dolegliwości związanych z kręgosłupem.

Tymczasem, jak twierdzą fachowcy, zły stan kręgosłupa jest przyczyną sześćdziesięciu procent wszystkich chorób. Kręgosłup narażony jest na wiele niebezpieczeństw. Pomijając poważne wypadki i urazy, wystarczy przypomnieć takie sprawy jak mało ruchliwy tryb życia, niewłaściwe siedzenie, podnoszenie przedmiotów czy gwałtowne ruchy. Wszystko to powoduje nieprawidłowe ułożenie kręgosłupa i przyczynia się do przesunięcia kręgów, które zaczynają uciskać na nerwy lub naczynia krwionośne. Te z kolei powiązane są z konkretnymi organami, które nie mogą sprawnie funkcjonować, jeśli prowadzące do nich naczynia są uszkodzone. I tu tkwi przyczyna wielu chorób. Odczuwany przez człowieka ból jakiejś części kręgosłupa może sygnalizować chorobę konkretnej części ciała.

Przesunięcie kręgów szyjnych może spowodować bóle głowy, bezsenność, rozdrażnienie, uczucie ciągłego zmęczenia, ale także wysokie ciśnienie, alergię, wypryski, niedomagania wzroku, słuchu, skłonność do katarów, przeziębień, chorób gardła. Przemieszczenie kręgów piersiowych stwarza np. niebezpieczeństwo astmy, kaszlu, zapalenia oskrzeli i płuc, kłopotów z sercem i układem krążenia, chorób pęcherzyka żółciowego i wątroby, nerek, skóry, reumatyzmu, zapalenia stawów. Przy przesunięciu kręgów lędźwiowych pojawić mogą się np. skurcze czy obrzęki nóg, zaparcia lub biegunki, choroby pęcherza moczowego, hemoroidy.

Co robić, by zachować zdrowy kręgosłup? Profilaktyka jest, jak zwykle, najtańsza i najskuteczniejsza. By zapobiec chorobom, trzeba dbać o kręgosłup, czyli przede wszystkim zmienić złe nawyki oraz odpowiednio używać ruchu i odpoczynku.

Materac do spania powinien mieć odpowiednią twardość, tzn. powinien dostosować się do ciała. Nie uciskać zbyt mocno, ale też nie poddawać się za bardzo, powodując nieprawidłowe ułożenie kręgów i w rezultacie niemoż-

ność ich całkowitego rozluźnienia. Najlepsze rozłożenie wagi ciała na materacu daje pozycja na plecach z rękami położonymi wzdłuż ciała.

Na sen i prawidłowe ułożenie kręgosłupa ma wpływ także poduszka. Powinna ona być mała i twarda. Może to być poduszka w kształcie wałka czy nawet zwinięty w wałek ręcznik. Duża miękka poduszka sprawia, że kręgosłup wykrzywiony jest za bardzo do przodu i człowiek zaczyna mieć trudności z oddychaniem przez nos, zaś oddychanie ustami przyczynia się do katarów, zapalenia oskrzeli i płuc.

Zgódźmy się z argumentem, że w czasie snu człowiek nie kontroluje sposobu ułożenia swojego ciała. Może to jednak robić w ciągu całego dnia. A sposób chodzenia, poruszania się ma kolosalny wpływ na nasz kręgosłup, podpowiada ponadto innym, na ile lat wyglądamy. Człowiek zgarbiony, z wysuniętym brzuchem, poruszający się powoli wydaje się starszy niż ten, który trzyma się prosto, idąc sprężystym, szybkim krokiem. Wciąganie brzucha, proste plecy, szybszy krok można wyćwiczyć, zaczynając od codziennych półgodzinnych spacerów. Będzie nam wdzięczne nasze serce i cały układ krążenia, ale także inne organy.

Przyzwyczaiwszy swój organizm do szybkich spacerów, można spróbować zacząć biegać. Na początku tylko krótko – kilkadziesiąt metrów, resztę trasy pokonując szybkim krokiem. Bieg nie tylko wzmacnia kręgosłup, ale powoduje lepszą przemianę materii, spalanie nadmiaru złego cholesterolu, wzmocnienie ścianek naczyń krwionośnych. Po biegu należy odpocząć w pozycji leżącej z nogami położonymi wyżej niż znajduje się serce, odpoczynek powinien trwać połowę czasu poświęconego na bieg.

Biegać trzeba po trawiastym lub ziemnym podłożu, nie po asfalcie. To samo dotyczy chodzenia. Najlepiej chodzić boso. Nawet po rosie, a po pewnym treningu także po szronie czy śniegu, ale tylko kilkadziesiąt sekund. Bezpośredni kontakt z ziemią oddziałuje bowiem pozytywnie na znajdujące się w stopach zakończenia nerwowe. Ponadto warto zwrócić uwagę na fakt, że ziemia posiada ładunek ujemny, przyjazny zdrowiu. Człowiek natomiast, żyjący w niezdrowym środowisku (komputery, sprzęt elektryczny itd.), naładowany jest przez otaczające go jony dodatnie, które powodują bóle głowy, rozdrażnienie, bóle kręgosłupa, problemy z układem krążenia itd. Pamiętać jednak należy, by po takim chodzeniu na bosaka zagrzać stopy, myjąc je w ciepłej wodzie, wycierając do sucha i nakładając ciepłe skarpety. By nieprzyzwyczajony do hartowania organizm nie zaprotestował i skutek chodzenia na bosaka nie był odwrotny do zamierzonego.

(dur)

Z CZEGO ŚMIALI SIĘ NASI DZIADKOWIE

Aptekarz: - Jakżeż, gospodarzu, dobra była ta trucizna, jaką wam dałem, na myszy.

Gospodarz: - A jużci! Tak się po niej spasły, że nie mogły zmieścić się do dziury i wszystkie kot wyłapał.

Obrońca: - Smutno mi bardzo, ale skazano pana na pięć lat więzienia. Może pan chce zrobić jakie rozporządzenia?

Skazany: - Owszem. Racz pan łaskawie uprzedzić moją małżonkę, żeby nie czekała na mnie z obiadem.

Pewna wdowa płakała na grobie swego małżonka. Wreszcie otarła łzy i rzekła:

- Jedną mam pociechę w mym smutku. Wiem wreszcie przynajmniej, gdzie ten łobuz noce spędza.

- Wiesz, Pipmanowi uciekła żona!

- No i co on na to?

- Teraz już się trochę uspokoił. Ale z początku baliśmy się o niego. Myśleliśmy, że zwariuje... z radości.

Na granicy żandarm zażądał od podróżnego paszportu. Zakłopotany jegomość, nie mogąc go znaleźć, podaje mu rachunek z restauracji.

- Głowa wieprzowa, ozór wołowy, nóżki cielęce - czyta żandarm z powagą - rysopis w porządku. Zwracam panu paszport.

- Powiedz mi, Jasiu, czego to ten organista tak fałszuje?

- A bo widzisz, on ma krótki wzrok.

- Cóż to ma z grą wspólnego?

- No, bo on gra nie tylko to, co napisane w nutach, ale i muchy, co na kartkach siadają.

Nauczyciel stara się dzieciom wszczepić ostrożność w obchodzeniu się z ogniem wskazaniem na to, że z małych przyczyn powstają wielkie nieszczęścia. Pisze przeto na tablicy: „Nie bawcie się zapałkami. Pamiętajcie o pożarze Frysztatu".

Nazajutrz nauczyciel widzi na tablicy taki napis: „Nie plujcie na podłogę. Pamiętajcie o potopie".

- Wiecie co, Maciejowo, chłopak Wojciechów wczoraj się w rzece utopił - mówi do swej kumy wiejska roznosicielka nowinek.

- Wiem, wiem. Dlatego też w ostatnich dniach był on taki blady.

Mała Zosia w żaden sposób nie chce umyć twarzy.

- Bądź grzeczna - upomina ją babcia. - Gdy byłam taką jak ty, zawsze myłam twarz.

- No i popatrz, jak ona teraz wygląda - odpowiada dziewczynka.

- Jaka jest różnica między fabryką papieru a urną wyborczą?

- W fabryce papieru wrzuca się gałgany, a wychodzi papier, zaś do urny wyborczej rzuca się papier, a wychodzą czasem gałgany.

- Tyś nigdy nie grzeszył? - pyta proboszcz udzielający nauki religii chłopcom.

- Nie, księże proboszczu.

- Namyśl się raz jeszcze... Czy nigdy nie próbowałeś nożem wydostać monety z odwróconej do góry dnem skarbonki?

- Nie, księże proboszczu, nie próbowałem, ale myśl ta jest świetna.

Pewien jegomość wracał z pogrzebu swojej teściowej. Gdy szedł obok kamienicy, spadła na niego dachówka. Jegomość podniósł głowę do góry i powiada:

- O, to mamusia jest już na górze?

W wojskowym szpitalu naczelny lekarz, przechodząc przez dziedziniec, spostrzegł żołnierza-pacjenta spacerującego z pielęgniarką pod rękę.

- Szeregowiec Molenda! Z siostrą nie spacerować, tylko w łóżku leżeć!

- Kto to była ta śliczna kobieta, z którą wczoraj szedłeś pod rękę, szczęśliwy człowieku?

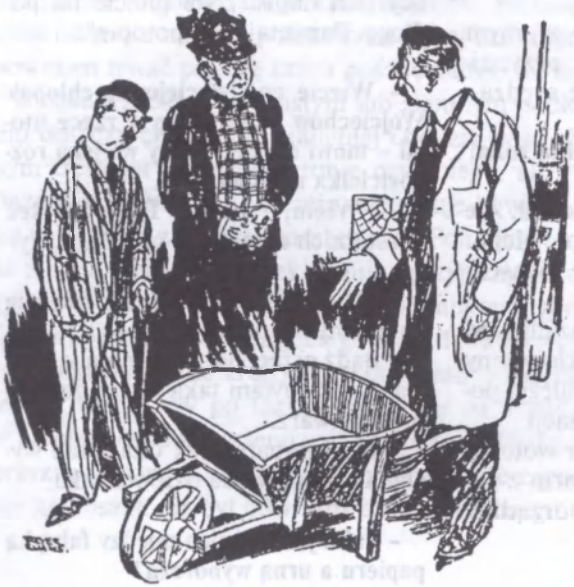
- Niestety. Pozory szczęścia bywają złudne - to była moja żona...

- Ile urlopu daje pan swym urzędnikom?

- Co roku dwa miesiące.

- Tak dużo?

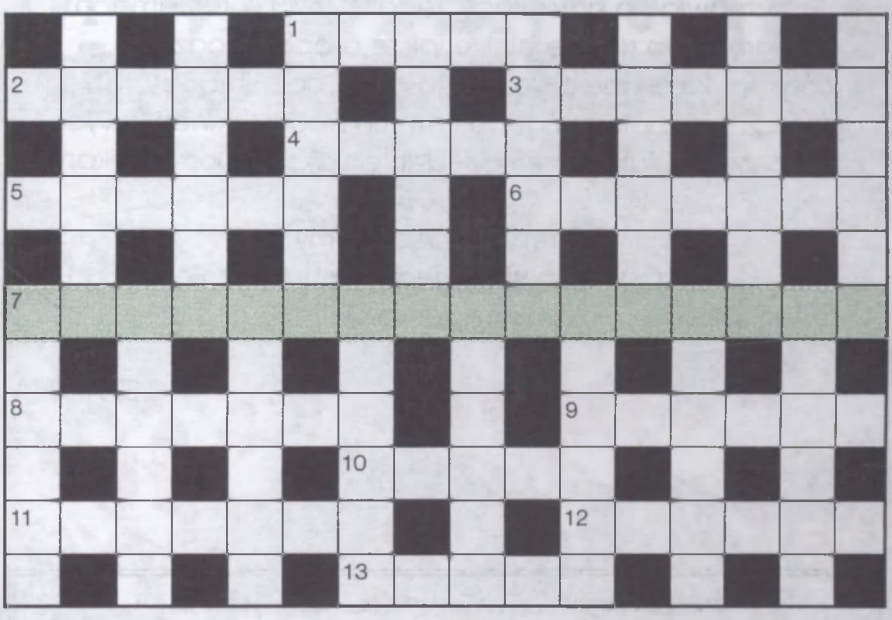
- Tak! Każdy ma jeden miesiąc obowiązkowego urlopu, a wszyscy mają drugi miesiąc, gdy ja wyjeżdżam na wakacje.



- To jest jedyny rodzaj taczek, jakie mamy na składzie.

- Dobrze - tylko niech pan mojemu mężowi dokładnie wyjaśni sposób użycia, bo on w sprawach technicznych jest całkowitym analfabetą.

KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA KOMBINOWANA

POZIOMO: 1. Gorąca... w usta parzy (przysłowie polskie). **2.** Larum, hałas, zgiełk. **3.** Rozsądek, skłonność do namysłu. **4.** Zwój o cylindrycznym kształcie. **5.** Drapieżnik, najszybszy ze ssaków. **6.** Imię Trojanowskiej. **7. ROZWIĄZANIE DODATKOWE - PRZYSŁOWIE POLSKIE. 8.** Pierwszy prezydent Czechosłowacji. **9.** Przywóz towarów z zagranicy. **10.** Przejście na wyższe stanowisko. **11.** Czas trwania poszczególnych dźwięków języka w łańcuchu mowy. **12.** Wymarły dziki koń. **13.** Drzewo lub krzew liściasty.

PIONOWO (w porządku alfabetycznym): ARNIKA, DZIAŁO, GAMBIT, IKSJON, INKASO, KAKADU, KARATE, KARDAN, MARAIS, MARIAN, MASERU, ORLEAN, REISTA, SALOME, WIROZA, ZAPORA.

Minisłowniczek mniej znanych wyrazów:

IKSJON - w mitologii greckiej król Lapitów w Tesalii

MASERU - stolica Lesoto (taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną rozlosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca kwietnia.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru lutowego: Człowiek nie ma przyjaciół. Przyjaciół ma tylko **POWODZENIE CZŁOWIEKA.**

Nagrody książkowe wylosowali: Józef Gnida - Trzyniec, **Maria Sztwiertnia** - Lutynia Dolna, **Irena Walczysko** - Trzyniec.

MINIKONKURS

Ostatni spis ludności odbył w roku 1991, narodowość polską zadeklarowało 43.479 osób.

Nagrodę otrzymuje Kubala Janina - Karwina Mizerów.

Każdego dnia w siedzibie naszej redakcji pojawiają się czytelnicy, by odebrać kolejny numer miesięcznika, porozmawiać o artykułach, redakcyjnych problemach, które są im równie bliskie jak te osobiste, rodzinne, którymi z kolei dzielą się z redakcją. Doceniając starania redakcji o pozyskanie dodatkowych środków finansowych od sponsorów, także w tej dziedzinie stają się pomocnikami.

Serdecznie dziękujemy
Panu **Oswaldowi Koniecznemu** z Niemiec
za dar sponsorski.

REDAKCJA

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny Ministerstwa Kultury RC: F 389

WYDAWCA: **POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE, IČO: 442771, przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej**

REDAKCJA: **ELŻBIETA STRÓŻCZYK** (redaktor naczelny), **CZESŁAWA RUDNIK** (redaktor), **FRANCISZEK BAŁON** (sekretarz redakcji), **ELŻBIETA KOLBER** (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: **ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN, Tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz**

RADA REDAKCYJNA: **Kazimierz JAWORSKI, Daniel KADŁUBIEC, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK**

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168 Kč, z wysyłką pocztową 240 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701028/00 z dnia 27 VI 2000 r. z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE ZESPOŁY



LIPKA

Ten dziecięcy zespół taneczny działający przy Polskiej Szkole Podstawowej w Bukowcu powstał we wrześniu 1999 roku. Prezentuje on nasz rodzimy folklor w tańcu i piosenkach i robi to żywiołowo i spontanicznie. Obok uczniów bukowieckiej polskiej szkoły w skład zespołu wchodzą również jej absolwenci. Razem Lipka liczy około trzydziestu członków, z czego dwunastu to kapela zespołu. Tu nie można nie wymienić muzykanta z krwi i kości, małego Chrystiana Heczkę, który każdym pojawieniem się na czele kapeli powoduje burzę oklasków. Tak samo fascynuje widzów cała reszta zespołu.

Zespół taneczny prowadzi Lenka Stonawska (świetliczanka szkoły bukowieckiej), kapelę Lipki prowadzi Krystyna Mruzek (nauczycielka szkoły muzycznej w Jabłonkowie).

Lipka ma na swym koncie liczne występy na imprezach szkolnych, Macierzy Szkolnej, PZKO, w tym na Święcie Gorolskim i Festynie Macierzy Szkolnej na Bagińcu.

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

OT

P.P.
701 028/00
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE ZAOLZIE

CZESKI CIESZYN

Historycznie – lewobrzeżne przedmieście Cieszyna rozbudowywane za murami miasta po roku 1700.

„Stolica Zaolzia". Ongiś miasto powiatowe. Tu są siedziby wszystkich polskich organizacji w RC, Kongresu Polaków, ZG PZKO, ZG Macierzy Szkolnej, HPC, TNP. W Czeskim Cieszynie mieszczą się redakcje: ZWROTU, Naszej Gazetki, Jutrzenki, Ogniwa i redakcja terenowa Głosu Ludu. Jest tu również Centrum Pedagogiczne dla szkolnictwa polskiego, największa na Zaolziu polska szkoła, Polskie Gimnazjum...

W Czeskim Cieszynie ma swoją siedzibę jedyna poza granicami kraju zawodowa Scena Polska (w tym roku obchodzi swoje pięćdziesięciolecie).





Zwrot

5
2001

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

TACY BYLIŚMY



Zarząd Koła Macierzy Szkolnej w Stonawie w r. 1938.

Siedzą od lewej: Antonina Kuczerowa, Karol Tomiczek, Ema Feber, Franciszek Jeżowicz, Ludmiła Szuster, Antoni Ryba, Karol Fuzek.

Stoją od lewej: Leon Bulawa, Alojzy Drózd, Józef Niemiec, Walenty Moskwa, Ludwik Polednik, Henryk Suchanek.

Właścicielem fotografii jest p. Bronisław Bulawa ze Stonawy.



Tyś mię, Matko moja miła,
Od młodości wciąż uczyła
O przyszłości śnić.
Kochać Boga, ziemię naszą,
Naszą niwę, dzielność naszą,
Przeszłość naszą czcić.

L. Zatorski.

Zwrot 5 2001

Rok LII, nr 618
Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 20,00 Kč

W NUMERZE

3	Konkretne sprawy dotyczące życia społecznego nie mogą mi być obojętne. Rozmowa z senatorem Andrzejem Febrem.	CZESŁAWA RUDNIK
12	Złudne nadzieje lat 1968–1970 (cz. 2)	STANISŁAW ZAHRADNIK
18	II Zjazd Polaków z Zagranicy (3)	RUDOLF WÓJCIK
26	Pamiętnik Józefa Kożdonia (cz. 1)	
29	Jubileusz Polskiej Szkoły Podstawowej w Karwinie Nowym Mieście	ALEKSANDRA OPIOŁ
33	Kronika: Dzień Nauczyciela w Bystrzycy; Wystawa frysztackiego Zespołu Kobiet; Prezentacje Fotograficzne; Walne zebranie PTA Ars Musica; 10 lat Towarzystwa Nauczycieli Polskich; „Dzikie łabędzie" w Bukowcu; Dr Jan Kwaśniewski w Karwinie; Kongres Ruchu Politycznego Coexistentia–Wspólnota; Dokumenty o wyborach do przedstawicielstwa okręgu ostrawskiego; Olza, Nowina i solistka Urszula Niedoba-Szczepaniak gośćmi Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie; Święto kombatantów; Konwent Prezesów; Romantyczny fortepian Wandy Miech.	
50	Matura 2004	CZESŁAWA RUDNIK
55	Aforyzmy Lecha Przeczka	
56	Poezja o matce	
58	Kaszubi a Niemcy i Polacy – szczególnie w ostatnim stuleciu	JÓZEF BORZYSZKOWSKI
64	Przez sito intymności	MAREK SŁOWIACZEK
67	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
72	XXV Bieg Piastów	A. F.
74	Fotograficy Zaolzia: Bruno Michalik	
76	Pożegnania: Emilia Bilan	
77	Mozaika	WICEK

Numer zamknięto 17. 4. 2001

KONKRETNE SPRAWY DOTYCZĄCE ŻYCIA SPOŁECZNEGO NIE MOGĄ MI BYĆ OBOJĘTNE

ROZMOWA Z SENATOREM ANDRZEJEM FEBREM

Nie było chyba w listopadzie ubiegłego roku, po ogłoszeniu wyników wyborów do Senatu Republiki Czeskiej, na Zaolziu Polaka, który, niezależnie od swych poglądów i zapatrywań politycznych oraz różnorakich nieobcych nam w naszej małej społeczności uprzedzeń, nie cieszyłby się, że w Senacie RC znalazł się „nasz człowiek" – Andrzej Feber – Polak ze Stonawy. W drugiej turze wyborów (19 listopada 2000) pokonał swoją rywalkę Miladę Halikową i jako kandydat Czterokoalicji został senatorem w okręgu wyborczym nr 74.

Andrzej Feber urodził się 19 grudnia 1951 roku w Stonawie. Ukończył Polskie Gimnazjum w Czeskim Cieszynie oraz Wyższą Szkołę Transportu i Komunikacji w Żylinie i studium podyplomowe w Wyższej Szkole Górniczej w Ostrawie. Pracował na kolei i w górnictwie. Po aksamitnej rewolucji w roku 1989 był jednym z założycieli Forum Obywatelskiego w Stonawie, w roku 1990 został starostą Stonawy. Do Senatu startował jako kandydat Unii Wolności, jednej z partii Czterokoalicji. Jego hobby to muzyka, gra na fortepianie, myślistwo, wędkarstwo sportowe, turystyka, praca w ogródku, majsterkowanie i bieganie.

Program wyborczy Andrzeja Febra zawierał sześć głównych punktów: niższe podatki, spadek bezrobocia, szansa dla absolwentów, zdrowy system opieki zdrowotnej, troska o środowisko naturalne, równość wobec prawa.

Nim przejdziemy do polityki, chciałam zapytać o sprawy rodzinne. W Pana życiorysie czytamy: Żonaty od roku 1975. Małżonka Ewa jest lekarzem pediatrą w Suchej Górnej, córka Jolanta studiuje na Uniwersytecie Masaryka w Brnie, syn Wojciech uczy się w Polskim Gimnazjum w Karwinie. Czy mógłby Pan przybliżyć naszym czytelnikom swój rodowód, opowiedzieć o swoich przodkach?

Nazwisko Feber jest w Stonawie bardzo roz-



Kampania przedwyborcza

powszechnione, ja sam pochodzę z rodziny kowala Febra, to był mój pradziadek. Ród Febrów znany był z zamiłowania do techniki. Mój ojciec Bronisław Feber był elektrykiem, przez długi okres czasu był kierownikiem zakładu energetycznego w Karwinie. Mama pochodziła z rodu Recmaników, także znanego w Stonawie, jest kuzynką Karola Recmanika. Ciekawa jest historia mojego dziadka, ojca mamy, którego zmuszono w dwudziestym chyba roku do opuszczenia tych terenów, bo był działaczem politycznym w sprawach polskości. Ożenił się w Chybiu, tam wyrosła moja mama. Jakimś zbiegiem okoliczności tam poznała mojego tatę i wróciła z nim tu na te tereny.

Pan również związał swoje losy ze Stonawą. Tu założył Pan rodzinę. Ale ostatnio nie ma Pan chyba zbyt wiele czasu dla najbliższych?

Już od roku 1990, kiedy podjąłem się funkcji starosty w Stonawie, mój tryb życia uległ zmianie. Bardzo szybko upływa mi czas, mam go mało dla rodziny. I dlatego cieszy każde spotkanie w domu. Nawet kłopoty domowe bardzo mnie interesują, np. to, że tam gdzieś zacieka czy bojler się zepsuł, trzeba kosić trawę czy drzewka obcinać, czy iść

z żoną na zakupy. To są sprawy, które są dla mnie relaksem. Dziesięć lat funkcji starosty przygotowało mnie do tego, co jest teraz. Kilka dni w tygodniu jestem w Pradze, wtedy nawet rano i wieczorem nie ma mnie w domu. Ale żona jako lekarka też dużo czasu poświęca pracy, jest bardzo zapracowana i może to powoduje, że obydwoje odczuwamy te sprawy w podobny sposób. Jesteśmy bardzo związani z sobą i z dziećmi, ale głównie przez telefon i w myślach.

Starostą Stonawy jest Pan od roku 1990. Wtedy była to wioska, która wkrótce miała prawie całkiem zniknąć z mapy, zaś po drugiej stronie granicy, w Polsce, kojarzyła się ludziom z planowaną budową koksowni i była symbolem zagrożenia ekologicznego. W jaki sposób udało się Panu zmienić ten stan rzeczy do tego stopnia, że Stonawa w finale ogólnokrajowego konkursu Wioska Roku 2000 zajęła trzecie miejsce?

To nie tylko moja zasługa, ale praca grupy ludzi w samorządzie gminy od 1990 roku. Chodziło przede wszystkim o to, by skorzystać od zaraz z ustaw, które zmieniano na korzyść obywatela, i przekonać o tym, że warto walczyć, wyborców i w ogóle wszystkich mieszkańców Stonawy. I to nam się udało. Udało nam się ludzi zmobilizować, odnowić życie społeczne, działalność organizacji. Udało nam się obudzić w ludziach odpowiedzialność, by utożsamiali się ze swoją wioską, zaapelować, by pracowali na rzecz swojej Stonawy. To była podstawa, pierwszy krok w tym kierunku, by można było potem pomyślnie pertraktować z kopalniami i innymi przedsiębiorstwami.

Żeby zostać starostą i senatorem, musiał Pan zaangażować się w działalność polityczną. Czy mógłby Pan przypomnieć naszym czytelnikom, jak przebiegała Pana droga w polityce?

Jestem zwolennikiem polityki konserwatywnej. Mogę dziękować swoim rodzicom, krewnym, wychowawcom, szkole w Stonawie za to, że mi dali takie fundamenty. Nie mogę tu pominąć roli Kościoła. Te sprawy spowodowały, że skorzystałem z możliwości roku 1990 i stanąłem przeciw temu prądowi, który ciągle jeszcze tutaj chciał trwać. I to był powód, dlaczego byłem w Forum Obywatelskim, które zrzeszało zresztą szerokie masy, pragnące odnowić życie społeczne i gospodarcze, zmienić kierunek. Kiedy z tego prądu zaczęły powstawać partie polityczne, najbliższa moim poglądom wydawała się Partia Chrześcijańsko-Demokratyczna, partia nowoczesna, która wychodziła z tradycji europej-

skich, według których można było budować pewien konkretny program polityczny. Nie mieliśmy tu na tym terenie wpływu na to, że doszło do jej połączenia z Obywatelską Partią Demokratyczną. Wydarzenia roku 1997 są wszystkim znane, sprzeczki, do jakich doszło w najwyższym kierownictwie, sprawy podatkowe, sprawy sponsorskie. Ja z moimi przekonaniami od razu wiedziałem, że moje miejsce będzie w Unii Wolności i tam działam.

Przeciwnicy Unii Wolności twierdzą, że jest to partia ludzi, którzy żyją w własnym świecie, w oderwaniu od rzeczywistości, od prawdziwego życia.

Jestem przekonany, że siła partii nie spoczywa w ilości jej członków. Partie, które mają wielu członków, nie zawsze są partiami mocnymi. Na odwrót, mogą być partiami słabymi, jedynie umiejętnie zabiegającymi o pozyskanie społeczeństwa. Natomiast są partie z małą ilością członków, którym udaje się zyskać dużą ilość wyborców. To świadczy o ich konkretnym programie. Unia Wolności jest dziś jedną z partii Czterokoalicji, popiera jej program. Chodzi przede wszystkim o przeprowadzenie faktycznej reformy, reformy społecznej, w tym reformy podatkowej, reformy administracji publicznej. A w tym kierunku nie wszystkie partie, chociaż mają to w swoim programie, działają. Głównym motywem mojej działalności jest zabieganie, by okręgi, które teraz powstały, były zarodkiem decentralizacji władzy państwowej. Bo kto, jak nie ten, kto ma najbliżej do wyborcy, zna problemy regionu. I to jest nadzieją na rzeczywiste powstanie i działanie regionów ponadpaństwowych, a mam tu na myśli region śląski.

Czy nie wydaje się Panu, że mógłby Pan dla dobra regionu zdziałać więcej, będąc w Ostrawie w samorządzie okręgu niż w Senacie daleko w Pradze?

Praca ustawodawcza zawsze będzie przebiegać w parlamencie. A dobre ustawy, korzystne dla rozwoju okręgu, są ważnym aspektem dla pomyślnego przebiegu reformy. To jedna sprawa. Poza tym, mamy przecież w okręgu innych ludzi, np. Zdzisława Wantułę, którzy podjęli się tej pracy i chcą tę misję dobrze pełnić. A chodzi tutaj również o współpracę z nimi.

Jak zostaje się senatorem?

Już tradycyjnie zostałem oddelegowany na ogólnopaństwowe zgromadzenie Unii Wolności w Brnie w ubiegłym roku w marcu i tam koledzy, m.in. wspomniany już Zdzisław Wantuła, doszli do wniosku, że mógłbym kandydować na senatora. Rozważyłem



Andrzej Feber z żoną i rodzicami w kręgu rodzinnym

całą sytuację, swoje możliwości i powiedziałem sobie, że może jestem w stanie, a dziś już jestem przekonany, że jestem w stanie wypełnić misję senatora w sposób pozytywny i działać nie tylko na rzecz Stonawy, ale szerszego regionu, naszego, zaolziańskiego. Później były wybory wewnętrzne w Unii Wolności, gdzie byłem na pierwszym miejscu, potem wybory w Czterokoalicji, gdzie otrzymałem nominację na kandydata.

Jaką funkcję pełni Pan w Senacie, jakie są Pana konkretne zadania?

Jestem członkiem komitetu konstytucyjno-prawnego (ústavně-právní výbor) oraz mandatowego i ds. immunitetu (mandatní a imunitní výbor). Pracy jest dużo, bo jak już wspomniałem, chciałbym działać na rzecz naszego regionu w sposób konkretny. Będę się starał przyśpieszyć proces rozpoczęcia faktycznego działania okręgów, bo na razie jest to formalne.

Jak widzi Pan z perspektywy kilku miesięcy swoją pracę senatora i zarazem starosty Stonawy? Czy nie dzieje się to ze szkodą dla którejś z tych funkcji?

Rozważałem tę sprawę już przed wyborami i doszedłem do

wniosku, że samorząd Stonawy jest na tyle zorganizowany i wspólnie z pracownikami Urzędu Gminnego zdolny do działania, że bezpośrednio nie trzeba nadzorować tego działania. Idziemy już konkretną drogą, nie trzeba zmieniać strategii. I to się teraz potwierdza. Oczywiście jest to dla mnie pewien wysiłek, bo w dniach, kiedy jestem w regionie, muszę swój czas poświęcić dla gminy, na niekorzyść rodziny. Ale myślę, że będę w stanie dotrzymać tego, co obiecałem przed wyborami.

Został Pan senatorem, czyli powinien Pan bronić zasadności istnienia Senatu. Pozwolę sobie jednak poruszyć ten dyskusyjny od kilku lat temat i zapytać: Czy Senat jest potrzebny?

Można by na ten temat dyskutować, myślę jednak, że taka dyskusja miała miejsce, kiedy tworzono Konstytucję Republiki Czeskiej i zdecydowano, że Senat będzie. Kiedy postanowiłem kandydować do Senatu, byłem przekonany, że jako senator mogę być potrzebny dla całej tej sprawy, dla podniesienia rangi Senatu. To, że Izba Posłów ma inną, powiedziałbym, dogodniejszą pozycję, było spowodowane tym, że zaistniała przed Senatem i to właściwie ona przygotowywała ustawy o Senacie i jego działalności.

Politycy, zwłaszcza ci na najwyższym szczeblu, powinni przestrzegać zasad moralnych, być wzorem dla społeczeństwa, jednak często jest wręcz na odwrót i co gorsza, nie poczuwają się do winy. Co Pan sądzi na ten temat?

Chodzi o zachowanie etyczne każdego członka parlamentu, ale są oni odzwierciedleniem naszego społeczeństwa, czyli nas samych. Innymi słowy, często widzimy błędy innych, a nie widzimy własnych. Zgadzam się jak najbardziej z tym, że w pewnych sytuacjach, a przykładów jest wiele, ludzie odpowiedzialni za pewne wydarzenia, chociażby to nie było wykroczenie przeciw ustawie, powinni wiedzieć, kiedy mają odejść.

Wróćmy do Pana programu wyborczego. Jak ocenia go Pan dziś? Czy jest możliwy do zrealizowania?

Myślę, że jeszcze jest troszeczkę za wcześnie na podsumowywanie i ocenianie, co się uda, a co nie. Jestem jeszcze w okresie wstępnym, kiedy takim szerokim frontem staram się analizować i działać na rzecz wszystkich punktów mego programu. Oczywiście są sprawy, które można przyśpieszyć, np. połączenie regionu z resztą kraju czy Europą, mam na myśli komunikację drogową czy kolejową, to wiąże się

z zatrudnieniem. Praca z młodzieżą, to również łączy się z zatrudnieniem, odpowiedzialność za życie publiczne młodzieży – to są konkretne sprawy, które chciałbym przyśpieszyć.

Przejdźmy teraz do spraw naszej polskiej mniejszości. Jako starosta patronował Pan wspólnym polsko-czeskim imprezom, popierał Pan polskie inicjatywy na terenie Stonawy?

Obserwując życie społeczne Stonawy odniosłem wrażenie, że zarówno Polacy jak i Czesi podchodzą do spraw wspólnego życia publicznego, życia kulturalnego z pewną rezerwą, która według mnie wynika z przesądów, antagonizmów z przeszłości. Po wojnie sztucznie utrzymywano takie stosunki, stosując nakazy i zakazy. Wydaje mi się, że udało nam się znieść te bariery. Zorganizowaliśmy różne imprezy, na których mogli zaprezentować się jedni i drudzy, spotkania, rozmowy między ludźmi obu narodowości. Staramy się życie społeczne budować na zasadach obywatelskich, a nie narodowych. Wtedy każdy człowiek bez względu na narodowość może pokazać swoje możliwości. To sprawia, że ludzie nie są wobec siebie nieufni, bo widzą, że mogą współzawodniczyć ze sobą na równych prawach. I to w odniesieniu do kultury przyniosło efekty.

A z konkretnych spraw była to pomoc w organizowaniu imprez, np. otwarcie odremontowanego Domu PZKO, stulecie polskiej szkoły. Dużym problemem była polska szkoła, która to najgorsze ma już chyba za sobą. Ze względu na małą ilość dzieci groziło jej zamknięcie. Doszło do połączenia organizacyjnego z czeską szkołą, podkreślam, organizacyjnego, a nie faktycznego, kiedy kierownictwo tych placówek wzięło na siebie odpowiedzialność za ich istnienie i sprawność działania.

Każdy z nas, Polaków, przeżywa codziennie takie sytuacje, kiedy trzeba zadeklarować swoją tożsamość narodową. Bardzo łatwo rozmawiać po polsku z sąsiadami, w najbliższym sklepie, w swojej wiosce, gdzie wszyscy nas znają. Trudniej przyznawać się do polskości wśród obcych, np. w urzędzie, wśród ludzi nieprzyjaźnie do nas nastawionych. Czy uważa Pan, że warto wtedy korzystać z prawa do używania swojego języka i narażać się przez swoją odmienność?

Każdy powinien sam przed sobą składać rachunek, jaki jest jego stopień świadomości narodowej. Oczywiście mniejszość, jakakolwiek, zawsze jest w mniej dogodnej sytuacji. Tutaj znowu musimy wrócić do sprawy etyki, poziomu moralnego człowieka.

To, że będę mówił w urzędzie po polsku, że będę deklarował, że jestem Polakiem, wiąże się z pewnymi przykrościami, których muszę oczekiwać, ale z drugiej strony muszę rozważyć to w swoim sumieniu i w poczuciu dumy narodowej. To samo można powiedzieć również o sprawach wyznaniowych, chrześcijańskich. Ja mam w swym biurze znaki chrześcijańskie i widzę, że niektórzy na to dziwnie patrzą. W każdym wypadku ta odwaga i siła łączy się z naszymi zdolnościami do działania na rzecz pewnych spraw publicznych.

A jak wygląda Pana polskość w Senacie? Czy inni senatorzy wiedzą o tym, że jest Pan Polakiem?

Ja się tym nie chwalę, ale kolega senator Petráš z Karwiny powiedział o tym zaraz przy pierwszej okazji i było to dla mnie bardzo przyjemne. Samemu się chwalić nie wypada, ale jeśli on powiedział, że tutaj mamy jedynego Polaka w parlamencie, to dlaczego nie.

Czy Pan jako senator może forsować sprawy naszej mniejszości?

Jak działać na rzecz Polaków na Zaolziu czy w ogóle w Republice Czeskiej? Najpierw trzeba nazwać krąg problemów, które chcemy rozwiązać. Z czego jesteśmy lub nie jesteśmy zadowoleni, np. w sprawie napisów w języku polskim na instytucjach państwowych czy w sprawie szkolnictwa, tak u nas dyskutowanej. Później można działać w tym kierunku, ale wcześniej powinna mieć miejsce szeroka polemika wewnątrz naszej grupy narodowej. Sami sobie musimy wyjaśnić, czego chce większość z nas. Wiadomo, że zawsze będzie ktoś niezadowolony, ale nie chcę przez to powiedzieć, że wszystko jest w porządku. Ja jestem zdania, że mamy duże możliwości, by bardziej podkreślać swe wartości kulturowe i społeczne w tych warunkach, które istnieją. Ale musimy się do tego przyczynić, chociażby przez członkostwo w chórze, działalność w organizacjach polskich. Dużo o tym mówimy, ale sami się do tego nie przyczyniamy.

Nie mogę nie zapytać Pana przy tej okazji o ustawę o prawach mniejszości narodowych.

Bardzo interesuje mnie ta sprawa. Ustawa jest w procesie tworzenia, teraz odbywa się czytanie w Izbie Posłów. Będzie jeszcze na ten temat polemika. Na pewno są jeszcze pewne konkrety, które należy poprawić, ale jestem zadowolony, że w ten sposób została udokumentowana pozycja mniejszości narodowych czy etnicznych tutaj w Republice

Czeskiej. Może trochę za późno, ale to przecież pierwsza taka ustawa.

Ma Pan senator swoją stronę internetową: www.feber.cz, gdzie można skontaktować się z Panem drogą elektroniczną, ale proszę powiedzieć, gdzie wyborca może spotkać się z Panem osobiście i z jakimi problemami może się do Pana zwrócić?

Kancelaria senatorska znajduje się w Hawierzowie (ul. Dlouhá 3), gdzie w każdy dzień powszedni można u asystentki zaczerpnąć informacji. Można się też spotkać ze mną w Stonawie. Będzie funkcjonowała także kancelaria w Boguminie obok Urzędu Miejskiego, gdzie również będę dojeżdżał. Rola senatora spoczywa w działaniu na rzecz opracowywania i uchwalania ustaw, jest to praca ustawodawcza. Każdy senator powinien czuć się odpowiedzialny za losy swojego terenu, swoich wyborców i właściwie ta misja w pewien sposób ogranicza możliwości działania w sprawach rozwiązywania konkretnych problemów dotyczących spraw prywatnych, to każdy powinien sobie uświadomić. Jednak konkretne sprawy dotyczące życia społecznego nie mogą mi być obojętne.

Dziękuję bardzo.

CZESŁAWA RUDNIK



ZŁUDNE NADZIEJE LAT 1968-1970 (2)

Krótki okres „praskiej wiosny" zakończył się w sposób nadzwyczaj dramatyczny inwazją wojsk pięciu państw Układu Warszawskiego na Czechosłowację 21 sierpnia 1968 roku. Od tego tragicznego dnia zaczęły stopniowo rozwiewać się wszelkie nadzieje na demokratyzację życia publicznego. Nastał okres „normalizacji".

Dokonano analizy przyczyn wydarzeń z lat 1968-1969 i zaczęto przeprowadzać gruntowną „czystkę" początkowo w rzeszach członków partii, później w administracji państwowo-gospodarczej, w świecie kultury, nauki itp. Chociaż formy „normalizacji" nie były tak drastyczne jak w latach 50., to jednak skutki okazały się niebagatelne, w każdej dziedzinie aktywności ludzkiej doszło do olbrzymich spustoszeń, wypaczeń charakterów. Liczyła się ideowa wierność czy przydatność nowemu kierownictwu partii, po niej dopiero przygotowanie fachowe czy wartości moralne człowieka.

Wszystkie pociągnięcia związane z „normalizacją" dotyczyły także społeczności polskiej na Zaolziu, w dodatku na sprawy obywatelskie nakładały się tu sprawy narodowościowe. Usunięto w cień większość czołowych działaczy społeczno-narodowych. Usiłowania o utworzenie ciała reprezentacyjnego Polaków w Czechosłowacji w zmienionych warunkach rozpoczynającej się „normalizacji" nie miały najmniejszej szansy powodzenia i upadły. Podobnie wyglądała sprawa z budową okazałego Domu Związkowego Polaków w Czeskim Cieszynie.

Obiecujący rozwój Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej w 1969 roku hamowany był w związku z niewyjaśnioną sprawą braku zatwierdzenia statutu przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Sytuacja SMP na początku 1970 roku po półtorarocznej walce o zarejestrowanie bez perspektywy pozytywnego finału wymagała podjęcia definitywnej decyzji. Na nadzwyczajnym zebraniu plenarnym 24 II 1970, które miało przedłożyć Zjazdowi wniosek o dalszym postępowaniu, zadecydowano o autonomii przy jednym z ogólnokrajowych stowarzyszeń młodzieżowych - Związku Klubów Młodzieży. Ten przyrzekł, że zaakceptuje status, budżet i zachowa aparat SMP. Nie chciano przekreślić własnego głosu na platformie młodzieżowej i Frontu Narodowego czy zrezygnować z udogodnień innych organizacji młodzieżowych, co stałoby się w wypadku ponownego przejścia pod opiekuńcze skrzydła PZKO.

Planowany na 25 II 1970 II Zjazd SMP został odgórnie zakazany.

Ewentualną autonomię przy Związku Klubów Młodzieży przekreśliły tendencje nowego kierownictwa partyjnego, zmierzające do ponownego ujednolicenia ruchu młodzieżowego w państwie. Rzeczywiście w połowie 1970 roku miejsce dotychczasowej federacji związków młodzieżowych zajął nowo utworzony jednolity Socjalistyczny Związek Młodzieży (Socialistický svaz mládeže). Polska młodzież tylko częściowo włączyła się do aktywnej pracy w nowym Związku. Szukała możliwości i opieki w PZKO.

Rok 1970 był również zmierzchem krótkiej historii wznowionego Harcerstwa Polskiego w Czechosłowacji w latach 1968–1970. Dnia 21 I 1970 odbyła się II Konferencja HPC w Klubie PZKO przy ul. Bożka w Czeskim Cieszynie, wybrano nowe Naczelnictwo, ale już było jasne, że nie da się utrzymać istniejącego stanu. Władze HPC uparcie broniły swej organizacji przed jej wchłonięciem do jedynej skomasowanej organizacji dziecięcej. Ostatni wysiłek w tym kierunku miał miejsce 20 V 1970, gdy do Pragi udała się delegacja w składzie Wł. Wróbel, Wł. Sztebel, M. Piszczek i J. Matloch, by jeszcze raz próbować przekonać Radę Centralną OP o słuszności swych racji. Niestety bezskutecznie. Dnia 27 V 1970 działalność HPC została oficjalnie zakończona. Harcerstwo Polskie w Czechosłowacji podzieliło los wielu innych organizacji, które nie mieściły się w układach nowej polityki CSRS.

W zaistniałej sytuacji kadra harcerska miała trzy wyjścia: zrezygnować z pracy z młodzieżą, kontynuować działalność nielegalnie lub ratować, co się da, i „robić swoje" na tyle, na ile się da. Większość kadry wybrała trzecią możliwość. Dzięki nieustępliwym staraniom dotychczasowego Naczelnictwa HPC wywalczono powstanie komisji powiatowych i okręgowej do spraw polskich drużyn i szczepów, co było pewnym rodzajem autonomii. Szefami komisji zostali Wł. Sztebel (okręgowej), M. Piszczek (Karwina) i Jan Raszka (Frydek-Mistek). Komisje te, zredukowane później do jednej - okręgowej, były inicjatorami wielu imprez, które przetrwały do dziś, np. Rajdów Beskidzkich, spotkań zuchowych czy też kursów dla przybocznych i drużynowych w okresie świątecznym. W ten sposób duch oraz tradycja harcerska nie zginęły i zaowocowały po kolejnych dwudziestu latach.

Rzecz jasna, najważniejszą „normalizacją" zarówno dla społeczności polskiej jak i dla organów partyjno-rządowych była stabilizacja stosunków w PZKO. Ostateczne rozliczenie całego okresu przeprowadzono na XI Zjeździe PZKO 23 X 1971. Jednakowoż zanim do tego doszło, miały miejsce w ramach Związku akcje, na których w zależności od sytuacji politycznej w kraju szukano odpowiedniego wyjścia, by kosztem jak naj-

mniejszych ofiar ratować istnienie Związku i możliwości jego działalności na niwie narodowej. Sytuacja była złożona i trudna m.in. dlatego, że wzrastała liczba członków organów związkowych przekonanych rzeczywiście lub tylko pozornie o słuszności i konieczności „normalizacji" w duchu poczynań nowego kierownictwa partyjnego.

Porządkowanie sytuacji wewnątrz PZKO postępowało niemrawo, w każdym razie nie tak, jak wymagała tego partia. Dopiero na plenarnym zebraniu ZG 7 X 1969 podjęto uchwałę o odwołaniu wszystkich błędnych rezolucji i dokumentów ZG oraz doszło do pierwszych przesunięć w składzie Prezydium, jak również do rezygnacji niektórych członków Plenum. Równocześnie została odwołana rada redakcyjna Zwrotu, zmieniono redaktora naczelnego. Ponieważ realizacja powyższych uchwał nie przynosiła pożądanych efektów, na zebraniu plenarnym 5 V 1970 przeprowadzono ostateczne zmiany w składzie organów związkowych (Komunikat, Zwrot nr 5/1970, s. 3), a następne zebranie plenarne 15 VI 1970 na wniosek Prezydium przyjęło następującą uchwałę: *Plenum ZG PZKO po dokładnym zaznajomieniu się z uchwałą X Zjazdu PZKO (r. 1968 - S.Z.), w celu dokończenia konsolidacji w organach związkowych, uznaje uchwałę tę, przyjętą w atmosferze narastania tendencji oportunistycznych Związku za politycznie błędną w całej rozciągłości. Uchwała bowiem werbalnie uznawała kierowniczą rolę partii, zaś wysuwanymi żądaniami oraz programem działania rolę tę negowała. Interpretacja oraz realizacja uchwały w konsekwencji doprowadziły do wyrugowania kierowniczej roli partii z systemu działania Związku, przekształciłaby PZKO w organizację polityczną. Koncepcja taka jest niezgodna z linią polityczną, którą PZKO jako członek Frontu Narodowego akceptował, nie odpowiada założeniom PZKO. W związku z powyższym Plenum wstrzymuje realizację uchwały przez organ związkowy i wszystkie jego komisje. ZG poleca Prezydium oraz Sekretariatowi opracować plan pracy do końca roku oraz na rok przyszły w terminie przyspieszonym. Plan, który będzie respektował uchwałę organów partyjnych, szczególnie kwietniowego plenum Komitetu Centralnego KPC, dotyczącą naszej działalności oraz obejmował będzie podstawowe zadania działalności kulturalno-oświatowej w terenie. Po zaakceptowaniu planu przez organ związkowy Plenum zaznajomi z zadaniami odpowiednią formą aktyw terenowy (AZ ZG PZKO, sygn. 25/10).* Tak więc anulowanie uchwały zjazdowej uwolniło drogę do konsolidacji sytuacji wewnątrz PZKO w myśl odgórnych nakazów.

Po uprzednich przygotowaniach przebiegających pod ścisłym nadzorem okręgowych władz partyjnych wytyczono datę XI Zjazdu PZKO na 23 X 1971. Zjazd musiał być drobiazgowo przygotowany tak, by nie do-

szło do niepożądanych dla „normalizatorów" wydarzeń. Pod tym kątem dobierano delegatów Zjazdu i kształtowano przyszłe władze związkowe, a wszystko to pod bacznym okiem partii.

Zjazd spełnił oczekiwania organizatorów, wszystkie jego poczynania przebiegały zgodnie z duchem „normalizacji", sprawy wszystkich niedawno postulowanych wzniosłych przedsięwzięć na polu narodowym całkowicie pominięto.

Z bogatego materiału zjazdowego poświęcimy uwagę ocenie kryzysowego okresu w referacie sprawozdawczym oraz niektórym wypowiedziom delegatów i gości.

Sekretarz ZG PZKO Henryk Szmeja w swym sprawozdaniu przytoczył m.in.: *Dzisiaj, kiedy Związek zagaja 25. rok swego istnienia, musimy się poważnie dziwić niektórym doświadczonym działaczom Związku, że pomimo 20-letniej przeszło aktywności i zdobytych doświadczeń, nie potrafili w 1968 roku rozróżnić, kto jest naszym przyjacielem, a kto naszym schlebiającym wrogiem. Ci ludzie, choć była ich maleńka garstka, w imię fałszywie pojętej jedności i demokracji, zdradzili poprzednio przez nich głoszone klasowe i internacjonalistyczne idee. Zaczęli negować kierowniczą rolę partii, zapomnieli, że właśnie partia była, jest i będzie jedyną siłą polityczną w naszym kraju, gwarantującą nie tylko spokojny, radosny rozwój republiki, a tym samym naszej grupy narodowej, a wręcz jej istnienie. Ocena lat 1968-1969 w PZKO z jednej, a wkład w normalizację i stabilizację życia społeczeństwa z drugiej strony wskazuje, że powodem błędów i niedociągnięć nie była nigdy działalność większości działaczy czy członków w PZKO, ale tylko kilku poszczególnych osób, niestety osób wpływowych i popularnych. Ludziom tym nie wystarczyło, że posiadają dostateczną popularność, starali się dyktować, narzucać, chcieli być jakimiś prowodyrami społeczeństwa. Kilku redaktorów, kilku działaczy ZG oraz niektórzy działacze Kół starali się poprzez nieuzasadnioną krytykę i oczernianie usunąć z działania związkowego doświadczonych, ale dla nich niewygodnych działaczy ZG. Pracowali metodą zastraszania, można by tu przytoczyć wiele przykładów, ale ograniczymy się tylko do przypomnienia ataku przeprowadzonego na X Zjeździe na niektórych członków Prezydium Zjazdu oraz próbę otoczenia sensacjami spraw związanych z rehabilitacją niektórych działaczy.*

Okres kryzysu w rozwoju Związku notuje się już przed X Zjazdem, kiedy to niektóre jednostki zaczęły domagać się rzecznictwa PZKO w sprawach dotyczących całego społeczeństwa. Negowano kierowniczą rolę partii, atakowano po wydarzeniach styczniowych tak zwanych mało aktywnych, w przygotowaniach X Zjazdu eliminowano działaczy i niektórych pracowników. Modyfikowano rzekomo przygotowania X Zjazdu, które skończyły się tak, że

nie opracowano projektu wniosku uchwały, w wyniku czego Zjazd przyjął niedostatecznie sformułowaną uchwałę i nieuzgodnione propozycje poprawek statutu. Okres ten cechowało również wiele bezcelowych zebrań, nielogiczne zadania dotyczące kierunku polityki narodowościowej. W okresie tym dzięki politykowaniu ze strony ZG została poważnie zaniedbana działalność kulturalno-oświatowa. Na szczęście dzięki aktywności Kół i pracy większości członków Zarządu, członków ZG i niektórych pracowników aparatu ZG nie doszło do poważniejszych zakłóceń w działalności terenowej.

Równocześnie z normalizacją życia w Komitecie Centralnym Partii oraz całej partii wielu działaczy Związku oraz część pracowników aparatu ZG uświadomiła sobie konieczność szybkiego usunięcia przyczyn istniejących braków. Odbyło się wiele dyskusji w organach ZG, w sekretariacie oraz w rozmowach indywidualnych. Przy aktywnej pomocy niektórych działaczy Komitetu Okręgowego Partii oraz przedstawicieli Konsulatu PRL w Ostrawie, w wyniku długich dyskusji, zarysowało się wyraźne zróżnicowanie poglądów oraz zaostrzenie konfliktów (...) (AZ ZG PZKO, sygn. 25/10). To nie miejsce na merytoryczną analizę powyższego ujęcia wydarzeń kryzysowych w PZKO na XI Zjeździe PZKO. Można tylko stwierdzić, że ocena była tak formułowana, by zadowolić władze partyjne, a zarazem ratować Związek przed bardziej tragicznymi następstwami.

Dla uzupełnienia obrazu ogólnej atmosfery zjazdowej przytoczymy jeszcze kilka fragmentów wypowiedzi delegatów i gości.

Miroslav Čapka, sekretarz KO KPC, Ostrawa: *Váš sjezd by nesplnil své poslání uvnitř PZKO, kdyby k těmto projevům pravicového oportunismu a nacionalismu nezaujal stanovisko a současně neukázal na kořeny těchto nepřátelských názorů. Hlavní nositelé těchto oportunistických názorů uvnitř PZKO byli odhaleni a z vašich řad vyloučeni. Bylo to zásluhou těch, kteří v těchto vážných letech prokázali svou věrnost dělnické třídě, straně, věrnost marxismu-leninismu, věrnost zásadám proletářského internacionalismu i socialistického vlastenectví a otevřeně se postavili proti projevům nacionalismu a oportunismu ve vlastních řadách. Všem těmto členům PZKO, komunistům i nečlenům strany, vyslovuji jménem severomoravského KV KSČ soudružský dík a uznání za jejich statečný boj (...).*

Konsul generalny PRL Ostrawa Władysław Herman: *Dziś dzięki polityce KPC opiekę nad polską mniejszością narodową sprawuje państwo, które finansuje państwowe szkolnictwo, instytucje oświatowe i kulturalne, pielęgnujące polski język i kulturę. Cele nasze są zbieżne i wzajemnie na siebie oddziałują, wspólnie z narodami czechosłowackimi budujemy socjalizm, zaś państwo czechosłowackie, uznając Wasz wszechstronny wkład, chroni i zabezpiecza Wasze prawa do kultywowania naszych narodowych tradycji.*

Stanisław Kondziołka, redaktor naczelny Głosu Ludu: *Chyba to Zjazd wzruszeń. Przypominając sobie X Zjazd - dyskusja miała wtedy na pozór charakter bardzo żywy, była żywiołowa i właściwie nic nie wniosła do działalności związkowej. Dzisiejsze przyczynki są przemyślane i czerpać z nich można w dalszej działalności.*

Jedyny krytyczny głos z sali: *Studentom delegatom nie spodobała się dyscyplina dyskutantów. Z tej racji nie mogliśmy wystąpić a szkoda, bo jednym z zagadnień, które miało być poruszone w naszym przyczynku, to mała znajomość szerszemu ogółowi rodaków spraw naszej Sekcji. Dlatego przypominamy delegatom, żeby nie zapomnieli o tych, których żądza wiedzy rzuciła po miastach akademickich, a którzy w końcu wrócą na rodzinny teren. Przedstawiciele SAJ.* Dla wyjaśnienia: „Z braku czasu" przedstawiciela SAJ nie dopuszczono do głosu.

No i wreszcie najważniejszy punkt uchwały zjazdowej: *Zjazd zatwierdza działalność ZG i wszystkie uchwały podjęte w ramach normalizacji warunków pracy PZKO. Potwierdza słuszność wniosku o wstrzymanie realizacji uchwał X Zjazdu PZKO i uchwały te anuluje. Zjazd zatwierdza referat i sprawozdanie Komisji Rewizyjnej, zobowiązuje ZG do realizacji kierunków działania zawartych w tych dokumentach oraz realizacji konkretnych wniosków wypływających z nich.* (Zwrot, nr 11/1971, s. 3-4).

Zjazd wybrał nowe władze związkowe: Prezydium (11 osób), Plenum ZG (40) i Komisję Rewizyjną ZG PZKO (5). Funkcję przewodniczącego ZG powierzono Eugeniuszowi Suchankowi, wiceprezesami zostali Józef Macura, Stanisław Kondziołka, Józef Foltyn, sekretarzem ZG Henryk Szmeja, członkami Prezydium Janina Matloch, Ludwik Cienciała, Tadeusz Chrząszcz, Rudolf Popiołek, Gustaw Sajdok, Franciszek Szopa. Kierownictwo grupy partyjnej przy ZG PZKO stanowili Stanisław Kondziołka, Józef Foltyn i Henryk Szmeja.

Wspomnieć należy również o sytuacji w Sekcji Literacko-Artystycznej ZG PZKO. W omawianym okresie zrzeszała ogółem 51 członków w czterech pionach: plastycznym, literackim, muzycznym i fotografików. Zdecydowana większość członków włączyła się w nurt odnowy, prostowania wypaczeń i demokratyzacji życia społeczno-narodowego. Po zmianie kursu politycznego nastały dla SLA kłopoty. W Głosie Ludu z dnia 24 X 1970 pojawiło się oświadczenie SLA przy ZG PZKO, w którym m.in. czytamy: *Zgadzając się w pełni z realistyczną polityką naszego Związku, zgodną z linią partii komunistycznej, musimy trzeźwo spojrzeć na zaistniałą sytuację, szczególnie w pionie literackim. Krytycznie oceniamy niektóre osobiste wystąpienia członków SLA oraz ich zbyt emocjonalne, niewłaściwe zaangażowanie. Ich twórczość i pochopne wystąpienia spowodowały*

częściową dezorientację naszego społeczeństwa oraz krytyczny stan na polu działalności publicystyczno-literackiej. Nasze obecne przekonania zgodne z racją SLA, posłannictwem PZKO wymagają, abyśmy się od tych wystąpień odcięli. Oświadczamy, że własną twórczością zadokumentujemy swój pozytywny stosunek do obecnej linii partii, w pełni angażując się w pracy naszego Związku dla dobra ludu naszego społeczeństwa. Równocześnie zobowiązujemy się, że również w związkach twórczych w pełni będziemy popierać wytyczne partii. Oświadczenie to podpisała połowa członków SLA łącznie z czołowymi działaczami Sekcji.

Oceniając całokształt poczynań PZKO na przestrzeni jego istnienia, stwierdzamy, że lata 70. po przeprowadzeniu „normalizacji" należą do najaktywniejszego okresu Związku.

Sprawy dyskryminacyjne tego okresu omówimy w części trzeciej tego opracowania.

c.d.n.

STANISŁAW ZAHRADNIK

II ZJAZD POLAKÓW Z ZAGRANICY (3)

W poniedziałek dnia 6 sierpnia w gmachu Sejmu przy ul. Wiejskiej rozpoczął się II Zjazd Polaków z Zagranicy. Początek obrad zjazdowych wyznaczono na godz. 8 min. 45, ale otwarcie nastąpiło z półgodzinnym opóźnieniem. Widok wielkiej sali sejmowej, w której odbywać się mają obrady plenarne zjazdu, odbiega znacznie od zwykłego widoku sali. Przede wszystkim przystrojono ją odświętnie w barwy narodowe, wieńce i chorągwie. Nad podium ściana udekorowana została wielkim orłem ze srebrnej blachy, obok którego widnieją z tej samej blachy wykute litery: I.M. i J.P. Obok umieszczono olbrzymią podobiznę Krzyża Niepodległości z napisami Bojownikom Niepodległości. Wokół półokrągłej ściany sali umieszczono herby największych miast polskich.

Odmiennie też wyglądają miejsca zajmowane zwykle przez posłów. Dzisiaj rozsiedli się w nich delegaci z rozmaitych krajów świata, przynoszący z sobą cechy charakterystyczne rozlicznych krajów, które zamieszkują.

Na ławach ministerialnych widzimy dzisiaj w pierwszym rzędzie przyodzia-

nego w purpurę księdza kard. Hlonda i ks. biskupa polowego Gawlinę w płaszczu amarantowym. Obok dostojników Kościoła zajął miejsce zastępca premiera minister Zawadzki, urzędujący wicemarszałek Sejmu Car, a dalej w ławach ministrowie: Kościałkowski, Beck, Kaliński, Paciorkowski, Butkiewicz, prezes NIK Krzemiński, podsekretarze stanu Doleżal, Piestrzyński, Bobkowski, Drzewiecki, Piasecki, prezes prokuratorii generalnej Bukowiecki, prezydent miasta Warszawy Starzyński i inni. Po przeciwległej stronie trybuny ławy podsekretarzy stanu przeznaczone są dla członków Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy z prezesem Raczkiewiczem, wiceprezesami Hełczyńskim i b. marszałkiem Szymańskim na czele. Trybuny dla publiczności wypełnione są do ostatniego miejsca gośćmi i rodzinami delegatów. Tak samo przepełniona jest loża prasowa, gdzie oprócz zwykłych sprawozdawców parlamentarnych warszawskich rozgościli się dziennikarze polscy z zagranicy.

O godz. 9 min. 16 ukazuje się na podium prezydialnym marszałek Senatu Raczkiewicz w charakterze prezesa Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, witając przybyłych najserdeczniej w imieniu Rady i całej Polski. Po załatwieniu spraw regulaminowych wiceprezes Rady dr Hełczyński odczytuje sprawozdanie komisji weryfikującej mandaty. Okazuje się, że prawomocni delegaci przybyli z następujących krajów: Anglii 1, Argentyny 3, Australii 1, Austrii 3, Belgii 2, Brazylii 6, Bułgarii 1, Chin i Mandżurii 2, Czechosłowacji 7, Danii 2, Estonii 1, Finlandii 1, Francji 15, Afryki francuskiej 1, Holandii 2, Jugosławii 2, Kanady 4, Litwy 4, Łotwy 4, Niemiec 20, Rumunii 5, Stanów Zjednoczonych 45, Szwajcarii 1, Turcji 1, Urugwaju 1, Węgier 2, Włoch 1. Ponadto głos na Zjeździe ma 12 członków Rady Organizacyjnej i dopuszczono 21 mandatów przedstawicieli różnych organizacji krajowych związanych z wychodźstwem. Prócz tego na wniosek prezydium Rady Organizacyjnej zjazd uznał ważność mandatów honorowych Bolesława Adamowicza, Józefa Adamowicza i mjr. Stanisława Skarżyńskiego, bohaterów Atlantyku.

Po stwierdzeniu obecności na sali potrzebnego do prawomocności uchwał quorum marszałek Raczkiewicz zaproponował wybór na przewodniczącego zjazdu p. Świetlika, cenzora Związku Narodowego Polaków w Ameryce Północnej (huczne oklaski). Na zastępców przewodniczącego ks. dr. Domańskiego, patrona Związku Polaków w Niemczech, Stefana Rejera, prezesa Rady Stowarzyszeń Polskich we Francji, dr. Wolfa, prezesa komitetu mniejszości polskiej w Czechosłowacji i Romana Paula, prezesa centralnego Zw. Polaków w Brazylii, na sekretarzy zaś: przewodniczącego delegacji argentyńskiej p. Stanisława Kowalewskiego i wiceprezesa Stowarzyszeń Polskich w Wiedniu dr. Fennenbauma. Zjazd hucznymi oklaskami przyjął te propo-

zycje, po czym marszałek Raczkiewicz zwrócił się do obranego prezydium z prośbą o zajęcie miejsc na trybunie prezydialnej, z której sam zeszedł, siadając w ławach przeznaczonych dla Rady Organizacyjnej.

Wchodzi na trybunę specjalną cenzor Świetlik, wita się z zebranymi członkami prezydium i objąwszy przewodnictwo, wygłasza przemówienie, w którym obrazuje stosunek wychodźstwa polskiego do Macierzy. Podziękowawszy za zaszczytny wybór, który go spotkał ze strony przedstawicieli emigracji, rozsianych po całym świecie, oraz na ziemi ojców, na której jest po raz pierwszy w życiu, a który uważa za uznanie dla pracy i zasług czteromilionowej Polonii amerykańskiej, której jest delegatem. Podnosi, iż potęga Polski jest dumą wszystkich Polaków poza jej granicami i ich chlubą. Długie i piękne przemówienie nagrodzono burzą oklasków. Przewodniczący zarządził przerwę w oczekiwaniu na przybycie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

Nagle rozlegają się potężne dźwięki fanfar polskich, odegrane przez czterech trębaczy 1 pułku szwoleżerów. Oznajmiają one przyjazd P. Prezydenta R.P. do gmachu sejmowego i powitanie Go u progu przez marsz. Raczkiewicza i prezesa zjazdu p. Świetlika. Po chwili Pan Prezydent ukazuje się w swej loży w otoczeniu świty, a orkiestra gra hymn narodowy. Wszyscy wstają, na sali zapanowuje niezwykły entuzjazm. Rozlegają się okrzyki: „Niech żyje Prezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej"! Owacji nie ma końca.

Wreszcie, gdy się uspokoiło, przewodniczący p. Świetlik wznawia posiedzenie i zwraca się do Pana Prezydenta z następującymi słowy: „Z najwyższą radością składając hołd w imieniu II Zjazdu Polaków z Zagranicy, witam Dostojnego Pana Prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i wznoszę na Jego cześć okrzyk: Pan Prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki niech żyje!" Nowa salwa oklasków była odpowiedzią na to powitanie.

Następnie przewodniczący odczytał depeszę, otrzymaną od p. Marszałka Piłsudskiego, treści następującej: „Wyrażając prawdziwą radość z postępującej szybko konsolidacji wśród rodaków spoza granic Rzeczypospolitej, przesyłam II Zjazdowi swoje serdeczne życzenia i pozdrowienia. Pogłębiajcie nadal solidarność naszą z krajem macierzystym i przekazujcie swojej młodzieży naszą wspólną kulturę, historię i głębokie przywiązanie do Polski. Józef Piłsudski, Marszałek Polski".

Zgromadzeni wysłuchali tej depeszy, stojąc, a po jej odczytaniu przewodniczący wzniósł okrzyk na cześć marsz. Piłsudskiego, który wszyscy trzykrotnie z zapałem powtórzyli.

Następnie przemówił prezes Rady Organizacyjnej - marszałek Raczkiewicz. Na wstępie oświadcza on, że sejm Polaków z całego świata i tych, co się znaleźli w państwach pogranicznych, i tych, którzy zawieruchą losu wyrwani

spod strzechy ojczystej ponieśli swój trud i krew w obce kraje, jest stokroć drogi sercu każdego Polaka. Tych pionierów Polski jest przeszło 8 mil., a Zjazd reprezentuje wszystkie ich skupienia. Niestety nie ze wszystkich krajów sąsiednich przybyli delegaci. (Niech żyją Polacy w Rosji sowieckiej! - rozległ się okrzyk powitany burzą oklasków.) Następnie mówca charakteryzuje ciężką pracę wychodźstwa polskiego na emigracji, zarówno w krajach Ameryki, jak i zachodniej Europy. Poświęca parę słów reprezentantom mniejszych skupień i wspomina, że dziś właśnie święci Polska 20. rocznicę wymarszu z Krakowa pierwszych oddziałów Wojska Polskiego pod wodzą J. Piłsudskiego. Jest to chwila zwrotna naszych dziejów. Odtąd budzi się walka o odrodzenie narodu. W wyniku tych zmagań stworzyliśmy państwo polskie. Doświadczenie jego wskazuje, że Polacy z zagranicy troszczą się o losy ojczyzny równie żywo, jak i jej mieszkańcy, co upoważnia ich do brania udziału w życiu Polski. Tam, gdzie są Polacy, tam żyje Polska. (Oklaski.)

Polonia zagraniczna ma epokową zasługę, że zdołała wzbudzić u obcych narodów szacunek i uznanie dla imienia polskiego. W ciągu kilkudziesięciu lat, a na niektórych terenach już w trzeciej generacji, trwa wysiłek i praca organizacyjna dla obrony wiary i narodowości ojców. To też, gdy Polonia zagraniczna zjeżdża na zjazd do stolicy Polski, jak równi do równych - jest świadectwem zwiększenia naszej siły zbiorowej. W szczególności w Stan. Zjednoczonych Ameryki kilkumilionowa ludność polska osiągnęła piękne rezultaty, piękne stanowisko. Symbolem tego jest zwycięski samolot Adamowiczów. (Burzliwa owacja pod adresem obu braci Adamowiczów, siedzących na ławach delegacji. Ci powstają i kłaniają się.)

Złączeni węzłem krwi i ducha wszyscy Polacy stanowimy nierozerwalną całość. Organizacja, którą tworzymy, jest następstwem tego wewnętrznego zespolenia Polaków. Będzie ona środkiem naszego zbiorowego działania. Skupienia polskie za granicą mają wielkie zadanie do spełnienia w zakresie współpracy kulturalnej, gospodarczej i narodowej z państwem polskim. Polacy z zagranicy nie mogą odnosić się do Polski tylko jako symbolu. Państwo polskie jest rzeczywistością z krwi i kości ludzkich zbudowaną i wymaga żywego oddźwięku i współpracy. Z tych wszystkich względów mówca wita całym sercem delegatów przybyłych z Europy, Ameryki, Afryki, Azji i Australii i ma głębokie przeświadczenie, że obrady rozpoczynające się będzie cechowała wzajemna życzliwość i zaufanie oraz należyte ocenianie doniosłości spraw, o których będzie Zjazd decydować. Huczne oklaski były podziękowaniem za piękne i wzruszające przemówienie marszałka Raczkiewicza.

Po przemowach ks. prymasa Hlonda i prezydenta miasta Warszawy Starzyńskiego przewodniczący oświadczył, że nadeszło dla Zjazdu parę

set depesz i powitań, które zostaną ogłoszone w księdze pamiątkowej Zjazdu.

Z kolei przystąpiono do krótkich powitań w imieniu wszystkich obecnych delegatów. Pierwszy głos uzyskał dr Smykowski, delegat Polaków ze Stanów Zjedn., który nawiązując do odwiecznych tradycji polskich w Nowym Świecie, stwierdził, że Polonia amerykańska użyła wszelkich wpływów i poświęciła wszystko, aby oświadczyć światu za pośrednictwem wielkiego prezydenta Wilsona, że Polska musi być wolna, zjednoczona i z dostępem do morza (huczne oklaski). Mówca przypomina o 40.000 ochotnikach z Ameryki do armii polskiej, o milionach dolarów oszczędności przesłanych do kraju, stwierdza, że praca Polonii amerykańskiej dla Polski nie skończyła się i postępować będzie nadal w tych samych rozmiarach i w tym samym celu.

Dr. Kaczmarek, przedstawiciel Polaków z Niemiec, oświadcza, że oni lepiej niż rodacy z innych terenów odczuwają bezpośrednio niemal namacalnie wzrost idei państwowej polskiej. Zdaniem mówcy państwo nie powinno targać więzów przyrodzonych, jakim są więzy narodowe. W tolerowaniu ducha narodowego państwo może szukać jedynie skutecznych środków do tworzenia szczerej lojalności państwowej swych obywateli.

P. Stefan Breyer w imieniu 25 związków, skupionych w radzie porozumiewawczej we Francji i reprezentującej półmilionową emigrację polską w tym kraju oświadcza, że kryzys obecny dotkliwie dał odczuć się naszemu wychodźstwu we Francji i że jedynie przy zabiegach władz państwowych Polski uda się uchronić tamtejszą ludność polską od strat materialnych i moralnych.

P. Sekuła w imieniu Centralnego Związku Polaków w Brazylii odczytuje deklarację ideową tego związku, łączącego wszelkie ugrupowania polskie.

P. Buczyński, delegat Polaków z Litwy, powitany hucznymi oklaskami, wyraża zadowolenie, że po raz pierwszy dane mu jest zetknąć się z całym narodem polskim. Mówca alegorycznie porównuje zjazd do święta dożynek, gdy gospodarze składają wiązanki swych plonów na ołtarzu narodowym. Polacy ziem litewskich nigdy tego plonu nie uważali za swój tylko dorobek, lecz za własność całego narodu.

Następnie przemawia dr ***Leon Wolf*** *z Czechosłowacji tymi słowy:* ***„Gdy Polska buduje gmach mocarstwowego państwa, my Polacy poza jej granicami z zapartym oddechem śledzimy każdą fazę Jej rozwoju i dążenia do coraz większej świetności. Radość nas ogarnia, gdy obcy Ją podziwiają i chwalą, a nie mąci także tej radości, gdy z ust wrogów słyszymy słowa potępienia i próby obniżenia Jej znaczenia. Boć wiemy, że przemawia z nich zazdrość, będąca również uznaniem Jej mocy i potęgi.***

Jeżeli się smucimy, to tylko dlatego, że my poza granicami nie możemy przyczynić się do potęgi Polski tak, jakbyśmy pragnęli. Szczególnie nam, którzy

nie jesteśmy emigracją, lecz z ziemią naszych polskich przodków staliśmy się częścią składową innego państwa, związani z nim prawami i obowiązkami obywatelskimi, wydaje się los nasz żałosny, bo nasze ofiary z mienia i krwi temu państwu jakoby obywatele składamy, a Polsce tylko nasze uczucia poświęcić możemy. A jednak jako żywa część Jej narodu, zwracamy nasze oczy do Niej, domagając się od Niej wsparcia moralnego i materialnego w naszych dążeniach do utrzymania narodowej kultury i narodowego bytu, do obrony przed obcym zalewem.

Żyjąc wśród obcych, wzięliśmy za obowiązek dusze naszej ludności zachować dla polskiej kultury, dla polskiego narodu – nieść wysoko honor polskiego imienia – szerzyć szacunek dla Polski – i w naszym zakresie przyczynić się do wzmocnienia Jej dobrobytu, potęgi i chwały. Granice możności i sił na-szych w tym względzie są jednak nader szczupłe – dlatego zawsze z bojaźnią stawiać sobie musimy pytanie, czy warci jesteśmy tych trosk i starań, którymi nas otacza nasz naród, a bez których obejść się nie możemy? Pytanie to dla nas jest tym boleśniejsze, im bardziej uprzytamniamy sobie tragizm naszego położenia, gdy pod naporem dążeń obcych ulega część naszej ludności wynarodowieniu.

I oto znowu Polska chroni nas przed opuszczeniem rąk i zwątpieniem, gdy świetnością swej potęgi zdobytej własną pracą i trudami przypomina, że bierze w opiekę cały swój naród i wszystkie jego części, gdziekolwiek one są na kuli ziemskiej.

Wyrazem takiego pojmowania stosunku Polski do Polaków z zagranicy jest zwołany do Polski obecny nasz zjazd. Przybyliśmy pod opiekuńcze skrzydła Polski, aby poznać cały majestat Najjaśniejszej Rzeczypospolitej – aby uświadomić sobie Jej potęgę i wielkość narodu polskiego, poznać się wzajemnie – we wzajemnych naradach wyszukać te punkty najróżnorodniejszych struktur życia na obczyźnie, o które by zaczepić można nici wspólnej narodowej przędzy kulturalnej i gospodarczej spójni – wreszcie, aby z niewyczerpanej siły ducha narodu zaczerpnąć radość życiową oraz zachętę i otuchę dla zmagań i walk o byt narodowy, gdy wrócimy do naszych siedzib.

Przekraczamy próg wolnej i niepodległej Polski przez nas wymarzonej w nabożnym wzruszeniu, boć serca nasze gwałtownie uderzają z radości, gdy sobie uprzytomnimy, jak to ta nasza Polska, niedawno jeszcze rozbita, lekceważona i potępiana przez wszystkich, z dnia na dzień silniejszym i potężniejszym mocarstwem się staje i coraz wyżej swój sztandar wznosi nad inne narody.

W tym rozrzewnieniu i zarazem wzniosłej dumie, że i my jesteśmy synami polskiego narodu, kornie schylamy czoła dla wyrażenia wdzięczności, czci

i hołdu tym, którzy na czele Rzeczypospolitej stojąc, tak szczęśliwie ster Jej do coraz większej świetności kierują, Jej Prezydentowi Ignacemu Mościckiemu i rządowi państwa, a szczególnie temu, który jest symbolem ducha i wodzem narodu a zarazem budowniczym mocarstwowej Polski, pierwszemu Marszałkowi Polski Józefowi Piłsudskiemu.

My, Polacy katolicy, uważamy też za swój obowiązek przy tej sposobności złożyć hołd Prymasowi Polski Jego Eminencji Ks. Kardynałowi Hlondowi i wyrazić wdzięczność za jego opiekę nad Polakami za granicą i za jego dążności do utrwalenia szacunku imienia polskiego wśród całego świata chrześcijańskiego.

Wyrażając w ten sposób uznanie i wdzięczność imieniem Polaków w Czechosłowacji Polsce i Jej władzom, dziękuję również Radzie Organizacyjnej Polaków z Zagranicy z jej szlachetnym, kochanym prezesem p. Marsz. Raczkiewiczem na czele i jej dyrektorem p. Lenartowiczem za zwołanie niniejszego sejmu zagranicznych Polaków - za jej olbrzymie prace i niebywałe trudy z tym połączone.

Was zaś, kochani Rodacy z innych państw i różnych części świata, pozdrawiam i witam serdecznie z zapewnieniem, że my Polacy w Czechosłowacji dołożymy wszystkich starań, aby, poznawszy się z Wami, zacieśnić węzły bratniej przyjaźni i współpracy dla dobra nas wszystkich i dla sławy polskiego narodu. Niech żyje Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska! Niech żyje Polski Naród!"

P. Bron. Dubieński, delegat z Kanady, komunikuje w dalszym ciągu po przemówieniu dr. Wolfa, że 150-tysięczne wychodźstwo polskie nigdy nie utraciło kontaktu z Macierzą, bez względu na to, czy zamieszkuje stepowe prowincje, czy też ośrodki przemysłowe. Mówca wyraża przekonanie, że do Kanady skierują się nowe rzesze wychodźców z Polski, co przyczyni się do ożywienia organizacji tamtejszych. Naród kanadyjski chętnie powita nowych osadników polskich.

W dalszym ciągu przemawiali: ks. prałat Łukasiewicz z Rumunii, p. Łapiński z Łotwy, p. Kowalewski z Argentyny, p. Fiszer z Belgii, p. Fennenbaum z Austrii, ks. Dragosz z Węgier, p. Urban z Jugosławii, p. Walkowiak z Holandii, p. Nernheim z Mandżurii, p. Mutowicz z Chin, p. Kazimierz Salome z Estonii, prof. Cros ze Szwajcarii, p. Kulesza z Londynu, p. Z. Kaczanowski z Australii, p. Zakrzewski z Rzymu, p. Makowski z Urugwaju, wreszcie p. Marian Grohan, delegat młodzieży przybyłej na zlot z zagranicy.

O godz. 6 popołudniu p. prezydentowa Mościcka podejmowała na Zamku Polki z zagranicy, przybyłe z różnych stron świata na drugi Zjazd Polaków z Zagranicy. Przedtem o godz. 4 Polki zwiedziły Belweder.

RUDOLF WÓJCIK

c.d.n.

fot. JAN MYRDACZ ▶



PAMIĘTNIK JÓZEFA KOŻDONIA

Starszym czytelnikom nie trzeba przypominać, kim w historii Śląska Cieszyńskiego był Józef Kożdoń (1873–1949). Wróg ruchu polskiego, śląski separatysta, dla jednych renegat, dla innych cenny sojusznik. Tematyka kożdoniowska od czasu do czasu powraca na łamy prasy wraz z kolejnymi refleksjami o specyfice Śląska. Prezentowany poniżej tekst Kożdonia, pisany po wojnie w Opawie i będący w przekonaniu autora rodzajem skargi na współczesny mu los oraz rodzajem osobistego rozrachunku, jest po raz pierwszy przedstawiany w tak obszernych fragmentach, choć sam dokument, znajdujący się w archiwum opawskim, nie jest dla historyków tajemnicą. Wydaje się jednak, że z wielu względów wart jest szerszej prezentacji, do czego zresztą czytelnicy z pewnością się przekonają. Tekst był pisany na maszynie po czesku i w tym języku jest drukowany. Komentarz i próba przedstawienia kulisów działalności Kożdonia będzie po zakończeniu publikacji wspomnień. Całość tekstu w tłumaczeniu polskim ukaże się w 16. tomie „Pamiętnika Cieszyńskiego".

KRZYSZTOF NOWAK

MOJE ZKUŠENOSTI VE SLUŽBĚ VLASTI, MŮJ OSUD

(...) Okolnost, že v 76. roce svého věku jsem ožebračen, churav a opuštěn, že po páté v životě musím jísti tvrdý chléb politického uprchlíka, je výsledkem skutečností a to:

A/ Moje výchova, která mne vedla k věrnosti vlasti, mému slezskému lidu, případně k německému uvědomění.

B/ Moje stanovisko v době tzv. plebiscitu 1919-1920, kdy se jednalo o příští osud mého domova.

Jsem narozen r. 1873 v Horní Lišné, okr. Těšín, v malorolnické rodině. Tam jsem navštěvoval 4 roky místní obecnou školu a pak mne dali rodiče do něm. škol v Těšíně a potom do učitelského ústavu a kursu polštiny a to v letech 1884-1892. V této době byly v Těšíně pouze školy německé.

Jako učitel jsem působil v letech 1893-1898-1918 na obecných školách ve Strumeni, Skočově - Menzysvětí, v Těšíně jsem již jako učitel nepůsobil.

Tehdejší poměry ve východoslezských městech Strumeni, Skočově, později Č. Těšín, společenský život, mé manželství s dívkou z německé rodiny mne vedly do prostředí německé kultury. Také moje rodiče a tisíce mých krajanů žilo v téže situaci. My všichni jsme se cítili býti produkty a dětmi německé kultury, jinou

kulturu jsme neznali a proto jsme nemohli a také dle práva jsme nesměli zaujmouti vůči této skutečnosti nepřátelský postoj.

Včlenění Slezanů do německé kultury neprýštilo nijak z plánovitého, uvědomělého úmyslu a bylo toto výsledkem staletého historického procesu stejně jak v jiných krajích dřívější monarchie. Posuzování tohoto procesu brýlemi nynějšími bylo by znásilnění, které by se jevilo jako zkreslená minulost. Proto se nemělo činiti výčitek jednotlivcům za to, na co vlivu neměli a což má své spravedlivé vysvětlení jen v dálné minulosti.

Náš původ ze smíšených národnostních poměrů ovlivňoval též mne v tom smyslu, že jsem se vždy vyvaroval každé extremní národní činnosti, vždy jsem se zasazoval ve prospěch národnostní snášenlivosti, jazykové rovnoprávnosti, urovnával národnostní rozepře a podporoval smír. Moje umírněné národnostní vystupování mi často v životě škodilo a naposled v době německé okupace.

Ačkoliv jsem byl v obecních volbách v r. 1938 počtvrté a tentokráte jednohlasně zvolen starostou v Č. Těšíně, nebyl jsem po německé okupaci více jako starosta do této fukce dosazen, z které jsem byl polskými úřady vypuzen a starostou Těšína byl určen pán z Kolína n. R. První 3 roky jsem zažil od okupantů mnoho křivd a ponižování. Teprve v letech 1943 a 1944 jsem byl mírněji osuzován, zůstal jsem však nadále z veřejného života vyloučen.

V pestrých přeměnách politického dění mého domova v posledních desítiletích (šestkrát změna státní svrchovanosti) hájil jsem ve všech poměrech i když umírněně, vždy pouze pravdu, právo a čest domova, jeho integritu, nedělitelnost a samosprávu. Nikdy jsem své veřejné funkce nezneužil pro soukromé nebo stranické účely, vždy jsem se zastával bez ohledu na politickou příslušnost, národnost neb konfesi svých krajanů a považoval jsem za samozřejmou povinnost dáti ochranu nevině trpícím a zameziti každé bezpráví.

Musím ještě podotknouti, že jsem v době boje o můj domov mezi ČSR a Polskem byl vůdcem Čechofilů, t.j. tzv. západní orientace, a proto jsem nejen ze zásadních, ale ještě více z propagačních důvodů, abych proti Poláctví zvlášť zdůraznil stanovisko našeho Slezanství, ještě mocněji jak předtím považoval za samozřejmost se při sčítání lidu 1921 hlásiti jako „Šlonzák", což tehdy bylo přípustné a také uznáno.

Při sčítání lidu r. 1930 byl pro mne směrodatným výnos ministerstva vnitra ze dne 7. listopadu 1930, č. 28.532/1930, dle něhož ve slupci 15. popisného archu byly zápisy Šlonzák - Čech - Šlonzák - Čechoslovák - Šlonzák - Polák, Šlonzák - Němec nebo jen Šlonzák přípustné a bylo výslovně podotknuto, že zápisy tohoto druhu nelze pozastavovati nebo odpírati. Obsah tohoto výnosu byl svého času vyhlášen z některých kazatelnic. I r. 1930 bylo moje přiznání co - Slezan - přijmuto a uznáno.

Při hlášení r. 1945 hlásil jsem se nejprve co Slezan - Němec, později jako Slezan - čsl. Také toto hlášení bylo přijmuto a uznáno.

Často mi moji příznivci radili, abych se hlásil k Češství a tím se vyhnul nekonečným potížím. Uznal jsem tyto dobré rady a za respektování pravdy napsal jsem po pokusu zavlečení a po mém prchnutí z Těšína do policejní přihlášky v Opavě na podzim 1945 moji národnost: Slezan - ČSR/čsl. Pravda nedovolila, abych učinil více, nemohl jsem z materielních důvodů sebe sám zapříti a tak ztratiti svou vážnost u právně smýšlejících Čechů.

Přiznání jako Slezan mne však bohužel neochránilo. Úředně se mnou jednají dále jako s Němcem a nebere se vůbec ohled na poměry dřívější plebiscitní oblasti, na tehdejší přísliby, ba dokonce ani na shora cit. výnos ministerstva vnitra ze dne 7.11.1930.

Zapomíná se vůbec na historii plebiscitu, s tím související dělení Těšínska a zapomíná se na zachránění západní části Těšínska, které zasluhuje výjimečně ocenění tehdejších událostí a za plebiscitu pracujících osobností. Rovněž já se považuji za oběť plebiscitu.

Veškeré naděje na pensi jsou prozatím marné.

Polští učitelé v čsl. části Těšínska byli v plebiscitu našimi největšími protivníky a někteří bojovali dokonce se zbraněmi proti nám. Tito učitele pobírají od května 1945 nerušeně celou pensi se všemi přídavky.

Nežádal jsem nikdy více, než to, co mi patřilo. Kdyby se se mnou jednalo jako se zmíněnými polskými učiteli, měl bych k dnešnímu dni již nárok na doplatek více než 100.000 Kčs. Proč jsem já, který jsem hájil prokazatelně jen zájmy ČSR, tak trestán, krutě postižen a úplně ožebračen?

Proto si dovoluji v následovním upozorniti na svou činnost ve prospěch ČSR v době plebiscitu i v době pozdější s nadějí, že tím prokážu bezpochybně svůj spravedlivý nárok na jistě skromnou pensi.

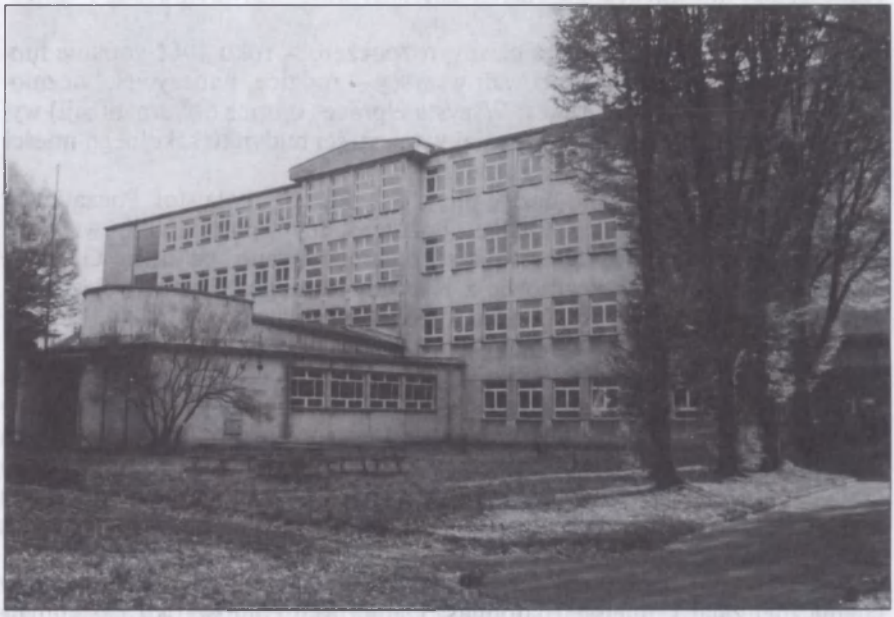
Vědom své povinnosti vůči slezskému domovu a s úvahou, že se Těšínsko již v r. 1163 odpoutalo od Východu a proto má právo na kulturně a politicky mimořádnou pozici (odrębność kulturalna i polityczna), organizoval jsem v posledních letech před první světovou válkou své přívržence k odporu proti prudkému nátlaku z Východu a proti cizinecké mentalitě. Ve slezské lidové straně organizováno domovu věrné Slezanství bylo nezbytným předpokladem pro obranu proti všepolským nárokům na Těšínsko v plebiscitním boji v letech 1919 a 1920. Přes výtky, že činnost strany v mnohem přisluhovala německým zájmům, zůstává jako konečný výsledek skutečnost, že naše snažení a tvoření šlo k dobru zájmům čsl. státu a jeho ideologii. Bez podpory slezské lidové strany by nebývalo možné dění plebiscitního boje, zvláště ve východních oblastech.

Jest zatím známou skutečností, že jsem byl organizátorem a vedoucím činitelem velikého hnutí Slezanů pro připojení celého Těšínska k ČSR (...)

c.d.n.

JUBILEUSZ POLSKIEJ SZKOŁY PODSTAWOWEJ W KARWINIE NOWYM MIEŚCIE

Pięćdziesiąt lat w życiu szkoły to dużo czy mało? Spoglądając na sędziwe ponad stuletnie zaolziańskie szkoły-jubilatki, wydaje się to być niewiele. Jednak i w przeciągu tego stosunkowo krótkiego czasu mogą się dziać rzeczy, o których warto wspomnieć.



Przez pryzmat historii

W pierwszych latach po drugiej wojnie światowej na przedpolach Karwiny - Frysztatu - zaczęło wyrastać nowe osiedle górnicze. Nazwano je wtedy Stalingradem. Wzrastała liczba ludności, szkoła w niedalekim Frysztacie nie potrafiła pomieścić wszystkich dzieci i wkrótce zapadła decyzja o budowie nowego obiektu. Oddano go do użytku 1 września 1951 roku.

Wertując karty pierwszej kroniki, zaraz na początku natrafimy na opis nowego budynku i możemy stwierdzić, iż rzeczywiście już wtedy był nowoczesny. *Budynek jest trzypiętrowy, posiada dwa skrzydła przedzielone pięknym, na wysokość pierwszego piętra sięgającym westybulem, z którego jest wejście do sa-*

li teatralnej z jednej i do sali gimnastycznej z drugiej strony. (...) Koło sali gimnastycznej są szatnie i natryski. Szkoła posiada ogrzewanie centralne. W klasach jest bieżąca woda. Prawe skrzydło tego budynku przeznaczono na czeską, lewe na polską szkołę. Aż do roku 1962 mieściły się w obiekcie placówki dwie.

Pierwszym dyrektorem został Karol Kapusta, po nim kierownictwo obejmowali kolejno Franciszek Buzek, Leon Janiurek, Józef Mierzwa, Bronisława Hajkowa-Nyklowa. Obecnie szkołę prowadzi Jadwiga Palowska.

Wraz z reformami szkolnictwa zmieniała się struktura organizacyjna szkoły. Z ludowej stała się ośmiolatką, nieco później dziewięciolatką, potem znowu powróciła do cyklu ośmioletniego, a dzisiaj opuszczają ją absolwenci klasy dziewiątej. Ważnym momentem jest data 1 września 1996 roku, kiedy to przedszkole, mieszczące się dotychczas przy ulicy Mírowej, zostało zintegrowane ze szkołą.

Kiedy budynek okazał się za ciasny, rozpoczęto w roku 1961 kopanie fundamentów przybudówki. Pracowali wszyscy - rodzice, nauczyciele, uczniowie klas starszych, pezetkaowcy. Wszystkie prace (oprócz dokumentacji) wykonano w czynie społecznym. Dzisiaj w tej części budynku szkolnego mieści się m.in. świetlica PZKO oraz przedszkole.

Aż trzykrotnie zmieniano nazwę ulicy, przy której szkoła stoi. Początkowo budynek przypisano ulicy Fučíka, później ulicy Spartakiádní, wreszcie 14 września 1991 ulicę Spartakiádní przemianowano na ulicę Gustawa Morcinka. Znaleźli tak uczniowie z Karwiny Nowego Miasta swojego nieoficjalnego patrona - Gustlika z karwińskiego Żabkowa.

A nauka była ciekawsza od bajek...

Bo gdyby tak nie było, wtedy uczniowie nowomiejskiej podstawówki na pewno nie odnosiliby takich wspaniałych sukcesów w konkursach i olimpiadach przedmiotowych. I tu pojawia się problem. Powyższe stwierdzenie bez podania nazwisk staje się puste, nic nieznaczące. Wymieniać nazwiska bardzo trudno, żeby kogoś nie obrazić, nie pominąć. Wspomnijmy więc przynajmniej tych, którzy w eliminacjach regionalnych (region Ostrawa) uplasowali się do 3. miejsca. Robert Betík (rok szkolny 1996-97) w olimpiadzie chemicznej zajął I. miejsce, natomiast Daniel Matteoni w roku następnym w olimpiadzie matematycznej uplasował się na miejscu pierwszym, a w olimpiadzie fizycznej na miejscu drugim. Ryszard Walica zakwalifikował się do koła regionalnego w konkursie konwersacji niemieckiej i wywalczył trzecie miejsce. Wielkim sukcesem była również 1. lokata w klasyfikacji ogólnopolskiej w Kangurze Matematycznym Daniela Matteoniego, który w nagrodę pojechał na kilkudniową wycieczkę do Paryża, zaś laureaci trzeciego miejsca Paweł Hok, Daniel Rzymanek i Krystyna Wolna przez kilka dni mogli podziwiać zabytki Wiednia.

Ty nasze pieśniczki skąd wzióny poczóntek...

Chociaż szkoła była i jest typową szkołą osiedlową, to zawsze pielęgnowa-



no tu tradycje ludowe i kulturę. Początkowo szukano inspiracji przede wszystkim w folklorze polskim, obecnie zwraca się uwagę na tradycje rodzime. W roku 1959-60 kółko taneczne prowadzone przez Odonię Charvát zajęło I. miejsce w eliminacjach okręgowych Konkursu Twórczości Młodzieży i wyjechało na przegląd do Pragi, gdzie w roku 1961 w kategorii tańców narodowych (przedstawiło krakowiaka) tak samo zdobyło pierwszą lokatę.

Przez ponad 25 lat pracował tu zespół śpiewaczo-taneczny Promyk prowadzony przez nieodżałowaną Danutę Grabowską, której wiernie sekundowali Bronisław Bednarz, Jadwiga Palowska, Helena Pasz, Irena i Milan Seberowie. Obraz dziewczyn w białych spódniczkach i czerwonych bluzeczkach w kropki na pewno pozostał w pamięci wielu czytelników.

W ostatnim dziesięcioleciu śpiewacze tradycje kontynuuje zespół Dziołchy i Syncy z Kolónije, pracujący pod opiekuńczymi skrzydłami Bronisława Bednarza i Jadwigi Palowskiej. Prezentuje folklor dolański. Są to pieśniczki nieraz wykonywane po raz pierwszy na scenie. Trudno wymieniać wszystkie sukcesy zespołu, ale warto wspomnieć przynajmniej o jednym, a mianowicie o 1. miejscu wyśpiewanym w I Konkursie Pieśni im. Stanisława Hadyny we wrześniu 1999 roku w Wiśle. Nagrodą było nagranie w Studio Nagrań Deo Recording w Wiśle, które zespół zrealizował w lutym 2000 roku i ukazała się największa jego chluba - płyta kompaktowa „Pieśniczki znad Olzy". W tym

samym konkursie odnieśli sukces również soliści, uczniowie szkoły, bądź jej niedawni absolwenci. Joanna i Michał Rzeszutowie, Alicja Herman, Helena Lugsch w nagrodę spędzili tydzień w Koszęcinie, siedzibie Państwowego Zespołu Pieśni Tańca Śląsk. Po II Konkursie do podobnego wyjazdu szykuje się Adam Farana.

Dzięki solistom zespołu Joannie i Michałowi Rzeszutom, Helenie Lugsch, Katarzynie Kaczyńskiej zaolziańskie pieśniczki zabrzmiały również na ogólnopaństwowych czeskich festiwalach w Karlovych Varach i Velkich Losinach.

Jednak „dziołchy" powoli zaczynają szykować się do opuszczenia szkoły podstawowej, coraz częściej spoglądają po „synkach z paneloków", gdyż w zepole pozostał tylko jeden „z kolónije", dlatego zrodził się nowy sympatyczny zespolik Gizdy.

Prawie że trzy lata pod kierownictwem Beaty Roman pracuje również chór szkolny. Zaczynali skromnie - od piosenek jedno- i dwugłosowych, dzisiaj śpiewają na trzy i cztery głosy pieśni w języku polskim, czeskim, po łacinie, a jedną nawet po hebrajsku.

Azymut i rytmika - najlepszy sposób na nudę

Tak można krótko podsumować działalność drużyny turystycznej prowadzonej przez Tomasza Śmiłowskiego. Jego członkowie urządzają wycieczki rowerowe, wędrują po górach, zdobywają Dolomity, a w Rohačach i Tatrach czują się już jak u siebie w domu. Wielką popularnością cieszą się również dwudniowe zgrupowania.

Proponując uczniom różne zajęcia, nie zapomniano o dziewczynach. One wprawdzie też są członkami Azymutu, ale zorganizowano dla nich coś bardzo dziewczęcego, a mianowicie rytmikę. Na zajęcia prowadzone przez Dorotę Śmiłowską przychodzą już od pięciu lat.

Szkoły nie trzeba kochać, tam trzeba po prostu chodzić, napisał dziennikarz w którejś polskiej gazecie. Tego na pewno nie mogą powiedzieć uczniowie Polskiej Szkoły Podstawowej w Karwinie Nowym Mieście. Do nowomiejskiej podstawówki na pewno bardziej pasuje tekst sparafrazowanej piosenki *I szkołę da się lubić,* bo jakże jej nie lubić, kiedy można tu pracować w samorządzie szkolnym, prowadzić własny sklepik, wydawać pisemko, urządzać walentynkowe dyskoteki, corocznie w Dniu Nauczyciela sprawdzić się w roli pedagoga i poprowadzić zajęcia w młodszej klasie (nauczycielami tradycyjnie zostają dziewiątoklasiści).

Szkoła Jubilatka to także dobrze wyposażone klasopracownie - przede wszystkim komputerowa, zrekonstruowane boisko i bieżnia, przebudowane toalety (gdzie bardzo chętnie w czasie przerw przebywają teraz dziewczyny, gdyż tam nikt nie podsłuchuje plotek), dobra współpraca szkoły z Macierzą Szkolną i harcerstwem, udane bale urządzane wspólnie z karwińskimi gimnazjalistami.

ALEKSANDRA OPIOŁ

DZIEŃ NAUCZYCIELA W BYSTRZYCY

Dnia 28 marca jest w naszych szkołach tradycyjnie obchodzony Dzień Nauczyciela. Obok podziękowań i odznaczeń zasłużonym przedstawicielom tego ważkiego zawodu towarzyszy Dniu Nauczyciela program przygotowany przez dzieci, zespoły i chóry szkolne. Trzeba przyznać, że tu szkoły prowadzą zdrową konkurencję, bo każda chce zaprezentować się jak najlepiej, tak samo jak zresztą przy innych okazjach.

W tym roku gościliśmy z okazji Dnia Nauczyciela w PSP w Bystrzycy.



Wybór tej właśnie szkoły był sprowokowany programem uroczystości, niezwykłym, jak na szkołę słynącą z takich zespołów dziecięcych, jak chociażby zespół Łączka i chór Crescendo. PSP im. Stanisława Hadyny w Bystrzycy zaprosiła do udziału w programie z okazji Dnia Nauczyciela amatorski zespół baletowy Kanon z Krakowa, prowadzony przez córkę Stanisława Hadyny – Aiszę Hadynę. Zespół zaprezentował pokazową lekcję baletu, a w drugiej części tańce ze znanych baletów klasycznych. Precyzja wykonania, różnorodność strojów i ilość zaprezentowanych przez dziewczynki z zespołu Kanon utworów zapierała dech w piersiach.

Do gospodarzy w tym uroczystym dniu należało tylko rozpoczęcie i zakończenie programu. Rozpoczęła dyrektor szkoły Wanda Tomčala wraz z księdzem Wiesławem Szpakiem, który wcielił się w postać Jana Amosa Komenskiego i przybliżył uczniom szkoły i licznym zacnym gościom historię szkolnictwa od czasów tego „nauczyciela narodów" do dnia dzisiejszego. Na zakończenie wystąpili uczestnicy i laureaci eliminacji Festiwalu Piosenki Dziecięcej: Anna Wałach, Krystyna Škrabal, Zuzanna Lipka i Mariusz Cymerys.

Wśród gości z Polski byli również przedstawiciele zaprzyjaźnionych szkół im. S. Hadyny – z Chorzowa–Maciejkowic oraz z Frydka koło Pszczyny (ta szkoła ubiega się o przyjęcie imienia S. Hadyny).

F.B.





WYSTAWA FRYSZTACKIEGO ZESPOŁU KOBIET

Do truizmów należy już stwierdzenie, że niemożliwa byłaby działalność Kół PZKO i organizowanie różnorakich imprez bez mrówczej pracy pań, członkiń tych Kół. Panie spotykają się w swym własnym gronie w klubach czy zespołach kobiet. Jeden z takich aktywnych zespołów schodzi się w Karwinie Frysztacie w Domu PZKO w drugi i czwarty wtorek miesiąca. Zespołem Kobiet przy frysztackim MK PZKO kieruje Danuta Wałoszek. Chwali swoje koleżanki i zarazem przyjaciółki, bo jak wyjaśnia, zawiązują się tu autentyczne przyjaźnie, za ich ofiarność, chęć do pracy, dyspozycyjność, podkreśla zaangażowanie społeczne, które jest przecież niewymierne, a zapłatą za nie może być najwyżej słowo dziękuję.

Raz na jakiś czas postanawiają jednak panie niejako wyjść z ukrycia, opuścić zaplecze kuchenne, w którym podczas imprez najczęściej przebywają, i zaprezentować szerszemu gronu plon swych spotkań. Organizują wystawę, która udowadnia, że czas, który spędzają razem, to nie kawa i plotki, lecz twórcza praca umysłów i rąk. Miały panie swój udział w wystawie z okazji pięćdziesięciolecia istnienia frysztackiego Koła PZKO, swoją własną wystawę urządziły po raz ostatni przed pięcioma laty. Trudno powiedzieć, która kolejna wystawa to była, nie udało się tego paniom dokładnie obliczyć.

30 marca br. odbył się w Domu PZKO we Frysztacie wernisaż nowej wystawy Zespołu Kobiet pod nazwą „Odnawiamy wnętrze naszego mieszkania i uzupełniamy naszą garderobę". Część oficjalną rozpoczął dwoma pieśniami chór żeński Kalina, rozwijający swoją działalność również w tym Kole. Były krótkie przemówienia, wyrazy uznania i podziękowania. Głos zabrali prezes MK Helena Wierzgoń i wiceprezes Józef Wierzgoń. Przewodnicząca Sekcji Kobiet przy ZG PZKO Henryka Żabińska wyraziła radość, że może wśród tylu przybyłych na wystawę osób uczestniczyć w jej otwarciu, oraz

uznanie dla ciągle nowych pomysłów fryszlackich pań. Szczerych wyrazów podziękowania nie szczędziła przewodnicząca Zespołu Kobiet Danuta Wałoszek, wymieniła wszystkich, którzy wnieśli swój wkład w przygotowanie wystawy, każdej ze swoich koleżanek wręczyła kwiat. Największy bukiet przeznaczony był dla Henryki Fröhlich, która w roku ubiegłym obchodziła jubileusz życiowy 80 lat. Wystawa, na której znalazło się wiele eksponatów, dzieła jej rąk, m.in. hafty, wydmuszki, ozdoby na choinkę, kapelusze, sukienki, sweterki, była ukłonem dla jej kunsztu. Dwie pieśni zaśpiewał działający w tym Kole chór męski Hejnał-Echo, wzniesiono toast, prezes Helena Wierzgoń przecięła wstęgę i rozpoczęto zwiedzanie wystawy.



Około dwudziestu pań wykonało prezentowane na wystawie robótki ręczne szyte, szydełkowe, robione na drutach, haftowane. Zastosowano haft pełny i richelieu, były koronki klockowe i frywolitki. Ładnie porozkładane na stołach obrusy, serwetki, wazony z kwiatami i koszyczki z ozdobami wielkanocnymi cieszyły oczy zwiedzających. Całości dopełniały prace z ceramiki i drewna. W kącie mieściła się loteria, można było wygrać drobny upominek.

Uwagę przykuwało też dziesięć ludowych strojów cieszyńskich uszytych i wyhaftowanych przez sześć pań z fryszlackiego Koła. Stroje te zostały w listopadzie 1999 roku przekazane zaprzyjaźnionej z Kołem fryszlackiej Polskiej Szkole Podstawowej. Występują w nich dziewczęta ze szkolnego zespołu wokalno-tanecznego Wiolinek.

Nie omieszkały panie przygotować również strawy dla ciała. Wielki był wybór ciastek, koreczków, można było zjeść krupiczniok z masłem, ale

także dania gorące: rosół, barszcz, sznycelki z kurczaka z sałatą czy kurczaka po chińsku.

W ciągu trzech dni trwania wystawy zwiedziło ją około 800 osób z całego Zaolzia. Przyszły także osoby, które rzadko uczestniczą w innych imprezach pezetkaowskich. Jako ogromny wysiłek oceniła przygotowanie wystawy przewodnicząca Danuta Wałoszek, ale efekty tej pracy, podziwiane przez wielu i wzbudzające tyle zadowolenia i satysfakcji, sprawiają, że zapomina się o wcześniejszym zmęczeniu. I myśli już o następnej wystawie. Może, o ile nie zabraknie pomysłów i eksponatów, już za trzy lata...

C.R.

PREZENTACJE FOTOGRAFICZNE

Pod taką nazwą zorganizowało nowo powstałe Zaolziańskie Towarzystwo Fotograficzne we współpracy z Cieszyńskim Towarzystwem Fotograficznym pierwszą od czasu swego założenia wystawę fotografii.



Wernisaż odbył się w Klubie PZKO przy ulicy J. Bożka w Czeskim Cieszynie w sobotę 31 marca w ramach przesuniętej w tym roku o miesiąc tradycyjnej w MK PZKO Czeski Cieszyn Centrum Wystawy Majowej.

Podkreślam, że wszystko, co dalej odnotowuję, to żadna krytyka, bo nie mam zamiaru niczego krytykować, a tylko stwierdzanie faktów, nad którymi chyba warto się zastanowić:

Naprawdę okazała wystawa pokaźnej ilości fotografii twórców z obu stron Olzy była bezspornie następnym krokiem do wspólnej prezentacji osiągnięć w ramach Euroregionu, o którym ostatnio tak głośno, co jest niezmiernie pozytywne. Ta wystawa to też niemały wkład polskiej mniejszości narodowej żyjącej w Czechach, wkład PZKO. Niestety wystawa trwała tylko dwa dni!

Złożyły się na nią prace w kategorii fotografii artystycznej członków obu towarzystw. Goście z Polski zaprezentowali w tej części bardzo wysoką klasę zarówno czarno-białych, jak i kolorowych fotogramów. To samo można powiedzieć o fotografikach z Zaolzia. O ile jednak chodzi o Zaolziańskie Towarzystwo Fotograficzne, to niestety wystawiała zaledwie część jego członków (nawet nie wszyscy z tych, którzy dotąd zaprezentowali swe fotografie, na pewno godne wystawienia, w rubryce poświęconej Towarzystwu w Zwrocie). Obok Kazimierza Brannego, Kazimierza Jaworskiego i Marka Santariusa wystawiał Wiesław Przeczek (zawodowo fotograf Teatru Cieszyńskiego), który miał w artystycznej części wystawy zdecydowanie największą ilość prac.

Drugą część wystawy tworzył cykl „Cieszyn dawniej i dziś", składający się z części bogatego zbioru pocztówek mieszkającego w Niemczech Antoniego Pasternego, dopełnionych współczesnymi ujęciami niektórych miejsc z widokówek. Szkoda, że na współczesnych kolorowych ujęciach w niejednym wypadku widoczny był pośpiech, z jakim były wykonane.

F.B.

WALNE ZEBRANIE PTA ARS MUSICA

Po dwóch latach aktywności jedna z najmłodszych polskich organizacji kulturalnych na Zaolziu Polskie Towarzystwo Artystyczne Ars Musica podsumowało swoją działalność 14 marca podczas walnego zebrania. Organizacja ma na celu promowanie kultury polskiej mniejszości narodowej w RC, zwłaszcza muzycznej, ludowej i teatralnej, jak również opiekę organizacyjną i materialną nad zespołami wyróżniającymi się poziomem artystycznym.

W zebraniu wzięło udział 30 delegatów zespołów wchodzących w skład Towarzystwa: chórów Collegium Iuvenum i Canticum Novum, chóru kameralnego Musicae Amantes, kapeli góralskich Zorómbek, Sómsiek i Nowina, teatrzyku Sz.K.A.P.A.

Prezesem Towarzystwa został ponownie prof. dr hab. Daniel Kadłubiec. Również bez zmian pozostał skład zarządu (Alojzy Suchanek, Kazimierz Worek, Janusz Ciesielski, Leszek Kalina – sekretarz i kierownik artystyczny).

W wyniku dyskusji delegaci przyjęli wnioski następującej treści: skierować działalność Polskiego Towarzystwa Artystycznego Ars Musi-

ca na teren Śląska Cieszyńskiego w o wiele większym stopniu niż dotychczas, urozmaicić działalność Towarzystwa w sensie poszerzenia oferty o słowną działalność artystyczną, powiększyć wysiłki na rzecz promocji polskiej kultury profesjonalnej na terenie Zaolzia. Te na pozór suche słowa zawierają pełną niepokoju troskę o brak kontaktu zaolziańskich Polaków z szeroko rozumianą polską sztuką importowaną z Polski do Republiki Czeskiej, której w dobie komercjalizacji kultury całkowicie zabrakło.

E.S.

10 LAT TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI POLSKICH

W 80. rocznicę powstania Towarzystwa Nauczycieli Polskich w Czechosłowacji i 10. rocznicę jego odrodzenia zebrali się 6 kwietnia nauczyciele polskich szkół i przedszkoli na V Zjeździe TNP. Z tej okazji ukazała się też kolejna (trzecia) pozycja wydawnicza odrodzonego TNP, która jest kontynuacją opracowanej przez dr. Józefa Macurę historii naszego szkolnictwa.

Bogato ilustrowana jubileuszowa publikacja „Tu byliśmy, tu jesteśmy... Szkolnictwo polskie na Zaolziu w ostatniej dekadzie XX wieku" zawiera szkice z dziejów Towarzystwa Nauczycieli Polskich, Chóru Nauczycieli Polskich, Macierzy Szkolnej, Klubu Nauczycieli Emerytów i najnowszą historię Towarzystwa. Ponadto dokumentuje działalność takich instytucji jak: Filia Urzędu Szkolnego w Karwinie, Centrum Pedagogiczne dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego, Komisja Szkolna, placówka polonistyczna w Ostrawie. W suplemencie przedstawiono współczesny obraz polskiego szkolnictwa na Zaolziu.

Podczas V Zjazdu TNP delegaci dokonali wyboru nowego zarządu, w skład którego weszli (w kolejności otrzymanych głosów): Roman Wróbel, Stanisław Folwarczny, Lidia Pawlas, Małgorzata Rakowska, Irena Kufa, Ilona Hudeczek, Marek Grycz, Elżbieta Gałuszka. Dziewiąta osoba do zarządu zostanie wybrana przez KNE. Przewodniczącym TNP został Roman Wróbel.

Na Zjazd licznie przybyli goście z Polski, reprezentujący oddziały Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Bielsku-Białej i Katowicach oraz Śląskie Kuratorium Oświaty w Katowicach.

Przedstawiciele Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie konsul Marek Masiulanis i konsul Małgorzata Filipek wręczyli nauczycielom Lidii Przeczek, Jadwidze Palowskiej i Stanisławowi Buremu medale przyznane przez Ministerstwo Edukacji Narodowej RP. Natomiast aktami uznania TNP za długoletnią pracę pedagogiczną i społeczną uhonorowano: Martę Roszkę, Helenę Kobielusz, Aleksandrę Macurę, Halinę Branną, Marię Pieczkową, Ewę Kwolek, Stanisława Folwarcznego, Henrykę Żabińską,

Piotra Żabińskiego, Tadeusza Szkucika i Irenę Kufę. „Za wierność, ofiarność oraz miłość do Zaolzia" akt uznania otrzymał także Andrzej Król z Kuratorium Oświaty w Katowicach.

V Zjazd Towarzystwa Nauczycieli Polskich, który odbył się w Domu Kultury w Kocobędzu, uświetniły programem artystycznym chór Crescendo z PSP im. S. Hadyny w Bystrzycy oraz zespół muzyczno-wokalny Kawiarenka Literacka z Chorzowa.

E.S.

„DZIKIE ŁABĘDZIE" W BUKOWCU

Szkoła i nauczyciele na wsi pełnią wiele ważnych ról społecznych, które wykraczają daleko poza ich podstawowe obowiązki. Tu rzadko dociera teatr, rzadko mieszkańcy docierają do teatru w mieście. Ale w teatr można się bawić, prowokując wszystkich małych i dużych do współudziału w nim. I tak dzieje się w Bukowcu od lat. Co dwa lata nauczyciele, wszyscy uczniowie polskiej szkoły i ich rodzice przygotowują dla wszystkich mieszkańców Bukowca i wsi sąsiednich przedstawienie teatralne. W tym roku były to „Dzikie łabędzie" według baśni Jana Christiana Andersena. Spektakl wyreżyserowała nauczycielka Beata Łysek, muzykę opracował i piosenki skomponował Andrzej Macoszek, śpiewy Halina Kulig, scenografię Beata Poncza i Iwona Wrona, kostiumy Lenka Stonawska, tańce Katarzyna Skotnica, Lenka Stonawska, Beata Poncza, Iwona Wrona. A w postacie głównych bohaterów wcieli się uczniowie – aktorzy: Elza – Ewa Zogata, najmłodszy z braci – Aleksander Wajda, królewicz – Roman Jakubik, król – Marian Bojko, królowa – Katarzyna Brewczyńska, niania – Katarzyna Sikora, mądra baba – Janina Kobielusz, astrolog – Basia Bojko, halabardnicy królewskiej mości – Milan Ligocki i Tomasz Stonawski, czarownica – Katarzyna Cmiel, Karen – Romana Zogata, ognik – Ester Łysek. Niezwykłe przygody Elzy i jej braci zamienionych w łabędzie zaprezentowało 47 uczniów. Były wspaniałe tańce i śpiewy zwierzątek, czarownic, ogników. Przedstawienie grali uczniowie na deskach sceny miejscowego Domu PZKO aż przez cztery dni od 30 marca do 2 kwietnia. Zmieniała się widownia, dzieci i dorośli, ale za każdym razem sala była pełna. Szczególnie uroczyście było w sobotę 31 marca, bo na przedstawienie przybyli goście z Polski, z Bielska-Białej – przedstawiciele władz miejskich tego od lat zaprzyjaźnionego ze szkołą w Bukowcu miasta. Na widowni zasiadł również starosta Bukowca Vilém Sikora. Dzieci z polskiej szkoły w Bukowcu za swój trud zasługują na szczególną pochwałę, tak jak i ich nauczycielki i dyrektor szkoły Iwona Wrona.

E.S.









DOKTOR JAN KWAŚNIEWSKI W KARWINIE

Biblioteka Regionalna w Karwinie przygotowała w roku 2001 cykl comiesięcznych spotkań z bardziej lub mniej popularnymi osobistościami z różnych sfer życia – z aktorami, pisarzami, plastykami, uczonymi, filmowcami itd. Listę gości otworzył, w lutym, Ivan Binar, czeski pisarz i publicysta. Natomiast 26 marca spotkanie ze zwolennikami uzdrawiającej i zdrowej diety optymalnej odbył jej twórca dr Jan Kwaśniewski z Ciechocinka. Omówiwszy walory optymalnego żywienia, Kwaśniewski odpowiadał na pytania „optymalnych". Wcześniej twórca diety i autor m.in. książki „Dieta optymalna", która niespełna trzy lata temu ukazała się w czeskim przekładzie w olbrachcickim Wydawnictwie SAK (była to pierwsza obcojęzyczna wersja tej publikacji; później przetłumaczono ją na niemiecki i angielski; trwają prace nad przekładami słowieńskim, słowackim i węgierskim), spotkał się z zaolziańskimi lekarzami, aby zaprezentować im aparat do tzw. prądów selektywnych. Prądy te wspomagają dietę optymalną i przyśpieszają leczenie. Następnymi gośćmi Biblioteki Regionalnej będą pisarki Eva Kačírkowa, aktor Petr Kostka i jego żona Carmen Mayerowa oraz scenarzysta filmowy František A. Brabec.

(s)

KONGRES RUCHU POLITYCZNEGO COEXISTENTIA-WSPÓLNOTA

Przewodniczącym Ruchu Politycznego Coexistentia-Wspólnota wybrali jednogłośnie delegaci Kongresu Ruchu, który odbył się 30 marca br. w Czeskim Cieszynie, Władysława Niedobę, dotychczasowego wiceprzewodniczącego. Delegaci Kongresu wybrali również 29-osobową Radę Republikową, 5-osobową Komisję Rewizyjną i 3-osobowy Sąd Rozjemczy. Kongres przyjął do wiadomości sprawozdanie z działalności Ruchu od Kongresu w 1999 roku (przedstawił je ustępujący przewodniczący Stanisław Gawlik), sprawozdanie Węgierskiej Sekcji Narodowej (przedstawił przewodniczący sekcji Laslö Kocsis), sprawozdanie Polskiej Sekcji Narodowej (przedstawił wiceprzewodniczący sekcji Eugeniusz Kiedroń), informację o gospodarce finansowej Ruchu i informację Komisji Rewizyjnej Ruchu.

Rada Republikowa Ruchu dokonała, jak określa statut, wyboru 11-osobowej Rady Wykonawczej w składzie: Władysław Niedoba, Władysław Drong, Józef Chmiel, Rudolf Gaál, Stanisław Gawlik, Eugeniusz Kiedroń, Laslö Kocsis, Alfred Kołorz, Józef Pietrus, Tadeusz Toman, Vasil Vaník.

T.T.

DOKUMENTY O WYBORACH DO PRZEDSTAWICIELSTWA OKRĘGU OSTRAWSKIEGO

Organizacja Wyższej Użyteczności Publicznej wydała broszury „Wyniki wyborów do przedstawicielstwa okręgu ostrawskiego z 12.11.2000" i „Ruch Polityczny Coexistentia–Wspólnota w wyborach do przedstawicielstwa okręgu ostrawskiego 12.11.2000". W pierwszej zamieszczono wyniki opracowane pod kątem udziału w wyborach kandydatów startujących z listy Ruchu. Z publikacji można dowiedzieć się, jakie wyniki osiągnęła Wspólnota we wszystkich rejonach wyborczych okręgu ostrawskiego, zawarto w niej także kompletne wyniki w gminach na Zaolziu oraz głosy preferencyjne kandydatów Ruchu w gminach na Śląsku Cieszyńskim oraz w niektórych gminach Śląska Opawskiego. Komentarz do wyborów, zamieszczony w drugiej broszurze, opracowali Tadeusz Toman i Alfred Kołorz. Obie broszury (znajdują się w archiwum ZG PZKO i w Ośrodku Dokumentacyjnym Kongresu Polaków) są podstawowymi dokumentami, z których wiedzę mogą czerpać nasi działacze społeczni, historycy, politolodzy. T.T.

OLZA, NOWINA I SOLISTKA URSZULA NIEDOBA-SZCZEPANIAK GOŚĆMI FILII UNIWERSYTETU ŚLĄSKIEGO W CIESZYNIE

Narodziła się nowa, miła i pożyteczne impreza – Koncert Wychowawczy dla dzieci i młodzieży, organizowany przez Katedrę Folklorystyki Ogólnej i Stosowanej Uniwersytetu Śląskiego, Filii w Cieszynie. Inicjatywa wyszła od świetnego organizatora, wielkiego miłośnika muzyki ludowej, znawcy kultury ludowej, prezesa Polskiego Towarzystwa Artystycznego Ars Musica prof. zw. dra hab. Daniela Kadłubca, który wprowadził młodzież ze szkół podstawowych i średnich z obu stron Olzy w tajniki poznawania i przeżywania folkloru muzycznego, potwierdzając tezę, że młodzież dzięki takim spotkaniom staje się uczuciowo bogatsza i wrażliwsza nie tylko na dobro i piękno, ale także na przejawy zła i brzydotę. Właściwie przez pryzmat tej sztuki młodzież zdobywa i pogłębia wiedzę o życiu i wzbogaca uczucia patriotyczne, których nie są w stanie jej dostarczyć podręczniki szkolne.

Co do tego, że młodzi artyści istnieją i działają na rzecz sztuki, nie ma najmniejszej wątpliwości. Przykładem niech staną się na przykład: Zespół Pieśni i Tańca Olza, Kapela Góralska Nowina oraz solistka Urszula Niedoba–Szczepaniak. Właśnie oni tworzyli grupę wykonawców uprawiających trzy dyscypliny artystyczne: taniec, muzykę i śpiew. To laureaci różnych konkursów krajowych i międzynarodowych, wzajemnie ze sobą współpracujący, wykonujący trudny i bardzo ambitnie zestawiony program.

Nie sposób nie zauważyć, że główną atrakcją koncertu, zwłaszcza wykonawczą, był Zespół Pieśni i Tańca Olza. Z prawdziwą przyjemnością patrzy się

na zespół, dla którego nie istnieją problemy warsztatowe, a uwaga i zaangażowanie wykonawców służą budowaniu wspaniałego świata przeżyć. Odczuwało się nie przeładowanie, lecz pełnię nasycenia przestrzeni; nie zmaganie się z trudnymi partiami tanecznymi, lecz jakby bawienie się samoistnym ruchem. Dyskurs między muzyką i tańcem był prawie idealny. Temperatura artystyczna koncertu wyraźnie się podniosła, gdy zespół wystąpił w pełnej obsadzie z tańcami szaliskimi.

Drugim wykonawcą była Kapela Góralska Nowina, której występ w Koncercie Wychowawczym utwierdził w przekonaniu, że wśród naszych zespołów należy ona do zjawisk najciekawszych. W grze jej członków czuje się radość, jaką sprawia im muzykowanie; czuje się autentyzm, naturalność i szczerość. Swobodni w rubatach, zmienni w nastrojach oraz dysponujący – w oparciu o piękny dźwięk – bogatym zasobem środków kolorystycznych i dynamicznych. Powstaje wrażenie, że artyści każdorazowo przeżywają i tworzą muzykę na nowo „tu i teraz", nie powielając wypracowanego wcześniej modelu interpretacyjnego i właśnie dlatego nie pozwalają słuchaczowi pozostać obojętnym.

Wiele słów uznania należy się także solistce omawianego koncertu Urszuli Niedobie-Szczepaniak, która bardzo pięknym głosem, szlachetnym dźwiękiem i precyzją prezentowała istotne cechy stylu wykonawczego pieśni ludowych. Ponadto zaprezentowała rozległą skalę możliwości kształtowania barwy głosu, wykonując piosenki Beskidu Śląskiego, z Podhala i Terchowej.

W sumie było to wydarzenie artystyczne, które dało słuchaczom satysfakcję, jaką daje każde spotkanie z dobrą literaturą folklorystyczną, muzyczną i rzetelnym rzemiosłem. Czekamy zatem na następne występy znakomitych młodych artystów.

A. S.





ŚWIĘTO KOMBATANTÓW

7 kwietnia Koło Polskich Kombatantów w RC uroczyście obchodziło 10-lecie swojej działalności. O godz. 9 rano umundurowani kombatanci wraz z licznie przybyłymi gośćmi przy dźwiękach marszowych melodii, granych przez wojskową orkiestrę z Bielska-Białej, udali się na kościeleckie wzgórze, by pod pomnikiem Żwirki i Wigury złożyć kwiaty i pokłonić się polskim bohaterom przestworzy. Tu przy salwach karabinowych, oddanych przez żołnierzy wojska czeskiego, prezes KPK odczytał apel poległych, przywołując pamięć poległych i zamordowanych w czasie drugiej wojny światowej i ofiar stalinizmu.

Następnie uczestnicy uroczystości udali się do pobliskiego kościoła rzymskokatolickiego, by wziąć udział w ekumenicznym nabożeństwie, które odprawili: proboszcz miejscowej parafii ksiądz M. Gandera, kapelan Wojska Polskiego ksiądz J. Kowalczyk, kapelan Z. Kuchař z garnizonu opawskiego i biskup Śląskiego Kościoła Ewangelickiego AW V. Volny.

Epilog uroczystości miał miejsce przed Domem Polskim im. Żwirki i Wigury, gdzie na mocy decyzji prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej kombatanci otrzymali awanse na wyższe stopnie wojskowe. W ceremonii uczestniczyli attaché Wojska Polskiego przy Ambasadzie Polskiej w Pradze i konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis.

W godzinach popołudniowych odbyło się walne zebranie KPL w RC.

E.S.



KONWENT PREZESÓW

Przedstawiciele 61 z 89 istniejących w tej chwili Miejscowych Kół PZKO przybyli 21 marca do Czeskiego Cieszyna, by wziąć udział w Wiosennym Konwencie Prezesów. Z tematyką większości poruszonych tam spraw mogli prezesi zaznajomić się już wcześniej, bowiem omówione zostały w obszernym, drugim już w tym roku Biuletynie Informacyjnym ZG PZKO, który rozesłany został do Miejscowych Kół kilka dni przed Konwentem. Konwent Prezesów stał się spotkaniem, na którym przede wszystkim wyjaśniano i uzupełniano informacje zawarte w Biuletynie.

Na początku jednak sprawę pracującej do niedawna prężnie przy ZG PZKO Sekcji Bibliotekarsko–Czytelniczej przedstawiła jej przewodnicząca Helena Legowicz. Wyjaśniła konieczność, w sytuacji kiedy zagrożone było istnienie Contactu, jedynej po tej stronie Olzy polskiej księgarni, powołania organizacji, która zajęłaby się sprowadzaniem i propagowaniem polskiej książki. Tak powstało Stowarzyszenie Przyjaciół Polskiej Książki, które przejęło również zadania Sekcji Bibliotekarsko–Czytelniczej. W obecnej sytuacji nie ma sensu, wyjaśniła Helena Legowicz, dublowanie pracy SPPK przez Sekcję, ważna jest jednak ścisła współpraca między SPPK i PZKO. Przykładem tej współpracy są np. organizowane w Kołach PZKO kiermasze książek. Informację o takich kiermaszach powinny obwieszczać specjalne, zaprojektowane w tym celu afisze.

Analizę gospodarowania Zarządu Głównego PZKO w roku 2000 prze-

prowadziła przewodnicząca Rady Ekonomiczno-Organizacyjnej Halina Gawlas. Rok finansowy zamknięto ze stratą wynoszącą -285 347 koron. Koszty czyniły 7 241 881 koron, dochody 6 956 534, z czego 3 804 755 koron stanowiły dotacje, największa z Ministerstwa Kultury RC. Pomimo tej straty ustalono, że w roku bieżącym nie zostanie zmieniona wysokość rocznej składki członkowskiej, która wynosi 30 koron, z czego 20 koron odprowadza każde Koło do Zarządu Głównego. W roku 2000 Koła nie odebrały 2 565 sztuk znaczków członkowskich.

Jan Sznapka w imieniu Komisji Rewizyjnej zatwierdził zamknięcie finansowe za rok 2000. Polecił Radzie Ekonomiczno-Organizacyjnej, by poświęciła większą uwagę przygotowaniu budżetu na rok bieżący. Gospodarowanie w roku ubiegłym przyniosło straty, których budżet nie przewidział. Zarząd Główny powinien bardziej przestrzegać pozycji budżetowych, starać się powiększyć dochody własne, lepiej egzekwować należności za znaczki członkowskie.

Dyrektor biura ZG Bohdan Suchanek podał możliwości obniżenia kosztów działalności biura. Usprawnienie łączności z Kołami i oszczędności finansowe przyniósłby kontakt przy pomocy Internetu, przekazywanie korespondencji pocztą elektroniczną. Dodatkowym zastrzykiem finansowym byłoby podniesienie cen za wynajęcie firmom pomieszczeń w budynku ZG na ul. Strzelniczej.

Wiceprezes ZG PZKO Halina Gawlas przypomniała o apelu wystosowanym w Biuletynie Informacyjnym ZG PZKO do Miejscowych Kół, które nie mają uregulowanych spraw majątkowych – chodzi o uzyskanie na własność Domów PZKO i gruntów – by jak najszybciej skontaktowały się z biurem ZG. Sprawy te trzeba załatwić do 1 lipca br., kiedy wchodzi w życie nowa ustawa. Zanika tzw. „institut trvalého užívání pozemku" (ustawa nr 103/2000 Zb., § 879 c, punkt 1, 4) i zapewne dojdzie do przejęcia nieruchomości, które do tej pory były własnością państwa, przez gminy.

Ważnym punktem obrad Konwentu Prezesów był stan przygotowań do XIX Zjazdu PZKO. Nad sprawozdaniem z działalności w obecnej kadencji pracują przewodniczący Rady Ekonomiczno-Organizacyjnej Halina Gawlas, Rady Kultury Jerzy Czap, Rady ds. Młodzieży Tadeusz Szkucik i dyrektor biura Bohdan Suchanek. Program działania na przyszłość wytyczą komisje robocze, składające się z prowadzącego obrady członka ZG i delegatów na Zjazd. Komisja statutowa (prowadzący Jerzy Taraba) opracuje m.in. poprawki do Statutu PZKO i zmiany w Regulaminie Wewnątrzzwiązkowym. Komisja programowa (Jerzy Czap) oceni działalność PZKO od poprzedniego Zjazdu i opracuje nowy program. Komisja personalna (Tadeusz Szkucik) zaproponuje kandydatów do ZG i przeprowadzi z nimi wstępne spotkanie. Komisja ekonomiczno-budżetowa (Halina Gawlas) opracuje sposoby mające na celu poprawę kondycji finansowej Zarządu Głównego. Komisja ds. gości i masmediów (Zygmunt Stopa) opracuje listę gości zjazdowych, nawiąże kontakt z mediami. Komisja techniczna (Bohdan Suchanek) zajmie się sprawą organizacji sprawnego przebiegu Zjazdu.

C.R.

POWITANIE WIOSNY W MK PZKO W SKRZECZONIU



Fotografie w Kronice FRANCISZEK BAŁON

ROMANTYCZNY FORTEPIAN WANDY MIECH

W czwartek 21 marca odbyła się w sali koncertowej Podstawowej Szkoły Artystycznej w Karwinie uroczysta promocja nowo wydanej płyty kompaktowej pianistki Wandy Miech. Wanda Miech znana jest nie tylko z samodzielnych koncertów i recitali. Wsławiła się też jako korepetytorka i akompaniatorka zaolziańskich chórów. Dziś jeszcze współpracuje z zespołem Przyjaźń, chórem Hejnał–Echo, Chórem Nauczycieli Polskich a także z czeskim dziecięcym zespołem Permoník. Trzy ostatnie z tej czwórki zespołów oraz tenor Władysław Czepiec i skrzypaczka Olga Klímowa (z akompaniamentem fortepianowym Nadi Szlachtowej) przyjęli zaproszenie gospodyni tego muzycznego wieczoru i wraz z nią wypełnili program zorganizowanego przez dyrekcję szkoły Wiosennego Koncertu. Akt chrztu tego krążka, który nazwany został „Romantyczny fortepian Wandy Miech", przeprowadził sponsor nagrania i zarazem syn artystki Marian Miech. „Romantyczny fortepian" obejmuje jedenaście utworów P. Czajkowskiego, F. Schuberta, B. Smetany, F. Liszta, H. Wieniawskiego, Ch. Sindinga, anonimowego autora oraz F. Chopina. Wykonaniem tej kolekcji różnorodnych kompozycji pianistka dała popis swoich niekwestionowanych umiejętności interpretacyjnych i technicznych.

(s)



fot. MAREK SANTARIUS

MATURA 2004

W drugiej połowie kwietnia setka uczniów jedynego w Republice Czeskiej Polskiego Gimnazjum zdawała próbny egzamin maturalny z języka polskiego. Do testów maturalnych z podstaw nauk społecznych przystąpiło 65 maturzystów, a z matematyki 35. 75 osób zdawało język angielski, 30 osób język niemiecki. Biologię wybrało 35 uczniów, chemię 30 uczniów. Również maturzyści polskich klas czeskocieszyńskiej Akademii Handlowej, karwińskiej Średniej Szkoły Zdrowotnej i Technikum Przemysłowego podejmują w tym roku szkolnym próbę matury państwowej m.in. z języka polskiego. Tegoroczny próbny egzamin maturalny to pierwszy etap w ramach przygotowań do nowej zreformowanej matury w roku 2004, która przeprowadzona zostanie już na innych niż do tej pory zasadach według nowej ustawy o szkolnictwie.

Dążenie Republiki Czeskiej do wejścia do Unii Europejskiej związane jest z koniecznością powstania czy znowelizowania wielu ustaw, zreformowania wielu dziedzin życia, m.in. szkolnictwa. Profesjonalną pomoc reformującym się systemom oświatowym w państwach Europy Środkowej i Wschodniej organizuje w ramach Unii Europejskiej przede wszystkim ośrodek CITO w Arnhem w Holandii, jeden z najbardziej doświadczonych i renomowanych ośrodków egzaminacyjnych. Jego eksperci pomagali już w budowaniu nowoczesnego systemu egzaminacyjnego w Polsce, w Słowenii, na Litwie, a obecnie w Republice Czeskiej.

Centrum do spraw Reformy Egzaminu Maturalnego

Część nowej ustawy o szkolnictwie nazwana „Egzamin maturalny" wejdzie w życie 1 września 2004 roku. Nowy egzamin maturalny składać się będzie z dwóch części: części wspólnej (matura państwowa) i części szkolnej. Część szkolna przebiegać będzie w sposób podobny jak do tej pory, nowością będzie matura państwowa.

Przygotowaniem wspólnej części egzaminu maturalnego zajmuje się w Pradze powołana w tym celu instytucja Cermat (Centrum pro reformu maturitní zkoušky), składająca się z trzech wydziałów: wydziału rozwoju treści matur, wydziału organizacji i zabezpieczenia technicznego oraz wydziału informacji i propagandy.

Wydział rozwoju treści matur, kierowany przez dyrektor Pavlę Ziele-

niecową, przygotowuje zestawy zagadnień ujętych następnie w katalogu do danego przedmiotu. Katalogi zawierają tematy, których znajomość wymagana będzie od uczniów przystępujących do egzaminu maturalnego. Przy opracowywaniu zagadnień do matury z języka polskiego pomagają również poloniści zaolziańskich szkół średnich.

Koordynatorem języka polskiego pełniącym jednocześnie funkcję pośrednika między Cermatem a zaolziańskimi szkołami średnimi jest Urszula Drahny. Na pytanie, jakie są jej główne zadania, odpowiada: *Na podstawie opracowanego „Katalogu" (w Polsce nazywanego „Syllabusem") powinnam zebrać grupę osób przygotowujących pytania testowe z języka polskiego. Mogę je proponować również ja sama. Pytania muszą zostać następnie sprawdzone w szkołach i przez analityków. Na tej podstawie wraz z grupą nazywaną komisją rewizyjną ponownie przeglądam każde pytanie i z tych najlepszych układam końcowy test maturalny. „Katalog" co roku może się zmieniać. Trzeba więc ponownie go opracowywać, korzystając z nowych metod nauczania języka polskiego. Moim zadaniem jest również współpraca z Polską oraz instytucjami polskimi i polonijnymi w Republice Czeskiej.*

Co daje wspólna dla wszystkich szkół matura? *Chodzi o przywrócenie prestiżu matury* - mówi Urszula Drahny - *i jej funkcji informacyjnej. Wynik egzaminu maturalnego powinien być informacją dla pracodawców, wyższych uczelni, a przede wszystkim maturzystów o poziomie wykształcenia, czynnikiem samooceny pracy nauczyciela, szkoły i całego systemu oświaty. W systemie decentralizacyjnym szkół umożliwia przyjęcie minimum programowego bez naruszania różnorodności koncepcji nauczania. Nowa matura powinna też rozpocząć reformę zmian treści kształcenia w szkołach średnich.*

Wspólna matura jest egzaminem testowym, bowiem, jak wyjaśnia Urszula Drahny, *projekt zakłada możliwie największą obiektywizację ocen. Odpowiedzi sprawdzane będą komputerowo. Na pewno ma to swoje plusy i minusy. Plusem jest oprócz wspomnianego obiektywizmu jednakowe podejście do wszystkich uczniów i odrzucenie możliwości pomyłki. Minusem możliwość odgadywania odpowiedzi i mniejsza inwencja twórcza. Czesi w odróżnieniu od Polaków na początku wprowadzają przede wszystkim pytania zamknięte z wyborem odpowiedzi. Bardzo mało jest pytań otwartych z własną dłuższą wypowiedzią pisemną.*

Jedno ministerstwo, dwie koncepcje

5 października 2000 roku uchwaliło Ministerstwo Szkolnictwa, Mło-

dzieży i Wychowania Fizycznego „Zamysł koncepcji reformy egzaminu maturalnego" (Koncepční záměr reformy maturitní zkoušky). Według tej koncepcji we wspólnej części matury obowiązuje egzamin testowy z języka czeskiego i literatury, języka obcego, matematyki lub wiedzy o społeczeństwie, maturzysta może też z zatwierdzonej przez ministerstwo listy wybrać dodatkowy przedmiot nieobowiązkowy. W przedmiotach obowiązkowych uczeń ma do dyspozycji test na poziomie podstawowym lub wyższym, w przedmiotach nieobowiązkowych istnieje tylko poziom wyższy. W koncepcji ponadto czytamy: *Wyjątek stanowią szkoły z językiem nauczania mniejszości narodowej. Ich uczniowie zdają obowiązkowo cztery egzaminy, tj. oprócz wyżej wymienionych przedmiotów obowiązkowych jeszcze egzamin z języka i literatury mniejszości narodowej.* Komentarz do tego punktu zawiera zdanie: *Uczniowie szkół z językiem nauczania mniejszości narodowej zdają maturę obowiązkowo z dwóch języków ojczystych.*

W marcu br. pojawił się jednak inny projekt. Według § 130 tego projektu ustawy o szkolnictwie uczeń zdaje obowiązkowo język czeski, język obcy oraz przedmiot wybieralny z zaproponowanej przez ministerstwo listy. Zaś w ustępie 2 tego paragrafu czytamy: *We wspólnej części egzaminu maturalnego uczeń szkoły z językiem nauczania mniejszości narodowej według § 65* (paragraf nazwany: Język nauczania, kształcenie członków mniejszości narodowych - przyp. red.) *może zdawać także egzamin z języka nauczania i literatury mniejszości narodowej. Ponadto, jak wynika z § 134 ustęp 2, wynik egzaminu według § 130 ustęp 2 i 3 nie jest zaliczany do ogólnej oceny wspólnej części egzaminu maturalnego.* Innymi słowy matura z języka polskiego staje się przedmiotem nieobowiązkowym, dodatkowym i ocena z niego nie jest wliczana do średniej.

Matura z polskiego i matura po polsku

Nowy projekt ustawy o szkolnictwie zbulwersował zaolziańskich pedagogów i tych wszystkich, którzy współpracowali przy przygotowaniu pierwotnej koncepcji reformy.

Do obowiązującego dokumentu, czyli „Zamysłu koncepcji reformy egzaminu maturalnego", weszły wszystkie nasze sugestie i wnioski - mówi Irena Kufa, dyrektor Centrum Pedagogicznego dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego - *są tu ujęte i to by nas satysfakcjonowało. Wtedy matura z języka polskiego byłaby na obydwu poziomach, państwowym i szkolnym, równowartościowym przedmiotem jak matura z języka czeskiego. To*

jest dokument, który został uchwalony przez Ministerstwo Szkolnictwa, ma nawet swoją sygnaturę. Ale teraz okazuje się, że w najnowszym wniosku parlamentu są już te tezy troszkę inaczej ujęte i to nas niestety nie satysfakcjonuje. Tam język polski jest czymś jakby dodatkowym. Jest przedmiotem wybieralnym, nie liczy się do przeciętnej.

Czy podjęto kroki, by zmienić wniosek ustawy na naszą korzyść? *Czynimy wszelkie starania* – stwierdza Irena Kufa – *by tak się stało. By matura z polskiego była równorzędna, a nie mniej ważna, by nasze dzieci nie znalazły się w gorszym położeniu niż ich czescy koledzy. Nie widzimy problemu w tym, że nasze dzieci będą musiały zdawać maturę z czterech przedmiotów obowiązkowych. Opracowany został list do ministra szkolnictwa Eduarda Zemana i przewodniczącego Komitetu ds. Nauki, Wykształcenia, Kultury, Młodzieży i Wychowania Fizycznego w parlamencie Petra Mareša podpisany w imieniu Kongresu Polaków przez prezesa Rady Polaków Wawrzyńca Fójcika, w którym mowa o tym, że nie zgadzamy się ze zmianami w projekcie ustawy. Konkretnie proponujemy w § 130 ustęp 2 i § 136 ustęp 2 zamiast sformułowania „może zdawać" słowo „zdaje" (může konat - koná), a w § 134 ustęp 2 oraz § 139 ustęp 1 poprawić zdania tak, by wynikało z nich, że język polski jako obowiązkowy należy do przedmiotów wliczanych do średniej ocen. Wydaje się, że mamy jeszcze trochę czasu i szansę, by coś zmienić. Szkoda, że państwo nie czuje potrzeby, by o sprawach mniejszości narodowych rozmawiać z mniejszościami. Brakuje nam zainteresowania posłów, jeśli zgłaszają jakieś zmiany, dlaczego nie zwrócą się najpierw do nas.*

Jednak matura w polskiej szkole to nie tylko matura z języka polskiego, to również testy z innych przedmiotów, które także powinny być przetłumaczone na język polski. *Polska szkoła, czyli oczywiście polska matura: egzamin maturalny z języka polskiego i po polsku zdawane inne przedmioty* – tłumaczy Irena Kufa. – *Tak było do tej pory i nie braliśmy pod uwagę innej ewentualności. Mamy gotowe wydrukowane testy do języka polskiego i przetłumaczone testy do matematyki, fizyki, biologii, chemii. Odbyło się też spotkanie geografów i historyków, ale próbna matura z tych przedmiotów będzie dopiero w roku przyszłym.*

Próbna matura w Polskim Gimnazjum

Rok obecny – mówi Alojzy Kufa, dyrektor Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie – *jest takim pierwszym etapem do zapoznania się z nową maturą. W następnych latach będzie się to powtarza-*

ło może trochę w innej, poszerzonej formie. W roku 2004 będzie w lutym tzw. przedpremiera, a potem już właściwa matura państwowa. Szkoły średnie otrzymały propozycje, by uczestniczyć w tych poszczególnych etapach. My również zgłosiliśmy się do pierwszego etapu.

Jak widzi sens próbnej matury Alojzy Kufa? *Celem próbnej matury jest zapewnienie szkołom - nauczycielom i uczniom - dostatecznej ilości informacji potrzebnych do pomyślnego przeprowadzenia egzaminu maturalnego w roku 2004. Sprawdzamy, czy stopień trudności odpowiada uczniom. Nauczyciele dowiadują się, jak przygotować uczniów, na co zwracać uwagę. Wyniki próbnej matury nie są zaliczane do ogólnych wyników, testy są poprawiane w szkole, nie wolno ich nigdzie publikować, jest zapewniona pełna dyskrecja. Naszym celem jest też to, by te matury były dla naszych uczniów w języku polskim.*

Dyrektora gimnazjum również mocno zaniepokoiła wiadomość o zmianach w projekcie ustawy o szkolnictwie, niekonsultowanych wcześniej z przedstawicielami polskiej mniejszości: *Wydaje się, że w Ministerstwie Szkolnictwa pracują nad tym samym tematem dwie grupy, które o sobie nie wiedzą. Zapewniano nas, że wszystko będzie w porządku, a tu naraz coś takiego. To jest po prostu nie fair.*

Dyrektor Kufa wystosował list do ministra szkolnictwa Eduarda Zemana, w którym protestuje przeciwko zmianom w projekcie ustawy i żąda, by powrócono do brzmienia uchwalonego w pierwotnej koncepcji. Zwraca uwagę na fakt, że w szkołach z językiem nauczania mniejszości narodowej matura z języka i literatury tej mniejszości musi być obowiązkowa, bo chodzi o język ojczysty. W liście znalazł się też postulat, by testy maturalne dla Polskiego Gimnazjum były w języku polskim.

List dyrektora Kufy przesłany został również m.in. do wiadomości senatora Andrzeja Febra. Tuż przed Świętami Wielkanocnymi (11 kwietnia) projekt ustawy o szkolnictwie miał być omawiany w parlamencie. Jak donosi w swym liście do dyrektora Alojzego Kufy senator Andrzej Feber, projekt wrócił do rządu do ponownego opracowania. Zyskaliśmy więc, my, Polacy, bo trzeba sobie uzmysłowić, że jesteśmy w tej chwili w Republice Czeskiej jedyną mniejszością narodową, która posiada swoje szkolnictwo narodowe, cenny czas do działania. Senator Andrzej Feber zapewnia, że będzie trzymał rękę na pulsie.

CZESŁAWA RUDNIK

LECH PRZECZEK

AFORYZMY

☞ Bał się, że ktoś może go chwycić za słowo. Dlatego wolał milczeć.

☛ **Co możesz zrobić dzisiaj, możesz równie dobrze zrobić też jutro.**

☞ Cudze błędy powtarzają tylko ci, którzy nawet nie potrafią popełniać własnych.

☛ **Był jak bumerang. Zawsze wracał tam, skąd przedtem został wyrzucony.**

☞ Pod cienką warstwą pięknych słów kryje się często absolutna pustka.

☛ **Miał niezwykłe hobby - lubił zbierać cudze rzeczy.**

☞ Pracy bywa zazwyczaj dosyć, często jednak brakuje ludzi chętnych do jej wykonywania.

☛ **To, że nic nie jest ani czarne, ani białe, nie oznacza jeszcze, że wszystko musi być szare.**

☞ Chociaż nie robił prawie nic, potrafił zepsuć niemal wszystko.

☛ **Nazywanie rzeczy po imieniu jest albo objawem szczerości, albo też głupoty.**

☞ Nawet najlepszy biegacz nie zdoła uciec przed własnym sumieniem.

☛ **Był wprawdzie na dobrej drodze, lecz szedł nią niestety w odwrotnym kierunku.**

Jan Twardowski

MAMUSIA

Święty Józef załamał ręce,
denerwują się w niebie święci,
teraz idą już nie Trzej Mędrcy,
lecz uczeni, doktorzy, docenci.

Teraz wszystko całkiem inaczej,
to, co stare, odeszło, minęło,
zamiast złota niosą dolary,
zamiast kadzidła - komputer,
zamiast mirry - video.

Ach te czasy - myśli Pan Jezus -
nawet gwiazda trochę zwariowała,
ale nic się już nie zawali,
bo wciąż Mamusia ta sama.

Anna Kamieńska

MATKA I JA

Niedługo będę rówieśniczką mojej matki
może nawet dorosnę do niej w cierpieniu
wtedy będziemy mogły wreszcie porozmawiać sobie
jak równy z równym i nie będę
jej zadawała głupich pytań
nie dlatego że wiem za wiele
ale że nie ma odpowiedzi
i nie będziemy już się kłócić
ani o Boga ani o Polskę
prawdziwe porozumienie
zawsze jest milczeniem

Jan Śpiewak

* * *

Moja matka, która mieszka w chmurze,
Mówi co dzień do mnie:
Dałam ci oczy - abyś mógł dojrzeć.
Dałam ci palce - abyś mógł szukać.
Dałam ci serce - abyś mógł wierzyć.
Dałam ci żonę - abyś mógł istnieć.

I ubiera co dzień żonę w strój owoców.
I ubiera żonę co dzień w strój gałęzi.
I ubiera co dzień żonę w strój wiatru.
W strój uśmiechu, w strój czułości nienazwanej.

Mówi matka, która mieszka w chmurze:
Oto owoc, oto gałąź, oto wiatr.
Oto liść, który w dłoniach moich rośnie,
Aby cień po tobie nadal trwał
W rozdzwonionych włosach syna.

I ubiera syna co dzień w strój mej krwi,
W strój czułości żony w gniazdach oczu,
I ubiera syna co dzień w strój mądrości,
W strój rozwagi, w strój doświadczeń doskonałych.

Moja matka, która mieszka w chmurze...

KASZUBI A NIEMCY I POLACY - SZCZEGÓLNIE W OSTATNIM STULECIU

W świadomości współczesnych Niemców Kaszubi zapisani są najczęściej dzięki kolędzie Wernera Bergengrüna „Das kaschubisches Weihnachtshied". Autor, ur. 1892 r. w Rydze, zasłyszał ją w dzieciństwie od swojej opiekunki. Jej oryginalny kaszubski tekst znany jest też w różnych wersjach w Polsce, najczęściej wśród specjalistów od kultury ludowej. Podobną popularność w Polsce ma świecka piosenka kaszubska „Hej żeglórzu, żeglujże..." Wspólne natomiast Polakom i Niemcom jest pytanie, kim są Kaszubi?

Kaszubi to Pomorzanie - rodzima ludność Pomorza - kraju pogranicza słowiańsko-germańskiego, leżącego nad Bałtykiem w dorzeczu dolnej Odry i Wisły, to resztki Słowian nadbałtyckich. Kaszubszczyzna zaś to swoisty pomost między językiem Słowian połabskich a polszczyzną.

Nazwa Cassubia (o niewyjaśnionej do dziś etymologii) pojawiła się na początku XIII wieku w odniesieniu do państwa Gryfitów, Pomorza Zachodniego ze stolicą w Szczecinie. Drugim ośrodkiem Pomorzan w średniowieczu był Gdańsk, którego dynastia książęca wymarła ponad 700 lat temu. Ostatni książę Mestwin (zmarł w 1294 r.) przekazał swoje dziedzictwo krewniakowi księciu Przemysłowi Wielkopolskiemu, który w 1295 r. koronował się dzięki temu na króla Polski. Stąd też dla współczesnych Kaszubów katedra oliwska, w której spoczywają książęta gdańscy, to swoiste sanktuarium (Kaszubski Wawel), a tradycja Mestwinowa - łączności Pomorza z Polską - jest czymś równie świętym.

Od średniowiecza Kaszubi-Pomorzanie żyli z reguły w dwóch najczęściej rywalizujących ze sobą organizacjach państwowych. Całe Pomorze było przedmiotem rywalizacji polsko-niemieckiej. Zachodnia część wchłonięta została ostatecznie przez Niemcy i uległa prawie całkowitej germanizacji. Wschodnia ostała się przy Polsce.

Jedną z tragedii społeczności kaszubsko-pomorskiej było to, że książęta szczecińscy (ostatni zmarł w 1637 r.) rodzimą tradycję i język traktowali delikatnie mówiąc po macoszemu, a przodująca warstwa - szlachta (także mieszczaństwo), jeśli nie przybyła z Niemiec, to uległa również germanizacji. Z kolei na Pomorzu Wschodnim dość powszechna była polonizacja rodzimej szlachty i niemiecki w dużej mierze rodowód mieszczaństwa. To zróżnicowanie Pomorzan - Kaszubów pogłębiła reformacja. Zachodnia część

całkowicie została opanowana przez kościół protestancki. Pod koniec XVIII w. w wyniku rozbiorów Polski wszyscy Kaszubi, całe Pomorze znalazło się w państwie pruskim. Prusy, Niemcy poprzez odgórną politykę pragnęły przyspieszyć germanizację całego Pomorza, także Kaszubów. Sprzyjał temu rozwój cywilizacyjno-gospodarczy, a służyły jako narzędzia przede wszystkim administracja, wojsko i szkoła. Opór przeciw germanizacji na Pomorzu Nadwiślańskim dotyczył obrony tradycji państwa i języka polskiego.

Przebudzenie etniczne Kaszubów zapoczątkowane zostało w okresie Wiosny Ludów przez uczestnika rewolucji polskiej 1846 r. dr. med. Floriana Ceynowę, zwanego ojcem regionalizmu kaszubskiego. Ceynowa, stwierdziwszy szybkie postępy germanizacji, małą skuteczność polskiego ruchu narodowego na Kaszubach, kierowanego przez nieliczne ziemiaństwo i duchowieństwo, odwołał się do kaszubskiej tożsamości swoich ziomków, głównie chłopów i rybaków. Swoją działalnością i publikacjami wzbudził polemikę wśród braci Polaków i duże zainteresowanie w świecie naukowym, także niemieckim i rosyjskim. Odtąd Kaszubi sami w własnym imieniu i języku coraz częściej występowali w obronie swojej tożsamości, rozwijając m.in. literaturę kaszubską. Wśród polityków i językoznawców pojawiła się wówczas tzw. „kwestia kaszubska". Jedni przypisywali bezpośrednio Kaszubów do Niemców, inni do Polaków. Rzetelni uczeni stwierdzili odrębność językową kaszubszczyzny w rodzinie zachodniosłowiańskiej i jej największą bliskość z językiem polskim. Sami Kaszubi, z czasem stając się coraz bardziej świadomi swojego rodowodu i wspólnych tradycji, zwłaszcza dzięki Kościołowi katolickiemu opowiedzieli się przy polskości. Mimo iż pisano „Ostatki Słowian na południowym brzegu Morza Bałtyckiego" (1856) i „Kaszubi giną" (1907), społeczność kaszubska trwała przy swoim języku, kulturze i tożsamości. I jest to swoisty fenomen społeczny i kulturowy. Kaszubi, emigrując w XIX w. do zachodnich Niemiec, zwłaszcza na prace sezonowe, tam uświadamiali sobie także swoją polskość. Z czasem integrowali się ze społecznością i kulturą niemiecką. Nieco wolniej proces ten przebiegał w Ameryce, zwłaszcza w Kanadzie, gdzie do dziś spora jest kolonia kaszubska, w której w najstarszym, trzecim już pokoleniu potomków dawnych emigrantów zachowała się świadomość polsko-kaszubskiego rodowodu i znajomości języka praojców - w takiej postaci, w jakiej u nas był żywy ponad 100 lat temu.

W dziejach Kaszubów, w historii badań kaszubszczyzny na przełomie XIX i XX w. złotymi zgłoskami zapisali się m.in. Niemiec - Meklemburczyk dr Fredrich Lorentz, pochowany w Sopocie, autor wielu dzieł, w tym „Pommeranisches Wörterbuch", „Tekstów kaszubskich", „Gramatyki pomorskiej" oraz Polak - Małopolanin Stefan Ramułt, zmarły w Krakowie, au-

tor „Słownika języka pomorskiego, czyli kaszubskiego" i „Statystyki ludności kaszubskiej". Oni także pośrednio przez swoje prace przyczynili się do powstania ruchu młodokaszubskiego (pismo „Gryf" - od 1908 r. i Towarzystwo Młodokaszubów w Gdańsku - 1912), którego wielka trójca - dr med. Aleksander Majkowski, prawnik Jan Karnowski i ks. Leon Heyke to wychowankowie uniwersytetów niemieckich, m.in. Gryfii, Berlina i Monachium. Młodokaszubi, czerpiąc także z dorobku kultury niemieckiej, rzucili hasło „co kaszubskie to polskie" i dążyli do rozwoju literatury i kultury, także politycznej, własnej społeczności. W latach 1918-1920 Kaszubi wraz z całą społecznością polską Prus Zachodnich opowiedzieli się za Polską, a gros Pomorza Nadwiślańskiego zostało przyłączone do Rzeczypospolitej.

Szczególną cechą życia codziennego Kaszubów w XIX wieku było dobrosąsiedzkie raczej współżycie z niemieckimi ziomkami, mieszkającymi tu od pokoleń, nie angażującymi się z reguły w walkę polityczną. Dokumentuje to jeszcze dziś w swoim pisarstwie seniorka pisarzy kaszubskich Anna Lajming. Inna była postawa pruskich urzędników, niekiedy kolonistów, junkrów, mających Kaszubów i Polaków za gorszą kategorię ludzi i obywateli. Tę niechęć i wrogość państwa pruskiego oraz jego urzędników Kaszubi zapamiętali, obie dobrze i na długo.

Wielu mieszkańców Pomorza XIX i XX wieku, także Niemców i Polaków, w tym Kaszubi, to ludzie wielu kultur, języków. Kaszubi obok rodzimego języka kaszubskiego, urzędowego niemieckiego (Hochdeutsch) i kościelnego polskiego znali lub przynajmniej dobrze rozumieli także mowę codzienną sąsiadów - Niemców czyli Niederdeutsch. Niekiedy też miejscowi Niemcy, jeśli żyli w mieszanej społeczności, znali także kaszubski. Kwestia kaszubska, żywa również w 20-leciu między wojnami, wynikała z problemów politycznych i napięć między Polską a Niemcami. Ze strony polskiej miała miejsce obawa przed nadmiernymi sympatiami Kaszubów do Niemiec, tęsknotą za obecnością w świecie wyższego poziomu materialnego. Jednak przy nadzwyczajnych okazjach przedstawiciele państwa podkreślali, iż dzięki Kaszubom Polska wróciła nad Bałtyk. Niektórzy pisarze, np. Stefan Żeromski, próbowali zainteresować ogół społeczeństwa polskiego kaszubskimi kresami, próbowano tworzyć mit Polski morskiej, a w jego ramach uwzględnić Kaszubów. Ze strony niemieckiej, podobnie jak w okresie zaboru, próbowano podkreślać odrębności kaszubskie i oddzielić Kaszubów od Polaków. Nie wyrzekano się też dążeń odwetowych, rewizjonistycznych. Cząstka Kaszubów w ziemi lęborsko-bytowskiej nadal żyła w państwie niemieckim. Ponieważ wielu z nich tęskniło za Polską, ich w pierwszym rzędzie objęły prześladowania hitlerowskie. Dotyczyło to także Kaszubów - Polaków mieszk-

kających w Wolnym Mieście Gdańsku. Kres pokojowemu współżyciu w sposób dramatyczny położył wybuch II wojny światowej. Były to dla Kaszubów najbardziej tragiczne lata w bieżącym stuleciu. Symbolem ich są Lasy Piaśnickie, między Wejherowem a Krokową, i Szpęgawskie oraz Stutthof, gdzie zginęła elita społeczności kaszubskiej i całego Pomorza. Kaszubi podjęli zorganizowany opór przeciw okupantowi. W kraju przede wszystkim Tajna Organizacja Wojskowa Gryf Kaszubski, potem Pomorski, a w Wielkiej Brytanii Związek Pomorski. Tragiczne skutki po dziś wywołała hitlerowska polityka narodowościowa, przymusowe wpisywanie na listę narodowościową niemiecką i wcielanie do Wehrmachtu. Stąd Kaszubi po wrześniu 1939 r. ginęli nadal na frontach Europy Zachodniej i Wschodniej w mundurach polskich, niemieckich, a także polsko-radzieckich. Ludność cywilna w momencie wyzwolenia przez Armię Radziecką bardzo często traktowana była jak Niemcy. Wielu razem z Niemcami zostało wywiezionych na Sybir. Tylko nieliczni opuścili swoją małą ojczyznę dobrowolnie czy w ramach organizowanej przez Niemców a potem Polaków przymusowej ewakuacji. Ten fragment tragicznych dziejów Kaszubów zilustrował na kartach „Blaszanego bębenka" Günter Grass. Warto zwrócić uwagę na fragment powieści, kiedy to rodzina Oskara opuszcza Gdańsk, a na dworcu żegna wnuka babka Kaszubka - Anna Koljaczykowa. Tłumaczy ona, że Kaszubi żyli zawsze między Polakami a Niemcami, niby między młotem a kowadłem. Dla jednych byli za mało niemieccy, dla drugich za mało polscy. Kaszubi jednak nie wyjeżdżają. Często nadstawiali i nadstawiają policzek pod uderzenie jednych czy drugich, by ci przez to mogli poczuć się lepsi.

Po 1945 r., po pierwszym okresie radości z zakończonej wojny i nadziei na życie w wolnym państwie (odbył się wówczas w 1946 r. I Kongres Kaszubski) Kaszubi podobnie jak ogół Polaków poddani zostali działaniu systemu komunistycznego, który zmierzał do totalnej unifikacji. Młodych Kaszubów, jako niepewnych obywateli PRL, w ramach służby wojskowej nie kierowano do bliskiej im marynarki, lecz do przymusowej pracy w kopalniach na Śląsku. (Tak też dojrzewała świadomość wspólnoty losów Ślązaków i Kaszubów). Opór kaszubskich chłopów przed kolektywizacją odbił się dodatkowymi trudnościami młodych na drodze do zdobycia wykształcenia. Całość kultury kaszubskiej próbowano sprowadzić do folkloru, sztuki ludowej. Taka polityka nie dała założonych efektów. Wręcz przeciwnie, rósł wewnętrzny opór. Stąd jeszcze w 1958 r. powstało Zrzeszenie Kaszubskie, od 1964 Kaszubsko-Pomorskie, które bazując na środowiskach inteligenckich nie bez załamań realizowało swe zadania na rzecz kulturalnego, gospodarczego i politycznego rozwoju regionu Kaszub i całego Pomorza. Sojusznikiem

Kaszubów były instytucje kościelne i środowiska twórcze, ludzie nauki, z których niektórzy swój rodowód wywodzą z dawnych kresów wschodnich RP, zwłaszcza z Ziemi Wileńskiej. Szczególną rolę odegrał wówczas jako działacz ruchu kaszubsko-pomorskiego pisarz gdański Lech Bądkowski. Aktywnie uczestnicząc w działaniach opozycji, reprezentował także ZK-P w marcu 1968 r., grudniu 1970 i sierpniu 1980. Został też pierwszym rzecznikiem prasowym Solidarności. W stanie wojennym ZK-P zachowało swoją polityczną niezależność, świadcząc o odporności Kaszubów na przeciwieństwa losu.

Przez najtrudniejsze lata komunizmu Kaszubi, pamiętający o tragicznych doświadczeniach okupacji i próbach pozbawienia ich podmiotowości, byli stosunkowo wolniejsi od dominujących stereotypów zły Niemiec, dobry Polak. Doświadczenia wieków sprawiły, iż w trudnych rozmowach pytano, o jakiego Niemca chodzi, pamiętano, który był złym, a który dobrym człowiekiem. Jeszcze przed powrotem Polski do świata demokratycznego ZK-P utrzymywało kontakty ze środowiskami naukowymi, niektórymi DP-G (Hamburg, Nordfriesland), Evangelische Akademie Nordelblen itp. W Niemczech ukazały się wówczas dzieła Ferdynanda Neureitera z Salzburga „Kaschubische Anthologie" i „Historia literatury kaszubskiej", przetłumaczona na język polski. Neureiter, podobnie jak serbołużycki pisarz Frido Melsk i wschodnioberliński językoznawca Friedhelm Hinze otrzymali Medale Stolema - nagrodę studenckiego Klubu Pomorania za dokonania na rzecz kultury kaszubskiej.

Platformą spotkania Kaszubów z innymi Polakami i Niemcami był i jest miesięcznik Pomerania. We współpracy polsko-niemieckiej uczestniczy też Kaszubski Uniwersytet Ludowy w Wieżycy. Silne jest w Gdańsku i na Pomorzu środowisko naukowe zajmujące się problematyką kaszubską i stosunków polsko-niemieckich.

Od 1990 r. Kaszubi mają swoją reprezentację w władzach samorządów gmin, a także w parlamencie RP. Samorządy są też głównym partnerem Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego we współpracy z Niemcami.

Kaszubi w Polsce i we współpracy z Niemcami kładą nacisk na przyszłość, niechętni są dążeniom zarówno tym w Polsce jak i w Niemczech do powrotu do przeszłości. Mamy kontakty zarówno ze Związkiem Polaków w Niemczech jak i z różnymi DP-G, zwłaszcza w Północnych Niemczech, w czym niemała rola partnerskiej współpracy Województwa Gdańskiego z Landem Schleswig-Holstein, a Gdyni z Chylonią oraz miasta Gdańska z Bremą. Kaszubi utrzymują też kontakty z organizacjami mniejszości niemieckiej w Gdańsku i na Pomorzu, ale to także interesujący temat na osob-

ny wykład. W maju 1994 r. ZK-P jako członek FUEV było współorganizatorem Kongresu w Gdańsku.

Ostatnie kilkanaście lat to m.in. czas rozwoju turystyki na Kaszubach i Pomorzu. Z roku na rok przybywa do nas także wielu Niemców. Część w ramach turystyki sentymentalnej, część z autentycznej fascynacji dotąd nieznanym światem. Niektórzy mieszkający tu do 1945 r. dopiero teraz poznają prawdziwe Kaszuby, Kaszubów i ich kulturę. Wcześniej liczył się dla nich tylko krajobraz i kultura niemiecka. Znaczącym przykładem może być zmarłe przed kilku laty rodzeństwo Ewa i Wilhelm Brauer - rodem z Kartuz. On jako pastor w Lubece po wojnie wiele napisał o swoim Heimacie - Szwajcarii Kaszubskiej, nie zauważając prawie wcale Kaszubów. Ona - również pastor, z męża Brenner, będąc na emeryturze w Heidelbergu, przetłumaczyła na język niemiecki najwybitniejsze dzieło kaszubskiej prozy powieść A. Majkowskiego „Żëcé przigodë Remusa". Chciała w ten sposób przybliżyć rodakom to, co najważniejsze na Kaszubach i dla Kaszubów - kulturę duchową i język.

Kaszubi przetrwali. Zachowali i umacniają swoją tożsamość, m.in. dzięki temu, że jedną z podstawowych i najczęściej cenionych wartości jest pracowitość, zaradność, upór w dążeniu do celu, rodzinna solidarność i nieufność wobec nadmiaru deklaracji, pięknych słów i haseł.

Kaszubi są dumni z faktu, że to właśnie z Gdańska - naszej duchowej stolicy, powiał w 1980 r. nowy wiatr od morza, dzięki któremu dziesięć lat później uległa radykalnej zmianie sytuacja zarówno Polski jak i Niemiec, można rzecz całej nawet Europy. W 1992 r. na II Kongresie Kaszubskim Kaszubi, obradując nad przyszłością kaszubszczyzny, zademonstrowali wolę trwania, wzmożonych działań na rzecz rozwoju swojej społeczności i Pomorza już dziś, w solidarności z Polską, z myślą o przyszłości całej Europy.

JÓZEF BORZYSZKOWSKI

Prof. dr hab. Józef Borzyszkowski jest kierownikiem Pracowni Historii Pomorza i Krajów Nadbałtyckich Instytutu Historii Uniwersytetu Gdańskiego i prezesem Instytutu Kaszubskiego w Gdańsku. Będzie gościł na Zaolziu pod koniec maja na zaproszenie Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Książki i Oddziału Polskiego Biblioteki Regionalnej Karwinie. Spotka się z młodzieżą w Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie i Karwinie oraz z czytelnikami w Oddziale Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie Frysztacie.

PALACZ

Na stacji kolejowej, której twarz smagana jest mroźnym wiatrem, a deszcz obmywa palce jej rąk, stoi młody mężczyzna w starych podartych spodniach i granatowej przyciasnej kurtce. Łysa od niedawna głowa - jeszcze pół roku temu bujna czupryna przeszkadzała mu w ułożeniu stosownej fryzury - przykryta jest kaszkietem. Owo powojenne nakrycie głowy o charakterystycznych dla tego typu odzienia dziurkach z prawej strony, skrzętnie skryje dostrzegalne na pierwszy rzut oka wady kosmetyczne tego młodego człowieka. Spokój, z jakim ów młodzieniec wodził wzrokiem po peronie, zadziwiał i przerażał. W gruncie rzeczy był człowiekiem nad wyraz zrelaksowanym, którego nieposzlakowanej opinii mógł pozazdrościć niejeden oczekujący na przyjazd pociągu. Nie był zbyt lubiany przez rówieśników. Nie brał bowiem udziału w zabawach typowych dla ludzi w jego wieku. Zawsze się wyróżniał. Jego najczęstszym zajęciem było długie wysiadywanie nad strumykiem. Monotonny szelest przynosił ulgę i niesamowite uczucie szczęścia. Często wymykał się w nocy z domu, by dokładnie przyjrzeć się żabom, które rechotały na brzegu. Na wpół zanurzone w mule stworzenia były jednak bardzo czujne. Gdy nocną ciszę przerwało pękanie gałęzi leżących pod nogami, żaby zwinnym skokiem znikały w głębinach. Innym razem młodzieniec przyglądał się srebrzystym pstrągom. Nigdy, choć często próbował, nie udało mu się żadnego złapać. Bardzo ubolewał nad tym faktem i często skarżył się mamie, że chłopaki od sąsiada bez większych kłopotów wyrzucają na brzeg jedną rybę za drugą. Zazdrościł im. Zbierała się w nim jednak złość, gdy bohaterowie skarg rozpalali ognisko. Łapali pstrągi za ogon i uderzali głową o kamień dopóty, dopóki nie roztrzaskali rybom móżdżku. Wyłupiwszy oczy, wsadzali ryby na wcześniej przygotowane zaostrzone kije. Młodzieniec nie mógł na to patrzeć. Ogarniał go szał. Był wściekły, że nie może nic na to poradzić. Jego bezbronność prowokowała chłopców do popełniania coraz to bardziej wyrafinowanych morderstw. Wyłazili wtedy na drzewo i oglądali, jak młodzieniec zbiera resztki ryb, układa je do papierowego pudełka, które wsadza do wykopanego dołu. Później, odmawiając prawdopodobnie jakiś rodzaj modlitwy, przeraźliwie płakał. Baczny obserwator mógł wtedy dostrzec, że od strumyka biegnie grupa dzieci. Uciekali. Ogarniał ich bowiem strach. Nad rzeczką rozgrywało się istne piekło. Młodzieniec brał do ręki spiczaste kije - narzędzia egzekucji - i machając nimi na wszystkie strony, łamał je. Nieraz okaleczał samego siebie. Jego ciało pokryte jest wieloma ciętymi ranami. W takich momentach chłopak był całkowicie odporny na

ból. Tym bardziej niebezpieczne były jego zabawy z rówieśnikami, gdyż często nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie groziło mu podczas zabawy z kawałkami drutów, rozbitymi butelkami, kawałkami postrzępionej blachy. Nikt nie próbował tego zmienić. Nikt nie zabraniał jednak młodzieńcowi usiąść nad rzeczką na niewielkim wzgórku, na starej wierzbie, na ławce, którą zbudował jego dziadek z okazji dziesiątych urodzin. To było prawdziwe szczęście. Tak właśnie wyobrażał sobie namacalny dowód na istnienie szczęścia. Nic nie mogło się równać z chwilą, gdy siedząc na ławce, kołysał się w rytm strumyka, który wystukiwał melodię natury. Stanowił jedno z otaczającą go przyrodą. Był podobny do krzaka, do bujnej korony drzew sięgających nieba. Kołysząc się na wietrze, zapominał o wszystkim. Jego stan psychiczny przypominał człowieka zapadającego w śpiączkę. Skończył dopiero pod wieczór, gdy mama dotknęła jego ramienia: „Chodź, synku, kolacja na stole."

Dziś niespełna trzydziestoletni mieszkaniec niewielkiej wsi wybierał się na wycieczkę. Urozmaicone w ten sposób życie uległo dużej zmianie. Obiecano mu kupić spodnie - spodnie jego marzeń. Od kilku lat śnił o spodniach w czerwono-czarną kratę z dużymi kieszeniami po bokach. Spodnie koniecznie muszą być ciut dłuższe, by można było je podwinąć od dołu. Wprawdzie buty nie są zbyt odpowiednie do takich spodni, ale najważniejsze są teraz dwie proste rurki - droga do szczęścia. Chłopak poczuł, że ogarnia go aura ekstatycznej przyjemności, niekończącej się przyjemności. Był wtedy jednym z niewielu optymistów świata, którzy wierzyli w tego typu zdarzenia. Nawet w najgroźniejszych snach nie przypuszczał, że mogłoby być inaczej. Młody mężczyzna wyprostował swe ciało, naprężył się i udając bardzo poważnego mędrca, kłaniał się przechodniom głęboko, składając wszystkim najserdeczniejsze życzenia. Za każdym razem odwracał się do kobiety, która siedziała na dworcowej ławce. Pani w starszym wieku, zadbana i elegancka, z niepokojem i opiekuńczym wzrokiem towarzyszyła młodzieńcowi, który rozpoczął nerwowy spacer, będący niejako jawną konsekwencją ulotnej chwili spokoju. Kobieta wstała. Rozpoczął się bowiem moment, w którym chłopak dokonuje wielu niekontrolowanych przez jego umysł czynności. W okamgnieniu peron zamienił się w autostradę, pas startowy, wąską kładkę nad przepaścią, linę cyrkową zawieszoną wysoko nad ziemią. Młodzieniec zmieniał swe upodobania w zależności od wykonywanych czynności. Radość, z jaką wcielał się w bohaterów poszczególnych operacji, rozpierała jego serce i mięśnie. Każdy ruch był wykonywany bardzo precyzyjnie. Kobieta będąca zapewne jego matką starała się znanym tylko przez nią samą sposobem uspokoić syna. Jednak im więcej się starała, tym bardziej nerwowo reagował jej podopieczny. Dobroć, z jaką kłaniał się ludziom, szacunek, jakim darzył czekających na pociąg, zamienił się w dosyć nieprzyjemne, wręcz agresywne zachowanie. Obecni na dworcu odsuwali się od chłopca. Wielu z nich podchodziło do kobiety, prosząc o natychmiastową reakcję. Niektórzy byli zdecydowani zadzwonić do domu opieki społecznej, by spec-

jaliści od tych spraw zajęli się chłopcem. Matka nie chciała słyszeć o podobnych metodach. Doskonale wie, jak kończą się tego typu wizyty. Chcąc uniknąć kłopotów, udaje jej się odseparować, chociaż częściowo, chłopca od reszty obserwatorów. Ludzi na dworcu było coraz więcej. Niektórzy oferowali swą pomoc, ale gdy młodzieniec zauważył w trawie zardzewiałą puszkę i butelkę po winie, szybko zrezygnowali, wycofując się na bezpieczną odległość. Puszka po rybach - co jeszcze bardziej zdenerwowało chłopca - stała się obiektem latającym przybyszy z kosmosu. Butelka przybrała postać nowoczesnej broni, która skutecznie stawi czoła niebezpieczeństwu, jakie grozi ludzkości. Butelka - na początku w całości, później w kawałkach - lądowała w pobliżu starej konserwy niczym kamienie, które nieraz wrzucał młodzieniec do strumyka.

Matka krzyknęła z przerażenia. Ręce jej syna zalała krew. Stare spodnie pokryły się ciemnymi plamami. Chłopak starał się wytrzeć krew, lecz ta uparcie lała się strumieniami. Nie sposób było opatrzyć rany, gdyż nikt nie był w stanie zbliżyć się do chłopaka. Zresztą ten nie pozwalał, by cokolwiek robiono z jego osobą. Peron zamienił się w czerwony latający dywan. Chłopiec narwał kwiatów i rozrzucił je wokół siebie. Usiadł, zamknął oczy. Po chwili jego ciało zaczęło się poruszać. Monotonne ruchy przypominające kołyskę całkowicie opanowały umysł zwaśnionych stron. Ludzie zaczęli dobierać się do chłopaka, krzycząc: „Łapać go, związać, zamknąć w wariatkowie!".

Wtem młody człowiek wstał, rozejrzał się wkoło, uśmiechnął się znacząco i pogwizdując melodię ze znanego filmu animowanego, kontynuował spokojny spacer po płycie dworca. Dziwnym ruchem prawej dłoni sięgnął do kieszeni. Niczego nie wyjmując, włożył to coś do ust. Sięgając do drugiej kieszeni, wyjął jakiś przedmiot, którego fizycznie nie było. Kobieta zrozumiała, że syn, udając zawodowego palacza, zapalił papierosa na niby. Młodzieniec sprawiał wrażenie, jakoby palił naprawdę. Ludzie czekający na przyjazd pociągu przybrali postawę widzów. Nikt bowiem nie oglądał takiego widowiska. Pantomima na bardzo wysokim poziomie - krzyknął ktoś w tłumie. Młodzieniec zerkał jednak niespokojnie na mamę. Gdy skończył palić, rzucił peta na ziemię. Przydeptując go piętą, stracił nagle równowagę. Jego ciało zaczęło się chybotać na wszystkie strony. Machając rękami, stwarzał pozory młodego ptaka, który dopiero uczy się latać.

Kobieta krzyknęła ponownie. Jej głos wziął chłopaka za serce. Nie był jednak w stanie utrzymać się na własnych nogach, które niczym wata ugięły się w kolanach. Niezgrabne ciało zwaliło się jak kłoda na tory.

Nadjechał pociąg. Jednak nikt nie wsiadał, nikt nie wysiadał. Zmurszała kładka przełamała się wpół. Linoskoczek źle obliczył punkt ciężkości. Stara ławka wkomponowała się w leśne poszycie, które całkowicie pochłonęło ją swą wilgocią.

MAREK SŁOWIACZEK

KOGO SZUKACIE, CZYLI MISTERIUM XXI WIEKU

Quem queritis in sepulchro o Christicolae?
(Kogo szukacie w grobie, o chrześcijanki?)
Iesum Nazarenum crucifixum o coelicola!
(Jezusa Nazareńskiego ukrzyżowanego, o niebiański!)
Non est hic: surrexit sicut praedixerat.
Ite nuntiate quia surrexit de sepulchro.
(Nie ma go tu. Zmartwychwstał, jak przepowiedział.
Idźcie, powiedzcie, że zmartwychwstał z grobu.)

Taki dialog przeprowadziły z Aniołem przy pustym grobie Chrystusa po Zmartwychwstaniu Pańskim przybyłe tam niewiasty. Dialog ten - „Visitatio sepulchri" - odgrywano w kościołach podczas Świąt Wielkanocnych, by lepiej unaocznić i pomóc głębiej przeżyć uczestnikom liturgii tamte zdarzenia. Tak powstał pierwszy dramat liturgiczny. Przyjmuje się, że działo się to w średniowieczu w dziesiątym wieku. Sceny Narodzenia, Męki i Zmartwychwstania Chrystusa odgrywano potem już w języku narodowym, poza nabożeństwami, poza kościołem. Przestały mieć charakter stricte religijny, dołączano elementy ludowe, rozrywkowe. Powstawały widowiska i całe cykle misteriów. Między poszczególne części przedstawienia wplatano intermedia, sceny groteskowe urozmaicające całość lub komentujące ją. O popularności misteriów niech świadczy fakt, że przetrwały do naszych czasów.

„Historyja o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim" to jedyny zachowany polski dramat misteryjny, który powstał jednak nie w średniowieczu, a dopiero w okresie odrodzenia, bo napisany został przez zakonnika częstochowskiego Mikołaja z Wilkowiecka w drugiej połowie XVI wieku. Niewątpliwie korzystał jednak autor z fragmentów tekstów granych o wiele wcześniej. Powstało dzieło dramatyczne o zwartej budowie, przejrzystej kompozycji, ciekawym języku i soczystych, dowcipnych dialogach, w którym występują pełne wyrazu postacie sceniczne. Zachowany egzemplarz zawiera nawet didaskalia, wskazówki reżysera, jakie stosować gesty, jak wyglądać ma scena pantomimiczna przedstawiająca naradzających się ludzi, jakie powinny być dekoracje, kostiumy. Popularna była wtedy dekoracja symultaniczna,

tj. odsłaniająca od razu wszystkie miejsca akcji; na scenie ustawiano obok siebie tzw. mansjony, jakby małe domki czy pokoje bez czwartej ściany, w których odbywały się kolejne odsłony.

W XX wieku „Historyję..." przenieśli na scenę wielcy ludzie polskiego teatru Leon Schiller i jego uczeń Kazimierz Dejmek. Leon Schiller przygotował w warszawskim teatrze Reduta „Wielkanoc" - „historię o Męce Najświętszej i Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim podług misterium Mikołaja z Wilkowiecka, dewocji, officjów i obrzędów ludowych". Premiera odbyła się 2 kwietnia 1923 roku (kilka miesięcy wcześniej na Boże Narodzenie 1922 roku wystawił Schiller w Reducie swoją „Pastorałkę"), przedstawienie grane było w tym i następnym roku w ponad trzydziestu miejscowościach w Polsce, przede wszystkim na kresach wschodnich. Uznano je później za zapowiedź schillerowskiego teatru mistycznego. Zabrzmiały w nim chóry gregoriańskie, pojawiło się ruchome światło, potęgujące wrażenie iluzji w scenach z Chrystusem. Schiller zastąpił bowiem cielesną postać Chrystusa postacią iluzoryczną widzianą tylko przez dwa symetrycznie ustawione wpatrzone w nią Anioły. Inaczej niż Schiller pojmował swoje zadanie przypomnienia widzowi teatru staropolskiego, w którym szukał genezy i stylu polskiego teatru, Kazimierz Dejmek. Repertuar narodowy miał być jednym z elementów wychowawczych teatru. Wystawił „Historyję o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim" w roku 1961 w Teatrze Nowym w Łodzi, a w roku następnym w Teatrze Narodowym w Warszawie (dwukrotnie wziął też na warsztat „Żywot Józefa" Mikołaja Reja). Uważał, że jako reżyser powinien wrócić do poetyki starych tekstów, odrzucał więc aktualizację, kładąc nacisk na widowisko jako ceremonię, a własne pomysły scenariuszowe wprowadzając głównie w intermediach. Udało mu się zgrabnie połączyć styl hieratyczny z plebejskim bez uszczerbku dla któregoś z nich. Stworzył wspaniałe przedstawienia, które zapisane zostały jako ważne wydarzenia w historii teatru polskiego. Misterium staropolskie „Amor Divinus", którego częścią była „Historyja", grano także w drugiej połowie lat 60. w Teatrze Akademickim Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w reżyserii Mieczysława Kotlarczyka, twórcy m.in. założonego w roku 1941 w Krakowie konspiracyjnego Teatru Rapsodycznego, w którym występował także Karol Wojtyła.

W Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego grano „Pastorałkę" Leona Schillera i „Betlejem polskie" Lucjana Rydla. „Historyja o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim" Mikołaja z Wilkowiecka, której premiera odbyła się 24 marca br., jest dziełem reżyserskim Bogdana Kokotka, pracą dyplomową tego studenta reżyserii warszawskiej szkoły teatralnej. Bogdan Kokotek sam zagrał już w Scenie Polskiej Jezusa - w roku 1995 w przedstawieniu Janusza Klimszy „O, jak ślicno familija, Józef, Jezus i Maryja", zaś w roku 1998 ty-

tułową postać w przedstawieniu „Barabasz". Tematyka ewangeliczna nie jest mu więc obca.

Tym razem sięgnął po nią jako reżyser, biorąc do współpracy Krzysztofa Małachowskiego (scenografia i kostiumy) i Zbigniewa Siwka (muzyka). Posłużył się w swej adaptacji tekstem staropolskim, poza nim jednak niewiele zostało w tym przedstawieniu z atmosfery dawnych misteriów. Charakter ludyczny wyraźnie górował nad wątkiem sakralnym.

Akcja działa się właściwie cały czas na proscenium, które zamykała wielka na całą szerokość i wysokość sceny ściana stodoły z drewnianymi wrotami. W nich małe drzwiczki, takie jak w prawdziwej wiejskiej stodole, służyły postaciom scenicznym do wychodzenia na scenę i opuszczania jej. Tylko kilka razy otwarto całe wrota, by ukazać np. przestrzeń nieba czy otchłań piekła. Przed stodołą zaś umieszczone zostały rekwizyty nieodłącznie związane z gospodarstwem wiejskim, i to wcale nie tym najbardziej nowoczesnym.

Tam, przed stodołą, lud wiejski, posługując się językiem staropolskim, odgrywał epizody z Pisma Świętego. W międzyczasie zdążył i popić, i pospać (chrapania było trochę za dużo, było zbyt długie i zbyt głośne). Jedyna scena, która, również dzięki potęgującej nastrój muzyce, porywała za serce, wzruszała i wnosiła nieco mistycyzmu, to jedna z pierwszych scen spektaklu, przedstawiająca ukrzyżowanie Chrystusa. Jezus, przybity do krzyża, wzniesiony został do góry, po jego bokach złoczyńcy na obrazach namalowanych na otwartych na oścież wrotach stodoły. Mylący to obraz, pozwolił bowiem widzowi mniemać, że zabawy ludu wiejskiego zobaczy na przemian ze scenami rozbudzającymi jego uczucia religijne. Nie było już jednak drugiej takiej sceny, wszystkie pozostałe zaspokajały tylko potrzeby nieco niższego rzędu. Stylizację na prymityw ludowy pojął reżyser zbyt dosłownie. Pokazał, że lud nie rozumie tajemnic, które przedstawia na scenie przed stodołą, ale nie wziął pod uwagę głębokich pokładów wiary, która nie potrzebuje zrozumienia, a która być może drzemie w tych ludziach. Zresztą wiadomo, co to za ludzie. To przecież współcześni nam wieśniacy, nasi sąsiedzi i znajomi, jak sugerowała scena, w której niewiasty udały się po wonne olejki do kupca Rubena, a ten okazał się dobrze znanym nam wszystkim wietnamskim sprzedawcą. Inny okres w dziejach nowożytnych sugerowała scena będąca parafrazą obrazu, na którym Wolność prowadzi lud na barykady. Tylko po co?

A co na to wszystko aktorzy? Grając w większości wypadków po kilka ról, poprawnie spełniali swe zadania, pamiętając, co to gra zespołowa. Owa wielokrotność ról była w tym wypadku konieczna, przedstawiali bowiem wieśniaków bawiących się w teatr. Nie przeszkadzała pewna nieporadność sceniczna trzech występujących gościnnie w tym spektaklu muzyków Nowiny (Adam Szczuka, Piotr Byrtus, Jacek Branny), a wręcz wnosiła jakiś rys naturalności, bo przecież owe sceny z misterium, ten teatr w teatrze powinni

grać amatorzy. Dzielnie sekundowali profesjonaliście - Pawłowi Niedobie - razem z którym najczęściej występowali. Gościnnie zaśpiewała też, jako Matka Jezusa i Anioł, i zebrała gorące oklaski Beata Czendlik. Patrycja Czerwiec, Lidia Chrzan, Halina Pasekowa i Janina Buława przedstawiały inne niewiasty. Strażnikiem był Kazimierz Siedlaczek. Najwięcej postaci do zagrania miał Ryszard Malinowski, bo niejako kierował grą wieśniaków i objaśniał wydarzenia jako Prologus, a jednocześnie co jakiś czas zręcznie wskakiwał w którąś z ról, stawszy się Piłatem, Rubenem czy Tomaszem, osobami różniącymi się przecież diametralnie. Z arcykapłanów w diabły (Annasz i Kajfasz, Cerberus i Lucyfer) przedzierzgnęli się Janusz Kaczmarski i Ryszard Pochroń. Ukrzyżowanego, a potem Zmartwychwstałego, zwycięskiego Jezusa zagrał Tomasz Kłaptocz, któremu reżyser nie nakazał charakteryzacji na znaną z rzeźb i obrazów postać Chrystusa, lecz pozwolił na zachowanie „prywatnej" twarzy.

Przedstawienie „Historyji" w Scenie Polskiej to dzieło reżysera, który ma pomysły (może nawet na dużo), własną wizję, ale w tym wypadku dał się zbytnio ponieść teatrowi jarmarcznemu. Na korzyść wyszłaby spektaklowi większa powściągliwość i powaga. Bo nie samą zabawą żyw jest człowiek...

CZESŁAWA RUDNIK



fot. WIESŁAW PRZECZEK

PRZEDSTAWIENIE WYMYŚLONE DLA NAS

Poszedł Suchy do Mokrego i wymyślił przedstawienie. Polskie przedstawienie. Bo wcześniej - 12 kwietnia 1997 roku - była premiera czeskiego oryginału sztuki Mirko Stiebera „Bláha a Vrchlická". W Scenie Czeskiej Teatru Cieszyńskiego. W reżyserii Karola Suszki. I poszedł potem Karol Suszka do swego wieloletniego przyjaciela Marka Mokrowieckiego, dyrektora Teatru J. Szaniawskiego w Płocku. I spolszczył nazwiska, i wymyślił Blahę z Wrchlicką po polsku. W maju 1998 roku zagrano w Płocku przedstawienie „Proszę..., zrób mi dziecko" Mirko Stiebera. Autorem przekładu i adaptacji, reżyserem, scenografem oraz wykonawcą roli Blahy był Karol Suszka. Spektakl zagrano również w Instytucie Kultury Czeskiej w Warszawie, o czym wzmiankowaliśmy w Zwrocie (nr 4/1999, s. 51).

Wracał Suchy od Mokrego i w połowie drogi do Cieszyna zrobił kolejną wersję przedstawienia sztuki „Proszę..., zrób mi dziecko". W październiku 1999 roku wystawił ją Karol Suszka u innego Marka, tym razem Marka Perepeczki w Teatrze im. A. Mickiewicza w Częstochowie. Był autorem przekładu i adaptacji, reżyserem i wykonawcą roli Blahy.

Wrócił Suchy od Marków, bo upomniało się o niego Zaolzie. Zasiadł na krześle dyrektorskim, polsko-czeskim, w teatrze w Czeskim Cieszynie, by ponownie rozpocząć pracę u podstaw. Iść do ludu i nieść oświaty kaganek. I poszedł sam, bez wyręczania się kimkolwiek. Poszedł jako Blaha z nową, kolejną u swego boku Wrchlicką.

28 marca br., tuż po Międzynarodowym Dniu Teatru, odbyło się w sali kinowej Biblioteki Regionalnej, współorganizatora wieczoru, w Karwinie Mizerowie premierowe przedstawienie sztuki Mirko Stiebera „Proszę..., zrób mi dziecko" w przekładzie, adaptacji i reżyserii Karola Suszki. On też zagrał ponownie Antoniego Blahę, Marią Wrchlicką była Anna Paprzyca.

Jak trafnie ujął temat tej komedii lirycznej Bohdan Urbankowski (całość wypowiedzi przeczytać można w programie do przedstawienia), jest *to opowieść o budowaniu miłości w świecie dosyć okrutnym i z tworzywa też nienajlepszego. Kulawy Romeo i ślepa Julia - czy z tego da się coś zrobić? A do tego zaczynają nietypowo, właściwie od końca...*

Gra w tym przedstawieniu tylko dwójka aktorów. Udaje im się nie tylko nie zanudzić widza, ale wprost wprowadzić w nastrój liryczny, rozmarzyć, chwilami rozśmieszyć. Wielka w tym zasługa Karola Suszki w roli kulawego kasjera dworcowego Blahy. Ale ponieważ dla niego jest to kolejne wcielenie w tę postać, należy szczerze podziwiać Annę Paprzycę, która jako prawie ślepa telefonistka z centrali Wrchlicka jest godną jego przeciwniczką i partnerką. Prowadzenie dialogu scenicznego w sytuacji, gdy jeden z protagonistów, powtarzając tekst od kilku lat, zna rolę na wylot i może np. pozwolić sobie na chwile beztroskiej improwizacji, jest dla drugiego protagonisty tańcem na ostrzu noża. Anna Paprzyca dobrze radzi sobie z bardziej doświadczonym kolegą i nie ustępuje mu ani na chwilę.

Wielu znakomitych gości, ludzi świata kultury i polityki, przybyło na ten

wieczór. Toczono rozmowy kuluarowe, ale przede wszystkim oglądano, ze śmiechem i zadumą, kameralny spektakl Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego, dialog sympatycznej pary nieudaczników.

Teatr przygotował to przedstawienie poza abonamentem. Oczekuje, że widz zaprosi go do siebie, do Domów PZKO, świetlic, na spotkania klubowe, imprezy okolicznościowe. I obejrzy spektakl, który przecież Karol Suszka wymyślił dla nas.

CZESŁAWA RUDNIK



fot. FRANCISZEK BAŁON

XXV BIEG PIASTÓW

ŚWIĘTO MIŁOŚNIKÓW BIEGANIA Z UDZIAŁEM ZAOLZIAŃSKICH SPORTOWCÓW

Polana Jakuszycka, gdzie w sobotę 10 marca o godzinie 10.00 stanęli na starcie uczestnicy jubileuszowego XXV Biegu Piastów na dystansie 25 kilometrów, witała zawodników mgłą i gęstą mżawką. Dokładnie o godz. 10.45 dyrektor Biegu Piastów Julian Gozdowski dał sygnał do startu. Można było biec stylem wolnym, tzw. łyżwą. Pierwszy zawodnik na mecie, Oskar Šretr z Trutnowa, pokonał trasę w czasie 01:16:56,10. Kolejne cztery miejsca zajęli również Czesi.

Zaledwie dwu miejsc zabrakło, by Jakub Lipowski, reprezentujący ekipę Zaolzie, z czasem 01:42:22,30 znalazł się w pierwszej setce klasyfikacji ogól-

nej, a w swej kategorii (rocznik 80...) zajął 57 miejsce. Miejsce 119 zajął Roman Sikora, czas 01:45:42,10 (r. 45-49 - miejsce 4); miejsce 126 Adam Lipowski, 01:47:26,80 (r. 80... - miejsce 61); miejsce 154 Tadeusz Fójcik, 01:57:43,30 (r. 80... - miejsce 72). 223 był Władysław Czudek, 02:26:12,20 (r. 45-49 - miejsce 17; 226 Władysław Niedoba (r. 50-54 - miejsce 20); 246 Jan Kabot (r. 50-54 - miejsce 25); 288 Marek Palowski (r. 69-79 - miejsce 46); 295 Milan Roček (r. 45-49 - miejsce 24); 318 Marian Palowski (r. ...39 - miejsce 7); 326 Stanisław Gawlik (r. 40-44 - miejsce 13).W sumie z ponad tysięcznej rzeszy startujących na dystansie 25 km bieg ukończyło 441 zawodników.

Główną niedzielną konkurencją XXV Biegu Piastów, w której wystartowało ponad 1400 zawodników, był bieg na dystansie 50 km stylem klasycznym. Niestety pogoda zawiodła całkowicie. Plusowa temperatura i padający deszcz zmusiły organizatorów do zmiany wcześniej zaplanowanej trasy i utrudniały wytyczenie właściwej trasy.

Trasa została skrócona o ponad 40 km. Zawodnicy mieli prawo ukończyć bieg po jednym okrążeniu, zostali wtedy sklasyfikowani na dystansie 10 km. Mogli również ukończyć bieg po dwóch okrążeniach i zaliczyć dystans 23 km. Jak wyjaśnił Julian Gozdowski, w tym roku z braku śniegu ludzie mało trenowali, dlatego wielu mogło nie wytrzymać dystansu.

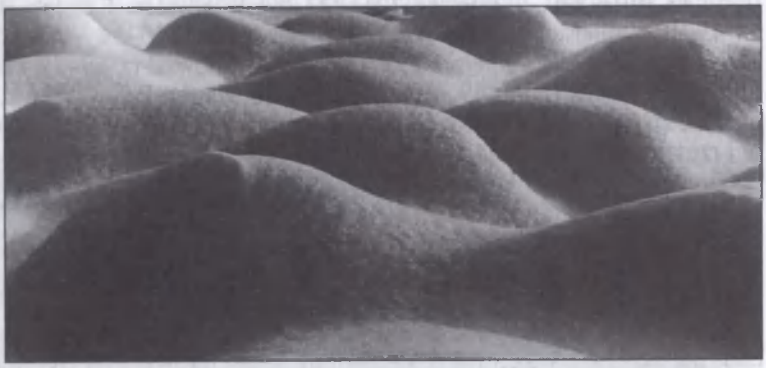
Duże brawa, słowa uznania i gratulacje dla wszystkich, którzy wystartowali! W ekipie Zaolzie należy wyróżnić najmłodszego zawodnika Tadka Fójcika, który po sobotnim trudnym wyścigu wystartował w niedzielnym biegu, tak samo jak Marek Palowski i najstarszy nasz zawodnik Marian Palowski. Oprócz nich do niedzielnej rywalizacji stanęli Wawrzyniec Fójcik, Bronisław Kabot, Józef Słowioczek, Jaroslav i Miroslav Wlochowie oraz Štěpan Rumišek, który mieszka w Javorniku, ale tradycyjnie wyjeżdża z ekipą Zaolzie.

Głównym triumfatorem jubileuszowego Biegu Piastów został Stanislav Řezač z Jablonca, czas 02:07:50,2 (rocznik 1973), wyprzedzając Tomaša Jakoubka z Dukli Liberec, 02:09:39,5 (r. 79), i Janusza Krężeloka z Katowic, 02:12:12,1 (r. 74), który jeszcze tuż przed metą ścigał się Maciejem Kreczmerem ze Szczyrku, 02:12:12,3 (r. 81).

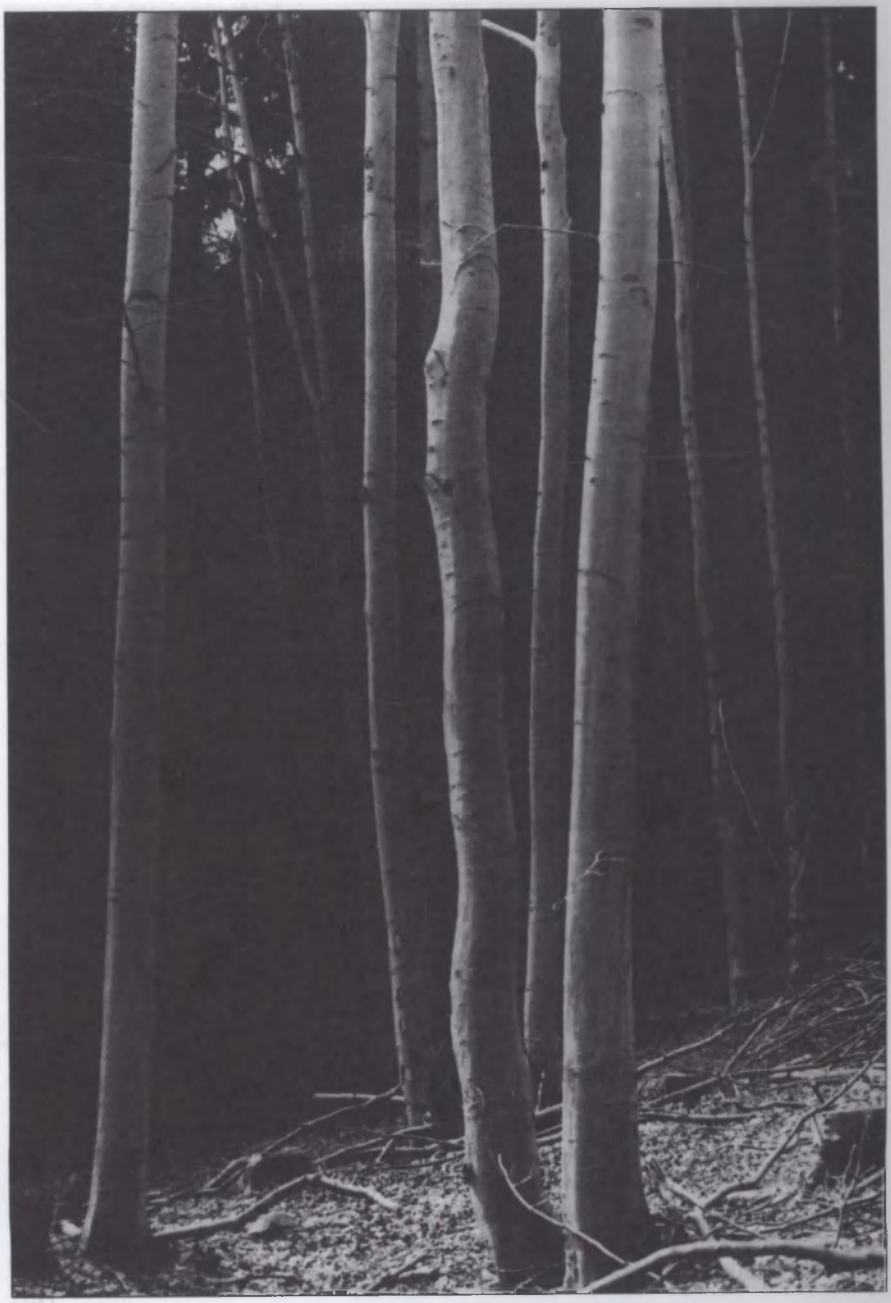
Dla naszych jeszcze raz duże brawa! Tadek Fójcik został sklasyfikowany na dystansie 23 km, reszta ukończyła główny bieg w kolejności: miejsce 94 Bronisław Kabot, czas 02:52:17,9 (r. 49 - w swej kategorii 3), a wśród Polaków z zagranicy 2 miejsce za Marianem Kaczanowskim z Wilna, 02:49:29,8. 142 był M. Wloch, 03:04:33,7 (r. 60), 150 W. Fójcik, 03:06:52,6 (r. 59); 181. Rumišek, 03:13:38,2 (r. 58); następnie J. Wloch, M. Palowski, J. Słowioczek. Gorąco i serdecznie oklaskiwała na mecie prawie cała ekipa Mariana Palowskiego, który choć zmęczony, z uśmiechem minął linię mety. Warto dodać, że zwycięzca otrzymał czek na niebagatelną sumę 12 tysięcy złotych, drugi 5000 zł, trzeci zawodnik wzbogacił się o 3000 zł. Nasi tym razem zadowolili się drobnymi upominkami, a miłych wrażeń i niezapomnianej atmosfery już nikt im nie odbierze.

A.F.

BRUNO MICHALIK







Bruno Michalik urodził się 4 maja 1940 roku w Darkowie. Obecnie mieszka w Karwinie Raju. Fotografuje od 15 roku życia. Najbardziej interesuje go utrwalanie na fotografii przyrody i jej przemian, ale nie stroni od portretu i innych ujęć. Kiedy pracował w kopalni ČSA w Karwinie, prowadził tu przez ponad 20 lat grupę fotograficzną. Od r. 1978 jest członkiem SČF. Swoje fotografie prezentował na wystawach własnych i klubowych, zarówno w kraju jak i zagranicą. Najwięcej w Polsce, gdzie także wziął udział w czterech plenerach fotograficznych. Był również uczestnikiem sympozjum fotografików pod nazwą Polska Fotografia w Świecie w Szczecinie. Obecnie przygotowuje własną wystawę, która będzie miała miejsce w Oddziale Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie Frysztacie.

POŻEGNANIA

Jakiego kraju i jakiego nieba
światło powita mnie u progu żywota,
nie wiem - lecz radbym żył z polskiego chleba.
Juliusz Słowacki

W połowie lutego nieoczekiwanie opuściła nasze szeregi długoletnia, niestrudzona, niezmiernie aktywna, zawsze świadoma swoich zadań i obowiązków śp. **Emilia Bilan** z Jurczków, od roku 1991 przewodnicząca MK PZKO w Błędowicach.

Urodziła się w Błędowicach Dolnych, wyrastała w środowisku, które miało wpływ na poczucie patriotyzmu w życiu rodzinnym i społecznym. Po nauce w gimnazjum obrała zawód nauczycielki, nauczała języka polskiego. W miejscowej polskiej szkole przekazywała młodemu pokoleniu treści zawarte w książkach ludzi wielkiego ducha, Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza.

Celem, radością i treścią Jej życia stała się praca na rzecz kultury w ramach MK PZKO. Organizowała i brała udział w imprezach upiększanych śpiewem i muzyką. Od tercetu, małego zespołu wokalnego, po chóry - pomagała wydobywać prawdziwe skarby zawarte w naszych pieśniach i muzyce. Dziesięć lat z poświęceniem wykonywała funkcję przewodniczącej Koła, ciesząc się pełnym zaufaniem członków. Kochała polską książkę, przybliżała ją czytelnikowi na wystawkach, uroczystych zebraniach, imprezach. Od roku 1994 w Domu PZKO prowadziła Polski Oddział Biblioteki Miejskiej.

Żyła w czasach niełatwych, ale do końca pozostała wierna ideom Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego.

A.P.

DOBRO RADA NAD ZŁOTO...

...mówiyli starzi ludzie i byli radzi, jak jedyn drugimu cosi poradziół, baji jaki zieliny na jakóm chorobym używać. Gospodynki zaś jedna drugi radziyły, jak robić zazworkowe, miodowe i insze pierniki abo jak uheklować pieknóm serwetkym itp.

Gospodorze zaś, co dać babuciowi, krowie abo kozie, jak nie chce żrać, jak nejlepszy szczypić jabłónie, kiedy dodować plastry pszczołóm itp.

Starsi syncy zaś radziyli młodszym, jak se namówić dziołchym. Dziołchy zaś pouczały taki gizdule, aby nie wierziły synkóm, co im wszycko naobiecujóm.

To były taki dobre rady, od serca. Ale były też taki wyrostki, wymasty, kierzi se robiyli błozna z młodszych synków, ale ci se nie dali i odpyskowali im na to: „Z takóm radom do... (budy) jadóm...", bo im „radziyli" baji:

„Wiysz, jak nejlepszy chycić zajónca w zimie? To musisz prziwiónzać kónsek rzepy na cegłym, a kole ni nasypać pieprzu. Jak zajónc zacznie tóm rzepym gryźć, to wdychnie do nosa tego pieprzu, znacznie kichać, a prać przi tym głowóm o cegłym, aż zustanie leżeć nieżywy.

Jak cie boli w karku, uwiónż se podłógowaty kónsek szpyrki namoczany w czoskowym soku na szpagat, połykej jóm i wycióngej szpagatym tak dłógo, aż se ty bakcyle z połykacza wypucujesz, wydrzesz.

Jak nimożesz przestać kichać, przidziyrż se ostry gwóźdź pod brodóm... Od kuckanio zaś je najlepszy wypić sztwierć litra mlyka z marmeladóm, za chwilym pół litra maślónki, a potym kónsek chleba grubo pomazany szmolcym. A za 10 minut uż nie bydziesz mioł odwagi se kucnyć, bo byś mioł w ga... na..."

Takich „rad" było wiyncy.

Ale jo tak przipadkym prziszoł na dobróm radym. Po tych sztyrech infarktach mi tabletkami strasznie obniżyli ciśniyni krwi. Było mi to w lecie dziwne, że mie kumory nie gryzóm... Bo tak. Ty kumory (a właściwie ty

kumornice, samiczki, bo to óny szczypióm) sie tak przi tym namogajóm, jak wyciómgajóm krew pod niskim ciśniynim, kiero tak słabo próndzi, że przi tym z wysilynio omdlóm abo ich szlag trefi... I móm pokuj od nich.

Tóż wóm radzym, połykejcie w lecie tabletki na obniżyni ciśniynio krwi i możecie se fajnie wyspać, bez fackowanio samego siebie po licach.

Mómy wiosne. Jak najdziecie w trześniach chroboczki, nie wyciepujcie ich wszystki! Dejcie ich na godzinym do lodówki, óny, ty chroboczki przechłódnóm i zacznóm kuckać. Każdóm trześniym przilóżcie potym ku uchu i usłyszycie w kiere „cosi" kucko, a w kiere ni. Ta je dobro, bez chroboczka. Ale i tak... przed trzyma rokami pisali w gazecie że „owady to białko przyszłości". Jo bych tymu aji uwierzół, bo my byli w 1960 roku na taki se tygodniowe rekreacyji w Jesiónikach z rodzinóm szwagra. Było tam tela trześni na strómach, aż sie gałynzie uginały. Zaszli my do jednego gospodorza, czy by nóm nie sprzedoł, że se aji sami naobiyrómy. „Ale ja! Obiercie se cały ström za dwacet korón".

Obiyrali my ze szwagrym i synkami, a jedli my ty trześnie przi tym, aż sie nóm uszy ogibały. Szwagrówka na dole mówi: „A jo nimóm rada taki moc słodki owoce". Jak my ale sleźli z taszkami i najedzóni do syta, mówi nóm: „Rozłupejcie se porym tych trześni". W co drugi był chrobok! Tóż my ich musieli sfrygać porym stowek z tymi trześniami. A nic nóm nie zustało „na żołóndku"... Były fajne.

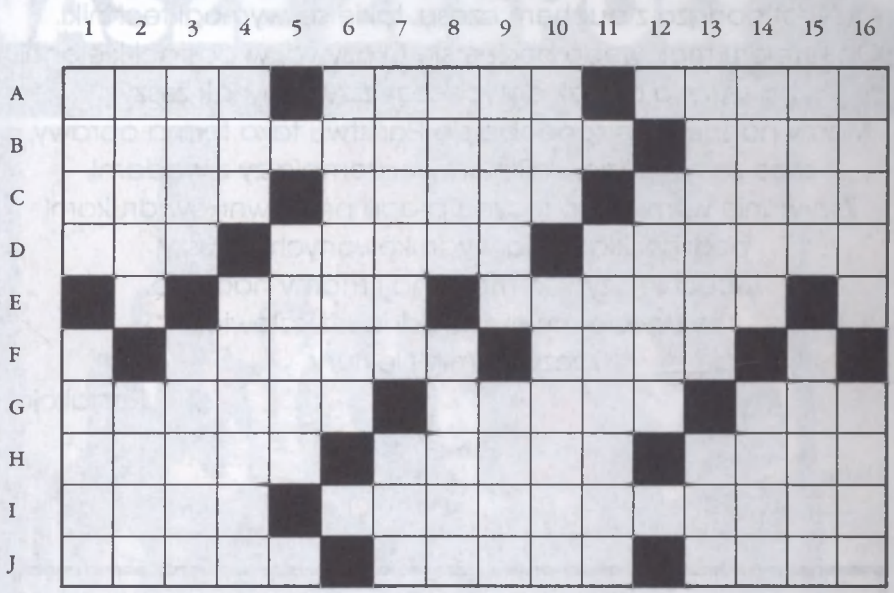
Ale na kóniec faktycznie dobro, dooprowdzicko rada. Jak wóm niedaleko ula rozeźlóno pszczoła bzuczy kole głowy i chce wóm dać „inekcyj" przeciw rewmie (bo dostanie kupić aji takóm maść „jad pszczeli"), tóż hónym klynknijcie na kolana i głowym styrczcie do trowy. Pszczółka poloce, poloce nad wami i odleci, bo w trowie sie ji źle loce. Toch uż porym razy wyprubowoł i poradziół inszym.

Nigdy ale nie chodźcie blisko ula bez czopki abo bez szatki, bo pszczółka zahaczy o włosy, myśli se, że je w jakisich paściach i po prostu sie bróni, żóndełkym!

Jeśli uż was „pichnie", nie wyciómgejcie żóndła palcami, bo wyciśniecie wszystek jad z tego woreczka pod skórym. Żóndło trza tak na bok zeszkrobnyć pazurym abo nożykym, a to miejsce namazać porym razy sokym z cebule, kiero je w zogrodzie nejbliży po rynce, a je też najuczynniejszo. Wszycko to wyprubowoł i za darmo wóm to radzi...

Starzik Wicek.

KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA Z PRZYSŁOWIEM

POZIOMO: A. Czeskocieszyńskie wydawnictwo; miejscowość w Sudanie na Nilu; trofeum wojenne Indian. **B.** Pisarski znak przestankowy; rzymski plac. **C.** Miasto w Etiopii; leży nad Mleczną; huk. **D.** Dźwięk obniżony o półton; suchy pręt, kijek; płótno bawełniane. **E.** Radegast; pnącze rosnące w Azji. **F.** Powód, przyczyna; rzeka w Nigerii. **G.** Ozdobny wisiorek; siedziba władz Boliwii; były czeski hokeista i trener. **H.** Słowianin; nadworny rzeźbiarz Aleksandra Wielkiego; barwa twarzy. **I.** Miejscowość na Węgrzech; pracownik drukarni. J. Sztuczna droga wodna; embolia; stop żelaza.

PIONOWO: 1. Insekt; pokarm dla koni. **2.** Przywódca; przewód. **3.** Władca Olimpu; urządzenie do pracy pod wodą. **4.** Ma Asa; dokument o ubezpieczeniu. **5.** Przywódca spisku przeciwko Neronowi. **6.** Nieduży kawałek. **7.** Krasomówca; imię Taylor. **8.** Zmrożony wyrób cukierniczy; imię żeńskie. **9.** Dzieli się na wieki; składnik powietrza. **10.** Generał artylerii (Józef); narzędzie obuwnicze. **11.** Stop żelaza, chromu i aluminium. **12.** Urwis, ulicznik. **13.** Glinka porcelanowa; drzewo iglaste. **14.** Siły zbrojne państwa; posunięcie dla zwrócenia uwagi. **15.** Imię Kruczkowskiego; okrągły namiot pokryty skórami. **16.** Nastrój powagi; jezioro i wulkan w Filipinach.

Wyrazy trudne: AKEBIA, OGUN, OROS, TAAL.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: F-13, J-4, C-8, A-3, E-5, B-10, F-15, J-8, A-16, I-1, H-13, B-2, G-3, A-6, H-9, E-9, B-1, I-14, G-10, D-14, B-15, F-7, J-2, I-7, F-5, J-15, E-6, C-9, D-1, G-12, H-4.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosowane zostaną nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca maja.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru marcowego: PIOSENKA JEST DLA MYŚLI WINEM.

Nagrody książkowe wylosowali: **Władysław Majewski** - Bystrzyca
Helena Kraus - Trzyniec
Roman Ruśniok - Czeski Cieszyn

DRODZY CZYTELNICY,

Zwrot podąża z duchem czasu, takie są wymogi techniki.
Od numeru majowego będzie się ukazywał w postaci klejonej broszury, a nie jak dotychczas zszywany jak zeszyt.
Mamy nadzieję, że spodoba się Państwu taka forma oprawy, a co za tym idzie, unikniemy egzemplarzy z wadami.
Zszywanie wymuszało ręczną pracę pracowników drukarni podzas składania wydrukowanych arkuszy.
Obecnie czyni to maszyna i mamy nadzieję, że będzie mniej zawodna niż człowiek.
Życzymy miłej lektury.

Redakcja

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny Ministerstwa Kultury RC: F 389

WYDAWCA: **POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE, IČO: 442771, przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej**

REDAKCJA: **ELŻBIETA STRÓŻCZYK** (redaktor naczelny), **CZESŁAWA RUDNIK** (redaktor), **FRANCISZEK BAŁON** (sekretarz redakcji), **ELŻBIETA KOLBER** (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: **ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN, Tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz**

RADA REDAKCYJNA: **Kazimierz JAWORSKI, Daniel KADŁUBIEC, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK**

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168 Kč, z wysyłką pocztową 240 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701028/00 z dnia 27 VI 2000 r. z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE ZESPOŁY



KLUB MŁODYCH W NYDKU

Klub Młodych przy MK PZKO w Nydku to działająca pod kierownictwem Marii Martynek dziesiątka młodych ludzi, uczniów szkół średnich i studentów uczelni wyższych. Zaczęli od przygotowywania i prezentacji na imprezach w Kole małych form scenicznych – recytacji, scenek humorystycznych, skeczy i anegdot. W ten sposób zdobywali szlify aktorów-amatorów, by móc zagrać przedstawienie teatralne.

W ich repertuarze są zarówno teksty polskie, jak i teksty gwarowe zaolziańskich autorów. Już na samym początku swej działalności członkowie Klubu Młodych w Nydku wykazali obok zapału również talent i swobodę w poruszaniu się na deskach scenicznych.

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

OT

P.P.
701 028/00
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE ZAOLZIE

STONAWA

Mieszkańcy Stonawy zapisali się wiele razy złotymi literami na kartach historii Zaolzia. I w czasach współczesnych Stonawa jest zasłużenie w centrum uwagi. Warto wspomnieć chociażby, zakończoną sukcesem, walkę stonavrian ze szkodami górniczymi.

Ma Stonawa najstarszy na terenie Zaolzia Dom Robotniczy, swoją starą polską szkołę, ma też wspaniale odremontowany Dom PZKO, który służy wszystkim jej mieszkańcom bez względu na narodowość.

Wioska szanuje pamięć przodków, czego świadectwem jest troska o pomniki przeszłości, między innymi o pomnik ofiar pierwszej wojny światowej, tablice upamiętniające ofiary faszyzmu i stalinizmu, symboliczny grób ofiar obozów czy mogiłę żołnierzy 12 pp Wojska Polskiego.



ISSN 0139-6277

Zwrot

6
2001

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ



TACY BYLIŚMY



Alojzja i Alojzy Frankowie.
Fotografia ślubna z roku 1920.

ALOJZJA FRANEK



13 stycznia br. pani Alojzja Franek z Czeskiego Cieszyna obchodziła 101 urodziny (na zdjęciu obok w dniu urodzin i na okładce w dniu ślubu). Urodziła się nad Olzą w Pastwiskach w roku 1900 w robotniczej rodzinie Bronowskich. W Cieszynie ukończyła naukę w zakresie szkoły podstawowej. I choć uczyła się bardzo dobrze, rodzice nie byli w stanie łożyć na wykształcenie ośmiorga dzieci, toteż mając zaledwie 14 lat, podjęła się pracy zarobkowej w cieszyńskiej fabryce likierów. W tym czasie wybuchła I wojna światowa, a w zachodniej części Cieszyna powstał lazaret. Tu, a potem gdy lazaret przeniesiono na Wyższą Bramę, pomagała w kuchni i opiekowała się rannymi.

W roku 1920 Alojzja poślubiła starszego o trzy lata kolejarza z Żukowa Alojzego Franka. Dziesięć lat później małżonkowie wraz z czwórką dzieci (Józkiem, Eduardem, Wilhelmem i Walerią) przeprowadzili się do własnego domku rodzinnego na Rozwoju w Czeskim Cieszynie. Tu po siedmiu latach urodził się najmłodszy syn Stas.

Najtrudniejsze były lata hitlerowskiej okupacji, kiedy Niemcy pozbawili ich rodzinnego domu. Po wojnie mimo przeszkód, tym razem ze strony czeskich szowinistów, wrócili na Rozwój. Przed 28 laty zmarł Alojzy Franek. Alojzja Franek nigdy nie pracowała zawodowo, troszczyła się o dom i wychowanie dzieci. Każde z nich otrzymało staranne wykształcenie. Dziś one odpłacają trud wychowania troskliwą opieką.

Alojzja Franek ma 8 wnuków, 14 prawnuków oraz 2 praprawnuków, które przyszły na świat w Pradze po setnych urodzinach jubilatki. Tak liczna rodzina rozproszyła się po świecie, wielu żyje z dala od Zaolzia. Najstarszy syn Andrzej mieszka w Polsce w Rybniku, w Czeskim Cieszynie mieszka syn Wilhelm, emerytowany nauczyciel Polskiego Gimnazjum, i córka Weronika. Wnuk Andrzej mieszka w Ostrawie, Tonik w Pradze, Heniek w Grecji, w Australii wnuk Stanisław Franek.

(red)

Zwrot 6 2001

Rok LII, nr 619
Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 20,00 Kč

W NUMERZE

3	Polonia i Polacy u progu nowego tysiąclecia	ELŻBIETA STRÓŻCZYK
10	Złudne nadzieje lat 1968–1970 (3)	STANISŁAW ZAHRADNIK
16	II Zjazd Polaków z Zagranicy (4)	RUDOLF WÓJCIK
22	Pamiętnik Józefa Kożdonia (2)	
26	Wędrynianin Józef Szücs	GUSTAW FOLWARCZNY
30	Udany VII Festiwal Piosenki Dziecięcej	CZESŁAWA RUDNIK
35	Kronika: „A jak siedniesz między wrony…" w Milikowie, Polski Związek Kulturalno-Oświatowy uhonorowany nagrodą Wojciecha Korfantego, Mistrz krzyżówek Przekroju 2001, Lekcja historii z profesorem Pánkiem, „Bajki Pani Bajki", Talinki, Wystawa na Podlesiu, Wystawa na Kościelcu, „Lufciorze" Wilhelma Przeczka w Łomnej Dolnej, Przedstawienie w Nawsiu, „Męskie złudzenia" w Suchej Górnej, Miejscowe Koło PZKO w Dąbrowie	
49	Nasza okładka, czyli kapela Olza	F. B.
53	Przez sito intymności	MAREK SŁOWIACZEK
56	Okay Adamie!	FRANTIŠEK VŠETIČKA
58	Przypomnienie Henryka Nitry	WŁADYSŁAW SIKORA
60	Poezja Marka Słowiaczka	
62	Recepcja twórczości Cypriana Kamila Norwida w Czechach	KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOWA
67	Jubileusz prof. Krystyny Kardyni-Pelikánowej	E. S.
68	O Kalendarzu Śląskim kilka refleksji	KAROL KAJZER
70	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
73	Pożegnania: Antoni Kożusznik	
74	Fotograficy Zaolzia: Kazimierz Jaworski	
76	Tadeusz Gabryś – fotograf amator	GUSTAW FOLWARCZNY
77	Mozaika	

Numer zamknięto 16. 5. 2001

Na okładce: Kapela Olza

POLONIA
I POLACY
U PROGU
NOWEGO
TYSIĄCLECIA

II ZJAZD POLONII I POLAKÓW Z ZAGRANICY
(28 IV - 2 V 2001)

WARSZAWA
PUŁTUSK
KRAKÓW
CZĘSTOCHOWA

POLONIA PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ

Mówiąc dziś o Polonii i Polakach zamieszkałych poza granicami kraju nie sposób pominąć jej historii. Po II wojnie światowej poza granicami Polski na Zachodzie, zarówno w Europie jak i na innych kontynentach, pozostały setki tysięcy Polaków. Dla ogromnej większości decyzja pozostania tam była formą protestu przeciw zniewoleniu ojczyzny przez sowiecki komunizm. Uchodźcy ci utworzyli w krajach swojego osiedlenia organizacje polonijne oparte najczęściej na idei walki o Rzeczpospolitą wolną, niepodległą i praworządną. Dołączyły do nich także organizacje polonijne powstałe wcześniej, a wywodzące się z różnych fal emigracji – szczególnie początków XX i końca XIX wieku. Proces scalania owych różnorakich warstw i organizacji trwał trzy dziesięciolecia, aż dojrzała idea zjednoczenia Polonii w skali światowej. W roku 1975 z inicjatywy Kongresu Polonii Amerykańskiej i Kongresu Polonii Kanadyjskiej odbyła się w Waszyngtonie konferencja reprezentantów zorganizowanej Polonii, podczas której stwierdzono konieczność światowego porozumienia, powierzając Kongresowi Polonii Kanadyjskiej zorganizowanie światowego zjazdu pod nazwą Polonia 1978 – Polonia Jutra. Zjazd ten odbył się w Toronto. Wyłonił Radę Koordynacyjną Polonii Wolnego Świata. Członkami-założycielami Rady były centralne organizacje polonijne z Argentyny, Austrii, Australii, Belgii, Francji, Kanady, Niemiec Zachodnich, Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii oraz organizacje o zasięgu światowym: Federacja Światowa Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, Związek Harcerstwa Polskiego poza Granicami Kraju, Rada Naczelna Żołnierzy Armii Krajowej i Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej. Tak wyglądał do roku 1990 zorganizowany świat Polonii Zachodu, która poza małymi wyjątkami nie utrzymywała kontaktów z władzami komunistycznymi w Polsce. Na Wschodzie pozostały dwa kręgi Polaków, które różnią się geograficznie i historycznie. Pierwszy to

rodacy na ziemiach historycznie z Polską związanych – Polacy w Łotwie, Litwie, Białorusi, Ukrainie i na Zaolziu są ludnością osiadłą tu od wieków. Drugi krąg to Polacy w Azji Środkowej i na Syberii, potomkowie zesłańców. W tym zakresie w Polsce trwały długie lata oficjalnego milczenia na temat Polaków na Wschodzie, o których na falach eteru raz po raz upominało się Radio Wolna Europa.

Po odzyskaniu przez Polskę pełnej niepodległości nastąpiło wzajemne zbliżenie się emigracji polskiej i Polonii na Zachodzie z ojczyzną i uświadomienie istnienia Polaków na Wschodzie, czego wyrazem była Konferencja Kraj – Emigracja. Nie bez przyczyny obrano za jej miejsce Rzym (26–30 X 1990), bo osoba Ojca św. Jana Pawła II, który uczestników Konferencji (89 przedstawicieli organizacji polskich i polonijnych z 22 krajów świata) przyjął na prywatnej audiencji, w sposób zdecydowany obligowała do przekształcania utrwalonych struktur polonijnych w nowe, otwarte na wszystkich Polaków, niezależnie od miejsca ich zamieszkania. W Konferencji nie wzięli udziału przedstawiciele Kongresu Polonii Amerykańskiej, ale już niecałe dwa lata później Rada Koordynacyjna Polonii Wolnego Świata na walnym zebraniu w Krakowie stwierdziła potrzebę istnienia światowego porozumienia organizacji polonijnych i przekształciła nazwę organizacji na Radę Polonii Świata, z możliwością uzyskania członkostwa w niej przez organizacje centralne krajów byłego bloku sowieckiego.

Członkami Rady aktualnie są organizacje 16 krajów zachodnich oraz 11 krajów Europy Środkowej (w tym Kongres Polaków w RC) i Wschodniej. Decyzją Rady przy współudziale organizacyjnym Stowarzyszenia Wspólnota Polska odbył się w Krakowie w dniach 19–23 sierpnia 1992 roku I Zjazd Polonii i Polaków z Zagranicy. Jednym z głównych zaleceń Zjazdu było tworzenie organizacji polonijnych mogących ułożyć partnerskie stosunki z Polską we wszystkich interesujących je dziedzinach życia ekonomicznego, społecznego i kulturalnego. Realizując to zalecenie, w listopadzie 1993 roku na I Kongresie Polonii Ameryki Łacińskiej powołano do życia Unię Stowarzyszeń i Organizacji Polskich Ameryki Łacińskiej (USOPAŁ), będącą zrzeszeniem niezależnych organizacji, z których każda posiada pełną autonomię i działa na podstawie swojego statutu. Jej prezesem od roku 1993 jest Jan Kobylański. Miesiąc później w Londynie pod przewodnictwem Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii powstała Europejska Rada Wspólnot Polonijnych. Podczas jej ostatniego spotkania na przełomie września i października 2000 roku w Pułtusku zmieniono nazwę organizacji na Europejską Unię Wspólnot Polonijnych (EUWP), której prezesem została Helena Miziniak z Wielkiej Brytanii. Jednocześnie powołano Radę Europejskiej Młodzieży Polonijnej (REMP). Zaolzie reprezentuje w Radzie Józef Szymeczek.

PRZED ZJAZDEM

W dniach 25–26 kwietnia br. w Warszawie w siedzibie Sejmu miała miejsce Konferencja Polonijna zwołana przez posła Sejmu RP Antoniego Maciarewicza i pełnomocnika Organizacji Polonijnych ds. Implementacji Konwencji Ramowej Rady Europy Józefa Stańka pod przewodnictwem honorowego prezydenta Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych Zygmunta Szkopiaka, w której udział wzięli przedstawiciele Polaków z krajów ościennych Polski: Niemiec, Austrii, Republiki Czeskiej (prezes PZKO Zygmunt Stopa), Litwy, Białorusi i Ukrainy. Podczas konferencji wypracowano rezolucję w sprawie ochrony tożsamości Polaków w krajach ościennych, przyjętą później przez Zjazd jako jedną z uchwał, na temat ochrony praw mniejszości narodowych wynikających z Konwencji Ramowej Rady Europy z r. 1994. Zawarte między Polską a krajami ościennymi traktaty międzypaństwowe wyposażono w nieskuteczne ustalenia ochronne, pozbawione są stosownych aktów wykonawczych, toteż dla polskich mniejszości w tych krajach są nie do wyegzekwowania. Dlatego rezolucja domaga się zgodnie z art. 18 ww. Konwencji powołania ad hoc komisji ds. umów ochronnych z udziałem Polaków z zagranicy i ich pełnomocników z kraju oraz powołania stałej komisji polonijnej ds. prawnego uregulowania sytuacji w zakresie ochrony praw mniejszości polskich w krajach ościennych. Celem komisji byłoby zbadanie aspektów zgodności z prawem europejskim oraz z Konstytucją RP obecnego stanu traktowania społeczności polskich w tych krajach.

ZJAZD

28 kwietnia około 320 delegatów i gości reprezentujących Polonię i Polaków z całego świata wzięło udział w uroczystej Mszy św. w kościele św. Krzyża w Warszawie, podczas której homilię wygłosił Prymas Polski ks. kardynał Józef Glemp. Oprawę muzyczną Mszy św. sprawował chór Canticum Novum pod kierownictwem artystycznym dr. Leszka Kaliny, działający pod auspicjami Polskiego Towarzystwa Artystycznego Ars Musica, który wzbudził podziw i zainteresowanie Polonii świata, i niekłamaną dumę delegacji Polaków z Republiki Czeskiej, w której skład wchodzili: prezes PZKO Zygmunt Stopa, prezes Kongresu Polaków Wawrzyniec Fójcik, Michał Chrząstowski, Tadeusz Kędziera, prof. Halina Rusek, Marek Słowiaczek – delegaci oraz ks. senior Bogusław Kokotek i Elżbieta Stróżczyk jako goście honorowi.

Oficjalne otwarcie Zjazdu miało miejsce w Teatrze Polskim w obecności premiera RP Jerzego Buzka, marszałek Senatu Alicji Grześko-

wiak i marszałka Sejmu Macieja Płażyńskiego oraz ostatniego prezydenta RP na uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego. Zebrani wysłuchali słów premiera, który podziękował Polonii za jej wkład w walkę i odbudowę wolnej Polski. W imieniu Komisji Organizacyjnej Zjazdu jej przewodnicząca Helena Miziniak z Wielkiej Brytanii złożyła podziękowania marszałek Alicji Grześkowiak i prezesowi Stowarzyszenia Wspólnota Polska prof. Andrzejowi Stelmachowskiemu za umożliwienie ponownego po dziewięciu latach spotkania rodaków z całego świata. O roli Polonii amerykańskiej, jej wkładzie w odbudowę Polski demokratycznej, włączenia Polski w struktury NATO i pomocy Polakom na Wschodzie mówił prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej Edward Moskal. Następnego dnia obrady plenarne kontynuowane były już w Domu Polonii w Pułtusku. Referat programowy „Kryzys i wizja życia organizacyjnego na emigracji" wygłosił ks. abp Szczepan Wesoły, przedstawiciel Prymasa Polski ds. duszpasterstwa polonijnego. Prezes Andrzej Stelmachowski omówił wkład Polaków za granicą w dorobek dziesięciolecia niepodległej Polski. Przemawiali również przedstawiciele Rady Polonii Świata, Kongresu Polonii Kanadyjskiej, Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polskich Ameryki Łacińskiej, Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii.

Najważniejsza była praca delegatów w Komisjach. I tak powołano: Komisję ds. Polaków za Granicą, Komisję Promowania Spraw Polskich w Świecie, Komisję ds. Współpracy Organizacji Polonijnych ze Strukturami Duszpasterskimi, Komisję Oświaty i Młodego Pokolenia, Komisję ds. Pomocy Socjalnej, Charytatywnej i Problemów Repatriacji. Nie sposób ogarnąć ilości problemów poruszanych w Komisjach przez przedstawicieli Polonii i Polaków z zagranicy, biorąc pod uwagę fakt, że na co dzień żyją oni w państwach o różnych ustrojach, różnym stopniu tolerancji, różnych uwarunkowaniach ekonomicznych i społecznych. Toteż organizatorzy Zjazdu, starając się uchwycić jak największą gamę spraw nurtujących Polaków zamieszkałych poza Krajem, postarali się o wydrukowanie pełnego zestawu referatów przygotowanych do dyskusji w Komisjach, referatów obejmujących szeroki wachlarz problemów wynikających z polskiego dziedzictwa narodowego, jak choćby tak ważne dla wszystkich tematy jak: Rola Polaków w kraju osiedlenia, Współpraca organizacji polonijnych między sobą, z Krajem i Stowarzyszeniem Wspólnota Polska, Zachowanie kultury narodowej i wspieranie instytucji polskich w świecie, Oświata polonijna na Wschodzie i Zachodzie, Perspektywy prasy polonijnej, Obecność Kościoła katolickiego w życiu emigracji, Polonia ewangelicka, Repatriacja Polaków ze Wschodu, czy Sytuacja polskich emerytów i rencistów za granicą. To wszystko to tylko niektóre problemy przygotowane w postaci referatów jako przyczynki do dyskusji

przez przedstawicieli polskiej diaspory zarówno ze Wschodu jak i Zachodu. A szczegółowych problemów charakterystycznych często tylko dla niektórych krajów osiedlenia Polaków nie brakowało. Niewątpliwie rzeczą cenną była obecność podczas obrad Komisji przedstawicieli poszczególnych resortów polskiego rządu: Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, przedstawicieli komisji parlamentarnych, sejmowej i senackiej, zajmujących się Polonią i Polakami za granicą, oraz organizacji pozarządowych, jak Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie czy współorganizatora Zjazdu Wspólnoty Polskiej. To ułatwiało dyskusję i pomagało na bieżąco rozwiązywać niektóre problemy szczegółowe. Tym niemniej ilość tychże o różnej skali ważności z punktu widzenia delegatów z wszystkich stron świata znalazła swoje odzwierciedlenie w zapisie końcowym w postaci uchwał, przyjętych na posiedzeniu plenarnym, które objętościowo stanowiłyby oddzielną broszurę, toteż nie sposób ich przytoczyć w całości, choć z pewnością będziemy na łamach naszego miesięcznika do niektórych z nich powracać, choćby z tego względu, że wymagają naszego – Polaków żyjących w RC – zaangażowania, jako świadectwa wspólnoty kulturowej z Polakami w Kraju i na obczyźnie. Czytelników zainteresowanych pełnym tekstem uchwał i rezolucji odsyłamy na stronę internetową www.polonia.org.

Podsumowanie obrad i odczytanie uchwał końcowych miało miejsce w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie, dokąd uczestnicy Zjazdu udali się z Warszawy pociągiem specjalnym. Wcześniej w Warszawie uczestnicy Zjazdu zostali przyjęci w pałacu prezydenckim przez prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego. Na spotkaniu obecny był nuncjusz apostolski w Polsce abp Józef Kowalczyk.

Warto jeszcze wspomnieć niezwykłą oprawę kulturalną Zjazdu, którego uczestnicy wysłuchali i obejrzeli koncert Zespołu Pieśni i Tańca Mazowsze oraz dwa koncerty muzyki poważnej, pierwszy w kolegiacie pułtuskiej w wykonaniu wspaniałej warszawskiej orkiestry Sinfonia Varsovia i drugi w Krakowie w Teatrze Słowackiego – Radiowej Orkiestry Symfonicznej z Krakowa. Na Rynku krakowskim miał też miejsce w dniu 2 maja koncert z udziałem zespołów polonijnych z Londynu, Reims (Francja), Brześcia (Białoruś) i Wilna. Zaolzie reprezentował zespół Bystrzyca pod kierownictwem Marii i Leonarda Podzemnych. Wszystkie zespoły oprócz udziału w Koncercie Galowym zatytułowanym „Do kraju tego..." zaprezentowały się wcześniej krakowskiej publiczności w samodzielnych koncertach. Podczas Koncertu Galowego Bystrzyca przedstawiła fragment wiązanki beskidzkiej i brała udział w trzech wspólnych układach tanecznych, a Beata Feber recytowała fragment wiersza Norwida.

Dzień 3 maja uczestnicy Zjazdu uczcili udziałem we Mszy św. na Jasnej Górze, której przewodniczył Prymas Polski kard. Józef Glemp w asyście kard. Franciszka Macharskiego, biskupów polskich i biskupów z krajów ościennych. Z RC przybył biskup diecezji ostrawsko-opawskiej František Lobkowicz.

CO DAŁ NAM ZJAZD

II Zjazd Polonii i Polaków z Zagranicy obradował pod hasłem „Polonia i Polacy u progu nowego tysiąclecia". Miał dać odpowiedź na pytanie: Co kształtuje nową wartość polskości w XXI wieku, ocenić to, co Kraj zrobił dla swoich rodaków za granicą, a co zawdzięcza Polonii. Referaty i dyskusje, jakkolwiek długo jeszcze by się toczyły, nie były w stanie ogarnąć wielości i różnorodności poglądów w tym zakresie, bo i czas od ostatniego spotkania w tak dużym gronie Polaków z różnych stron świata był długi. Ale nie ulega wątpliwości, że my Polacy ze Wschodu i Zachodu chcemy się spotykać i to częściej (jedna z uchwał Zjazdu mówi, że Zjazdy mają się odbywać co pięć lat), wymieniać doświadczenia, uczyć się wzajemnie patriotyzmu i poszanowania własnego dziedzictwa narodowego i utrwalać poczucie więzi z krajem pochodzenia. Tak ujął rolę Polaka w kraju osiedlenia przedstawiciel australijskiej Polonii: *Głównym zachowaniem Polaka jest takie zachowanie na co dzień, które utrwala przekonanie, że jesteśmy grupą ludzi uczciwych, pomnażających nasze dobra kulturalne i materialne naszej drugiej ojczyzny. A znajomość dwóch języków, a właściwie więcej, umiejętność myślenia i funkcjonowania w obrębie dwóch różnych kultur, podnosi iloraz inteligencji i powoduje, że ludzie stają się bardziej twórczy.*

Delegaci zebrani na II Zjeździe Polonii i Polaków z Zagranicy poparli inicjatywę Kongresu Polonii Amerykańskiej, Kongresu Polonii Kanadyjskiej, Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polskich w Ameryce Łacińskiej, Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych i Rady Naczelnej Organizacji Polskich w Australii dokonania w ciągu najbliższych sześciu miesięcy zmian strukturalnych ogólnoświatowej organizacji polonijnej (Rady Polonii Świata) w celu usprawnienia wzajemnych kontaktów oraz współpracy z Krajem, w tym ze Stowarzyszeniem Wspólnota Polska.

Dla utrwalenia w pamięci Polaków z Kraju, że poza jej granicami pozostaje ok. 16 mln. rodaków, Zjazd postuluje ustanowienie dnia 2 maja Dniem Polonii i Polaków z Zagranicy.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK



Canticum Novum w kościele św. Krzyża w Warszawie



BYSTRZYCA na Rynku w Krakowie

ZŁUDNE NADZIEJE LAT 1968-1970 (3)

Wiele przykładów różnorodnych form dyskryminacji Polaków na Zaolziu znajdziemy na przestrzeni powojennych lat. Do najsmutniejszych należą te z okresu 1968-1969. Wszechmocna partia często załatwiała sprawy tego rodzaju przy pomocy jedynej wówczas organizacji polskiej - PZKO, którego czołowi działacze z większym lub mniejszym zaangażowaniem musieli spełniać wolę partii. Znalazły się też jednostki spoza Związku, które posłusznie, niekiedy z różnych osobistych względów, włączały się w dyskryminowanie naszych ludzi. Niektórzy z nich, kiedy zostali odpowiednio wykorzystani i spełnili wyznaczone im zadanie, zostali usunięci i sami odczuli gorzki smak wcześniejszych czynów niegodnych.

Zajmowanie się tymi zagadnieniami jest dla autora sprawą trudną i kłopotliwą. Często spotykamy się tu z wypadkami, że osoby biorące bezpośredni lub pośredni udział w realizowaniu partyjnych nakazów odgórnych należały do czołowych, zasłużonych działaczy na polu szerzenia kultury polskiej, ducha polskości i odznaczały się nieprzeciętnym dorobkiem w tym zakresie. Należy więc brać pod uwagę różne czynniki warunkujące ówczesne stosunki w kraju, w społeczeństwie polskim, a nawet w ramach PZKO, lecz z drugiej strony zgodnie z rzeczywistością i dostępną dokumentacją przedstawiać te wydarzenia z uwzględnieniem konkretnych osób. Należy pamiętać, że niepodporządkowanie się rygorom partyjnym oznaczało zawsze usunięcie nieodpowiadających partii działaczy i obsadzenie ich miejsc bardziej uległymi.

Nasze dociekania skoncentrują się na poszkodowanych z szeregów działaczy PZKO i redaktorów naszych pism. Właśnie ci ostatni byli szczególnie narażeni na prześladowania. Z jednej strony społeczeństwo polskie wymagało od nich, aby pisali tak, by utrzymywać polskość, pogłębiać świadomość narodową, z drugiej strony organy partyjne mogły łatwo na bieżąco kontrolować ich poczynania i od razu reagować na wszystko, co nie było zgodne z ich linią ideową. W dodatku publikowane materiały służyły jako materiał dowodowy.

Rozpoczniemy od Głosu Ludu. Pismo było organem partyjnym, więc ocenę linii politycznej pisma za okres 1968-1969 i konsekwencje tej oceny przeprowadzał Komitet Okręgowy KPC w Ostrawie. Już dnia 23 VIII 1969 roku pojawił się w Głosie Ludu (nr 16) komunikat pn. „Zarządzenia kadrowe":

Prezydium KO KPC w Ostrawie przyjmuje następujące zarządzenia kadrowe: 1. Z powodu pogwałcenia statutu partii i etyki dziennikarskiej zwolnić z funkcji

szefredaktora GL tow. Tadeusza Siwka, przeprowadzić z nim postępowanie dyscyplinarne i rozwiązać stosunek służbowy. 2. Z powodu pogwałcenia statutu partii i etyki dziennikarskiej zwolnić z funkcji redaktora GL tow. Stefana Mamonia. 3. Zwolnić z funkcji redaktora tow. Władysława Sikorę, ponieważ nie daje gwarancji dla dalszego wykonywania tej funkcji w duchu współczesnej polityki partii. 4. Zwolnić z funkcji redaktora z powodu pogwałcenia etyki dziennikarskiej i niedotrzymywania instrukcji dla prasy tow. Ładę Krumniklową; przeprowadzić z nią postępowanie dyscyplinarne. 5. Zwolnić z funkcji redaktora z powodu pogwałcenia etyki dziennikarskiej i niedotrzymywania instrukcji dla prasy tow. Wilhelma Przeczka; przeprowadzić z nim postępowanie dyscyplinarne. 6. Nie przyjąć jako redaktora GL tow. Wandy Cejnarowej, obecnie pracującej na półetacie; przerwać wymienionej brygadę i zwolnić z GL. 7. Pozostawić jako redaktora GL tow. Józefa Raszyka; przeprowadzić z nim rozmowę, a o wyniku informować Prezydium KO KPC. 8. Tow. Jana Zolicha przesunąć w późniejszym czasie normalną drogą na emeryturę.

Prezydium KO KPC zatwierdza następujący skład Rady Redakcyjnej Głosu Ludu: tow. Gustaw Słowik - dyrektor 9-latki Jabłonków, tow. Józef Pribula - pracownik kopalni 1 Maja w Karwinie, tow. Ryszarda Jurczykowa - pracownica kopalni ČSA w Karwinie, tow. Gabriel Palowski- pracownik Huty Trzynieckiej, tow. Franciszek Szopa - okręgowy inspektor szkolny, tow. Stanisław Kondziołka - pracownik ZG PZKO - przewodniczący Rady Redakcyjnej, tow. Jan Pszczółka - redaktor GL i sekretarz redakcji, tow. Gustaw Tacina - powiatowy inspektor szkolny, tow. Gustaw Pyszko - dyrektor 9-latki w Mostach. Do funkcji redaktora wykonawczego zamianowany został inż. Antoni Sochor.

Tyle komunikat. Jak wynika z powyższego, zdecydowaną większość redaktorów Głosu Ludu po prostu wyrzucono na bruk bez zapewnienia im dalszych warunków egzystencji. Realizacją orzeczeń partyjnych i prowadzeniem redakcji Głosu Ludu zajęła się nowo mianowana Rada Redakcyjna, jako *czynnik społeczny, który przejął na siebie kolektywną odpowiedzialność za realizację podstawowych założeń naszej partii.* Rada Redakcyjna w swym „Stanowisku" (GL, nr 104, 30 VIII 1969, s. 1) całkowicie zgadza się z oceną KO KPC, stwierdzając, *że Głos Ludu brał aktywny udział w szerzeniu napięcia politycznego, antyradzieckiej i antypolskiej psychozy. Zostały również pogwałcone leninowskie zasady internacjonalizmu proletariackiego. Dopuszczono do niewybrednych napaści i polemiki na członków Układu Warszawskiego, ich przywódców, szczególnie na Związek Radziecki i Polskę. (...) Rada Redakcyjna stoi otwarcie i jednoznacznie na platformie pozytywnych treści - oczyszczonych od ekstremów i wypaczeń - postyczniowej polityki i bez zastrzeżeń za dokumentami KC KPC z listopada i grudnia 1968 r. i z kwietnia 1969 r., za polityką i przemówieniami*

I sekretarza KC KPC G. Husáka i prezydenta naszej republiki Ludwika Svobody. (...) Podstawowym motywem naszego działania będzie wzmocnienie kierowniczej roli partii i jej funkcji w kierowaniu procesami społecznymi i gospodarki narodowej.

Podobny los spotkał redaktorów organu PZKO - miesięcznika Zwrot. W tym wypadku partia swoje interesy załatwiała poprzez Grupę Partyjną przy ZG PZKO. Sprawy Zwrotu omawiano na zebraniu Grupy dnia 2 IX 1969 pod przewodnictwem Jana Rusnoka i w obecności przedstawiciela Komitetu Okręgowego KPC tow. Hřivny. Przedmiotem burzliwej dyskusji były ocena i wnioski przedłożone przez komisję (Józef Wantuła, Tadeusz Chrząszcz, Tadeusz Nierostek, Adolf Kubeczka, Józef Kazik) wybraną na poprzednim zebraniu z zadaniem przeprowadzenia oceny Zwrotu w latach 1968-1969. Dochował się protokół z tego zebrania, który daje szczegółowy obraz ogólnej atmosfery i poglądów poszczególnych członków. Przytaczamy ciekawe fragmenty:

Jan Rusnok: *Członkowie redakcji mieli zawsze na uwadze, aby Zwrot był wykładnikiem i wyrazicielem dążeń ZG PZKO, które wynikały z wytycznych Partii.*

Józef Foltyn: *Uważa, iż pod kierownictwem Rusnoka i red. Jasiczka nie ma żadnej gwarancji, aby pismo mogło spełniać rolę, którą spełniać ma i dlatego proponuje, aby Rusnok i Jasiczek więcej w tym piśmie nie pracowali.*

Eugeniusz Suchanek: *Nie może zrozumieć Rusnoka i Jasiczka, czy chodzi o głupotę, czy naiwność w jednej sprawie (...). Jeśli to było działanie świadome, wymaga ono kary i w tym wypadku proponowana kara nie jest współmierna.*

Adolf Kubeczka: *Zwrot jako organ PZKO nie jest organem politycznym w pełnym tego słowa znaczeniu. Dlatego też sankcje wobec redaktorów Zwrotu nie powinny być tak ostre jak te, które są stosowane wobec redaktorów pism wybitnie politycznych.*

Jerzy Nikodem: *Miesięcznik Zwrot jest pismem kulturalnym, w którym nie powinno być specjalnych artykułów politycznych, ponieważ to jest zadaniem innych czasopism i prasy codziennej, która jest czytana w szerszym zakresie.*

Kazimierz Ferfecki: *Popieram wnioski przedstawione przez komisję, twierdząc, iż nie mamy moralnego prawa wobec społeczeństwa ucinać dalsze głowy.*

Józef Kazik: *Każdy człowiek może się mylić i dlatego uważa, iż zwolnienie redaktorów Rusnoka i Jasiczka byłoby niewłaściwe i krzywdzące.*

Tadeusz Chrząszcz: *Nie można się zgodzić z twierdzeniem, iż pismo jest niepolityczne, ponieważ nie można uprawiać kultury, nie biorąc pod uwagę spraw politycznych.*

Tadeusz Nierostek: *Wydaje się śmieszne, iż tow. Foltyn jako członek Plenum ani razu nie krytykował redakcji Zwrotu za jego działalność i dopiero dziś jest*

najmądrzejszym z nas. Jako członek ZG odmówił abonament, zamiast zwrócić uwagę na popełniane błędy. Nie chcemy chyba wracać do czasów, żebyśmy musieli znowu kogoś rehabilitować. W innych dziennikach popełniono tyle błędów, z redakcji Nowej Svobody usunięto 3 redaktorów, których przeniesiono na inne stanowiska, a my, chociaż nas jest parę, chcemy usuwać zaraz.

Tow. Hřivna: *Minął już okres przedsierpniowy* (chodzi o rok 1968 - S.Z.), *kiedy to za słuszne poglądy wyrzucano z pracy, nie dając im możliwości ani wykorzystania ich kwalifikacji, kiedy nieraz obrażano ich prosty ludzki honor. Chciałbym zapewnić, iż ani Rusnok, ani Jasiczek nie muszą mieć takich obaw. Potrafimy oceniać obiektywnie oraz uwzględniać błędy. Nie byłoby też na miejscu przypisywać Partii tendencje, które są niezgodne z podstawowymi zasadami jej polityki.*

Henryk Jasiczek: *Ja nie mówiłem, że nie popełniłem błędów, jest jednak różnica między błędami świadomymi, a chęcią szkodzenia. Po prostu tak byłem przekonany, że moja postawa na danym etapie jest słuszna (...). Sądźcie, jak uważacie, w swoim sumieniu społecznika i partyjniaka mam przekonanie, że w czasie okupacji pracowałem dla partii, a mogło mnie to kosztować i życie i nie tak łatwo byłoby dla mnie niszczyć to, co sam budowałem. Kończę tym, iż jakakolwiek będzie decyzja, odejdę z przekonaniem, że stała mi się krzywda.*

Ernest Sembol: *I dobrze się mówi tym, którzy siedzieli cicho, nie mieli żadnej odpowiedzialności. Uważam, iż pomimo braku informacji nasze PZKO, jako całość, pomimo popełnionych błędów poprowadziło społeczeństwo zrzeszone w naszej organizacji w tym okresie pełnym konfliktów i spięć tak, jak rozumiało i umiało (...). Dziś jesteśmy w sytuacji, iż niejeden z nas nie z własnej winy, ale z nieznajomości prawdy musi rewidować swe stanowisko (...). Oświadczam z całą stanowczością, iż chcemy i będziemy nadal pomagać partii w realizowaniu jej zamierzeń.*

Po zamknięciu dyskusji przeprowadzono głosowanie, na podstawie którego wnioski przedstawione przez komisję, będące przedmiotem dyskusji, przyjęto większością głosów. W praktyce nie miało to właściwie żadnego znaczenia.

Ostatecznie sprawę redaktorów Zwrotu zamknięto dopiero w maju następnego roku, kiedy to Plenum ZG PZKO podjęło uchwałę o odwołaniu J. Rusnoka i H. Jasiczka z funkcji i rozwiązaniu z nimi stosunku służbowego. Równocześnie powołano do funkcji etatowego przewodniczącego Rady Redakcyjnej Zwrotu tow. Tadeusza Chrząszcza. Przeprowadzone „stranické šetření" przez nadrzędne organy partyjne zarzucały J. Rusnokowi i H. Jasiczkowi: a/ pisanie w Zwrocie w duchu prawicowo-oportunistycznym, antyradzieckim i antypolskim, b/ próby rehabilitacji polskiego faszyzmu przedwojennego w osobie dr. Leona Wolfa, czołowego działacza społecznego i na-

rodowego na Zaolziu w okresie międzywojennym (AZ ZG PZKO, j. inw. 1146/440). Jan Rusnok został robotnikiem w Hucie Trzynieckiej, H. Jasiczek zecerem w Drukarni Czeskocieszyńskiej.

Pozostaje przypomnieć „czystkę" przeprowadzoną w szeregach organów kierowniczych Związku - Prezydium, Plenum ZG oraz sekretariatu. Pod nasilającym się naciskiem organów partyjnych sprawę załatwiono ostatecznie na Plenum ZG PZKO dnia 5 maja 1970 roku. Zebranie podjęło następujące uchwały (AZ ZG PZKO, j.inw. 35/32):

1. Plenum ZG PZKO przyjmuje z dniem 5.5.1970 rezygnację całego Prezydium (wynik głosowania: 32 za, 1 wstrzymał się).

2. Plenum zawiesza w działalności następujących członków Plenum: Karola Polaka, dr. Janusza Gaudyna, Jana Rusnoka, Henryka Jasiczka (24 za, 7 wstrz., 7 przeciw).

3. Plenum ZG PZKO przyjmuje i aprobuje prośby o zwolnienie z obowiązków członków Plenum następujących towarzyszy: dr. Stanisława Zahradnika, Antoniego Kożusznika, inż. Eryka Śmiłowskiego, Ernesta Sembola, Tadeusza Nierostka, Władysława Niedobę (32 za, 4 wstrz.). Zarazem przyjmuje zasadę, by członkami Plenum nie byli pracownicy aparatu ZG (oprócz kierowników działów), w związku z powyższym zwalnia z obowiązku funkcji członków Plenum następujących towarzyszy: Zofię Kowalczyk, Bronisława Liberdę, Władysława Sikorę, Kazimierza Ferfeckiego (29 za, 2 wstrz., 6 przeciw). Wszystkim odwołanym i odstępującym z Plenum ZG wyraża słowa uznania i podziękowania za ich pożyteczną działalność dla PZKO.

4. Plenum ZG PZKO dokooptuje za członków Plenum towarzyszy: Stanisława Kondziołkę i Emila Sztablę (28 za, 1 wstrz.).

5. Plenum ZG PZKO odwołuje z funkcji redaktorów Zwrotu tow. Jana Rusnoka i Henryka Jasiczka i zobowiązuje Sekretariat do rozwiązania z nimi stosunku służbowego wg płatnych przepisów (28 za, 5 wstrz., 3 przeciw).

6. Plenum ZG PZKO powołuje za członków Prezydium następujących towarzyszy: Jan Pribula, Eug. Suchanek, dr Józef Macura, Henryk Szmeja, inż. Józef Foltyn, Stanisław Kondziołka, Tadeusz Chrząszcz, Wanda Hebdowa, Gustaw Sajdok, Władysław Wróbel, Rudolf Popiołek (34 za).

7. Plenum ZG PZKO powołuje do kierowniczych funkcji następujących towarzyszy: do funkcji przewodniczącego ZG PZKO tow. Jana Pribulę (29 za), do funkcji wiceprzewodniczących ZG PZKO Eug. Suchanka (30 za) i tow. dr J. Macurę (34 za), do funkcji sekretarza ZG PZKO tow. Henryka Szmeję (28 za).

8. Plenum ZG PZKO powołuje do funkcji etatowego przewodniczącego Rady Redakcyjnej Zwrotu tow. Tadeusza Chrząszcza (31 za).

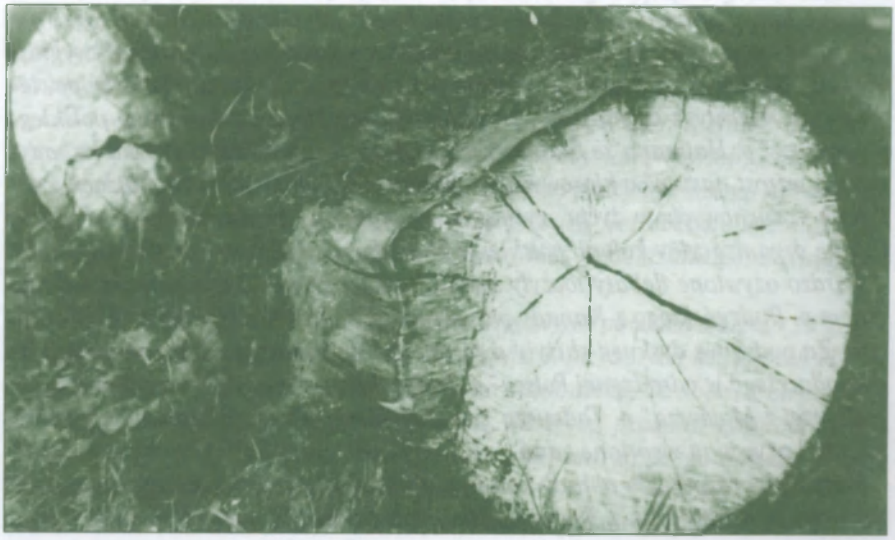
9. Plenum ZG PZKO udziela pełnomocnictwa i zobowiązuje Prezydium do

unormowania i przesunięć kadrowych przedstawicieli PZKO w organach związkowych i pozazwiązkowych (FN, Rady Narodowości itp.). O wszystkich decyzjach Prezydium informować będzie członków Plenum na bieżąco.

„Czystkę" przeprowadzono, niepasujących do nowej rzeczywistości działaczy usunięto, życie potoczyło się dalej, znów pod dyktando wszechwładnej i wszechwiedzącej partii. Dopiero po upadku totalitaryzmu pod koniec 1989 roku doszło do rehabilitacji wszystkich bezpodstawnie i niesprawiedliwie dyskryminowanych osób.

Zamykając ten smutny rozdział, nie można nie wspomnieć w naszych zaolziańskich rozważaniach o problemie winy. Ogólnie zrzuca się wszystko na karb systemu, ale za nim stali konkretni ludzie, realizatorzy odgórnych nakazów, zarządzeń. Było tak i w naszym społeczeństwie. Nadzwyczajny Zjazd PZKO w marcu 1990 za współodpowiedzialnych wskazał Prezydium ZG PZKO, inż. Józefa Foltyna, T. Chrząszcza, E. Suchanka i Józefa Pribulę. W rzeczywistości było i musiało ich być o wiele więcej. Dziś trzeba oceniać ich postępowanie, biorąc pod uwagę, na ile byli do tego zmuszeni przez różne okoliczności, na ile czynili to z zaangażowania ideowego, przesadnej służalczości, na ile z powodów osobistych czy pobudek niskich. Większość z nich spłaciła swój dług pożyteczną pracą społeczną dla naszego społeczeństwa.

STANISŁAW ZAHRADNIK



Fot. FRANCISZEK BAŁON

II ZJAZD POLAKÓW Z ZAGRANICY (4)

Drugi dzień Zjazdu Polaków z Zagranicy 7 sierpnia (1934) *poświęcony był całkowicie obradom komisyjnym. Największe zainteresowanie wywołała komisja kulturalno-oświatowa, obradująca pod przewodnictwem W. Budzyńskiego z Litwy. Wzięło w niej udział 86 delegatów i rzeczoznawców. Referat główny „Młode pokolenie przyszłością narodu" wygłosił dyr. państw. gimnazjum im. Batorego w Warszawie W. Amboziewicz. Drugi referat wygłosił dr E. Zdrojewski o uczestnictwie Polaków z zagranicy w życiu kulturalnym narodu.*

Nad obu referatami wywiązała się ożywiona dyskusja, w której omawiano sprawy korzystania przez emigrację z książek polskich, prasy i audycji radiowej jako najpotężniejszej więzi kulturalnej z Macierzą. Przyjęto rezolucję stwierdzającą, że książka polska, prasa polska i radio polskie winno stanowić element stałego uczestnictwa rzesz polskich zagranicą w życiu kulturalnym i umysłowym narodu; powinny być one otoczone troską zarówno polskich skupień zagranicznych jak i kraju. Ambicją liczniejszych i pod względem struktury społecznej dojrzałych skupień polskich za granicą winno być wytwarzanie własnej wartości kulturalnej z zakresu nauki, sztuki itp. Z zagranicy zgłoszono referaty Maksa Biroma z Węgier „Akcja uświadamiająca o Polsce i sposoby jej realizacji" oraz p. Pełczyńskiej ze Stanów Zjednoczonych „Malarstwo polskie w Ameryce".

Jednocześnie obradowała komisja społeczna pod przewodnictwem p. Wilpiszewskiego z Łotwy i przy udziale 53 delegatów i rzeczoznawców. Referat „Drogi i metody ożywienia pracy społecznej w środowiskach polskich za granicą" wygłosił Michał Pankiewicz, po czym wywiązała się ożywiona dyskusja. Nadto zapowiedziano 4 referaty z zagranicy: „Przeszłość i przyszłość wychodźstwa polskiego w Ameryce" p. Haimana ze Stanów Zjednoczonych, „Patriotyzm Polonii kanadyjskiej, a wzrost nastrojów klasowych" p. Sikora z Kanady, „Rola organizacji katolickich i duchowych w życiu wychodźstwa polskiego w Kanadzie" p. Pazdora i „Stan organizacyjny kolonii polskiej w Szanghaju" p. Lutowicza, Chiny.

Bardzo ożywione debaty toczyły się na komisji gospodarczej pod przewodnictwem p. Budzyńskiego z Kanady przy współudziale 49 delegatów i rzeczoznawców. Za podstawę dyskusji służyły dwa referaty informacyjne: „Przemiany życia gospodarczego w odrodzonej Polsce" p. Rzepeckiego i „Podstawy współpracy gospodarczej z Macierzą" p. Tadeusza Garczyńskiego. Zwłaszcza ten drugi referat wywołał ożywioną wymianę zdań.

Najpóźniej rozpoczęła obrady komisja statutowo-regulaminowa pod przewodnictwem p. Kaczmarka z Niemiec. Mjr dypl. Szklarski wygłosił na niej referat

o projekcie statutu Światowego Związku Polaków z zagranicy. W referacie przeprowadzona jest teza, że organizacje terenowe w każdym państwie powinny mieć charakter związku związków i zajmować się nie tylko sprawami kulturalnymi, ale też społecznymi, gospodarczymi, sportowymi itd., z wyłączeniem jedynie polityki. Wzorem północnoamerykańskim obok więzi ideologicznych w organizacjach polskich powinny istnieć zainteresowania materialne. Schemat organizacyjny związku przewiduje: zjazdy walne, odbywające się co 5 lat, przy czym każdy kraj traktowany jest jako oddzielny okręg wyborczy, którego przedstawicielstwo zależy od ilości zamieszkujących go Polaków bez względu na to, czy są obywatelami polskimi, czy miejscowymi; w okresie pięcioletnim zbiera się rada naczelna, jako czynnik kontrolujący ideowość i finanse organizacji; egzekutywą wykonującą zlecenia zjazdu i rady będzie prezydium rady, złożone z prezesa, dwóch wiceprezesów i 7 członków. Ponadto do prezydium wchodzi dyrektor biura, który jest także wybierany na zjeździe i upoważniony do występowania w imieniu związku. Doskonale opracowany referat wywołał gorące oklaski. Dyskusję nad nim uznano za ściśle poufną i z tego powodu wszyscy nie będący delegatami lub rzeczoznawcami, musieli opuścić salę.

Dnia 8 sierpnia odbyło się w Warszawie otwarcie konferencji przedstawicieli prasy polskiej z zagranicy, zorganizowanej przez komisję prasowo-propagandową II-go Zjazdu Polaków z Zagranicy. Zebranie zagaił dyr. Konrad Libicki, zaznaczając, iż konferencja obecna jest pierwszą tego rodzaju zarówno od czasu istnienia polskiej emigracji, jak i od czasu odzyskania niepodległości. Celem jej jest wymiana poglądów między polską prasą emigracyjną, a prasą krajową. Referat o roli i zadaniach prasy polskiej za granicą wygłosił red. T. Katelbach. Nad referatem wywiązała się dyskusja, zakończona jednomyślnym przyjęciem tez programowych:

1. Ze względu na niezmiernie doniosłą rolę, jaką winien spełnić i niezawodnie spełni Światowy Związek Polaków z Zagranicy jako czynnik konsolidacji wszelkich wysiłków podjętych pod hasłem ofiarnej pracy dla całego narodu polskiego, obowiązkiem całej prasy polskiej za granicą jest obecnie jak najwydatniejsze poparcie i propaganda zarówno samej idei, jak i działalności Światowego Związku Polaków.

2. Deklarując zgodnie z tendencjami rozwojowymi polskich skupień za granicą całkowitą lojalność tych skupień wobec państw, na których terytoriach Polacy za granicą zamieszkują, konferencja stoi na stanowisku, że obowiązkiem prasy polskiej na obczyźnie jest przeciwstawić się wszelkim próbom wynarodowienia Polaków jako sprzecznym z elementarnymi prawami każdego narodu do nieskrępowanego niczym rozwoju.

3. Uważając, że przyszłością narodu jest młode pokolenie polskie, którego po-

za granicami Rzeczypospolitej jedynie niewielka część ma możność pobierania nauki języka ojczystego w szkole polskiej, konferencja stwierdza, że obowiązkiem prasy polskiej na obczyźnie jest zwrócenie pilnej uwagi na młodzież, rejestrowanie wszelkich przejawów jej życia, czynne poparcie każdego jej wysiłku oraz w miarę możliwości tworzenie pism specjalnych lub dodatków poświęconych wyłącznie życiu młodzieży polskiej na obczyźnie.

4. Wychodząc z założenia, że prawdziwa polskość może krzewić się jedynie w środowiskach ściśle związanych duchowo z życiem kulturalnym Polski współczesnej, konferencja uważa, że jednym z naczelnych zadań prasy polskiej za granicą jest szerzenie prawdy o Polsce, obrona i krzewienie wartości kulturalnych polskich, tak, aby środowiska polskie za granicą mogły nie tylko utrzymywać duchową łączność z krajem, ale stać się również czynnym źródłem rzetelnych wiadomości o Polsce.

5. Uważając, że wielką przeszkodą na drodze realizacji zadań wskazanych powyżej jest wroga Polsce propaganda, Konferencja Przedstawicieli Prasy Polskiej z Zagranicy uważa za niezbędnie skupienie całej prasy polskiej za granicą do zdecydowanej walki z wrogą Polsce propagandą na wszelkich odcinkach: kulturalnym, gospodarczym, społecznym i organizacyjnym.

Po uchwaleniu tez programowych konferencja wyraziła przekonanie, że prasa polska za granicą, posiadająca już poza sobą tyle chlubnych kart, stojące przed nią zadania wypełni, że praca jej prowadzona w atmosferze zgody i spokoju przyniesie pozytywne rezultaty zarówno samej Polonii, jak i Polsce dążącej pod przewodnictwem Wodza Narodu Marszałka Piłsudskiego do utrwalenia należnego jej mocarstwowego stanowiska w świecie.

Dnia 8 sierpnia odbyło się w Warszawie posiedzenie Komisji II Zjazdu Polaków z Zagranicy w sprawie przyszłej konstytucji Światowego Związku Polaków. Przewodnictwo objął dr Jan Kaczmarek z Niemiec przy udziale prezydium, w którego skład weszli: mjr Fularski, dr Smykowski (Stany Zjedn.) i p. Walkowiak (Holandia). Referat wstępny „Światowy Zw. Pol. z Zagranicy" wygłosił mjr Fularski. Pięć lat temu powołana została do życia Rada Organizacyjna Pol. z Zagr. Naczelnym jej zadaniem było ugruntowanie przygotowań do organizacji Światowego Związku Polaków Zagranicznych. Radę Organizacyjną wszyscy uznali za reprezentację naczelną. Przez zapoczątkowanie prac Rady Organizacyjnej dążymy do tego, żeby naród polski wzbogacił się o 8 milionów ludzi, żebyśmy się rozszerzyli poza ciasne ramy granic politycznych i ogarnęli to wszystko, co się z dzielnej rasy polskiej wywodzi. Pracy było wiele. Została ona uwieńczona bogatym rezultatem. Dziś zamiast przypadkowych uczestników biorących udział w pierwszym zjeździe mamy Zjazd delegatów stanowiących rzeczywistą reprezentację Polonii zagranicznej. Spotkał mię

zaszczyt wielki zakomunikowania Sejmowi ustawodawczemu Polonii zagranicznej, że wszystkie prace przygotowawcze do organizacji Związku Światowego zostały już ukończone. Cele naszej organizacji sprecyzowane są w projekcie statutu. Główne jego wytyczne streścić się dadzą następująco: Celem organizacji jest stworzenie naturalnej więzi między Polakami za granicą a Macierzą. Nie rozszerzamy prac na zagadnienie polityczne. Organizacja nasza będzie miała charakter związku związków. Społeczeństwo polskie za granicą ma całkowitą swobodę organizowania się tak, jak chce, zaspokajając wszelkie swoje potrzeby społeczne. Wysuwamy tylko ten jeden postulat, żeby wszystkie organizacje działały na płaszczyźnie jednej ideologii ogólnej i posiadały wspólny cel, wspólną reprezentację w świecie. Dążymy do tego, żeby wszyscy Polacy w świecie należeli do polskich organizacji terenowych, a przez nie do Światowego Związku Polaków. Naczelną władzą Związku będzie Rada Naczelna, wybierana na lat 5. Ordynacja wyborcza do Rady przewiduje okręgi wyborcze wszędzie tam, gdzie istnieją polskie skupiska. Ilość mandatów będzie rozdzielana podług ilości osób narodowości polskiej zamieszkałej w danym okręgu. Jedynym kryterium dla odróżnienia Polaka będzie wewnętrzne poczucie przynależności do polskiego narodu. Rada Organizacyjna spełniać będzie zadanie czynnika kontrolującego. Egzekutywę stanowi prezydium Rady Naczelnej. Dalej statut przewiduje istnienie komisji rewizyjnej i sądu organizacyjnego dla likwidacji wewnętrznych konfliktów. Przewidujemy również utworzenie komisji odznaczeniowej, której zadaniem będzie ocena pracy w ośrodkach polskich i organizacjach, rozdział odznaczeń honorowych jako dowodu uznania zasług. W ostatecznym sprecyzowaniu: Związek Światowy Polaków działa wyłącznie przez organizacje terenowe i opiera się na żywiole zorganizowanym, dąży do utrzymania stałego kontaktu duchowego Polaków z Zagranicy z Ojczyzną i organizuje współdziałanie gospodarcze.

Przyjęcie i zatwierdzenie wszystkich uchwał II Zjazdu Polaków z Zagranicy miało się odbyć w prastarej dzielnicy królewskiej na Wawelu w Krakowie 10 sierpnia. W tym celu już od wczesnego ranka pociągi poczęły zwozić do królewskiego grodu podwawelskiego liczne rzesze gości ze wszystkich stron Polski. Osobnymi pociągami przybyli również delegaci i goście II Zjazdu Polaków z Zagranicy w Warszawie, by wziąć udział w uroczystości, mającej odbyć się na Wawelu. Możemy śmiało określić, że takiej liczby gości nie widział jeszcze Kraków w swych gościnnych murach. Ulice zalane słońcem, wszędzie radosny gwar tłumów, bo nie tylko zapełnili miasto przybysze, ale i krakowianie wylegli w nastroju odświętnym, by swych drogich gości witać. Domy krakowskie, z których każdy stanowi skarb architektury, przystrojono flagami narodowymi. Od dworca kolejowego poprzez Bramę Floriańską, Rynek aż pod Zamek Wawelski

morze chorągwi. Od wczesnego ranka cały dostęp do Wawelu natłoczony jest ludźmi, a przez wolny szpaler przechodzą z uczuciem dumy delegaci Polaków zagranicznych, którzy dziś tutaj zawrą święte przymierze i chwalą rzecz wielką.

Gdy delegaci Czechosłowacji zbierają się i w progi wawelskie wstępują, wiwatuje na ich cześć lud krakowski. Wie on, dlaczego to robi goręcej w stosunku do Polaków zza Olzy aniżeli do innych. Rozumieją to i nasi delegaci.

Punktualnie o godz. 12 w południe znajdujemy się na wspaniałym dziedzińcu wawelskim, który zapełnia się po brzegi tysiącami ludzi. Także królewskie krużganki wypełniają się publicznością. Ustawiają się wspaniałe poczty sztandarowe, delegacje w strojach ludowych, weterani wojen, harcerze i muzyki wojskowe. Muzyka 20 pp. ziemi krakowskiej intonuje marsz powitalny, po czym olbrzymi chór śpiewa pieśń: „Boga Rodzica Dziewica", potężną pieśń skrzydlatej husarii polskiej, gdy ruszała w bój. Gdy przebrzmiały tony pieśni, zabrał głos marszałek Raczkiewicz, obrany pierwszym prezydentem Światowego Związku Polaków. Przemawia z krużganka na pierwszym piętrze, głos zaś jego odbijają stare mury zamku. Wyjaśnił marsz. Raczkiewicz, dlaczego Polacy z zagranicy wybrali właśnie Wawel na miejsce złożenia ślubowania wierności. Uznali, iż tu u trumien królów polskich i polskich wieszczów kształtowała się historia Polski, przeto i ten wielki dzień powinien się tu zacząć. Z grodu podwawelskiego ruszyli polscy legioniści pod wodzą Józefa Piłsudskiego, dziś znowu Polacy tworzą Światowy Związek Polaków dla rozbudowy szlaków duchowych polskości.

Inauguracja Światowego Związku Polaków na Wawelu miała charakter niezmiernie uroczysty. Akt założenia Związku został spisany na pergaminie i opatrzony podpisami wszystkich delegatów na Zjazd. Marszałek wypowiada słowa ślubowania wierności dla Związku Polaków, a tysiące obecnych powtarza je gromko. Chór śpiewa „Gaude mater Polonia", muzyka gra hymn narodowy. W tony muzyki zaczyna się mieszać potężny głos „Zygmunta", który oto głosi światu wieść o utworzeniu Światowego Związku Polaków.

Obecni na Zjeździe Polaków z Zagranicy delegaci wszystkich środowisk polskich na obczyźnie zademonstrowali swoją łączność z ideą legionową przez uczczenie 20-lecia czynu zbrojnego Józefa Piłsudskiego i Legionów. W czasie pobytu zjazdu w Krakowie wmurowana została w historycznych Oleandrach krakowskich na Domu Legionowym pamiątkowa tablica, będąca wyrazem hołdu Światowego Związku Polaków dla Twórcy Niepodległości Polski i Jego żołnierzy.

Do Rady Naczelnej Światowego Związku Polaków weszli imieniem Czechosłowacji pp. poseł dr Burek i dr Wolf.

RUDOLF WÓJCIK

c.d.n.

Fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



PAMIĘTNIK JÓZEFA KOŻDONIA

Przedstawiamy dziś drugą część oryginalnego tekstu pamiętnika Józefa Kożdonia. Komentarz pióra Krzysztofa Nowaka zamieścimy w następnym numerze.

MOJE ZKUŠENOSTI VE SLUŽBĚ VLASTI, MŮJ OSUD (2)

Jest zatím známou skutečností, že jsem byl organizátorem a vedoucím činitelem velikého hnutí Slezanů pro připojení celého Těšínska k ČSR a že jsem pro úspěch této akce nasazoval se svými stoupenci nejen majetek, ale i zdraví a život, jak dosvědčiti mohou všichni pamětníci zápasu o Těšínsko z doby mírových jednání po prvé světové válce a jak dosvědčuje na příklad i Dr. Ferd. Pelc ve své knize „O Těšínsko" na str. 91, 146 a dalších.

Tehdy mně vyslal p. prezident T.G. Masaryk dvakrát s deputacemi do Paříže, kde jsem býv. ministerskému předsedovi Dr. Kramářovi a tehdejšímu ministru zahraničních věcí Dr. E. Benešovi po dobu několika týdnů někdy i denně podával informace o poměrech na Těšínsku. Tehdy odbýval jsem několik set schůzí, psával letáky, pamětné spisy, podání na Dohodovou komisi, intervenoval u této komise, dále v Těšíně i Praze atd. Byl jsem několikrát ohrožován na životě - a tehdy mi činili Poláci opětně lákavé nabídky, avšak bez povšimnutí z mé strany. Jako svědka všech těchto tvrzení uvádím p. Frt. Janků, poštovního ředitele v. v. v Řevnicích u Prahy 07, který byl tehdy mým nejužším spolupracovníkem.

Pásmo mezi čárami ze dne 5.11.1918, které bylo stanoveno dohodou Mezinárodní radou v Ostravě a Radou národovou v Těšíně /hranice přibližně okresu frýdeckého/ a pásmem ze dne 22.7.1920, určené velvyslaneckou konferencí, tzv. Západní Zaolzie jest výsledkem plebiscitních bojů z r. 1919-1920, jest ziskem českým proti 5.11.1918 a ztrátou polskou.

Toto pásmo jest hospodářsky a zeměpisně velmi cenné se svými městy Bohumínem, Fryštátem, Karvinnou, Orlovou, Lazemi, Doubravou, Těšínem zap. Třincem, Jablunkovem a asi 3 tucty větších i menších obcí; karvinsko-orlovskou uhelní pánví, košicko-bohumínskou drahou, obrovskými státními lesy a majetku Habsburgů a vysoce vyvinutým průmyslem. Poláci mne považují za jednoho z hlavních spoluvinníků a proto ohrožovali můj život. Nenávist, kterou katovický rozhlas proti mně v r. 1945 rozséval, která měla své vyvrcholení v pokusu mého odvlečení dne 8.8.1945, jakož i opětovné výhrůžky vraždění mne měli navždy umlčeti.

Dohodová komise v Těšíně jako navrhující a informující instance pro velvyslaneckou konferenci, jakož i nejvyšší plebiscitní úřad v kraji, stála pod dojmem důkazů našich

četných podání, památných spisů a stížností, opírajících se o četný, kdykoliv prozkoumatelný materiál, viděla denně celý rok ztýrané, krvácející a zbité Šlonzáky, kteří přicházeli ke komisi se stížností a prosbou o ochranu a musela si tedy klásti otázku, proč mají Poláci zapotřebí pronásledovati své krajany, tyto ztýrati a bíti, je-li pravdou denní volání Poláků do celého světa, že celý národ si přeje připojení k Polsku.

Pronásledování čechofilského Šlonzáctví bylo tehdy pro Dohodovou komisi rozhodujícím a přišlo v úvahu při formulování návrhu pro Velvyslaneckou konferenci, nebylo však ještě dlouho jediným neb rozhodujícím faktem. Naproti tomu bylo takovým diplomatické zastoupení čsl. zahraničních zájmů a Mezinárodního soudu v Paříži, prohlášení Pražské vlády, stanovisko parlamentu a jiné.

Při posuzování otázky, proč dnes, 28 let po plebiscitu, musím seděti jako uprchlík v Marianu v Opavě, proč ne v Těšíně, nemělo by se také zapomínati, že v r. 1919 bylo zemi těšínské Velvyslaneckou konferencí přiznáno právo sebeurčovací. Pro tento účel byl nám zvítězivšími velmocemi zaručen projev zcela volného výrazu vůle a ochrana před jakýmikoliv násilím. Slavnostní proklamace o právu sebeurčení zemi těšínské nazývá toto právo „žehnáním západních demokracií" přiznaném zemi naší. Dnes po 28 letech trpím pod tímto požehnáním sebeurčovacího práva a musím žíti co uprchlík, jemuž hrozí smrt zavražděním. Pět ran na hlavě, které jsem utrpěl při pokusu zavlečení dne 8.8.1945, jest důkazem, jak takové akty mezinárodního práva jsou oceněny a respektovány.

IV.

Po rozhodnutí o Těšínsku v r. 1920 věnoval jsem všechny své síly věrně službě čsl. republice.

Skoro 10 let 1919-1928 působil jsem jako člen Zemské správní komise pro Slezsko v úzké dohodě s českými stranami.

V době mého úřadování jako starosta Čes. Těšína 1923-1938 byl Český Těšín vybudován k samostatné městské obci, skoro všechny ústavy a zařízení vznikly v této době přes značné finanční obtíže. Rovněž jsem se jako starosta snažil udržovati nejlepší dohodu s českými stranami. To mně také stále vytýkala SLP.

Ve funkci likvidátora úvěrních družstev bral jsem největší ohled na dlužníky, ponechal jsem polské a české úředníky na jejich místech, povolil jim dokonce remunerace atd.

Jako člen katovické odvolací komise pro něm. Volksliste ujal jsem se svých krajanů na každém kroku - jak českých tak i polských. Podrobnosti jsou uvedeny ve spise o rehabilitaci.

V době okupace jsem se zastával při každé příležitosti svých krajanů a podporoval jsem je též finančně. Z mnohých případů chci zde poukázati jen na případ horala Adama Sikory z Nižní Lomné u Jablunkova, kterému jsem svou intervencí v Katovicích i svým svědectvím před Volksgerichtem v Berlíně zachránil život. Podobně tomu bylo s ministerským radou Drem Staškem z Prahy, který mi sám doznal, že jsem svým svědectvím mu zachránil život.

Všechny zde jen stručně uvedené záležitosti i jiné jsem podrobně vylíčil ve svém podání o rehabilitaci ze dne 31.7.1945, podaném ministerstvu vnitra a kanceláři pana presidenta republiky.

Abych zamezil příliš velikou rozsáhlost tohoto memoranda, nechal jsem svoji další činnost jako člen slezského sněmu, jako starosta města četných kulturních a hospodářských korporací a sborů, jak i činnost v oboru školství, družstevnictví jako zakladatel Slezské banky lidové, předseda svazu Slezanů, Slezské strany lidové atd. v tomto spisu beze zmínky.

V. Starosti a bolesti

1. Můj trpký osud je stupňován až do krajnosti neštěstím, které též postihlo moji rodinu. Moje srdeční vadou postižená manželka byla v květnu 1945 z Čižkovic u Litoměřic jako uprchlice před organizovaným odsunem do Německa vyhoštěna. Nyní žije v Gehrde, okr. Osnabrück v Hanoversku. Ačkoliv jí zůstalo dekretem ministerstva vnitra ze dne 6. srpna 1947 čsl. státní občanství zachováno, nemůže se ke mně vrátiti, ježto je sama jízdy neschopná, nemá potřebných peněz a já nemohu pro ní jeti pro nedostatek peněz.

Moje dcera Erna, jejíž manžel je nezvěstný, pozbyla veškerý nemovitý a movitý majetek v Górkach v polské části Těšínska a bydlí nyní s 3 dětmi v 1 pokoji mého býv. bytu v Českém Těšíně bez veškerých existenčních prostředků.

Můj jediný syn, inž. Arnošt Koždon, zahynul 3.5.1946 při důlní nehodě v Orlové, zde pracoval jako havíř po dobrovolném návratu z anglického zajetí.

2. Jedná z mých nejtíživějších starostí je dosavadní ztráta moji pense. Záloha 1.000 Kčs měsíčně, která mi byla dle výnosu Zemské školní rady ze dne 16. srpna 1948 vládou povolena, nebyla mi do dnes vyplacena a bylo mi při osobní intervenci oznámeno, že doplatek od května do října t.r. bude zadržen na vázaném vkladu. Žádal jsem národní banku čsl. v Praze, aby doplatek tento byl uvolněn a dále mám úmysl podati novou žádost o placení celé pense.

3. Další moje starosti jsou zachování mého majetku a jmění. Podal jsem 1.12.1947 Místnímu národnímu výboru v Č. Těšíně žádost o uvolnění mého a manželčina majetku movitého i nemovitého. Žádost tato není dosud vyřízena.

4. V r. 1946 jsem přihlásil a současně vykázal jako dluhy Kčs 45.000 majetek mé dcery Erny a Kčs 52.000 majetek mé manželky a vnoučat, které obnosy byly částečně na moje jméno, částečně na jméno manželky a vnoučat uloženy. Nevěděl jsem, že tento postup je nesprávný a nepřípustný. To jsem se dozvěděl teprve, jak berní správa v Opavě mi oznámila, že učinila finančnímu ředitelství exp. v Opavě oznámení s návrhem, aby oba obnosy úhrnem 97.000 Kčs byly zabaveny a mi byla uložena pokuta 5.500 Kčs. Zamýšlím v případě nepříznivého vyřízení cestou milosti podati žádost o prominutí.

5. Dále jsem pozbyl po skončení války v r. 1945 skoro veškeré šatstvo, prádlo, hodinky, radio a jiné cenné věci. Od této doby jsem si nemohl ničeho opatřiti. Potřebuji proto nutně prádlo a něco šatstva.

6. Starost, která mně neustále a všude trápí, je otázka: Jak a kdy mohu se vrátiti do domova, do Č. Těšína. Kdy mohu zase viděti svou rodinu, manželku a děti a s nimi býti spojen? Vím, že tato otázka je velmi spletitá a nepříjemná, ale doufám přece, že s ohledem na nynější přátelské vztahy mezi ČSR a Polskem můj návrat do Č. Těšína bude možný bez ohrožení mé osoby. Aneb budu muset čekati, až se uskuteční touženě očekávaný mír v Evropě. Vzdal jsem se již dávno úmyslu politické neb veřejné činnosti a mám jen jedno přání, abych mohl zbytek svého života prožíti v pokoji a klidu, nezatížen starostmi o výživu v milované vlasti. Kdo mi k tomu dopomůže?

Jsem v 76. roce svého věku, trpím revmatismem, cukrovkou v posledních dvou letech, trpěl jsem mnoho zánětem žil, furunkulosou atd. Moje nervy jsou úplně vyčerpány. Od r. 1945 jsem odloučen od své rodiny, žiji v Marianu v Opavě po páté jako uprchlík, úplně osamocen, opuštěn. Pensista bez pense, bez duševního odpočinku bloudím bez pomoci světem, ale doufám, že naleznu samaritány, které mi přece jednou pomohou.

Za službu pro svůj domov 3 krát ve vězení, po páté v exilu, několikráte ohrožen na životě, 5 ran na hlavě, ožebračen, osamocen, volám neustále o pomoc a ochranu. Moje duše neznala nikdy nenávisti, nikdy jsem nikoho neudal, třebas jen poznámkou, nikdy jsem nikomu ani slůvkem neublížil. Ve svém celém životě byl jsem ochoten pomoci a posloužiti. Nevděku a nevěrnosti jsem tolik v životě zažil, jak snad nikdo jiný v mém okolí.

Po životě plném práce a námahy: takový výsledek. Proto se ptám: v čem vězí má chyba, mé provinění, pro které tolik trpím?

Měl jsem snad v osudných letech 1918-1920, kdy se rozhodovalo o budoucnosti mého domova, chovati se pasivně, nečinně? Právě v těchto letech měl jsem za svoji povinnost bojovati úsilovně, dle mého svědomí a přesvědčení pro připojení celého Těšínska k ČSR.

Teď musím nésti následky této mé práce.

Kdyby ještě žili a mohli svědčiti mužové, s kterými jsem v době plebiscitu tak mnoho a často spolupracoval, jak to ministr Švehla, president Šrámek, vládní rada Dr Michálek, generál Šnejdárek, předseda Zemské správní komise pro Slezsko Dr. Ferdinand Pelc a další, jistě by byl můj osud zcela jiný.

Troufám si dokonce ještě odvolati se na zesnulého pana presidenta Dr. Eduarda Beneše, s kterým jsem tak často v Paříži a v Praze vyjednával o záležitostech Těšínska.

Ještě neztrácím víru v pravdu, právo i dobrých lidí a mám naději, že budu s laskavým porozuměním vyslyšen.

V Opavě, dne 30. října 1948.

JOSEF KOŽDON

WĘDRYNIANIN JÓZEF SZÜCS

Poznałem go bardzo dawno temu. Wysportowana, szczupła sylwetka, energiczne ruchy. Krucza, falista czupryna, śniada cera i starannie pielęgnowany wąsik. Spoza szkieł bystre, uważne spojrzenie. Na twarzy lekki uśmiech, oznaka pogodnej, optymistycznej natury. Jego credo życiowe było nieskomplikowane: działać, pracować - być i żyć.

Od naszego poznania minęło już ponad pół wieku. „Juzek" - tak zwykłem się do niego zwracać - posługuje się piękną zaolziańską gwarą. Słuchano z zapartym tchem jego opowiadań, zaprawianych gęsto anegdotą, niestroniących od morału, z ciekawą pointą. Jeszcze dziś zaśmiewają się słuchacze, kiedy zabiera głos na spotkaniach klubowych w Wędryni, Czeskim Cieszynie czy gdzie indziej. Wnosi między nas pogodę ducha i optymizm.

Spotykaliśmy się na przeróżnych naradach, aktywach, zebraniach, konferencjach - wszystkich tych wypróbowanych „metodach" uświęcających cel: szybką kolektywizację wsi, wprowadzaną w formie rolniczych spółdzielni produkcyjnych lub państwowych gospodarstw rolnych. Podstawowe odczucie rolnika - miłość do rodzinnej bruzdy - tłamszono bezwzględnie. Swobodę decyzji zarządzania krępowano nieżyciowymi przepisami. A przecież tu na Zaolziu już od dawna stosowano nowoczesne metody upraw i hodowli, osiągając dobre wyniki. Przodujący gospodarze, ogólnie szanowani obywatele dzielili się z sąsiadami doświadczeniem, zbierali obfite plony, a w oborach zdrowe bydełko konkurowało z niemniej dorodną trzodą chlewną.

Józek należał do tych, którzy przemyślnymi zabiegami próbowali w większym czy mniejszym stopniu odwracać niebezpieczeństwo, jakie wspomniane „metody" na Podbeskidzie sprowadzały. Wielkiego było trzeba sprytu, forteli, ale też fachowego uzasadnienia swoich poczynań. W każdym razie mocnego przywiązania do rolnictwa i ukochania ziemi.

Pod koniec XIX wieku zawędrowali Šebestově z okolic Vyškova za chlebem na wschód Austro-Węgier. Wędrówkę zakończyli w Abaui Torna w północnych Węgrzech. Tu natknęli się na Karola Stonawskiego, inspektora wielkich dóbr, który zatrudnił przybyszów na polach, w oborach, kuźni i warsztatach. Mieszkanko wprawdzie skromne, ale ogólne warunki znośne. Byli zadowoleni, mówili o szczęściu, jakie napotkali na obczyźnie, i przykładali się do pracy.

Córka Anna upodobała sobie miejscowego młodzieńca, zręcznego rzemieślnika. Stefan Szücs był postawnym Węgrem. Na widok ślicznej dziewczyny z Moraw miękło zahartowane serce młodzieńca. Pokonali różnicę języków i wszelkie przeszkody. Zakochali się w sobie, pobrali i założyli rodzinę.

Zabezpieczeni materialnie, wspierani przez rodziców, zdecydowali się na pierwszego potomka. Przyszła na świat córka Gizela. Mieszkanie zapełniło się nowym ciepłem i radością.

Zarządca, dusza niespokojna, jak się okazało, pochodził ze Śląska. Postanowił wrócić na Śląsk. I zabrać z sobą wypróbowanych pracowników. Zaskoczone tą decyzją obie rodziny nie bardzo potrafiły się sprzeciwić. Zresztą przyrzekł dać pracę i odpowiednio wynagradzać.

Dotarli do Wędryni - celu podróży. Zderzenie języków wywołało wśród przybyszów z południa nie lada rozterkę. Zgodzili się na warunki pana Karola, przybyli tutaj, więc powinni zostać. Odmienna mowa nie może stanąć na przeszkodzie. Kilkanaście miesięcy później problem porozumienia się zniknął bezpowrotnie. W dużej mierze to zasługa dzieci, o wiele łatwiej przyswajających mowę miejscowej ludności i wnoszących ją do rozmów w kręgu rodziny.

Nowy zarządca nowy wprowadził ład, ulepszył metody gospodarowania w dużej mierze dzięki fachowości przybyszów i sumiennemu podejściu do obowiązków. Majątek nabrał rumieńców, a w rodzinie Szücsów przyszli na świat kolejni potomkowie.

Dnia 15 marca 1915 roku urodziło się piąte dziecko - Józef (z siedmiorga rodzeństwa). Zapatrzył się w beskidzkie szczyty, zachłysnął się górskim powietrzem i przylgnął - jak się dziś okazuje - mocno do zaolziańskiej ziemi. Mocno i na zawsze.

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej zmieniły się stosunki polityczne. Karol Stonawski zmuszony został do opuszczenia majątku i odszedł do Cieszyna. Rodzina Szücsów pozostała.

Józka zapisano, podobnie jak starsze rodzeństwo, do polskiej szkoły. Naciski ekonomiczne na rodzinę spowodowały, że Józek musiał w połowie drugiej klasy opuścić szkołę i kolegów i kontynuować naukę w nowo otwartej szkole czeskiej.

Starka nie umiała po węgiersku. Tata przeraźliwie koślawił język, nieraz upominany: „Jak to zaś Szücsu mówicie"? Część rodzeństwa ukończyło polską, część czeską szkołę. Rozmawiano między sobą „po naszymu". Stefan szczególnie dbał o zachowanie pamiątek rodowych, np. o poprawne pisanie nazwiska, z drugiej zaś strony wpajał rodzeństwu miłość do „przybranego języka ojczystego" - to klapsem, to drobną monetą.

Józek był zdolnym uczniem, miał znakomite postępy w nauce. Z opisanych wyżej powodów nie został przyjęty do gimnazjum w Cieszynie, ukończył czteroklasową szkołę wydziałową w Bystrzycy. Podjął okazyjną pracę w gospodarstwie jako traktorzysta i robotnik pomocniczy. Uczęszczał do Szkoły Gospodarczej w Czeskim Cieszynie, zapisał się do Szkoły Gorzelniczej w Hawliczkowym Brodzie. Nim został przyjęty, posiadał już certyfikat uprawniający do obsługi kotłów wysokociśnieniowych i prawo prowadzenia

ciągników. Brat Stefan, który roztaczał opiekę nad rodzeństwem, podówczas zatrudniony w hucie, opłacał koszta nauki Józka w wysokości 500 koron miesięcznie.

Czytelnia - to dla każdego chyba obywatela Wędryni pojęcie znane i niezmienne na przestrzeni dziesiątków lat. Centrum życia i wszelkich działań społecznych czy towarzyskich polskiego społeczeństwa. Tu trafiał Józef każdy wtorek na spotkanie z młodzieżą uprawiającą ćwiczenia gimnastyczne. Była zorganizowana w Sokole, któremu przewodniczył podówczas dr Leon Wolf, zaś nad zadaniami praktycznymi sprawował pieczę profesor Gustaw Zielina.

Przygotowywano uroczysty występ gimnastyków na 50. urodziny dr Wolfa. Józek, znakomity gimnastyk, nie umiał sobie poradzić z tzw. „wymykiem" na drążku. *Przypominam sobie* - mówi Józek - *jak profesor zwrócił się do mnie: „Chłopcze to ćwiczenie jak każde inne - nic trudnego". Objaśnił mi, w jaki sposób ćwiczenie przeprowadzić. „Zrozumiałeś?" - zapytał. Chyba moje „tak" nie było przekonujące, bo zdjąwszy marynarkę, podszedł do drążka i swobodnie - korpulentny już profesor - wykonał wymyk. Mi się też udało. Kilkakrotnie go powtórzyłem, uradowany zapewniając sobie udział w jubileuszowych ćwiczeniach w Karwinie.*

W Czytelni powstała też słynna „piramida", która przetrwała do dziś i stale zachwyca nowe rzesze widzów. Zajęcia rozpoczynano odśpiewaniem „Brygady" i rozkazem. Józef zastępował brata Stefana pod jego nieobecność i nim zdążył to sobie uświadomić, wrósł w życie polskiego społeczeństwa. Kiedy działalność Sokoła zakazano i powstało Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, Józef i tu się zaangażował.

Po ukończeniu 21 lat musiał włożyć mundur wojska czechosłowackiego. W czasie pierwszej mobilizacji na górze Hvězda koło Kroměříža zastała go wiadomość o przygarnięciu Zaolzia do Macierzy. Niezwłocznie załatwił zwolnienie, przywdział „odświętny" mundur i przedostał się do Wędryni. Został zaszeregowany do Trzeciego Pułku Strzelców Podhalańskich. Paradował teraz w mundurze z prawdziwego zdarzenia. Po wybuchu wojny dostał się do obozu jenieckiego, skąd zbiegł. Udało mu się wrócić co swoich. 27 listopada 1939 roku został aresztowany i umieszczony wspólnie z Franciszkiem Kufą w Jabłonkowie. Wkrótce przeniesieni zostali do Cieszyna. Nastąpiły przesłuchania i rozprawy sądowe. W ostateczności sąd uznał wywody oskarżonych, zwolnił obydwu i oddał do dyspozycji gestapo. W Trzyńcu mieli się zgłaszać codziennie najpóźniej do siedemnastej.

O kolejnych wydarzeniach opowiada Józek Szücs: *Jeszcze brzmiały mi w uszach słowa: „Sie Sind freigelassen", kiedy 13 marca 1940 roku przyszedłem do biura gestapo w Trzyńcu. Zapukałem, wszedłem i zatkało mnie zupełnie. Za biurkiem - Tischler. Z Tischlerem spotykałem się przed wojną podczas gry w tenisa stołowego. Broniłem barw Wędryni, a Tischler Trzyńca. W ciągu niezliczo-*

nych spotkań wyrastała między nami taka sportowa przyjaźń. Zaskoczenie było niesamowite. W myślach gotowy mętlik - tamte mecze, rozmowy, porażki, zwycięstwa - tu urzędnik gestapo, ale ten sam Tischler! Sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął plik papierów z tymi słowy: „Než mě odsoudíš, že tady uřaduji, přečti si toto". Były to donosy. Na własne oczy mogłem się przekonać, dla kogo byłem cierniem w oku.

Tischler w swojej sportowej uczciwości zarządził, że nie musiałem codziennie meldować się w Trzyńcu. Wystarczyło na miejscu w gminie.

Gestapo dnia 24 kwietnia 1940 roku zorganizowało masowe łapanki wybranych osób, które zwoziło do fabryki Kohna w Cz. Cieszynie. Nie przeczuwając zagrożenia, poszedłem nad potok. W tym czasie żołnierze otoczyli nasz dom, a dwóch wtargnęło do mieszkania. „Wo ist Josef?" - krzyknęli parokrotnie. Matka zemdlała, zrobił się zamęt.

Kiedy wpadłem do domu, kazano mi się ubrać i wziąć jedzenie na trzy dni. Niby to poszedłem się ubrać, a tymczasem za plecami żołnierza stojącego w drzwiach skręciłem z domu na podwórko. Udało mi się uciec w pobliskie chaszcze i las Praszywej. (W Wędryni jeden z kopieczków taką nosi nazwę.)

Zamelinowałem się w budynku gospodarskim, gdzie słoma posłużyła do zbudowania kryjówki. Rodzina oświadczyła, że poniosło mnie na Węgry. Samotny, opuszczony miałem głowę zaprzątniętą ciężkimi rozważaniami. Czas wypełniałem czytaniem książek. Koniecznie muszę wspomnieć Józka Hazukę, mechanika w majątku rolnym, Polaka, który miał znakomicie opanowany niemiecki. To on podjeżdżał do czeskocieszyńskiej Malcowni, gdzie, jak stwierdził, znajdują się stosy polskiej literatury, zrabowanej z polskich bibliotek. Nie wolno było wybierać, przebierać, toteż książki ładował widłami na wóz i odjeżdżał. Z tego źródła wiele książek znalazło się w moim bunkrze.

Jesienią 1944 roku rozeszła się wieść, że widziano mnie w Wędryni. Nie udała się obława na bunkier, gdyż wcześniej, chyłkiem, nocną porą przeprowadziłem się na strych do siostry, której mąż znajdował się od lat w Mauthausen-Gusen (wrócił po pięciu latach). Po zakończeniu wojny po pięciu latach wegetowania w kryjówce wyszedłem na wolność i powróciłem do normalnego życia.

W roku 1945 został Józef Szücs sekretarzem rolnym. Jesienią tego samego roku zatrudnił się na okres jednej kampanii w gorzelni we Frydku-Mistku. W roku 1947 przeszedł do rafinerii w Cz. Cieszynie, ale tylko do 15 marca 1948. Potem stał się kierownikiem, zarządcą gospodarstwa rolnego w Wędryni na pełnych 10 lat, a następnie zaoferowano mu zastępstwo zootechnika w kombinacie Państwowych Gospodarstw Rolnych w Czeskim Cieszynie. Z biegiem czasu objął funkcję głównego zootechnika i w wieku 44 lat został wicedyrektorem. W tym przedsiębiorstwie pracował aż do emerytury w 1986 roku.

GUSTAW FOLWARCZNY

UDANY VII FESTIWAL PIOSENKI DZIECIĘCEJ

POFESTIWALOWE REFLEKSJE DYREKTORA BOHDANA SUCHANKA

Zarząd Główny PZKO w Czeskim Cieszynie, Miejscowe Koło Macierzy Szkolnej oraz Polska Szkoła Podstawowa w Hawierzowie Błędowicach to organizatorzy VII Festiwalu Piosenki Dziecięcej, jaki odbył się 28 kwietnia w Hawierzowie. W koncercie finałowym wzięło udział osiemnastu solistów, dwa duety i trzy zespoły wokalne, którzy stanęli w szranki konkursowe, wyłonieni wcześniej z ponad 130 uczestników eliminacji. W drugiej części koncertu wystąpiły laureatki poprzednich Festiwali: Natalia Siedlaczek, Barbara Humel, Barbara Sikora, duet Helena Lugsch i Alicja Herman oraz zespół Anki, którego członkinie Izabela Bałon, Mariola Fryda, Jolanta Gałuszka i Barbara Suchanek prowadziły festiwalowy wieczór.

Jury w składzie Jiřĺ Pospíšil (przewodniczący), Maria Hupka, Irena Żabińska-Żagan, Zbigniew Siwek i Andrzej Macoszek wyłoniło następujących laureatów: kategoria I (kl. 1–3): 1. Jakub Šafránek (kl. 2 PSP Karwina Nowe Miasto), 2. Jolanta Kowalczyk (kl. 2 PSP Gnojnik), 3. Katarzyna Brzóska (kl. 1 PSP Czeski Cieszyn), kategoria II (kl. 4–6): 1. Gabriel Kopeć (kl. 6 PSP Trzyniec Osiedle), 2. Sylwia Siedlaczek (kl. 6 PSP Gnojnik), 3. Adam Farana (kl. 5 PSP Karwina Nowe Miasto), kategoria III (kl. 7–9): 1. Tomasz Suchanek (kl. 9 PSP Hawierzów Błędowice), 2. Krystyna Škrabal (kl. 9 PSP Bystrzyca), 3. Agata Wacławik (kl. 8 PSP Karwina Nowe Miasto). W kategorii duetów wygrali Ewa Sajdok z klasy 9 i Jan Pieter z klasy 8 PSP Trzyniec Osiedle przed Zuzanną Janiczek z klasy 8 i Sylwią Siedlaczek z klasy 6 PSP w Gnojniku. Trzy występujące zespoły zajęły następującą kolejność: 1. Allegro (PSP Sucha Górna), 2. Gnojnik (PSP Gnojnik), 3. Nonet (PSP Karwina Nowe Miasto). Zwycięski duet Ewa Sajdok i Jan Pieter otrzymał też nagrodę publiczności, zaś Katarzyna Brzóska nagrodę dla najmłodszego uczestnika Festiwalu.

Festiwal Piosenki Dziecięcej obejrzało wielu znamienitych gości, m.in. konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis, senatorowie RC Andrzej Feber i Antonín Petráš, hetman okręgu morawsko-śląskiego Evžen Tošenovský, wicehetman Zdzisław Wantuła, starosta Hawierzowa Václav Wicher, de-

legacja władz powiatowych, przedstawiciele Rady Polaków, ZG PZKO, ZG Macierzy Szkolnej i innych organizacji oraz sponsorzy, m.in. Viktor Koláček, prezes prezydium spółki akcyjnej OKD, i Jan Matula, prezes prezydium Zjednoczenia Czesko-Morawskich Kopalń.

Jedną z osób, która najwięcej czasu (organizował Festiwal jako pracownik ZG PZKO i członek błędowickiej Macierzy Szkolnej) i serca (na Festiwalu występowały jego dzieci, córka jako Anka-Weteranka i prowadząca koncert, syn - laureat w swojej kategorii) poświęciła Festiwalowi Piosenki Dziecięcej, był dyrektor biura Zarządu Głównego PZKO Bohdan Suchanek. Jak ocenił Festiwal?

Czy impreza udała się?

Od początku traktowaliśmy Festiwal Piosenki Dziecięcej jako imprezę sztandarową, dlatego poświęciliśmy dosyć dużo czasu sprawom organizacyjnym. Chodziło przede wszystkim o zapewnienie oprawy graficznej, scenografii, dyplomów, zaproszeń, reklam w prasie. Propagacja spełniła swój cel, wynikiem była pełna sala, bilety sprzedano już dwa tygodnie przed imprezą.

Organizatorzy spisali się na medal. Dla mnie najmilszym zaskoczeniem było, kiedy w piątek przed Festiwalem okazało się, że nie ma już nic do roboty, zadania są podzielone, wszystko dopięte na ostatni guzik. Impreza przebiegła bez uchybień.

To strona organizacyjna. A poziom artystyczny?

Za poziom artystyczny podziękować musimy nauczycielom i rodzicom. Impreza stała się już tradycją, odbywa się co dwa lata, czyli można powiedzieć, że jest wynikiem czternastu lat pracy nauczycieli. Dzieci się zmieniają, ale nauczyciele pozostają i szlifują poziom. Poziom jest coraz wyższy, a zdolnych dzieci nie brakuje. Trzeba tutaj podkreślić rolę nauczycieli, nie tylko tych, których podopieczni brali udział w finale. Finał był wynikiem bardzo żmudnej pracy wszystkich nauczycieli, także tych, którzy przygotowali dzieci do eliminacji. Gwarancją pewnego poziomu był też bardzo dobry scenariusz imprezy, który przygotowała Lidia Pawlas.

W styczniowych eliminacjach wzięło udział około 130 dzieci i, jak powiedział przewodniczący jury Jiří Pospíšil, było bardzo trudno wybrać nie tylko finalistów-zwycięzców, ale w ogóle uczestników finału. Z osobistych uwag radnych, pezetkaowców, fachowców muzyków wynikało, że impreza była na bardzo wysokim poziomie artystycznym. Ważne znaczenie miał też repertuar dostosowany do wieku, poziomu i predyspozycji głosowych wykonawców. To

zostało bardzo wysoko ocenione przez jury. Bardzo mi było przyjemnie, kiedy Zbigniew Siwek, kompozytor, który dużo już napisał dla młodzieży, ale pierwszy raz był na Festiwalu Piosenki Dziecięcej, powiedział, że jest ogromnie zaskoczony poziomem, dał parę wskazówek, jak jeszcze wyżej podnieść poprzeczkę.

W Festiwalu Piosenki Dziecięcej biorą udział uczniowie szkoły podstawowej, a gdzie mogą zaśpiewać, kiedy już dorosną i skończą podstawówkę?

To była druga uwaga pana Siwka, że nie ma Festiwalu Piosenki Polskiej i młodzież nie ma możliwości dalszego rozwoju. Dlatego chcemy wrócić do Festiwalu Piosenki Polskiej. Trzeba jeszcze zdecydować, kiedy będzie się odbywał, czy też co dwa lata, zawsze w tym roku, w którym nie ma Festiwalu Piosenki Dziecięcej. Być może jesienią spróbujemy przygotować zerowy rocznik. W konkursie wzięłaby udział przede wszystkim śpiewająca młodzież szkół średnich i starsza, w drugiej części koncertu wystąpiliby laureaci poprzednich roczników Festiwalu Piosenki Polskiej. Trzeba do nich dotrzeć, zwłaszcza że obchodzimy trzydziestolecie tego festiwalu.

Impreza tej miary jest kosztowna, czy jest nadzieja, że znajdą się sponsorzy na dwa festiwale?

To zależy, gdzie odbędzie się Festiwal Piosenki Polskiej i kto go będzie organizować. Muszę przyznać, że dosyć łatwo mogłem zorganizować sponsorów w Hawierzowie. Jestem tam radnym, pełnomocnikiem firm. Nie było problemu ze zwróceniem się do przedstawicieli firm, z którymi współpracujemy. Pomogły też poważne firmy regionalne. Niektórzy z ciekawości poparli tę imprezę, a potem sami byli zaskoczeni jej poziomem. Wychodziliśmy z założenia, że impreza ma taką rangę, że warto na niej być. Kto nie był, może żałować. Na szczęście goście dopisali i zajęli całe trzy rzędy. I nie było gościa, który nie zapłaciłby biletu. Jako ciekawostkę podam, że sponsorzy dostali od nas na pamiątkę butelkę „warzónki" z napisem „product of PZKO".

Nie pozostaje nic innego, jak tylko życzyć, przede wszystkim młodym ludziom, którzy lubią śpiewać, by śmiałe plany dyrektora Bohdana Suchanka doszły do skutku.

CZESŁAWA RUDNIK



Agata Wacławik, kat. III – 3. miejsce



Jakub Šafránek, kat. I – 1. miejsce



Gabriel Kopeć, kat. II – 1. miejsce



Tomasz Suchanek, kat. III – 1. miejsce





ALLEGRO
kat. V – zespoły – 1. miejsce



Ewa Sajdok, Jan Pieter
kat. IV – duety – 1. miejsce



PSP – Gnojnik, kat. V – zespoły – 2. miejsce

„A JAK SIEDNIESZ MIĘDZY WRONY...“ W MILIKOWIE



Tradycji stało się zadość. Członkowie MK PZKO w Milikowie Centrum podczas Świąt Wielkanocnych po raz kolejny przygotowali przedstawienie. Tym razem była to nowa, napisana specjalnie dla milikowskich aktorów, sztuka Wilhelma Przeczka „A jak siedniesz między wrony...“, będąca kontynuacją perypetii rodzinnych bohaterów komedii tegoż autora „Lufciorze“ i „Strzapato Łyskula“. Te dwie ostatnie prezentowali z dużym powodzeniem milikowianie w dwu poprzednich latach.

Wiele trudu kosztowało aktorów przygotowanie nowej sztuki, bowiem autor dużą jej część napisał rymowanym wierszem, co wymagało od aktorów nienagannego opanowania tekstu pamięciowo. Ponadto autor wprowadził obok postaci realistycznych, znanych już z poprzednich sztuk, postaci fantastyczne, sympatycznego diabła Borutę (Jan Sikora) i błazna Rymuśka (Ryszard Staszowski). Oni komentowali sceny rozgrywane przez pozostałych bohaterów.

Komedia Przeczka odnosi się do współczesnej rzeczywistości, pokazując dalsze losy bohaterów w świecie przemian ekonomicznych i społecznych, nie ulegają jednak zmianie miejsca akcji, rodzina Walarusów mieszka w bloku obok hałdy w Karwinie, a rodzina Łupińskich w Łomnej. Ale zmienia się język, którym się posługują bohaterowie, bo oprócz gwary pojawia się wraz z nową postacią Czecha Vrány (Kazimierz Sikora), nowego zięcia Walarusów, język czeski, a postacie nierealne posługują się polskim językiem literackim.

W osoby bohaterów znanych już wiernej publiczności z poprzednich dwu części sagi o Walarusach i Łupińskich wcielili się: Anna Cieślar, Irena Heczko, Urszula Mazur, Krystyna Sikora, Renata Staszowska, Halina Wacławek, Józef Mazur, Władysław Stonawski. Całość wyreżyserował Hynek Czeczotka, a suflerkami były: Danuta Sikora i Maria Sikora.

E.S.

POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY UHONOROWANY NAGRODĄ WOJCIECHA KORFANTEGO

W połowie kwietnia odebrał w Katowicach prezes Zarządu Głównego PZKO Zygmunt Stopa honorową nagrodę Wojciecha Korfantego. Otrzymał ją Polski Związek Kulturalno-Oświatowy za wytrwałe podtrzymywanie i upowszechnianie kultury polskiej na Zaolziu. Nagroda przyznana została przez fundujący ją od wielu lat Związek Górnośląski. Jak powiedział jego prezes Jerzy Śmiałek, nagrodę Wojciecha Korfantego przyznaje kapituła osobom lub instytucjom, które swoim działaniem rozsławiają Śląsk.

Wśród laureatów nagród honorowych znaleźli się poza tym: prof. Franciszek Marek, autor ponad 150 publikacji, który otrzymał ją *za wielkie zaangażowanie w budowę nowej rzeczywistości Śląska*, Józef Musioł – *za niezłomne, konsekwentne i obiektywne rekonstruowanie historycznej przeszłości Górnego Śląska*, prof. Józef Świder – *za dorobek pedagogiczny oraz ogromny wkład twórczy w rozwój śląskiej kultury muzycznej*. W drugiej kategorii nagród przyznano dwie nagrody promocyjne. Jedną z nich otrzymał dziennikarz i publicysta Krzysztof Karwat, m.in. autor książek „Ten przeklęty Śląsk" i „Jak hanys z gorolem", drugą Piotr Mankiewicz, właściciel jedynego w Polsce Muzeum Chleba w Radzionkowie, obrońca tradycyjnej technologii pieczenia chleba.

C.R.

MISTRZ KRZYŻÓWEK PRZEKROJU 2001

Kiedy w roku 1995 po raz pierwszy zorganizował Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie Frysztacie konkurs o tytuł Mistrza Krzyżówek Przekroju, nikt nie miał stuprocentowej pewności, czy będzie to akcja udana. Znalazło się jednak kilkunastu miłośników rozwiązywania przekrojowych krzyżówek, którzy pragnęli, by konkurs powtórzono i w roku następnym. Trzecią, jakby jubileuszową edycję Krzyżówek zaszczycili swoją obecnością znamienici goście: ówczesny redaktor naczelny Przekroju Mieczysław Czuma i znany „szwejkolog" redaktor Leszek Mazan. I konkurs stał się tradycją.

W tym roku, 18 kwietnia, już po raz siódmy odbył się w bibliotece frysztackiej konkurs o tytuł Mistrza Krzyżówek Przekroju. W szranki konkursowe stanęli zawodnicy indywidualni i pary. W określonym czasie trzeba było rozwiązać trzy krzyżówki z dawnych numerów tygodnika Przekrój. Ilość rozwiązanych haseł to ilość zdobytych punktów, za rozwiązanie całej krzyżówki doliczano dodatkowo dwadzieścia punktów.

W kategorii par startowała tym razem pięciokrotna laureatka konkursu Zofia Göbel i razem z synem Piotrem zdobyła drugie miejsce. Ubiegłoroczne zwycięstwo obronili różnicą jednego punktu w stosunku do zdobywców drugiego miejsca Maria i Zdzisław Fierlowie. Trzecie miejsce zajęły Anna Nagy i Stanisława Wrabel.

Wielkie emocje czekały uczestników konkurencji indywidualnej, którzy walczyli o tytuł mistrzowski i nagrodę najwyższą, tj. roczną prenumeratę Przekroju, ufundowaną przez ten krakowski tygodnik. Okazało się bowiem, że są dwie laureatki: Halina Pasekowa (która zresztą uczestniczyła w tym konkursie po raz pierwszy, w dodatku nie mogła dotrwać do ogłoszenia wyników, gdyż grała wieczorem w przedstawieniu Sceny Polskiej) i Wiesława Branna. Za nimi uplasowała się Danuta Szuścik. O mistrzu zadecydowała dogrywka, którą rozegrano 23 kwietnia. Więcej szczęścia dopisało Halinie Pasekowej i ona została Mistrzem Krzyżówek Przekroju 2001 oraz wygrała roczną prenumeratę Przekroju. Pozostali laureaci otrzymali nagrody książkowe ufundowane przez Stowarzyszenie Wspólnota Polska.

C.R.

LEKCJA HISTORII Z PROFESOREM PÁNKIEM

Pod koniec kwietnia przebywał na Zaolziu na zaproszenie Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie profesor Jaroslav Pánek z Pragi, dyrektor Zakładu Historii Czeskiej Akademii Nauk, prezes Stowarzyszenia Historyków Czeskich. W Karwinie i Czeskim Cieszynie spotkał się z gimnazjalistami, którym przedstawił (po polsku) wykład „Czesi i Polacy w tysiącletniej historii (Przemiany modelu sąsiedztwa i współżycia)". Szersza publiczność miała okazję wysłuchać (po czesku) wykładu 25 kwietnia w Oddziale Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie Frysztacie. Wśród słuchaczy znaleźli się również odbywający tu swoje zebranie członkowie Rady Polaków.

Prawie półtoragodzinny wykład profesora Pánka był próbą spojrzenia na tysiącletnie dzieje stosunków politycznych, ale także społecznych czy kulturalnych dwu sąsiednich państw i narodów w środku Europy z punktu widzenia współczesnej historiografii. Dzieje te podzielił profesor na dwa etapy, pierwszy dotyczył okresu od wieków najstarszych do roku 1918, drugi zaś to dzieje najnowsze. Bardzo obiektywnie przedstawił nie tylko czasy dawne, ale przede wszystkim historię dwudziestego wieku.

Interesujące były uwagi profesora, jako historyka, czeskiego historyka i do tego mieszkańca dalekiej Pragi, dotyczące naszej współczesności, wzajemnych kontaktów Czechów i Polaków i roli polskiej mniejszości w ich pogłębianiu. Profesor Pánek mówił m.in. o polskim modelu drogi do wolności, modelu przemian społecznych i politycznych, które polegały nie na burzeniu, niszczeniu, lecz tworzeniu nowych struktur organizacyjnych, mówił o sile polskiej kultury, która może być nośnikiem integracji kulturalnej Europy Środkowej i Wschodniej, o poczuciu godności narodowej Polaków. Natomiast mniejszość narodowa zdaniem profesora wzbogaca państwo i państwo powinno ją chronić, zaś polska mniejszość, którą stanowi ludność autochtoniczna, powinna mieć stałego przedstawiciela w czeskim parlamencie. Błędem jest, zauważył Jaroslav Pánek, że nie udało się do tej pory rozwiązać problemu mniejszości, nie została sformułowana jej rola i zadania.

Podziękowania za słowa otuchy, ale też obawy, że zdanie profesora przedstawia poglądy czeskiej elity intelektualnej, różniące się diametralnie od opinii, z jakimi spotykają się na co dzień żyjący na Zaolziu Polacy, wyrażali następnie w dyskusji przedstawiciele polskiej mniejszości. Być może w zmianie nastawienia do zaolziańskich Polaków przez czeską większość pomogłyby obiektywne lekcje historii w szkołach, wyjaśniające dzieje ziemi zaolziańskiej i autochtoniczne pochodzenie tutejszych Polaków. Profesor Pánek obiecał pomóc poprzez Asocjację Nauczycieli Historii.

Wszystkim zainteresowanym tematem polecamy wakacyjne numery Zwrotu, gdzie w całości zamieścimy wykład prof. Jaroslava Pánka.

C.R.

„BAJKI PANI BAJKI"



Tak nazywało się przedstawienie szkolne wystawione w kwietniu (25 premiera) przez uczniów PSP w Trzyńcu I. Gdyby tradycyjne przedstawienia szkolne wystawiane corocznie w naszych placówkach edukacyjnych potraktować jak międzyszkolną konkurencję sportową, to trzyniecka PSP 1 swoją inscenizacją wysunęłaby się w tym roku mocno do przodu!

Przedstawienie składało się z dwu części – współczesnych przeróbek scenicznych, w formie śpiewogry, klasycznych bajek – „Czerwony Kapturek" i „Jaś i Małgosia". Brali w nim udział prawie wszyscy uczniowie. Mieli do zaprezentowania na scenie zabawny tekst i piękne piosenki. Nie zabrakło tu ciekawie wyreżyserowanych i zagranych scenek, tańców, a wszystkiemu towarzyszył pomysłowo wkomponowany w tło chór szkolny zamieniony w las poruszających się w takt muzyki zielonych drzew. Scenografia i stroje zasługują na dodatkowe brawa. Wszystkie dzieci grały bardzo dobrze i z niezwykłą swobodą. Polska szkoła w Trzyńcu I po prostu bawiła się w teatr. Zaś język polski płynący ze sceny był tak poprawny i piękny, że sprowokował mnie do zadania dyrektorowi szkoły Tadeuszowi Szkucikowi, pół żartem, pytania o to, z której szkoły z Polski pożyczył dzieci. Nie pożyczył, co powinno być dodatkowym powodem do dumy zarówno dla nauczycieli tej szkoły, jak i dla uczniów, dla nas wszystkich! Oceniając to przedstawienie szkolne, nie można również nie odnotować jeszcze jednego faktu – na widowni, podobnie jak na scenie, w trakcie przedstawienia tak samo dobrze bawili się rówieśnicy młodych aktorów i widzowie dorośli.

„Bajki Pani Bajki" reżyserowały Halina Cymorek i Krystyna Pospíšil, muzykę opracował Roman Grycz, scenografię Maria Drobisz. Przedstawienie zadedykowano „wszystkim dobrym ludziom i miastu Trzyniec" w siedemdziesiątą rocznicę uzyskania praw miejskich.

F.B.

TALINKI
IV PRZEGLĄD TEATRZYKÓW DZIECIĘCYCH

27 kwietnia odbył się w czeskocieszyńskiej Strzelnicy IV Przegląd Teatrzyków Dziecięcych Talinki zorganizowany przez Radę Kultury ZG PZKO przy współpracy z Miejskim Ośrodkiem Kultury Strzelnica. Jury w składzie Karol Suszka, Rudolf Moliński, Halina Pasekowa, Pawełka Niedoba, Halina Szkopek i Jan Szymanik oceniało występy pięciu teatrzyków szkolnych.

Wyjazd do Polski na XVI Konfrontacje Amatorskich Teatrów Dziecięcych O Uśmiech Dziecka w Mysłowicach to nagroda dla zwycięskich zespołów: Oldrzychowice z Oldrzychowic (przedstawienie „Kot w butach" Jana Brzechwy w reżyserii dyrektora szkoły Władysława Wałacha, który został też najlepszym reżyserem) i KT 4 z Trzyńca Osiedla („Kabaret na jednej nodze" Wandy Chotomskiej). Najlepszymi aktorami okazali się Tomasz Nogol z Oldrzychowic i Beata Kraus z Trzyńca Osiedla.

W wyrównanym pojedynku teatralnym wzięły ponadto udział zespoły: Arlekin II i Arlekin III z Karwiny Fryształu i Bajkoludki z Gnojnika.



(red)



Oldrzychowice – „Kot w butach"



KT 4 – „Kabaret na jednej nodze"

WYSTAWA NA PODLESIU

Zwrot odwiedził wystawę Klubu Kobiet przy MK PZKO w Trzyńcu Podlesiu w niedzielne przedpołudnie 29 kwietnia. Do sali w budynku restauracji Marco Polo trudno było się dostać – było trzeba czekać w kolejce na schodach!

Miejscowe Koło liczy 130 członków. W Klubie Kobiet kierowanym przez Elżbietę Miarkę działa 11 pań. Wystawiały one swe roboty ręczne, hafty, robótki na drutach i wypieki – babki, baranki wielkanocne z ciasta. Panie opatrzyły swoją ekspozycję hasłem „Chociaż trzecie tysiąclecie, roboty ręczne i wypieki zawsze są wdzięczne". Wystawę uzupełniły prace dzieci z świetlicy szkolnej PSP w Trzyńcu Podlesiu, prowadzonej przez Janinę Kadłubiec.

Nie zabrakło, działającego we wszystkie dni wystawy, bufetu, gdzie można było zjeść smaczny obiad z deserem i kawą i kupić na wynos ciasta i ciasteczka.

F.B.





WYSTAWA NA KOŚCIELCU

Na tradycyjnej wiosennej wystawie Klubów Kobiet w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury w Cierlicku Kościelcu i w tym roku połączyły swoje siły cztery okoliczne Koła. Obok gospodarzy wystawiały panie z MK PZKO Cierlicko Centrum, Grodziszcz i Stanisłowice. Dużą salę wypełniły bez reszty hafty, roboty szydełkowe i towarzysząca wystawie ekspozycja starych druków i przedmiotów sakralnych. Razem wystawiało w Cierlicku 40 pań, a całość koordynowała Czesława Schnapka, przewodnicząca Klubu Kobiet przy MK PZKO w Cierlicku Kościelcu i członek Sekcji Kobiet przy ZG PZKO.

Przy okazji wystawy wystąpiły w niedzielę 29 kwietnia dzieci z polskiego przedszkola i szkoły w Cierlicku. Swoje wiersze recytowała, obchodząca w tym roku osiemdziesiąte urodziny, Zofia Gałuszka. W programie artystycznym wystąpił również chór mieszany Godulan.

Panie przygotowały bogaty bufet z ciastkami, kołaczami i kanapkami własnej roboty.

F.B.

„LUFCIORZE" WILHELMA PRZECZKA W ŁOMNEJ DOLNEJ

Zespół teatralny działający przy MK PZKO w Łomnej Dolnej wystawiał w kwietniu komedię Wilhelma Przeczka „Lufciorze". Zabawne perypetie dwóch rodzin, Walarusów z Karwiny i Łupińskich z Łomnej, wywołują salwy śmiechu publiczności na całym Zaolziu, ale w Łomnej bohaterowie są jakby u siebie. Młody zespół, w którym dominuje nazwisko Sikora (na 860 mieszkańców Łomnej 160 nosi to nazwisko), chętnie przedstawia się, dodając do nazwiska i imienia tradycyjną nazwę miejsca zamieszkania, czyli skrawka ziemi ojcowskiej. I tak w przedstawieniu grali: Walarus – Adam Szczuka z Mostorzónki, Walarusowa – Mariola Bocek ze Zawodzia, Roman Walarus – Tadeusz Sikora z Główczyna, Lucyna Walarus – Lucyna Sikora z Murowańca, Łupiński – Jerzy Martynek z Główczyna, Łupińska – Wiera Szkandera od Klimka, Marta Łupińska – Aneta Sikora z Nowiny, Janek Łupiński – Marcin Szotkowski od Bachlyda, listonoszka – Stanisława Sikora z Główczyna, rzeźbiarz Kawulok – Roman Niedoba ze Zawodzia, suflerki – Monika Sikora z Główczyna i Jola Sikora z Murowańca. Zespół prowadzi i sztukę wyreżyserował Stanisław Szotkowski.

Zespół teatralny z Łomnej Dolnej występował w Domu Miejscowego Koła, ale w planie były również występy gościnne na Sałajce, w Trzyńcu, a być może w Polsce, co miało miejsce w poprzednich latach.

E.S.





PRZEDSTAWIENIE W NAWSIU

Klub Młodych przy PZKO w Nawsiu zgodnie z ubiegłoroczną obietnicą wystawiał w dniach 5 i 6 maja w domu PZKO drugą część sztuki Władysława Młynka „U nas dóma". Sztukę reżyserowała Irena Tacina, która zaprezentowała publiczności młodych aktorów z Nawsia: Irenę Sikorę, Romana Rusza, Michaelę Martynek, Renatę Kulkę, Rodana Lisztwana, Marka Mitręgę, Beatę Ćmiel oraz suflerkę Halinę Sikorę, wskazując powiązania rodzinne młodych z ich zaangażowanymi od lat w działalność społeczną na rzecz miejscowej polskiej społeczności rodziców i krewnych. Okazuje się, że w Nawsiu młodzi mają wiele do powiedzenia, bo wystarczy przeczytać kwietniowy biuletyn Miejscowego Koła PZKO, by dostrzec, że młodzież zagościła tu na dobre. W składzie Zarządu Koła aż pięć osób to jednocześnie członkowie Klubu Młodych, który liczy 25 osób. Pełna sala podczas każdego przedstawienia i rzęsiste oklaski dobitnie świadczą, że to, co robią młodzi, bardzo wszystkim się podoba.

Jak czytamy w starannie wydanym Biuletynie, Koło PZKO w Nawsiu liczy obecnie 317 członków, prowadzi bogatą działalność kulturalną i gospodarczą. Prezes MK PZKO w Nawsiu Bogdan Hajduk napisał w słowie wstępnym Biuletynu m.in.: *Pomysłów na przyszłość jest sporo (a możliwości też wiele) i jestem przekonany, iż większość z tych projektów można zrealizować z pożytkiem dla całego Koła. I tu właśnie liczymy na Was, bo przecież praca społeczna tylko wtedy ma sens, gdy robi się dla ludzi. Patrzę w przyszłość z lekkim optymizmem i nadzieją, że co najmniej my, nawsianie, skupieni w szeregach PZKO, każdy sam i wszyscy razem – w zgodzie ze słowami poetki – nie rzucim ziemi, skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy!*

E.S.

„MĘSKIE ZŁUDZENIA" W SUCHEJ GÓRNEJ

Komedię sytuacyjną Antonína Procházki w tłumaczeniu Renaty Putzlacher wystawiła w Suchej Górnej Studencka Wytwórnia Teatralna Szczyt, działająca przy Sekcji Polonistyki Katedry Slawistyki Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Ostrawskiego. Organizatorem wieczoru (30 kwietnia) z teatrem był Klub Młodych Na Poddaszu, działający przy MK PZKO w Suchej Górnej.

Klub organizuje sporadycznie imprezy: Stara garda, Spotkania na poddaszu i na zakończenie roku szkolnego Pożegnanie roku szkolnego. I po wspomnianym tu przedstawieniu odbyło się spotkanie młodzieży Na Poddaszu. Górnosuski Klub Młodych liczy około 25 członków. Prawie wszyscy są jednocześnie członkami zespołu Suszanie. Na czele Klubu stoją Marian Pilch (absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej w Ostrawie) i Jan Zyder (student polonistyki na Uniwersytecie Ostrawskim).

Pomysł zorganizowania spotkania wieczornego przed wolnym dniem urozmaiconego komedią ciekawie zagraną przez młodych aktorów amatorów (z których część to czescy studenci polonistyki!) był na pewno dobry. Niestety tym razem górnosuszanom „nie dopisała pogoda". Wspaniały słoneczny dzień wiosenny starszych usadowił w ogródkach, a młodzi pewnie woleli inne przestrzenie od ciemnej sali teatralnej. Szkoda. Niech żałują ci, których nie było.

F.B.



Fotografie w Kronice FRANCISZEK BAŁON

MIEJSCOWE KOŁO PZKO W DĄBROWIE

Miejscowe Koło PZKO w Dąbrowie należy do liczebnie mniejszych. Jego baza członkowska to 88 osób, z czego 25 procent mieszka poza Dąbrową.

Kiedyś Koło posiadało własny chór mieszany, kółko teatralne, istniał Klub Seniora, Klub Młodych, Klub Kobiet. Ten ostatni działa po dziś dzień i chwała za to jego paniom. Kiedyś dawno temu było w Dąbrowie polskie przedszkole i polska szkoła. Jedno i drugie mieściło się w budynku, który był majątkiem Macierzy Szkolnej. Dziś nie ma ani przedszkola, ani szkoły. W gmachu, który jest obecnie własnością gminy, znajdują się lokale MK PZKO.

Na skutek szkód górniczych i wieloletniego braku remontu gmina postanowiła odsprzedać budynek OKD, co jest równoznaczne z jego rozbiórką i zrównaniem z ziemią. W taki to sposób zniknie w Dąbrowie ostatni ślad polskości. Przedstawicielstwo Urzędu Gminnego zaproponowało Kołu PZKO darmowe korzystanie z lokali w niedawno odrestaurowanym Domu Narodowym.

Zarząd Koła stara się swoim członkom zapewnić, w ramach swych skromnych możliwości, wyżycie kulturalne i oświatowe. Co roku organizowany jest festyn, Dzień Matki, smażenie jajecznicy, wigilijka oraz przynajmniej dwa razy w roku odczyt. I tak w marcu br. miała miejsce prelekcja na temat „Polscy nobliści", którą wygłosiła Halina Pawera. Prelegentka w sposób ciekawy i wyczerpujący przedstawiła życiorysy oraz dorobek naukowy i literacki pięciu słynnych polskich laureatów Nagrody Nobla: Marii Curie-Skłodowskiej, Henryka Sienkiewicza, Władysława Stanisława Reymonta, Czesława Miłosza oraz Wisławy Szymborskiej. Poświęciła również sporo uwagi polskiemu laureatowi pokojowej Nagrody Nobla Lechowi Wałęsie.

A.W.



1 CZERWCA MIAŁY ŚWIĘTO NASZE WSZYSTKIE DZIECI!

Fot. ROMAN DZIK

NASZA OKŁADKA, CZYLI KAPELA OLZA, KTÓRA GRA I ŚPIEWA JUŻ 25 LAT

Wraz z powołaniem do życia Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w roku 1947 powstawały zespoły pieśni i tańca, jak Olza i Górnik, nazywane w swoim czasie reprezentacyjnymi zespołami ZG PZKO. Kroku tym dwu dorównywała Sibica należąca do MK PZKO w Sibicy. W tych latach telewizja nie wypełniała życia młodym i starszym, toteż na każdej imprezie PZKO, obojętnie czy była ona w Karwinie, Szumbarku, Cieszynie, Rzece, Nydku, Jabłonkowie czy Mostach było tłoczno na scenie i na widowni. „Byliśmy, jesteśmy, będziemy" ... daj nam Boże. W latach późniejszych dołączyły do nich takie zespoły jak Błędowice, Suszanie, Bystrzyca, Górole... Tym, które przetrwały i trwają, należy się najwyższy podziw i uznanie!

Odmienność zespołów pieśni i tańca w ich początkach i w dniu dzisiejszym spoczywa między innymi w oprawie muzycznej. Tak, mają wszystkie do dnia dzisiejszego swoje czy też współpracujące kapele. Na początku jednak Olza i Sibica miały na wzór Śląska i Mazowsza swoje orkiestry, Górnik obok własnej orkiestry miał i okazały chór! Często ci sami muzycy grali w kilku orkiestrach. Dziś aż trudno zrozumieć ogrom pracy i poświęcenia, jaki wkładali w bezinteresowną działalność społeczną. Przy tym większość z nich pozostawała bezimiennymi, współtworząc sukces zespołów. I te orkiestry właśnie były kolebką kapel ludowych, z których niektóre istnieją do dnia dzisiejszego. Kapele naszych zespołów robiły i robią furorę w czasie występów zespołów w kraju i za granicą. To właśnie kapele utrwalają obraz naszej zaolziańskiej kultury, muzykując nie tylko podczas oficjalnych koncertów zespołów ludowych, ale także po programie, grając i śpiewając dla publiczności, i są potem zapraszane na samodzielnie muzykowanie.

Najstarszą stażem wśród kapel ludowych, kapelą pierwszą, jest Kapela Olzy. Wyłoniła się ona z orkiestry Zespołu Pieśni i Tańca Olza. Niektórzy jej członkowie grali w tej orkiestrze, z przerwami, od roku 1966. Powstanie kapeli było właściwie dziełem przypadku. W roku 1976 grupa muzyków z tej orkiestry występowała w Klubie Pod Świecznikiem w MK PZKO w Nieborach. Występowali w widowisku „Rapsod o Oszeldzie", jako kapela ludowa w scenie z gospody. I to właśnie był pierwszy krok od orkiestry do kapeli, która odtąd towarzyszyła występom Olzy. Ówczesny pierwszy skład kapeli przedstawiał się następująco: Henryk Chmiel - pierwsze skrzypce, Jan Jurzyca - wiolonczela, Paweł Czolko - drugie skrzypce, Stanisław Tomoszek - altówka. Grał również wtedy w kapeli na klarnecie nieżyjący już Andrzej Kołorz. Był to okres, kiedy członkowie kapeli spotykali się na próbach i występach co najmniej cztery razy w tygodniu: w poniedziałki wspólnie z gitarzystą



Orkiestra Kameralna Domu Kultury Huty Trzynieckiej

Tadkiem Szwarcem jako Kwintet Instrumentalny Muzyki Dawnej działający przy MK PZKO Trzyniec Osiedle, gdzie przygotowywali programy z cyklu Spotkania przy świecach; w czwartki na próbach powstałej w roku 1972 Orkiestry Kameralnej, którą zainicjowała i współtworzyła większość członków orkiestry zespołu Olza; w piątki, soboty, a nieraz i w niedziele grali w orkiestrze zespołu Olza. W latach 1977-1978 grali również z zespołem Sibica. Od roku 1976 podczas występów ZPiT Olza towarzyszyła nie tylko orkiestra, lecz również w niektórych punktach programu ludowa kapela, która zbierała razem z zespołem gromkie brawa i najwyższe oceny. Kapela Olzy była bardzo ceniona również jako samodzielne ciało muzyczne.

Kalendarz wyjazdów kapeli obejmuje między innymi wyjazdy razem z ZPiT Olza na kolejne Światowe Festiwale Polonijnych Zespołów Folklorystycznych w Rzeszowie. Członkowie kapeli w tych festiwalach uczestniczyli nieprzerwanie od 1969 roku do roku 1993. Nawiązali tam wiele przyjaznych kontaktów z członkami zespołów polonijnych z całego świata. Te kontakty zaowocowały niebawem licznymi zaproszeniami na wyjazdy zagraniczne. Bezprecedensowa była propozycja wyjazdu kapeli na pół roku do San Francisco w Stanach Zjednoczonych w celu uczenia tamtejszych muzyków, należących do zespołów polonijnych, ludowego grania i śpiewania. Niestety członkowie kapeli, grający w chwilach wolnych od pracy zawodowej, nie



Kapela w składzie z Henrykiem Chmielem

mogli skorzystać z tak nęcącej propozycji, tym bardziej, że był to koniec lat 70., kiedy prywatny wyjazd do USA był nie do pomyślenia.

Dwadzieścia pięć lat istnienia kapeli to kawał czasu, ogrom pracy, setki występów. I właśnie na tych koncertach, podczas wypełniania przerw miedzy tańcami zespołu Olza, zyskiwała kapela swoje pierwsze doświadczenia oraz sympatie publiczności. Nie sposób tu wymienić wszystkich występów. Wiadomo, że kapela Olzy razem z zespołem czy indywidualnie była zawsze obecna na imprezach organizowanych przez ZG PZKO (festiwale, dożynki, koncerty jubileuszowe). Długie lata była tradycyjnym uczestnikiem Balu Gorolskiego, wraz z ZPiT Olza występowała podczas Tygodnia Kultury Beskidzkiej. Była obecna na wielu balach, organizowanych przez Koła PZKO, gdzie swoimi przyśpiewkami stwarzała niepowtarzalną atmosferę. Nie zabrakło kapeli na licznych imprezach Huty Trzynieckiej, była zapraszana na imprezy prywatne. Do znaczących należy również występ kapeli Olzy na koncercie z okazji rocznicy Konstytucji 3 Maja w Ambasadzie RP w Pradze w roku 1997, gdzie członkowie kapeli koncertowali w obecności prezydenta Republiki Czeskiej Václava Havla i jego małżonki oraz licznie zebranego korpusu dyplomatycznego, czy też występ podczas Biesiady Drukarskiej, zorganizowanej przez agencję Fibak-Marquard Press w Katowicach, czy też na 1. Przeglądzie Grup Obrzędowych w Tarnowie Opol-

skim i na spotkaniu pracowników grupy roboczej Siemens AG w Ostrawie.

Poza granicami RC i RP wystąpiła Kapela Olzy kolejno: w roku 1989 w Belgii z chórem Dźwięk z Karwiny, towarzysząc Olzie w roku 1992 we Francji, w roku 1993 w Holandii, w roku 1994 w Szwecji, w roku 1995 w Anglii. W lipcu 1996 członkowie kapeli wyjechali razem z ZPiT Olza do Stanów Zjednoczonych, gdzie wystąpili na Światowym Festiwalu Folkloru w Springville w stanie Utah oraz na Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym CIOFF w Rexburgu w stanie Idaho. W roku 1998 Kapela towarzyszyła ZPiT Olza podczas występów w Egipcie.

Tu nie mogę nie przytoczyć nieco smutnych wspomnień podczas rozmów z członkami kapeli. Jeden z wielbicieli kapeli marzył, żeby koniecznie zagrali mu na jego „pięćdziesiątce". Nie mogli zagrać, bo dobrze znany nam wszystkim poeta i fraszkopisarz, lekarz Janusz Gaudyn, z wielką szkodą dla nas wszystkich, nie doczekał swych pięćdziesiątych urodzin. Podobnie Karol Raszyk - dziennikarz, który często towarzyszył kapeli nie tylko słowem (i to on, o wiele bardziej ode mnie powołany, pewnie pisałby teraz o kapeli z okazji jej dwudziestopięciolecia).

Do roku 1999 kapela pracowała pod kierownictwem skrzypka Henryka Chmiela, któremu obecnie przyczyny zdrowotne nie pozwalają muzykować w kapeli. Aktualnie Kapela Olza występuje w czteroosobowym składzie (już poza ZPiT Olza): Dagmar Jurzyca - akordeon (dołączyła do kapeli w roku 1992, jak i jej mąż była dawniej związana z orkiestrą ZPiT Olza, w spisie małżeństw olziańskich znajdziemy na 18 pozycji nazwiska Dagmar Zmełty i Jan Jurzyca), Jan Jurzyca - kontrabas, Paweł Czolko - skrzypce, śpiew solowy, Stanisław Tomoszek - altówka.

W obecnym składzie koncertowała kapela między innymi w Domu Emeryta w Trzyńcu (1999, 2000, 2001), co zaowocowało zaproszeniem na występy w Czechach na „Prachatické dny seniorů" (czerwiec 2000). Na festynie w Żytniej w ramach Festiwalu Kapel Ludowych (lipiec 2000). Kapela nawiązała kontakt z agencją Petarda Production, w wyniku którego wystąpiła na Dniach Hutnika w Trzyńcu (1999, 2000, 2001), przygrywała na dziesięciolecie założenia firmy Walmark (2000) oraz na Reprezentacyjnym Balu Huty Trzynieckiej (2000).

Najbliższa przyszłość Kapeli Olza to koncerty na IV Polonijnym Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Dąbrowie Tarnowskiej, Gorolski Święto w Jabłonkowie oraz przymiarka do wydania własnej, już samodzielnej płyty CD.

Kapela Olzy od lat cieszy się zasłużoną sławą u nas, w Polsce i świecie polonijnym, gdzie jest obiektem nie tylko podziwu, ale i zazdrości. Grali i grają, bo nie umieją przestać kochać muzyki. Ich granie jest niezmiennie młode i żywe. Grają dla własnej przyjemności i przyjemności słuchania, dla innych, dla wszystkich. Nie dla chleba i nie dla medali. Grają pod nazwą, która łączy lata minione z teraźniejszością, a zarazem określa rodowód kapeli, jej korzenie - Kapela Olza. Muzyki płynącej z serca nie można nie słyszeć. F.B.

W OGRODZIE ZOOLOGICZNYM SPOTKAŁEM KLAUNA Z PODBITYM OKIEM I ZŁAMANYM NOSEM

W świetle latarń, na tle miejskiego pejzażu odcisnęło się piętno wszechobecnej paniki świata. Niepowtarzalna sceneria zdziczałych istot napędza ślinotok bycia. Bilbordy ogłaszające nagość wstydzą się własnego cienia. Zatrzymałem się w miejscu. Moje ciało odmówiło mi posłuszeństwa. Deszcz obmywa uda, kostki i stopy. Wilgotne krople obdarzone mocą gęsiej skórki, spływając po plecach, wdarły się między pośladki. Metamorfozą jest moje istnienie pełne skarg i zażaleń ze sklepowych książek i punktów obsługi klienta. Własny brat wyminął mnie niczym dżdżownica ślimaka. Jestem drobnym, nic nieznaczącym punktem na mapie kosmosu. Stoję bez ruchu. Zęby terkoczą, a ciało trzęsie się z zimna. Jestem idiotą, który nie zdążył schować się przed deszczem. Mający własne zdanie oniemiał; słyszący dźwięki doskonałe przestał słyszeć; najedzony umarł z przejedzenia - kaleki jest świat, kaleka jest świadomość myśli. Świadomość jest karą za grzechy sprowadzone przez człowieka. Kim on jest? Barwną postacią na czarno-białym ekranie. Spójnością w rozerwanym łańcuchu DNA. Ostatnią kropką na grzbiecie biedronki. Umierającą połową dżdżownicy - tej samej, która przepełzła obok mnie bez mrugnięcia oka. Pożywienie w osoczu nihilizmu przeistacza się w tanią tabakę i brukowiec będący jawną konsekwencją popytu.

Ruszyłem. Noga za nogą. Trzeszczące kolana pokonały słabość. Codzienna walka z lenistwem spoczęła chwilowo w lamusie. Z cerberem na smyczy zmierzam w kierunku ogrodu zoologicznego, którego atrakcje pożerają mnie z reklam. Jestem człowiekiem słabym psychicznie; zbyt łatwo ulegam słabości. Za zdolność asertywnego stylu bycia otrzymałem niedostateczny z minusem. Na zajęciach z przebojowości byłem nieobecny. Urywam się szybko z łańcucha dygresji. W drodze do ZOO w lewej kieszeni zadzwonił mi telefon. Ciekawa sprawa z tym telefonem. Nie pamiętam, że kiedykolwiek zdecydowałem się na kupno sprzętu, o którym nie posiadam bliższych informacji. Jednak zadzwonił, krzycząc w niebogłosy: Zawracaj bałwanie, nikt cię nie prosił o pomoc!!! Zdębiałem totalnie. Uświadomiłem sobie, że moja obecność w tym miejscu i w tej chwili jest niepożądana. Ba, atomy mej skromnej osoby są znienawidzone przez tutejsze środowisko. Zabolało mnie. Nikomu bowiem nie zrobiłem krzywdy, a moje usta nigdy nie ustawiały swych sideł z wiatrem. Jestem cząstką systemu, który ogłupia. Stąd tyle wody w mej głowie - stałem na deszczu bez parasola. Płat czołowy wyłysiał już kompletnie. Lustrzane odbicie jajka noszone na szyi zmierza w kierunku przestrzeni wywołującej nocne koszmary. Zresztą od kilku miesięcy

łykam - nieznanego pochodzenia - środki nasenne. Chociaż jedną spokojną noc; jeden poranek w całości poświęcony refleksjom wypoczętego człowieka.

Nieważne są moje spostrzeżenia. Mój sen jest sprawą odbiegającą od tematu. Nie można uprawiać prywaty ot tak, publicznie. Zresztą stanąłem przed bramą ogrodu zoologicznego. Me ucho - genetycznie działa tylko jedno - zmęczyło się wiecznym odpoczywaniem. Debiut pierwszych usłyszanych dźwięków wprowadził mnie niejako w inny wymiar. Zakłopotanie wynikające z tego zdarzenia wyprowadziło mnie w pole, a raczej zaprowadziło do ZOO. Kasa biletowa już od godziny była nieczynna. Tym większe było moje zdziwienie, gdy na końcu alei dostrzegłem kolorową postać z czerwoną bombką na czubku nosa. To klaun - pomyślałem, ale pewności nie miałem. Stary zmięty kapelusz wciśnięty na jego głowę wcale nie przypominał kapelusza. Czerwone, zielone, niebieskie wstążki pałętały mu się pod nogami. Śmieszne buty z zakręconymi czubkami ku górze przypominały obuwie Stańczyka. Postrzępiona koszula w biało-czerwoną kratę (rękawy ciut za długie) ośmieszała człowieka w oczach potencjalnych widzów. W pewnym momencie potknął się i uderzył swym ciałem o zoologiczny chodnik. Ten wypadek skwitował śmiechem. Jaka siła napędza tego człowieka? Jak można się śmiać z własnego nieszczęścia? To okropne!!! Wbrew moim przekonaniom co do nienormalności tej istoty zdecydowałem się podejść bliżej i zagadać tego dziwaka. Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego postąpiłem właśnie w ten sposób. Może ten dzień; ten deszczowy, mocno wkurzający dzień popchnął mnie do podjęcia decyzji niezgodnej z sumieniem?!

Spotkaliśmy się w połowie drogi. On - dżentelmen w łachmanach; ja - bliżej nieokreślony byt. Pierwsze pięć minut staliśmy naprzeciwko siebie, twarzą w twarz bez uśmiechu, słowa, grymasów. Czas upływał pod znakiem obserwacji, oględzin. Tak naprawdę to powinienem się bać?! Dookoła ryczały dzikie zwierzęta, deszcz rozmoczył ścieżki, woda zaczęła występować z brzegów, pioruny strzelały to tu, to tam. Stałem jednak bez ruchu niczym żołnierz na warcie. Belweder to małe piwo. W małym piwie mało piany - ryzyko utonięcia niewielkie. W ciągu następnych pięciu minut obwąchałem klauna niczym pies ogrodowe krzaczki. Pachniał po ludzku, w sposób odrażająco nienaturalny. W jednej sekundzie cofnąłem się na odległość dwóch kroków. Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że dzieląca nas przestrzeń będzie dla mnie bezpieczna. Zauważyłem, że dziury w jego butach pochłaniają ogromne ilości wody. W jaki sposób ten człowiek porusza się po ziemi, nie kalecząc mowy i języka, we wnętrznościach obuwia.

Powinienem klaunowi współczuć. Nie zrobiłem tego i to był błąd. Niepotrzebna sekwencja w moim życiu, która sfrunęła z górnej półki szafy rodziców. Moje dziecinne wygłupy i naiwne podejście do sprawy zaowocowały kłótnią. W jednej chwili - nie zdążyłem nawet zamknąć zdziwionych ust - ciało klauna w bufiastym starym płaszczu ponownie runęło na ziemię. Gęsta maź ochlapała mnie po czubki uszu. Oczywiście, że okropnie się zdenerwowałem. Wydarłem się na personę nieznanego pochodzenia i uderzając stopą o naruszone przez krople desz-

czu lustro głębokiej kałuży, poprawiłem niedokończone jeszcze dzieło utraty godności. Po tym incydencie rozmówca podniósł swój korpus i śmiejąc się, odchodził w przeciwnym kierunku. Nie byłem w stanie tego pojąć. Świadomość bycia, świadomość wyższości nad okazem, którego kontury powoli rozmywały się wśród drzew, okazały się złudnym doświadczeniem chwili.

Po mało atrakcyjnej wycieczce udałem się do domu. Po drodze otarłem się o kratę przy wyjściu z ZOO i skaleczyłem prawe przedramię. Nowy sweter nasączył się krwią. Zdenerwowany przytrzymywałem ranę drugą ręką, gdy potknąłem się o leżącą na szosie gałąź. Złamałem sobie nos. Potworny ból, jaki wdarł się w mą prywatność, zabił wszelkie formy czucia. Niepotrzebnie wychodziłem dziś rano z domu - pomyślałem. Od początku nic tylko same nieszczęścia. Ledwo zakończyłem ciąg refleksji, wyminął mnie autobus, który wcześniej nie zatrzymał się na przystanku. Ku mojej „radości" akurat wtedy nieszczęśliwa moja osoba znajdowała się w pobliżu gigantycznej kałuży, w której woda mieszała się z błotem, resztkami oleju samochodowego i benzyny. Owa mieszanka wybuchowa pochłonęła resztki mego nowego odzienia. Oburzony do perfekcji postanowiłem nie zwracać uwagi na perfidię losu. Kulałem niczym weteran wojenny. Szedłem powoli w kierunku domu. Po drodze spotkałem miłego człowieka, który zaoferował swoją pomoc. Dobrocią można obalić świat - pomyślałem. Młody człowiek podparł mnie własnym ciałem. Jego barczysta postura przypominała tygrysa, którego przed chwilą widziałem w ZOO; jego niedźwiedzia twarz przeraziła mnie maluczko, ale serce - przepełnione łaską i chęcią pomocy potrzebującemu - udobruchało mnie w sposób naturalnie przyjemny. Poczułem się słodko. Kolana doznały rozwolnienia mięśniowego, a obrazy przed moimi oczami zmieniały swe kolory niczym kalejdoskop. Przyjemność chwili pochłonęła mnie do reszty. Nawet nie zauważyłem (mój błąd; moja bardzo wielka wina), że dwa ogromne ciała niosą mnie swymi bicepsami.

Ku mojemu zdziwieniu, po kilku minutach, wśród zieleni ogrodu, dostrzegłem kontury własnego domu. Uradowałem się i podziękowałem moim nowym kolegom. Przygotowanego monologu złożonego w podzięce dla wybawców nie zdążyłem doprowadzić do końca. Mocne uderzenie napastników zniekształciło moją twarz. W jednej chwili uderzyłem głową o twardy chodnik. W ustach poczułem smak krwi, która sączyła się z dziąseł i przegrody nosowej. Gdy odzyskałem przytomność, stwierdziłem, że leżę na wycieraczce przed drzwiami własnego domu. W przyśpieszonym tempie wstałem, obolały wyciągnąłem rękę po klucze. Schyliwszy głowę, poczułem okropny ból nosa - złamanego nosa! Poluzowana część mojego ciała nie była wcale posłuszna. Nos, przekrzywiony w lewą stronę, spuchł i ociekał czerwoną cieczą, która powoli przeistaczała się w skrzep. Mocno przestraszony zastukałem do drzwi. Na szczęście otworzyła żona (niczego nieświadome dzieci smacznie spały). W progu czekała na mnie „miła" niespodzianka: - Ty pijany klaunie!!! - Ze złamanym nosem - dodałem - i podbitym okiem. Śmiejąc się, niczego nie odjąłem.

MAREK SŁOWIACZEK

OKAY ADAMIE!

W dniu, kiedy w Pradze wybierano prezydenta Václava Havla, dowiedziałem się, że w Ostrawie 15 stycznia (1998 roku - przyp. red.) zmarł Wiesław Adam Berger. Muszę przyznać, iż wiadomość ta przesłoniła mi wyborcze posiedzenia parlamentu. Wszyscy, którzy Adama znali, chyba w pełni mnie rozumieją!

Prozaik Wiesław Adam Berger w kręgu swoich znajomych zachowywał się jak Szwejk, ba i przez swych przyjaciół uważany był za Szwejka. Trzeba tutaj dodać, iż był nie tylko Szwejkiem, lecz także baronem Praszilem, bowiem jego przygody żołnierza armii amerykańskiej czy operatora światła w teatrze ostrawskim były nie do odparcia.

Jeszcze jesienią 1997 roku na spotkaniu czeskich, słowackich i polskich pisarzy w Jesioniku opowiadał nam o tym, a sala lustrzana domu wypoczynkowego na ów monolog reagowała szczerym śmiechem. Adam był ukontentowany, po szwejkowsku przemyślnie i rozbrajająco się uśmiechał. On rzeczywiście u schyłku II wojny światowej służył w armii amerykańskiej.

Z ciągotami szwejkowskimi Adama związany jest sympatyczny rys jego osobowości - jako pisarz był szczerze życzliwy, jakby bez ambicji i z głębi duszy brzydził się wygórowaną i chorobliwą nieskromnością niektórych towarzyszy pióra i potrafił ją wyśmiać. Śmiech wtedy okazywał się niezwykle zdrowy i sprawiedliwy.

Drahomír Šajtar w trzecim numerze Alternativa nova (1997) przeforsował druk „Idę II" w oryginale (po polsku), mimo iż rada redakcyjna była zdania, żeby „Idę II" ukazało się w przekładzie, bowiem Alternativa nova jak dotąd nigdy nie drukowała oryginału polskiego. Był to wyjątek - właściwie niechciane pożegnanie.

My Czesi mamy wobec Adama wielki dług. Jesteśmy mu dłużni (między innymi) przekład zbioru opowiadań „Most nad Łucyną". Proza tejże książki jest osobliwa, pisana w zasadzie bez interpunkcji. Są to w większości wolne wypowiedzi mówione, których poszczególne sekwencje jednostkowe autor oddzielił myślnikami. Ten sposób pisarstwa był Adamowi chyba najbliższy, odpowiadał jego duchowi i mentalności, bowiem konwersacja Adama i na co dzień przypominała bezbrzeżny wylew mowy, czasem wyciszany aż do pianissima. Chyba gdzieś głęboko w sobie musiał mieć zakotwiczony niewielki tłumik, który nie pozwalał mu na podnoszenie głosu. Ta właśnie sztuka konwersacji i bezbronna otwartość zjednywały mu wielu przyjaciół po obu stronach Olzy. Obce mu by-

ły antagonizmy narodowościowe, był wspaniałomyślnie ponad nimi. Tworzył tylko po polsku, lecz czuł się zarówno Polakiem jak i Czechem, a przede wszystkim Europejczykiem.

Wiesława Adama Bergera przekładał na język czeski Erich Sojka. Miniwybór jego prozy „Marienbad i inne opowiadania" ukazały się w edycji Tvar (dodatek do Tvaru). Dziwnym trafem Erich Sojka odszedł z tego świata na niewiele dni przed Adamem. Obaj urodzili się w Ostrawie. Erich Sojka był jednak o cztery lata starszy. W. A. Berger urodził się 16 czerwca 1926 roku.



W „Marienbadzie" jest zdanie: *Człowiek jest dojrzały dopiero w ostatni dzień swej egzystencji...* Adam postawił po tym twierdzeniu w nawiasie dwa pytajniki z wykrzyknikiem. Nie wiem, jak kto, lecz Adam dopiął swej dojrzałości.

Bohaterem głównym „Marienbadu" jest autobiograficzny Abraham, rozszczepiony na Abrahama Starego i Młodego. Owa dwoistość komunikująca w zagadkowy sposób zawiera w opowiadaniu jeszcze jeden dualizm - don Juana i don Quiota. Ów dualizm legendarnych postaci pojawia się ponownie w prozie „Syn" z ostatniej książki Bergera „Za późno". Nie był więc Adam Berger tylko Szwejkiem, lecz zlepkiem wspominanych tutaj postaci. Był - nie był?

Jedna z książek Wiesława A. Bergera nosi tytuł „Okay".

Okay Adamie.

FRANTIŠEK VŠETIČKA

Przełożył Jan Pyszko

Fot. Józef Drong

PRZYPOMNIENIE HENRYKA NITRY

W świadomości kulturalnej Zaolzia pozostanie Henryk Nitra (18.6.1891--30.8.1948) jako twórca, który w swoich rzeźbach dał świadectwo typów ludowych nad Olzą: chłopa, górnika, hutnika, z nimi zaś zwłaszcza muzykanta i zbójnika... Był synem małorolnego chłopa z Sobieszowic koło Frydku, zdradzającym od dzieciństwa swe plastyczne uzdolnienia. Z uporem przebijał się na tereny sztuki. Po ukończeniu średniej szkoły rzeźbiarskiej w Wałaskim Międzyrzeczu udał się, ponoć na piechotę, do Monachium oraz Wiednia.

Z powodu braku środków materialnych za każdym razem wracał do domu. W trakcie I wojny światowej służył w oddziale sporządzającym cmentarne nagrobki. Po wojnie przez dwa lata uczył się rzeźby u prof. Laszczki w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Zmuszony do powrotu, osiadł na gospodarstwie w Błędowicach. Rzeźbił przy tym dla cieszyńskich parafii tzw. konkordie (karawany) czy też nabożne płaskorzeźby. Kiedy zaś wzięły go wspomniane figurki górników, hutników czy chłopów, z owymi zasłuchanymi w instrumenty muzykantami, brał je do plecaka i usiłował sprzedawać po targowiskach bądź na przystankach autobusowych. Tęgi w barach, lecz z duszą jagnięcia, osadzał się ponoć na drwiny, że taki tęgi, a zajmuje się dziecinnym dłubaniem lipowych klocków.

Z okresu błędowickiego przypomina się jego ołtarz w szumbarskiej kaplicy oraz obraz „Wawel" bodajże dla środowiska polonijnego w Chicago. Malarze orłowscy i cieszyńscy szybko ściągnęli wyróżniającego się rzeźbiarza na swe wystawy w Czeskim Cieszynie, Frysztacie czy w Poznaniu, Katowicach i Krakowie. W roku 1937 znalazł się wśród członków Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego.

W czasie II wojny światowej przebywał Nitra jako pracownik fizyczny na terenach polskich: we Lwowie oraz w Krakowie. W roku 1945 osiadł w Cieszynie, gdzie założył ekspozyturę katowickiego Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków. Niedługo potem umarł.

Dzieło cenionego rzeźbiarza i malarza przypomniano u nas w latach siedemdziesiątych w słynnej w swoim czasie Salce Wystaw w ZG PZKO. Część dorobku Ojca sprowadził do nas syn Bolesław, malarz, dalsze eksponaty zyskano z zaolziańskich kolekcji. Wystawa Henryka Nitry okazała się wtenczas prawdziwym wydarzeniem.

Za wzorem Ficowskiego, który ongi stworzył poetycki komentarz do światowej wystawy fotograficznej: „Rodzina człowiecza", spróbowałem wtedy zainspirować się figurkami wielkiego rzeźbiarza. Mój poemacik „Henryk Nitra" pokazał się m.in. dzięki Robertowi Danelowi i Edmundowi Rosnerowi w Bielsku-Białej w roku 1981, ze zdjęciami Franciszka Bałona.

WŁ. SIKORA

Władysław Sikora

HENRYK NITRA

(fragmenty poematu)

Z drewnem w życiorysie cieśla i dłubacz
robotnik drewna opowiedział kształty
przypisane drewnu pracy powietrzu

Kloc lipowy z Sobieszowic drągal
zmajstrował przypowieść podanie z Błędowic
o krążeniu w drewnie ziemi nie z przypadku

Wyciupał wydłubał wygładził oczami
lipowe życie drewniane przysłowia
miedze chodniczki skrajem lepszych czasów
skrzętnie modlonych jak pot starty z czoła
cień przy upale niedziela w pasiece
i czepnik mleka po żytnim pokosie

Na stylisku dłoń się pali skwierczy
bo z kamienia drew narąbał spoczął
oporządził popodtykał niebo
i za echem czarnym się mozoli
górnik pan ziemi od cna i korzeni
przepukły węzeł baga i żywota
nie odda oskardu zanim nie dojrzy
okienka w sztolni i ogródka w przodku

Zieleń po chłodach po deszczu gorąca
jak jasne piwo jak zdmuchnięta piana
i chusty tureckie galonki na targu
jarmark wieczysty po Zielone Świątka

Snozy były ciche na użytek młody
upał macierzanki głogów krople lotne
wychylałem głowę na odgłosy parne
drabiniastych wozów i na żniwo w górze

Obwarzanków wieniec spory
po precliczku miód turecki
chętne oczy suknie zewsząd

Chodniczek został opowieść tarniny
że byli chłopcy jak zieleń strącona
w płomień na wietrze

MAREK SŁOWIACZEK
CZTERY ZAPACHY GŁÓWNE

Wiosna

ktoś poprzyklejał liście
na drzewach
pomalował je
nadał charakter świeżości
miętowa guma do żucia
i czosnek

świat zieje pięknem
prostotą piękna
kwintesencją piękności
w pejzażu niczyjej troski

na wiosnę ziemia pachnie błotem

Lato

nad rzeczką opodal krzaczka
leży nieruchomy młodzieniec
utonęło dziecko

wakacyjne eskapady
mające na celu
wyłowienie
pysznego kąska
dla zmysłów
dla ciała
na kocu
ślinotok oczodołów
i ta perfidna nieśmiałość
prawdziwa golgota
skazany na wieczną mękę
ochłonął dopiero
w nurcie

latem świat pachnie trupem

Jesień

anioł złamał skrzydło
nie wróci na noc
do domu
usiadł na gałęzi
niczym dziki zwierz
liść bezszelestnie
osiągnął szczyt swych możliwości

atlas potknął się
nie upadł
kaczka zdechła
została zamordowana
zleciała z niebieskiego pułapu
położyła się obok liścia

jesienią trawa pachnie zgnilizną

Zima

sopel lodu
roztrzaskał się o posadzkę
głowę
czerwony kryształ
replika
kicz
sztuka natury

kilka lat wstecz
było więcej śniegu
i mróz
z charakterem
pełen siarki
sąsiadowi
amputowano lewą dłoń a jego syn
rozciął brodę
za domem
na sadzawce

po pięciu miesiącach
ludzie
obsypali wyzwiskami
Boga
wulgarnymi
syn sąsiada
dziękował za prezenty

zimą ludzie śmierdzą przesytem

II nagroda w XX Jubileuszowym Międzynarodowym Konkursie Poezji Polonijnej „Najdroższe gniazdo rodzinne" - Wąglany 2001

RECEPCJA TWÓRCZOŚCI CYPRIANA KAMILA NORWIDA W CZECHACH

Jest rzeczą raczej niezwykłą, że twórczość poetycka Norwida, bogata swym ładunkiem myślowym i niełatwa w odbiorze, nowatorska formalnie, prekursorska i niemal współczesna w wymaganiach współkreacji stawianych czytelnikowi, od dość dawna bywała obecna w czeskiej kulturze i znajdowała sobie wśród czeskiej elity umysłowej jeśli nie entuzjastycznego, to przecież szczerze zainteresowanego odbiorcę.

Początki, podobnie zresztą jak w Polsce, były trudne. Nazwisko Norwida znalazło się na łamach czeskiego czasopisma jeszcze za życia poety - w 1864 r. Wtedy to Josef Václav Frič, czeski radykalny demokrata, przebywający na emigracji w Paryżu, pisał dla redagowanej przez Jana Nerudę „Rodzinnej Kroniki" (Rodinná kronika) „Listy o Słowackim". Frič, mając wśród emigracji polskiej szerokie znajomości, znał również Norwida i jego wykłady „O Juliuszu Słowackim", zbierał od niego wiadomości o życiu wielkiego Juliusza. Mimo tego osobistego kontaktu Frič, który wobec twórczości Słowackiego potrafił zdobyć się na sądy samodzielne, na Norwida patrzył przez pryzmat opinii emigracyjnej, nieprzyjaznej poecie, i widział w nim tylko dziwaka. Z wykładów niczego nie zrozumiał, a prelegenta określił jako „postrzelonego komentatora Słowackiego". O tym zaś, że jego informator był również poetą, nie wspomniał ani słowem.

Tak więc odkrycia twórczości Norwida miało dokonać w Czechach - podobnie jak w Polsce - dopiero pokolenie wnuków.

Pierwsze wiadomości o przywracaniu utworom Norwida należnego im w literaturze polskiej miejsca przyniosło pismo Slovanský Přehled w roku 1905 w sprawozdaniu polskiego krytyka W. Feldmana z produkcji literackiej za rok 1904. Přehled wydawany przez znawcę i miłośnika literatury polskiej, późniejszego tłumacza „Króla Ducha" Słowackiego, Adolfa Černego, nie ograniczył się do wiadomości zawartych w artykule Feldmana i o „odkryciu" poezji Norwida informował jeszcze wielokrotnie, przynosząc także pierwsze chronologicznie przekłady jego utworów.

Czeskie środowisko literackie czerpało wiadomości o autorze „Vade mecum" bezpośrednio ze źródeł polskich. Docierały tu bowiem roczniki modernistycznego pisma Chimera, wydawanego przez Miriama (Zenona Przesmyckiego), który wśród czeskich literatów miał wielu przyjaciół i znany był jako propagator czeskiej literatury, szczególnie twórczości Vrchlickiego i Zeyera. A Chimera właśnie przynosiła kolejne rewelacje twórczości Norwida, którego „odpominał" rodakom, by użyć słowa poety, wła-

śnie Miriam. Poeta zapomniany, którego twórczość nagle okazała się nie przeoczoną starocią, lecz zarówno w treści jak w formie najbardziej żywą nowoczesnością - toż to była sensacja literacka! A w dodatku twórczość odbierana jako prekursorstwo nastrojów modernistycznych! Nic dziwnego zatem, że obok pisma Černego Norwidem zainteresowali się także literaci skupieni wokół organu czeskich modernistów, czasopisma Moderní Revue. Periodyk ten wydawany przez A. Procházkę w swych działach beletrystycznych śledził twórczość o akcentach romantyczno-symboliczno-dekadenckich, lansując postawy artystowskie, propagując indywidualizm anarchiczny, pojęty w duchu Nietzschego. Na łamach Revue czytelnik miał możność zaznajomić się z najnowszą literacką produkcją zagraniczną, zwłaszcza skandynawską i francuską, tutaj też formował się kult Przybyszewskiego, trwający w Czechach znacznie dłużej niż w Polsce.

Ludzie z tego więc grona literackiego zwrócili uwagę na Norwida, w którym w Polsce odkrywano poprzednika modernizmu. Interesujący artykuł poświęcił polskiemu poecie J. Karásek zamieszczając go w Moderní Revue z r. 1907. Podkreślił w nim polskość, ale jednocześnie uniwersalizm utworów Norwida. Dostrzegł w jego pismach *oryginalny stop symbolizmu i realizmu, marzenia i przeżycia.* Bliski mu był *arystokratyzm ducha poety*, zachwycała oryginalność technik poetyckich w zestawieniu z taką wielkością (również wówczas odkrywaną na nowo) jak J. Słowacki. W pochlebny sposób Karásek porównywał też Norwida z Nietzschem i Maeterlinckiem.

Tak wysoka nota stawiana polskiemu poecie musiała wywołać potrzebę przekładów jego utworów. Podjął się tego już w następnym, 1908 roku poeta i tłumacz František Kvapil, publikując je w piśmie Slovanský Přehled. Wiersze te, wzbogacone następnie o kilka nowych przekładów, zamieścił w swej trzytomowej publikacji „Polská moderní poezie" (1922-1933).

Jako tłumacz Kvapil reprezentował „szkołę" Jaroslava Vrchlickiego, który przyswoił Czechom bardzo wiele i bardzo różnorodnych utworów literatury światowej. Vrchlický wypracował też sobie swoisty sposób przekładu, którego zasadą naczelną było trzymanie się metrum oryginału. W konsekwencji - zwłaszcza u jego naśladowców, poetów niższego lotu - prowadziło to do niwelowania stylu autora, kłóciło się nierzadko z myślą oryginału, będąc bardziej odbiciem poetyki tłumacza niż twórcy. „Grzechy" metody translacyjnej Vrchlickiego można odnaleźć w tłumaczeniach Kvapila. Są nimi: niepotrzebne dynamizowanie opisów, nadmierna ekspresywność słów, przechodząca aż w afektację, zamazujące sens piętrzenie obrazów, by nie wspominać już o manierze zbytecznych inwersji wyrazów, wokalizacji przyimków, pozbawianiu słów końcówek itp.

W przekładach utworów Norwida jest to szczególnie przykre. Norwid przecież wielekroć opierał efekt artystyczny na niedomówieniu czy słynnym przemilczeniu, które zakładało aktywny stosunek czytelnika przy odbiorze

tej poezji. Kvapil natomiast wychodził czytelnikowi naprzeciw, był przegadany. Norwid dobierał słowa pracowicie i oszczędnie - Kvapil wniósł do swych przekładów niejednokrotnie zbyteczne wzbogacenie wzoru, gubiąc surowe piękno oryginału i myląc tym czytelnika.

W trzy lata po przekładach Kvapila Slovanský Přehled (1911) zamieścił dłuższą informację o twórczości Norwida, bogato inkrustowaną tłumaczeniami jego utworów. Autorką szkicu była entuzjastyczna wielbicielka i tłumaczka Marii Konopnickiej - Pavla Maternowa. W szkicu autorka starała się ukazać różne aspekty twórczości poety, prezentując go jako myśliciela, patriotę i profetę, wieszczącego swe przyszłe zwycięstwo. Tłumaczenia zawarte w artykule są dość byle jakie, odbiegają często treścią od oryginału, widać też, że tłumaczka nie radziła sobie z Norwidowskimi obrazami.

Trzecim kręgiem literackim, poza Słowiańskim Przeglądem i praskimi modernistami, który pilnie śledził rewelacje Miriama w odniesieniu do Norwida, była tzw. czeska Moderna Katolicka. I nic w tym dziwnego: Norwid przecież był pisarzem głęboko religijnym, który swej religijności nigdy się nie wstydził, przeciwnie - na niej właśnie konstytuował filozoficznie swe dzieła. Moderna Katolicka powstała pod koniec XIX w. Jej twórcy kierowali swą uwagę ku problematyce filozoficznej i moralnej, usiłując poprzez twórczość własną oraz poprzez bogatą działalność przekładową i wydawniczą wpływać już nie tylko na odnowę sztuki katolickiej, ale moralności w ogóle.

Pierwszym, który spośród tego grona zwrócił uwagę na Norwida, był Emanuel Masák, ksiądz brneński, zasłużony organizator morawskich pisarzy katolickich. W literaturze polskiej, którą znał dobrze, doszukiwał się (podobnie jak czynił to wcześniej tłumacz Mickiewicza - V. Štulc) przede wszystkim myśli katolickiej, usiłując przenieść owo zjawisko - jako godny naśladowania model - na teren czeski. I on do polskiego poety dotarł poprzez roczniki Chimery. W oparciu o publikacje w niej zawarte napisał studium o autorze „Promethidiona", zamieszczając je w piśmie Meditace. W dokonaniach artystycznych Norwida widział brneński kapłan kontynuację romantyzmu, realizującą się poprzez wzbogacenie wielu cech tego prądu nowszymi pierwiastkami kultury Zachodu.

Artykuł Masáka informował również o poglądach Norwida na sztukę. Zwłaszcza cenne wydały się krytykowi występujące w nich pojęcia, takie jak Prawda, Czyn, Miłość, które uznał za słowa-klucze w systemie etycznym i estetycznym polskiego twórcy. Szczególnie bliskie było mu Norwidowskie pojęcie wszechogarniającej miłości chrześcijańskiej. Miało ono świadczyć o decydującym wpływie religii na twórczość i koncepcje filozoficzne polskiego poety.

Oprócz omówionego studium Masák opublikował w tymże piśmie własne przekłady kilku wierszy Norwida, wychodząc przy tym z doświadczeń Vrchlickiego. Posiadający sporą kulturę słowa tłumacz z formą wierszy po-

radził sobie nieźle, nie zawsze natomiast udało mu się dochować wierności zawartym w nich treściom.

Masák otwiera ciąg czeskich, a ściślej: morawskich poetów katolickich, w których twórczości przekładowej pojawiają się od czasu do czasu Norwidiana. Należą do nich: Janouch, Babler, Zahradníček.

Sporo miejsca utworom Norwida poświęcono w serii wydawniczej Nova et Vetera. Była to katolicka biblioteczka wydawana przez J. Floriana w miejscowości Stará Říše. W serii tej publikowano utwory pisarzy katolickich, przede wszystkim tłumaczenia, które miały zapewnić czytelnikowi godziwą lekturę, reprezentującą nie tylko odpowiedni poziom moralny, ale i artystyczny, jednocześnie zaś miały wprowadzić owego czytelnika w krąg problematyki filozoficznej, etycznej i literackiej, nurtującej aktualnie Europę.

W tej właśnie serii wydał w r. 1916 swój przekład studium Norwida o Boga-Rodzicy ks. K. M. Šebesta, w następnym zaś roku tłumaczenie legendy „Garstka piasku". W dalszych tomikach wydawnictwa ukazał się wspomniany już artykuł Karáska z Moderní Revue, wreszcie w r. 1921 jako samodzielną książeczkę wydano „Legendy i nowele".

Tłumaczem tej ostatniej pozycji był literat związany z Moderní Revue - Josef Matouš. Prozę Norwida zaczął przekładać już w roku 1913. W serii Nova et Vetera w r. 1920 próbował swych sił na „Częstochowskich wierszach", tamże opublikował fragmenty „Czarnych kwiatów", drukując jednocześnie w piśmie Cesta przekład „Ad leones". O obecność Norwida w artystycznej świadomości Czechów dopominał się wielokrotnie, by wreszcie w roku 1923 we wspomnianym piśmie Cesta napisać o nim dłuższy artykuł. Szkic ten był wypadkową bogatej wiedzy o życiu poety i bezpośredniego obcowania z jego dziełem. Matouš, podobnie jak niektórzy jego poprzednicy, dostrzegał szeroki kontekst europejski w dziełach poety, co nie było dla niego zaprzeczeniem polskości Norwida, lecz jedynie podkreśleniem zawartych w jego dziele uniwersaliów.

Matouš wysoko oceniał całą spuściznę literacką Norwida, najbardziej jednak upodobał sobie jego prozę poetycką. Traktował ją jako swoistą odmianę „dziennika intymnego", monologu wewnętrznego (określił ją jako „rozmowy samego z sobą"), podziwiał specyficzny splot realizmu i symbolizmu, jaki reprezentowała.

Niemal równocześnie z rozprawką Matouša ukazały się „Slovanské literatury" znakomitego komparatysty J. Máchala, w których literatura polska doczekała się szerokiego, uwzględniającego ówczesny stan nauki polskiej omówienia. I w tej publikacji Norwidowi poświęcono sporo miejsca. Máchal, zamieszczając wiele wiadomości o życiu i twórczości polskiego poety, położył szczególny nacisk na Norwidowską koncepcję ludowości. Nie omieszkał również, dla przeciwwagi, omówić poglądów filozoficznych Norwida w kontekście filozofii platońskiej, chrześcijańskiej, polskiej filozofii narodowej

oraz filozofii niemieckiej. Widząc powinowactwa Norwida z romantyzmem, starał się jednocześnie wydobyć nowatorstwo poety, które manifestować się miało w przekreśleniu postaw skrajnego indywidualizmu, egotyzmu, w odrzuceniu przezeń jednostronnego kultu uczucia.

Zarówno Matouš jak i Máchal w swych charakterystykach Norwida dochodzą do koncepcji poety-myśliciela, którego oryginalność przejawiała się nie tylko w jego poglądach na sztukę, ale i w Norwidowskim ujęciu zagadnienia narodu, patriotyzmu, pracy.

Po tych wystąpieniach nikt w Czechach nie miał już wątpliwości co do znaczenia tego poety przynajmniej w literaturze polskiej. Tę pozycję Norwida utrwaliła wydana po czesku i niemiecku „Historia literatury polskiej" K. Krejčego, w której o autorze „Assunty" mówi się jako o *najwybitniejszym poecie emigracji, kontynuatorze tradycji wzbogaconej o nowe pierwiastki, łączniku między romantyzmem a Młodą Polską.*

Nie znaczy to jednakże, by fakt ustalenia miejsca poety w literaturze polskiej był równoznaczny z popularnością jego utworów, fragmentarycznie tylko przyswajanych przez literaturę i kulturę czeską. Konieczność dokonania nowych tłumaczeń odczuwano widać dotkliwie, skoro właśnie w stronę liryki Norwida zwrócili się dwaj poeci-tłumacze. W roku 1968 Václav Renč, twórca orientacji katolickiej, autor poezji refleksyjnej, wydał wybór wierszy Norwida we własnym tłumaczeniu i pod tytułem „Mramory a blesky".

W tym samym niemal czasie nad przekładami utworów Norwida pracował inny poeta, lewicowiec, ale jako tłumacz dla kultury polskiej zasłużony, pragnący przyswoić Czechom polską poezję od Kochanowskiego po współczesność - Jan Pilař. Spod jego to pióra wyszedł wydany w pięknej szacie graficznej i w wysokim nakładzie tom „Černé květy", zawierający oprócz wierszy i rysunków poety także kalendarium jego życia, wybór korespondencji i myśli. Zamykają zaś tom głosy o Norwidzie, od współczesnych poecie aż po krytyków dzisiejszych.

Zarówno wcześniejsze, jak i późniejsze czeskie tłumaczenia przybliżają Czechom przede wszystkim Norwida-liryka, częściowo tylko (i w różnej interpretacji) Norwida-myśliciela. Żaden z tłumaczy ni komentatorów nie sięgnął jednak do dramatów poety. Być może działał tu pewien stereotyp: Czesi nie mają własnej romantycznej tradycji dramatycznej, „nie czują" więc dramatu romantycznego. Wystawienia polskiej klasyki romantycznej (Słowacki) ocierały się tutaj kilkakrotnie o klęskę. Wyjątkiem była inscenizacja „Nieboskiej komedii" Krasińskiego, wystawionej w 1918 roku. Ale „Nieboska" wyjątkowo trafiła wówczas w Czechach na „swój" czas. Czy i „wysokie" komedie Norwida trafią tu kiedyś w tak sprzyjającą atmosferę? To pytanie musimy na razie pozostawić bez odpowiedzi.

KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOWA

JUBILEUSZ PROFESOR KRYSTYNY KARDYNI-PELIKÁNOWEJ

W roku ubiegłym Uniwersytet Masaryka w Brnie przy wsparciu finansowym Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Warszawie wydał w serii Litteraria humanitas księgę jubileuszową poświęconą badaczce literatury polskiej i czeskiej prof. Krystynie Kardyni-Pelikánowej. Na treść książki składają się głównie materiały z konferencji naukowej zorganizowanej we wrześniu 2000 na uniwersytecie w Brnie z okazji jubileuszu życiowego profesor Pelikánowej oraz biografia i obszerna bibliografia prac polskiej slawistki.

Krystyna Kardyni-Pelikánowa urodziła się w Łodzi. Studiowała polonistykę na Uniwersytecie Łódzkim i Jagiellońskim. Po ukończeniu studiów, poślubiwszy Czecha Jarmila Pelikána, wyjechała na stałe do Czechosłowacji. Nie zerwała jednak kontaktów naukowych z polskimi ośrodkami naukowymi. W roku 1969 uzyskała tytuł doktorski na Uniwersytecie Łódzkim, a roku 1988 habilitację na Uniwersytecie Warszawskim. Była wykładowcą na Uniwersytecie w Ołomuńcu i w Brnie, a w latach 1971-1991 pracowała w Czechosłowackiej Akademii Nauk. W roku 1992 na wniosek Rady Naukowej Uniwersytetu Masaryka w Brnie została mianowana profesorem historii literatury polskiej. Opublikowała około dwustu studiów, artykułów naukowych, popularnonaukowych i recenzji w czeskich i polskich czasopismach. W czerwcu 1997 została odznaczona Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Profesor Krystyna Kardyni-Pelikánowa, uzupełniwszy kwalifikacje polonistyczne o dziedzinę literatur słowiańskich, zwłaszcza o literaturę czeską, koncentrowała się na badaniach różnego typu kontaktów literackich polsko-czeskich, co wielokrotnie znalazło odbicie także na łamach Zwrotu.

Omawiana pozycja książkowa zawiera materiały z wspomnianej wyżej konferencji naukowej literaturoznawców polskich i czeskich, reprezentujących środowiska uniwersyteckie z Pragi, Brna, Ołomuńca, Ostrawy, Poznania i Łodzi, a także dotychczas niepublikowane syntezy niewydanych monografii Mariana Szyjkowskiego o recepcji Mickiewicza i Słowackiego w czeskiej literaturze. Niewątpliwie ciekawym materiałem nie tylko dla fachowców literaturoznawców jest praca znakomitego czeskiego komparatysty, bohemisty i polonisty, profesora Karola Krejčego na temat znanej Polakom powieści Jana Potockiego „Rękopis znaleziony w Saragossie".

Księga jubileuszowa poświęcona profesor Krystynie Kardyni-Pelikánowej pokazuje, jak bogate są kontakty badaczy na styku polskiej i czeskiej literatury, i choć wydaje się, że ta z pozoru wąska tematyka kontaktów obu narodów niewiele wnosi do współczesności, to nie ulega wątpliwości, że ta dziedzina nauki wyprzedza nasze wspólne bycie w zjednoczonej Europie, wskazując na dziedzictwo kulturowe i przenikanie kultury literackiej Czechów i Polaków. Pomostem łączącym oba narody w tej dziedzinie jest profesor Kardyni-Pelikánowa i grono jej współpracowników z Republiki Czeskiej i Polski.

E.S.

O KALENDARZU ŚLĄSKIM KILKA REFLEKSJI

Lektura książkowych kalendarzy regionalnych stanowi znakomite uzupełnienie wiedzy o regionie, jego dawnych dziejach i współczesności, o stosunkach społecznych, kulturze, walorach przyrodniczo-krajoznawczych. Różnią się bowiem dzisiejsze kalendarze od tych sprzed - powiedzmy - pół wieku a tym bardziej wcześniejszych. Dzisiejszy profil tego rodzaju wydawnictw określa tematyka ściślej związana z regionem, czego nie zawsze dało się powiedzieć o kalendarzach dawnych, będących raczej swego rodzaju magazynami, względnie czytadłami o różnorakiej, bardziej ciekawostkowej treści, często tematycznie odległej od konkretnego regionu. Obecne pozycje kalendarzowe, bogatsze w treści regionalne, poszerzają i pogłębiają zakres wiedzy o danym obszarze, wykazują znaczne ambicje i odpowiedni poziom intelektualny, poznawczy.

Dla nas cieszyńskich Ślązaków przykładem są -zaolziański Kalendarz Śląski i wychodzący w Polsce Kalendarz Cieszyński. Choć wydawane każdy po innej stronie Olzy, tematycznie każdy z nich obejmuje prawie cały region śląsko-cieszyński w granicach historycznych, mimo różnic co do proporcji.

Dla czytelnika, zwłaszcza wschodnio-cieszyńskiego, chcącego poznać w miarę rzetelnie i obiektywnie swoją „małą ojczyznę", jaką jest ziemia cieszyńska, wręcz nieodzownym jest sięgnięcie do lektury Kalendarza Śląskiego. Dopiero zestawienie dwóch pozycji - Kalendarza Cieszyńskiego i Śląskiego pozwala na pełniejsze i wnikliwsze uchwycenie istoty problematyki śląsko-cieszyńskiej, głównie kwestii narodowościowej tego podzielonego regionu. Rzetelnej i wnikliwej znajomości wymagają zwłaszcza problemy Śląska zaolziańskiego, przede wszystkim ze strony obecnego młodego pokolenia.

Wychodzący od 37 lat Kalendarz Śląski stanowi właśnie - co zresztą jest oczywiste - najlepsze odbicie specyfiki regionu zaolziańskiego, charakteryzującej się ciągłością zmagań o tożsamość narodową polskiej społeczności na przestrzeni dziesięcioleci. Był czas w okresie powojennym, że trzeba było unikać - nie tylko w Kalendarzu - tej tematyki, jako drażliwej i - oględnie mówiąc - niepożądanej. Dziś problem ten pojawia się ze szczególną wyrazistością i w nowych aspektach politycznych.

Kalendarz Śląski 2001, podejmując ten problem w opowieści Otylii Toboły pt. „Zamieszanie wokół Halinki" osnutej na przykładzie „casus Mlynkovej", dobitnie ukazuje dramat rozdarcia postawy wielu młodych ludzi Zaolzia, zmuszanych przez okoliczności do jednoznacznych wyborów. Rozdwojenia pomiędzy poczuciem - mocno zakorzenionej w cieszyńskich Ślązakach - tożsamości narodowej i głębokiego patriotyzmu, a koniecznością przystosowania się do realnej rzeczywistości dyktowanej wymogami obywatelskimi państwa, w którym od kilku pokoleń przyszło żyć i pracować polskim rodakom. Myślę, że doskonałą puentę winno stanowić jakże wymowne pytanie autorki dotyczące kwestii nazwisk tych tzw. „kreskowców", jak Młynek, Toboła i in.: Z ręką na sercu. Ilu naszych tak naprawdę walczyło o swoją kreskę?

To jedna strona medalu tego artykułu. A druga? To sprawa budowania rzeczywistych pomostów między dwoma brzegami Olzy, nie tylko tych do przechodzenia

przez polityczną granicę państwową, lecz przede wszystkim tych niosących przesłanie duchowych wartości ogólnoludzkich, tych pomostów tworzących różne formy wymiany i współpracy kulturalnej, cywilizacyjnej na miarę wyzwań obecnych czasów. W tym sensie dostrzegam wymowę artykułu Otylii Toboły jako reprezentatywnego i wiodącego dla tematyki zaolziańskiej.

Z przedstawionym tematem koresponduje niejako szkic biograficzny Janiny Raclavskiej „Zasłużony dla polszczyzny cieszyńskiej", ukazujący postać księdza Jerzego Heczki oraz teksty jego kazań wygłaszanych i spisanych w pięknej dziewiętnastowiecznej polszczyźnie w Ligotce Kameralnej. Jeszcze jeden to przykład istnienia tkwiących głęboko w tej Ziemi pokładów czy też - korzeni polskości, z których wyrastają wciąż nowe pędy narodowej świadomości. I jeśli się głębiej zastanowić - czyż tekst o księdzu Heczce nie sugeruje w jakimś stopniu odpowiedzi na pytanie postawione przez panią Otylię Tobołę?

W tym miejscu pozwolę sobie na dygresję. Niedawno czytałem reporterski tekst prasowy o polskim szkolnictwie na Zaolziu, w którym znalazła się m.in. taka wypowiedź dyrektora jednej ze szkół polskich, kwitująca tutejszą sytuację w szkolnictwie: *Trzeba tu żyć, aby to zrozumieć.* Można by to odnieść w zupełności do tej problematyki Kalendarza Śląskiego. Trzeba tu żyć, stąd się wywodzić, aby tak rozumieć, tak odczuwać i tak pisać.

Jest także grupa tematów - właściwie już stałych, ciągle bogatszych o nowe treści, z najbliższej historii, o polityce i stosunkach narodowościowych, o związkach polskich Zaolziaków z Macierzą, „zza miedzy i rzeki", a także Polonią zamorską, ich zasługach w historii i kulturze polskiej. Prezentują je tacy autorzy jak: Edward Buława, Krzysztof Nowak, Karol Mrózek, Lidia Szkaradnik, Stanisław Zahradnik, Jan Rusz i inni. To kolejne pozycje dokumentujące, niezależnie od formy publicystycznej, skomplikowane i dramatyczne losy ludzi Zaolzia na tle historycznej i współczesnej rzeczywistości.

Podobnie jak co roku na szczególną uwagę zasługuje dział zawierający „Kronikę" wydarzeń zaolziańskich, obejmującą tym razem okres od października 1999 do września 2000 r. Na szpaltach 25 stron Kalendarza z kronikarskich zapisów wyłania się cała paleta różnych form bogatego życia społeczno-kulturalnego, którego animatorem jest przede wszystkim Polski Związek Kulturalno-Oświatowy. Wydarzenia, jubileusze, rocznice, prezentacje, wystawy. Wszystko to, co świadczy o wielkości i wspaniałości Zaolzia, tętniącego polskim życiem. Przecież jednak nie tym zaściankowym, ciasnym, wtłoczonym w nacjonalistyczny gorset. W dzisiejszej kulturze i we wszelkich zresztą przejawach życia społecznego Zaolzia - co też uwidacznia się wyraźnie w zarejestrowanych faktach - te tradycyjne wartości patriotyczne, regionalne splatają się w znacznym stopniu z nurtem ogólnoeuropejskim, interregionalnym.

A tak nawiasem, gdy chodzi o kronikę wydarzeń - szkoda, że odstąpiono tym razem od dokładniejszego uściślenia dat poszczególnych zdarzeń i imprez, jak to miało miejsce w poprzednich rocznikach Kalendarza.

Wertując karty Kalendarza Śląskiego, i wgłębiając się w jego zawartość, dopiero można w pełni odczuć i lepiej zrozumieć prawdziwego ducha ziemi zaolziańskiej, jej ludzkich problemów, poznać historię tej ziemi. A o to przecież głównie chodzi.

KAROL KAJZER

SZCZĘŚCIARZ W SCENIE POLSKIEJ

Jest taki zwyczaj, żeby nie zdradzać, opowiadając historię sensacyjną, pointy przed finałem. Bo wtedy pryśnie czar i nie będzie dreszczyku emocji podczas czytania, słuchania czy oglądania całości. Przy streszczaniu takiej historyjki osobie niewtajemniczonej, którą zachęca się tym samym do sięgnięcia po książkę czy do obejrzenia filmu, należy przerwać w pewnym momencie i nie zdradzić rozwiązania. W teatrze ta zasada tak do końca nie obowiązuje. Widz teatralny często ogląda rzeczy znane, sztuki poznane już wcześniej od początku do końca, interesuje go nowa ich interpretacja.

Większość dzieł teatralnych ma inne zadania niż przedstawianie tematów niemal kryminalnych. Jednak i do teatru widz chodzi często tylko po to, by się rozerwać i oderwać od trosk dnia codziennego. Pragnie wtedy zabawy, która nie nadwyręży jego umysłu i w dodatku dzięki pogodnemu zakończeniu optymistycznie go nastroi.

Do tego celu służą komedie. Na przykład „Szczęściarz" Michael'a Cooney'a, którego (w przekładzie Elżbiety Woźniak) wystawiła Scena Polska Teatru Cieszyńskiego jako ostatnią swoją pozycję w obecnym 50., jubileuszowym sezonie. Premiera odbyła się 5 maja.

Dopiero co, bo w tamtym roku, rzucano „trupem" po scenie, a tu już następny „trup". I pomyśleć, że tamtego wymyślił ojciec, a tego syn. Autor „Szczęściarza" jest bowiem synem znanego i popularnego komediopisarza angielskiego Ray'a Cooney'a, którego „Okno na parlament" obejrzeli niedawno widzowie Sceny Polskiej. Dobrze się zapowiada i kto wie, czy nie przyćmi kiedyś sławą swego nauczyciela.

W wypadku takiej pozycji rozrywkowej jak „Szczęściarz" nie powinno zdradzać się widzowi rozwiązania, zanim sam nie obejrzy przedstawienia. Gdyby jednak ktoś koniecznie chciał opowiedzieć bardziej dokładnie treść tej komedii, miałby kłopot. Akcja toczy się bowiem wartko i na scenie dochodzi do tylu zabawnych qui pro quo, że obserwator może się pomylić. Padają kolejne nazwiska przypisywane coraz to innym osobom. Widz jednak może siedzieć spokojnie, wie, że sytuacja jakoś sama się rozwiąże. Bo ze Szczęściarzem inaczej być nie może.

Tę komedię sytuacyjną, komedię omyłek reżyserował w Scenie Polskiej Jerzy Bończak, znany dzięki licznym rolom w telewizji również u nas aktor polski, który przeniósł jakby to przedstawienie z Częstochowy, gdzie je wyreżyserował i grał w nim na przemian z Karolem Suszką główną rolę. Autorką scenografii jest

Klaudia Solarz, kostiumy zaprojektowała Eliška Zapletalowa, a muzycznie opracowała spektakl Małgorzata Przedpełska-Bienek.

Dekoracja sceny to pokój, stanowiący centrum domu, pokój z wieloma drzwiami, przez które nieustannie ktoś wchodzi lub wychodzi. Na środku pokoju umieszczono szezlong, ale na dłużej poleży na nim tylko zamroczony „trup", inni najwyżej przycupną na moment, bo ciągle gdzieś się śpieszą. Ważna jest jeszcze skrzynia, bo tam można schować „trupa". Ważna jest szafka nad drzwiami, bo w niej są peruki i damskie fatałaszki, które powodują jeszcze większe poplątanie akcji i pozwalają na wprowadzenie postaci doktora. Potrzebny jest też pojemnik do odkładania mokrych parasoli i wieszak do wieszania mokrych płaszczy, przez cały czas bowiem - stąd widoczny niewielki odcinek czasowy, w którym dzieje się ta komedia - na zewnątrz szaleje burza.

Bohaterem tytułowym jest Eryk Swan (Karol Suszka), mężczyzna, który traci pracę i wykorzystuje sprzyjające okoliczności, by zyskać finanse od opieki socjalnej. To jego machlojki są praprzyczyną wszystkich późniejszych nieporozumień. Sprawa wymyka się w pewnym momencie spod jego kontroli i pędzi już własnym torem, niezależnie od jego woli. Ale tylko on potrafi zatrzymać tę lawinę wypadków i robi to, przyznając się pełen skruchy do wszystkiego, uzyskując oczywiście przebaczenie, a nawet, zamiast kary, satysfakcję zawodową w postaci nowej pracy.

Całe to zamieszanie, okazuje się, jest z powodu Lindy Swan (Anna Paprzyca), żony Eryka, który nie mógł jej się przyznać do utraty pracy. Linda robi wrażenie kobiety despotycznej, ale łatwowiernej, łatwo dającej sobie wmówić każdą bzdurę, w dodatku wyciągającej złe wnioski. Ale najważniejsze, że się kochają.

Sympatyczną postacią jest Norman Bassett (Tomasz Kłaptocz), sublokator wciągnięty przez przypadek w rozgrywki Eryka. Musi udawać różnych ludzi i robi to z wdziękiem i bez uszczerbku względem narzeczonej Brendy Dixon (Patrycja Czerwiec). Osobą jakby nieobecną duchem, mającą własny wewnętrzny świat, jest Wujek George (Ryszard Pochroń), niechcący unieszkodliwiony na pewien czas i mogący, bez własnej woli, udawać nieżywego.

Reszta postaci to pracownicy zakładu opieki socjalnej i zakładu pogrzebowego: uprzejmi Pan Jenkins (Ryszard Malinowski), którego wejście jest początkiem zamieszania i który zadomawia się nieomal w mieszkaniu, i Pan Forbright (Kazimierz Siedlaczek), energiczne Sally Chessington (Ewa Czernek-Batycka) i Pani Cowper (Lidia Chrzanówna). Jest jeszcze fircykowaty Dr Chapman (Paweł Niedoba), którego zaprosiła Linda, by rozwiał wątpliwości na temat jej męża.

Na krótki okres prób przed premierą narzekał nieco reżyser spektaklu, ale aktorzy sprostali zadaniu, dobrze rozwiązali swoje role, nauczyli się tekstu i wytrzymali tempo prób, a przede wszystkim tempo przedstawienia, które jest w tym wypadku podstawą sukcesu. Można więc widzom tę rozrywkową pozycję Sceny Polskiej spokojnie polecić.

CZESŁAWA RUDNIK

„ŚLICNY" MONODRAM JANUSZA KLIMSZY

Na cmentarzu wadowickim spoczywa „powsinoga beskidzki" Jędrzej Wowro ze wsi Gorzeń Dolny, rzeźbiarz ludowy i gawędziarz z przełomu XIX i XX wieku. Nie umiejąc czytać ani pisać, tak naprawdę poznał tylko słyszane z ambony kościelnej historie biblijne i żywoty świętych. Autentyczna naiwność, prymitywizm myślenia, prostota wniosków oraz talent gawędziarski połączone razem dały opowieści gwarowe z życia Chrystusa i świętych, które udało się przelać na papier zauroczonemu Wowrą Emilowi Zegadłowiczowi.

Po gawędy Jędrzeja Wowry sięgnął przed sześciu laty inscenizator Janusz Klimsza, wystawiając w Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego spektakl „O, jak ślicno familija, Józef, Jezus i Maryja". Opuścił potem Janusz Klimsza scenę w Czeskim Cieszynie, rozpoczynając nowy etap swej artystycznej wędrówki, przybliżając w Ostrawie czeskiemu widzowi m.in. polski dramat współczesny.

Lecz wrócił Janusz Klimsza do tekstów Wowry i sprawił miłośnikom swego talentu nie lada niespodziankę. 11 maja odbył się w Oddziale Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie zorganizowany przez Teatr Cieszyński przy współpracy karwińskiej Biblioteki Regionalnej wieczór autorski Janusza Klimszy. To, co kiedyś przedstawił w Scenie Polskiej sam ukryty niejako za sceną, tu odkrył dla widza również jako aktor.

Ponad godzinę trwający monodram „O, jak ślicno familija, Józef, Jezus i Maryja" był opowieścią górala beskidzkiego o życiu Jezusa na ziemi, jego cudach, ale też o innych świętych, np. Piotrze, Franciszku, Jadwidze, Marii Magdalenie. Z tym, że góral ten nie tylko mówił gwarą nam bliską, mimo że od naszej nieco odmienną, on opowiadał o ludziach, których znał. Ci święci byli tacy sami, jak jego ziomkowie, jak jego sąsiedzi, wyczuwał ich charaktery, wczuwał się w ich odczucia, rozumiał ich przeżycia. A kiedy mówił o Kościele, przypominał, by każdemu było wiadomo, że chodzi o Kościół katolicki, czyli polski.

Udało się autorowi przedstawienia z właściwą sobie wrażliwością znaleźć tę delikatną granicę między pełną powagi opowieścią biblijną z jednej strony, a wyuzdanym widowiskiem jarmarcznym z drugiej i balansować na tej granicy, hamując i nie dając rozwinąć się zapędom w kierunku obiecującym większy poklask szerokiej widowni, przede wszystkim tej niehołdującej uczuciom religijnym. Stworzył jednorodne widowisko, bez pustych miejsc, utrzymane w dobrym rytmie, niedające widzowi powodu do rozproszenia uwagi.

Zaprezentował Janusz Klimsza świetne aktorstwo, wykorzystując oprócz głosu, którym operował bezbłędnie, jedynie grę ciała i kilka rekwizytów. Prawdziwie, jakby posługiwał się nią na co dzień, brzmiała w jego ustach gwara spod Wadowic. Płynnie przechodził z jednego nastroju w drugi, zmianę tematu sygnalizując krótkim zawieszeniem głosu. Jego góral nie był jednak takim całkiem prymitywnym chłopkiem-roztropkiem, błysk w oku zdradzał szersze horyzonty myślowe i większą znajomość świata.

Monodram Janusza Klimszy wart jest szerszego zareklamowania, wart jest obejrzenia. Można tylko życzyć jego twórcy, by i w naszym zaolziańskim środowisku znalazł swe miejsce i widzów.

CZESŁAWA RUDNIK

13 kwietnia odszedł na zawsze śp. ANTONI KOŻUSZNIK, urodzony w Suchej Średniej, zamieszkały w Błędowicach „na Dólnioku". Miał 77 lat.

W czasie II wojny światowej był żołnierzem-ochotnikiem 2 Korpusu Polskiego gen. Andersa, uczestnikiem walk pod Monte Cassino. Po powrocie w strony rodzinne w roku 1948 należał do czołówki miejscowych polskich organizacji młodzieżowych, był pełnym zapału budowniczym boiska piłki nożnej w Parku Macierzy (1951). W roku 1968 stał na czele zarządu miejscowych weteranów, po dwudziestu kilku latach, w odmiennych warunkach społeczno-politycznych, został sekretarzem nowo powstałego Koła Polskich Kombatantów. Utrzymywał kontakty z towarzyszami broni w Polsce. Publikował w zaolziańskiej prasie śmiałe artykuły oparte na niepodważalnych racjach historycznych. Jako dobry fachowiec, amator fotografii, wypróbowany działacz społeczny przy różnych okazjach przekazywał Miejscowemu Kołu PZKO swoje umiejętności.

Odprowadzono Go na zasłużony odpoczynek 20 kwietnia z kościoła ewangelickiego w Błędowicach. Dzięki Ci, nasz śp. Antku, za wszystko, cześć Twojej świetlanej pamięci!

A.P.

KAZIMIERZ JAWORSKI znany w społeczeństwie zaolziańskim jako literat i tłumacz był dziennikarzem, który niedawno przeszedł na emeryturę. Swój kontakt z fotografią rozpoczął już w szkole podstawowej. Temu zamiłowaniu pozostał wierny do dnia dzisiejszego. W czasie swej aktywności zawodowej poświęcał się amatorskiej twórczości fotograficznej sporadycznie. Fotografuje przede wszystkim przyrodę, góry. Jest autorem reportaży fotograficznych ze swych licznych wycieczek w Beskidy, jak również z wędrówek po całej Europie. Swe fotografie z podróży, razem z tekstami, publikował w Głosie Ludu i w Zwrocie. Kazimierz Jaworski ilustrował fotografiami książkę Władysława Sikory „Ojcowizna". Większość swych prac tworzy w klasycznej technice czarno-białej.

KAZIMIERZ JAWORSKI





Fot. TADEUSZ GABRYŚ

TADEUSZ GABRYŚ - FOTOGRAF AMATOR

Tadka zapisano do Polskiej Szkoły Ludowej w Porębie. Był rok 1927, Tadek miał sześć lat, a przed sobą, czego jeszcze nie wiedział, tylko trzy miesiące nauki w języku polskim.

Rodzice Tadeusza Gabrysia poznali się na próbach amatorskiego kółka teatralnego. Po narodzinach syna całkowicie poświęcili się jego wychowaniu. Niestety nadszedł kryzys gospodarczy. Ojciec wyjechał do Belgii, gdzie znalazł pracę w kopalni, i sprowadził do siebie rodzinę. Tadek rozpoczął naukę w szkole z francuskim językiem nauczania. Ojcu udało się razem z przyjacielem Bałonem z Błędowic założyć polską spółkę, wynająć obiekt i otworzyć sklep mięsny. Tadek uczył się w Szkole Handlowej, która wydaje absolwentom certyfikat i tytuł prokuratora handlowego. Po przygarnięciu Zaolzia przez Macierz Tadek z matką wrócili do Suchej Dolnej, do rodziny. Ojciec zlikwidował przedsiębiorstwo i podążył za nimi.

Po wybuchu wojny Tadek zatrudnił się w firmie Mücke-Melder we Frysztacie, gdzie produkowano zbiorniki paliwa do V-2. Zagrożoną produkcję przenieśli Niemcy wraz z całą załogą do Halberstadtu koło Hannoweru. Kiedy ustały walki, pracował Tadek jako tłumacz polsko-francuski w organizacji UNRA. W roku 1946

wrócił do Polskiej Lutyni. Po półtorarocznej pracy w walcowni bogumińskiej huty przeniósł się do Cz. Cieszyna, został komiwojażerem, a następnie kierowcą samochodów dostawczych Centralnego Stowarzyszenia Spożywczego J-J w Łazach.

Rozwijał swoje hobby - fotografowanie, którym pasjonował się od siódmego roku życia. Teraz z doskonalszym aparatem i materiałem. Szlifował dotychczasowe umiejętności i tworzył coraz to doskonalsze zdjęcia. Fotografował imprezy pezetkaowskie, ogólnozwiązkowe, szkolne itp. Ciekawy jest jego „serial" dokumentalny od pierwszego do ostatniego dotąd Festiwalu PZKO. Powstało całe archiwum działalności MK PZKO w Lutyni Górnej.

Został członkiem Związku Czechosłowackich Fotografików. Podjął pracę nad „fotografią twórczą", która polega na artystycznym opracowaniu zdjęć. Jego prace znalazły się w katalogach Międzynarodowego Konkursu Fotograficznego w Szczecinie w latach 1990 i 1997. Brał udział w praskiej wystawie z okazji 150-lecia wynalazku fotografii w 1989 roku.

Jako emeryt zatrudnił się w Powiatowym Ośrodku Kultury w Karwinie i przeprowadzał mapowanie obiektów od Cz. Cieszyna po Bogumin.

Z okazji jubileuszu życiowego - 80 lat - Tadeusza Gabrysia Archiwum Powiatowe w Karwinie przygotowało wystawę jego prac fotograficznych.

GUSTAW FOLWARCZNY

MOZAIKA

TEŻ BY SIE TAK NIEPIEKNIE NIE MUSIAŁO MÓWIĆ!

Ale tryfiali se roz za czas tacy grubijani abo chłopi, jak byli fest nagniywani, to se puszczali „gymbym na szpacyr", nie rachowali se ze słowami i tak „twardo" nazywali czyńści tego ludzkigo ciała.

Roz też, za Austryje, potrzaskało jednego chłopa we fabryce. Pytali se potym jego kolegi: „Bardzo też je tyn twój kolega potrzaskany?" „Ale, ta giczol lewo i ta czepóń." Mówiyło sie rozmajcie i coch w tym dość dłógim żywocie i w szyroki okolicy usłyszoł, toch zapisoł. Ale wy tak nie mówcie!

Mówiyło sie nikiedy: czepóń, bania, ślypia, kłapocze, kuczawina, kinol, nochol, pyszczysko, gzycht, fyrniok, morda, papaja, zymbiska, tłołki, jynzor, plynziok, hyrtóń, ogryzek, giczale, pazurska, wantór, wantuch, lajer, zadek, klónczory, blajsztyfty, kita, kopyta itp.

Podle tego sie też mówiyło:

Mo tóm czepóń jak grocicym, ale rozumu w ni moc ni mo.

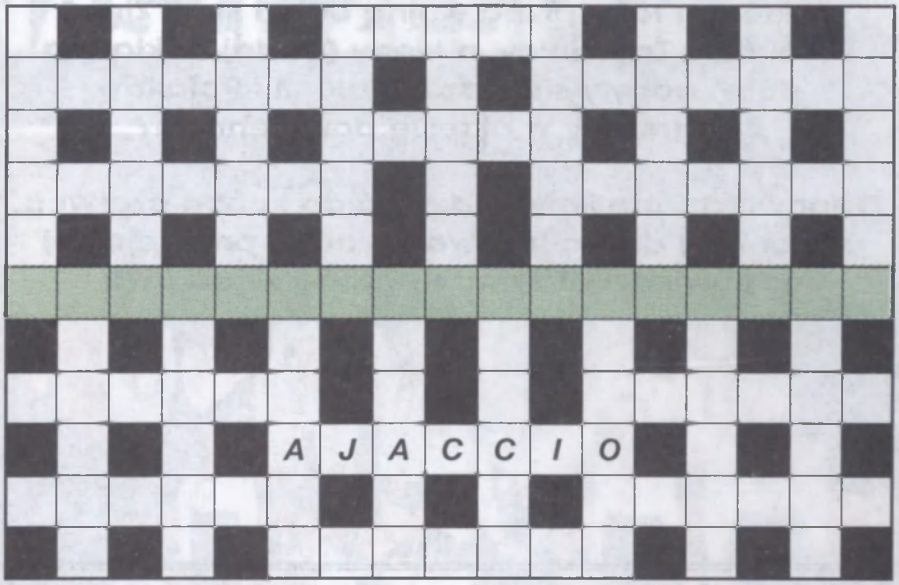
Do te twoji banie trzeba dwa razy nahócześć, a eszcze zapómnisz.
Do te twoji banie trzeba by łopatóm kłaść, a eszcze nie rozumisz.
Mo to pyszczysko niewyparzóne.
Mo to pyszczysko wyżrane.
Mo to pyszczysko jak stodolne wrota (jak sie z kim wadziół).
Mo tóm kuczawinym jak ociypkym słómy.
Mo tóm kuczawinym jakby hróm do sznytlochu uderzół.
Obraco tóm papajóm., żeby nie styk do ni kłaść (ćpać).
Mo tóm bródkym jak niepodarzóny capek.
Dziwo sie prawym okym do lewe kapsy.
Cóż tak wytrzyszczo ty ślypia?
Mo ty ślypia wybałuszóne jak krepliki.
Umyj se tyn fyrniok ududłany.
Jedzie mu to pyszczysko jak tragacz.
Nie otwiyrej tak te gymby, bo ci z bantów wyleci!
Zawrzij uż tóm gymbym, bo ci korónki zardzowión.
Umyj se ty zamazane kopyta.
Mo tyn kinol jak rozdeptanóm twarużkym.
Wydeptej se tyn kinol, bo ci ciupa spadnie na kurzi oko.
Jak ci dóm jednóm do te twoji ogórki, to ci czyrwióno poleci.
Mo tyn jynzor jak łopatym.
Ale mo tyn ogryzek wielki pod karkym.
Mo snople pod nosym jak świyczki.
Jak cie chycym pod hyrtóń, to ci ślypia wylecóm.
Mo ty tłołki, zymbiska wykotlane jak zgniyłe kwaki.
Mo ty giczale chude jak patyki, jak blajsztyfty.
Mo ty palczyska nieograbane jak tłóki.
Mo piersi jak żónaty wróbel.
Za chwilym uż tego wantora nie uniesie.
Tyn uż mo wańtuch z tego piwska.
Tyn mo brzuch jak lawór naopak obrócóny.
Mo tyn zadek jak mularski kajfas.
Mo nogi jak słupy pod kulecznikym.
Mo taki dłógi nogi, a eszcze na dole zagnyte, zakrziwióne.

Ale jak żech uż wspómnioł, takich słów se moc mało używało. Wiyncy było takich pieknych, ale o tych wszyscy wiedzóm. Baji:

To je synek jak cumel. Chłop jak buk. Synek jakby z obrozka wypod. Dziołcha jak lalka. Mo nożki jak sarynka. Włoski jak aniołek. Mo buźkym jak różyczkym. Je postawno, okrónglutko, gibciutko, milutko itd.

Na dyć to chłopi wiedzóm i ni musi o tym przipóminać...

77 roków stary Starzik.



SYNTEZA KRZYŻÓWKI

Synteza krzyżówki - to odmiana krzyżówki, która pojawia się dosyć często również na łamach prasy czeskiej pod nazwą kris-kros. Oto zestaw odpowiednio dobranych wyrazów, z których należy ułożyć krzyżówkę nawet z rozwiązaniem dodatkowym - aforyzmem, którego autorem jest francuski przyrodnik i filozof Georges Louis Leclerc de Buffon (1707-88).

Wyrazy 5-literowe: PIAST, RÓZGA.

Wyrazy 6-literowe: ABSCES, ADULAR, AMOREK, ANZELM, ARKADY, BATORY, CIOCIA, CZUBEK, DISNEY, ELEGIA, FORINT, GLORIA, LIBELT, ŁADOGA, MAROKO, OSKARD, PARNAS, RIMINI, TRAPEZ, TRZODA, WOSTOK.

Wyrazy 7-literowe: BRATOWA, CHORION, DRYJADA, PIONIER, REALIZM (kolejny wyraz, miejsce urodzenia Napoleona - AJACCIO - wpisano już dla ułatwienia na właściwe miejsce).

Minisłowniczek mniej znanych wyrazów:

LIBELT - filozof i estetyk (Karol, 1807-1875)

ADULAR - minerał, odmiana ortoklazu

CHORION - kosmówka, błona płodowa zarodków owodniowców (taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną rozlosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca czerwca.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru kwietniowego:

GNIEW NIE MA ROZUMU.

Nagrody książkowe wylosowali: **Przedszkole** - Czeski Cieszyn Sibica
Jerzy Wacławik - Piotrowice
Barbara Węglorz - Trzyniec

MINIKONKURS

W którym roku przed wojną odbył się II Zjazd Polaków z Zagranicy, a kiedy (podaj dokładną datę) odbyły się Zjazdy Polonii i Polaków z Zagranicy w okresie powojennym?

Odpowiedzi prosimy nadsyłać do końca czerwca. Wyłoniony drogą losowania autor prawidłowej odpowiedzi otrzyma nagrodę książkową.

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny Ministerstwa Kultury RC: F 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE, IČO: 442771, przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN, Tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI, Daniel KADŁUBIEC, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168 Kč, z wysyłką pocztową 240 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701028/00 z dnia 27 VI 2000 r. z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE ZESPOŁY



PRZYGODA

Chóry szkolne w Polskiej Szkole Podstawowej w Suchej Górnej to tradycja tej placówki stara jak sama szkoła. Chór szkolny PRZYGODA, działający aktualnie przy górnosuskiej PSP, założyła w roku 1993 nauczycielka Jadwiga Czap. Od roku 2000 prowadzi go Sabina Lugsch. Zespół ten śpiewa w różnym składzie - dzieci młodsze, dzieci starsze, obie te grupy razem, soliści oraz stanowiący część chóru kameralny zespół ALLEGRO. Dzieci występują na imprezach szkolnych, pezetkaowskich i gminnych. Zespół zaprezentował się też w okolicznych kołach PZKO, jak również w Polsce.

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

OT

P.P.
701 028/00
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE ZAOLZIE

MILIKÓW

Z Beskidami, z Kozubową w tle, z rozpostartym na stoku centrum wsi, z widoczną nawet z dużej odległości szkołą z wieżyczką. Polska szkoła obchodziła w roku ubiegłym 170-lecie swego istnienia.

Rozległy Milików ma już niewiele starych drewnianych domów. Dziś prawie wszystkie świecą nowością. Jest tu jednak rzecz niezwykła. W Milikowie są dwa okazałe Domy PZKO. W MK PZKO Milików Centrum zdobywa zasłużenie coraz większą sławę świetna grupa teatru amatorskiego.

W Milikowie starzy zasłużeni działacze podziwiają i wspierają swych młodych kontynuatorów, których tu nie brak. Liczba mieszkańców wioski, jaka spotyka się na każdej imprezie PZKO, jest wprost niewiarygodna.



ISSN 0139-6277

Zwrot

7
2001

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ



TACY BYLIŚMY





Klub Esperantystów, marzec 1922 rok.

Wśród siedzących drugi od prawej strony Franciszek Stec, mistrz krawiecki z Końskiej. Trzeci od prawej Jan Stec z Ropicy, brat Franciszka.

Poniżej pracownia krawiecka Franciszka Steca (właściciel w środku) w Końskiej.





Związek Kół Gospodyń przed pałacem w Końskiej przed wyjazdem na wycieczkę do Warszawy i Gdyni (10-16 VII 1938). Pierwsza z prawej u dołu fotografii Janina Stecowa (1904-1969), rodem z Goleszowa, małżonka Franciszka Steca, mistrza krawieckiego, którego prezentujemy na fotografii na okładce obok. Poniżej ta sama grupa na statku w Gdyni.

Zwrot 7 2001

Rok LII, Nr 620
Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 20,00 Kč

W NUMERZE

3	Czesi i Polacy w tysiącletniej historii	JAROSLAV PÁNEK
10	Odwiedziny Pana Profesora	
11	II Zjazd Polaków z Zagranicy (5)	RUDOLF WÓJCIK
18	Uchwały II Zjazdu Polonii i Polaków z Zagranicy (1 maja 2001)	
21	Rezolucja XVII Zjazdu Federacji Światowej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów	
24	Przekłady i echa twórczości Wisławy Szymborskiej w Czechosłowacji i Republice Czeskiej	LIBOR MARTINEK
30	Kronika: Nic dwa razy się nie zdarza, Na ludowo i folkowo, Wystawa prac Bronisława Firli w Bielsku-Białej, Rowerem do źródeł Olzy, Koncert wiosenny w Mostach, Wystawa z okazji Dnia Matki w Trzyńcu Łyżbicach, Spotkanie z ambasadorem, Maj nad Olzą, Jubileuszowe przedstawienie w Karwinie Nowym Mieście, Frysztacki Klub Propozycji z aktorami Sceny Polskiej, Prof. Józef Borzyszkowski w Karwinie	
48	Poezja Wilhelma Przeczka	
49	Przez sito intymności	MAREK SŁOWIACZEK
52	Na naszej scenie: Powrót Melpomenek, XII Międzynarodowy Festiwal Teatralny Na Granicy, Seminarium teatralne w Wędryni	CZESŁAWA RUDNIK
61	Echo wydarzeń muzycznych: Śpiewają by żyć Wiosenny koncert Harfy	RAJMUND HANKE KRYSTYNA SUSZKA
69	Humor sprzed lat	
70	Poetycki konkurs w Wąglanach	E. S.
72	To i owo	
74	Mozaika	AMALIA PAWLASOWA

Numer zamknięto 14. 6. 2001

Uwaga: Zapowiadany artykuł Krzysztofa Nowaka o Józefie Kożdoniu ukaże się w numerze sierpniowym Zwrotu.

W numerze czerwcowym Zwrotu zabrakło podpisu pod fotografiami z Festiwalu Piosenki Dziecięcej. Ich autorem jest Marek Santarius. Przepraszamy.

CZESI I POLACY W TYSIĄCLETNIEJ HISTORII

(PRZEMIANY MODELU SĄSIEDZTWA I WSPÓŁŻYCIA)

Dzieje stosunków pomiędzy Czechami i Polakami już wielokrotnie były szczegółowo omawiane przez stronę czeską i polską w formie obszernych prac monograficznych i syntetycznych. Tak samo jednak jak jakikolwiek szerszy temat także i spojrzenie na historię stosunków pomiędzy dwoma środkowoeuropejskimi narodami nieustannie zmienia się - lecz nie w wyniku samowolnego przekręcania znanych faktów czy prymitywnego politykowania i wypływających stąd celowych reinterpretacji. Mają na to wpływ nieustanne przesunięcia w poznaniu historycznym i nowe metody, za pomocą których historycy starają się uchwycić minioną rzeczywistość, a także zmieniające się punkty widzenia, z których na historię patrzymy. Oczywistym jest, że w inny sposób postrzegali stosunki między naszymi narodami dynastyczni kronikarze Gall Anonim i Kosmas, inaczej założyciele nowoczesnej historiografii Joachim Lelewel i František Palacki, a jeszcze w inny sposób historycy na przełomie XX i XXI wieku. Każdy historyk jest dzieckiem czasów, w których żyje. Z tego też punktu widzenia kształtuje swoje spojrzenie na przeszłość i zgodnie z czasami, w których żyje, stawia pytania przekazom źródłowym i w zależności od swego stanowiska wobec współczesności i perspektyw na przyszłość wybiera akcenty minionego rozwoju.

W krótkim przyczynku trudno nawet zwrócić uwagę na to wszystko, co jest dla stosunków pomiędzy Czechami i Polakami bardzo ważne. Można jedynie zaprezentować częściowe spojrzenie z wybranego punktu widzenia. Tym są w danym wypadku zasadnicze przemiany i znaczenie tych stosunków, troska o przedstawienie ich głównych rysów w sensie historiograficznego modelowania, co umożliwia nam odejście od częściowych faktów i wskazanie podstawowych zarysów i ich kontekstu. Oczywiście można zaprezentować jedynie częściowe spojrzenie - z czeskiego punktu widzenia, ale jednocześnie otwarte na porównanie ze stroną polską. Poniższa próba przedstawienia zmieniających się postaci i dynamiki stosunków między Czechami i Polakami dzieli historię dłuższego niż tysiącletnie sąsiedztwo i współżycie w Europie Środkowej na siedem odcinków czasowych, przy czym w każdym z nich stara się uchwycić określony model stosunków. Może te rozważania staną się przynajmniej małym przyczynkiem w dyskusji nad przeszłością i perspektywami stosunków pomiędzy naszymi narodami.

1. WZAJEMNE WPŁYWY RÓWNORZĘDNYCH PARTNERÓW I WALKA O EGZYSTENCJĘ (X-XII WIEK)

Paradoks początków czesko-polskich stosunków zawarty jest w informacji o ślubie polskiego księcia Mieszka z czeską księżniczką Dąbrówką (Dobrawą) i przyjęciu chrześcijaństwa z Czech z jednej strony i w uogólniającym stwierdzeniu założyciela polskiej historiograficznej tradycji Galla Anonima o „Bohemicis, Polonorum, infestissimis inimicis", czyli Czechach jako najbardziej nieprzejednanych nieprzyjaciołach Polaków z drugiej strony. Lecz kto by chciał swoje wyobrażenie o kontaktach Czechów i Polaków na początku wspólnej historii opierać jedynie na tendencyjnych poglądach kronikarzy, byłby od rzeczywistego stanu rzeczy tak samo daleko jak człowiek nam współczesny, który tworzy sobie obraz świata wyłącznie na podstawie sensacyjnych informacji telewizyjnych.

Rzeczywistość była o wiele bardziej zróżnicowana: między środowiskiem czesko-morawskim i polskim były nieustanne kontakty, umożliwiające czeskie pośrednictwo w przekazywaniu kultury chrześcijańskiej, które na zawsze znalazło odbicie w polskim języku liturgicznym, ale przejawiały się one także wzajemnymi interwencjami wojskowymi. Polacy zakładali swoje państwo prawie w tym samym czasie co Czesi. Panująca w Polsce dynastia Piastów czuła się prawowitym spadkobiercą terenów powstałych po zaniku Rzeszy Wielkomorawskiej tak samo jak Przemyślidzi i dlatego w tym państwowotwórczym staraniu staczała z nim - ze zmiennym powodzeniem - egzystencjalną walkę ideologiczną i mocarstwową. Bolesław Chrobry sprawił, że Piastowie w tych zmaganiach zrównali się z dynastią Przemyślidów, a około 1000 roku udało się im nawet zapewnić sobie również chwilową przewagę instytucjonalną: przynajmniej czasowym uzyskaniem królewskiej korony, ustanowieniem arcybiskupstwa w Gnieźnie i tym, że Polska nie została włączona - w przeciwieństwie do Czech i Moraw - do średniowiecznej Świętej Rzeszy Rzymskiej.

Wczesnośredniowieczne państwo było jednak zbyt słabe na to, aby silny władca mógł mu zapewnić stabilizację sto lat do przodu. W okresie rozbicia dzielnicowego Polski doszło do rozwoju państwa czeskiego, które uzyskało tytuł królewski, powstało arcybiskupstwo praskie i samodzielna czeska prowincja kościelna. Państwo czeskie i polskie prowadziły od X do XII wieku walkę o egzystencję i zapewniły ją sobie podobnym wyznaczeniem sfer mocarstwowych. Oba państwa okazały się być równorzędnymi graczami na środkowoeuropejskiej szachownicy.

2. RYWALIZACJA O UZYSKANIE PRZEWAGI W EUROPIE ŚRODKOWEJ I USTABILIZOWANIE SIĘ STOSUNKÓW POMIĘDZY SĄSIADUJĄCYMI ZE SOBĄ PAŃSTWAMI (XIII-XIV WIEK)

Szybki rozwój gospodarczy w XIII wieku i przemiana ówczesnego społeczeństwa w społeczeństwo stanowe a także urbanizacja umożliwiały efektywne za-

rządzanie mniejszymi obszarami. Relatywnie mała powierzchnia i terytorialna zwartość Czech w stosunku do o wiele większego, pod względem powierzchni, państwa polskiego okazała się być zaletą. Podczas gdy Polska w XIII wieku rozpadła się na szereg drobnych dzielnic, w tym samym czasie Czechy potrafiły stworzyć silną monarchię. Dzięki nadzwyczaj bogatemu wydobyciu rudy srebra (niezbędnej do bicia monet, a także rozwoju handlu, finansów państwowych i wojska) królestwo Czech wyrosło na środkowoeuropejskie mocarstwo, które mogło starać się o ekspansję podzielonej Polski. Złota bulla sycylijska, potwierdzająca w 1212 roku przywileje państwa czeskiego, stwierdzała także, że państwo czeskie ma prawo sprawować patronat nad terytorium polskim, a w przyszłości ma ambicje także opanować je.

Sytuacja w Europie Środkowej była jednak o wiele bardziej złożona i to nie tylko dlatego, że w stosunki pomiędzy Czechami i Polską ingerowały dwa uniwersalne mocarstwa - papiestwo i cesarstwo rzymsko-niemieckie. W XIII wieku rywalizowały ze sobą cztery państwa - czeskie, polskie (wówczas jeszcze podzielone), austriackie i węgierskie. Jednak jak tylko jedno z tych państw uzyskiwało przewagę nad pozostałymi, tworzyły się koalicje pozostałych państw przeciwko niemu, co przejawiło się zwłaszcza podczas czeskiej ekspansji Austrii w drugiej połowie XIII wieku czy Polski i Węgier około 1300 roku. Niedogodnością strategiczną Polski w tym okresie, w tej mocarstwowej walce o nowy układ w Europie Środkowej, było jej rozdrobnienie i niezależna polityka prowadzona przez poszczególnych władców książęcych, z których zwłaszcza książęta śląscy potrafili dojść do porozumienia z czeskim królem. Długotrwałym wynikiem tego starania o jednostronną przewagę, ewentualnie o czesko-polskie przymierze, było wydzielenie śląskich księstw, czemu nie mogło przeciwstawić się w XIV wieku nawet zjednoczone już królestwo Polski, i przyłączenie Śląska do Czech.

Traktaty trenczyńsko-wyszehradzkie z 1335 roku wniosły do czesko-polskich stosunków długotrwałą stabilizację: Śląsk został włączony do Ziem Korony Czeskiej, czescy władcy uznali niezależność Polski i wzajemne granice. Także rywalizacja wybitnych monarchów Karola IV i Kazimierza Wielkiego, mająca miejsce około połowy XIV wieku, nie wpłynęła na zmianę tych stosunków: W Europie Środkowej istniały dwie stabilne monarchie, z których czeska swoje interesy koncentrowała raczej na zachód, natomiast monarchia polska na wschód. Ten podział interesów wytworzył stan wzajemnego respektowania się, wymiany kulturalnej i potencjał sojuszniczy na przyszłość.

3. PRZYMIERZE NA SCENIE EUROPEJSKIEJ I WYMIANA RÓL KULTURALNYCH (XV-XVI WIEK)

Utrata mocarstwowej pozycji na końcu XIV wieku oznaczała dla Królestwa Czeskiego konieczność obrania nowej międzynarodowej orientacji politycznej. Przejawem tego był układ czesko-polski z 1395 roku, wspólna walka przeciwko

zakonowi krzyżackiemu przypieczętowana bitwą pod Grunwaldem i wreszcie pozytywne stanowisko polskich wysłanników na soborze w Konstancji wobec Jana Husa. Religijnie motywowany patriotyzm po raz pierwszy nabrał tak wyraźnego charakteru antyniemieckiego i słowiańskiego. Dzięki tej ideowej przemianie osłabione państwo czeskie zaczęło szukać w Polsce nie tylko sojusznika, ale też obrońcy. Wcześniejsze interwencje wojskowe, w trakcie których władca jednego państwa (czy to już czeskiego, czy polskiego) narzucał się obywatelom drugiego państwa, zastąpiła idea poszukiwania możliwie najlepszego władcy Czech właśnie w środowisku polskim.

Ten specyficzny stosunek Czechów do Polski bardzo wzmocniła rewolucja husycka. „Heretyckie" Czechy i Morawy począwszy od 1420 roku były ze wszystkich stron osaczone i przez szereg lat narażone na ogromne niebezpieczeństwo ze strony wypraw krzyżowych, postrzeganych jako atak ze strony niemieckiej lub węgierskiej. Jedynie północna - polska - granica była stosunkowo otwarta i jedynie z tej strony nie przychodziły ataki wojskowe, ale starania o mediację. Nie ma wątpliwości co do tego, że polski dwór królewski prowadził własną politykę, zwłaszcza obronę przeciwko ekspansji zakonu krzyżackiego, tym niemniej wynik był całkowicie jednoznaczny: Polacy byli postrzegani jako „bracia", a w rządzącym rodzie Jagiellonów szukano przyszłego króla czeskiego. Instytucja „zaproszenia króla", którym miał być bądź to król polski, bądź książę litewski, oznaczała rewolucyjną odpowiedź na problemy długotrwałego bezkrólewia czeskiego: miała zapewnić państwu władcę, wybranego przez stany lub przedstawicieli wojsk husyckich, i to z jedynego środowiska, które wobec husytów nie zachowywało się wrogo. Tutaj już w 1420 roku powstał model czesko-polskiego przymierza, ewentualnie i zjednoczenia, model, który opierał się na bliskości interesów i który miał doprowadzić do zjednoczenia pod rządami jednej dynastii. Ten kierunek myślenia politycznego pojawił się w powtarzanych kandydaturach Jagiellonów na tron czeski w pierwszej połowie XV wieku, w zawarciu czesko-polskiego traktatu za rządów Jerzego z Podiebradów w 1462 roku, a w końcu został zrealizowany w postaci rządów Jagiellonów jako czeskich królów, w osobach Władysława II i Ludwika w latach 1471-1526.

Jagiellonom nie udało się wprawdzie wykorzystać tej jedynej w swoim rodzaju okazji do zjednoczenia Europy Środkowej pod jednym berłem i po Zjeździe Wiedeńskim w 1515 roku ustąpili pod wpływem habsburskich nacisków. Tym niemniej swą polityką zapewnili długofalową bezkonfliktowość w stosunkach pomiędzy Czechami i Polakami, kiedy to nadzwyczaj dobrze rozwijały się wzajemne stosunki oparte na przyjaźni. Państwo czeskie już wprawdzie nigdy w czasach późniejszych nie zajęło miejsca wśród czołowych mocarstw Europy, ale czeska polityka stanowa ciągle była zdolna odgrywać znaczącą rolę w procesie pacyfikacji prób ekspansji monarchii habsburskiej wobec Polski. Było to szczególnie ważne w okresach bezkrólewia, kiedy unia polsko-litewska, mocarstwo Europy

Środkowo-Wschodniej, przechodziła poważny kryzys. W tym okresie (zwłaszcza w latach 70. i 80. XVI wieku) także najlepiej rozwijała się idea polonofilstwa w Czechach i czechofilstwa w Polsce.

W XVI wieku zmieniła się jednak nie tylko polityczno-strategiczna, ale też kulturalna pozycja Czech. Podczas gdy w średniowieczu Czechy utrzymywały - zwłaszcza w sferze języka i piśmiennictwa - pewną przewagę nad Polską, to po 1550 roku jednoznaczną przewagę uzyskała Rzeczpospolita. Niezwykły rozwój języka polskiego, renesansowej literatury, myślenia politycznego i nauk humanistycznych - to wszystko obserwowali wykształceni Czesi z podziwem, a niekiedy też ze wstydem nad własnym zacofaniem. Po kilku stuleciach równowagi czy nawet czeskiej przewagi Polacy w świecie zachodnio-słowiańskim pod względem politycznym i kulturalnym zajęli pierwsze miejsce.

Jednocześnie ze zmianą roli historycznej, kiedy Czesi przeobrażali się w odbiorców niektórych elementów polskiej kultury, rozwój obu części Europy Środkowej przebiegał w odmiennych kierunkach. Ziemie czeskie, gdzie jeszcze w pierwszej połowie XVI wieku pojawiły się symptomy zgodnego z państwem polsko-litewskim rozwoju kulturalno-politycznego (idee wczesnego sarmatyzmu), po 1550 roku zasadniczo przeorientowały się na południe i zachód Europy, podczas gdy Polska skoncentrowała swoją uwagę raczej na wschodnią i północną część kontynentu. Wymarcie dynastii Jagiellonów (1572), która należała do znaczących czynników integracyjnych, w sposób symboliczny zapowiedziało inny rozwój Czech i Polski. Na zmianę sytuacji nie wpłynęło ani zwiększone zainteresowanie polityki czeskiej Polską w okresie bezkrólewia, które osiągnęło swoje apogeum w zakończonej niepowodzeniem kandydaturze czeskiego arystokraty Wilhelma z Rożemberka (Viléma z Rožmberka) na polski tron w latach 1574-1575 i w wyraźnej sympatii czeskich stanów wobec Polski. W ten sposób już w okresie rozwoju państwa stanowego i kultury renesansowej pojawiły się oznaki późniejszego dywergencyjnego rozwoju obydwu państw.

4. RÓŻNICE INTERESÓW I UPADEK ZNACZENIA SĄSIEDZTWA (1620-1918)

Jak tylko Czesi po klęsce pod Białą Górą w 1620 roku przestali odgrywać rolę dominującego narodu na Ziemiach Korony Czeskiej i wycofali się do poszczególnych ziem i miejscowości, doszło do osłabienia kontaktów z Polską, która została oddzielona od Czech i Moraw Śląskiem, w dodatku w połowie XVIII wieku w większości utraconym na rzecz ekspansywnych Prus. Poza tym ostatnie znaczące kontakty w XVII wieku nie były szczególnie pomyślne (habsbursko-wazowskie dynastyczne przymierze przeciw własnej opozycyjnej ludności z 1613 roku, napad „lisowczyków" na Morawy w 1620 roku i nieszczęśliwy zanik centrum Jednoty Braci Czeskich w Lesznie w 1656 roku). Państwo czeskie włączone do monarchii habsburskiej zniknęło z mapy Europy, a jego obywatele przestali być dla

Polaków i Polski interesujący. Druga połowa XVII wieku i cały wiek XVIII oznaczają największy upadek intensywności wzajemnych kontaktów i można go, z małymi wyjątkami, określić pojęciami dywergencyjny rozwój i wzajemna obcość.

Po trzecim rozbiorze Polski na końcu XVIII wieku Polacy znaleźli się wprawdzie w podobnej sytuacji jak Czesi (też byli narodem bez państwa), różnili się jednak strukturą społeczną. Podczas gdy Czesi od XVII wieku stopniowo tracili swą elitę (zwłaszcza arystokrację), polska szlachta i inteligencja szlachecka nadal odgrywała nadzwyczaj ważną rolę. Stan ten znalazł też odbicie w innym programie narodowym - w sytuacji, kiedy Czesi aż do połowy XIX wieku zadawalali się rozwojem kulturalnym i naukowym, Polacy posiadali wyraźny program odnowy państwa i ciągle starali się go przeforsować. Także w drugiej połowie XIX wieku, kiedy na nowo kształtował się czeski program polityczny, to polski państwowo-prawny radykalizm znajdował zrozumienie przede wszystkim wśród młodych i bardziej radykalnie myślących czeskich intelektualistów i polityków; natomiast dla konserwatystów polski rozwój wypadków był raczej przestrogą przed jeszcze większym nieszczęściem narodowym aniżeli utrata państwa, mianowicie przed rozdzieleniem terytorium narodowego nawet pomiędzy więcej obcych państw. Polacy postrzegali Czechów, lojalnych w tym okresie wobec monarchii habsburskiej, jako plebejuszy, a odnośnie do sprawujących funkcje urzędnicze - zwłaszcza w Galicji - wytworzyli sobie na podstawie doświadczeń z nimi negatywny stereotyp o Czechach w ogóle („pepiczki").

Mimo to od lat 60., a jeszcze w większym stopniu od lat 90. XIX wieku bariery zaczęły się przełamywać. Na Czechów bardzo mocno oddziaływała literatura polska, zwłaszcza powieściopisarstwo Henryka Sienkiewicza o charakterze patriotycznym, a polityka polska spowodowała częściową zmianę jednostronnego rusofilstwa, wynikającego wcześniej z nieznajomości rosyjsko-carskiego despotyzmu. W ciągu pierwszej wojny światowej zaczęły się nawet pojawiać - także w rozmowach T. G. Masaryka z I. J. Paderewskim - rozważania o polsko-czeskiej unii czy federacji, która mogłaby powstać po oczekiwanym rozpadzie Austro-Węgier. Oznaki konwergencji w stosunkach między Czechami i Polakami oznaczały nadzieję na pewien rodzaj zbliżenia.

5. NOWA WALKA O HEGEMONIĘ W EUROPIE ŚRODKOWEJ I JEJ TRAGICZNY FINAŁ (1918-1939/1945)

Nadzieje na zbliżenie nie potwierdziły się jednak. Dwa nowo powstałe państwa - Polska i Czechosłowacja - prowadziły swoją walkę o egzystencję, a jednocześnie o pierwszoplanową pozycję w Europie Środkowej. Nie tylko Czechosłowacja, która liczyła na swój potencjał ekonomiczny, przeceniła swoje możliwości; także o wiele bardziej rozległa i licząca więcej mieszkańców Polska nie odgadła trafnie długofalowej perspektywy samodzielnej egzystencji państwowej i nie przejawiła woli, aby ze swym południowym sąsiadem budować bardziej

trwały system wspólnego bezpieczeństwa. Elity władzy w obu państwach przy poparciu własnych społeczeństw zaostrzały napięcie i natychmiastowemu zyskowi poświęcały przyszłość. Nieszczęśliwy konflikt przygraniczny i brak czeskiego respektu wobec walki Polski przeciwko rosyjsko-bolszewickiej ekspansji powiększyły wrogość polityczną, której nie udało się pokonać ani sporadycznymi rozmowami dyplomatycznymi, ani w wielu wypadkach pomyślną współpracą w dziedzinie nauki i kultury. Przedstawiciele obydwu państw na pierwszym miejscu stawiali bowiem jednostronne forsowanie interesów terytorialnych i mocarstwowych, stąd też stosunki między odnowionymi państwami opierały się na zasadzie konfrontacji. Za to zaślepienie i niezdolność do współpracy na rzecz wspólnej obrony przeciwko rzeczywistemu nieprzyjacielowi oba państwa i narody zapłaciły straszliwą cenę w czasie drugiej wojny światowej.

Newralgicznym punktem czesko-polskich stosunków w okresie międzywojennym stała się kwestia Śląska Cieszyńskiego. Konflikt czeskiego prawnopaństwowego i gospodarczego stanowiska i polskich postulatów do samostanowienia narodów oznaczał podjęcie decyzji o wielkiej liczbie Polaków, którzy wbrew własnej woli nie stali się obywatelami Polski, ale nowo powstałej Czechosłowacji. Jest rzeczą całkowicie zrozumiałą, że Polacy odczuwali ten fakt jako krzywdę, tak samo jak nie pogodzili się z metodami stosowanymi podczas spisu ludności (w ramach kategorii Ślązaków), z niedostateczną reprezentacją Polaków wśród urzędników, a niekiedy także z naciskiem politycznym, umotywowanym staraniami o umocnienie integralności państwa czechosłowackiego. Jakkolwiek już ten problem będziemy oceniać, to pozostaje faktem, że niepowodzenie przy jego rozwiązaniu przyczyniło się do upadku demokracji w Europie Środkowej.

Niesprawiedliwości okresu międzywojennego przesłoniły jednak bez porównania większe tragedie drugiej wojny światowej. Wspólne walki Polaków i Czechów (czeskiego legionu, polskiej armii i czechosłowackiego korpusu) przeciwko faszyzmowi pokazały, że o ile elity władzy nie były zdolne do przeforsowania podstawowych interesów państwowych, to najodważniejsi z Polaków i Czechów są zdolni swoją drogę odnaleźć. Ponadto chociaż polskim i czeskim czołowym politykom nie udało się dojść do porozumienia odnośnie powojennej konfederacji, to mimo wszystko oba narody miały swoich chlubnych przedstawicieli także na wielkiej szachownicy historii świata. W imieniu odważnych w symboliczny sposób wyraziło to 141 polskich i 86 czeskich pilotów, którzy – tak jak Josef František i Witold Urbanowicz – wsławili się w decydującej bitwie o Wielką Brytanię i tym samym bardzo przyczynili się do przerwania ludobójstwa i barbaryzacji Europy.

JAROSLAV PÁNEK

c.d.n.

ODWIEDZINY PANA PROFESORA

Była środa 25 kwietnia i zapowiadał się zwykły dzień w szkolnej ławie, jakich jest w gimnazjum w Karwinie wiele. A jednak tak nie było. W godzinach popołudniowych odwiedził bowiem naszą szkołę (Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania w Karwinie) pan profesor PhDr Jaroslav Pánek DrSc, jeden z czołowych historyków Republiki Czeskiej, który przedstawił nam swój wykład dotyczący stosunków polsko-czeskich na przestrzeni całej historii tych narodów. Zwracał uwagę na wspólną historię, wspólnych władców i na wzajemne oddziaływanie obu kultur. Wykład podzielony został na 7 części, bo właśnie w różnych okresach stosunki pomiędzy sąsiadami zmieniały się. Przedstawione dane powinniśmy zapamiętać, dlatego że to właśnie my jesteśmy dziś Polakami żyjącymi w Republice Czeskiej. I tak mogliśmy odsłonić tajemnice X-XIX wieku, obejrzeć się wstecz za wojnami światowymi, przejść teraźniejszością, a nawet zajrzeć do przyszłości. Uważamy, iż każdy zapamiętał coś z tak interesującego i obszernego wykładu.

A oto spostrzeżenia najmłodszych słuchaczy wykładu - pierwszoklasistów karwińskiego gimnazjum:

Stale dziwię się temu, że Polska, kraj tak chrześcijański, przyjął właśnie tę religię z Czech, gdzie obecnie liczba wierzących jest zdecydowanie mniejsza niż w Polsce.

Cieszy mnie, że dużo czasu poświęcił pan profesor drugiej wojnie światowej, co było niezmiernie ważne, bo właśnie w tych czasach stosunki polsko-czeskie były dosyć wrogie.

Zaciekawiło mnie, kiedy pan profesor Pánek pod koniec wykładu przedstawił swoje propozycje na temat tego, iż Polacy mogliby stworzyć np. wspólną telewizję, radio (jako instytucje) i „posilić się" w ten sposób nawzajem.

Najbardziej zaciekawił mnie okres XX wieku, ponieważ pisaliśmy już pracę na temat losów Zaolzia w minionym stuleciu. Więc to, co już wiedziałam, pogłębiłam sobie i poszerzyłam zakres swej wiedzy.

Sądzę, iż stosunki pomiędzy Polakami i Czechami są bardzo ważne, gdyż wiele razy decydowały one o losach ogromnej liczby ludności (Polaków, Czechów czy nawet Niemców, Słowaków).

Bardzo dziękuję za to, że pan profesor Jaroslav Pánek mówił w języku polskim, bo z pewnością byłoby mu łatwiej prowadzić wykład w języku czeskim.

Dziękuję za taki wykład i myślę, że temat stosunków polsko-czeskich będzie zawsze aktualny - zwłaszcza w kontekście Unii Europejskiej i zjednoczenia Europy.

Z wykładu zapamiętałam wiele faktów, które na pewno jeszcze w przyszłości będą mi potrzebne.

Jak więc widać, cieszymy się wszyscy z odwiedzin pana profesora, dziękujemy naszemu panu dyrektorowi mgr. Romanowi Baronowi i mamy nadzieję, że takich interesujących spotkań nigdy nie zabraknie.

UCZNIOWIE ID KARWIŃSKIEGO GIMNAZJUM

II ZJAZD POLAKÓW Z ZAGRANICY (5)

Po oficjalnym zamknięciu obrad Zjazdu Polaków z Zagranicy (w roku 1934 - przyp. red.) delegaci przedsięwzięli szereg wycieczek po Polsce. Dnia 12 sierpnia rano przybyła delegacja Polaków z zagranicy do Gdyni w liczbie około 250 osób, a wraz z nimi w zastępstwie prezesa Wszechświatowego Związku Polaków marszałka Senatu Wł. Raczkiewicza prezes Hełczyński, b. marszałek Senatu Szymański, prezes Ligi Morskiej i Kolonialnej gen. Orlicz-Dreszer i inni.

Przed dworcem morskim oczekiwał rodaków komitet przyjęcia, organizacje, związki, stowarzyszenia ze sztandarami i orkiestrą marynarki wojennej oraz liczny zastęp publiczności. Krótkim przemówieniem powitał delegatów zjazdu komisarz rządu Sokół, po czym orkiestra odegrała hymn narodowy. Imieniem delegatów dziękował za powitanie dr Wolf, po czym spożyto śniadanie, po którym została odprawiona uroczysta msza św., następnie zaś ks. dziekan Turzyński wygłosił podniosłe kazanie. Po mszy odbyło się posiedzenie walnego zjazdu delegatów, podczas którego przemawiali wiceminister spraw wewnętrznych Korsa, prezes Akademii Literatury Sieroszewski, prezes L.M. i K. gen. Orlicz-Dreszer, komisarz rządu Sokół i zastępca dyrektora urzędu morskiego inż. Garłuszewski. Referaty obrazowały powstanie i rozwój Gdyni, jak również jej znaczenie i zadania. W imieniu delegatów przemawiał przedstawiciel Polonii argentyńskiej p. Kowalewski, dziękując za zapoznanie z Gdynią, która naocznie przekonała zebranych, czego może dokonać niepodległość polska. Po posiedzeniu prezes Hełczyński dokonał odsłonięcia tablicy pamiątkowej o utworzeniu Światowego Związku Polaków, która została wmurowana w holu dworca morskiego. Napis na niej brzmi: „W dwudziestą rocznicę rozpoczęcia zbrojnej walki o niepodległość, w roku powołania do życia Światowego Zw. Pol., delegaci 8 milionów Polaków z Zagranicy, zebrani w wielkim porcie wolnej ojczyzny, postanawiają wznieść „Dom Polaka Za Granicą" dla zadokumentowania jedności narodu polskiego na obu półkulach świata".

Po obiedzie, podczas którego wygłosili przemówienia komisarz rządu Sokół, b. marszałek Senatu Szymański, gen. Orlicz-Dreszer, komandor Frankowski oraz kilku delegatów zwiedzono porty handlowy i wojenny oraz miasto. Godziny przedwieczorne delegaci spędzili na nabrzeżu na koncercie. Po spożyciu kolacji pożegnalnej delegatów odprowadzono z pochodniami i or-

kiestrą na dworzec, skąd wyjechali do Torunia, serdecznie żegnani przez komitet i licznie zebraną publiczność.

Po jednodniowym pobycie w Toruniu delegacja II Zjazdu Pol. z Zagranicy przybyła 14 sierpnia rano do Wilna. Po powitaniu na dworcu goście udali się do hotelu Georgea, gdzie spożyli śniadanie, po czym wzięli udział w nabożeństwie odprawionym w Ostrej Bramie. Po nabożeństwie goście zwiedzili miasto.

Wśród rodaków z Czechosłowacji zauważyliśmy pp. Ofioka, Ogrockiego, posła Jungę, red. nacz. Dziennika Polskiego p. Waleczkę wraz z małżonką.

O godz. 12 delegacja Polaków z Zagranicy została przyjęta przez wicewojewodę Jankowskiego. W imieniu delegacji przemawiał p. Stanisław Kowalewski z Argentyny, odpowiedział wicewojewoda Jankowski, witając delegatów serdecznie w umiłowanym grodzie Marsz. Piłsudskiego. Delegacja złożyła na ręce wicewojewody Jankowskiego list hołdowniczy dla Marsz. Piłsudskiego treści następ.: „My delegaci Polaków z Zagranicy, Polaków rozsianych po wszystkich krańcach świata, przyszliśmy do Ciebie, Ukochany Wodzu, imię którego jest dla nas symbolem wskrzeszonej Ojczyzny, aby Ci złożyć hołd w imieniu całego wychodźstwa i Polaków z terenów przygranicznych". Po obiedzie wycieczka wyjechała statkiem do Werek. Wieczór zaś goście spędzili w Teatrze Letnim w Ogrodzie Bernardyńskim.

Środowy program pobytu przewiduje wycieczkę do Trock, a dalej goście zwiedzili Wilno. W dniu 16 sierpnia wycieczka wyjechała do Białowieży, skąd powróciła dnia 17 sierpnia do Warszawy.

Druga część delegacji przybyła w dniu 11 sierpnia do Katowic. Miasto przybrało uroczystą szatę na ich powitanie. O godz. 9 przed dworcem zebrały się tłumy publiczności, a na peronie ustawiły się delegacje organizacji z pocztami sztandarowymi oraz orkiestry. Celem powitania gości przybyli na dworzec wojewoda dr Grażyński, marszałek sejmu śląskiego Wojny, gen. Zając, ks. biskup Adamski, prezydent miasta Kocur, przedstawiciele władz państwowych i samorządowych. Wśród okrzyków „niech żyje" goście wysiedli z pociągu, po czym wojewoda Grażyński w krótkim przemówieniu powitał delegatów. Na przemówienie wojewody odpowiedział imieniem wycieczki cenzor Świetlik. Po posiłku na dworcu uformował się pochód, na którego czele niesiono wieniec złożony później na grobie Nieznanego Powstańca. W południe goście rozjechali się autobusami na zwiedzanie kopalń, hut i państwowych zakładów Związków Azotowych w Chorzowie. Po południu odbyły się obrady na sali Związku Technicznych Zakładów Naukowych. W obradach wziął udział wojewoda Grażyński, który wygłosił długie przemówienie. Goście odjechali z Katowic o godz. 21.

Niezwykle ciekawy odczyt przez radio wygłosił dnia 15 sierpnia redaktor Junosza Stępowski z Warszawy na marginesie ostatnich Igrzysk Sportowych w Warszawie. Treść tego odczytu powinna głęboko zapaść w serca i dusze naszych sportowców i być im światłem przewodnim w dalszym postępie. Przede wszystkim zaś powinni sobie doskonale zapamiętać określenie celów, jakie wytknął sobie stworzony w Warszawie Centralny Związek Sportu Polskiego. Ma on za zadanie zgromadzić centralnie sport Polaków żyjących poza granicami P., by: 1. odciągnąć ich od uczestniczenia w obcych klubach, gdzie z natury rzeczy zawsze muszą znaleźć się na drodze do wynarodowienia, 2. odciągnąć młodzież zagraniczną od podziwiania reklamowanych mistrzów niepolskich, skoro sport polski w niezwykle krótkim czasie posiadł szereg takich gwiazd sportowych, które na podziw i wzór młodzieży polskiej najlepiej zasługują. Kusociński, Walasiewiczówna i wielu innych to gwiazdy pierwszej wielkości sportowej, dzierżące w rękach swych szereg najwartościowszych rekordów światowych. Redaktor Stępowski stwierdził w swym odczycie, że cele Igrzysk osiągnięto w stu procentach. Tak sama atmosfera stworzona przez społeczeństwo polskie, jak i sposób zachowania się sportowego młodzieży zagranicznej dały najpiękniejsze rezultaty. Młodzież z zagranicy zobaczyła na własne oczy, że odnośnie wychowania fizycznego Polska kroczy przed wszystkimi innymi narodami. Sprostowała szereg fałszów, szerzonych przez prasę zagraniczną, uwielbiającą tylko własne wyczyny, choćby nawet najmierniejsze. Przekonała się, że np. takiego Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego jak w Warszawie nie ma żadne państwo ani w Europie, ani w Ameryce. Przylgnęli więc sercem do polskich prawd sportowych. Przekonali się, że i pod tym względem Polska jest mocarstwem pierwszorzędnym. Nauczyli się cenić i kochać. Ze swej strony uczestnicy Igrzysk powinni stać się gorliwymi propagatorami tych widzianych prawd pośród sportowców, tych, którzy nie mieli szczęścia być w Warszawie i wszystko na własne oczy oglądać. Wtedy wszyscy będą usilnie pracować nad nową formą sportową, nad wynikami, by jak najszybciej stać się godnymi specjalnej odznaki sportowej ustanowionej przez Centralny Związek Sportu Polskiego. Następne Igrzyska Sportowe muszą zastać nas jeszcze mocniejszymi, liczniejszymi i przygotowanymi do zwycięstw.

Tam Polska, gdzie Polacy. Albowiem narodowość nosi się w sercu i na żadnym cle granicznym nie zostawia. Tak dobrze w Ameryce, jak w Niemczech, Rosji czy tutaj w Czechosłowacji żyje w naszym sercu Ona - Polska. Ten fakt ma swe ważne konsekwencje. Ma je dziś tak samo jak miał przez całych 150 lat niewoli. Prawdą jest, iż mimo braku własnego państwa przez 150 lat przenosiliśmy Ją w sercu słodką, utęsknioną i świętą i nic z niej nie uronili-

śmy. Nie tylko żyła Ona w sercach polskich, ale rosła w nich, potężniała, zbywała się dziesiątek wad - i gdy z dala widzimy Ją dziś wolną, sami pytamy się zdumieni, czy tych 150 lat niewoli nie było przypadkiem tylko koszmarnym snem?

Granice obecnego państwa polskiego objęły 33 mil. ludzi. 8 mil. Polaków żyje poza Jej granicami. W składzie któregokolwiek państwa żyją Polacy, są lojalnymi obywatelami tegoż, a równocześnie w sercach, myślach i swej kulturze noszą Ją, cieszą się Jej radościami, smucą Jej smutkiem. Za swą lojalność jako obywatele spokojni i pracowici w jednych państwach znajdują zrozumienie i uznanie, w innych nie. Np. w Stanach Zjednoczonych Polacy uważani są za bardzo pożytecznych obywateli, a państwo w dobrze zrozumiałym interesie własnym nie tylko nie usiłuje ich wynaradawiać, ale przez posyłanie oficjalnych delegatów i ich przemowy na polskich uroczystościach rząd Stanów podkreśla, że nie można być dobrym obywatelem Stanów Zjednoczonych, jeżeli nie jest się dobrym Polakiem, szanującym swą mowę, szanującym i pielęgnującym swą kulturę, utrzymującym związki kulturalne ze szczepem, z którego się pochodzi.

Tak czy owak, skoro w sercach tkwi Polska i istnieją nici związku kulturalnego, istnieją wspólne smutki i radości - miło nam, Polakom w Czechosłowacji, iż w roku bieżącym przyszła na nas w łączności z 8 mil. innych Polaków - kolej odegrania pewnej wielkiej roli w odbudowującej się i zmieniającej w mocarstwo Polsce. Bo właśnie teraz w Polsce odegrał się trzeci akt nowoczesnej historii tego państwa z naszym udziałem.

Jak pierwszym aktem nowoczesnej historii polskiej był rok 1914 - dzień 6 sierpnia - gdy wyruszyła pierwsza Kompania Kadrowa Strzelców, jak drugim był rok 1926 - gdy Marsz. Piłsudski rzucił hasło odbudowy mocarstwowej Polski, tak trzecim aktem jest stworzenie przy udziale wszystkich Polaków z zagranicy Światowego Związku Polaków. Dobrowolnie przyjęliśmy na siebie obowiązek ścisłej współpracy kulturalnej i gospodarczej z Polską, przyjęliśmy obowiązek szerzenia w całym świecie dobrego imienia Polski w tej nadziei, że współpraca nasza da możność osiągnięcia Polsce nie tylko mocarstwowości realnej i politycznej, ale także mocarstwowości w skali kultury światowej.

W królewskim Zamku na Wawelu, gdzie snem wiecznym drzemią polscy królowie, gdzie królom równy widzi ziszczenie swych proroctw Król Duch Słowacki - nastąpiło uroczyste proklamowanie Światowego Związku Polaków. Rozpoczyna się trzeci akt nowoczesnej historii Polski, w którym realnymi aktorami będą Polacy zagraniczni. Znamy siebie, więc znamy i innych zagranicznych Polaków. Jesteśmy pewni, że w zupełności wypełnimy naszą rolę.

Streszczając w krótkości powyższe wywody o celach i zadaniach II Zjazdu oraz o przebiegu akcji konsolidacyjnej wśród Polonii zagr., możemy powiedzieć: Celem II Zjazdu Polaków z Zagranicy było przede wszystkim proklamowanie uroczyste wobec całego 33-milionowego narodu polskiego, że okres chaosu, rozbicia, swarów partyjnych i sporów personalnych skończył się wśród rodaków z obczyzny bezpowrotnie. Dotychczasowa reprezentacja polskich rzesz emigracyjnych i mniejszościowych - Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy - uległa przekształceniu na Światowy Związek Polaków, nastąpiło potężne wzmocnienie więzi łączących „Stary Kraj" z jego rozproszonymi po świecie dziećmi. Widocznym i zupełnie realnym wyrazem przełomu, jaki nastąpił w nastrojach ludności polskiej na terenach emigracyjnych i mniejszościowych był zjazd rodaków z całego świata, na który przybyło do Polski przeszło 11.000 Polaków zagranicznych. Liczba ta wygląda imponująco, jeżeli weźmiemy pod uwagę ogromne nieraz odległości dzielące tereny emigracyjne od Macierzy oraz ciężki kryzys gospodarczy przeżywany przez Polaków za granicą wraz z całym światem. Ale zjazd nie był tylko manifestacją, świętem pełnym uroczystego nastroju. Celem jego było również i zupełnie realne, praktyczne zbliżenie Polaków zagranicznych do Macierzy.

Z okazji zjazdu urządzone były Wielkie Igrzyska Sportowe Polonii Zagranicznej, Konferencja Dziennikarzy Polskich z Zagranicy, Konferencja Kobieca Nauczycielska itd. Rodacy z obczyzny zetknęli się z miejscowymi nie tylko w czasie narad w salach sejmowych, ale na boisku sportowym, zebraniach zawodowych, wycieczkach. Polska pokazała im piękno kraju ojczystego, jego dorobek kulturalny i gospodarczy, sprawiła, że ich marzenie o Polsce nabrało rumieńców życia. Rada Organizacyjna urządziła w Warszawie wystawę p.n. Polska i Polacy w świecie. Rodacy przybywający na zjazd zapoznali się na niej z wysiłkami, jakie doprowadziły do tego, że Polska z kraju niewoli, gnębionego i wyzyskiwanego przez zaborców, zamieniła się w wielkie 33-milionowe mocarstwo o mocno rozbudowanym życiu kulturalnym i gospodarczym. Na wystawie ujrzeli w skrócie kinematograficznym, jak wyglądają polskie warsztaty pracy, jak niezmierzone po prostu są możliwości polskiego przemysłu. Wystawa w jednym dniu da zwiedzającemu to, co inne w kilka tygodni.

Po zakończeniu obrad zjazdu delegatów nastąpiło na Zamku Wawelskim w Krakowie proklamowanie Światowego Związku Polaków. Chodziło bowiem nie o doraźne efekty, o stworzenie czegoś błyskotliwego i imponującego na zewnątrz, ale o coś, co miałoby wartość trwałą i nieprzemijającą. Nie omijano przeszkód, ale je pokonywano. A było ich sporo, np. nasza skłonność do

indywidualizowania i skłonność do przedkładania własnej racji ponad wszelkie inne partyjnictwo itd. Pomimo wszystko akcja w zupełności się udała i doprowadziła do upragnionej konsolidacji. Nie znaczyło to, by droga wiodąca do Światowego Związku Polaków była usłana różami. Trzeba było przy czynnym współudziale Polonii zagranicznej dokonać olbrzymiej roboty przygotowawczej. W pracy tej współdziałało z Macierzą to, co w emigracji było najlepsze i najbardziej świadome. Wszędzie zwyciężyła wśród rodaków zagranicznych jedna idea - idea jedności i podporządkowania interesów osobistych ogólnym interesom narodowym.

Psychika polska uległa zmianie na lepsze. Decydująco jednak wpłynęła na ostateczny, korzystny rezultat naszej roboty konsolidacyjnej, uzdrowienie życia polskiego w Macierzy przeprowadzone przez Wodza naszego narodu Józefa Piłsudskiego. Widok „Starego Kraju", krzepnącego wewnętrznie, budującego Gdynię i Mościce, odgrywającego coraz większą rolę w polityce międzynarodowej podziałał pobudzająco na Polonię zagraniczną. Klimat idei Marsz. Piłsudskiego okazał się najzdrowszym dla polskiej akcji zjednoczeniowej.

Utworzono Światowy Związek Polaków, instytucję potężną, odgrywającą w życiu Polonii zagranicznej rolę cementu, spajającego 8 milionów Polaków zagranicznych. Taka liczba to prawie całe państwo, toteż z reprezentacją tych milionów Polaków będą się musieli w świecie liczyć poważnie. Nie od jednego zamachu drzewo się kładzie. Nie można też oczekiwać, że Światowy Związek Polaków dokona od razu cudów. Nam tych cudów nie trzeba. Potrafiliśmy za granicami swej Ojczyzny w bardzo niedogodnych warunkach utrzymać się jako żywa cząstka narodu polskiego, umieliśmy i umiemy walczyć z życiem, nie roztkliwiamy się i nie poddajemy sentymentom. W tej walce skazani byliśmy dotychczas na samych siebie. Dziś mamy silnego wspólnika, który nasze rozproszkowane w różnych kierunkach wysiłki będzie ujmował w jednolity plan postępowania. Jest to dla nas pomoc ogromna i ta nam pozwoli osiągnąć więcej niż dotychczas. To nam dodaje nowej otuchy i umacnia w nas wiarę w lepsze jutro, bo: „Jeszcze Polska zagraniczna nie zginęła!"

Tak więc, robiąc bilans Zjazdu Polaków z Zagranicy, możemy być jak najzupełniej zadowoleni. Od nas tylko zależy, aby rozpoczęte, zbożne dzieło dało w najkrótszym czasie jak najlepszy owoc.

Rychwałd, 18.8.1934 *RUDOLF WÓJCIK*

II. Zjazd Polaków z Zagranicy

Polacy są jednym z narodów najbardziej rozproszonych po świecie. Kiedy w kraju mieszka 26 mil., zagranicą przebywa 8 mil., co stanowi 17%. Na każdych 6 ludzi 6-ciu Polaków przebywa jeden zagranicą. Zadaniem więc Akcentery jest porządkowanie życia polskiego w tego rodzaju sposób, aby mógł w niem uczestniczyć każdy Polak czy to w kraju czy zagranicą.

Problem ten istniał już przed laty i wówczas skupiał uwagę najlepszych umysłów, jednak szczególniejszego znaczenia nabrał po wojnie. Okres powojenny lat niepodległości pochłonął uwagę całego społeczeństwa dla pracy wewnątrz państwa, wiele trudu i krwi kosztowało wybudowanie Polski takiej, jaką mamy dziś. W tym trudnym okresie, kiedy Polacy zagranicą byli zdani tylko na własne siły, przed 8 mil. Polonią zagraniczną powstał problem „być albo nie być". Czy pozostać ma na dotychczasowych terenach, czy też zgromadzone wracać do Polski. W szczególności problem ten nabierał znaczenia na terenach przygranicznych.

Polaków zagranicznych dzielimy obecnie na 2 grupy: 1. emigracja, 2. emigracja.

Do pierwszej grupy należą Polacy zamieszkali poza krajem na zasadach etnograficznie i historycznie polskich, zwłaszcza obecnej granicy Rzeczypospolitej, a więc począwszy od Litwy, przez Niemcy, Śląsk, Pomorze do Gdańska.

Do drugiej grupy należą ci, co opuścili Polskę dlatego, że chronić się przed prześladowaniem zaborców, bądź też w poszukiwaniu chleba.

Zwróćmy się teraz myślą do pierwszych lat granitowej polskiego Przeprowadzone granice nie zadowoliły znacznych Polaków, na terenach przygranicznych powstało wielkie rozżalenie, gdyż wiele osób, rodzinnie polskich, zostało za granicami. Na terenach dzisiejszej Czechosłowacji, gdzie my mieszkamy, mamy zwarte i zorganizowane grupy Polaków, również silny żywioł polski był na terenie Litwy, Inflant polskich, w Prusach na Pomorzu i wreszcie tam, wskutek bardzo trudnych warunków powstało pytanie, czy wracać do kraju, czy też przetrwać na miejscu trudny okres. I właśnie to charakterystyczne przeplatanie się wahań, czy wracać do Polski, natomiast chłodzi i pobudzi zapał, gdyż zwyciężył w nich instynkt narodowy, który nakazał im trwać na obcem i zachować je dla Polski.

Na terenach emigracji również powstał podobny problem. Wielu wróciło do kraju, niektórzy w Stanach Zjednoczonych.

Ogólnie jednak instynkt narodowy Polaków zwyciężył i zachował polskość w masach. Czynnikiem, pewien moment odegrał i wynarodowił się, ale były to pracy zjawiska jednostkowe, masy trzymają silnie przy polskości, starają się skupiać, organizować, wracać do siebie.

Pod wpływem dzisiejszego organizacyjnego życia Polaków zagranicą zachodzi daleko idące porównanie. Poszczególne organizacje były bardzo silne i przeżyły, były one między innemi w czasie wojny, mimo chęci się łączyć, nawet dla obrony wspólnych interesów.

Niektóre były tam powołane nawet kilkoma z kraju. Zagranicę wyjeżdżali różni emisariusze, którzy operowali hasłami patrjotyzmu

UCHWAŁY II ZJAZDU POLONII I POLAKÓW Z ZAGRANICY PRZYJĘTE NA POSIEDZENIU PLENARNYM W DNIU 1 MAJA 2001

1. Zjazd wyraża wielkie uznanie i wdzięczność Duchowieństwu Kościoła katolickiego i innych Kościołów za ich wielką, historyczną rolę w zachowaniu przez Polonię i Polaków za granicą wiary i duchowego dziedzictwa kraju pochodzenia.

2. Zjazd wyraża głęboki niepokój wobec faktu, że w Kościele w krajach ościennych na Wschodzie, gdzie wierni polskiego pochodzenia stanowią większość, coraz częściej brak jest liturgii i katechizacji w języku polskim, której oni oczekują i o którą proszą. Jest ona bowiem dla nich bardzo drogim i najważniejszym znakiem ich duchowej i narodowej tożsamości. Wierni polskiego pochodzenia mają do tego elementarne prawo ludzkie, podobnie jak wierni innych narodowości. Z godności osoby ludzkiej wynika prawo do zachowania również w Kościele własnego języka i kultury religijnej. Dążenie do ograniczenia roli duszpasterzy polonijnych jedynie do funkcji liturgicznych odbiega od tradycji chrześcijańskiej. W całej tradycji Kościoła Duszpasterstwo sprawowało mecenat nad działalnością kulturalną i społeczną.

3. Zjazd wyraża uznanie i wdzięczność Delegatowi Prymasa Polski do spraw Duszpasterstwa Emigracji oraz Centralnemu Ośrodkowi Duszpasterstwa Emigracji w Rzymie za długoletnią opiekę nad emigracją polską w świecie. Zjazd stwierdza, że Centralny Ośrodek Duszpasterstwa Emigracji z siedzibą w Rzymie szczególnie skutecznie spełnia swoją misję. Zjazd wyraża wdzięczność Księdzu Prymasowi za istnienie Ośrodka i prosi o błogosławieństwo na dalszą jego działalność.

4. Uczestnicy II Zjazdu Polonii i Polaków z Zagranicy, doceniając 90-letni dorobek Harcerstwa Polskiego i 50-letni dorobek Związku Harcerstwa Polskiego poza Granicami Kraju oraz rozwój harcerstwa na Wschodzie we współpracy z odrodzonym harcerstwem w Polsce, uznają, że wychowanie metodą harcerską jest jednym z kluczowych kierunków pracy z młodymi Polakami rozsianymi na świecie, kształtujących patriotyczny fundament służby Bogu, Polsce i bliźnim. Zjazd oczekuje od organizacji światowych Polonii wsparcia i troski o działalność wychowawczą, prowadzoną przez harcerstwo w poszczególnych krajach.

5. Delegaci zebrani na II Zjeździe Polonii i Polaków z Zagranicy popierają inicjatywę Kongresu Polonii Amerykańskiej, Kongresu Polonii Kanadyjskiej, Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polskich w Ameryce Łacińskiej, Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych i Rady Naczelnej Organizacji Polskich w Australii dokonania w ciągu najbliższych sześciu miesięcy zmian strukturalnych ogólnoświatowej organizacji polonijnej (Rady Polonii Świata), w celu usprawnienia wzajemnych kontaktów oraz współpracy z Krajem.

6. Zjazd wyraża opinię, że należy organizować Zjazdy Polonii i Polaków z Zagranicy co 5 lat.

7. Zjazd wnosi o ustanowienie dnia 2 maja Światowym Dniem Polonii i Polaków z Zagranicy.

8. Zjazd zwraca się do Parlamentu RP o wprowadzenie zapisu w ustawie o obywatelstwie polskim w następującym brzmieniu: „Obywatel polski może wobec władz RP powoływać się ze skutkiem prawnym na posiadane równoczesne obywatelstwo innego państwa w celu swobodnego przekraczania granic Polski".

9. Zjazd apeluje do Rządu RP o konsekwentne egzekwowanie zobowiązań zawartych w dwustronnych umowach Polski z sąsiednimi państwami.

10. Zjazd zwraca się do Parlamentu RP o przyśpieszenie prac nad ostateczną wersją Karty Polaka oraz o podjęcie decyzji o nadaniu obywatelstwa osobom polskiego pochodzenia ze Wschodu.

11. Zjazd oczekuje od władz RP i wszelkich instytucji i organizacji polskich i polonijnych, zdecydowanej i szybkiej reakcji na wszelkie przejawy polonofobii w mediach i instytucjach zagranicznych oraz na wszelkie oszczerstwa i szkodliwe stereotypy Polaka i Polski.

12. Zjazd apeluje do instytucji RP o podjęcie inicjatyw dyplomatycznych i kulturalnych w celu promowania najlepszych polskich osiągnięć cywilizacyjnych i humanitarnych, aby utrwalić pozytywne oblicze Polski i Polaków na świecie.

13. Zjazd usilnie apeluje do władz RP o współpracę z organizacjami polonijnymi broniącymi dobrego imienia Polski.

14. Zjazd zwraca się do władz RP, instytucji krajowych i polonijnych na świecie o ratowanie polskiego materialnego dziedzictwa narodowego na Wschodzie, tj. kościołów, dworów, domów, cmentarzy, mogił i pomników. Potrzebne jest wsparcie finansowe i pomoc techniczna przy konserwacji i restauracji tych obiektów. Zjazd apeluje również do władz RP o pomoc w odzys-

kiwaniu mienia należącego w przeszłości do polskich organizacji społecznych (domów polskich, archiwów, zbiorów bibliotecznych na Wschodzie).

15. Zjazd zachęca organizacje polonijne do zaopiekowania się archiwaliami, a w razie braku możliwości opiekowania się danym zbiorem przekazania ich do ośrodków archiwalnych w kraju lub za granicą.

16. Zjazd zwraca uwagę na celowość wsparcia niezależnej prasy polonijnej przez dotacje finansowe, pomoc techniczną i szkolenia dla dziennikarzy w celu przeciwdziałania zamykaniu tych tytułów. Zjazd apeluje także do tych instytucji o dofinansowywanie organizacji polonijnych, które pragną realizować własne programy radiowe i telewizyjne służące promocji spraw polonijnych.

17. Zjazd apeluje do fundacji polonijnych na Zachodzie o objęcie patronatem organizacji polskich w Europie Środkowej, Południowej i na Wschodzie.

18. Zjazd apeluje do organizacji polonijnych na Zachodzie o przyjmowanie patronatu nad rodzinami przyjeżdżającymi do Polski w ramach repatriacji oraz zwraca się do Rządu RP o ustanowienie procedur ułatwiających sprawowanie tego patronatu.

19. Zjazd zwraca się do władz RP o uproszczenie formalności związanych z repatriacją.

20. Zjazd dostrzega potrzebę zwiększenie liczby polskich placówek konsularnych w azjatyckiej części byłego ZSRR.

21. Zjazd apeluje do władz i środowisk oświatowych w kraju i za granicą o włączenie do programów nauczania języka polskiego pełnej historycznej prawdy o losach Polski i Polaków.

22. Zjazd zachęca władze RP o rozważenie możliwości fundowania stypendiów dla osób polskiego pochodzenia, studiujących w państwach zamieszkania.

23. Zjazd opowiada się za koniecznością zachowania szkolnictwa polskiego na Litwie na poziomie szkoły średniej.

24. Zjazd widzi potrzebę wprowadzenia egzaminów końcowych w szkolnictwie polonijnym oraz przyznawania dyplomów uznawanych przez władze państwowe w kraju zamieszkania oraz instytucje oświatowe RP.

25. Uczestnicy II Zjazdu Polonii i Polaków z Zagranicy składają serdeczne podziękowania Senatowi RP i Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska" za zorganizowanie II Zjazdu Polonii i Polaków z Zagranicy.

26. Zjazd zobowiązuje Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" do przesłania wszystkich uchwał i rezolucji Zjazdu do odpowiednich adresatów oraz upoważnia Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" do czuwania nad ich realizacją.

REZOLUCJA XVII ZJAZDU FEDERACJI ŚWIATOWEJ STOWARZYSZENIA POLSKICH KOMBATANTÓW

(LONDYN 22-25 KWIETNIA 2001)

XVII Zjazd przesyła wyrazy synowskiego oddania Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II oraz życzenia z okazji zbliżającej się rocznicy urodzin. XVII Zjazd składa także podziękowania za przesłane życzenia: ks. prymasowi Józefowi Glempowi, panu premierowi Jerzemu Buzkowi, biskupowi polowemu Leszkowi S. Głódziowi, ministrowi Władysławowi Bartoszewskiemu.

XVII Zjazd odbywa się w 56. roku od zakończenia działań wojennych i 55. roku działalności organizacji założonej przez żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

XVII Zjazd, świadom ubytku biologicznego starszych wiekiem członków oraz działając z pobudek patriotycznych, chce przekazać swoją spuściznę młodemu pokoleniu, które pod tą historyczną nazwą Stowarzyszenia Polskich Kombatantów kontynuowałoby tradycje Wojska Polskiego na Zachodzie.

XVII Zjazd potwierdza swoje przywiązanie do Ojczystego Kraju z pełnym uznaniem władz wybranych przez Naród w wolnych wyborach i potwierdza, że Kombatanci będą śledzić wypadki zachodzące w Polsce z pełnym prawem ustosunkowania się do nich.

XVII Zjazd protestuje przeciwko narzucaniu osobom polskiego pochodzenia obowiązku posługiwania się polskim paszportem, co czyni ich obywatelami „drugiej klasy" w kraju ich zamieszkania i uniemożliwia zajmowanie należnych pozycji w życiu politycznym.

XVII Zjazd Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, organizacji skupiającej byłych żołnierzy PSZ wyznania katolickiego, prawosławnego, mojżeszowego, ewangelickiego i muzułmańskiego, wyraża zaniepokojenie opublikowanymi wiadomościami w sprawie zbrodni dokonanej w Jedwabnem. Zjazd uważa za konieczne, by sprawa została całkowicie wyjaśniona i sprawcy tej zbrodni zostali ujawnieni i ukarani. Ta okrutna zbrodnia nie może obciążać całego Narodu Polskiego, skoro nie był świadom tych wydarzeń.

XVII Zjazd przesyła braterskie pozdrowienia polskiej społeczności żyjącej w trudnych warunkach na Wschodzie.

XVII Zjazd wyraża chęć kontynuowania ścisłej współpracy z wielce zasłużonym Stowarzyszeniem „Wspólnota Polska".

XVII Zjazd pozdrawia Koleżanki i Kolegów zrzeszonych w Związkach Kombatanckich w Kraju wyznających te same ideały i wyraża chęć podtrzymywania więzów zadzierzgniętych na polu walki w imię miłości Ojczyzny.

POSŁANIE DO MŁODYCH POKOLEŃ POLAKÓW W KRAJU I NA WYCHODŹSTWIE

My, kombatanci polscy, żołnierze II wojny światowej, należymy do pokolenia, którego ścieżki życia dobiegają kresu. Przeżyliśmy lata brzemienne wydarzeniami, którymi można by obdzielić wiele pokoleń bez obawy niedosytu. Byliśmy świadkami niewyobrażalnych zbrodni, straszliwych ludzkich dramatów, bezmyślnego niszczenia dorobku cywilizacyjnego całych pokoleń. Widzieliśmy także bezprzykładny heroizm, bezmiar poświęcenia i godną podziwu determinację w obronie najdroższych Polakom wartości. W latach naszej młodości chcieliśmy - tak jak Wy dzisiaj - po prostu żyć szczęśliwie. Jednakże losy nasze innym potoczyły się kołem. Na naszych oczach, pod uderzeniem dwóch największych potęg militarnych ówczesnego świata, runęła w gruzy, budowana z takim trudem, struktura państwowości polskiej, a wraz z nią prawo chroniące Polaków przed zbrodnią, rabunkiem, gwałtem i upokorzeniem. Stanęliśmy wówczas do walki zbrojnej, której jedynym celem było odzyskanie suwerennej państwowości polskiej, gwaranta wolnego i szczęśliwego życia Polaków. Ta walka kosztowała hekatombę krwi, znaczyła bojowe szlaki lasem drewnianych krzyży, ruinami miast i pogorzeliskiem wsi i niestety nie zakończyła się tak, jakbyśmy sobie tego życzyli. Wielu z nas nie mogło powrócić do Ojczyzny, w której panoszyły się wojska obcego mocarstwa, a przez nikogo niewybierane władze wysługiwały się cudzym interesom. Przez prawie pół wieku wychodźstwo polskie ani na chwilę nie zaniechało walki o przywrócenie Polsce praw suwerennych, promieniowało nadzieją podtrzymującą na duchu rodaków w Kraju. A rodacy jeszcze przez wiele lat zapełniali sowieckie łagry i kazamaty ubowskich katowni.

Nie ma zwycięstwa bez ofiar. Kiedy nadeszło w pamiętnym roku 1989, naturalną refleksją było uprzytomnienie sobie jego ceny. Była ogromna.

Nie dziwcie się nam, że troszczymy się o to, by skarb wolności i niezawisłość, za który tyle zapłaciliśmy, nie doznał uszczerbku. Nie dziwcie się nam, że chcemy pozostawić po sobie przesłanie wynikające z doświadczeń długiego i pełnego dramatycznych wydarzeń życia. Nasze doświadczenie mówi, że największym nieszczęściem dla Polaka jest utrata suwerennej państwowości polskiej i że szczęśliwość osobista zależy w decydującej mierze od szacunku i uznania, jakim własne państwo cieszy się wśród wolnych i suwerennych narodów świata. Państwo praworządne, respektujące prawa obywatelskie i zobowiązania międzynarodowe, powiązane sojuszami wzmacniającymi bezpieczeństwo i dobrobyt obywateli, państwo promieniujące dobrobytem kulturalnym i cywilizacyjnym, państwo otwarte dla wszystkich, którym jego dobro leży na sercu, państwo bez dyskryminacji i uprzedzeń płaci wysoką dywidendę wszystkim, którzy w nim żyją lub z niego się wywodzą. Budowanie takiego państwa, wzmacnianie poczucia odpowiedzialności za jego przyszłość, szerzenie w świecie świadomości jego dorobku cywilizacyjnego i wkładu w kulturę światową - leży w dobrze pojętym interesie osobistym Polaka. Jest także najlepszym zabezpieczeniem przed perspektywą płacenia w przyszłości nowej daniny krwi i łez. Wierzymy, że to nasze przesłanie towarzyszyć Wam będzie w Waszym - oby najdłuższym i najszczęśliwszym - życiu.

Fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



PRZEKŁADY I ECHA TWÓRCZOŚCI WISŁAWY SZYMBORSKIEJ W CZECHOSŁOWACJI I W REPUBLICE CZESKIEJ

Recepcję twórczości Wisławy Szymborskiej można by w zasadzie badać z dwóch punktów widzenia. Po pierwsze, biorąc pod uwagę stosunek poetki do Czech i Czechów. Wiemy, że zmarły mąż poetki poeta Adam Włodek był wybitnym tłumaczem literatury czeskiej i słowackiej (w formie książkowej wydał np. w roku 1972 „Antologię poezji czeskiej i słowackiej XX wieku", w roku 1978 „I po co" Františka Halasa, w roku 1973 „Codzienne ody" Miroslava Floriana,), że tłumaczkę poezji na język czeski dr Vlastę Dvořáčkową uważa Szymborska za swą przyjaciółkę. (Na pytanie Marka Wollnera *„Tłumaczka Pani poezji na język czeski pani Vlasta Dvořáčkowa była gościem Pani podczas ceremonii w Sztokholmie? Dlaczego zaprosiła Pani właśnie ją?"* noblistka odpowiedziała *„To moja przyjaciółka, znamy się już sto lat"*. Tygodnik Tydzień, 3.2.1997, nr 6) Na zaproszenie tłumaczki gościła poetka polska w Pradze jeszcze przed otrzymaniem literackiej Nagrody Nobla - 28 maja 1992 roku - na wieczorze autorskim w Polskim Ośrodku Kultury. (Tłumaczka anonsowała tę akcję w tygodniku Tvar, 1992 nr 21, i przy tej okazji opublikowała tłumaczenie wiersza Szymborskiej „Koniec i początek".)

Po drugie możemy badać, w jakiej mierze Wisława Szymborska była lub jest brana pod uwagę i w jaki sposób była jej twórczość oceniana przez czeskich fachowców i miłośników poezji. Właśnie w tym twórczym kierunku będzie zmierzał następujący przegląd (podkreślam, że chodzi o przegląd bardzo ogólny).

Rozwój recepcji twórczości Wisławy Szymborskiej w Czechach można podzielić mniej więcej na dwa etapy:

I/ 1958-1990, od ukazania się w Czechach pierwszych tłumaczeń do czasu, gdy kończy się w CSR/CSRS okres odgórnego kierowania kulturą,

II/ od roku 1989 - z pewnym przedziałem w roku 1996, kiedy Szymborska otrzymuje literacką Nagrodę Nobla.

I

Pierwsze tłumaczenia poezji Wisławy Szymborskiej autorstwa Vlasty Dvořáčkowej pojawiły się u nas w antologii „Hlubší než smrt" (Praha, Mladá fronta 1958). Jeśli chodzi o antologie, trzeba jeszcze przytoczyć „Čistý zpěv. 10 současných polských básníků" (Praha, Čs. Spisovatel 1974), antologię przygotowaną przez Jana Pilaře. Pojawiło się tu dziesięć wierszy Wisławy Szymborskiej w przekładzie Vlasty Dvořáčkowej, informacje o autorce i fragment rozmowy z autorką o charakterze jej poezji (bez wskazania źródła).

Jan Pilař cztery lata później włączył także fragmenty dzieł Wisławy Szymborskiej do antologii „Setkání nad Vislou" (Odeon 1978), wyboru poetów krakowskich.

Następne wybory z tłumaczeń Szymborskiej wydała Vlasta Dvořáčkowa w roku 1965 („Sůl", Praha, Mladá fronta), 1985 („V Hérakleitově řece", Praha, Odeon) i 1997 („Konec a počátek", Praha, Mladá fronta). Dwa ostatnie wybory zawierały posłowie tłumaczki.

Ze względu na to, że do roku 1993 byliśmy państwem składającym się z dwóch republik, zwracam uwagę jeszcze na tłumaczenia Wisławy Szymborskiej na język słowacki. W przekładzie poety słowackiego Vojtecha Mihálika ukazało się „Volanie na Yettiho" (Bratislava, Slovenský spisovatel 1966).

Recenzję tomiku „Sůl" zamieściła w dzienniku Večerní Praha (30.10.1965) Jarmila Urbánkowa w całościowej recenzji „Z polskiej i niemieckiej poezji". Urbánkowa pozytywnie ocenia pierwszy wybór Szymborskiej u nas. Pisze: *Jak autorka ironicznie charakteryzuje samą siebie w „Nagrobku", nie przylgnęła do żadnej z grup literackich. Jej twórczość wyznacza sympatyczna rzeczowość, o odcieniu, być może, poniekąd dziennikarskim, racjonalnym, z którą mocno wiąże się tonacja ironiczna ze skłonnością do misji groteskowej, która równoważy i czyni lżejszymi odczucia dzisiejszego człowieka. Jej rubaszna ekspresywność jednak znika, kiedy podejmuje tematy tak poważne, jak np. typowo polski motyw „Obóz głodowy pod Jasłem". Nie wiem, jak oceniana jest autorka w swej ojczyźnie, ale u nas zapewne bliska będzie autorom tzw. „dnia powszedniego", do których zaliczana jest i tłumaczka zbioru „Sůl".* Owo pokoleniowe i grupowe pokrewieństwo z autorami skupionymi wokół pisma Květen jest sprawą bezsporną.

Krystyna Kardyni-Pelikánowa, polonistka Wydziału Filozoficznego ów-

czesnego brnenskiego Uniwersytetu J. E. Purkyniego (dziś Uniwersytet Masaryka), w piśmie Literární měsíčník (1986, nr 4) w recenzji nazwanej „Radość czytania" również bardzo pozytywnie oceniła wybór „V Herakleitově řece". O Wisławie Szymborskiej pisze m.in.: *Jej twórczość wyznacza głębia refleksji filozoficznej i mistrzostwo formy. Chociaż można wiersze W. Szymborskiej charakteryzować w zasadzie jako twórczość z filozoficznym punktem wyjścia, nie chodzi o wyrażenie problemu odzianego w szatę poetycką; główna myśl mocno tkwi w budowie wiersza i logicznie wypływa z jego zakończenia. Czytelnik sam do niej dochodzi i na „Radość pisania" (nazwa wiersza) autorki może odpowiedzieć radością aktywnego czytania. Jest to poezja dyscypliny intelektualnej, która z szerokiej skali możliwości stylistycznych wybiera styl potoczny, ułatwia bezpośredni kontakt z czytelnikiem. Stąd bierze się jej komunikatywność. Z niezwykłą wynalazczością zaszeregowuje jednak wyrażenia potoczne do nowych kontekstów, w których stereotypy konwersacyjne uzyskują nowe współzależności.*

Również Marie Langerowa w dodatku do pisma Tvorba (1986, nr 4) nazwanym Kmen pochwaliła ten tomik w recenzji „O, Pegazie, aniele koński". O poezji Wisławy Szymborskiej sądzi: *Jej wiersze to słowa wywoływane do walki o wieczność „w świecie niewiecznym", melodyjne nie tylko poprzez organizację struktury, ale przede wszystkim poprzez niezamienialny wybór. Z precyzją poetyckiego wyczucia i myślenia nazywa humorystycznie, ironicznie i poważnie zadziwienie nad światem, którego w jego kołowrocie i ekstremach trudno zrozumieć.*

Pierwszy opublikowany wiersz Wisławy Szymborskiej w Czechach ukazał się w czasopiśmie Světová literatura (1964, nr 3), gdzie tłumaczka zamiast wstępu zestawiła jakiś quasidialog Ryszarda Matuszewskiego i Wilkonia na podstawie ich recenzji tomików Szymborskiej w Nowej Kulturze (1963, nr 19) i Twórczości (1963, nr 2).

Jeśli chodzi o krytyczne echa twórczości Wisławy Szymborskiej, reagowali krytycy najczęściej tylko poprzez recenzje zbiorów poezji lub antologii. Tłumaczka Vlasta Dvořáčkowa napisała wprawdzie do swych wyborów poezji Szymborskiej posłowia, jednak posłowie nie jest gatunkiem, który zastępowałby rozprawę krytyczną. Do dnia dzisiejszego nie pojawiło się więc żadne istotne czeskie opracowanie na temat twórczości tej wielkiej Polki, być może jednak czeska polonistyka wkrótce ten brak nadrobi.

II

Prawdziwa, a nie tylko okazyjna lub politycznie celowa recepcja twórczości Wisławy Szymborskiej w czeskiej literaturze i czeskich mediach rozpoczyna się dopiero po rewolucji w roku 1989. I tu możemy wyróżnić trzy etapy: 1/ przed przyznaniem Wisławie Szymborskiej literackiej Nagrody Nobla, 2/ od ogłoszenia faktu przyznania tej nagrody, 3/ od wydania wyboru „Koniec i początek" w RC.

Ad 1/ Przede wszystkim pojawiają się fragmenty poezji Szymborskiej w audycjach stacji Vltava Czeskiego Radia 3. Z twórczością Szymborskiej zaznajomił słuchaczy Jan Halas, syn wybitnego czeskiego poety Františka Halasa. 29 grudnia 1991 roku zabrzmiał wiersz „Schyłek wieku", 12 czerwca wiersz „Allegro ma non troppo" z podkładem muzycznym z dzieła fortepianowego Fryderyka Chopina, 7 listopada 1992 roku nadany został program „Jarmark cudów" (kompozycję wierszy i rozważań Wisławy Szymborskiej przygotowała, przetłumaczyła i przedstawiła Vlasta Dvořáčkowa).

W tygodniku Literární noviny (1992, nr 21) zamieściła Vlasta Dvořáčkowa przekład kilku nowszych wierszy Szymborskiej (np. „Może być bez tytułu", „Nic darowane").

Ad 2/ Zainteresowanie mediów ogromnie wzrosło po ogłoszeniu wiadomości o przyznaniu Wisławie Szymborskiej Nagrody Nobla - 3 października 1996 roku, a następnie po jej odebraniu w Sztokholmie - 10 grudnia 1996 roku.

Najwcześniej zareagowały dzienniki, wykorzystujące głównie wiadomości agencyjne i przekazujące podstawowe informacje o autorce, jej biografii, bibliografii w Polsce i u nas, ewentualnie o jej polskich poprzednikach zaszczyconych tą nagrodą. 4 października przynosi informację o tym, że „Polska poetka Szymborska otrzymała Nagrodę Nobla", jak brzmi tytuł artykułu, praski Denní telegraf (1996, nr 233). W ramach reportażu z targów książki we Frankfurcie pisał Daniel Anýž w dzienniku Mladá fronta Dnes (19 96, nr 233) w artykule „Polacy we Frankfurcie byli zaskoczeni" o reakcji polskich wystawców na przyznanie Nagrody Nobla swej rodaczce. Na tej samej stronie ukazał się także artykuł Piotra Goreckiego „Polska poezja po szesnastu latach znów doczekała się Nagrody Nobla", w którym opisywał atmosferę w Polsce po owym werdykcie.

Również Lidové noviny kilka dni później (12.10.1996, nr 240) poświęciły

miejsce temu tematowi i w dodatku Národní (nr 41) opublikowały nastrojowy reportaż Dany Schmidtowej, środkowoeuropejskiej korespondentki duńskiego dziennika Politiken, „Cześć nieśmiałej poetce". Autorka odnotowała bezpośrednią reakcję i odczucia Wisławy Szymborskiej, kiedy ta dowiedziała się, że została laureatką Nagrody Nobla.

Lidové noviny powróciły do tego tematu jeszcze w listopadzie 1996 roku (1.11.1996, nr 10) w dodatku Středoevropské noviny, publikując przekład rozmowy Tadeusza Nyczka (zapisała Anna Rudnicka) z Gazety Wyborczej pod tytułem „Stoję po stronie ludzi" i fragment jednego z regularnych felietonów Szymborskiej drukowanych w tym polskim dzienniku („Namiastka książki").

Tygodnik Nové knihy (nr 40, 23.10.1996) przyniósł sylwetkę noblistki pod nazwą „Przepaści i rzeki Wisławy Szymborskiej" pióra Jana Suka. Autor korzysta tutaj z dawniejszych tłumaczeń poezji Szymborskiej Vlasty Dvořáčkowej, ale także z eseju Czesława Miłosza „Lekcja biologii" (w języku czeskim ukazał się w zbiorze esejów „Svědectví poezie", Mladá fronta 1992), gdzie eseista cytuje wiersz Szymborskiej „Autotomia", by udowodnić przemianę prastarego dualizmu duszy i ciała w dualizm inny, mianowicie zapomnienia i sławy, śladu i pustki, wyrażony regułą ars longa, vita brevis.

Ożywienie zainteresowania mediów Wisławą Szymborską nastało po odebraniu przez nią 10 grudnia 1996 roku Nagrody Nobla. Obszerna rozmowa Marka Wollnera „Ten niewidzialny za mną ryczy ze śmiechu" wraz z sylwetką noblistki autorstwa Vlasty Dvořáčkowej „Poetka, która stale pyta" pojawiła się w magazynie Týden (3.2.1997). Znajdujemy tu również interesujące credo Szymborskiej, która na pytanie, skąd bierze się wstyd za to, że jest się poetą, odpowiada: *Unikam wszelkich fałszywych póz, ponieważ wydaje mi się, że kiedy piszę, to jakby ktoś niewidzialny stał za mną i ryczał ze śmiechu. Ten niewidzialny dla mnie oznacza, że człowiek nie może sobie pozwolić na wielkie słowa".*

O zwięzłą sylwetkę Wisławy Szymborskiej wraz z kilkoma tłumaczeniami wierszy noblistki poprosiła Vlastę Dvořáčkową także redakcja opawskiego miesięcznika literackiego Alternativa nova (20.12.1996, nr 4).

Dwutygodnik literacki Tvar (20.2.1997, nr 4) zareagował na dane wydarzenie notatką Libora Martinka o Wisławie Szymborskiej wraz z jego przekładem wiersza Szymborskiej „Wielkie to szczęście". Ten sam tłumacz opublikował w piśmie poetyckim Obratník (15.8.1997, nr 16) tłumaczenie

wiersza „Niektórzy lubią poezję" i komentarz do obecnej sytuacji poezji w Polsce.

Ad 3/ W maju 1997 roku ukazuje się wybór wierszy Wisławy Szymborskiej „Konec a počátek", oczywiście w tłumaczeniu Vlasty Dvořáčkowej. Recenzja zbiorku pojawia się najpierw w piśmie Literární noviny (11.6.1997, nr 23), gdzie Jaroslav Med rozpoczyna rubrykę krytyczną właśnie od recenzji wyboru. Autor recenzji ocenia u Szymborskiej jej zdolność cywilnego i aforystycznego wypowiadania się na temat kłopotów i radości, jakie spotkały ją w życiu. *Pragnie nadać rzeczom oczywistym inny wymiar, odkrywać z pewną dawką humoru i bez jakiegokolwiek sentymentu kobiecego pod banalnością nieoczekiwane prawdy* - stwierdza recenzent.

Najlepszą do tej pory recenzję wyboru „Konec a počátek" napisał obiektywny i wrażliwy krytyk Jan Suk w tygodniku Nové knihy (25.6.1997, nr 24). W recenzji „Egzamin z dziejów ludzkości" przytacza interesujące spostrzeżenie: *Poezja, najpokorniejsze, najcichsze narzędzie, staje się w rękach Szymborskiej również „muzyką ironii". Zwłaszcza w wierszach zbiorków z lat 80. i początku lat 90. brzmią podobne tony dystansu i dali, jakie w nieco delikatniejszej, lecz tak samo prostolinijnej poezji Seiferta słychać w takich jego zbiorkach, jak np. „Deštník z Picadilly". I tak samo jak późny Seifert również Szymborska zamienia w swych wierszach pierwiastek tragiczny na lżejsze reguły gry, w owym symbolicznym dystansie, w którym każda „rozpacz" zmienia się jak u Seiferta w „nadzieję".*

III

Dynamicznie zmieniająca się w Czechach po aksamitnej rewolucji sytuacja społeczna i ekonomiczna nie jest dla poezji zbyt życzliwa. Dzieło Wisławy Szymborskiej mimo wszystko w ciągu tych lat pozostawiło w rozwoju literatury u nas niezatarty ślad, do czego przyczyniła się jego wierna tłumaczka Vlasta Dvořáčkowa. Wydanie trzech wyborów twórczości rodaczki z Prowent-Bniny i uczestnictwo w trzech antologiach poezji polskiej to niemało. Niewątpliwie tak autorka, jak i jej twórczość znalazły swoich zwolenników nie tylko wśród znawców poezji, ale i wśród zwykłych czytelników.

LIBOR MARTINEK
Tłum. M.R.

NIC DWA RAZY SIĘ NIE ZDARZA

17 maja przyjechała na Zaolzie zacna osoba, z którą spotkali się pewnego upalnego popołudnia uczniowie czeskocieszyńskiego gimnazjum, filii karwińskiej oraz polskich klas Akademii Handlowej wraz ze swoimi polonistami. Wisława Szymborska, polska noblistka, okazała się bardzo miłą i przyjemną starszą panią. Przekroczywszy próg restauracji Zameczek, przywitała nas wszystkich ujmującym uśmiechem, który towarzyszył jej i nam przez cały czas. Panowała miła atmosfera. Pani Wisława najpierw przelękła się czarnej pantery siedzącej tuż za nią, ale dowiedziawszy się, że jest wypchana, uspokoiła się i bardzo dokładnie zaczęła nam się przyglądać. Zresztą nie była sama, my też na nią patrzyliśmy niczym zahipnotyzowani. Pan Tadeusz Wantuła, który zorganizował przyjazd pani Wisławy na Zaolzie, wręczył kilka limeryków własnego autorstwa. Potem pani Wisława czytała swoje wiersze (smutne i wesołe), których słuchaliśmy z zapartym tchem. Po mocnych wrażeniach poetyckich nastąpiła seria pytań z różnych dziedzin. Odpowiedzi pani Wisławy były wyczerpujące i niezwykle trafne. Po prostu słuchało się jej z wielką przyjemnością. Sprawiała wrażenie naszej dobrej znajomej. Czas spotkania upłynął bardzo szybko i wbrew naszej woli nastąpiło krótkie pożegnanie, autografy, jedno wspólne zdjęcie.

Skromność i urok osobisty poetki znanej na całym świecie urzekły studentów i nauczycieli, a głównej bohaterce i organizatorom (Klub Kultury) spotkanie to z pewnością sprawiło wiele satysfakcji.

JANINA WAŁOSZEK
klasa III A
Polskie Gimnazjum Czeski Cieszyn

NA LUDOWO I FOLKOWO MIĘDZYNARODOWY ZŁOTY KŁOS

W dniach 1–3 maja odbywał się w Zebrzydowicach VIII Przegląd Zespołów Regionalnych Złoty Kłos, który w roku bieżącym po raz pierwszy miał charakter międzynarodowy. Organizatorem imprezy był bowiem nie tylko Gminny Ośrodek Kultury w Zebrzydowicach, ale również Ośrodek Kulturalno-Społeczny Strzelnica w Czeskim Cieszynie. Część zespołów z Polski wystąpiła także w stolicy Zaolzia. Dopisała pogoda, mniej już publiczność, która mogła szczelniej zapełnić piękny zebrzydowicki amfiteatr.

Ze strony czeskiej w konkursowej części Przeglądu wzięły udział zespoły folklorystyczne Slezánek i Slezan z Czeskiego Cieszyna, Porubka i Odra z Ostrawy, polskie zespoły z Zaolzia reprezentowały Oldrzychowice i dziecięca Tyrka, błędowiccy

Dolanie i kapela Kamraci. Oldrzychowicki zespół pieśni i tańca zaprezentował pod kierownictwem artystycznym Romana Grycza widowisko „W karczmie u Taciny", zaś Błędowiczanie na czele z Tadeuszem Farnym „Dolańskie wesele". Jury w składzie: Krystyna Turek – etnomuzykolog, Krystyna Kaczko – etnograf, Bożena Sochacka – choreograf, Anna Buroniowa (z Ostrawy) – folklorysta i Józef Wierzgoń – muzyk, dyrygent, podkreśliło wysoki poziom wykonawczy zespołów. Jury, podsumowując przegląd, stwierdziło: *Pragniemy zwrócić uwagę na pietyzm w doborze repertuaru, gatunkowe i treściowe zróżnicowanie pieśni ludowych, ich gwarowy przekaz oraz interesujące próby rekonstrukcji tradycyjnych ludowych zwyczajów i tańców. Cieszy liczny udział dzieci i młodzieży w zespołach pielęgnujących tradycje ludowe własnego regionu.* Ale jury nie ograniczyło się tylko do chwalenia. Musiało również zwrócić uwagę kierownikom zespołów na dobór repertuaru zgodny z wiekiem wykonawców, bowiem żenująco brzmiały w ustach dzieci teksty miłosne, zalotne i frywolne.

W kategorii zespołów śpiewaczych bez akompaniamentu pierwsze miejsce otrzymał zespół Jaśkowiczanie z Orzesza, drugie miejsce ex aequo Grupa Śpiewacza z Koniakowa, Jankowiczanki z Jankowic oraz Płocanki z Trzebini, trzecie miejsce Małokończanie i Wiślanki.

W kategorii zespołów śpiewaczych z akompaniamentem jury postanowiło przyznać tylko wyróżnienia. Z dziecięcych zespołów otrzymały je: Dziecka z Kończyckiej Szkółki, Bestwina oraz Przedszkole nr 1 w Mysłowicach.

W kategorii zespołów prezentujących tradycyjne ludowe zwyczaje i obrzędy w grupie dziecięcej pierwsze miejsce dostał Mały Haśnik z Żabnicy, drugiego miejsca nie przyznano, a trzecie przypadło Małemu Koniakowowi. W grupie zespołów dorosłych najlepszy okazał się Koniaków. Zaolziańskie zespoły Oldrzychowice i Dolanie zajęły drugie miejsce, tak samo jak czeskocieszyński Slezan w grupie zespołów pieśni i tańca. Oldrzychowicka Tyrka uzyskała wyróżnienie. Z kolei kapelę Wałasi z Koniakowa jury oceniło najwyżej, błędowiccy Kamraci zajęli drugie miejsce.

Wśród nagrodzonych śpiewaków-solistów w grupie dziecięco-młodzieżowej znaleźli się także przedstawiciele Śląska Cieszyńskiego. Pierwsze miejsce zdobyła Iwona Krupa z Kończyc Małych. W grupie wyróżnionych znalazła się natomiast Anna Musioł z Brennej.

Na widowni pojawił się w trzecim dniu marszałek województwa śląskiego Jan Olbrycht, patron honorowy Złotego Kłosu, który przyznał, iż w zebrzydowickim amfiteatrze gości po raz pierwszy. Natomiast w pierwszym dniu przeglądu, w którym występowały zaolziańskie zespoły, wśród widzów i obserwatorów poczynań konkursowych Zaolziaków nie zabrakło prof. Daniela Kadłubca, wielkiego miłośnika i znawcy folkloru, oraz Adama Palowskiego, ongiś długoletniego tancerza, a potem kierownika zespołów tanecznych Górnika i Błędowic.

Na pochwałę zasługuje Ośrodek Kulturalno-Społeczny Strzelnica w Cz. Cieszynie z dyrektor Gertrudą Chowaniokową, która ochoczo podjęła współpracę z zebrzydowickim Gminnym Ośrodkiem Kultury i jego dyrektor Małgorzatą Guz. Część zespołów z Polski wystąpiła także w drugim i trzecim dniu przeglądu w Czeskim Cieszynie.

W roku przyszłym organizatorzy przeglądu po stronie czeskiej zwrócą się również do zaolziańskich szkół z propozycją wzięcia udziału w Złotym Kłosie. Na pewno warto nie zaprzepaścić tej szansy, tym bardziej, że w naszych polskich szkołach mamy wiele talentów, które ujawniły już swoje folklorystyczne umiejętności w Śląskim Śpiewaniu.

JÓZEF WIERZGOŃ

WYSTAWA PRAC BRONISŁAWA FIRLI W BIELSKU-BIAŁEJ

Od 20 kwietnia w Galerii Hotelu Orbis Magura w Bielsku-Białej trwała wystawa prac Bronisława Firli. Była to kolejna prezentacja w cyklu promującym twórczość artystów polskich i polonijnych zamieszkałych na stałe i tworzących poza granicami kraju.

Retrospektywna wystawa Bronisław Firli – architekta, plastyka, poety, działacza, ale także wspaniałego, otwartego i wiecznie młodego człowieka sprowadziła do Galerii tłum wielbicieli jego twórczości i jego osoby.

Barwny i ciekawy życiorys tego artysty, dorobek twórczy potwierdzony licznymi wystawami w różnych zakątkach świata i ciekawa osobowość sprawia, że wystawa cieszy się ciągle ogromnym powodzeniem.

Wiele znakomitych, znanych i uznanych osób wyrażało niejednokrotnie opinie na temat wyjątkowej jego umiejętności łączenia techniki, plastyki i wprawnego oka architekta z nieposkromioną wyobraźnią malarza i duszą poety. Mam wrażenie, że wszystko już zostało przelane na papier i płótna malarskie. Próbując jednak ogarnąć wielowątkowość „bliźniaczej" natury artysty, świadomie przekroczę graniczną linię, pozwalając sobie na kilka osobistych spostrzeżeń.

Obrazy Bronisława Firli dzieją się w nim samym. W nim się pojawiają, przekształcają, zanikają; w nim mają swoją siłę i kształt. To, że w pewnym końcowym, wydawałoby się, „znaczącym" momencie zamieniają się w płótna czy papier pokryty farbą – nie jest już tak istotne. To autor nosi w sobie całe potencjalne malarstwo, całą literaturę, sztukę, filozofię. W nim pojawiają się wszystkie odcienie szarości, niuanse kolorystyczne i wszystkie rozkoszne niedopowiedzenia. Pewna ich część jest „nazwana", co nie znaczy, że zrozumiana i poznana. Mam nadzieję, że autor zgodzi się ze mną, iż nie ma takiego narzędzia, które potrafi oddać to, co widzimy i czujemy. Obrazy są jedynie oknami, w których jest sen, projekcja, marzenia; są próbą nazwania, a raczej dotknięcia. Można je traktować jak owoce bezradności, wobec siebie samego, wobec istnienia i tego, co ze sobą niesie. W przypadku twórczości Bronisława Firli ten przepływ myśli, obrazów, stanów i dotyków owocuje niezwykle twórczo i oryginalnie, czego dowodzi bielska wystawa.

Na organizowanej przez Biuro Współpracy Kulturalnej i Artystycznej z Polonią Świata ekspozycji możemy oglądać w pełni retrospektywny dorobek, począwszy od malarstwa i akwareli, poprzez rysunek, grafikę, aż do aktualnie podejmowanych działań zmierzających do uproszczenia formy i koloru na rzecz ważnych treści i odniesień do rzeczywistości. Wszystko to znakomicie wyważone i przemyślane.

Niezwykle zróżnicowana i bogata w treści twórczość artysty daleka jest jednak od egzaltacji i uniesień, co sprawia, że znajduje wielu amatorów.

Tekę przeszłości, zaklęty narkotyk podróży, szkice wspomnień, dotknięcia marzeń odchodzące w przestrzenne „enviroment", trzeba obejrzeć, przeżyć i samemu ocenić.

BEATA MARIA GODEK



BRONISŁAW FIRLA – olej

ROWEREM DO ŹRÓDEŁ OLZY

W roku 1998 rozpoczął Władysław Kristen, kierownik Klubu Propozycji działającego w MK PZKO Czeski Cieszyn Centrum, poszukiwanie źródeł rzeki Olzy, które zostało uwieńczone sukcesem. W roku 1999 odbyła się pierwsza wycieczka do źródeł Olzy – pod górę Gańczorkę (909 m) leżącą na terenie Istebnej Zaolzia, części tzw. Trójwsi. W roku następnym pod Gańczorkę przybyło także wielu znanych zaolziańskich działaczy, bowiem spotkanie u źródeł było swego rodzaju wiecem przed wyborami do samorządów okręgowych.

W roku bieżącym zaplanowano wycieczkę do źródeł Olzy na dzień 22 kwietnia, który obchodzony jest jako Dzień Ziemi. Organizatorami wyprawy nazwanej „Rowerem do źródeł Olzy" byli: Zarząd Główny PZKO oraz czeskocieszyński Klub Propozycji i jabłonkowskie MK PZKO, PTTK Odział Beskid Śląski i Turystyczny Klub Kolarski Ondraszek z Cieszyna oraz Drużyna Kolarska TJ Slavoj z Czeskiego Cieszyna. Impreza stała się przedsięwzięciem międzynarodowym, toteż przebiegała pod patronatem Euroregionu Śląsk Cieszyński, swego poparcia udzieliły jej też władze powiatu cieszyńskiego, Trójwsi, Czeskiego Cieszyna i Jabłonkowa.

Początek trasy rowerowej znajdował się w Lasku Miejskim w Jabłonkowie. Pomimo niesprzyjającej pogody (deszczu, który wiernie towarzyszył rowerzystom, a pod górą zamienił się w śnieg, i temperatury koło zera) prawie setka kolarzy stanęła na starcie. Powitał ich sztab organizacyjny, któremu przewodzili: prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa, główny pomysłodawca imprezy Władysław Kristen i Zbigniew Pawlik z cieszyńskiego TKK Ondraszek. Do Lasku Miejskiego przybyli także starosta powiatu cieszyńskiego Witold Dzierżawski i prezes komitetu turystyki Ewa Gołębiowska, sekretarze Euroregionu Śląsk Cieszyński Václav Laštůvka i Bogdan Kasperek, prezes PTTS Beskid Śląski Tadeusz Stec, przedstawiciel bielskiego oddziału Stowarzyszenia Wspólnota Polska i inni.

Trasa wiodła drogą koło Olzy, omijając przejście graniczne w Bukowcu, rowerzyści pilotowani byli przez radiowozy policyjne. Na parkingu pod Gańczorką pozostawiono rowery, każdy z uczestników rajdu zabrał kamień i zaniósł go do źródła Olzy. Tam czekał Józef Broda z trombitą. Przeczytano Apel Ziemi. Na kamieniu, spod którego wytryska źródło, odsłonięto tablicę z napisem Olza, zrobioną z piaskowca spod Goduli.

Przemoczeni i zmarznięci kolarze mogli wreszcie zagrzać się w Schronisku Młodzieżowym Zaolzianka, gdzie zjedli grochówkę i odsap-



nęli. Organizatorzy wręczyli tu dyplomy wszystkim uczestnikom rajdu, były też nagrody w postaci albumu o Olzie, specjalne nagrody otrzymali m.in. najstarszy i najmłodszy uczestnik wycieczki.

Tą samą drogą wracali następnie wszyscy, pokonując ponownie dwudziestokilometrową trasę do Jabłonkowa, gdzie w Lasku Miejskim zakończono imprezę.

Miesiąc później – 25 maja – spotkali się jej uczestnicy ponownie, choć tym razem było ich niewielu, w sali Teatru Lalek Bajka w Czeskim Cieszynie. Prawie dwie godziny trwał seans filmowy będący powrotem do rajdu rowerowego, nakręcono bowiem w czasie wycieczki do źródeł Olzy dwa filmy wideo. Władysław Kristen przypomniał krótko historię wypraw do źródeł Olzy. On sam jak i inni organizatorzy mogą być w pełni usatysfakcjonowani, impreza rozrasta się, można powiedzieć, że staje się tradycją, i na pewno warta jest kontynuowania.

C.R.



KONCERT WIOSENNY W MOSTACH

Mosty koło Jabłonkowa słyną z muzycznych spotkań, na które przychodzą nie tylko tutejsi mieszkańcy. Dzieje się tak, bo na sławę Miejscowego Koła PZKO od lat pracuje chór mieszany Przełęcz, odnosząc sukcesy również poza granicami RC.

Koncert Wiosenny w Mostach odbył się 13 maja. Na jego program złożyły się muzyczne prezentacje chóru Przełęcz i Zespołu Estradowo-Kabaretowego Andrusi ze Skrzeczonia, działającego pod kierownictwem artystycznym Czesława Bugdola.

Przełęcz zaproponowała słuchaczom m.in. utwory takich kompozytorów jak: Paweł Kaleta, Józef Świder, Stanisław Moniuszko czy Brahms i Lehar. Partie solowe wykonali Elwira Zwyrtek i Władysław Czepiec. Dyrygentem chóru i jednocześnie jego kierownikiem artystycznym jest Halina Niedoba. Chór ma już w roku bieżącym za sobą sukces w postaci koncertów, które odbyły się w końcu kwietnia w Pradze. Pierwszy



(można by rzec z klasycznym repertuarem chóru) miał miejsce w teatrze Divadlo Gong Praha w obecności ambasadora RP w Pradze Andrzeja Krawczyka, dwa kolejne z odmiennym repertuarem w praskich kościołach na Starym Mieście. Przełęcz, nie po raz pierwszy zresztą, wykonała „Mszę Wielkanocną" Stanisława Boguni (kompozytora, profesora AMU i dyrygenta orkiestry symfonicznej Czeskiego Radia – rodem z Karwiny), który akompaniował zespołowi na organach.

Uczennice polskiej szkoły w Mostach Anna Niedoba i Magda Niedoba zadedykowały swoje piosenki mamom z okazji ich święta.

W drugiej części wystąpili skrzeczońscy Andrusi, którzy od lat bawią publiczność nie tylko na Zaolziu, ale i po drugiej stronie granicy. Ich występ w Mostach, gdzie zaprezentowali m.in. folklor skrzeczoński, popularne polskie piosenki i kuplety żydowskie, wzbudził wiele uśmiechu wśród publiczności, a jednocześnie poczucie szczególnej więzi z zespołem, bowiem jeden z jego członków, a jednocześnie prezes MK PZKO w Skrzeczoniu Bogusław Czapek pochodzi z Mostów. E.S.





WYSTAWA Z OKAZJI DNIA MATKI

Klub Kobiet i Zarząd Miejscowego Koła PZKO Trzyniec Łyżbice Wieś zorganizowały w dniach 18–20 maja wystawę robót ręcznych z okazji Dnia Matki. Wystawa miała miejsce w starej szkole w Łyżbicach, gdzie Koło ma swoją siedzibę. Koło posiada około 200 członków, a jego prezesem jest Tadeusz Supik. Najstarszym członkiem Koła jest urodzony w roku 1904 Józef Kucza. Klub Kobiet tworzą 23 panie, którym przewodniczy Anna Sikora. To dzięki jej niezwykłym zdolnościom plastycznym wystawa miała szczególny charakter, tradycyjne obrusy i serwetki nabrały odświętnego kolorytu, dzięki przyozdobieniu ich kompozycjami z kwiatów żywych i suszonych. Pani Anna przez cały rok zbiera i suszy kwiaty, często przywożone z dalekich podróży, a potem układa je w kompozycje o bardzo różnych kształtach. A że nie tylko kwiaty można suszyć i układać, mogli zauważyć zwiedzający wystawę, na której wyeksponowany był letni kapelusz przyozdobiony wysuszonymi plastrami cytryn i pomarańczy, oczywiście dzieło rąk pani Anny.

Dodatkowymi eksponatami wystawy były torty różnych kształtów. Organizatorzy wystawy nie zapomnieli również o czymś dla ciała, czyli o jedzeniu, a można tu było zjeść smaczny obiad (i to bardzo tanio) i uzupełnić go słodkościami i kawą. Oczywiście, dodatkowo, każdy zwiedzający, biorąc udział w loterii, miał pewność wygranej, z której każda pani była bardzo zadowolona. Trzeba dodać do wszystkich pochwał jeszcze jedną, niezwykle rodzinną atmosferę, którą stworzyli organizatorzy wystawy, toteż wpadając tu na chwilę pozostawało się na długie godziny.

E.S.



SPOTKANIE Z AMBASADOREM

W związku z wizytą w Ostrawie nowego ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej w Pradze dr. Andrzeja Krawczyka 22 maja w Konsulacie Generalnym w Ostrawie odbyło się spotkanie z przedstawicielami polskich organizacji kulturalno-społecznych. Spotkanie miało na celu zaprezentowanie problemów nurtujących Polaków na Zaolziu. Okazało się, nie po raz pierwszy zresztą, że jest dobrze, bo faktycznie w zakresie działalności kulturalnej dzieje się bardzo dużo, o wiele gorzej z działalnością gospodarczą. Czas płynie , nie mamy hotelu Piast, nie mamy Domu Polskiego w Ostrawie, są nowe problemy finansowe ZG PZKO, pozostaje, zawężana do coraz mniejszego kręgu rodaków, nadzieja na pozytywną zmianę.

W spotkaniu uczestniczyli także konsul generalny Marek Masiulanis i konsul Małgorzata Filipek, których działania na rzecz pomocy Polakom na Zaolziu uczestnicy spotkania ocenili bardzo wysoko.

Nowy ambasador RP w Pradze Andrzej Krawczyk z uwagą wysłuchał wszystkich wypowiedzi, przy czym z pewnością działalność Polaków na Zaolziu nie jest mu obca, bo w niedawnej przeszłości pełnił funkcję prezesa Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie, z pomocy której korzystały również zaolziańskie organizacje. Wcześniej dr Krawczyk jako historyk, pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego, zajmując się problematyką Czech, często odwiedzał czeskie archiwa.

E.S.

MAJ NAD OLZĄ

Maj, który obfituje w skłaniające do wypoczynku dni świąteczne, nazywany ponadto często najpiękniejszym miesiącem w roku, kusi świeżą zielenią, namawia do spacerów, do relaksu na świeżym powietrzu. A jeśli dodatkowo można ten relaks wzbogacić o przeżycia artystyczne...

Już po raz szósty odbyła się w maju na terenie uzdrowiska w parku obok Domu Zdrojowego w Karwinie Darkowie impreza o nazwie Maj nad Olzą. Cztery niedzielne majowe popołudnia (6, 13, 20 i 27 maja) oraz dwa świąteczne wtorki (1 i 8 maja) mogli mieszkańcy Karwiny i okolic, ale również przebywający w darkowskim uzdrowisku goście z całego kraju i zagranicy spędzić przyjemnie, oglądając występy kilkunastu zespołów polskich i czeskich.



Tegoroczny Maj nad Olzą rozpoczęła orkiestra dęta Májovák z Karwiny, orłowska Orlovanka i zespoły folklorystyczne Skotnica oraz Skotniczka z Orłowej Lutyni, która w roku 1996 po raz pierwszy zaprezentowała tu „stawiani i bulani moja", który to zwyczaj stał się tradycją tej imprezy. O „bulani moja" postarał się w tym roku zespół Suszanie, zamykający Maj nad Olzą 2001. Zaolzie reprezentowali podczas majowych spotkań z publicznością także Górole z Mostów koło Jabłonkowa oraz Gimnastycy z Wędryni, którym wyjątkowo nie dopisała pogoda, co nie przeszkodziło im w pokazie swych umiejętności w sali Domu Zdrojowego. Ciekawym uzupełnieniem Gimnastyków był tego dnia pokaz walk Wschodu w wykonaniu Wingchun Klubu z Hawierzowa. Natomiast obok mosteckich Góroli w pierwszą niedzielę maja zaprezentował się zespół folklorystyczny Olšina z Pietwałdu. Występowały też w Darkowie: kapela ludowa Galánečka, dziecięcy zespół folklorystyczny Vonička z Hawierzowa, zespół folklorystyczny Hlubina z Ostrawy oraz orkiestra dęta Malá černá hudba z Karwiny. Nie zabrakło gości z Polski. Symbolem długoletniej współpracy Karwiny i Wodzisławia Śląskiego był program Zespołu Pieśni i Tańca Vladislavia z tego miasta. Podczas swych wojaży po Republice

Czeskiej trafił też do Darkowa Górniczy Chór Męski z Lubina. Imprezie majowej towarzyszyła wystawa plastyków karwińskiego Art Klubu.

Organizatorami Maja nad Olzą są Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w RC, Państwowe Kąpiele Lecznicze Darków i miasto Karwina. Ale główny trud przygotowania i przeprowadzenia całej akcji spoczywa właściwie na barkach dwóch ludzi: Józefa Chmiela i Eugeniusza Matuszyńskiego (na zdjęciu w towarzystwie wiceburmistrz Karwiny Gabrieli Mrózek z tarasu Domu Zdrojowego oglądają występ zespołu Suszanie).

Józef Chmiel i Eugeniusz Matuszyński po zakończeniu szóstej edycji Maja nad Olzą chętnie zgodzili się na rozmowę, by opowiedzieć o swojej imprezie.

Maj nad Olzą wymyślił Józek Chmiel – stwierdził Eugeniusz Matuszyński.

To było tak – rozpoczyna swą opowieść Józef Chmiel – *Na zebraniu Sekcji Folklorystycznej Daniel Kadłubiec powiedział, że trzeba coś wymyślić dla tych dołów. Gorole mają Gorolski Święto, Cieszyn Święto Trzech Braci. Siedziałem w domu i rozmyślałem, że w tej Karwinie nie ma gdzie zrobić takiej akcji, tylko w Darkowie. Tu można pokazać nasz folklor ludziom z całego kraju. W Sekcji Folklorystycznej wszyscy się zgodzili, że to dobry pomysł, poparł go również Komitet Miejski PZKO.*



Komitet Miejski PZKO uchwalił – kontynuuje Eugeniusz Matuszyński – *że delegacja pójdzie do starosty Karwiny Lubomíra Kuznika prosić o pieniądze. Dostaliśmy pieniądze z miasta i z ZG PZKO. Po dwóch latach nadszedł kryzys finansowy... I w końcu zostaliśmy na to organizowanie sami dwaj.*

Kiedy zaczynaliśmy – przypomina Józef Chmiel – *przez pierwsze dwa lata był z nami jeszcze śp. Janek Sikora ze Starego Miasta. Od trzeciego rocznika ciągniemy to sami. Geniek Matuszyński troszczy się bardziej o sprawy finansowe, kontakty urzędowe z uzdrowiskiem, które zapewnia podium, w razie niepogody lokal, posiłki dla zespołów, ja organizuję zespoły. Trzeba podkreślić, że od początku jest to impreza międzynarodowa, co roku są zespoły z Polski, był nawet dziecięcy zespół z Węgier. Mamy bardzo dobre kontakty z polskimi zespołami z pogranicza, była tu np. Równica, Beskid, bardzo dobre, a u nas mało znane. Ale oni o nas, o tym, że są tu Polacy, też nie wiedzą. I trzeba im to tłumaczyć, prezentować ten region.*

Moi rozmówcy, którzy są nawet konferansjerami podczas programów majowych i przewodnikami po okolicy dla przyjeżdżających tu zespołów, uważają, że Maj nad Olzą jest ważną imprezą i trzeba ją bardziej reklamować. Mają pretensje do zaolziańskich mediów, że mało o niej mówią. *Doły trzeba popierać* – podkreśla Józef Chmiel – *i pokazać, że my tu istniejemy, że mamy swoją kulturę, że nie mamy się czego wstydzić.* Maj nad Olzą jest dobrym do tego pretekstem. A największym marzeniem Józefa Chmiela jest, by dożyć chociaż dziesiątej edycji tej imprezy.

C.R.

JUBILESZOWE PRZEDSTAWIENIE

W majowym numerze Zwrotu ukazał się artykuł na temat historii polskiej szkoły w Karwinie Nowym Mieście. Swój jubileusz pięćdziesięciolecia szkoła obchodziła bardzo uroczyście i radośnie 26 maja. W Domu Kultury uczniowie i nauczyciele szkoły zaprezentowali dwuczęściowy program artystyczny. Na pierwszą część programu złożyło się widowisko opracowane na podstawie „Czarnej Julki" Gustawa Morcinka z okazji 110. rocznicy urodzin pisarza. Wyboru tekstów dokonały Halina Kowalczyk i Jadwiga Palowska, która opracowała scenariusz i widowisko wyreżyserowała. Występowali uczniowie, nauczyciele, nawet ksiądz katecheta i przedszkolaki, które wzbudziły szczególny zachwyt widowni.

W drugiej części programu widzowie obejrzeli przedstawienie „Bunt w bajkach" według scenariusza Lidii Pawlas i Zofii Wójcik, w reżyserii

Jadwigi Palowskiej, w opracowaniu muzycznym Wiesława Farany. A po niej nastąpiły życzenia składane na ręce długoletniej dyrektor tej placówki oświatowej Jadwigi Palowskiej. Nie po raz pierwszy okazało się, jak wiele dobrego dzieje się w tej szkole, czego przykładem było przedstawienie i jego wykonawcy, wszechstronnie utalentowani, pięknie posługujący się językiem polskim, tak jak ich nauczyciele.

Z okazji jubileuszu Polska Szkoła Podstawowa w Karwinie Nowym Mieście wydała bogato ilustrowaną okolicznościową publikację „Szkoło, Ty naszą bądź".

E.S.







FRYSZTACKI KLUB PROPOZYCJI Z AKTORAMI SCENY POLSKIEJ

Klub Propozycji działający w Miejscowym Kole PZKO w Karwinie Frysztacie, kierowany przez Danutę Ondruch, organizuje m.in. wieczory literackie i spotkania z ciekawymi ludźmi. 29 maja odbyło się spotkanie, które było połączeniem tych dwóch propozycji.

Do Frysztatu przybyła aktorka Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego Halina Pasekowa i kierownik artystyczny tej sceny, aktor i reżyser Rudolf Moliński. Wszystko o kobietach – taki tytuł dano wieczorowi wierszy i monologów w wykonaniu Haliny Pasekowej. Sekundował jej Rudolf Moliński, dowcipnie i z wdziękiem zapowiadając kolejne obrazy kobiecej metamorfozy oraz wygłaszając krótkie teksty wprowadzające do szerokiego tematu kobieta element męskiego sposobu myślenia.

Od wierszy o kobiecie–matce, jako tej jedynej i najważniejszej, rozpoczęła Halina Pasekowa. Był to ukłon w stronę wszystkich matek z okazji ich majowego święta. W wierszach poetów znanych i mniej znanych, ale także w pisanych prozą monologach scenicznych zaprezentowała następnie różne wcielenia kobiet, z wielkim wyczuciem oddając emocje towarzyszące ich życiu we wszelkich jego przejawach.

C.R.





PROF. JÓZEF BORZYSZKOWSKI W KARWINIE

29 maja w Bibliotece Regionalnej w Karwinie Frysztacie odbyło się spotkanie z prof. Józefem Borzyszkowskim z Uniwersytetu Gdańskiego, prezesem Instytutu Kaszubskiego w Gdańsku, na temat obecności Kaszubów w Polsce. Artykuł wprowadzający w problematykę ukazał się na łamach majowego Zwrotu. Organizatorem spotkania była Biblioteka Regionalna w Karwinie przy współpracy Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Książki.

(red)

Fotografie w kronice: str. 35 – WŁADYSŁAW KRISTEN, str. 41, 42 – CZESŁAWA RUDNIK, pozostałe – FRANCISZEK BAŁON

WILHELM PRZECZEK

STULETNI KALENDARZ (fragment)

Śpiew się już w pamięci zagubił
i zatarł
Muzykę obudzi
wierzbowa fujarka
Śpiewa drewno Śpiewa kamień
Beskid się zamienił w granie
Owies w żółtej koszuli
Owies na poletkach
Konie w gronie zapatrzone
Pies z kopca zaszczekał

Koliba Koliba
Kozubową widać

Chmury zmieniają letnią sierść
Zaraz opadnie gwiezdny deszcz

Równiny poza słońcem są cierpkie
Potoki wzburzonych soków
toczę się w dół
A przez krajobraz szum

Koliba Koliba
Beskid nas przyzywa
Owieczki Owieczki
Narodził się przesyt

Głowo wypełniona kwiecistą nadzieją
Szumiąca głowo
Za siedmioma górami
Za siedmioma lasami
Za siedmioma rzekami
uwierzyłem słowom
A tu tęcza spleciona jak warkocz
A tu wierzby zielone płaczą
Koliba Koliba
W kopce se zadziwać

Wiosna
ufność serdeczna
Wiosna
Bociany Bociany Bociany
Wiosna
zielone poletka
pejzaż połatany
Wiosna
Słońce na krosnach lasu
tka koszulinę rubaszną
Listeczku dębowy
Deszczu zielonkawy
zwilżysz nasze sprawy

Koliba Koliba
a dnia nam przybywa

Lato
miód kapie w pasiekach
Lato
słodyczą przecieka
Lato
jesteśmy drobinami światła
którym sprzyjał mrok
Lato
lipiec zbadał
odżywczy sok

Koliba Koliba
sierpień usiadł w żniwach
Jesień
wiatr liście odniesie
Jesień
drzewa w sadach czesze
Jesień
na kartofliskach
ogniska
Jesień
z twarzą zamgloną
Jesień
urodzaj plonów

Utwór ukazał się w lustrzanej czesko-polskiej wersji, wydany przez Zrzeszenie Literatów Polskich w RC przy wsparciu finansowym Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP.

WSZĘDZIE DOBRZE, ALE W NIEBIE NAJLEPIEJ

Kochana Żono! Odbyłem podróż, której bezpośrednią przyczyną było eleganckie zaproszenie na kartce pergaminu. Złocista koperta uderzyła mnie aureolą lekkości. Zapach kobiecych perfum skrzętnie ukrył podstęp kryjący się pod postacią (szczęśliwego?) posiadacza władzy. Słowa ubrane w elegancki surdut same układały się na kartce, umiejętnie posługując się kluczem savoir vivr'u. Nieszczęsny uwierzyłem w utopię, której finał spotkałem na cmentarzu. Z bezpośredniej rozmowy Mistrza Polikarpa ze Śmiercią wyciągnięto konkretne wnioski. Starano się kiedyś zebrać i kompleksowo wydać te opowieści, ale współcześnie zachowało się tylko kilka egzemplarzy nieoryginalnego wydawcy, a podróbek nikt nie czyta. Zresztą kogo - ze współcześnie żyjących przedstawicieli renesansu - interesują tego rodzaju rozważania, traktujące o bycie jednostki i jej potyczkach ze śmiercią.

Podróż była przyjemna, lecz męcząca. Wśród wielu wyszukanych epitetów myśl skierowała się właśnie w stronę wyżej wymienionych. Przyzwyczajony od dawna do dworcowych potyczek byłem jednak lekko zdegustowany atmosferą panującą w tym mieście. Nie dość, że grubo ponad godzinę, wśród zatłoczonych peronów, zabawiałem się w kotka i myszkę, szukając zagubionego i całkowicie zdezorientowanego gościa, to klimat przygnębienia, jaki wisiał niewątpliwie w powietrzu, zadomowił się w barkach, kolanach, stawach ciała zdolnego przecież - a to nie raz - wykonać zadziwiające wariacje. Namacalnym dowodem na ogólną polityczno-społeczną dyskredytację namiestników Pana świata - skądinąd niezmiernie przyjaznego wszelkiemu ludowi - jest totalne nieporozumienie na szczeblu istot słabych, by nie rzec prymitywnych. Jednak właśnie one są owym budulcem, na którym opiera się cały aparat władczy. Ignorując nieustanne wezwania o pomoc - nie podejmując żadnych działań - porusza się (aparat) po ulicy z lekkością motyla, żerując z impertynencją bielinka.

Swą osobą zdecydowanie nie pasuję do realiów, które zabiegają o względy obcych, chłonących bez przerwy to i owo. Dosłownie wyrywając z paszczy lwa odrobinę krokodylego kompromisu, żerują na własnych ziomkach niczym poeta na zesłanym przez los talencie. Zadziwiające jest to, że wszyscy o tym wiedzą, a nikt nic nie mówi? Tłumaczono mi, że tak właśnie jest i zawsze było. System stworzony przez człowieka w erze Adama i innych gadów przetrwał do dziś i - niestety - nie widać końca.

Generalnie rzec biorąc, nie jest aż tak źle. Trzeba tylko opanować uczucia i ich samoczynne wyłączenie się z krwiobiegu życia. W każdym bądź razie, cokolwiek by się nie zdarzyło, trzeba zachować zimną krew. I faktycznie. Na samym wejściu, podczas wspomnianego już spaceru (z własnej nieprzymuszonej winy) ocknąłem się na dworcu II kategorii. Jego cuchnące podziemne przejścia roiły się od wszelakiej gawiedzi, której podstawowym celem w życiu doczesnym jest obrona egzystencji, jakakolwiek by nie była. Wegetując w ten sposób, uzewnętrzniają, doskonalony przez lata praktyki, instynkt samozachowawczy.

Wracając jednak do sedna sprawy; na swej drodze spotkałem anioła. Z wyglądu wcale nie przypominał istoty boskiej. Jego czarna twarz doskonale korelowała z czupryną rozczochraną na cztery strony świata. Wzywając do pojednania, błaga ludzi dobrej woli o współczucie dla potrzebujących życia i śmierci. Anioł, który pod żadnym pozorem nie chce się zdradzić, zdecydowanie odstaje od reszty.

Skąd wiem, że to anioł? Gdy w pośpiechu minąłem go, pobieżnie wprawdzie, lecz z fotograficzną dokładnością zapamiętałem tego wyjątkowo szpetnego osobnika. W jego gardzieli utknęła kość niezgody. Trzymając się ogólnospołecznych zasad, nie starał się zbytnio wychylać. Współobywatele nie mają więc prawa narzekać. Krzywdząc jedynie chodnik, anioł deptał go z nieodpartą pokusą pokonania samego siebie. Gdyby nie był obarczony przymusem opuszczenia tego miejsca, a sądząc po wyglądzie, powodów ku temu było bez liku, pewnie wydeptałby w tym miejscu okopy. Wracając, natknąłem się na dziecko (narzędzie pracy anioła). Dziecko było nieumyte, ubrane w wyświechtaną koszulkę, która uwydatniała wyraz przygnębienia i strachu przed kolejnym dniem. Uśmiechające się buty wysuwały jęzor, zlizując resztki jedzenia z zabrudzonych betonowych płyt. Ludzie wyrzucają i wypluwają sporo takich „okruszków". Wraz ze śliną - organiczna substancja mająca na celu pomóc żołądkowi w trawieniu - na ulicy lądują kilogramy niespożytej w żaden sposób energii. Toteż nic dziwnego, że młody anioł z - z dokładnością technologii cyfrowej - przeszukiwał niczym detektor kosze na śmieci, ławki, stoliki barowe, a nawet kratki ściekowe i rynsztoki. Dziecko trzymało w ręku lalkę. Natomiast druga dłoń była zajęta walką z reklamówką, która dosłownie kipiała obfitością jedzenia. Obraz totalnej ignorancji dworcowej gawiedzi uzupełniał fakt, że uszy reklamówki powoli obrywały się. Pomimo tego dziewczynka nie rezygnowała z walki o własny byt i istnienie jej przewodnika; starszego i niewątpliwie bardziej doświadczonego. Widok ten poruszył mnie dogłębnie. Zatrzymałem się. Wzrok anioła wzbudził we mnie nieodpartą pokusę sprostania czemuś, o czym na razie nie miałem zielonego pojęcia. Stało się. Jakiś wewnętrzny głos, uniósłszy ciało w powietrzu, wyda-

jąc niejako rozkaz zajęcia się reklamówkami - całym prawie dobytkiem kobiety i dziecka - przełamał mnie w pół i podniósł podręczny dom anioła. Z mej strony bohatersko wydostałem błagających o miłosierdzie na powierzchnię, by chociaż przez chwilę opuścić zdradzieckie podziemia. Moja pasja wyrywania się śmierci spod kosy raptem przerodziła się w samobójczy wyrok na własne ręce i serce, które z tęsknoty za domem potęgowało swe nadczłowieczeństwo i ogrom czerwonych krwinek.

Anioł podziękował mi i odszedł. Stałem i spoglądałem w jego stronę i w stronę dziecka. Wzrok przykleił się do lalki. Ciągnęła mnie niczym na żyłce. Teraz dopiero zauważyłem kalectwo na lewej nodze szmacianej imitacji ludzkiego losu. Na odchodne ta silikonowa ślicznotka zdążyła raz mrugnąć jednym okiem (drugie skaleczone jakimś ostrym przedmiotem). Na końcu ulicy Dworcowej poznało ono, co to smak ulicznego kurzu. Nie byłem w stanie pojąć, dlaczego moje nogi wbiły się w ziemię. Pragnąłem pobiec za kobietą i pomóc jej z tymi cholernymi reklamówkami. Jednak stałem niczym sie-kiera wbita w dębową podłogę. Stałbym tak pewnie ze sto lat, gdyby nie TO. Na horyzoncie, w tym miniaturowym punkciku, gdzie straciłem anioła z oczu, rozbłysło światło; aura szczęśliwości zapewne. Niebiańska jasność, której oblicze podniecało dobrocią. To znak - pomyślałem. Moje marne życie urzeczywistni się w utopijnej Nibylandii.

To istny cud; prawdziwe olśnienie z aureolą w tle... to wypadek i migające światła karetki... to anioł wrócił do domu.

MAREK SŁOWIACZEK

NA NASZEJ SCENIE

POWRÓT MELPOMENEK?

Melpomenki to funkcjonujące na Zaolziu hasło, które wywołuje sentymentalne wspomnienia przede wszystkim średniego pokolenia Zaolziaków. Po raz pierwszy bowiem odbyły się 30 października 1976 roku w Bystrzycy. Organizatorem Melpomenek - przeglądu małych form pracy scenicznej - była wtedy Komisja Teatralna i Żywego Słowa przy Zarządzie Głównym PZKO. Wzięło w nich udział dziewięć zespołów, składających się w przeważającej części z młodych ludzi, którzy zaprezentowali programy estradowe, skecze, kabarety, widowisko poetyckie oraz monodram. Prowadzącymi przegląd byli ludzie zajmujący się teatrem profesjonalnie, czyli Karol Suszka

oraz Marek Mokrowiecki, który jednocześnie pełnił rolę oskarżyciela, zaś obrońcą zespołów był Rudolf Moliński.

Melpomenkom od początku towarzyszyły dyskusje, na ile są imprezą ważną, potrzebną, na ile zaś służą tylko wąskiej grupie ludzi. Obrońcy podkreślali prężność tej imprezy, która raz w roku gromadziła przez dwa dni około stu uczestników, z których połowa co roku zmieniała się. Młodym ludziom dawały Melpomenki możliwość przekazania swoich myśli i przekonań w sposób niekonwencjonalny, taki, który wydawał im się w danej chwili najodpowiedniejszy. Nie narzucały formy wypowiedzi, otwartość formy była zawsze jedną z głównych cech Melpomenek.

Małe formy sceniczne to wiele teatrzyków, z których kilka zapisało się w pamięci widzów szczególnie mocno. W latach 1976-82 działał pod kierunkiem Marka Mokrowieckiego i Karola Suszki Teatrzyk ZG PZKO, którego premierowe spektakle oglądała publiczność bystrzyckich Zlotów Młodzieży Związkowej. Zespół o ambicjach literackich - Kabaret Przy Stole Karola Kawuloka z Nawsia - działał od roku 1975, był twórcą imprezy Wielki Szpan. Z Cierlicka wywodził się teatrzyk Apropo Jana Przywary. W Suchej Średniej powstał Teatrzyk Bla-Bla-Bla Stanisława Jedzoka. To już początek lat osiemdziesiątych. Ikra i Teatr Imienia Majora Szmauza są przedsięwzięciami, z którymi wiąże się m.in. nazwisko Janusza Klimszy. Internatowe Kursy Reżysera i Aktora i kursy zorganizowane przez Gminę Artystyczną Imienia Majora Szmauza odbywały się także w latach dziewięćdziesiątych.

Melpomenki 2001, jako próba powrotu do sprawdzonej wiele razy formuły konkursu przedstawień zespołów małych form scenicznych z oskarżycielem i obrońcą oraz Laurem Melpomenkowym dla zwycięzcy, jako próba przeglądu swobodnej scenicznej wypowiedzi przede wszystkim młodego pokolenia, odbyły się 28 kwietnia w restauracji U Samca w Koszarzyskach. Poprzedzało je udane spotkanie byłych członków Teatrzyku ZG.

W Melpomenkach 2001 wziął udział tylko jeden zespół (inne zgłoszone zespoły z przyczyn obiektywnych nie dojechały), była to Sz.K.A.P.A., czyli Szkolne Kółko Alternatywnych Prezentacji Artystycznych, teatr przedmiotu, który w Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie prowadzi Władysław Kubień. Zaprezentował dwa nowe spektakle „Przystanek" oraz „Bryły", z których to drugie zyskało większe uznanie widowni.

Głównym organizatorem imprezy było towarzystwo użyteczności publicznej Klub Kultury z Trzyńca, reprezentowany na Melpomenkach przede wszystkim przez Tadeusza Wantułę, związanego zresztą z tą imprezą od lat. Toteż zapytałam, czy to on jest głównym inicjatorem dzisiejszego spotkania i jak widzi przyszłość Melpomenek?

Tadeusz Wantuła: *Nie wiem, czy głównym inicjatorem, raczej realizatorem tego, co wydawało mi się, że gdzieś tam pączkuje i rośnie. A ktoś musi być tym piorunochronem, który to ściągnie. Ja myślę, że jest to w ludziach, w starym Teatrzyku. To, że dzisiaj jest nas tu tylu, ilu nas jest, to wcale nie jest źle, bo przyszli ci, którzy chcą coś robić i z których coś wyniknie. Tu się odwołuję do całonocnej dyskusji, która odbywała się przedtem, gdzie właściwie Teatrzyk niemal in corpore się stawił. Są to dziś ludzie w wieku 40–50 lat, zajmujący już poważne stanowiska albo będący poważnymi głowami rodzin, którzy stwierdzili, że może znowu nadszedł ten czas, że należy się powygłupiać z własnymi pociechami. Zadeklarowali, że będą pracowali ze swoimi dziećmi. Może za rok będzie pełna sala. Wydaje mi się, że jest jakaś szansa. Bardzo sympatycznie, że zespół Sz.K.A.P.A., że gimnazjaliści, że próbują coś robić. I koło nich też będzie się coś tworzyło, bo widziałem, że byli oni nie tylko na scenie, ale również na widowni. Tu nie ma żadnej formuły, żadnej definicji, żadnej recepty na sukces.*

O Melpomenki zapytałam również aktora i reżysera Bogdana Kokotka, który był także na spotkaniu Teatrzyku ZG, należy jednak do nieco młodszego pokolenia.

Bogdan Kokotek: *Tak się złożyło, że znam całą legendę i wszystkich tych ludzi i z chęcią podawałem im herbatę. Teatrzyk był tworem, który gdzie przyjechał, tam wygrał. Ale teraz ludzie nie są wcale mniej zdolni, wymaga to jedynie kogoś, kto uruchomiłby całą sprawę. Takimi ludźmi byli Marek z Karolem, a potem Janusz Klimsza, z którym też miałem zaszczyt wygrać np. kilka Šrámkowych Písków. Symptomatyczne jest to, że byli to profesjonaliści, amatorski teatr prowadzili profesjonaliści. Aktor na etacie w Scenie Polskiej powinien nie tylko grać na scenie, ale mieć rolę kulturotwórczą. A dzisiejsza impreza jest wynikiem kondycji zespołów.*

Swoje zdanie na temat Melpomenek przekazał mi także, przy innej okazji, Janusz Klimsza.

Janusz Klimsza: *Nie było mnie na tej ostatniej edycji, ponieważ miałem różne obowiązki w Ostrawie. Dla mnie Melpomenki to jest kwestia lat 70. i 80. i pewnego boomu ruchu młodzieżowego, który wiązał się ze Zlotem, z kursami wodzireja, kursami teatralnymi. Tych zespołów było multum, czasami było dwadzieścia propozycji i Melpomenki trwały dwa dni, ponieważ nie dało się tego zamknąć w jednym wieczorze. I była niesamowita podaż, jakby wygenerowana tym czasem. Wtedy to nawet była sprawa jakby prestiżu każdego z ludzi, który się tym parał, żeby tam być, żeby tam zaistnieć. W czasie największego nasilenia działało parę zespołów, które były konkurencyjne w ramach co najmniej regionu. I wszystko kręciło się koło Melpomenek i te Melpomenki były takim zarzewiem, które prowokowało. Prowokowały nawet powstanie pewnych rzeczy. Bo program robiło się na Melpomenki i miał jedną premierę, która była jednocześnie der-*

nierą. Nie wiem, nie orientuję się, czy w tej chwili jest okres takiego boomu, czy to nie jest właśnie sprawa tylko jakby sentymentalnego powrotu, czy może chęć wskrzeszenia tej iskry, żeby znowu była platforma, do której wszystko się dostosuje. Dla mnie jest to sprawa tego czasu, taka sentymentalna i sprawa raczej zamknięta.

Przez całą historię Melpomenek przewija się nazwisko Karola Suszki. Jak widzi ich przyszłość?

Karol Suszka: *Tamte Melpomenki się skończyły i rozpoczęły się następne. Jestem o tym święcie przekonany, że ten kwas, który był, on dalej jest i on wybuchnie przy najbliższej okazji. Ta Sz.K.A.P.A. jest tego zalążkiem, może są i inne zespoły, o których my nie wiemy. I to na pewno wybuchnie, ponieważ tego nie można wyeliminować, kultury, teatru, poezji, sztuki jako takiej nie można wyeliminować. Sztuka nie kończy się. To jest twardy realizm, historia powiedziała nam tyle razy, że nie można zlikwidować tego, co zapoczątkowano w starożytnej Grecji, tego, co mamy napisane, tego, co się dochowało i odmienia się w różnych formach. To nie jest tak, że po nas potop. Po nas przyjdą inni, lepsi, bo bogatsi o to, co żeśmy im dali, czego żeśmy ich nauczyli.*

CZESŁAWA RUDNIK

XII MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL TEATRALNY NA GRANICY

W dniach 15-19 maja przebiegał w Czeskim Cieszynie i Cieszynie XII Międzynarodowy Festiwal Teatralny Na Granicy. Głównymi organizatorami byli: Stowarzyszenie Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka Oddział Regionalny w Cieszynie, Stowarzyszenie Obywatelskie Człowiek na Granicy w Czeskim Cieszynie, Ośrodek Kulturalny i Społeczny Strzelnica w Czeskim Cieszynie oraz COK Dom Narodowy w Cieszynie. Na scenach Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie, Teatru im. A. Mickiewicza oraz Domu Narodowego w Cieszynie i na cieszyńskim rynku przedstawiło się kilkanaście teatrów z Polski, Republiki Czeskiej, Słowacji i Węgier. Dziesięć zespołów walczyło o główną Nagrodę Złamanego Szlabanu. W ośrodku Strzelnica czynny był, otwarty w ramach Festiwalu Na Granicy po raz drugi, Hyde Park. Imprezy towarzyszące to wystawy, np. Kantor - Cyrk Śmierci, i konferencja naukowa w Filii Uniwersytetu Śląskiego.

Jury, w którym zasiadali: Zuzana Jindrowa z Instytutu Teatralnego z Pragi, Zdeněk Tichý z dziennika Mladá fronta DNES, Zuzana Uličianská z bratysławskiego Instytutu Teatralnego, Huszár Szilvia z Instytutu Teatralnego z Budapesztu, Janusz Majcherek z pisma Teatr z Warszawy oraz Krzysztof Mieszkowski z pisma Notatnik Teatralny z Wrocławia, uznało, że nagrodę festiwalową powinna otrzymać międzynarodowa grupa taneczna Deja Donne z Pragi za spektakl „Aria Spinta", przygotowany przez artystów z RC, Włoch, Chorwacji, Bułgarii, Belgii i Francji, jako że najlepiej oddaje ideę łamania barier kulturowych i narodowych, łącząc w sobie różne gatunki sceniczne i twórców z różnych krajów. *„Aria Spinta" jest pewnym rodzajem kabaretu tanecznego w stylu New Age, zbudowanego na zasadzie cyrkowych klaunad muzycznych. Przedstawienie jest lekkie, łatwe i miłe. Prosta opowieść, tworzona zawsze od nowa przed oczyma widzów, pełna jest śmiesznych zdarzeń, pozornej niedoskonałości* - napisano w zapowiedzi spektaklu.

Przedstawienie nagrodzone obejrzeli widzowie w teatrze w Cieszynie. Wystąpił tam ponadto Lothe-Lachmann Videoteatr Poza z Warszawy, wykorzystujący *współistnienie na równych prawach planu aktorskiego z planem kaset i projekcji z kamer,* ze spektaklem „Akt-orki" według sztuk Helmuta Kajzara, w którym zagrali Jolanta Lothe, Jan Peszek i Maria Peszek. Akademia Ruchu z Warszawy, grupa twórcza działająca na pograniczu różnych dyscyplin: teatru, sztuk wizualnych, sztuki performance i filmu, przedstawiła „Przychodnię Exit", a wcześniej na cieszyńskim rynku plenerowe widowisko „Mauritius". Współczesną groteskową „Moralność pani Dulskiej" Gabrieli Zapolskiej w wykonaniu Teatru Współczesnego ze Szczecina przywiozła, goszcząca już po raz trzeci ze swymi spektaklami na Festiwalu Na Granicy, reżyser Anna Augustynowicz.

W Domu Narodowym w Cieszynie zaprezentowała krakowska Grupa Rafała Kmity spektakl autorski „Wszyscyśmy z jednego szynela", zainspirowany kulturą Rosji. „Proszę... zrób mi dziecko" Mirko Stiebera to festiwalowa propozycja Teatru im. Jerzego Szaniawskiego z Płocka w wykonaniu Hanny Zientary i Karola Suszki, którą można obecnie obejrzeć jako przedstawienie poza abonamentem również w Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego, Karolowi Suszce partneruje tym razem Anna Paprzyca.

Na cieszyńskim rynku oprócz wymienionej już Akademii Ruchu pokazał „Pochód" i „Vitéz László and the Cursed Mill" węgierski Teatr Mascarás z Budapesztu, nawiązujący w swych spektaklach do tradycji węgierskiego teatru jarmarcznego. Cieszyńskie Studio Teatralne, kierowane przez Bogusława Słupczyńskiego, znane z poprzedniego Festiwalu, przedstawiło „Znaki". Na Festiwalu Na Granicy gościł już także Teatr Strefa Ciszy z Poznania, który tym razem zaprezentował tzw. akcję uliczną „Wodewil miejski".

Po czeskiej stronie w teatrze w Czeskim Cieszynie zagrało Stowarzyszenie Teatralne Kaszpar z Pragi swego sławnego „Ryszarda III" Williama Szekspira

w reżyserii Jakuba Špalka z Janem Potměšilem w roli głównej. Słowacki Teatr Słowackiego Powstania Narodowego z Martina przedstawił także klasykę, i to w równie niekonwencjonalny sposób, było to przedstawienie „Don(a) Juan(a)" według komedii Moliera. Gospodarze - Scena Czeska Teatru Cieszyńskiego - zaprezentowali dramat Petera Shaffera „Equus". Teatr na Długiej (Divadlo v Dlouhé) z Pragi przywiózł „Kabaret Vian - Cami" w reżyserii Jana Borny, w którym m.in. śpiewano pieśni Borisa Viana i grano mikrokomedie Pierre'a-Henry'ego Cami.

Hyde Park, który usytuował się w tym roku na terenie ośrodka Strzelnica, był miejscem, w którym codziennie przez pięć festiwalowych dni od godzin popołudniowych do późnych wieczornych wymieniło się ponad dwadzieścia zespołów, które zaprezentowały ponad trzydzieści przedstawień i koncertów. Były to przede wszystkim zespoły teatralne i muzyczne, m.in. z Czeskiego Cieszyna, Trzyńca, Hawierzowa, Wędryni, Ostrawy, Brna, Pragi, Malovic, Hranic, jak również z Polski z Cieszyna, Poznania oraz ze Słowacji z Nitry, Rožňavy. Co ciekawe, były tu zespoły, które w latach poprzednich brały udział w głównym programie Festiwalu, stawały w szranki konkursowe, a nawet jak w przypadku Teatro Tatro Nitra wygrały Nagrodę Złamanego Szlabanu. Ale jeżeli, co można było zauważyć w wypowiedziach prasowych dyrektorów Festiwalu Mariana Dembinioka i Romana Rozbroja, nawet organizatorzy nie mają pełnej jasności co do formuły Festiwalu Na Granicy, nie można jej oczekiwać od widzów. Ważne, że mogą spotkać się zespoły i skonfrontować swoje poczynania z wynikami pracy innych grup, a widzowie skorzystają i wzbogacą się, być może, duchowo po owych doznaniach artystycznych.

O teatrze mówiono też w czasie Festiwalu w cieszyńskiej Filii Uniwersytetu Śląskiego, która była współorganizatorem międzynarodowej sesji teatrologicznej na temat: Teatry narodowe - tradycja i współczesność. Swoje referaty przedstawili: prof. dr hab. Eleonora Udalska z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach (Etos teatru narodowego we współczesnej kulturze), doc. dr Jan Hyvnar z Uniwersytetu Karola w Pradze (Koniec walk i bitw o czeski Teatr Narodowy?), doc. Phdr Zuzana Bakošowa-Hlavenkowa z Wyższej Szkoły Artystycznej w Bratysławie (Teatr - walka o przetrwanie /konflikt wartości/), prof. Karol Horak z uniwersytetu w Preszowie (Teatr alternatywny), prof. dr hab. Henryk Jurkowski z Akademii Teatralnej w Warszawie (Służba lalek), prof. dr hab. Emil Orzechowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie (Polskie teatry narodowe) i dr Aleksandra Humel z Uniwersytetu Śląskiego Filii w Cieszynie (Teatr Cieszyński w Czeskim Cieszynie - czeski i polski teatr repertuarowy). Uzupełnieniem ostatniego wykładu były fragmenty spektaklu Janusza Klimszy „O, jak ślicno familija, Józef, Jezus i Maryja".

CZESŁAWA RUDNIK

SEMINARIUM TEATRALNE W WĘDRYNI

Sekcja Historii Regionu działająca przy Zarządzie Głównym PZKO oraz Miejscowe Koło PZKO w Wędryni były organizatorami seminarium teatralnego **Polski amatorski ruch teatralny na Zaolziu**, które odbyło się 26 maja w wędryńskiej Czytelni. Miejsca tego nie wybrano przypadkowo, w Wędryni bowiem tradycje polskiego teatru amatorskiego sięgają do roku 1903, a to oznacza, że już prawie od stu lat oglądają tu widzowie przygotowywane przez sąsiadów i znajomych ze wsi przedstawienia w języku polskim.

Uczestników seminarium wprowadził w temat przewodniczący Sekcji Historii Regionu Otokar Matuszek, który był jednocześnie jednym z prelegentów. Powitania gości, wśród których znaleźli się m.in. konsul Małgorzata Filipek z Konsulatu Generalnego w Ostrawie, prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa, przedstawiciel Macierzy Ziemi Cieszyńskiej Tadeusz Zubek, dyrektor polskiej szkoły w Wędryni Marta Roszka, dokonał przewodniczący Rady Kultury ZG PZKO Jerzy Czap.

O początkach polskiego amatorskiego ruchu teatralnego na Śląsku Cieszyńskim i pograniczu ostrawskim aż do roku 1920 mówił Bolesław Orszulik. Przypomniał, że pierwszym polskim przedstawieniem byli „Chłopi arystokraci" Anczyca. Spektakl odegrany został w ramach wieczorów ratuszowych w Cieszynie 20 grudnia 1852 roku. Właśnie połowa XIX wieku to początek aktywizacji działalności społecznej także poza Cieszynem, wzrost świadomości narodowej i akcentowania odrębności etnicznej. Teatr, prezentujący język narodowy, odegrał tutaj swoją wielką rolę. Przez cały omawiany okres był teatr ważnym instrumentem społecznego działania, propagatorem polszczyzny, narzędziem w walce przeciw wynarodowieniu i asymilacji. Nie był teatrem ludowym w dzisiejszym znaczeniu tego słowa, zastępował teatr zawodowy.

Podobne znaczenie - narodowe i społeczne - miał teatr i w okresie międzywojennym. Okres ten omówił Otokar Matuszek. Podkreślił, że lata między dwoma wojnami światowymi to szczyt rozkwitu teatru amatorskiego w regionie obejmującym ówczesne powiaty czeskocieszyński i frysztacki. Doszło wtedy do ożywienia działalności starych zespołów i powstania nowych. Nie było kontaktu z teatrem zawodowym, ale każda miejscowość posiadała scenę amatorską. Najwięcej zespołów działało przy Macierzy Szkolnej, ale własne kółka teatralne posiadały także inne polskie organizacje. Repertuar stanowiły sztuki autorów polskich i obcych, ale także

rodzimych (np. Karol Berger, Ernest Farnik, Jan Szuścik, Gustaw Morcinek).

Otokar Matuszek podsumował też krótko szkolny ruch teatralny od połowy XIX wieku aż po dzień dzisiejszy. Teatry szkolne pomagają w wychowaniu młodego pokolenia, również w wychowaniu patriotycznym. Prelegent zwrócił uwagę na polskie przedstawienia przygotowywane przez uczniów szkół średnich i studentów, tak w okresie międzywojnia, jak i po drugiej wojnie światowej. Historia najnowsza to konkursy szkolnych zespołów teatralnych, organizowanych od roku 1959 przez PZKO.

Teatr amatorski po roku 1945 omówiła Aleksandra Humel. W badanym przez nią okresie 1945-1982 istniało sto zespołów teatralnych, chociaż niektóre z nich tylko krótko, które wystawiły dwa tysiące premier. 370 tytułów świadczy o tym, że niektóre pozycje znalazły się w repertuarze kilkakrotnie. W przeważającym stopniu były to komedie, powodzeniem cieszyły się też widowiska muzyczne, a nawet baśnie. Często grano sztuki pisarzy rodzimych, np. Adama Wawrosza, Karola Bergera, Ernesta Farnika, Władysława Niedoby.

Nie sposób streścić w tym miejscu referatów, które i tak zajęły się omawianą problematyką w sposób skrótowy i wyrywkowy, temat bowiem jest bardzo obszerny i nie sposób ogarnąć go i omówić w ciągu kilkudziesięciu minut. Dodatkową trudność, co podkreślali prelegenci, stanowi ulotność tematu, jakim jest teatr i przedstawienie teatralne, które trudno opisać i po którym zostają często tylko krótkie notatki w prasie czy kronikach.

Swoje refleksje o teatrze amatorskim przedstawił też Jerzy Cienciała, wieloletni kierownik wędryńskiej sceny teatralnej, autor wydanej w roku 1998 z okazji 95-lecia amatorskiego ruchu teatralnego w Wędryni publikacji. W roku 1938 wziął udział w Polsce w kursie wodzirejów świetlicowych, po wojnie prowadził w Wędryni teatr amatorski. Pierwszą sztukę wystawił zespół już w roku 1946, od tej pory przygotował ponad 110 premier. Jerzy Cienciała wychował sobie zdolnych następców. *Ludzie lubią się bawić, lubią się pokazywać* - zauważył. Pewien kryzys czy zastój w zaolziańskim amatorskim ruchu teatralnym upatruje w braku reżyserów, wodzirejów.

Prezes wędryńskiego Miejscowego Koła PZKO Bogusław Raszka krótko zaznajomił obecnych z działalnością Koła, zwrócił uwagę na fakt, że oprócz teatru amatorskiego są w Wędryni Gimnaści, jest zespół taneczny To My, bardzo aktywny Klub Seniora i Klub Kobiet. Bardzo dobrze układa się współpraca Koła z przedszkolem i szkołą, jak również z Urzędem Gminnym.

Praktyczną ilustracją tego, o czym mówiono na seminarium teatralnym, były fragmenty najnowszego przedstawienia wędryńskiego zespołu teatralne-

go, które zaprezentowane zostały przez aktorów-amatorów uczestnikom seminarium. 12 maja odbyła się w Czytelni premiera „Niespodzianki" Karola Huberta Rostworowskiego. Spektakl reżyserował Janusz Ondraszek, muzykę przygotowała Renata Czader. Główne postacie Ojca i Matki zagrali Janusz Ondraszek i Jana Hlávka, w role ich dzieci wcielili się Czesław Branny i Maria Wojtas, Żydami byli Mariusz Czader i Renata Ondraszek, a parobków zagrali Andrzej Czader, Marek Kaszper i Roman Bujok. Wielkie brawa należą się całemu zespołowi za jego pracę. Za to, że kontynuuje dzieło swoich przodków, że daje dobry przykład innym zespołom. Za to, że nastraja optymizmem na przyszłość, pomimo tego, że jego najnowsze dzieło to mroczna tragedia, tematyką zahaczająca o motywy dramatu starożytnego. Tragedia rodziców, którzy mordują dla pieniędzy nierozpoznanego wcześniej syna, powracającego z dalekiego świata do domu, na scenie wędryńskiej oddana została w konwencji naturalistycznej, a scena kulminacyjna odegrana z wielkim patosem dosadnie określała rozpacz dzieciobójców. Ambitny zespół przedstawi ten spektakl również w Rzeszowie na Spotkaniach Teatrów Polskich z Zagranicy, dokąd wyjedzie już po raz czwarty.

CZESŁAWA RUDNIK

RODZINA ALOJZJI FRANEK

W numerze czerwcowym naszego miesięcznika na drugiej stronie okładki ukazało się zdjęcie ślubne Alojzji i Alojzego Franków, a obok tekst o p. Alojzji, która na początku tego roku obchodziła 101 urodziny. Niestety w ostatnim akapicie ukazały się nieścisłości dotyczące najbliższej rodziny, toteż drukujemy ten akapit, już w wersji prawidłowej, jeszcze raz.

Alojzja Franek ma 8 wnuków, 14 prawnuków oraz 2 praprawnuków, którzy przyszli na świat w Pradze po setnych urodzinach jubilatki. Tak liczna rodzina rozproszyła się po świecie, wielu żyje z dala od Zaolzia. Najstarszy syn Józek mieszka w Polsce w Rybniku, w Czeskim Cieszynie mieszka syn Wilhelm, emerytowany nauczyciel Polskiego Gimnazjum, i córka Waleria. Wnuk Andrzej mieszka w Ostrawie, Tonik w Pradze, Heniek w Grecji, w Australii wnuk Stanisław Franek.

ŚPIEWAJĄ, BY ŻYĆ OPTYMISTYCZNIE Z ZAOLZIA

Optymizmem powiało na Walnym Zgromadzeniu Delegatów Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej. Prezes Zrzeszenia inż. Jan Hławiczka, oceniając m.in. wyniki przeglądów szkolnej działalności śpiewaczej na Zaolziu, powiedział, że młodzież chętnie daje się namówić na śpiew zbiorowy, nawet wielogłosowy, ale...

...pod kierunkiem nauczycieli-zapaleńców, którzy w radości śpiewania swoich podopiecznych widzą wielką osobistą przygodę i mają łatwość diagnozowania artystycznych predyspozycji wychowanków. Takich nauczycieli za Olzą jest wielu. Słowami szczerego uznania obdarowano Danutę Cymerys z Bystrzycy, Beatę Roman z Karwiny Nowego Miasta, Ilonę Omyłę z Jabłonkowa, Janinę Nożkę i Janinę Kudelkę z Cz. Cieszyna, Romana Grycza z Trzyńca, Katarzynę Skotnicę z Bukowca, Renatę Czudek z Gródka i Elżbietę Wanię z Wędryni. Przeglądy śpiewacze stały się dla nauczycieli nieodzownym instrumentem windowania zespołów wokalnych wszelkich kategorii do coraz ambitniejszych wykonań repertuarowych. Rokrocznie uczestniczy w nich ponad trzystu śpiewaków. Sprawdzoną formą wdrażania nawyków śpiewania są tam również Festiwale Piosenki Dziecięcej - rozrywkowe, cieszące się wielkim powodzeniem, np. w VI festiwalu wystąpiło 71 solistów, 8 duetów i 8 zespołów wokalnych. Pojawiły się nowe piosenki śpiewane w różnych stylach, a na scenie coraz częściej występują chłopcy.

Prezes Hławiczka skonstatował te wyniki jednoznacznie: W tych szkołach, w których pracuje się z młodymi śpiewakami systematycznie - osiągane są wyniki najkorzystniejsze, na miarę oczekiwań. Dzięki takim nauczycielom pomimo stałego zmniejszania się liczby dzieci w szkołach polskich na Zaolziu nie brakuje muzykującej młodzieży, wyławiane są talenty, o czym już nieraz mogliśmy się przekonać na Śląskim Śpiewaniu i konkursach chórów szkolnych a cappella, na których zespoły zaolziańskie są prawdziwą potęgą.

Do czołówki śpiewactwa polskiego wybiły się zespoły pod batutą Leszka Kaliny. Ten utalentowany dyrygent, absolwent filologii czeskiej i wychowania

muzycznego uniwersytetu w Ostrawie, związany zawodowo z Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania w Cz. Cieszynie, sięga do najlepszych wzorów chórmistrzowskich na Śląsku. Prowadzony przezeń Chór Studencki Collegium Iuvenum w Cz. Cieszynie osiąga znakomite wyniki w festiwalach i konkursach na forum śpiewactwa ogólnoczeskiego w Pradze, Brnie, Opawie oraz ogólnopolskiego w Bydgoszczy i Katowicach, zdobywając Złote Kamertony, Złote Wstęgi, ministerialne puchary, nagrody. Na takim samym poziomie artystycznym koncertuje pod jego batutą Canticum Novum. Nowe nadzieje związał z tym dyrygentem Polski Związek Chórów i Orkiestr, powierzając mu funkcję dyrektora artystycznego w Oddziale Zaolziańskim; jednocześnie wykorzystuje się jego zdolności na stanowisku metodyka wychowania muzycznego w Centrum Pedagogicznym dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego. To dobre lokaty.

Do listy głównych sukcesów chórów młodych dopisać należy: odniesione przez Collegium Canticorum pod dyr. Haliny Goniewicz-Urbaś na Międzynarodowym Festiwalu Chórów Młodych w Atenach oraz kameralnego zespołu Musicae Amantes z Nydka pod dyr. Bogdana Szmeka, odniesione w Jihlawie, Warszawie i Krakowie.

Od tamtego stulecia śpiewactwo polskie na Śląsku Cieszyńskim na szkolnictwie stoi. Pod auspicjami Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego nauczyciele kreowali śpiew jako wyróżnik narodowy Cieszyniaków. Te chlubne tradycje na Zaolziu cenione są nadal, dążenia takie same. Dziś nauczycielom polskim zza Olzy potrzebny jest nowy oddech, chcą się umocnić wśród mocnych. To dobra droga. Jednakowóż starszym działaczom tego ruchu do szczęścia byłaby potrzebna przysłowiowa kropka nad „i". Rozśpiewana młodzież po ukończeniu szkoły nie trafia bowiem do chórów dorosłych, a przeciętna wieku w 25 istniejących na Zaolziu polskich chórach należących do Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego PZKO w RC wynosi 47 lat, gdy w trzech chórach przekroczyła już wiek grubo powyżej 60 lat.

Optymistycznie z Zaolzia powiało również dlatego, że chóry wzbogaciły repertuar o utwory muzyki sakralnej, i dlatego, że koncestują już nie tylko w Polsce i Czechach. Melodia z Nawsia z powodzeniem występowała w Austrii, na Ukrainie, Hutnik z Trzyńca na Łotwie i w Szwecji (w ostatnich latach zespół ten koncertował w 17 krajach Europy). Natomiast w Polsce Zaolziacy uczestniczą najchętniej w Światowym Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie, w święcie śląskiej pieśni chóralnej Trojok Śląski Katowice-Ostrawa-Cieszyn, w święcie pieśni Gaude Cantem, które od 1999 r. przeniesiono z Oświęcimia do Bielska. W I Zjeździe Chórów Środkowej Europy w Katowicach 2000 chóry Dźwięk z Karwiny Raju i Hutnik z Trzyńca popisały się własnym repertuarem oraz wspólnym wykonaniem

„Polskich śpiewów" Józefa Świdra. Zaolziacy zdobyli również laury na Ogólnopolskim Festiwalu Pieśni Chóralnej im. M. Łukaszewskiego w Częstochowie. To zdobycze najbardziej przez nich cenione.

Do podtrzymywania sławy Zaolzia, jako ciągle najbardziej rozśpiewanego zakątka w Środkowej Europie, przyczynił się z pewnością śpiewnik popularny dla każdego pt. „Śpiewamy wszyscy", wydanie I ufundowane z okazji Biesiady Pieśni Zaolziańskiej w Katowicach w 1997 r., wyd. II poszerzone z 1998 r. zawierające 322 pieśni polskie śpiewane na Zaolziu wraz z melodiami oraz 20 tańców śląskich. Obydwa tomy sygnowane były przez Śląską Bibliotekę Muzyczną Katowice-Czeski Cieszyn. Zawdzięczamy je dr. Józefowi Wierzgoniowi, który dokonał wyboru pieśni i opracował publikacje pod względem edytorskim. Nadszedł czas, by upomnieć się o kolejne wznowienia śpiewnika. Wierzgoń napisał w nim: *Marzymy o społeczeństwie rozśpiewanym. Śpiewajmy więc razem wszyscy, i to jak najczęściej, by wspólny śpiew dał nam dużo radości, by nas pieśń jednoczyła oraz dawała nam siły do przetrwania. I do tego dodaje słowa Oskara Kolberga: Naród, który przestaje śpiewać, przestaje żyć.*

RAJMUND HANKE
DZIENNIK ZACHODNI
24-25 III 2001

WIOSENNNY KONCERT HARFY
(PRÓBA OCENY)

Koncerty wiosenne Harfy weszły już na stałe do kulturalnego kalendarza ziemi zaolziańskiej. Udowodniły też, że są imprezą na solidnym poziomie repertuarowym i wykonawczym, imprezą zawsze ciekawą i potrzebną naszemu społeczeństwu.

W piątek 11 maja mogliśmy więc po raz kolejny wysłuchać urozmaiconego programu czeskocieszyńskiego chóru mieszanego wypełnionego pozycjami opracowań pieśni ludowych i artystycznych. Aczkolwiek sala widowiskowa Strzelnica nie ma zbyt dobrej akustyki i nie sprzyja stopliwości brzmienia, a i estetyka wnętrza pozostawia wiele do życzenia, koncert Harfy, dopełniony w II części występem chóru młodzieżowego Szkoły Muzycznej w Jastrzębiu, wywarł ogólnie bardzo pozytywne wrażenie.

Imprezę zapowiadały dwie chórzystki - Wiesława Branna i Danuta Siderek. Tekst konferansjerki był jednak przesadnie edukujący i pretensjonalny. Prze-

kazanie informacji o autorze lub jego twórczości jest wskazane i potrzebne; komentarz jednak nie powinien nabierać cech lekcji wychowawczych. Powinien przede wszystkim stworzyć właściwy klimat dla prezentowanych interpretacji muzycznych. Niemniej jednak w śpiewie Harfy wyczuwało się zapał i przyjemność, nawet pewną dozę swobody, ale równocześnie dyscyplinę wewnętrzną. Uważam, że chór poczynił znaczny postęp w poziomie intonacji i egalizacji brzmienia. Głosy żeńskie zadowalają stabilnością, brzmią dźwięcznie i przyjemnie; głosy męskie zatraciły stopniowo statyczność i chropowatość. Niewątpliwie duża to zasługa obecnego dyrygenta Tomasza Piwko, jego konsekwentnej pracy nad impostacją i emisją głosów. Dyrygent prowadził występ bardzo spokojnie, ale też - niestety monotonnie. Wprawdzie zestaw repertuarowy stwarzał nadzieję wielobarwnej stylistyczno-gatunkowej percepcji, w efekcie otrzymaliśmy jednorodność wyrazu emocjonalnego zbyt stonowanego. Odczuwalne są jeszcze niedoskonałości w wykonaniu utworów, w których pojawiają się fragmenty mniej lub bardziej udane, miejsca ładne, ale i momenty zbyt suche, o słabej intensywności brzmienia. Liryczne, miękkie interpretacje dają piękny rezultat w Gomółkowskich psalmach (co potwierdziło wykonanie psalmu „Nieście chwałę mocarze", inaugurującego koncert), ale nie sprawdzają się w każdym gatunku muzyki. Właśnie w zakresie interpretacji odczuwało się największy niedosyt artystyczny. Sposób wykonania kompozycji (czyli jej interpretacja) powinien wydobywać to wszystko, co stanowi jej muzyczną istotę. A więc stylowość utworu, jego wyraz nastrojowy i prawidłową stronę techniczną. Odpowiednie skomponowanie elementów muzyki - bądź melodii, rytmu, barwy i harmonii czy frazowania - staje się nieodzownym warunkiem właściwego modelowania muzycznym dziełem. Tymczasem, słuchając śpiewu chóru, odnosiłam wrażenie, jakby głównym czynnikiem formotwórczym były dla dyrygenta metrum i stałość tempa. Według mojej opinii taka interpretacja zubożyła warstwę dynamizmu i temperatury uczuciowej prezentowanych utworów.

Przyjrzyjmy się więc niektórym pozycjom repertuaru Harfy. Oto ciemna, głęboka w kolorycie pieśń Piotra Maszyńskiego „Oj ziemio". Powinna być wykonana bardzo szeroko, bo długie są jej frazy i głęboki wolum brzmienia nasyconej harmoniki. Jest to pieśń bardzo spokojna i dostojna, a jej powagę i szacunek dla ziemi-ojczyzny współtworzy piękny, patriotyczny tekst Marii Konopnickiej. Zespół odśpiewał utwór poprawnie intonacyjnie, nie zyskując jednak oczekiwanego stanu wypowiedzi emocjonalnej.

Szerokich fraz i pełniejszego rozwinięcia linii melodycznej wymaga „Kołysanka" Jana Maklakiewicza. Skomponowana do wiersza Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, jest romantyczną wypowiedzią zakochanego, pełnego oddania i wierności mężczyzny: „Kochanie, moje kochanie, dobranoc już jesteś senna...". W interpretacji zespołu zabrakło wyraźnych odcieni dyna-

micznych, zwolnień i przyśpieszenia tempa, tych najprostszych środków wzbogacających sferę uczuciową utworu. Motyw śląskiej muzyki ludowej wniosła pieśń autorstwa Pawła Kalety „Po naszych Beskidach" (napisana do słów rodzimego twórcy Adama Wawrosza). I tu proszą się szeroko intonowane frazy, bo też w przestrzeni rozległych „gróni" odgrywa się ta zwrotkowa piosenka. Odtworzona jednak została zbyt schematycznie. A można było w kilku miejscach zrezygnować z ustalonego oddechu po czterech taktach. I na przykład w drugiej zwrotce, idąc za przewodnią ideą wzrastającej emocji, stworzyć jedną zwartą myśl muzyczną, której piękna dodaje subtelna szata harmoniczna wzbogacona ekspresywnymi pełnymi prostoty modulacjami.

Nie zadowoliły mnie również interpretacje pieśni ludowych. Były jakby zbyt pobieżne, bez większego zaangażowania muzycznego. Przypomnijmy, że każda pieśń ludowa rządzi się własnymi prawami, wewnętrzną treścią słowną i muzyczną, ale też określona jest konkretnymi zasadami budowy formalnej.

„Kasia w sieni stała" w opracowaniu Eugeniusza Fierli jest typowym przykładem dwuczęściowej konstrukcji. Pierwszą część można było odtworzyć legato, natomiast w drugiej dla kontrastu wprowadzić delikatne staccato głosów żeńskich, co dałoby lekkość i uwypukliłoby wymowność kadencyjnego zakończenia „serce moje". W innym ludowym utworze w opracowaniu Kazimierza Lasockiego „Nie będzie mnie głowisia bolała" pojawiają się bardzo długie frazy wynikające choćby z polonezowego charakteru piosenki. Melodia o łukowej, łagodnej linii wzrasta, potem opada, decydując o naturalnym rozwoju dynamiki, niestety zbyt słabo eksponowanej.

Rozczarowało mnie wykonanie piosenki „Nie chcę cię Kasiuniu" w opracowaniu Stanisława Wiechowicza. To bardzo żywa, błyskotliwa kompozycja, niesamowicie zwarta. Wymaga też szybkiego refleksu, wyobraźni brzmieniowej i sporej techniki. Sądzę, że warto w tym momencie poświęcić chwilę uwagi jej autorowi. Stanisław Wiechowicz podobnie jak wcześniej cytowany Piotr Maszyński zaliczali się do mistrzów polskiej chóralistyki. Obaj byli wieloletnimi dyrygentami chórów, doskonale znali zapotrzebowania zespołów śpiewaczych. Tworzyli dla konkretnego wykonawcy i odbiorcy, uczyli kochać polską muzykę ludową w swoich zawsze kolorystycznie atrakcyjnych kompozycjach. Każda partytura Wiechowicza w mistrzowski sposób operuje tekstem, który staje się inspiratorem rytmu, akcentów i motoryki utworów. Takim przykładem jest właśnie opracowanie „Nie chcę cię Kasiuniu". Tekst spełnia tu podwójną rolę - nie tylko jest formą przekazywania treści, ale równocześnie każde słowo, każda sylaba wyzyskana jest do rytmu i służy organizowaniu właściwego nastroju piosenki. Bardzo istotnym jawi się tu problem trudności intonacyjnych. Oprócz dość trudnych zwrotów melodycznych, wymagających od wykonawców dużej sprawności solfeżowej, pojawia się tu zjawisko powtarzania akordu bądź przez cały utwór, bądź przez jedną lub dwie grupy głosowe.

A wiadomo, iż powtarzanie stałych współbrzmień dźwiękowych wymaga szczególnie prawidłowej emisji głosów z zachowaniem właściwej proporcji siły, dynamiki - co notabene nastręcza nawet bardzo rutynowanym zespołom wiele trudności. „Nie chcę cię Kasiuniu" rozpoczęło się niefortunnie. Niepewne, nieczyste wejście męskich głosów z ostinatową kwintą (d-a) natychmiast wywołało brak selektywności brzmienia chóru. Utwór stał się mało czytelny, zatracił akcenty humoru, plastyczność głosowo-muzycznego dowcipu. Wykonanie było nerwowe, bez owej swady przekomarzania się młodych - Kasi i jej chłopca Jasia. (Tu mała dygresja - zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej przerwać śpiewanie „Kasi..." zaraz na początku, uspokoić chór i ponownie zmobilizować do śpiewu. Ale decyzja taka zawsze jest bardzo trudna i kłopotliwa.)

Ów spadek kondycji chóru można tłumaczyć chwilowym obniżeniem koncentracji. Wcześniej zespół wykonał dwie pieśni o tematyce religijnej, w realizację których oddał wiele autentycznego uczucia i emocji. Być może chórzyści nie zdążyli „przestawić się" na diametralnie inny śpiew, nie zdołali w porę zmobilizować swojej uwagi i świadomości wykonawstwa ruchliwego, trudnego przecież technicznie utworu. Stąd niedociągnięcia intonacyjne i zachwiania wartkiej pulsacji rytmicznej kompozycji Wiechowicza.

Wspomniane utwory sakralne to „Locus iste" Antoniego Brucknera oraz „Ave Maria" Jacoba Arcadeltiego.

Późnoromantyczna twórczość chóralna Brucknera zawsze imponuje zwartością i precyzją konstrukcji rozgrywającej się w szerokiej przestrzeni muzycznej. Jego styl stanowi nowatorską syntezę tradycji polifonicznych ze środkami wagnerowskiej harmoniki i instrumentacji. „Locus iste" jest kompozycją o kunsztownym przebiegu harmonicznym, zmiennej, niespokojnej dynamice i wylewnej, wzniosłej frazie. Poza małymi wyjątkami (np. nieczystości brzmienia wysokich dźwięków atakowanych przez soprany) intonowany był bardzo poprawnie i - rzec można - pokornie wobec surowego autentyzmu dzieła. Twórca „Ave Maria" - Jacob Arcadelti jest rzadko spotykany w repertuarze chórów zaolziańskich. Warto może podać kilka bliższych informacji określających tego muzyka. Działał w XVI wieku, głównie we Florencji. Cechy jego twórczości to: - cytuję za Encyklopedią Muzyczną PWM, r. 1979, część biograficzna - *upodobania do czterogłosowości, płynna i łatwa do śpiewania melodyka, wyraźne frazowanie, oparcie się na diatonice i wynikaj ąca stąd nieskomplikowana harmonika.* Utwór „Ave Maria" odtworzony został bardzo muzykalnie, upewniając o trafnym wyborze dyrygenta, uwzględniającym możliwości wykonawcze zespołu. W sumie dwie pozycje sakralne zaśpiewano bardzo klarownie, dobrze wybrzmiały scalone akordy, oddano nastrój i klimat kompozycji, potwierdzając równocześnie, iż była to koncepcja dojrzała i przemyślana.

Muzyczną atrakcją koncertu mogła być kompozycja Józefa Świdra „Te roz-

kwitle świeżo drzewa" stworzona do słów Adama Mickiewicza. Twórczość chóralna bliskiego nam przecież kompozytora głęboko porusza słuchacza szlachetną wysublimowaną ekspresją. Zawsze też współtworzona jest z tą najlepszą, wartościową poezją. Prezentowany na koncercie utwór jest płynącą poezją muzyczną, to wznoszącą się, to opadającą, bogatą w trafnie rozłożone akcenty liryczne i dramatyczne, w częste zmiany tempa, metrum i dynamiki.

Jest to najnowsza pozycja repertuarowa zespołu, jeszcze niedopracowana i niesprecyzowana interpretacyjnie. Utwory chóralne Józefa Świdra bardzo często zdobiły programy artystyczne Harfy. Pojawiały się jeszcze w dobie długoletniego dyrygenta Alojzego Kalety i mocno utrwaliły swą pozycję w okresie muzycznego kierownictwa Alojzego Kopoczka.

Ambicje realizowania utworów współczesnej literatury chóralnej bardzo pozytywnie świadczyły i świadczą o poziomie i pasji muzykowania zespołu, jego współuczestnictwa we współczesnym życiu muzycznym.

Przyznam, że występy chóru Harfa odbieram dość osobiście. W latach osiemdziesiątych związana byłam z jego losami bardzo blisko, prowadząc przez kilka lat ansamble męski, a także, sekundując w próbach i występach wytrawnemu dyrygentowi Alojzemu Kalecie. To on był dominantą zespołu, on dookreślał jego artystyczny kształt. Zawsze był pełen pomysłów twórczych zarówno w sferze repertuarowej, jak i interpretacyjnej. Było wiele niezapomnianych koncertów, wspólnych wyjazdów i spotkań towarzyskich. Było miejsce na kontemplacje pokoncertowe, ale też na zdrowy śmiech i humor. Harfa zawsze była zespołem muzykalnie i kulturalnie śpiewającym, gotowym w odpowiednim momencie zmobilizować się organizacyjnie i artystycznie. I takim pozostała do dziś...

Mam nadzieję, że moje krytyczne uwagi dotyczące muzycznego poziomu i kształtu majowego występu nie zostaną odebrane z niechęcią. Przekonana też jestem, iż członkowie chóru z dyrygentem na czele, inteligentni i wrażliwi artystycznie, otwarci są na obiektywizm ocen, na sprawy bytu rodzimej kultury. Uważam, że zespół śpiewaczy Harfa tworzy w tej chwili solidne podstawy wykonawstwa, dobry, giętki materiał do modelowania różnorodnych interpretacji muzycznych. Cała praca zespołu powinna iść teraz w kierunku pogłębiania ekspresji i sublimacji brzmienia, jego wielobarwnych odcieni, od jasnych, po ciemne, szlachetne a nawet ostre, w zależności od charakteru, stylu i przesłania ideowego kompozycji.

Abstrahując od jakichkolwiek merytorycznych komentarzy, głowę należy chylić przed tymi wszystkimi, którzy w obecnym zgiełku życia społeczno-politycznego, wielości i problemów personalnego życia, znajdują czas i szczerą ochotę dla spraw niematerialnych, dla bezinteresownej sztuki.

KRYSTYNA SUSZKA



ŻARTY Z BRODĄ

- Chynółeś mi to pismo do kaslika? - pyto sie żona męża.
- Nie chynół, bo...
- Ja, na ciebie sie też idzie kiedy spuścić, ty sie o mnie nic nie starosz. Chlastać w gospodzie, to ty...
- Ale poczkej, ni mógech go chynyć, bo...
- Ani sie darymnie nie wykręcej, jo cie już znóm, jako ty dbosz o mie. Ani tela o mie nie pamiętosz, ani tego biydnego pisma mi nie chyniesz, a huu, a huuu...
- Ale poczkej, nie terymteć tela, aż ci powiym. Adrese eś zapumniała na kuwert napisać.

Gawełczykowie są zaproszóni na wiesieli.
- Jo jaksi nimóm wielki ochoty tam iść - powiado ón.
- Ale stary - prawi óna - przedstow se, jak óni bedóm radzi, jak nie przidymy.

- Jesi sie ci rozchodzi o moi życzenia - powiado młodo żonka swoimu chłopkowi - to jo móm jyny jedno.
- A to jest?
- Abyś mi spełnił wszystko, co jo se życzę.

W cugu w piyrszej klasie siedzą dwa eleganccy panowie. Naroz jedyn z nich zapytuje swoigo sąsiada:
- Proszę pana, czy narażałby pan swoje życie z powodu tysiąca koron?
- Naturalnie, że ni.
- Tak dowej tysiąc korón, ale już - powiado tyn piyrszy i namierzył na niego rewulwerym.

W parku jakisi mały syneczek naroz sie przewrócił i kapke se stłók nos. Jakosi bogato dama przychodzi do synka, lutuje go kapke i pyto sie go, jak sie nazywo.
- Janek - odpowiado chłopiec.
- A jak jeszcze?
- Nie wiym.
- A jak sie nazywo twój tata?
- Nimóm taty.
- Tóż mama jak sie nazywo?
- Nimóm mamy.
- Chudzioczku malutki. Coś ty właśnie jest za jedyn?
- Joch jest to nieszczęści, co sie przitrefiło moi siostrze.

- Ty, kamrat, na powiydz mi też, czy możesz spokojnie spać, kiedy mosz tela długu?
- Na toć, dyć wierzyciele przychodzą jyny przez dziyń.

◀ Fot. FRANCISZEK BAŁON

POETYCKI KONKURS W WĄGLANACH

Co roku na łamach naszego miesięcznika publikujemy informacje o konkursach poetyckich w Polsce. Jednym z nich jest Międzynarodowy Konkurs Poezji w Wąglanach, na który składają się trzy konkursy: Polonijny „Najdroższe gniazdo rodzinne" (w tym roku odbyła się jego VII edycja), „O złote pióro" (I edycja), „Szukamy talentów wsi" (najstarszy, odbył się już po raz XX). Organizatorem konkursu jest Towarzystwo Miłośników Wąglan z jego prezesem Waldemarem Jóźwikiem na czele.

Wąglany trudno znaleźć na mapie Polski. Zgodnie z podziałem administracyjnym należą do powiatu Opoczno w woj. łódzkim. Jednak od wielu lat dzięki uporowi i niezwykłemu talentowi zjednywania przyjaciół Waldemar Jóźwik pozyskał na rzecz budowania sławy skrawka rodzimej ziemi sponsorów i propagatorów konkursu, począwszy od Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego po władze wojewódzkie i lokalne samorządowe. Niemałą rolę w propagowaniu konkursu odgrywają media krajowe i polonijne. Konkurs to nie tylko nagrody i wyróżnienia dla jego uczestników, to przede wszystkim niepowtarzalna atmosfera wspólnego spotkania, możliwość dyskutowania poetów już uznanych i tych debiutujących z krytykami literackimi. Nagrodą dla wszystkich jest wydawany co roku Almanach Literacki, na łamach którego uczestnicy konkursu znajdą swoje wiersze. W roku bieżącym z okazji jubileuszu dwudziestolecia najstarszej edycji konkursu ukazał się Jubileuszowy Almanach Literacki, gdzie została przedstawiona historia konkursu, lista uczestników wszystkich edycji, wiersze tegorocznych laureatów i bogata historia wsi Wąglany.

Omawiając publikację, warto wspomnieć zaolziańskich uczestników konkursu, którzy zaistnieli tu już w roku 1992, kiedy to swoje wiersze, wówczas jeszcze na Konkurs „Szukamy talentów wsi" nadesłali Władysław Bura z Suchej Górnej i Jan Pyszko z Nawsia. A potem regularnie od I Polonijnego Konkursu Poezji „Najdroższe gniazdo rodzinne" (1993) uczestniczyli w nim z Zaolzia poeci już uznani i debiutanci: 1993 - Ewa Sabela (Ligotka Kameralna), 1994 - Władysław Bura (Sucha Górna) i Renata Gryga (Dolny Żuków), 1996 - Józef Kula (Stanisłowice) i Władysław Bura, 1997 - Wilhelm Przeczek (Bystrzyca), Ewa Santarius (Czeski Cieszyn) i Tomasz Skwarło (Karwina), 1998 - Ewa Mrowiec (Sucha Górna), Jan Pyszko, 1999 - Lucyna Przeczek-Waszkowa (Czeski Cieszyn), Ewa Mrowiec, Lech Przeczek (Trzyniec), 2000 - Maria Chraścina (Czeski Cieszyn), 2001 - Marek Słowiaczek (Boconowice).

E.S.



Rys. OSKAR PAWLAS

POLAKÓW CORAZ MNIEJ

Od 10 lat w Polsce trwa niż demograficzny. Zdaniem analityków Głównego Urzędu Statystycznego do roku 2005 liczba ludności Polski będzie ciągle malała.

W 2000 roku w Polsce żyło 38 milionów 644 tysiące osób, o 10 tysięcy mniej niż w roku 1999.

W ubiegłym roku urodziło się 378,5 tysiąca dzieci - o 3500 mniej niż w roku 1999. Zmarło 367,5 tysiąca osób. Przyrost naturalny wyniósł więc 11 tysięcy.

Obywateli Polski ubywa też ze względu na migrację. Z Polski wyjechało w roku ubiegłym 28,5 tysięcy osób, a przyjechało na stałe niespełna 8 tysięcy.

Statystyczny Polak ma 35 lat, co oznacza, że połowa ludności kraju nie osiągnęła jeszcze tego wieku, a druga połowa już go przekroczyła.

BEZDZIETNA EUROPA

W krajach Unii Europejskiej w ubiegłym roku przyszło na świat tylko 4 miliony dzieci, co stanowi najmniejszą ilość od czasu zakończenia drugiej wojny światowej. Ludność Unii zwiększyła się co prawda o blisko milion ludzi i obecnie wynosi 376,4 miliona, ale w trzech czwartych jest to rezultat osiedlenia się emigrantów.

Pod względem małej liczby urodzeń dzieci Polska znalazła się w czołówce krajów Unii Europejskiej obok Niemiec, Włoch i Szwecji.

Zarówno na Zachodzie, jak i w Polsce na spadek urodzeń wpływa przede wszystkim styl życia kobiet, które bardziej cenią karierę zawodową niż macierzyństwo.

Najwięcej dzieci urodziło się w Irlandii (14,2 na 1000 mieszkańców), Luksemburgu (12,3), Danii (12,2), Francji (12,2) i Wielkiej Brytanii (11,9). W Polsce 11,0, a w Republice Czeskiej zaledwie 8,9, podczas gdy średnia dla krajów Unii Europejskiej wynosi 10,4.

GINIE ŚWIĄTYNIA POLSKIEGO ROMANTYZMU W WILNIE

Na szlaku wędrówek Polaków śladami Mickiewicza w Wilnie wśród wielu pamiątek była Cela Konrada, czyli miejsce w byłym klasztorze bernardyńskim, gdzie przez pół roku na przełomie 1823 i 24 roku więziony był Adam Mickiewicz. Tu zrodziła się koncepcja III części „Dziadów".

W okresie międzywojennym z inicjatywy Związku Literatów Polskich odbywały się

tu słynne Środy Literackie. W czasach władzy sowieckiej klasztor oo. bazylianów był siedzibą politechniki, a słynna Cela Konrada wchodziła w skład uczelnianej biblioteki. Na początku lat 90. powrócono do przedwojennej tradycji i znów odbywały się tu Środy Literackie z udziałem pisarzy polskich i litewskich. W roku ubiegłym na skutek procesu zwrotu dóbr dawnym właścicielom politechnika przekazała zabudowania klasztorne Kurii Wileńskiej, ta zaś Kościołowi unickiemu, który był ich pierwotnym właścicielem. Unici, aby zdobyć środki na remont klasztoru, a przede wszystkim barokowego kościoła, zdewastowanego przez władze sowieckie, wynajęli pomieszczenia klasztorne niemieckiej firmie komputerowej. W ten sposób w całkowicie zmodernizowanej Celi Konrada znalazła miejsce pracownia komputerowa.

Obecnie trwają intensywne rozmowy pomiędzy przedstawicielami niemieckiej firmy, a polskim Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego w celu wynajęcia dwu pomieszczeń związanych z Mickiewiczem na stałą ekspozycję poświęconą poecie.

RENOWACJA POLSKICH ZABYTKÓW NA KRESACH

Dzięki stosownym porozumieniom między Polską a sąsiadującymi z nią krajami na wschodzie Biuro Pełnomocnika Rządu do spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego i Stowarzyszenie Wspólnota Polska prowadzi rozległe prace renowacyjne polskich zabytków na kresach.

W Krzemieńcu na Ukrainie trwa remont i adaptacja na muzeum dworku Słowackich. Prace przy dworku szacowane są na 2,5 miliona złotych.

W maju br. planowane było zakończenie prac nad oczyszczeniem i konserwacją malowideł, witraży i ołtarza w prezbiterium katedry łacińskiej we Lwowie.

W Żółkwi, mieście Jana III Sobieskiego, trwają prace konserwatorskie w kościele farnym i kościele dominikanów. Prowadzi je grupa studentów Akademii Sztuk Pięknych z Krakowa i Warszawy.

Dzięki funduszom Biura Pełnomocnika grupy studenckie m.in. z Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Kardynała Wyszyńskiego z Warszawy będą inwentaryzować kościoły i cmentarze na Białorusi i Ukrainie.

„WIEK BRĄZU" POETY I DYPLOMATY

„Niektórzy lubią poezję i prozę" to hasło nowego cyklu spotkań z pisarzami, który w roku bieżącym organizują w Krakowie Krystyna i Ryszard Kryniccy, właściciele Wydawnictwa a5 (drukującego m.in. Wisławę Szymborską). Gościem styczniowego wieczoru inauguracyjnego, odbywającego się w Piwnicy pod Baranami, został Jerzy Kronhold, pisarz (jeden ze współtwórców poetyckiej Nowej Fali) i dyplomata (obecnie w Bratysławie), który obchodził jednocześnie swoje 55. urodziny. Na spotkaniu przedstawił swój najnowszy tomik poetycki zatytułowany „Wiek brązu". Zaolziańskiej społeczności znany jest Jerzy Kronhold przede wszystkim jako były konsul generalny RP w Ostrawie.

LUSTERKO

Karlik Pyrlik mieszkoł we Stónawie, a robił w Karwinie na szachcie Johance. A jak to wtedy na szachcie było, dość dobrze zarobioł, tóż każdóm wypłate cosi dzieckóm albo żónce kupił. Chodzili tam tacy Słowocy we wypłate z kosziczkami, w kierych były różne rzeczy ku kupiyniu, np. lalki, pociorki, jarganki (ustne harmóniki), a nikiery wołoł: „Bratko, kup sa britvu, dobre bere, nic nedere, dobre holi, nic neboli". I Karlik dycki cosi dzieckóm do dómu we wypłate prziniós. Dycki dziecka zgodowały, co im tata przyniesie. Aż tu naroz we wypłate prziszeł ku szachcie z kosziczkym Słowok, a mioł w nim 10 lusterek. Był to nowy wynalazek, ludzie to nie znali, a nie wiedzieli, że jak sie do lusterka podziwo, to uwidzi swojóm podobizne. Słowok wołoł: „Bratko, kup se lusterko, uwidzisz w nim swojóm podobizne, jakiś je krasny, jak se bydziesz golić, nie urzniesz se, je to nowo moda, ale strasznie wielko wygoda". Była to nowo rzecz i drogo. Kosztowało to 1 ryński 6 szustek. Karlik to wzión do ręki, nie było to wielki, okrągłe, jak dno od półlitrowego gorka, ze zadku plech, a jak sie podziwoł z przodku, kaj było świycące, tóż aż na zadek siednół. Zaczón sie przyglądać, pokręcać fusa, przyczosować włosy i dziwować sie, jaki to z niego je chłop piekny. Lusterko kupił, choć było drogi, jeszcze se ze dwa razy do niego podziwoł, owinół do szatki, w kierej nosił chlyb na szichte, schowoł pod bok do kapsy i poszeł ku chałupie. Po ceście rozmyśloł, co powiy babie, kaj podzioł telki grejcary, a żodnymu nic nie kupił, choć dość szwarnie zarobił. Szeł pumału, po kapsie sie pomacowoł, czy lusterko je na swoim miejscu, a myśloł, aż wymyślił, już wiedzioł, co babie powiy, a co zrobi z lusterkym. Do chałupy prziszeł kapke nieskorzi jako dycki, tóż baba już na niego czakała. Jak wloz do jizby, tóż mu baba prawi: „Kaj żeś to Karliczku dzisio był tak dłógo. Czyś tak moc zarobił i nimógeś tych grejcarów uniyść, a cożeś nóm też przyniós pieknego". „Zarobić, toch tyn miesiąc zarobił, jak eszcze nigdy, tu mosz Maryś grejcary, je ich tyn miesiąc

szwarnie, tóż se kup cosi pieknego na suknie, a dziecióm też cosi kup, a nie gniwej sie, że tam chybi ryński a 6 szustek, bo jo musioł sztajgra pozwać na jednego, co by mie z tej roboty nie zebroł i tak tam mosz o cosi miyni". Baba wziyna piniądze, wysuła z papiyrowej kapsy na stół, podziwała się, wiela mioł chłop szichet i wiela zarobił, wszystko pasowało, ale zrobiło sie ji żol tego, co chybiało, i powiedziała: „Podrugi Karliczku nie kupuj sztajgrowi taki drogi gorzołki, kup mu jyny piwo, bo szkoda piniyndzy".

Potym mu dała obiod i powiedziała: „Pojydz se, spocznij se, a potym przidź na zogóny za chałupe, musisz poznoszać zimnioki do piwnice, coch nakopała, a wy dziecka biercie jedyn krowe, drugi koze, a idźcie paść, bo bedzie wartko ćma". Karlikowi to pasowało, bo zustoł sóm, wyciągnół z kapsy lusterko, podziwoł sie do niego, pokręcił fusa, a był rod, że sie baba nie wadziła. Zatoczył lusterko do fajnego papiyrka, wylóz na góre i schowoł lusterko pod doszkami. Potym zjod obiod i poszeł wozić zimnioki. Lusterko se tam pieknie leżało, ale Karlika przciągało, jak kocura szpyrka, tóż jak sie baba rusziła z izby doić krowe albo po co do sklepu, tóż już był na górze, wyciągnął lusterko, dziwoł sie do niego i cudowoł sie nad tym, że lusterko robi to samo.

Baba zpozorowała, że Karlik jaksi często chodzi na góre, ale nie wiedziała po co, ale jako każdo baba była bardzo ciekawo. Tóż roz sie oblykła, wziyna torbe i powiado: „Karlik, dej pozór na blache, aż sie co nie przypoli, a jo idym do sklepu po sól a cukier". Jak sie za nióm zawrzyły dwiyrze, Karlik pościągoł gorki na kraj i już był na górze, wyciągnął lusterko i zaczón sie przeglądać.

Baba do sklepu nie poszła, jyny postoła troche za dwiyrzami, potym położyła torbe i pocichutku poszła za Karlikym na góre. Jak Karlik wyciągnął lusterko i zaczón sie w nim przeglądać, to już baba downo stoła za nim i zaroz mu łap ze zadku lusterko. Podziwała sie do niego roz, podrugi i krzykła: „Ty brzidoku milijóński, tóż taki diobelstwo żeś kupił i teraz łazisz na góre i cudujesz sie, bo tu widać tóm babe, co z nióm dziyrżisz". Podziwała sie do lusterka: „Toć to je ta myrcha milijónsko, a jak sie do ni uśmiycho i przymilo, jo ci dóm ty giździe. Uciekej, bo ci kości połómiym". Karlik uciyk z góry, a schowoł sie do chlywa. Baba jeszcze chwile przezywała, podziwała sie jeszcze pore razy do lusterka i do siebie powiedziała: „Toć to je ta, co z nióm dzierży, a taki był ostatnio słodki".

Obleczóno była, tóż zebrała lusterko, zawinóła do papiyrka, wraziła za pazuche i poleciała na fare. Księdza spotkała przed faróm na placu, pozdro-

wiła, wyciągła lusterko, jeszcze roz sie do niego podziwała, podała go księdzowi i powiedziała: „Podziwajóm sie, wielebny panie, co tyn mój brzidok kupił przi wypłacie, jo sie do tego podziwóm, tóż tam widać tóm, co z nióm trzymie. Ksiądz obejrzoł lusterko ze zadku, z przodku, potym sie do niego pore razy podziwoł i oczóm nie wierzył, jyny powiedzioł: „O kobietko, tego to już nie dostaniecie", jeszcze roz sie podziwoł do lusterka, no i naturalnie, mo sie rozumieć: „Święty Ojciec, Święty Ojciec..."

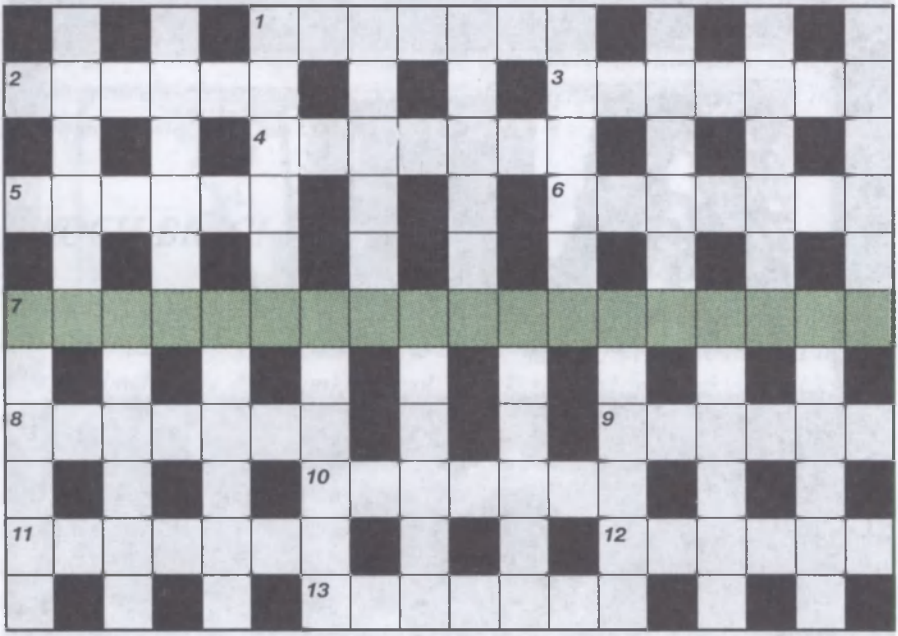
DWÓCH BRACI

Jura i Jónek robili w lesie. Jura kurził fajke, tóż se każdy dziyń kupił paczek tabaki za sztyry grejcary. Fajke mioł z ogibokym, tóż se nakłod do ni, a przi robocie cały dziyń pokurzowoł. Jónek zaś każdy dzień odłożił sztyry grejcary do szporkasy, bo mu było luto pinióndze z dymym puszczać. Za dwa roki Jónek za uszporowane grejcary doł se uszyć fajny kożuch, żeby mioł przez zime w czym chodzić do lasu. Przez ceste, jak szli z Juróm do lasa albo z lasa, Jankowi w kożuchu było fajnie, a Juróm dość często zima trzepała. W lesie przi robocie w kożuchu było mu niewygodnie, tóż go sewlyk, a powiesił na suchej gałęzi na sośnie. Marzło, w ręce ich oziómbało, tóż se zrobili w lesie mały ogiyń, żeby sie mieli przi czim ogrzoć. Roboty mieli moc, a jak chcieli zarobić, tóż se musieli śpiychać, bo gojny im płacił od „festmetra". Tóż se śpiychali, ścinali drzewa, rzazali, szczypali i do metrów układali i ani sie nie nazdali, jak prziszeł wiater, dmuchnół do ognia i zaniós iskre do Jankowego kożucha. Kożuch se zacznół tlić, a że wiater dmuchoł, tóż sie chytnół płomiyniym i cały zgoroł. Jak Janek prziszeł ku sośnie, żeby zjeść kónsek chleba, kiery mioł w kapsie w kożuchu, aż sie za głowe chycił. Sosna była okurzóno, a na gałęzi wisioł jyny łańcuszek, kiery był do kragla prziszity, a na nim wisioł kożuch. Jurów kabot był cały, bo wisioł o dwie sosny dali. Janek siednół pod sosne, chycił sie za głowe i zaczón nad swojóm biydóm lamyntować. Jura prziszeł od swojigo kabota ku nimu, doł mu połowice swojigo chleba, nałożił se do fajfki, zaczón pykać i powiado mu: „Nie płacz, nie lamyntuj, jo też nimóm kożucha, a nie płaczym. Jo móm swojóm fajfke i kurzym se każdy dziyń, cały czas pumału. Tyś naszporowoł, kupiłeś se fajny kożuch i wykurzyłeś go naroz, i oba nimómy nic, grejcary poszły z dymym i dobre".

AMALIA PAWLASOWA



Fot. FRANCISZEK BAŁON



KRZYŻÓWKA KOMBINOWANA

Kobiety to... (dokończenie patrz rozwiązanie dodatkowe).
Oscar Wilde (1854–1900), pisarz angielski

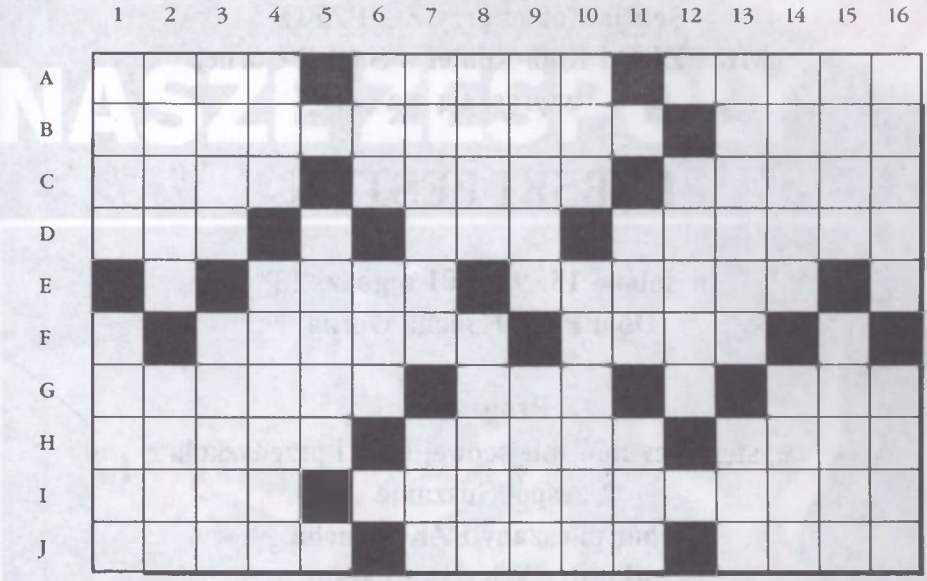
POZIOMO:

1. Zespół uli z pszczołami. **2.** Szkielet zewnętrzny (skorupa) mięczaków. **3.** Osoba amatorsko łowiąca ryby. **4.** Statek kosmiczny lub pocisk do jednorazowego lotu. **5.** Łódź płaskodenna (potocznie również gumowa nadymana łódź). **6.** Mikroskopijny chrząszcz z rodziny stonek żerujący na liściach i pączkach drzew. **7. ROZWIĄZANIE DODATKOWE. 8.** Czas przyszły. **9.** Motyw ornamentacyjny w kształcie stylizowanego rozwiniętego kwiatu. **10.** Miłośnie, pieszczotliwie (termin muzyczny). **11.** Wywóz towarów za granicę. **12.** Męski strój wizytowy noszony na przełomie XIX i XX wieku. **13.** Damski kostium plażowy do opalania się na słońcu.

Wyrazy trudne: 6. RYNNICA.

PIONOWO (w porządku alfabetycznym):

AWARIA, ENEASZ, EUROPA, INTRUZ, IRTYSZ, JAROSZ, KORDON, MARIAN, MOZART, PARNAS, RUDOLF, SUFLER, SZATYN, SZKRAB, SZWARC, TOYOTA, YAMATO (okres w dziejach Japonii do 710 roku), ZDANIE.



KRZYŻÓWKA

POZIOMO: A. Stulecie; kochanek; dopływ Wisły. **B.** Poprzednik teodolitu; miasto w Jemenie. **C.** Imię Lollobrigidy; przybrzeżny pas dna morskiego; stan gotowości w harcerstwie. **D.** Papuga; imię Romančika; krzywa płaska zamknięta. **E.** Aliaż; wybitne uzdolnienie. **F.** Drapieżnik; kobra. **G.** Konstytucja; jedna z liter alfabetu greckiego; kod dla niemieckiej marki. **H.** Źdźbła zbóż po wymłóceniu; pewna suma pieniędzy; imię żeńskie. **I.** Grozi za przestępstwo; wiecznie zielony krzew uprawiany dla smacznych owoców. **J.** Przejście na wyższe stanowisko; rodzaj kołnierza modnego w XVI i XVII wieku; Jagiellonka.

PIONOWO: 1. Ciężar danego ciała; łupina, plewa. **2.** Miasto w Zairze; staropolskie imię męskie. **3.** Wulkan na Sycylii; zasłona. **4.** Rozbija się o izbice; czarownik i znachor. **5.** Stały znak nawigacyjny. **6.** Wyspa duńska; płynie jak Wisła szeroka. **7.** Dramat J. Słowackiego; wyspa chorwacka na Adriatyku. **8.** Brat Kaina; dźwignia do podnoszenia ciężarów. **9.** Murzyn z terenów w dorzeczu Nilu; rzeka na wyspie Honsiu. **10.** Lekka, porowata skała; minerał (odmiana dwutlenku tytanu). **11.** Czwarty król izraelski; skrót nazwy jednostki ciśnienia. **12.** Droga wysadzona drzewami. **13.** Dyrygent Collegium Iuvenum; gatunek wierzby. **14.** Praktykant; rzeka w Albanii. **15.** Wiersz; państwo na Półwyspie Arabskim. **16.** Imię Staśka; spożywana jest w czasie żydowskiego święta Paschy.

Wyrazy trudne: Als, Drin, Isiro, Nilot, Tone.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki - „złotą" myśl, której autorem jest komediopisarz grecki Meander - dadzą litery w następujących kratkach: H-8, D-13, A-3, B-14, F-4, J-3, B-8, I-15, C-7, E-11, H-3, C-1, H-13, I-1, A-2, I-9, C-2, I-16, E-13, B-9, D-11, F-12, G-8, G-2, C-16, J-2, F-7, B-4, H-10, C-12.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną rozlosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca lipca.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru majowego:
NADZIEJA POCIESZA, WSPIERA I ZAWODZI.

Nagrody książkowe wylosowali: **Erwin Szklorz** - Karwina Raj
Anna Mrózek - Czeski Cieszyn
Jerzy Branny - Cieszyn

Sekcja Kobiet przy ZG PZKO
MK PZKO i Klub Kobiet w Suchej Górnej
zapraszają na

BABSKI FESTYN

w sobotę 15. 9. 2001 o godz. 13^{30}
Dom PZKO Sucha Górna

Program:

występy uczniów miejscowej PSP i przedszkola
zespół Suszanie
chór mieszany PZKO Sucha
orkiestra Wiesława Farany

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny Ministerstwa Kultury RC: F 389

WYDAWCA: **POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE, IČO: 442771, przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej**

REDAKCJA: **ELŻBIETA STRÓŻCZYK** (redaktor naczelny), **CZESŁAWA RUDNIK** (redaktor), **FRANCISZEK BAŁON** (sekretarz redakcji), **ELŻBIETA KOLBER** (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: **ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN, Tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz**

RADA REDAKCYJNA: **Kazimierz JAWORSKI, Daniel KADŁUBIEC, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK**

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168 Kč, z wysyłką pocztową 240 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701028/00 z dnia 27 VI 2000 r. z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE ZESPOŁY



RYTMIK

Taką nazwę obrał zespół tańca towarzyskiego, działający samodzielnie już od 11 lat. Założyli go i prowadzą państwo Renata i Ryszard Staszowscy. Rytmik, chociaż niewiele się o nim mówi i pisze w naszych mediach, jest jednak znany dzięki występom na balach (w zeszłym roku było ich 25, a w tym 27). Rytmik to wysoki poziom, dobra choreografia i piękne stroje. Dobrze znany w kręgach PZKO mistrz tańców latynoamerykańskich z lat siedemdziesiątych Grzegorz Wałach, oglądając Rytmik, stwierdził z nutką nostalgii, że jemu nie udało się zorganizować czegoś takiego. Równie wysoko ocenił zespół Otton Hilla, znana wybitna postać w dziedzinie tańca towarzyskiego.

Aktualnie Rytmik liczy 50 członków w wieku od 8 do 18 lat z różnych miejscowości podgórskich jak: Nawsie Jasienie, Milików, Koszarzyska, Jabłonków. Treningi odbywają się w sali gimnastycznej milikowskiej lub jabłonkowskiej szkoły w każdy piątek, a nieraz i w soboty i niedziele. Droga do perfekcji wymaga wiele poświęcenia, ale członków zespołu to nie zraża. Choreografię tańców opracowują i treningi prowadzą Petra Gabrysowa i Bogdan Sikora – członkowie słynnego Klubu Tanecznego Elan z Trzyńca. W zespole są organizowane corocznie jesienne i zimowe zgrupowania. Tradycyjną imprezą Rytmiku – pokazem dla rodziców i sympatyków zespołu – są Bale Majowe w Domu Kultury w Jasieniu.

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

OT
P.P.
701 028/00
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE ZAOLZIE

SZUMBARK

To poniekąd zapomniana, bo wchłonięta przez miasto Hawierzów wioska. Niewiele tu ocalało z jej dawnej polskiej świetności. A przecież był tu chór mieszany, zespół taneczny, członkowie Miejscowego Koła PZKO prezentowali amatorskie przedstawienia w Gospodzie pod Jeleniem, która stoi pod lasem do dnia dzisiejszego. Jest w Szumbarku nadal Miejscowe Koło PZKO, już niestety nieliczne. Wielu ludzi wchłonęło miasto. Krajobraz tych stron zmienił się. Wielu domów, wielu miejsc już nie ma albo są, ale nie tym, czym były. Nie ma polskiej szkoły. Nawet stare kino już nie jest kinem. Widok z gospody pod lasem na panoramę Szumbarku z Beskidami na horyzoncie przecięła linia miejskich bloków.



ISSN 0139-6277

Zwrot 8
2001

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ



TACY BYLIŚMY



Uczniowie polskiej szkoły „pod dzwonkiem“ w Śmiłowicach w roku 1933.

Nauczycielami w szkole byli: Jan Szalbot (kierownik) i Jan Wanok (ojciec Marii Łabaj i Zofii Wanok). Szkoła spłonęła w latach pięćdziesiątych.

cz III 6/2001

GUSTAW MORCINEK

PIERNIKOWE SERCE

Ani złota pełne beczki,
Ni ślubne kobierce,
Nie ucieszą tak Haneczki,
Jak z pierniku serce...

Serduszko z piernika,
Skradzione z kramika,
W róże malowane,
Miodem smarowane!

Hanka spojrzy na serduszko,
Rozdzwoni się śmiechem.
- Weź se serce, moja duszko,
Przecież to nie grzechem!...

Serce się czerwieni,
Jakby złoto w skrzyni,
W róże malowane,
Słodko smarowane
Miodem, hej...

Serce się czerwieni
Na Hanczynej dłoni.
Chłopiec stoi w sieni,
Hanka śmiechem dzwoni...

- Pójdźże, synku, pójdźże do mnie,
Dam ci usta w sieni
Za to serce, co tak szumnie
W dłoni się płomieni!...

Synek stoi w sieni,
Hanka śmiechem dzwoni,
Że na białej dłoni
Cudnie się czerwieni
Serce, hej...

Wziął jej serce malowane,
Serce z białej dłoni,
Wziął jej usta całowane -
- Haneczka się płoni...

Haneczka się płoni,
Śmiechem już nie dzwoni.
Żal jej było serca,
Co wziął przeniewierca -
Synek, hej...

Obiecywał swoje serce
Ów synek niecnota,
I te ślubne, te kobierce
I wór pełen złota.

Patrzy Hanka biedna
Na uwiędłe kwiecie.
- Co ja teraz jedna
Poczne se na świecie
Co?...

Choćby były złota beczki
I ślubne kobierce,
Nie ucieszy już Haneczki
Piernikowe serce,
Nie...

Zwrot 8 2001

Rok LII, Nr 621
Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 20,00 Kč

W NUMERZE

3	Czesi i Polacy w tysiącletniej historii (2)	JAROSLAV PÁNEK
10	Zaolziańskie baśnie i waśnie: Józef Kożdoń	KRZYSZTOF NOWAK
16	Sytuacja polskich emerytów i rencistów zamieszkałych za granicą (1)	URSZULA MILCZEWSKA
22	Gustliczek	KRYSTYNA KOLIŃSKA
31	Gdzie jesteś, Karwino?	CZESŁAWA RUDNIK
36	Kronika: Międzynarodowy Festiwal Muzyki Chrześcijańskiej, Suszanie w Toruniu, Aktywne Koło PZKO Piotrowice, Inicjatywy Ruchu Politycznego Coexistentia-Wspólnota, Przedstawienie szkolne PSP w Sibicy, Chóry Hutnik i Sonantes śpiewały w Trzyńcu, Łączka w Kromierzyżu, Pożegnanie ze szkołą, Zakończenie roku szkolnego w PSP w Gnojniku, Uhonorowanie miss, Festyn ogrodowy	
48	Poezja Jindřicha Zogaty	
50	Zwyciężył kamień czy słowo?	LIBOR MARTINEK
51	Gustaw Morcinek: Śnieg w słońcu	
56	Przez sito intymności	MAREK SŁOWIACZEK
58	Młode pióro: Barbara Rusnok	
61	Sto dziesięć lat minęło od narodzin Gustawa Morcinka	C. R.
63	Na naszej scenie: Co słychać w Bajce	CZESŁAWA RUDNIK
66	Jindřich Zogata – poeta i pisarz Beskidów	WILHELM PRZECZEK
69	Żydowskie zabytki na terenie Czeskiego Cieszyna	JAROSLAV KLENOVSKÝ
71	Na półkach księgarskich	
73	Cieszyn – Czeski Cieszyn, jedno miasto	TOMASZ RUSEK
75	Mozaika	

Numer zamknięto 4. 7. 2001
Na okładce: Dożynki w Oldrzychowicach w roku 2000

CZESI I POLACY W TYSIĄCLETNIEJ HISTORII (2)
(PRZEMIANY MODELU SĄSIEDZTWA I WSPÓŁŻYCIA)

6. WSPÓLNE ŻYCIE POD NACISKIEM DYKTATURY I WZAJEMNE ZBLIŻENIE NA DRODZE KU WOLNOŚCI (1945-1989)

Zakończenie drugiej wojny światowej w radykalny sposób zmieniło strategiczne punkty wyjścia dla czesko-polskich stosunków. Terytorialne przesunięcie się Polski na zachód oraz wysiedlenie ludności niemieckiej z odzyskanych ziem polskich i z czeskiego pogranicza po kilkusetletniej przerwie odnowiło - ponownie rzeczywiście intensywne - realne sąsiedztwo państwa polskiego i czeskiego. W przeciwieństwie do małego odcinka wspólnej granicy na Śląsku Cieszyńskim (a także na granicy polsko-słowackiej) w okresie międzywojennym obecnie powstała bardzo długa bezpośrednia granica łącząca ziemie czeskie z Polską. Rezultaty tej nowej sytuacji geopolitycznej - oprócz bardzo intensywnej wymiany handlowej - nie mogły ujawnić się natychmiast, albowiem obydwu narodom została na okres czterech dziesięcioleci narzucona obca, sowiecka hegemonia i system komunistyczny.

Oparta na mocarstwowości oraz ideologii integracja w bloku sowieckim nie stwarzała odpowiednich przesłanek do uznawania interesów narodowych Polaków i Czechów, za wyjątkiem wspólnego rozwiązywania kwestii narodowej, które przybrało postać ostrej powojennej reakcji na brutalne rządy niemieckie. Niezależnie od tego, w jaki sposób wysiedlenie Niemców jest dzisiaj przewartościowywane, z realistycznego punktu widzenia należy mieć na uwadze następstwa wydarzeń z lat 1938-1945, ich przyczynowe powiązania i nie przenosić współczesnych punktów widzenia ludzkich praw na anarchiczne stosunki na końcu drugiej wojny światowej i tuż po jej zakończeniu. Jednocześnie błędem byłoby niedocenianie znaczenia tej deportacji dla umocnienia homogeniczności państwa polskiego i czeskiego, a także dla ukształtowania nowego potencjału tych stosunków.

W społeczeństwie czeskim i polskim w drugiej połowie XX wieku miały miejsce przemiany o charakterze modernizacji społecznej, ale pod naciskiem reżimu komunistycznego modernizacja ta była znacznie zdeformowana. Oba narody zostały wystawione na silną niwelację czy nawet proletaryzację i utraciły swoje naturalne, silne elity ekonomiczne. Jakkolwiek strata ta była bar-

dzo okrutna, to wpłynęła - wzmocniona także negatywnymi doświadczeniami z takim samym typem obcego (tj. moskiewskiego) panowania - na kształtowanie się społecznych i ideowych przesłanek do pokonania wcześniejszych stereotypów i do wychodzenia sobie naprzeciw w przyszłości. Innymi słowy, Czesi i Polacy, którzy przez dziesięciolecia byli poddawani nazistowskiej i komunistycznej dyktaturze, byli lepiej przygotowani do wzajemnego współżycia niż wcześniejsze generacje obydwu narodów.

Największym deficytem czesko-polskich stosunków w pierwszych dwudziestu latach po wojnie była niska intensywność kontaktów międzyludzkich. Wyraźny rozwój kontaktów mógł dopiero nastąpić w drugiej połowie komunistycznych rządów. Jeszcze przed nadejściem Praskiej Wiosny 1968 roku było rzeczą oczywistą, że silniejszy intelektualny potencjał polskiej inteligencji pozytywnie wpłynie na naukowe i kulturalne życie na ziemiach czeskich (wyrywkowo przypominam tylko tłumaczenia utworów Zygmunta Baumana, Zbigniewa Pietrasińskiego i innych, które ożywiały świat myśli ówczesnych czeskich studentów i młodych intelektualistów).

Tragiczną cezurą stała się okupacja Czechosłowacji w sierpniu 1968, której jedynym pozytywem było to, że pozbawiła Czechów anachronicznych pozostałości naiwnego rusofilstwa i nauczyła ich lepiej rozróżniać pomiędzy oficjalnie ustanowionymi braterskimi „narodami". Rycerska postawa polskich żołnierzy na północnym pograniczu i wyraźne zdystansowanie się polskiej opinii publicznej od głębokiego upokorzenia Czechów stwarzało przesłanki ku powstaniu głębszej intelektualnej i politycznej więzi, jakiej byśmy po 1968 roku nie znaleźli w stosunku Czechów do Rosjan czy obywateli Niemieckiej Republiki Demokratycznej. W okresie ogólnej depresji lat 70., a zwłaszcza w poniekąd rozluźnionej sytuacji w latach 80. Polacy (i to zarówno w kraju, jak i za granicą) stawali się dla Czechów przedstawicielami nowej nadziei.

Do dnia dzisiejszego nieocenioną rolę spełniało informowanie czeskiej opinii publicznej za polskim pośrednictwem w okresie największej blokady czeskiego myślenia naukowego, kulturalnego i politycznego. Niewyobrażalne już obecnie zunifikowanie i prymitywizm środków masowego przekazu oraz odcięcie państwa czeskiego od Zachodu było najsilniej naruszane nadawaniem programów przez zagraniczne stacje radiowe w języku polskim. Polski Głos Ameryki i Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa oczywiście nie podawały zawsze tylko obiektywnych informacji, ale do Czechosłowacji, zamkniętej kaftanem bezpieczeństwa drutów kolczastych i stacjami zakłócającymi wiadomości zagraniczne w języku czeskim wnosiły inny polityczny dyskurs i zmuszały do przemyśleń w innych kategoriach, niż do jakich zmuszał późnokomunistyczny reżim.

Dla ożywienia czeskiej kultury, szczególnie zaś nauk społecznych, niezwykłe znaczenie miał Ośrodek Kultury Polskiej w Pradze, który stał się swego rodzaju misyjnym centrum wolnego myślenia i źródłem kontaktów nie tylko z osiągnięciami polskich nauk humanistycznych, ale i kultury zachodniej, docierającej w polskich przekładach. Nigdy dotąd nie było w Czechach takiego zainteresowania przynajmniej pasywnym opanowaniem języka polskiego i polską literaturą naukową jak właśnie w czasie tzw. normalizacji.

Wspaniałomyślność polskich kolegów przejawiła się również aktywnym poparciem na przykład czeskich historyków, którzy w swoim kraju mieli utrudnione lub całkowicie zakazane publikowanie. W 1983 roku warszawski Kwartalnik Historyczny umożliwił czeskim historykom opublikowanie wyników swoich badań, dzięki czemu osiągnięcia czeskich nauk historycznych mogły być przedstawione na forum międzynarodowym. Publikacje, o których tu mowa, nie mogły się ukazać w oficjalnych czasopismach czechosłowackich, które, nawiasem mówiąc, reprezentowały niski poziom.

Zasadnicze zmiany odgrywały się jednak w sferze politycznej. Aczkolwiek rzecznicy opozycyjnych poglądów mieli też w Polsce ogromne trudności, to z tamtejszego wolnościowego środowiska przychodziły zasadnicze podniety. Zapewne najważniejszą z nich był fakt (dla czeskiej mentalności nadzwyczaj istotny), że Polakom udało się przeciąć łańcuch powstań zakończonych klęską i stworzyć nowy model zmiany społecznej i politycznej. Program nie niszczenia, ale tworzenia nowych struktur organizacyjnych (wolne związki zawodowe, organizacje młodzieżowe, niezależne organizacje intelektualistów) zapisał się w dziejach świata jako wyjątkowe, zakończone powodzeniem staranie o bezkrwawą destrukcję dyktatury. W dodatku program ten doskonale odpowiadał czeskiemu pragmatyzmowi ewolucyjnemu, tradycji masarykowskiej „drobnej pracy" i jednocześnie silnemu pragnieniu zmiany. Właśnie dlatego w czeskim środowisku został przyjęty z taką oczywistością, jakby pochodził on z Czech.

Polski model drogi ku wolności, pozbawiony przymusu, a wsparty przez czeskie grupy opozycyjne i przejawy intelektualnej solidarności, jest największym darem, jaki otrzymali Czesi w dziejach polsko-czeskich stosunków. Był to dar bez jakiejkolwiek kompensacji ze strony czeskiej, wskazujący na nowy fakt: Polski naród zgromadził w swojej, często tragicznej historii niezwykłe doświadczenia historyczne, a pod względem intelektualnym sprostał temu na takim poziomie, który pod koniec XX wieku - razem z geopolitycznym znaczeniem kraju - uprawnia go do zajęcia pozycji miarodajnego czynnika nie tylko w stosunkach polsko-czeskich, ale i w dalszym rozwoju sytuacji w Europie Środkowo-Wschodniej.

7. OTWARTA PRZYSZŁOŚĆ (OD 1989 ROKU)

Nasuwa się pytanie, jakie właściwie doświadczenie mogli wynieść Czesi i Polacy z dłuższej niż tysiącletnia historii wzajemnych stosunków. Z powyższego podsumowania wynika, że kontakty między obydwoma narodami przeszły przez dwa cykle rozwoju. Zawsze rozpoczynało go powstanie nowego państwa (ewentualnie jego odnowienie) jako ramy organizacyjnej, niezbędnej do rozwoju odpowiedniego narodu. Ten pierwszy cykl był bardzo długi i trwał od X do początku XX wieku. Oba narody wypróbowały w nim model równorzędności i jednostronnej przewagi, walki o egzystencję, ustabilizowanego sąsiedztwa, bliskiego przymierza, przyjaźni, ale też obcości i braku wzajemnego zainteresowania. Drugi cykl przebiegał w przyspieszonym tempie nowoczesnej epoki między końcem pierwszej wojny światowej i współczesnością. Także w tym przypadku sprawdzane były modele zrównoważonej pozycji i realnej przewagi większego z sąsiadów, zmieniały się etapy walki o egzystencję, ustabilizowanego (choć kierowanego przez obce mocarstwo) sąsiedztwa, przymierza i wreszcie również bardzo pozytywnych stosunków przyjaźni i współpracy, zwłaszcza między elitami kultury obu narodów. Z wcześniej poznanych modeli stosunków nie mógł nastąpić całkowity brak zainteresowania, gdyż przy ogólnie zwiększonej intensywności stosunków międzynarodowych w Europie w XX wieku jest to nie do pomyślenia. Podczas gdy pierwszy modelowy cykl czesko-polskich stosunków był w wyniku osłabienia zainteresowania w XVII, XVIII i XIX wieku zamknięty, to cykl drugi jest kontynuowany. Jak mają jednak wyglądać w niedalekiej przyszłości stosunki czesko-polskie?

Bynajmniej nie jest naszym zamiarem wyprawianie się do świata futurologii. Pomimo tego możemy chyba jednak na zakończenie przedstawić trzy nieznaczne uwagi.

(1) W procesie integracji europejskiej, choćby już jej wynik był jakikolwiek, można oczekiwać złożonego spotykania się poszczególnych tożsamości narodowych z nowo ukształtowaną tożsamością europejską, ewentualnie z szerszymi tożsamościami regionalnymi. Przeciw wariacjom na temat „Mitteleuropa" właśnie Polska w procesie przemian naszej części Europy jako jedyne państwo może odegrać rolę pełnowartościowego jądra krystalizacyjnego. Nie tylko ze względu na swą powierzchnię i liczbę ludności, nie tylko ze względu na potencjał ekonomiczny (przecież w niedalekiej przyszłości, to, co było pojmowane jako największa słabość polskiej gospodarki - to znaczy rolnictwo i kwestia wyżywienia, może się zmienić w jedną z jej największych zalet); także ze względu na siłę polskiej kultury i poczucie godno-

ści narodowej jej obywateli. Świadome utożsamianie się ze społeczeństwem narodowym, u Czechów znacznie obecnie osłabione, ma w przeciwieństwie do małych narodów Europy Środkowo-Wschodniej niezbędną przeciwwagę w polskim poczuciu kosmopolityzmu. Honor narodowy i łączność z Polonią na świecie tak samo jak niezwykle ważne miejsce wielu Polaków w hierarchii Kościoła, w polityce i kulturze światowej, to fakty, z którymi nie może się mierzyć żaden inny naród w Europie Środkowo-Wschodniej. Ponadto trzy wieki tragicznej historii Polski dostarczyły jej obywatelom i elitom wiedzę, która miałaby nie dopuścić do daremnego mesjanizmu. Oczywiście taka rola Polski jest nie tylko zaletą, ale i brzemieniem. Przynosi zadania „małemu wśród dużych" czy innymi słowy „dużemu wśród małych" państw europejskich, które może uzyskać rzeczywistą wielkość, o ile będzie mieć po swojej stronie także te „mniejsze wśród małych". W tym sensie Polska może w trzecim tysiącleciu po narodzeniu Chrystusa stać się nośnikiem integracji kulturalnej w Europie Środkowo-Wschodniej, a rezultaty takiej syntezy kulturalnej może przekazać ludzkości. Udział w tym dziele miałby następnie umożliwić również Czechom godne włączenie czeskiego dziedzictwa kulturowego w nowo ukształtowaną cywilizację europejską.

(2) Także na płaszczyźnie praktycznej stosunki czesko-polskie dostarczają wiele materiałów do przemyśleń nad tym, jak wielkie możliwości nie są należycie wykorzystywane nie tylko w sferze polityki i gospodarki, ale też kultury i wiedzy ogólnej. Dla czeskich obserwatorów porównywanie poziomu wielopostaciowego charakteru polskich studiów bohemistycznych i czeskich studiów polonistycznych nie jest zbyt korzystne - chociażby tylko w węższej dziedzinie historiografii. Poza tym ta część czeskiego myślenia humanistycznego, która jest otwarta na wielość wpływów, zaczyna doceniać niezwykłą kulturalną wartość polskiego sąsiedztwa. Na przykład porównanie w dziedzinie historii literatury potwierdziło większą dojrzałość polskich rozwiązań ideowych i doprowadziło do systematycznego, dobrze podbudowanego pod względem metodycznym porównywania czeskiego i polskiego rozwoju po drugiej wojnie światowej. W ten sposób czeskie myślenie humanistyczne wyzwala się z ograniczonej jednostronności, nabywa krytycznego dystansu i otwiera drogę do konwergencji w polskim kierunku. Jednak jeszcze w wielu innych dziedzinach wzajemnych kontaktów kulturalnych byłyby bardziej wskazane pogłębione studia. Czy Polacy wspólnie z Czechami, a może i ze Słowakami lub innymi narodami, nie potrafiliby zapewnić wspólnych środków masowego przekazu, czy nie mogliby wykorzystać najsilniejszego narzędzia kształtującego wspólne stanowiska, jakim jest telewizja? Czy nie potrafiliby stworzyć stacji nadawczej na wzór francusko-niemieckiego

programu Arte, aby w ten sposób połączonymi siłami bronić się przeciw komercyjnej prymitywizacji i aby lepiej nawzajem poznawać się i kulturalnie wzbogacać? I czy nie można by było pierwszy krok w tym kierunku uczynić właśnie na polsko-czeskim Śląsku, który był już w dawnej przeszłości przykładną ziemią międzynarodowej komunikacji kulturalnej?

(3) Na początku XX wieku polska mniejszość na Śląsku Cieszyńskim stała się tylko obiektem głośno proklamowanych interesów państwowych. Historii nie da się zmienić, można jednak z krytycznym zrozumieniem przeszłości starać się o lepszą przyszłość. Między innymi można kroczyć drogą z jak największym zrozumieniem państwa wobec uzasadnionych praw mniejszości, której egzystencję trzeba sprecyzować nie jako wyłączny interes mniejszości, ale jako niezwykłe wzbogacenie wszystkich obywateli państwa. Przecież mniejszość narodowa jest tu także dlatego, aby stale podkreślać pozornie oczywiste fakty życia i ich konieczność; albowiem dla mniejszości żyjącej w środowisku większościowym nic nie jest oczywistością. Nawet własny język. Jeżeli dzisiaj mówi się o degradacji języków narodowych, także języka polskiego, nie dzieje się to nigdy za przyczyną mniejszości. Ta sobie swój język uświadamia i dąży do jego zachowania i dlatego instynktownie broni go przed zanikiem. W ten sposób staje się wzorem dla środowiska większościowego, w którym żyje, ale też dla swojego macierzystego narodu. Poświęca bowiem ogromną część swoich sił do zachowania przekazu i piękna języka – i to bynajmniej nie tylko dla siebie. Już za tę działalność, tak samo jak za pielęgnowanie kultury dwóch państw, zasługuje na specjalne uprzywilejowanie – w sensie politycznym, społecznym i kulturalnym. Autochtoniczna mniejszość pielęgnuje swój język i tworzy pomost między narodami i dlatego należy ją poprzeć przynajmniej w ten sposób, aby miała zapewnione stałe przedstawicielstwo w parlamencie tego państwa, w którego ramach żyje. Jeżeli to prawo mają zapewnione na przykład małe mniejszości w niedawno powstałych państwach na południe od nas (w Chorwacji – tam także dla Czechów – i w Słowenii), dlaczego taka sama zasada nie miałaby obowiązywać również w Czechach? Jak największe poparcie należy się ze strony społeczeństwa większościowego szkołom z polskim językiem nauczania, zespołom czy też dwujęzycznym tablicom, oznajmiającym, że na tym terenie potrafią w dobrych stosunkach sąsiedzkich żyć Polacy razem z Czechami. Wzajemna lojalność większości i mniejszości, bez czego żadne społeczeństwo nie może osiągnąć stabilizacji, miałaby być zdefiniowana nie jako obciążenie, ale właśnie jako narzędzie obustronnego wzbogacania się.

Współczesna Europa jest już stara i zmęczona, mówi wielki artysta An-

drzej Wajda, który kiedyś był jednym z inspiratorów narodzin nowej fali czeskiego filmu i czeskiej kultury w latach sześćdziesiątych. Ma rację w tym sensie, że Europa na progu XXI wieku nie jest tym ambitnym kontynentem, który na początku nowożytności wybrał się w drogę, aby przenieść swą kulturę do pozostałych części świata i aby opanować cały świat. Jednocześnie jednak jest kontynentem, który ma dzisiaj o wiele większy zasób doświadczeń historycznych, których nie można pominąć. Są to doświadczenia będące ciężarem i dodające otuchy. Do najważniejszych z nich należy poznanie i wielokrotnie powtarzane potwierdzenie o pluralizmie europejskim. Świadomość tego, że różnorodność kulturalna, narodowa i językowa jest charakterystyczna dla Europy, że ten kontynent nie może należeć tylko do mocnych i że, o ile ci najsilniejsi w przeszłości próbowali w hegemonistyczny sposób nad Europą zapanować, zawsze ponieśli klęskę. Europa pozostaje kontynentem narodów i państw, w których należy szukać i znajdować harmonijne współżycie między społeczeństwem większościowym i mniejszościami. Właśnie współżycie i wzajemne wzbogacanie się Czechów i Polaków w Republice Czeskiej i tworzenie pomostu pogłębionego zrozumienia między Czechami i Polską mogłoby się stać nowym modelem i dobrym przykładem dla przyszłej Europy.

JAROSLAV PÁNEK



Wspólny urlop polskich i czeskich rodzin nad zaporą w Żermanicach, fot. FRANCISZEK BAŁON

JÓZEF KOŻDOŃ

W majowym i czerwcowym numerze Zwrotu ukazały się obszerne fragmenty oryginalnych wspomnień Józefa Kożdonia, lidera Śląskiej Partii Ludowej, z 1948 roku. Jednym z motywów, które skłoniły autora niniejszego komentarza do ich prezentacji, były pojawiające się ostatnio na Górnym Śląsku w Polsce głosy na rzecz zarejestrowania osobnej śląskiej narodowości, jak i głosy wskazujące na ruch Kożdonia jako dowodu na jej istnienie. Niezależnie od tego na bazie dawnych i współczesnych spisów ludności, badań socjologicznych czy wreszcie modnego ostatnio problemu „Euroregionów", „Europy ojczyzn", „małych ojczyzn" itd. pojawiają się nieodłącznie pytania o spuściznę „kożdoniowszczyzny" na Śląsku Cieszyńskim, jak i związane z tym kolejne próby definiowania śląskiej odrębności.

Można powiedzieć, że na podstawie obserwacji stosunków panujących na Zaolziu trudno odmówić Kożdoniowi racji w jego sztandarowym twierdzeniu, iż język wcale nie musi być tożsamy z określoną narodowością. Osoby z zewnątrz często dziwią się, że można używać polskiej gwary jako języka macierzystego, a podawać czeską narodowość. Przykład Herczawy, gdzie niejeden językoznawca odnaleźć może najczystsze przykłady tej gwary, jest tu dość wymowny. Także informacje prasowe na temat ankiet, w których wielu uczniów polskiego gimnazjum, a więc niejako młodej elity polskiego Zaolzia, uważa się za Ślązaków, u osób na co dzień niestykających się z problematyką zaolziańską mogły wywołać (i u niektórych wywołały) pewne zdziwienie czy nawet zażenowanie. Oczywiście od razu też nasuwać się poczęły skojarzenia z kożdoniowskimi „ślązakowcami".

Ale właśnie w przypadku tzw. narodowości śląskiej od razu należy podkreślić, że niezależnie od rozważań na temat jej istnienia bądź nieistnienia (zdaniem piszącego te słowa, jak i w przekonaniu wielu innych zainteresowanych osób „śląskość" jako narodowość nie istniała i nie istnieje), niezależnie od osobistych przekonań wielu członków organizacji Kożdonia, sam przywódca ŚPL nie starał się tworzyć osobnego narodu śląskiego. Ślązacy byli dla niego odrębną grupą regionalną, co prawda o polskich korzeniach etnicznych, lecz bliższą kulturalnie Niemcom.

Przyglądając się bliżej wspomnianej treści wspomnień-listu 76-letniego podówczas pensjonariusza opawskiego domu starców, można stwierdzić, że ma on charakter jednej wielkiej skargi starego, schorowanego człowieka na los, jaki niezasłużenie - jego zdaniem - zgotowały mu niewdzięczne władze powojennej Czechosłowacji, która jemu właśnie w dużej mierze mogła podziękować za posiadanie cennego przemysłu Zaolzia. W kwestiach szczegółowych - co do dróg, które miały Kożdonia doprowadzić do Republiki Masaryka jako własnej ojczyzny - nasz bohater jednak zwyczajnie kłamie.

Do zawodu nauczycielskiego Józef Kożdoń doszedł, podobnie jak i wielu innych miejscowych synów chłopskich, poprzez niemieckie seminarium nauczycielskie, gdyż innej możliwości po prostu wtedy jeszcze nie było. Nauczyciel Kożdoń w swoim apelu z 1948 r. „zapomniał" jednak napisać, iż na początku swojej zawodowej kariery był aktywnym działaczem polskim, na którego Niemcy nie raz się skarżyli. W tym okresie istniały już rodzime polskie organizacje. Kożdoń znał więc i inną, poza niemiecką, kulturę, bo jako świadomy polski nauczyciel z pewnością ją poznał. Miał też i wpływ na taką, a nie inną swoją decyzję co do dalszej drogi życiowej. Kiedy i dlaczego zaczął się z ideowej polskości wycofywać, trudno powiedzieć. Ale wiadomo, że Śląska Partia Ludowa (Schlesische Volkspartei) powstała za niemieckie pieniądze w 1909 roku z myślą o kampanii wyborczej do sejmu w Opawie. Jej rozwój nie był naturalną konsekwencją historycznego procesu, ale sterowaną akcją polityczną, przybierając w ten sposób charakter kontynuacji poczynań pisma Nowy Czas i liberałów pastora Haasego, a więc planowego ograniczania rozwoju świadomości polskiej, która właśnie ową historyczną konsekwencję stanowiła. Stalmach, Michejdowie, Świeży, Londzin i inni działacze polscy, nie negując swojej regionalnej śląskości i popierając ruch regionalny jeszcze na długo przed Kożdoniem, który w tej dziedzinie wcale „nie odkrył Ameryki", starali się likwidować jednak kompleksy Ślązaków wobec Niemców, podczas gdy Kożdoń, głosując np. za utrzymaniem utrakwistycznego charakteru szkolnictwa, kompleksy te nadal utrwalał. Kulturę niemiecką uważał za lepszą od polskiej, polskość kojarzył z czymś „wschodnim", a więc rzekomo gorszym. Galicyjskie stereotypy przenosił na resztę narodu polskiego, co i po dzień dzisiejszy daje, niestety, nad Wełtawą, znać o sobie. Warto tutaj jednak zauważyć, że tam, gdzie kierowała się główna fala galicyjskiej biedoty, partia Kożdonia nie miała wielu zwolenników, skupiając swe szeregi we wschodniej części regionu.

Dla Kożdonia warunkiem rozwoju kulturalnego Ślązaków było istnienie zdominowanej przez Niemców Austrii, która miała trwać wiecznie i której kultura

była mu bliższa. Polskości nienawidził, a jego działania w ostatecznym rozrachunku miały nie tyle prośląski charakter, ile głównie antypolski. Położenie przegrody między Ślązakami a resztą narodu polskiego stało się motorem jego działań. Ideową polskość zwalczał, korzystając z niemieckiego błogosławieństwa i pomocy. Gdzie więc była wspominana przez niego tolerancja i równouprawnienie? Niemcy śląscy nigdy jednak nie traktowali „ślązakowców" jako równorzędnych partnerów, co niejednokrotnie dawali im odczuć i o co zwolennicy Kożdonia mieli do nich pretensje w chwili upadku Austrii. Pamiętając o podkreślanej słusznie przez Kożdonia konieczności uwzględniania kontekstu historycznego, musimy jednak stwierdzić, że Kożdoń nie był w stanie zaproponować swoim zwolennikom nic poza tym, na co ówcześni Niemcy się godzili, a więc na tolerowanie u Ślązaków pewnej odrębności kulturowej, choć głównie jako narzędzia dla zwalczania ruchu polskiego. Śląsk nie był nigdy Szwajcarią czy choćby tylko relatywnie narodowościowo bezkonfliktową daleką Bukowiną. Na obszarze między Bielskiem a Polską Ostrawą toczyła się ostra walka o wpływy i przetrwanie, a aktywność kożdoniowców dodatkowo ją zaostrzała. Wyznaczane po 1918 r. na Śląsku granice zawsze oznaczały czyjąś przegraną, nigdy zaś kompromis.

Kiedy w 1918 r. Niemcy okazali się za słabi, aby nadal dominować nad Olzą, Kożdoń starał się nadal podtrzymywać ich wpływy. Nie chciał także, aby jego region został podzielony, zwłaszcza w sytuacji, gdy 4/5 jego zwolenników mieszkało nie na późniejszym Zaolziu, ale między Cieszynem a Bielskiem. Popierał więc plany neutralizacji Śląska, a następnie przyłączenie go do Republiki Czechosłowackiej, którą uważał za bliższą zachodniej, w jego oczach zaś głównie niemieckiej, kulturze. Liczył, że pod skrzydłami ponad 3 milionów czechosłowackich Niemców i dla siebie znajdzie miejsce. Miał rację, pisząc, iż również jego aktywności Praga zawdzięczać mogła uzyskanie zaolziańskiego przemysłu. Bez poparcia Kożdonia i bez agitacji za Republiką w języku polskim minister Benesz nie mógł nawet marzyć o jakichkolwiek szansach w plebiscycie, tym bardziej, że kożdoniowcy liczyli na pewny sukces na wschód od Cieszyna, co przy ostatecznym ustalaniu granicy mogło znacznie skomplikować sytuację na znacznym obszarze późniejszego Zaolzia, gdzie spodziewano się polskiej wygranej. Benesz wiedział oczywiście, iż kożdoniowcy byli faktycznie Polakami popierającymi Niemców, ale w sytuacji zagrożenia czeskich interesów gospodarczych gotów był paktować nawet z diabłem. Potem na zasadzie „murzyn zrobił swoje", mając w garści Zagłębie i linię kolejową, „wspaniałomyślnie" poszedł na kompromis (niestety, nie w oczach polskich),

zrzekając się połowy Cieszyna, Skoczowa i Bielska i zostawiając dawnych sojuszników na pastwę ich znienawidzonej Polski. Wyrok Rady Ambasadorów także dla Kożdonia był bowiem ciężkim ciosem.

Mimo iż większość członków Śląskiej Partii Ludowej pozostała w Polsce, ruch kożdoniowski nie odgrywał już żadnej większej roli. Pozbawiony niemieckiego wsparcia i swego lidera wegetował pod kuratelą skoczowskiego pastora Gabrysia. Paradoksalnie więc poza Republiką pozostał główny trzon antypolskich Ślązaków, a na Zaolziu skupiło się dawne centrum polskiego życia narodowego.

Na Zaolziu Czesi nie rozpieszczali jednak Kożdonia, burmistrza, który z zachodniego Cieszyna utworzył odrębne miasto. Nadal chciał „zatrzymać czas", konserwując z Niemcami dawne układy, które w kolejnych wyborach gminnych i Polakom były często na rękę, gdyż liczyli na powstrzymanie czechizacji miasta. Sam wódz „ślązakowców" szukał gorączkowo opieki przed czechizacją i wpływami z Polski, żarliwie apelując o wsparcie we wrocławskim Schutzbundzie, a w 1938 roku przed obliczem lorda Runcimana. Nie na rękę było mu administracyjne połączenie Śląska z Morawami w 1928 r., a przyłączenie Zaolzia do Polski odebrał jako prawdziwą katastrofę. Jej zapowiedź miał już zaraz na początku tego wydarzenia, kiedy to z ust wojewody Grażyńskiego, który nie przyjął od niego symbolicznych kluczy od miasta, padły dobitne słowa o nietolerowaniu żadnych „typów pośrednich".

Kożdoniowcy „odżyli" wraz z wejściem Wehrmachtu. Tu i ówdzie budowali bramy triumfalne, przyjmowali „wyzwolicieli" chlebem i solą. Dla wielu z nich miała wrócić „stara, dobra Austria" i kultura niemiecka, w ramach której Kożdoń widział przyszłość swojego Śląska, o czym napisał wkrótce w kilku artykułach, których treść odbiegała oczywiście od ducha prezentowanych w poprzednich numerach Zwrotu wspomnień. Jego zwolennicy nie ustawali w proniemieckiej agitacji, prośbami, groźbami i szantażem nakłaniając ludzi do zaparcia się własnych przekonań, czego tragiczne skutki odczuło wiele polskich rodzin. Jak się jednak okazało, po pewnym czasie nowe władze niemieckie zrezygnowały z „usług" słowiańskich „Schlesierów", zaprowadzając własne porządki. „Murzyn" po raz kolejny zrobił swoje.

Niemieckość w wydaniu hitlerowskim nie była bowiem „walcem nad modrym Dunajem" i nie bardzo jakoś pasowała Kożdoniowi. Niezależnie od poglądów części swoich zwolenników sam nie był nazistą i antysemitą. Czuł się więc odepchnięty i niepotrzebny, czym Niemcy jednak się nie przejmowali. Faktem jest, że wstawił się za kilkoma Polakami, pomógł też kilku osobom uniknąć

więzienia, a może i śmierci. W 1943 roku w obliczu zmieniającej się sytuacji militarnej i nastrojów społecznych Niemcy „przypomnieli sobie o nim", dekorując go państwowym odznaczeniem za wytyczenie drogi Ślązaków ku niemieckości.

Gwarancją trwania ideologii Kożdonia było więc polityczne i ideowe trwanie niemczyzny. W takich warunkach trudno więc mówić o tworzeniu podwalin dla rozwoju nowoczesnego narodu śląskiego. Śląskość kożdoniowska bez wsparcia niemieckiego wegetowała. Teorie narodowościowe Kożdonia nie miały też wiele wspólnego ze zdrowym regionalizmem, miały wyraźnie polityczny, w zasadzie zaś antypolski aspekt, z czego on sam dobrze zdawał sobie sprawę. Realizując swój program, czynił z wielu Ślązaków niezdolną do aktywności zewnętrznej grupę, z tendencjami do separowania się, bez możliwości stałego rozwoju, a więc tych cech, które charakteryzują nowoczesne narody. Podobny polityczny, a nie świadomościowy aspekt (chęć poparcia określonego ruchu politycznego) wydała się posiadać kampania na rzecz narodowości śląskiej i morawskiej w 1991 r. Interesującym dla historyka i socjologa byłoby także bliższe przyjrzenie się kulisom „prośląskich" kampanii w Polsce. Odmienną natomiast jest sytuacja odnośnie deklarowania śląskości w ankietach przez współczesnych Zaolziaków, które z kożdoniowszczyzną ma niewiele wspólnego.

Można się także zastanawiać, na ile w sytuacji, gdy po II wojnie światowej Niemcy byli narodem wyklętym, stary i schorowany Kożdoń (zmarł w Opawie w 1949 r.) był naiwny, aby wobec nowych władz zastanawiać się na źródłami własnego „cierpienia", na ile zaś była to spowiedź wieloletniego hipokryty. Pewne jest jedno. Niezależnie od stanu swojego osobistego zaangażowania w realizację własnych idei, które w praktyce dnia codziennego były dramatycznymi w skutkach, represyjnymi antypolskimi planami, trudno wymagać, aby negatywny także i dziś stosunek Polaków na Zaolziu do Kożdonia uległ przewartościowaniom. Działalność Józefa Kożdonia będzie nad Olzą kojarzona z największymi stratami polskiej substancji narodowej i otwarciem dróg do dalszych prób izolacji Zaolziaków od polskości. Kożdoń, który, jak ktoś powiedział, bronił prawa Ślązaków do posiadania dobrego zdania o Niemcach, torował jednak drogę głównie tym, którzy podobnego zdania o Polakach nie mieli i mieć nie chcieli. Przywoływanie jego postaci przy akcjach na rzecz jednoczących się europejskich regionów jest więc historycznym nieporozumieniem i zwyczajną bzdurą.

KRZYSZTOF NOWAK

Fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



SYTUACJA POLSKICH EMERYTÓW I RENCISTÓW ZAMIESZKAŁYCH ZA GRANICĄ

Emerytura... Dla jednych to spokojne życie i zasłużony odpoczynek po wielu latach pracy, dla innych życiowa klęska, katastrofa. O przynależności do tej pierwszej lub drugiej kategorii emerytów decyduje nie tylko wykonywany przedtem zawód, wykształcenie, staż pracy, ale w znacznej mierze także i kraj, do którego kiedyś rzucił nas los. Spójrzmy więc, jaka jest sytuacja emerytów w różnych krajach Europy na tle ogólnej sytuacji ekonomicznej w danym kraju, jakie prawa mają polscy emeryci i renciści, którzy posiadają staż pracy wyłącznie w kraju zamieszkania, a także w jaki sposób rozwiązany jest problem polskich świadczeń emerytalnych z tytułu lat przepracowanych w Polsce.

Poniższe opracowanie powstało głównie dzięki osobistemu zaangażowaniu osób, do których została rozesłana specjalnie w tym celu opracowana ankieta w sprawie rent i emerytur. Analiza obejmuje osiem krajów zarówno z Europy Wschodniej jak i Zachodniej, uporządkowanych w kolejności alfabetycznej. Wszelkie komentarze są zbędne. Przytoczone fakty i liczby głośno krzyczą... Z żalem należy stwierdzić, że mimo wcześniejszych obietnic, nie nadeszła odpowiedź na ankietę z Towarzystwa Pomocy Polakom w Wielkiej Brytanii, w związku z czym kraj ten nie został włączony do referatu.

AUSTRIA

Na podstawie informacji z 9 stycznia 2001 roku opracowanej przez Bolesława Karwata - prezesa Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Austrii.

Podstawowe dane makroekonomiczne w 2000 roku:	
Przeciętna płaca w sektorze budżetowym	około 25000 ATS (ok. 1700 USD)
Minimum socjalne na osobę/miesiąc	8000 ATS (530 USD)
Minimalny zasiłek socjalny	6000 ATS (400 USD)
Minimalna emerytura	7000 ATS (470 USD)
Maksymalna emerytura	50000 do 70000 ATS (3400-5000 USD)

Austria jest jednym z krajów, z którymi Polska nie miała dotąd umowy o zabezpieczeniu socjalno-emerytalnym. Forum Polonii w Austrii dziesięć lat zabiegało o podpisanie takiej umowy. 7 września 1998 roku umowa o zabezpieczeniu społecznym między Rzeczpospolitą Polską a Republiką Austrii została wreszcie podpisana i po ratyfikacji przez obie układające się strony

weszła w życie 1 grudnia 2000 roku. Ponieważ wciąż jeszcze nie ma rozporządzeń wykonawczych, emeryci i renciści, obywatele austriaccy polskiego pochodzenia (emerytów polskich na polskich dokumentach nie ma) otrzymują tylko renty austriackie w wysokości uzależnionej od ilości przepracowanych lat na terenie Republiki Austrii. Zgodnie z zapisami umowy osoby, które pracowały zarówno w Polsce jak i w Austrii, otrzymają po spełnieniu warunków wymaganych przez przepisy wewnętrzne każdego z państw świadczenia emerytalno-rentowe, przy czym wysokość tych świadczeń uzależniona będzie od okresu zatrudnienia w danym państwie. Każde z państw wypłacać będzie świadczenie wyłącznie za własne okresy zatrudnienia. Osoby pobierające już austriacką emeryturę, które pracowały również w Polsce i z tego tytułu nie otrzymują na razie żadnych świadczeń, będą miały możliwość ubiegania się o takie świadczenie po złożeniu wniosku u ubezpieczyciela austriackiego. O ile wniosek złożony zostanie przed upływem 2 lat od daty wejścia w życie Umowy, możliwe będzie otrzymanie polskiego świadczenia od tej daty. Jeżeli wniosek zostanie złożony po upływie 2 lat od daty wejścia Umowy w życie, polskie świadczenia emerytalne zostaną przyznane od pierwszego dnia miesiąca, w którym złożono wniosek.

Społeczność polonijna żyje nadzieją, że już niedługo będzie mogła składać w tutejszych zakładach ubezpieczeniowych wnioski o świadczenia z tytułu zatrudnienia w Polsce.

BUŁGARIA

Informacje z Narodowego Instytutu Statystyki, Narodowego Instytutu Ubezpieczeń, Instytutu Badań Socjalnych przy Konfederacji Niezależnych Związków Zawodowych i Kodeksu Obowiązkowych Ubezpieczeń Społecznych zebrała i opracowała Urszula Milczewska, prezes Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego im. Władysława Warneńczyka w Bułgarii.

Podstawowe dane makroekonomiczne w 2000 roku:	
Przeciętna płaca w sektorze budżetowym	220 lw (110 USD) brutto*
Maksymalna emerytura	160 lw (80 USD)
Minimalna emerytura (socjalna)	46 lw (23 USD)
Średnia emerytura	82 lw (41 USD)
Minimalny zasiłek socjalny	40 lw (20 USD)
Maksymalna renta z tytułu niezdolności do pracy	60 lw (30 USD)
Minimalna renta z tytułu niezdolności do pracy	42 lw (21 USD)

*stopa opodatkowania wynosi 20% od kwoty powyżej 50 USD

Informacja z 17 stycznia 2001 roku podana przez Instytut Badań Socjalnych przy Konfederacji Niezależnych Związków Zawodowych w Bułgarii: niezbędne minimalne miesięczne koszty utrzymania jednej osoby - 257 lw (128 USD); kwota niezbędna do zapewnienia biologicznej egzystencji dorosłego człowieka - 97 lw (48 USD).

Najbardziej pokrzywdzoną grupę społeczną wśród polskich emerytów i rencistów stanowią osoby, które posiadają wyłącznie bułgarski staż pracy. Najczęściej spotykana renta lub emerytura wynosi 28-32 USD, a więc jest to kwota znacznie niższa od kwoty niezbędnej do zapewnienia biologicznej egzystencji dorosłego człowieka.

Od 1 stycznia 2000 roku w Bułgarii obowiązuje nowy Kodeks Obowiązkowych Ubezpieczeń Społecznych, na podstawie którego cudzoziemcy przebywający na stałe lub przez dłuższy czas w Bułgarii i posiadający wymagany przez Kodeks staż pracy w Bułgarii mają takie same prawa do świadczeń emerytalno-rentowych jak obywatele bułgarscy. Zgodnie z art. 98 ust. I Kodeksu świadczenia te wypłacane są przez bułgarski Narodowy Instytut Ubezpieczeń. Polscy emeryci i renciści na równi z Bułgarami mają prawo do wszystkich przewidzianych w Kodeksie ulg, zniżek, dodatków do emerytur i rent, opieki społecznej, renty rodzinnej, zasiłku pogrzebowego itd. Realny wymiar tej pomocy jest jednak tak znikomy, że niewiele zmienia dramatyczną sytuację tych osób.

Stosunkowo dużą grupę wśród emerytów w środowisku polonijnym (około 120 osób) stanowią osoby, które posiadają staż pracy zarówno w Bułgarii jak i w Polsce. Zgodnie z art. 98 ust. I Kodeksu również i w tym przypadku świadczenia emerytalno-rentowe są wypłacane przez bułgarski Narodowy Instytut Ubezpieczeń, na podstawie Umowy o współpracy w dziedzinie polityki społecznej między PRL a Ludową Republiką Bułgarią, podpisanej w Warszawie 12.7.1961, i Porozumienia w sprawie wykonania tejże Umowy, podpisanego w Sofii 29.8.1962 roku. Ta przestarzała Umowa jest bardzo krzywdząca dla świadczeniobiorców z następujących powodów: Polskie emerytury i renty przekazywane są z Polski w dolarach amerykańskich, a w Bułgarii raz na kwartał wypłacane w lewach, przy całkowitym braku informacji, wg jakiego kursu bankowego świadczenie zostało przeliczone. Osobom, które pobierają polską emeryturę lub rentę, odlicza się proporcjonalną część polskich świadczeń z bułgarskiej emerytury, pomimo spełnienia warunków upoważniających do otrzymania pełnej emerytury bułgarskiej.

Od kilku lat Ambasada RP w Sofii wielokrotnie występuje wobec kompetentnych władz polskich i bułgarskich z inicjatywą zawarcia zupełnie nowej dwustronnej umowy o zabezpieczeniu społecznym między Polską a Bułgarią. Bułgaria gotowa jest przedstawić projekt nowej, korzystniejszej dla polskich emerytów i rencistów umowy. Jak dotąd nie znalazło to poparcia ze strony

odpowiednich instytucji w Polsce. Na IV Zjeździe Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych w Pułtusku w 2000 roku środowisko polonijne w Bułgarii zwróciło się do EUWP z prośbą o wsparcie w tej sprawie.

CZECHY

Na podstawie informacji z 17 stycznia 2001 roku opracowanej przez Józefa Orszulika, prezesa Stowarzyszenia Emerytów Polskich w Republice Czeskiej.

Podstawowe dane makroekonomiczne w 2000 roku:	
Przeciętna placa w sektorze budżetowym	około 13000 Kč (382 USD)
Minimum socjalne na osobę/miesiąc	3770 Kč (110 USD)
Maksymalna emerytura	nieograniczona (ustawa 155/95 zniosła określenie maksymalna emerytura)
Minimalna emerytura	2080 Kč (61 USD)
Minimalny zasiłek socjalny	1500 Kč (44 USD)

Emeryci - obywatele polscy, posiadający staż pracy wyłącznie w Republice Czeskiej, traktowani są na równi z obywatelami tego kraju, tzn. mają prawo do wszystkich przewidzianych w ustawie emerytalnej ulg, zniżek, dodatków do emerytur i rent, opieki społecznej, renty rodzinnej, zasiłku socjalnego, zasiłku pogrzebowego itd.

Na podstawie Umowy międzynarodowej z dnia 5 kwietnia 1948 roku zawartej między PRL a Czechosłowacją obywatele polscy posiadający staż pracy zarówno w Republice Czeskiej jak i w Polsce otrzymują należną im polską część świadczeń w dolarach amerykańskich co miesiąc pod koniec danego miesiąca. Emerytury w Republice Czeskiej są obliczane na podstawie stosunku przepracowanych lat w danym kraju (w Polsce i Republice Czeskiej) do ogółu przepracowanych lat (np. 40% w Republice Czeskiej i 60% w Polsce). Emeryci i renciści w Republice Czeskiej, którzy pobierają pełne świadczenia emerytalne z Polski (ZUS Nowy Sącz), są zobowiązani do płacenia miesięcznych składek na ubezpieczenie zdrowotne (obecnie 675 Kč miesięcznie), co nie jest zgodne z Umową międzynarodową między PRL a Czechosłowacją z dnia 5 kwietnia 1948 r. (patrz punkt 3).

Powyższa umowa gwarantuje równouprawnienie emerytów polskich i czeskich w zakresie bezpłatnego ubezpieczenia zdrowotnego. Ministerstwo Zdrowia w Republice Czeskiej nie przestrzega postanowień umowy w tym względzie i sprawa ta wymaga uregulowania niezależnie od tego, że wspomniane opłaty miesięczne co kwartał są emerytom rekompensowane. Obywatele polscy występowali wobec kompetentnych władz polskich i czeskich (Minister-

stwo Zdrowia, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Zakład Ubezpieczeń) z inicjatywą rozwiązania tego problemu i nowego uregulowania składek na ubezpieczenia zdrowotne. Jak dotąd, sprawa nie została załatwiona pozytywnie. (Od redakcji: Opisane stanowisko władz czeskich w kwestii bezprawnego ściągania przez Ministerstwo Zdrowia dodatkowych składek na ubezpieczenie zdrowotne od emerytów polskich, pobierających pełne świadczenia emerytalne z Polski, uległo zmianie w marcu br. z wsteczną datą ważności od stycznia br.)

DANIA

Na podstawie informacji z 10 stycznia 2001 roku opracowanej przez Monikę Truszkowską-Pruchniewicz, II Sekretarza Ambasady RP w Kopenhadze.

Podstawowe dane makroekonomiczne w 1998 roku (najnowsze dostępne dane):	
Przeciętna płaca w sektorze budżetowym	24277 DKK (ok. 3000 USD)brutto*
Podstawowa stawka emerytury powszechnej	4262 DKK (ok. 530 USD) brutto

* stopa opodatkowania wynosi od ok. 50% w górę

Podstawowa stawka emerytury powszechnej jest jednakowa dla wszystkich osób, które uzyskały pełne prawo do emerytury powszechnej (czyli w okresie między ukończeniem 15 a 67 roku życia zamieszkiwały w Danii przez co najmniej 40 lat) niezależnie od obywatelstwa. Osoby, które w ww. okresie zamieszkiwały w Danii krócej niż 40, ale dłużej niż 10 lat, nabywają prawo do emerytury powszechnej w wymiarze proporcjonalnym do okresu pobytu. Emerytura powszechna nie jest uzależniona od okresu zatrudnienia ani osiąganych zarobków; przysługuje również osobom, które nigdy nie pracowały.

Do stawki podstawowej doliczany jest dodatek w następujących wysokościach: dla osób pozostających w związku małżeńskim (lub konkubinacie, rozstrzygający jest fakt wspólnego prowadzenia gospodarstwa domowego) - 1938 DKK (ok. 240 USD) brutto miesięcznie; dla osób samotnych - 4226 DKK (ok. 525 USD) brutto miesięcznie. W przypadku osiągania przez emeryta dodatkowych dochodów (np. jeśli pracuje i otrzymuje wynagrodzenie lub pobiera wysokie świadczenie emerytalne z kraju poza UE) kwota dodatku jest odpowiednio zmniejszana.

Osoby uprawnione do świadczeń emerytalnych z Polski pobierają je za pośrednictwem upoważnionej przez siebie osoby zamieszkałej w Polsce, ewentualnie świadczenie przekazywane jest przez ZUS na rachunek bankowy pro-

wadzony przez beneficjenta w polskim banku. Osobom, które uzyskały pełne prawo do emerytury powszechnej w Danii, potrąca się określoną część przysługujących im świadczeń z racji stażu pracy w Polsce tylko w przypadku, gdyby kwota polskiego świadczenia emerytalnego przekraczała 40 000 DKK (ok. 5000 USD) w skali roku. Powodowałoby to proporcjonalne obniżenie dodatku do podstawowej stawki emerytury powszechnej.

Obywatele polscy mają prawo do renty z tytułu niezdolności do pracy na takich samych zasadach jak emerytura powszechna, tj. w odpowiedniej proporcji do okresu zamieszkiwania w Danii. Polscy emeryci i renciści na równi z obywatelami miejscowymi mają prawo do wszystkich przewidzianych przez prawo ulg i zniżek. Zdecydowana większość emerytów pobiera ponadto różnego rodzaju dodatki i zasiłki pielęgnacyjne, na zakup lekarstw i sprzętu rehabilitacyjnego, itp., a także korzysta z oszczędności zgromadzonych w funduszach emerytalnych. Renta rodzinna w przypadku śmierci współmałżonka nie ma odpowiednika w duńskim systemie prawnym.

Przed wejściem w życie ustawy z dnia 17.12.1998 r. o emeryturach i rentach z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych wiele osób występowało w sprawie umożliwienia wypłaty świadczeń z Polski osobom uprawnionym zamieszkałym w Danii. Ustawa wprowadziła zadowalające rozwiązania w tej dziedzinie.

URSZULA MILCZEWSKA

(dokończenie w następnym numerze)

Drodzy Czytelnicy,

na początku września rozlosujemy wśród wszystkich, którzy opłacili **prenumeratę Zwrotu** na rok 2001 w terminie do końca marca br., nagrody książkowe i **nagrodę główną** w postaci **sześciotomowej Nowej Encyklopedii Powszechnej PWN**, ufundowanej przez **Fundację Pomoc Polakom na Wschodzie**.

Nagrodę główną wręczymy 15 września podczas Babskiego Festynu w Suchej Górnej. Osoba szczęśliwie wylosowana zostanie wcześniej zawiadomiona listownie.

Życzymy szczęścia

REDAKCJA

GUSTLICZEK

Stało się to późnym czerwcowym wieczorem w 1892 roku: Józef Morcinek, zmorzony snem, wypuścił lejce z rąk, przechylił się i spadł na ziemię. Wóz ociężale toczył się dalej, jego koła okute żelazną obręczą zmiażdżyły pierś woźnicy. Było zupełnie ciemno, bo w tym samym momencie zgasł nagle, jakby zdmuchnięty powiewem, płomyk pod wozem: wypalił się olej w latarce, dokonało się życie Józefa Morcinka, pracownika przewozowego przedsiębiorstwa hrabiego Larischa. Już nie zarży z radości na jego widok oddana mu pod opiekę para koni, a on nie rozwiezie węgla, nie dostarczy późną nocą piwa z hrabiowskich browarów do rozrzuconych po okolicy gospód.

Ojciec dziewięciomiesięcznego Gustlika nie zdążył już dojechać ani do żadnej gospody, ani - potem, po rozwiezieniu beczek - odprowadzić Siwka i Kasztanka do ogromnej, przeznaczonej dla 40 koni stajni, ani legnąć tam na wyrku pod stajenną latarnią, ani - gdyby miał jeszcze trochę sił - doczłapać ciężkim krokiem wzdłuż gnojowiska do budelu, jednego z trzech familoków na karwińskim Żabkowie, gdzie gnieździły się, podobnie jak i Morcinkowie, liczne rodziny Liszoków, Przybyłów, Krupów, Wałoszków...

Ubogi pogrzeb Józefa Morcinka był tak samo szary i przygnębiający jak ciemne chmury dymów, snujące się aż tutaj, na cmentarzu. Na tę smutną ceremonię pożegnania przyszli, oprócz rodziny i sąsiadów z budeli, także i stajenni pachołkowie, browarniani woźnice. Do grobu przyprowadzono za uzdę Siwka i Kasztanka. Stały ze zwieszonymi łbami, rżąc cicho, poklepywane przez starego Wałoszka. Po pogrzebie nie chciały odejść od świeżo uklepanego wzgórka mogiły, gdzie spoczął zmordowany niewolniczym bytowaniem ich pan, któremu przed laty wszechwładny w Karwinie i okolicy „grof" Larisch zlecił nad nimi opiekę.

Wdowa po Józefie sama została z dziećmi - Rudolfem, Joanną, Tereską i najmłodszym Gustlikiem o danym mu na chrzcie imieniu Augustyn. Musiała odtąd najmować się do różnorakich robót. Z dnia na dzień stawała się coraz bardziej zatroskana: czy zdołam wyżywić całą gromadkę? I tą pracą ograbuli, i przy wykopkach u gospodarzy, i przy balii, odpędzić od moich dzieci głód i chłód?

Mijały miesiące, rok przeszedł jeden, drugi. Wdowie było coraz ciężej, czasem wodzianka na suchym chlebie okraszona margaryną musiała wystarczyć za całodzienne pożywienie. W końcu starsze dzieci Morcinkowej podrosły na

tyle, że same napierały się iść z domu na służbę, aby ulżyć matce. W swoim żabkowskim budelu na poddaszu została już tylko z najmłodszym synem. Matkę bolało to rozbicie gromadki, ale nie było rady. Gustlik, na szczęście, chował się zdrowo, zaczął chodzić do szkoły, nie przysparzał zmartwień.

Już od małego był ambitny, pragnął wyróżnić się, aby go wszyscy dostrzegli i cmokali z zachwytem: szykowny synek, zdolny, co też on nie wymyśli! Będą z niego ludzie. Morcinkula może Bogu dziękować za takie dziecko.

– Ja także pragnąłem, jak byłem jeszcze mały – wspomni po latach Gustaw Morcinek – by mnie dostrzeżono i pochwalono. Pamiętam, kiedyś ulepiłem „draka", takiego latawca. Wybiegłem na dwór, biegałem z nim to tu, to tam, może nawet coś głośno wykrzykiwałem, chcąc zwrócić nań uwagę. Niech wszyscy ludzie widzą moje dzieło! I niech wołają głośno: Patrzcie, podziwiajcie ludkowie, że to on, Gustlik, „ustrugoł to, ulepił i to fyrko w powietrzu!".

Miał trzy lata, gdy na górującej nad Żabkowem Johanszachcie zdarzyła się straszna katastrofa, w której zginęło przeszło 230 górników. Czy opowiadano potem często o tym w jego obecności, czy, jak mu się wydawało, sam zapamiętał to wydarzenie – nie wiadomo. Faktem jest, że opisał je potem, literacko przetwarzając, w „Pokładzie Joanny"; tam też upamiętnił piękną postać bohaterskiego inżyniera Racka. Gdy miał lat chyba osiem, mógł już rzeczywiście dobrze zapamiętać historię przeprowadzki z Żabkowa na Granice i eksmisję z budelu, gdzie się urodził.

– No, Morcinkulo! – powiedział wtedy do matki wysłannik od „grofa". – Już nasiedzieliście się dosyć długo za darmo ze swoim Gustlikiem w służbowym mieszkaniu; trza wam wynosić się z tego kwartyru. Kwartyr jest nam potrzebny dla nowego woźnicy, co u pana hrabiego przy browarach będzie robić.

Spakowali tedy w jeden tobołek pościel, w drugi koszule, ubrania i kamaszki. Czapkę z tekturowym daszkiem, pokrytym czarnym glansem, chłopak nasadził głęboko na oczy, aby nikt, nawet matka, nie widział, że płacze. W ręku trzymał uważnie naftową lampę; tak łatwo przecież tłucze się szkło. Proste sprzęty – łóżko, dwa krzesełka, stół i ławę – pomogli wynieść sąsiedzi; załadowali to wszystko na furę z krótkim dyszlem. Powoli zbliżali się do swojego kwartyru na Granicach, ale jeszcze nie dojechali na miejsce, gdy od strony gnojowiska rozległ się wrzask Władka Smałarza:

– Chłapcy, jakosi fura jedzie kole wochtra z jakimisi gratami; to Morcinkula z Gustlikiem!

– To oni, to oni! – odkrzyknął Zomerlik. – Już są przi szkole!

I zaraz wszyscy całą chmarą obstąpili furę, a Janek Krótki zaimprowizował piosenkę:

Ze Żabkowa jedzie fura,
w przodzie siedzą Morcinkula,
a na zadku Gustliczek, Gustliczek
wiezie knefli pytliczek, pytliczek, bum!

– Bum, bum, bum – darła się cała gromada i w takiej głośnej asyście dojechali na nową kwaterę.

Granice była to osada typowo górnicza. Gustlik wkrótce zaprzyjaźnił się z tamtejszymi dziewczynami i chłopakami. W niedalekiej przyszłości okaże się ku strapieniu matki, że synkowi staną się bardziej bliskie i ważniejsze dzieci z sąsiedztwa i ze szkoły niż rodzeństwo. Jedynie Tereska była tu wyjątkiem; lgnął do niej mocno. Reszta, rzadko bywająca w domu matki, rozrzucona na służbie po cudzych kątach, stopniowo przestawała liczyć się w uczuciach i życiu chłopca.

Najlepiej w całej klasie pisał wypracowania, także i dla innych, ale któż mógł wtedy przypuszczać, że stanie się pisarzem prawdziwym? Nie wystarczały mu już jako lektura szkolne czytanki. Buszował tedy po strychach i grzebał w starych skrzyniach, w stosach rupieci, znajdując kalendarze z rozrzewniającymi historiami o bezbronnych sierotkach, z mrożącymi krew w żyłach opowieściami o ponurych dziejach rozmaitych złoczyńców. Były tam też drukowane zagadki. Czemu pies ma ogon, a żaba nie? Czemu ptacy nie mają zębów? Co to jest kołtun? I odpowiedzi: Pies ma gorący mózg i od powierzchniego powietrza chłodzić się musi ogonem, żaba zaś jest zimna i ochłody nie potrzebuje. U ptaków materia, z której miały być zęby, w nos się obróciła. Kołtun jest to trucizna osobliwa albo z napojów, albo z zarazy.

W kalendarzach znajdował też bardziej filozoficzne pytania i odpowiedzi: Kto najdłużej żyje? Ten, który ma wiele synów albo wiele ksiąg! Kto jest mężny? Ten, który nad sobą panuje! Jako się ratować w utrapieniu? Trzeba o nim zapomnieć!

Potem pojawiły się tak zwane romany o rozpalających wyobraźnię tytułach: „Piękna dziewczyna fabryczna o złamanym sercu", „Hrabina żebraczka, czyli Leśna różyczka", „Dziewczyna żywcem zamurowana", „Wygnana w dzień ślubu", „Wydziedziczona, czyli losy pewnej hrabianki". Wśród postaci z tych jarmarcznych „romanów" znalazło się i „kilku piratów pomieszanych z przeróżnymi obieżyświatami, włóczęgami i nawet z pobożnymi pątnikami wracającymi z Ziemi Świętej". Z kolei „zeszyty z przygodami" ukazywały Guliwera i Robinsona Cruzoe z Piętaszkiem we wszystkich jego odmianach obcych i krajowych: „Cruzoe szwajcarski", „Cruzoe w grotach Ojcowa", „Krużołek"...

To były własne piękne światy Gustlika; przemierzał je z podniesionym czo-

łem, uwalniając dziewice z rąk niegodziwców, wyzwalając z niewoli szlachetnych rycerzy, płynąc na okrętach po dalekich morzach, zawijając do egzotycznych portów. Opowieści wyczytane w książeczkach albo usłyszane od starych ludzi ubarwiał obficie własną fantazją, roztaczając przed zasłuchanymi dziećmi z pobliskich familoków świat baśni, gdzie diabły były oszukiwane przez górników, utopiec nie potrafił omamić małych Karlików, biednym ludziom spadały z nieba złote monety i anielskie piórka, a świetliki w lesie przemieniały się w rękach dobrego człowieka w czyste brylanty.

Gustlik nie jest bogaty, nie spadają mu z wysokiego nieba ani złote, ani srebrne monety. Tu, na karwińskiej ziemi, sam musi zdobyć miedziany grosz, więc z upokarzającą go zawsze uniżonością zdejmuje czapkę przed ludźmi w poszukiwaniu - od Ostrawy po Karwinę - dorywczej pracy. Kiedyś znalazł robotę przy karuzeli; pcha ją więc jak koń karuzelowy, aby toczyła się prędko, coraz prędzej, aby widział jego gorliwy trud „brzuchaty właściciel o gębie rzezimieszka"; może da choćby jednego grajcara więcej ?

W pośmiertnych papierach Gustawa Morcinka można było znaleźć kilka luźnych autobiograficznych tekstów, wspomnieniowych obrazów. Oglądamy kilkunastoletniego Gustlika, gdy zmierza rankiem na piechotę do Bielska; mija Skoczów, gdzie trafia na rynek pełen dymu z gasnącego już pożaru; pod wieczór, już u celu podróży kładzie się w jakimś tanim hoteliku do łóżka „z brudną pościelą i pluskwami".

Nazajutrz - wspominał pisarz - *dowiedziałem się w Seminarium Nauczycielskim Towarzystwa Szkoły Ludowej przy ulicy Komorowickiej, że owszem mogę przybyć dnia tego a tego i jeżeli zdam egzamin na kurs I-szy, to w porządku, a jeżeli nie zdam, również w porządku, bo wtedy będę przyjęty na kurs przygotowawczy. Pan dyrektor Ignacy Stein miał oczy czasem niebieskie, a czasem szare. Wtedy miał szare. Gdy mi to wszystko klarował, patrzył uparcie w moje oczy, a ja mieszałem się i jąkałem, bo jeszcze nigdy nie rozmawiałem z człowiekiem, którego mianowano „dyrektorem". Szczupły, w szarym anglezie, leciutko uśmiechnięty, wpatrywał się w moje oczy, a jego słowa wydawały się być pożyczonymi od Mickiewicza, gdy pisał „Odę do młodości". Mówił bowiem pięknie dobieranymi słowami. Urzekł mnie ten człowiek i pokrzepił na duchu. Poleciały dni pozornie szare, jednostajne i bez wyrazu, a jednak piękne, stukolorowe i wzniosłe. Śniły się nam ich owe skrzydła, których dopominał się od nas Mickiewicz!*

Ignacy Stein był po tej wojnie moim profesorem na Uniwersytecie Poznańskim i w starym indeksie mam wpisane przez niego stopnie. Nie pamiętam, czy rzeczywiście miał oczy niebieskie, nie zapomnę jednak niezwykłej delikatności w zachowaniu, życzliwości dla studentów, ściszonego głosu, pochylonej kruchej sylwetki. Gdy w latach pięćdziesiątych wyjechałam

z Poznania, nieraz dopytywałam się w listach o naszych profesorów - niezapomnianego Zygmunta Szweykowskiego, Pollaka, Otrębskiego, Steina. Koleżanki odpisywały mi, że wszystko u nich dobrze. A tymczasem w 1954 roku dawny uczeń profesora Steina dowiedział się przez kogoś, że dyrektor jest schorowany, niezbyt sprawny i znajduje się w bardzo ciężkiej sytuacji materialnej, lecz - ambitny - ukrywa biedę.

I co czyni wówczas Morcinek, o którym do dziś mówi się złośliwie, że był niesłychanie skąpy? Otóż pragnie pomóc staremu profesorowi i wybiera na „adwokata swej dobroci" księdza Kazimierza Michalskiego, towarzysza z obozu w Dachau; ksiądz potrafi taktownie, delikatnie załatwić tę sprawę.

Morcinek nieraz mi mówił po wojnie o księdzu Kaziku, o jego prawdziwie chrześcijańskich przymiotach, dzielności i okazywaniu współwięźniom serca, pomocy. Nigdy nie wspominał mi jednak o tej historii z profesorem Steinem, o liście kapłana z 25 marca 1954 roku, który był odpowiedzią na propozycję pomocy. Trzeba było dopiero przypadku, abym natknęła się, już po śmierci Morcinka, na ten rękopis (obecnie oryginał znajduje się w muzeum w Skoczowie).

Drogi Gustawie - pisał ksiądz Michalski - *masz naprawdę dobre i piękne serce. Zawsze wierzyłem w Twoje praktyczne chrześcijaństwo, a najlepiej mogłem je zaobserwować w obozie, kiedy było go tak mało nawet u tych, którzy powinni świecić na świeczniku. Twój list sprawił mi dlatego wiele radości i zarazem zacząłem przemyśliwać, jakby Ci na swój skromny sposób dopomóc, byś mógł spełnić taki szlachetny i dobry uczynek.*

Pana Ignacego Steina znam osobiście i nieraz się z nim w życiu stykałem, bądź to gdy jako kurator był moim wizytatorem, bądź to później w społecznej pracy. Ponieważ chciałem jak najlepiej, przeto wybadałem sytuację u kan. Piotrowskiego, byłego dyrektora gimn. Mickiewicza, obecnie dyrektora księgarni św. Wojciecha. Dowiedziałem się, że p. St. ma już około 80 lat, że zatrudnienie go w księgarni św. Wojciecha jest niemożliwe, ponieważ ta instytucja obecnie już nie jest właściwie wydawniczą. Zdecydowałem się więc za pośrednictwem x. P. skontaktować się z panią Steinową. Z nią zupełnie otwarcie pomówiłem, o co chodzi. Była wzruszona Twoją dobrocią i przedstawiła stan rzeczy. Pan Stein ma 450 zł emerytury, poza tym wykłada na Kursach Korespondencyjnych i tam ma 300 zł. Razem wziąwszy i jeszcze przy szczupłej pomocy dzieci jakoś się wyżywią. Jednak ta druga posada kończy się 1 czerwca, ponieważ p. S. jest już słaby na nogi i ma bardzo przytępiony słuch. Przy pierwszej wizycie u mnie p. Steinowa powiedziała, że na razie do 1 czerwca nie mają nędzy, ale nie chcieliby być ciężarem dla dzieci, którym też się nie przelewa. Obiecała, że propozycję Twoją

rozważy i omówi z mężem. Dzisiaj była u mnie pani Steinowa ponownie i zakomunikowała rezultat. Po pierwsze, że pan Stein otrzymał zaproszenie z Dyrekcji Teatrów Państwowych, by przyszedł porozumieć się w sprawie ewent. pracy. Po drugie, nie chcąc Tobie zrobić zawodu za Twoje tak dobre serce, przyjmą jednorazową pomoc finansową na najpotrzebniejsze w tej chwili wydatki, jak aparat słuchowy (p. Stein - jak pisałem - bardzo źle słyszy) i jakieś uzupełnienie garderoby wiosennej. Zastrzegła się jednak p. Steinowa, że ta pomoc nie może wynosić więcej jak jeden tysiąc zł. Na moją interjekcję - uważałem się za adwokata Twojej dobroci - pani Steinowa odchodząc, jeszcze raz prosiła, by to nie było więcej. Więc zrobisz, jak uważasz, Ja chętnie służę jako pośrednik w doręczeniu tej pomocy i wyczułem, że ta droga będzie dla nich najmniej krępująca. Możesz więc to, co uważasz, przesłać na mój adres. Muszę jednak dodać, że p. Stein i jego żona są do głębi wzruszeni Twoją szlachetnością. Reszty się dowiesz, bo p. Stein napisze Ci o wyniku swej konferencji w teatrze. (...)

Tyle załatwiłem, nie wiem, czy tak dobrze. U mnie sytuacja bez zmian, siedzę jeszcze tutaj i czekam. Trzymam się duchowo dobrze, fizycznie też nie najgorzej. Mama również się trzyma, ale narzeka na nogi. Serdecznie Cię pozdrawiam.

Dla zacnej pani Teresy i dla Ciebie, kochany Gustawie, najserdeczniejsze i przyjazne słowa.

Kazik

Po tej dygresji wróćmy do seminaryjnych lat Morcinka, do tej szarej przędzy dni pozornie jednostajnych, z której pisarz utkał obraz profesora Zygmunta Podgórskiego o pięknych czarnych oczach, płonących wewnętrznym ogniem w suchej, ascetycznej twarzy. Morcinek plastycznie opisał wspólne z nim wędrówki *po okolicznych wsiach galicyjskich, z magiczną latarnią na plecach, z przezroczami w drugim plecaku, z pajdą chleba w kieszeni, z niedopałkiem papierosa w kieszeni kamizelki; i tak szerzyliśmy oświatę.*

Obrazki były zamglone, czasem nie bardzo wyraźne, przedstawiały królów polskich, batalistyczne sceny z wojen, w których nieliczna garstka polskich rycerzy zawsze biła dziesięciokroć liczniejszego wroga. Pokazywaliśmy różne zwierzęta zamorskie oraz zacnych mężów polskich, wodzów, hetmanów, kapłanów, bohaterów, powstańców z roku 1863, Kościuszkę i jego kosynierów, księcia Poniatowskiego skaczącego do rzeki Elstery z okrzykiem, że Bóg mu powierzył honor Polaków. Był też wóz Drzymały, „Polonia" i „Lituania" Grottgera, była również i jego „Warszawa" jedna i druga, pochody na Sybir, kajdany, Polska umęczona, Polska chrystusowa, cierpiętnicza, „Polonia" Styki, narodowe mity i mistycyzmy, „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród" i „Jeszcze Polska nie zginęła". Zżymaliśmy się trochę na tego rodzaju „rozdrapywanie ran narodowych", lecz rozczytani w „Si-

łaczce" Żeromskiego i w jego „narodowej Biblii" - „Wiernej rzece" - ulegaliśmy złudzeniu, że jesteśmy tymi „kamieniami rzucanymi przez Boga na szaniec".

Uwieczniony na czarno-białej fotografii seminarzysta Gustliczek wygląda jak pastelowy paniczyk, czyścioszek. Któż poznałby w nim teraz tego niedawnego smolucha, chudzielca o umazanej sadzami twarzy, „szlepera" w za obszernym ubraniu, w zniszczonych trzewikach, pchającego taczki na pokładach szybu Tiefbauschacht?

Smukłą szyję ujmują teraz dwa sztywne skrzydełka kołnierzyka, odcinającego się bielą od czarnego ubrania i ciemnego krawata, włożonego chyba po raz pierwszy w życiu. Pasowany na stypendystę Seminarium Nauczycielskiego, poszedł do tej pocztówkowej fotografii przed wyjazdem z domu, jakby w odmienionym wcieleniu chciał powitać początek nowej drogi, która miała wywieść go na szersze i słoneczniejsze gościńce. Jeszcze nie męski, jeszcze chłopięcy zarys głowy, jeszcze ciemny puch nie wysypuje się zbyt obficie nad wargą. Miękki rysunek ust, oczy duże, świetliście jasne, zapewne niebieskie, patrzą nie w obiektyw, lecz gdzieś w górę, daleko. Można by o nich powiedzieć: marzące, gdyby równocześnie nie zaprzeczał temu określeniu ledwo uchwytny wyraz intensywnego skupienia, jakiejś dojrzałości, samowiedzy.

Ręce... Ich gesty też mają swą wymowę. Jedną, prawą, ukrył w kieszeni z pewną, na pokaz, nonszalancją. Zazwyczaj raczą nią otoczenie niezbyt pewni siebie ludzie. A więc, być może, i nasz bohater chce przekonać nas, że nie lęka się świata, że potrafi być nie tylko swobodnym elegantem, ale i - w razie potrzeby - mocnym zawadiaką.

Zaprzecza temu z kolei gest lewej ręki: w delikatne, smukłe palce uchwycił młodzieniec gruby rulon jakiegoś druku. Czyżby w tej broszurze czy w piśmie była już zapowiedź czegoś wykraczającego poza akcesoria zwyczajowych do odświętnej fotografii krawatów i vatermörderów? I oznaczałoby to coś więcej niż tylko okazjonalną pozę?

A może ów wyraz twarzy, gest rąk, elegancja starannie dobranych szczegółów ubioru, spojrzenie poza tę klitkę karwińskiego fotografa stanowi rodzaj wyzwania rzuconego światu: Oto patrzcie! Ja, Gustaw, syn Marii z domu Smura i Józefa Morcinków, wydźwignę się, przebiję przez cuchnące dymy zasnuwające mi słońce, aż pod sam czysty błękit nieba. Zostawię za sobą upokorzenia, niskie bytowanie, stały - od dziecka - lęk przed głodem, chłodem i czyhającym nieszczęściem. Musi mi się udać, choćby przyszło drapać się w górę po kamienistej drodze, po wybojach, do innego świata, do lepszego losu, choć mojej śląskiej ziemi i wtedy się nie wyrzeknę. Tam, gdzie dojdę, nie będzie można ugrzęznąć na śmierć w czarnej, mazistej „biedzie",

zanim wyschnie i zostanie wydobyta z dołu pod hałdą. Tam zaparuje na talerzach nie tylko fasolowa zupa z kapustą, tam, „grube i sprośne słowa chacharów" zostaną zastąpione mową uważającą, a brudne paluchy starych pijaków nie będą śmiały podtykać pod nos głupim wyrostkom buteleczek z napisem na nalepce: *Albert Schrammek - Karwin - Johannschacht,* zachęcając do wypicia ciemnobrunatnego płynu: Liźnijcie se synkowie, biedą bici, no liźnijcie se, parzydyrszczki...!

Nie będzie już powrotu do świata pachołków, familoków, trocin cuchnących końskim moczem, mazistej „biedy". Głowę zatrudni się innymi, wyższymi sprawami, a nie tylko ciągłym kalkulowaniem: Ile jeszcze taczek „biedy" trzeba przytargać, aby nie marznąć w kwartyrze, w budelu, aby można było zagotować wodę na zupę kraszoną margaryną, zagęszczoną suchym chlebem, aby mamulka przestała być ograbulą na szybie Jana czy Karola, aby nie chodziła więcej na wykopki i nie martwiła się, że nie może dać synkowi „przyskwarzonych kawałków słoniny", które lubił nade wszystko. Wyjdę na ludzi, postanawiam to sobie!

„Wyjść na ludzi!" Te słowa, jak tylko trochę podrósł, nieraz słyszał od matki. - Muszę ciebie, synku, wyprowadzić na ludzi - mawiała - i musisz ty sam tego chcieć. Powiadają, że masz głowę do nauki... Pracuj, ucz się, zaciśnij zęby i nie daj się już nigdy zaciągnąć pod schrammkową gospodę. Pamiętaj: twój ojciec pił wódkę i było źle. Ty zaczynasz też i będzie znowu źle.

Te pełne zgryzoty uwagi zdarzały się, gdy był jeszcze głupim gizdem. Potem, gdy szło mu na szesnasty rok, gdy zaczął pracować w kopalni, nie dawał już powodów do niepokoju. Przestał przystawać przed gospodą starego Alberta. Jego nowi kamraci, poważniejsi od niego wiekiem i doświadczeniem robotnicy, tacy jak maszynista Karol Gattner, blacharz Felicjan Guzowski czy górnik strzałowy Franciszek Kubienka z kopalni Gabriela, działacze górniczego stowarzyszenia Praca, nie częstowali go jak tamci piwem i wódką, lecz drukowanym pismem, zachęcając przy tym, aby społecznie, honorowo - jak się to mówiło - nosił do ludzi z okolicznych wsi i osad na własnych plecach ten książkowy „kaganek oświaty". Robił to chętnie, a gdy wracał do domu zmordowany po szychcie i po takim wędrowaniu z ruchomą biblioteczką, czekała już na niego balia z gorącą wodą, wodzianka okraszona olejem albo i niekiedy topione skwarki z chlebem. I kusiło żelazne łóżko z czystą pościelą, wypraną spękanymi dłońmi matki o pomarszczonych od mydlin i wody koniuszkach palców.

Nazajutrz to samo: taczki pod ziemią albo obsługiwanie maszyn na powierzchni, rażące uszy chłopca głośne spluwanie i pierunowanie starszych kamratów. Czarne ręce, zaczerwienione oczy w otoczce węglowego pyłu,

codzienna droga do domu, powrót do izdebki na poddaszu, mycie się w balii, kolacja podana rękami mamulki na stół przykryty czystym lnianym obrusem. I wydawało się, gdy znów wracał umorusany z roboty, gdy mijały dni, miesiące, przeszedł rok, dwa i trzy - że już nic nie zmieni się w życiu młodocianego ładowacza. Aż nagle - to wyróżnienie z całej masy takich jak on młokosów. Towarzystwo Szkoły Ludowej funduje jemu i dwóm jeszcze kolegom stypendium.

- Masz, chłopie, głowę do trudnej nauki - powiadają mu kamraci, klepiąc po ramieniu; u niektórych w przyjazny na pozór ton głosu wkrada się zawistna kpina i zjadliwość. - Będziesz inżynierem albo nauczycielem. Już teraz zakładasz jak jaki graf „fensterglasy" na nos, jakby wszyscy nie wiedzieli, że to zwyczajne szkiełka ze szyby okiennej. Rżniesz pana i myślisz, że wyjdziesz na pana...

- Raczej na cygana - dodaje do rymu, rechocąc, stary Ćmok. - Pamiętacie, jak to nam prawił różne historie o koniach, że mu szeptały do ucha, jak jego ojciec Józef, świeć Panie nad jego duszą, przychodzi nocą do stajni i jako duch z zaświatów w postaci cielesnej czyści je zgrzebłem? Pamiętacie, jak to przysięgał się, że widział utopca w czerwonym surduciku, w czerwonej czapeczce, który mu dawał znak paluchami połączonymi błoną jak u kaczki? Pamiętacie, jak bajdurzył o duszy inżyniera Racka, że zamieszkała ona po śmierci w tej kwitnącej jabłonce obok wychodka przy budelu?

Ostatni to dzień Gustlika na Głębokiej. Już ostatni raz ma na sobie to ubranie nasiąknięte tłustym smarem, już ostatnia szychta. I ostatnie pożegnanie, które wypisał kredą na wagonie, aby mógł je ujrzeć z naprzeciwka i przeczytać szychmajster Kasperlik:

Ni mom butów ani gaci
Tiefbauschachta słabo płaci.

Jeszcze żre oczy brunatno-żółty dym rzygający z kominów, które warują wokół Żabkowa, na Granicach, jeszcze rozmiękłe błoto z węglowego pyłu na dole oblepia wysłużone buciory, przytrzymuje stopy w mlaskającej przy każdym kroku gęstej mazi, więzi je, nie pozwala iść swobodnie; ale on pójdzie, stanie na mocnym gruncie, ujrzy na osłonecznionej drodze dziewczynę, która stanie się tą pierwszą. Ramiona wyciągnie ku niemu, a on, nie wierząc jeszcze szczęściu, nieśmiało zbliży się... Wilgotne, kuszące usta, zapach kwitnących jabłonek, dźwięk dzwonów z czworograniastej wieży kościelnej we Frysztacie; „rozwarły się niebiosa"...

KRYSTYNA KOLIŃSKA

Fragment książki Krystyny Kolińskiej „Parnas w oborach", wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2000



Siedziba Stowarzyszenia Katolickich Robotników „PRACA" w Karwinie

GDZIE JESTEŚ, KARWINO?

Karwina to miasto, którego nie ma. Karwina to miasto, które pozostało w sercu.

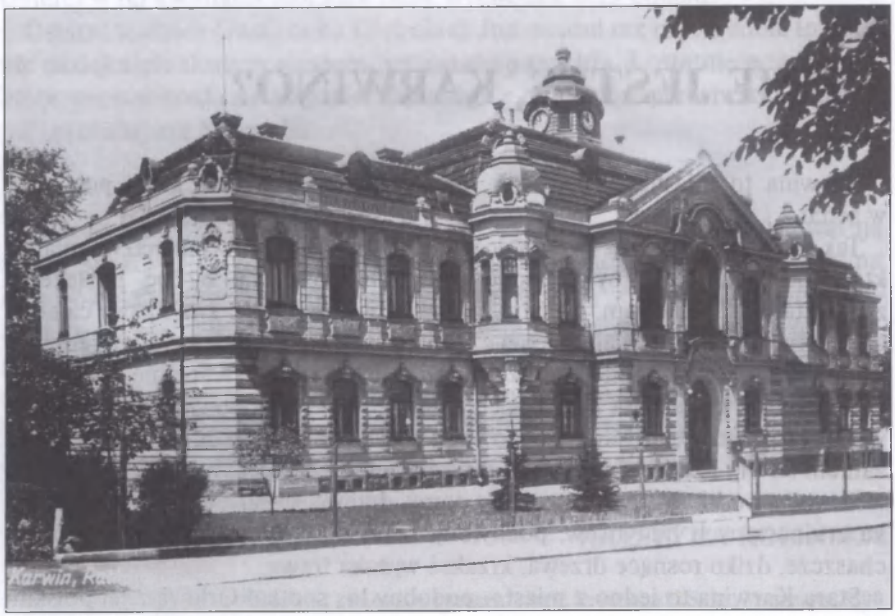
Tak funkcjonuje dziś w świadomości ludzi starszych Karwina, nazwa miasta, które do roku 1949 było samodzielną miejscowością, by po połączeniu z Frysztatem, Darkowem, Rajem i Starym Miastem oddać swą nazwę całej tej aglomeracji miejskiej, stając się jej częścią składową, dzielnicą z numerem dwa i dodaną nazwą Kopalnie (po czesku Doly): Karwina 2 Kopalnie. Utrata samodzielności połączona była z wielką dewastacją spowodowaną rabunkowym wydobywaniem węgla kamiennego spod powierzchni miasta, powolnym obniżaniem terenu i zapadaniem się gruntu, pękaniem budynków i pojawianiem się tafli wody, pod którą powoli znikały domy, drzewa, drogi... Dziś pozostało kilka zrujnowanych budynków, pochylony kościół, cmentarz, wszystko pokryły chaszcze, dziko rosnące drzewa, krzaki i wysoka trawa.

Stara Karwina to jedno z miast - podobny los spotkał Orłową z jej polskim

gimnazjum - pretendujących w swoim czasie do miana stolicy polskości na lewym brzegu Olzy, to jeszcze przed kilkudziesięciu laty wielkie skupisko Polaków, którzy dziś rozproszyli się po szerokim świecie w poszukiwaniu swego nowego miejsca na ziemi. Wielu z nich, choć znało dobrze ulice i budynki Karwiny i zachowało je w pamięci, z trudem potrafi dziś rozpoznać miejsca kiedyś najbliższe sercu.

Jednym z rodaków z dawnej Karwiny jest Władysław Kristen, kierujący dziś Klubem Propozycji działającym przy Miejscowym Kole PZKO Czeski Cieszyn Centrum. Z jego to inicjatywy odbyła się 18 czerwca w Karwinie impreza nazwana **Górnicza Karwina - miasto, którego już nie ma.**

Z okien autobusu, który wyjechał z frysztackiego dworca autobusowego, oglądali najpierw uczestnicy wycieczki miejsca dawnej świetności Karwiny. Za mostem na Olzie i Stonawce, gdzie przebiegała granica między Frysztatem a Karwiną, rozpoczęto snucie wspomnień i poszukiwanie miejsc znanych i niezapomnianych. Z jednej strony wzruszenie ogarniało dawnych mieszkańców Karwiny, z drugiej zaś bezsilny gniew, że oto zniknęło miasto tak piękne, gdzie jeszcze do niedawna stał zamek hrabiego Larischa (zburzony w roku 1954) z pięknym parkiem, z daleka widoczna była strzelista wieża „nowego" kościoła (zburzony w roku 1960), a obok ratusz miejski (zburzony w roku 1962), z boku stał browar, w którym warzono karwińskie piwo, niedaleko znajdował się





stadion Polonii, gdzie rozgrywano mecze sportowe, a także dworzec kolejowy, z którego korzystali uczący się w orłowskim gimnazjum karwiniacy, i tramwaj, tani środek lokomocji dowożący podróżnych aż do Ostrawy, poza tym szkoły polskie, siedziby organizacji polskich. Trudno dziś odnaleźć miejsca, które wiążą się z nazwiskiem Gustawa Morcinka. Nie ma kolonii górniczych, nie ma też kamienic, ciągnących się wzdłuż ulic.

Zatrzymali się uczestnicy wycieczki na dłużej przy znajdującym się w lasku koło Kopalni Barbara pomniku dwunastu rozstrzelanych przez hitlerowców na początku drugiej wojny światowej górników. W świetlicy Kółka Umundurowanych Górników, które powstało przy Kopalni Gabriela w roku 1902, obejrzeli górniczy sztandar z roku 1894 z polską modlitwą do św. Barbary (zdjęcie powyżej). Kopalnia Henryk, nieczynna, z wywołującymi mieszane uczucia zwiedzających pomnikami, na których napisy (po czesku - z niedawnych lat) mówią o działalności wydobywczej tej kopalni, była kolejnym przystankiem. O losach Miejscowego Koła PZKO na Henryku opowiedziała w tym miejscu jego prezes Halina Pawera.

Nie zdążyli obejrzeć uczestnicy wycieczki cmentarza, gdzie notabene wciąż chowani są karwińscy rodacy, który jest bogatym źródłem danych na temat mieszkańców miasta. Zatrzymali się natomiast w pobliskim, zwanym „starym",

kościele św. Piotra z Alkantary. Ksiądz Ernest Dostal, sprawujący tu posługę duszpasterską, przywitał się serdecznie z osobna z każdym z wysiadających z autobusu i zaprosił do środka. Przytulne, dostojne wnętrze kościoła dawało poczucie bezpieczeństwa i sprawiało wrażenie, jakby omijały go burze dziejowe. A przecież, jak opowiadał ksiądz Dostal, kościół obniżył się o 32 metry, pochylił się aż do granic możliwości i miał zostać zburzony, a i dziś los jego nadal jest niepewny. Wspólnie odśpiewaną pieśnią „Pod Twą obronę" prosili następnie zebrani: *Ojcze na niebie... ratuj w potrzebie i broń od zguby, gdy zagraża cios.*

Końcowym przystankiem autokaru był Dom PZKO we Frysztacie, gdzie czekały już przedszkolaki z Karwiny Nowego Miasta, by zaprezentować oparte na baśniach śląskich widowisko, które przygotowane zostało z okazji niedawnego jubileuszu nowomiejskiej PSP. Oglądając następnie film będący przypomnieniem imprezy nazwanej Ballada o starej Karwinie, jaka odbyła się w Czeskim Cieszynie w 1996 roku, słuchali zebrani opowieści starych karwiniaków, Jana Moronia, Marii Jarosińskiej i wielu innych. Jedna wynika z tego spotkania konkluzja: Starej Karwiny już nie ma, ale są jeszcze ludzie, którzy wiele pamiętają. Trzeba się śpieszyć, by zdążyć udokumentować wszystko, dopóki nie jest za późno.

CZESŁAWA RUDNIK



Zamek w Solcy (1934)



Karwiński browar, z prawej strony wieża Nowego Kościoła



Karwina 2, rok 1956 – Stary Kościół z wieżą



Karwina 2, rok 1958 – Stary Kościół bez wieży







MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYKI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

Nawet temu, kto żył w Czechach przez kilkadziesiąt ostatnich lat, trudno dziś jeszcze uwierzyć, że można przyznawać się publicznie do swych przekonań chrześcijańskich bez żadnych konsekwencji. Nawet po roku 1989 spotkania wierzących na terenie Zaolzia odbywały się w zasadzie tylko za murami kościoła. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYKI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ, zorganizowany przez Śląski Kościół Ewangelicki A.W. w dniach 9 i 10 czerwca, to pierwsza przygotowana na tak dużą skalę chrześcijańska impreza plenerowa. Jej przygotowania nie odbywały się bez obaw. Dzięki ofiarności i poświęceniu zarówno pracowników Rady Kościelnej, członków Społeczności Chrześcijańskiej, jak i członków poszczególnych zborów wszelkie obawy okazały się bezpodstawne. Festiwal również wsparło finansowo Ministerstwo Kultury RC.

Impreza rozpoczęła się sobotnim koncertem w kościele ewangelickim w Bystrzycy, w którym wzięli udział wszyscy goście Festiwalu. W koncercie wystąpił również chór żeński Melodia MK PZKO w Nawsiu.

W niedzielę, chociaż nieco dżdżystą, w amfiteatrze należącym do Matice slezské w Łomnej Dolnej, tradycyjnym miejscu „Slezských slavností", zgromadziło się około dwu tysięcy uczestników spotkania z muzyką chrześcijańską i modlitwą – Czechów, Polaków, Słowaków, Niemców. Niedzielne koncerty poprzedził Dzień Ewangelicki. W nabożeństwie w plenerze uczestniczyli wszyscy księża Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A.W. na czele z biskupem ks. Vladislavem Volnym, jak również biskup Wschodniej Diecezji Ewangelickiego Kościoła A.W. na Słowacji ks. Igor Mišina. Ważnym akcentem nabożeństwa było oficjalne skierowanie ks. Ericha Bocka i mgr. Romana Hoty na służbę misyjną poza obszarem ŚKEAW – pierwszy z wymienionych będzie działać w nowo założonym zborze ŚKEAW w Pradze, drugi podejmie działalność misyjną w Bruntalu.

Na Festiwalu, obok orkiestr dętych i chórów działających przy poszczególnych zborach ŚKEAW, wystąpiły: chór Kościoła Ewangelickiego ze Słowenii, z Niemiec przyjechały – orkiestra dęta Kościoła Ewangelickiego z Braunschweigu oraz orkiestra dęta Samodzielnego Kościoła Ewangelicko–Luterańskiego w Niemczech, wystąpiły również orkiestry i chóry Kościoła Ewangelickiego z Polski.

Międzynarodowy Festiwal Muzyki Chrześcijańskiej poprzedzała rzetelnie przygotowana promocja, która jednak przebiegała w zasadzie tylko w zborach kościołów ewangelickich. Można by więc nazwać to duże przedsięwzięcie imprezą cichą i spokojną, dającą wiele podstaw do zamyśleń nad współczesnymi wartościami życiowymi – na pewno nie tylko dla ludzi wierzących.

Nie mogę sobie darować jednej dygresji na zakończenie: W amfiteatrze, jak już napisałem, przebywało około dwu tysięcy ludzi na imprezie trwającej od 10.30 do godzin wieczornych. Nie mogło więc zabraknąć kiosków z jedzeniem i piciem. Dla wszystkich był przygotowany obiad w cenie biletu wstępu. Jednak w porównaniu z innymi, dobrze nam znanymi imprezami dla tłumów, był tu jeden ewenement – na tej imprezie nie było ani kropli alkoholu, nawet piwa!

F.B.

SUSZANIE W TORUNIU

Na zaproszenie Muzeum Etnograficznego oraz Kujawsko-Pomorskiego Oddziału Stowarzyszenia Wspólnota Polska gościł w dniach 7–10 czerwca górnosuski zespół taneczny Suszanie na XXI Międzynarodowym Spotkaniu Kapel Ludowych w Toruniu.

Międzynarodowe Spotkania Kapel Ludowych organizowane są w Toruniu od roku 1980. W ciągu 20 lat przez muzealną scenę Muzeum Etnograficznego przewinęły się 182 zespoły, w tym 88 grup z różnych regionów Polski i 94 grupy zagraniczne z 24 krajów. Rozbrzmiewały tu już pieśni Japończyków i muzyka janczarskiej kapeli z Turcji, oglądano dagestański taniec na linie, oklaskiwano hiszpańskie tańce z kastanietami i zbójnickiego polskich górali. Tańczono w pięknym amfiteatrze kujawiaka, węgierskiego czardasza i serbskie koło. Podziwiano grę na dużych stolikowych cymbałach i koncert na listku. W roku ubiegłym oklaskiwano czeskocieszyńską Olzę.

W tym roku do Torunia przyjechała kapela i śpiewacy zespołu Šumiačan ze Słowacji, Kapela Rodzinna Kaczory z Poręby Wielkiej, Tajdany ze Strzegomian, Hamernik z Krakowa, romski zespół Kałe Bała z Czarnej Góry na Spiżu, była też miejscowa Kapela Tyrolska z Torunia, no i zaolziańcy Suszanie MK PZKO z Suchej Górnej.

Kolektyw górnosuszan tworzył młodzieżowy zespół taneczny dozorowany od strony artystycznej za nieobecną kierowniczkę Janinę Rzyman przez Pawła Krużela (ongiś długoletniego tancerza zespołu), zaś od strony organizacyjnej czuwał nad zespołem sam prezes górnosuskiego Koła PZKO Bronisław Zyder. Tancerzom dzielnie sekundowała kapela pod kierownictwem Leona Buławy, przyśpiewkami urozmaicała program Beata Czendlik.

W tym roku na imprezie dominował folklor góralski. Zespoły zaprezentowały swoje umiejętności folklorystyczne najpierw toruńskiej młodzieży szkolnej, a potem na trzech koncertach w amfiteatrze muzealnym. Sobotni koncert popołudniowy poprzedził korowód zespołów przez toruńską starówkę i krótkie koncerty na ulicach miasta.

Suszanie podbijali serca toruńskiej publiczności dostojnym wykonaniem tańców mieszczan cieszyńskich, wiązanką tańców śląskich oraz pełnym temperamentu słowackim „szariszem". Powszechny podziw i uznanie wzbudzała swoim pięknym głosem solistka zespołu Beata Czendlik, wykonując urocze śląskie pieśni. Nic więc dziwnego, że zdjęcia Suszan pojawiły się na pierwszych stronach miejscowych gazet. Warto jeszcze dodać, iż bardzo pochlebnie wyrażała się o zespole, jego wielkim zdyscyplinowaniu i odpowiedzialnej postawie Krystyna Tłokińska, inspektor Urzędu Marszałkowskiego województwa kujawsko-pomorskiego, która osobiście dozorowała zespół z ramienia organizatorów.

Suszanie wystąpili ponadto w niedzielne południe w muszli koncertowej w Ciechocinku.

Wyróżniającą cechą toruńskich Spotkań jest ich radosny charakter, wspólna zabawa zaproszonych gości i publiczności, która bez udziału jury, poprzez plebiscyt, wybiera „najsympatyczniejszą kapelę" i „najpiękniejszą pieśń miłosną".

A w tym roku najsympatyczniejszą kapelą okazał się Hamernik z Krakowa, zaś najpiękniejszą pieśń miłosną zaśpiewały dziewczyny z romskiego zespołu Kałe Bała ze Spiża.

JÓZEF WIERZGOŃ

AKTYWNE KOŁO PZKO PIOTROWICE

W bieżącym roku piotrowickie Koło PZKO kontynuuje tradycyjne formy działalności kulturalno-oświatowej, realizując plan imprez zaakceptowany na walnym zebraniu 21 stycznia. Zarząd Koła pod kierownictwem Marii Maciążek zorganizował już cztery udane imprezy.

Dla szerszego grona członków i sympatyków Koła zorganizowano 24 lutego tradycyjną imprezę towarzyską – Minibal Koła PZKO. 1 kwietnia odbyło się primaaprilisowe Powitanie Wiosny z programem gawędziarza z Darkowa Józefa Góreckiego. Świetlica z okazji Dnia Matki odbyła się 13 maja, program kulturalny zapewniono tym razem we własnym zakresie. Wreszcie 12 czerwca odbyło się zebranie członkowskie.

Aktywnie działa chór mieszany Piotrowice–Marklowice i Klub Kobiet. Zarząd Koła schodzi się regularnie raz w miesiącu.

T.T.

INICJATYWY RUCHU POLITYCZNEGO COEXISTENTIA–WSPÓLNOTA

Z inicjatywy Rady Wykonawczej Ruchu Politycznego Coexistentia–Wspólnota odbyło się 8 czerwca w Czeskim Cieszynie spotkanie z Rudolfem Molińskim, wiceprzewodniczącym Komitetu ds. Mniejszości Narodowych przy przedstawicielstwie okręgu morawskośląskiego w Ostrawie. Jego zdaniem komitet powinien zajmować się przede wszystkim tymi problemami, których nie można rozwiązać na poziomie miast i gmin. Zgodzono się, że w gminach, w których mniejszości narodowe liczą co najmniej 15 % ogółu mieszkańców, tj. w Gródku,

Milikowie, Koszarzyskach, Stonawie, Bukowcu, Boconowicach, Łomnej Dolnej, Śmiłowicach, Bystrzycy, Suchej Górnej, Olbrachcicach, Łomnej Górnej, Nydku, Ligotce Kameralnej, Trzanowicach, Trzyńcu, Wędryni, Ropicy, Wielopolu, Jabłonkowie, Nawsiu, Piosecznej, Rzece, Piosku, Czeskim Cieszynie, Kocobędzu, Trzycieżu, Karwinie, Mostach koło Jabłonkowa, Piotrowicach koło Karwiny, Bílej, Cierlicku, Toszonowicach Górnych, Gnojniku, Dąbrowie, Orłowej i Boguminie, powinny zostać powołane komitety gminne, z którymi komitet okręgowy powinien ściśle współpracować.

W związku ze zbliżającym się terminem wyborów komunalnych (jesień 2002 r.) sukcesywnie zwoływane będą zebrania członkowskie grup gminnych. Tematem obrad powinno być przede wszystkim wstępne przygotowanie list kandydatów. Coexistentia-Wspólnota liczy na współpracę z Kongresem Polaków i PZKO w ramach grupy 3x3. Rada Wykonawcza postanowiła zorganizować spotkanie z rzecznikiem praw obywatelskich RC Otokarem Motejlem i omówić problematykę związaną z ustawodawstwem ograniczającym prawa mniejszości narodowych w RC. Chodzi o ustawę o prawach mniejszości narodowych, która umożliwia dwujęzyczność w gminach tylko na podstawie petycji, ustawę o gminach, która nie umożliwia obcokrajowcom na stałe zamieszkałym w gminie udziału w wyborach samorządowych, ustawę o mediach, która nie reguluje praw mniejszości narodowych do audycji o mniejszości i dla mniejszości.

T.T.

PRZEDSTAWIENIE SZKOLNE PSP W SIBICY

Jednym z wartych odnotowania, wśród wielu przedstawień szkolnych, jest spektakl, jaki przygotowali pod kierownictwem swych pedagogów uczniowie PSP w Sibicy. Było to naprawdę duże przedstawienie w skromnych warunkach małej szkoły! Młodzi aktorzy bez tremy świetnie bawili się w teatr i bawili publiczność.

W sibickiej szkole wystawiono zabawną sztukę „Królewski ząb, czyli Król Bul", w której wystąpili między innymi: Sebastian Nowak (król), Iwetka Provazník (królowa), Agata Gibiec (księżniczka), Anielka Duda (kot). Sztukę reżyserowała Halina Zwyrtek, śpiewy przygotowała Karin Wojnar, choreografią zajęły się Irena Ochodek, Karin Wojnar, Halina Zwyrtek, kostiumami – Irena Kołek, a scenografię wykonało wspólnie całe grono pedagogiczne szkoły.

F.B.







CHÓRY HUTNIK I SONANTES ŚPIEWAŁY W TRZYŃCU

17 czerwca odbył się w Domu Kultury Trisia w Trzyńcu wspólny koncert Polskiego Zespołu Śpiewaczego Hutnik i żeńskiego chóru Sonantes z Poznania. Bliskie kontakty Hutnika z Poznaniem, szczególnie z męskim chórem Arion i żeńskim Sonantes, które zapoczątkował jeszcze założyciel i długoletni dyrygent Hutnika Karol Wronka, trwają już 30 lat. Wśród słuchaczy koncertu znaleźli się m.in.: kompozytor prof. Józef Świder, dziekan Akademii Muzycznej w Poznaniu prof. Antoni Grochowalski, były dyrygent Hutnika Cezary Drzewiecki, dyrektor artystyczny Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego dr Leszek Kalina.

W pierwszej części koncertu zaśpiewali gospodarze pod batutą dyrygentki Ewy Wigezzi. Zabrzmiały utwory sakralne, m.in. psalm 29 „Nieście chwałę" M. Gomółki, Motety 1 i 5 A. Tučapskiego, „Modlitwa o pokój" Norberta Blachy. Chór wykonał też „Piosnkę dudarza" J.I. Paderewskiego, „Postój piękna gołąbeczko" St. Moniuszki, „Jadą goście, jadą" T. Sygietyńskiego. Utwór „Uwoz mamo uwoz" E. Maćkowiaka przedstawił zespół po raz pierwszy i dedykował prof. K. Domańskiej–Maćkowiak, dyrygentce chóru poznańskiego.

Chór Sonantes, pracujący od swego założenia pod kierownictwem profesor Krystyny Domańskiej–Maćkowiak, rozpoczął od dwóch utworów J. Świdra: „Jubilate Deo" i „Mojej piosnki" do słów C. K. Norwida. Po raz pierwszy, właśnie w Trzyńcu, miał okazję zaprezentowania się przed obecnym na sali kompozytorem. Zespół zaśpiewał jeszcze A.Koszewskiego „Do ślubu" i „Taniec z Suity Lubuskiej", St. Moniuszki „Prząśniczka" i „Chór Kobiet" z opery „Straszny Dwór". Na zakończenie koncertu zabrzmiał utwór „La carita" G.Rossiniego, który zaprezentował zespół na Festiwalu Muzyki Sakralnej w Pradze.

(red)

ŁĄCZKA W KROMIERZYŻU

17 czerwca br. w Kromierzyżu odbył się Krajowy Przegląd Morawskich i Śląskich Dziecięcych Zespołów Folklorystycznych, zorganizowany przez Stowarzyszenie Folklorystyczne w Republice Czeskiej. Wśród wielu zespołów dziecięcych z różnych regionów Moraw Śląsk reprezentowały zaledwie dwa. Nasza Łączka z Bystrzycy, której maluchy godnie potwierdziły swoje polskie korzenie, i zespół z Opawy. Niestety, deszczowa pogoda spowodowała, że przegląd odbył się zamiast na rynku w Domu Kultury, toteż dla dobrego odbioru całości zabrakło niestety prawdziwej publiczności, bowiem na sali jej rolę pełnili członkowie zespołów, które aktualnie nie występowały na scenie. Ważne jest jednak, że Łączka dobrze zaprezentowała się na scenie i pokazała, że Polacy na Zaolziu kultywują swój folklor również wśród najmłodszego pokolenia. I chwała za to paniom Marii i Dagmarze Podzemnym, prowadzącym zespół przy polskiej szkole w Bystrzycy.

E.S.




DĚTSKÝCH



POŻEGNANIE ZE SZKOŁĄ

Jak co roku, przed wakacjami, Zarząd Towarzystwa Nauczycieli Polskich zorganizował spotkanie z pedagogami, którzy odchodzą na emeryturę. Gośćmi spotkania byli m.in. konsul Wacław Leśniewski z Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, prezes Oddziału Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Bielsku-Białej Wojciech Dębowski, prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa i prezes Macierzy Szkolnej Janusz Ciesielski.

Podziękowania za długoletnią działalność pedagogiczną złożył prezes TNP Roman Wróbel. Kwiatami i upominkami zostali obdarowani: Krystyna Byrtus, Krystyna Farnik, Krystyna Klus, Krystyna Kopeć, Krystyna Lebeda, Krystyna Walek (nie ma tu pomyłki, aż 6 pań odchodzących na emeryturę ma na imię Krystyna), Wanda Kufa, Maria Neżerka oraz Alojzy Kufa.

E.S.

ZAKOŃCZENIE ROKU SZKOLNEGO W PSP W GNOJNIKU

I w szkole, której rozbudowa trwa nadal – pod dachem znalazła się wreszcie sala gimnastyczna – rok szkolny zakończono uroczyście. Gośćmi uroczystego zakończenia roku byli między innymi: senator RP Marcin Tyrna, konsul Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Małgorzata Filipek, przewodniczący cieszyńskiego Koła Oddziału Wspólnoty Polskiej w Bielsku-Białej, redaktor naczelny Głosu Ziemi Cieszyńskiej Paweł Czupryna. Zabrakło niestety zaproszonego senatora Andrzeja Febra, który usprawiedliwił się ze względu na ważne obowiązki w Senacie RC. Był również obecny prezes Zarządu Głównego PZKO Zygmunt Stopa, który wręczył uroczyście legitymacje nowym członkom PZKO, absolwentom dziewiątej klasy.

F.B.









UHONOROWANIE MISS

Renata Górecka – Miss Czechosłowacji z roku 1990 – skończyła studia, wyszła za mąż, urodziła córeczkę. Mieszka w Warszawie. Na Zaolzie wraca, chociażby w odwiedziny do rodziców mieszkających w Czeskim Cieszynie.

W czasie jej ostatniego pobytu w rodzinnych stronach dr Jiří Pinkava, dyrektor Zespołu Szkół Przedsiębiorczości Handlowej w Czeskim Cieszynie, zaprosił Renatą Górecką na spotkanie z uczniami tej placówki, które odbyło się z okazji umieszczenia pamiątkowej tabliczki z jej nazwiskiem w budynku szkoły. Renata Górecka znalazła się tym samym wśród innych uhonorowanych osobistości związanych ze szkołą. Jak napisano na tabliczce: ... zaszczyciła swą obecnością Uroczystości Ogrodowe 1 (w roku 1990).

F.B.

FESTYN OGRODOWY

Czerwiec to miesiąc festynów szkolnych i tych organizowanych tradycyjnie już przez Koła PZKO. Jest w czym wybierać, gdzie spędzić sobotnie popołudnia, bo na festyny chodzą nie tylko ci, dla których, skrótowo ujmując, są one zorganizowane, ale także miłośnicy biesiady z różnych stron Zaolzia i z Polski.

Tradycyjnie już redakcja gościła na festynie w Skrzeczoniu, zorganizowanym przez Miejscowe Koło na placu przylegającym do Domu PZKO. Dopisała pogoda, toteż i biesiadowanie miało dobrą atmosferę. Aby miło było spożywać kulinarne niespodzianki, przygotowane przez członków Koła, nie tylko panie, które upiekły wspaniałe kołacze z twarogiem, ale również pachnące na całą ulicę mielone kotlety pieczone na ruszcie przez Franciszka Szeligę, a podawane z dużą ilością świeżych warzyw, gospodarze spotkania, czyli Zarząd MK, postarali się o dużą ilość muzyki rozrywkowej i konkursów. I tak w wiązance tańców orłowskich zaprezentował się zespół Skotnica, działający przy MK PZKO Orłowa Lutynia pod kierownictwem Odonii Charvát, który niedawno prezentował się na prestiżowym festiwalu w Strażnicy, a przygotowuje się do wyjazdu do Portugalii. Skrzeczoniacy mają dodatkową satysfakcję, bo w zespole tańczy Czesław Gałuszka, skarbnik Koła. Wystąpił też miejscowy chór mieszany Hasło, a przez cały czas trwania festynu umilał przyjacielskie pogawędki także tutejszy, czyli działający przy MK, zespół instrumentalny Krater.

E.S.



Fotografie w kronice FRANCISZEK BAŁON, str. 33 – CZESŁAWA RUDNIK

JINDŘICH ZOGATA

KRUSZENIE KŁOSÓW

Ponad wioską żyto wyłamuje zęby zadumaniu
Poniżej wsi snopy wymłócone głowami
w kłosach

Jest jeszcze szosa jaśniejsza od wstęgi -
codziennych przechadzek słońca.
Obręcze okuwanych kół z jesionu
odbijają turkot

Jesteśmy wśród swoich -
kos sierpów młockarni i cepów.
Po zamknięciu bramy nikt nie wpuści
nawet sowy zawodzącej hukaniem
Wy również
wy, którzy nigdy nie byliście na wsi
możecie pożyczyć puchaczom
szklane oczy.
Może następny dzień świetlnego roku
zdąży szelestem do osamotnionych taczek

* * *

Słowa nie ogarną człowieka
przechodzącego w milczeniu
Od samego zarania świata są nieczytelne
granice nowych alfabetów
Wierzchołki świerków i jodeł
Chmury zmieniają letnią sierść
Poprzez tłusty łój
popatruje dusza niesfornych baranków
w szponach Satyr o nieparzystych kopytach ryczy

TĘCZA Z BARANKAMI

Cztery tygodnie lało jak z cebra
Bacza nie przerwał śmiechu.
Dlaczego się śmiejesz, niemądry?
Strzecha twojego szałasu nie miała nigdy ścian.
- Rozpogodzi się - powiedział
Potem owce pójdą do nieba.
W końcu zaczęło się ściemniać i bacza posmutniał.

MUZYKANCI

Einstein grał na skrzypcach
Mój ojciec na gajdach
A co to była na kontry? Czy grali bez przerwy?
Grudy ziemi w sprzeczności z atomem
Albowiem muzyka jest dziełem kontrapunktów
Ci dwaj byli muzyką niesłychaną
Nie znali siebie osobiście
Brali do ręki instrumenty, kiedy lata stawiały opór
albo niebo otwierała motyka.

KAMIEŃ NA KAMIENIU

Pochodzę tylko ze wsi
Nie wzruszają mnie szkopki
przegotowanych łez
Jestem tylko ze wsi kamiennego zaparcia.
Żyto noszone w fartuchach.
Kobiety zaharowane zwierzęco.
Cenię pijanych chłopów
którzy nie zaszuwierzyli dziedzictwa
i nie zgubili z oczu
ziemi obiecanej.

Przekład z czeskiego Wilhelm Przeczek

(Z maszynopisu „Witraże drewnianego kościółka", który był przygotowany do druku w latach siedemdziesiątych i nigdy nie ukazał się drukiem z przyczyn pozaliterackich.)

ZWYCIĘŻYŁ KAMIEŃ CZY SŁOWO?

Dzięki Cieszyńsko-Zaolziańskiemu Kołu Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego odbyło się 9 czerwca w Cieszynie IV polsko-czeskie spotkanie poetyckie Kamień czy Słowo.

U kolebki tej interesującej akcji literackiej stał poeta, publicysta i nauczyciel akademicki polonistyki Kazimierz Kaszper oraz poeta Ivan Motýl, pochodzący z Hlučína. Nazwa spotkania nawiązuje do faktu, że poeci czescy i polscy przedstawiają swoją twórczość w rotundzie św. Mikołaja i św. Wacława w Cieszynie.

Program rozpoczęto od położenia kwiatów na grobach dwóch wybitnych śląskich poetów Gustawa Morcinka i Pawła Hulki-Laskowskiego. W piastowskiej rotundzie zaprezentowało się następnie dwudziestu poetów mówiących dwoma bliskimi słowiańskimi językami. Poza owe ramy językowe i kulturowe sięgało wystąpienie kanadyjskiego poety i lektora języka angielskiego Williama Geoffa, które okazało się miłą niespodzianką. Natomiast małym stopniem komunikatywności odznaczało się wystąpienie jednego z protagonistów wieczoru - Ivana Motýla. Jego niegdyś obiecujący talent poetycki, o ile mogę tak sądzić na podstawie dłuższego śledzenia jego rozwoju, nie tylko nie rozwinął się, ale jego twórczość charakteryzuje stagnacja i niejasność punktów wyjścia. Poeta aspiruje zapewne do stworzenia współczesnego mitu Śląska, jednak to dążenie jakby zatrzymało się w połowie drogi. Podobne żenujące wrażenie wywołały urywki nowej twórczości opawskiego poety i prozaika Vita Slívy.

Nie zawiodły inne gwiazdy pojedynku kamienia ze słowem: polska poetka z czeskiego Śląska Cieszyńskiego i kierownik literacki Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego Renata Putzlacher, która przedstawiła charakteryzujące się komizmem językowym wiersze z przygotowywanego zbiorku, jaki miałby się ukazać w tym roku w Krakowie, wędryński poeta i zdobywca Nagrody Ortena Bogdan Trojak, Lucyna Waszkowa, ojciec i syn Władysław i Jacek Sikorowie, bezpośrednio w Cieszynie żyjący pisarze Jerzy Oszelda i Mirosław Gabrzysz, w dobrym świetle pokazał się młody poeta Szymon Broda ze Skoczowa, podczas gdy poeta Jan Pyszko z Nawsia koło Jabłonkowa sięgnął do swych nieprzebranych zapewne zasobów banałów poetyckich. Z czeskich autorów trzeba przypomnieć doświadczonego Petra Hruškę czy prozaika Jana Balabána, a interesującym odkryciem była ostrawska poetka Eva Čvančarowa.

Wieczór kontynuowano potem nieformalnie w barze Studnia Trzech Braci, gdzie nie tylko spróbowaliśmy świetnego polskiego bigosu, ale gdzie przebiegła poważna dyskusja na temat organizacji młodych ośrodków literackich w Polsce i w Republice Czeskiej. Dotyczyła ona głównie spraw wydawniczych, wydawania periodyków literackich, współpracy z mediami i dalszego rozwoju tego spotkania literackiego. Powstały grupy robocze (organizacyjna, wydawnicza, tłumaczy i redakcyjna) w celu wydania pisma Kamień czy Słowo - Kámen nebo slovo.

Chociaż żaden z podstawowych elementów motta spotkania - kamień i słowo - nie zwyciężył, potwierdzona została teza, że współpraca kulturalna nie zna granic i ma nadal swój sens, którego nie można bagatelizować.

LIBOR MARTINEK
tłum. M.R.

GUSTAW MORCINEK

ŚNIEG W SŁOŃCU

Już trzeci dzień mijał.

Wśród nieprzejrzanych, głuchych, ośnieżonych lasów biegła przede mną czerniejąca droga. Zdawała się być bez końca i bez początku.

W nocy świeciły nam rozbełtane dymami łuny złowieszcze, palące się żywą krwią w ciemnej głębinie nieba, a za dnia skołtunione kłębiska dymów pożarnych słały się ciężko ponad widnokręgiem, ważyły się nisko, opęczniałe ludzką krzywdą. Szły od nich lęk przedziwny i zgroza, że aż serca zwątlałe zamierały w nich z cichym przerażeniem, kieby te kwiaty zdeptane.

Słonko już trzeci dzień wstawało senne z tamtych dymnych barłogów, martwe wstawało, więzione długo w onych mrokach, kalne, odarte z krasy, do wyłupionego oka podobne, takie krwią zabiegłe słońce.

Jak daleko sięgnąć okiem, widny był nieprzejrzany różaniec taboru wojskowego. Konie, wozy i ludzie wlekli się nieprzerwanym sznurem. Pobok drogi człapali się zziębnięci woźnice, a rozmokłe ich buciska mięsiły w ciężkim trudzie lepkie, rozkisłe, czarną wodą przelewające się błoto.

Cisza była.

Chwilami jeno zbłąkany wiatr skądsiś nadleciał, przewalił się ociężałym szumem po ostępach leśnych, zgarniał szeroką łapą rozwiewne płachty śniegu, z drzew je zgarniał, sypnął w znużone oczy, oślepił, uciął zimnem, kieby ten pies kąśliwy, i przepadał w leśnej ociemie. I znów nastała cisza, tylko z daleka niósł się jeszcze ten szum rozchwianych drzew, coraz cichszy i coraz dalszy, aż gdzieś skonał w dalekościach. Teraz wozy skrzypiały, pokrzyki ludzkie plątały się niezdarnie, a mlaskot deptanego błota niecił obmierzłość w sercu.

Ponad nami leciały wrony, towarzyszki nasze wierne, śmierć wietrzące ptaszyska. Czasem, gdy w jakiejś nieoczekiwanej chwili dobiegało nas zjadliwe szczekanie karabinów maszynowych, czy rozlewny grzmot armat, podnosiły się z lamentem w górę i znikały. A potem, gdy cisza wracała, i one wracały, towarzyszki nasze wierne.

Szliśmy już tak trzeci dzień.

Zdrową ręką trzymałem się kłonicy wozu, a prawą, przestrzeloną, na temblaku owisłą, tuliłem do piersi. Już mię nie bolała. Czasem tylko niebacznie urażo-

na zapiekła dotkliwie, kieby ogniem przypalona. Znużenie przenikało mię do ostatka. Bezwład pętał nogi, kamieniem ciężkim kładł się na ramiona, do ziemi przygniatał. W obolałym mózgu gmerały się majaki wspomnień, słodkie majaki o śnie nieprześnionym, mogącym przynieść niewypowiedzianą rozkosz odpoczynienia strudzonych kości.

Kłonica wozu, objęta dłonią, prowadziła mię trzeci dzień. Śpiący byłem. Powieki zamykały się poniewoli, gasiły w źrenicach światło dzienne. Pomęczone myśli usypiały. Wtedy w ich cichości wyłaniało się złudzenie, że to matka moja, taka dobra, ogromnie kochana matka za rękę mię prowadzi. Płowa główka chyli się na wyciągnięte ramię, zziębnięte nóżki plączą się w długiej koszulinie, oczy słodki mrok ogarnia, a mateńka za rękę prowadzi, prowadzi...

- Pójdź, syneczku roztomiły, pódź nynać...

- Lecz dlaczego tak zimno u ciebie, mateczko? Dlaczego mię ręka boli?...

Mateńka znika, we mgle się rozpływa, już jej nie ma. Lecz za rękę ciągle mię prowadzi. Już tak długo. Ale dokąd?...

- Twoja ręka, mateczko, tako zimno i tako twardo... Czy sie gniewasz na mnie, że mie za dłoń tak szarpiesz?...

Rozwarłem powieki i zrozumiałem. Jedna jedyna myśl, jak dotknięcie twardego kamienia.

Nie wypuścić oparcia z dłoni!... Nie wypuścić, inaczej zwalę się w błoto i pozostanę...

Czas wlókł się przeciągle, jak te konie przede mną. Jak długo szedłem, nie pamiętam. Może godzinę, może dwie, może już miesiące całe... Któż to może wiedzieć? Stopniowo traciłem świadomość czasu i miejsca. W jakiejś nieokreślonej chwili wyczułem, że mię ktoś obejmuje ramieniem, dłoń zgrabiałą roztwiera, z kłonicy zdejmuje.

- Czy to ty, mateczko?... Gdzie byłaś tak długo?...

- To jo, Ferda, panie poruczniku - doleciał mię jakby z daleka głos żołnierza. - Niech se pón porucznik zeprze kapke na mnie... To tak... Te dziady zatracone, kozunie, kajsi ich djasi wzieni! Nie ma ich i zbyte... A dobrze zrobili, bo już nie lza dali sie szmatłać... Oto tu, panie poruczniku, dają se kapke na ucho... Zmietnółech śnieg, jak sie patrzy, nakutołech liścio, bydzie sie dobrze spało, jak w chałupie pod pierzyną...

Gdzieś mię prowadzi ostrożnie, potem kładzie na ziemię, płaszczem nakrywa, do snu utula. Jak matka.

Przez chwilę dochodzi mię jeszcze jego wyklinanie na kozaków, potem głos jego jakby oddalał się, cichnie, w szmer się przemienia. Tonąłem w słodkiej niepamięci. Radosny sen ujął tkliwie moją głowę, rozluźniły się z westchnieniem więzy, trzymające mię dotychczas w świadomości istnienia. Zasnąłem...

Nie wiem, jak długo spałem. Gdym się przebudził, oczy moje spotkały się ze snopem promieni słonkowych, co przez wycięte w okiennicy serduszko na twarzy złotem mię pieściły. Uśmiechnąłem się. Jakieś dalekie wspomnienie szkolne

do mnie przyszło. Podniosłem głowę. Zdziwionymi oczyma wodziłem w półmroku, nie mogąc wymiarkować, gdzie jestem. Spróbowałem usiąść. Syknąłem z bólu, a równocześnie otworzyły się drzwi. W ich ramie, na jasnym tle przestrzeni wypełnionej słońcem, stanęła młoda dziewczyna. Zmrużonymi oczyma patrzyła w głębię przyćmionej izby.

- Gdzie jestem? - zapytałem.

Wtedy dziewczyna przystąpiła do mnie. Oczy moje utonęły w jej oczach. Były dziwnego koloru. Ciemne, głębokie, o fioletowym odcieniu, z drobniuchnymi skierkami złotymi w kształcie serduszka. Nachyliła się miękko nade mną, a wtedy wionął na mnie zapach jej młodego ciała.

- Gdzie jestem? - powtórzyłem.

- Niech pan będzie spokojny - odrzekła. - U nas, w leśniczówce.

- W leśniczówce? - zdziwiłem się.

- Tak. Dzisiaj nad ranem tatko pana znalazł. W gąszczu pan spał. To pana uratowało.

Jej śpiewny i jakby aksamitny głos dziwnie harmonizował z owym snopem słońca, sączącym się w mroczny pokój przez wycięte serce w okiennicy.

- Co mnie uratowało? - Nie mogłem myśli zebrać.

- A bo pan nie wie. W nocy na wasz tabor napadli kozacy. Pana nie znaleźli. Potem z tatką przenieśliśmy pana do nas. Lecz niech pan cicho leży. U nas są kozacy. Mogą pana znaleźć...

- A gdzie mój Ferdek?

- Jaki Ferdek? - podniosła wysoko wygięte łuki ciemnych brewek.

- Iruś! Iruś! - zawołał męski głos z drugiego pokoju.

- Przyniosę panu mleka. Zaraz, bo mię tatko woła...

Zniknęła w otwartych drzwiach. W moich oczach została po niej smuga jasnych twarzy z podniesionymi wysoko brwiami.

Z trudem zbierałem myśli. Gdyby nie ręka w brudnym bandażu i przewieszona przez krzesło bluza żołnierska, myślałbym, że śnię. Wspomnienia ubiegłych trzech dni podobne stały się do wspomnień chwil, które się działy przed laty. A może ich wcale nie było, a wszystko to tylko zmora przedziwna, w gorączce przyśniona. Starałem się uprzytomnić ostatnie chwile. Zdawało mi się, że Ferdek do snu mię układał i płaszczem otulał. Ale gdzie on?

Spoza okiennicy doleciały mię znienacka ostre, chropowate głosy. Jakaś komenda, potem liczne kroki. Wzdłuż ściany idą sznurem. Ścichały stopniowo. Potem otworzyły się jakieś drzwi z trzaskiem, w ciszę domu wwalił liczny tupot butów, dudniących po drewnianej podłodze. Złe klątwy, żelazny pobrzęk.

Już wiedziałem. To Moskale!... Jeżeli mnie znajdą... Idą po mnie.

Poszukałem oczyma rewolweru. Nie było. Widocznie został w lesie. Trudno...

Wstałem z łóżka, narzuciłem bluzkę na ramiona i czekałem. Dziwiło mię jedynie, że wszelka trwoga znikła. Było mi wszystko obojętne.

Do pokoju wtłoczyli się oszarpani kozacy. W wysokich czapach futrzanych,

z czerwonymi gwiazdami nad czołem. Oficer ich ze szpicrutą w dłoni podszedł do okna, pchnął mocno okiennice i odwrócił się. W izbę wdarła się gwałtowna ulewa słonecznego złota i oślepiła mi oczy. Zatrzepotały się rzęsy, przymknęły powieki. Gdy je podniosłem, ujrzałem przed sobą oficera, wpatrującego się we mnie wąskimi szparkami kąśliwych źrenic o przyczajonym błysku kocich ócz. Chwilkę mi się przypatrzył, potem dotknął szpicrutą mych piersi i, zwracając się do stłoczonych żołnierze, wycedził przez zęby:

- Pod ściankę... - i parsknął krótkim, uciętym śmiechem.

Wyprowadzono mię na dwór. W przechodzie zauważyłem, że Iruś wpatruje się we mnie przerażonymi oczyma, trzymając się dłońmi za głowę. Ojciec jej, oparty o futrynę, zagryzł usta w jakimś bolesnym skurczu, a po twarzy biegały mu króciuchne drżenia.

Wiedziałem, że będę rozstrzelany, a jednak nie wywarło to na mnie żadnego wrażenia. Znałem twarde prawo, a raczej bezprawie wojny bolszewickiej, więc byłem na wszystko przygotowany. Tylko na krótką miareczkę czasu, gdy próg przestąpiłem, a w oczy wraził mi się roziskrzony przepych śniegu w słońcu, wyczułem w sercu leciuchne ziarenko żalu.

Żołnierze postawili mię pod ścianą stodoły, przypierającej bokiem do leśniczówki. Wszystko działo się w milczeniu. Cofnęli się i stanęli opodal w rzędzie, zwróceni frontem do mnie. Powoli naładowali karabiny, wsparli się ciężko o lufy i jęli wodzić bezmyślnym wzrokiem po skrzącym się śniegu.

Tymczasem oficer, różniący się od swych żołnierzy mniej podartym mundurem, wyjął z kieszeni tytoń i jął powoli skręcać papierosa. Patrzał na mnie spode łba ze zjadliwym uśmieszkiem na wąskich wargach. Zapalił papierosa i podszedł do ściany leśniczówki. Stanął na wale stwardniałego śniegu, co się kiedyś z dachu stoczył. Nad głową jego, u krawędzi dachu, zwisała ogromna skiba śnieżna.

Padła krótka komenda.

Żołnierze podnieśli ociężałe karabiny do ramienia. Oficer chwilkę mierzył mię swym wzrokiem, przypominającym w swej istocie coś szczurzego. Powoli jął podnosić szpicrutę. Chwilkę się wstrzymał, potem śmignął nią gwałtownie w górę. Trafił całą mocą w zwisający nad głową wał śnieżny. Nim wyrzucił komendę, ogromna skiba śnieżna oderwała się od dachu i runęła na niego. Oficer rozczapierzył ramiona, zachwiał się i zwalił pod jej ciężarem na ziemię, śnieg zaś, leżący w grubej warstwie na dachu, pozbawiony teraz oporu, począł się zsuwać szybko z szelestem na leżącego.

Wtedy stała się rzecz dziwna.

Widok wygrzebującego się spod śniegu oficera był tak śmieszny, że parsknąłem w głos. Żołnierze zaś, zaskoczeni nieoczekiwaną sceną, trzymali przez chwilę karabiny przy ramieniu, potem opuścili je na ziemię i ryknęli przeogromnym śmiechem. Czynili wrażenie gromady rozbawionych chłopaków, szalejących z uciechy na widok udanego figla. Śmiech ich grzmiał, bulgotał, wybiegał w górę piskliwym dyszkantem, potem znów spadał i huczał i dudnił. Jedni,

nie mogąc ustać, przysiadali na piętach, drudzy, jak pijani, słaniali się, bijąc po udach.

Tymczasem oficer wygrzebał się spod śniegu i chwilę wodził wściekłym wzrokiem po rozchichotanych żołnierzach. Nagle podniósł szybko leżącą szpicrutę i jednym krótkim, urwanym ruchem ciął na odlew w głupawą gębę zaśmiewającego się obok niego żołnierza.

Śmiech zamarł. Uderzony żołnierz potoczył się i zarył głową w śnieg. Zerwał się w tym okamigu, chwilę łypał zdziwionymi oczyma, otarł krew z rozciętego czoła, ujął karabin i ze strasznym przekleństwem runął z nastawionym bagnetem na oficera. Nim ten miał czas krzyknąć, bagnet ugrzązł w jego piersi z głuchym chrzęstem, potem jakoś dziwnie zgrzytnął i wysunął się z grzbietu. Oficer rozłożył ramiona i jak dąb podcięty zwalił się ciężko na śnieg.

Zakryłem oczy dłonią.

Przede mną zakotłowało, wzbił się straszny krzyk, przekleństwa zduszone, skowyty, potem posłyszałem głuche uderzenia i stękania, jak u drwali, gdy grube drzewo podcinają.

Odjąłem rękę od oczu. Ujrzałem na śniegu skuloną postać oficera, podobną do skrwawionego tłumoka, w który krzyczący żołnierze bili kolbami i kopali ciężkimi butami.

Opierając się lewą ręką o ścianę stodoły, ruszyłem przed siebie. Natrafiłem na płot. Ostatnim wysiłkiem przekroczyłem go i, słaniając się, brnąłem w wysokim, rozsłonecznionym śniegu przez jakiś sad. Uszy miałem pełne głuchych uderzeń kolb o martwe ciało oficera, a w oczach jarzyła się upiorna zjawa krwawej masy na śniegu.

Krystyna Heska-Kwaśniewicz w swej książce „Pisarski zakon. Biografia literacka Gustawa Morcinka" (wydawnictwo Instytut Śląski, Opole 1988) napisała: *Dziewiątego czerwca 1920 roku Morcinek zgłosił się jako ochotnik na podstawie rozkazu wojskowego do czynnej służby wojskowej na froncie bolszewickim. Był to okres kontrofensywy wojsk radzieckich, które już podchodziły pod Warszawę. W Pułtusku, skąd wychodziły rozkazy wojskowe, w których pojawiło się nazwisko Morcinka, mieściła się siedziba Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Bardzo niewiele wiemy na temat tego epizodu w życiu pisarza, jedyny ślad tych przeżyć to nowela „Śnieg w słońcu", drukowana w roku 1925 w katowickiej Polonii (nr 172-173)* (za tę nowelę otrzymał Morcinek III nagrodę w konkursie Polonii - przyp. red.). *Z zachowanych dokumentów wynika jedynie, że 18 lutego 1921 roku Morcinek został przeniesiony z IV Baonu Wartowniczego Warszawskiego do 13 Pułku Piechoty, a rozkazem z dnia 4 marca tego roku otrzymał stopień porucznika, z zatwierdzeniem od dnia 1 kwietnia 1920 r. Dwudziestego piątego maja 1921 roku powrócił do Skoczowa i objął obowiązki nauczycielskie.*

PRZEZ ŻOŁĄDEK DO ZBAWIENIA

Dziś wieczorem położyłem się zdecydowanie za późno. Moje podejrzenia co do tego faktu wyrosły na kanwie literatury, która rzekomo pomaga zasnąć. Odwróciłem ostatnią kartkę. Paraliż, jaki zapanował nad mym ciałem, został wywołany niekonwencjonalną wręcz literaturą banału. Wikt autora nie należał zapewne do najświeższych. Potrawy pospolite z nieaktualną datą ważności zadecydowały o kołyszącym stylu pisarza, odzwierciedlając stan jego problemów ż o ł ą d k o w y c h. Brnąc długopisem przez kolejne rozdziały, autor postarał się o wyjątkowo długi, napęczniały, obszernie zwyrodniały - podobny do ciem obijających się o rozżarzoną skorupę żarówki - tekst, który skutecznie doprowadził czytającego do rozwolnienia j e l i t o w e g o. O śnie nie ma co marzyć, a ranek nie udostępni swej gościnności w przeciągu najbliższych ośmiu godzin. Co więc począć z tak zaawansowanym wieczorem? Księżyc ukryty głęboko w nocnej otchłani porusza się niezgrabnie i (delikatnie mówiąc) leniwo. Chmury niczym k i s z k i kurczyły i rozkurczały się znacząco, przypominając nocnym Markom o koniecznym, jak na tak późną porę, śnie w objęciu świeżej pościeli. Ulice - przerażające pustkowie - w swej prostocie nabrały poważnego wyrazu twarzy. Groza i fałsz wyzierały z kanałów i, czając się, czekały na smaczny kąsek, jaki podrzuci im los. Stanąłem przy oknie. Znużony, zanudzony i skazany na „nocne czuwanie" wodziłem wzrokiem po pejzażach zza okna, podążając bez celu za wymarzonym snem. Nagle coś wylądowało na parapecie, odbiło się o szybę i ponownie przykucnęło w narożniku. Wystraszona mordka ostro i bardzo gwałtownie obracała główką na wszystkie strony, sprawdzając tym samym zbliżanie się potencjalnego niebezpieczeństwa.

- Okno jest okiem na świat - pomyślałem;

- i vice versa - odpowiedziało okno.

Nieco przerażony odskoczyłem od rozmówcy. Z niedowierzaniem wpatrywałem się w stworka, łącząc go niejako z tym, co zaszło. Stanowczo uradowany wiem jednak, że nocne perypetie ze snem i nieudolne próby zaśnięcia zostały zażegnane.

Widok z okna jest niesamowity. Przysparza mi wiele radości. Już po kilku minutach wyglądania przez okno satysfakcja jest murowana tak samo zresztą, jak horyzont będący kamienną ścianą z wieżyczką na środku. To sąsiad; kocha średniowiecze. Przestrzeń, jaka znajduje się pomiędzy moim wzrokiem a „monumentum murarae" (wszystkich miłośników łaciny proszę o nietraktowanie tego pojęcia poważnie, stanowi ono tylko obrazowe przedstawienie zjawiska nachalnego wręcz budownictwa nowoczesnych płotów ogródkowych, zapewniających prywatność mieszkańcom oraz przechodniom), jest ogromna, a zjawisko zwane przyrodą, naturą, środowiskiem naturalnym w postaci nienaruszonej jest bardziej niż zauważalne.

Pałac w dosłownym tego słowa znaczeniu. Bogactwo, jakim poszczycić mogą się nieliczni, jest iście królewskie, a wartość rynkowa odzwierciedla bezcenność tego nabytku natury. Widok codziennie ten sam, codziennie zachwyca, urzeka mnie swym pięknem, zapewnia wiele doznań twórczych i napełnia artystycznie wprowadzając niezapomniane uczucie n a s y c e n i a i zaspokojenia wszelkich potrzeb związanych z utratą energii, potrzebnej do normalnego funkcjonowania; uczucie porównywalne do w y p i t e j porannej kawy, z j e dz e n i a tabliczki czekolady czy spędzenia wieczoru z ukochaną osobą w miłosnych uściskach, rozkoszując się każdą kroplą potu partnera(-ki). Znajdując się w szale zaspokojenia seksualnego, schodzę na ziemię. Rozszerzone źrenice ostro wpatrują się w szybę, bezpośrednio na to, co znajduje się za szybą, na parapecie, skulone pod ścianą. Czupryna - niby to sowa, oczy - niby to kot, skrzydła - niby to nietoperz? Ciekawość zawarta w sednie. Niesamowity dziwoląg będący zapewne wybrykiem natury lub inżynierii genetycznej. R z y g a ć się chce na samą tylko myśl o niekończących się doświadczeniach i badaniach przeprowadzanych na zwierzętach - istotach niewinnych, nieświadomych niczego. Skulone z bólu pokutują za grzechy. Takie istoty nie czekają na zbawienie. Mają zarezerwowane miejsce na samym początku transcendentalnej kolejki. Pewność, z jaką wypowiadam te słowa - na pewno nie otrzymam darmowego biletu lub przepustki, jest nienaruszona, sprawdzona przez wielu specjalistów, nietykalna posiadająca immunitet dyplomatyczny, nieakceptowany na świecie, ale skuteczny.

Stworek poczuł się chyba bezpieczniej. Wędruje po parapecie raz w jedną, raz w drugą stronę. Od czasu do czasu przetrzepie pazurem futerko, pierze, łysinę? Niby bezpieczny, a jednak niespokojny. Coś przerażającego wisi w powietrzu. Przed oknem, za oknem, pomiędzy wewnętrzną a zewnętrzną otchłanią będącą miejscem działań istot organicznych i rzeczy martwych, które psują się specjalnie, denerwując tak konstruktorów i użytkowników. Mój dom zamienił się tej nocy w świątynię dumania. Zegar, taki sam leń jak księżyc, posuwał swe kończyny wolno, wolniej i coraz wolniej. W pewnym momencie poczułem przypływ totalnego osłabienia.

- Chyba pora iść spać - pomyślałem.

- Istotnie, masz rację - skwitował rozmówca; czymkolwiek jest.

Poryw szaleńczej wściekłości (byłem przekonany, że wcześniejsze doznanie było niewytłumaczalnym wprawdzie zjawiskiem, ale było to chwilowe) odrzucił me ciało kilka kroków wstecz. Cofając zastanawiałem się nad możliwą obroną - atakiem raczej nie - w razie ewentualnych działań ofensywnych ze strony intruza. Byłem naprawdę przerażony. Środek nocy, mordercza cisza, przerażające szelesty i sapanie jeży pod oknem doprowadzały mnie do szału. W tym momencie zapomniałem o pięknie, jakie rozpościera się za oknem. Wiedziałem, że ono istnieje i niebawem - spojrzałem nerwowo na zegarek - pojawi się w całej swej okazałości. Teraz widziałem tylko dziwne stworzenie, które, nie miałem już żadnych wątpliwości, na pewno jest źródłem mego strachu. Głęboki głos wydobywający się z tej małej, drobnej istoty posiadał cechy niewyobrażalnej siły zdeterminowania wszystkich rzeczy na korzyść własnej osobowości. Ogarnęły mnie m d ł o ś c i. G ł ó d moralny i naturalny zarazem wepchnął się w sam środek ż o ł ą d k a. Paskudne uczucie, a pomyśleć, że mieszkam w najpiękniejszym za-

kątku świata. Tu, gdzie turyści zapominają głowy, zostawiając ogromne kwoty pieniężne, by zdobyć - drobiazg - pamiątkę z pobytu.

Przerażony wpadłem do kuchni. Otwierając kolejno szafę, lodówkę, następną szafę, j a d ł e m, p i ł e m. Dziki zwierz posiada więcej kultury ode mnie, ale kiedy jest przerażony, instynkt samozachowawczy skutecznie blokuje przepływ hormonów odpowiadających za k a r m ę. Ja - w stresie - nie wiedząc, czy świat zwariował, czy ja głupieję (nie zgłupiałem w całości, bo doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, co się dzieje), począłem w pośpiechu p o ł y k a ć drugą kolację. W sumie nie wiem dlaczego. Nigdy nie zachowywałem się w ten właśnie sposób. Nieważne. Nie pora na tego typu refleksje.

Nagle zrobiło mi się jakoś lekko. Zapomniałem o tym czymś, co znajdowało się w tamtym pokoju. Chyba zasnąłem - tak mi się wydaje. Zbyt wiele pięknych rzeczy mnie otacza. P a w i e m, pióropuszem zasłonięta łąka...

...to podłoga! To jawa! Powtarzający się koszmar za oknem! Głos!!!

- Powinienem zadzwonić na policję.
- Powinieneś.
- Powinienem zawiadomić lekarza.
- Powinieneś.
- Powinienem iść spać.
- Powinieneś, i nie martw się, zbawienie przyjdzie samo.

MAREK SŁOWIACZEK

MŁODE PIÓRO

Motto:
Całkowite wyzwolenie się spod siły
ciążenia lokalnej i zaściankowej skazuje
nas na naśladowanie obcych wzorów...

CZESŁAW MIŁOSZ

CZY W ZWIĄZKU Z WSZECHOBECNYM DĄŻENIEM DO INTEGRACJI GROZI NAM UTRATA WŁASNEJ TOŻSAMOŚCI?

Żyjemy w okresie nie tyle burzliwych, co głębokich zmian w społeczeństwie i technice. Naukowcy tłumaczą stare zagadnienia i problemy, jednak każdy dzień przynosi z sobą wiele nowych pytań. Zasypywani ogromną ilością informacji z różnych dziedzin nauki i najodleglejszych zakątków naszej planety pytamy coraz częściej: „Kim my właściwie jesteśmy? Jakie jest nasze miejsce we współczesnym świecie?"

Żeby móc odpowiedzieć na te nurtujące nas pytania, musimy najpierw stwierdzić, co to jest tożsamość. Nie posłużę się tutaj żadną ze słownikowych definicji, bo uważam, że ważniejsze jest, żebym uświadomiła sobie, co dla mnie to słowo oznacza. Kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że poczucie tożsamości to identyfikacja siebie z pewną grupą ludzi, którą łączy podobne spojrzenie na świat, zwyczaje, kultura, wyznanie czy przekonanie. Kiedy patrzę na to słowo, zauważam, że po odrzuceniu trzech literek powstaną dwa słowa: „to samo", co oznacza, że ci ludzie myślą i czują to samo, co ja. Jednak poznanie własnej tożsamości poprzedza proces, który można by określić jako uświadamianie jej sobie. I tutaj właśnie można zauważyć różnice w poszczególnych rodzajach tożsamości. Nie wszystkie cechuje ta sama wolność wyboru, niektóre są bardziej uwarunkowane czynnikami zewnętrznymi, takimi jak: miejsce urodzenia i zamieszkania, wykształcenie nasze i naszych rodziców, ludzie, którzy nas otaczają i mają wpływ na kształtowanie naszego światopoglądu. Jednak wbrew tym wszystkim okolicznościom głęboko wierzę w wolną wolę człowieka.

Uświadamianie sobie własnej tożsamości może przebiegać w dwu lub trzech sferach: intelektualnej, która jest jednak bardziej charakterystyczna dla tożsamości politycznej czy filozoficznej niż narodowej, bo bada, na jakich logicznych podstawach stoi system lub przekonanie, które chcę przyjąć; druga to duchowa, na poziomie której zastanawiamy się, na ile są charakterystyczne cechy tej grupy ludzi i sposób ich życia zgodne z naszym sumieniem i hierarchią wartości; trzecia to sfera emocjonalna - oznacza po prostu, czy dany system poglądów lub zwyczajów podoba nam się. Bez względu na to, jak wielkimi jesteśmy racjonalistami, ponad połowa naszego życia składa się z uczuć i przeżyć, więcej czasu spędzimy, płacząc, śmiejąc się, kochając czy nienawidząc niż myśląc.

Ktoś mógłby mi teraz zarzucić, że w gruncie rzeczy to ja wcale nie rozumiem tego pojęcia, bo tożsamość narodowa jest czymś w rodzaju ducha tego narodu, łączącego w sobie charakterystyczne tradycyjne elementy kulturowe. Dla mnie jest ona jednak pojęciem subiektywnym i dynamicznym. Każdy z nas ją tworzy i może zmieniać jej charakter. Jej odczuwanie przez nas samych jest jednak częściowo uwarunkowane miejscem naszego urodzenia i zamieszkania i stosunkiem naszych rodziców do ziemi ojczystej.

Dawniej ludzie nie mieli prawie wcale wolności wyboru własnej tożsamości, podobną sytuację można dziś zauważyć wśród plemion afrykańskich, bo nikogo nie interesują cechy charakteru danego człowieka ani jego zdolności czy opinie, jest tylko członkiem plemienia, nikt nie respektuje jego prawa do indywidualności. Zupełnym przeciwieństwem tego stanu jest Europa Zachodnia, gdzie człowiek może uważać się za kogo chce i żyć tam, gdzie mu się podoba, o ile pozwala mu na to jego sytuacja finansowa.

Podczas drugiej wojny światowej i komunizmu człowiek jako jednostka nie miał w oczach władz czy ideologów wysokiej wartości. Miał wartość, podobnie

jak w plemionach afrykańskich, tylko jako członek grupy. Teraz po okresie kolektywizmu przyszły czasy indywidualizmu, przynajmniej teoretycznego. Kiedyś pytania dotyczące tożsamości miały z góry określoną odpowiedź, dzisiaj stosowniejsze niż pytać: „Jesteś Polakiem czy Czechem?" jest „Czy czujesz się bardziej Polakiem czy Czechem?".

Indywidualizm nie jest jednak jedyną przyczyną tego, że tożsamość staje się coraz bardziej subiektywna. Łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce i nowe sposoby komunikacji międzyludzkiej też w dużym stopniu się do tego przyczyniły. Jednak im bardziej człowiek rozwija swoją indywidualność i niezależność, tym bardziej czuje się samotny i coraz bardziej pragnie być akceptowany przez innych. Ktoś mądry powiedział: „Człowiek bowiem to stworzenie, dla którego wzajemna rywalizacja - walka o uznanie za pełnowartościową ludzką istotę w oczach innego człowieka - jest najważniejszym sensem życia. Z faktu tego wynika oczywiście, że człowiek sam siebie uzna za człowieka dopiero wtedy, gdy za człowieka uznają go inni ludzie. Sam z siebie jakoś nie może uwierzyć we własne człowieczeństwo i nie uwierzy w nie dopóty, dopóki innych do tego nie przekona".

Cały proces globalizacji czy integracji nie jest niczym innym, jak tylko naszą próbą ponownego nawiązania głębokich kontaktów międzyludzkich, tym razem jednak nie w sferze podobieństw kulturowych, lecz najbardziej ludzkich. Czy jednak jest to możliwe?

Jeśli byłoby to możliwe, spowodowałoby to utratę naszej tożsamości narodowej i powstanie społeczeństwa o zupełnie nowym charakterze. Bo czym innym jest cała kultura, folklor, jeśli nie próbą nawiązania kontaktu przez poczucie jedności, radości z tego, że jesteśmy podobni i rozumiemy się nawzajem. Człowiek przez całe życie robi wszystko, żeby być oryginalnym, ale gdzieś w głębi duszy pragnie jedności i zupełnego zespolenia się z drugim człowiekiem. To jeden z paradoksów życia. Chyba każdy z nas zna to uczucie, kiedy gdzieś daleko od stron rodzinnych spotykamy Zaolziaka lub Polaka, to chociażby to był człowiek, z którym nigdy nie rozmawiamy nawet o pogodzie lub którego wcale nie znamy, nagle poczujemy prawdziwą braterską miłość, bo to „nasz" człowiek. Myślę, że my ludzie nie jesteśmy zdolni tak się zmienić, by każdy mógł zaakceptować i kochać każdego. Zachowanie własnej tożsamości narodowej okaże się koniecznością, będzie wartościowe, bo zaspokaja nasze potrzeby. Sprawia, że możemy czuć się oryginalni, bo mamy swoich poetów, kompozytorów, stroje ludowe, muzykę, zwyczaje, mentalność i żaden inny naród nie jest taki sam, a zarazem pozwala nam odczuć bliskość i zbieżność myśli z tymi, którzy też są Zaolziakami, Polakami. Żebyśmy jednak mogli głęboko odczuwać naszą przynależność narodową, musimy poznawać własną kulturę, ale też inne, bo tylko w ten sposób możemy zrozumieć nasze znaczenie i miejsce w mozaice współczesnego świata.

BARBARA RUSNOK
Polskie Gimnazjum Czeski Cieszyn

STO DZIESIĘĆ LAT MINĘŁO OD NARODZIN GUSTAWA MORCINKA

Chodzi mi o to, by pisząc o swojej ziemi, przybliżyć Śląsk do Polski i Polskę do Śląska.

Przed stu dziesięciu laty przyszedł na świat Gustaw Morcinek, pierwszy pisarz śląski, któremu udało się wyjść poza ramy regionu i zaistnieć w szerszej świadomości jako polski twórca narodowy.

Urodził się 25 sierpnia 1891 roku w Karwinie. Przy chrzcie nadano mu imię Augustyn, ale on sam używał imienia Gustaw. W latach 1897-1906 uczęszczał do szkoły powszechnej, następnie pracował w cegielni, a potem w kopalni. W roku 1910 rozpoczął naukę w Seminarium Nauczycielskim Męskim Towarzystwa Szkoły Ludowej w Białej. Lata 1914-1922 to dla Morcinka lata w mundurze żołnierskim, na frontach i w rezerwie, najpierw w armii austriackiej, następnie w armii polskiej. W międzyczasie uczył też w szkole.

Od 1919 roku związał Morcinek swoje losy ze Skoczowem, gdzie zamieszkał i podjął pracę nauczyciela. W latach 20. ukończył kurs przemysłowo-kupiecki w Państwowej Szkole Przemysłowej w Bielsku oraz dwuletni Państwowy Wyższy Kurs Nauczycielski o profilu językowo-historycznym. W roku 1936 zrezygnował z pracy nauczyciela i poświęcił się pracy literackiej. Przez wiele lat prowadził bibliotekę szkolną i bibliotekę Macierzy Szkolnej. Dużo czasu zajmowały mu też podróże.

Jego pierwszy artykuł „Wspomnienia z przewrotu w listopadzie w 1918 roku" ukazał się na łamach Dziennika Cieszyńskiego, debiut książkowy to wydane w Poznaniu w 1929 roku nowele „Serce za tamą", a następnie wydana w 1930 roku, ale napisana wcześniej powieść „Byli dwaj bracia". Na początku lat 30. otrzymał za powieść „Wyrąbany chodnik" nagrodę w Śląskim Konkursie Literackim. Był współzałożycielem grupy literackiej Przedmieście. Pisał w tym czasie

nowele o tematyce górniczej, ale także opowiadania, szkice i powieści dla dzieci, m. in. „Łysek z pokładu Idy", „Narodziny serca", „Ludzie są dobrzy", i dla dorosłych, np. „Inżynier Szeruda", „Wyorane kamienie".

Po wybuchu drugiej wojny światowej został Morcinek aresztowany przez gestapo. Przebywał w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, a od marca 1940 aż do końca wojny w Dachau. W roku 1946 wrócił do Polski przez Francję, Włochy, Belgię.

Przeżycia wojenne zmieniły początkowo nieco tematykę jego utworów. Wydał m. in. wspomnienia obozowe „Listy spod morwy", opowiadania „Dziewczyna z Pól Elizejskich", „Listy z mojego Rzymu". W roku 1950 ukazała się następna powieść górnicza „Pokład Joanny", która otrzymała Nagrodę Państwową II stopnia. W pierwszej połowie lat 50. był Morcinek posłem na Sejm i przewodniczącym Wojewódzkiego Komitetu Obrońców Pokoju, w latach 1951-1957 prezesem katowickiego oddziału Związku Literatów Polskich. W roku 1953 wydał powieść „Ondraszek", o tematyce zbójnickiej, gdzie motywy baśniowe przeplatały się z motywami historycznymi. Powrotem do kraju lat dziecinnych były jego śląskie baśnie, podania i legendy, np. „Jak górnik Bulandra diabła oszukał", „Przedziwne śląskie powiarki", jak również powieść „Czarna Julka". Po październiku 1956 roku powstały m. in. powieści „Wskrzeszenie Herminy", „Judasz z Monte Sicuro", „Opowieść o ludziach z pociągu", „Siedem zegarków kopidoła Joachima Rybki", „Górniczy zakon". Gustaw Morcinek zmarł 20 grudnia 1963 roku w szpitalu w Krakowie.

Nie ma potrzeby przypominać w tym miejscu szczegółowej biografii pisarza, na ten temat ukazało się już niejedno opracowanie, chociaż, trzeba przyznać, w temacie Gustaw Morcinek jest jeszcze wiele do zrobienia. Dla nas, mieszkańców zaolziańskiej ziemi, najważniejsze jest wydane przez pisarza świadectwo polskości tej ziemi. Cała twórczość Morcinka, jego główne tematy, mimo że związał swe dorosłe życie ze Skoczowem, z Polską, biorą swe źródło w jego kraju dzieciństwa i wczesnej młodości i dokumentują pochodzenie i mentalność mieszkańców.

C.R.

CO SŁYCHAĆ W BAJCE

Uroczystym przedstawieniem sztuki „Tramtadrata" Hanny Łochockiej, jakie odbyło się 20 czerwca w siedzibie Teatru Lalek Bajka, zakończył ten stworzony przede wszystkim dla najmłodszego widza zaolziańskiego teatr swój 53. sezon. Przedstawienie reżyserował Paweł Niedoba, scenografię przygotowała Halina Szkopek, muzykę opracował Andrzej Macoszek, a wykonawcami byli wszyscy aktorzy Bajki: Pawełka Niedoba, Krystyna Czech, Dorota Grycz, Jan Szymanik, Beata Badošek i Zbyszek Zysek.

Dla zespołu nie rozpoczęły się jednak jeszcze wakacje, trwają już pierwsze przymiarki do następnego sezonu. Przy tej okazji rozmawiam z kierowniczką Bajki Pawełką Niedobą:

Sztuka „Tramtadrata" Hanny Łochockiej grana jest w Bajce nie po raz pierwszy?

Grałam już kiedyś w tej sztuce u Bronka Liberdy. Teatr wraca niekiedy, po kilku latach, kiedy zmienią się dzieci, do sprawdzonych pozycji, takich, o których wiemy, że się podobają.

Czy są przedstawienia, które Bajka gra przez kilka sezonów?

Oczywiście. Na przykład „Ziarnko paproci" Władysława Młynka już trzeci sezon wchodzi do repertuaru i naprawdę bardzo się podoba, bo to i Młynek, i folklor. Powracają też „Pastorałki", już teraz mamy zamówienia na listopad i grudzień. Będziemy grali jeszcze także „Koziołka Matołka".

Kto reżyseruje przedstawienia Bajki?

Z „naszych" reżyserów jest to Karol Suszka, Paweł Niedoba, Janusz Klimsza, Rudolf Moliński. Jest jeszcze Marek Mokrowiecki, z którym też bardzo fajnie się pracuje, który jest właściwie taki tutejszy i nietutejszy. I dlatego ten teatr ma trochę inny wyraz, bo robią go reżyserzy dramatyczni. Co roku jedno przedstawienie reżyseruje Grzegorz Lewandowski, dyrektor teatru Kleks w Częstochowie, współpracujący z Bajką od wielu lat. To jedyny lalkarz z prawdziwego zdarzenia, taki Dormanowski, powiedziałabym, lalkarz, który zawsze zrobi nam spektakl od tej strony z lalkami zupełnie inny.

W zakończonym właśnie sezonie pojawiły się w zespole Bajki nowe twarze?

Jest to Beata Badošek, aktorka Sceny Polskiej, która wróciła z urlopu macierzyńskiego, i Zbyszek Zysek, młody chłopak, który wybiera się na studia, ale w tej chwili jest bez pracy i próbuje u nas, pomaga nam. Bo, powiem szczerze, brakuje nam rąk do pracy. Ale tu dochodzi sprawa finansów. Ja po prostu ich nie zapłacę, bo nie ma z czego. Aktorzy z Polski mają zupełnie inne wymagania. Nasi ludzie robią za pięć i pół tysiąca. Brutto. Największa gaża w Bajce wynosi dziewięć tysięcy dwieście i są w tym cztery funkcje. To samo dotyczy reżyserów.

Bajka ma też na etacie scenografa?

Halina Szkopek robi zazwyczaj dwie scenografie. Na spektakle reżyserowane przez Grzegorza Lewandowskiego dekoracje i lalki robione są w Częstochowie i stamtąd przywożone.

Bardzo ważnym elementem przedstawień Bajki jest muzyka?

Muzykę do ostatnich przedstawień przygotowywał Andrzej Macoszek, który ma ten plus, że jest do dyspozycji na miejscu, a oprócz tego, że napisze muzykę, zrobi także nagranie, aranżację. Sporadycznie pracuje u nas Leszek Wronka. W tym sezonie będzie też robić muzykę Zbyszek Siwek.

Wracając do poprzedniego sezonu, jak można go podsumować?

Były trzy premiery: „Koziołek Matołek", „Pastorałki" i „Tramtadrata". Niemiłą sprawą dla nas było, że tuż przed premierą musieliśmy zrezygnować z „Kubusia Puchatka". (Te same problemy w związku ze zmianą praw autorskich do „Kubusia Puchatka" miały także inne teatry – przyp. C.R.) W ciągu całego roku zagraliśmy 238 spektakli, to jest naprawdę bardzo dużo. W sezonie odegraliśmy 194 przedstawienia. Z tego 16 sobót i niedziel, czyli przedstawień wieczorowych dla dorosłych, w większości wypadków w Kołach PZKO. Graliśmy tam „Pastorałki", ale też „Koziołka Matołka" i „Ziarnko paproci". 1 czerwca tradycyjnie, bo zaproszono nas tam już po raz trzeci, gramy w Cieszynie dla dzieci niepełnosprawnych.

A jak zapowiada się nowy sezon?

Przykrą sprawą jest to, że będziemy zmuszeni podnieść cenę abonamentu. Dotychczas wynosiła ona 60 koron. Przykro mi niezmiernie, ale inaczej się nie da. 54. sezon rozpoczynamy od „Kopciuszka" według Brzechwy w reżyserii Grzegorza Lewandowskiego. Później będzie

„Las Krakonosza" czeskiego autora Oldřicha Augusty w reżyserii Pawła Niedoby. A trzecią premierą będzie adaptacja Władysława Sikory według Józefa Ondrusza z tematyką Zagłębia, ale na razie nie zdradzę więcej. A potem rozpoczniemy sezon 55., jubileuszowy, i byłoby moim wielkim marzeniem zrobienie minifestiwalu piosenek bajkowych. Nagrania piosenek rozesłalibyśmy do szkół, dzieci nauczyłyby się ich. Myślę, że będzie się to bardzo podobało.

Dziękuję za rozmowę.

Zdjęcie Doroty Grycz z przedstawienia „Koziołek Matołek" znalazło się na okładce programu III Letniego Ogrodu Teatralnego, jaki przebiega podczas wakacji w Górnośląskim Centrum Kultury w Katowicach, gdzie m.in. w każde niedzielne popołudnie grany jest spektakl dla dzieci. Wśród teatrów lalek z Bielska-Białej, Łodzi, Bydgoszczy, Opola, Rabki znalazła się również czeskocieszyńska Bajka, która 22 lipca przedstawiła właśnie „Koziołka Matołka".

CZESŁAWA RUDNIK



Fot. WIESŁAW PRZECZEK

JINDŘICH ZOGATA - POETA I PISARZ BESKIDÓW

Jindřich Zogata urodził się w polskiej Jaworzynce 6 sierpnia 1941 roku. Jego rodzice byli rolnikami. W 1945 r. przenieśli się do Czechosłowacji i zamieszkali w Bukowcu. Maturę zdawał w Jedenastoletniej Szkole Średniej w Jabłonkowie. Ukończył Wyższą Szkołę Rolniczą w Brnie i uzyskał tytuł inżyniera rolnictwa. Bezpośrednio po promocji pracował krótki czas w Czechosłowackiej Akademii Rolniczej. Później był referentem kulturalnym, robotnikiem budowlanym, prywatnym rolnikiem. Kiedy władze uniemożliwiły mu zajmowanie się rolnictwem, postanowił przenieść się do Brna. Przez kilka lat był kierownikiem grupy robotników, która zajmowała się ochroną zieleni w mieście. Obecnie jest kustoszem na Szpilberku.

Na skrzydełku zbioru poezji „Mýtiny" (TILIA, 1995) wydawca pisze między innymi: *Zogata, zanim wydał książkę, znalazł się w spisie autorów zakazanych. Normalizatorzy utrzymali go na tej liście do końca lat 70. i wtedy to umożliwił poecie jego przyjaciel, polski pisarz Wilhelm Przeczek druk przekładów w polskich pismach literackich. Publikacji książki w języku polskim przeszkodził wtedy przepis o niewydawaniu autora, jeśli nie debiutował w kraju, w którym żyje...*

W 1985 r. wydawnictwo BLOK w Brnie wypuściło na rynek księgarski tom opowiadań „Srebrne rybki", w którym zamieszczono opowiadanie Zogaty „Dwory". Trzy lata później zadebiutował jako prozaik nowelą „Środkowe Słońce" oraz opowiadaniami w książce „Zieleń publiczna".

Na łamach czasopism publikował swoje utwory J. Zogata już w latach 60. Wiersze ukazywały się w Czechach i okazyjnie także w Polsce (w moich przekładach). Podpisał apel „Dwa tysiące słów" i to spowodowało umieszczenie go na indeksie. Cztery zbiory poezji, które przygotował w okresie tzw. „normalizacji", nie mogły się ukazać. Ostrawskie wydawnictwo SFINGA wydało w 1993 r. zbiór jego poezji „Samoty".

Jan Skácel w 1979 r. napisał: *Jindřich Zogata pochodzi z pogranicza językowego czesko-polskiego i górami jego dzieciństwa są Beskidy. Rodzice przez całe życie uprawiali ziemię, która na tamtym terenie jest kamienista... Zogata nie jest jednak poetą folklorystycznym lub regionalnym. Poznał duże miasta, zna ich przypadłości i rzeki głębinne. Jego metaforyka jest niezmiernie bogata i eksplozyjna. Wystrzeliwuje słowa jak rakiety i pozwala im w czasie lotu płonąć i rozpadać się.*

Popiół tych rakiet opada z powrotem na głowę poety. Jest czuły i gniewny. Do tej pory nie opublikował książki, drukował poszczególne wiersze w pismach literackich. Jest także znany w Polsce. Zbioru swoich rękopisów poeta nie uważa za zamknięty we współczesnym czasie.

Nie ulega wątpliwości, że Jindřich Zogata należy współcześnie do najciekawszych pisarzy czeskich. Biorąc pod uwagę jego późny debiut książkowy, spowodowany komplikacjami pozaartystycznymi, trzeba podziwiać jego bogaty dorobek. Dla przejrzystszej orientacji w jego twórczości podzielimy bibliografię na publikacje poetyckie i prozatorskie. Chociaż, prawdę mówiąc, w twórczości Zogaty ta granica między gatunkami literackimi jest cieniutka.

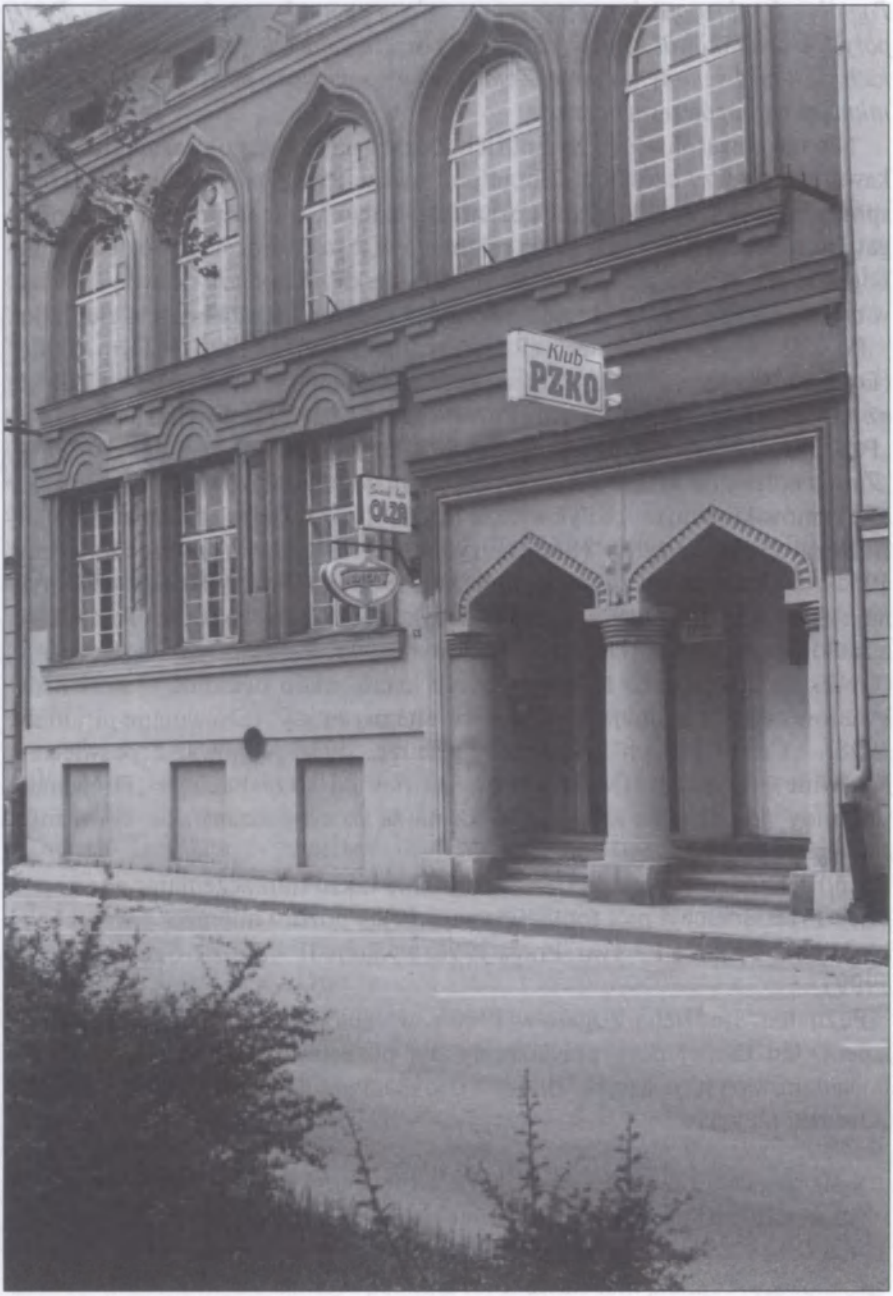
Poezja: „Šípkový růženec" (Różaniec dzikiej róży, 1990), „Dým ohnic" (Dym z łopuchów, 1991), „Samoty vzdálené až na počátek" (Samoty odległe aż na początek, 1993), „Den světlného roku" (Dzień roku świetlnego, 1994,) „Psí víno", (Psie wino, 1994), „Mýtiny" (Polany, 1995), „Rozsochy" (1996), „Zvony odlétly do krajin" (Dzwony odleciały do krajobrazów, 1997) oraz zbiór aforyzmów lirycznych „Když kvetou fazole" (Kiedy zakwita fasola, 1998).

Proza: „Stříbrné rybky"(Srebrne rybki - zbiór opowiadań trzech autorów 1985), „Veřejná zeleň" (Zieleń publiczna, 1988), „Obrázky na skle" (Obrazki na szkle, 1990), „Díry" (Dziury, dedykowane malarzowi A. Tomalíkowi z Jabłonkowa, 1994), „Dědictví..." (Dziedzictwo, 1996), „Oves na střechách" (Owies na strzechach, 1996), „Hlídače květů nikdo neuhlídá" (Strażników kwiatów nikt nie upilnuje, 1997), „Dřevěné pyramidy" (Drewniane piramidy, 1998), „Černý vzduch" (Czarne powietrze, 1999 - powieść poświęcona Karwinie). Trylogia „Dziedzictwo", „Owies na strzechach" i „Drewniane piramidy" jest (jak do tej pory) uważana za szczyt prozatorskiej twórczości J. Zogaty.

Jindřich Zogata zajmuje się sporadycznie także tłumaczeniami poezji polskiej. Przetłumaczył mój tomik wierszy „Příliš pozdní milenec" (Zbyt późny kochanek, wydanie I - Tvar, Praga 1996, wydanie II - Snoza, Czeski Cieszyn 1999).

Poznałem Jindřicha Zogatę w 1960 r. w Jabłonkowie, gdzie wtedy mieszkałem. Od tamtej pory przyjaźnimy się, pisujemy do siebie, tłumaczymy. Posiadam wszystkie książki Jindry z dedykacjami i przełożyłem jego książkę „Obrazki na szkle".

WILHELM PRZECZEK



Budynek byłej synagogi Schomre Schabos przy ulicy J. Bożka w Czeskim Cieszynie, fot. FRANCISZEK BAŁON

ŻYDOWSKIE ZABYTKI NA TERENIE CZESKIEGO CIESZYNA

(fragment)

Historia Żydów w Czeskim Cieszynie przed 1920 r. była fragmentem dziejów ich społeczności w Cieszynie, wtedy jeszcze działającej jako jedna gmina wyznaniowa. Samodzielna żydowska gmina wyznaniowa w Czeskim Cieszynie istniała zaledwie kilkanaście lat, nie zdążyła więc pozostawić po sobie trwalszej pamięci. Także żydowskie obiekty kultowe z terenu Czeskiego Cieszyna z reguły istniały krótko, w przypadku niektórych nie zachowały się nawet ich podobizny. Niewiele więc o nich wiadomo, piszący o tym autorzy z reguły poprzestają na wyliczeniu znajdujących się w mieście synagog, rzadko z dobrymi datami powstania, a czasem je wzajemnie myląc.

Na lewobrzeżnym przedmieściu Cieszyna, z którego po 1920 r. rozwinęło się nowe miasto Czeski Cieszyn, Żydzi mieszkali od dawna, ale ich liczba wzrosła zwłaszcza po uruchomieniu kolei żelaznej Bogumin – Koszyce oraz dworca kolejowego w 1870 r. Kolej ułatwiała imigrację żydowskim rodzinom z Galicji, przeważnie ortodoksyjnym (...)

Od początku naszego stulecia funkcjonował już na stałe na Saskiej Kępie, przy Mervillegasse 4 (ob. Odboje 4) żydowski dom modlitwy, wymieniany m.in. w księgach metrykalnych gminy cieszyńskiej jako miejsce dokonywania obrzędów rytualnych związanych z urodzeniem dzieci. Prowadziło go ortodoksyjne stowarzyszenie modlitewne i dobroczynne Schomre-Schabos (Strażnicy Szabatu). Jego statut zarejestrowany został w 1911 r., a kierował nim przed I wojną światową kupiec Salomon Roßbach. Według statutu celem stowarzyszenia było utrzymanie domu modlitwy i rytualnej łaźni, wspieranie rabina, szocheta i nauczyciela religii oraz codzienne odbywanie modlitw. Stowarzyszenie stało się później właścicielem domu przy ul. Mervillegasse 4.

Był to jedyny większy obiekt żydowskiego kultu po lewej stronie Olzy przed wybuchem I wojny światowej. Jego znaczenie bardzo wzrosło po podziale Cieszyna w 1920 r., bowiem wszystkie pozostałe obiekty i instytucje gminy dostępne dla wszystkich członków pozostały po polskiej stronie miasta. Po 1923 r. był też jedynym domem modlitwy, jakim dysponowała nowo powstała gmina wyznaniowa w Czeskim Cieszynie na zasadzie uzgodnienia z władzami stowarzyszenia Schomre-Schabos.

W 1926 r. jego przełożonym był handlarz skóry i posiadacz domu Israel Kluger. Wkrótce potem stowarzyszenie nabyło parcelę budowlaną przy

Breitegasse 16 (ob. Josefa Bożka 16), niedaleko czeskocieszyńskiego rynku z zamiarem budowy własnej synagogi. W marcu w 1928 r. plany budowlane nowej synagogi opracował jeden z najbardziej renomowanych miejscowych architektów Eduard David. Jeszcze w ciągu tego roku synagoga kosztem 280 tys. koron została ukończona przez firmę budowlaną Josefa Noska i Adolfa Richtera z Czeskiego Cieszyna.

Synagoga Schomre Schabos była trzykondygnacyjnym budynkiem wystawionym w ciągłej zabudowie domów, przykrytym dachem siodłowym. Zewnętrznym wyglądem prawie się nie wyróżniała od sąsiednich domów. Jedynie podkreślone wejście z napisem Szomre Szabos i formalna niezwykłość detali sugerowały, że chodzi o synagogę. Na poziomie podwyższonego parteru i na pierwszym piętrze okna posiadały bogate profilowane obramienia ze zwornikami i gzymsami. Portal wejściowy składał się z podwójnego łuku zakończonego „oślim grzbietem", wspartym na kolumnie i półkolumnach z orientalnymi kapitelami. Ogólny wygląd architektoniczny można określić jako eklektyczny z elementami mauretańskimi, na tym terenie bezsprzecznie atrakcyjny i ciekawy. Wewnątrz budynek posiadał dwa trakty na całej szerokości parceli, komunikacyjny i liturgiczny. Od portalu wejściowego kilka schodów prowadziło do podwójnych drzwi (w lewo dla mężczyzn, w prawo dla kobiet, dalej oddzielonych jednoramienną klatką schodową) do dwóch westybuli na poziomie podwyższonego parteru. Stąd pod kątem prostym mężczyźni wchodzili do pomieszczenia służącego do modlitwy o rozmiarach 13,8 na 9 metrów i wysokości 8,7 metrów, przy czym było ono dłuższe od strony prostopadłej do osi głównej. Ze względu na ukształtowanie parceli ołtarz (Aron Hakodesz) zwrócony był w stronę południowowschodnią, a znajdował się na podwyższeniu o pięciu schodkach i posiadał obramowanie w formie portalu. Przed nim, na środku sali umieszczona została, zgodnie z ortodoksyjnym charakterem synagogi mównica (bima albo almemor). Wewnętrzna powierzchnia ścian podzielona została pilastrami z łukami z motywem „oślego grzbietu", sufit natomiast był płaski. Kobiety wspinały się tylną klatką schodową na galerię umieszczoną na piętrze z trzech stron sali modlitewnej oddzieloną drewnianą balustradą. Drewno stanowiło dominujący materiał wyposażenia wnętrza. Synagoga posiadała 152 miejsca na ławkach dla mężczyzn ustawionych w części centralnej i około setki dla kobiet. W podwyższonej suterenie znajdowało się mieszkanie dozorcy. Tutaj też stowarzyszenie Taharas Jisroel (które było dzierżawcą sutereny) urządziło w 1935 r. rytualną łaźnię.

Synagogą stowarzyszenia Szomre Szabos przed wojną kierował Menachem (Emanuel) Bergmann, który był bardzo pobożnym i ortodoksyjnym Żydem. Umiejscowienie synagogi w ciągu budynków było powodem, że hitlerowcy po

zajęciu Cieszyna nie zdecydowali się jej spalić, chociaż mocno zniszczyli urządzenie wewnętrzne. W czasie wojny służyła jako skład kulis i rekwizytów teatralnych. Po 1945 r. była używana nadal jako dom modlitwy stowarzyszenia Szomre Szabos, które wznowiło działalność oraz odnowionej gminy wyznaniowej w Czeskim Cieszynie. Teraz kierował nią syn Menachema Bergmanna - Natan, który ok. 1948 r. wyjechał do Izraela, zabierając zwoje Tory będące prywatną własnością rodziny. W 1967 r. obiekt (od kilku lat opustoszały) został sprzedany Polskiemu Związkowi Kulturalno-Oświatowemu, który w 1978 r. przeprowadził jego rekonstrukcję, adaptując go do swoich celów. Zlikwidowano wtedy napis Schomre Schabos, zamurowano pierwotne wejście dla kobiet, a w podwórzu powstała przybudówka. Obecnie służy PZKO dla pracy oświatowej, znajduje się tu też redakcja czasopisma Zwrot oraz kawiarnia. Budynek jest obecnie w bardzo dobrym stanie, nie jest jednak chroniony przez służby konserwatorskie.

Na fasadzie dawnej synagogi w dniu 15 IX 1994 r. odsłonięto tablicę pamiątkową poświęconą byłej żydowskiej gminie wyznaniowej w Czeskim Cieszynie.

JAROSLAV KLENOVSKÝ
BRNO
tłum. JANUSZ SPYRA, IRENA ADAMCZYK

Fragment książki „Żydowskie zabytki Cieszyna i Czeskiego Cieszyna" pod redakcją Janusza Spyry, Cieszyn 1999

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

KSIĄŻKA - BIBLIOTEKA - SZKOŁA W KULTURZE ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO

Książnica Cieszyńska wraz z Zarządem Głównym Macierzy Ziemi Cieszyńskiej wydała bardzo cenną i potrzebną publikację pod redakcją Janusza Spyry, na którą złożyły się materiały wygłoszone na konferencji naukowej, która miała miejsce na początku listopada 1999 roku w Cieszynie. Jej tytuł „Książka - biblioteka - szkoła w kulturze Śląska Cieszyńskiego" z góry zapowiada, co czytelnik znajdzie na blisko 400 stronicach tej wspaniałej książki, wnoszącej wiele nowych informacji na powyższy temat.

Uwarunkowania historyczne sprawiły, że dziedzictwo kulturalne Śląska Cieszyńskiego jest bardzo zróżnicowane pod względem narodowym i wyznaniowym. Niełatwo go też opisać i zrozumieć w całym bogactwie i wieloaspektowości, tym bardziej, że systematyczne i pogłębione badania w tej dziedzinie, wymagające wszak zaangażowania i współpracy uczonych z wielu krajów, nie zostały jeszcze na większą skalę zainicjowane - pisze we wstępie Janusz Spyra.

Pierwszy krok w tym kierunku został już podjęty właśnie poprzez wspomnianą tu konferencję i publikację. Wprawdzie na te tematy napisano już sporo prac, ale były one ujmowane na ogół w kontekście sporów politycznych i narodowościowych, co w pewnym stopniu zawężało i zbyt jednostronnie pokazywało bogaty obraz kulturowy tego skrawka ziemi.

Właśnie wspomniana tu publikacja stanowi próbę innego spojrzenia na te zagadnienia i zawiera 17 referatów pracowników naukowych z Cieszyna, Warszawy, Czechowic-Dziedzic, Katowic, Bielska-Białej oraz Opawy.

Pozycję tę można podzielić na trzy bloki tematyczne - pierwszy podsumowuje stan badań nad szkolnictwem cieszyńskim i prezentuje bogate zasoby źródłowe dotyczące tej problematyki, drugi dotyczy szeroko pojętej historii oświaty i w końcu trzeci zawiera referaty odnoszące się do wzajemnych relacji między książką, biblioteką i szkołą.

Mając do dyspozycji tę pracę zbiorową, w której można znaleźć wiele informacji źródłowych, oraz to, co ukazało się u nas, a więc poszczególne, jubileuszowe monografie szkół, „Z dziejów szkolnictwa polskiego na Zaolziu" Józefa Macury oraz zbiorowe opracowanie „Tu byliśmy, tu będziemy", będziemy mogli stosunkowo szeroko zapoznać się z tą właśnie tematyką, chociaż, jak wynika z omawianej tu pozycji, możliwości badań w tym zakresie jest jeszcze sporo.

Już samo wyliczenie referatów pozwoli nie tylko zorientować się w treści publikacji, ale, mam nadzieję, zachęci do jej kupna, przeczytania i głębszego zainteresowania się tą ciekawą i ważną chyba problematyką.

A więc: Krzysztof Nowak „Stan badań nad dziejami szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim", Wacław Gojniczek i Anna Rusnok „Źródła do badań nad dziejami szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim w zbiorach Archiwum Państwowego w Katowicach Oddział w Cieszynie, Książnicy Cieszyńskiej oraz Biblioteki Tschammera", Jarmila Štěrbová „Prameny k dějinám školství v Zemském archivu v Opavě", Krzysztof Szelong „Podróże edukacyjne szlachty cieszyńskiej (do końca XVII w.). Motywy, kierunki, konsekwencje", Wacław Gojniczek „Gimnazjum Ewangelickie w Cieszynie a elity społeczności protestanckiej na Śląsku Cieszyńskim (1709-1781)", Adam Kubacz „Wpływ reform terezjańskich i józefińskich na rozwój szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim", Grzegorz Marek Chromik „Dzieje gimnazjum katolickiego w Cieszynie w świetle pism ks. Leopolda Jana Szersznika", Janusz Spyra „Główne kierunki rozwoju szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim w XIX w. i na początku XX w. w świetle ustawodawstwa i statystyk", Edward Buława „Formowanie się intelektualnego,światopoglądowego i zawodowego oblicza polskiego nauczycielstwa szkół ludowych na Śląsku Cieszyńskim do 80. lat XIX w.", Łucja Dawid „Źródła intelektualnej, światopoglądowej i zawodowej formacji nauczycielstwa polskiego Śląska Cieszyńskiego

w latach 1888-1918. Szkic portretu zbiorowości", Marie Gawrecka „České školství na Těšínsku 1848-1918", Dan Gawrecki „Německé školy na Těšínsku 1848-1918", Janusz Spyra „Szkolnictwo żydowskie na Śląsku Cieszyńskim i jego rola w procesie asymilacji miejscowej społeczności żydowskiej (przed 1918 r.)", Piotr Kenig „Zarys dziejów szkolnictwa w Bielsku i Białej do 1918 r.", Barbara Bieńkowska „Edukacyjna rola Biblioteki Leopolda J. Szersznika", Hanna Zeprzałka „Biblioteki szkolne na Śląsku Cieszyńskim w świetle sprawozdań szkolnych (1850-1939)" oraz Stefan Król „Sprawozdania i programy szkolne jako źródło do badań nad dziejami szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim".

Niewiele tu już można dodać poza stwierdzeniem, że dzięki tej pozycji mamy do dyspozycji cenny materiał o naszym szkolnictwie, tym cenniejszy, że uwzględnia on także oprócz szkolnictwa polskiego, szkolnictwo czeskie, niemieckie a nawet żydowskie.

KAZIMIERZ JAWORSKI

CIESZYN - CZESKI CIESZYN, JEDNO MIASTO

Zagraniczne instytuty kulturalne są bez wątpienia bardzo specyficznymi placówkami. Stanowią one ambasady kultury reprezentowanych przez siebie krajów i fakt ten stawia przed nimi ogromne wyzwanie. O wiele bardziej niż krajowe ośrodki kultury powinny one dbać o to, aby organizowane przez nie imprezy były na jak najwyższym poziomie - przez pryzmat tych imprez postrzegana jest bowiem kultura całego kraju.

Czeskie Centrum w Warszawie, cieszące się od lat wierną publicznością, właśnie podsumowuje kolejny sezon swojej działalności, sezon zdecydowanie bogaty w wydarzenia. Opiszę pewną wystawę, prezentowaną co prawda kilka miesięcy temu, wyróżniającą się jednak tak znacznie spośród innych imprez Centrum, że nieprzyzwoitością byłoby o niej nie napisać. Po raz pierwszy centrum kultury czeskiej odeszło bowiem od promowania tej kultury w czysto czeskim aspekcie. Wystawa **Cieszyn - Czeski Cieszyn, jedno miasto** demonstrowała pogranicze państw, kultur i języków, czyli najżywszą formę współpracy polsko-czeskiej.

Organizatorami wystawy o granicy „nie dzielącej, a łączącej oba miasta", którą w Czeskim Centrum przy Marszałkowskiej otwarto 25 października ub. r., były obydwa cieszyńskie muzea, tj. Muzeum w Cieszynie i Muzeum Těšínska. Ponieważ wernisaż połączono z obchodami czeskiego święta państwowego, oprócz organizatorów i gospodarzy (dyrektora Czeskiego Centrum Zbyška Ondřeki i ambasadora RC w Polsce Jana Misiarza), władz obu miast i powiatów w otwarciu udział wzięli również przedstawiciele placówek dyplomatycznych Austrii, Estonii, Litwy, Łotwy, Norwegii, Rosji, Słowacji, Słowenii, Szwajcarii,

Ukrainy i Węgier. Wśród pozostałych gości wymienić należy przedstawicieli Ministerstw Spraw Zagranicznych RP i RC, Ministerstwa Edukacji Narodowej, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, warszawskich muzeów - Muzeum Niepodległości i Muzeum Narodowego, Uniwersytetu Warszawskiego i Wrocławskiego, Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Politechniki Warszawskiej, British Council, Goethe Institut czy warszawskiego oddziału Macierzy Ziemi Cieszyńskiej.

Uroczysty wieczór otwierający wystawę poprzedziła konferencja prasowa, podczas której władze obu miast, powiatów i muzeów zaprezentowały dziennikarzom PAP i ČTK historię wystawy, aktualne formy współpracy w regionie i plany na przyszłość. Sama wystawa składała się z dwóch części - planszowej i eksponatów muzealnych, przy czym część planszowa z dwujęzycznymi tekstami dotyczącymi historii, widokami i ilustracjami najważniejszych wydarzeń w historii obu miast prezentowana była już wcześniej w Czeskim Cieszynie podczas Święta Trzech Braci. Bariery celne uniemożliwiły jednak przewóz czesko-cieszyńskich eksponatów muzealnych do Polski, dlatego w warszawskim wydaniu wystawy prezentowano eksponaty pochodzące z muzeum cieszyńskiego. Eksponaty te ujęto w kilka grup tematycznych, takich jak: historia miasta (znaleziska archeologiczne, rzemiosło cechowe, widoki miasta), cieszyńskie muzea (warto wspomnieć, że Muzeum w Cieszynie obchodzić będzie w przyszłym roku dwóchsetlecie istnienia), drukarstwo, cieszyniaków portret własny (portrety mieszkańców Cieszyna z licznych zakładów fotograficznych), strój cieszyński (z niezwykle bogatą biżuterią srebrną). Całość uzupełniono licznymi panoramami miasta.

Podczas wernisażu wyświetlono archiwalny film o Cieszynie z roku 1919, a więc Cieszynie jeszcze niepodzielonym, z jedynej zresztą kopii, jaka zachowała się do dziś. Wernisażowi towarzyszył także występ zespołu folklorystycznego Slezan z Czeskiego Cieszyna. Jak na czeski instytut przystało, nie brakowało również wyśmienitych potraw czeskiej kuchni.

Transport czeskich potraw wymagał jednak zastosowania przez Czeskie Centrum forteli dyplomatycznych, bez których potrawy zostałyby w najlepszym wypadku słono oclone. Widać stąd, że nawet w tak prozaicznych kontekstach integracja i znoszenie barier między państwami przyniesie znaczne ułatwienia.

Zanim pod koniec listopada zdjęto wystawę w Czeskim Centrum, zwiedziły ją setki warszawiaków. Spotkałem pewnego dnia starszą panią, która ze łzami w oczach przyglądała się zdjęciom starego Cieszyna. Powiedziała do mnie: Cała moja rodzina pochodziła z jednego Cieszyna, więc przyprowadziłam swoje wnuki, żeby im pokazać, jak to było. Bo dla nich to już tylko dwa miasta w dwóch krajach rozdzielonych rzeką. To tylko jeden z mnóstwa wspaniałych dowodów na sukces, jaki odniosła wystawa. Za ten sukces należą się organizatorom serdeczne podziękowania. A coraz intensywniejsza integracja w Europie z pewnością zacieśni współpracę kulturalną i przyczyni się do tego, że imprezy podobne

do opisanej powyżej wystawy będą coraz częściej promować historię i kulturę pogranicza. I wtedy nikogo - nawet w Warszawie - nie będzie już dziwić, że Cieszyn i Czeski Cieszyn to jedno miasto...

TOMASZ RUSEK

P.S. Niewprawne oko studenta nie wyłapałoby wszystkich powyższych szczegółów. Dlatego serdecznie dziękuję pani Irenie Adamczyk z Muzeum w Cieszynie za pomoc w redakcji tekstu.

MOZAJKA

NA STAREJ SZACHCIE

Na Dole w Karwinej - Żabków tymu powiadali - tam stoła nasza chałupa. Niedaleko kopali szachte, tatulek mieli szkody, szli do grofa, ale grof, że pod nami wynglo nima, aby nie musioł płacić. Tata wlyźli do studnie, a wyniyśli kyns wynglo. W piwnicy było też pełno gazów. Na kóniec grof musioł zapłacić, a gazy ściongli nabok.

A jo jeszcze pamiyntóm, jak tam kole nas było pełno małych szachet. Tam sie wszyndzi ciónglo wyngli na rympole, widziołech to na własne oczy, miołech wtedy dziewiyńć, dziesiyńć roków. To były taki studnie, a fiedrowały na nich baby. Nad nimi była łómano strzecha z desek - malućko, yny aby nie padało. To był rympoł.

Ale potym ta wieża bywała wyższo - to uż przisźła piyrszo maszyna. Było to słabiutki - robiło to ledwa za sztyry baby - ale krawalu to narobiło za dziesiyńć.

Było też jeszcze na innych szachtach inaksze fiedrowani - taki geple - dwa woły chodziły do koła, a jedyn synek poganioł. W rynce mioł bicz, a pośmigowoł - a jak uż go nogi bolały, siednół dopostrzodka, a wiós sie na chwile. Joch sie też roz toczył, to sie mi podobało.

Ale potym, dyżech uż był starszy, poznołech, co to jest hawiyrnia. O jejku kandy, tak sie kiesi fiedrowało, a terazy - taki maszyny...

Wednie robili, w nocy ni - to potym nieskorszy były noczni szychty, jak uż lu-

dzie wynglu rozumieli - jak zaczło wyngli silniejszy odchodzić do werków a za granice - jak uż była bana (kolyj) - potym to szło wednie w nocy.

Na zaczóntku to szło strasznie pómału, dwa kible na jednym rympole, to wiycie, że tego nie było moc. To były takowe drzewianne kible ze zieleźnym uchym. Jak szeł jedyn nawyrch, drugi szeł nadół. Na wyrchu toczyła na każdej strónie rympola jedna baba. Jak prziszeł kibel nawyrch, przewróciły go, wyngli wysuły, a zaś toczyły. Na dole czakoł jedyn hawiyrz, a nakłodoł. To był słaby fiedrónk - jo niewiym - ale za cały dziyń isto ani do sto kiblów nie było. A do jednego wlazło piyńć ziymnioczannych koszy - toby tak mioł jedyn kibel cosi przez metrak wynglo.

A jak były ty szachty głymboki? Jak to móm powiedzieć... Oto roz dzieucha prziniósła tatulkowi jodło, było prawie połednie. Baby wziyny, dały to do kibla, nagnyły sie do szachty, a wołały na tego, co nakłodoł na dole: „Bystróniu, dowejcie teraz pozór, mocie tu obiod!" A za chwile był kibel z obiadym na dole.

FRANCEK

KIESI A DZISIO

Pół dziesiynta roku ech miała, panoczku, a jużech słóżyła. Chudobny człowiek był jyny na robote. Robił, aby se drudzy mieli dobrze. A biydok, niech tam żyje abo zginie.

Tatulek robili, mamulka robili, a dziecka, ledwa sie kiery na nogi postawił, uż też pómogoł, bo fórt chybiało, fórt nie było co jeść. A to sie nie kupowało kawe, miynso, tej abo masło, katać też tam! Na śniodani był chlyb z wodóm abo troche zasmażónki, na obiod zimnioki z kapustóm abo bigus, nieskorszy było w niedziele troszke kawy, a pół fónta miynsa na polywke do całej rodziny.

A bótów żodyn nimioł, yny panowie z miasta, a siedlocy do kościoła. Chudoba chodziła boskym. W zimie sie chandry omotały aż nad kostki, takowym upleciónym porwozym ze słómy. A wiela terazy majóm ludzie bótów a kabotów, a szatek, a pónczóch czy żywnie czego? A czy jo miała kiedy na zime jaki ciepłe prodło?

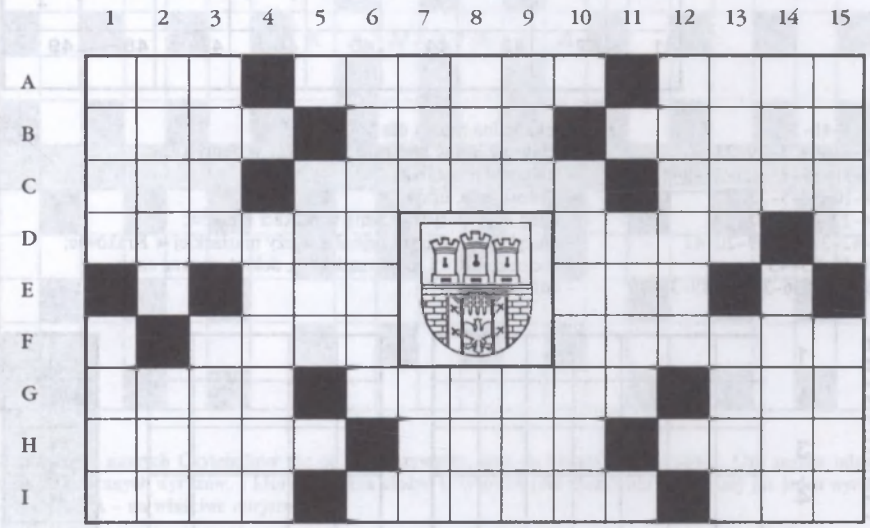
Jagech była malućko, nosiłach tatulkowi a matce na szachte obiod. Robiło sie od ćmoka do ćmoka. W zimie czynsto szachte zawrzyli, nie robiło sie, aż zaś na wiosne. A tóż zaś hónym do siedloka młócić i co uż tam. Za kwartyr sie robiło, za mlyko sie robiło, za obilo troszke - wszycko musioł chudobny człowiek odrobić grofowi i siedlokowi. Darmo spóminać.

Siedlok nie doł dziywce do chlywa ani prycze. Lygowałach pod żłobym, a krowy na mie dychały, aby mi było w zimie ciepło. Przikrycio okróm słómy nie było żodnego, szkoda mówić.

MANIA

WAKACYJNE ROZRYWKI UMYSŁOWE

Polskie obiekty na liście światowego dziedzictwa kulturowego oraz naturalnego UNESCO stanowią rozwiązania dodatkowe wszystkich czterech rozrywek umysłowych.



POZIOMO: A. Imię Pavla; roślina występująca na wydmach nadmorskich; poeta francuski (René). **B.** Największy dopływ Wołgi; iracka moneta zdawkowa; potocznie jarzeniówki. **C.** Mąż Fatimy; pisarz francuski (Honoré de), debit, należność. **D.** Zabezpieczenie zapłaty na majątku dłużnika; 0,9144 metra. **E.** Ziemia uprawna; rozbija się o izbice. **F.** Węgierska rasa psa pasterskiego; ósmy stopień skali muzycznej. **G.** Szmer, szelest; powód, przyczyna; imię Taylor. **H.** Kraina górska w Azji Środkowej; przyprawa korzenna; dzielnica handlowo-finansowa wielkich miast. **I.** Napój alkoholowy; udzielany jest za wykroczenia; szachista, mistrz świata z roku 1960.

PIONOWO: 1. Eksponat; wirusowa choroba zakaźna. **2.** Duża moneta srebrna bita od XV do XIX wieku; dawna perska miara długości (1,04 metra). **3.** Pisarz angielski, autor powieści „Jim szczęściarz"; kuguar. **4.** Służy do tłumienia dźwięku i zmiany jego barwy. **5.** Kananejski bóg czczony pod postacią byka. **6.** Adwokat, jurysta. **7.** „Olej" po angielsku; płynie jak Wisła szeroka. **8.** Cios, uderzenie; poeta, przyjaciel Mickiewicza. **9.** Czwarty król izraelski; miasto na południe od Budapesztu. **10.** Domieszka do kawy. **11.** Okręt Noego. **12.** Drzewo lub krzew przypominający cytrynę. **13.** Wyraz czci, uwielbienia; skała osadowa. **14.** Bóg nieba, ojciec i król bogów w mitologii babilońskiej; orszak. **15.** Stolica Łotwy; miejsce bezpiecznego pobytu.

Wyrazy trudne: ANU, ERD, ZAR.

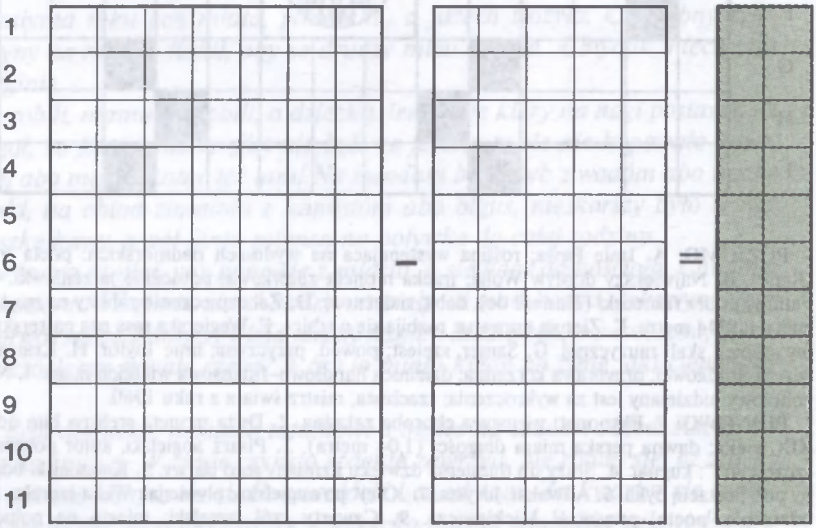
Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: A-12, G-9, E-6, H-14, E-11, C-14, H-3, A-13, H-10, G-1, F-12, G-7, B-6, B-15, C-10, D-1, I-8, B-12, I-4, D-12, C-1, H-7, A-7, F-14, B-2.

SZYFROGRAM

1	2	3	4	5	■	6	7	8
9	10	11	■	12	13	14	15	16
■	17	18	19	20	21	22	23	24
25	26	27	28	29	30	31	32	■
33	34	35	36	37	38	39	40	-
41	42	43	44	45	46	47	48	49

6-14-41-2-24	- regionalna nazwa dla bobu;
38-4-40-21-29-23	- używany jest w budownictwie oraz w dentystyce;
47-11-35-7 28-33-3-17	- stała siedziba ONZ;
18-10-32-5-27	- chwost, kita, omyk;
34-22-46-9-31	- opad atmosferyczny zimą w postaci płatków;
1-42-37-13-49-20-45	- muzyk wygrywający hejnał z wieży mariackiej w Krakowie;
16-48-25-43	- w carskiej Rosji rozporządzenie, dekret, rozkaz cara;
15-8-12-26-36-44-19-39-30	- chryzantemy.

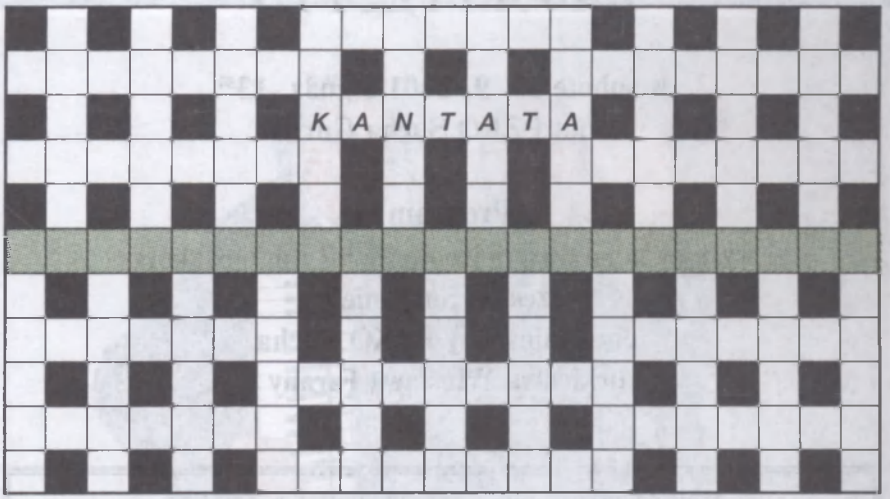
ELIMINATKA



1. Jednostka mocy (skrót kW) - jedno z państw nadbałtyckich.
2. Chroni oko przed urazami, silnym światłem itp. - pokrywa.
3. Zakład usługowy, w którym się czyści i pierze odzież, bieliznę - tytuł opery Stanisława Moniuszki.
4. Amerykański piosenkarz i aktor filmowy (Frank) - występuje pod wpływem hipnozy.
5. Konwój, straż ochronna lub asysta honorowa - największa wyspa grecka na Morzu Śródziemnym.
6. Łacińska nazwa Polski - część ogumienia pojazdu.

7. Grupa społeczna - szlak komunikacyjny, droga.
8. Zespół uli z pszczołami - kieszeń w gwarze cieszyńskiej.
9. Tworzywo warstwowe - kochanek.
10. Popularny polski aktor teatralny i filmowy (Franciszek)- drużyna.
11. W filatelistyce znaczek pocztowy z uszkodzeniem - sznur z pętlą do chwytania zwierząt.

Rozwiązanie dodatkowe zadania odczytać należy kolejno w rzędach poziomych!



Zapraszamy naszych Czytelników nie do rozwiązywania, lecz do układania krzyżówki. Oto zestaw odpowiednio dobranych wyrazów, z których można ułożyć krzyżówkę (dla ułatwienia wpisaliśmy już jeden wyraz - KANTATA - na właściwe miejsce).

Wyrazy 6-literowe: ANONIM, APLAUZ, AWARIA, ELATER, ERRATA, ILORAZ, KRAKÓW, KRONOS, KWESTA, MADRYT, MAKATA, MANDAT, OSOCZE, RABATA, SREBRO, SZPICA, WIANKI, WIKTOR, WISZOR, WRATNY, ZŁOTKO.
Wyrazy 7-literowe: BIOMASA, CHUSTKA, MIMIKRA, PALERMO, TYKANIE.
Wyrazy 8-literowe: BRYTANIA, PANIENKA, RENESANS, WAROWNIA.
Wyrazy 9-literowe: ROBOCIZNA, ZOOMETRIA.
Minisłowniczek trudniejszych wyrazów: ELATER - sprężyca (termin botaniczny)
WISZOR - szczotka do czyszczenia lufy armatniej lub karabinowej po wystrzale, wycior. (taj)

Wśród Czytelników, którzy prześlą pod adresem redakcji rozwiązania przynajmniej dwóch zadań, przyznane zostaną drogą losowania ciekawe nagrody książkowe. Ci, którzy rozwiążą wszystkie zadania, mają szansę wylosowania nagrody w postaci kasety wideo o Polsce. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca sierpnia.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru czerwcowego: STYL TO SAM CZŁOWIEK
Nagrody książkowe wylosowali: **Anna Szücs** - Wędrynia
Marta Krainowa - Mistrzowice
Maria Cymorek - Czeski Cieszyn

MINIKONKURS

II Zjazd Polaków z Zagranicy przed wojną odbył się w roku 1934. W okresie powojennym Zjazdy Polonii i Polaków z Zagranicy odbyły się: I - 19-23 sierpnia 1992, II - 28 kwietnia do 3 maja 2001.

Nagrodę otrzymuje Stanisława Kokotkowa - Stonawa

Sekcja Kobiet przy ZG PZKO
MK PZKO i Klub Kobiet w Suchej Górnej
zapraszają na

BABSKI FESTYN

w sobotę 15. 9. 2001 o godz. 13^{30}
Dom PZKO Sucha Górna

Program:
występy uczniów miejscowej PSP i przedszkola
zespół Suszanie
chór mieszany PZKO Sucha
orkiestra Wiesława Farany

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny Ministerstwa Kultury RC: F 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN,
Tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI, Daniel KADŁUBIEC, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168 Kč, z wysyłką pocztową 240 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701028/00 z dnia 27 VI 2000 r. z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE ZESPOŁY



KAPELA 1 + 1

Chyba nie ma takiej piosenki polskiej czy naszej śląskiej, której by nie zagrali. Grają wszystkie, od razu, bez nut, bezbłędnie. Zapalony miłośnik muzyki, folklorysta, propagator sztuki ludowej – prof. dr hab. Daniel Kadłubiec (gra na skrzypcach). Niemniej znany propagator śpiewu chóralnego i dyrygent – dr Józef Wierzgoń (gra na akordeonie). Grają dla przyjemności własnej i radości słuchaczy już od dwudziestu lat. Są nieodłącznym elementem Balów Śląskich i wielu innych imprez, dużych i małych na terenie całego Zaolzia.

Odes.: Redakce ZWROT
J. Bożka 16
737 01 Český Těšín

OT

P.P.
701 028/00
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE ZAOLZIE

ROPICA

Przyklejona jakby do Czeskiego Cieszyna, a właściwie do jego niegdyś samodzielnej Sibicy. Ropica nad piękną rwącą Ropiczanką otwiera od tej strony powiat frydecko-mistecki. Od niedawna ponownie samodzielna, przez długie lata była częścią Trzyńca. Mało jest wiosek mogących się, tak jak Ropica, chlubić dwoma dworcami kolejowymi. Z dawnych lat pozostał tu, między innymi, przepiękny ongiś zamek. Teraz jest niestety ruiną spędzającą sen z powiek przedstawicielstwu gminnemu i mieszkańcom. Jest w Ropicy polska szkoła. Jest też Miejscowe Koło PZKO.





Zwrot

9
2001

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

TACY BYLIŚMY



POLSKA SZKOŁA LUDOWA W PIOSKU

Zdjęcie wykonano w maju 1928 roku. Przedstawia dzieci z klasy pierwszej Polskiej Szkoły Ludowej w Piosku wraz z kierownikiem szkoły Pawłem Lipką, który później był dyrektorem Szkoły Ludowej w Jabłonkowie.

Wnuczka Pawła Lipki Krystyna Mruzek, nauczycielka Szkoły Muzycznej w Jabłonkowie, zainicjowała powstanie dziecięcego zespołu folklorystycznego Lipka. W ten sposób chciała uczcić pamięć swojego dziadka, nauczyciela i działacza społecznego, oraz dojrzałość narodową ówczesnych mieszkańców tych miejscowości. W skład zespołu przede wszystkim wchodzą dzieci ze szkoły w Bukowcu, do której uczęszczają również dzieci z Piosku. Są w zespole także dzieci z jabłonkowskiej szkoły.

ADAM SIKORA

POCHWAŁA JABŁONKOWA

Piękną pieśń zaśpiewajmy,
Jabłonkowu chwałę dajmy.
A więc bracia posłuchajcie –
Moje słowa rozważajcie.

Ej, zawitaj Jabłonkowie,
Kto cię widział, niechaj powie –
Piękne miasto jest to przecie,
Mówią ludzie w całym świecie.

Gdy cię widzą moje oczy,
Serce mi raźniej podskoczy –
Rad o tobie powieść słyszę,
Nią choć w smutku się pocieszę.

U ciebie wszystkich żywności
Do kupienia w obfitości,
Tylko drogo płacić trzeba
A o pieniądz zawsze bieda.

U ciebie początek wody,
Koniec chleba i swobody,
Byłoć niegdyś siła tkaczy,
Z nimi równo i przędzaczy.

U ciebie lud to Jackowie,
Rozumieją każdej mowie,
Handlują z Węgrami, z Turkiem,
Szli na szańce z Brandenburgiem.

Po różnych krajach handlują,
Gdzie pomyślisz, tam wandrują,
Z wszystkiego pożytek mają,
Z fortelu się nie wydają.

W Orawie we dnie i zrana
Uwidzi Jabłonkowiana,
Bo tam mają częste sprawy,
Które nie są dla zabawy.

Jak się wszyscy pozbierają
Do domu, a w nim zostaną,
Wtenczas istny znak już będzie,
Że sąd wieczny prędko przyjdzie.

Nie chcę więcej w mojej mowie
Powiedzieć o Jabłonkowie,
Przeto skończę jego chwały,
Bom już stracił koncept cały.

Zwrot 9 2001

Rok LII, Nr 622
Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 20,00 Kč

Biblioteka Śląska

W NUMERZE

3	Pasje Leszka Kaliny	CZESŁAWA RUDNIK
13	Sytuacja polskich emerytów i rencistów zamieszkałych za granicą (2)	URSZULA MILCZEWSKA
20	Władysław Michejda	
22	Wspomnienie o Wicie – Władysławie Michejdzie (1)	JÓZEF GÓRNIAK
29	Wspomnienie o księdzu Karolu Kołtuniu	BRONISŁAW MOLENDA
33	Migawki ze Zlotu Młodzieży w Wędryni	
34	Kronika: Wakacje z Polonusami, Obóz szkolny w Ligotce Kameralnej, 54. Gorolski Święto w Jabłonkowie, Poezja ludowa w Kawiarence pod Pegazem	
48	Poezja Wiesława Janusza Mikulskiego	
50	Jerzy Marciniak: Najlepszy sprzedawca	
55	Poeta Jan Pyszko	DRAHOMÍR ŠAJTAR
59	Przez sito intymności	MAREK SŁOWIACZEK
64	Młode pióro: Krzysztof Kołek	
66	Nie bójmy się dwujęzycznego wychowania	C. R.
68	Wystawa w Wiśle	JERZY POLAK
70	Fotograficy Zaolzia: Tadeusz Gabryś	
72	Kurier Praski o Zaolziu	
75	Na półkach księgarskich	
76	Mozaika	ANNA BOSZCZYKOWA
78	Humor zeszytów szkolnych	

Numer zamknięto 10. 8. 2001

Na okładce: Z ubiegłorocznych uroczystości na Żwirkowisku

PASJE LESZKA KALINY

ROZMOWA Z MUZYKIEM, DYRYGENTEM, PEDAGOGIEM I SPOŁECZNIKIEM

Leszek Kalina urodził się w roku 1963 w Trzyńcu. Po ukończeniu Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie został studentem wychowania muzycznego i filologii czeskiej na Wydziale Pedagogicznym w Ostrawie. W roku 1991 obronił pracę doktorską „Komparatystyka polskiego i czeskiego systemu szkolnictwa muzycznego". Rozpoczął pracę w Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie jako nauczyciel wychowania muzycznego i języka czeskiego, w chwili obecnej uczy wychowania muzycznego. Jest też metodykiem wychowania muzycznego w Centrum Pedagogicznym dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego w Czeskim Cieszynie.

Podczas studiów (1986) założył na Zaolziu Młodzieżowy Chór Mieszany Collegium Canticorum. W Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie stworzył chór szkolny, który w 1991 roku przyjął nazwę Chór Studencki Collegium Iuvenum. Zorganizował dwie kapele góralskie: Zorómbek (1989) oraz Sómsiek (1995). Był również założycielem i kierownikiem artystycznym zespołu kameralnego Amici Cantionis Antiquae (1992-1998). Oprócz tego działał w latach 1980-1995 jako członek lub kierownik około 15 innych zespołów muzycznych lub scenicznych.

Od roku 1991 pełni funkcję dyrektora artystycznego Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego, w latach 1989-1993 był przewodniczącym Pionu Kompozytorskiego Sekcji Literacko-Artystycznej PZKO. Po rozejściu z chórem Collegium Canticorum (1999) powołał do życia Polskie Towarzystwo Artystyczne Ars Musica i został jego kierownikiem artystycznym. Od roku 1991 jest członkiem zwyczajnym Stowarzyszenia Dyrygentów Chóralnych Asocjacji Artystów i Teoretyków Muzyki Republiki Czeskiej. Prowadzi również seminaria fachowe, wykłady oraz zajęcia warsztatowe w dziedzinie chóralistyki i etnomuzykologii na różnych festiwalach i konkursach.

Posiada kilka odznaczeń, m.in. nadane przez ministra kultury RP odznaczenie Zasłużony dla Kultury Polskiej (1996), Złotą Odznakę Honorową PZChiO (2000) oraz nagrodę Srebrnych Spinek Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie (2001).



Zacznijmy naszą rozmowę od Pana pracy zawodowej.

W Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie uczę od kilku lat już tylko wychowania muzycznego, język czeski na razie zostawiłem jako tylną furtkę. To nie jest pełny etat, ale o ile to wychowanie muzyczne ma się robić na pewnym poziomie, a nie jako jakiś tam przedmiot dodatkowy, to trzeba się temu w pełni poświęcić. W naszej szkole wykorzystywane są prawie wszystkie możliwości, jakie stwarzają programy nauczania w gimnazjach w Republice Czeskiej, łącznie z seminariami w trzeciej i czwartej klasie, łącznie z wszystkimi możliwymi formami nadobowiązkowego wychowania muzycznego i łącznie z zupełnie normalną maturą z wychowania muzycznego.

Na część etatu pracuję w Centrum Pedagogicznym dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego, które skierowane jest m.in. na dokształcanie nauczycieli, chodzi o organizowanie różnych kursów, seminariów, o pomoc metodyczną dla nauczycieli, i które dysponuje bogatą biblioteką muzyczną. Centrum współorganizuje akcje muzyczne dla młodzieży szkolnej: przede wszystkim regionalne koło Śląskiego Śpiewania i Festiwal Piosenki Dziecięcej. Właśnie Centrum Pedagogiczne ze Zrzeszeniem Śpiewaczo-Muzycznym w całości zorganizowało eliminacje. Później oficjalnie była to akcja ZG PZKO i Macierzy Szkolnej w Błędowicach.

Tak wygląda moja praca zawodowa pedagogiczna i metodyczna. Ale oprócz tego jest działalność w Polskim Towarzystwie Muzycznym Ars Musica, ponieważ tutaj jestem też na częściowym etacie. Chodzi o połączenie pracy artystycznej i organizacyjnej, ponieważ oprócz funkcji kierownika artystycznego Ars Musica pełnię również funkcję profesjonalnego czy półprofesjonalnego sekretarza, można by powiedzieć chłopca do wszystkiego. W każdym razie to jest praca, która mnie ciekawi i którą lubię.

Mogę jeszcze dodać, że w tej chwili przegrywam komputerowo do postaci cyfrowej różnego rodzaju starsze nagrania. Właśnie robię muzykę góralską. I to jest praca dla wszystkich trzech podmiotów, które mnie zatrudniają.

Praca zawodowa jest ściśle związana z Pana działalnością społeczną?

W moim wypadku jedno z drugim jest bardzo połączone, jest to spowodowane również tym, że moja praca to także moje hobby. Chociaż niekiedy jest już tej pracy tyle, iż zaczyna być w pewnym sensie męczącą. Czyli praca równa się hobby, tak, ale do pewnej granicy.

Dla szerokiego grona słuchaczy zaolziańskich jest Pan znany przede wszystkim jako dyrygent chórów. Skąd wzięły się Pańskie zainteresowania muzyką chóralną?

Z muzyką chóralną po raz pierwszy zetknąłem się w gimnazjum, działał tu chórek kameralny pod przewodnictwem profesora Edwarda Kaima, w którym zacząłem się udzielać, i stwierdziłem, że być może gdzieś kiedyś coś w tym kierunku będę robił, oprócz tego, że interesowały mnie również wszystkie inne rodzaje muzyki. Zaraz po maturze zdawałem na muzykologię do Brna, gdzie nie zostałem przyjęty, bo po pierwsze to były twarde czasy komunistyczne, po drugie ja byłem Polakiem, a to był rok 1982, chociaż tam w Brnie, trzeba powiedzieć, na samym Wydziale Muzykologii wszyscy byli wtedy bardzo przyjaźnie nastawieni do Polski, ale oficjalne władze uczelni były poniekąd innego zdania i chociaż udało mi się zdać nieźle, bo z trzydziestu kandydatów, z których tylko ja byłem po gimnazjum, a reszta po konserwatorium, byłem czwarty, a brano pięć, nie dostałem się. Przez rok uczyłem w szkole muzycznej w Jabłonkowie, a zarazem pracowałem w ZG PZKO jako instruktor ds. teatru.

Po roku zdawałem do Ostrawy na Wydział Pedagogiczny wychowanie muzyczne-język czeski. Zaraz na początku trafiłem do znakomitego chóru akademickiego tej uczelni, prowadzonego przez wtedy docenta, dziś już profesora Lumíra Pivovarskiego, no i tam odśpiewałem swoich pięć lat, miałem okazję być solistą, korepetytorem, prowadziłem próby dzielone i to były takie pierwsze doświadczenia. Tam stwierdziłem, że to chyba będzie to główne, czym będę się w życiu zajmował, oprócz pracy pedagogicznej. Miałem też okazję pięciokrotnie uczestniczyć w seminariach dyrygenckich prowadzonych przez profesora Józefa Boka z Akademii Muzycznej w Warszawie, ściśle ukierunkowanych na interpretację, odtwarzanie muzyki jak najbardziej wierne swemu oryginałowi historycznemu. Te seminaria dały mi niezmiernie dużo.

Na trzecim roku nie wystarczyło mi już, by tylko pomagać dyrygentowi, powstał pomysł powołania do życia na Zaolziu młodzieżowego chóru mieszanego, który mógłby ewentualnie kiedyś w przyszłości równać się temu, w którym miałem okazję śpiewać. To był początkowo taki mój ideał.

I powstało Collegium Canticorum?

Do działalności zaolziańskiej wkroczyłem w momencie, kiedy chóry zaczęły się definitywnie starzeć, kiedy

już prawie nikogo z młodych do chóru nie można było przyciągnąć i trochę zawisły czarne chmury. Z początku wszyscy wokół mnie byli co nieco sceptyczni. Były nawet próby torpedowania tej sprawy, bo oto przychodzi ktoś, kogo nikt nie zna, i chce resztkę młodych ludzi odciągnąć z chórów. To oczywiście było absurdalne, ponieważ dziewięćdziesiąt procent tych młodych ludzi, którzy zaczęli ze mną współpracować, a w większości byli to moi rówieśnicy, w żadnym innym chórze by nie śpiewało.

Kiedy już Collegium Canticorum zaistniało i w 1988 roku w Międzyzdrojach wypadło bardzo dobrze, skończyły się sprawy zakulisowe. W roku 1990 zdobyło pierwsze miejsce na Festiwalu Twórczości Chóralnej - nieoficjalnym mistrzostwie kraju w Jihlawie. Ale po pewnym czasie chórzyści zaczęli być mądrzejsi od dyrygenta i doprowadziło to do tego, że pod koniec 1998 roku zrezygnowałem z pracy w Collegium Canticorum. No i powstała Ars Musica.

Ars Musica skupia kilka zespołów, przede wszystkim te prowadzone przez Pana?

Ars Musica jest organizacją społeczną na Zaolziu, organizacją małą w ramach Zaolzia, ale w pewnym sensie elitarną, ponieważ członkowie zwyczajni, którzy tę organizację tworzą, należą do czołówki społecznej, a zespoły, które działają w jej ramach, należą na pewno do czołówki artystycznej. W tej chwili mogę powiedzieć, że Ars Musica to jest to, czego oczekiwałem, i mimo nawału pracy jestem z tej organizacji zadowolony.

W ramach Ars Musica działa w tej chwili siedem zespołów i nie wszystkie są zespołami moimi. Chodzi tu o jabłonkowską kapelę Nowina, gimnazjalny Zespół Studencki Sz.K.A.P.A. i Chór Kameralny Musicae Amantes z Nydku, ale w wypadku tego ostatniego czuję się w roli dziadka, to jest mój pierwszy wnuk, z którego jestem niezmiernie dumny.

A jakie są Pana zespoły?

Sam prowadzę cztery zespoły. Są to dwie kapele góralskie i dwa chóry. Kapela Gorolsko Zorómbek jest moim najstarszym zespołem, nie licząc Collegium Canticorum, ma już dwanaście lat. Powstała w gimnazjum, kiedy z chórem jeszcze się nie udawało, bo młodzież nie była do chóru przekonana. Do muzyki góralskiej miała większe predyspozycje, zwłaszcza że było tutaj kilku niezłych muzyków, którzy już mieli praktykę za sobą, np. Grzegorz Stopa, dziś już pomimo młodego wieku nestor basetlistów zaolziańskich, czy Marek Grycz, nauczyciel czeskocieszyńskiej podstawówki, i którzy tworzyli pierwszy skład Zorómbka.

Kapela Gorolsko Sómsiek powstała z absolwentów Zorómbka, przyznaję, że w tej chwili nastąpiła stagnacja działalności kapeli, bo taki mam nawał pracy. Kapela występuje mało, co nie oznacza, że nie istnieje,

i gdyby zaszła taka konieczność, to ta kapela może wystąpić za dwa tygodnie zupełnie normalnie. Ci ludzie grają jeszcze w innych kapelach i są rozegrani. To jest autentyczna muzyka ludowa, przede wszystkim folklor Beskidu cieszyńskiego, ale mamy w repertuarze np. suitę żywiecką, podhalańską, przygotowujemy terchowską. Chodzi o regiony góralskie bardzo podobne, z bardzo pokrewnym stylem wykonania tej muzyki.

Udało się jednak Panu przekonać młodzież gimnazjalną do śpiewu chóralnego?

W roku 1990 powstał Chór Studencki Collegium Iuvenum, ale trzeba przyznać, że te początki były niezwykle trudne. W 1992 roku udało nam się wyjechać na kilka dni do Poznania, gdzie daliśmy dwa koncerty i zwłaszcza pierwszy z nich był niezbyt udany. Gdyby mi wtedy ktoś powiedział, że za rok chór będzie startować po raz pierwszy w Ogólnopolskim Konkursie Chórów Szkolnych, że przejdzie do finału i zdobędzie Srebrny Kamerton i że za dwa lata ten chór już wygra finał w Bydgoszczy, to bym chyba wtedy mu zafundował kaftan bezpieczeństwa. Ale tak się jakoś złożyło, że od roku 1992 Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne, czyli luźny związek naszych zaolziańskich chórów, został zarejestrowany jako pierwszy zagraniczny oddział Polskiego Związku Chórów i Orkiestr i zarazem w tym samym czasie udało nam się wywalczyć w Pradze, że nasze chóry zostały samodzielnym oddziałem przy Unii Czeskich Zespołów Śpiewaczych (Unie českých pěveckých sborů), i to otworzyło pewne możliwości, pewne horyzonty. Już pod koniec 1992 roku przyszły pierwsze propozycje, by któryś z zaolziańskich chórów szkolnych wziął udział w katowickich eliminacjach, i ja powiedziałem sobie wtedy dość, albo ten chór zamęczę, albo oni podskoczą w ciągu trzech miesięcy o klasę wyżej. I dałem taki repertuar, którego nigdy przedtem nie próbowałem w Iuvenum, bo nie wierzyłem, że chór będzie to w stanie zaśpiewać. A chór to zrobił, miał przed sobą perspektywę, przyjechał do Katowic, przeszedł do finału, w finale miał srebro. I tu dopiero faktycznie można mówić o początku Collegium Iuvenum. Ale żeby ten chór naprawdę zaczął funkcjonować, żeby ci ludzie zrozumieli, żeby powstała pewna tradycja, żeby potem dzieciaki garnęły się do chóru, to trwało trzy i pół roku straszliwej mordęgi bez specjalnej perspektywy i bez specjalnej wiary. I nie można sobie pozwolić na to, żeby ten chór wyluzował na rok czy półtora, wtedy trzeba by zaczynać od zera. Trzeba ich ciągle trzymać w ryzach, mieć ogromne wymagania.

Nasuwa się pytanie, czy śpiewanie w chórze to przymus szkolny, czy jakieś wyróżnienie dla ucznia, wartość sama w sobie?

W tej chwili działają w gimnazjum trzy zespoły artystyczne. I jest cała

masa uczniów, którzy są w dwóch z nich, ale nikt nie jest do tego w żaden sposób zmuszany. Może się zdarzyć sytuacja, że naprawdę kogoś bardzo dobrego w pierwszej klasie w pewnym sensie trochę „usilniej przekonuję", ale to jest na pół roku, może na rok, kto nie połknie bakcyla, po roku odchodzi bez jakichś awersji wzajemnych i konsekwencji. Potem naprawdę w chórze są tylko ci, którzy chcą.

Ale przecież to są ludzie, którzy przychodzą do gimnazjum bez jakiegoś specjalnego przygotowania np. w szkole muzycznej?

Po prostu ta młodzież zrozumiała, wyjeżdżając gdzieś na festiwale, na konkursy, że oni tam są elitą, oni należą zawsze do tych najlepszych. I to w pewnym sensie jest pierwsza motywacja. Druga - to kolektyw, zgrana paczka i atrakcje związane z wyjazdami. Trzecią sprawą jest repertuar. Ja nawet jestem troszkę zafascynowany tą moją młodzieżą. W innych chórach, zwłaszcza w tych, które mają niższy poziom, chcą robić przede wszystkim negrospiritual, Beatles opracowane na chóry itp., a tymczasem tutaj młodzież to niespecjalnie wciąga, oni zrozumieli, że stać ich na coś więcej. Od czasu do czasu zrobimy jakiś spiritual, jakiś pop music dla urozmaicenia, ale oni chcą robić trudną muzykę współczesną, polifonię renesansową, barokową. Oni chcą robić prawdziwą muzykę, na poziomie, nie chcą iść na łatwiznę. To mnie w nich fascynuje.

Jest Pan w pewnym sensie dyktatorem?

Jestem. Jestem, być muszę, bez tego nie byłoby takich wyników. Niekiedy nawał pracy, powiedzmy styczeń, luty, kiedy zbliżają się eliminacje, jest straszliwy. W tym roku np. wzięliśmy na warsztat bardzo trudne utwory. I już myślałem, że nie zdążymy tego zrobić. Ale cały styczeń robiliśmy dzielone próby na cztery. Mam dwoje pomocników - studentów Uniwersytetu Śląskiego, są to Monika Niedoba i Tomek Zalewski, ale to jeszcze było mało, bo jeszcze potrzebowałem kogoś do altów i przychodzili tutaj jeszcze prof. Alojzy Suchanek, mgr Grażyna Sucha i pracowali z altami. To była prawdziwa harówa, ale opłaciło się. Możliwości tej młodzieży, jak się ich trochę przekona, trochę zmusi, trochę im się jakiś cel pokaże, są naprawdę ogromne. Kiedyś Collegium Iuvenum traktowałem tylko jako narybek dla chóru dorosłego, ale po pewnym czasie ten chór zaczął mi sprawiać normalną satysfakcję artystyczną, tak jak chór dorosły wysokiej klasy.

Należy też wspomnieć, że od dwu lat, chociaż nie całkiem systematycznie, działa chórek w gimnazjum w Karwinie, który miał w czerwcu pierwszy samodzielny występ i całkiem nieźle wypadł. Tam nie ma tej tradycji śpiewania i jest mało uczniów, toteż wybór, zwłaszcza w głosach męskich, jest straszliwie mały. W tym roku praktycznie nie było tenora i dwaj pierwszacy z Iuvenum do-

jeżdżali do Karwiny. Dodatkowo chórek wspomagali swoimi głosami dwaj koledzy z grona profesorskiego oraz kolega z Musicae Amantes.

To zespoły gimnazjalistów. A co po gimnazjum?

Chór Mieszany Canticum Novum jest chórem, który został założony niedawno przez byłych członków Collegium Iuvenum. Chór ma już na swoim koncie pewne sukcesy, przede wszystkim został doceniony w Jihławie w zeszłym roku czy w Warszawie w tym roku na Zjeździe Polonii i Polaków z Zagranicy. Zespół ma ambicje i predyspozycje, by w krótkim czasie zostać chórem o uniwersalnym repertuarze i wysokim poziomie artystycznym.

Jaki jest repertuar obu chórów, jak kształtuje się skala trudności?

Chodzi o to, żeby wykonywać muzykę najróżniejszą, żeby chór był maksymalnie uniwersalny, czyli poczynając od chorału gregoriańskiego, który jest muzyką jednogłosową, ale to muzyka innej epoki, inny język, później polifonia renesansowa, barokowa, muzyka okresu klasycyzmu, romantyzm, muzyka współczesna aż po muzykę eksperymentalną, do tego trzeba doliczyć opracowania pieśni ludowych, muzyki jazzowej, popowej czy nawet rockowej. Od polifonii renesansowej po muzykę współczesną, eksperymentalną wszędzie można znaleźć utwory łatwe, średnio trudne i bardzo trudne.

Na koncertach pojawia się też kompozytor Leszek Kalina?

Z braku czasu rzadko kiedy podejmuję się takiej pracy, to są większością prace na zlecenie albo z konieczności, np. opracowanie „Autobiografii" Perfektu na chór albo jeden z ostatnich utworów „Panta rhei", kiedy byłem zmuszony coś sam na szybko stworzyć, nie jest to utwór trudny, ale dosyć przemyślany i robiony nawet pod pewnym kątem teorii starogreckiej. Nawet chciałbym częściej coś napisać, ale nie mam czasu.

A czy czuje się Pan człowiekiem sukcesu?

Nie. Z człowieka sukcesu zrezygnowałem już definitywnie przed trzema laty, kiedy zaproponowano mi objęcie posady chórmistrza operetki ostrawskiej, bez konkursu. Nie jestem człowiekiem sukcesu, raczej jestem człowiekiem przyzwyczajonym do mrówczej pracy, rzadko kiedy przez kogoś docenionej, a już na pewno nie finansowo.

Artyści nie liczą pieniędzy...

Nie czuję się artystą. Podchodzę do rzeczy bardziej racjonalnie i naukowo niż emocjonalnie.

Wróćmy jeszcze do śpiewającej młodzieży. Działa Pan w Czeskim Cieszynie, pracuje z elitą młodzieży zaolziańskiej, ale czy sądzi Pan, że w innych regionach Zaolzia młodzież też potrafi skrzyknąć się, by powstały podobne chóry?

O ile jest to sceptyczne pytanie retoryczne, to tutaj muszę zaoponować. Przecież takie chóry powstają. Typowym przykładem jest zespół Musicae Amantes, ja wiem, że to jest chór kameralny, tylko sześcioosobowy, ale jest. I widzę jeszcze jedną rzecz, trudno mi powiedzieć, że to jest tylko zasługa tego, że powstało Canticorum, później Iuvenum itd., ale widzę, że w niektórych chórach, naszych, istniejących już przedtem na Zaolziu, młodzież jest i przychodzi. Na przykład nawsiańska Melodia, trzyniecki Hutnik, przecież tam jest dużo młodych, ale jest też generacja średnia. Ważne jest to, żeby w chórze była pewna kontynuacja, może tam być piętnastolatek i siedemdziesięciolatek, ale nie może być tak, że między nimi nie ma nikogo. Przy odpowiednim spektrum wiekowym nie ma problemu.

A ile zależy od dyrygenta?

Tam, gdzie dyrygenci złapali podmuch wiatru współczesności – jak robić współczesne chóry, że nie można oprzeć się tylko na tradycyjnym repertuarze, czyli śpiewamy Kaletę, Fierlę, Moniuszkę, ale gdzie próbują i muzykę współczesną, i muzykę dawną, właśnie taki uniwersalny repertuar, tam, o ile jest jeszcze sprawny prezes, można spokojnie kontynuować pracę. Hutnik i Melodia na pewno nie są zespołami, które zanikną w ciągu najbliższych dziesięciu lat. A można wymienić i inne, np. Przełęcz w Mostach koło Jabłonkowa. Orientuję się dobrze, bo jedenaście lat jestem dyrektorem artystycznym Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego.

Czy Ars Musica nie jest konkurencją dla PZKO?

Trzeba podkreślić, że Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne jest organizacją niesamodzielną, która jest autonomiczną częścią trzech organizacji: nie tylko PZKO, ale także Unii Czeskich Zespołów Śpiewaczych i Polskiego Związku Chórów i Orkiestr. Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne to luźny związek chórów polskich na Zaolziu bez względu na ich przynależność organizacyjną, czyli są tam chóry pezetkaowskie, jest tam karwińska Przyjaźń, trzyniecki Hutnik, jest tam Collegium Canticorum, wszystkie trzy chóry Ars Musica.

Mogłyby tam należeć także np. polskie chóry wyznaniowe, ale one nie są na razie zainteresowane. Chóry mogą kiedykolwiek odejść, przyjść, opłaca się tam symboliczną składkę. Z kolei Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne chórom też nic nie płaci, bo nie jest ich mecenasem, właścicielem, założycielem. PTA Ars Musica stworzyłem, dobrałem odpowiednich ludzi i organizacja działa. A jeśli chodzi o PZKO, to rozróżnijmy dwie rzeczy: ZG PZKO i Koła. Przeciw Kołom nic nie można mieć. Ale po co istnieje Zarząd Główny, jeśli zwolniło się wszystkich instruktorów do spraw kultury?

Dziękuję za rozmowę!

CZESŁAWA RUDNIK

NAJWAŻNIEJSZE SUKCESY ARTYSTYCZNE

1988 - zdobycie Pucharu Zarządu Głównego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr na Festiwalu Muzyki Chóralnej w Międzyzdrojach dla najwszechstronniejszego chóru oraz 4-5 miejsce w konkursie - Collegium Canticorum;

1990 - I miejsce w Konkursie Polskich Chórów w CSRF, 1 miejsce i nagroda za najlepsze wykonanie utworu obowiązkowego na Festiwalu Twórczości Chóralnej w Jihlawie - Collegium Canticorum;

1993 - udział w bydgoskim finale Ogólnopolskiego Konkursu Chórów Szkolnych i zdobycie Srebrnego Kamertonu w swojej kategorii - Collegium Iuvenum;

1994 - 1 miejsce i nagroda za najlepszy program konkursowy na międzynarodowym konkursie chóralnym w Pradze, udział w jednym z najbardziej prestiżowych konkursów w Europie - w XIV Międzynarodowym Konkursie im. B. Bartóka w węgierskim Debreczynie - Collegium Canticorum; zdobycie Złotego Kamertonu oraz Pucharu Ministra Edukacji Narodowej za absolutne zwycięstwo w swojej kategorii w finale Ogólnopolskiego Konkursu Chórów Szkolnych - Collegium Iuvenum;

1995 - zdobycie nagrody za najlepsze wykonanie muzyki współczesnej oraz 3 miejsca w Międzynarodowym Konkursie Chóralnym w Pradze w kategorii chórów dorosłych - Collegium Iuvenum; udział w Światowym Konkursie Muzycznym w Llangollen w W. Brytanii - Collegium Canticorum; 2 miejsce w tym znaczącym konkursie w kategorii kapel ludowych uzyskała KG Sómsiek;

1996 - wydanie płyty kompaktowej „Canticorum iubilo" - Collegium Canticorum; 1 miejsce w Ogólnopolskim Konkursie Chórów Szkolnych w Katowicach - Collegium Iuvenum; 1 miejsce w ogólnopolskim konkursie Śląskie Śpiewanie w Zabrzu - Zorómbek;

1997 - zdobycie Złotego Kamertonu i wicemistrzostwa w finale Ogólnopolskiego Konkursu Chórów Szkolnych, Złota Wstęga na II Festiwalu Opava Cantat - Collegium Iuvenum; 1 miejsce w regionalnym konkursie Śląskie Śpiewanie w Cieszynie - Zorómbek; 1 miejsce w Konkursie Kapel Ludowych w Zebrzydowicach - Sómsiek; wyróżnienie w kategorii A (chórów o wysokim poziomie artystycznym) na IX Konkursie Muzyki Religijnej w Rumii - Collegium Canticorum;

1998 - wydanie płyty kompaktowej „Z narodzenia Pana", Złota Wstęga w konkursie muzyki adwentowej i kolędowej w Pradze - Collegium Canti-

corum; Złota Wstęga na III Festiwalu Opava Cantat - Collegium Iuvenum;

1999 - 2 miejsce w Konkursie Kapel Ludowych w Zebrzydowicach - Zorómbek; zdobycie Złotego Kamertonu i wicemistrzostwa w finale Ogólnopolskiego Konkursu Chórów Szkolnych w Bydgoszczy, Złota Strefa na Festiwalu Gymnasia Cantant w Brnie - Collegium Iuvenum; 2 miejsce na XXX Festiwalu Folkloru Górali Polskich w Żywcu - Sómsiek;

2000 - Srebrny Kamerton w finale Ogólnopolskiego Konkursu Chórów Szkolnych w Bydgoszczy, Złota Strefa na Festiwalu Gymnasia Cantant w Brnie, Złota Wstęga na V Festiwalu Opava Cantat - Collegium Iuvenum; 1 miejsce w ogólnopolskim konkursie Śląskie Śpiewanie w Chorzowie - Zorómbek; udział w prestiżowym Festiwalu Twórczości Chóralnej w Jihlavie oraz wykonanie utworu prapremierowego - Canticum Novum;

2001 - zdobycie Złotego Kamertonu i wicemistrzostwa w finale Ogólnopolskiego Konkursu Chórów Szkolnych w Bydgoszczy, Złota Strefa na Festiwalu Gymnasia Cantant w Brnie - Collegium Iuvenum.



Chór Canticum Novum, fot. FRANCISZEK BAŁON

SYTUACJA POLSKICH EMERYTÓW I RENCISTÓW ZAMIESZKAŁYCH ZA GRANICĄ (2)

JUGOSŁAWIA

Na podstawie informacji opracowanej przez Krystynę Pavlović i Renatę Niedzielską-Fatić - Jugosłowiańskie Środowisko Polonijne.

Podstawowe dane makroekonomiczne w 2000 roku (dotyczą głównie Serbii)	
Przeciętna płaca (netto): - październik 2000 r. - grudzień 2000 r.	 2 925 Din (46,31 USD) 4 061 Din (64,29 UDS)
Maksymalna emerytura	10 674 Din (167 USD)
Minimalna emerytura	1321 Din (21 USD)
Przeciętna emerytura w Serbii	3 304 Din (52 USD)
Minimalny zasiłek socjalny	ok. 5-10 USD

W odróżnieniu od innych postkomunistycznych krajów Europy Wschodniej Jugosławia jest krajem, w którym dopiero wprowadza się europejskie kategorie socjalne. Toteż brak jest dokładnych danych statystycznych. Nie sposób ustalić przeciętną emeryturę Polaków i osób polskiego pochodzenia żyjących w Serbii, które otrzymują wyłącznie serbskie świadczenia emerytalne. Niekorzystny stosunek przeciętnych emerytur do przeciętnych płac (1:1,24), trudna sytuacja gospodarcza kraju, wykorzystywanie funduszy emerytalnych do innych celów w minionych latach i stale spadająca liczba osób zatrudnionych w stosunku do liczby emerytów i rencistów (w 1990 r. stosunek ten wynosił 2,44:1, a w 1999 r. - 1,32 : 1) sprawiają, że regularne wypłaty emerytur i rent nadal są dużym problemem w Jugosławii. W styczniu 2001 roku emeryci i renciści wciąż jeszcze czekali na wypłatę drugiej części świadczeń za listopad 2000.

Jak podają jugosłowiańskie media, ok. 70% obywateli żyje w ubóstwie bądź na granicy ubóstwa. Tzw. koszyk zakupów, który obejmuje jedynie niezbędne wyżywienie dla czteroosobowej rodziny wynosił w grudniu 2000 roku - 9 330 dinarów (147,7 UDS) i był wyższy od dwóch przeciętnych płac.

Z punktu widzenia prawa jugosłowiańskiego cudzoziemcy, którzy uzyskali zgodę na stały pobyt w tym kraju, mają równe prawa z obywatelami miejscowy-

mi, co oznacza, że polscy emeryci i renciści w Jugosławii mają prawo do wszystkich przewidzianych w ustawie emerytalnej ulg, zniżek, dodatków do emerytur i rent, opieki społecznej, renty rodzinnej, zasiłku socjalnego, zasiłku pogrzebowego itd. Są to jednak kwoty tak znikome, że niewiele zmieniają ich sytuację.

Jugosłowiańskie Środowisko Polonijne, jak również Wydział Konsularny Ambasady RP w Belgradzie nie posiadają dokładnych danych na temat liczby emerytów i rencistów Polaków i osób polskiego pochodzenia żyjących na terenie Serbii. Środowisko Polonijne w Jugosławii skonsolidowało się w 1999 roku i od tego czasu prowadzona jest lista członków, obejmująca 718 osób, w tym 45 emerytów i rencistów. Ponieważ ludność polskiego pochodzenia w Jugosławii liczy aktualnie ok. 2 000 osób, można przypuszczać, że wśród nich jest co najmniej 200 emerytów i rencistów.

Większość polskich emerytów i rencistów posiada staż pracy zarówno w Polsce, jak i w Jugosławii. Polskie emerytury i renty z tytułu stażu pracy w Polsce wypłacane są na podstawie przestarzałej dwustronnej Umowy o ubezpieczeniu społecznym między Rządem PRL a Rządem Federacyjnej Ludowej Republiki Jugosławii, podpisanej w Warszawie dnia 16 stycznia 1958 r. (Dz. U. PRL Nr 19 z dn. 18 III 1959). Umowa ta może mieć zastosowanie, jeżeli dana osoba posiada przynajmniej sześciomiesięczny okres ubezpieczeń w jednym lub drugim kraju. Podobnie jak w innych krajach byłego bloku komunistycznego umowa ta jest krzywdząca dla świadczeniobiorców z następujących powodów. Polskie emerytury należne za staż pracy w Polsce są obliczane w złotych i raz w miesiącu transfer tych należności odbywa się w dolarach amerykańskich po kursie dnia przeliczenia. Strona jugosłowiańska wypłaca świadczenia co miesiąc w dinarach według oficjalnego kursu na dzień obliczenia. Na dokumencie wypłaty świadczeniobiorcy nie otrzymują informacji o tym, kiedy i wg jakiego kursu zostało dokonane przeliczenie świadczenia. Osobom, które pobierają polską emeryturę lub rentę, odlicza się proporcjonalną część polskich świadczeń z jugosłowiańskiej emerytury pomimo spełnienia warunków upoważniających do otrzymania pełnej emerytury jugosłowiańskiej. Obywatele polscy mieszkający w Jugosławii wielokrotnie składali z tego powodu zażalenia w zakładzie ubezpieczeń społecznych i w sądzie, ale dotychczas ani jedna sprawa nie została załatwiona pozytywnie na korzyść emerytów.

Polscy emeryci i renciści w Jugosławii wyrażają niezadowolenie z powodu bardzo zróżnicowanych uzasadnień ze strony polskiego ZUS przy ustalaniu prawa do emerytury i przy obliczaniu jej wysokości. Niezrozumiałe jest, na jakiej podstawie osoby spełniające podobne warunki pod względem wykształcenia, stażu pracy i okresu zatrudnienia w Polsce (w latach pięćdziesiątych, o których nie ma danych zarobkowych) otrzymują emerytury w wysokości 4 USD, 10 USD lub 45 USD. Rozbieżności te świadczą o tym, że przestarzałe zapisy Umowy pozwalają na wybiórcze stosowanie tych samych przepisów w zależności od tego, co jest korzystniejsze dla ZUS.

Biorąc pod uwagę, że obowiązująca wciąż jeszcze Umowa o ubezpieczeniu społecznym została podpisana w 1958 roku, a zmiana systemu zarówno w Polsce jak i w Jugosławii związana jest ze zmianą przepisów prawnych, obecni i przyszli

polonijni emeryci i renciści mają nadzieję, że odpowiednie instytucje obu krajów rozważą możliwość podpisania nowej umowy regulującej tak ważny segment polityki społecznej.

ROSJA

Nadesłana przez dra Piotra Romanowa notatka w imieniu Kongresu Polaków w Rosji odbiega swoim charakterem od stylu referatu, ponieważ zamiast konkretnych danych o sytuacji polskich emerytów i rencistów zawiera ekspertyzę Dumy Państwowej w sprawie rządowego programu reformy systemu ubezpieczeń społecznych w Federacji Rosyjskiej, opublikowaną w informatorze „Socjalno-ekonomiczne problemy Rosji" w 1999 roku.

Jak wynika z ekspertyzy, prace nad reformą trwają od 1995 roku. Wg „Koncepcji reformy systemu zabezpieczenia emerytalnego" przewidywane jest wprowadzenie trzystopniowego systemu emerytalnego. Pierwszy stopień - emerytura podstawowa, przyznawana wszystkim obywatelom z tytułu niezdolności do pracy lub po ukończeniu odpowiedniego wieku, niezależnie od stażu pracy. Drugi stopień - emerytura za okres zatrudnienia w wysokości uzależnionej od stażu pracy (okresu składkowego) i wynagrodzenia. Trzeci stopień - dodatkowa emerytura z różnego rodzaju funduszy emerytalnych.

Jak dotąd reforma systemu ubezpieczeń społecznych w Federacji Rosyjskiej nie została wprowadzona, więc sytuacja emerytów i rencistów od lat nie uległa zmianie. Nikt z obywateli polskich zamieszkałych w Rosji nie otrzymuje świadczeń emerytalnych z Polski. Między Rosją a Polską nie ma umowy o zabezpieczeniu społecznym. Wprowadzone na wniosek Prezydenta Rosji podwyżki emerytur w 2000 roku nie nadążają za wzrostem cen i w niczym nie zmieniają dramatycznej sytuacji emerytów. W ostatnim czasie Parlament Rosji podjął uchwałę, która pozwala zatrudniać osoby pobierające świadczenia emerytalne. Ograniczone możliwości na rynku pracy sprawiają, że zatrudnianie emerytów jest raczej fikcją, a nie realną możliwością poprawienia niezwykle trudnej sytuacji tych ludzi.

RUMUNIA

Na podstawie informacji z 19 stycznia 2001 roku opracowanej przez Bogdana Polipciuca, prezesa Stowarzyszenia Polaków Dom Polski w Bukareszcie.

Podstawowe dane makroekonomiczne w 2000 roku*:	
Przeciętna płaca w sektorze budżetowym	2 859 000 Lei brutto (ok. 110 UDS)
Minimalna płaca	1 000 000 Lei (ok. 38 USD)
Średnia emerytura za pełną wysługę lat	1 491 000 Lei (ok. 57 USD)

* Rumuński Centralny Urząd Statystyki nie podaje informacji o minimalnych miesięcznych kosztach utrzymania jednej osoby, granicy ubóstwa, zasiłku socjalnym.

Obowiązująca w Rumunii ustawa emerytalna zapewnia obcokrajowcom posiadającym staż pracy w Rumunii takie same prawa jak obywatelom rumuńskim. Zgodnie z tą ustawą obywatele polscy mają prawo do renty z tytułu niezdolności do pracy, do opieki społecznej (domy pomocy społecznej, zakłady opiekuńczo-lecznicze), do renty rodzinnej w przypadku śmierci współmałżonka oraz innych dodatków i zniżek.

Między Polską a Rumunią nie ma umowy w zakresie ubezpieczeń społecznych, która umożliwiałaby przekaz świadczeń emerytalnych z Polski do Rumunii i odwrotnie. Z zebranych informacji wynika, iż osoby z tej kategorii zamieszkała na stałe w Rumunii mogą pobierać świadczenia wyłącznie w Polsce.

Dom Polski zwracał się niejednokrotnie z propozycjami uregulowania wypłat świadczeń emerytalno-rentowych zarówno do Konsulatu RP jak i do polskich delegacji parlamentarnych, które przebywały z okazji oficjalnych wizyt w Rumunii. Niestety interwencje te nie przyniosły oczekiwanych wyników.

UKRAINA

Na podstawie informacji z 15 stycznia 2001 opracowanej przez Emilię Chmielową, prezesa Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie.

Podstawowe dane makroekonomiczne w 2000 roku:	
Przeciętna płaca w sektorze budżetowym	40-50 USD
Maksymalna emerytura	16 USD *
Minimalna emerytura	10 USD
Minimalny zasiłek socjalny	6 USD
Granica ubóstwa	20 USD

* dla urzędników państwowych - % od wypłaty w przedsiębiorstwach zagrażających zdrowiu - 4 minimalne emerytury

Niezwykle dramatyczna jest sytuacja Polaków - emerytów i rencistów zamieszkałych na Ukrainie. Polacy, obywatele Ukrainy, otrzymują tylko ukraińskie emerytury, wyłącznie za lata przepracowane w kraju zamieszkania. Staż pracy w Polsce w ogóle nie jest brany pod uwagę przy ustalaniu prawa do emerytury i obliczaniu jej wysokości. Między Ukrainą a Polską nie ma umowy o zabezpieczeniu społecznym osób polskiego pochodzenia. Umowa taka istniała między Polską a Związkiem Radzieckim do 1992 roku.

Polscy emeryci i renciści nie mają prawa do renty z tytułu niezdolności do pracy, jeżeli renta przysługuje im po 1992 roku. Nie mają również prawa do żad-

nych ulg, zniżek, dodatków do emerytur, dodatków pielęgnacyjnych, renty rodzinnej, zasiłku socjalnego i zasiłku pogrzebowego.

WĘGRY

Na podstawie informacji opracowanej przez Alicję Nagy, prezesa Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego im. J. Bema na Węgrzech.

Podstawowe dane makroekonomiczne w 2000 r.:	
Przeciętna płaca w sektorze budżetowym	ok. 50 000 Ft netto (174 USD)
Minimalne zarobki	25 000 Ft brutto (87 USD)*
Minimalna emerytura	29 000 Ft (101 USD)
Emerytura socjalna	15 000-16 000 Ft (54-56 USD)

* stopa opodatkowania wynosi 20%

Ze względu na bardzo wysokie koszty utrzymania (wyżywienie, odzież, środki higieny, świadczenia itd.) i stale rosnące ceny powyższe dochody zapewniają bardzo skromne życie osobom pracującym, co pozwala wyciągnąć wniosek, jaka jest sytuacja emerytów, którzy, pobierając wyłącznie węgierską emeryturę, dysponują zaledwie częścią tych środków.

Na mocy polsko-węgierskiej Umowy o ubezpieczeniu społecznym, zawartej 14 lutego 1959 roku (Dz.U. 1959/67, poz. 416), lata przepracowane w Polsce zaliczane są do stażu pracy stanowiącego podstawę do obliczenia wysokości emerytury. W niektórych przypadkach również studia w Polsce wliczane są w lata uprawniające do uzyskania emerytury (osoby urodzone do 1945 roku włącznie).

Najkrótszy okres zatrudnienia upoważniający do nabycia praw do świadczeń emerytalnych wynosi 20 lat. Przy spełnieniu tego warunku i w wieku 62 lat pracownik może uzyskać prawo do emerytury w wysokości ok. 14 000-15 000 FT (ok. 55 USD). Przed czterema laty na Węgrzech podniesiono wiek emerytalny dla kobiet od 62 roku życia. Osoby urodzone przed 1946 rokiem mogą przejść na tzw. wcześniejszą emeryturę, pod warunkiem, że ich staż pracy łącznie ze studiami wynosi 35 lat. Za każde dziecko odliczany jest jeden rok.

Emerytura łączona za lata przepracowane w Polsce i za lata przepracowane na Węgrzech nie zawsze jest korzystna dla świadczeniobiorców, ponieważ jest uzależniona od okresu zatrudnienia w Polsce. Niektórzy z naszych rodaków pobierający świadczenia na zasadzie emerytury łączonej tracą określoną część świadczeń, jeżeli okres przepracowany w Polsce był stosunkowo krótki.

TABELA PORÓWNAWCZA PODSTAWOWYCH DANYCH MAKROEKONOMICZNYCH (w przeliczeniu na USD)

	Austria	Bułgaria	Czechy	Dania	Jugosł.	Rumunia	Ukraina	Węgry
Przeciętna płaca w 2000 r. w sektorze budżetowym	1700	110	382	3000[a]	64	110	40-50	174
Niezbędne minimum socjalne na osobę/miesiąc	530	128[a]	110	brak inf.	nieokr.	brak inf.	20	brak inf.
Maksymalna emerytura	5000	80	nie ma ograniczeń	zależy od [c]	167	statystyka nie podaje	16[d]	brak inf.
Minimalna emerytura	470	23	61	5304/	21	brak inf.	10	101
Średnia emerytura	brak inf.	41	brak inf.	Zależy od [e]	52	57	brak inf.	brak inf.
Minimalny zasiłek socjalny	400	20	44	280[a] 570, 895	brak danych	statystyka nie podaje	6	54-56
Maksymalna renta z tytułu niezdolności do pracy	brak inf.	30	brak inf.	brak inf.	brak inf.	brak inf.	nie ma[f]	brak inf.
Minimalna renta z tytułu niezdolności do pracy	brak inf.	21	brak inf.	brak inf.	brak inf.	brak inf.	nie ma[f]	brak inf.

[a] Informacja z dnia 17.01.2001 r. podana przez Instytut Badań Socjalnych przy Konfederacji Niezależnych Związków Zawodowych w Bułgarii

[b] Dane z 1998 r. (brutto, stopa opodatkowania wynosi od ok. 50% w górę)

[c] Dla osób poniżej 25 roku życia, nigdy niepracujących, bezdzietnych, pozostających we wspólnym gospodarstwie domowym z rodzicami; Dla osób poniżej 25 roku życia, nigdy niepracujących, bezdzietnych, prowadzących samodzielne gospodarstwo domowe; Dla osób powyżej 25 roku życia, bezrobotnych, bezdzietnych, prowadzących samodzielne gospodarstwo domowe;

[d] Jest to podstawowa stawka emerytury powszechnej brutto (bez dodatków). Do stawki podstawowej doliczany jest dodatek w wysokości: dla osób pozostających w związku małżeńskim (lub konkubinacie, rozstrzygający jest fakt wspólnego prowadzenia gospodarstwa domowego) ok. 240 USD brutto miesięcznie;
dla osób samotnych - ok. 525 USD brutto miesięcznie.

[e] Dla urzędników państwowych - % od wypłaty. W przedsiębiorstwach zagrażających zdrowiu - 4 minimalne emerytury

[f] Nie mają prawa, jeżeli renta należy się po 1992 roku

MIĘDZYNARODOWE UMOWY O ZABEZPIECZENIU SPOŁECZNYM ZAWARTE Z POLSKĄ

Kraj	Data zawarcia umowy	Opublikowana
Austria	28 września 1998 r.	Dz.U. 2000/104, poz. 1105
Bułgaria	12 lipca 1961 r.	Dz.U. 1962/28, poz. 132
Czechy	5 kwietnia 1948 r.	Dz.U. 1949/6, poz. 34
Dania	nie ma	nie
Jugosławia	16 stycznia 1958 r.	Dz.U. 1959/19
Rosja	nie ma	nie
Rumunia	nie ma	nie
Ukraina	nie ma*	nie
Węgry	14 lutego 1959 r.	Dz.U. 1959/67, poz. 416

* Taka umowa istniała między Polską a Związkiem Radzieckim do 1992 roku.

URSZULA MILCZEWSKA
Prezes Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego, im. Władysława Warneńczyka w Bułgarii

Referat przygotowany na II Zjazd Polonii i Polaków z Zagranicy (28.4-3.5.2001) i zaprezentowany podczas obrad Komisji ds. Pomocy, Socjalnej, Charytatywnej i Problemów Repatriacji.



fot. JAN MYRDACZ

WŁADYSŁAW MICHEJDA

Władysław Michejda był najmłodszym z siedmiorga rodzeństwa olbrachcickich Michejdów. Jego ojcem był Paweł Michejda, młodszy brat Franciszka Michejdy, pastora w Nawsiu, Jana Michejdy, posła w Opawie i Wiedniu, współzałożyciela Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego w 1918 roku, Karola, pastora w Bystrzycy, oraz starszy brat Jerzego Michejdy, nauczyciela w Ustroniu. Prapradziadem Władysława był jeden z protoplastów rodu - Jan Michejda, który w roku 1794 nabył grunt w Olbrachcicach. („Drzewo genealogiczne Jana Michejdy z Olbrachcic" praca zbiorowa pod redakcją Barbary Pinno, Fort Worth, USA, maszynopis). Tak o nim pisze genealog rodziny Michejdów: *Władysław Michejda, urodzony (18) 23 września 1896 roku w Olbrachcicach, syn Pawła i Ewy z domu Wałach. Ukończył polskie gimnazjum Macierzy Szkolnej w Cieszynie, należał do szkolnej drużyny skautowej. Zgłosił się jako ochotnik w 1914 roku do Legionów, ale nie otrzymał przydziału. W 1917 roku otrzymał świadectwo dojrzałości i zapisał się na Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wraz z grupą polskich oficerów dokonał przewrotu wojskowego w Cieszynie, doprowadzając do wyzwolenia Śląska Cieszyńskiego. Brał udział w obronie Lwowa - ranny pod Lwowem w styczniu 1919 roku, następnie w I powstaniu śląskim, a w latach 1919-1920 w Komitecie Plebiscytowym. Studia ukończył w 1922 roku, uzyskując doktorat prawa. W latach 1925-1939 prowadził kancelarię adwokacką w Katowicach, równocześnie działał społecznie, walcząc o przyznanie Polakom ewangelikom pełnych praw w Kościele unijnym. Był współzałożycielem pisma Ewangelik Górnośląski, a w latach 1937-1939 przewodniczącym Tymczasowej Rady Kościelnej Ewangelickiego Kościoła Unijnego na Górnym Śląsku. W maju 1939 przeniósł się do Cieszyna, gdzie otworzył kancelarię adwokacką i objął stanowisko syndyka Huty Trzynieckiej. W czasie II wojny światowej w latach 1940-1943 działał w Związku Walki Zbrojnej - Armii Krajowej. Aresztowany w początkach 1940 roku przebywał krótko w Dachau. Po powrocie w Ustroniu przygotowywał memoriał dla rządu polskiego w Londynie w sprawie granic polskich na Śląsku Cieszyńskim. Aresztowany powtórnie przez gestapo 10 kwietnia 1943 roku po ciężkim śledztwie w więzieniu w Mysłowicach przewieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu i tam rozstrzelany 29 listopada 1943 roku na podstawie wyroku sądu doraźnego gestapo. Ożeniony ze Stefanią Marquardt miał dwoje dzieci: Zbigniewa (urodzonego 1 listopada 1930) i Barbarę (urodzona 11 czerwca 1932). Odznaczony Krzyżem Niepodległości, Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Komandorskim Orderu Polonia Restituta.*

Jego symboliczny grób znajduje się o kilka kroków od grobu rodziny Górniaków na cmentarzu ewangelicko-augsburskim na Młynowie w Warszawie, gdzie spoczywa jego przyjaciel **Józef Górniak**, autor niżej drukowanego pamiętnika przygotowanego do druku przez wnuka **Jacka Górniaka**.



Józef Górniak na czele zastępu Czajek w Beskidzie

WSPOMNIENIE O WICIE - WŁADYSŁAWIE MICHEJDZIE (1)

Było to w roku 1908, kiedy przed gmachem Gimnazjum Polskiego w Cieszynie przy ulicy Elżbiety zebrała się gromadka czterech chłopców, by jeszcze przed wakacjami przystąpić do egzaminu wstępnego, którego pomyślny wynik zapewniłby możność rozpoczęcia nauki w tej jedynej na owe czasy na Śląsku Cieszyńskim szkole średniej z językiem wykładowym polskim. Drugie gimnazjum polskie - w Orłowej - otworzyło bowiem swe podwoje w rok później.

Młodzież, która rozpoczęła naukę w roku 1908 w gimnazjum cieszyńskim, pochodziła z całego Śląska; byli tam chłopcy z Bogumina, Rychwałdu, Orłowej, Suchej, Frysztatu, Cieszyna, Jabłonkowa, Wisły, Brennej, a także z powiatu Bielsko. Z biegiem lat chłopcy ci, pochodzący z różnych wsi i miast, stworzyli jednolitą i zwartą grupę młodzieżową, której marzyły się wielkie czyny, nie przypuszczając, że w niedalekiej przyszłości nadarzy się wiele okazji do poważnych przeżyć połączonych z groźnymi niebezpieczeństwami. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Wracając do roku 1908, należałoby wyjaśnić, iż Cieszyn był miastem szkół - zarówno niemieckich jak polskich. Było więc tam gimnazjum niemieckie, szkoła realna niemiecka, niemieckie seminarium nauczycielskie, szkoła zakonna ss. boromeuszek oraz szkoła handlowa - nie licząc szkół wydziałowych. Natomiast stan posiadania szkół polskich był dużo skromniejszy: była jedyna prywatna szkoła ludowa i wydziałowa Macierzy Szkolnej, gimnazjum i seminarium. W tym układzie stosunków dochodziło do nieporozumień, scysji i awantur między młodzieżą polską a niemiecką, co było ujemną stroną życia młodzieży w Cieszynie. Ponieważ większość młodzieży studiującej w Cieszynie pochodziła spoza miasta, zmuszona była szukać pomieszczeń. Były trzy możliwości znalezienia pomieszczeń: po pierwsze w bursie przy ulicy Dworkowej, po drugie - dla młodzieży ewangelickiej - w Alumneum na placu Kościelnym, po trzecie na stancjach prywatnych. Pomieszczenia w bursie i w Alumneum były dla młodzieży z wielu względów korzystniejsze, ale nie wszyscy uczący się mogli tam znaleźć miejsce.

W grupie młodzieży, która rozpoczęła naukę w gimnazjum cieszyńskim w roku 1908, rzucał się w oczy blondynek o rumianej twarzy z kosmykiem spadającym na czoło. Do chłopca tego poczułem od razu sympatię, nie wiedząc nawet, skąd pochodzi i jak się nazywa. Lecz sprawa zaznajomienia się w tym wieku nie jest problemem, zwłaszcza w warunkach szkolnych, gdzie siłą rzeczy obcuje się na co dzień. Jest sprawą powszechnie znaną i nie budzącą wątpliwości, że prawdziwa przyjaźń powstaje na ławie szkolnej, a tym

więcej w warunkach cieszyńskich - zagmatwanych pod względem narodowościowym. Blondynek, o którym mowa, pochodził z Olbrachcic, a nazywał się Władysław Michejda. W szkole jednakże nie nazywano go Władysław, a Wit. Kiedy i w jakim okresie przechrzczono Władysława na Wita, trudno ustalić. O ile sobie przypominam, to już w niższych klasach gimnazjalnych słyszało się między kolegami imię Wit i - Witem został na stałe. Mieszkał przy placu Kościelnym w Alumneum, miejscu korzystnie położonym zarówno w stosunku do szkoły jak w stosunku do śródmieścia. Ponieważ ja mieszkałem na peryferiach miasta, przeto, wychodząc ze szkoły, odprowadzałem Wita do Alumneum, bowiem droga moja do szkoły i ze szkoły prowadziła właśnie przez plac Kościelny. Razem z Witem mieszkał w Alumneum starszy jego brat Tadeusz. Bracia chodzili jednakowo ubrani; zwłaszcza w okresie zimy poznawało się ich z daleka po jednakowych kurtkach koloru jasnogranatowego.

Spędzaliśmy z Witem dużo wolnych chwil od nauki: latem na spacerach nad Olzą i do Końskiego Lasu; w zimie zaś na łyżwach i na nartach. Grono profesorskie, a zwłaszcza młodsi, którzy niedawno ukończyli uniwersytet, interesowali się bardzo młodzieżą, uczestnicząc w kursach narciarskich i innych zajęciach pozaszkolnych. Gdy na Śląsk dotarło harcerstwo, które w owych czasach nazywano powszechnie skautingiem, jeden z profesorów, pan Hajduk, objął opiekę nad drużyną gimnazjalną i prowadził ją w sposób zachęcający młodzież do wstępowania do skautingu. Przy tym dbał o to, by drużyna się nie wypaczyła i nie zbaczała z drogi wyznaczonej przez przykazania harcerskie. Ruch harcerski miał poważne znaczenie w wychowaniu młodzieży, zobowiązując swych członków do nauki i wprowadzając w tym zakresie dyscyplinę moralną. Niemniej ważne znaczenie posiadał ruch harcerski w rozwoju fizycznym młodzieży. Bliższe i dalsze wycieczki piesze, częste przebywanie w przyrodzie - wszystko to wpływało dodatnio na podniesienie stanu zdrowotnego. Od samego początku powstania ruchu harcerskiego na Śląsku uczniowie klasy, w której był Wit, przystąpili gremialnie do zastępu Czajek, który był częścią składową pierwszej drużyny harcerskiej na Śląsku. W zastępie Czajek niepoślednią rolę odgrywał Wit właśnie, ujawniając poważny entuzjazm w zakresie organizacyjno-wychowawczym oraz inicjatywę przy ustalaniu wszelkiego rodzaju ćwiczeń. Należy przy tym uwzględnić, iż profesor Hajduk, jakby w przewidywaniu mającej wybuchnąć wojny, zwrócił baczną uwagę na przeszkolenie drużyny harcerskiej w służbie polowej. Młodzież z entuzjazmem brała udział we wszelkiego rodzaju ćwiczeniach, a prym w tym entuzjazmie wiódł właśnie Wit wraz z gronem swych przyjaciół.

Drużyna cieszyńskich harcerzy składała się z pięciu zastępów, liczących łącznie ponad pięćdziesiąt osób. Ten zespół umundurowany zgodnie z przepisami obowiązującymi w polskich drużynach harcerskich był dla Niemców

solą w oku. Lecz władze państwowe nie ingerowały w sprawy harcerskie, a pozostawiały kierownictwu wolną rękę. Prawdopodobnie Ministerstwo Wojny w Wiedniu i sztab armii austriackiej przewidywały bliski wybuch wojny, licząc, iż organizacja harcerska może się przydać. Młodzież jednakże nie myślała o wojnie, a swobodę poruszania się po całym Śląsku Cieszyńskim wykorzystywała dla własnych przyjemności. Polegało to na urządzaniu wszelkiego rodzaju wycieczek w góry Beskidu; a były to wycieczki całej drużyny, względnie zastępami, a najczęściej parami. Dwóch członków drużyny ustalało sobie kierunek i czas wycieczki i w mundurkach i z plecakami ruszaliśmy w góry. Przynależność do harcerstwa rozbudziła w nas potrzebę uprawiania turystyki, która przemieniła nas w Cyganów i nałogowych włóczęgów. We dwójkę z Witem przemierzaliśmy cały Beskid Śląski. Braliśmy do plecaka trochę prowiantu, manierkę na wodę oraz płat namiotu. Na poczekaniu, gdy zmęczenie nas ogarniało, rozbijaliśmy namiot na dwie osoby i spędzaliśmy spokojnie i przyjemnie noc, nabierając sił do dalszej wędrówki. W latach 1911, 1912, 1913 i 1914 do czerwca zwiedziliśmy prawie wszystkie szczyty Beskidu jak Ropiczkę, Ropicę, Przysłup, Szyndzielnię, Jaworowy, Stożek, Czantorię, Tuł, Soszów, Kiczory, Kubalonkę, Baranią Górę, Malinowską Skałę, Malinowską Grotę, Równicę i wiele pomniejszych. W sobotę, wychodząc ze szkoły, rzucał ktoś hasło: - A może by tak pójść na wy-



Zastęp Czajek na wycieczce w Beskidzie Śląskim w roku 1913. Pierwszy od góry Józef Górniak, obok Józef Goszyk (późniejszy kapitan AK rozstrzelany przez Niemców w czasie Powstania Warszawskiego), pierwszy od dołu Władysław Górniak (późniejszy legionista I brygady, w wieku lat 15 śmiertelnie ranny w bitwie pod Jastkowem, kawaler orderu wojennego Virtuti Militari).

cieczkę w góry? - Zaraz znajdywał się partner, ustalano godzinę - czternastą, piętnastą czy szesnastą - i w wyznaczonym terminie ruszano w drogę, by noc spędzić pod namiotem w górach. Najczęściej drogę odbywaliśmy z Cieszyna piechotą, by po dwóch czy trzech godzinach znaleźć się na Chełmie lub Czantorii. Krótka krzątanina nad rozłożeniem obozu, rozpaleniem ogniska, a już w kociołku gotowała się woda zaprawiona dymem; lecz najsmaczniejsza, jaką kiedykolwiek się piło. W następnym dniu rano po śniadaniu ustalało się trasę powrotu do miasta w taki sposób, by dostatecznie wcześnie znaleźć się w domu i mieć dosyć czasu na odrobienie lekcji. Profesorowie niejednokrotnie próbowali przyłapać któregokolwiek z harcerzy na nieodrobieniu lekcji, lecz trzeba przyznać, że rzadko im to się udawało.

Ostatnią wycieczkę przedwojenną urządziliśmy w początkach lipca 1914 roku. W wycieczce tej, odbytej pod przewodnictwem Wita, wzięło udział siedmiu młodszych i trzech starszych harcerzy. Droga prowadziła z Ustronia przez Wisłę do Malinki, stąd na Baranią Górę, potem Malinowską Skałę, Malinowską Grotę i przez kilka mniejszych szczytów do Wisły i Ustronia. Były to już wakacje. Dlatego spotkanie mieliśmy w Cieszynie i tam także nastąpiło rozwiązanie wycieczki. Przez cały czas pogodę mieliśmy słoneczną, bezchmurną, więc wróciliśmy opaleni jak Cyganie. Tym akcentem zakończyliśmy przygodę harcerską, która była urzekająca zwłaszcza dla nas - dorastających chłopców. Byliśmy w beztroskim osiemnastym roku życia, zaś przed nami wieloletni koszmar pierwszej światowej wojny.

Pierwszy wstrząs zapowiadający groźny okres przeżyliśmy dnia 28 czerwca 1914 roku. W Parku Sikory w Cieszynie odbywał się festyn - już nie pamiętam, z jakiej okazji. Organizatorzy festynu zaprosili orkiestrę wojskową stacjonującego w Cieszynie pułku piechoty austriackiej. W pełni zabawy na naszych oczach żołnierze zaczęli pakować do futerałów swoje instrumenty i w zwartym oddziale odmaszerowali do koszar. Gubiliśmy się w domysłach, jaki był powód odejścia orkiestry. Wyjaśnienie przyniosły dodatki nadzwyczajne do prasy, w których podawano szczegóły o zamordowaniu w Sarajewie austriackiego następcy, arcyksięcia Ferdynanda.

Na wakacje rozjechaliśmy się do domów ze złymi przeczuciami. Zresztą spędzaliśmy je głównie w domu. Jednakże we wrześniu zamiast do szkoły, zgłosiliśmy się do organizującego się w Parku Sikory w Cieszynie batalionu Legionów Polskich. Spotkałem się tam z Witem już jako legionistą. Ale nie było nam dane wyruszyć z legionami w pole, do czego rwaliśmy się ze wszystkich sił. Po półtoramiesięcznym przeszkoleniu oddział ruszył na wschód, a my z Witem zostaliśmy w domach na skutek interwencji rodziców w dowództwie Legionów, które z uwagi na fakt, że z mojej i Wita rodziny poszedł już ktoś na wojnę, zwolniło najmłodszych legionistów z szeregów.

Czekaliśmy na dalsze wypadki i losy wojny, a ta dla Austro-Węgier przybrała początkowo kiepski obrót. Pomijam jednak losy wojny, bowiem pod koniec października 1914 roku otwarto podwoje gimnazjum cieszyńskiego i wróciliśmy na ławę szkolną. Z takiego obrotu sprawy byliśmy bardzo zadowoleni, bo inaczej marnowalibyśmy czas bez jakiejkolwiek korzyści. Ponieważ część gmachu szkolnego zajęta była przez wojsko, przeto nauka odbywała się na zmianę w ten sposób, że niższe klasy uczyły się przed południem, zaś wyższe po południu. Stan taki wpływał ujemnie na bieg nauki szkolnej. O pracy organizacyjnej w harcerskiej drużynie szkolnej nie było mowy - zresztą chodzenie po lasach czy urządzanie jakichkolwiek wycieczek było niebezpieczne, bo wojsko węszyło wszędzie szpiegów. Nasze życie towarzyskie wśród kolegów



Władysław Michejda i Józef Górniak na podwórzu gimnazjum cieszyńskiego przed wyruszeniem w góry w roku 1914.

ograniczaliśmy do chodzenia po mieście, względnie przechadzek do lasku miejskiego. Czas upływał nam raczej na wzmożonej nauce; przez okres zimy spokojnie.

W połowie marca 1915 roku przyszło przebudzenie z naszego spokojnego bytowania, bowiem władze austriackie ogłosiły pobór do wojska naszego rocznika, to jest 1896. Zarówno Wit jak i ja oraz kilku naszych kolegów tego samego rocznika stanęliśmy do poboru i uznani zostali za zdolnych do noszenia broni i obrony ojczyzny - kajzera oraz Vaterlandu. Pobór miał miejsce w połowie marca, a już 15 kwietnia 1915 roku zobowiązani byliśmy zgłosić się do 100 pułku piechoty, względnie jego kadry, która znajdowała się na Morawach w mieście Hohenstadt, po czesku Zabřeh. Zaczęła się nasza tułaczka wojenna w armii zaborczej, która trwała przez okres czterech lat - właściwie do końca października 1918 roku, czyli do dnia rozpadnięcia się Cesarstwa Austriackiego.

Zatem 15 kwietnia 1915 roku rozpoczęliśmy służbę w Cesarsko-Królewskiej Armii, nie zdając sobie sprawy z tego, co nas czeka. Stosunki w wojsku austriackim były nieznośne, męczące moralnie, nie mówiąc o trudach fizycznych, kiedy dowództwo austriackie usiłowało w krótkim czasie przeszkolić rekrutów, by jak najprędzej móc wysłać ich na front. Narażeni byliśmy na najróżniejsze szykany z uwagi na to, że byliśmy Polakami. Głęboko w pamięci utkwił mi następujący wypadek. Pierwszej nocy wpada do sali, gdzie spaliśmy pokotem na siennikach rozłożonych na podłodze, grupa oficerów i podoficerów, żołnierzy z nałożonym na karabin bagnetem; stają u wejścia i rozpoczyna się rewizja każdego z nas, bardzo wnikliwa i szczegółowa. Badali wszelkie notatki, listy - co kto miał w kieszeniach, w portfelu czy w walizce. Było na sali kilkudziesięciu Polaków, Czechów i Niemców. U nikogo nie znaleźli niczego podejrzanego tylko u Wita, i to - legitymację harcerską, którą z wielkim triumfem oglądali, twierdząc, że jest to dokument ułatwiający jakoby przejście żołnierzowi na froncie na stronę nieprzyjaciela - do niewoli. Nonsens, który mógł się zrodzić w mózgownicy oficera zawodowego. Cała ta sprawa skończyła się na szczęście na strachu, bo w dowództwie pułku znaleźli się ludzie, którzy wykpili służbistego oficera. Jednakże dla zachowania prestiżu oficerskiego ukarali Wita, nie dopuszczając go do szkoły jednorocznych ochotników. Kara ta była dla Wita raczej korzystna, bowiem do szkoły poszedł, ale do następnego turnusu, co było równoznaczne z opóźnieniem wyjazdu na front. Z początku przejmowaliśmy się wszystkim bardzo, lecz z czasem przyszło zobojętnienie całkowite i przestaliśmy się denerwować z powodu głupoty przełożonych.

W mieście Hohenstadt bawiliśmy do połowy sierpnia 1915 roku, skąd przerzucono kadrę pułku do Piotrkowa: do tak zwanych terenów okupowanych. Sytuacja szokująca, gdyż jako Polacy przyjechaliśmy okupować tereny

polskie. Lecz byliśmy ukryci w mundurach austriackich i tragedia nasza była naszą wewnętrzną tajemnicą; niemniej niejednokrotnie rozmawialiśmy na te tematy z Witem i innymi kolegami z ławy szkolnej, pocieszając się, że sprawa polska musi skończyć się pomyślnie dla naszego narodu.

Z początkiem września grupa jednorocznych ochotników, czyli żołnierzy z cenzusem, odkomenderowana została do szkoły oficerskiej w Opawie na Śląsku Austriackim Zachodnim czyli do tak zwanej Reserve-Offiziers-Schule. Do szkoły tej odkomenderowywano kandydatów z licznych pułków, a towarzystwo przedstawiało sobą mozaikę wielu narodowości, stanowiąc odbicie stosunków panujących w owym czasie w Austro-Węgrzech. Sytuacja w szkole była dużo przyjemniejsza od tej, jaka panowała w wojsku. Dowódca szkoły, major Chlebowski, z pochodzenia Polak, dbał o to, ażeby elewowie traktowani byli zgodnie ze stanem oficerskim, boć przecież po skończeniu szkoły i powrocie do pułku mieli objąć stanowiska oficerskie. Ujemną stroną był nadmiar zajęć teoretycznych i praktycznych, co wywołało u wszystkich przemęczenie. Takie wspomnienie zachowałem po dziś dzień. W wolnych chwilach chodziliśmy z Witem do kawiarni-ciastkarni, gdzie dyskutowaliśmy o sprawach ogólnych, wyrażając niezłomną nadzieję, że po wojnie spotkamy się niewątpliwie w niepodległej Polsce, państwie o szerokich granicach, gdzie będzie można znaleźć odpowiednią dla siebie pracę. Były to, tak zwane przez nas, chwile marzeń, do których wciągaliśmy innych kolegów Polaków.

Pobyt w szkole w Opawie szybko dobiegł kresu i z końcem listopada 1915 roku znaleźliśmy się ponownie w kadrze naszego 100 pułku w Piotrkowie. Końcowy egzamin w szkole zdaliśmy z powodzeniem i uzyskaliśmy z Witem stopnie, które były odpowiednikiem sierżantów podchorążych, a nazywały się szumnie Einjäring-Freiwilliger Feldfebel Kadet-Aspirant. Ze względu na zbyt długą nazwę nazywano nas potocznie - kadetami. Mieliśmy na wyłogach naszywki z trzema gwiazdkami oraz prawo do noszenia szabli. Lecz równocześnie z nadaną nam szarżą zbliżał się termin wyjazdu ma front. Pułk 100 podzielony był w taki sposób, że trzy jego bataliony walczyły na froncie wschodnim, jeden natomiast na froncie zachodnio-włoskim. Uzupełnienie stanu bojowego na frontach dokonywane było przez wysyłanie mniej więcej w odstępach miesięcznych tak zwanych batalionów marszowych. Załoga batalionu marszowego podzielona była na poszczególne kompanie i bataliony, tak że wyjeżdżający w pole nie wiedzieli nigdy z góry, do jakiej formacji pułkowej będą przydzieleni.

JÓZEF GÓRNIAK
(c.d.n.)

WSPOMNIENIE O KSIĘDZU KAROLU KOŁTUNIU



Z wielkim zainteresowaniem zapoznaliśmy się z wydanym przez Harcerstwo Polskie w Republice Czeskiej opracowaniem „O harcerstwie spod kresowych stanic". Nie doszukaliśmy się jednak w nim żadnej wzmianki o druhu ks. Karolu Kołtuniu, pełniącym obowiązki kapelana harcerstwa, a później Legionu Zaolzie od 1938 do 1939 roku. Uzupełniając niejako tę lukę, zamieszczamy poniżej wspomnienie o Nim, opracowane przez kolegę Bronisława Molendę, byłego druha Drużyny Harcerskiej im. P. Skargi w Stonawie.

Byli druhowie HPC Koła Macierzy Ziemi Cieszyńskiej w Katowicach

W dniu 24 czerwca 1982 roku zmarł w Krakowie ks. Karol Wiesław Dlopolski, urodzony w 1860 r. - właściwe nazwisko Kołtuń, rodak z Zabłocia pod Boguminem, zasłużony organizator akcji charytatywnych, kapelan Harcerstwa Polskiego w Czechosłowacji w okresie międzywojennym. Po wojnie przeniósł się do Opola. Był m.in. dyrektorem Krajowej Centrali Caritas, organizatorem domów opiekuńczych i kolonii letnich dla dzieci. Dzięki znajomości języków obcych reprezentował za granicą polską kościelną akcję charytatywną.

Powyższą notatkę znalazłem w Kalendarzu Śląskim na rok 1997, na stronicy 28 (miesiąc czerwiec). Jest tam również rok urodzenia - 1860 - błędnie podany, bo w roku swojej śmierci ks. K. Kołtuń musiałby mieć 122 lata. Dzięki pomocy siostry zmarłego Alojzji, byłej drużynowej żeńskiej drużyny HPC w Nowym Boguminie, mogłem ustalić właściwą datę urodzenia: 6 czerwca 1914 roku.

Ks. Karol Kołtuń pojawił się w mojej rodzinnej Stonawie jako wikary. Wkrótce zasłynął tu jako świetny kaznodzieja. Jego donośny głos, doskonała dykcja i mimika, a zwłaszcza bardzo dobre przygotowanie do kazań nie pozwalały nikomu nudzić się w kościele. Stonawianie, zawsze patriotycznie nastawieni i zahartowani w bojach z Czechami o swoją polską tożsamość, szybko wyczuli w religijnych kazaniach nutę nadziei na powrót Polski na Zaolzie.

Czesi czujnie śledzili działalność duchownego, zwłaszcza że w krótkim czasie skupił wokół siebie młodzież harcerską i młodzież katolicką, zorganizowaną w Stowarzyszeniu Młodzieży Katolickiej.

Szczególną troską księdza było harcerstwo i nic dziwnego, że został kapelanem HPC. Był częstym uczestnikiem ognisk harcerskich i pomocnikiem przy organizowaniu obozów harcerskich, zwłaszcza tego pod Godulą. Tam też po nocnym alarmie wszyscy uczestnicy ruszyli na górę, a po rozpaleniu ogniska najmłodsi składali przyrzeczenie harcerskie.

Codziennie rano i wieczorem odbywały się apele, w czasie których druh obozowy Włodzimierz Hebda składał raport komendantowi obozu ks. Kołtuniowi. Wieczorem na zakończenie dnia śpiewano: „Idzie noc". Potem druhowie rozchodzili się do swoich namiotów, a przy dopalającym się ognisku pozostawało dwóch wartowników.

Tego dnia apel trwał krótko, bo po słonecznym dniu pod wieczór zaczął mżyć ciepły deszczyk. Noc zapadła wcześnie, a ciemności rozjaśniał tylko blask dopalającego się ogniska i pełzających po drewienkach płomyków. Za namiotami od strony lasu panowały zupełne ciemności. Zawsze nocą druh Hebda lub druh komendant obchodzili teren obozu, upewniając się, czy wartownicy są na miejscach oraz by im dodać otuchy, bo niekiedy służbę pełnili zaledwie trzynastoletni chłopcy.

Tej nocy na obchód wyruszył ks. Kołtuń. Porozmawiał z wartownikami i poszedł dalej, lecz kiedy tylko znalazł się za namiotami, od strony lasu wyskoczyło kilku drabów, którzy zaczęli go szarpać i bić. Na szczęście zdążył głośno krzyknąć: Na pomoc. Wartownicy zaczęli gwizdać na alarm, a to wystarczyło, by poderwać cały obóz na nogi. Ruszyliśmy dwójkami w las, ale napastnicy zdążyli uciec.

Poturbowanego komendanta odprowadziliśmy do obozu, gdzie zajęli się

nim sanitariusze. Nie ulegało wątpliwości, że napaść na ks. Kołtunia była przygotowana i wykonana przez wrogie mu bojówki jako odwet za antyczeskie wystąpienia. Od tego wydarzenia nie byliśmy już niepokojeni i po zakończeniu obozu wszyscy szczęśliwie wróciliśmy do swoich rodzin.

Pewnego dnia tuż po południu przyszedł do naszego domu „na Kopcu" ks. Karol osobiście ku zaskoczeniu wszystkich, a zwłaszcza mojej mamy, prosząc ją o zgodę na awansowanie mnie na swojego adiutanta i zabranie na objazd obozów harcerskich. Oczywiście sprzeciwu nie było.

Jeździliśmy od obozu do obozu, począwszy od Oldrzychowic, a skończywszy w Dobracicach, spędzając w każdym z nich po kilka dni. Oprócz wielu obowiązków do mnie należało także wczesne wstawanie i służenie do mszy w roli ministranta. O funkcji ministranta nie miałem najmniejszego pojęcia, ale ks. kapelan nie czynił z tego żadnego problemu: Będziesz robić to, co ci polecę. A zresztą, dasz sobie radę.

Do ołtarza wychodził z zakrystii w sutannie, a ja za nim w mundurku, trzymając oburącz mszał, który kładłem na pulpicie po prawej stronie ołtarza. Nie było żadnego dzwonienia, a gdy nadszedł właściwy moment, usłyszałem: Przenieś mszał na drugą stronę. Rozkaz wykonałem sprawnie i znów uklęknąłem na stopniach ołtarza. Potem było: Przynieś ampułki - i tak do końca mszy, aż ksiądz Karol ruszył do zakrystii, a ja za nim, niosąc mszał. Nasze msze odbywały się nadprogramowo, więc w kościele nie było prawie nikogo.

Nadeszła niedziela i została zapowiedziana uroczysta msza św. z udziałem obozu męskiego i żeńskiego. Kościół był pełny. Ksiądz Kapelan ubrał się w przepisowy strój liturgiczny, ja jak zawsze byłem w mundurku. Ze mszałem w rękach czekałem, aż ksiądz ruszy do ołtarza, ale on stał i nagle rzekł: No, dzisiaj ty pierwszy. Szybko ruszyłem do wyjścia, ale zatrzymały mnie słowa: Zadzwonić. Z prawej strony wisiała szeroka haftowana wstęga. Złapałem za nią i szarpnąłem - raz i nic, drugi raz i też nic. Za trzecim razem szarfa spadła na ziemię i odsłoniła gruby sznur, który umożliwił mi oddzwonienie naszego wejścia. Brać harcerska, widząc moje zmagania, pękała ze śmiechu, ale gorzej było z kościelnym, który, mrucząc coś pod nosem, zbierał szarfę z podłogi. Potem poszło już wszystko sprawnie, bo kilkudniowe „zdalne sterowanie" dawało efekty i do mszy służyłem już należycie.

W Dobracicach były dwa obozy: męski i żeński, oddalone od siebie o około 1,5 km. Obóz męski położony był tuż nad rzeczką, miał tym samym lepsze warunki niż obóz harcerek, założony nad strumykiem. Wieczorne ogniska organizowano wspólnie, najczęściej w obozie harcerzy. Po zakończeniu spotkania dziewczyny maszerowały polnymi miedzami do swojego obozu.

Pewnego wieczoru ks. Kołtuń powiedział do mnie: Nie kładź się spać, pójdziemy na inspekcję do harcerek. Wyruszyliśmy około północy. Towarzyszył nam inspektor harcerski z Salmopola. Kiedy zbliżyliśmy się do obozu, rozległy się gwizdki, a z namiotów wyroiły się harcerki w pełnej gali. Stanęły murem przy lince wyznaczającej teren obozu, a groźne: Stój - kto idzie? osadziło nas w miejscu. Światła latarek raziły w oczy. Było oczywiste, że komendantka, uprzedzona o naszej wizycie, trzymała cały obóz w pogotowiu. Było trochę śmiechu, ale już w drodze powrotnej kapelan i instruktor podjęli decyzję: Jutro je zaskoczymy.

Rzeczywiście na drugi dzień po ognisku wyruszyliśmy znowu w trójkę w kierunku obozu harcerek. Tym razem podeszliśmy przez zarośla od strony strumyka, nie zachowując ciszy. Kiedy tylko wyszliśmy na otwartą przestrzeń, rozległy się gwizdki, błysnęły światła latarek, a naszym oczom ukazał się tłumek dziewczyn ubranych w piżamy, koszule, odzianych w koce i w byle co. Nawet nie zapytano, kto idzie, a już zaczęły padać koło nas pierwsze kamienie. Nie ulegało wątpliwości, że obóz jest dobrze strzeżony i przygotowany do obrony. Donośny głos ks. kapelana ogłosił rozejm: Dosyć tej kanonady, swój idzie. Głośny wybuch śmiechu, piski i gwar, jaki nastał, dobitnie świadczyły o napięciu nerwowym, jakie przeżyły te dzielne druhny.

Lato 1938 roku było nacechowane wzmożoną działalnością harcerzy. Wielu przedostawało się do Polski przez „zieloną granicę". Późnym wieczorem, grając na mandolinach i gitarze, podchodziliśmy pod granicę w rejonie Marklowic, co miało na naszej grupie skupić uwagę Czechów, a w tym czasie niedaleko kolejny uciekinier przekraczał granicę. Nie wiem, w jakich okolicznościach przedostał się do Polski ks. Kołtuń, ale kiedy Legion Zaolzie wracał, to na jego czele kroczył ksiądz w sutannie i furażerce wojskowej na głowie. Był to nasz kapelan ks. Karol Kołtuń.

Zamieszkał w Cieszynie. Z chwilą wybuchu wojny wycofał się z wojskiem aż do wschodnich granic Polski. Tam zmienił imię i nazwisko na Wiesław Dłopolski. Pracował jako robotnik w lesie. Po pewnym czasie dotarł do Lwowa do diecezji lwowskiej. Wrócił wraz z repatriantami i osiadł w Opolu. Tu powierzono mu opiekę nad domami dziecka i klasztorami. W 1950 roku został powołany do kierowania kościelną organizacją Caritas w Krakowie. Na tym stanowisku pracował do 1982 roku. Zmarł 24 czerwca 1982 roku i został pochowany na cmentarzu Salwator w Krakowie.

BRONISŁAW MOLENDA











migawki ze
ZLOTU MŁODZIEŻY
w Wędryni
28 lipca 2001



WAKACJE Z POLONUSAMI

Na początku lipca w Boszkowie pod Poznaniem odbył się Światowy Zlot Młodzieży Polonijnej Orle Gniazdo 2001, zorganizowany przez Wielkopolski Oddział Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Poznaniu. Na ten dziesięciodniowy pobyt wyjechałem z Zaolzia wraz z piętnastką moich przyjaciół.

W tym roku do swojego gniazdka orzełki zlatywały się już po raz trzeci. Tym razem było nas ok. 250 z trzech kontynentów. Zjechali się uczestnicy z Kanady, z krajów byłego Związku Radzieckiego (w tym młodzież z azjatyckiej części Rosji), Bułgarii, Węgier, Niemiec, Norwegii i innych państw europejskich, a więc niezła mieszanka kulturowa. Organizatorzy przygotowali dla nas fantastyczny program, który nie dawał nam chwili wytchnienia.

Zlot rozpoczął się dwudniowym pobytem w Poznaniu, podczas którego zwiedziliśmy zabytki miasta. Był też przygotowany wypad do kręgielni, a wieczorem dyskoteka w klubie studenckim. W niedzielę przewieziono nas specjalnym pociągiem trakcji parowej i wagonami retro z Poznania do Boszkowa, małej wioski nad jeziorem, która w sezonie letnim zamienia się w ośrodek turystyczno-wypoczynkowy. Popołudniu odbyła się Msza święta i uroczyste otwarcie Zlotu w Bukówcu Górnym. Następnego dnia rozpoczął się tydzień pełen wrażeń. Przygotowano dla nas wyjazd na basen do Leszna, zwiedziliśmy wystawę ptaków w Przemęcie, były przejażdżki bryczką, jazda konna, wycieczki rowerowe, pływanie na kajakach i rowerach wodnych. Specjalnie dla nas odbył się koncert zespołu rockowego Żuki oraz zespołu country z Lubonia. Po koncercie Żuków przygotowano niespodziankę w postaci wspaniałego pokazu ogni sztucznych. We wtorek wystąpił dla nas zespół pieśni i tańca z Bukówca Górnego, który zaprezentował nam tańce i przyśpiewki regionalne. Podczas dnia szlacheckiego na zamku w Rydzynie, oprócz pokazu walk średniowiecznych, wysłuchaliśmy koncertu orkiestry zamkowej. Bawiliśmy również na festynie w Muzeum Etnograficznym w Ochli, gdzie zapoznaliśmy się z życiem w dawnej Wielkopolsce. Poczęstowano nas chlebem ze smacznym smalcem, a do tańca przygrywała kapela dudziarzy. Największą atrakcję nie tylko dla męskiej części zlotowiczów przygotowano w środę wieczorem, kiedy to członkowie Klubu Magneto Poland z Poznania zaprezentowali nam swoje motocykle, a chętnych zaprosili na krótką przejażdżkę. W przedo-

statni dzień Zlotu odbyły się mecze piłki nożnej oraz siatkówki między kadrą a uczestnikami Zlotu. Oba mecze zakończyły się wygraną młodzieży polonijnej, a nas Zaolziaków cieszyć może fakt, że połowę drużyny siatkarek tworzyły „nasze dziewczyny". Jednak zlot polonijny to nie tylko zabawa i odpoczynek. W tym roku oprócz wyżej wymienionych atrakcji organizatorzy przygotowali dla nas warsztaty zainteresowań, np. fotograficzny, taneczny , plastyczny czy wikliniarski, których zadaniem była integracja Polonusów. Wyniki swojej pracy na wybranych zajęciach uczestnicy zaprezentowali w sobotę podczas uroczystego zakończenia. Na pożegnanie wszyscy bawili się na dyskotece pod gołym niebem.

Podczas Zlotu zajmowali się nami wspaniali piloci, głównie absolwenci lub studenci poznańskiego AWF-u, znani uczestnikom poprzedniego spotkania. Dzięki nim cały pobyt odbył się w bardzo przyjacielskiej i miłej atmosferze. Zaś dzięki organizatorowi Orlego Gniazda – Wielkopolskiemu Oddziałowi Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Poznaniu – mieliśmy możliwość poznać Polaków z najróżniejszych zakątków świata, a przy okazji spędzić wspaniałe wakacje. Wszystkim, którzy nie wykorzystali tej okazji, nie pozostaje nic innego niż czekać następne dwa lata, zanim orzełki znowu wrócą do gniazda białego orła w koronie.

DARIUSZ SZYNDER
fotografia autor









OBÓZ SZKOLNY

PSP w Mostach koło Jabłonkowa
i 14 dzieci z zaprzyjaźnionej Szkoły
Podstawowej z Pogwizdowa
(w Polsce)

w DOMKU PZKO
w Ligotce Kameralnej
9 – 18 lipca 2001

Konkurs obozowy „o najlepszą parę ludzików dziko-wodno-leśnych"

54. GOROLSKI ŚWIĘTO W JABŁONKOWIE

Dwudniowe sobotnio-niedzielne 54. już Gorolski Święto w Jabłonkowie, wzbogacone o wiele imprez towarzyszących, które stanowi również część przebiegającego po polskiej stronie Tygodnia Kultury Beskidzkiej, odbyło się 4 i 5 sierpnia.

W poprzedzający je piątek zagaił prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa w jabłonkowskim ratuszu na uroczystym wernisażu wystawę prac 14 plastyków działających w Stowarzyszeniu Artystów Plastyków przy ZG PZKO. Wystawa taka odbyła się w ramach Gorolskigo Święta po raz pierwszy.

Sobota – zwana młodzieżową, zakończona nocnym Karnawałem Gorolskim, gdzie przy dźwiękach orkiestry Rivieras bawiła się przede wszystkim młodzież, rozpoczęła się od Biegu o Dzbanek Mleka. Wystartowało w nim 117 zawodników, wśród zawodników w wieku od 3,5 roku do 68 lat zwyciężył Jakub Gazurek.

Rankiem wyruszyło też na osiem różnej długości tras Rajdu o Kyrpce Macieja, którego współorganizatorem był PTTS Beskid Śląski, z Gródka, Nawsia, Mostów koło Jabłonkowa i Stożka 140 turystów, którzy do godziny 15.00 dotrzeć musieli do jabłonkowskiego Lasku Miejskiego. Tam czekały na wszystkich dyplomy, zaś najstarszy uczestnik 83-letni Kazimierz Gajdzica z Karwiny, a wśród pań 75-letnia Milena Jelínkowa z Hawierzowa, i najmłodszy, którym była 4-letnia Zuzanna Rucka z Orłowej, otrzymali góralskie kyrpce.

W sali wystaw w Starym Klasztorze otwarto też w sobotę wystawę, którą przygotował kierownik Izby Regionalnej Leszek Richter, przy współpracy Ośrodka Dokumentacyjnego Kongresu Polaków, nazwaną „Tkactwo w Jabłonkowie. Poeta Adam Sikora", z okazji mijającej w tym roku 130. rocznicy śmierci tkacza-poety Adama Sikory z Jabłonkowa. Zaprezentowano cały warsztat tkacki, jak również produkty pracy tkaczy oraz stare dokumenty. Znalazły się tu także, w części poświęconej Adamowi Sikorze, m.in. rękopisy autora, które udostępniła Anna Młynek. Jesienią wystawę można będzie obejrzeć w Czeskim Cieszynie.

Inną tradycyjną imprezą, która po raz dziewiąty już w sobotni wieczór miała miejsce na Gorolskim Święcie, była Kawiarenka Pod Pegazem pod hasłem „Od Hadama do Hanki" w Domu PZKO. W niedzielne przedpołudnie obok wejścia do Domu PZKO odsłonięto tablicę pamiątkową Karola Piegzy.

Na scenie Lasku Miejskiego w sobotnie popołudnie przedstawiły się najpierw zespoły dziecięce: Lipka z Bukowca, Nowina z Jabłonkowa,

z Polski Goroliczki spod Brennicy, następnie Tyrka z Oldrzychowic i Vonička ze Zlína. Później zatańczyli już dorośli. Hiszpanię reprezentował zespół Echentive z Wysp Kanaryjskich, Polskę Regle z Poronina, Słowację Vtáčnik z Prievidzy. Konferansjerami byli w sobotę i w niedzielę Romana Janik i Marcin Filipczyk, w sobotę towarzyszył im Chrystian Heczko.

Program niedzielny rozpoczął się o godzinie 9.00 na rynku jabłonkowskim koncertem kapeli ludowych Nowina i Jackové z Jabłonkowa, Vtáčnik, Kunovjan z Uherskiego Hradziszcza i polskiej Decybeli oraz miejscowej orkiestry dętej. Zaś w Lasku Miejskim grała kapela Olza.

W południe ruszył z rynku do Lasku Miejskiego tradycyjny pochód. Wzięli w nim udział członkowie zespołów i oficjalni goście, wśród których znaleźli się m.in. konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis oraz konsul Małgorzata Filipek, wojewoda śląski Wilibald Winkler, starosta powiatu cieszyńskiego Witold Dzierżawski, prezes Bielskiego Oddziału Stowarzyszenia Wspólnota Polska Wojciech Dębowski, przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP oraz Ministerstwa Kultury RC, delegacje Urzędów Powiatowych we Frydku Mistku i w Karwinie z naczelnikiem Karolem Siwkiem, przedstawiciele Euroregionu Śląsk Cieszyński z polskiej i czeskiej strony, delegacje sąsiednich gmin z obu stron granicy. Nie zabrakło wozów alegorycznych z pobliskich Kół PZKO, zaś na czele pochodu jechał góral (Michał Ryłko) na koniu. Przybywających do Lasku Miejskiego przedstawiał Tadeusz Filipczyk. Na trombicie zagrał Andrzej Mozgała. Wystąpiły połączone chóry Gorol z Jabłonkowa, Melodia z Nawsia i Przełęcz z Mostów koło Jabłonkowa oraz zespoły Wisła, Jackové i Oldrzychowice, które przygotowały także scenki rodzajowe związane przede wszystkim ze zbiorem zboża. Wieniec dożynkowy i chleb odebrał następnie starosta Jabłonkowa Petr Sagitarius, kołacze prezes MK PZKO Jan Ryłko, gospodarze imprezy.

Następnie zatańczyła Olza, a potem już goście z Rexburga z USA oraz reprezentanci Słowacji zespół Vtáčnik, Moraw zespół Kunovjan i Polski zespół UMCS z Lublina.

Nie zabrakło jak co roku Koliby Wydawców z szeroką ofertą publikacji z Polski i naszego regionu. Wybrano najlepszy wóz alegoryczny: „stawiani moja" z MK PZKO w Bukowcu. Wśród 30 stoisk znalazło się 19 pezetkaowskich, gdzie można było spróbować dań regionalnych, komisji oceniającej najlepiej smakowała kapuśnica z Boconowic, bachora z Piosecznej, placki Goroli i Nowiny oraz borówczoki z Piosecznej i lejoczki z Jabłonkowa.

C.R.

OPOWIADANIA o naszym GOTOWANIU



MK PZKO w Skrzeczoniu POLECA

to 312 stronicowa publikacja autorstwa Franciszka Bałona obejmująca 215 przepisów (z czego duża część ma po kilka modyfikacji) uzupełnionych ponad 80 kolorowymi fotografiami

Poszczególne przepisy zawarte w książce mają formę szczegółowego opisu przygotowania danej potrawy (co ocenią szczególnie mniej wtajemniczeni w niuanse umiejętności gotowania), w wielu wypadkach opisy te uzupełnione są dodatkowymi wersjami oraz wspomnieniami i dygresjami z historii naszej kuchni, zwyczajów i tradycji związanych z gotowaniem. Obok spisu składników przy każdym przepisie są symbolami określone – koszty (niskie, średnie, wysokie), trudność wykonania (łatwe, trudne) i orientacyjna wartość kaloryczna jednej porcji.

Całość podzielona jest na 12 rozdziałów: **Rosoły** i zupy; **Sosy; Mięsa; Gulasze;** Mięsa w potrawce i z innymi dodatkami; **Ryby** i owoce morza; **Potrawy na zimno; Potrawy warzywne,** bezmięsne i z małym dodatkiem mięsa; **Królestwo ziemniaka; Zapiekanki; Przygotowane w mig,** też z tego, co pozostało w lodówce; **Gotowanie na świeżym powietrzu; Surówki i sałatki.**



Znajdą więc czytelniczki (i czytelnicy!) w OPOWIADANIACH O NASZYM GOTOWANIU opisy przygotowania naszych, tradycyjnych na Śląsku potraw: od kapuśnicy, różnego rodzaju placków, klusek, po bachora... Znajdą tam również tradycyjne potrawy kuchni polskiej jak: żur, krupnik, flaczki, polski szary sos, przez kołduny, gołąbki, bigos, aż po pieczone w całości prosię... Niewielki procent opisów to atrakcyjne dania z kuchni Europy i świata: od borszczu przez ziemniaczankę rodem z Indii, łososia na sposób norweski, po mięsa przygotowywane na sposób chiński i japoński, potrawy z kuchni węgierskiej, żydowskiej i wiele, wiele innych. Całość uzupełnia rozdział porad i informacji kulinarnych.

Współwydawcą i dystrybutorem książki kucharskiej OPOWIADANIA O NASZYM GOTOWANIU jest MK PZKO w Skrzeczoniu

Wstępnie ustalona **cena** książki będzie w wysokości **195 Kč.**
Można więc nabyć książkę z ponad 200 przepisami kucharskimi za cenę jednego świątecznego obiadu w dobrej restauracji.
Zniżkę 10 Kč otrzymają nabywcy, którzy złożą rzetelne zamówienie na adres:
– MK PZKO Skrzeczoń, 1. maje 267, 735 31 Bohumín-Skřečoň, listownie albo **bezpośrednio w bibliotece w Domu PZKO w Skrzeczoniu**, w poniedziałki od godziny 15.00 do 17.30, w poniedziałki w godzinach od 15.00 do 20.00 również telefonicznie pod numerem 069/6033098, e-mail: t.guziur@volny.cz
– redakcji ZWROTU przy ul. J. Bożka 16 w Czeskim Cieszynie, listownie czy osobiście w dniach od poniedziałku do piątku, w godzinach od 8.00 do 15.00, telefonicznie pod numerem **0659/712261**, e-mail: zwrot@pzko.cz
Szczegółowe informacje o dystrybucji książki w Zwrocie 10/2001

STRONICE SPONSOROWANE PRZEZ MK PZKO SKRZECZOŃ













GOROLSKI ŚWIĘTO w sobotę



















GOROLSKI ŚWIĘTO
w niedzielę











POEZJA LUDOWA W KAWIARENCE POD PEGAZEM

65. spotkanie w Kawiarence Pod Pegazem, a 9. podczas Gorolskigo Święta odbyło się w jabłonkowskim Domu PZKO 4 sierpnia. Zorganizowane przez Miejscowe Koło PZKO w Jabłonkowie, Zarząd Główny PZKO i Zrzeszenie Literatów Polskich w RC nazwane zostało „Od Hadama do Hanki – żywy koncert poezji ludowej". Licznych, jak zwykle podczas Świętogóralskiej Kawiarenki, słuchaczy, wśród których nie zabrakło przedstawicieli wielu środowisk literackich z RC i Polski, powitał prezes jabłonkowskiego Koła Jan Ryłko. W temat zaś, scharakteryzowany jako spotkanie o źródłach kultury ludowej, wprowadził jeden z kawiarenkowych gospodarzy poeta Jan Pyszko. O intermedia muzyczne na trombicie i gajdach ze śpiewem postarali się Bogusław Stonawski, Andrzej Mozgała i Otmar Kantor. Całość programu przeplatana była tekstami autorów, których twórczość omawiano, w wykonaniu tradycyjnego interpretatora brzmiącej w Kawiarence poezji i prozy Karola Suszki. Teksty te zresztą ukazały się przy tej okazji w małej antologii.

Pierwsza część spotkania miała bardziej naukowy charakter, złożyły się na nią bowiem dwa wykłady. O „Poezji ludowej na zaolziańskim Śląsku

Cieszyńskim" mówił Daniel Kadłubiec. Zwrócił uwagę na fakt, że na Śląsku kultura plebejska jest szczególnie widoczna. Zawsze istniały tu dwa języki: język oficjalny, urzędowy oraz język plebejski, który był językiem autochtonów. Podkreślił, że gwara, czyli język ludności miejscowej, który zresztą w XVI wieku nie różnił się prawie od polskiego języka literackiego, nie jest gorsza od języka literackiego, ma ponadto ogromną siłę utożsamiania, mówi, skąd jesteśmy i dokąd zdążamy. Podał kilka przykładów wyrażeń gwarowych wywodzących się z języka staropolskiego. Ograniczony limit czasowy nie pozwolił na rozwinięcie tematu. Jednak zainteresowani dziejami cieszyńskiej ojczyzny polszczyzny mogli już podczas tego spotkania nabyć wydaną w tym roku książkę, której autorami są Karol Daniel Kadłubiec i Władysław Milerski, a która nosi tytuł właśnie „Cieszyńska ojczyzna polszczyzna".

„Z miłości do ziemi i ludzi" – tak nazwano w zapowiedzi Świętogóralskiej Kawiarenki wykład, w którym Kazimierz Kaszper nakreślił sylwetki najwybitniejszych poetów ludowych zaolziańskiej dziś części Śląska Cieszyńskiego, począwszy od Adama Sikory, jabłonkowskiego tkacza z połowy XIX wieku, poprzez nieżyjących Karola Piegzę, Adama Wawrosza, Ewę Milerską, Władysława Młynka, obecną na spotkaniu Anielę Kupiec, po przedwcześnie zmarłą Annę Filipek. Jego wywód przerywany był częstymi przykładami ich twórczości w wykonaniu Karola Suszki.

Bardziej osobisty charakter miała druga część spotkania, której organizatorzy dali tytuł „Na śćmiywku – nieliryczny posiad poetycki". Autorka dwóch tomików poetyckich (trzeci jest na razie w rękopisie) i jednego tomu opowiadań gwarowych Aniela Kupiec odpowiedziała na pytania, dlaczego zaczęła pisać i co jest dla niej głównym źródłem inspiracji. Opowiedziała o tym, jak to nierozumiana i wyśmiewana przez swoje najbliższe otoczenie zaczęła zapisywać swoje spostrzeżenia, ponieważ już od dzieciństwa widziała świat inaczej niż inni ludzie wokół niej. Inspiracji szukała głównie w związku z przyrodą i jej oddziaływaniem na uczucia człowieka.

O swej mamie Annie Filipek mówiła oraz wiersze jej prezentowała córka Jola. Chyba każdy z nas umiałby znaleźć kawałek siebie w jej opowiadaniach – podkreśliła. Jaka była autorka wierszy i opowiadań Anna Filipek? Wrażliwa na piękno, przyrodę, Boga i dobro w człowieku. Najważniejsze problemy, które ją nurtowały, to m.in. czechizacja regionu, ucieczki młodych do miast, podkreślała wartość wiary jako codziennego pokarmu duchowego. Umiała ze wszystkimi i z wszystkim się zgodzić, była pogodzona i ze śmiercią. Była normalna – podsumowała córka Anny Filipek.

C.R.

WIESŁAW JANUSZ MIKULSKI

Z CYKLU „SAMOTNOŚĆ GWIAZD"

* * *

wypijamy puchar ciszy
gdy zmierzch zamyka nam oczy
gdy niebo nasycone jest czerwienią
gdy do gniazd powracają
utrudzone ptaki
a miłość uśmiechem pamięci
otula nasz sen...

* * *

słońce rozlewa
czerwoną strugę światła
wzbierają rzeki zapachów
polnych kwiatów
na rozstajnych drogach nocy i dni
żłobią się koleiny marzeń
cisza zasypia w karuzeli gwiazd
pośród kwiatów
które stuliły swe płatki...

* * *

Odbijamy miłość jak piłki
o ściany czasu
zwichrowane wiatrem nie wracają
do nas
na ulicach zmęczonymi nogami
wystukujemy takty tęsknoty
w spotkaniu z sobą podajemy dłonie
odbite od siebie jak piłki

* * *

dzień oślizguje się z drzewa słońca
cieniem nocy
nasz sen worał się
w spokojny oddech serc
uniesie go w ramionach świtu słońce
złotych promieni oplecie bluszcz

* * *

na widnokręgu rozlewa się światło barw
i zapach nieba

na kwiatach srebrzą się kropelki słońca
niby gwiazdy śpią na płateczkach bzów

słońce płonie i płonie miłość
moja tęsknota za Tobą

* * *

słońce wschodzi niejeden raz
niejeden raz zachodzi
kładąc się ogniem na twą twarz

i kwiaty wschodzą niejeden raz
i kwitną raz niejeden
gdy je otuli słońca blask...

* * *

w Twoich oczach odbija się blask gwiazd
lśnią oczy Twoje jak diamenty
wśród mroku
swoją dłonią obejmujesz ciemność nocy
i usypiasz ją w milczeniu
pierś Twoja faluje jak spokojne morze
pełne miłości wśród głębin snu
ożywczych wód mojego życia...

JERZY MARCINIAK

NAJLEPSZY SPRZEDAWCA

Wykształcony jestem, można powiedzieć – wystarczająco dobrze; studia ekonomiczne, podyplomowe studia z zakresu handlu zagranicznego i zaliczony semestr w modnej tak ostatnio szkole biznesu. Żona również w tym względzie nie odstaje ode mnie – Katolicki Uniwersytet Lubelski i Uniwersytet Warszawski.

Postanowiliśmy założyć elegancki salon obuwniczy. Przeprowadzona na nasze zlecenie przez zagraniczną firmę konsultacyjną analiza rynku wyglądała bardzo zachęcająco. Liczyliśmy również i na to, że nasze fachowe przygotowanie i znajomość języków obcych daje nam zdecydowaną przewagę nad innymi sklepami w okolicy. Firma konsultacyjna podzielała nasze zdanie. Słowem, spodziewaliśmy się znacznych profitów, ale... ale mimo to musieliśmy wkrótce zamknąć salon, gdyż przynosił więcej strat niż zysków i to pomimo usilnych starań z naszej strony, by go utrzymać, łożenia na reklamę, na promocję czy stosowanie obniżki cen. Dla klientów byliśmy grzeczni, uprzejmi – można nawet powiedzieć, że serdeczni, a mimo to...

Wtedy przyszedł do nas pan Staszek, który budził zawsze szczególne zainteresowanie mojego dziadka, i zaproponował, że wysprzeda nam na rynku wszystko, co jest jeszcze w sklepie do sprzedania, to nie poniesiemy dodatkowych strat, tylko zostaniemy przy tych, które już narobiliśmy.

Był trochę podpity... Żona wzruszyła ramionami, ja też w pierwszej chwili nie odpowiedziałem na jego propozycję, ale on się tym nie przejmował, rąbnął się pięścią w piersi i powiedział: U mnie słowo to jest słowo.

W poniedziałek wieczorem przyszedł pod sklep z dwukołowym wózkiem na szerokich, balonowych kołach i zaczął szybko wynosić towar ze sklepu. Porę tę wyznaczyła żona, gdyż, jak powiedziała, wieczorem nie

poodstrasza nam klientów swoim wyglądem... Czuć było znowu od niego wódkę. Żona stała przy kasie zrezygnowana, trochę zła, przygryzała nerwowo dolną wargę i coś wystukiwała wskazującym palcem na minikomputerku. Pan Staszek załadował wózek, przewiązał go wzdłuż i wszerz białym sznurkiem i szybko odjechał – wszystko prawie bez słów.

Obserwowałem go uważnie kątem oka, gdyż przypominało mi się to, co dziadek Piotr opowiadał o żołnierzu ze stacji w Irkucku. Według tych opowieści żołnierzem tym miał być ojciec pana Staszka. Zwłaszcza żyły miały mu tak samo nabrzmiewać niebieskawo na skroniach i szyi, gdy mówił głośno albo krzyczał. Do tego ten sam nos, ta sama czupryna i identyczny sposób chodzenia. Dziadek opowiadał: Pociąg odchodził na front, orkiestra wojskowa grała ruskije narodnyje piesni, trzech kozaków śpiewało: on nakaniec jawiłsia w dom, potem – piesnia o Rosiji... Żołnierze i poborowi wsiadali, żegnały ich matki, żony, narzeczone, do innych wagonów wnoszono skrzynki z amunicją, koce, na platformach stały działka przeciwlotnicze... I wtedy ktoś wyciągnął tego żołnierza z wagonu, jakiś oficer podszedł do niego, rozerwał mu bluzę munduru i koszulę na piersiach, aż guziki posypały się na peron, i wrzasnął: czto eto!... Żołnierz miał na ciele białe plamy... był to trąd. Tiebie nie nada, ty boleń... Żołnierz zaczął wciskać się z powrotem do środka pociągu, ja chaczu na front... na Giermańca... Mówił trochę po rosyjsku, trochę po ukraińsku. Oficer uderzył go w kark kolbą pistoletu i powalił na peron, żołnierz podniósł się z ziemi, otarł krew z twarzy i zawołał: maja strana darogaja, maja radzina... Zakrztusił się krwią, pociąg ruszył, kobiety i dziewczyny zaczęły biec za pociągiem, machały białymi chusteczkami, rękami, płakały, orkiestra grała, a on klęczał na peronie i łkał... wajna, barba... mnie nada na front... na front...

We wtorek wieczorem pan Staszek przyniósł nam pieniądze za pierwszą partię butów. Tylko jedna para mi została, powiedział, ale upchnę ją w piątek, na deszcz się zanosiło, a mam trochę chore serce i takie ciężkie powietrze mi szkodzi.

Załadował wózek do pełna nowym towarem i tak jak za pierwszym razem – szybko odjechał.

W piątek wieczorem przyniósł ponownie pieniądze. Nie powiedział, ile sprzedał, ale żona dosyć szybko obliczyła, że winien jest jeszcze za dwie pary; on w tym czasie załadował nową partię towaru. Chciałem nawet mu

pomóc, ale żona mi odradziła: ludzie zobaczą, szepnęła, wezmą nas na języki i...

– Postaram się we wtorek sprzedać wszystko, bo ostatnio zostawało mi po jednej parze... z tym, że w jednej z nich numeracja się nie zgadza, wielkość butów, przez pomyłkę sprzedałem tak... może ktoś przyniesie z powrotem, zareklamuje, to się wyprostuje – kiwnął głową i odszedł. Widać było po nim, że nie jest całkiem zdrowy.

Żołnierza tego zobaczył dziadek po kilku miesiącach, też na tym samym dworcu. Grupka paru Rosjan, jacyś Tatarzy w szarawarach i Czerkies w czapce z rysia na głowie otaczali jakiegoś dygnitarza. Jeden z Rosjan wskazał palcem na nich siedzących na tobołach i taką łamaną polszczyzną, w której było chyba więcej wyrazów rosyjskich niż polskich, powiedział: polaki one... A potem dodał: u nas adna łąka, ług, ma takuju powierchnost jak cała Polska, tolko, że nie ma kto zbierać siana, żatwa, pałowa mężczyzn siedzi w łagrach, a druga pałowa ich pilnuje... stoju na straża... baby koszo kosami, żać, sobirać urażoj, ale co to z baby za kosiarz. Dygnitarz ze zrozumieniem przytaknął głową. Ktoś inny dodał: w naszym kołchozie to samo... I po chwili znów odezwał się ten pierwszy: co tam Polska, małyj kraj, my takoj abszar to w kołchozie puścilim ugorem i nawet nam zbiory nie zmalały, żatwa... Wtedy rozległ się strzał, dygnitarz osunął się miękko na ziemię, a ubranie zaczęło nasączać mu się krwią, żołnierz schował pistolet za pasek spodni i szybko zniknął pomiędzy wagonami towarowymi stojącymi na bocznych torach. Zza wagonów krzyknął: niech żyje Polska! Dziadek był prawie pewny, że to strzelał ojciec pana Staszka.

Próbowałem kilkakrotnie opowiedzieć to żonie, ale jakoś nie miała nigdy ochoty wysłuchać tego do końca. E tam, stare dzieje, mówiła, nie ma co do tego wracać, tym bardziej, że zastrzelił... Raz tylko skomentowała to bardziej pozytywnie, u nas to w czasie pokoju każdy się miga od wojska, a tamten tam wtedy... Miałem zamiar zapytać go wprost o jego pochodzenie, ale jakoś zwlekałem z tym za każdym razem.

W poniedziałek wieczorem zdecydowaliśmy, że pójdziemy na rynek i dyskretnie zerkniemy na jego poczynania. Jego sukcesy handlowe nie znajdowały racjonalnego uzasadnienia na płaszczyźnie ekonomii i marketingu... na czym w końcu znaliśmy się dobrze. Dużo lepiej niż on.

Pan Staszek, mimo wczesnej godziny, był chyba trochę podpity; stał na szeroko rozstawionych nogach, włosy w nieładzie opadały mu na czoło i ruchy rąk miał spowolnione i nieskoordynowane. Buty stały w równych szeregach, ustawione na rozkładanym łóżku turystycznym, a reszta w ustawionych w stos pudełkach.

Mniej więcej naprzeciw jego stoiska stał potężnej tuszy mężczyzna, ubrany w obszerny płaszcz kolejarski. Pan Staszek od czasu do czasu pozdrawiał go z daleka kiwnięciami ręki, a tamten odpowiadał wtedy takim rozjaśnieniem twarzy i uniesieniem brwi do góry. Rąk z kieszeni nie wyjmował.

Podeszliśmy bliżej. Mężczyzna w ubraniu kolejarskim był kobietą czterdziesto- lub pięćdziesięcioletnią. Chociaż ten margines wiekowy mógł być o wiele szerszy. Twarz czerwona, napuchnięta, jak u mojego kolegi szkolnego, który całą zimę dojeżdżał motorem do pracy i to bez czapki. Rękami zanurzonymi w kieszeniach podtrzymywała coś schowanego pod płaszczem. Przy poruszeniu to coś dźwięczało i dzwoniło. Spirytus, dziewoczka - szepnęła do nas.

Pan Staszek uwijał się na swoim stanowisku. Kobieta w płaszczu kolejarskim tasowała wzrokiem przechodzących obok. W chwilach wolnych patrzyła na pana Staszka, który coraz gorzej stał na nogach. Można było się domyślić, że korzystał z jej zasobów, które trzymała pod połami płaszcza. Czy korzystał również z tego drugiego serwisu, który ona oferowała, nie bardzo było wiadomo. Z tego, co mówili przechodzący obok ludzie, to „dziewoczka" i kobieta w uniformie kolejarskim - były jedną i tą samą osobą.

Kupiliśmy dwie osełki masła, rzeźbione łyżką w kształt ryby, i kilogram białego sera, a od znajomej staruszki ze wsi wyplatany z wikliny koszyk.

Jakaś starsza kobieta w grubej chustce z frędzlami na głowie wzięła do ręki but i zaczęła go oglądać, pan Staszek od razu ożywił się, uśmiechnął się do niej, wyjął trzymanego w ustach peta, rozgniótł go podeszwą i położył przed kobietą kawałek gazety.

- Pani przymierzy, bo, k..., tak na oko to nie ma co...

Szybko nałożył jej nowy but na nogę.

- Pani..., jak matkę rodzoną kocham, leży, k..., jak ulał..., w takim bucie śmiało to... to i do kościoła, i w pole pani orać i... i, k..., chłopa w d... skopać jak niegrzeczny..., przecież pani, jakby ten but źle leżał, to myśli pani, że, k..., bym pani sprzedał..., na ch... mi ludzi oszukiwać, pani..., ja mam, k..., dobry

towar..., ja jestem uczciwy..., dla każdego jestem, k..., grzeczny, uprzejmy...

Kobieta poruszała dużym palcem u nogi i kciukiem starała się namacać jego koniec.

– No widzi pani sama, przecież, k..., nie muszę zachwalać..., sama pani czuje..., pasuje jak baba do chłopa...

Szybko zdjął kobiecie but z nogi, dołożył drugi od pary i zawinął w gazetę; ona zapłaciła i coś mu powiedziała pod nosem, prawdopodobnie, że na drugi targ kupi jeszcze jedną parę... Pan Staszek tego już nie dosłyszał, bo pomagał przymierzyć kozaczki jakiemuś mężczyźnie.

– Ciągnij pan, k..., za cholewę... i ruszaj tak trochę nogą na boki..., w kostce ruszaj i, k..., pchaj..., pchaj pan i trochę na boki... nie?... Tak jak z babą... cha, cha, cha...

Poklepał mężczyznę po plecach i obaj się roześmieli. Żona popatrzyła na nich i wzruszyła ramionami. Kobieta-dziewoczka też się roześmiała. W oczach zaświeciły jej się takie figlarne iskierki radości.

Ten ich wspólny śmiech zaczął mnie nurtować. Na pewno nie byli sobie obojętni, to było widać... Dlaczego wybrał kobietę stamtąd, zza Buga, przecież to samo miałby i u naszych. Może jedynie byłaby bez kolejarskiego płaszcza, ale poza tym to... A gdyby miała płaszcz kolejarski, to może nie byłby szyty na mężczyznę, ale czy to znów takie istotne... Czyżby więc dziadek Piotr miał rację?

Kobieta w kolejarskim płaszczu też musiała mieć smykałkę do handlu, bo dosyć często wyjmowała spod płaszcza butelkę okręconą w gazetę i podawała kupującemu, a ten od razu chował butelkę pod swój płaszcz albo pod marynarkę i zadowolony odchodził szybkim krokiem. Ten drugi serwis szedł jej jednak dużo słabiej i to mimo nie najgorszej reklamy: cyc u mienia balszoj, szestoj!

Wtedy to, odchodząc z rynku, żona obdarzyła pana Staszka tym określeniem, którym posługiwaliśmy się jeszcze przez długi czas, gdy nieraz go wspominaliśmy – najlepszy sprzedawca. Pan Staszek zmarł w kilka miesięcy później, gdy szedł w stronę rynku z torbami pełnymi choinkowych świecidełek.

W jakiś czas później w sklepie, gdy przygotowywaliśmy ostatnią partię butów dla pana Staszka, żona dodała: Gdyby nie to, że nie ma wykształcenia, ciągle chodzi podpity, przeklina bez względu na to, z kim rozmawia, i nie ma dobrej prezencji, my nie mieszkamy w Warszawie czy chociażby w Płocku,

gdzie człowiek jest bardziej anonimowy - to moglibyśmy zatrudnić go u nas w sklepie... a tak to, niestety, trzeba zwinąć interes.

Dokończę to studium podyplomowe z marketingu, to otworzymy sklep od nowa, zacząłem ją pocieszać, będę miał jeden dyplom więcej, to na pewno lepiej nam pójdzie...

Powiedziałem, by ją podnieść na duchu, gdyż wyglądała jakoś markotnie, ale ona, zajęta przygotowaniami do likwidacji sklepu, nawet nie zwróciła na to uwagi.

Jerzy Marciniak urodził się w Polsce w roku 1950, gdzie ukończył studia prawnicze. Mieszka w Szwecji. Jest laureatem wielu nagród w rozlicznych konkursach literackich. Publikuje w Polsce, Kanadzie, Norwegii i Szwecji.

POETA JAN PYSZKO

Poeta Jan Pyszko wszedł do literatury w roku 1988, wtedy ukazał się w Kielcach jego debiut „Pęknięta pieczęć", jednak prawdziwych początków jego twórczości należy szukać na końcu roku 1969. Do niego nawiązuje nie tylko pierwsza, ale i druga książka Jana Pyszki - wiersze „Potoki", wydane w roku 1993 w Opolu. Właśnie „Potoki" stanowią wybór z lat 1969-1993. W tym samym roku ujrzała światło dzienne trzecia książka Pyszki „Słowa jak kamienie", i to w Warszawie: żniwo poetyckie lat 1971-1992. Ostatni do tej pory zbiór „Żarna" wydany został w roku 1998 w Tarnowie i zawiera wiersze z lat 1994-1998.

Każdy zbiorek rozpoczyna część, którą można by nazwać domem rodzinnym (domov). W „Potokach" jest to „Dar rosy", w tomiku „Słowa jak kamienie" „Rzeźba": takie wiersze jak „Potoki", „Dom", „Tu jest mój dom", „Mamo", „Wrastam" - w większości wypadków zainspirowane jak najbardziej intymnie - wyrastają z najgłębszych zakamarków duszy poe-

ty i są zarazem wyznaniem. Ale również powrotem do dzieciństwa, do matki, ojca, najbliższych, do ciepła domu rodzinnego, do prywatności spotęgowanej do tego stopnia, że przekształca się nadosobowo jako fenomen w coś, co jest niezwykłe i wyjątkowe.

Warstwę, która przerosła tę wewnętrznie subtelną i indywidualną sferę, moglibyśmy nazwać krajem ojczystym (domovina). Tu skupił poeta tradycje, na których również spoczywa jego poezja, odsłonił spuściznę przodków i nawiązywał z nimi trwały kontakt, odkrył przyrodę, do której zresztą lgnął od początku, śląskie gronie i wierchy, spowite legendami, ziemię rodzinną rozciągającą się od Cieszyna po Hrczawę i ludzi, którzy tutaj żyją: *Jak te gronie/ gorolsko frasobliwość// Błyskiem się uśmiechnie/ słoneczkiem zapłacze/ i/ kamienistym ugorem ciurka// Ku dolinom/ uporem smreka/ kamieniem/ jak opoka/ trwa// Pełne godności jest niebo/ gorolskiej duszy.*

Wiersze „Doznanie", „Na ziemi ojców", „Ziemio rzeko" i inne sterczą tu z pojedynczych tomików jak te beskidzkie wierchy i przekonują o trwałości związku poety ze swą ziemią ojczystą, jak również z poszczególnymi jej miejscami.

Wreszcie pojawia się w tych wyliczeniach Pyszki także dziedzina absolutnie niezbędna: wyznanie estetyczne, bazujące na poznaniu, że spełnia się tylko poezja czysta, szczera, niezależna i samodzielna bez mułu i mgieł, prosta i otwarta. Z odwagą, z przejęciem i z rozkoszą powstaje szereg wierszy, upijających się samą rzeczywistością, przekazujących tylko drgnienie, poryw, poruszenie myśli, gest cichy i chwiejny, chwilkę prawdziwego zachwytu poetyckiego, opartego jak u każdego prawdziwego poety na grze imaginacji, przebłysku wyobraźni i wglądzie do krainy piękna. *Jesteś jak szum wiosny/ modrzewiowy/ a my w tobie/ jak beskidzka kantata żywicy// W korzeniach pochylonych krzyży/ coraz częstsza cisza// Broni się uparcie/ niewzruszona Ewangelia tej ziemi/ mowa ojczysta.*

„Kościółek w Gutach" otwiera kolejne rejony i warstwy poezji Pyszki. Sferę religijną, pełną czci, oddania i pokory. Powstają wiersze-modlitwy, wzywające Najwyższego, z których najbardziej charakterystyczną jest „I ziemia" z „Potoków" oraz jednolita i budująca „Tobie Boże" z tomiku „Żarna" - tu poeta zwraca się do Boga z prośbą niewątpliwie szczerą: *Kaleka jest moja filozofia/ Panie// Proszę/ użycz mi/ pokory/ odwagi/ godności// Daj/ krzyża odkupienie.*

Mimo że ten właśnie stosunek do Boga i jego łaski jest najmocniejszy, systematyzuje Pyszko także swą świecką poezję - w ostatniej już sferze swej twórczości poetyckiej. Na przykład wiersz „Wycinki z prasy Julio Cortazara" przedstawia Pyszkę jako obrońcę praw człowieka. Czyni tak nawet dwukrotnie, a to w taki sposób, że w zbiorku „Słowa jak kamienie" wraca ponownie do wiersza o tej samej nazwie z tomiku debiutanckiego, by mocno go przerobić. Pyszko jednak niczego nie deklaruje, komentuje tylko znowu poetycko wycinki z prasy: Dają świadectwo głębokiemu bezprawiu i wstrząsnęły, choć z dalekiej Argentyny, sumieniem poetyckim i sprowokowały je (stały się częścią wiersza) do pełnego szlochu, niepatetycznego protestu, którego wyznaniem jest jedynie człowieczeństwo stare jak sama ludzkość od starotestamentowego Genesis. „Kantata" zbudowana jest na relatywizmie czasu, jednak, i słusznie, poeta nie formułuje tu swego rozumienia czasu w pojęciach, lecz ponownie w obrazach, w przemianie roku z tym, że wyobrażony jest poprzez mutacje w przyrodzie i widziany w metaforach, pokazuje upływ czasu. Ten upływ jest jednakże dramatyczny, jest to *krzyk czasu/ na/ oścież!* A jeśli chodzi o „Głos światła", poemat niezwykle rozłożysty, chodzi ponownie o dramat w przyrodzie, dramat o człowieku w niej, która jest żywa, zmienna i stale godna podziwu. Także dramat o śmierci, o klepsydrze, która odmierza czas, o początku i końcu. O sumieniu i o wyzwaniu, i o tym, co towarzyszy nam w życiu. I o drzwiach otwartych na oścież - na ołtarz, na organy, na Boga.

Kałamarz mój/ pełen snów - mówi poeta. Tylko własny klucz/ rzetelnej roboty/ otwiera/ co zatrzaśnięte - przekonany jest w innym miejscu. Już podkreśliliśmy, że widzi świat w pierwotnym świetle, już ujawniliśmy co nieco z jego snów. Jaka jest więc zatem jego „robota"? Podkreśliłem imaginację, która jest cechą każdego poety. Toteż i Pyszko ma blisko do malarzy. Najczęstszym jego słowem jest wyraz rzeźbić i jego pochodne. Jego wyobraźnia jest wprost rozrzutna. Pyszko obfituje w obrazy, w ich ramy wpycha to, co wypatrzy i zasłyszy (albowiem z drugiej strony częstą inspiracją jest dla niego muzyka). A czyni to, paradoksalnie, z zadziwiającą oszczędnością - często jednym słowem. Słowo, jego znaczenie, sens, jest często nadmiernie rozbudowane, Pyszko z ufnością wprost niewiarygodną liczy na słowo, słowo jest dla niego wszystkim, kamieniem starym, twardym i niezniszczalnym. Do tego jest to słowo wieloznaczne.

I to od podstaw czy korzenia aż do znaczenia - semantyka Pyszki, znaczeniowa strona słów i ich znaki charakterystyczne grają główną rolę w jego twórczości poetyckiej. Samotne słowo jest u Pyszki zarazem metaforą. Typowa dla Pyszki - choć nie zawsze - jest też częsta rezygnacja z czasownika i na odwrót faworyzowanie rzeczownika - który sam jest już dla niego obrazem. Niemniej nie oznacza to, że nie zna rozwiniętych metafor. Mimo całej adoracji słowa jako takiego obfituje poezja Pyszki w metafory: *Konie/ o żłób kopytami biją/ jak o nasze głowy/ pogrzebowe dzwony/ albo łza wielka/ jak góra* a także *Szemrze cicho potok/ niekończącą się litanią trosk* - to metafory czy obrazy u Pyszki równie rzadkie co pospolite. W tym znaczeniu więc - w sensie fantazji czy obrazu, ciężarnego słowa i metafory uwidacznia się Pyszko jako poeta - stoi za każdym wierszem owo słowo *rzeźbić... Tak ptaki/ skrzydłem anioła wyganiają mgły...*

Jeśli przeważa u Pyszki kult słowa, dominuje u niego tym samym nie tyle staranna polszczyzna, co polszczyzna wprost wyszukana. Owszem, to logiczne. Mniej logiczne są niektóre jego neologizmy (srebrnopajęczy etc.), w które jednak nie obfituje, gdzieniegdzie odezwie się eufoniczne brzmienie, zamiast rytmu, chociaż i ten nie jest mu obcy, potrafi uchwycić melodię wypowiedzi językowej, wie, co to akcent, tempo, intonacja, tembr. Podkreśliłbym zwłaszcza jego zrozumienie dla pointy.

Pointa jest dla Pyszki konieczna dlatego, że często jest raczej wykrzyknikiem niż kropką. Pointa kończy wiersz. Często w niej koncentruje się posłannictwo wiersza: W wierszu „Zaduma" z tomiku „Żarna" tak nieoczekiwanie zamyka poeta wiersz: *Nadziejo/ Nie/ Nie odchodź/ nawet// ostatnia.*

Innym razem jednak pozostawia wiersz całkowicie otwarty. W związku z tym moglibyśmy porozmawiać o Pyszki rozumieniu kompozycji. O tym, jak wiersz rozpoczyna, a jak kończy. I o tym, jak poszczególne punkty ciężkości przenosi na początek, na koniec, ale i do środka wiersza. Nie muszę udowadniać przypadkowemu czytelnikowi, że robi to z rozmysłem. Albowiem Pyszko nie jest poetą spontanicznym: O ile chcielibyśmy go zaszeregować, byłby to ten ród poetycki, który dla nowoczesnej poezji rozpoczyna się gdzieś u Poe'a i przez Mallarme'a prowadzi po dzień dzisiejszy. Dla Pyszki nie jest to zapewne sąsiedztwo mało eminentne...

Pyszko wszedł do literatury jako dojrzały mężczyzna, jego poezji jakoby brakowało rozwoju w czasie. Zaiste niektóre jej atrybuty pojawiły się

po raz pierwszy i pozostały obecne od „Pękniętej pieczęci" po „Żarna". Jednak właśnie ostatni tomik Pyszki zawiera niektóre znaki może nie całkiem nowe, lecz jakby przemienione, ponownie rozważone, mówiąc niekonwencjonalnie: pogłębione. Obok poezji czystej, która porusza się jakoś sama w sobie, jest tu szereg wierszy, które pomysł, nagły bodziec, przebłysk myśli prowadzi ku ogólnej mocy obowiązującej, powszechnej teorii czy metodzie i ku poznaniu wreszcie. Tutaj styka się z tym, co nazywamy filozofią, a zatem prowadzi do mądrości. Oczywistością jest, że poeta dojrzewa i jest stale lepszy i lepszy jak to wino, dojrzewające w ciemności... Dobrze, że słyszy *głos światła*...

DRAHOMÍR ŠAJTAR
tłum. M.R.

PRZEZ SITO INTYMNOŚCI

TAJEMNICZY POLISZYNEL W REJU, CZYLI ROZMOWA TRZECH NA OBU KOŃCACH STOŁU

Słońce skąpane w deszczu obtarło czoło suchą ścierką. Zdenerwowanie dawało się we znaki. Kto mądry, nie wchodził mu w paradę. Chmury oddaliły się na kilometr, a błogosławiony błękit otulił ziemię niczym matczyne dłonie, które pieszczą miłością rozkoszne ciałko niewinnego człowieczka. Słońce popadło w konflikt z konstruktorami pojazdów kosmicznych (tak nazywają je ludzie), w rzeczywistości chodzi o samoloty - nietrwałe konstrukcje nienadające się do podróży dookoła słońca. Swój udział w tej kwestii ma oczywiście ród ludzki twardo stąpający po gruncie. Finezyjne fabryczki z nieposzlakowaną opinią, jaka wręcz sama narzuca czytelnikowi pospolitych brukowców swą doskonałość, intensywnie podkarmiają ciała niebieskie swymi odchodami. Krótko mówiąc, ponownie w tym roku pojawiły się na słońcu plamy. Ostatnio - pół roku temu - naukowcy zauważyli,

że ludzie dziwnie reagują na tego typu wybryki natury. Obserwacje wykazały, że na ziemi wydarzyły się nieprawdopodobnie zawiłe ciągi przyczynowo-skutkowe. Właściwie to nikt nie był w stanie wytłumaczyć nieładu, jaki panował w tym czasie na ziemi. Dosłowne pomieszanie zmysłów zdominowało ludzkie uczucia, które umarły w swych chitynowych kołnierzach, by odrodzić się ponownie w dogodniejszych warunkach. Jestestwa człowiecze obrzucały się nawzajem wyzwiskami; krzyki, histeryczne płacze i narzekania były na porządku dziennym. Kłótnie międzyludzkie można było dostrzec praktycznie w każdym miejscu o każdej porze. Jakieś nawiedzenie - stan umysłowego nonsensu pochłonął resztki rozsądku. Najbardziej okrutną prawdą była chwila odejścia tej dziwnej choroby. Chwila, która nigdy nie nastąpiła. Nauczone doświadczeniem, zacne grono fachowców tym razem rozpoczęło przygotowania już pół roku wcześniej. Obrano kierunek działań - grupy psychologów, socjologów, fizyków, chemików i seksuologów zwróciły swą uwagę w kierunku wcześniej wybranych skupisk ludzkich, tzw. grup roboczych. Gdy astronomowie dali sygnał, że plamy na słońcu rozpoczęły emitować niekorzystne dla żywych istot promieniowanie, naukowcy włączyli aparaty, pstryknęli parę razy palcami (dla pokrzepienia dodając sobie otuchy) i wzięli się do roboty. Przez kolejne pięć miesięcy zapisali tonę notatników, zarejestrowali kilkaset kilometrów taśm. Wynikiem tej pracy były obszerne skrypty. Ich zawartość jeszcze kilka miesięcy po zakończeniu badań była niedostępna dla ludzkiego oka - tego zwykłego, wchodzącego w skład ekipy śmiertelników, nie mających dostępu do materiałów poufnych. Informacje zawarte bowiem w tychże opracowaniach mogłyby zwalić z nóg najwyższych tego świata. W mediach dziennikarze zasypywali władze pytaniami; stosowano najróżniejsze praktyki, by dotrzeć do komputerów rządowych, a kończąc na prywatnych notesikach kieszonkowych i zapiskach na dłoniach.

Był zwyczajny dzień, by nie rzec pospolity w swej prostocie i splocie najrozmaitszych ludzkich spraw. Nic nie wskazywało na to, że za parę minut stanie się coś nieoczekiwanego. Ulice roiły się od przechodniów. Sklepy pękały w szwach. Prywatne kliniki nie narzekały na źle idący biznes. Kaczki w parku odprawiały swe codzienne rytuały; namawiając żądnych relaksu na kawałek bułki lub wręcz tej lepszej części drugiego śniadania. Jak co dzień mój sąsiad wjechał pod prąd. Później tłumaczył się, chcąc naprawić drobne uchybienie, lecz i tak spóźnił się do pracy. Jego szef ponownie zwrócił mu uwagę na częste spóźnienia, a on jak zawsze z ironicznym uśmieszkiem na twarzy spojrzał na uroczą sekretarkę, zamknął się w swym biurze, by po 10 godzinach wyjść totalnie wyczerpany i wrócić do domu tylko dlatego, by się przespać. (?) Nastąpił kataklizm. Planeta nie została zalana żrącą magmą czy pochłonięta przez bliżej niezidentyfikowane moce komicznej otchłani. Czas zatrzymał się na niby, gdyż w rzeczywistości wciąż zmierzał ku przo-

dowi - niekwestionowanemu końcowi. Postęp raptem zamienił się w recesję. Sąsiad z łezką w oku wstał i udał się w kierunku służbowych pomieszczeń. W tym celu pośpiesznie i szczelnie zamknął się w swym czterokołowym przyjacielu. Historia lubi się powtarzać. Tak było również i dziś. Korki uliczne unieruchomiły go na siedemdziesiąt minut. Gdyby wcześniej zechciał podbić miejskie ulice, pewnie zdążyłby na czas. Jednak w takim układzie jego anonimowa dusza tułać się będzie jeszcze dobrą godzinę, może i więcej. Po drodze spotka taksówkarza, który przez swą brawurę zepchnie go na lewy pas, skąd już tylko parę sekund dzieli sąsiada od ulicy jednokierunkowej. Gdy w końcu ocknie się twarzą w twarz ze śmiercią, obleje go zimny pot, a dłonie będą ślizgać po kierownicy niczym szybowce po tafli powietrznych wariacji. Pewnie sam nie będzie pamiętał, w jaki sposób udało mu się dotrzeć do pracy, gdzie opryskliwy dyrektor prawie zwolnił sąsiada z ciepłej posadki. Na szczęście dobry humor nie opuszcza człowieka, który w podobnej sytuacji znajduje się prawie codziennie. Jak więc załagodzić można tego typu sytuację? Zerknął z ironicznym uśmieszkiem na uroczą sekretarkę (deja vu?), by utonąć w przypływie obowiązków i niezałatwionych spraw.

Pętla czasu - zamknięte zdarzenie w jednej sekwencji, która ku oburzeniu wszystkich ciągle się powtarza. Na granicy wyczerpania stanął tzw. lud pracujący, który w swych drugich domostwach uprawia prywatę i cieszy się z genetycznie wyhodowanych zwierzątek w biurowych ogródkach. Krótko mówiąc, sceny rodem z amerykańskiego filmu, gdzie każdy podejrzewa każdego, myśląc, że ten uwodzi jego żonę, a w dodatku wyprowadza jej psa. Punktem kulminacyjnym jest oczywiście odkrycie prawdy, która jest fałszem, ale wtedy jest już za późno i wszystko wylatuje w powietrze. W konsekwencji ciąg eksplozji zamienia się w piekło - zniszczone są nie tylko dobra materialne, lecz również dobra psychiczne poszczególnych bohaterów, którzy dla zatuszowania całej sprawy wiążą się z innym partnerem i wszystko zaczyna się od nowa. Pętla czasu ujawnia się wszędzie i zawsze. Dziś trudno o dobre kino, o dobre życie. Świat płacze, zalewając nasze domostwa łzami. W zamian za to płaczemy razem z nim. Czy ktoś obejmie rozumem miasta przeżarte śmiercią? Ta sędziwa starsza pani nie lubi występować publicznie. Nie ujawnia swych zamiarów, chociaż wszyscy doskonale wiemy, co kryje się pod jej skąpym ubraniem - rozum się boi; ciało zmierza, ciało pędzi w jej kierunku niczym wspomniane kaczki za kawałkiem chleba. Czy można pojąć samobójczy skok desperata z trzyletnim dzieckiem w ramionach? Logika jest tylko naturalną, lecz nierzucającą się w oczy odskocznią od rzeczywistości. Pobudki niemające podstaw trzeźwego rozumu, który jedynie stanowi ułamek tego, co powinno zaważyć na egzystencjalnej chęci dążenia do wiecznego życia. Czy ktoś zrozumie aparat będący jawnym narzędziem masowych zbrodni popełnianych na naszych karkach, które wystawiamy codziennie na

pokuszenie; na pożarcie lwa, stykając się twarzą w twarz z panią o zimnym spojrzeniu? Gdy lodowate powietrze unieruchomi ruch, gdy woda utraci zdolność płynięcia, gdy w końcu płuca przestaną nabierać powietrze - będzie za późno. Niesamowity zwrot akcji uruchomi wzmożoną percepcję widza, uwrażliwi go na rzeczy, którym nie poświęcał wcześniej uwagi, generalnie rzecz biorąc, odwrotność będzie górowała nad normalnością.

Pomieszanie zmysłów - przejaw wzmożonego działania plam, jakie właśnie pojawiły się na słońcu. Naukowcy złapali się za mądre skądinąd głowy, powyrywali wszystkie włosy i stanęli na wysokości zadania. Konfrontacja z poprzednimi tego typu zjawiskami była nieunikniona. Tym większe było zdziwienie, gdy badania wykazały, że tzw. grupy robocze straciły zdolność kształtowania swej i swych bliskich osobowości już - liczba mocno zaokrąglona - 5 tysięcy lat temu. Kreowanie nowych struktur traci więc na znaczeniu, gdyż prokreacja dla prokreacji nie przynosi pożądanych efektów. Tajemniczy Poliszynel wziął sprawę w swoje ręce. Nie patrząc na swych rówieśników i kolegów po fachu, na swym garbie nosi od wieków jarzmo grzeszników, których czyny nie mieszczą się w statystykach. Ukrywając moralność po kieszeniach, tuła się przez stulecia; żebrak, który nasłuchuje, wypytuje i przekazuje wieści dalej. Kim jest ów tajemniczy oszołom? Złodziejem?! Klaunem?! Kaznodzieją?! Sędzią?! Zbawicielem?! Karłowatą lalką pod pięcioma postaciami; garbatym paplą będącym bohaterem moralizatorskich przechwałek; w końcu pajacem, który porusza się mimo własnej woli - na podstawie czystej myśli i wyobraźni jestestw zmienia kierunki, wypowiada się na te i owe tematy, myśląc, że nikt nie zna jego zamiarów. Jest on narzędziem zbrodni zaledwie; skokiem z trzydziestego piętra; łóżkiem na torowisku; dnem oceanu. Porusza się niczym podmuch wiatru. Wstępuje w nasze kiszki, ustalając rytm i porządek ich pracy. Sumieniem, siłą odśrodkową i ciężarem, który przygniata naszą ułomność, by z nadmiaru lekkich obowiązków nie znaleźć się na orbicie okołoziemskiej. Przed obliczem Stwórcy jest on jednak małą bańką mydlaną, która po kilku sekundach od narodzin znajdzie się w kratce ściekowej, by skonfrontować upór z ogromem dłoni Opiekuna. W parze działają niczym dwa bieguny - odpychając, nie mogą bez siebie istnieć. By jednak formalności stało się zadość, w spotkaniach na szczycie (pustelnicza chatka w głębinach nierealnych wydarzeń losu) bierze udział inny jeszcze wielki - Ezop. Rejowski obrazek odwiecznej prawdy doczekał się nowej oprawy, a raczej nie stracił na swej szczerości. Jego aktualny stan zapoczątkował swe bycie w Raju. Mikołaju, Mikołaju! - poeto naszej świadomości, dobądź pióra i walcz, co sił. Wołaczu gramatyczny, oprawco i kacie - ponów rozmowy gęsie i językiem pokonaj kalekie przekształcenia i zwroty kosmicznych bywalców. Pisarzu aromatycznej maści, jesteś przyprawą - pieprzem i solą; słodyczą zgorzkniałej ladacznicy,

otwórz ulice i zakneblowane usta, co w swej ślepocie depczą niewinnych. Desko ratunku warta ostatniego uścisku dłoni, zawiąż krawat na szyi wisielców, którzy w swym działaniu uwiecznili ideę huśtawek - radość dziecięcą, świat beztroskich wyskoków, które uchodzą płazem. Gospodarzu krwiożerczej sielanki, siądź po obu stronach stołu i w rozmowie odgryź zdaniom sens. Tracąc tak cenne konstrukcje, uzyskasz nadzieję, że urodzi się inna, bardziej wyrafinowana tapicerka, która będzie kwintesencją korelacji siedzenia z nakryciem. Wejdź w lustro Alicji i stłucz go od wewnątrz!!! Może nowy chaos stanie się ładem!!!

Wielcy tego świata, omawiając wiele spraw na osobności, siedzą i myślą. Milcząc, porozumiewają się; chcąc zaradzić, zastanawiają się i myślą. Pragną uwiecznić doskonałość. Myśl jest doskonałością boską wiecznej triady. Trzeci wymiar i jego spadkobierca połknęli ambrozję czasu - pigułkę wieczności. Szata spłonęła ze wstydu; jej właściciel odrzucił doskonałość. W myśli cała nadzieja - w działaniu myślenie. Nielogiczne pomieszanie pojęć, lecz logiczna kolej rzeczy. W konsekwencji wielcy tego świata ponawiają rozmowy, których efektem jest kolejna plama... na słońcu.

MAREK SŁOWIACZEK

Znana ogólnie stara firma

Fr. TOMANEK

młyn w Ropicy

zupełnie przebudowany według nowoczesnych wymagań, wymiela wszelkiego rodzaju zboże, sprzedaje najlepsze mąki, mąkę karmną, chleb żytni, wymienia zboże za mąkę i chleb — wszystko po najniższych cenach.

Rzetelna obsługa! *Swój do swego!*

Całkowite wyzwolenie się spod siły ciążenia lokalnej i zaściankowej skazuje nas na naśladowanie obcych wzorów.

Czesław Miłosz

CZY W ZWIĄZKU Z WSZECHOBECNYM DĄŻENIEM DO INTEGRACJI GROZI NAM UTRATA WŁASNEJ TOŻSAMOŚCI?

Powyższe pytanie należy ukierunkować w odpowiednie miejsce. Integracja, czyli zespolenie się, tworzenie całości z części, dotyczy bowiem niemal każdego zjawiska w społeczeństwie. Można o niej mówić na wielu płaszczyznach, od ogólnoświatowej począwszy. Potrafimy też wyszczególnić jej odmiany: społeczną, ekonomiczną i inne.

Kwestia tożsamości kieruje mnie do subiektywnych przemyśleń z pozycji członka mniejszości narodowej zamieszkującej Republikę Czeską i Europę Środkową zarazem. Za lokalną siłę ciążenia możemy wtedy uznać albo Zaolzie jako specyficzny region państwa czeskiego, albo ogólnie Republikę Czeską jako część Europy leżącą w jej środku, jak przywykliśmy mówić, w jej sercu. Moje poczucie tożsamości narodowej i kulturowej łączyłem od zawsze w dużej mierze tylko z moją „małą ojczyzną". Z tego powodu ograniczę się do tego, że za lokalną (i mam nadzieję, że jednak nie zaściankową) siłę ciążenia uznam ów skrawek Śląska Cieszyńskiego, a nie całe państwo, w którym mieszkam. Uważam, że tym samym znajdujemy się w bardzo specyficznym położeniu, a to dlatego, iż obce wpływy kształtują nasz światopogląd podwójnie czy nawet potrójnie. Mam na myśli wpływy lokalne - czeskie oraz wpływy dotyczące całego państwa - zachodnie (zachodnioeuropejskie i amerykańskie).

Popatrzmy, jaki będzie ich dalszy kierunek i sens, jak do nich dochodzi, jakie są tego skutki, czy można się przed nimi „bronić" i czy w ogóle warto. Z historii wiemy, że do owego przenikania i do naśladowania obcych wzorów zawsze dochodziło. Można to łatwo zauważyć w Europie. Końcową fazę takiego rozwoju stanowi tak zwany uniwersalizm (w swoich różnych postaciach). Ostatni nastąpił u schyłku średniowiecza, a po jego apogeum nastąpiło ponowne zróżnicowanie, które logicznie, zmierza znów do swej fazy wyjściowej, czyli uniwersalizmu. Moim zdaniem, do takiego apogeum właśnie dążymy. Oczywiście możemy się, ze względu na odmienne warunki, z poprzednią sytuacją tylko porównywać, a nie utożsamiać. Mimo różnic podam jednak jako przykład cechę wspólną dla

obu uniwersalizmów (tego przeszłego i tego potencjalnego) - wspólny język, z tą różnicą, że łacinę zastępuje angielski. Powyższe przemyślenia są wyłącznie pewnym szkicem, perspektywą. Dzisiaj, w okresie dynamicznego postępu wszelkich technologii, nikt nie może być całkowicie pewien dalszego rozwoju, a więc wgłębianie się w rozważania na ten temat doprowadziłoby mnie z pewnością do spekulacji.

Na pytanie, jak dochodzi do przenikania obcych wpływów, można bardzo łatwo odpowiedzieć. Jedynym możliwym środkiem ich szerzenia jest informacja. Jej zaś szczególnym (ale nie jedynym) nośnikiem są szeroko pojęte media. Współcześnie ich potęga jest niepodważalna, można już mówić nie o trój-, lecz czwórpodziale władzy. Prawie że nieograniczony dostęp do informacji jest bezsprzecznie największym katalizatorem integracji.

Tak więc pytanie podstawowe brzmi: Czy wyzwolenie się spod „jarzma" etnocentryzmu doprowadzi do tego, że słowo „tożsamość" straci swe znaczenie? Myślę, iż owo wyzwalanie się, które możemy rozumieć w sensie pozytywnym, doprowadzi do naszego wielkiego wzbogacenia. Musimy być jednak bardzo ostrożni, aby ów pluralizm nie zaprowadził nas w ślepy zaułek, jakim może być całkowite „rozmycie" własnych tradycji. Wówczas, paradoksalnie, nie mielibyśmy się już czym wzbogacać. Z tych przyczyn przyszłość zjednoczonej, zintegrowanej Europy upatruję w regionach. To one są dostatecznie spójne i prężne zarazem, by mogły kultywować własną tradycję oraz kulturę i oferować ją otoczeniu. Jeżeli koncepcja Europy regionów stanie się dla nas priorytetem, możemy mieć nadzieję, że nie dojdzie do chaosu kulturowego, do owego „rozmycia". Możemy się wówczas cieszyć na to, że raz zabrzmi wyraźny i harmonijny „europejski wielogłos", w którym miejsce dla własnej tożsamości będzie zapewnione dla każdego.

KRZYSZTOF KOŁEK
Polskie Gimnazjum Czeski Cieszyn



Fot. FRANCISZEK BAŁON

NIE BÓJMY SIĘ DWUJĘZYCZNEGO WYCHOWANIA

W Republice Czeskiej przybywa małżeństw mieszanych. Rodzice muszą rozwiązać problem, iloma językami z dziećmi rozmawiać. - Taki podtytuł nosi artykuł Dominika Lukeša, metodyka nauki języków, nauczyciela języka czeskiego na Uniwersytecie Londyńskim, jaki ukazał się w czeskim dzienniku Lidové noviny z dnia 29.12.2000. Prezentujemy na naszych łamach fragmenty tego artykułu, zachęcając do refleksji i dyskusji na temat, czy warto uczyć nasze dzieci i wnuki równocześnie dwóch języków.

Do mieszania języków i kultur dochodzi nie tylko w świecie wokół nas, ale często także w głowie jednego człowieka. Dotyczy to zwłaszcza dzieci, których rodzice mówią różnymi językami.

Rodzice w związkach wielojęzycznych często obawiają się, że jeśli będą uczyć swoją pociechę dwóch lub więcej języków, dziecko nie nauczy się dobrze ani jednego z nich. Poza tym wokół znajduje się wielu radców, którzy wprawdzie nie mają złych zamiarów, ale w większości wypadków swoje rady opierają na różnych uprzedzeniach i przesądach. Fachowcy jednak obalają ostrzeżenia typu: „Zawrócicie temu dziecku w głowie", „Dziecko nie będzie znać dobrze ani jednego języka", „Zaczekajcie, niech nauczy się dobrze jednego języka, nim zacznie uczyć się następnego".

Badacze ciągle prowadzą dyskusje o tym, jak właściwie funkcjonują ludzie, którzy mają dwa języki „ojczyste". W jednym jednak wypadku zgadzają się: Nauczenie się dwóch języków równocześnie jest dla dziecka rzeczą całkiem naturalną. Sytuacja ta jest o wiele bardziej pospolita, niż nam się w Czechach (po wysiedleniu Niemców kraju jednego języka) wydaje.

Według niektórych danych szacunkowych w dwujęzycznym środowisku wyrasta na kuli ziemskiej co drugie dziecko.

Błędne jest mniemanie, że problem ten powstał w ciągu ostatnich dwudziestu lat i dotyczy raczej kosmopolitycznych wyrzutków. Dwujęzyczność (bilingwizm) lub wielojęzyczność (multilingwizm) jest zjawiskiem normalnym dla milionów ludzi już co najmniej od czasów starożytnego Rzymu. (...)

W jaki sposób właściwie dziecko uczy się kilku języków naraz i co dzieje się w jego mózgu, gdy następnie posługuje się tymi językami? W czasie nauki ważne jest, aby dziecko łączyło dany język z konkretną sytuacją lub człowiekiem. Na przykład jednego języka używa w szkole, innego, kiedy bawi się z rodzeństwem, w innym języku rodzice opowiadają mu bajki itd. Inaczej mówi z nim matka, inaczej ojciec, inaczej dziadkowie. Rodzice muszą zdecydować, w jakich sytuacjach będą porozumiewać się z dzieckiem w danym języku, a potem konsekwentnie tego dotrzymywać. (...)

Język jest właściwie kodem, przy pomocy którego przenosimy informacje. Każdy język posiada znaczną ilość kodów, które mówiący danym językiem w różnych sytuacjach bez trudu przełącza. Na przykład język czeski ma m.in. kod literacki i kod potoczny (kód spisovný a kód nespisovný) i w szkole prędko nauczą nas, że aczkolwiek w piaskownicy możemy mówić „mám špinavý lejtko", do zadania domowego wypada napisać jedynie „špinavé lýtko".

Takiego przestawiania dopuszcza się każdy Czech sto razy dziennie, wcale o tym nie myśląc, i w ten sam sposób robi to także dziecko, przestawiając się z jednego języka na drugi.

U ludzi w pełni dwujęzycznych nie można zatem mówić o jakimś podstawowym języku, którym „myślą". Po prostu wraz z przełączeniem kodu przestawią i sposób myślenia, a często również cały swój sposób widzenia świata. (...)

Język to nie tylko zbiór reguł i słówek, język jest podstawą naszej osobistej i narodowej tożsamości. Człowiek łatwiej uczy się języka, do którego ma pozytywny stosunek. Nauka i nasze uczucia są bezpośrednio powiązane. O ile więc jeden z języków jest dla dziecka nieprzyjemny, może to się odbić na tym, jak się go nauczy. Ogromny wpływ na dziecko ma także postawa rodziców i dziadków. (...)

Język ogarnia nie tylko słowa i reguły gramatyczne, ale także poglądy, sposób zachowania, gesty i znajomość realiów. Bywają one w konkretnym środowisku językowym często ważniejsze od doskonałego akcentu. Człowiek naprawdę bilingwistyczny powinien być dlatego przede wszystkim bikulturalny.

opr. C.R.



Rys. OSKAR PAWLAS

WYSTAWA W WIŚLE

Nasze rodzime Beskidy nie przestają fascynować artystów malarzy, co rusz słyszymy o nowych plenerach i wernisażach związanych z tą tematyką i to po obu stronach Olzy. Aktywnie uczestniczą w tych działaniach artystycznych nasi plastycy ze Stowarzyszenia Artystów Plastyków przy ZG PZKO. Najnowszy pokaz ich twórczości został zaprezentowany 22 czerwca br. w nowej galerii w Wiśle, mieszczącej się w pensjonacie Andrzeja Mrózka, rodem z Milikowa.

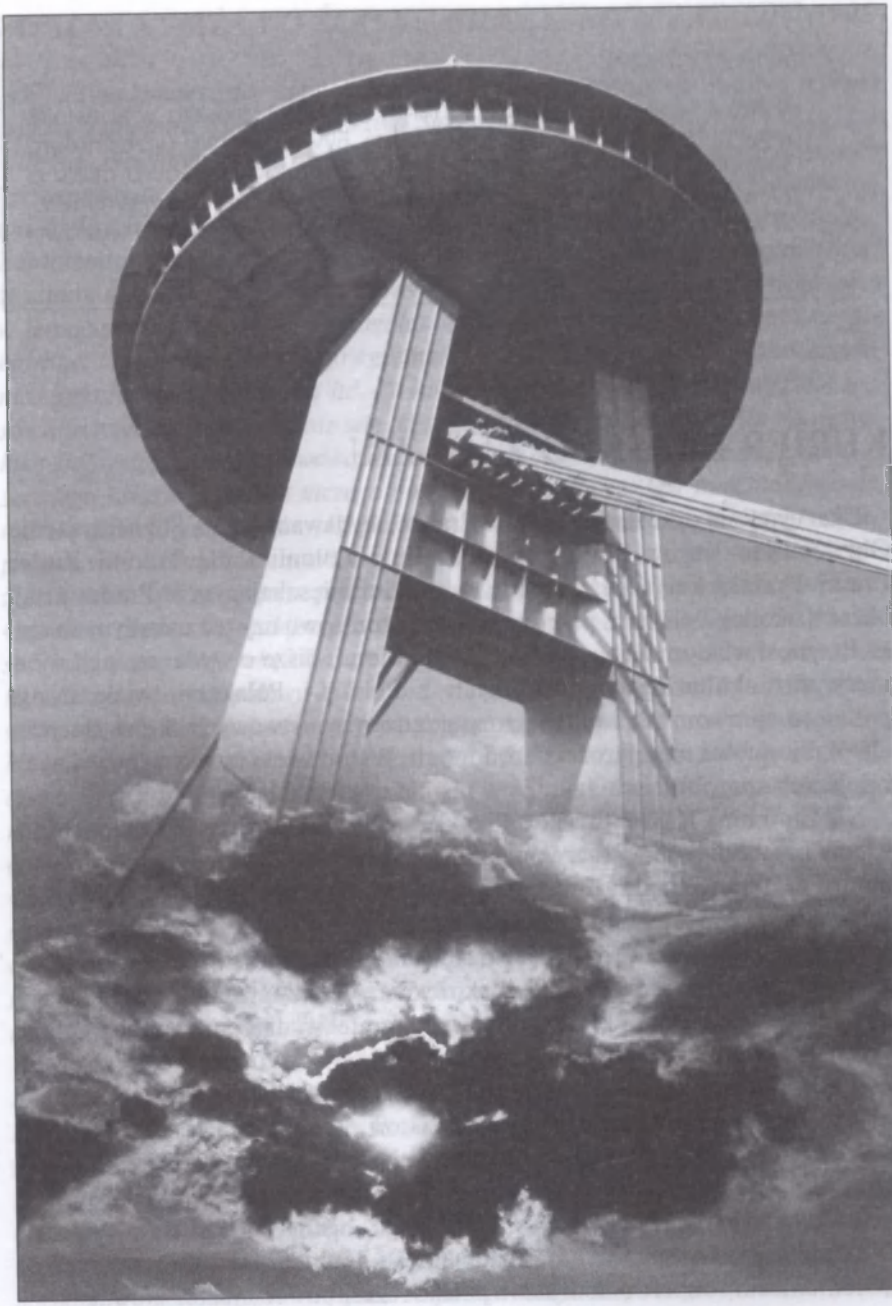
W tym dniu odbył się tu wernisaż wystawy „Beskid Śląski w malarstwie", którą zaprezentował, witając licznie przybyłych gości, właściciel galerii Krzysztof Lesław Pankiewicz. Wystawa jest pewnego rodzaju konfrontacją artystów pochodzących z różnych pokoleń i kręgów polskich, którzy w swej twórczości sięgnęli po tematy beskidzkie. Obok więc dzieł od dawna nieżyjącego Czesława Kuryatty oglądamy obrazy Stanisława Mazusia z Górnego Śląska, znanych miejscowych twórców Bogusława Heczki i Iwony Konarzewskiej czy nawet artysty z Białorusi Wasiliwa Jasiuka. Spośród 16 wystawiających artystów nie wszyscy są profesjonalistami, nie brak tu mniej lub bardziej utalentowanych amatorów. Na ich tle nieźle wypadają nasi artyści z SAP-u - Oskar Pawlas i Paweł Wałach. Obaj uczestniczyli uprzednio w górskim plenerze malarskim, który ulokowany został na malowniczych zboczach Baraniej Góry, obaj też zaprezentowali największy pod względem ilościowym zestaw prac.

Oskar Pawlas, tradycyjnie już, przedstawia serię charakterystycznych dlań pejzaży olejnych, epatujących widza nabrzmiałą zielenią. Zestaw jego prac poświadcza trwanie artysty w wybranej przez siebie manierze artystycznej, pełnej naturalizmu, radości życia i podziwu dla piękna przyrody, nie tylko zresztą beskidzkiej. Zupełnie inny jest Paweł Wałach, bawiący się kolorem, którego interesuje nie tyle przyroda, ile jej ujarzmienie przez człowieka, w tym wypadku ludność góralską. Nie brak więc wśród jego prac widoków chat i przysiółków góralskich oświetlanych silnym słońcem. Jego obrazy także napawają radością i mocnym regionalizmem. Wszakże wydaje się mi, iż pod względem artystycznym najmocniejszymi pracami Wałacha są pokazywane na tej wystawie jego martwe natury z wazonami pełnymi kwiatów. Tu artysta, nie umniejszając palety swoich barw, potrafi śmiałymi pociągnięciami pędzla, nieraz wręcz nonszalanckimi, wyzwolić urodę kwiatów i ich otoczenia we własny, niepowtarzalny sposób. Trudna to sztuka, ale świadcząca o klasie artysty. W sumie, w konfrontacji z innymi wystawianymi w wiślańskiej galerii pracami, nasi dwaj artyści wypadli przekonywująco, udowadniając swój talent i mocne beskidzkie korzenie.

Miłym wypełnieniem wernisażu były śpiewacze popisy miejscowego zespołu góralskiego (męskiego) Gronie, który nie omieszkał również wysławiać w śpiewie tegorocznego idola Polski - skoczka narciarskiego Adama Małysza, pochodzącego właśnie z Wisły. Pięknym gestem artystów uczestniczących w wystawie i organizatorów galerii było wystawienie części prac na licytację, z której oczekiwany dochód ma wspomóc rozbudowę skoczni narciarskiej w Wiśle-Malince.

JERZY POLAK

TADEUSZ GABRYŚ



TADEUSZ GABRYŚ

Jeden z nestorów fotografii zaolziańskiej żyje i mieszka w Karwinie. Główny temat jego zdjęć to reportaż. Bywa częstym uczestnikiem Gorolskigo Święta w Jabłonkowie, fotografując go. Sporo miejsca poświęca także tematyce krajobrazu, głównie Beskidów. W tym roku w Państwowym Archiwum w Karwinie odbyła się jego wystawa fotografii z okazji 80. urodzin.

KURIER PRASKI O ZAOLZIU

Ukazujący się od dziesięciu lat w Pradze, wydawany przez Stowarzyszenie Obywatelskie Kurier Praski, miesięcznik o Polonii i dla Polonii **Kurier Praski-Pražský kurýr** służy przede wszystkim mieszkającym w Pradze i najbliższej okolicy Polakom, przebywającym tu czasowo czy też osiadłym na stałe. Przynosi wiadomości o życiu praskiej Polonii, pisze o wydarzeniach rocznicowych i kulturalnych związanych z Polską i Polakami, wiele uwagi poświęca sprawom ustaw RC i rozporządzeń państwowych, które dotyczą obcokrajowców i mniejszości narodowych. Wśród wielu tematów poważnych i lżejszych sporo miejsca zajmuje w piśmie również historia.

Nie zapomina Kurier Praski o Polakach-autochtonach na Zaolziu. Odnotowuje najważniejsze wydarzenia z życia polskiej mniejszości narodowej skupionej na terenach przygranicznych między Boguminem a Mostami koło Jabłonkowa. Wraca też do historii tych ziem, która ciągle wzbudza zainteresowanie, a najnowsza - dwudziestowieczna - jest źródłem polemik między broniącymi swoich racji stronami, jak również między tymi, którzy widzą tylko gołe fakty, a tymi, którzy odbierają tamte wydarzenia emocjonalnie. Dyskusja o problemie Zaolzia rozgorzała także w tegorocznym kwietniowym numerze Kuriera Praskiego.

Na łamach Zwrotu przytaczamy dziś za Kurierem Praskim (4/2001, s. 9-10) nawiązującą do tematu recenzję książki Lubomíra Kubíka „Těšínský konflikt. Dramatické okamžiky česko-polských vztahů" (wydawnictwo Votobia, Olomouc 2001, 133 s.) praskiego historyka Jaroslava Valenty. O publikacji tej pisał też na łamach Głosu Ludu (24.2.2001) w artykule „Ołomuniecki »bubel« o konflikcie polsko-czeskim" Krzysztof Nowak.

FATALNA KSIĄŻKA O ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM LAT 1918-1920

W lutym interesujące się tematami polskimi wydawnictwo Votobia wydało książkę Lubomira Kubika o sporze o Śląsk Cieszyński w latach 1918-1920.

Temat niewątpliwie ważny; może zaciekawić; od lat brakuje wyczerpującego i dostępnego omówienia naukowego. Temat ten nie ma jednak szczęścia do autorów. Wydana niedawno w Cieszynie książka (M. Janik, 1999) też jest fatalna. Zacząłem czytać Kubika z dużym zainteresowaniem. Lecz entuzjazm mój stygł ze strony na stronę aż do zera i nawet poniżej. W oczy uderzał brak rozeznania w temacie i raczej w historii w ogóle, o znajomości realiów współczesnych nie mówiąc. Marginesy stron mego egzemplarza pokryły się gęsto znakami zapytania, wykrzyknikami, fajkami itd. Po kilka na niemalże każdej stronie. Nie sposób autora podejrzewać, że nie wie, iż zdolność krytycznego podejścia do wszystkich informacji jest podstawową metodą pracy historyka. Nie można twierdzić, że z jego książki czytelnik niczego nowego się nie dowie. Jest tam mnóstwo danych: ważnych, mniej ważnych, błahych. Są informacje prawdziwe, trochę tylko prawdziwe i całkowicie zmyślone, czyli wyssane z palca, ale polegające na niezrozumieniu przez autora faktycznej treści gdzieś wyszperanych informacji. Czytelnik nie ma najmniejszej możliwości ich sprawdzenia. Kto ma w domu wyspecjalizowaną bibliotekę? Rażąco kompromitująca jest już wyjściowa teza autora, że aż do drugiej połowy XIX w. mieszkańcami tego regionu byli tylko Czesi i Niemcy; a Polacy rzekomo przybyli dopiero jako imigranci „z sąsiedniego Śląska i Galicji" przy industrializacji regionu. - Liczna imigracja polskiej siły roboczej z Galicji do powstającego i rozwijającego się od o k . 1870 r. zagłębia jest niewątpliwa, zresztą sprawa jest naukowo opracowana (B. Pitronová 1979), o czym autor widocznie nie ma pojęcia. Autochtonizm Polaków na Śląsku Cieszyńskim jest ponad wszelkimi wątpliwościami. Taka teza wyjściowa jest dosłownie żenująca i dyskwalifikuje autora w ogóle. To, co opowiada czytelnikowi o tzw. Ślązakach, pojęciu w środowisku czeskim nie tylko dziś, ale już wówczas nieznanym i niezrozumiałym, jest zbitką nieprzetrawionych informacji, których kontekstu autor nie rozumie.

Konflikt czesko-polski na Śląsku Cieszyńskim był moim zdaniem nieunikniony. Był obiektywnym zderzeniem dwu programów narodowych i terytorialnych, a każdy miał swoje racje. Rozwiązanie było możliwe tylko drogą kompromisu. Nie sposób sprawy prezentować tak, jakoby chodziło o konflikt zasiedziałych prawowitych właścicieli z jakimiś intruzami. To jest szkodliwa próba ożywiania dawno przez historyków czeskich odrzuconej legendy. Autor stwarza całkowicie zniekształcony obraz, może bezwiednie i z braku rozeznania, polityki polskiej w ogóle. Nieprawdą jest, że polska akcja niepodległościowa w latach

1914-1918 była „niewiele znacząca, z tylko mglistymi wyobrażeniami o przyszłości", bo była tylko rozdwojona i działała innymi metodami aniżeli akcja czeska. Czystym nonsensem jest twierdzenie, że Wiedeń i Berlin zamierzały stworzyć buforowe państwo polskie z Galicji, Górnego Śląska, Pomorza i części Wielkopolski, zdobytej od Rosji (!). Autor pewnie nigdy nie widział mapy Europy sprzed 1914 r. Owa kadłubowa Polska miała, obok na Rosjanach zdobytego Królestwa, objąć z wymienionych ziem tylko austriacką Galicję. Reszty, wówczas pruskiej, Niemcy ani myśleli oddawać, a nawet planowali okroić zabór rosyjski o cenniejsze gospodarczo rejony. W Galicji Wschodniej Polacy nie walczyli z Petlurą, ale z wojskami ZUNR. Autor myli czeskiego czytelnika, określając Galicję Wschodnią jako „katolicką Ukrainę". Zgoda, Ukraińcy galicyjscy byli w większości unitami czyli katolikami greckiego obrządku, termin „katolik" jednak dla każdego Czecha oznacza rzymskiego katolika, „łacinnika" w terminologii galicyjskiej. Kubík myli obu braci Grabskich. Premier i minister skarbu w 1920 Władysław Grabski, obecny w Spa, to brat Stanisława, który u schyłku 1918 r. (nie jako poseł stosunkowo nieznany) nie przyjechał z Warszawy jako mediator Piłsudskiego i „grona posłów" (?) do Paryża przekonywać min. Beneša, ale na odwrót, jako wysłannik paryskiego KNP Romana Dmowskiego przyjechał z Paryża do Warszawy sondować sytuację w kraju. Cały rozdział 10 o tzw. „podstępie Šnejdárka" jest w 90 proc. tylko fikcją literacką. Przykłady można by mnożyć, nawet drastyczne: z Cieszyna do Ostrawy jest rzekomo 20 km! To chyba szczyt. Szczegółową recenzję historyczną zamieszczę w fachowym czasopiśmie historycznym. Ostrą odprawę dał temu „dziełu" już historyk M. Borák w prasie czeskiej (Měčislav Borák „Historická kniha plná chyb se pokouší znovu oživit starý Těšínský konflikt", Moravskoslezský den, 16.2.2001 - przyp. red.).

Niestety, nie można uznać tej książki za pozytywny wkład ani do wyjaśnienia sporu o Śląsk Cieszyński, ani do szerszego opracowania ówczesnych stosunków polsko-czeskich/czechosłowackich. Nie mogę nawet zalecić jej lektury. Ostrzegam przed traktowaniem tej książki jako źródła informacji o czymkolwiek. Byłoby o wiele lepiej, gdyby się w ogóle nie ukazała. Wywoła tylko hałas, niezadowolenie i dostarczy wymarzonych argumentów i amunicji słownej osobom zacietrzewionym z obu stron. To zaś nie jest i nie może być celem poważnych historyków, mam nadzieję, po obu brzegach Olzy. Typowa lipna fucha. Obiło mi się o uszy, że ktoś z Zaolzia dzwonił do wydawnictwa Votobia, jak można było taką książkę wydać? Odpowiedziano, że wydawnictwa nie interesuje treść książki, tylko zysk. Nie chcę namawiać wydawcy do strat, nie sądzę jednak, by takie stanowisko było właściwe i odpowiedzialne. Wydanie tej pracy uważam za skandal, obciążający zarówno autora, jak i oficynę.

Prof. PhDr JAROSLAV VALENTA DrSc

ZBIÓR OPOWIADAŃ GWAROWYCH

Do cyklicznych imprez folklorystycznych w Cieszyńskiem zaliczyć już można Konkurs Znajomości Gwary na Śląsku Cieszyńskim, zainicjowany przed sześcioma laty przez Towarzystwo Miłośników Skoczowa i organizowany wspólnie z Macierzą Ziemi Cieszyńskiej z udziałem Sekcji Folklorystycznej ZG PZKO w Czeskim Cieszynie. Imprezie, urządzanej co dwa lata, towarzyszy spore zainteresowanie. W Konkursie biorą udział osoby w różnym wieku zamieszkujące po obu stronach Olzy, jednak - co szczególnie cieszy - każdorazowo zwiększa się liczba młodzieży, głównie w wieku szkolnym. Kolejna, trzecia edycja Konkursu odbyła się w roku ubiegłym. Spotkania eliminacyjne, odbywające się jak zawsze w Skoczowie, wyłoniły zwycięzców, którzy wystąpili na scenie auli Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie 21 października 2000 r. na uroczystym koncercie finalistów.

Stało się też zwyczajem publikowanie każdorazowo nagrodzonych tekstów gwarowych w oddzielnym, seryjnym wydawnictwie pod wspólnym tytułem „Roztomili ludeczkowie...". Kolejny tomik gwarowych gawęd ukazał się w czerwcu bieżącego roku i zawiera 17 opowiadań nagrodzonych w ubiegłorocznym trzecim Konkursie. Ponieważ uczestnicy konkursu prezentują przed zespołem jurorów przede wszystkim umiejętność posługiwania się gwarą, mogą wygłaszać teksty własne, a także innych autorów. W publikacji tej znalazły się zatem opowiadania: Zuzanny Bujok „O pachołku, co był sóm przez sie" i „Pobaby na Wiśle", Henryka Jasiczka „Zabijaczka w Jabłonkowie", Wilhelma Mynarza „Pón Papaja", Emilii Michalskiej „Rechotek", Karola Piegzy „O Rudzie Ściskale, kiery swojóm koszule na wieczerze zjod". Podczas finału przed publicznością z prawdziwym aktorskim wdziękiem, w swobodnym gawędziarskim stylu prezentowali je: Bronisław Czyż, Bogusława i Michał Szarzec, Paweł Mitręga - wszyscy z Wisły, Józef Niesyt z Jasienicy, Tadeusz Wojacki z Kończyc Małych, Małgorzata Szupina ze Strumienia i Krzysztof Kałuża z Pogórza.

Na uwagę zasługują utwory własne w wykonaniu samych autorów. Anna Boszczykowa z Żywocic przypomniała o zbieraniu zboża z pola i młóceniu cepami ze swoistym ceremoniałem w opowiadaniu „Żniwa za downych czasów w naszy dziedzinie". Do współczesności nawiązał Paweł Lazar z Wisły w humoresce „Co to je gaz", choć inny tekst pt. „Jako je różnica między byke a krowo" dowcipnie również ukazuje dawną wieś. Do wiejskiej obyczajowości nawiązują także teksty Lidii Szkaradnik i Franciszka Bijoka, wygłoszone przez Barbarę Kaczmarzyk z Ustronia i Bernadetę Wojtyłę z Goleszowa,

opowiadanie Franciszka Żertki w wykonaniu Danuty Póstułki z Górek oraz Krystyny Pilch przedstawione przez Magdę Barczuk z Wisły.

Większość prezentujących ciekawe historie podkreśla autentyczność gwary - pisze w słowie „Od redakcji" Maria Broda. *Język ten trzeba znać, by móc nim tak pięknie wyrażać różnorodność przeżyć i uczuć. Atmosfera przeglądów jest osobliwa.*

Niezwykły urok konkursu ukazany jest w części ilustracyjnej. Zestaw 12 zdjęć - choć w reprodukcji czarno-białych - w wykonaniu Bronisława Brody ilustruje eliminacje i finałowy koncert, zarówno uczestników w regionalnych cieszyńskich strojach, zespół estradowy, skład szacownego jury, jak również licznie zebraną publiczność. Część ilustracyjną uzupełnia pierwsza strona okładki, przedstawiająca olejny obraz skoczowskiego malarza artysty Edwarda Biszorskiego pt. „Rodzina". Prace Biszorskiego zdobią też okładki poprzednich tomików wydawnictwa. Nabywając kolejne pozycje, po latach można zatem uzbierać większą serię ilustracji obrazów tego artysty.

Książeczkę, liczącą 40 stron, zredagował zespół w składzie: Maria Broda, Józef Drabina oraz Małgorzata i Robert Orawscy. Zbiór opowiadań „Roztomili ludeczkowie" wydało Towarzystwo Miłośników Skoczowa w nakładzie 500 egzemplarzy. Warto mieć taką pozycję w domowej biblioteczce folkloru.

KAROL KAJZER

MOZAIKA

ŻNIWA ZA DOWNYCH CZASÓW W NASZY DZIEDZINIE

Obili, głównie reż i pszynice, sie sioło na jesiyń. Była też pszynica jarka, tóm sie sioło na wiosne, ale to w tyn czas, jak była deszczowo jesiyń i nie dało sie zasioć. Na wiosne też sioł sie owies, tyn sie potym siyk we żniwa jako ostatni, a siyk sie na pokos.

Żniwa zaczynały się w lipcu, jak je w kalyndorzu św. Margarety, to sie uż szło siyc reźbo. Ta je piyrszo zdrzało, rychli niż pszynica. Mówiło sie taki przisłowi, że „św. Margita chynyła siyrp do żyta". Reź sie siykło na ściane. Było ku tymu trzeba trzoch ludzi. Przeważnie chłop siyk, jedna baba ubiyrała, a trzecio wiónzała snopki skrónkami. Jak było moc trowy we snopkach, to jóm było trzeba wytrzepać, bo taki snopek pomału wysychoł. Snopki sie potym stawiało do mandor.

Dziewiynć snopków sie postawiło kłosiym do wyrchu, zwiónzało sie porwósłym dogrómady, a na wyrch sie posadziła czopka zwiónzano ze dwóch snopków do szpiczata, tak aby, jak bydzie padać deszcz, woda ściykała, a snopki były w suchu. Tak postawióne mandory przi pieknej pogodzie stoły na polu cały tydziyń.

Potym było trzeba mandory zwożać do stodoły. Na zwożani był tragacz. Na ramie było trzeba założyć szerke, oczka szerki zasunóć na nosze tragacza, na tragacz nałożyć jednóm albo i dwie mandory, wiyźć do stodoły i ukłodać do sómsieka.

Reź sie przeważnie młóciło cepami, bo stare chałupy były kryte doszkami. Doszki sie robiło z prostej, reźnej słómy. Gdo nie potrzebował robić doszki, tyn móg młócić maszynóm. Ale motora tako maszyna ni miała, musieli cztyrze ludzie toczyć kołami. Jak sie młóciło cepami, a biły jyny trzi cepy, to śpiywały po-pla-cku, poplacku. Jak biły sztyry, to śpiywały po-pe-cyn-ku, popecynku, a jak biło piyńć cepów, to sie dało słyszeć po-pecy-ne-czku.

Nójwięcy młóciły sztyry baby. Piyrsze se zrobiły ociyrka kłosów na snopkach po obóch stronach. Potym połowice snopków odstawili bokym, a drugóm połowice rozgrabili ciynko na gumnie i młócili zaś po obu stronach. Wymłócónóm słóme wiónzali do wielkich ociypek dwiyma porwósłami, a ty ociypki słómy tak powiónzane były przigotowane na robiyni doszków.

Gumno, na kierym sie to obili młóciło, było glinianne, a czasym myszy w nim narobiły dziury, tak też przed młóckóm było trzeba rozrobić celiny z gnojówkóm na gynstóm malte i ubić dziury takóm maltóm mocno, aby sie glina przi biciu cepami nie wykruszała.

Jak było trzeba zrobić nowy cep, to mieli starsi taki zwyk mierzić dłóńmi i też ku tymu mieli taki oto powiedzónko: „Kaj idziesz? Do lasa? Po co? Na drzewo! Na co? Na cep!" I tak sie tyn klocek drzewa, co było przeznaczóne, na cep dłónióm za dłónióm chytali, a w tym miejscu po tym było trzeba tyn klocek pod ostatnióm dłónióm urznyć. Tak dłógi był cep. Cep był ze dwóch czyńści, z loski i cepu. Cep je obszyty skórzannóm kapicóm, zaś na losce je sworzyń, a to wszystko je dogrómady zwiónzane skórzannym rzymiyniym. Loske sie dzierży w dłóniach, a w dłóni jóm musi toczyć, bo inaczy sie nie do cepym młócić. Namłócóne obili osiywali do kłósio na przetaku, a od plyw sie czyściło burdakym. Gdo ni mioł burdaka, to jak był wiater, to odewrzili stodolne wrota i wijaczkóm, drzewiannóm łopatóm chybali do wyrchu obili, a wiater fukoł plewy precz. Czyste potym sie dosuszowało na sypaniu na górze. Jak było dobrze wyschłe, to potym go mleli na żarnach rynicznie albo też, gdo mioł postawióny powieterniok, ty n mleł, jak fuczoł wiater. Była to mónka i z otrymbami. Gdo chcioł, to na rzeszótku osiywoł otrymby od mónki. Nikierzi zaś piykli placki, chleby i brótfanioki bez osiywanio, a dodali troche biołej mónki kupiónej we sklepie.

ANNA BOSZCZYKOWA Z ŻYWOCIC

HUMOR ZESZYTÓW SZKOLNYCH

Baryka zakopał precjoza wraz z żoną i synkiem.

Boryna był teściem żony syna Antka Hanki.

Czarnecki zebrał dużą kupę chłopską.

Na tym obrazie Rejtan leży w białej koszuli rozpiętej pod drzwiami.

Jacek Soplica po swojej śmierci był jakiś nieswój, ale przecież wiedział, że całe życie poświęcił ojczyźnie.

Judym postanowił czuwać nad całkowitym brakiem higieny.

Kain zamordował Nobla.

Kirkor, poszukując cnotliwej żony, załamał się na mostku i poszedł do wdowy.

Król Waza, jak sama nazwa wskazuje, lubił zupy.

Królowa Kinga została świętą, bo Bolesław był wstydliwy.

Ludzie powinni być życzliwi, a gdy jeden człowiek upadnie, to drugi powinien się tym przejąć.

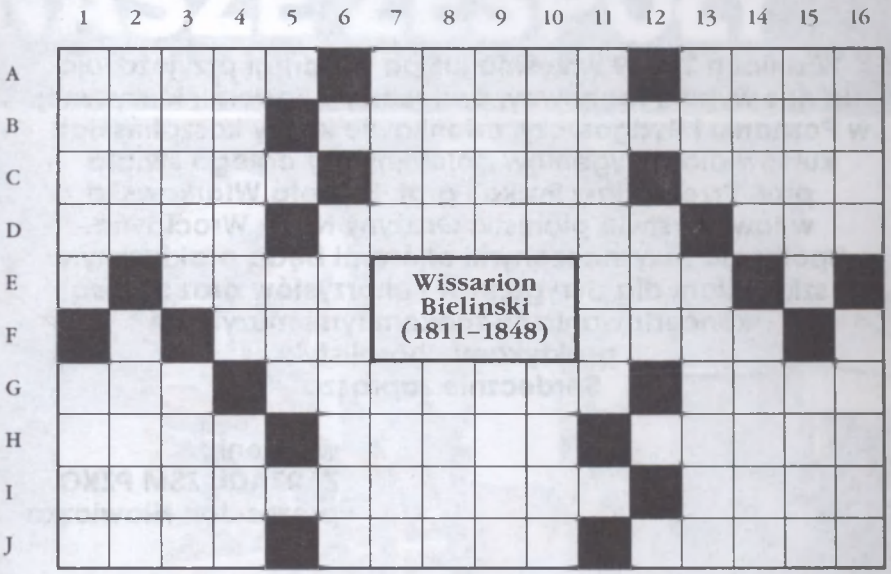
Na skutek żałoby swojej matki Iwona urodziła się pięć lat po śmierci ojca.

Największym błędem Bolesława Krzywoustego było to, że podzielił swoich synów na pięć części.

Nel nałożyła mu piersi na głowę i spokojnie usnęła.

Nerki, moczowody, pęcherz moczowy i cewka tworzą układ wydawniczy.

KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA Z AFORYZMEM

POZIOMO: A. Czynny wulkan w Islandii; reszka; starożytny mieszkaniec Mauretanii. **B.** Zawartość kruszcu w monetach; rodzaj ważki lub tytuł baletu E. Morawskiego. **C.** Ssak z rodziny jeleniowatych; elektroda dodatnia; 0,9144 m. **D.** Fusy; chronologiczny zapis wydarzeń; głębia morska. **E.** Włoski port nad Adriatykiem; kręci się w oku. **F.** Przyjaciółka Stasia; dopływ Renu w Szwajcarii. **G.** Jednostka ciśnienia; wczesna pora dnia; imię Wawrosza. **H.** Miot; mało znany mężczyzna; podstawowy dźwięk trójdźwięku. **I.** Sprawozdanie autora z własnej pracy naukowej lub publicystycznej; widzialny przejaw boga Re. **J.** Tłuszcz z ryb; jubilerska jednostka masy; rozpoczęcie biegu, wyścigu.

PIONOWO: 1. Miasto kananejskie w Galilei; zakonnik, mnich. **2.** Inna nazwa Grecji; polski taniec ludowy. **3.** Dawniej łódź, okręt; roślina używana dawniej na wianki ślubne. **4.** Środek owadobójczy; dźwięk. **5.** Fizyczny równoważnik 1 rentgena. **6.** Specjalne narzędzie ogrodnicze do sadzenia roślin. **7.** Koczownik; skała podwodna. **8.** Tokaj lub malaga; botaniczna nazwa klonu. **9.** Miasto w regionie Londynu; dopływ Tybru. **10.** Włoski lekarz i biolog (Francesco, 1626–1698); stała posada. **11.** Krzew strefy umiarkowanej. **12.** Cyganka z opery Manru Paderewskiego. **13.** Chłodny... - dobry urodzaj; miejsce zatrzymania się arki Noego. **14.** Siostra Baala; imię Górniak. **15.** Wrzątek; rzymski Eros. **16.** Staropolskie imię męskie, kochanek.

Wyrazy trudne: HASOR, LINDAN, REDI, RADŃ.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: G-5, B-3, H-9, E-12, C-13, J-3, I-14, D-8, G-16, H-14, B-6, A-4, G-10, B-14, D-10, I-8, A-8, I-4, G-1, J-15, C-11, H-2, D-3, H-8, A-1.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną rozlosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca września.

Rozwiązania z numeru lipcowego:
krzyżówka kombinowana - SFINKSY BEZ TAJEMNIC,
krzyżówka - WIEDZA BEZ LOGIKI NIC NIE JEST WARTA.

Nagrody książkowe wylosowali: **Jan Hlawiczka** - Český Krumlov
Wanda Zmija - Stonawa
Marian Nieboras - Trzyniec 6

UWAGA DYRYGENCI CHÓRÓW ZŚM, CHÓRÓW SZKOLNYCH I POLSKICH WYZNANIOWYCH

W dniach 26–29 września już po raz drugi przyjeżdżają do nas wybitni fachowcy, profesorzy Akademii Muzycznej w Poznaniu i Bydgoszczy, członkowie kadry koszalińskich kursów dla dyrygentów polonijnych z całego świata prof. Przemysław Pałka i prof. Elżbieta Wtorkowska w towarzystwie pianistki Grażyny Ney z Wrocławia. Spotkania z wyznaczonymi chórami będą praktycznym szkoleniem dla dyrygentów i chórzystów oraz szansą koncertowania ze znakomitymi muzykami i praktykami chóralistyki. Serdecznie zaprasza

w imieniu ZARZĄDU ZŚM PZKO prezes Jan Hławiczka

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny Ministerstwa Kultury RC: F 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN,
Tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI, Daniel KADŁUBIEC, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168 Kč, z wysyłką pocztową 240 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701028/00 z dnia 27 VI 2000 r. z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE ZESPOŁY



SKRZECZOŃSKI ZESPÓŁ DZIECIĘCY

W Skrzeczoniu wprawdzie Polska Szkoła Ludowa została zamknięta już w 1969 roku, pomimo to w latach 70. i 80. przy Miejscowym Kole PZKO aktywnie działał Klub Młodych. W ostatnich latach pod kierownictwem mgr Danuty Chorzempy zaktywizował się zespół dziecięcy. Zespół w ramach skrzeczońskiego Koła PZKO z powodzeniem zalicza okolicznościowe występy podczas takich akcji jak tradycyjne powitanie wiosny, festyny lub wigilijki. Dzieci wystawiają różnorodne scenki, tańce oraz wiązanki piosenek i wierszyków. W ramach współpracy zespołu dziecięcego z młodzieżą Koła odbywają się tradycyjne obchody Międzynarodowego Dnia Dziecka połączone z szukaniem skarbu, podczas festynów organizowane są dla dzieci różne gry i zabawy, natomiast podczas tradycyjnych grudniowych świetlic dziecięcych dzieci otrzymują skromne podarunki świąteczne. Ponadto dzieci członków Koła aktywnie uczestniczą w głównych kulturalnych i sportowych akcjach Koła.

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

OT

P.P.
701 028/00
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

Pierwszy autoryzowany dealer samochodów
FORD
w rejonie trzynieckim
SILCAR PLUS, Wędrynia 999
(po lewej stronie drogi z Trzyńca do Jabłonkowa)
telefon: 0659/350 830, 0606/716 119

JEST DO PAŃSTWA DYSPOZYCJI!

- sprzedaż nowych i używanych samochodów
- sprzedaż części zamiennych

ISSN 0139-6277

Zwrot 10 2001

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

WCZORAJ i PRZEDWCZORAJ



Swoją działalność zainaugurowała Scena Polska 14 października 1951 roku premierą sztuki Aleksandra Maliszewskiego „WCZORAJ I PRZEDWCZORAJ" w reżyserii Władysława Delonga (studenta FAMU w Pradze) i scenografii Władysława Cejnara (absolwenta ASP w Krakowie). Zespół aktorów-założycieli tworzyli: Piotr Augustyniak, Janusz Bobek, Emilia Ruszówna-Bobek, Franek Chmiel, Stefania Dzidowa, Józef Gawlas, Marta Gogółka, Fryderyk Gogółka, Franciszka Kasprzakowa, Anna Kluzówna-Kaleta, Wanda Łysek, Janina Buzek-Matuszczakowa, Franek Michalik, Alojzy Mołdrzyk, Helena Trzósłówna-Rybicka, Witold Rybicki, Wanda Spinka, Eugeniusz Sumera, Maria Szymeczek, Rudolf Urbański.

Pierwsze słowa, które padły ze sceny, wypowiedział aktor Janusz Bobek i brzmiały one następująco: „No więc jak, panie Władziu?" Pierwszym kierownikiem artystycznym Sceny Polskiej był WŁADYSŁAW NIEDOBA (1951-1960), który zorganizował widownię i zdynamizował rozwój tej placówki.

Scena Polska Teatru Cieszyńskiego ma 50 lat

TACY BYLIŚMY



Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej z Żukowa Dolnego przed budynkiem tutejszej Szkoły Ludowej. Rok 1950. W stosunku do fotografii publikowanych na tej stronie okładki to czasy niedawne, a jednak trudno jest ustalić nazwiska wszystkich osób tu uwiecznionych. Toteż podajemy tylko niektóre. Na ławce siedzą od lewej: Lidia Lasota (po mężu Balon), Jan Drobisz, nauczyciel polskiej szkoły w Czeskim Cieszynie Kajfosz i Aniela Budnik. A w rzędach wyższych Irka Rakowska, bracia Erwin i Edward Kaimowie, bracia Franciszek, Stanisław i Janek Morawcowie, Tadeusz Matuszek, Anna Wojnar.

Drodzy Czytelnicy,

jest nam miło poinformować, że już kolejny raz dokonaliśmy losowania wśród prenumeratorów naszego miesięcznika. I tak nagrodę główną - **6-tomową Nową encyklopedię powszechną**, ufundowaną przez Fundację Pomoc Polakom na Wschodzie w Warszawie - wylosował **Paweł Pieter** z Gnojnika (na zdjęciu podczas odbioru nagrody w redakcji).



Atrakcyjne nagrody książkowe wylosowali:

1. Maria Wygrys
   Czeski Cieszyn, kpt. Jaroše 40
2. Helena Kučera
   Orłowa Miasto, Klášterní 243
3. Helena Ruszowa
   Trzyniec 6, Masaryka 385
4. Klaudius Kasprzak
   Brno, K bukovinám 18
5. Genowefa Schönwald
   Karwina Mizerów,
   Těreškovové 2271
6. Jan Łysek
   Boconowice 46
7. Władysław Niedoba
   Nawsie 497
8. Krystyna Klimsza
   Cz. Cieszyn Mosty,
   Mezi lány 225
9. Władysław Waluszczyk
   Bogumin 1, Szonychel 106
10. Tadeusz Rzyman
    Sucha Górna, Stonawska 17/54

Nagrodą szczególną (mały robot kuchenny, ufundowany przez firmę Zelmer) wyróżniliśmy naszą stałą czytelniczkę **Helenę Lach** z Mostów k. Jabłonkowa, która w konkursie pozyskiwania nowych czytelników wykazała się największą ich ilością (5). I choć spodziewaliśmy się, że odzew wśród czytelników będzie większy, stąd obiecywana nagroda w postaci kilkudniowego pobytu w Polsce, tym niemniej dziękujemy wszystkim Czytelnikom, którzy nie szczędzili trudu, by grono czytających Zwrot było coraz większe.

Nagrody do odebrania w redakcji Zwrotu.

Zwrot 10 2001

Rok LII, Nr 623
Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 20,00 Kč

Książnica Cieszyńska

W NUMERZE

4	Pięćdziesiąt lat Sceny Polskiej	CZESŁAWA RUDNIK
8	Teatr to mój drugi dom. Rozmowa z Haliną Pasekovą	CZESŁAWA RUDNIK
14	Zakochani w Scenie Polskiej	KAZIMIERZ JAWORSKI
20	Wokół Aleksandra Fredry	ALEKSANDRA HUMEL
29	Wspomnienie o Wicie – Władysławie Michejdzie (2)	JÓZEF GÓRNIAK
34	Kronika: Uroczysta msza prymicyjna w Marklowicach Dolnych, Dożynki MK PZKO w Orłowej Lutyni, Tradycyjne Dożynki w Gutach po raz 34, Festyn Górski w Koszarzyskach, Żwirkowisko na rok przed jubileuszem, XXXII Dożynki Śląskie w Błędowicach, Po Babskim Festynie, „Bachora“	
48	Poezja Tadeusza Soroczyńskiego	
50	Ota Ulč: Ameryka i grzyby	
54	Okruchy literackie	
59	Śladami Orzeszkowej i Mickiewicza	BRONISŁAW FIRLA
63	Jubileusz karwińskiej Średniej Szkoły Zdrowotnej	CZESŁAWA RUDNIK
66	Na półkach księgarskich	
70	Echo wydarzeń muzycznych	
73	Trybuna czytelników	
76	Nasze zdrowie	
77	Mozaika	JAN KUBICZEK

Numer zamknięto 16. 9. 2001



Z repertuaru Sceny Polskiej TC. „Żołnierz królowej Madagaskaru", 1958, Emilia i Janusz Bobkowie

PIĘĆDZIESIĄT LAT SCENY POLSKIEJ

Już pół wieku działa w Czeskim Cieszynie teatr, który promuje polską kulturę. Teatr, w którym rozbrzmiewa polskie słowo. Nazwany został Sceną Polską, stanowi jeden z dwu równorzędnych, wraz ze Sceną Czeską, zespołów Teatru Cieszyńskiego (Těšínského divadla).

Scena Polska powstała 1 sierpnia 1951 roku, jej pierwszym kierownikiem został Władysław Niedoba, pierwsza siedziba teatru mieściła się w budynku na ul. Strzelniczej, a przedstawienia grano w sali hotelu Piast. Wcześniej rozwijało się na lewym brzegu Olzy bogate amatorskie życie teatralne. *Członkowie amatorskiego zespołu* - pisano w Zwrocie (5/1950) - *to w większości ludzie pracy, którzy często po swym całodziennym zatrudnieniu poświęcają się pracy scenicznej. Nie wiem, czy ktoś z widzów zastanowił się nad tym, że grający bardzo często przyjeżdżali po przepracowanej „szychcie" bez obiadu i wracali po skończonym przedstawieniu koło północy do domu, aby wczesnym rankiem znowu wstawać do pracy. I tu, kiedy obserwujemy ten wysiłek i zarazem stały rozwój polskiego życia kulturalno-oświatowego na terenie Śląska Cieszyńskiego, dojdziemy do przekonania, że jedynym rozwiązaniem tej sprawy to zorganizowanie przy PZKO stałego polskiego zawodowego zespołu teatralnego. Materiał aktorski jest w terenie bardzo dobry, innych aktorów dla uzupełnienia kompletu dałoby się sprowadzić, sala i scena do odbywania prób jest do dyspozycji; wszelka troska o kostiumy odpada, skoro dodam, że Zarząd Główny PZKO zakupił bogato wyposażoną szatnię kostiumów teatralnych.* W roku następnym na tych samych łamach (Zwrot 7/1951) ukazał się artykuł Władysława Niedoby, instruktora ZG PZKO, który stwierdził m.in.: *Polski teatr zawodowy w Czechosłowacji powstanie jako zawodowy polski zespół teatralny przy działającym od pierwszych chwil po zakończeniu drugiej wojny i posiadającym odtąd swą nową siedzibę w Czeskim Cieszynie czeskim teatrze zawodowym, znanym pod nazwą Těšínského divadla. Na Śląsku czechosłowackim posiadamy przeszło 70 polskich zespołów ochotniczych, teatr amatorski wykazuje u nas bardzo wysoki poziom i dlatego zawodowy polski zespół teatralny musi się składać z najlepszych kadr wszystkich naszych teatrów amatorskich.*

Pierwszy zespół aktorski liczył dwadzieścia osób: Piotr Augustyniak, Janusz Bobek, Emila Ruszówna-Bobek, Franek Chmiel, Stefania Dzikowa, Józef Gawlas, Marta Gogółka, Fryderyk Gogółka, Franciszka Kasprzakowa, Anna Kluzówna-Kaleta, Wanda Łysek, Janina Buzek-Matuszczakowa, Franek Mi-

chalik, Alojzy Mołdrzyk, Helena Trzósłówna-Rybicka, Witold Rybicki, Wanda Spinka, Eugeniusz Sumera, Maria Szymeczek, Rudolf Urbański.

14 października 1951 roku odbyła się pierwsza premiera teatru. Zagrano sztukę Aleksandra Maliszewskiego „Wczoraj i przedwczoraj". Recenzent Zwrotu (10/1951) ocenił przedstawienie w sposób następujący: *„Wczoraj i przedwczoraj", którą reżyserował w Cz. Cieszynie młody reżyser, słuchacz Akademii Sztuk w Pradze, Władysław Delong ze Stonawy, została oddana w tej interpretacji scenicznej na stopień dobry. Można nawet powiedzieć, że pewne fragmenty tej sztuki były prawdziwą satysfakcją i nawet zaskakującą niespodzianką dla widzów. Zasługa to młodego i zdolnego reżysera i jego dosyć dobrze, jak na początek, zgranego zespołu. Na uwagę zasługują także dekoracje artysty-malarza Władysława Cejnara. W sumie przedstawienie udane, pomniejsze usterki (sporadyczna i niepewna dykcja wyrazu scenicznego) przypisać należy na konto osobistych wzruszeń aktorów w takiej chwili, jaką jest pierwsze uroczystościowe przedstawienie.*

Takie były początki tego teatru, teatru objazdowego i prowincjonalnego, lecz zrodzonego nie przy biurku decydenta kultury, a z potrzeby serca ludzi ten teatr realizujących i oglądających. Teatru jedynego w swoim rodzaju, bo poza granicami Polski polskiego zawodowego, z zespołem, któremu zarabiać na chleb pozwala polskie słowo. Nasi wierni czytelnicy znają jego dzieje także ze stron Zwrotu, gdzie często o nim pisano. Z okazji pięćdziesięciolecia przygotował teatr wydawnictwo jubileuszowe, w którym miłośnicy Sceny Polskiej znajdą materiały dokumentujące jej historię bardziej szczegółowo.

Kierownikiem artystycznym Sceny Polskiej po Władysławie Niedobie został w 1960 roku Franek Michalik, następnie od 1965 do 1973 roku Alojzy Nowak. Po kilkumiesięcznym kierownictwie Andrzeja Przybylskiego funkcję tę objął Kazimierz Siedlaczek. Od roku 1979 kierował Sceną Polską Karol Suszka. W roku 1988 kierownikiem artystycznym został Rudolf Moliński, który z ponad dwuletnią przerwą, kiedy w 1999 roku zastąpił go Jerzy Batycki, piastuje to stanowisko do dnia dzisiejszego.

Kierownikami literackimi, którzy najdłużej pracowali w Scenie Polskiej i największy wpływ mieli na kształtowanie jej oblicza, były dwie kobiety: Wanda Cejnar, od roku 1955 z przerwą w latach 60. aż do roku 1990, oraz Renata Putzlacher, od końca lat 80. do dziś.

Wielu reżyserów przewinęło się przez Scenę Polską. Niektórzy z nich, z Polski, Czech, Słowacji, reżyserowali gościnnie jedną czy kilka pozycji, jednak teatr miał zawsze reżyserów także wśród swoich własnych pracowników czy stałych współpracowników. Wymienić należałoby chociażby Władysława Niedobę, Franka Michalika, Franciszka Chmiela, Alojzego Nowaka, Witolda

Rybickiego, Karola Suszkę, Rudolfa Molińskiego, Janusza Klimszę. Wszyscy wymienieni, z wyjątkiem Alojzego Nowaka, byli również aktorami.

Od początku istnienia Sceny Polskiej przez czterdzieści lat miał teatr swego głównego scenografa, którym był Władysław Cejnar. Nazwiska wielu innych scenografów, autorów dekoracji czy kostiumów, powtarzają się wśród twórców przedstawień Sceny Polskiej kilkakrotnie.

Na scenie teatru grało w ciągu pięćdziesięciu lat jego istnienia wielu aktorów. Większość, przede wszystkim aktorzy przychodzący z Polski na kilka sezonów, ale także młodzi Zaolziacy, adepci, których teatr wysłał do szkoły teatralnej, traktowała Scenę Polską jako jeden z przystanków w swej karierze zawodowej. Ale byli i są w zespole aktorzy, którzy z tym teatrem związali się na całe życie, jedni wierni do ostatka, drudzy zdradzający go na kilka lat, powracający jednak potem pokornie. Przy tej okazji trzeba przypomnieć takie nazwiska jak Władysław Niedoba, Marta Gogółka, Fryderyk Gogółka, Emilia Bobek, Janusz Bobek, Wanda Łysek, Wanda Spinka, Piotr Augustyniak, Kazimierz Siedlaczek, Halina Pasekova, Karol Suszka, Witold Rybicki, Paweł Niedoba, Władysław Liberda, Rudolf Moliński, Karol Tyrlik, Zbigniew Żwak.

Repertuar Sceny Polskiej to temat tak szeroki, że nie sposób ogarnąć go w kilku zdaniach. Obejmuje autorów polskich, czeskich i obcych, ale także próby pokazania na scenie utworów pisarzy tego regionu. To klasyka i dramat współczesny, komedia i tragedia, śpiewogra i dramat poetycki, farsa i baśń dla dzieci. W repertuarze znalazły się sztuki dramatyczne, pisane z myślą o przeniesieniu na scenę, ale także wiele adaptacji innych rodzajów literackich. Były przedstawienia ujęte w sposób klasyczny, ale też próby dotarcia do widza poprzez poetyki współczesne czy wręcz eksperymenty, nie zawsze dobrze odbierane przez zaolziańską widownię.

Bowiem widz Sceny Polskiej, często zasiadający w tym teatrze od kilkudziesięciu lat i utożsamiający się z nim, jest dokładnie zdefiniowany i nie lubi, kiedy podsuwa mu się coś, co obce jest jego optyce widzenia rzeczywistości, również tej pokazywanej na scenie.

Żadne przelane na papier słowa o Scenie Polskiej nie oddadzą w pełni klimatu, jaki stwarza kontakt aktor – widz w czasie trwania spektaklu teatralnego, atmosfery, w jakiej odbywa się wzajemna komunikacja między osobami grającymi na scenie i siedzącymi na widowni. Toteż pisząc o tym teatrze, należy przede wszystkim zachęcić do jego odwiedzenia. Bo bez widza teatr nie ma racji bytu. 20 października zaprasza Scena Polska na premierę jubileuszową „Dziadów" Adama Mickiewicza w reżyserii dyrektora Teatru Cieszyńskiego Karola Suszki.

CZESŁAWA RUDNIK



„Romeo i Julia", 1963, Wanda Spinka i Franek Michalik

TEATR TO MÓJ DRUGI DOM



ROZMOWA Z HALINĄ PASEKOVĄ

Halina Pasekova, aktorka, związała ze Sceną Polską Teatru Cieszyńskiego całe swoje życie zawodowe. Stworzyła wiele pamiętnych ról, które pozwoliły jej zyskać uznanie widowni. Emanujące z niej ciepło, pomimo tego, iż zawód aktorki wymaga, by wcielała się również w postacie zdecydowanie negatywne, rozpala serca widzów i powoduje, że nie szczędzą jej dowodów sympatii również poza sceną.

Skąd wzięło się Pani zainteresowanie teatrem?

Od małego dziecka lubiłam recytować. Mam pierwszą recenzję o sobie, bardzo ładną zresztą: „Serca całej widowni zdobyła sobie malutka Halinka Branna z klasy pierwszej w roli dziecka na koloniach". To było jeszcze w szkole, dyrektor Brzuska napisał taką sztukę „Niech żyje nam górniczy stan". Potem zaczęły się te klasyczne recytacje, udział w konkursach recytatorskich. Dostałam się nawet do międzyszkolnego konkursu recytatorskiego w języku rosyjskim. Ale lubiłam to robić. To było coś takiego, co mnie zawsze pociągało. Człowiek prawdopodobnie nabierał wtedy śmiałości.

Aż trafiła Pani do Sceny Polskiej?

Do teatru przyszłam w 1960 roku jako adeptka, jednocześnie ucząc się do matury, pierwszą premierę miałam 10 marca 1961 roku, to było jeszcze w Piaście. Była to „Królowa przedmieścia" J. Rakowieckiego i J. Wittlina według K. Krumłowskiego.

Malutka rólka, ale wtedy właśnie kierownik Sceny Polskiej pan Michalik powiedział mi, że jest możliwość, by pójść po maturze na studia aktorskie. Bardzo się z tego powodu ucieszyłam. Trzeba było zdać mały egzamin, pozałatwiać wszystkie dokumenty i pod koniec października rozpoczął się nowy etap w życiu - studia w Krakowie. Wcześniej jednak pod koniec czerwca, kiedy już zdałam maturę, to dogrywaliśmy te przedstawienia już w nowym budynku teatru. Właśnie tu, gdzie pracuję do dziś.

Była Pani jedną z pierwszych aktorek Sceny Polskiej, które po ukończeniu szkoły teatralnej jako magister sztuki wróciły do tego teatru?

Nie, pierwszymi po szkole aktorskiej byli Kaziu Siedlaczek i Ida Kocur, nie licząc Franka Michalika, który studiował reżyserię. Potem była nas czwórka w szkole aktorskiej: razem ze mną w Krakowie śp. Władek Liberda, a w Warszawie Janina Buława i Karol Suszka, zaś na reżyserii Witold Rybicki. Do Sceny Polskiej wróciliśmy w 1965 roku.

Czy można jakoś porównać te pierwsze lata i dzień dzisiejszy?

Ten pierwszy zespół to były małżeństwa Bobków, Gogółków, Wanda Łysek, Wanda Spinka, Władysław Niedoba, Franek Michalik, Witold Rybicki, Piotr Augustyniak, pani Dzidowa, Gienek Sumera, pan Urbański, pan Mołdrzyk i inni. Dla mnie to byli ludzie, którym człowiek nisko się kłaniał. Oni byli autorytetami. Z tą starą gwardią, jak ich nazywam, tworzyłam jakby rodzinę. W tej chwili z żyjącymi utrzymuję kontakt, odwiedzam ich, spotykamy się choćby z okazji urodzin czy imienin. Gdzieś to w nas zostało i jest to naprawdę bardzo miłe.

Jak bardzo zmienili się przez te lata aktorzy, ich styl gry?

Nasi najstarsi aktorzy mieli inny styl grania, ich role były bardziej ckliwe, łzawe, tak, jak widzimy to w starych filmach. Teraz jest zupełnie inaczej. Nas szkoła teatralna nauczyła warsztatu, ale dopiero w praktyce można zakosztować prawdziwego teatru. W Scenie Polskiej jest ku temu wiele sposobności. Nowi aktorzy, przychodzący tutaj, są zaszokowani, że tu tyle pracy, ale mogą się tu wiele nauczyć i zagrać role, o których w innych teatrach w Polsce mogliby tylko marzyć. Wielu z nich udaje się też zdać egzamin eksternistyczny, pokazując swój dorobek ze Sceny Polskiej.

Zmienił się stosunek widzów do teatru, podobno kiedyś przyjazd Sceny Polskiej w niektórych miejscowościach był świętem?

Ja jeszcze jeździłam do 36 stacji. Potem się to troszkę wykruszyło. A teraz zagramy dziewięć razy i trzeba ściągnąć sztukę z afisza, bo nie ma dla kogo grać. Pamiętam, widzowie witali nas w różny sposób, była her-



„Mariana Pineda", 1985, Halina Pasekova i Władysław Liberda

bata z rumem, ciastko, pączek, np. w Rychwałdzie przychodziła pani Siwkowa z ogromną bombonierką, bo „aktory przyjechały". Były stacje, których się nie zapomina, np. Mosty koło Jabłonkowa, gdzie było zawsze bardzo zimno, ludzie siedzieli w płaszczach. Wierny widz - babuleńka po „Znachorze" przyniosła kosz jabłek: „To je dla pana, panie doktorze, że pan tak tych ludzi leczy". Tak widzowie przeżywali to, co oglądali. Jeszcze inne wspomnienie. Graliśmy w Domu Emerytów w Trzyńcu sztukę „Retro", gdzie grałam synową, która wyrzuca teścia do domu starców. To była bardzo ładna rola. Ale nagle uświadomiłam sobie, dla kogo to gramy. Miałam wrażenie, że gdyby widzowie mieli wtedy w rękach jajka czy pomidory, to by mnie nimi obrzucili.

Zagrała Pani wiele ról. Czy są takie, które wspomina Pani ze szczególnym sentymentem?

Rozpoczęłam w Scenie Polskiej już 37 sezon. Przedtem lata studiów, trochę urlopów macierzyńskich i zdrowotnych, a rezultat - mam za sobą 175 premier. Scena Polska w sumie ma ich 360, czyli grałam w połowie przedstawień. Ale tu nie chodzi o statystykę. Cieszę się, że otrzymuję role, że jestem w tym teatrze potrzebna.

Teatr to mój drugi dom. Zawsze miałam tu dużo pracy. W sezonie było osiem premier, grałam co najmniej w sześciu, mniejszą czy większą rólkę. Bardzo cieszę się z tego, że mogłam ostatnio zagrać Klarę Zachanassian w „Wizycie starszej pani". Są nawet sztuki, w których zagrałam najpierw córkę, a potem matkę, najpierw wnuczkę, a teraz babcię. Na przykład w „Porwaniu Sabinek" grałam najpierw Anulkę, a potem jej matkę, w „Moralności pani Dulskiej" zagrałam Hankę, a teraz Dulską, w „Ani z Zielonego Wzgórza" grałam Dianę, a teraz Marylę, to jedna z moich ulubionych ról. Bardzo miło wspominam wszystkie role ludowe, śpiewane, tańczone. Bardzo lubiłam „Krakowiaków i górali", rolę Basi dostałam zaraz po urodzeniu pierwszego syna Przemka, urodził się w grudniu, a ja w czerwcu po pół roku przyszłam do pracy. A potem był „Janosik, czyli Na szkle malowane", graliśmy to piękne przedstawienie dziewięć lat. W tym czasie urodziłam kolejnych synów i śmiano się ze mnie, że urodziłam sobie dwóch Janosików. Jedna z moich ulubionych ról to postać w „O, jak ślicno familija, Józef, Jezus i Maryja", mimo że było to przedstawienie bardzo wyczerpujące fizycznie. Lubię też role psychologiczne. Mogę powiedzieć, że każdą rolę w jakiś sposób polubiłam. Ale w jednej czuję się lepiej, a w drugiej gorzej. Teraz czekam już tylko na jakieś dobre role, takie np. jak Dulska, którą zagrałam na swój jubileusz.

Czy dzisiejszy widz porównuje aktorów Sceny Polskiej z gwiazdorami filmu czy telewizji?

Tego nie wiem, ale niedawno w czeskiej telewizji odbywał się benefis Jiřiny Bohdalowej i ktoś ze znajomych powiedział mi: „Tyś jest taka Bohdalka ze Sceny Polskiej". Bo były to trzy sztuki: „Dom na niebiosach", „Kto sprzątnął trupa" i „Wizyta starszej pani" i te same role, które zagrałam w Scenie Polskiej. To było bardzo miłe.

Czy oglądanie innego aktora w tej samej roli pomaga Pani w budowaniu postaci czy przeszkadza?

Raczej nigdy nie chciałam po otrzymaniu nowej roli widzieć daną sztukę w wykonaniu innych aktorów. Cieszę się, że dostaję ładną rolę. I wraz z reżyserem trzeba samemu popracować, żeby być z siebie zadowolonym, a nie powielać czyichś pomysłów.

Czy po tylu latach na scenie można jeszcze mówić o przeżywaniu roli, czy chodzi tylko o sprawy warsztatu?

To się tak wydaje, że po tylu latach pracy „otwieram szufladkę numer cztery" albo „robię minę taką i taką". I mam rolę gotową. Nie zawsze uda się czegoś nie powtórzyć, ale w każdej roli można znaleźć coś nowego i na tym polega trudność tego zawodu. Widz jest wymagający i nie można go zbagatelizować jednostajnością odtwarzania ról.

Jak ważny jest dla aktora jego partner sceniczny?

Bardzo ważny. Razem, wspólnie tworzą to, co ma widz zobaczyć. Jeżeli w ciągu prób nie znajdą wspólnego języka, może się to skończyć fiaskiem.

Jakie problemy stwarza granie przez tyle lat w tym samym teatrze, mimo że zmienia się zespół aktorski, partnerzy?

Widz starzeje się razem z nami. I ja mam problem, czy on mnie jeszcze akceptuje. Bo ja staram się tego widza nigdy nie ignorować. Uważam, że trzeba uczciwie robić swoją robotę, i cieszę się, kiedy widzowie dają mi do zrozumienia, że mnie lubią. Jestem taką lokalną patriotką. Jestem wierna temu teatrowi choćby za to, że mnie wysłał na studia, że dał mi tu tyle pięknych ról. Moim marzeniem było, żeby dożyć jubileuszu pięćdziesięciolecia! To mi się spełniło. Życzę temu zespołowi jak najdłuższych lat życia.

Ostatnio przygotowała Pani również monodram. Mogę dodać, że chwilami wzruszający, chwilami dowcipny, bo miałam okazję go obejrzeć.

Tak, dwadzieścia lat o nim myślałam i dopiero teraz udało mi się go zrobić. Nazywa się „Wszystko o kobiecie". Dzielnie sekunduje mi kolega Rudolf Moliński. Na razie poszło to w teren dwa razy i słyszałam, że się podoba. Nie robię tego dla pieniędzy, to jest moja prywatna satysfakcja. Teraz z doświadczeniem kobiety i matki o wiele lepiej mi się interpretuje.

Może Pani uchodzić również za kronikarza Sceny Polskiej?

Moi rodzice byli od początku sympatykami tego teatru, od pierwszej premiery mieli abonament. To im zawdzięczam, że mam prawie komplet programów, z pięćdziesięciu lat brakuje mi tylko 6. Zaczęłam również zbierać recenzje i kiedy uzbierało mi się parę, postanowiłam, że będę to kontynuować. Wycinałam z gazet, zbierałam. I do dnia dzisiejszego to robię. Mam nawet plakat, który zostawił mi w spuściźnie wujek Sumera, jeden z założycieli Sceny Polskiej. W 1951 roku, zanim powstała Scena Polska, odbył się przegląd zespołów amatorskich i tam miano wyłonić najlepszych do tworzącej się Sceny Polskiej. Na plakacie są nazwiska grających w tych sztukach, np. Sumera, Chmiel, Mołdrzyk. To są te prapoczątki Sceny Polskiej.

Aktorem został także Pani syn Przemysław Branny?

Cieszę się, że poszedł w moje ślady. Dziwiłam się, że chłopak, a też nie gardził recytacją. I nigdy nie odmawiał, kiedy go poproszono np. o konferansjerkę na różnego rodzaju jubileuszach. W dziecięcych rolach tu w teatrze nabrał pierwszych szlifów, a po studiach został w Krakowie



„Król Maciuś I", 1984, w spektaklu zagrały dzieci aktorów Sceny Polskiej Przemek Branny, Alusia Suszka, Basia Niedoba

i widuję go częściej w telewizji niż w domu. Ponieważ pięknie śpiewa, bierze udział w różnych kabaretach. Bazę ma w Teatrze Bagatela, zagrał już tam dużo ładnych ról. Ożenił się, ma tam swoje życie. W Krakowie znalazł swoje miejsce. Życzę mu tego z całego serca i mówię mu: „Przemek, ja tu będę za ciebie pracować podwójnie, a ty zostań tam". Dyplom ukończenia studiów w szkole teatralnej mamy z tej samej uczelni. Cała nasza rodzinka obraca się w kręgu kultury: Mąż pracuje również w teatrze, a młodsi synowie śpiewają z zapałem w różnych chórach... Oby jak najdłużej.

Dziękując Pani za rozmowę, zwracam się do czytelników Zwrotu z apelem o pomoc w uzupełnieniu brakujących w Pani kolekcji programów. Chodzi o następujące programy z przedstawień Sceny Polskiej: „Uczeń czarnoksiężnika" (premiera 16.3.1962), „Żołnierzyk ołowiany" (4.9.1965), „Ciotka Karola" (17.12.1967), „Czarowna noc. Dom na granicy" (4.10.1968), „Szczęśliwi we troje" (20.9.1970), „Ożenić się nie mogę" (18.1.1980) oraz programy niepełne: „Szczęście nie spada z nieba" (25.11.1952) i „Królewna Śnieżka" (27.5.1960).

CZESŁAWA RUDNIK



„Kowal, pieniądze i gwiazdy", 1969, Kazimierz Siedlaczek, Fryderyk Gogółka, Rudolf Moliński

ZAKOCHANI W SCENIE POLSKIEJ

Mija właśnie 50 lat, odkąd naszemu życiu społeczno-kulturalnemu towarzyszy Scena Polska Teatru Cieszyńskiego. Pół wieku to szmat czasu i wielu twórców tego teatru oraz jego pierwszych odbiorców już nie żyje. Zaś ci, którzy pamiętają jeszcze pierwsze przedstawienia SP, są już w wieku emerytalnym i być może ze względów zdrowotnych nie mogą uczestniczyć w przedstawieniach innej już placówki teatralnej, niż miało to miejsce przed laty pięćdziesięciu, czterdziestu, trzydziestu itd.

Każdy z nas, kto uległ pokusie muzy dramatycznej i pozostał jej wierny przez dziesięciolecia, na pewno wzbogacił swe życie wewnętrzne i na bieżąco towarzyszył w specyficznym życiu towarzyskim ludzi, którzy, wywodząc się z różnych sfer społecznych i pochodząc z różnych miejscowości naszego regionu, poprzez nasz teatr jednoczyli się w ciągu kilku godzin w świecie rzeczywistości umownej, teatralnej, dla wrażliwego odbiorcy pięknej nawet wtedy, kiedy grana pozycja sceniczna nie należała do gatunku przezeń ulubionego lub udanego pod względem realizacyjnym.

Czym dla nas, każdego z osobna, Scena Polska TC była i jest, na ogół wiemy. Naturalnie każdy z nas inaczej odbierał poszczególne przedstawienia, poszczególne realizacje. Jednak różne były nasze drogi do tej placówki kulturalnej. Z potrzeby serca, intelektu, swoistego obowiązku patriotycznego - jest Scena Polska jedynym polskim teatrem zawodowym poza granicami Polski, więc wypada podtrzymywać swą obecnością na przedstawieniach jego rację bytu itp. Byli wreszcie tacy, którzy teatr kochali aktywnie, sami grając w teatrach amatorskich - ci dali początki teatrowi jako jego aktorzy i widzowie. Nie każdy miał odwagę swe hobby zamienić na piękny, lecz trudny zawód, ale bez tej grupy zapaleńców nie byłoby naszego teatru, tak samo nie byłoby go bez nas, którzy do teatru chodzimy. Dziś naturalnie sytuacja jest zupełnie inna. Dawno już wykruszyli się z naszego teatru ci, którzy rozpoczynali jako amatorzy i zostali zawodowcami. Zastąpili ich nasi rodzimi aktorzy już po studiach aktorskich w Polsce, chociaż i tych już dziś w SP jak na lekarstwo. Trzecią niejako generację tworzą aktorzy sezonowi z Polski, którzy grają u nas jeden, dwa lub kilka sezonów i wracają, by ich miejsce zajęli inni.

Znamy to zresztą wszyscy z autopsji, z programów teatralnych, publikacji okolicznościowych i prasy, a nawet plotek. Wiemy swoje o aktorach i naturalnie reżyserach, scenografach, kierownikach artystycznych i wszystkich tych, bez których teatr nie mógłby funkcjonować.

Inaczej jest z drugą stroną teatru, z bardziej nieuchwytną widownią. Wiedzą o nas swoje pracownicy teatru, zwłaszcza ci od organizacji widowni, jednak my sami, poza wyjątkami, niewiele o sobie wzajemnie wiemy. Naturalnie przez dwie godziny jednoczy nas przedstawienie, jego treść i przebieg, gra aktorów, scena, kostiumy, muzyka, wspólny zachwyt i brawa po przedstawieniach, ale poza tym jesteśmy mniej lub bardziej anonimową masą odbiorców, ludzi, którzy z jakichś tam powodów chodzą do teatru - i to już trwa pięćdziesiąt lat.

Przez ten okres czasu przyzwyczailiśmy się do swoich aktorów, pokochaliśmy ich na swój sposób, do niektórych wręcz przywiązaliśmy się na tyle, iż kiedy ich zabrakło (emerytura, śmierć), początkowo nam się wydawało, że to koniec, ale Scena Polska trwa i miejmy nadzieję, że jeszcze długo będzie nam towarzyszyć



„Krakowiacy i górale", 1971, Wanda Spinka, Paweł Niedoba, Władysław Liberda, Władysław Niedoba, Fryderyk Gogółka

w życiu kulturalno-towarzyskim. Naturalnie w ciągu tych lat niektórzy z nas zdradzili nasz teatr niejednokrotnie, uczęszczając na przedstawienia innych zespołów teatralnych, oglądając przedstawienia Teatru Telewizji, ale naszemu teatrowi zostaliśmy wierni i trudno nam wyobrazić sobie, jakby nasze życie bez tego partnera wyglądało.

Każdy inaczej podchodzi do teatru, inaczej też do niego trafił jako widz. Niewątpliwie ciekawy byłby socjologiczny portret naszej widowni. Przydałaby nam się wiedza o wzajemnej relacji teatr – widownia, na ile Scena Polska ukształtowała nasze upodobania i potrzeby teatralne i na odwrót, w jakim stopniu my, publiczność, wpłynęliśmy na możliwości naszego teatru. Naturalnie dawniej teatr w dużym stopniu uzależniony był od polityki kulturalnej, zwłaszcza jeśli chodzi wybór repertuaru, ale szczęśliwie, poza nielicznymi wyjątkami, proponowano nam w miarę strawny repertuar. Zdecydowanie przeważały pozycje ciekawe, warte oglądania, a w wielu wypadkach wręcz rewelacyjne jak na nasze warunki i możliwości.

Trudno dziś zliczyć, ile pięknych chwil spędziliśmy z naszymi aktorami, z ilu przez nich kreowanymi postaciami identyfikowaliśmy się, a ile z oburzeniem po-



„Janosik, czyli Na szkle malowane", 1976

tępialiśmy. Nie były to chwile zmarnowane, na odwrót, wzbogacały nasze życie duchowe, naszą wyobraźnię, weszły w krwiobieg naszego życia kulturalnego. To nic, że nie pamiętamy już treści wielu przedstawień, jednak atmosfera niektórych, które z różnych powodów utkwiły nam głęboko w pamięci, towarzyszy nam przez długie lata. I to, co utkwiło i pozostało w naszej pamięci, wspomnieniach, w naszym myśleniu o Scenie Polskiej, liczy się na miarę przysłowiowego złota, jest bogactwem, które w sobie nosimy i którego nikt nam nie odbierze.

Ja osobiście kocham teatr – poza literaturą, muzyką, plastyką, filozofią, historią itp. Za dużo tego może jak na jednego człowieka i na jedno życie, jednak w teatrze wszystko tamto po trosze się mieści. Skąd się wzięła ta miłość?

W moim wypadku początków fascynacji teatrem można by szukać w Kościele. Już jako chłopak, będąc ministrantem w końszczańskim kościele, uczestniczyłem w swoistym teatrze, misterium religijnym raczej, gdzie było wszystko, co w teatrze najważniejsze. Słowo, dekoracja, muzyka, gest i wiara w sens tego, w czym się uczestniczy. Wszystkie nabożeństwa, liturgia Świąt Bożego Narodzenia, Wielkiego Tygodnia, śluby, chrzty i pogrzeby itp. to między innymi także wspaniały teatr.

A potem już w szkole teatr kukiełkowy - do dziś zapamiętałem dwuwiersz: „Słońce świeci, deszczyk pada, czarownica się podkrada. Deszczyk pada, słońce świeci, czarownica masło kleci", chociaż nie pamiętam już treści ani tytułu sztuki, granej najprawdopodobniej przez aktorów Bajki gdzieś na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Grałem też w kilku szkolnych przedstawieniach role drugorzędnych postaci, np. rolę bociana w jakiejś sztuce, granej podczas festynu w parku Gaury w Końskiej, chociaż nie pamiętam już, czy cokolwiek tam zaklekotałem, czy tylko stałem na jednej nodze, jak przystoi bocianowi z prawdziwego zdarzenia. Potem jeszcze w szkole wydziałowej w Czeskim Cieszynie posterczałem na krótko w przedstawieniu „Książę i żebrak" i wreszcie już jako dwudziestolatek zagrałem nieudolnie w kilku skeczach Adama Wawrosza w ramach trzyniecko-leszniańskich Smyków i na tym się skończyła moja „kariera" aktorska. Pozostały jednak koszmarne sny - mam zagrać w jakimś przedstawieniu, które już się rozpoczęło, wypychają mnie na gwałt na scenę, ale ja nie umiem roli, w ogóle nie wiem, co mam robić, i wtedy korzystam z jedynego wyjścia z takich tarapatów - budzę się i zadowolony, że nie muszę grać, zasypiam snem sprawiedliwego, czyli w tym wypadku nie aktora.

O wiele lepiej radziłem sobie w roli widza. Najpierw w Końskiej teatr amatorski i „Zbrodniarze" Adama Wawrosza oraz „Wiosna Ludu" Karola Bergera w stulecie Wiosny Ludów. Potem przyszła już kolej na Scenę Polską. To bardzo dobrze, że w ramach gimnazjum, wówczas Jedenastoletniej Szkoły Średniej w Czeskim Cieszynie, programowo chodziliśmy na przedstawienia SP. Wtedy jeszcze przedstawienia odbywały się w sali Piasta. Były to spektakle hałaśliwe - szuranie krzesłami, komentarze i śmiechy w niewłaściwych momentach - jednak już pierwsze przedstawienie zauroczyło mnie na tyle, że przekonałem się do dzisiejszej jubilatki. Pamiętam, był to spektakl „Zaczarowane koło" Lucjana Rydla z roku 1956, którego atmosferę i teatralność jeszcze dziś potrafię sobie wyobrazić w pamięci. A potem były kolejne przedstawienia Sceny Polskiej z przerwami podczas studiów, kiedy tylko sporadycznie, będąc w domu, udawało mi się zaliczyć jakieś przedstawienie.

Będąc na studiach i tęskniąc za SP, zdradzałem ją najpierw z Teatrem L. Janáčka w Brnie, później Teatrem O. Stibora w Ołomuńcu, gdzie flirtowałem także z operetką i operą nawet. W Ołomuńcu także, jako student polonistyki i filozofii, zacząłem pisywać o przedstawieniach teatralnych SP. Po raz pierwszy „zmusił" mnie do tego spektakl „Drewnianej miski" E. Morrisa z roku 1967. Odpowiedzialny za to jest też Głos Ludu, że mi te rzeczy publikował.

A potem, parając się już dziennikarstwem, coraz częściej i obszerniej pisywałem o przedstawieniach SP, również recenzje do Zwrotu. Moja fascynacja teatrem poszła aż tak daleko, że w latach osiemdziesiątych podjąłem dwuletnie stu-

dia podyplomowe w Pradze, efektem czego było, że przestałem pisać recenzje. Uświadomiłem sobie wtedy, że aby być dobrym recenzentem, trzeba znać się na wielu sprawach (poza historią i teorią teatru, na muzyce, malarstwie, tańcu, psychologii, aktorstwie itd., itp.), na czym naturalnie nie znałem się zadowalająco.

Ostatecznie został felieton teatralny, gdzie można pofolgować fantazji, tym bardziej, że w teatrze bardziej mnie interesuje sam temat, to, o czym dana sztuka jest, niż jak jest zrealizowana. Z takim podejściem do teatru każda sztuka może się podobać, w każdej można znaleźć coś interesującego, a że moje felietony traktuję trochę jako reklamówki, wszystko „muszę" chwalić. A propos, przyznał mi się swego czasu pewien widz w autobusie teatralnym, że kiedy ja przedstawienie chwalę, to łatwiej mu z tego przedstawienia zrezygnować, a ponieważ nie pamiętam, kiedy ostatni raz coś skrytykowałem, przypuszczam, że dawno już do teatru nie chodzi.

Nie mnie jednak oceniać to, co piszę. Chciałem tylko podkreślić, że nasz teatr kocham nadal, tak, jak umiem i potrafię, i że każde z nim spotkanie jest dla mnie małym świętem, zabawą, która także uczy.

KAZIMIERZ JAWORSKI



„Pan Tadeusz", 1981, spektakl zdjęty przez cenzurę, Jan Monczka, Zbigniew Żwak, Wanda Łysek, Władysław Liberda, Franek Michalik

WOKÓŁ ALEKSANDRA FREDRY

Kiedy wiosną przed festiwalem teatralnym układałam i przeglądałam indeks autorów i repertuaru Sceny Polskiej w ciągu minionego pięćdziesięciolecia, byłam - mimo wszystko - z lekka zaskoczona. Oczywiście nie tym, że ulubionym, najczęściej wystawianym i reprezentatywnym autorem był dla zespołu Aleksander Fredro, ale tym, jak wygląda częstotliwość prezentowania poszczególnych dramato-komediopisarzy. Oto pierwsze, najważniejsze zestawienie (z uwzględnieniem roku premier):

Aleksandrer Fredro: Ciotunia - 1981, Damy i huzary - 1957, 1976, Gwałtu, co się dzieje - 1952, 1986, Mąż i żona - 1959, Ożenić się nie mogę - 1980, Pan Jowialski - 1972, Śluby panieńskie - 1953, 1992, Wielki człowiek do małych interesów - 1982, Zemsta - 1970, 1999; **Moliere:** Amfitrion - 1995, Chory z urojenia - 1962, Grzegorz Dyndała - 1957, Lekarz mimo woli - 1984, Mieszczanin szlachcicem - 1974, Szkoła żon - 1956, 1989, Świętoszek - 1976; **Carlo Goldoni:** Awantura w Chioggi - 1978, Bliźniaki z Wenecji - 1986, Gbury - 1975, Mirandolina - 1968, Sługa dwóch panów - 1956, Sprytna wdówka - 1961; **William Szekspir:** Poskromienie złośnicy - 1958, 1995, Przygody Falstaffa - 1965, Romeo i Julia - 1963, Ryszard III - 1964, Sen nocy letniej - 2000, Wesołe kumoszki z Windsoru - 1971, Wieczór Trzech Króli - 1977.

Pozostawiając na razie całość zestawienia bez komentarza, spróbujmy prześledzić sceniczny żywot sztuk Fredry na deskach naszych teatrów.

Komedie Aleksandra Fredry trafiły na Śląsk Cieszyński w niespełna pół wieku po swoich prapremierach w teatrach Warszawy, Krakowa i - przede wszystkim - Lwowa. Jako pierwszy pojawia się „Pan Geldhab", wystawiony w Czytelni Ludowej w Cieszynie (28.11.1869), grany jednak rzadko i dawniej, i dziś. Natomiast dużą popularnością cieszyły się niezmiennie „Damy i huzary". Bolesław Orszulik w książce „Polskie życie teatralne na Śląsku Cieszyńskim i pograniczu morawskim" wymienia 20 utworów Fredry wystawianych tu do roku 1918, Kazimierz Olszewski w „Śląskiej kronice teatralnej 1914-22" wymienia ich jedenaście.

Z tamtych czasów na szczególną uwagę zasługuje pewien fakt, przypadający na okres pierwszej wojny światowej, przytoczony przez Otokara Matuszka w Kalendarzu Śląskim (1978). Otóż w latach 1914-18 w Morawskiej Ostrawie działał prężnie pod kierunkiem Adama Czerbaka, recytatora

i współpracownika Akademickiego Koła Miłośników Dramatu Klasycznego w Krakowie, zespół rekrutujący się z polskich uchodźców. Wystawił on wówczas cztery sztuki, w tym „Damy i huzary" oraz „Zemstę", sprowadzając do tej ostatniej kostiumy z nadwornej szatni w Wiedniu. Przedstawienie było przeznaczone dla mieszkańców z okolic Morawskiej Ostrawy, toteż organizatorzy zatroszczyli się o uruchomienie dodatkowych tramwajów łączących ją z Karwiną, Przywozem, Witkowicami i Świniowem. Jak więc widać, Fredro nie przestawał być obecny w polskim życiu społeczno-kulturalnym Śląska Cieszyńskiego nawet w najbardziej niesprzyjających warunkach - co więcej - starano się także wtedy zadbać o właściwą mu oprawę.

Trudno powiedzieć, jak wyglądała prezentacja sztuk Fredry w dwudziestoleciu międzywojennym, jaka była ich częstotliwość i zasięg. Że Fredro był grany, wiemy na pewno. Dowodzą tego chociażby dwa spektakle Polskiego Gimnazjum im. Słowackiego w Orłowej, wystawione w latach 1926 („Gwałtu, co się dzieje") i 1933 („Pan Jowialski").

Po roku 1945 na scenach amatorskich Zaolzia zrealizowano 9 tytułów i zapewne nie jest dziełem przypadku, że najczęściej wystawiano „Damy i huzary" i „Gwałtu, co się dzieje" - utwory najśmieszniejsze - doskonałe farsy pełne barwnych postaci, komicznych sytuacji, gorączkowych zabiegów i niespodzianek. Znacznie rzadziej wystawiano „Zemstę", ze względu na jej koloryt lokalny i archaizowany język uważaną za tekst trudny do realizacji. W sumie w ciągu 40 lat po II wojnie światowej zaolziańskie teatry amatorskie dały 64 premiery (a z powtórzeniami 151 przedstawień) utworów Aleksandra Fredry.

Kiedy w 1951 roku Scena Polska rozpoczynała swoją działalność, czas nie był sprzyjający podkreślaniu odrębności cech narodowych. A jednak już na otwarcie drugiego sezonu udało się po usilnych staraniach zaprezentować Fredrę. Że sprawa nie była łatwa, świadczy nawet krótka notatka w pierwszej Kronice zespołu: *Po długich dyskusjach zadecydowano wreszcie przystąpić do ćwiczenia sztuki klasycznej Aleks. Fredry „Gwałtu, co się dzieje!" - Pomimo, iż jest to jedna z słabych komedii tego pisarza, przystąpiono do pracy z nie mniej większą precyzyjnością. - Reżyserii podjął się znowu J. Havlasek. Próby rozpoczęto 25 maja br.*

Zaś w dwujęzycznym programie spektaklu czytamy po polsku: *W osobach stworzonych przezeń pozna się niewątpliwie każde pokolenie - tak umiał on przeniknąć do głębi niezmienną po wsze czasy naturę ludzką; i po czesku: Bylo mnoho důvodů, proč jsme se rozhodli hrát Fredrovu komedii „Gwałtu, co się dzieje...". Především polský soubor chtěl se ponejprv vyrovnat s jedním z největších polských klasiků (potrhujeme ponejprv, protože se k němu budeme stále vracet).*

Za druhé, chtěli jsme zase naplnit hlediště smíchem a k tomu nám dává „Gwałtu" velké možnosti. A za třetí provokovalo nas mínění, že „Gwałtu..." je slabá hra a provokovalo nas uvádění „Gwałtu..." jako bezideové, nerealistické frašky.

I otóż to! Piszący te słowa doskonale zdawał sobie sprawę, że Scena Polska będzie sięgać do sztuk Fredry wielokrotnie, tak jak robiły to dotąd i nadal będą robić wszystkie inne, również czeskie zespoły teatralne, zdawał też sobie sprawę, że są w tym utworze uniwersalne walory komiczne wyzwalające śmiech. Kończył zaś swoją wypowiedź następującym przesłaniem: *...vydejte se s námi do boje - s Kasiou proti nesprávně pochopené emancipaci, s Dorębou proti podceňování práce žen.*

Wiemy zatem, jaka była deklaracja ideowo-artystyczna, nie wiemy, w jakich słowach padła ze sceny. A wygłaszał ją sam Fredro! Oto co czytamy w Kronice:

Premiera „Gwałtu co się dzieje!". - Stonawianie tym razem zgromadzeni w sali PZKO byli bardzo mile zaskoczeni, skoro od razu żądali drugiego przedstawienia. Scena niższa i mniejsza od sceny Domu Robotniczego wprawdzie nie bardzo nadawała się na premierę, ale pomimo przedstawienie się udało.

Prolog do sztuki opracował Fr. Michalik. Prologiem tym uwypuklił prawdziwy sens sztuki. - Postać Fredry się widzom bardzo podobała.

Jak oceniano spektakle fredrowskie Sceny Polskiej (ten pierwszy akurat dość krytycznie w zakresie prowadzenia ról i dykcji), przypominał już swego czasu na łamach Zwrotu Kazimierz Jaworski (1982). Zobaczmy zatem, co jeszcze można o nich powiedzieć dzisiaj. A więc: wiemy już, że wprowadzono dodatkową postać Autora, którą kreował Franciszek Michalik, że spośród występujących Osób pominięto Szeregowców; że akcję osadzono w bliżej niesprecyzowanych latach XVIII wieku (wg Fredry miała to być Scena w Osieku, sto lat temu, tzn. najpóźniej ok. roku 1730) i że (sądząc po nielicznych i nienajlepszych odbitkach zdjęć) nie całkiem respektowano wskazówki autora dotyczące stroju: *Mężczyźni wszyscy w tej sztuce ubrani jak zwykle z miejska, tylko w spódnicach i fartuszkach - kobiety równie, prócz szarawarów i czapek, po swojemu.* (Akt I, scena IV).

Na marginesie warto dodać, że w Teatrze Cieszyńskim Fredro pojawił się najpierw w zespole Czeskiej Sceny i że w sumie dała ona 3 premiery tego autora: „Muž a žena" (1951), „Panenské sliby" (1971) i „Všechno naruby" (1976).

Na koniec przypomnijmy jeszcze, że w obu realizacjach „Gwałtu, co się dzieje" w Scenie Polskiej zagrało troje naszych bardzo lubianych aktorów: Emilia Bobek, Piotr Augustyniak i Witold Rybicki, a do obu spektakli scenografie i kostiumy przygotował Władysław Cejnar.



„Śluby panieńskie", 1953. Piotr Augustyniak, Helena Trzósłówna-Rybicka, Emilia Bobek

Natomiast za kulisami takie notowano spostrzeżenia po przedstawieniach w 1952 roku:

8 IX *Również i w Bystrzycy publiczność była rozentuzjazmowana.*
15 IX *Po raz pierwszy po wakacjach znów w Rychwałdzie, gdzie zespół nader miło przywitano kwiatami.*
4 X *Karwina II-Barbara. - Katastrofalnie mało widzów.*
9 X *Trzyniec. 2 przedstawienia. W sali i na scenie bardzo zimno.*
12 X *Boconowice - Z powodu wielkiej burzy przedstawienie dokończono przy świetle świec.*
30 XI *Szonychel - Kłopoty z dekoracją. Samochód ciężarowy uwięzgnął w śniegu. Przedstawienie rozpoczęło się o 21-szej. Pomimo, publika zadowolona.*

Kończył się zwolna rok 1952 i dopiero co przebrzmiały ostatnie oklaski na „Gwałtu, co się dzieje", a już zespół zaczynał się szykować do kolejnej sztuki Fredry. Tym razem wybrano „Śluby panieńskie, czyli magnetyzm serca", świetny, lecz trudny tekst wierszem. I właśnie w związku z tym do Czeskiego

Cieszyna przyjechała p. Wanda Wróblewska, reżyser Teatru Narodowego z Warszawy, *która została zaproszona przez „Úřad pro styky se zahraničím" dla naszego zespołu, ażeby przez kilka miesięcy dawała członkom Sceny Polskiej lekcje języka scenicznego.* Jak się okazało, także przy tej realizacji zespół przeżywał różne perypetie. Ostatecznie „Śluby panieńskie" w inscenizacji Wandy Wróblewskiej, reżyserii Witolda Rybickiego przy współpracy Romana Mecnarowskiego, słuchacza brneńskiej JAMU i w scenografii Władysława Cejnara miały swoją premierę na początku trzeciego sezonu, były życzliwie komentowane i miały bardzo dużo widzów. A oto dowody:

10 IX *Wędrynia zasługując sobie na uwagę dostała premierę. Publika bardzo zadowolona. Żądali powtórzenia. Przedstawienie poszło nadspodziewanie dobrze.*
16 IX *Premiera czesko-cieszyńska zapełniła po długiej przerwie salę Piasta do ostatniego miejsca. Przedstawienie bardzo udane.*
23 IX *„Śluby" dla Darkowa. Przedstawienie trochę nerwowe, sala pełna.*
26 IX *Piękne przedstawienie u Cingra. Tym razem Orłowa się zrehabilitowała.*
29 IX *Tym razem Trzyniec osiągnął rekord co do ilości widzów w ogóle. Na przedstawieniu o naprawdę dobrym poziomie było obecnych 453 widzów.*
3 X *Oldrzychowice. Na miniaturowej scence dobre przedstawienie.*
13 X *Sucha Dolna. Sala wypełniona do ostatniego miejsca.*
20 X *Bardzo dobre przedstawienie. Publiki jak zawsze w Cierlicku pełno.*
25 X *Przedstawienie dzięki brudnej scenie i paskudnej akustyce traciło na wartości. Ponieważ frekwencja w Ostrawie nie ulega polepszeniu, nie będzie się w przyszłości do Domu Polskiego zajeżdżało.*
30 X *Jabłonków. Najlepsze dotychczas przedstawienie. Widzów dotychczas niesłychana ilość.*
17 X *Po raz drugi Trzyniec wysprzedany. - A więc jednak!*

„Śluby panieńskie" były niewątpliwie znacznie trudniejszym przedsięwzięciem niż „Gwałtu, co się dzieje". Ta przeurocza komedia wierszem wymaga przecież nie tylko doskonałej umiejętności posługiwania się mową wiązaną, ale także lekkości interpretacji i błyskawicznych zmian nastroju. *Trzeba wiersz mówić tak, aby nie zacierając cezury, czy rymu, mówiąc jasno, logiczne i płynnie, stale i przede wszystkim wydobywać myśl autora*, czytamy w programie teatralnym. Publiczność zaolziańska oklaskiwała szczególnie Piotra Augustyniaka jako Gustawa, nagradzając w ten sposób wszystkie jego ówczesne predyspozycje do tej roli.

Deklarowana w programie koncepcja reżyserska tym razem też zdawała się

zdecydowanie odbiegać od utworu Fredry *(Właściwa ocena dramatycznej twórczości Al. Fredry ze stanowiska kryteriów marksistowskich nie jest sprawą prostą),* jednak zarówno temat jak i forma, miejsce i czas akcji spowodowały, że w pewnym momencie w prasie padło określenie komedia salonowa. Jest ono tu istotne z wielu względów, ale na razie wymienię tylko dwa: w 1959 roku Scena Polska wystawiła drugą „komedię salonową" Fredry, tj. „Mężа i żonę", zaś realizacji tych utworów nie podejmowały się już po 1945 roku żadne nasze zespoły amatorskie. A trzeba pamiętać, że w latach pięćdziesiątych przedstawienia Sceny Polskiej bywały czasem traktowane jako niepożądana konkurencja dla zespołów nieprofesjonalnych. I trudno się dziwić: przy identycznych warunkach prezentacji (sala, oświetlenie, publiczność) jaka kolosalna różnica w zapleczu techniczno-warsztatowym! Stąd też najdziwniejsze nieraz pretensje pod adresem zespołu i częste polemiki na łamach prasy.

„Śluby panieńskie" w Scenie Polskiej wystawiono powtórnie w 40 lat później, ponownie pod okiem doświadczonego pedagoga a zarazem wybitnej polskiej aktorki i reżysera - Haliny Gryglaszewskiej. Spektaklu niestety nie widziałam, a w naszej prasie pojawiła się tylko jedna, pochlebna, lecz niezbyt obszerna notatka Kazimierza Jaworskiego, w której czytamy, że spektakl często był przerywany brawami. A temu, znając utwór, zupełnie nie można się dziwić!

Najtrudniejszym chyba przedsięwzięciem dla zespołu było pierwsze przygotowanie „Dam i huzarów". Był rok 1957, a miejscowi amatorzy mieli za sobą w tym czasie (tj. od 1945 roku) około 14-15 premier tej sztuki. To znaczy, że gdzieś w granicach 200 widzów Sceny Polskiej z szerokiej okolicy znało całe sceny i dialogi na pamięć. I jak tu grać przed taką publicznością?

Cóż powiedzieć o tej krotochwili? Gdybym miał władzę przelania w czytelników przyjemności, jaką mi ona daje, tłoczyliby się do sali Teatru Narodowego, aby zakosztować rzadkiej uciechy artystycznej. Byli po świecie w zakresie komedii więksi od Fredry: nie ma z pewnością większego odeń artysty - pisał w 1934 roku Tadeusz Boy-Żeleński. Ten cytat wyjęty z programu teatralnego pozwala zauważyć, że postrzeganie Fredry w Teatrze Cieszyńskim wyraźnie się zmieniło, zarazem program informuje, że znów oglądamy Fredrę w czeskiej reżyserii.

W prasie, niezależnie od różnych krytycznych uwag, wymieniano i chwalono wielu wykonawców, szczególnie jednak podkreślając swobodę i naturalność Edmunda - Piotra Augustyniaka oraz wdzięk i delikatność Zofii - Emilii Bobek.

„Damy i huzary" powtórzono w 20 lat później i tu już pięcioro naszych artystów W. Łysek, M. Gogółka, E. Bobek, J. Bobek i W.Spinka zagrało w obu spektaklach (1957 - reż. B.Křanovský, scen. W. Cejnar; 1976, reż. K. Suszka, scen. W. Lange).

Trudno dziś wyrokować, co w którym spektaklu bardziej bawiło publiczność: dowcip słowny czy komizm sytuacyjny. Ten ostatni zwykle ostro był krytykowany, lecz, że utwór jest gratką dla aktorów, pozostaje poza wszelką dyskusją.

No cóż, nie dziwota, że to właśnie „Damy i huzary" należały do częściej wystawianych utworów Aleksandra Fredry. Tu bowiem po raz pierwszy autor ujawnił w pełni swój zmysł obserwacji, poczucie humoru, radość zabawy, celność dialogu, a nade wszystko (wbrew farsie) obyczajność działania. Nie miejsce tu i pora na analizy i uzasadnienia takiej opinii, ale chyba nie od rzeczy byłoby w tym miejscu przypomnieć losy autora.

Aleksander Fredro - poeta, aforysta i gawędziarz, najwybitniejszy komediopisarz polski urodził się 20 VI 1793 w Suchorowie koło Jarosławia, zmarł 15 VII 1876 we Lwowie. Syn Jacka Fredry i Marianny hr. Dembińskiej miał liczne rodzeństwo (pięciu braci i trzy siostry). Pochodził z szeroko rozgałęzionego rodu szlacheckiego, który w roku 1822 uzyskał tytuł hrabiowski nadany mu przez cesarza austriackiego. Wychowywał się i uczył w zamożnym domu rodziców w Beńkowej Wiszni, do szkół publicznych nie chodził. Po śmierci matki (1806) mieszkał z ojcem we Lwowie. Nadszedł rok 1809.

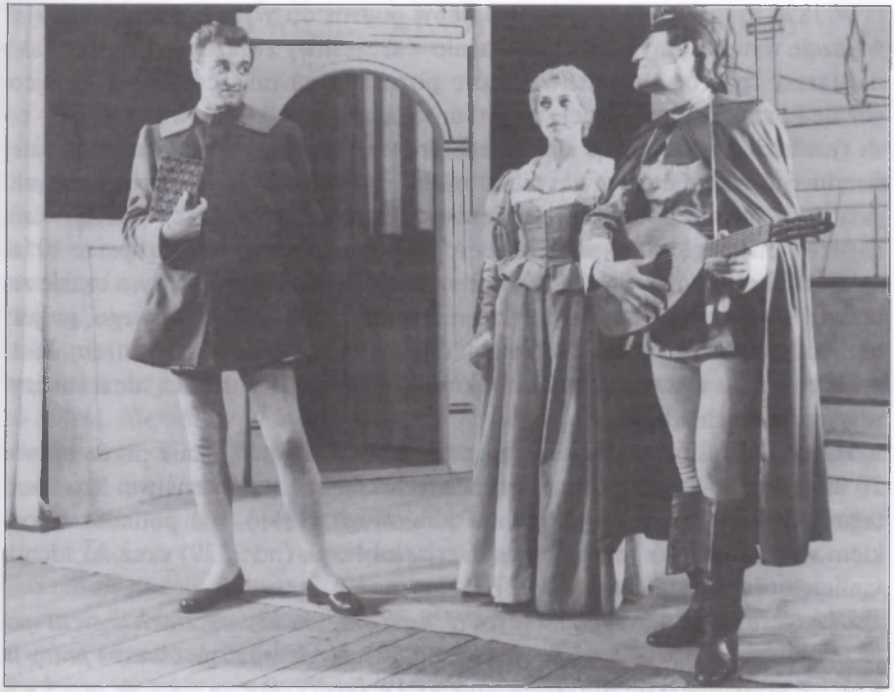
Granatowy półfraczek na jeden rząd płaskimi metalowymi guzikami zapięty. Pałasz na czarnym rzemieniu przez plecy przewieszony. Łeb rudy, a na łbie kapelusz stosowany składany, zwany claque, z ogromną białą kokardą... Takim byłem, tak mnie maluj, kiedy 1809 r. pierwszych dni czerwca wysłano mnie ze Lwowa, abym zamawiał konie dla deputacji galicyjskiej jadącej do Księcia Józefa, którego główna kwatera była podówczas w Trześni pod Sandomierzem. Figura moja musiała być ucieszną, trudno temu zaprzeczyć, zwłaszcza ten przeklęty kapelusz balowy dotychczas jak zgryzota sumienia męci sny moje swobodne...

Żartobliwy ton wspomnień nie zmienia faktu, że Aleksander Fredro służył kolejno w formacjach ułanów, strzelców konnych i był oficerem ordynansowym. Brał udział w kampaniach napoleońskich w latach 1812-1814 i został odznaczony złotym orderem Virtuti Militari i Legią Honorową.

W roku 1814 Fredro znalazł się w Paryżu, gdzie naturalnie nie omijał teatru. Doświadczenia te tak ujął:

Tragedia francuska, lubo szczyciła się wówczas królem tragików, Talmą, znalazła mię prawie obojętnym widzem. Przesadna deklamacja, ruchy konwencjonalne, monotonia aleksandrynów, ziębiąca wszelkie ciepło, w ogóle nie mogła mi się podobać. Przeciwnie, wodewil, komedia, wprawiały mię w zachwycenie. Pierwszy raz widziałem tak skończonych i doskonałych artystów, utrzymujących grą samą najlichsze nieraz ramoty...

Wracając do kraju z Paryża przez Wiedeń, poznał młodą i piękną panią



„Poskromienie złośnicy", 1958, Piotr Augustyniak, Emilia Bobek, Witold Rybicki

Zofię z Jabłonowskich Skarbkową. Zafascynowany jej osobą, ogarnięty prawdziwie wielką miłością, dotarł w strony rodzinne i w grudniu 1815 roku wystąpił z armii w randze kapitana. Odtąd przebywał głównie w Beńkowej Wiszni i we Lwowie.

W roku 1817 na lwowskiej scenie zadebiutował jednoaktówką „Intryga na prędce", przerobioną później na trzyaktową krotochwilę ze śpiewami pt. „Nowy don Kichot" z muzyką Stanisława Moniuszki. Poświęcając czas gospodarstwu i pisaniu, czynił starania o rękę ukochanej kobiety, i mając nadzieję zmienić swój stan kawalerski, notował w jednym z listów (cytuję za artykułem Mieczysława Inglota):

Kręćmy się, jak chcemy, błądźmy, igrajmy na tym świecie, zawsze jednak przy końcu znajdziemy przed sobą drogę, którą szli nasi poprzednicy i którą pójdą nasze potomki. Na tej drodze mieszka spokojne pożycie wśród rodziny i tą drogą najsnadniej zbliżać się do grobu, nie pragnąc go ani też nie trwożąc się z daleka.

W 1824 roku Aleksander Fredro odbył podróż do Włoch, a w 1828 zawarł wreszcie wytęskniony i - jak się okazało - szczęśliwy związek małżeński. Jako najstarszy spośród rodzeństwa, które pozostało na miejscu, osiadł na ojcowiźnie i przejął administrację majątku, stając się niejako „głową rodu", a - co za tym idzie - przejmując obowiązek prowadzenia spraw majątkowych całej familii. Stąd też nie dziwi ani temat wielu jego komedii (sprawy rodziny, koligacji rodzinnych, powinności administracyjnych), ani - z racji pozycji - zaangażowanie społeczno-polityczne. A było ono znaczne, bowiem przez 10 lat sprawował obowiązki posła galicyjskiego Sejmu Stanowego i w tym czasie zajmował się m.in. pracami nad założeniem Towarzystwa Kredytowego, projektem budowy linii kolejowej w Galicji, opieką nad Ossolineum i teatrem. Pisał też memoriały w związku z komplikującą się kwestią chłopską, uczestniczył w wydarzeniach 1848 roku.

W wyniku tak wszechstronnego zaangażowania praktycznie przez prawie 20 lat był niemal wyrocznią dla znacznych kręgów społeczeństwa. Skutkiem tego wybrany na posła (do Sejmu Krajowego; 1861), był ponadto członkiem warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk (od 1829) oraz Akademii Umiejętności w Krakowie (od 1873).

Długi jego żywot przypada na kilka różnych okresów historycznych w życiu społeczeństwa polskiego XIX wieku. Na nie mniej rozległe w czasie okresy i prądy literackie przypada twórczość komediopisarska Fredry. Rozpoczyna się przed wystąpieniem Mickiewicza, a kończy - kiedy pierwsze powieści generacji pozytywistycznej zaczyna ogłaszać Eliza Orzeszkowa - pisał Kazimierz Wyka.

Twórczość komediowa Fredry rozpada się, jak wiadomo, na dwa okresy. Pierwszy trwa do roku 1835 i w tym czasie powstają najznakomitsze utwory, drugi przypada na lata 1855-1868, a sztuki napisane wówczas stały się znane dopiero po śmierci autora. Na wielu scenach prezentowano jedne i drugie, upatrując w nich instynktownie kwintesencję polskości.

Dowcipniś, humorysta, kapitalny mistrz dialogu, który obraz obyczajowości szlacheckiej kreślił bez ogródek, ale z należną mu atmosferą i wdziękiem, z iście ułańską fantazją i werwą, lecz zarazem harmonijnie, a wielekroć nadzwyczaj subtelnie, stał się również na scenie „wyrocznią" - reprezentantem określonego kanonu czy stylu interpretacji, obowiązującego polskich aktorów przez wiele pokoleń. Bo był to mistrz niedościgły, jak w komediach wierszem tak prozą, i nie należy dziwić się opinii Boya, który napisał, że: *Fredro szat nad Ojczyzną nie rozdzierał, bo on nią był; najgłębiej może, bo bezwiednie...*

ALEKSANDRA HUMEL

WSPOMNIENIE O WICIE - WŁADYSŁAWIE MICHEJDZIE (2)

Po powrocie ze szkoły oficerskiej do kadry od razu otrzymaliśmy przydziały do batalionu marszowego, który koło Nowego Roku 1916 miał wyruszyć na front. Pozostało nam zatem około trzech tygodni do wymarszu. Czas szybko mijał na przygotowaniach, odziewaniu w umundurowanie polowe, a głównie na ćwiczeniach z plutonami, których dowódcami zostaliśmy. Mieliśmy poczucie władzy nad ludźmi, ale - mimo stosunkowo młodego wieku - świadomość wielkiej odpowiedzialności, która na nas spoczywała. Liczyliśmy sobie po osiemnaście czy dziewiętnaście lat i właśnie z powodu tego wieku odczuwaliśmy tęsknotę za rodziną, za szkołą. Niejednokrotnie w rozmowie z Witem dawaliśmy wyraz tym uczuciom, nie wstydząc się ich. Przy tym zastanawialiśmy się nad tym, czy i kiedy rozpocząć będziemy mogli studia i wrócić do normalnego życia. Wszystkie tego rodzaju zwierzenia i rozmowy były naszą wspólną tajemnicą. Mieliśmy do siebie bezgraniczne zaufanie i dotrzymywaliśmy tajemnic powierzonych sobie nawzajem.

Stało się to dnia 3 stycznia 1916 roku, kiedy to długi jak wąż pociąg zabrał nas ze stacji Piotrków na tułaczą przygodę wojenną. Losy nas jednakże rozdzieliły. Byliśmy w różnych batalionach, lecz utrzymywaliśmy kontakty pośrednie przez kurierów czy także przez przygodnie spotkanych oficerów. Szybko minęło pół roku naszego pobytu na froncie w walkach pozycyjnych. Strat w ludziach mieliśmy stosunkowo niewiele, a ze znajomych i kolegów nikt nie zginął lub został ranny. Tymczasem w pierwszych dniach lipca nastąpiło ze strony wojsk rosyjskich zaskoczenie - ofensywa generała Brusiłowa. Dowódca rosyjski zgromadził poważne siły ludzi i sprzętu i wspierany przez państwa zachodnie zdołał mimo rozprzężenia armii rozpocząć ofensywę na długim froncie - od Polesia aż po granicę rumuńską. Ofensywa przyniosła sukcesy armii rosyjskiej w pierwszej fazie. Przełamano front austriacko-niemiecki, wzięto do niewoli poważną ilość jeńców - ponad sto kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy. Linia frontu przesunęła się o sto kilometrów na zachód. Lecz zgrupowania wojsk i zasobów szybko się wyczerpały i ofensywa przygotowana z ogromnym nakładem zatrzymała się na całej długości frontu.

W chwili jej rozpoczęcia 100 pułk piechoty skierowano częściowo, gdyż tylko w sile dwóch batalionów, pod Jazłowiec, by wypełnić lukę powstałą po poddaniu się pułku Honwedów - piechoty węgierskiej. Jednakowoż dwa bataliony nie mogły sprostać zadaniu i wypełnić linii zajmowanej uprzednio przez cały pułk. Mimo uporczywych walk trwających kilka dni dwa bataliony 100 pułku, znajdującego się przez trzy dni w okrążeniu, zmuszone były złożyć broń w wyniku poważnych strat w ludziach i z powodu braku amunicji. W ten sposób dostałem się do niewoli ro-

syjskiej. Po przesunięciu się frontu o 100 kilometrów na zachód ofensywę zatrzymano, lecz walki na odcinku południowym w oparciu o Karpaty trwały jeszcze przez kilka miesięcy, nie mając charakteru ruchomego. W tych walkach odniósł Wit ciężką ranę, bowiem kula szrapnelowa trafiła go u nasady nosa pomiędzy oczami, przebiła chrząstkę nosową i utkwiła w gardle. Wit miał jeszcze tyle przytomności umysłu, że kulę wypluł. Oblanego krwią przeniesiono na plac opatrunowy, a następnie do lazaretu. Zastygła na kołnierzu bluzy i na twarzy krew wprowadziła pielęgniarki w błąd. Odniosły wrażenie, że przywieziono starszego wiekiem żołnierza, ciężko rannego. Dopiero gdy ułożyły go na stole operacyjnym i obmyły twarz, zaskoczone zawołały: Ależ panie kadet, pan jest jeszcze bardzo młody!

Bezpośrednim skutkiem ofensywy Brusiłowa było rozdzielenie Wita i mnie na dwa i pół roku. Ja w roli jeńca rosyjskiego przebywałem w Rosji, przerzucany z obozu do obozu. Natomiast Wit wojował nadal w mundurze austriackim, ponosząc trud i rany za obcą sprawę.

Spotkaliśmy się po moim powrocie z niewoli, co miało miejsce 15 listopada 1918 roku, przypadkowo na rynku w Cieszynie. Wit - szykowny oficer w stopniu porucznika, ja - w ubraniu cywilnym, bo mundur przez okres pobytu w niewoli rozpadł się był w strzępy. Wit zdołał wrócić przed kilkoma tygodniami na Śląsk i wstąpił niezwłocznie do Wojska Polskiego, obejmując dowództwo kompanii w batalionie Ziemi Cieszyńskiej. Był to naturalnie batalion ochotniczy. Nie zważając na nic, bez zastanowienia zgłosiłem się na ochotnika i w kompanii dowodzonej przez Wita otrzymałem przydział służbowy dowódcy plutonu. I znowu rozpoczęliśmy wojaczkę, ale w jakże innych warunkach, w mundurze polskim i dla sprawy polskiej!

Śląsk Cieszyński był wówczas w czołówce ziem polskich odzyskujących niepodległość. Warszawa rozbroiła Niemców dopiero 8 listopada 1918 roku. Poznańskie chwyciło za oręż w walce z zaborcą niemieckim 15 grudnia 1918 roku, zaś Lwów był w ogniu walk z Ukraińcami od 1 listopada i wołał o pomoc. Na kresach wschodnich oddziały Wojska Polskiego walczyły z siłami radzieckimi. U zarania swego istnienia Polska znajdowała się w nader ciężkiej sytuacji - zdana na własne siły - i nie mogła oczekiwać pomocy z żadnej strony.

Organizatorzy sił zbrojnych w Cieszyńskiem doceniali w całej rozciągłości znaczenie zdyscyplinowanych i dobrze wyszkolonych oddziałów i właśnie w kierunku poprawy dyscypliny i wyszkolenia szły wysiłki korpusu oficerskiego. Wyczuwano przy tym niepokój w odnoszeniu się Czechów do sprawy Śląska, gdyż mimo podpisania przez Radę Narodową Śląska Cieszyńskiego z Národním výborem w Morawskiej Ostrawie umowy ustalającej linię demarkacyjną między Polską a Czechami wyczuwało się nielojalne stanowisko naszych zachodnich sąsiadów do tego

stopnia, że dowództwo wojskowe na Śląsku wydało rozkaz obsadzenia granicy polsko-czeskiej. Z początkiem grudnia 1918 roku kompania dowodzona przez Wita obsadziła wyznaczony odcinek graniczny. Byliśmy tym razem z Witem okrągło przez miesiąc. Z końcem grudnia odwołano oddziały graniczne do Cieszyna, gdzie uzupełniano umundurowanie i uzbrojenie batalionu. W pierwszych dniach stycznia 1919 roku skierowano batalion Ziemi Cieszyńskiej do walk o oswobodzenie Lwowa. Na Śląsku pozostały jedynie formacje wartownicze i pluton konnych zwiadowców. Transport z batalionem Ziemi Cieszyńskiej dotarł zgodnie z wyznaczoną marszrutą 8 stycznia 1919 roku do Gródka Jagiellońskiego, leżącego na przedpolach Lwowa, gdzie formowała się grupa uderzeniowa pułkownika Serdy. Grupa ta, dosyć silna, na którą składały się oddziały piechoty, kawalerii i artylerii, otrzymała zadanie uderzenia w kierunku na Stawczany, Lubień Wielki i Dawidów, by odepchnąć pierścień oddziałów ukraińskich oblegających Lwów od południa. Grupa ta spełniła swoje zadanie, posuwając się w ciężkich bojach na wschód. Batalion Ziemi Cieszyńskiej dawał przykłady odwagi i wytrwania, ponosząc jednakże poważne straty. W pierwszym dniu działań ofensywnych o Stawczany poległ podchorąży Goryl. Natomiast w kilkudniowych walkach o Lubień Wielki odniósł rany postrzałowe nogi i ramienia dowódca kompanii porucznik Wit. Żołnierze głęboko odczuli odejście swego dowódcy, którego niezmiernie lubili.

Gdy oddziały cieszyńskie walczyły o Lwów, na Ziemi Cieszyńskiej rozgrywała się nieodwracalna w swych skutkach dla Polski tragedia, a bolesna niezmiernie dla nas, Ślązaków, którzy byliśmy dumni z przywrócenia Polsce Śląska własnym czynem wojskowym. W czasie naszej nieobecności Czesi skorzystali z ogołocenia Śląska z wojska wysłanego pod Lwów, uderzyli w sile dwóch dywizji na Ziemię Cieszyńską. Garstka żołnierzy z oddziałów wartowniczych, uzbrojeni naprędce hutnicy trzynieccy stawili zacięty opór. Jednocześnie dowództwo w Warszawie czyniło nadludzkie wysiłki, by zebrać z różnych części Polski oddziały wojska, z których utworzono by linię frontu, i przeciwstawić się najeźdźcom czeskim. Ściągnięto batalion piechoty z Łodzi, drugi batalion piechoty z Sosnowca, batalion piechoty i baterię artylerii ciężkiej z Krakowa i pomniejsze oddziały z licznych garnizonów. Dowództwo nad tą zbieraniną objął brygadier Latinik, który w trzydniowej bitwie pod Skoczowem zatrzymał Czechów i gotował się do kontrofensywy, do której już nie doszło, bowiem obradująca komisja aliancka zaleciła wstrzymanie ognia i ustaliła linię demarkacyjną, która przebiegała mniej więcej wzdłuż rzeki Olzy. Za obopólną zgodą Polski i Czech ustalono, że o losach Ziemi Cieszyńskiej i o przynależności państwowej decydować będzie plebiscyt. Obszar Śląska Cieszyńskiego obsadzić miały armie państw koalicyjnych po wycofaniu się wojsk polskich i czeskich poza obszar Śląska. W ciągu krótkiego stosunkowo czasu nadeszły na Śląsk oddziały włoskie i francuskie, a równocześnie zjawiła się komisja

aliancka, która ustaliła swą siedzibę w hotelu Pod Jeleniem. Na obszarze plebiscytowym pozostały posterunki żandarmerii polskiej i czeskiej po obu stronach linii demarkacyjnej.

W Cieszynie uformował się Polski Komitet Plebiscytowy, który niezwłocznie przystąpił do pracy. Należało w pierwszym rzędzie spowodować, by na Śląsk wrócili wszyscy tu urodzeni, a znajdujący się na terenie Polski, czy to w pracy, czy w wojsku. Wydano cały szereg zarządzeń dla władz cywilnych i wojskowych, aby zwalniać z pracy i ze służby osoby urodzone na Ziemi Cieszyńskiej. Skutki tych zarządzeń nie dały na siebie długo czekać. Z całej Polski zjeżdżali Ślązacy, by spełnić swój obowiązek względem ojczyzny. Wśród powracających lwią część stanowili wojskowi, zarówno oficerowie jak i szeregowi. W ich gronie zjawił się też Wit, który w międzyczasie wyleczył się z ran odniesionych w bitwie pod Stawczanami w obronie Lwowa, jak również wszyscy jego koledzy wracający z różnorodnych formacji i pułków.

Sprawa powrotu Cieszyniaków w swe strony rodzinne była niezmiernej wagi dla Komitetu Plebiscytowego, który nie mógł ruszyć w sposób należyty z pracą plebiscytową. Zatem wszyscy powracający kierowani byli do pracy na różnych odcinkach, bardzo ważnych, celem zagwarantowania pomyślnego wyniku głosowania. Znaleźliśmy się zatem w całkiem odmiennych warunkach pracy, lecz w dawnym przedwojennym zespole. Odżyły dawne sympatie, wzmocniły się nasze przyjaźnie; już nie na ławie szkolnej, lecz w pracy o doniosłym znaczeniu dla nas, Cieszyniaków, dla Śląska i dla całej Polski. Zabraliśmy się do pracy z zapamiętałą zajadłością, zdecydowani na wszystkie niebezpieczeństwa i na poniesienie w razie potrzeby najdalej idących konsekwencji - walczyliśmy bowiem o wielką sprawę.

Okres pracy plebiscytowej stworzył dla Wita daleko idące możliwości do wykorzystania jego olbrzymiego doświadczenia z okresu czteroletniej wojny światowej. Był to dla niego swego rodzaju benefis, zapewniający mu dodatkowo wykorzystanie swoich zdolności. Odczuwając podświadomie te możliwości, rzucił się Wit jakby w szalonym porywie w wir walki i pracy, pociągając za sobą swoich najbliższych przyjaciół, kolegów oraz bliższych i dalszych znajomych, którzy poszli za nim bez zastrzeżeń. Praca Komitetu Plebiscytowego i utworzonego przez ten Komitet aparatu nabrała rozpędu. Równolegle z pracami plebiscytowymi prowadzona była praca nad organizacją wojskową. Z Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie przyszło tajne zarządzenie, by na wszelki wypadek zorganizować na terenie plebiscytowym silną organizację wojskową, która mogłaby w razie potrzeby przyczynić się do wyjaśnienia sytuacji na naszą korzyść. Warszawa wydelegowała do Cieszyna majora Ostrowskiego - późniejszego pułkownika - który miał podjąć się zorganizowania jednostek wojskowych. Zaczął on swoją robotę od zorganizowania sztabu. Wit zorientował się natychmiast o ważności sprawy i zaofia-

rował majorowi Ostrowskiemu swoje usługi, które z chęcią były przyjęte. Major był człowiekiem poważnym, doświadczonym w pracy tajnej i służbie wojskowej, brał udział w pracy P.O.W. na terenie Kongresówki, gdy Niemcy usiłowali w 1917 roku zorganizować polski Wehrmacht - polską siłę zbrojną. Z miejsca poznał się na wartości Wita jako wojskowego i niezwłocznie mianował go swoim adiutantem, z czego i Wit był bardzo zadowolony.

Rozpoczęła się zatem żmudna praca organizacyjna, która połączona była z dużymi trudnościami. Sprawa cała stanowiła bowiem tajemnicę wobec dowództwa wojsk alianckich, które wyciągnęłyby daleko idące konsekwencje zwłaszcza w stosunku do organizatorów. Również należało zachować tajemnicę wobec Czechów. Im większa organizacja, tym trudniej utrzymać tajemnicę. Narażeni na ustawiczne niebezpieczeństwa, przemykając się między Scyllą a Charybdą, kontynuowaliśmy pracę zapamiętale.

Dowództwo organizacji miało do dyspozycji ponad pięciuset oficerów. Choć znaczną ich część stanowili oficerowie-subalterni, mieliśmy niezbędną do realizacji naszych celów liczbę oficerów sztabowych. Chodziło jednak o szybkie powołanie do życia pełnej organizacji wojskowej. Sądzono bowiem, że plebiscyt odbędzie się prędzej, niż się potem okazało. Plebiscyt rozpoczął się bowiem wiosną 1919 roku, a zakończył się na skutek decyzji, jaka zapadła, w sierpniu 1920 roku.

Praca w sztabie prowadzona była w następujący sposób: Zasięgano informacji, w jakich miejscowościach i w jakiej liczbie rozlokowali się wojskowi, żołnierze i oficerowie urlopowani na plebiscyt, i na tej podstawie ustalano ośrodki dowództwa plutonów, kompanii i batalionów, wyznaczano stanowiska dowódców oficerów będących w danej lub sąsiedniej miejscowości do dyspozycji organizacji. Ustalenie takie pomagało uwzględnić przy tym miejsce zamieszkania oficerów i ewentualnie przeprowadzano korekty w rozlokowaniu dowództw poszczególnych oddziałów. Zaczynano odgórne organizowanie kompanii. Mianowany dowódca werbował oficerów i proponował ich na poszczególne funkcje: dowódców plutonów, ich zastępców itp., co później potwierdzane było rozkazem dowódcy czy sztabu głównego. Dowódcy kompanii składali w regularnie ustalonych terminach raporty o stanie ilościowym żołnierzy: szeregowców i podoficerów. Kiedy organizacja wszystkich kompanii była zakończona, sztab przystępował do organizacji batalionu, wybierając na dowódcę odpowiedniego oficera. Zadaniem dowódcy batalionu było szczegółowe zapoznanie się ze stanem organizacyjnym pozostawionych do jego dyspozycji kompanii, następnie organizacja batalionów, a wreszcie pułków. W ten sposób powstał sztab brygady z dwoma pułkami piechoty.

JÓZEF GÓRNIAK

c.d.n.

UROCZYSTA MSZA PRYMICYJNA

W sobotę 11 sierpnia br. w drewnianym, zabytkowym kościele parafialnym w Marklowicach Dolnych odbyła się uroczysta Msza św. prymicyjna, którą odprawił ks. Stanisław Węglarzy, absolwent Wydziału Teologicznego w Ołomuńcu. Święcenia kapłańskie otrzymał 9 czerwca z rąk ks. biskupa Amédée Grab z diecezji Chur w Szwajcarii.

W uroczystym nabożeństwie, odprawionym w języku polskim i czeskim, uczestniczyły tłumy wiernych. Do zorganizowania i uświetnienia Mszy św. włączyła się niemal cała wierząca społeczność wioski. Radość ogarnęła wiernych, kiedy w otoczeniu dziewczynek w bieli w żywym zielonym wieńcu został do kościółka wprowadzony tak długo oczekiwany neoprezbiter, pochodzący z Marklowic Dolnych. Chór PZKO Piotrowice Marklowice, zasilony męskimi głosami chóru Hejnał–Echo z Karwiny Frysztatu pod batutą Jadwigi Karolczyk, przywitał obecnych pieśnią „Gaude Mater Polonia". Msza św. wraz z udzielaniem pierwszego kapłańskiego błogosławieństwa trwała prawie trzy godziny. Po Mszy ks. Stanisław odebrał gratulacje od osób prywatnych i delegacji środowisk, z którymi był w jakiś sposób związany, wśród nich prezesa MK PZKO w Marklowicach Karola Sikory. Wychodzących z kościółka przywitała orkiestra, a potem wszyscy obdarowani zostali przez rodziców ks. Stanisława śląskimi kołaczami.

Ostatnia prymicyjna Msza św. w marklowickim kościółku odprawiona była przez ks. Franciszka Hellera w 1940 roku, a trzy lata wcześniej przez ks. Józefa Adameckiego, który zginął w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu.

Następnego dnia, w niedzielę 12 sierpnia br., odbyła się w kościele parafialnym w Piotrowicach prymicyjna Msza św. ks. Jaroslava Dudy.

T.T.

DOŻYNKI MK PZKO W ORŁOWEJ–LUTYNI

Pochód dożynkowy wśród bloków miasta w sobotę 25 sierpnia przyciągnął jego mieszkańców do okien i na ulice. Wielu niewtajemniczonych pewnie nie od razu zorientowało się, co to takiego – stroje ludowe, flagi czeska i polska ... i bryczka zaprzężona w „prawdziwe" konie. W tej bryczce jechali gospodarze dożynek – prezes MK PZKO Marian Jędrzejczyk i jego córka Beata Pulcer.

W obrządku dożynkowym wystąpiły na scenie miejscowe zespoły Skotnica i Skotniczka. W bogatym programie zaprezentowały się także: dziecięcy zespół Orlovanka oraz młodzieżowe grupy folklorystyczne z Polski Vladislavia z Wodzisławia i Strzecha z Raciborza.

Był dożynkowy chleb, kołacze i wiele innych dań kuchni śląskiej przygotowanych przez panie z Klubu Kobiet MK PZKO. Konkurencję naszej kuchni robiły panie z Koła Gospodyń Wiejskich w Rydułtowach, towarzyszące przybyłemu na dożynki burmistrzowi, które częstowały chlebem ze skwarkami.

Wśród licznych gości oficjalnych tych dożynek znalazł się również wiceburmistrz miasta Orłowa Radomír Mojžíšek, co świadczy o docenianiu działalności pezetkaowców przez samorząd miasta.

(red)

TRADYCYJNE DOŻYNKI W GUTACH PO RAZ 34.



W niedzielę 26 sierpnia pod Dom PZKO zajechali tradycyjnie kolasą gospodarze tegorocznych guckich dożynek Danuta i Jan Kaletowie. Razem z nimi przyszły w barwnym pochodzie i wraz ze starostami gospodarzyły na scenie zespoły Oldrzychowice (zaprezentował obrządek dożynkowy), Skotnica i Skotniczka z Orłowej Lutyni. I w tym roku nie zabrakło w Gutach gości z Polski, którzy przybyli dwoma autobusami. W strojach ludowych ze śpiewem w pochodzie dożynkowym i na scenie zaprezentowały się panie z Libiąża.

I w tym roku nie zabrakło na Dożynkach Śląskich w Gutach tradycyjnej śląskiej kuchni, a jej szczególną atrakcją był chleb z tegorocznych plonów upieczony w okazałym „piekarszczoku", jaki jest własnością Miejscowego

Koła PZKO. Okazałe bochenki chleba przechodziły z rąk do rąk. Najpierw na scenie z rąk członków zespołu Oldrzychowice w ręce gospodarzy. Potem przez ręce prezesa Koła Jana Kantora w ręce oficjalnych gości dożynek. Wreszcie dotarły na stoły wszystkich biesiadników zebranych na tej pięknej uroczystości, towarzysząc jelitom z kapustóm i innym zabijaczkowym szpecjołóm, i zdobiły te stoły razem z kołaczami i innymi wypiekami pracowitych członkiń MK PZKO w Gutach.

I w tym roku nie zabrakło na dożynkach olbrachcickiej orkiestry dętej Náladička. Nie zabrakło loterii. Nie zabrakło stałych bywalców z bliskich i odległych Kół PZKO. Koło stołów gwarzono „po naszymu", po polsku i po czesku. A wśród rozbawionych gości ciągle widoczna była drobna postać z opaloną przy pracy na słońcu twarzą, człowiek-symbol PZKO w Gutach – jego długoletni przewodniczący Paweł Rucki. Pomimo skończonych 80 lat z troską doglądał całości, aby każdy był zadowolony. A dopisała i pogoda, i dożynkowi goście.

F.B.















FESTYN GÓRSKI W KOSZARZYSKACH

W tym roku sobota 8 września wyznaczona na czas Festynu Górskiego była od rana nieprzyjemnie chłodna i deszczowa. Była też niezmiernie bogata w liczne znaczące imprezy w terenie (w tym i przyciągający znaczne rzesze młodzieży CIELAF). Pomimo wszystkich tych nieprzychylności nie można nazwać spotkania młodych i starszych w Koszarzyskach nieudanym.

Dziesięciu uczestników pokonywało Bieg pod górkę. Na starcie wyścigu rowerowego stanęło trzech uczestników z Jaworzynki. W turnieju siatkówki wzięły udział cztery drużyny. W turnieju ringo uczestniczyło 5 dwójek.

Program popołudniowego koncertu wypełniły zespoły: Dzieci Nocy i Arzia z Czeskiego Cieszyna, P. Metoda z Trzyńca, zaś gwoździem programu był występ kapeli (w składzie polsko-czeskim...) Beskid Folk Band. Po koncercie tradycyjnie dyskoteka Marka Bartnickiego.

Bogaty bufet zapewnili członkowie MK PZKO w Koszarzyskach.

Na Festynie Górskim nie zabrakło przedstawicieli Zarządu Głównego PZKO na czele z prezesem Zygmuntem Stopą, starościny Koszarzysk J. Kohutowej i starościny Bystrzycy A. Konderlowej.

F.B.





ŻWIRKOWISKO NA ROK PRZED JUBILEUSZEM

W tym roku minęło 69 lat od tragedii lotniczej Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury w Cierlicku Kościelcu. W sobotę 8 września w uroczystościach organizowanych tradycyjnie przez MK PZKO w Cierlicku Kościelcu wzięli udział między innymi konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis, starosta powiatu cieszyńskiego Witold Dzierżawski, przedstawiciele władz gminnych Cierlicka reprezentowani przez wicestarostę Miroslava Fojtíka i przewodniczącego komisji do spraw narodowości Józefa Macurę, liczne delegacje aeroklubów z Polski, harcerstwo reprezentowali goście z Bielska, przedstawiciele szczepu cierlicko-błędowickiego HPC oraz kręgu seniorów HPC.

Uroczystości rozpoczęto od złożenia kwiatów pod pomnikiem. Potem odbyła się w kościele św. Wawrzyńca Msza św. w intencji lotników, koncelebrowana przez kapelana XVIII Bielskiego Batalionu Desantowego ks. Marka Strzeleckiego, miejscowego proboszcza ks. Miroslava Ganderę oraz ks. Oswalda Bugla. Spotkanie uczestników uroczystości kontynuowano w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury.

Chociaż pogoda była deszczowa, nie zabrakło i w tym roku nad Żwirkowiskiem samolotów pilotowanych przez członków Aeroklubu z Bielska–Białej. Deszcz nie był też przeszkodą dla 65 kolarzy, którzy dojechali na miejsce w ramach Rajdu Rowerowego, zorganizowanego przez PTTK w Jastrzębiu Zdroju.

F.B.


DOŻYNKI
ŚLĄSKIE 2001
2001
DOŻYNKI ŚL.



XXXII DOŻYNKI ŚLĄSKIE W BŁĘDOWICACH

Dożynki Śląskie w Błędowicach po drugiej wojnie światowej organizowane są od roku 1969. W tym roku 8 września dożynkowy pochód wyruszył spod budynku polskiej szkoły. Z powodu niepewnej pogody obrzęd dożynkowy i występy zaproszonych zespołów odbyły się w lokalach miejscowego Domu PZKO. Oficjalnymi gośćmi byli przedstawiciele Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, ZG PZKO, miasta Hawierzowa.

Obowiązki gazdów pełnił Karol Jasiok z małżonką, przodownikami byli M. Kołorz z Międzydola z Izabelą Bałon. Tradycyjne stroje ludowe, bochny chleba, wieńce i wyśmienite kołacze to atrybuty, o których nie zapomniano, tradycje dożynkowe zostały w pełni zachowane. Z programem artystycznym wystąpiła znakomita jak zawsze Olza, w Błędowicach występowała już kilkakrotnie i zawsze odnosiła sukces, i tym razem w pełni zaspokoiła dożynkowych gości. Kapela Cierliczanka, rozpoczynając program przy Polskiej Szkole Podstawowej, stworzyła odpowiedni nastrój. Z krótkim programem wystąpiła młodzież szkoły i przedszkola. Tradycyjnie bogaty bufet, specjały kuchni śląskiej były jak zawsze dziełem Klubu Kobiet i aktywistów Koła.

Dawniej po dożynkach Macierzy Szkolnej na ścianach sal tanecznych Domu Robotniczego czy gospody Wacława Pawlasa zawieszano wieńce dożynkowe, które zostawiano tam przez cały rok. Może warto powrócić do tradycji i udekorować salę Domu PZKO.

Kierownictwo MK PZKO nie wyobraża sobie obecnej działalności bez Dożynek Śląskich, inicjatorem których przed przeszło 30 laty był Tadeusz Nierostek. Impreza ta, chociaż niekiedy w skromniejszym wydaniu, weszła w krew nie tylko działaczom, i przez miejscowych pezetkaowców odczuwana jest jako trwała tradycja.

A.P.





PO BABSKIM FESTYNIE

Sekcja Kobiet ZG PZKO kieruje gorące podziękowania do organizatorów, wykonawców programu i uczestników VII Babskiego Festynu, który odbył się 15 września w Suchej Górnej. Ogród pełen gości przy miejscowym Domu PZKO był jedyną nagrodą za trud, jaki włożyli górnosuscy działacze, zwłaszcza zaś Klub Kobiet pod kierownictwem Eugenii Kaňa, w przygotowanie imprezy.

Goście festynowi przybyli do Suchej Górnej z bliższej i dalszej okolicy, nie zważając na trudności z dojazdem i nie lękając się niepewnej pogody. Wśród nich znaleźli się starosta Suchej Górnej Jan Lipner z małżonką i jego zastępca Rudolf Mołdrzyk, prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa, prezes Koła Polskich Kombatantów w RC Bronisław Firla z małżonką, dyrektor PSP Apolonia Mrózek z nauczycielkami Renatą Rzyman i Marią Małysz, delegacja Rodziny Katyńskiej, redaktor naczelna Zwrotu Elżbieta Stróżczyk i sekretarz redakcji Franciszek Bałon, redaktor naczelny Naszej Gazetki Bogdan Prymus z małżonką.

Gorącymi oklaskami nagradzali zebrani poszczególnych wykonawców programu: przedszkolaków i zespoły górnosuskiej PSP, niezrównany zespół Suszanie, chór mieszany Sucha oraz laureatów tegorocznego Festiwalu Piosenki Dziecięcej Jakuba Šafránka, Wojtka Kadłubca, Adama Faranę i zespół Allegro z miejscowej Polskiej Szkoły Podstawowej. Na zakończenie pro-

Fotografie w kronice FRANCISZEK BAŁON

gramu prowadzonego przez Barbarę Suchanek i Mariana Pilcha wystąpił gościnnie zespół Marianki z Polski.

Niełatwą, ale za to smaczną pracę miało jury konkursu kulinarnego, które tworzyli panowie: Jan Lipner, Zygmunt Stopa i prezes MK PZKO Bronisław Zyder. Laureatami Konkursu zostali: Helena Adamec i Wanda Křižan z Suchej Górnej, Danuta Stryja z Darkowa, Danuta Wałoszek z Frysztatu, Tadeusz Pawera z Karwiny i Anna Boszczyk z Żywocic.

Wielką popularnością cieszyła się wystawka obrazów Anny Piszkiewicz z Czeskiego Cieszyna, kąciki firm Hans Mode i Zelmer.

Konkurs i loteria mogły się odbyć dzięki życzliwości firm Zelmer, Walmark, Farma Stonawa, Hans Mode, RN Expres, Katim oraz Anny Piszkiewicz, Piotra Horzyka, Klubów Kobiet w Olbrachcicach, Frysztacie I Raju, MK PZKO w Stonawie.

Na swojską nutę do pośpiewania, posłuchania i potańczenia przygrywał zespół SONATA Wiesława Farany.

Kiedy się w piątek trochę rozjaśniło, w serca organizatorów wstąpiła nadzieja i przygotowali się do festynu ogrodowego. Sobotnie rano rozwiało te nadzieje i rozpoczęli przeprowadzkę do sali Domu Robotniczego. Jednak w południe niebo okazało się łaskawe, więc z powrotem do ogrodu i tak już pozostało. VII Babski Festyn przeżyliśmy w zdrowiu i bez parasoli. Można śmiało powiedzieć, że była to impreza ze wszech miar udana, bufety zasobne, niczego nie zabrakło, trzeba tylko dodać: Górnosuszanie brawo i dziękujemy.

SEKCJA KOBIET ZG PZKO













Oto jeden z przepisów z książki Franciszka Bałona – „OPOWIADANIA o naszym GOTOWANIU"

„BACHORA"

To bardzo specyficzne danie śląskiego Podbeskidzia robiono zazwyczaj w jesiennym i zimowym czasie świniobicia. Masę ziemniaczaną z dodatkiem okrawków mięsa, słoniny i cebuli zapiekano w grubych kiszkach wieprzowych. Podajemy ten przepis dla tych, którzy chcą sobie przypomnieć tradycyjną kuchnię naszych przodków, bo i to danie może być atrakcyjne. Kiszki wieprzowe można kupić w sklepach mięsnych (z grubymi będzie nieco trudniej, ale cienkie też można użyć). Jednak ostrzegamy – to nie danie dla odchudzających się, a już w ogóle nie dla chorujących na wątrobę! Wartość kaloryczna jednej porcji tej potrawy sięga 500 kalorii.

Na mniej więcej 10 porcji potrzebne nam będą: 2 kg ziemniaków, 3–4 świeże jajka, 10 dag mąki – „gładkiej" (650), sól do smaku (2–4 łyżeczki), 60 dag świeżego boczku wieprzowego, 30 dag cebuli, 3 ząbki czosnku, czarny pieprz mielony, majeranek, sól, wspomniane na wstępie kiszki, smalec wieprzowy do pieczenia.

Boczek umyjemy, osuszymy w ściercе i pokroimy w drobną (około 1 cm) kostkę. Cebulę obierzemy i pokroimy w drobną kostkę. Obrany czosnek przeciśniemy przez praskę. Pokrojony boczek, mieszając, podsmażymy na patelni, dodamy do niego cebulę, zeszklimy ją, a następnie całość lekko posolimy i odstawimy na bok.

Przygotujemy sobie masę ziemniaczaną: umyte ziemniaki obierzemy, przepłuczemy pod bieżącą wodą i zetrzemy na tarce ziemniaczanej do miski. Odstawimy je na chwilkę i następnie odlejemy z nich sok (w razie potrzeby wyciskamy część masy przez płótno, usuniemy tyle soku, żeby masa była raczej gęstsza). Do masy dodamy jajka, sól, mąkę i dokładnie wymieszamy, doprawimy ją pieprzem, majerankiem i przeciśniętym przez praskę czosnkiem, dodamy przestudzony podsmażony boczek z cebulą i całość dobrze wymieszamy.

Masą nadziewamy starannie wyczyszczone kiszki (robiąc to bezpośrednio w misce za pomocą łyżki) i zawiązujemy końce sznurkiem. Brytfannę wysmarujemy smalcem, ułożymy na niej nadziane kiszki, każdą przekłujemy w kilku miejscach igłą, posmarujemy je smalcem i damy piec do piekarnika nagrzanego do 170 °C przez około 45 minut. Podajemy na gorąco, jako samodzielne danie.

TADEUSZ SOROCZYŃSKI
W WIKLINOWYM KOSZU

WYBACZ

Wybacz
że nie napisałem ci wiersza
choć od tygodnia chodził mi po głowie
mienił się kolorami urodą chwili
aż wyszedł gdzieś na manowce
i przepadł

Wybacz
nie chciałem twojej radości zbałamucić
jakimś poetyckim traktatem
gdzie słowo słowu się dziwuje
zamiast podziwiać twój szyk
twój styl twój wdzięk

MOJA MIŁOŚĆ MOJE SKRZYPCE

Moja miłość jest ślepa
pól zielonych nie widzi
obok sadów przechodzi
nie dostrzega owoców
moja miłość
drwi ze mnie

Moje skrzypce bez duszy
tak jak las mój
bez wiatru
dom bez okien i klamek
a muzyka
w gałęziach zagubiona

na amen

MÓWISZ MIŁOŚĆ

Którędy chodzisz mówi o tym ziemia
gdzie śpiewasz powietrze ogłasza
las powtarza
a ty wędrujesz
przez trawy i rzeki
wezbrane
to miłość powiadasz
i cały las się zanosi drzewami

JAK CIĘ NIE WIDZIEĆ

Jak cię nie widzieć kiedy mi się jawisz
ze snu wychodzisz niby z rzeki
jak cię nie słyszeć kiedyś dzwonem nocy

obrazem jesteś ale to nieprawda
bo śmiech twój tętni krwią
a mówić Mario to kryć się za słowo

jesteś i bądź mi jak rzeka
żywiołem

Z ODDALENIA

Patrzę na ciebie z oddalenia
aby całej nie uronić w zapatrzeniu
choćbyś była zaplątana w sieci słońca
w tłumie sukien szczuta wiatrem biegła

ty w mieście którego się lękam
tyle gwaru naraz obcych głosów
patrząc w milczeniu owijam cię jak w płótno
by nie zagubić w sobie

zrozumieć ciebie można tylko z oddalenia

DARUJĘ CI SAD

Daruję ci sad najprawdziwszy
z drzewami na koncerty ptaków
krzaki agrestu zamiast róż
a także trawę na ułożenie

daruję ci sad otworzony latem
pszczoły miód w nim brzęczą
unosząc światło w skrzydłach

odwiń z tej gruszy cień
ciszą pokornie u nóg ci się położy
a w tym koszu dojrzałe słowa
owoce z mojego sadu

OTA ULČ

AMERYKA I GRZYBY

Europejczyków, którzy przenieśli się „za wielką wodę", można rozpoznać nie tylko według akcentu: w ogromnej większości nie zmienili układu metrycznego na archaiczne stopy i łokcie, nie zostali wielbicielami koszykówki czy też piłkarstwa - czyli amerykańskiego futbolu, który wziął chyba nazwę od tego, że grywa się go rękami, a nie nogami. Byłych obywateli Europy Środkowej odróżnia w dodatku ich umiłowanie do zbierania grzybów.

Mikologiczne namiętności albo przynajmniej skłonności poroznosiliśmy na wszystkie kontynenty. Niekiedy nawet zwykły przypadek może zostać źródłem szczęścia lub przynajmniej bogactwa. Przykład rodziny ziomka Václava Valenty, który żyje na farmie południowoafrykańskiego Transvaalu: Mamusia przesłała im jeszcze z byłej Czechosłowacji suszone grzyby. Po konsumpcji tego specjału pozostały jeszcze drobinki, a właściwie tylko jakiś pył, który wiatr zaniósł do lasu. Minęło osiem lat i do Valentów przyjechali goście z Niemiec. Poszli do lasu, żeby się trochę przewietrzyć, i nagle ktoś z nich woła: - Kuk mal-Steinpilze! - W północnoafrykańskiej ziemi przyjęła się nowość tak nieoczekiwana, że nawet krowy, owce, jeże i pawiany kompletnie ją zignorowały. W ten sposób doszło do działalności przedsiębiorczej rodziny Valentów. Hodują grzyby na szeroką skalę i nawet je eksportują do Europy.

Siedziałem w Canberze, głównym mieście Australii, pod gościnną strzechą Vratislava Kašpárka, pochodzącego z południowych Czech, a właśnie zbliżało się południe. - A co gdyby tak usmażyć sobie parę świeżych grzybów? - zaproponował. Przytaknąłem i ruszyliśmy w drogę. Był to pięciominutowy spacer. Za ostatnim przystankiem autobusów poszliśmy nieznacznie pod górkę i tam panoszyły się ciemne jak bochenki kapelusze grzybów - a więc bez czołgania się i przebijania się przez gąszcz zarośli, bez wietrzenia nosem i bez bolesnego zaznajamiania się z tym, że ktoś nas już uprzedził. Tam w Kangurlandii wystarczyło zgiąć się i zbierać - przeżycie tyle romantyczne, co udział w brygadzie ziemniaczanej.

W Europie zażarcie twierdzi się bezpodstawnie, że w Ameryce nie ma grzybów, że tam nie rosną. Ale to nieprawda. Rosną, rosną, tylko ludzie ich nie zbierają, bo nikt się na nich nie zna, nie potrafi odróżnić muchomora do maślaka. W dodatku byłby to nierozumny czyn - szukać wątpliwej jakości płodów po kniejach tak wielkich i nieskończonych, że można się w nich zagubić bezpowrotnie. Z rozrzewnieniem wspominam niezwykłe przeżycie w czasie swoich wędrówek przez kontynent amerykański.

Niezwykła przygoda rozpoczęła się w ten sposób: - Czy chcesz ze mną wybrać się na ryby? - zapytał przyjaciel Eugeniusz Bałon, pochodzący z północnych Moraw profesor uniwersytecki z południowej Kanady, ichtiolog światowej sławy, nawet kilka rodzajów ryb zostało po nim nazwanych.

- Nie chcę, nie jestem łowcą - odpowiedziałem. - To miejsce rybne znajduje się na pustyni - kusił mnie - W Dolinie Śmierci!

Wyostrzyłem swoją uwagę. Mam szacunek dla absurdów. Pustynne rybki - to one żyją zupełnie na suszy? Podobno nie, ale prawie. Nazywają się PUPFISCH - CYPRINODON albo nevadensis calidae, diabolis, ale jeszcze Cypriodoni - mikruski najwyżej czterocentymetrowe. Mój przyjaciel otrzymał stypendium rządu kanadyjskiego, żeby mógł zorganizować ekspedycję naukową. Do dyspozycji był mikrobus z klimatyzacją, który obiecywał różnorakie wygody. Kiedyś lotnictwo amerykańskie wyłożyło sto tysięcy dolarów, żeby wesprzeć studium badawcze poświęcone rozmnażaniu się motyli w brazylijskiej dżungli. Dlaczego kanadyjscy podatnicy są gotowi finansować badanie pustynnych potworków?

Mój przyjaciel naukowiec wyjaśniał mi, że celem badań jest próba zrozumienia procesów ewolucyjnych, rozmnażania się komórek, na podstawie którego można ewentualnie wydumać coś użytecznego w związku ze zwalczaniem raka. Nie chodzi tylko o fenomen przeżycia w skrajnie nieprzyjaznych warunkach, ale również o próby unikania degeneracji. Przecież tu na maleńkiej przestrzeni, w wysychających kałużach, rozmnażają się od tysiącleci. Pomyślałem o Habsburgach i postanowiłem przyjrzeć się tym rybkom dokładnie, może te rybki mają również wyraźnie obwisłą dolną wargę.

Zabraliśmy z sobą nasze żony, żeby zaliczyć tych osiem pustyni. Najbardziej gorąca była Death Valley, ciepełko ponad 40 stopni Celsjusza. W czasach Protektoratu opowiadano, że członkowie Afrikankorpusu Rommela smażyli jajka, kładąc je na pancerzach czołgów. Naśladowałem ich i na płaskim kamieniu również mi się udało.

Złowione rybki dowieźliśmy w specjalnych kontenerach na lotnisko, żeby je przemieścić do Toronto, i z tej spiekoty oraz żaru przenieśliśmy się do klimatycznie mniej morderczego środowiska. Tutaj wiadomość o naszym wy-

czynie poruszała od ekstazy aż po apatię. W Nowym Meksyku na drodze numer 64, w górach St. Juan na wysokości nieco ponad 3000 metrów zatrzymujemy się na pustym parkingu, żeby nacieszyć się scenerią i wdychać chłodne górskie powietrze. Widać tu drzewa iglaste i pod jednym z nich zobaczyłem coś brunatnego. Zginam się, żeby lepiej widzieć i tu stoi przede mną grzyb nieprawdopodobnej wielkości. Ostatnio zobaczyłem coś podobnego w gipsowym wydaniu w czeskich ogródkach, obok krasnoludków przed dorobkiewiczowską willą Bożenka. Wracam do monstrualnego grzyba. Przez chwilę podcinałem go i teraz przekonałem się naocznie, że jest to rzeczywiście klasyczny, perfekcyjny, jakby wyjęty z podręcznika grzyb boletus. Wysoki ćwierć metra. Kroję go i nie ma tu ani jednego robaczka.

Melduję o znalezisku. Szczególnie naukowiec Eugeniusz i moja małżonka są grzybowymi maniakami. Podbiegają z nożami i workami. W przeciągu pół godziny leży przed nami góra grzybów, oceniliśmy to na oko na pół cetnara. Zjeżdżamy w doliny, gdzie przybywa ciepła i przybywa też prawdopodobieństwa, że nasza zdobycz ulegnie zaparzeniu. Więc krajać, krajać, krajać, jakby powiedział Lenin do Nadieżdy Krupskiej.

Był to bardzo długi wieczór. Na szczęście mieliśmy z sobą rezerwowe prześcieradła, więc nie musieliśmy kraść. W każdym razie rankiem Eugeniusz wyglądał jak hotelowy złodziej, który wlecze zdobycz w kierunku samochodu. Przechodnie mogli przypuszczać, że to znika zapakowany telewizor. W aucie nie mogliśmy, rzecz jasna, rozpostrzeć grzybów. Wyciągnęliśmy prześcieradło i przybiliśmy je do stropu i w ten sposób powstało poniekąd nieprzepuszczalne wiszące łóżko.

Pędzimy do Oklahomy, tam słoneczko porządnie przygrzewa, zwłaszcza w południe. Rozmieścimy grzybki na polu, za godzinę, najdalej za dwie godziny, ususzymy je na pewno. Tylko, jak to już zazwyczaj bywa z planami, nastały obiektywne trudności pod postacią wichru. Szybko zwijam półmokry skarb i jedziemy dalej. Nie zdołaliśmy rozkazać ani wiatrom, ani deszczowi. Od miesiąca w Oklahomie nie spadła z nieba ani kropla. A teraz... W Państwowym Parku Alabaster Cavern rozwiesiliśmy grzyby na wiszącym łóżku pomiędzy dwoma drzewami. Co chwilę podnosił się ktoś z nas, żeby grzybami potrząsać. Po północy przestał padać deszcz. Nie pozostało nic innego, jak tylko przesunąć grzyby ponownie do samochodu. Zaspani, otępiali ze zmęczenia, powiesiliśmy je w prześcieradle na jednym haku, nikt nie pomyślał o ich rozwieszeniu pod stropem.

Rano czekało na nas nieszczęście. Dotykamy olbrzymiego pakunku: był gorący, zawartość zaparzona, obrzydliwa miazga. I zaraz przeklinamy sami siebie. Dlaczego panikowałem nad kilku kroplami i przenosiłem grzyby do au-

ta, atakuje mnie Eugeniusz. Nie jestem odpowiedzialny za pogodę, w końcu owo przenoszenie grzybów nie było moim pomysłem. W końcu zrozumieliśmy, że ta kłótnia może doprowadzić do tego, że wyschnie nam w gardle, ale grzybów to nie wysuszy. Staramy się tę naszą zdobycz znowu rozpostrzeć na prześcieradle. Gdyby to tak było w Death Valley, ususzylibyśmy je momentalnie. Wokół nas przechodził jakiś dziadek i nie omieszkał wyrazić własnego spostrzeżenia, że tak zachmurzonego nieba nie widział już od trzech miesięcy. Ichtiolog Eugeniusz porwał żonie aparacik do osuszania włosów i już wszyscy na kolanach zmieniamy się co kwadrans, jeden po drugim. Żeby tylko nie przełączać aparatu na najwyższe obroty biadoliła właścicielka suszarki.

Nieustająca mżawka zmusiła nas do przedwczesnego odjazdu. Wyminęliśmy po drodze samochód do mieszania cementu lub zaprawy murarskiej. Moja żona wpadła na pomysł: laundromat. Jeśli może osuszyć ubrania, to równie dobrze może suszyć grzyby. Pochwaliliśmy ją za wyobraźnię i zatrzymaliśmy się przed pralnią w oklahomskim miasteczku Cherokee. Grzyby wsypaliśmy do dwu worków z juty znanych z tego, że są bardzo wytrzymałe, włożyliśmy wszystko do suszarki i pojechaliśmy robić zakupy z poczuciem dobrze wykonanej pracy. Kiedy wracaliśmy po pół godzinie, przed pralnią stał jej właściciel i okropnie narzekał i zrzędził. Obok jednej nogi stały dwa mokre worki obok drugiej trzymał w ręce strzelbę.

Udało nam się wyjechać razem z workami bez strzelaniny. Nadal jedziemy bardzo szybko do tego czasu, aż w jakiejś kolejnej gospodzie znaleźliśmy pustą wyżymaczkę. Tym razem pilnujemy już uważnie całego procesu osuszania. Nasze dwa worki chwieją się w suszarce, jakby to byli astronauci poza ziemskim przyciąganiem, zadowoleni przytakujemy i nagle rozlegają się potężne uderzenia, buch, buch, buch, donośne odgłosy, jakby zbliżał się do nas rozgniewany Beethoven. Urządzenie w pralni chwieje się. Za oknem widzimy na drodze dwie babcie. Zatrzymały się i podnoszą palce, jakby chciały sprawdzić, z której strony zbliża się tornado, w tamtej okolicy częste nieszczęście. Suszarka przeszła od wstrząsów do bardziej gwałtownych reakcji i zaczęła się w dodatku chwiać w obie strony. Teraz dopiero doszliśmy do przekonania, że nie był to zapach, który zmusił właściciela pralni w Cherokee do chwycenia za strzelbę.

Przegraliśmy wojnę nerwów. Zatrzymaliśmy maszynę, wyjmując potem worki z jej wnętrza. Wory były coraz bardziej ciężkie, sztywne i mokre. Grzyby nie wysychały - wręcz odwrotnie, zbiły się w ogromne kule armatnie. Jak tylko ustały odgłosy, babcie znikły z ulicy. Wrzuciliśmy wory do rzeki na granicy Arkansas. Nasze rybki jednak trzymają się znakomicie. Pobyt w kanadyjskich zbiornikach wychodzi im na zdrowie i naukowcy je badają.

PRZYKŁAD CZESKO-POLSKIEJ WSPÓŁPRACY NA RYNKU WYDAWNICZYM

Wałaskie Muzeum w Rożnowie utrzymuje od kilku lat bliskie przyjacielskie stosunki z Muzeum Ziemi Śremskiej. Delegacja literatów ze Śremu, miejscowości leżącej w Poznańskiem, brała udział w zorganizowanym przez Gminę Pisarzy Morawskośląskich seminarium polsko-czeskim w Rożnowie. W delegacji tej obecny był poeta i publicysta Adam Lewandowski, poetka Nina Szmyt oraz dziennikarka i redaktor prowadzący Gazety Śremskiej Barbara Jahns. Jednym z organizatorów rożnowskiej imprezy był czeski pisarz Richard Sobotka, członek zarządu Gminy Pisarzy Morawskośląskich w Ostrawie.

Przykładem wymiernych efektów tej współpracy może być wydanie w przekładzie na język polski tomiku wierszy Richarda Sobotki „Kroki w liściach" (wyd. Biblioteka im. Heliodora Święcickiego, Śrem 2001). Tłumaczem wierszy jest Adam Lewandowski i trzeba przyznać, że są to tłumaczenia bardzo udane.

Należy pochwalić tak Śrem jak Rożnow, że współpraca kulturalna nie kończy się na muzealnictwie, ale obejmuje także literaturę. A omawiany tomik jest tego dobrym przykładem.

ROZMOWA Z KOMPOZYTOREM ROMANEM BERGEREM NA ŁAMACH PISMA KULTÚRNY ŽIVOT

„Absurdalne życie w absurdalnym świecie" – pod takim tytułem ukazał się na łamach bratysławskiego pisma Kultúrny život wywiad słowackiej dziennikarki Anny Gregorowej z kompozytorem i teoretykiem muzyki Romanem Bergerem. Przypomnijmy tylko, że Roman Berger urodził się w 1930 roku w Cieszynie. Jest synem ewangelickiego pastora z Czeskiego Cieszyna, więźnia obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu i Dachau. Po maturze w Polskim Gimnazjum został przyjęty do Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach. W 1952 roku został zmuszony wraz z rodzicami do przeprowadzki do Bratysławy, gdzie ukończył studia. Do 1966 roku Roman Berger uczył w bratysławskim konserwatorium, następnie w Instytucie Teorii Muzyki Wyższej Szkoły Muzycznej. Potem został wykluczony ze Związku Kompozytorów Słowackich i od 1980 r. był bez zatrudnienia. Po 1989 r. został członkiem komisji

przygotowującej reformę szkolnictwa artystycznego przy Ministerstwie Kultury Republiki Słowackiej. Tworzył kompozycje orkiestralne, chóralne i symfoniczne, pisał eseje na temat muzyki i za swoją działalność otrzymał wiele prestiżowych nagród. Anna Gregorowa pisze o nim jako o „słowackim kompozytorze z polskim rodowodem".

W OBRONIE SŁOWA
MIĘDZYNARODOWE SPOTKANIA PISARZY EUROPY ŚRODKOWEJ W LUHACZOWICACH

Wzięli w nich udział pisarze polscy, czescy, słowaccy, słoweńscy, austriaccy, niemieccy oraz przedstawiciel pisarzy rusińskich z byłej Rusi Zakarpackiej. Obrady prowadzili Antonín Jelínek, prezes Gminy Pisarzy z Pragi, oraz Jaroslav Novák, prezes Obce spisovatelů z Brna. Hasłem wywoławczym było stwierdzenie: SŁOWO - GATUNEK ZAGROŻONY.

Literaturę polską reprezentowali Bogusław Żurakowski - poeta, krytyk literacki, prezes SPP w Krakowie, Michał Bukowski - poeta i fotografik, urodzony w Poznaniu, od 1985 r. mieszkający w Wiedniu. Wilhelm Przeczek - poeta, pisarz, członek Rady Gminy Pisarzy w Ostrawie i Brnie, reprezentował Zrzeszenie Literatów Polskich w RC.

Program luhaczowickich spotkań pisarskich rozpoczął się od wieczoru poetyckiego w pomieszczeniach Willi Tomasza Bati we Zlinie. Organizatorem całości imprezy był czeski ośrodek PEN CLUBU w Pradze, Zarząd Główny Gminy Pisarzy z Pragi (jego honorowym prezesem jest prezydent Václav Havel) oraz Rada Gminy Pisarzy w Brnie i Ostrawie. Rozmawiano przede wszystkim o zagrożeniach dla literatury, jakie wypływają z rozwoju mediów, i o tym, jak język publicystyki oddziałuje na bogactwo języka literackiego.

Konferencja rozpoczęła się od przyjęcia uczestników przez starostę Luhaczowic w Urzędzie Miasta. Po konferencji odbyło się kolejne spotkanie literackie. Wzięli w nim udział także bibliotekarze, wydawcy i przedstawiciele instytucji handlu książkami. Bogusław Żurakowski przedstawił swój tomik „Pieśni karlowarskich źródeł", który ukazał się w przekładzie na język czeski, tłumaczami tego zbioru poezji są Lucyna Przeczek-Waszkowa oraz Libor Martinek (wyd. Snoza, Czeski Cieszyn 2000). Michał Bukowski prezentował teksty z tomiku „Laskavost oblaků" przekład Lucyna Waszkowa, Libor Martinek i Wilhelm Przeczek (wyd. Zrzeszenie Literatów Polskich w Republice Czeskiej, Cieszyn 2000). Główny referat wygłosili pisarz czeski Vladimír Fuxa z Brna i Michał Bukowski z Wiednia. Szczególnie wystąpienie Michała Bukowskiego wzbudziło zainteresowanie. Tłumaczyłem ten referat na cze-

ski i byłem świadkiem tego, jak po prelekcji podszedł do M. Bukowskiego były szef Izby Poselskiej oraz czeski minister kultury Milan Uhde i złożył mu gratulacje płynną polszczyzną.

Kolejne polonicum wyłuskałem na spotkaniu autorskim w Wilii Tomasza Bati we Zlinie. Profesor politologii uniwersytetu w amerykańskim Binghampton Ota Ulč, czeski pisarz, który od lat żyje w Kalifornii, ale często drukuje w czeskiej prasie, czytał felieton poświęcony łowieniu ryb „Ameryka i grzyby". Występował tu przyjaciel Oty Ulča Eugeniusz Bałon, jeden z wybitnych współczesnych ichtiologów, który ukończył Polskie Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Orłowej. Zapamiętałem go z tamtych czasów i zapytałem O. Uča o to, czy to rzeczywiście chodzi o Eugeniusza Bałona, bo w felietonie był to Evžen Balon. Okazało się, że miałem rację. Otrzymałem nawet obietnicę, że pan Ulč prześle mi artykuł na mój adres w Bystrzycy nad Olzą, a ja przetłumaczę rzecz na polski dla czytelników Zwrotu.

Najpierw jednak kilka słów na temat biogramu prof. Oty Ulča: Urodził się 16.3.1930 roku w Pilznie. Jest członkiem Gminy Pisarzy w Pradze oraz czeskiego PEN CLUBU. Z wykształcenia prawnik, ukończył także filozofię, w 1959 roku wyemigrował do Ameryki, a w tej chwili jest profesorem Państwowego Uniwersytetu w Binghampton. Przez pewien czas był doradcą premiera Cooka w Islandii. Pisze przede wszystkim prozę, np. „Małe wyznania sędziego powiatowego" (Toronto 1977), „My i oni" (Curych 1987), „Bez Czedoku w Chinach i okolicy" (Praga 1992), ale opublikował również kilka książek z dziedziny prawa (Skrótowa historia prawa międzynarodowego - 1991). W sumie wydał 11 książek. Na łamach Zwrotu okazuje się dziś debiut Oty Ulča, jeśli chodzi o tłumaczenie jego pracy na język polski, w moim przekładzie.

WILHELM PRZECZEK

NOWY TOMIK POETYCKI TADEUSZA SOROCZYŃSKIEGO

W opolskim wydawnictwie WERS ukazał się dziewiąty już tomik poetycki Tadeusza Soroczyńskiego, polskiego poety i działacza społecznego z Opola, który jest znany i na Zaolziu, bo przyczynił się wyraźnie do promocji Zaolzia w Polsce. Przez długi czas był dyrektorem Wydziału Kultury województwa opolskiego oraz sekretarzem Opolskiego Towarzystwa Kulturalnego. Często przyjeżdżał na Gorolski Święto, współpracował ze Zrzeszeniem Literatów Polskich w RC. Nowy tomik nosi tytuł „W wiklinowym koszu" i zredagował go prezes ZLP w Opolu Harry Duda. Na okładce są cytaty z recenzji prof. W. Hendzla, W. Przeczka, K. Kaszpera i I. Wyczółkowskiej. Opracowanie graficzne Bogusław Wład. Właśnie z tego tomiku przynosimy wiersze w niniejszym numerze Zwrotu.

WILHELM PRZECZEK

KSIĄŻKA PEŁNA AFORYZMÓW

W grudniu ubiegłego roku ukazała się na czeskim rynku wydawniczym publikacja, której autorami są **Ladislav Muška** (ur. 1928, pochodzący z miejscowości Semily, śpiewak operowy, pisarz, recenzent i redaktor, prezes Północnoczeskiego Klubu Pisarzy), **Josef Poláček** (ur. 1925 w Chąborach Dobrušce, grafik, ilustrator, redaktor, członek Syndykatu Dziennikarzy Republiki Czeskiej), równocześnie jej ilustrator, oraz **Lech Przeczek** (ur. 1961 w Czeskim Cieszynie, zamieszkały w Trzyńcu, ekonomista z wykształcenia, bilingwistyczny autor wierszy i opowiadań - pisanych po polsku i po czesku), inicjator i redaktor omawianej publikacji. Każdy z tych autorów umieścił 111 swoich najlepszych aforyzmów w książce nazwanej **„Postřehy - 333 aforismů pro dobrou náladu"**, wydanej w Pradze przez wydawnictwo Gumruch.

O książce, której zadaniem według autorów i wydawcy jest nie tylko rozbawienie czytelnika, ale także skłonienie go do przemyśleń i głębszej refleksji, napisał Libor Martinek m.in.: *„Spostrzeżenia" są rzeczywiście reprezentatywnym wyborem aforyzmów, a oprócz tego przedstawiają jakby międzypokoleniowe i ponadregionalne związki doświadczonych autorów. Odmienne doświadczenia życiowe, wykształcenie i zainteresowania znalazły oczywiście odzwierciedlenie w budowie znaczeniowej i postaci stylistycznej aforyzmów poszczególnych autorów. Aforyzmy L. Muški są chyba najbliższe gorzkim maksymom i sentencjom mistrza tego gatunku Françoise'a La Rochefoucaulda. Ich pomysł zakłada wniosek cięty, pełen sarkazmu i ironii. Aforyzmy Josefa Poláčka w niczym nie ustępują twórczości imiennika autora Karola. Wiele jego aforyzmów jest stale wielce aktualnych, ich tematy są wieczne. Niekiedy temat aforyzmu zdradzi czas swego powstania, bowiem stracił już swą aktualność. Jakoś najbardziej poetycko brzmią liczne aforyzmy Przeczka, autor ujawnia się przede wszystkim jako poeta. Niekiedy bierze górę jego wykształcenie ekonomiczne. Podstawą wielu aforyzmów jest gra słów, często podobieństwo podstawy słowotwórczej w kontraście ze znaczeniem słów w kontekście zdania.*

Zaś Štěpan Vlašín scharakteryzował autorów „333 aforyzmów" m.in. w następujący sposób: *Ladislav Muška zajmuje się przede wszystkim tematyką miłosną. Także niedomaganiami społecznymi. Josef Poláček skoncentrował się na błędach naszej polityki. Dostrzega jednak również problemy małżeńskie i pozamałżeńskie. Lech Przeczek przede wszystkim bardzo wnikliwie poprawia mądrości ludowe, jakie spotykamy w przysłowiach i porzekadłach. Potrafi jednak zajrzeć też do wnętrza przebiegłych karierowiczów.*

opr. C.R.

„KSIĘGA URODZAJU" PO CZESKU

W roku 1986 ukazał się w Wydawnictwie Literackim w Krakowie tomik poetycki Wilhelma Przeczka „Księga urodzaju". W roku 2000 książkę **„Kniha úrody" Wilhelma Przeczka** wydało - po czesku - Wydawnictwo Olza w Czeskim Cieszynie. Publikacja zawiera jednak nie tylko tłumaczenia wierszy z pierwotnego zbiorku, jej częścią stało się także kilka innych wierszy drukowanych w prasie oraz pięć polskich recenzji. Przekłady są dziełem kilkunastu tłumaczy, książkę ilustrował wrocławski grafik Zbigniew Kresowaty, notatkę edytorską sporządził Libor Martinek.

Chociaż Wilhelm Przeczek - stwierdził Libor Martinek - *należy do najwybitniejszych pisarzy polskiej mniejszości narodowej w Republice Czeskiej, jest niezauważany przez krytykę literacką głównie ze względu na fakt, że dzieło jego powstaje w języku ojczystym - języku polskim. A niektórzy krytykanci nie potrafią notabene nawet prawidłowo wymówić jego nazwiska. Stan ten można naprawić poprzez wydawanie tłumaczeń dzieł W. Przeczka, autora trzydziestu publikacji książkowych w języku polskim. (...) Przekład tomiku „Księga urodzaju" jest specyficznym świadectwem artystycznego dojrzewania Przeczka, które mimo upływu czasu nic nie straciło na swej aktualności. Można go również odczytać jako dowód coraz większego i systematyczniejszego uczestnictwa tego autora w czeskim życiu kulturalnym i literackim.*

Syntezą poezji dwóch narodów nazwał twórczość Wilhelma Przeczka warszawski krytyk literacki Wojciech Natanson. Krakowski krytyk Jan Tulik napisał m.in., że *poezja Wilhelma Przeczka to przede wszystkim subtelne rysunki pejzażu, pod którymi kryje się cień idei, cień posłannictwa. Poetyckie wyciszenie sprawia, że wiele utworów może być właściwie i do końca odczytanych chyba tylko przez bardzo wrażliwych na przyrodę, na jej muzyczność.* Wrocławski krytyk Jarosław Lipowski ocenił zdolność poety do rozumienia filozofii przyrody, *świat wiersza* W. Przeczka - stwierdził - *jest reliktem czasów minionych lub mijających, odchodzi niszczony przez przemiany kultury jak również industrializacji.*

Ivo Harák na łamach pisma Nové knihy porównał poezję Przeczka *do krajobrazu, w którym się autor urodził i żyje, gdzie ponad rozdartą ziemią sterczą wieże kopalń, dymy elektrowni i pieców hutniczych wznoszą się ku niebu, są tam również Beskidy, w których na poletkach rodzi się więcej kamieni niż zboża.* Według Ladislava Muški *poetycki urodzaj Wilhelma Przeczka posiada nadzwyczaj dojrzałe owoce*, a w czeskim wydaniu „Księgi urodzaju" metoda twórcza poety dokonała *kolejnego rozwoju znaczeniowego.*

opr. C.R.



Kościół farny w Nowogródku, rys. BRONISŁAW FIRLA

ŚLADAMI ORZESZKOWEJ I MICKIEWICZA

Na Białorusi odbył się w dniach 8-15 lipca 2001 kolejny niestacjonarny plener artystyczny pod hasłem Misja Polonijna - Grodno 2001. Zorganizowany został przez Beatę Godek z Biura Współpracy Kulturalnej i Artystycznej z Polonią Świata ADSUM w Bielsku pod patronatem konsula generalnego RP w Brześciu Tadeusza Klimańskiego. Wśród ponad 20 uczestników z Polski, Czech, Niemiec, Rosji i Białorusi znaleźli się m.in. plastycy Bronisław Firla, Beata Godek, Witold Kołban, Genowefa Konieczna, Aurelia Rudyk, Waldemar Rudyk, Elżbieta Szołomiak i miejscowy Ryszard Dalkiewicz, który z wielkim zaangażowaniem pełnił funkcję komisarza pleneru, oraz dziennikarz Lech Marek z Białegostoku jako rzecznik prasowy.

Malownicze Grodno nad Niemnem, ze swymi Zamkami Górnym i Dolnym, piękna barokowa rzymskokatolicka katedra pod wezwaniem św. Stanisława, urzekająca cerkiew prawosławna, pełne uroku zaułki klasztoru św.

Brygidy, stare dzielnice żydowskie, jak również „Luterska Kircha" narzucały tematy, które aż się prosiły, by utrwalić je w szkicowniku lub fotograficznej pamięci. Ze wzruszeniem zwiedzano dom-muzeum Elizy Orzeszkowej, zatrzymując się z zadumą w jej pracowni z autentycznym biurkiem, gdzie powstała powieść „Nad Niemnem". Serca zabiły mocniej podczas zwiedzania Polskiej Średniej Szkoły na obrzeżu miasta, pięknie zlokalizowanej w sąsiedztwie nowo wznoszonego majestatycznego kościoła. Trzeba być i widzieć, żeby ocenić wkład Wspólnoty Polskiej i społeczeństw polskich z zagranicy. W jasnym atrium-holu podziwiano znakomite akwarele niedawno zmarłego przyjaciela Ryszarda, a amfiteatralną aulę na pewno mogą pozazdrościć szkoły białoruskie.

Właśnie o patriotyzmie, o sytuacji Polaków na Białorusi z werwą i sercem, lecz rzeczowo i bez egzaltacji referował prezes Związku Polaków na Białorusi Tadeusz Kruczkowski. Przybliżył tło historyczne i genezę powstania Rusi Białej (wszak na Ukrainie istnieje Ruś Czerwona) na dawnych terenach Wielkiego Księstwa Litewskiego. Nieszczęśliwy wg prelegenta we współczesnym świecie stereotyp Polak-katolik, Białorusin-prawosławny i Niemiec-ewangelik wprowadzają zamęt w świadomości narodowej wszystkich obywateli tego młodego państwa.

Tu mała dygresja. Zwiedzając cerkiew w Baranowiczach, grupa nasza przeżegnała się po prawosławnemu. Okazało się, że nieprawidłowo. Pouczyła nas kobiecina dość agresywnie, mówiąc: *wy katoliki* - bowiem, żegnając się, trzeba łączyć trzy palce, które symbolizują Trójcę Świętą - *wy Poliaki, wy na naszego Łukaszenkę mówicie dyktator, a to nasz Batiuszka, chleb w sklepie jest, masło jest, a cerkwie pełne, jaki on dyktator?* Pomyśleliśmy - a taniej wódki też w bród.

Potrzebna jest - stwierdził prezes - *zmiana sytuacji prawnej Polaków na Wschodzie. Trzeba pamiętać, że my nie opuściliśmy Polski, to ona nas zostawiła. Wprowadzenie Karty Polaka zmieniłoby sytuację i atrakcyjność polskości na tych ziemiach. Byłe europejskie republiki sowieckie dążą do Europy, jej standardów kulturowych, politycznych. Polska podtrzymuje te działania, co widać na przykładzie Litwy i Ukrainy. O nowych warunkach politycznych marzył w latach 1918-1921 Józef Piłsudski, pragnąc stworzyć odrodzoną federację narodów byłej Rzeczypospolitej. Dziś polska mniejszość jest sojusznikiem młodego państwa, a Białorusini powinni zrozumieć, że Polacy nie stanowią zagrożenia asymilacyjnego dla Białorusinów, że trwanie przy tym stereotypie jest korzystne dla wielomocarstwowej polityki Rosji. Białorusini są niemal zrusyfikowani i de facto łatwo bez oporu mogą być włączeni do Rosji. Polska dla Białorusi jest drogą do Europy i ułatwić ją mogą poprawne stosunki władz i społeczeństwa białoruskie-*

go z Polską mniejszością narodową na Białorusi. Racja stanu powinna być skierowana w stronę demokratyzacji kraju i prozachodniego kierunku polityki. Bez tej orientacji Białoruś jest skazana na Rosję.

W czasie rejsu statkiem po Niemnie rozważano te ważkie słowa, tym bardziej, że, podziwiając dziewicze piękno niemeńskich nabrzeży, widzieliśmy zagospodarowane przystanie z urokliwymi zakątkami... po otwarciu się dla europejskich turystów. Widzieliśmy hotele i pensjonaty wtopione w bogatą zieleń tak, by nie popsuły tradycyjnego pejzażu. Niepowtarzalne było pożegnanie z Grodnem na urwistym brzegu Niemna uczczone ogniskiem i przyśpiewkami, gdzie prócz „Hej, Sokoły" Zaolziacy zauroczyli obecnych pieśnią „Płyniesz Olzo". Wszak losy obu mniejszości poza granicami Ojczyzny są podobne. Różnica polega na tym, że Zaolzie ma wszystkie europejskie wymogi demokracji, a Polaków ubywa, Grodzieńszczyzna natomiast jest bardzo biedna, przez dziesiątki lat nie było tu polskich szkół, a Polaków przybywa (szacunkowo ponad pół miliona, łącznie z tymi, co podają polskie pochodzenie).

Kiedy się jedzie szosą w stronę Wilna czy Mińska, można się zachwycać urodzajnymi łanami zbóż albo oddychać świeżością olbrzymich połaci lasów. Ten, kto kocha przestrzeń, która hen daleko na horyzoncie styka się z jasnością zachodzącego słońca, a nad którą kotłują się szare kłębiaste chmury, powinien pojechać na Białoruś.

A na pustkowiu ludowy w drewnie ciosany chłop-drogowskaz kieruje przybysza do Niemnowa. Stąd ponoć wywodzi się Czesław Niemen. To tu nad Niemnem siadywała Eliza Orzeszkowa, stąd wykrzesała bohatera słynnej romantycznej powieści. Rozmawiają plastycy z potomkami Bohatyrowiczów, zresztą serdecznie przyjmowani u jednych słoniną, grubą na cztery palce, z ciemnym chlebem, u drugich pokrojonymi plastrami miodu - a jakże - zapijanymi nie tylko wodą. Serdeczność i otwartość. Śpiewna piękna polszczyzna. Tuż niedaleko Kanał Augustowski, mimo zaniedbania przepiękny, ale marzy się, by znów był spławny. Może kiedyś, gdy dotrze tu Europa?

Wreszcie w poszukiwaniu śladów wieszcza, który, jak mówią tutejsi, jest nasz i wasz, ale też litewski, docieramy do Nowogródka. Niedaleko kościoła farnego, gdzie ochrzczono Adama, kurczą się wzdłuż drogi domostwa, chatki, chyba pamiętające czasy, gdzie w czasach szkolnych hasał młody Mickiewicz. Mieszkał tu przez dziesięć lat. Miasto, jego historia stanowiły później istotne źródło inspiracji. Był on świadkiem radosnego powitania armii Napoleona, w której walczyli Polacy także z Kresów Wschodnich. Dworek Mickiewiczów, niszczony pożarami i zawieruchami wojennymi, odbudowany w 1990 roku przez Budimex, służy obecnie znów jako muzeum.

Ciągle kotłują się w głowie myśli: On jest Nasz i Wasz. Ma tu dwa pomniki, jeden autora W. Januszkiewicza, odsłonięty w 1922 roku. Myślę, że jest uniwersalny. A może to już globalizacja?

Teraz szybko naszym minibusem nad Świteź. Kiedy w orłowskim gimnazjum (im. Juliusza Słowackiego - sic!) chłonąłem obowiązkową lekturę, to jezioro wyobrażałem sobie jako większy ponury staw okolony borem, w którym straszą Świtezianki. Nic podobnego. Przyjemnie rozczarowany i urzeczony jak inni plenerowicze srebrzystą taflą, która ciągnie się daleko wzdłuż i wszerz, okolona lasami i zielenią, nieskażoną ręką cywilizacji. Wszyscy jak najprędzej pragnęli się zanurzyć i popływać w cieplutkiej przejrzystej wodzie i dotknąć piaszczystego dna, po którym stąpał kiedyś poeta. Daremnie szukali Świtezianki i dobrze... bo jeszcze wciągnęłaby kogoś na dno, zanim zdążyłby utrwalić impresje niepowtarzalnego pejzażu. Natchnienie przychodzi przez serce, a rozum utrwala w pamięci, a potem przelewa na materialny skrawek papieru czy płótna.

Mijając rodzinne Zaosie wieszcza, minibus Misji Polonijnej - Grodno 2001 dotarł do ostatniej przystani, do Polskiego Domu Związku Polaków w Baranowiczach. Trzeba przy tym wspomnieć, że wzorem Zaolzia powstało takich domów na Białorusi kilkanaście. Znajdują się w nich szkoły niedzielne, biblioteki. Liczący niewiele ponad 20 tys. członków ZPB urządza festiwale piosenki polskiej, również dziecięcej i harcerskiej, konferencje naukowe, olimpiady literatury i języka polskiego, obchody świąt religijnych i narodowych, a także dba o zabytki i miejsca pamięci narodowej. Przeżyliśmy m.in. wzruszającą chwilę pod krzyżem na mogile poległych w powstaniu styczniowym.

W Domu ZPB przybyszy serdecznie goszczono. O słowo wiążące o powstaniu Domu, historii okolicy, o szkole postarały się: prezes oddziału ZPB w Baranowiczach Teresa Sieliwończyk oraz Halina Sędziwąs, dyrektor DP, która mile wspominała chwile spędzone na Zaolziu.

Uczestnicy pleneru wyrazili serdeczną wdzięczność pod adresem organizatorów, którzy ze znawstwem i prawdziwą troską zaznajamiali z pięknem krajobrazu, ciekawymi ludźmi. Przede wszystkim wszyscy razem stworzyli prawdziwą rodzinną atmosferę. Cieszy i taka „drobnostka" jak bezbolesne, dzięki przychylności konsula generalnego RP, tylko dwadzieścia minut trwające przejście granicy Brześć - Terespol przez osiem(!) szlabanów.

Teraz już tylko wszystko przetrawić i przetopić przeżycia w konkretną, indywidualną, pełną fantazji twórczość. Wystawa poplenerowa ma się odbyć w październiku na terenach Białorusi i innych krajów WNP.

BRONISŁAW FIRLA



JUBILEUSZ KARWIŃSKIEJ ŚREDNIEJ SZKOŁY ZDROWOTNEJ

W roku bieżącym obchodzi jubileusz pięćdziesięciolecia istnienia Średnia Szkoła Zdrowotna w Karwinie. Po drugiej wojnie światowej jesienią 1945 roku otwarto w Orłowej dwuletnią publiczną szkołę zawodów dla kobiet. 1 września 1949 roku stała się czteroletnią wyższą szkołą socjalno-zdrowotną, powstała tu także polska klasa. Początek ukierunkowania szkoły na kształcenie w zawodzie pielęgniarskim nastąpił po kolejnej reorganizacji, kiedy 1 września 1951 roku szkołę przekształcono w trzyletnią wyższą szkołę zdrowotną. I ta data uwzględniona została jako data powstania szkoły, która w tym roku obchodzi pięćdziesiąt lat.

Pierwszą dyrektor Wyższej Szkoły Zdrowotnej w Orłowej została Ludmila Sekaninowa. Na jej barkach spoczywało zmaganie się z początkowymi problemami i niezrozumieniem sensu istnienia tego typu szkoły ze strony uczniów, rodziców, ludzi z branży zdrowotnej i całego społeczeństwa. Prowadziła szkołę aż do swej emerytury w roku 1972. Jej współpracownicy i wychowankowie pod-

kreślają troskę, jaką otaczała polskie klasy, dbanie o to, by nie zabrakło dla nich polskich wychowawców. Dziewięćdziesięcioletnia dziś pani dyrektor wspomina: *Ten typ szkół był instytucją nową, do której społeczeństwo - rodzice i młodzież - musiało się przyzwyczaić. Szkoła w Orłowej kształciła na kierunku ogólnym pielęgniarka. Jej osobliwością było to, że miała także klasy z polskim językiem nauczania dla kandydatek z powiatu Karwina, Czeski Cieszyn, Frydek Mistek, Trzyniec.*

W lipcu 1953 roku wyższe szkoły zdrowotne przejęło od Ministerstwa Szkolnictwa Ministerstwo Zdrowia, powrót nastąpił dopiero w listopadzie 1996 roku. Rok szkolny 1957/58 to pierwszy rok czteroletniej nauki w szkole zdrowotnej. W roku 1960 weszła w życie nowa ustawa o szkolnictwie, na podstawie której szkoła zmieniła nazwę, stała się średnią szkołą zdrowotną, należącą do grupy średnich szkół zawodowych drugiego stopnia.

Początki orłowskiej szkoły zdrowotnej to dwie pierwsze i dwie drugie klasy, z których jedna była klasą czeską, a jedna polską. Po kilku latach doszło do stabilizacji liczby uczniów, szkoła liczyła osiem klas, w czterech z nich naukę prowadzono w języku polskim.

Działalność górnicza pod miastem nie pozostała bez ujemnego wpływu na budynek szkoły. W roku 1973 doszło do przeprowadzki szkoły do obiektu zastępczego w Karwinie Kopalniach. Jednocześnie rozpoczęto budowę nowego gmachu na ul. K. H. Borovskiego w Karwinie Mizerowie. Inauguracja nowego roku szkolnego 1 września 1976 roku odbyła się już w nowym budynku. Dyrektorem szkoły był w tym czasie Jaroslav Boršoš.

W latach 1974-78 nie było w karwińskiej szkole zdrowotnej absolwentów klas polskich, klasy z polskim językiem nauczania znajdowały się w tym czasie w istniejącej od roku 1953 szkole zdrowotnej w Czeskim Cieszynie. W roku 1977 doszło na mocy decyzji Okręgowej Rady Narodowej w Ostrawie, której wydział zdrowia kierował w tym czasie szkołami zdrowotnymi, do likwidacji szkoły zdrowotnej w Czeskim Cieszynie i stopniowo wszystkie klasy przeniesiono do szkoły karwińskiej. W powiecie karwińskim istniała od tej pory jedna Średnia Szkoła Zdrowotna, która kształciła młodych ludzi w zakresie pielęgniarstwa ogólnego w klasach czeskich i polskich. W roku 1978 poszerzono ilość klas, klasy A i B były klasami czeskimi, klasa C klasą polską. Przez krótki okres wprowadzono też specjalizację pielęgniarka dziecięca.

Po dziesięcioletnim okresie dyrekcji Jaroslava Boršoša od roku 1982 przez cztery lata kierował szkołą Emanuel David, a przez następne cztery lata Marta

Dziechciarkowa. W roku 1990 dyrektorem został Piotr Żabiński. Obecna dyrektor Marcela Hluštíkowa piastuje to stanowisko od roku 1998.

W latach dziewięćdziesiątych przeprowadzono remont szkoły, powstała pracownia komputerowa do nauki informatyki i języków obcych. Stopniowo poszerzano sieć klasopracowni wyposażonych w telewizory i wideo, szkoła posiada 650 nagrań wideo. Zmodernizowano cztery specjalistyczne sale do opieki nad chorymi, pracownię psychologii, niektóre gabinety, biura, dyrekcję. Powstała biblioteka i czytelnia. Wydzielono strefy nauki i strefy odpoczynku. Obok jadalni powstał bufet, ogród szkolny zamieniono w areał sportowy.

W latach dziewięćdziesiątych otwarto w ŚSzZ także studium pomaturalne i zaoczne kształcące pielęgniarki lub ratowników. W chwili obecnej, jak wynika z danych zawartych w biuletynie wydanym z okazji jubileuszu pięćdziesięciolecia szkoły, w Średniej Szkole Zdrowotnej w Karwinie uczy się zawodu pielęgniarki w dwunastu klasach 320 uczniów, z tego 10 chłopców.

Rok szkolny 2000/2001 był ostatnim, w którym maturę zdawało dwadzieścia uczennic pełnej polskiej klasy. Młodsze klasy C to klasy mieszane, gdzie połowę stanowią uczniowie polscy, a połowę czescy. 13-15 kandydatów to zbyt mało, by mogła powstać pełna polska klasa. *Życie uczennic i uczniów z polskich klas* - pisze w biuletynie jubileuszowym Halina Pawera, nauczycielka języka polskiego - *skupia się wokół biblioteki i klasy-pracowni języka polskiego. Tu mają do dyspozycji nie tylko lekturę obowiązkową, ale również ciekawe pozycje polskiej i światowej literatury oraz aktualne czasopisma.* Ale lata w szkole to nie tylko nauka, ale również udział w konkursach szkolnych i pozaszkolnych, a ponadto praca społeczna, np. w zespołach śpiewaczych czy tanecznych na terenie całego Zaolzia. Najzdolniejsze absolwentki szkoły kontynuują naukę w szkołach wyższych w RC i w Polsce. *Nie należy więc* - kończy Halina Pawera - *czteroletni pobyt studentów w karwińskiej szkole zdrowotnej do łatwych, bo opanowanie tajników zawodu i aktywna praca społeczna wymaga wiele wysiłku i poświęcenia.*

Średnia Szkoła Zdrowotna w Karwinie przygotowuje się do swojego jubileuszu. Uroczystości przebiegać będą 19 i 20 października. W piątek 19 października o godzinie 14.00 odbędzie się uroczysta akademia, o godzinie 18.00 spotkanie towarzyskie. W sobotę 20 października spotkają się w szkole absolwenci, będzie to zarazem dzień otwartych drzwi szkoły dla wszystkich, którzy będą chcieli bliżej ją poznać. Organizatorzy serdecznie zapraszają.

CZESŁAWA RUDNIK

PODRĘCZNIK ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO

Macierz Ziemi Cieszyńskiej jest wydawcą publikacji zbiorowej „Śląsk Cieszyński", jaka ukazała się w tym roku w Cieszynie. Ten podstawowy almanach wiedzy o Ziemi Cieszyńskiej, jak nazwał książkę Władysław Sosna, który przygotował całość do druku, składa się z trzech części, wydanych wcześniej osobno jako kolejne tomy z serii Edukacji Regionalnej: „Geografia i przyroda", „Zarys dziejów" i „Zarys kultury materialnej i duchowej". Leon Miękina wyjaśnia we wprowadzeniu zatytułowanym „Początek drogi", że stanowią one pokłosie cyklu seminariów nazwanego „Edukacja regionalna dzieci i młodzieży oraz nauczycieli na Śląsku Cieszyńskim". Część pierwsza książki, która nosi tytuł „Środowisko naturalne", została w znacznym stopniu zmieniona i uzupełniona w stosunku do poprzedniego samodzielnie wydanego tomiku, natomiast część druga „Zarys dziejów" i trzecia „Zarys kultury materialnej i duchowej" uległy tylko drobnym przeróbkom. Publikacja traktuje Śląsk Cieszyński po polskiej i czeskiej stronie granicy jako jedną całość, stąd znalazło się w niej wiele akcentów zaolziańskich.

Część pierwsza „Środowisko naturalne" składa się z czterech merytorycznych rozdziałów. Henryk Mróz omawia „Środowisko geograficzne polskiego Śląska Cieszyńskiego", czyli położenie i granice, budowę geologiczną, ukształtowanie powierzchni, klimat, sieć wodną i gleby, Aleksander Dorda „Środowisko przyrodnicze Śląska Cieszyńskiego na prawym brzegu Olzy i jego ochronę", przede wszystkim szatę roślinną i świat zwierzęcy, walory przyrodnicze oraz obszary i obiekty podlegające ochronie prawnej. Tadeusz Siwek przedstawia „Zarys geografii i przyrody czeskiego Śląska Cieszyńskiego", obejmujący położenie, podłoże geologiczne, surowce mineralne, powierzchnię, klimat, wody, gleby, roślinność oraz ochronę przyrody z charakterystyką rezerwatów przyrodniczych. Część pierwszą kończy rozdział „Walory krajoznawcze Śląska Cieszyńskiego w świetle wydawnictw turystycznych", który napisał Władysław Sosna.

„Zarys dziejów" to część druga publikacji, która opisuje historię Śląska Cieszyńskiego chronologicznie od czasów najstarszych po współczesność. Znalazły się tu następujące przyczynki: „Najstarsze dzieje Śląska Cieszyń-

skiego (od paleolitu do średniowiecza)" Bogusława Chorążego i Wiesława Kusia, „Ziemia Cieszyńska w czasach piastowskich (X-XVII wiek)" Idziego Panica, „Śląsk Cieszyński pod rządami Habsburgów (1653-1848)" Janusza Spyry, „Od wspólnoty etnicznej do ukształtowania się wspólnot narodowych (1840-1917)" Edwarda Buławy i „Dzieje Śląska Cieszyńskiego po 1918 roku" Krzysztofa Nowaka.

Najobszerniejsza i najbardziej pod względem treści zróżnicowana jest trzecia część publikacji „Zarys kultury materialnej i duchowej". Pierwszy z autorów Karol Daniel Kadłubiec zajmuje się „Kulturą ludową". Wyjaśnia znaczenie tradycji rozumianej jako odziedziczone po przodkach wartości, przede wszystkim kulturowe. Dzieli kulturę ludową na materialną (budownictwo, rolnictwo, rzemiosło, ubiór itp.), społeczną (zagadnienia życia rodzinnego, społecznego) i duchową, nazywaną też folklorem (przekazywaną słowem i bezpośrednio z tym słowem związaną, obejmującą opowiadania, pieśni, tańce, muzykę, przysłowia, obrzędy i zwyczaje); zwyczaje i sztuka ludowa (malarstwo, rzeźba, koronkarstwo itp.) łączą te trzy składniki kultury ludowej. Witold Iwanek pisze o „Kulturze artystycznej Śląska Cieszyńskiego" - zabytkach architektury, rzemiosła artystycznego, sztuk plastycznych, reprezentujących różne style i okresy historyczne. „Zarys dziejów kultury duchowej Śląska Cieszyńskiego (do 1918 r.)" Janusza Spyry obejmuje zagadnienia mecenatu kultury oraz twórców kultury i ich dzieła. Leon Miękina zajmuje się „Polską twórczością literacką po 1918 roku", Jolanta Bauman-Szulakowska przedstawia „Zarys dziejów życia muzycznego na Śląsku Cieszyńskim". O rozwoju turystyki, towarzystwach turystycznych, schroniskach polskich w Beskidach pisze Władysław Sosna w rozdziale „Wokół polskiej turystyki na Śląsku Cieszyńskim". Tadeusz Kania w przyczynku „Baza oświatowa i infrastruktura kulturalna Śląska Cieszyńskiego" mówi przede wszystkim o Cieszynie i wybranych dziedzinach życia kulturalnego po roku 1918. Publikację kończy niewielki rozdział Stefana Króla „Polskie stowarzyszenia, organizacje kulturalne i oświatowe Śląska Cieszyńskiego (od połowy XIX stulecia)".

Tekst niniejszy miał być tylko anonsem, wydawałoby się, bardzo potrzebnej i pożytecznej książki. Większość autorów rzeczywiście potraktowała ją poważnie i starannie wywiązała się ze swych zadań. Różnorodność tematyczna wymagałaby zresztą dla każdego z jej rozdziałów osobnego recenzenta. Po przejrzeniu jej trzeba jednak raczej przestrzec czytelnika, by do niektórych danych w niej zawartych podchodził bardzo ostrożnie i sprawdzał je również w innych źródłach, co ułatwia bibliografia na końcu poszczególnych materiałów. W książce niejeden raz pada nazwa miesięcznika Zwrot, co

cieszy. Niestety jednak informacja na temat naszego pisma przy okazji omawiania „Polskiej twórczości literackiej po 1918 roku" (s. 307) może posłużyć jako przykład nieścisłości, pomyłki faktograficznej. Autor korzystał z „Leksykonu PZKO", jednakże podane przez niego informacje o wydawcy dotyczą Głosu Ludu, a nie Zwrotu. Rażące są w tym rozdziale liczniejsze takie błędy, mówiące o naszej zaolziańskiej rzeczywistości, np. przypisywanie pisarzowi książek napisanych przez kogoś innego, faktów z biografii innych osób, danych nieaktualnych. Niektórzy autorzy z Polski, niezbyt dobrze znający i rozumiejący nasze zaolziańskie realia, popełniają pomyłki, a zdarza się, że, traktując z konieczności temat powierzchownie i wybiórczo, podają fakty nienajważniejsze.

Mimo wszystko należy polecić tę publikację, a przemawia za tym fakt, że stanowi pewne kompendium wiedzy o Śląsku Cieszyńskim jako całości i zmniejsza na półce bibliotecznej lukę pod hasłem: nasz region.

CZESŁAWA RUDNIK

KSIĄŻKA O TOŻSAMOŚCI CIESZYNIAKÓW

Wydana w roku bieżącym w Czeskim Cieszynie i Cieszynie „Cieszyńska ojczyzna polszczyzna" jest książką dwu autorów. Karol Daniel Kadłubiec napisał część pierwszą zatytułowaną „Z dziejów cieszyńskiej ojczyzny polszczyzny". Chodzi o poszerzoną wersję wydanej w Katowicach w 1994 roku pracy tego autora „Cieszyńsko-zaolziańska polszczyzna". Autorem części drugiej nazwanej „Staropolszczyzna w cieszyńskich nazwach osobowych" jest Władysław Milerski. Autor nawiązał do swej wcześniejszej, wydanej w Warszawie w 1996 roku, publikacji „Nazwiska cieszyńskie".

Historię używanego na Śląsku Cieszyńskim języka polskiego i gwary cieszyńskiej, ujętą w kontekście wydarzeń historycznych determinujących różniące się od mowy ludu języki oficjalne, urzędowe, zawiera pierwsza część książki. Karol Daniel Kadłubiec wprowadza czytelnika w temat, kreśląc w największym skrócie losy polityczne od powstania Ziemi Cieszyńskiej jako jednostki administracyjnej aż do czasów współczesnych. Charakteryzuje języki, które dominowały w urzędach, od łaciny po cieszący się zmienną popularnością język czeski i niemiecki. Zajmuje się dokumentami, począwszy od rachunku ślusarza frysztackiego z roku 1589 i urbarza „państwa" frysztackiego z roku 1571, które zawierają wyrażenia czy fragmenty pisane ówczesną polsz-

czyzną lub całe pisane są w tym języku. Na licznych przykładach udowadnia staropolskie korzenie mowy ludu Śląska Cieszyńskiego. Wiele miejsca poświęca współczesnemu językowi Zaolzia.

Nazewnictwo osobowe, będące w swym prawie niezmiennym przez wieki kształcie dowodem staropolskiego rodowodu mowy Cieszyniaków, wziął na warsztat w drugiej części książki Władysław Milerski. Opracowanie - słownik historyczno- etymologiczny cieszyńskich nazw osobowych - zawiera 4320 haseł. *Jak już z samego tytułu opracowania wynika* - pisze autor we wstępie - *nie zajmujemy się tu samymi tylko nazwiskami, które w dzisiejszym znaczeniu są używane dopiero od końca XVIII wieku, ale wszelkimi nazwami osobowymi, a więc mianami, imionami, ich skróceniami i spieszczeniami, formami odojcowskimi i nazwami przezwiskowymi, utworzonymi od staropolskich wyrazów pospolitych oraz od nazwań zawodów i wykonywanych funkcji społecznych.*

Za *przedsięwzięcie naukowe niezwykle ważne poznawczo zarówno dla całej kultury polskiej, jak i regionu cieszyńskiego, szczególnie zaś Zaolzia,* uznał „Cieszyńską ojczyznę polszczyznę" jej recenzent prof. dr hab. Jan Miodek. *Jest to więc książka* - napisał o niej we wprowadzeniu Daniel Kadłubiec - *o tożsamości Cieszyniaków, język bowiem należy do jej podstawowych wyznaczników. Globalizujący się świat wyzwala coraz to silniejsze dążenia do poznawania własnych korzeni, własnego rodowodu; człowiek nie chce być nijaki, chce mieć własną, indywidualną twarz. Podobnie jest z ziemią. Książka, którą przedkładamy Szanownym Czytelnikom, powinna to w jakiejś mierze również umożliwić.*

C.R.

LITERÁRNÍ NOVINY O ZWROCIE

W rubryce nazwanej „Czytelnik czasopism" pióra Václava Buriana w numerze 31 pisma Literární noviny z dnia 1 sierpnia br. znalazła się następująca notatka:

Zwrot 7/2001 - Miesięcznik polskiej mniejszości, ukazujący się w Czeskim Cieszynie, potrafi niejednokrotnie zainteresować także czeskiego czytelnika. Tym razem na przykład przeglądowym, bogatym w fakty artykułem Libora Martinka „Przekłady i echa twórczości Wisławy Szymborskiej w Czechosłowacji i w Republice Czeskiej". Rozprawa nie mogła wybrzmieć inaczej niż jako uhonorowanie tłumaczki Vlasty Dvořáčkowej, która zajmuje się polską poetką od końca lat pięćdziesiątych. Szymborska to docenia - zaprosiła przecież swoją czeską tłumaczkę pod koniec 1996 roku do Sztokholmu, gdy przyjmowała tam Nagrodę Nobla.

WIELKI PIKNIK ARTYSTYCZNY ŚWIĘTO ŚLĄSKA

W ostatni weekend czerwca Zespół Pieśni i Tańca Śląsk im. Stanisława Hadyny już po raz trzeci urządził w swojej siedzibie wielki plenerowy piknik artystyczny pod nazwą Święto Śląska. Impreza organizowana jest przy współpracy z władzami gminy Koszęcin. Były to dwa dni znakomitej zabawy na błoniach koszęcińskiego zamku, gdzie zjechały olbrzymie tłumy widzów z całego Śląska - i nie tylko.

Na wielkiej scenie i w jej otoczeniu w obrębie kompleksu pałacowo-parkowego zaprezentowała się najpierw Gminna Orkiestra Dęta z Koszęcina. Dla widowni dziecięcej przygotowany został program Zaczarowany świat cyrku oraz występy dziecięcych zespołów folklorystycznych z Ujsoł oraz świetnej ustrońskiej Równicy (Równica 10 listopada wystąpi w Miejskim Domu Kultury w Karwinie Nowym Mieście). Słynne przeboje grupy Abba zaśpiewał Zespół Waterloo.

Była to również okazja do porównania sposobu wykonania na przykład utworu „Dancing Quinn" przez Waterloo i Zespół Śląsk. W części bowiem wieczornej na scenie pojawił się Śląsk ze swoimi gośćmi - Katarzyną Gaertner i jej Bandem. Wspólnie wykonali parę piosenek. Burzę oklasków wywołał program ZPiT Śląsk, który ponownie potwierdził wysoką klasę wykonawstwa artystycznego. Sobotni dzień zakończył występ Tercetu Egzotycznego oraz specjalnie przygotowane widowisko światła i dźwięku pt. „Noc Sobótkowa".

W niedzielę 1 lipca odbyło się w dyrekcji posiedzenie Rady Artystycznej Śląska pod przewodnictwem prof. Daniela Kadłubca. Zastanawiano się m.in. nad wzbogaceniem repertuaru Śląska o folklor różnych regionów Śląska, np. pszczyńskiego, rybnickiego, cieszyńskiego, opolskiego i innych. Z okazji 50-lecia istnienia Śląska w roku 2003 wydanych zostanie 10 płyt kompaktowych, ilustrujących dotychczasowy dorobek zespołu. Warto dodać, iż w dniach 13 i 14 października br. zostaną zorganizowane w Cieszynie i Wiśle Dni Stanisława Hadyny (seminarium naukowe i konkurs śląskich pieśni ludowych).

Program artystyczny zagaiła Reprezentacyjna Orkiestra Miejska z Tarnowskich Gór. A potem był program z piosenkami dla dzieci w wykonaniu Anny Drabek, przeboje zespołu Quinn, śląski program kabaretowy i hity Boney M. Odbył się też otwarty konkurs śpiewania piosenek z repertuaru Zespołu Śląsk, do którego zgłosiło się wielu wykonawców - dzieci, młodzież i nawet dorośli.

Były też liczne atrakcje kulinarne, szczególnie atrakcje kuchni regionalnej, oraz bogata oferta edukacyjna, przybliżająca historię Ziemi Koszęcińskiej, przypominająca również o dawnych jej obyczajach.

A może w przyszłym roku - w ostatni weekend czerwca - wybiorą się do Koszęcina na ten wielki piknik artystyczny również Zaolziacy? Warto już teraz o tym pomyśleć. Na pewno byłaby to wspaniała i ciekawa wycieczka.

JÓZEF WIERZGOŃ

SPOTKANIE MŁODYCH MUZYKÓW EUROPY EUROORKIESTRA 2001

Tydzień przed rozpoczęciem XVI Krajowego Zjazdu Polskiego Związku Chórów i Orkiestr po raz dwunasty spotkali się w dniach 5-12 sierpnia br. w Świeradowie Zdroju w województwie wrocławskim (16 km od granicy czeskiej) młodzi muzycy z różnych krajów Europy w wieku 10-20 lat na Europejskich Spotkaniach Młodych Muzyków Euroorkiestra 2001.

Kilkudniowe warsztaty muzyczne połączone były z koncertami. Bardzo dobrze zaprezentowała się Młodzieżowa Orkiestra Kameralna Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia z Jeleniej Góry. Świetnie brzmiała w otwartej przestrzeni parku niemiecka orkiestra dęta. Oprócz orkiestr kameralnych wystąpiły zespoły muzyki dawnej i ludowej. W koncercie finałowym, który odbył się w przeddzień Krajowego Zjazdu PZChiO, na scenie wystąpiło około 130 młodych muzyków ze szkół muzycznych z Polski, Rosji i Niemiec pod batutą Stefana Strahla z Jeleniej Góry oraz dyrygenta niemieckiego.

Organizatorem tej pięknej imprezy muzycznej od lat jest Polski Związek Chórów i Orkiestr - Zarząd Główny w Warszawie, a pomysłodawcą i dyrektorem artystycznym Władysław Balicki, wybrany na sierpniowym Krajowym Zjeździe PZChiO nowym prezesem Związku.

KRAJOWY ZJAZD POLSKIEGO ZWIĄZKU CHÓRÓW I ORKIESTR NOWE WŁADZE ŚPIEWACZE

W dniach 13-14 sierpnia br. odbył się w Świeradowie Zdroju w województwie wrocławskim XVI Krajowy Sprawozdawczo-Wyborczy Zjazd Delegatów Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, który w tym roku obchodzi również 75-lecie swego istnienia. Delegatami na Zjazd byli również przedstawiciele Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego PZKO: prezes Jan Hławiczka, wiceprezes Józef Wierzgoń i kierownik artystyczny Leszek Kalina. Przypomnijmy, iż Zrzeszenie jest od roku 1991 samodzielnym Oddziałem Zagranicznym - Zaolziańskim PZChiO, jak również samodzielnym ósmym Oddziałem (polskim) Unii Chórów Czeskich z siedzibą w Pradze. Wśród gości Zjazdu obecni byli m.in. prezes Związku Muzyków RC Miloslav Zelenka oraz prezes Stowarzyszenia Orkiestr Dętych RC Petr Stříška.

Z 64 wybranych delegatów (1 delegat na 300 członków) uczestniczyło w obradach 54. W bogatej i pełnej troski o przyszłe losy śpiewactwa chóralnego dyskusji głos zabrali również delegaci ZŚM. Zjazd dodatnio ocenił działalność ZG PZChiO za ubiegłą czteroletnią kadencję. PZChiO zrzesza w chwili obecnej 897 zespołów, z tego 505



Prezydium Krajowego Zjazdu PZCHiO

chórów oraz 392 orkiestry, w których śpiewa i gra ogółem 22479 osób, z tego ponad 7000 młodzieży. Zespoły PZChiO urządziły w samym tylko 2000 roku 9975 imprez, z tego 743 za granicą, takich jak festiwale, konkursy, przeglądy i okolicznościowe koncerty.

Głównym wydarzeniem w życiu Związku była Europejska Konferencja Związków Chóralnych AGEC, na której po 12 latach zebrali się ponownie w Polsce przedstawiciele narodowych związków chóralnych, by dyskutować nad rozwojem amatorskiego ruchu muzycznego. Przyjęta została też uchwała dotycząca działalności Związku na dalszy okres do roku 2005. Zaproponowano m.in., żeby umożliwić utworzenie dalszych samodzielnych zagranicznych oddziałów PZChiO chórom ze Wschodu, np. Litwy, Ukrainy, Białorusi, które w ostatnich latach rosną nie tylko liczebnie, ale i artystycznie. Uchwała domaga się również przywrócenia lekcji wychowania muzycznego w szkołach podstawowych oraz wszystkich typach szkół średnich (zamiast wprowadzonego w nowych programach nauczania przedmiotu „sztuka"). Zjazd zobowiązał Zarząd Główny PZChiO do kontynuowania tak bardzo pożytecznej współpracy z europejskimi związkami śpiewaczymi i muzycznymi, krajowymi i regionalnymi, w tym również z Unią Chórów Czeskich w Pradze.

Wybrany został też nowy 15-osobowy Zarząd Główny PZChiO na czele z Władysła-

wem Balickim, dotychczasowym długoletnim dyrektorem artystycznym Związku. Pierwszym wiceprezesem został Rajmund Hanke, prezes Oddziału Śląskiego PZChiO w Katowicach. Warto dodać, iż właśnie z Oddziałem Śląskim PZChiO w Katowicach, dzięki inicjatywie i staraniom prezesa Rajmunda Hanke, Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne PZKO łączą od wielu lat serdeczne więzi przyjaźni oraz konkretne i bogate formy współpracy.

JÓZEF WIERZGOŃ

OD REDAKCJI: Po raz trzeci członkiem ZG PZChiO na dalszą czteroletnią kadencję (do r. 2005) został wiceprezes Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego PZKO i członek Prezydium Unii Chórów Czeskich w Pradze Józef Wierzgoń, który wspólnie z Rajmundem Hanke z Katowic otrzymał największą ilość głosów i który na Zjeździe ZG PZChiO udekorowany został najwyższym odznaczeniem związkowym - Odznaką Honorową Złotą z Wieńcem Laurowym. Wręczono mu również Dyplom Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP za wybitną działalność w społecznym ruchu muzycznym oraz list ZG PZChiO z podziękowaniem za dotychczasową, 8-letnią pracę w najwyższych polskich władzach śpiewaczych.

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Szanowna Redakcjo,

z uwagą i zainteresowaniem czytałem ostatni sierpniowy numer Zwrotu. Jako rodaka z Karwiny szczególnie zainteresował mnie artykuł pt. „Gdzie jesteś, Karwino", zawsze interesują mnie dzieje i losy tego już właściwie nieistniejącego miasta.

Drugim artykułem, który mnie osobiście zainteresował, był „Gustliczek", fragment książki Krystyny Kolińskiej „Parnas w oborach". Tam właśnie doczytałem się pewnych niepoprawnych informacji o swym ojcu Franciszku Kubience, które chciałbym sprostować. Otóż „kamrat" Gustawa Morcinka Franciszek Kubienka nie był górnikiem strzałowym na Gabrieli, lecz był maszynistą w kopalni Henryk. Był również sąsiadem pani Morcinkowej i jej syna Gustlika, jak można przekonać się o tym, czytając „Wyrąbany chodnik". Tam właśnie Gustlik mówi, że słyszy znów starego Kubienkę pieronować. Cytat nie jest dokładny, bo „Wyrąbany chodnik" czytałem przed sześćdziesięciu laty, a teraz już sam nie mogę sprawdzić, bo niestety już nie mam obu tomów tej książki z dedykacją autora.

W artykułach o Morcinku zawsze irytowało mnie, że wspominano tam tylko Żabków albo Granice, ale nigdzie nie doczytałem się, że jako kilkunastoletni chłopiec mieszkał na „Szóstym", przy ulicy prowadzącej do kopalni Henryk. Po II wojnie światowej ulica ta nosiła nazwę Smetanova, a przed I wojną światową, tzw. w okresie, kiedy mieszkał tam Gustaw Morcinek, to była Gałuszkowa kolonia.

KAROL KUBIENKA
Pardubice

NOSTALGICZNE WSPOMNIENIA Z LAT SZKOŁY PODSTAWOWEJ

Bywa zwyczajem, że po spotkaniu kolegów i koleżanek z lat szkolnych wspomina się miłych współuczniów - jak im się powodzi, czy zdrowie dopisuje i gdzie się obecnie znajdują. Jesienią 1998 dotarła do nas wiadomość, że mieszkający w Londynie kolega zamierza po wielu latach odwiedzić z żoną swoje strony rodzinne, by uczcić swój jubileusz. Wtedy powstała propozycja zorganizowania spotkania klasowego, by pogawędzić z tymi, którzy po wojnie (po 1945 roku) nie wrócili do Trzyńca, lecz pozostali za granicami naszej ojczyzny.

Chodziło o rocznik szkolny 1935-1936 drugiej klasy A, B, C szkoły wydziałowej w Trzyńcu I, na ulicy Dworcowej, liczącej w każdej klasie około czterdziestu uczniów lub uczennic. Ponieważ nasz londyńczyk Paweł Białożyt był znaną osobistością, a mianowicie był reprezentantem KS Siły Trzyniec w piłce nożnej, grającym w obronie, termin spotkania dostosowano do jego terminu pobytu w Oldrzychowicach - 16 czerwca 1999 roku.

Podczas żmudnego sprawdzania stwierdzono, że żyje jeszcze około 28 koleżanek i 17 kolegów, z tego, oprócz Pawła Białożyta, koleżanka Władysława Maryniok-Cieślarowa w Wiśle i koleżanka Helena Myrdacz-Lisztwanowa z kolegą Janem Chodurą w Ustroniu.

Obecnych na spotkaniu było tylko 21 koleżanek i 11 kolegów oraz ich żony lub mężowie. Na ogólne życzenie, korzystając z życzliwości p. Haliny Nogowej (nazwisko panieńskie Kubisz), sporządzono pamiątkowe zdjęcia przy Domu PZKO w Dolnej Lesznej, gdzie odbyło się spotkanie.

Postanowiono spotykać się co roku, lecz nie udało się postanowienia wypełnić, bowiem organizatorów jest za mało i nie zawsze dopisuje im zdrowie. Z wyżej wymienionych powodów następne spotkanie miało miejsce dnia 14 czerwca 2001 roku.

Korzystając z uprzejmości dyrektora Szkoły Podstawowej z Polskim Językiem Nauczania w Trzyńcu przy ulicy Dworcowej 10 p. mgr. Tadeusza Szkucika, udało się właśnie w dawnym budynku szkoły wydziałowej urządzić drugie spotkanie.

Na zagajenie p. dyrektor przywitał absolwentów rocznika 1937-38 oraz podał do wiadomości obecny stan poszczególnych klas, co bardzo zdziwiło obecnych, którzy stwierdzili, że dużo roczników ma tylko jedną klasę.

Następnie zostaliśmy zaproszeni do zwiedzenia szkoły. W naszych przedwojennych klasach mieściła się jadalnia i kuchnia szkolna. Szczególnie miłe wrażenie wywarł gabinet przyrodniczy, który stanowi miniaturowy „ogród zoologiczny", w którym uczennice i uczniowie uczą się obserwacji i pielęgnacji żywych zwierzątek.

Składki na pokrycie kosztów imprezy, które przekroczyły ich wartość o 126 procent, zostały przekazane szkole. W imieniu obecnych na spotkaniu 18 koleżanek i 8 kolegów, absolwentów rocznika szkolnego 1937-38, serdeczne podziękowanie dyrekcji szkoły i innym jej pracownikom składają

WDZIĘCZNI ORGANIZATORZY
H.S., S.P.



NASZE CHORE STOPY

Aż sześćdziesiąt procent mieszkańców Europy cierpi na dolegliwości stóp. Najbardziej rozpowszechnioną chorobą stóp jest grzybica. Wszelkiego rodzaju grzybice stanowią ponad jedną trzecią wszystkich chorób stóp. W Polsce choruje na nie ponad pięć milionów osób. Jednak niewielki tylko procent narzekających na te dolegliwości zgłasza się do lekarza, uważając je za defekty kosmetyczne, a nie chorobę. Tymczasem nie chodzi o infekcję, która sama minie. Grzybice mogą przejść w stan przewlekły, powodują wtedy u co drugiego chorego problemy ruchowe, co trzeci odczuwa bóle, dwanaście procent osób ma płaskostopie, tyle samo odciski śródstopia, osiem procent „młotowaty" palec u nogi, a sześć wykwity skórne.

Każdy piąty dorosły Polak cierpi na grzybicę paznokci. Wszelkie przebarwienia, białe, żółte, czarne, bocznej części płytki paznokcia zdradzają wniknięcie zarodników grzyba do łożyska paznokcia. Później płytka paznokcia zaczyna grubieć, unosić się i część paznokcia wykrusza się. Paznokieć zmienia barwę i boli przy najmniejszym ucisku. Grzybicę paznokci poprzedza często grzybica międzypalcowa stóp: W naskórku tworzą się pęcherzyki i rowki, które z czasem zaczynają ropieć.

Jak dochodzi do zakażenia grzybicą? Najczęściej przez używanie wspólnych z chorymi przedmiotów, np. obuwie, skarpetki, nożyczki, chodzenie bosymi stopami po wspólnej łazience, pod prysznicem, na basenie, w saunie, siłowni. Zarodniki mają długą żywotność, w zakażonych tkankach, np. resztkach skóry czy paznokci w pokoju hotelowym na dywanie czy w łazience, wytrzymują nawet dwa lata. Wbrew pozorom nadmierna higiena powoduje łatwiejszą infekcję, bowiem zbyt częste mycie nóg, nieodpowiednimi do tego, bo zasadowymi mydłami, powoduje wyjałowienie skóry, która staje się bardziej podatna na zakażenia.

W jaki sposób uniknąć zakażenia? Należy dokładnie wycierać stopy po umyciu, również między palcami, zmieniać codziennie skarpetki, używać przewiewnego obuwia, a w takich miejscach jak sauna czy pokój hotelowy chodzić w klapkach. I nie ignorować zakażenia, jeśli już do niego doszło, tylko wybrać się do lekarza. Dermatolodzy zapewniają, że leczenie grzybicy nie sprawia w chwili obecnej większych problemów, a stosowanie środków farmakologicznych zapewnia całkowite wyleczenie.

(dur)

SZUKAR CZAJORI

Był przepiekny letni podwieczór. Kroczoł żech se to ze Słowioków, abych eszcze chycił jakisi cug dudóm. Szyroki chodnik prowadził polanóm przez spustoszónóm przerymble na Szańcach. Wszystko dookoła zarostało trowóm i chrościm, nieposkludzane gałynzie popańtlane z włosiynóm robiły wszelijaki kopce, ale trowa przijymnie wóniała w odchodzóncym uż letnim skwarze.

Musioł żech ale spocznyć. Siednył żech se na poddajnym tepichu miynkigo mechu i kochoł se widokym kopców i watowych mroczków, kiere płynyły po wyglancowanym niebie. Zazdało se mi, że by nie było szpatne na tych bielutkich poduszkach odpoczywać, a spokojnie z tej wyszki oglóndać tóm maciczke Ziymie ze wszystkim tym zgónym i ludzkimi wypocinami.

Z tego rozjimanio mnie przebrały wozy pokryte celtowinóm, ciógnnióne wymizerowanymi szkapiskami. Spod płachty se ukozały czorne oczy a krynte włosy Cygónów. Siedli se tak na gołóm ziym i w momencie zryncznie założyli ogiyń. Mnie se skoro nie wszymali. Za chwile zaczli pocichutku nucić powolne, smutne przepiynkne cygański pieśniczki. Ale z czasym ich śpiyw przibiyroł na sile. Melodie se niósły polanóm i podniecały jak zwóny kościelne. Yny jedno dziywczacko nie śpiywało. Siedziało zdala od ostatnich, skulóne pod hrubóm strokatóm hackóm, przechynytóm przez pleca. Jak zjiściła, że jóm pozorujym, uśmiychnyła se, ukazujónc swe bielusińki zymby. Uprziła na mnie swe wiercónce czorne oczy i zachrzapłym głosym rzykła: „Aji bych ci mój luby cosi zaśpiywała, ale widzisz, nimogym. W karku mie okropnie boli. Ale podej mi rynke, to ci przeczytóm twojóm przisztość, co cie czako, a nie minie!" I drapsła mojóm dłóń do swoji ciepłe i uważnie se ji przigląndała. „No, ni miała bych ci to synku ani mówić, ale dola je dola, a prowda je prowda. Zymrzesz moc młody. Nie dociógnniesz ani do piyńcadwaceci".

„Cooo?", wyskoczył żech jak oparzóny. „Co to mielesz dziywcze. Dyć żech je po asyncie, a podle dochtorów żech je zdrowy jak rzepa? A ty mi wykłodosz, że bych mioł iść z drugi strony kwiotka wóniać!" Nie chcioł żech tymu wierzyć. Ale dziywcze z kukadłami se nie dało rzyc, a stale plańtało swoji. Nasza z poczóntku spokojno rzecz se zmiyniła we zwade, kiero przerosła granice przizwoitości. Miyndzy tym pieśni zamilkły. Cygóni se po jednym dźwigali od ognia, a wytracali se pod celtowiny do wozów. Nakóniec se tam straciła i moja prorokinia. Zustoł żech sóm.

Chcioł żech iść za nióm i aspóń jóm pocałować na rozłónke. Byłoby to ale tak samo szolóne, jak podpolić wóz, pod celtóm kierego se straciła.

Ciepły dziyń se wytracoł i łónczył wszystki farby letnigo nadchodzóncego wieczo-

ru do popielatego zmroku. Zkóndsi znad Łysej nadchodziło warowne gruchotawe grzmiyni. Przidoł żech do kroku, aby mie chłódny deszcz nie zaścignył.

A piekno Cygónka? Dycki se uśmiychnym, jak se na to spómnym albo jak takóm cygónke uwidzym. Cyganiła ...

HUGO

Jyndrys roz widzioł w jakimsikej filmie w telewizorze wielkigo psa, jak chodzi z beczułkóm rumu na karku po wysokich gorach. Pono taki psy wyselekcjonowali mnisi w klasztorze świyntego Bernarda, aby tym rumym ratowali niemal zmarzłych ludzi w gorach, co zabłóndzili.

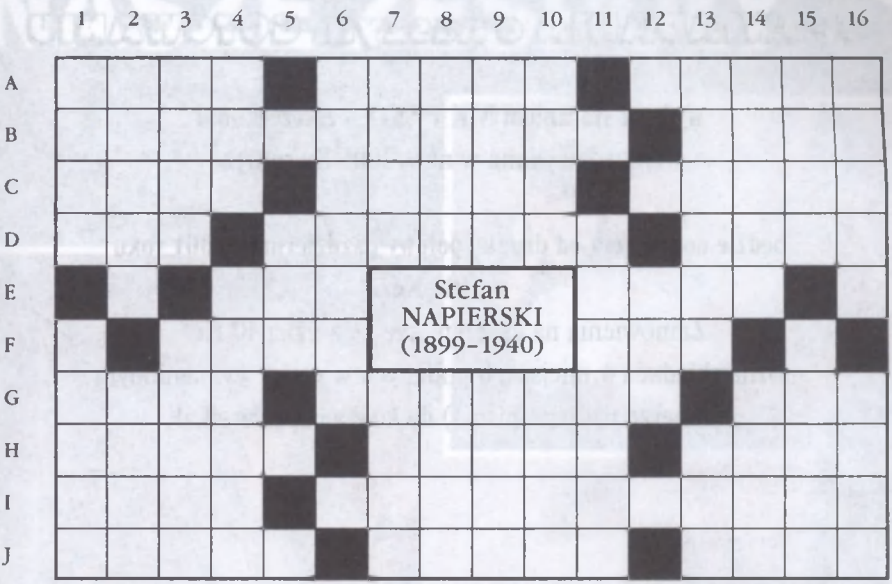
Jyndrysowa miała rada psy, a ón zaś nikiedy, a właśnie dość czynsto tyn rum. Tak postanowili, że zrobióm kómpromis. Połónczyli przijymne z pożytecznym i kupili bernardyna. Na miano mu dali Hugo. Był to bardzo inteligentny i spokojny pies. Kiedy uż wyrosnył ze swoich szczyniyncych figli, uż jako dorosły pies roz wóm też tak leżoł po połedniu w ciyniu w zogrodzie przed chałupóm, a „czumioł do blba", jak to yny bernardyn umi. A szli wtedy kole tego płotu hawiyrze z gospody po ranni szychcie, a ze dwa z nich kopli do tego płotu. Za piyrszym razym flegma pies se ani nie gnół, ale po drugi całym swojim okazałym ciałym se ciepnył na tyn płot, a zrobił Hafff!!! To starczyło ku tymu, aby se ci wszyscy hawiyrze tak zlynkli, że pospadowali do szkarpy, a dobrze se wykómpali.

Jyndrysowa w nikierych wiyncy wypiyntych sytuacjach twierdziła, że je kilkakrotnie inteligyntniejszy niż Jyndrys. Tymu też se umyśliła, że go przigłosi na szkolyni psów ratowników. Myślała se, że potym bydzie jeździć z Hugym po świecie i ratować ludzi przi trzynsiyniach ziymi i wszelijakich inszych nieszczynściach. Treserzi psów ratowników ale rzykli, że olbrzymi Hugo se na takóm robote nie godzi. Zarekomendowali ji, aby swojigo pupila zgłosiła na szkolyni psów ratowników, ale topióncych se ludzi. I tak se też stało. Hugo se nauczył, że topióncy se człowiek se nie chyto za głowe ani za kark, ale mo go delikatnie zebrać do zymbów za ramie albo za pleco i tak go wyholować z wody.

Po absolwowaniu tego kursu se ale spokojny i flegmatyczny Hugo zmiynił. Rano se dycki wytracił z dómu, a wracoł aż wieczór z mokróm sierścióm. Roz, jak był tak bardzo ciepły dziyń, naszymu Jyndrysowi to nie dało i poszeł stopować Huga. Ziścił, że Hugo chodzi ku niedalekimu jezioru, kaj se w takich czasach chodziła kómpać masa ludzi. Siedzioł se nasz Hugo na brzegu i hipnotyzujóncym wzrokym, godnym wielkigo maga Coperfielda, śladowoł lustro wody. Jyndrysa przi tym stopowaniu zmóg rum, kierym se dóma posilił, i po prostu usnył w trowie niedaleko brzegu. Obudził go przeokropny rozpaczliwy krzik: „Idziesz prycz! Ty potwora jakosi! Dyć żech ci nic nie zrobił! Przisiyngóm, że tu se uż nigdy w żywocie kómpać nie przidym!" To uż Hugo smyczył z wody jakisigo zrozpaczónego letniorza. A dyrżoł go, jak go to uczyli, przedpisowie za pleco, aby mu ani nahodóm nie ubliżył. We swojim psim serduszku mioł najisto poczuci dobrze wykónanej roboty, że kogosi uratowoł, a szkolyni nie robił zbytecznie.

JAN KUBICZEK

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: A. Wargi, imię męskie; trofeum wojenne Indian. **B.** Powoduje powstawanie sklerozy; miejscowość w Hiszpanii. **C.** Językoznawca niemiecki (Hermann); twórca; sztaba metalu. **D.** Papuga; antonim nadawcy; marka japońskiego sprzętu elektronicznego. **E.** U Szołochowa jest cichy; przyjęcie wieczorne. **F.** Sucha dolina pustynna; roztwór koloidowy. **G.** ...Lubaszenko; prowitamina A; rozbija się o izbice. **H.** Gwiazdozbiór i znak zodiaku; fizyk rosyjski; nagły wzrost koniunktury. **I.** Samochód produkcji niemieckiej; przewaga kobiet w jakiejś dziedzinie. **J.** Piękno, uroda; dawny mieszkaniec Puszczy Tucholskiej; feudalny władca na Wschodzie.

PIONOWO: 1. Rosyjska zupa rybna; ukraiński taniec ludowy. **2.** Lewy dopływ rzeki Zambezi, wawrzyn. **3.** Pięcioksiąg; córka Kraka. **4.** Jest niższy od sopranu; centaur zabity przez Heraklesa. **5.** Syn Gery z pokolenia Beniamina. **6.** Kolonista. **7.** Krytyk literacki (Jan, 1895-1923); wezwanie, zbiórka. **8.** Miasto w Mozambiku; stolica nad Tybrem. **9.** Rzeka w Meksyku; charakterystyka. **10.** 1/4 roku; 1000 kg. **11.** But. **12.** Syn Posejdona. **13.** Marek Masiulanis; brygada artylerii ciężkiej (skrót). **14.** Żargon, gwara środowiskowa,; bakteriolog niemiecki (Robert). **15.**...Kruczkowski; Ilion. **16.** Suchy pręt, kijek; rumuński malarz i grafik (Theodor).

Wyrazy trudne: HIRT, OREA, TETE, SHIRE.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: I-9, G-15, E-5, H-3, I-11, A-4, I-15, D-8, J-4, G-10, H-7, C-15, D-11, F-3, I-4, B-15, G-8, D-6, F-11, I-7, J-16, F-6, B-8, H-16, H-1, I-2, A-2, E-14, A-13, C-2. (taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną rozlosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca października.

Rozwiązania z numeru sierpniowego:

Krzyżówka: CENTRUM HISTORYCZNE KRAKOWA

Szyfrogram: TEREN BYŁEGO OBOZU KONCENTRACYJNEGO OŚWIĘCIM-BRZEZINKA

Eliminatka: KOPALNIA SOLI W WIELICZCE

Krzyżówka: STARE MIASTO W WARSZAWIE

Kasetę wideo o Polsce wylosowała: Gabriela Kotajna - Trzyniec

Nagrody książkowe wylosowali: Olga Orszulik - Sucha Górna, **Helena Bubik** - Olbrachcice

KSIĄŻKA KUCHARSKA

OPOWIADANIA o naszym GOTOWANIU

wydana staraniem MK PZKO w Skrzeczoniu
(przedstawiona w nr 9/2001 Zwrotu)

będzie do nabycia od drugiej połowy października 2001 roku za 195 Kč

Zamówienia na egzemplarze ze zniżką 10 Kč można składać (w miejscach podanych w wyżej wymienionym numerze naszego pisma) **do końca października!**

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny Ministerstwa Kultury RC: F 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN,
Tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI, Daniel KADŁUBIEC, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168 Kč, z wysyłką pocztową 240 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701028/00 z dnia 27 VI 2000 r. z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE ZESPOŁY





KLUB MŁODYCH MK PZKO W NAWSIU

MK PZKO w Nawsiu liczy 317 członków. Pracuje tu Klub Młodych liczący 25 osób, z tego pięć udziela się aktywnie w zarządzie Koła. Aktywność młodych nawsiańskich pezetkaowców wzbudza powszechną radość i zadowolenie. Prawdziwym powodem do dumy jest, między innymi, powstanie w roku 2000 w ramach Klubu Młodych nowego zespołu teatru amatorskiego. Młodzi aktorzy amatorzy pod kierownictwem Ireny Taciny, emerytowanej nauczycielki, wystawili dwie kolejne części sztuki Władysława Młynka „U nas dóma". Premiery odbyły się 23 kwietnia 2000 i 5 maja 2001. W wypełnionym po brzegi na każdym przedstawieniu Domu PZKO w Nawsiu rozlegały się burzliwe oklaski. Zasłużyli na nie w pełni obok wymienionej już pani reżyser członkowie zespołu – aktorzy: Renata Ćmiel, Irena Heczko, Bogdan Kaleta, Marek Lipus, Michasia Martynek, Bronisław Rusz, Roman Rusz, jak i wielu innych pomagających w zaistnieniu tej tak ważnej inicjatywy.

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

OT
P.P.
701 028/00
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

WSZYSTKO POD RĘKĄ!

VIDEO STUDIO – Bronisław Goryl
Rynek Mariacki 6, Jabłonków
telefon: 0659/357 888 (357 811)

- aparaty fotograficzne
- akcesoria fotograficzne
- filmy
- kasety wideo
- punkt zbiorczy do opracowania fotografii amatorskiej (wywołanie filmu i wykonanie odbitek)
- możliwość kupna sprzętu fotograficznego na zamówienie
- porady dla fotoamatorów

NISKIE CENY
TOWARY W CENACH PROMOCYJNYCH
Właściciel na zamówienie świadczy profesjonalne usługi w zakresie utrwalania na taśmie wideo filmów z uroczystości prywatnych i publicznych.

ISSN 0139-6277

Zwrot

11
2001

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ



TACY BYLIŚMY



POLSKA SZKOŁA W WĘDRYNI

Rok 1928. Druga klasa polskiej szkoły w Wędryni. W środku nauczyciel Eugeniusz Ciahotny, w latach późniejszych kierownik szkoły i sekretarz gminy. Po prawej jego stronie siedzi właścicielka zdjęcia p. Helena Kajzar, na dole wśród siedzących chłopców trzeci od lewej to Jerzy Cienciała, animator i reżyser wędryńskiego teatru amatorskiego.

MICHAŁ BAŁUCKI

DLA CHLEBA

Góralu czy ci nie żal
Odchodzić od stron ojczystych,
Świerkowych lasów i hal,
I tych potoków przejrzystych?

Góral na góry spoziera
I łzy rękawem ociera.
I rzekł: „Ha, darmo, kiej trzeba!
Dla chleba, panie, dla chleba!"

Góralu! Wróć się do hal,
W chacie zostali ojcowie,
Gdy od nich pójdziesz w dal,
Co z nimi się stanie - kto wie?

A góral, jak dziecko, w głos płacze:
„Oj, może już ich nie zobaczę!
Ha, darmo, paniczu, kiej trzeba!
Dla chleba, panie, dla chleba!"

Góralu, nie odchodź, oj, nie!
Na wzgórku, u męki boskiej,
Tam płacze dziewczę twe -
Uschnie z tęsknoty i troski,
Gdy pójdziesz! Nie odchodź, nie!

On głowę zwiesił i wzdycha:
„Oj, dolaż moja - rzekł z cicha -
I dziewkę porzucić trzeba
Dla chleba, panie, dla chleba!"

I poszedł z grabkami i kosą.
W gunce starganej i boso,
Precz poszedł w doliny - w dal...
Góralu, żal mi cię żal!

Zwrot 11 2001

Rok LII, Nr 624
Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie poczłowej 20,00 Kč

W NUMERZE

3	XIX Zjazd PZKO, Zjazd na styku stuleci	ZYGMUNT STOPA
12	W osiemdziesiątą rocznicę śmierci ks. Franciszka Michejdy	STANISŁAW ZAHRADNIK
17	Wspomnienie o Wicie – Władysławie Michejdzie (3)	JÓZEF GÓRNIAK
22	Chcę robić dobry teatr. Rozmowa z dyrektorem Teatru Cieszyńskiego Karolem Suszką	CZESŁAWA RUDNIK
26	Gorzki uśmiech Michała Bałuckiego	JAN KORZENNY
34	Kronika: IX Światowe Forum Mediów Polonijnych, Uroczystości Morcinkowskie, Pożegnanie Lata z folklorem, Pierwszy konkurs Hadynowski i Śląsk w Bystrzycy, Scena w Domu PZKO w Gródku, Izba Regionalna w Cisownicy, Orłowianie i łazianie dawniej i dziś, Polska książka na Śląsku Cieszyńskim, Konferencja o mniejszościach narodowych, Równica w Hawierzowie, Tradycja i folklor w regionie	
48	Poezja Karola Kubaja	
50	Władysław Sikora: Karpaty mityczne (1)	
55	Przez sito intymności	MAREK SŁOWIACZEK
56	Młode pióro: Darek Jedzok	
60	Działalność kulturalna jabłonkowian na przestrzeni lat	JÓZEF JACHNICKI
64	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
67	Echo wydarzeń muzycznych	ALEKSANDRA OPIOŁOWA, JÓZEF WIERZGOŃ
75	Trybuna czytelników	OSKAR LANC

Numer zamknięto 12. 10. 2001

XIX ZJAZD PZKO, ZJAZD NA STYKU STULECI

W roku bieżącym kończy się kolejna, już dwudziesta w historii PZKO kadencja władz naczelnych. Władze, to znaczy członkowie Zarządu Głównego, Komisji Rewizyjnej i Sądu Rozjemczego, zostały wybrane przez delegatów na XVIII Zjeździe PZKO, który odbył się w dniu 25 października 1997 roku. Jak nakazuje zwyczaj i statut, przygotowuje się Zarząd Główny obecnie do rozliczenia swej działalności, opracowuje materiały do dyskusji o potrzebie zmian w sposobach i organizacji działań, opracowuje program działalności oraz przygotowuje wybory nowych władz, ponieważ kolejny XIX Zjazd PZKO odbędzie się już dnia 10 listopada roku bieżącego.

Aktualne problemy, warunki i okoliczności

Nadchodzący Zjazd będzie już trzecim odbywającym się w zmienionych warunkach społeczno-politycznych. Przez długie lata, w czterdziestoletnim okresie niewydolnej planowej gospodarki monopolu państwowego, państwo w znaczącej mierze wspierało finansowo działania społeczne, ale też dyktowało warunki, traktując organizacje społeczne jako przedłużone ręce partii w rządzeniu społeczeństwem. W ostatnim dziesięcioleciu, w nowych warunkach liberalnej ekonomiki kapitalizmu pierwotnego z dopiero co rozwijającym się mechanizmem rynkowym, dochodzi do znaczących zmian w opiekuńczej roli państwa. Państwo gwarantuje zrzeszeniom obywatelskim swobodę działania, ogranicza jednak wsparcie finansowe, zmuszając je tym samym do szukania innych źródeł finansowania oraz do podejmowania własnej inicjatywy gospodarczej. Zmiany rzutowały też w znaczącym stopniu na PZKO. Pomimo bardzo dobrych pomysłów i pierwszych posunięć gospodarczych nie wykazali nasi poprzednicy potrzebnej erudycji w prowadzeniu interesów ani w prężności dostosowania struktur Związku do zmienionych warunków. Doprowadziło to do powstawania zadłużeń oraz strat w majątkach. Sprawy te nie znalazły jednak, oprócz

ogólnikowych stwierdzeń, im należnego odbicia w obradach i uchwałach poprzednich zjazdów. XIX Zjazd ma więc utrudnioną sytuację. Musi rozwiązać problemy przeszłości, a że odbywa się na styku stuleci, powinien już być ukierunkowany na przyszłościową wizję Wspólnej Europy, Europy bez granic, Unii Europejskiej chroniącej mniejszości narodowe i etniczne, ich język i tradycje, ale wymagającej od nowych członków ekonomicznego wysiłku dla zapewnienia dobrobytu oraz własnego wkładu do wspólnej skarbnicy kulturowej. Wejście Republiki Czeskiej i Polski do Unii Europejskiej umożliwi nam jako mniejszości w państwie łatwiej obronić swą tożsamość. W związku z tym musimy odpowiedzieć na pytanie, czy dotychczasowa działalność PZKO jest dla osiągnięcia jej celów w nowych warunkach wystarczająca, czy wymaga nowego podejścia. Pod tym względem należy ocenić dotychczasowe wyniki, scharakteryzować stan wyjściowy oraz opracować wizję przyszłości.

Mając na względzie to wszystko, przygotowaliśmy dla komisji zjazdowych w Zarządzie Głównym upływającej kadencji materiały sprawozdawcze oraz programowe łącznie z wariantami zmian statutowych, które zamierzamy dostarczyć delegatom Zjazdu z dostatecznym wyprzedzeniem, by mogli się z nimi zaznajomić i ustosunkować się do ich zawartości oraz przygotować do wystąpienia w dyskusjach na samym Zjeździe. Zjazd powinien spełnić przede wszystkim swe zadanie jako Władza Naczelna PZKO, tj. ocenić wyniki osiągnięte przez Zarząd Główny ubiegłej kadencji oraz jednostki organizacyjne Związku, zadecydować o uzupełnieniu, przeprowadzeniu ew. zmian statutowych, przedyskutować i uchwalić program i kierunki działania w przyszłej kadencji, zadecydować o sprawach gospodarczych oraz wybrać nowe władze łącznie z przewodniczącym. Zjazd jest równocześnie wydarzeniem towarzyskim, miejscem spotkań społeczników i przyjaciół, jego pojmowanie jako imprezy na pokaz – uroczystej akademii okolicznościowej, tak ważne w okresie propagandy sukcesu, straciło w nowych warunkach na aktualności, nie może być jednak całkowicie pominięte. Postaramy się, aby przebieg Zjazdu i jego wyniki zadowoliły wszystkich naszych członków, bo Zjazd jako instytucja demokracji rzeczywistej jest najwyższą władzą PZKO, w której członkowie PZKO przez swych delegatów zadecydują o losach Związku, ale także przejmą odpowiedzialność przed społecznością za powzięte decyzje. Na podstawie własnych doświadczeń i przemyśleń uważam za godne uwagi i rozwiązania następujące problemy:

Cele PZKO i sposoby ich zapewnienia. Podstawowym celem działalności jest przetrwanie polskiej świadomości autochtonicznej ludności

Zaolzia przez szeroko pojętą działalność kulturalno-oświatową w wielokulturowym środowisku Śląska Cieszyńskiego, podlegającym w jego czeskiej części silnym obcym wpływom. PZKO nie stawia sobie za cel swą działalnością zadawalać wszelkie wymogi znaczących specjalistów w poszczególnych kierunkach działań. Dlatego nie uważa za konkurencję powstawanie specjalistycznych stowarzyszeń branżowych. Wyraża gotowość ich wspierania. Za pośrednictwem swych terenowych jednostek organizacyjnych, których sieć pokrywa cały region Zaolzia, zapewnia polskie życie towarzysko-społeczne oraz szerzy oświatę obywatelską, prowadząc Domy PZKO, w których działają kluby, ćwiczą chóry, zespoły, organizowane są imprezy lokalne i regionalne. Współpracuje z wszystkimi organizacjami, których działania wspomagają osiąganie wytyczonego celu. Daje im do dyspozycji swe urządzenia i usługi. Osłabienie działalności PZKO, nie mówiąc o jego likwidacji, mogłoby być w terenie groźbą dla pozycji społeczności polskiej wobec społeczeństwa większościowego. Pozostałe organizacje polskie potrzebują jeszcze trochę czasu, by zostać liczącym się partnerem wobec władz lokalnych.

Kondycja PZKO oparta jest na tradycyjnym sposobie działania wszystkich szczebli organizacyjnych. W terenie nadal sprawdza się, dzięki znacznej ofiarności starszej generacji, na szczeblu centralnym pozostawia wiele do życzenia. Zarząd Główny i jego Biuro jest oceniany przez część bazy członkowskiej i przez postronnych raczej negatywnie. Przyczyną jest utrata hotelu Piast i latami ciągnące się spłacanie długów za nieodprowadzone świadczenia socjalne i ubezpieczeniowe. Stan ten wynika z obcięcia od roku 1994 dotacji, która pokrywa obecnie tylko 50 % wydatków na zaplanowaną działalność. Resztę trzeba pokryć z dochodów własnych, z których czyni wynajęcie lokali 10%, składki członkowskie ok. 5%, dochody Teatru Lalek Bajka 5%, inne dochody 30% łącznie z darami sponsorskimi. Stan zadłużenia ulega jednak poprawie, są nadzieje, że w dniu Zjazdu będziemy mogli zwiastować jego zasadniczą likwidację. Podobnie kształtują się sprawy odzyskania własności hotelu Piast. Ze względu na przychylną dla nas decyzję sądu pierwszej instancji, która określa PZKO jako właściciela obiektu, wierzymy i staramy się to udowodnić i wobec instancji wyższych. Tylko że sądy, podobnie jak Boże Młyny, działają bardzo powoli. Liczymy więc na poprawę kondycji finansowej, a dalsze sprawy organizacyjne będą w ręku nowego Zarządu Głównego.

Struktura organizacyjna. Szczebel terenowy nie wymaga reorganizacji. Należałoby się jednak zastanowić nad dziś niejednorodną pozycją

Rad Obwodowych, nazywanych w miastach Komitetami Miejskimi. Zaleca się powrót do ich wykorzystywania jako terenowego organu doradczego, koordynującego rozwiązywanie wspólnych problemów, organizowanie imprez, oraz prężnej łączności z Zarządem Głównym. Każdy z dotychczasowych obwodów miałby mieć swego reprezentanta w ZG, który odpowiadałby za obustronne przekazywanie informacji. Dotychczasowy system opiekunów Kół, mianowanych spośród członków ZG, się w ostatnim czasie nie sprawdził. Przemyślenia wymaga także szczebel ZG. Chodzi o pozycję Konwentu Prezesów oraz sposób zorganizowania i zakres działań Biura ZG. Konwent jako organ doradczy szczebla centralnego służył w zasadzie do przekazywania informacji oraz do dyskusji i zaleceń dotyczących spraw doraźnych. Jedną z wnioskowanych w dyskusji zmian jest jego wyposażenie w kompetencje ZG, a ukształtowanie ZG do pozycji prezydium. Sprawa będzie rozpatrzona w komisji statutowej. Reorganizacji wymaga również działalność Biura ZG. Jego dotychczasowy zakres, kompetencje i odpowiedzialność nie odpowiadają ograniczonym możliwościom finansowania. Należałoby odróżnić właściwe biuro, będące tylko jednostką administracyjno-ewidencyjną, od Biura jako zawiadowcy jednostek gospodarczych dla usług organizacyjnych z własnym budżetem i księgowością. Jednostki takie powinny być zdolne przynajmniej do częściowego samofinansowania. Utrzymanie struktury dotychczasowego Biura, zapewniającego czynności działów według regulaminu wewnętrznego, będzie nadal nastręczać trudności w zapewnieniu funduszu na płace instruktorów sekcji i zrzeszeń, może być łatwiejsze w samorządnej jednostce gospodarczej. Dotyczy to również finansowania Teatru Lalek Bajka oraz miesięcznika społeczno-kulturalnego Zwrot. W przyszłym Zarządzie Głównym należałoby poprawić dyspozycyjność jego członków do konkretnych zadań przy zmniejszonej ich liczebności. Działalność w poszczególnych pionach organizacyjnych powinny zapewniać Rady ZG jak następuje: – Rada Łączności z Terenem (prowadzi przewodniczący PZKO), może wykonywać równocześnie czynności prezydium i Konwentu Prezesów, Rada Kultury i Nauki, Rada Młodzieży i Sportu, Rada Ekonomiczna. Radę Kultury oraz Radę Młodzieży prowadzą wiceprzewodniczący, Radę Ekonomiczną dyrektor Biura ewentualnie skarbnik w zależności od przyjętej w Statucie struktury ZG. Praca wszystkich przez Zjazd wybranych członków ZG, przewodniczącego i wiceprzewodniczących PZKO, jest pracą społeczną. W ramach poszczególnych rad uwzględnia się istnienie specjalistycznych sekcji, zrzeszeń, stowarzyszeń, klubów oraz zespołów reprezentacyjnych i chórów podlegających bezpośrednio ZG. Prezesi tych podległych jednostek organizacyjnych oraz kierownicy samorządnych jednostek gos-

podarczo-usługowych są również członkami odnośnych rad. Powyżej opisane propozycje zmian podlegają zatwierdzeniu przez delegatów Zjazdu, by mogły być obowiązujące dla zarządu przyszłej kadencji.

Ocena wyników ubiegłej kadencji. Należy stwierdzić, że również w ubiegłej kadencji udało nam się utrzymać ciągłość w przeszłości zapoczątkowanych imprez o szerszym znaczeniu. Są to:

– Festiwal PZKO, który odbył się dnia 23 maja 2000 r. w Trzyńcu. Organizatorem był ZG oraz Rada Obwodowa w Trzyńcu, współpracował Urząd Miasta. Sponsorami byli Transgas, Huta Trzyniecka, Browar Radegast, Walmark oraz inne firmy. Część kosztów Zespołu Reprezentacyjnego Wojska Polskiego pokryło Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP. Przebieg był bardzo udany, szczególnie podobał się pochód festiwalowy, występy zespołów na dwóch podiach oraz 630 chórzystów na Stadionie Zimowym. Wspaniała była atmosfera na widowni oraz oferta kulinarna stoisk. Ilość uczestników oceniano na 10000.

– Corocznie współorganizowane przez jednostki organizacyjne podległe wprost ZG lub przez jego Biuro imprezy o zasięgu regionalnym, jak Gorolski Święto w Jabłonkowie, Maj nad Olzą w parku zdrojowym Darków, uroczystości wspomnieniowe upamiętniające rocznicę tragedii żywocickiej z udziałem połączonych chórów, urządzany jest Festiwal Piosenki Dziecięcej w Hawierzowie. Dwukrotnie w roku 1998 oraz 1999 zorganizowano Festiwal Piosenki Polskiej dla młodzieży od 16 do 25 lat.

– Byliśmy współorganizatorami corocznego udziału naszych chórów i zespołów w tradycyjnych imprezach polskich i międzynarodowych jak Trojok Śląski, Śląskie Śpiewanie oraz w kursie polonijnych chórów i dyrygentów w Koszalinie. Jesteśmy nadal stałymi uczestnikami Festiwali Polonijnych w Rzeszowie i Iwoniczu. W roku 2000 wzięły w nich udział nasze zespoły Olza i Bystrzyca, która również uświetniła koncert galowy na krakowskim Rynku z okazji II Zjazdu Polonii i Polaków z Zagranicy w maju 2001.

– Kolejnymi imprezami, które organizują sekcje ZG, są Festyn Babski, wznowiona została tradycja Festynu Górskiego w Koszarzyskach oraz Rajdu Zimowego na Kamienitym, jako imprez sportowo-młodzieżowych. Zrealizowano ze zmiennym powodzeniem okresowo urządzaną imprezę młodzieżową Kluboturniej.

– Zapewniono reprezentacje sportowe na zimowe i letnie Igrzyska Polonijne z dobrymi lokatami naszych zawodników. Szczególnie pocieszająca była ilość medali na zimowej olimpiadzie w Szczyrku, gdzie zdobyli nasi połowę możliwych punktów oraz w mistrzostwach piłki nożnej, w których zdobyliśmy w silnej konkurencji srebrny puchar za 2. miejsce.

– Na uwagę zasługują wystawy, seminaria oraz konferencje naukowe organizowane przez Sekcję Historii Regionu na tematy dotyczące historii działalności organizacji polskich oraz życia Polaków na Zaolziu. Dotyczyły one klubów sportowych, szkolnictwa, teatru amatorskiego, książki oraz stosunków czesko-polskich na przestrzeni 80 lat Zaolzia w Republice Czechosłowackiej i Czeskiej.

– Również Sekcja Ludoznawcza rozpoczęła badania terenowe na tematy nazewnictwa lokalnego oraz ludowych zwyczajów i obrzędów rodzinnych. Na temat ludoznawczy wydał ZG książkę autorstwa Jana Szymika „Doroczne zwyczaje i obrzędy na Śląsku Cieszyńskim". Staraniem Biura ZG jest corocznie wydawany Kalendarz Śląski.

– Sekcja Kobiet wspiera i koordynuje działalność Klubów Kobiet w terenie, urządza wystawy ręcznych robót, także w czasie Festiwalu PZKO, organizuje dla kobiet spotkania noworoczne i wycieczki tematyczne.

– Stowarzyszenie Artystów Plastyków przejawia swą działalność w regularnych spotkaniach twórców, organizuje plenery z udziałem plastyków z Polski oraz wystawy prac swych członków. Uczestniczy w plenerach ośrodków artystycznych Polski.

– Do niedziałających niestety należą Sekcje: Teatralna, Ruchu Tanecznego, Wydawnicza. Działalność tych sekcji w ograniczonym zakresie zapewnia Biuro ZG, np. w ramach Sekcji Teatralnej kontynuuje konkursy recytatorskie, przeglądy dziecięcych zespołów teatralnych Talinki, zaś niedawno założono Sekcję Wydawniczą i Internetową dla zachęcenia do działania młodszą generację.

– Fenomenem organizacyjnym na poziomie centralnym jest Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne. Skupia w swych szeregach wszystkie polskie chóry oprócz kościelnych. Jest ono również członkiem Polskiego Związku Chórów i Orkiestr oraz Unii Czeskich Zespołów Śpiewaczych. Jego zasługą jest wysoki poziom artystyczny naszych chórów, ich uczestnictwo w szeregu liczących się imprez w kraju i za granicą. Obsługuje wszystkie imprezy związkowe, świadczy wszelkie usługi fachowe w zakresie śpiewu i muzyki zrzeszonym chórom.

Działalność sekcji, zrzeszenia i stowarzyszeń jest obsługiwana przez Biuro ZG w podobny sposób, jaki był stosowany w okresie pełnej obsady Biura przez referentów działów na poziomie instruktorów specjalistów. Ze względu na ograniczenie swego czasu dotacji zostały etaty tego rodzaju ograniczone do niepełnego wymiaru godzin pracy. Ze względu na trwający niedobór środków na płace zostały zredukowane wszystkie etaty częściowe. Istnieje potrzeba znalezienia innych sposobów zapewnienia działań organizatorskich i specjalistycznych, by zachować dotychczasowy zakres i poziom zespołów.

Biuro ZG zarządza również majątkami Związku, które wynajmuje, oraz prowadzi agendę gospodarczą jemu podporządkowanych jednostek, a to Ośrodka Szkoleniowego Koszarzyska, Wypożyczalni Kostiumów, miesięcznika Zwrot, Teatru Lalek Bajka.

PZKO odnowił swe członkostwo w Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych oraz brał udział w jej przedsięwzięciach, spotkaniu inauguracyjnym w Pułtusku, w Konferencji Rejonowej Europy Zachodniej i Południowej w Ramsau w Austrii – w grudniu 2000, w następnym spotkaniu rejonu Europy południowo-wschodniej w Budapeszcie w czerwcu 2001. Przedstawiciele ZG wzięli udział w konferencji kultury kresowej w Drohiczynie – kwiecień 2000, konferencji historycznej Polonii w Koronowie – październik 2000, przewodniczący PZKO pracował w komisji EUWP, zabiegającej o umowy ochronne Polski z państwami ościennymi dla mniejszości polskich w tych krajach oraz uczestniczył w II Zjeździe Polonii i Polaków z Zagranicy. W ramach współpracy przygranicznej nawiązaliśmy kontakt z Wydziałami Kultury Powiatu Cieszyn i Powiatu Bielsko Prowincja, kontynuujemy współpracę z Towarzystwami Kulturalnymi z Opola i Tarnowskich Gór oraz Oddziałami Wspólnoty Polskiej w Katowicach, Bielsku-Białej, Toruniu, Rzeszowie.

Osiągnięcia i zasługi PZKO dla zachowania polskości ludu śląskiego zostały na wniosek Macierzy Ziemi Cieszyńskiej ocenione przyznaniem przez Kapitułę Nagrody Związku Górnośląskiego nagrody honorowej im. Wojciecha Korfantego w marcu 2001. W roku 2000 został uhonorowany nagrodą im. Juliusza Ligonia prezes Sekcji Ludoznawczej Jan Szymik za wyniki prac badawczych dotyczących kultury ludowej Śląska Cieszyńskiego.

Uwagi do programu przyszłej kadencji

Delegaci Zjazdu będą decydowali o programie Związku na przyszłą czteroletnią kadencję oraz o sposobach jego realizacji. Mając na względzie omówione problemy organizacyjne oraz ocenę działalności Związku w okresie kończącej się kadencji, możemy zastanowić się nad zasadami, według których miałyby być oceniane i segregowane wnioski nowego programu. Proponuję, by projekt programu działania był opracowany z uwzględnieniem następujących zasad:

Wszystkie poczynania konfrontujemy z przyjętym celem działań Związku, którym jest przetrwanie polskiej tożsamości ludności autochtonicznej. PZKO jest największą polską organizacją na Zaolziu i na nim ciąży obowiązek zahamowania procesu zanikania naszej polskiej zbiorowości. Jako mniejszość narodową w Republice Czeskiej chroni nas europejskie prawo mniejszości narodowych poprzez postanowienia Konwencji Ramowej o Ochronie Mniejszości Narodowych, której depozytariuszem jest Rada Europy w Strassburgu. Ta Konwencja obowiązuje zarówno Rzecz-

pospolitą Polską jak i Republikę Czeską, gdyż oba te państwa już ją ratyfikowały. Rząd RP oświadczył dnia 27 kwietnia 2000 roku, że dla ochrony mniejszości polskich w innych państwach będzie zawierał umowy międzynarodowe w trybie art. 18 Konwencji.

Biorąc powyższe pod uwagę, proponuję, by przy ZG powstała sekcja oświaty obywatelskiej do sfinalizowania prac nad projektem Umowy Ochronnej dla Mniejszości Polskiej w RC według art. 18 wymienionej Konwencji. Projekt takiej umowy został w roku ubiegłym złożony w Ministerstwie Spraw Zagranicznych RP przez Honorowego Prezydenta Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych Zygmunta Szkopiaka z Londynu i wymaga naszego współudziału w jego finalnym dopracowaniu. W ten sposób spełnimy nasze statutowe zadanie zapewnienia wszechstronnego rozwoju ludności polskiej na Zaolziu.

Program działania Związku obejmuje utrzymanie i szerzenie naszej kultury regionalnej, promocję informacji oświatowej o naszym regionie, realizację zadań zabezpieczających nasz byt narodowy w warunkach wejścia RC do Unii Europejskiej.

Bazą działalności PZKO pozostaje terenowa samorządna jednostka organizacyjna – Miejscowe Koło PZKO. Miejscowe Koło organizuje wszelką działalność na jemu podległym terytorium, stosownie do miejscowych warunków. Zazwyczaj prowadzi działalność społeczną i gospodarczą we własnym lub wynajmowanym obiekcie – Domu PZKO lub świetlicy. Liczymy na znalezienie sposobu aktywnej współpracy z odnośną dla Miejscowego Koła lub Rady Obwodowej Polską Szkołą Podstawową w celu stworzenia obustronnych więzi. Szkoła będzie źródłem narybku członków PZKO, Miejscowe Koła w obwodzie działania szkoły będą wytwarzały klimat sprzyjający zapisom dzieci do polskich szkół, szczególnie dzieci z małżeństw mieszanych. Koła będą oddziaływać na całe społeczeństwo miejscowości, przypominając mu wspólne korzenie, poprzez działalność swych klubów, chórów, zespołów oraz wprowadzenie nowych form pracy, np. w postaci klubów propozycji, ośrodków oświaty internetowej itp.

Zarząd Główny PZKO pozostanie organem władzy naczelnej Związku. Jego zadaniem jest realizacja uchwał i ramowego programu działania Zjazdu jako Władzy Naczelnej poprzez planowanie działań na szczeblu centralnym, organizowanie i koordynację imprez regionalnych, nadzorowanie wspólnej bazy materialnej Związku, jednostek gospodarczych, dysponuje środkami finansowymi pochodzącymi z imprez ZG, dotacji oraz wygospodarowanymi z majątku Związku.

Biuro ZG zostanie przekształcone w samorządną jednostkę gospodarczą, która zarządza majątkiem Związku, świadczy lub pośredniczy w usługach organizacyjnych i branżowych.

Usługi swe oferuje Zarządowi Głównemu, samorządnym jednostkom organizacyjnym oraz innym podmiotom prawnym, szczególnie polskim.

Uwagi końcowe

Starałem się w sposób syntetyczny, ale wyczerpująco, przedstawić tematy, o których należałoby na Zjeździe dyskutować. PZKO udowodniło swą działalnością, że jest potrzebne polskiej społeczności Zaolzia. Jego kondycja, poturbowana trochę niedoborem finansowym z kasy państwowej, powoli się poprawia, nieźle stoją sprawy majątkowe Związku i Miejscowych Kół. Dzięki odpowiednim staraniom udało się dla Kół uzyskać na własność Domy PZKO, będące dotychczas w ich wieczystym użytkowaniu, na dobrej drodze jest sprawa przywrócenia własności hotelu Piast w Czeskim Cieszynie. Mamy wspaniałych członków-społeczników, niestety już się starzejących, mamy wielu zdolnych organizatorów, niestety mało widoczni są reprezentanci średniej i młodszej generacji. Jest zadaniem przyszłych władz, by znaleźć sposób ich zaangażowania. XIX Zjazd PZKO powinien się zastanowić nad problemami nurtującymi nasze społeczeństwo. Cieszyłoby mnie, gdyby moje wywody i poglądy wzbudziły zainteresowanie Czytelników, szczególnie tych, którzy są delegatami Zjazdu. Cieszę się na spotkanie i dyskusję zjazdową, wierząc w pomyślne wiatry dla naszego Związku, bo wiemy, czego chcemy i dokąd mamy zmierzać.

Wasz przewodniczący
ZYGMUNT STOPA



Fot. FRANCISZEK BAŁON

W OSIEMDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI KS. FRANCISZKA MICHEJDY

Przed 80 laty, 12 lutego 1921 roku, zmarł w Nawsiu ksiądz ewangelicki Franciszek Michejda, czołowy działacz społeczno-narodowy o niezwykle szerokim zasięgu zainteresowań, założyciel i długoletni redaktor kilku miejscowych pism. Jego zasługi dla miejscowej ludności śląskiej w okresie kształtowania się jej oblicza społecznego, narodowego, ideologicznego i socjalnego są wprost nieocenione.

Franciszek Michejda należał do mocno rozgałęzionego rodu Michejdów. Śląsk Cieszyński słynie z rodów wywodzących się z miejscowej ludności chłopskiej. Przypomnijmy przykładowo Buzków, Cieńciałów, Kubiszów, Olszaków, Glajcarów, Bergerów, Michejdów. Ci ostatni wśród nieherbowych rodów cieszyńskich zajmują najbardziej poczesne miejsce.

W publikacji wydanej w 2000 roku przez Muzeum Śląskie w Katowicach pt. „O polski Śląsk" wprawdzie uwaga skoncentrowana jest na Tadeuszu (1895-1955) i Władysławie (1896-1943) Michejdach, lecz w zamieszczonym tu szkicu Władysława Sosny pt. „Ród Michejdów" znajdujemy skrótowe, bardzo ścisłe dane o całej omawianej rodzinie. Rozprawa jest uzupełniona drzewem genealogicznym od założyciela rodu Jana Michejdy, urodzonego w 1820 roku w Olbrachcicach, aż do czasów obecnych. Najstarszym z jego pięciu synów był właśnie nasz Franciszek.

Autor w ten sposób zamyka swoje rozważania na temat rodu Michejdów: *Rodzina Michejdów należała niewątpliwie do rodu osób wybitnie utalentowanych i tego talentu nie zmarnowała, odciskając mocno swoje piętno w dziejach Śląska Cieszyńskiego i wnosząc w następnych pokoleniach istotny wkład do nauki i kultury polskiej* („O polski Śląsk", s. 23).

Franciszek Michejda urodził się 3 października 1848 roku w Olbrachcicach. Studia teologiczne odbywał w Wiedniu, Lipsku i Jenie. Pracę duszpasterską rozpoczął w Bielsku, następnie w zborze niemieckim w Brygidowie koło Stryja (Galicja). W 1874 roku powrócił na Śląsk Cieszyński, objął funkcję pastora ewangelickiego zboru w Nawsiu, którą wykonywał aż do śmierci. Należał do najwybitniejszych księży ewangelickich, zawsze sumiennie wykonując swe obowiązki duszpasterskie zgodnie z wymogami Kościoła ewangeli-

ckiego A.W. i miejscowymi tradycjami, równocześnie broniąc kościół przed germanofilskimi zapędami superintendenta Teodora Haasego.

Brał czynny udział we wszystkich prawie przejawach polskiego życia narodowego. Należał do współzałożycieli i czołowych działaczy takich organizacji, jak Towarzystwo Rolnicze, Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek, Towarzystwo Czytelni Ludowej, Towarzystwo Domu Narodowego w Cieszynie, Macierz Szkolna dla Księstwa Cieszyńskiego, Towarzystwo Ewangelickie Oświaty Ludowej, Stronnictwo Narodowe, Towarzystwo Ludoznawcze i inne.

Franciszek Michejda był autorem licznych artykułów, rozpraw i kilku samodzielnych wartościowych pozycji książkowych. Oto ważniejsze z nich: „Ewangelicki zbór nawiejski w pierwszym stuleciu swego istnienia" (Nawsie 1891); „O wyborach duszpasterskich. Odbitka z Przyjaciela Ludu" (Cieszyn 1894); „Polscy ewangelicy. Odbitka z Przyjaciela Ludu" (Cieszyn 1900); „Ks. Karol Kotschy, pastor zboru ustrońskiego. Wspomnienie w 50. rocznicę śmierci" (Cieszyn 1906); „Kazanie na uroczystość pamiątki poświęcenia kościoła bystrzyckiego" (Cieszyn 1916); „Piśmiennictwo i wydawnictwa ludowe na Śląsku austryackim" (Lwów 1894).

Angażował się również w życiu politycznym, mając zawsze na celu dobro miejscowego ludu polskiego. I tak już w 1881 roku był członkiem deputacji u cesarza w Wiedniu w sprawie równouprawnienia Polaków na Śląsku. W 1901 roku uczestniczył jako gospodarz w uroczystości otwarcia Domu Narodowego w Cieszynie. Działał w ugrupowaniu politycznym, które jego zasługą przekształciło się w 1906 roku w Stronnictwo Narodowe. Gościł w swych progach urzędu parafialnego w Nawsiu późniejszego prezydenta Czechosłowacji T. Masaryka i marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Zabiegał o szeroką współpracę protestantów sąsiadujących krajów. W grudniu 1918 roku doprowadził do podporządkowania Kościoła Ewangelickiego na Śląsku Cieszyńskim Konsystorzowi w Warszawie i został pierwszym polskim seniorem zborów cieszyńskich. W latach 1918-1920 walczył o przyłączenie całego Śląska Cieszyńskiego do Polski.

Obok Pawła Stalmacha położył największe zasługi, dotąd nie w pełni docenione, na polu wydawnictwa polskich pism miejscowych, które w okresie pogłębiania i utwierdzania świadomości społecznej i narodowej ludu śląskiego odgrywały wprost nieocenioną rolę. W 1876 roku był współzałożycielem, wydawcą i redaktorem odpowiedzialnym pisma Ewangielik z podtytułem Pismo poświęcone zbudowaniu, nauce i wiadomościom kościelnym (1876-1877). W 1885 roku rozpoczął wydawanie pisma Przyjaciel Ludu. Pismo dla ludu ewangelickiego (1885-1909) oraz Rolnik Szląski. Organ Towarzystwa Rolniczego dla Księstwa Cieszyńskiego (1885-1939) z dodat-

kami Przegląd Polityczny (1887-1907) i Przyjaciel Dziatek (1906-1909). Wydatnie wspierał wydawanie Dziennika Cieszyńskiego (1906-1934). Pisma te prowadził zawsze w duchu poszanowania dla innych poglądów wyznaniowych, politycznych czy narodowościowych, kładąc nacisk na momenty oświatowe, wychowawcze. A w walce o realizację swych ideałów życiowych był stanowczy, lecz formy tej walki zawsze były nacechowane tolerancją, poszanowaniem dla poglądów innych.

Zgodnie z naszym zamiarem poświęcimy również uwagę ciekawym dokumentom oryginalnym, zachowanym w archiwum Zboru Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A. W. w Nawsiu, a dotyczących początków działalności ks. Franciszka Michejdy w ewangelickim zborze nawsiańskim. Dokumenty umożliwiają poznanie sytuacji w zborze, jaka nastała bezpośrednio po śmierci miejscowego pastora ks. Jana Winklera, oraz w jaki sposób w tych czasach, przed 130 laty, wybierano pastora. Można też przekonać cię o pięknym i poprawnym języku polskim Fr. Michejdy już w tym czasie, pomimo iż o język polski otarł się tylko w szkole ludowej, a późniejsza nauka przebiegała już wyłącznie w języku niemieckim. Jego początki pracy zawodowej odbywały się również w środowisku obcym - niemieckim.

Zmarły pastor nawsiański ks. Jan Winkler w 1874 roku, urodzony we Vsetinie na Morawach, należał do czeskich budzicieli, czego nie omieszkali podkreślać historycy czescy. Na przykład czołowy czeski działacz narodowy Jaroslav Zahradník w ten sposób to określił: *W Nawsiu koło Jabłonkowa działał w tamtejszej parafii ewangelickiej od r. 1826-1874 pastor Jan Winkler, uświadomiony Czech, rodak ze Vsetína na Moravě, korespondent praskich Květów Tyla. W tym czasie śpiewali ewangelicy jeszcze z kancjonału J.Třanovskiego. Lecz jego następca, zmarły w ub. r. Franciszek Michejda Nawsie spolszczył* (Památník. K sokolským zájezdům na Těšínsko v roku 1922, s. 64). Jednakowoż na Śląsku Cieszyńskim był zmuszony przystosować się do mowy ludu miejscowego i nawet czynnie uczestniczył przy zakładaniu niektórych organizacji polskich, a swoje artykuły publikował w Gwiazdce Cieszyńskiej, oczywiście w języku polskim, wprawdzie niedoskonałym, ale polskim. W zborze nawsiańskim, obejmującym znaczną część Podbeskidzia, był ogólnie lubiany za rzetelne wykonywanie swych obowiązków, za niesienie bezinteresownej pomocy swym bliźnim w razie potrzeby i za walkę ze srożącym się alkoholizmem.

Kilkanaście dni po śmierci pastora J. Winklera, 28 stycznia 1874, ogłosiło prezbiterstwo zboru konkurs na pastora zboru nawsiańskiego. Już w połowie lutego tegoż roku swój udział w nim zgłosił na piśmie ks. Franciszek Michejda. Oto jego treść z zachowaniem pisowni oryginalnej:

Szanowne presbyterstwo!

Niżej podpisany, dowiedziawszy się, iż posada pastora ewangelickiego w zborze Nawsiańskim, przez śmierć ś.p. Ks. Winklera, została opróżnioną, pozwala sobie niniejszem zgłosić się jako Kandydat o tę posadę do Szanownego presbyterstwa, oświadczając oraz swoją gotowość na wezwanie Szanownego presbyterstwa odstawić się w Nawsiu i ordynować tamże nabożeństwo.

Nie mając przypadkowo świadectw moich z odbytych studjów i exzaminów w ręku nie mogę takowych w tej chwili Szanownemu presbyterstwu przesłać, lecz postaram się, skoro by szanowne presbyterstwo sobie tego życzyło, żebym mu je mógł przedłożyć.

Dla bliższej cokolwiek mojej osobie wiadomości, pozwalam sobie następne przytoczyć data. Jestem rodem ze Szląska w zborze Cieszyńskim, uczęszczałem na gimnazjum w Cieszynie (niemieckie - S.Z.), *teologiczne studja ukończyłem w Wiedniu, Lipsku i Jenie. Po złożeniu examinu teologicznego w roku 1870, zostałem przez zbór ewangelicki w Bielsku wybranym na wikarjusza superintendencjalnego Księdza superintendenta Schneidra, a za półtora roku, w jesieni roku 1872 na pastora zboru ew. Brigidau w Galicji, gdzi e dotąd przebywam i pełnię obowiązki pasterskie.*

O łaskawą upraszając odpowiedź, zostaję dla Szanownego presbyterstwa z wszelkiem poważaniem Franciszek Michejda pastor. Brigidau 11/II. 74. Mój adres: Brigidau, poczta: Stryj Galicja.

Wybory nowego pastora odbyły się 3 maja i w tydzień później 10 maja 1874 roku. Przytoczymy protokół z ich przebiegu, sporządzony prawdopodobnie przez jednego z prezbiterów, ale już nie tak piękną polszczyzną (z zachowaniem pisowni oryginalnej):

Protokół Wyboru Księdza pastora na miejsce osierocałej świętej pamiątki Księdza Jana Winklera w Kościele Nawiejskim ewangielickim dnia 3 Maja 1874. po nabożeństwie.

Gdyż co domaga ustawa Kościelna wykonano od strony Presbiterstwa jako to wypisani Konkursu przedstawienie zabiegających się o to miejsce posłochanie tychże ich kazań i wystawienie wyboru na trzeciego Maja 1874 z kazalnice 19. i 26 kwietnia, zgromadziło się Zebranie po nabożeństwie w kościele, przytomni Ksiądz pastor Koczi z Bystrzicy i zgromadzeni wyborcy do tego zaproszeni.

Ksiądz pastor czyta wymagania wyboru z ustawa kościelnej, wzywa do wyboru Komisyji, pisarzy i Prezesa i oddawa sprawę wyboru tej Komisyji, jako jest niżej podpisana.

Dla braku czasu ustanowiła Komisyja na przyszłą niedzielę wybór dokończyć gdyż przytomni z innych gmin głosy oddali oprocz Nawsia.

Oddane głosy Kartkami w liczbie 112. oddały się gdy je Komisyja zapieczętowała Kościelną pieczęcią do skrzynie kościelnej.

Ciąg dalszi wyboru przytomności wyborców zgromadzonych Komisyje wyborczej i księdza pastora z Bystrzycy rozpoczyna się popołudniu 10 go Maja 1874 gdyż oddali wszyscy przytomni dalsze głosy swoje oświadczyło się że wybor będzie ostateczny. Skrutiniją wydało że się oddało głosów wszystkich 292. wyborców liczba wszystkich jest 396 tedyć dała większość głosy swoje.

S tych 292 głosow trafiło:

Na Księdza pastora Michejde z Brigidowa 276. głosow. Na Ks. past. Kożdonia z Jozefowa 14 głosow, 2 głosy na Księdza Badure, który o to miejsce się nieubiegał i zaniepłatne są uznane.

Więc wychodzi, że Ksiądz pastor Michejda prawie według Ustawy Kościelnej za pastora tutajszego wybrany jest.

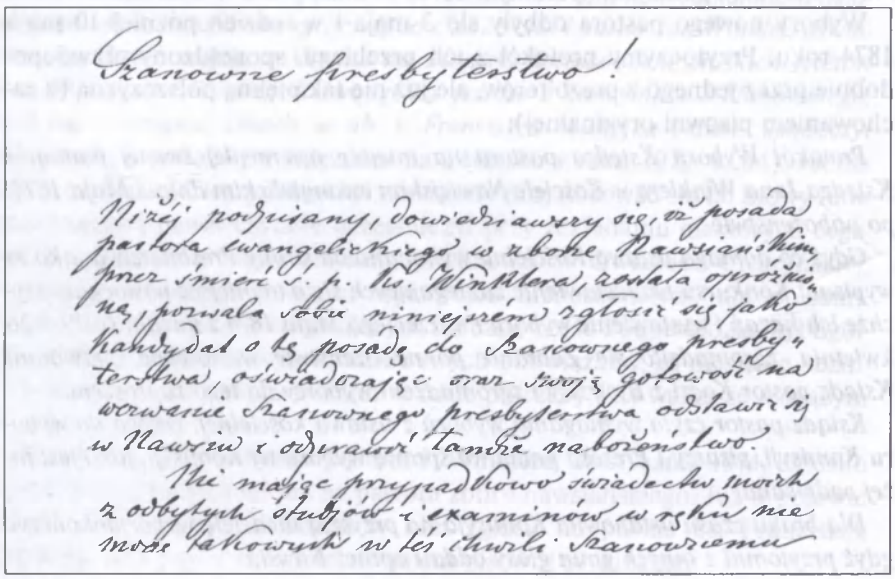
Co się przytomnę wyborcom ogłosziło.

Coramene
Oskar Kotschy
Ks. pastor w Bystrzycy

Podpisy Komisyji wyborczej
Adam Sikora, Adam Fizek, Paul Stonawski, Paweł Heczko, Josef Kantor, Paweł Nikodem, Johann Rakus.

W ten sposób rozpoczął ks. Franciszek Michejda swoją żmudną, ale jakże bogatą i owocną działalność na polu kościelnym, społecznym i narodowym.

STANISŁAW ZAHRADNIK


Szanowne presbyterstwo!

Niżej podpisany, dowiedziawszy się, że posada pastora ewangelickiego w ubogie Nawsiańskim, przez śmierć ś. p. ks. Winklera, została opróżniona, pozwala sobie niniejszem zgłosić się jako kandydat o tę posadę do Szanownego presbyterstwa, oświadczając oraz swoją gotowość na worowanie Szanownego presbyterstwa odstawić w Nawsiu i odprawić tamże nabożeństwo.

Nie mając przypadkowo świadectw moich z odbytych służbów i examinów w ręku nie mogę takowych w tej chwili Szanownemu

WSPOMNIENIA O WICIE - WŁADYSŁAWIE MICHEJDZIE (3)

Wit był adiutantem majora Ostrowskiego. Jednakże na tym jego rola się nie kończyła. W całej pracy nad organizacją siły zbrojnej na terenie plebiscytowym w Cieszyńskiem pokazał lwi pazur. Naszkicował ogólny plan poszczególnych elementów brygady. Przewidział ich rozlokowanie, co zależało od znajomości terenu i znajomości nastrojów ludności w poszczególnych powiatach. Wiedział dokładnie, gdzie można z całą pewnością liczyć na powodzenie, a gdzie należy postępować z wielką oszczędnością. Dobierał współpracowników według swojego uznania i należy przyznać, iż nie popełniał w tym względzie pomyłek.

W trakcie tej pracy doglądał osobiście organizacji w powierzonych mu miejscowościach. Z Komitetu Plebiscytowego otrzymał do swej dyspozycji samochód i korzystał z niego jako pracownik Komitetu, mając odpowiednie legitymacje zawsze przy sobie. W rzeczywistości jeździł w sprawach wojskowych. Docierał do wszystkich pododdziałów, sprawdzał ich stan i spoistość organizacyjną, służył radami, sam cierpliwie wysłuchiwał próśb i postulatów ze strony dowódców terenowych. Często wyjeżdżałem razem z nim i dokładnie zrozumiałem, jak olbrzymie trudności należało pokonać. Wyjazdy takie dochodziły do skutku o każdej porze dnia w zależności od potrzeby czy ważności sprawy. Zdarzało się nieraz, że koło północy wyjeżdżaliśmy z Cieszyna do Frysztatu, Trzyńca, Jabłonkowa czy innej miejscowości. Organizacja wojskowa składała swe raporty i sprawozdania liczbowe do Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie przez Dowództwo Okręgu Korpusu w Krakowie. Raporty te odwoził Wit nie do Krakowa, ale do Dowództwa Garnizonu w Białej, dokąd udawał się samochodem. Garnizon w Białej kierował raporty dalej we własnym zakresie drogą służbową do Warszawy via Kraków. Raporty takie wysyłano co kwartał. Kilkakrotnie towarzyszyłem Witowi w drodze do Białej.

Pamiętam dokładnie jeden taki wyjazd, który o mało nie skończył się tragicznie. Jechaliśmy do Białej, wioząc świeże raporty o ukończonej organizacji całej formacji. Gdzieś pomiędzy Skoczowem a Jaworzem zauważyliśmy jadący naprzeciw nas wojskowy samochód z żołnierzami włoskimi. Mieli oni zwyczaj legitymowania osób poruszających się samochodami. Struchleliśmy obaj, zaś Wit oświadczył: - Nie pozwolimy się wylegitymować! Co będzie, to będzie, przygotujmy pistolety! - Na szofera zaś krzyknął: - Jechać jak najszybciej, bez zatrzymywania! - Samochody zbliżały się w szybkim tempie i mijały nas nawet bez zmniejszania prędkości. Nie zdołaliśmy nawet zauważyć, czy żołnierze mieli zamiar nas zatrzymać czy nie. Napięcie nerwów ustąpiło. Praca taka wymagała ogromnego opanowania i wytrzymałości nerwowej,

lecz z uwagi na ostateczny cel staraliśmy się nie tracić równowagi w żadnej sytuacji.

Pozostawała do wykonania druga, równie ważna praca, polegająca na uzbrojeniu całej siły zbrojnej. Była to praca może jeszcze bardziej absorbująca od niedawno ukończonej organizacji wojskowej. Broń i materiały trzeba było przewozić w sposób niezwykle konspiracyjny. Nie wolno było pod żadnym pozorem pozwolić sobie na ujawnienie sprawy, do której przywiązywaliśmy wielką wagę.

Okres prac przygotowawczych plebiscytu zbliżał się ku końcowi. Wszelkie horoskopy wskazywały na pomyślne załatwienie sprawy Śląska dla Polski. Działacze plebiscytowi byli jak najlepszej myśli. Lecz losy Śląska potoczyły się w sposób dla nas zupełnie nieoczekiwany. Zależało to w lwiej części od ogólnej sytuacji politycznej Polski, a sytuacja ta zaczęła się kształtować na naszą niekorzyść. Zaczęło się od ofensywy na Kijów, jaką wiosną 1920 roku zarządził marszałek Piłsudski. Może plan cały był bardzo dobry, lecz brakło na jego wykonanie sił. Z początku ofensywa ruszyła z miejsca i wkrótce wojska polskie zdobyły stolicę Ukrainy. Lecz wtedy odwróciło się szczęście od naszych armii i pod naporem dużych sił sowieckich, a zwłaszcza konnej armii Budionnego, zaczął się odwrót pod Warszawę. W okresie najbardziej niekorzystnym dla Polski Komisja Pokojowa w Wersalu powzięła decyzję w sprawie Śląska Cieszyńskiego, przy czym wbrew opinii Polski rozważano, czy nie należałoby rozwiązać sprawy Śląska bez przeprowadzania plebiscytu. Pod naciskiem Francji, biorąc pod uwagę ciężką sytuację kraju, rząd nasz wysłał do Wersalu zaopatrzoną w pełnomocnictwa delegację pod przewodnictwem Paderewskiego. Biorąc pod uwagę fakt, że wojska sowieckie były u bram Warszawy, Paderewski uległ naciskom i złożył podpis na dokumencie rozwiązującym sprawę Śląska przez jego podział, a przewidującym linię graniczną od Piotrowic na rzece Olzie przez Cieszyn, dzieląc miasto na dwie części, a dalej wzgórzami leżącymi na południe od wsi Błogocice, Puńców, Dzięgielów do szczytu Czantorii, w dalszym ciągu szczytami przez Soszów, Cieślar, Stożek aż do granicy słowackiej, zostawiając po polskiej stronie wsie Koniaków, Istebną i Jaworzynkę.

Społeczeństwo na Śląsku Cieszyńskim było oszołomione i wytrącone z równowagi, lecz uczucia te były tłumione grozą sytuacji na froncie wojennym, kiedy to Polska zdana była na własne siły, nie mogąc liczyć na jakąkolwiek pomoc. Transporty broni kierowane z Francji do Polski natrafiały na przeszkody w Gdańsku, gdzie robotnicy portowi sabotowali ładunki przeznaczone do Polski, odmawiając ich przeładunku, oraz w Czechach, gdzie wszelkimi siłami starano się opóźnić transporty, ciesząc się z naszego niepowodzenia. Tak przedstawiała się sytuacja historyczna w momencie podjęcia decyzji o podziale Śląska. W konsekwencji tych wydarzeń przystąpiono do likwidacji Komitetu Plebiscytowego i wszelkich spraw związanych z jego pracami, a zatem do likwidacji całej organizacji sił zbrojnych, zwłaszcza że żołnierze zwolnieni na plebiscyt, a w szczególności oficerowie, byli pilnie potrzebni w oddziałach i for-

macjach walczących na froncie. Nawet przed zapadnięciem decyzji o podziale Śląska duża liczba oficerów otrzymała telegraficzne powołanie do służby. Każdy, kto otrzymał powołanie, nie oglądając się na nic, pakował walizkę i wyjeżdżał do swego oddziału.

Po podjęciu decyzji o podziale Śląska zebraliśmy się wszyscy - major Ostrowski, jego sztab i oficerowie ściśle współpracujący ze sztabem - w kawiarni w Cieszynie, która była naszym punktem zbornym w pracy plebiscytowej. Major Ostrowski zakomunikował nam oficjalnie o losach Śląska Cieszyńskiego i oświadczył, że z rozkazu Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie rozwiązuje organizację - do likwidacji zatrzyma kilka osób, zaś cały zespół oficerski uda się niezwłocznie do pułków zgodnie z otrzymanymi wezwaniami. Następnie w gorących słowach podziękował wszystkim oficerom za współpracę, podkreślając, że zostaliśmy pokonani nie siłą, ale machinacjami politycznymi, na które nie mieliśmy i nie mogliśmy mieć żadnego wpływu. Po zakończeniu przemówienia majora Ostrowskiego zaległa na sali przygnębiająca cisza, którą przerwał wybuch męskiego szlochu Wita. Za nim poszła cała rzesza oficerów znajdujących się na sali. Nikt nie zabrał głosu, nikt nie przemówił słowem. W przygnębieniu rozeszli się wszyscy do domów, myśląc już o czekającej nas tułaczce wojennej. A działo się to w miesiącu wrześniu 1920 roku.

Rozjechaliśmy się wszyscy do różnych pułków, lecz stosunkowo na krótki okres czasu. Po paru tygodniach, kiedy armia polska kontruderzeniem zmusiła wojska sowieckie do odwrotu aż na Białoruś i Ukrainę, nastąpiło zawieszenie broni; przy czym w Rydze spotkali się przedstawiciele Polski i Związku Sowieckiego z zamiarem przeprowadzenia rozmów o zawarciu pokoju. Pertraktacje pokojowe doprowadziły rzeczywiście do pozytywnego rezultatu. Zawarcie pokoju w Rydze znane jest w historii jako Traktat Ryski. Ministerstwo Spraw Wojskowych nie czekało na zawarcie pokoju, lecz jeszcze w roku 1920 zaczęto częściowo demobilizować starsze roczniki. Natomiast 20 grudnia 1920 roku wyszedł rozkaz Ministerstwa Spraw Wojskowych polecający poszczególnym jednostkom wojskowym niezwłoczne zwolnienie z wojska wszystkich akademików. W ten sposób z dnia na dzień znaleźliśmy się w cywilu, po sześciu latach służby, z czego cztery lata w armii austriackiej, zaś dwa lata w Wojsku Polskim. Radość była powszechna, zwłaszcza że tułaczki wojennej mieliśmy wystarczająco dużo. W pierwszych dniach stycznia 1921 roku znaleźliśmy się na wyższych zakładach naukowych i zabieraliśmy się z zapałem do pracy, która w efekcie miała dać dyplom. I właśnie w tym okresie, kiedy rozpoczynaliśmy bądź wznawialiśmy studia, rozeszły się nasze drogi z Witem. Pojechał on do Krakowa, by tam na Uniwersytecie Jagiellońskim kontynuować studia prawnicze, ja natomiast pojechałem do Warszawy, gdzie już w 1919 roku wstąpiłem do Szkoły Głównej Handlowej. Pracę zawodową rozpoczęliśmy również w innych miejscowościach: Wit w Katowicach, ja w Gdańsku i Warszawie. Odległość miejsc pobytu i różnorodność pracy zawodowej

nie sprzyjały podtrzymywaniu dalszych przyjacielskich stosunków towarzyskich, chociaż każde nasze nawet przypadkowe spotkanie połączone było z prawdziwym wzruszeniem. Taka była historia przyjaźni mojej z Witem.

Zasługuje jeszcze na wspomnienie pewne wydarzenie, które rzuca światło na epokę naszej młodości. W czasie plebiscytu pojawiła się na Śląsku pani Corletto, zamieszkawszy w Wiśle. Posiadała ona zdolności nadprzyrodzone, krótko mówiąc, była jasnowidzącą. Swoimi wypowiedziami wywołała wówczas dużo sensacji. Przemawiała do osoby, z którą przeprowadzała seans, nie dosłownie, ale obrazami. Tak na przykład, gdy oddziały polskie zajęły Kijów, oświadczyła pani Corletto, że Wojsko Polskie poniesie klęskę i rozpocznie odwrót aż pod Warszawę. Mówiła, że widzi niedźwiedzia idącego ze wschodu na zachód. W niedźwiedzia tego godzą strzały, których w miarę pochodu na zachód ma coraz więcej w swoim ciele. Wreszcie pod Warszawą jest tak osłabiony, że wstrzymuje swój pochód i zawraca na wschód. Innymi słowy przewidywała, że Wojsko Polskie odniesie zwycięstwo pod Warszawą. Władze wojskowe chciały panią Corletto zaaresztować, lecz przedstawiciele społeczeństwa wyjaśnili, że jest ona nie tyle niebezpieczna, co nieszkodliwa. Otóż postanowiliśmy pewnego razu z Witem udać się do owej jasnowidzącej i poprosić ją o uchylenie rąbka tajemnicy naszej przyszłości. Seanse z tą panią odbywały się w sposób dosyć dziwny. W zaciszu ogródka siadała ona na ziemi, zakrywała twarz rękoma i zaczynała mówić. Przyznać muszę, że przemówienia pani Corletto były nawet interesujące. Zawsze przeplatała swoje wypowiedzi obrazami-symbolami, czasem mglistymi, czasem nawet wyraźnymi. Witowi przepowiedziała dokładnie przebieg służby wojskowej z podaniem ilości odniesionych ran. Ostrzegła Wita, by nie wyjeżdżał na front, bo skończy się to dla niego tragicznie. W ogóle powinien unikać wojny. Mnie natomiast wyjaśniła, że w obecnej wojnie nie pojedziemy na front ani Wit, ani ja. Rzecz bardzo znamienna, bo istotnie w roku 1920 nie wyjechałem na front z powodu zawieszenia broni podobnie jak Wit.

Kończę moje wspomnienia o Wicie. Przyjaźń nasza zrodziła się na ławie szkolnej i wytrzymała próbę wojny oraz plebiscytu, a więc czasu bardzo trudnego i niebezpiecznego. Nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic, żadnych niedomówień. Uważam, a jest to moje mocne przekonanie, że Wit był człowiekiem wspaniałym, gotowym do wszelkich poświęceń za wolność Polski; w stosunkach międzyludzkich był uczynny, wyrozumiały, gotów w każdej chwili do niesienia pomocy, gdy tylko zachodziła tego potrzeba. Tego ro dzaju opinię wypowiadali koledzy-oficerowie, z którymi współpracowaliśmy w czasach opisanych w mym wspomnieniu.

JÓZEF GÓRNIAK
Warszawa, w grudniu 1969 i styczniu 1970 roku



Józef Górniak w szkole kadetów w Piotrkowie Trybunalskim – rok 1915

CHCĘ ROBIĆ DOBRY TEATR

ROZMOWA Z DYREKTOREM TEATRU CIESZYŃSKIEGO KAROLEM SUSZKĄ

Wrócił Pan do Teatru Cieszyńskiego po kilkuletniej przerwie, tym razem jako władza najwyższa - dyrektor - na krótko przed jubileuszem Sceny Polskiej. A przecież ze Sceną Polską - jako aktor - jest Pan związany od początku swej kariery zawodowej. Powspominajmy trochę. Jak zaczęła się Pańska miłość do teatru?

Ze Sceną Polską jestem związany od 1959 roku. Jeszcze przed maturą w czeskocieszyńskim gimnazjum zaproponowano mi wzięcie udziału - jako statysta - w przedstawieniu „Rewizora" Gogola. Była tu wtedy pani Wróblewska, reżyser z Teatru Narodowego w Warszawie, i ona podobno powiedziała do reżysera „Rewizora" dyrektora Józefa Zajíca: Niech pan zaangażuje tego człowieka. I tak w marcu 1959 roku, jeszcze przed maturą, już byłem jakby pracownikiem tego teatru. Przez dwa lata grałem w teatrze jako adept, później poszedłem na studia do szkoły teatralnej w Warszawie, po nich wróciłem do Sceny Polskiej. Po jakimś czasie chciałem zrezygnować z teatru, stwierdziłem, że nie ma w nim już dla mnie miejsca. Te dziesięć lat między trzydziestką i czterdziestką to jest takie vacuum, dopiero później zaczynają się role dla aktorów. Miałem kryzys aktorstwa. Widząc to, pan dyrektor Kordula i pan kierownik Nowak zaproponowali mi studia reżyserskie.

A więc to nie jest tak, że aktor zostaje reżyserem, bo wydaje mu się, że sam zrobiłby przedstawienie lepiej?

Nie, ja w ogóle nie myślałem o reżyserii, to mnie nie interesowało. Ja wtedy po prostu byłem przekonany, że skończyłem się jako aktor. Nie było dla mnie ról, nie byłem obsadzany. Napisałem wymówienie z teatru. I wtedy dyrektor Kordula zaproponował mi, żebym spróbował pójść na reżyserię. Napisałem do Pragi, dostałem temat: „Balladyna" Juliusza Słowackiego, opracowałem go, wysłałem egzemplarz reżyserski i zostałem przyjęty. Po skończonych studiach wróciłem do Sceny Polskiej już jako reżyser. Potem zostałem kierownikiem artystycznym.

Przez dziewięć lat był Pan kierownikiem artystycznym Sceny Polskiej,

później kierował Pan także Sceną Czeską tego teatru. Aktorstwo kończył Pan w Warszawie, reżyserię w Pradze. Czy dobra znajomość polskiego i czeskiego teatru ułatwiała Panu pracę?

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, nie interesowało mnie, czy to jest polskie czy czeskie. Żadne prądy, „izmy" mnie nie interesowały. Chciałem robić dobry teatr.

Kierował Pan Sceną Polską i Czeską, teraz szefuje Pan całemu teatrowi. Jak dyrektor może wpływać na artystyczny kształt teatru? Czy w tym konkretnym wypadku, kiedy jest Pan również reprezentantem branży artystycznej, nie wchodzą sobie panowie – Pan i Rudolf Moliński, kierownik artystyczny Sceny Polskiej, w drogę?

Nie. Nie podejmuję żadnych decyzji bez konfrontacji z kierownikiem artystycznym. Pan Moliński ma pełną swobodę działania. Wychodzę z pozycji, którą ja miałem. Ja miałem ten luksus robienia teatru, że dyrektor mi nie wchodził w paradę. I nie cierpię z tego powodu, że kolega Moliński jest kierownikiem, bo ja już tym kierownikiem byłem. Jako dyrektor mam koordynować, mam zapewnić finanse, żeby kierownicy mogli robić swoją robotę.

Jest Pan dyrektorem, jednocześnie reżyseruje Pan i gra, pracuje społecznie, czy nie za dużo ról na jedną osobę?

Nie, bo po prostu to lubię. Lubię reżyserować, lubię grać. To jest sama przyjemność bycia na scenie, z tymi ludźmi, którzy przychodzą, cieszą się na to przedstawienie. To wręcz nie jest praca. W teatrze jako dyrektor spotykam się z ludźmi, którzy wiedzą, co mają robić. W związku z tym nie musi człowiek na nich krzyczeć, nie musi wyciągać konsekwencji, nie musi karać, bo oni wiedzą, na czym ich praca polega. Jako reżyser robię teraz „Dziady". Są to takie piękne historie, kiedy dochodzimy do porozumienia, że to chyba o to chodzi. I jestem przekonany o tym, że oni to bardzo ładnie robią. Że to nie jest wulgarne ani prymitywne, nie jest to jakieś takie oszustwo. Jeżeli powiem, bardzo nieskromnie, że troszkę jakby tę pracę rozumiem, trochę wiem, na czym polega, to to nie jest pracą, jest to przyjemnością. I aktorstwo, i reżyseria, i dyrektorowanie.

Scena Polska ma od początku swego istnienia konkretnego widza. Zespół teatru wie dokładnie, dla kogo robi przedstawienia. Na ile może ulegać gustowi widza, a na ile próbować go zmienić, inaczej ukształtować jego sposób myślenia o teatrze?

Teatr nie ma funkcji wychowaw-

czej. O ile o mnie chodzi, nigdy nie kierowałem się gustami publiczności, co wcale nie znaczy, że nie wiedziałem, co dla niej grać. O wartości teatru świadczą li tylko jego przedstawienia, które raz są gorsze, a raz lepsze. A co do gustów publiczności, twierdzę z całą świadomością, że nasza publiczność, konkretnie publiczność Sceny Polskiej, jest wyjątkowa i jedyna, jedyna na całym świecie. Nie ma publiczności, która przyszłaby sześć razy w ciągu roku do teatru. Jeżeli gdzie indziej ktoś raz czy dwa w ciągu roku przyjdzie do teatru, to jest sukces niesamowity. A nasza publiczność cierpliwie przychodzi. Strasznie mnie boli, że w tej chwili gramy tylko osiem czy dziewięć razy. A już w ogóle nie mogę sobie darować, że nie przychodzi na Scenę Polską młodzież. Z tym, że już jestem po wstępnych rozmowach z nauczycielami, nie tylko języka polskiego, z pedagogami, a dla mnie pedagogika jest jedną z najszlachetniejszych działalności w społeczeństwie, że prawdopodobnie będzie trzeba wrócić do systemu abonamentowego dla młodzieży, żeby młodzież wręcz obowiązkowo do tego teatru chodziła.

Przygotował Pan spektakl dwuosobowy „Proszę, zrób mi dziecko", z którym wyjeżdża Pan także do Kół PZKO. Czy to oznacza, że Scena Polska po pięćdziesięciu latach znowu dosłownie wychodzi do widza, wraca do pracy od podstaw, do szukania widza?

My robimy ciągle to samo, my ciągle wracamy. Ja twierdzę, że Scena Polska jest niechcianym dzieckiem społeczeństwa. Czy to, że pan Niedoba chodził co roku od chałupy do chałupy i montował abonentów, świadczy o tym, że pan Niedoba lubił chodzić, czy też, że musiał chodzić, by teatr mógł funkcjonować, z tego powodu, że w trakcie sezonu ludzie oddali abonament. Sam byłem świadkiem, kiedy w Bystrzycy z panem Gogółką zmontowaliśmy bodajże 350 abonentów, a na drugi rok było 50, ale warto było grać nawet dla 50. Jeździłem później po Kołach i mówiono mi: A panie, bo gracie takie sztuki... Wziąłem repertuar z ostatnich pięciu lat i pytam, co było złego. No, dobre, dobre, dobre, no, to było bardzo dobre, bardzo dobre, bardzo dobre... i z tych czterdziestu pozycji repertuarowych, które zaproponowałem, uznano, że dwie, trzy były takie, o których powiedziano: Tego nam w ogóle nie pokazujcie, część była trochę dobra, trochę zła, a reszta była dobra i bardzo dobra. Co więc robić? Proszę mi wierzyć, że nie wiem. Wiem jedno, przedstawienie musi być dobre.

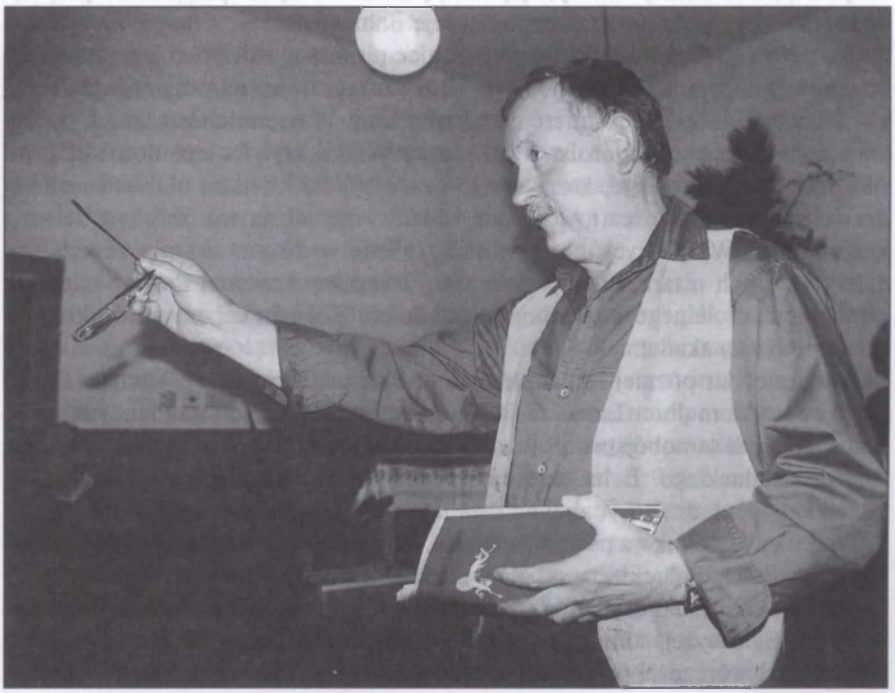
Teatr kończy pięćdziesiąt lat. Jaka jest dziś Scena Polska, a jaka powin-

na być? Czy można mówić o perspektywach?

Myślę, że powinniśmy wrócić do tego, i tu już jesteśmy po rozmowach z kierownictwem Sceny Polskiej, żeby jak najwięcej aktorów było „tu stela", z naszego terenu. Byli Drössler, Foniok, Szymik, Branny itd. i uciekli, ale to jest normalna kolej rzeczy. Janek Szymik czy Janek Monczka opowiada w Warszawie, w Krakowie czy w Pradze, że pochodzi z Czeskiego Cieszyna i że grał i zaczynał w Czeskim Cieszynie, Bronek Poloczek, występując w Teatrze Narodowym w Pradze, pisze nazwisko po polsku i nie ukrywa, że jest wychowankiem Sceny Polskiej, i ci ludzie pracują na tę Scenę Polską. W związku z czym jak największa ilość naszych ludzi, naszej młodzieży powinna studiować aktorstwo w szkołach teatralnych, żeby wrócić. Część zostanie tam, część wróci. Ale będzie to nasz teatr, jedyny, niepowtarzalny na całym świecie. Jest to nasz teatr, ludzi, którzy mówią o naszych sprawach, o naszych historiach, naszym językiem.

Dziękuję za rozmowę.

CZESŁAWA RUDNIK



Karol Suszka czytający wiersze na jednej z jabłonkowskich Kawiarenek Pod Pegazem

GORZKI UŚMIECH MICHAŁA BAŁUCKIEGO
(w setną rocznicę śmierci pisarza)

Ten świat, o którym książki mówią: znam go, przeminąłby, jak tyle innych błazeństw, gdyby go w noc natchnioną w sercu swym nie zamknął jako w szkatule złotej, dobry pan Bałucki...

Konstanty Ildefons Gałczyński

Tragedia na Błoniach

Pewnego ponurego październikowego wieczoru 1901 rozległy się na Błoniach krakowskich trzy strzały. Pierwsze dwa były strzałami próbnymi, trzeci samobójczym. Na życie targnął się jeden z najpopularniejszych komediopisarzy drugiej połowy XIX wieku - Michał Bałucki. Zaroiło się wówczas na łamach dzienników krakowskich od najróżniejszych domysłów, plotek a także faktów oczywistych. Z tamtej lektury wyłania się kilka istotnych spraw, które prawdopodobnie złożyły się na ostateczną decyzję Bałuckiego.

Na pewno głęboko odbiło się na psychice pisarza morderstwo jego matki dokonane przez byłą służącą. W rok po ślubie utrata nowo narodzonego dziecka, a w kilka tygodni później śmierć ukochanej żony. W ostatnich zaś latach poczucie niepewności bytu, choroba, a przede wszystkim krytyka jego dorobku twórczego. Sztuki Bałuckiego, który swego czasu był tak wielkim ulubieńcem publiczności i ściągał do teatrów tysiące widzów, niemal na rok zniknęły ze scen krakowskich. Wpływ tych przeżyć niewątpliwie w dużym stopniu zaważył na dalszych losach pisarza. Jakby mało tego, ówczesny kardynał Puzyna odmówił samobójcy kościelnego pogrzebu, co odbiło się głośnym echem wśród krakowskiej młodzieży akademickiej.

W dziesięć lat później społeczeństwo polskie uczciło pamięć Michała Bałuckiego pomnikiem dłuta Tadeusza Błotnickiego, wystawionym na Plantach, gdzie pisarz popełnił samobójstwo. Rąbka tajemnicy ujawniła wydana korespondencja teatralna Bałuckiego. Echa tego smutnego okresu znalazły wyraz w powieści „Przeklęte pieniądze", wydanej na dwa lata przed śmiercią pisarza.

Wnikliwy czytelnik na pewno zauważył, iż motyw samobójstwa nieraz pojawia się w utworach Bałuckiego, od najwcześniejszych powieści, że wymienimy tu chociażby „Żony niewolników", „Młodzi i starzy", „Tajemnice Krakowa", „Żydówka", „Byle wyżej" i inne, do ostatniej komedii „Blagierzy" z 1900 roku. Również w jego twórczości poetyckiej często spotykamy się z motywem śmierci.

Stwierdzić natomiast wypada, iż mimo tych wszystkich zmartwień Bałucki był człowiekiem wyjątkowo pracowitym, który współczesnym i potomnym przekazał ponad trzydzieści powieści, tyleż komedii, dziesiątki tomów niezebranej nigdy nowelistyki, z okresu wczesnego zaś sporo młodzieńczej poezji.

Sam fakt, iż jeszcze za życia Bałuckiego pojawił się w latach 1885-1893 pierwszy 14-tomowy wybór „Pism Michała Bałuckiego", świadczy o szacunku społeczeństwa wobec pisarza. Wybór pomijał jednak wiele cennych pozycji, zwłaszcza najlepsze nowele i komedie. Co więcej, skreślono w tym wyborze szereg aluzji politycznych i patriotycznych. Drugie, z 1956 roku, 12-tomowe wydanie zbiorowe „Pism Bałuckiego" ze wstępem Tadeusza Drewnickiego było dotychczas jedynym opracowaniem krytycznym (pomijamy poszczególne utwory wydawane w serii Biblioteki Narodowej), w którym po raz pierwszy pojawiły się niektóre komedie i nowele w formie książkowej.

Z warsztatu twórczego Bałuckiego

Podobnie jak wielu innych pisarzy drugiej połowy XIX wieku również Bałucki preferował przede wszystkim epikę, szczególnie powieść realistyczną. W Przeglądzie piśmiennictwa (1865) wypowiedział się na ten temat: *Każdy biorący pióro do ręki powinien zapytać się siebie samego: po co piszę? Bo jeżeli nie może powiedzieć ludziom nic nowego, jeżeli po przeczytaniu jego powieści nie zostanie w duszy czytelnika nic prócz kilku pogmatwanych, zawiłych intryg, kilka efektownych sytuacji lub, co gorsze, gorzki osad rozczarowania, ironii, to lepiej niech rzuci pióro zawczasu - jego milczenie policzy mu się za zasługę...*

Ale nie powieści zdobyły mu sławę, chociaż wyróżniają się spośród nich takie jak np. „Pan Burmistrz z Pipidówki", w której wprowadził po raz pierwszy określenie „Pipidówka" na oznaczenie zapadłej, w nędzy i zacofaniu bytującej miejscowości. Powieść jest znakomitą satyrą na klasę, z której Bałucki wyszedł, a która okazała się niezdolna do odegrania samodzielnej roli.

W innych powieściach usiłował przeszczepić na grunt galicyjski ideologię określaną mianem pozytywizmu. Nie brak takich, w których zaatakuje szlachtę („Błyszczące nędze", „Pańskie dziady"), czy też pełne patriotyzmu powieści „Przebudzeni" oraz „Młodzi i starzy" przedstawiające dzieje powstania w świetle walk klasowych. Z nowel na uwagę zasługuje przede wszystkim tom nowel „Typy i obrazki krakowskie", czerpane z ówczesnej atmosfery życia rodzinnego miasta. Od 1869 roku Bałucki został kronikarzem popularnego wówczas Kraju, na łamach którego prowadził kronikę felietonową. Na marginesie warto przypomnieć, iż debiutem literackim Bałuckiego był poemat „Kostyna, czyli dziewczyna spod lasu" zamieszczony w Gwiazdce Cieszyńskiej (1868, nr 22-25).

Tymczasem największą żywotność przyniosły mu, zresztą do dziś wystawiane, świetne komedie z ciekawymi obserwacjami obyczajowymi, a także z dobrze

scharakteryzowanymi postaciami reprezentującymi środowisko szlacheckie, arystokratyczne, mieszczańskie i urzędnicze tamtych czasów. Bałucki wprowadzał na scenę znakomicie skonstruowane postacie bawiące widownię swymi śmiesznymi konfliktami dotyczącymi spraw w życiu nieistotnych. Z pierwszego okresu są to m.in. komedie „Polowanie na męża", „Radcy pana radcy", „Pracowici próżniacy", „Krewniaki". Z późniejszego zaś „Sąsiedzi", „Ciężkie czasy", „Gęsi i gąski", „Dom otwarty", „Klub kawalerów" oraz „Grube ryby". Dzięki popularności tych sztuk, zwłaszcza z późniejszego okresu, zwykło się mówić o świecie „bałuczczyzny" oznaczającym świat mieszczański zamknięty w ciasnych ramach ludzkiego bytu, polegający na posiłkach, spacerach, drzemce i partyjce wista.

Góralu czy ci nie żal...

Lata młodzieńcze i lata uniwersyteckie należą na pewno do najszczęśliwszych. Po roku studiów nauk ścisłych przeniósł się na studia humanistyczne, studiując historię grecką i rzymską oraz literaturę polską. Brał w tym czasie żywy udział w różnych pracach społecznych i gronie literackim młodego pokolenia, a także w konspiracji, co nieraz narażało go na baczną uwagę ze strony ówczesnych władz austriackich.

Już poemat „Bez chaty" kosztował go kilka miesięcy więzienia. W czasie powtórnego uwięzienia (1863), tym razem za pracę konspiracyjną, spotkał się w więzieniu z góralem, którego władze austriackie aresztowały w czasie zawieruchy wojennej koło Michałowic w pobliżu ówczesnej granicy rosyjskiej w trakcie wędrówki „za chlebem". Ponieważ pochodził z buntowniczego Chochołowa, żandarmi aresztowali go jako powstańca. Skargi i smutek mieszkańca Tatr (Bałucki był m.in. także zaliczany do odkrywców Tatr) stały się bodźcem do napisania jednego z najpopularniejszych utworów „Za chlebem", przez długi czas żyjącego w bezimiennej tradycji. Nawet w najbardziej reprezentatywnych śpiewnikach pomijano nazwisko autora tekstu piosenki. Bałucki napisał ponadto powieść z życia ludu tatrzańskiego „Góral na dolinach". (Powieść przetłumaczył na język czeski A. Schwab-Polabski, nadając jej tytuł „Horal na rovinách", Praga 1881.)

Być może w utworze „Za chlebem" ujawnił także swoją gorzką wczesną młodość, bo oto już od dwunastego roku życia sam zaczął pracować na „kawałek chleba". Bałucki był synem krakowskiego krawca. Studia uniwersyteckie umożliwiło mu stypendium, które dla niego wywalczyli koledzy.

Czeski rozdział w życiu Bałuckiego

Niewielu jest pisarzy polskich, których twórczość nie tylko odbiła się w Czechach głośnym echem, ale także zakres nawiązanych stosunków z przedstawicielami czeskiego życia kulturalnego był znaczny. Ponadto związki Bałuckiego

z Czechami wykraczały daleko poza zwykłe względy grzecznościowe, mając na uwadze szeroko pojętą wzajemność słowiańską.

Na tak żywy kontakt ze społeczeństwem czeskim złożył się przede wszystkim jego dorobek komediopisarski wystawiany na scenach czeskich. Niewątpliwie były to także kilkakrotne pobyty w Czechach, dokąd jeździł po zdrowie do Marianskich Łaźni i Karolowych Warów (pierwszy pobyt w 1872, ostatni w 1892 roku). Były to wreszcie znajomości z wielu wybitnymi czeskimi polonofilami i pisarzami, że wymienimy tu chociażby Fr. Kvapila, Edw. Jelinka, Fr. Lad. Hovorkę, a także znajomości z przedstawicielami czeskiego życia teatralnego, m.in. dyrektorem Teatru Narodowego Ad. Fr. Šubrtem. Pragę zresztą Bałucki często odwiedzał. Okazyjnie podczas podróży do kąpieli oraz na zaproszenia różnych instytucji społecznych. To miasto zawsze go na swój sposób oczarowało.

Bałucki żywo interesował się teatrem czeskim, o czym świadczy chociażby fakt, iż w dzień uroczystego otwarcia Teatru Narodowego (1881) przesyła serdeczne pozdrowienia zawarte w słowach: Chwała narodowi, który nie poprzestaje na dobrej woli, ale wolę swoją w czyn przemieni. A kiedy pożar zniszczył nowo wybudowany gmach Teatru Narodowego (sierpień 1881), pośpieszył Bałucki także z pomocą materialną. Starał się ponadto popularyzować w Czechach twórczość polskich pisarzy, zwłaszcza E. Orzeszkową.

Z Czechami spotykał się Bałucki także w Krakowie. Gdy w 1884 roku został jubilatem, wybrała się na uroczystości 25-lecia grupa Czeskich Sokołów, w której udział wzięli m.in. Fr. Kvapil, Edv. Jelinek, Fr. Lad. Hovorka (redaktor czasopisma Divadelní listy) oraz Arnoszt Schwab-Polabski. Pod oknem kamienicy na ulicy Floriańskiej, gdzie Bałucki chwilowo przebywał u teściów, urządzili mu wielką manifestację swoich serdecznych uczuć. Wizyta Czeskich Sokołów miała dla Krakowa duże znaczenie. Za przykładem Czeskich Sokołów powołany został do życia Sokół Krakowski, a prezesem wybrano właśnie Michała Bałuckiego.

Na czeskich scenach

Dzieje Bałuckiego na czeskich scenach zapoczątkowuje jedna z najwcześniejszych prób dramatycznych „Polowanie na męża" („Honba na muže"), którą w tłumaczeniu Jerzego Bittnera (Jiří Bittner, 1846–1903), znakomity aktor czeski wywodzący się z okolic Domażlic, z kilkoma kolegami wyruszył do Polski i zaciągnął się do oddziałów powstańczych, został ranny i jakiś czas przebywał w krakowskim szpitalu, nabyte w młodości tendencje polonofilskie znalazły później wyraz w przyswajaniu polskich sztuk na czeską scenę) wystawił już w 1876 roku czeski zespół amatorski w Żebrace. Wznawiana kilkakrotnie nie weszła na sceny zawodowe. Tam pojawił się Bałucki dopiero w marcu 1880 roku z popularną komedią „Krewniacy" („Příbuzní") wystawioną w Czeskim Teatrze Królewskim w reżyserii znakomitego aktora J. Kolara.

Krytyka czeska przyjęła komedię na ogół bardzo przychylnie. Odtąd rozpoczęły się sukcesy sceniczne Bałuckiego w Czechach. W kolejności na czeskich scenach zawodowych i scenie Teatru Narodowego wystawione zostały komedie: „Sąsiedzi" („Sousedé") 1 października 1880 w Nowym Teatrze Czeskim w reżyserii J. Kolara, następnie jedna z najpopularniejszych komedii „Grube ryby" (drukiem pt. „Těžké ryby" pojawiła się w 1883 roku w tłumaczeniu A. Schwaba Polabskiego, po drugiej wojnie zaś w tłumaczeniu J. Koegsmarka pt. „Když ptáčka lapají", maszynopis powielony, Praga 1957, oraz w tłumaczeniu J. Havláska jako „Velké ryby", maszynopis powielony, Praga 1957), której premiera odbyła się 20 września 1882 roku w Nowym Czeskim Teatrze w reżyserii Antoniego Puldy, „Gęsi i gąski" („Husy a husičky") - premiera 20 marca 1883 roku w Teatrze Królewskim w reżyserii A. Puldy, „Po śmierci cioci" („Po smrti tetiné") - premiera 11 lipca 1888 roku w Teatrze Narodowym w reżyserii Jakuba Seiferta, „Klub kawalerów" (zanim „Klub kawalerów" został wystawiony na scenie Teatru Narodowego, grany był pierwotnie w wielu miastach czeskich przez zespoły amatorskie, tłumaczenia dokonał A. Schwab-Polabski, nadając sztuce tytuł „Klub mládenců", Praga 1891) - premiera w Teatrze Narodowym 17 sierpnia 1893 roku w reżyserii Jakuba Seiferta. Ostatnią komedią, którą wystawił Teatr Narodowy, był „Dom otwarty" (pierwszego przekładu pt. „Hostinný dům" dokonał A. Schwab-Polabski, przekład ten nie ukazał się w druku, po raz drugi „Dom otwarty" przetłumaczył O. Krkavec pt. „Domácí ples", Praga 1910), którego premiera odbyła się 6 sierpnia 1896 roku w Teatrze Narodowym w reżyserii Jakuba Seiferta. Dziwi fakt, iż jedna z pierwszych komedii Bałuckiego „Radcy pana radcy", która odniosła trwały sukces sceniczny i zadecydowała o dalszym rozwoju twórczości Bałuckiego, nie weszła na czeskie sceny zawodowe.

Z licznych recenzji (Bałuckiemu poświęcono ponadto szereg przyczynków dotyczących jego twórczości) zamieszczanych na łamach czołowych pism czeskich przytaczam opinię Fr. Lad. Hovorki dotyczącą wystawienia komedii „Gęsi i gąski" z 1883 roku: *Utwór Bałuckiego odznacza się jak wszystkie inne jego sztuki prawdziwym, typowym rysunkiem charakterów, bezpośrednio z polskiego, a dla pisarza najbliższego otoczenia wziętym. Kto zna choć trochę stosunki polskie, zwłaszcza w Galicji, z pewnością to potwierdzi (...). Nie możemy zrozumieć, dlaczego jego utwory wystawiane są na czeskich scenach jeden po drugim; publiczność nie widzi żadnych różnic i stąd może wyrobić sobie dziwne przekonanie o stosunkach w Polsce. Dlatego zwracam uwagę na inne dramaty polskie: Lubowskiego, Blizińskiego, Zalewskiego. Dobrzańskiego, Świętochowskiego, które również są bardzo polskie, a w niejednym nawet przewyższają Bałuckiego - Przedstawienie komedii było znakomite. Stwierdzamy tylko, że w niczym nie pozostało w tyle za krakowskim i lwowskim. Gdyby widział je sam autor, z pewnością byłby zadowolony. (...) Komedią tą był nasz repertuar należycie wzbogacony, co w okresie teraźniejszym, kiedy nie-*

miecka twórczość dramatyczna znajduje się w upadku, a nie wszystkie francuskie sztuki nam odpowiadają, jest dużą zasługą dramaturga, że „Gęsi i gąski" staną się na pewno ulubioną sztuką także na czeskich scenach amatorskich.

Poza wyżej wymienionymi komediami wystawianymi na scenach praskich znaczną popularność zyskały sztuki Bałuckiego w repertuarze czeskich scen amatorskich, a także w repertuarze wędrownych trup teatralnych. Były to m.in. „Polowanie na męża", „Teatr amatorski", „Po śmierci cioci", „Klub kawalerów", „Pozłacana młodzież", „Bilecik miłosny", „Piękna żona", „Dla Józi", „Bajki", „Niewolnice", „Radcy pana radcy" (szczegółowe informacje na ten temat można znaleźć w publikacji Jana Korzennego „Dramat polski na scenie czeskiej do otwarcia Teatru Narodowego", Ostrawa 1975). Bardzo często sztuki Bałuckiego wybierane były przez aktorów czeskich jako sztuki benefisowe.

Już z powyższego zestawienia stwierdzić można, iż Bałucki w pełni zadomowił się w Czechach. Nikt z Polaków nie dorównał mu ani pod względem ilości przedstawień, ani pod względem ilości wystawianych sztuk. Niemal wszystkie przetłumaczone komedie Bałuckiego weszły do różnych serii wydawniczych (Divadelní knihovna, Slovanské divadlo, Vybrané hry divadelních ochotníků, Ochotnické divadlo), z których korzystały przede wszystkim czeskie zespoły amatorskie.

Sam fakt, iż do wybuchu pierwszej wojny ponad trzydziestu tłumaczy dostarczyło społeczeństwu czeskiemu twórczość polskiego komediopisarza, jest niezbitym dowodem ogromnej popularności tego autora w Czechach. Pozycję pisarza w tym kraju ugruntowało własne pióro przy pomocy czeskich przyjaciół - tłumaczy. A przyjaciół miał tu sporo.

Dodać należy, iż z zakresu prozy w języku czeskim pojawiły się powieści „Żydówka", „Biały murzyn", „Za winy niepopełnione", „Byle wyżej", „Pan Burmistrz z Pipidówki", ponadto dziesiątki opowiadań i nowel ze zbiorów „Typy i obrazki krakowskie" oraz ze zbioru „Nowele i obrazki".

Zasłużony propagator Bałuckiego

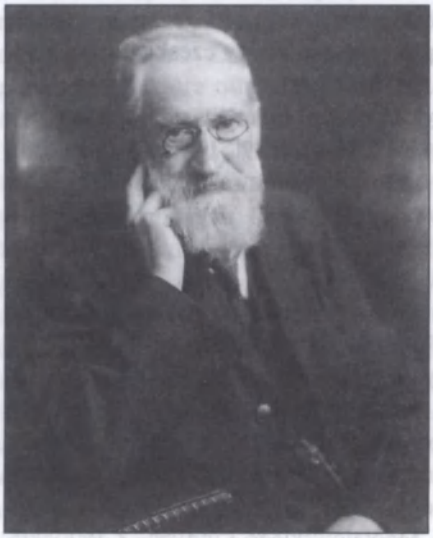
Największe zasługi w przyswajaniu społeczeństwu czeskiemu komedii Bałuckiego położył Arnoszt Schwab-Polabski (1860-1936). Ten skromny urzędnik kasy oszczędnościowej w Brandysie nad Łabą interesował się od wczesnych lat teatrem. W rodzinnym mieście był założycielem teatru amatorskiego i pierwszym jego sekretarzem. Sam redagował pismo Ochotnické divadlo. Żywo interesował się kulturą polską i polskim życiem teatralnym. W jego warsztacie przekładowym znajdziemy m.in. przekłady z twórczości Sienkiewicza, Orzeszkowej, Konopnickiej, Blizińskiego, Maciejowskiego i innych. Z Bałuckiego przetłumaczył, z wyjątkiem kilku, wszystkie wystawiane komedie. Z nim też utrzymywał wyjątkowo ożywioną korespondencję (drukiem w opracowaniu Jana

Korzennego pojawiła się korespondencja A. Schwaba-Polabskiego z Bałuckim w Pamiętniku Literackim, rocznik LII, zesz. 3, s. 199-227, w sumie chodzi o 38 listów z komentarzami autorskimi).

Był w ścisłym kontakcie z dyrekcjami teatrów, wydawcami oraz redaktorami czasopism. W jego bibliotece, która obejmowała najwybitniejsze pozycje literatury polskiej, znajdowała się liczna korespondencja z pisarzami polskimi, m.in. Konopnicką, Orzeszkową, Miłkowskim (T.T.Jeżem), Przybylskim, Sarneckim i innymi, ponadto sporo książek z osobistymi dedykacjami.

Był w swej ojczyźnie jednym z najbardziej ruchliwych popularyzatorów współczesnej dramaturgii polskiej. Na polu zbliżenia kultury obu narodów odegrał rolę wyjątkową. Największą jego zasługą pozostanie wprowadzenie na scenę czeską komedii Bałuckiego, które w dziejach czesko-polskiej współpracy teatralnej stanowią jedno z wielkich i trwałych osiągnięć. Zresztą do twórczości Bałuckiego będą południowi sąsiedzi wracać jeszcze po drugiej wojnie. Twórczość Bałuckiego przyczyniła się w dużym stopniu do wzbogacenia repertuaru słowiańskiego na scenie czeskiej i spełniła poważną rolę w przyswajaniu wzajemnych dóbr kultury. Dodajmy, iż także na Śląsku Cieszyńskim często czerpano z warsztatu twórczego Bałuckiego. Ale to już osobny rozdział.

JAN KORZENNY





A. Schwab-Polabski i jego grób w Brandysie nad Łabą

Premiera KREWNIAKÓW
w Czeskim Teatrze Królewskim



Kr. zem. české divadlo v Praze.

Dnes v sobotu dne 6. března 1880.

91. hra v předplacení.

Po prvé:

Příbuzní.

(Krewniaki.)

Komedie ve 4 jednáních. Napsal Michal Balucki. Z polského přeložil Arnošt Schvab-Polabský. Režisér pan Kolar.
Poctěná první cenou na dramatickém konkurse v Krakově r. 1879.

Pan Vávra a p. Sára ochuravěli.

Předprodeje otevřen od 9 do 1 hodiny zpol. a od 6 hodin večer v kanc. zem. českého divadla.

Začátek o 7 hod. Konec o

Zítra v neděli dne 7. března

Začátek o 7. hodině večer.

Spanilá Peršan

Knihtiskárna Politika v Praze



Nové české divadlo

Dnes ve čtvrtek 26. dubna 1883

179. hra v předplacení.

HUSY

HUSIČKY.

Komedie v 5 jednáních od Michala Balucického. Z polského přeložil Arnošt Schvab-Polabský. Ve scénu uvedl režisér pan Antonín Polák.

Hlupáček, statkář . . . p. Frantíšek
Barbora, jeho žena . . . sl. Marťánská
Jakoubek, jejich syn . . . sl. de Pauli
Jeho žena . . . sl. Sedlecová
Vlastimský, professor ve výslužbě . . . p. Polák
Karla, jeho dcera . . . sl. Hanušová
Dr. Pilátkovský . . . p. Šumberk
Natalie, jeho žena . . . sl. Turková
Holubinský . . . p. Šmilovský
Mařenka . . . sl. Mikšová
Fabiánek Dorninský . . . p. Hlávner
Brigita, komorná u Hely . . . sl. Veštava
Jana, služebná . . . sl. Hrubá
Tři sluhové, 1 sluha u Klapoušových . . . p. Hojer, sl. Hoffmanová
Hana . . .

Děj v domě Klapoušových na vsi.

TANCE.

První pohostinské vystoupení pana A. Borgra.

Taneční umělec uprostřed baletním mistrem panem Václavem Reisingerem.
Grand Pas de deux tančí sl. Koppelerova a pan Borger z Vídně a krajské tančí sl. ze Schopfu, Zieglerova a sbor baletní. Rusalka tančí sl. Koppelerova a p. Borger.

Začátek v 7 h Konec po půl 10. hodině.

Zítra v pátek dne 27. dubna 1883 — Mimo předplacení.

Ve prospěch regisseura pana Františka Hynka.

Černohorci.

Afisz zapowiedzanej komedii
GĘSI I GĄSKI w Nowym Teatrze
Czeskim

IX ŚWIATOWE FORUM MEDIÓW POLONIJNYCH

TARNÓW – ŁÓDŹ – WARSZAWA

Prawie 150 dziennikarzy polonijnych z 30 krajów świata wzięło udział w dziewiątym już spotkaniu przedstawicieli mediów polskich działających poza granicami Macierzy. Jak co roku zjechali do Tarnowa, gdzie mieści się siedziba głównego organizatora – stowarzyszenia Małopolskie Forum Współpracy z Polonią, z prawie wszystkich kontynentów, by uzupełnić swą wiedzę podczas konferencji, seminariów, warsztatów, wymienić doświadczenia, a także zwiedzić kawałek Polski i zareklamować ją po powrocie w swoich drugich ojczyznach. IX Światowe Forum Mediów Polonijnych, przebiegające w dniach 4–10 września, z inauguracją w Tarnowie, a zakończeniem w Warszawie, stało się tym razem przede wszystkim promocją Łodzi i województwa łódzkiego. W Łodzi odbyło się seminarium na temat możliwości mediów w promocji członkostwa Polski w Unii Europejskiej oraz warsztaty dziennikarskie w TVP, Polskim Radiu i Dzienniku Łódzkim. W Warszawie zaś przyjęła uczestników Forum marszałek Senatu Alicja Grześkowiak. Wśród dziennikarzy polonijnych nie zabrakło przedstawicieli prasy zaolziańskiej: Głosu Ludu, Zwrotu, Hutnika Trzynieckiego i Wiarusa, jak też polonijnego Kuriera Praskiego.

Niezmienny jest od pierwszego tarnowskiego forum, we wrześniu 1993 roku, główny temat corocznych spotkań, który brzmi: Rola mediów polonijnych w utrzymywaniu więzi pomiędzy środowiskami Polonii a krajem oraz promocji Polski w świecie. Spotkanie dziennikarzy polonijnych wymyślił kiedyś Stanisław Lis, dziś prezes Zarządu Małopolskiego Forum Współpracy z Polonią w Tarnowie. Dzięki nieprzeciętnym zdolnościom menadżerskim udało mu się, mimo licznych przeciwności losu, wpisać Forum na stałe do kalendarza ważnych imprez polonijnych. Tak w każdym razie określane jest przez organizatorów oraz gospodarzy odwiedzanych przez dziennikarzy regionów. O jego randze świadczy też fakt, że patronat nad nim obejmują m.in. marszałek Senatu i Sejmu RP, a pomocy finansowej udzielają m.in. Kancelaria Senatu RP, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a także władze odwiedzanych regionów. Organizatorzy podkreślają, że jest to impreza skupiająca ludzi z wielu środowisk polonijnych na całym świecie, w dodatku dziennikarzy, czyli czwartą władzę w państwie, która słowem pisanym czy mówionym może wiele zdziałać. Toteż Forum zostaje tak zaprogramowane, by jak najwięcej Polski pokazać jego uczestnikom, by zmęczeni, lecz pełni wrażeń wrócili do krajów swego zamieszkania i wrażenia te przekazali dalej.

Przyjeżdżają na Forum ludzie z daleka, np. z Argentyny, Peru, Kanady, USA, Egiptu, RPA, Kazachstanu, a także z wielu krajów Europy. Ale żadna z redakcji mediów polonijnych nie jest położona tak blisko Polski jak Zwrot. Redakcja naszego miesięcznika mieści się, licząc w linii prostej, zaledwie kilkadziesiąt metrów od granicznej rzeki Olzy, pięć minut wystarczy, by dojść do przejścia granicznego. My, Zaolziacy, którzy Polskę mamy tuż za miedzą, patrzymy na nią innym okiem niż Polonusi z daleka. Czy jednak dobrze znamy jej zakątki i należycie doceniamy jej uroki? O kilku przystankach IX Światowego Forum Mediów Polonijnych, które warto zwiedzić, w następnym numerze Zwrotu.

C. R.

UROCZYSTOŚCI MORCINKOWSKIE

W dniach 21 i 22 września Towarzystwo im. Gustawa Morcinka w Skoczowie przy współpracy m.in. z Urzędem Miejskim w Karwinie oraz Polską Szkołą Podstawową w Karwinie Nowym Mieście zorganizowało obchody 110. rocznicy urodzin Gustawa Morcinka.

Piątkowe uroczystości rozpoczęły się wyjazdem delegacji szkół noszących imię Gustawa Morcinka do Karwiny. Tak więc młodzi mieszkańcy m.in. Skoczowa, Jastrzębia, Mysłowic, Lędzin zobaczyli, jak dzisiaj wyglądają miejsca, gdzie swoje dzieciństwo spędzał pisarz. W starym kościele w Karwinie spotkali się z ks. Dostalem, który przedstawił historię parafii. W parku zdrojowym w Darkowie na gości czekał znany na Zaolziu „producent" rogów pasterskich i trombit Józef Chmiel. Opowiedział o powstaniu uzdrowiska, darkowskich utopcach i oczywiście zagrał na swoich instrumentach. Zwiedzanie miasta zakończono przechadzką po frysztackim rynku.

W tym samym czasie inna grupa młodzieży zwiedziła Skoczów szlakiem Morcinka, złożyła kwiaty pod pomnikiem pisarza. Po południu z boiska Szkoły Podstawowej Nr 1 w Skoczowie wyruszył korowód przebierańców przedstawiających postaci z powieści i baśni Morcinka, by udać się na plac targowy za Wisłą na Festyn Szkół Morcinkowskich.

W sobotę w Miejskim Domu Kultury w Skoczowie odbyła się sesja popularnonaukowa poświęcona twórczości pisarza. Zaszczycili ją swoją obecnością przedstawiciele Skoczowa i Karwiny, m.in. wiceburmistrz Karwiny Gabriela Mrózek, burmistrz Skoczowa Jerzy Malik, przewodniczący Fundacji Zdrowe Miasto Karwina Josef Adámek, prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa.

Poprzedziło ją widowisko oparte na fragmentach „Czarnej Julki" w wykonaniu uczniów Polskiej Szkoły Podstawowej w Karwinie Nowym Mieście. Spotkało się ono w Skoczowie z bardzo serdecznym przyjęciem, często odwoływali się do niego w swoich referatach prelegenci.

Jako pierwszy wystąpił prof. dr hab. Jan Malicki, dyrektor Biblioteki Śląskiej w Katowicach i prezes Towarzystwa im. Gustawa Morcinka, z referatem „Baśnie i legendy w twórczości Gustawa Morcinka". Pokazał, jak pisarz buduje w baśniach świat przedstawiony, podkreślił charakterystyczny w nich „motyw początku", czyli w jaki sposób pisarz zaczyna swoje opowieści dotyczące początków miast i wsi. Prof. dr hab. Czesława Mykita–Glensk z Opola omówiła „Zagubione klucze" jako powieść, w której autor chce się rozprawić z ciężarem wspomnień obozowych, natomiast prof. dr hab. Helena Synowiec z Katowic przedstawiła refleksje i wypowiedzi Morcinka dotyczące języka polskiego i gwary śląskiej. Stwierdziła, iż warto interesować się nie tylko językiem Morcinka, ale również tym, co pisarz sądził o języku, gdyż jego spostrzeżenia są nieraz bardzo trafne. Dr Jadwiga Miękina–Pindur przypomniała o kontaktach Gustawa Morcinka z Ludwikiem Brożkiem, dr Anna Gomóła zapoznała zebranych z nieznanym listem, który pisarz skierował po wojnie do matki współwięźnia z Dachau Mariana Kudery, wreszcie dr Ewa Fonfara mówiła o Morcinku jako o nauczycielu i dydaktyku.

W godzinach popołudniowych zebrani wzięli udział w otwarciu dwu nowych wystaw w Muzeum im. G. Morcinka w Skoczowie – pierwsza ze zbiorów Józefa Chmiela o Karwinie, rodzinnym mieście pisarza, druga Zdzisława Jonszty i Kazimierza Piechaczka o nieistniejącej już Kopalni Węgla Kamiennego Morcinek.

A.O.

POŻEGNANIE LATA Z FOLKLOREM

Po raz pierwszy gościł na naszym terenie Regionalny Zespół Folklorystyczny Małokończanie. Wielce sympatyczny dwudziestoosobowy zespół działa pod kierownictwem Urszuli Wierzgoń przy gminnym Ośrodku Kultury w Zebrzydowicach, który od wielu lat organizuje w maju trzydniowy festiwal amatorskich zespołów folklorystycznych Złoty Kłos.

Zespół istnieje 17 lat i zdobył już wiele nagród. Najcenniejsze z nich to Plakietka Śląskich Wici Folklorystycznych, Złote Serce Żywieckie Festiwalu Górali Ziem Polskich i pierwsza nagroda IV Krajowego Przeglądu Wiejskich Zespołów Artystycznych w Kielcach. Małokończanie występowali także na

ogólnopolskim XXX Jubileuszowym Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą.

W frysztackim Domu PZKO na imprezie Pożegnanie lata 22 września zaśpiewali wiele uroczych cieszyńskich ludowych „pieśniczek", które w roku 1997 nagrali na kasetę magnetofonową, by je – jak sami zaznaczają – „uchronić od zapomnienia i zachować dla potomnych".

Regionalny Zespół Folklorystyczny Małokończanie warto polecić i innym Kołom PZKO.

J.W.



PIERWSZY KONKURS HADYNOWSKI I ŚLĄSK W BYSTRZYCY

W dniach 25 i 26 września odbył się w bystrzyckiej PSP im. Stanisława Hadyny Pierwszy Międzynarodowy Konkurs Śladami Stanisława Hadyny. Obok miejscowych uczniów brały w konkursie udział dzieci z Maciejowic i Frydka koło Pszczyny w Polsce. Konkurs ten zakończono nader okazale – programem edukacyjnym Zespołu Pieśni i Tańca Śląsk, który zaprezentował się dzieciom w dużej wspólnej sali gimnastycznej bystrzyckich szkół. Śląsk wystąpił w tym dniu raz jeszcze, wieczorem, dla dorosłych, w Domu Kultury Trisia w Trzyńcu.

Warto tu odnotować niezwykle burzliwą i spontaniczną reakcję, z jaką młodzi odbierali popisy folklorystyczne Śląska! Szczere, burzliwe brawa, nawet gwizdy, przypominały raczej euforię znaną z koncertów innego rodzaju zespołów !

F. B.



SCENA W DOMU PZKO W GRÓDKU

Pezetkaowcy w Gródku mają powód do dumy. 29 września na przybudowanej do Miejscowego Domu scenie pojawiły się dzieci z tutejszego polskiego przedszkola i szkoły, by swoimi występami podziękować tym, którzy przyczynili się do powiększenia sali o scenę. Uczynił to również chór Crescendo oraz zespół Łączka z Polskiej Szkoły Podstawowej im. Stanisława Hadyny z sąsiedniej Bystrzycy. A na sali zasiedli zaproszeni goście: konsul Marian Ozimek z Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, Ryszard Szpura, prywatny przedsiębiorca z Polski – sponsor, przedstawiciele władz Pszczyny, starosta Gródka Pavel Tomčala, reprezentujący Zarząd Główny PZKO Jerzy Czap. Były podziękowania od prezesa MK Karola Pilcha i ZG PZKO dla tych wszystkich członków Koła, którzy nie szczędzili sił i środków przy budowie. Na szczególne wyrazy wdzięczności zasłużył gospodarz Domu Adam Szturc, którego Zarząd Główny uhonorował odznaczeniem.

E.S.



IZBA REGIONALNA W CISOWNICY

Cisownica, niewielka wioska leżąca u stóp Małej Czantorii, znana jest naszym czytelnikom dzięki osobie Teresy Waszut, która wspólnie z Danutą Brańczyk prowadzi miejscową świetlicę, podlegającą Gminnemu Ośrodkowi Kultury w Goleszowie. Pani Teresa, emerytowana nauczycielka, jest częstym gościem redakcji. Przychodzi tu, by poinformować nas o wszystkim, co dzieje się w najbliższej okolicy po drugiej stronie Olzy w zakresie kultury regionalnej i by zaczerpnąć informacji, co nowego na Zaolziu. W cisownickiej świetlicy Zwrot zawsze zajmuje poczesne miejsce.

29 września w Cisownicy odbyło się, zorganizowane przez Stowarzyszenie Miłośników Cisownicy, otwarcie Izby Regionalnej „U Brzezinów". Z tej okazji zorganizowano również sesję naukową, podczas której m.in. o folklorze Śląska Cieszyńskiego ze swadą opowiadał prof. Daniel Kadłubiec. Referatom towarzyszyła muzyka i śpiew w wykonaniu miejscowych zespołów Cisownicki Beskuryje (panie i panowie w wieku dojrzałym), dziecięcy Klub 4–H Wiesiołki oraz Dziecięco-Młodzieżowy Zespół Pieśni i Tańca Goleszów. W tym miejscu warto wymienić inne działające w tej wsi placówki, do których powstania i rozbudowy przyczyniła się miejscowa ludność. I tak w Cisownicy znajduje się szkoła z piękną salą gimnastyczną i basenem, nowy (1981) kościół ewangelicki i dom parafialny. Przy kościele działa chór i zespoły: dziecięcy i mło-



dzieżowy. Rozbudowano strażnicę Ochotniczej Straży Pożarnej. Działa Koło Gospodyń Wiejskich i liczące 102 lata Kółko Rolnicze. Przy świetlicy działa, oprócz wspomnianych zespołów Kabaret Rufijoki, jest biblioteka i Klub Propozycji, który organizuje spotkania z ciekawymi ludźmi. W cisownickiej świetlicy, dzięki osobie Teresy Waszut, znalazły opiekę młode poetki, zdobywające później nagrody literackie na Ogólnopolskim Przeglądzie Twórczości Dziecięcej i Młodzieżowej, a dzieci rozwijają swoje talenty plastyczne pod kierunkiem wybitnego znawcy sztuki dziecka Józefa Golca, zdobywając medale na Międzynarodowych Konkursach Sztuki Dziecka (np. super złote w Tokio).

Największym powodzeniem cieszyły się organizowane w świetlicy wystawy – fotografii, pamiętników, starodruków i obrazów. Jedna z nich „Wnętrze cisownickiej chałupy" miała przełomowe znaczenie. Mieszkańcy powyszukiwali w swoich domach stare sprzęty, obrazy, meble i książki, a przede wszystkim Biblie, z których najstarsza pochodziła z roku 1712. I wtedy właśnie powstał pomysł izby regionalnej w celu uratowania domowych zbiorów, bo mieszkańcy Cisownicy zadeklarowali chęć przekazania swoich zbiorów, a rodzina państwa Brzezinów ofiarowała na ten cel dom swoich przodków. Dom zbudowany został w r. 1923. Pierwotnymi jego właścicielami byli Paweł Brzezina, z zawodu krawiec, ur. w r. 1888 w Ligotce Kameralnej, i jego żona



Zuzanna, ur. w 1890 r. w Końskiej. W r. 1921 małżeństwo zrzekło się obywatelstwa czeskiego i przyjęło polskie. Dotyczy to również ich syna Jana, ur. w r. 1914. Jan Brzezina pracował jako ślusarz w Kuźni Ustroń, a jego żona Emilia była gospodynią domową. Ich syn Stanisław pracuje w cieszyńskiej Celmie, a żona Alina tradycyjnie zajmuje się domem. Dochowali się trzech córek. Trzy pokolenia Brzezinów dołożyły starań, by eksponaty znalazły godne miejsce.

O mieszkańcach tej osobliwej wsi mówi się, że żyją nie tylko chlebem tak, jak ich legendarni przodkowie, np. Jura Gajdzica (1777–1840), który, będąc furmanem przewożącym towary do Jabłonkowa, na postojach kupował książki, głównie religijne i historyczne, sam je oprawiał w deski i skórę, a następnie pieczętował własnym ekslibrisem. Do historii przeszedł jako pierwszy chłopski ekslibrista. Dziś miłośnicy swojej wsi dbają nie tylko o zachowanie jej kultury, ale także o to, by Cisownica, której nazwa po chodzi od cisów, rosnących tu niegdyś w dużej ilości, ponownie słynęła cisami i dlatego tu wszyscy sadzą drzewa i krzewy cisowe.

E.S.





ORŁOWIANIE I ŁAZIANIE DAWNIEJ I DZIŚ

Zarząd oraz Klub Kobiet MK PZKO Orłowa Łazy zorganizowały w dniach 29 i 30 września w świetlicy w Orłowej Zimnym Dole niecodzienną wystawę poświęconą mieszkańcom Orłowej i Łazów. Nie ma już Orłowej i Łazów w ich bogatym kulturowym kształcie, nie ma wspaniałego gimnazjum i innych polskich przybytków, ale u rozproszonych potomków niegdyś sławnych tutejszych polskich rodzin pozostały pamiątki i wspomnienia, które tę dawną polską kulturę i atmosferę starała się ta wystawa przypomnieć. A było co pooglądać i, co może najważniejsze, można było spotkać się w miłej atmosferze przyjaciół, których łączy umiłowanie tak bliskiej im przeszłości.

Na wystawie można było zobaczyć fotografie rodzinne m.in. Sarganków, Szarowskich, Pytlików, Koniecznych, Santariusów, Sagitariusów, Wróblów, Zuczków, Knabów i drzewo genealogiczne rodziny Sarganków przygotowane przez Alicję Bartulec. Udokumentowano również nazwiska pochodzących z Orłowej i Łazów plastyków: ks. dr. Józefa Bergera, Tadeusza Bergera, Gustawa Fierli, Karola Piegzy, dr. Władysława Pasza, Tadeusza Wratnego, Zbigniewa Kubeczki. Oczywiście nie zabrakło na wystawie rękodzieła pań, tego współczesnego i dawnego sprzed lat kilkudziesięciu i więcej (najstarsze hafty pochodziły z r. 1901). Swoje piękne serwetki zaprezentowała również najstarsza członkini Koła 97-letnia Zuzanna Fierla, mieszkająca obecnie w Polsce.

Prezes Miejscowego Koła Leon Kasprzak z satysfakcją i zapałem oprowadzał po tej niezwykłej wystawie.

E.S.

POLSKA KSIĄŻKA NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM WYSTAWA W BIBLIOTECE FRYSZTACKIEJ

Przez cały październik oglądać można było w Bibliotece Regionalnej w Karwinie Frysztacie wystawę nazwaną Polska książka na Śląsku Cieszyńskim. Przygotowała ją Sekcja Historii Regionu Zarządu Głównego PZKO, Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków oraz Biblioteka Regionalna w Karwinie. Autorem wystawy był Stanisław Zahradnik, który eksponaty na nią wypożyczył ze swych prywatnych zbiorów.

Wernisaż, który odbył się 3 października, zagaiła uczennica frysztackiej Polskiej Szkoły Podstawowej Diana Bangoura wierszem poetki ludowej z Nydku Anieli Kupiec. Miłośników książki przywitała dyrektor Biblioteki Regionalnej Halina Molin. O roli polskiej książki na Śląsku Cieszyńskim, jej różnorodnych zadaniach na przestrzeni kilkudziesięciu lat XIX wieku i całego wieku XX w procesie kształtowania i umacniania polskiego ducha narodowego opowiedział zebranym kierownik Ośrodka Dokumentacyjnego Józef Szymeczek.

Na wystawie zgromadzono w sześciu gablotach oryginały książek, zaś na piętnastu planszach obejrzeć można było reprodukcje stron tytułowych czy dokumentów (np. wśród najstarszych do roku 1850 znalazła się Ustawa dla bibliotek Kraju Cieszyńskiego, zaś najstarszą zachowaną polską książką, która została napisana na Śląsku Cieszyńskim, jest wydana w Brzegu w 1716 roku książeczka „Wierność Bogu y cesarzowi...") oraz przeczytać najważniejsze dane dotyczące tych druków i okresu, z którego pochodzą. Eksponaty ułożono chronologicznie, podzielone zostały na kilka okresów, latami, które stanowiły przedział tych okresów, były lata 1850, 1920 i 1939. Wystawa zawierała druki napisane przez ludzi ze Śląska Cieszyńskiego lub przeznaczone dla mieszkańców tego regionu, a więc dzieła literatury pięknej, literatury religijnej i kościelnej, publikacje naukowe i popularnonaukowe, podręczniki, wydawnictwa jubileuszowe i okolicznościowe, sprawozdania, statuty. Zaprezentowano także drukarnie i ośrodki wydawnicze. Nie uwzględniono natomiast gazet i czasopism wydawanych na Śląsku Cieszyńskim, które warto by pokazać na osobnej wystawie.

Polska książka na Śląsku Cieszyńskim to wystawa, która dopiero rozpoczęła swoje wojaże. Frysztacka Biblioteka Regionalna była jej pierwszym przystankiem, w planach organizatorów są następne, m.in. w Czeskim Cieszynie.

C.R.

KONFERENCJA O MNIEJSZOŚCIACH NARODOWYCH

Z udziałem wybitnych specjalistów świata nauki w dziedzinie mniejszości narodowych 4 października w Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie odbyła się konferencja pn. „Mniejszości narodowe na Śląsku Cieszyńskim dawniej i dziś", zorganizowana przez Centrum Pedagogiczne ds. Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego oraz Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków. Konferencję zaszczycili swoją obecnością konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis i burmistrz Czeskiego Cieszyna Henryk Sznapka.

W czasie konferencji wygłoszonych zostało dziewięć referatów. Prof. dr hab. Wojciech Morawski z Uniwersytetu Warszawskiego zarysował politykę XIX-wiecznej monarchii habsburskiej wobec narodów żyjących na terytorium jej podległym. Później kolejno omówione zostały dzieje ludności żydowskiej na Śląsku Cieszyńskim (dr Janusz Spyra), o Polakach na Zaolziu w ujęciu socjologiczno-historycznym mówił dr Stanisław Zahradnik, o ruchu ślązakowskim i Józefie Kożdoniu dr Krzysztof Nowak, duże zainteresowanie wśród słuchaczy wzbudził przyczynek dr Niny Pavelčíkovej o historii romskiej mniejszości oraz referat doc. Rudolfa Žáčka na temat polityki państwa czechosłowackiego wobec mniejszości w latach 1945–1948 i socjologiczne spojrzenie na wyniki badań nad mniejszościami na Śląsku Cieszyńskim (dr Olga Sokolová). Z wielką przyjemnością i nie mniejszym zainteresowaniem przyjęli słuchacze wykład prof. dr hab. Jadwigi Pacheckiej z Uniwersytetu Warszawskiego na temat wartości i roli gwary na pograniczu wielu kultur: gwara jako język domowy i język literacki – specyficzna dwujęzyczność ludzi pogranicza. O współpracy i dorobku współczesnego czesko-polskiego pogranicza mówił Andrzej Król ze Śląskiego Kuratorium Oświaty w Katowicach.

Referaty zostaną wydrukowane w oddzielnej publikacji w ramach działalności Ośrodka Dokumentacyjnego Kongresu Polaków, o czym zapewnił słuchaczy prowadzący konferencję jego kierownik Józef Szymeczek.

E.S.

RÓWNICA W HAWIERZOWIE

Na zaproszenie Komitetu Miejskiego PZKO w Hawierzowie wystąpiła w sobotę 6 października w tamtejszym Domu Kultury im. L. Janáčka Dziecięca Estrada Regionalna Równica z Ustronia. Był to 207. z kolei występ tego atrakcyjnego zespołu dziecięcego prezentującego w oryginalnych strojach program oparty na pieśniach i tańcach regionu cieszyńskiego. A było na co popatrzeć i czego posłuchać!

Szkoda tylko, że chociaż na zaproszeniach przeczytaliśmy – młodzież szkół podstawowych i średnich wstęp wolny – młodych na sali można by policzyć na przysłowiowych palcach jednej ręki.

F. B.





TRADYCJE I FOLKLOR W REGIONIE

Miejscowe Koło PZKO w Orłowej Lutyni przy współudziale Kongresu Polaków w RC w ramach programu PHARE zorganizowało w dniach 6 i 7 października w tutejszym Domu PZKO wystawę pn. „Tradycje i folklor w regionie". Wystawę zwiedziło wielu chętnych obejrzenia przedmiotów tak bliskich ich rodzicom czy dziadkom. A rzeczywiście było na co popatrzeć: Kolekcję strojów śląskich z czepcami udostępniła Danuta Chwajol, były przedmioty codziennego użytku, stara porcelana i szkło, stare fotografie, zabawki. Całość ciekawie zaaranżowana pozwalała połączyć tradycję z dniem dzisiejszym, którego przejawem były wspaniałe słodkie wypieki i fotograficzne reportaże z wojaży zagranicznych zespołów Skotnica i Skotniczka.

Otwarciu wystawy towarzyszyły występy zespołów Zaolzie, Skotnica i Skotniczka oraz Vladislavii z Wodzisławia Śląskiego. W niedzielę wystąpił chór Jutrzenka z Nakła Śląskiego.

Tradycja i folklor w regionie, jak głosiła nazwa wystawy, znalazły również swoje odbicie w kuchni, która serwowała specjały ze śląskiej zabijaczki.

Prezes Miejscowego Koła Marian Jędrzejczyk już dziś zapowiada, że za rok spotkamy się wszyscy w miłym gronie na kolejnej wystawie, która z pewnością przyniesie niespodzianki.

E.S.



Foto w Kronice FRANCISZEK BAŁON



KAROL KUBAJ

POSZUKIWANIA

Zgubiłem klucze
od następnego dnia
w głębokim piasku
i w nocy

Przesypuję ten piasek
ziarenko po ziarenku
w klepsydrze mych myśli
i cicho liczę

Na palcach nieswoich liczę
pożyczony czas
do następnej działki
narkotyku nadziei

NIE ZABIJESZ PAMIĘCI

W mym kolejnym linieniu
zdjąłem z siebie
całe ciało

Żuki grabarze
ukryły
me opuchnięte szczątki
głęboko w ziemi
bez kropli łzy
z apetytem na wieczerzę
nie w dwunastu
nawet nie we dwoje

Sam na sam
w wieczór sytych pytań
na głodno

Każdy odpowiada za siebie

Ja już nie mogę odpowiadać

Utraciłem własny głos
kiedy w tym linieniu
wywlokłem się z ciała
uszy i oczy
również zdjąłem z siebie

Poczułem się nareszcie lekko
jednak
tylko do chwili
kiedy zauważyłem
że pamięć mi pozostała

W ostatnim linieniu
i swą pamięć
zostawię na ziemi
deptanej do reszty
żukami grabarzami
rozdeptanej do krwi
która też jest już ziemistą

NAD OBCYM GROBEM

W piórach skrzydeł anioła na cmentarzu
znalazł palące się czerwono
jesienne liście z drzewa zasypiającego
nad grobami

Umarłe od dawna papierowe kwiaty
na zimnym kamieniu
pożyczyły kiedyś ten kolor krwi
na ironię
dla smutnych zapomnień

Nad grobem bez pamięci
stał z aniołem obcy człowiek
i uczył się zatartych liter
bez ruchu i bez siły
bez łzy i bez emocji

Wiatr uderzył w suchy dźwięk
żyć trzeba
żyć trzeba

I nagle zaklinacz przebudzony
obcy
zadusił wiatr trzykrotnym milcz - milcz - milcz
nastała zupełna cisza
o gorzkim smaku samotności
i słodkim smaku wspomnień

Kiedy zapalał świecę
drasnął o kamień
w wilgotną i szarą strukturę jesieni
spadła kropla krwi
ciepła i czerwona
nie rozcieńczył jej deszcz
bezsilny w tym dniu
i nie zastygła

Anioł odszedł cicho cichy
i spokojny
człowiek został sam
z imieniem człowieka
nauczonym na pamięć

WŁADYSŁAW SIKORA

KARPATY MITYCZNE (1)

WSTĘPNIE

Dajmyż spokój księciu Wladowi II-Tepesowi i pokrewnym ciemnym praktykom na zapajęczonych zamkach karpackich, jak widzą nas na Wyspach Brytyjskich. Przyznam, że owe śliskawe i mroczne sprawy wilkołaków zaczęły mnie razić. Transylwanię z Wołoszczyzną, pełnymi upiorów, ożywił w swej karpackiej powieści irlandzki pisarz Bram Stoker (Dracula). Odtąd filmowcy wszelkiej maści z przedsiębiorczymi autorami musicali, łącząc upiornego hrabię, właściwie księcia Tepesa, z wątkiem: piękna i zwierzę, narzucają głodnej rozrywki bogu ducha winnej publiczności jakieś trans-horrory pełne krwi i wilczych kłów.

Cóż, Europa długo dla zachodnich pisarzy sięgała po Karpaty zaledwie, poza nimi już biegła w głąb wieków mongolska Azja koczowniczych satrapów i watażków. Zanim się dowiemy, jak to było naprawdę, spróbujmy się rozejrzeć z wysokości wędryńskiej Babiej Góry, no, z wierzchołka Kozubowej lub Łysej. Zapraszam do mitotwórczego oglądu naszej niepewnej realności na przełomie wieków i tysiącleci.



CZUDYCZEK czyli CUDOK

Na górze Makowicy za Użhorodem ponoć żyje dziwaczny, cudacki człekozwierz karpacki: Czudyczek. Jeśli ze słowacka mówimy „čudný", „čudák", z rosyjska zaś „czudnyj", „czudak", to w rusińskim znajdziemy go gdzieś pośrodku. Czudyczek i tyle. Cudok. Do Pragi sprowadził go w opowieści pasterza Wasi Bondyrewa Jiří Zeman (ezoteryczne Fantastická fakta, 9/98).

Czy ów Czudyczek wywodzi się z rodu Bigfoot, Sasquatch, Yeti lub Ałmas, tego niestety Wasia wcale nie wie, nigdy zresztą o nich nie słyszał. Jego Czudyczek przy tym to wcale nie jakieś zwierzę, a ogromny, kudłaty „człowiek skądinąd", „stamtąd". Zjawia się bowiem i znika w starym kamieniołomie, właściwie zaś w otwartej i wybrzuszonej ścianie warstwicowej - choć nie znajdziesz w niej żadnego przejścia ani jaskinki. Przychodzi „stamtąd" i „tam" też znika, zapewne gdzieś w świecie paralelnym. Lub zwyczajnie w górskiej opowieści? Chociaż, jak na opowieść zaledwie, pozostawia po sobie sporo zastanawiających szczegółów. „Żyje tutaj" - denerwuje się Wasia - „i żyje gdzie indziej, dokąd my nie umiemy ani też nie możemy się przedostać". Kieruje się zaś bliskimi góralom zasadami: może go zobaczyć jedynie ktoś taki, kto w górach żyje, a nie tylko w nie trafia czasami. Czudyczek nie zjawia się na wezwanie, sam przecież musi przywyknąć do człowieka, wyzbyć się swego lęku. O spotkaniach w górach zresztą decydują nie tylko ci ludzie, którzy w nich naprawdę żyją. Człowiek równie dobrze może się okazać zaledwie gościem na polanie, choćby na niej i stał jego dom.

To przez owe warstwy i warstwice, zdaje się, przecieka i sączy się niepojęty i rozległy skądinąd czas; z epok się składa, z opok, i wertuje w dłoniach księgi nieodgadłe; człekopodobny czy nie, sprawdza etapy dochodzenia do czyichś albo do swych własnych zachcianek lub też przypadkowych zdarzeń. O, sito, rzeszoto realności nieodgadłej, jak nakłucia szpilką lub promieniem...

Słynny himalaista Reinhold Messner, od wielu lat poszukujący Człowieka Śniegu, mówi: „Yeti to niedźwiedź". Jeśli zaś ktoś nie rozpoznaje w nim niedźwiedzia, wówczas jest Yeti. Bo też „opowieść o Yeti nigdy się nie skończy, ten mit przeżyje kultywujących go gawędziarzy".

Czudyczek żywi się leśnymi płodami, odnajduje je zaś węchem. Poluje też na ptaki albo na króliki. Królika trafia kamieniem w głowę na dziesięć metrów, trafia też ptaka w locie. Człowieka nie atakuje, porywa mu owce. Wasia Bondyrew jednak nosi na swym ramieniu oraz na piersi szramy po jednym z nich; był jeszcze młody: ciągał się z nim o zabłąkane jagnię, kiedy tamten uznał je za własne. Psy na szczęście zdążyły go spłoszyć... Innym razem zjawiła się cała ich rodzina, troje ich było: samiec z samicą i mała Czudyczka. Czudyczcze.

„Wymacały mnie, obwąchały i oblizały" - wspomina Wasia z niejaką wyrozumiałością. „Ale kiedy chciałem uciec, złapały mnie i stłukły. Cały czas musiałem iść z nimi. Owce też Czudyczki gnały przed sobą. Psy jednakże zabiły i zjadły. Kiedy na czwarty dzień się budziłem, Czudyczków już nie było. Z ich zachowania wobec mnie i moich owiec pojąłem, że nie są wcale takie głupie, nawet nabyłem do nich respektu."

Na noc kleciły sobie szałasy z gałęzi. Natrafiwszy na drzewo ze zwisającymi

do ziemi gałęźmi, wplatały w nie dalsze wolne gałęzie i pokrywały trawą oraz liśćmi, tak że nie można było ich zauważyć. Rankiem rozrzucały wszystek budulec i szły dalej przed siebie. „Mają Czudyczki taki język - niejęzyk. Ani to ludzka mowa, ani zwierzęce skrzeczenie". Mowa jest stąd - potąd, póki coś oznajmia, nazywa lub tłumaczy. Pomruki też znaczą swoje, trochę inaczej. Pomruki są inną mową, przeciekają przez palce na tamtą stronę znaczeń, ich powstawania, ich trwania i odchodzenia.

Pierwszy z Bondyrewów natknął się na Czudyczka dziadek Semion, co to, osiłek, za flaszkę gorzałki po jarmarkach krowy i stare konie pięścią zabijał. Przywoził tych flaszek, zdarzało się, całą skrzynkę. Wracając raz z miasta, zdrzemnął się zmożony na koźle. Wiózł akurat na wozie worki z towarem dla babci: mąkę, sól i cukier, do tego nowe buty i śliczną chustkę.

„Nad ranem zbudziło go dziwne niuchanie. Pomyślał dziadek, że naszły go dziki, przecież one zeżrą wszystko, czego się nie upilnuje. Zamiast dzików wszak zobaczył Czudyczka. Z początku pomyślał z przykrym wyrzutem, że tym razem to już naprawdę przebrał z gorzałką, ale patrzy uważniej i widzi, że oto Czudyczek ładuje się cukrem. Wkurzył się dziadek: cukier wtenczas uchodził za najdroższą rzecz na świecie, z chałupy na Makowicy aż do Użhorodu przecie nie jeździło się co dnia. Na to w górach musiało się zarobić, a to już nie takie proste. Skoczył Semion oburzony do Czudyczka i wlepił mu jedną taką, która zwykle powalała konie z krowami. Czudyczka to, patrzy, nawet nie ruszyło, a najwyżej zaciekawiło. Był to kudłaty samiec, jakieś trzy metry wzrostu, w ramionach zaś szeroki jak szafa. Miał taką masywną szczękę z żuchwą, mocne zęby, brunatnawe oczy. Podniósł dziadka jak precel, tak że wcale nie mógł się poruszyć, obejrzał go całego z bliska centymetr po centymetrze, obwąchał. I cały czas coś mruczał do siebie. Potem wrzasnął za siebie. Ze mgły za nimi wynurzyła się samica. Była dziadkiem zachwycona. Wyraźnie rozbawiona obmacała go sobie całego i obwąchała. Po nieznacznej ni to kłótni, ni ciąganiu samiec pochwycił dziadka i rzucił nim jakieś pięć metrów w las, chociaż dziadek należał do najtęższych górali w szerokiej okolicy. Nim zdążył policzyć swoje kości, Czudyczków już nie było".

Nie wystawiaj ty zanadto głowy ponad krawędzie przeznaczenia, lepsze już ułomne, ale własne w dotyku życie - mówię se w duchu. Prowadź, nie zwlekaj, oto ścierają się, dotykają i przenikają te same, a jednak przeciwne sobie prawdy, jak woda kiedy, ściekając, sączy piachy ku górze.

Wasia też nosi się z pewną tajemnicą: „Jest tam taka samica. Młoda, mniej zarosła. Zawsze patrzy na mnie z zaciekawieniem, jakby mówiła, że wydaję jej się sympatyczny. Ona nie ma tyle tej sierści i jest dla Czudyczków jakby taka dziwnawa. Odtrącają ją od siebie. Nawet mi się podoba, ale jej się lękam..." Jak mogłoby być inaczej?

* * *

Spójrzmy wstecz. W górskich legendach, już od Sumeru Gilgamesza, mieszczą się liczne potwory - smoki będące oczywistymi śladami dinozaurów w pamięci naszego gatunku. Znajdujemy je na bramie babilońskiej Isztar, spotykamy w relacjach afrykańskich plemion, ale także w europejskich zapiskach kronikarskich z dawnych wieków.

W interesującej nas kwestii zaciekawia polskie, przytoczone przez Arnošta Vašíčka podanie z pogranicza Beskidów i Gorców o sforze dziwnych istot, które martwiły tamtejszych pasterzy. Były wielkości człowieka, swoim wyglądem zaś przypominały jaszczury i poruszały się na dwu kończynach. Łowiły zagubione bydło lub owce na odległych pastwiskach. Łatwo radziły sobie z wilkami należącymi do najgroźniejszych drapieżców tamtejszych pustkowi. Pewien ksiądz z Rabki trzymał skórę ogromnego wilka broniącego upolowanego jagnięcia. Miał przegryzione gardło, było też widać, że spotkał się z nie lada przeciwnikiem. Ostatniego jaszczura spotkano w roku 1897. Kiedy badacz Mieczysław Wojcieszyn zbierał u górali informacje o jaszczurach, ci starali się je narysować: przedstawiali wtedy twory przypominające mięsożerne dinozaury. Nie szło więc o Czudyczki?



TURZÓWKA

Do Turzówki jedzie się z Czadcy w górę Kisucy, na Makow: Rakowa (to stąd przyszła do nas bratowa Alojzja), Oleszna, Turzówka, Wysoka nad Kisucą, Makow... Idzie o dolinę na tyłach masywu Połomów. Moja Mama droga, śp. tercjarka u Panien w Jabłonkowie, wielokrotnie pielgrzymowała z „babkami" do cudownego źródła na Turzówce. Kult Matki Boskiej turzowskiej wzmagał się jako szczególny akt wiary prostych ludzi pod Beskidami w cudowność Boską w późnym, okazało się potem, okresie totalitarnej Czechosłowacji. Przywoziła Mama cudowną wodę turzowską, bodaj częstowała

nas tą wodą podczas naszych pobytów w Boconowicach. Zapewne z westchnieniem w stronę nawracania...

Objawienie w Turzówce jest związane z 42-letnim wówczas leśnikiem Matějem Lašutem. Maciej, idąc 1 czerwca 1958 roku - w niedzielę Przenajświętszej Trójcy, przez las, natknął się niespodziewanie na wspaniały ogród. W ogrodzie stała postać Panny Marii nadnaturalnej wielkości. Koło Panny Marii zaś leśniczy zobaczył mapę świata z migotliwymi złotymi sygnałami świetlnymi. W chmurze powyżej rozwarł się trójkątny otwór o bokach cca 10 metrów, tkwiła w nim postać Chrystusa. Z jego serca biły trzy promienie. Środkowy z nich podciął Macieja Laszuta tak, że upadł i przez trzy niemalże godziny pozostawał bez ducha.

Leśniczy spotkał Pannę Marię, twierdzi, sześciokrotnie, „promienny piorun" zaś dosięgnął go dwukrotnie. Macieja Laszuta trzymano potem przez dwa lata w zakładzie psychiatrycznym. Ani Kościół nie uznał objawienia, wydarzenie tłumaczono wczesnym przypadkiem spotkania z UFO.

Odkrycie cudownego źródła zaś zawdzięczamy Jurajowi Kaválkowi: to Panna Maria wskazała mu we śnie, gdzie należy kopać. W ten sposób natrafiono na źródło.

Lit.: Fantastická fakta 1/2000, Slovenské Lurdy? - Libuše Čermáková - na podstawie o. Johannesa Ev. Schmida C.P.: Turzovka - Slovenské Lurdy.

Ilustracje:

1. *Wyobrażenie Yetiego z księstwa Bhutan w Himalajach. DNA jego sierści wskazuje, że nie należy ona do znanego zwierzęcia. („Magazín záhad")*
2. *Maciej Laszut, rys. Petr Utěšil*

PLANSZA DO GRY

Gra. Zabawny epizod. Serial telewizyjny na oczach miliona widzów. Rozgrywka między siódmym, a ósmym tygodniem wiosny. Zapalone oko oświetla całe pomieszczenie. Ogród przed rezydencją, w stanie doskonałego ułożenia - równoległy zapis maszynistki, złożył się i schował w walizce. Czterech, pięciu, sześciu itd. pionków - graczy; „graczopodobnych" niszczycieli z owłosionymi zębami. Omegą zasłonili przeznaczenie. Alfą wytarli przeziębiony nos. Jeżeli sprawiedliwość zapomniała o sprawach boskich, a uwarunkowania biologiczne w połączeniu z psychiką biorących udział w zabawie równy jest zerowej definicji marszu kończyn dolnych, poruszających się ze stałą prędkością w kierunku: nos i obszar znajdujący się przed śluzowatym stożkiem, to wynik tego interesującego spotkania wcale nie będzie można określić tym samym przymiotnikiem.

Biologia, chemia, orientacja w terenie oraz uwarunkowania psychiczne różnych zawodników muszą być, i to koniecznie, zróżnicowane! Podstawą sprawiedliwego pojedynku są bowiem dwie, z czego jedna słabsza, jednostki osobowe. Dwie dusze ludzkie będące w tak odległych od siebie podobieństwach, iż kompleks bliźniaczy będzie traktowany jako nowa dziedzina nauki. Zabawne, że przegrany, którego obecność wykrywamy na początku, wcale nie jest przekonany o swej porażce. Zazwyczaj ten zwyczajny pionek, znajdujący się w niezwyczajnych okolicznościach zwyczaju przegrania, nie zachowuje się odpowiednio. Chwila bowiem nie jest dla niego okazją do wypicia szampana. Nic więc dziwnego, że kanałem całej sprawy jest tunel łączący psychikę z biologią.

Na planszy pojawiło się ciało obce, ciało stałe, lecz płynne zarazem, bez wyrazu twarzy. Nieszczególna fizjonomia, charakterystyczna raczej dla niewinności. Wcale nieprzydatny, uwodzicielsko-zabawny przedmiot z innej galaktyki, tak podejrzewam. Prawdopodobnie urwał się z choinki, gdyż haczyk, który sterczał mu zza kołnierza, nieustannie zaczepiał wszystkich biorących udział w tej pasjonującej rozgrywce. Nowy ściął trawę. Niszcząc po drodze kilka stoisk z krzewami o charakterze ozdobnych kikutów z igiełkami, rozpoczął regularny wyścig. Wyścig o pierwszeństwo. Zakażony wirusem zwycięstwa pośpiesznie eliminuje niepotrzebne nikomu, aż na małe wyjątki, przeszkody. Ewolucja wzrostu pragnień roztrwoniła wszelkie ideały. Zdziwienie reszty, pochłonięte wzrokiem obcego, wydzielało nieprzyjemny zapach. Zapach porażki i strachu.

Płynno-stały zachłysnął się w biegu. Zakrztuszone płuca, kaszląc, dyszały niczym zmęczony człowiek. Wprawdzie zwycięstwo, bliska nadzieja będącego niepokonanym, odebrało obcemu wszelkie zmysły, ale niekrystaliczny, wręcz krwi-

sty, namacalny obraz zrozpaczonego nawozu, pchał do przodu. Tylko ten kierunek wydawał się optymalnie prawdziwy.

Niewiniątko minęło po drodze kilkadziesiąt drzew owocowych. Staw. Budka dla ptaszków. Obora stała nieco dalej, lecz zapach domostwa był odczuwalny. Nozdrza sapały, a wydzielina coraz częściej oddawała się rozkoszy dziwnego brzęczenia: tr, tr, br, br, wr, wr.

Kiedy widok mety zaiskrzył się w umyśle, a widok przeciwników, którzy od dawna zniknęli na zakręcie, udrożnił układ oddechowy, serce zaśpiewało radośnie. Piosnka o szczęściu. Pieśń o zwycięstwie. Aria zdobywcy zagłuszyła sędziego. Resztki sił, jakie pozostały przy życiu, a ilość dominowała nad jakością, dopchnęły osobnika do wymarzonej linii, zaznaczonej białą farbą na podłożu nieco ciemniejszym. Zwycięzca odetchnął z ulgą, której druga połowa zginęła w gąszczu wielbicieli autografów. Marne poszukiwania, zabobonne odczynniki, czary wisielców oraz magia urodzonych w kukułczych gniazdach. Nic nie pomagało.

Gdy ustabilizowany oddech stanął w świetle reflektorów, dostrzegł nagle zagubioną część swej samotności. Ulga była spieniona. Roztrzęsione ciało zachwiało się. Dopiero jej upadek poinformował, licznie zgromadzonych, iż meta to start, a start to meta.

MAREK SŁOWIACZEK

MŁODE PIÓRO

MY

(esej filozoficzny, przynajmniej w niektórych fragmentach)

... trzymamy się kurczowo niebieskawej bili rotującej jak bąk w bezbrzeżnej czaszy kosmosu, My - robaczki na małej kulce pyłu kosmicznego, którą nazywamy Ziemią (albo „naszą Ziemią" - mówimy, dumnie unosząc brwi). Chociaż cała przestrzeń wokół nas jest tak ogromna, otaczają nas tryliony ton gazów, płynów i skał, miliardy lat świetlnych pustej przestrzeni, to wydaje nam się, że to właśnie my, nasza rasa wielkomózgich marionetek, jesteśmy najważniejsi. Jaki czort wyhodował w naszych chorych umysłach właśnie takie przekonanie, jaka zła moc pozwoliła tej idei rozpasać się między kłębkami naszych myśli? Gdzie

jest początek, a gdzie koniec ludzkości w świecie, który tak arogancko zagarnęła we swoje władanie?

Co się w bólu narodziło, w bólu odejdzie w zapomnienie. Każdego ranka składam moje ciało jak puzzle, z zamkniętymi oczyma sprawdzam po omacku, czy wszystkie kości, palce, dłonie, uszy są na swoim miejscu, wsłuchuję się w ciche postękiwanie płuc tak bezlitośnie dewastowanych przez ich właściciela, na wewnętrznej stronie powiek obserwuję zmaterializowane myśli, strzępki ostatnich snów, które nie zdążyły jeszcze uciec w zapomnienie. Tak samo wieczorem; padam na pościel i, leżąc na boku, wpatruję się w ścianę napiętnowaną chaotycznymi wzorami przez cień firanki, a gdy powieki same osuwają się jak kurtyna po dernierze, obracam się na plecy i składam obolałe kości do snu. Moje skromne istnienie jest metaforą całego istnienia ludzkości.

Ludzkość to ciało złożone z kilku miliardów pozornie niezależnych komórek, które w jakiś niewyjaśniony sposób współżyją i współdziałają. Jednak niezdarny korpus porusza się z trudnością, w żyłach płyną smoliste potoki nafty, dym drażni oczy poprzetykane siecią drobnych, czerwonych kanalików.

Ziemio, spłodziłaś życie, ale nabawiłaś się przy tym nieprzyjemnej choroby wenerycznej, która w końcu powali cię na kolana, zaleje pustynie, wysuszy bagna, zasypie doliny i zrówna góry z ziemią. Warto było?

To wszystko, o czym mówiłem, sprawia, że nie lubię (nienawidzę to zbyt silne słowo, a takich jest w dzisiejszych czasach stanowczo za wiele) cywilizacji w jej całym megalomańskim rozmachu, z jej autostradami świateł i betonowymi arteriami, przez które rwą strumienie metalowych pojazdów. Lubię ten cichy i spokojny cień cywilizacji. Lubię małe wioski, których nazwy nie są znane nikomu oprócz ich mieszkańców; wioski, w których nigdy nic ważnego się nie stało i nigdy się nie stanie; zwarte grupki kilku zabudowań z jedynymi dwoma lampami na centralnym placyku; małe gniazdka ludzi, dla których Życie jest tak naturalną sprawą jak oddychanie : wdech - wydech... Lubię ciche peryferie miast, gołębie spacerujące powoli po chodniku rozgrzanym jeszcze po całodziennym upale, jeden podchodzi do dymiącego peta i uderza w niego dziobem, a gdy uczuje zapach spalonego tytoniu podrzuca głowę do góry i patrzy na mnie ze zdziwieniem, chociaż kto wie, któż może zrozumieć te szkliste oczka koloru miodu, dwie błyszczące gałeczki bursztynu; inny osuwa się jak jesienny liść na ziemię prosto z dachu i kroczy zabawnie, kiwając gardziołkiem w przód i w tył; ulica stygnie powoli, po żwirze leniwie suną pojedyncze znudzone samochody, każdy następny centymetr jest niesłychaną udręką dla ich biednej, mechanicznej duszy, więc wzdychają boleśnie, po czym zabierają z sobą to swoje ledwo słyszalne cierpienie i znikają z nim za zakrętem. Lubię oglądać świat nocą, bo wtedy wszystko wygląda tak cicho i spokojnie, że aż chce mi się zostać optymistą. Lubię ten stan świadomości o drugiej nad ranem, kiedy siedzę samotnie w hali

dworca kolejowego, za oknem grają swe serenady świerszcze, a na ławkach obok mnie śpią bezdomni, mruczą coś pod nosem i śnią o swej dalszej butelce bulgoczącej zachęcająco, i są w tej chwili szczęśliwi; ciszę wypełnia tylko monotonne bzyczenie jarzeniówki, która skromnie skrywa się za mlecznobiałym plastikowym kloszem jak panna młoda pod welonem i mruga do mnie przyjaźnie (Nie śpij! Nie zasypiaj, proszę ...); wychodzę na dwór, siadam na starej drewnianej ławce i wpatruję się w chaotyczny kłębek jaskrawych plamek rozproszonych w głębokiej atramentowej czerni ciepłej letniej nocy (czasami trudno rozróżnić, czy to gwiazdy, czy jakaś odległa wioska posypana światełkami lamp i oknami rozjarzonymi niebieską poświatą płynącą z telewizorów), siadam na schodach i wsłuchuję się w cały ten koncert niedoskonałej ciszy, bo cisza jest piękna tylko wtedy, gdy nie jest doskonała: słyszę delikatne tarcie blaszek liści podrygujących w lekkim wietrze, który przemyka między gałęziami drzew, słyszę świerszcze oraz psy ujadające tam gdzieś w ciemnościach, słyszę ćmy pukające do klosza lampy ulicznej i starające się wejść do środka.

„Puk, puk. To przecież ja. Pamiętasz mnie? Spotkaliśmy się zeszłej nocy..."

Lubię wejść do klubu wczesnym popołudniem, usiąść przy stole i obserwować pasemka sinego dymu delikatnie płynące w przestrzeni i układające w powietrzu półkoliste wstęgi, złoty prostokąt światła powoli sunący po podłodze i zahaczający po drodze o nogi stołów i krzeseł. A za oknem znowu przesuwa się samochód, niczym błękitna fregata rozpruwa fale asfaltu, po jego karoserii błyszczącej w słońcu przebiegają węże świetlnych biczów, które wpadają przez okno do środka i smagają moją twarz oraz jasne ściany wnętrza klubu.

Zanurzam się powoli w lepkiej senności takich chwil; pozwalam, aby każdą moją komórkę ogarnęły niezauważalne konwulsje szczęścia (czymkolwiek jest); staram się wyssać tę atmosferę chwili jak słodki cukierek (gdy byłem mały, zawsze starałem się ssać cukierek jak najdłużej, aby sprawdzić, ile wytrzyma w jednym kawałku, dopiero w ostatniej chwili rozgryzałem cienką blaszkę, która pękała jak kręgosłup jakiegoś malutkiego zwierzaka), absorbuję jak gąbka powietrze, zapachy, dźwięki... Niczym kamera rejestruję w swojej pamięci chwile, kiedy moja niechęć do cywilizacji (ze wszystkim, co nam kiedykolwiek dała czy odebrała) nagle znika, kurczy się gdzieś w ciemnym kącie mojego umysłu i obgryza paznokcie ze strachu - boi się, że już nigdy nie wpuszczę jej z powrotem. Jednak w końcu zawsze powraca, stara wiedźma ze szponiastymi łapami. Chwyta mnie nimi za głowę i odwraca ją w stronę przepełnionych i zadymionych miast, zatrutych rzek i martwych pól naftowych. Chociaż zamykam oczy, obrazy szczęśliwych chwil leniwego spokoju zmywają się wtedy z mych powiek i ściekają jak łzy po policzkach. Boję się otworzyć oczy, drażni je dym o zapachu migdałów wydobywający się z kominów olbrzymich pieców na ból. Boję się odsłonić uszy, by nie usłyszeć wielomilionowego krzyku z pryszniców, ostatniego przystanku

przed wrotami wieczności. Boję się otworzyć usta, by nie rozkaszleć się od swądu śmierci szerzącego się tuż nad powierzchnią Ziemi w każdym jej zakamarku.

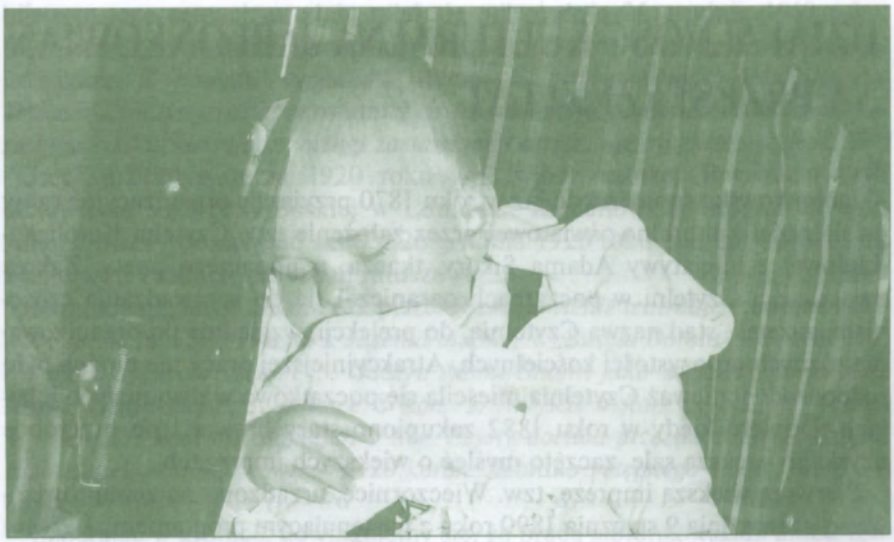
Coraz trudniej jest uciec przed wszechobecnymi mackami Postępu, mały człowieczek trzeciego tysiąclecia jest chuderlawy, rachityczny; jego gardło opasa coraz ciaśniej przewód od komputera, tyle się zmieniło... Dawniej bezsenne noce spędzał na obserwacjach gwiazd i wydaje mi się, że dostrzegam czasami w oczach starych ludzi resztki tego kosmicznego światła nazbieranego przez setki letnich nocy. Dziś coraz więcej twarzy rozjaśnia tylko szklisty połysk monitora, ludzie dają się pochłonąć przez martwe istoty, które sami stworzyli. Sam, pisząc teraz na szorstkiej klawiaturze, czuję lekkie wsysanie, palce kleją się do klawiszy.

A może to przez tę herbatę, którą tutaj wczoraj rozlałem? Sam nie wiem...

Od czasu do czasu uciekam od tej powarkującej armii diod, tranzystorów i mikroprocesorów, jaka czyha na mnie w domu. Czekam, aż nadejdzie głęboka noc i skaczę w nią na oślep. Najchętniej w mieście - łażę wtedy bocznymi uliczkami, brnę przez placki światła położone na chodniku przez lampy uliczne, przystaję przy neonach z brakującymi literami i przyglądam się dzikiemu tańcowi kolorów, a ciemność wokół otula mnie swym płaszczem koloru Nicości i prowadzi mnie w nieznane po chodniku z kocich łbów.

Jakkolwiek pokrzywiony i zepsuty jest nasz świat, dochodzę do wniosku, że może być jednak piękny. Wystarczy tylko właściwie spojrzeć.

DAREK JEDZOK





DZIAŁALNOŚĆ KULTURALNA JABŁONKOWIAN NA PRZESTRZENI LAT

Jabłonkowska społeczność już w roku 1870 przyjmuje organizacyjne ramy działalności kulturalno-oświatowej przez założenie tzw. Czytelni Katolicko-Ludowej z inicjatywy Adama Sikory, tkacza, regionalnego poety. Zakres działalności Czytelni w początkach ograniczał się do sprowadzania czasopism, gazetek, stąd nazwa Czytelnia, do prelekcji, względnie do organizowania różnych uroczystości kościelnych. Atrakcyjniejszej pracy nie można było rozpocząć, ponieważ Czytelnia mieściła się początkowo w dwu małych lokalach. Dopiero kiedy w roku 1882 zakupiono stary browar i po przeróbce uzyskano większą salę, zaczęto myśleć o większych imprezach.

Pierwszą większą imprezę, tzw. Wieczornicę, urządzono na zaimprowizowanej scenie dnia 9 stycznia 1890 roku z następującym programem: *1. Hymn*

narodowy, 2. Mowa stosowna, 3. Pieśń: Gdy na wybrzeżach twojej ojczyzny, 4. Pieśń: W głos serdeczna dumka płynie (dumka ukraińska), 5. Maski, 6. Pieśń: Ułan litewski, 7. Dwie ciotunie (pieśń humorystyczna z maskami).

W lecie 1891 roku występuje gościnnie w jabłonkowskiej Czytelni kółko amatorskie Czytelni cieszyńskiej. Kółko jabłonkowskie wystawia w rewanżu w Cieszynie sztukę „Sąsiedzi". Wymiana przedstawień między Czytelniami stwarzała okazję do zawiązania przyjaźni pomiędzy młodymi członkami kółek amatorskich.

O tym, z jakim zapałem pracowali młodzi amatorzy, świadczy fakt, iż w Jabłonkowie w ciągu 24 lat (1890–1914) wyćwiczono i odegrano 101 sztuk scenicznych, a przez scenę przewinęło się 118 amatorów (82 mężczyzn i 26 kobiet). Wystawiano sztuki błahe, często jednoaktowe, ale trafiały się sztuki bardzo trudne, wymagające pewnego wyrobienia scenicznego, a przede wszystkim wielu aktorów. Dodać jeszcze trzeba, że sztuki te wystawiano na scenie dosyć małej, oświetlonej tylko lampami naftowymi. Ostatnią przed wybuchem I wojny światowej wieczornicę zorganizowano 13 kwietnia 1914 roku z następującym programem: *1. W katordze, 2. Czarny i biały murzyn, 3. Modlitwa Sybiraków (obraz żywy).*

Ruch amatorski w Jabłonkowie rozwijał się w owych czasach tak pomyślnie dzięki ofiarności i poświęceniu dwóch braci Sikorów, Szczepana i Ludwika, którzy byli synami zmarłego w 1891 roku poety Adama Sikory.

Drugim okresem rozkwitu życia społecznego w Jabłonkowie był okres międzywojenny. Pierwszy uroczysty wieczór ku czci Adama Sikory z okazji jubileuszu jego setnych urodzin miał się odbyć dnia 26 grudnia 1919 roku. Lecz został w ostatniej chwili odwołany z przyczyn, o których tak napisał kronikarz: *Z powodu wypadków wojennych, projektowany i oplakatowany Wieczór Uroczysty został w ostatniej chwili odwołany, ponieważ na kolejach zostały wszystkie kursujące pociągi zastawione i artyści nie mogli przyjechać.*

Lecz już 29 sierpnia 1920 roku wystawiono sztukę „Bernadeta czyli Objawienie się Matki Boskiej w Lourdes". Zaplanowany wieczór ku czci Adama Sikory doszedł do skutku 26 grudnia 1920 roku pod kierownictwem Franciszka Pindura, ale w sali ratuszowej.

Kronikarz Ludwik Sikora tak pisze: *Przedstawienie teatralne – odegrano utwory śp. Adama Sikory a to: 1. Jasełka ludowe, 2. „Święta Dorota". Obrazek z życia pierwszych chrześcijan, 3. Odczyt: Adam Sikora jako wieszcz i poeta nasz śląski. Ceny miejsc: 1. miejsce 8 kor., 2. miejsca 6 kor., 3. miejsca 4 kor., 4. miejsca 3 kor., dla stojących 2 kor. Czysty dochód przeznaczono na Szpital Elżbietanek w Jabłonkowie – 1.120 koron. Zebrano wstępnego 1.500 koron, wydatki 370 kor.*

Szperając w kronice, dowiadujemy się, że praca jabłonkowskich amatorów

napotykała też na przeszkody natury politycznej, zwłaszcza po decyzji ambasadorów w Spaa, kiedy Zaolzie przypadło Republice Czeskiej. A oto wyjątek z korespondencji umieszczonej w jednej z polskich gazet: *Już podczas odgrywania rozpoczęli przybyli żołnierze i strażnicy graniczni awantury, przerywając amatorom i rzucając kamieniami na scenę. My tu jesteśmy panami i jak długo Jabłonków znajduje się w Czechach, to nie wolno grać sztuk mówiących o Polsce - krzyczeli atakujący.*

Społeczeństwo polskie nie zlękło się podobnych ekscesów, choć miały one przez pewien okres czasu wpływ na aktywność społeczną. Lecz teatralny ruch amatorski nie ustał. Wystawiano rokrocznie sztuki o takich tytułach jak: „Chłopi arystokraci", „Chata za wsią", „Jasełka śląskie", „Strażacy", „Ulicznik warszawski", „Posażna jedynaczka", „Carscy bohaterowie", „Kościuszko w Petersburgu", „Pan Majsterek", „Biuro stręczeń", „Skazaniec", „Macocha", „Zagroda Sobkowa", „Syn marnotrawny", „Gorzałka", „Królowa przedmieścia", „Gwiazda Syberii" itd.

Prócz Czytelni Katolickiej rodzą się nowe stowarzyszenia: Związek Śląskich Katolików, Stowarzyszenie Młodzieży Katolickiej Żeńskiej, Męskiej, Polski Sokół Siła. Treść prac tych stowarzyszeń była już zróżnicowana. Ich działalność koncentrowała się w starym budynku Czytelni, zbyt małym na potrzeby stowarzyszeń. Przystąpiono do rozbudowy. Wybudowano obszerną salę, scenę z zapleczem, dobudowano piętro. Prace budowlane trwały dwa lata do roku 1925 i od tego czasu do czasów po II wojnie światowej nic się nie zmieniło.

W nowej Czytelni znalazła miejsce biblioteka i wszystkie polskie organizacje. Kurtynę do nowej już sceny namalował istebniański artysta Konarzewski. W okresie międzywojennym w ruchu amatorskim pojawiły się charakterystyczne postacie aktorskie: Antek Wiszczor - szewc, Pindur (Bocónek) - piekarz, Alojzy Krzyz - fryzjer, baletmistrz nauczyciel Wowra, Szczepan Buda, Szczepan Sikora. Spośród pań wymienić należy: Wandę Cienciałę-Klimszę, Marię Wertfein, St. Golasik, Elzę Stefek, panie Poloczkówny, Budziankę, Teofil, Nikę Wertfein. Przedstawienia teatralne zawsze wystawiane były przy wypełnionej sali.

Wybuch II wojny światowej wstrzymuje w zupełności jakąkolwiek działalność polskich organizacji. Czytelnia wykorzystywana jest teraz dla potrzeb okupanta. Zbierano tu polskie rodziny do wysiedlenia w głąb Rzeszy, podczas powstania słowackiego stacjonowały tu oddziały Własowa, następnie Czytelnia służyła Towarzystwu Ubezpieczeniowemu Iduna Germania. Niemcy spalili wszystko, co miało ducha polskości: książki z biblioteki, kurtynę Konarzewskiego, nawet kulisy. Dom uległ wewnętrznej i zewnętrznej dewastacji.

Wyzwolenie nie przyniosło polskiemu społeczeństwu zwrotu jego majątków. Czesi skonfiskowali go jako majątek poniemiecki. W Czytelni magazynowano zboże, skoszarowano oddziały policyjne. Zaś zarządcą, tzw. národním správcem, mianowano Fr. Hanaka. Po długich i mozolnych pertraktacjach ustalono, że z Czytelni będą mogły korzystać nowo powstałe organizacje polskie, Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej i PZKO. Mury starej Czytelni ożywają ponownie gwarem, śpiewem. Śpiewa mieszany chór SMP pod batutą dyrektora Gustawa Słowika, J. Gazura oraz chór Gorol z dyrygentem Karolem Heczką, pracuje kółko teatralne z doświadczonym reżyserem nauczycielem Leonardem Guńką, Wł. Milerskim. Działają zespoły taneczne, istnieje zespół tenisa stołowego, gra orkiestra taneczna, ponawia swą działalność polska biblioteka, którą kieruje T. Santarius, naucz. Br. Poloczek rozpoczyna kursy szycia i haftu, organizowane są kursy tańca towarzyskiego i wiele najrozmaitszych okolicznościowych imprez, zabaw tanecznych i bali.

Kiedy budynek stał się własnością PZKO, rozpoczęto rekonstrukcję. Najpierw wyburzono starą lodownię w gospodzie, a potem przyszła kolej na starą Czytelnię. Rozbudowa miasta zabrała naszą siedzibę i trzeba było oglądnąć się za nową.

Na koniec chcę się zastanowić nad problemem naszego nowego nabytku. Otrzymaliśmy dom o wysokiej cenie nominalnej. Koło nasze posiada obecnie wielki majątek. Aby majątek utrzymać, trzeba unowocześnić i zdyscyplinować naszą wewnętrzną politykę gospodarczą i finansową. Trzeba robić wszystko, by móc majątek utrzymać i przekazać następnym pokoleniom. Ażeby nasz Dom PZKO służył swemu celowi, musimy ożywić działalność dawniej działających sekcji. Jeżeli nie zyskamy do tej działalności młodzieży, która w przyszłości po nas starych ma przejąć ster działania, to jest to martwy nabytek.

W każdym społeczeństwie istnieje pewna hierarchia, podporządkowanie, dyscyplina, reguła współdziałania. Doznałem sam wielu poniżeń i upokorzeń, ale to nie mogło zmienić mego stosunku do naszych wspólnych spraw objętych jednym jedynym wyrazem polskość. Jeżeli nie zadbamy my wszyscy bez względu na wiek, zawód czy stanowisko, to perspektywa ma mgliste tło.

Nowe sytuacje polityczne i gospodarcze kształtują nowego człowieka, a my jako ludzie kulturalni musimy uszanować dziedzictwo naszych przodków. Szkoły, dajcie działaczy. Ojcowie, piastujcie w domu dumę narodową, przekazujcie swoje doświadczenia, idźcie przykładem młodym.

JÓZEF JACHNICKI

Powyższy tekst został wygłoszony w Jabłonkowie 20 maja br. z okazji pierwszej rocznicy przekazania Domu PZKO na własność MK PZKO.

DRAMAT TRZECH SIÓSTR I JEDNEGO BRATA

Poważnie rozpoczęła ten sezon Scena Polska. A myślałam, że może na początek - we wrześniu - będzie coś lżejszego. Wszak jubileuszowa premiera - na pięćdziesięciolecie Sceny Polskiej w październiku - zapowiadała się wielce poważnie, „Dziadów" Adama Mickiewicza nie można przecież traktować ulgowo, jako staroci, która nas nie dotyczy. Wprowadzenie do sezonu okazało się jednak również refleksyjne, w nastroju jesiennej zadumy nad przemijaniem, nad sensem życia.

„Noce sióstr Brontë" współczesnej niemieckiej pisarki Susanne Schneider zagrała Scena Polska (premiera 8.9.2001) tylko w Czeskim Cieszynie w macierzystej siedzibie teatru. Nie wyjeżdżała, jak zwykle, w teren, lecz zwoziła widzów abonamentowych, by wszyscy mogli zobaczyć teatr w nowej szacie. Bo dla fizycznej wygody widzów wiele się ostatnio w teatrze zmieniło na lepsze. Po toaletach przyszła pora na foyer i widownię. Na nowych fotelach przyjemniej się siedzi. A że są szersze, więc jest ich mniej i siedzący w nich widzowie robią wrażenie większego tłumu.

„Noce sióstr Brontë" w przekładzie Danuty Żmij-Zielińskiej przygotował reżyser z Polski, goszczący już wcześniej w Scenie Polskiej Jacek Andrucki. Autorem scenografii (wnętrze pokoju, w którym odegrany został dramat rodzeństwa, ukazane zostało w szarej tonacji, z trzema jakby mównicami-biurkami dla trzech sióstr, przy których trzeba urzędować na stojąco, to wnętrze nie zmieniało się w ciągu całego spektaklu, tylko co jakiś czas jedna z ram, stanowiących kulisy boczne, odwrócona przez wychodzącą stamtąd zjawę Byrona, uosobienie tęsknot Charlotty, odsłaniała kolorowy świat marzeń, niekiedy trzeba było zaglądać do wnętrza pokoju przez duże okno, przesuwane po proscenium zależnie od potrzeb, zaś otwarcie głębi sceny sygnalizowało odsłony plenerowe z symbolicznymi już angielskimi wrzosowiskami) i kostiumów był Alexander Babraj. Potęgującą nastrój muzykę, z wokalizą Iwony Loranc, stworzył Krzysztof Maciejowski.

Historia życia trzech sióstr nie jest nowością w literaturze dramatycznej. Jednak w tym wypadku pisarka niemiecka napisała sztukę, której bohaterami są osoby żyjące naprawdę. Siostry Charlotte, Emily i Anna oraz ich brat Branwell byli utalentowanymi literacko dziećmi pochodzącego z Irlandii pastora Brontë.

„Dziwne losy Jane Eyre" Charlotte Brontë oraz „Wichrowe wzgórza" Emily Jane Brontë to książki popularne i wydawane do dnia dzisiejszego, inspirujące ponadto do adaptacji filmowych czy telewizyjnych nawet twórców współczesnych. Po pióro sięgały wszystkie trzy siostry, brat także malował. Smutne i nudne zdawało się być ich pustelnicze nieomal życie w domu ojca, które zresztą dość szybko się skończyło. Cechowało jednak to rodzeństwo bogate wnętrze, umożliwiające mu tworzenie i będące źródłem inspiracji dla autorki sztuki scenicznej o „Nocach sióstr Brontë".

Wprowadzenie do przedstawienia Jacka Andruckiego zapewnił dziwaczny nieco pastor Patrick Brontë (Ryszard Malinowski), mierząc i strzelając przez okno ze sceny prosto w stronę widowni. Pojawił się potem jeszcze w finale, prowadząc córkę Charlotte do ślubu. Wybrany Charlotte nie był jednak Byronem (Tomasz Kłaptocz), tym pięknym młodzieńcem z marzeń, który rozumiałby jej artystyczną duszę. Było to raczej małżeństwo z rozsądku. Syn pastora Branwell (Janusz Kaczmarski) w tym przedstawieniu też jakby tylko potrzebny był do uzupełnienia całości obrazu rodziny. Przemykał chyłkiem, wykradając siostrze pieniądze, widać było, że nie stroni od butelki. Swój talent udowodnił, malując portrety rodzeństwa. W końcu umarł jako pierwszy.

Właściwymi bohaterkami dramatu były trzy siostry Brontë. To one skupiały na sobie uwagę widza. Musiały udowodnić, że warto było je poznać, by nie znużyło widza obcowanie z nimi i nie uznał, że spektakl jest równie nudny i niecekawy jak życie scenicznych protagonistek. Charlotte (Lidia Chrzanówna), Emily (Anna Paprzyca) i Anna (Barbara Szotek-Stonawski) żyły w domu ojca, godząc się na swój los, i nawet przez myśl im nie przeszło, że obok jest inny świat, inne życie, które mogłyby prowadzić, gdyby zechciały opuścić dom rodzinny.

Więc czy na pewno były nieszczęśliwe? Przecież wybrały taką, a nie inną drogę. Bogactwo przeżyć wewnętrznych nie pozwalało im zresztą na nudę, wydawało się, że są cały czas pełnymi marzeń nastolatkami, że nigdy nie dorosły. Tak jak kilkunastoletnie dziewczyny śniły o czymś, co nigdy się nie spełni, tęskniły za czymś nieuchwytnym. Jednak ich działania nie zmierzały ku urzeczywistnieniu marzeń, ale zamykały się w kręgu wyobrażeń, przeżyć duchowych. Mimo to ich życie nie było takim całkowitym bezsensem. Przecież pisały. I tu można by zadać pytanie, czy zaczęłyby pisać, gdyby spotkał je inny los. Gdyby wyszły za mąż i zostały matkami. Czy aby na pewno w tym wypadku doszłoby do skonkretyzowania ich marzeń, czy może realizm życia okazałby się zupełnie inny od marzeń. I marzenia prysłyby, i nie byłoby już czego przelewać na papier.

Przedstawienie stało się wielką okazją do pokazania kunsztu aktorskiego dla trzech aktorek odtwarzających siostry Brontë. Okazją dobrze wykorzystaną. Przez Barbarę Szotek-Stonawski, która powróciła do teatru po urlopie macierzyńskim inna, dojrzalsza, nie tracąc jednak swego dziewczęcego wdzięku,

o czym dokładnie przekonali się widzowie spektaklu. Przez Annę Paprzycę, która ostatnio jakby wyszła z ukrycia i przeżywa w tej chwili swoje aktorskie - które oby trwało jak najdłużej - pięć minut. I przez Lidię Chrzanównę, która niejednokrotnie już udowodniła, że lubi role psychologiczne.

Sztuka dobrze wybrzmiałaby na scenie kameralnej. W Scenie Polskiej nie ma na razie takiej możliwości. Ale duża scena nie musi oznaczać niemożności skupienia uwagi widza na tym, co w danym spektaklu najważniejsze. W tym wypadku nie jest to forma przedstawienia. Lecz, paradoksalnie, właśnie kwestie formalne to jego słabości. Pomijam już (czy nie za głośną?) sprawę braku przerwy w przedstawieniu premierowym, który to mankament został później zlikwidowany. Inscenizacja Jacka Andruckiego zawiera sceny wciągające, jak choćby monologi sióstr. Jednak rozpraszają całość niepotrzebne ozdobniki, będące tylko formą samą w sobie, które nudzącemu się na przykład, bo nie zainteresował go temat, widzowi i tak nie pomogą. Przeszkadzają też niejasności w kompozycji czasowej i niedomówienia w scenach końcowych, gdy trudno połapać się, jak to dokładnie było z tym starzeniem się i umieraniem rodzeństwa. Nie można wymagać od widza, by przed obejrzeniem spektaklu miał przestudiowane życiorysy najważniejszych jego postaci.

CZESŁAWA RUDNIK



Fot. WIESŁAW PRZECZEK

JUBILEUSZE STONAWSKICH CHÓRÓW

W roku 1996 oba stonawskie chóry obchodziły swoje jubileusze: męski Siła 75 lat i żeński Halka 45 lat. W roku bieżącym wypadałoby świętować kolejne urodziny, jednak jubileuszu nie będzie. To stwierdzenie tylko pozornie napawa pesymizmem, wobec tego...

Zacznijmy od Adama

Początki śpiewactwa w Stonawie sięgają czasów Monarchii Austriacko-Węgierskiej. Wprawdzie ludzie nie żyli tu „bez starości", jak ów legendarny baca na Kozubowej, ale do pracy społecznej nie trzeba ich było specjalnie namawiać. W roku 1905 powstało towarzystwo Czytelnia Ludowa, a przy nim nieco później chór męski prowadzony przez nauczyciela Andrzeja Wrankę. Śpiewano bez nut, na cztery głosy. Chórzyści zbierali się systematycznie przez cztery miesiące, później dorywczo, w końcu zespół sam się rozwiązał. Po pięciu latach Czytelnia Ludowa i jeszcze wcześniej założone Koło Towarzystwa Szkoły Ludowej przestały działać, powstało Koło Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego. Nauczyciel Franciszek Jeżowicz utworzył przy nim pierwszy w Stonawie chór mieszany, który pracował aż do wybuchu pierwszej wojny światowej.

W dwudziestoleciu międzywojennym

Powstawały nowe towarzystwa społeczne, a przy każdym z nich z reguły pracował chór. Śpiewali więc stonawianie w chórach męskim i mieszanym Stowarzyszenia Siła, w chórze mieszanym Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej, w chórze mieszanym Stowarzyszenia Młodzieży Ewangelickiej oraz w Chórze Mieszanym Koła Macierzy Szkolnej. Wszystkie zespoły należały do Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji.

Chór męski Siła

Wywodzi się z chóru Stowarzyszenia Siła założonego w 1921 roku. Wtedy na czele chętnej do śpiewania młodzieży stanął Maksymilian Zajic, z zawodu stolarz, i on prowadził zapaleńców. Pomimo niesprzyjającej sytuacji społeczno-politycznej - strajków, prześladowań wszelkich przejawów ruchu robotniczego - chór istniał i śpiewał. W latach trzydziestych powstał przy chórze kwartet męski Rewelersi, który pracował aż do roku 1948. Śpiewał m.in. na uroczystości z okazji srebrnego wesela hrabiego Larischa.

Działalność obu zespołów przerwał wybuch drugiej wojny światowej. Wielu chórzystów znalazło się w obozach koncentracyjnych, więzieniach, na robotach przymusowych. Ci, którym udało się przeżyć, w dwa tygodnie po wyzwoleniu Stonawy - 16 maja 1945 roku - spotkali się na pierwszej próbie. Prowadził ją Augustyn Koch.



Chór Mieszany Koła Macierzy Szkolnej w 1926 roku, dyrygent Henryk Kosarz

Już w roku 1945 chór występował w Cieszynie, rok później w studiu radiowym w Katowicach i w Siemianowicach Śląskich w ramach popularnej audycji „Przy sobocie po robocie".

Kiedy w 1947 roku powstały nowe polskie związki PZKO i SMP, chór zaczął pracować jako zespół MK PZKO Stonawa.

Do najważniejszych osiągnięć w pracy chóru w okresie powojennym należy niewątpliwie zajęcie pierwszego miejsca w roku 1952 w ogólnookręgowym Konkursie Twórczości Ludowej oraz w konkursie śpiewaczym PZKO. Jako laureat KTL z roku 1952 w lipcu 1953 wystąpił chór na Ogólnopaństwowym Festiwalu KTL w Brnie.

Praca chóru została należycie oceniona. Otrzymał Złotą Odznakę Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych w Warszawie oraz odznaczenie PZKO Zasłużony dla Związku II stopnia.

W przeciągu 75 lat przed chórem stanęło ponad 20 dyrygentów. Wymieńmy przynajmniej tych, którzy to miejsce zajmowali w okresie powojennym, a byli to: Augustyn Koch, Adolf Żyła, Franciszek Kupka, Józef Firla, Wilhelm Budziński, Alojzy Suchanek, Karol Gąsior, Oskar Firut i Anna Cyrzyk.

Chór żeński Halka

Rozpoczął swoją działalność w 1951 roku, początkowo jako chór mieszany, ale już w roku 1952 został przeorganizowany na chór żeński. Do roku 1954 był częścią składową Powiatowego Zespołu Pieśni i Tańca Górnik. Od samego początku odznaczał się wysokim poziomem artystycznym. Jeszcze jako chór mieszany (czyli w pierw-

szym roku istnienia) zdobył drugie miejsce w I kategorii chórów mieszanych w konkursie śpiewaczym PZKO. Jako stosunkowo młody zespół reprezentował zaolziańskie śpiewactwo na Festiwalu Chórów Polskich w Poznaniu z okazji 65. rocznicy Wielkopolskiego Związku Śpiewaczego. Jeszcze dwukrotnie śpiewały stonawskie panie w stolicy Wielkopolski: w roku 1965 na Centralnych Uroczystościach Festiwalowych organizowanych przez Ogólnopolski Komitet Festiwalu Chórów Amatorskich O laur XX lecia PRL, oraz w roku 1972 wspólnie z czeskocieszyńską Harfą na Festiwalu Chórów Polonijnych.

Halka otrzymała kolejno wszystkie odznaki PZKO Za Zasługi, Medal 20-lecia PZKO, Honorowy Akt Uznania Komisji d/s Szkolnictwa i Kultury Okręgowej Rady Narodowej w Ostrawie. Zjednoczenie Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych w Warszawie przyznało jej w 1981 roku Złotą Odznakę, Zarząd Główny PZKO w 1986 roku Zasłużony dla Związku II stopnia.

Od roku 1951 do 1974, z wyjątkiem krótkiego okresu czasu, kiedy dyrygentami byli Walter Wygrys i Alojzy Suchanek, chór prowadził Józef Firla. Od roku 1971 zespół pracował pod kierownictwem Anny Cyrzyk, w roku 1991 dyrygenturę objęła Marta Orszulik.

Chór mieszany Stonawa

Powstawał długo i powoli. Chórzystom trudno było oswoić się z myślą, że zespoły o długiej i bogatej tradycji miałyby zaniknąć. Sytuacja jednak powoli do tego zmuszała - malejąca liczba chórzystów szczególnie w chórze męskim, brak młodych miłośników śpiewu chóralnego. Początkowo oba zespoły spotykały się jeszcze na



Chór męski Siła w 1937 roku, dyrygent Rudolf Pastuszek



Kwartet Rewelersi, siedzą od lewej: Józef Mrózek, Henryk Hrabiec, Rudolf Godula (akompaniator), stoją od lewej: Henryk Pałarczyk, Alojzy Mołdrzyk

oddzielnych próbach, ale przygotowując już utwory w opracowaniu przeważnie na chór mieszany. We wrześniu 1994 roku na jednej ze wspólnych prób podjęto decyzję o zakończeniu działalności chórów Siła i Halka i utworzeniu nowego zespołu – chóru mieszanego Stonawa pod kierownictwem Marty Orszulik. Od roku 1998 do września 2001 w czasie urlopu macierzyńskiego dyrygentki prowadziła go Anna Kiszka.

Podobnie jak Siła i Halka, tak samo chór Stonawa jest filarem pracy MK PZKO, aktywnie uczestniczy w życiu gminy, za co doceniają go miejscowe władze.

Nie tylko chóry,

chociaż one na pewno odgrywały najważniejszą rolę, zapisały się w życiu śpiewaczym Stonawy. Wspomniano już popularny na Zaolziu w latach trzydziestych kwartet męski Rewelersi. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pracowały zespoły kameralne Łobuzy i Michalinki (kierownik artystyczny Zbigniew Kocur), a ostatnio Allegro (kierownik artystyczny Marta Orszulik).

A jednak jubileusz

Podsumowując rozważania dotyczące śpiewactwa w Stonawie, wypada stwierdzić, iż jednak jest okazja do świętowania. Właśnie w tym roku upłynie 95 lat od chwili, kiedy w ogóle powstał tu pierwszy chór. Trzeba zrobić małą próbę generalną, by za pięć lat...

ALEKSANDRA OPIOŁOWA

Zdjęcia pochodzą ze zbiorów Władysława Gałuszki.

MŁODZIEŻ LUBI ŚPIEWAĆ, A JEDNAK...
ROZWAŻANIA NAD TERAŹNIEJSZOŚCIĄ I PRZYSZŁOŚCIĄ ŚPIEWU CHÓRALNEGO

Wszystkim działaczom na niwie śpiewu chóralnego znane są powszechne utyskiwania, iż wykruszają się zespoły chóralne dorosłych na skutek braku przypływu młodszej kadry śpiewaczej. Ogólnie znany jest fakt, iż w śpiewactwie chóralnym doszło do wyraźnego podziału zespołów chóralnych na dwie grupy. Pierwszą z nich tworzą nieliczne chóry dziecięco-młodzieżowe szkół podstawowych i średnich oraz młodzieżowe chóry akademickie, wykazujące wysoki poziom artystyczny. A potem następuje długa przerwa przynajmniej dwudziestoletnia - i pojawia się druga grupa chórów, którą określić możemy jako chóry tzw. trzeciego wieku lub chóry prawie że emerytalne, które na skutek braku przypływu młodszej kadry śpiewaczej skazane są na wegetację lub też stopniowe zanikanie. Dowodem tego był chociażby ostatni Trojok Śląski w Ostrawie, gdzie podział na chóry młodzieżowe o wysokim poziomie artystycznym i chóry starszej generacji z bardzo zróżnicowanym poziomem wykonawstwa artystycznego był wyraźnie widoczny.

Był więc Trojok Śląski m.in. również zaprzeczeniem twierdzenia, iż młodzież nie akceptuje śpiewu chóralnego. Utyskiwaniom tym zaprzecza też np. Przegląd Szkolnej Działalności Śpiewaczej, organizowany ostatnio przez Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne PZKO i Centrum Pedagogiczne dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego w Czeskim Cieszynie.

W imprezie tej bierze udział 13-16 różnego rodzaju zespołów śpiewaczych, jedno-, dwu- i wielogłosowych, uczniów polskich szkół podstawowych i średnich na Zaolziu. Do tej pory były to zespoły PSP w Bukowcu, Bystrzycy, Trzyńcu I i Trzyńcu Podlesiu, Mostach koło Jabłonkowa, Gnojniku, Jabłonkowie, Nawsiu, Nydku, Suchej Górnej, Czeskim Cieszynie, Karwinie Frysztacie i Karwinie Nowym Mieście. Średnie szkoły reprezentowały Średnia Szkoła Zdrowotna i czeskocieszyńskie Polskie Gimnazjum. W sumie zawsze około 350 młodych śpiewaków.

Zespoły są liczebnie różne: kameralne, średnie i duże, repertuar urozmaicony: piosenki klasyczne, sakralne, ludowe, rozrywkowe, są i kolędy. Okazuje się, że młodzi ludzie mogą polubić śpiew zbiorowy, o ile znajdą się nauczyciele, którzy potrafią zachęcić ich do śpiewania i którzy umieją odkryć przed nimi uroki śpiewu wielogłosowego. A śpiewały wielogłosowo chóry z Jabłonkowa, Bystrzycy a także Karwiny Nowego Miasta, gdzie jeszcze przed trze-

ma laty istniało przekonanie, iż młodzież nie lubi śpiewać w chórze, gdyż ma już całkiem inne zainteresowania. A tymczasem po przyjściu do szkoły nowej, młodej nauczycielki, Beaty Roman, powstał w nowomiejskiej szkole w przeciągu dwu lat nawet bardzo dobry chór szkolny. Dobrze jest, że mamy jeszcze w szkołach zaolziańskich takich nauczycieli, jak Irena Małysz, Danuta Cymerys, Elwira Zwyrtek, Halina Kulig, Ewa Blanik, Marek i Roman Gryczowie, Irena Rybicka, Beata Roman, Ilona Omyła, Danuta Cieślar, Jadwiga Czapowa, Janina Duda, Krystyna Pyszko, Barbara Sikora, Irena Tacina...

Cieszyński Przegląd cechuje bardzo miła atmosfera, w przerwach pomiędzy występami poszczególnych zespołów śpiewane są wspólnie rodzime, śląskie pieśni ludowe, harcerskie, żołnierskie i patriotyczne ze śpiewnika „Śpiewamy wszyscy" Józefa Wierzgonia. Punkt kulminacyjny imprezy stanowi występ czeskocieszyńskiego chóru Collegium Iuvenum z dyrygentem Leszkiem Kaliną. Z takiego zespołu, który zdobywa Złote Kamertony w Bydgoszczy, może być polskie śpiewactwo zaolziańskie naprawdę dumne. Cieszy również fakt, iż specjalnie powołana komisja, która obserwuje występy chórów, mogła nawet polecić do udziału w Ogólnopolskim Konkursie Chórów a Cappella Dzieci i Młodzieży w Bydgoszczy chóry ze szkół podstawowych w Jabłonkowie, Bystrzycy i Karwinie Nowym Mieście.

Stwierdzamy zatem, iż młodzież szkolną można zachęcić do śpiewu zbiorowego. Główną rolę odgrywa tu jednak przede wszystkim osobowość nauczyciela, który ma odpowiednie kwalifikacje, głównie zaś chęci i poczucie potrzeby odkrycia przed młodzieżą uroków śpiewu zbiorowego, wielogłosowego.

Szkoda jednak, że szkolnych zespołów śpiewaczych jest coraz mniej. W Polsce dalszemu zanikowi szkolnych zespołów chóralnych sprzyja nowa reforma szkolna, która zlikwidowała lekcje wychowania muzycznego, wprowadzając niefortunny przedmiot „sztuka". Konsekwencje tego są coraz bardziej widoczne, np. znikomy jest udział chórów szkolnych w ogólnopolskim konkursie chórów dzieci i młodzieży na wszystkich szczeblach. W Republice Czeskiej jedna lekcja wychowania muzycznego tygodniowo w szkołach podstawowych też nie rozwiązuje problemu. W szkołach średnich zaś tylko w pierwszych dwu klasach - i to tylko w gimnazjum - pojawia się przedmiot wychowanie muzyczne (w okresie powojennym w ośmioletnim gimnazjum realnym aż do klasy szóstej były dwie lekcje tygodniowo wychowania muzycznego, były też okresy zupełnej likwidacji tego przedmiotu). W wielu szkołach brakuje też uzdolnionych, utalentowanych i fachowo wykształconych nauczycieli wychowania muzycznego, którzy potrafiliby w młodzieży

rozniecić radość ze śpiewu chóralnego. I tu nasuwa się jeszcze jeden bardzo dręczący problem: Jak pozyskać przynajmniej tę młodzież, która śpiewa w chórach, po opuszczeniu murów szkolnych do coraz bardziej starzejących się „dorosłych" zespołów śpiewaczych, do których po ukończeniu studiów nie garną się nawet śpiewacy z dobrze prosperujących chórów akademickich. W Karwinie działa od ponad 35 lat pod kierownictwem artystycznym Evy Šeinerovej, dyrektor Podstawowej Szkoły Artystycznej, znakomity ponad sześćdziesięcioosobowy chór dziecięco-młodzieżowy Permonik, zdobywca wielu nagród na prestiżowych międzynarodowych konkursach śpiewaczych, znany nie tylko w wielu krajach Europy, ale również w Stanach Zjednoczonych i Japonii. W ciągu tych 35 lat opuściły zespół setki dobrze śpiewających i fachowo wyszkolonych głosów (każde dziecko zanim dotrze do Permonika, tj. chóru koncertującego, musi przejść przez sito aż pięciu zespołów - od Wróbelka aż po Starszy Chór Szkolny). Z młodych absolwentów tego chóru mógł przez te lata powstać świetny chór żeński, a nawet mieszany. A tymczasem w Karwinie nie ma żadnego chóru czeskiego od wielu, wielu lat i... na pewno nie będzie. Czyżby absolwenci tego wspaniałego chóru nie odczuwali potrzeb dalszego kontynuowania zdobytych umiejętności śpiewaczych? A takie przykłady wygaśnięcia zapału do śpiewu chóralnego u absolwentów znakomitych dziecięcych i młodzieżowych zespołów chóralnych znaleźć można nie tylko w Republice Czeskiej, ale i w Polsce. Gdzie podziewają się po opuszczeniu murów wyższej uczelni śpiewacy ze świetnych chórów akademickich? To prawda, że w chórze akademickim poruszają się wśród swoich rówieśników, spędzają niejedną przyjemną chwilę na występach krajowych, a jeszcze atrakcyjniejszą na koncertach zagranicznych. Jednak potrzeba wyżycia się w śpiewie chóralnym po opuszczeniu uczelni nagle wygasa. A może są bardziej subiektywne powody? Bo iść do chóru, w którym chórzyści są dużo starsi, jakoś odstrasza, nie przekonuje, nie pociąga! Tym bardziej, że się śpiewało w chórze o wysokich aspiracjach artystycznych, w chórze wręcz elitarnym. A teraz trzeba by obniżyć znacznie swoje loty i wygórowane ambicje śpiewacze. Przepaść pomiędzy chórem akademickim, a chórem „dorosłych" jest zbyt wielka, różnica wiekowa zanadto wyraźna. A poziom artystyczny chóru też może nie zachwycać. I tu chyba tkwi przyczyna, dlaczego nasze chóry „dorosłych" starzeją się coraz bardziej i w końcu zmuszone są do zaniechania działalności. Jedynie tam, gdzie absolwenci chórów młodzieżowych i akademickich mogą po opuszczeniu murów szkolnych w gronie swoich rówieśników kontynuować pracę w chórze, ich głosy nie zanikają. Tak jest np. w Czeskim Cieszynie, gdzie śpiewacy chóru gimnazjalnego Collegium Iuvenum przechodzą do młodego i artystycznie coraz

wyraźniej rosnącego Chóru Mieszanego Canticum Novum, prowadzonego również przez Leszka Kalinę.

A zatem nie znajdujemy na razie skutecznej recepty na odmłodzenie chórów dorosłych, szczycących się długoletnim stażem, lecz walczących o dalsze przetrwanie. Spotykamy się coraz częściej z poglądem, iż śpiew chóralny przechodzi wielkie przeobrażenie: Od ilości przechodzi wyraźnie w jakość. Czy jednak wyłącznie tędy droga? Czy dążenie i zmierzanie do elitarności w zespołach chóralnych, z wyselekcjonowanymi skrupulatnie śpiewakami, stanowi ostateczny i istotny cel dalszego rozwoju śpiewu chóralnego? Dobrze na pewno będzie, jeżeli będziemy mieli chóry, które stać na wysoki poziom artystyczny. Nie wolno nam jednak na pewno dopuścić do tego, by śpiew chóralny stał się wyłącznie sprawą elitarną.

Marzymy o społeczeństwie rozśpiewanym. Śpiewajmy więc wszyscy i to jak najczęściej, by wspólny śpiew dawał nam wiele radości, by nas pieśń jednoczyła i dawała nam siły do przetrwania. A śpiew chóralny ma tu na pewno trwałe i niezastąpione miejsce, śpiew chóralny choćby prosty, ale wprost z serca i duszy płynący!

JÓZEF WIERZGOŃ

SEMINARIUM DLA DYRYGENTÓW I ŚPIEWAKÓW

Trzy dni gościli pod koniec września br. na Zaolziu wykładowcy akademiccy z Polski - z zakresu chóralistyki: prof. Elżbieta Wtorkowska z Bydgoszczy oraz prof. Przemysław Pałka z Akademii Muzycznej w Poznaniu, którzy poprowadzili seminarium dokształcające dla dyrygentów szkolnych zespołów śpiewaczych i chórów działających pod egidą Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego PZKO. Była też obecna akompaniatorka Grażyna Ney z Wrocławia.

Znani już na naszym terenie fachowcy-pedagodzy muzyczni byli najpierw gośćmi w Polskiej Szkole Podstawowej w Karwinie Nowym Mieście, gdzie młodzież z zespołu Dziołchy i Syncy z Kolónije w strojach ludowych powitała ich chlebem i solą. A potem nauczyciele-dyrygenci szkolnych zespołów śpiewaczych wysłuchali wykładu prof. E. Wtorkowskiej połączonego z praktycznymi wskazówkami z zakresu emisji głosu, zaś prof. P. Pałka udzielił praktycznych rad z dyrygowania. Z udziałem chórów szkoły nowomiejskiej (dyrygent Beata Roman) oraz szkoły bystrzyckiej (dyrygent Danuta Cymerys) odbyły się zajęcia praktyczne z interpretacji utworów chóralnych, w czasie których obecni nauczyciele-dyrygenci mogli się popisać swoimi umiejętnościami dyrygenckimi.

W dniach 28 i 29 września odbyło się seminarium dokształcające dla dyrygentów chórów skupionych wokół Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego PZKO, którego treść stanowiły praktyczne zajęcia z emisji głosu oraz interpretacji kompozycji chóralnych. Piątkowe seminarium z udziałem śpiewaków z PZŚ Hutnik oraz Collegium Canticorum odbyło się w Domu Kultury Trisia w Trzyńcu, zaś w sobotę odbyły się zajęcia z udziałem śpiewaków karwińsko-rajskiego Dźwięku oraz darkowskiej Liry w Domu PZKO w Karwinie Frysztacie.

Z ramienia Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego PZKO oraz współorganizatora pożytecznego przedsięwzięcia Polskiego Centrum Pedagogicznego uczestniczyli w seminarium prezes i wiceprezes ZŚM Jan Hławiczka i Józef Wierzgoń oraz kierownik artystyczny ZŚM i metodyk PCP Leszek Kalina.

Postanowiono, że seminaria dokształcające, które znalazły zrozumienie i poparcie Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Poznaniu, będą kontynuowane i w latach następnych. Ponieważ w roku przyszłym przypada 75. rocznica zorganizowanego śpiewactwa polskiego na Zaolziu (w 1927 r. założony został Polski Związek Chórów w Czechosłowacji, którego powojennym kontynuatorem jest Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne PZKO), można by na zakończenie seminarium dyrygenckiego urządzić koncert z udziałem polskich chórów zaolziańskich.

J.W.

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Z BLISKIEJ NAM PRZESZŁOŚCI
KOŃSKA: CHODURA I INNI

Wspomnienie to poświęcam ostatnim mniej więcej trzydziestu latom reżymu, o którym większość z nas nie miała najlepszego mniemania. Lecz pomimo wszystko można było nie tylko chodzić do tzw. wyborów, na manifestacje, zebrania, podejmować zobowiązania... Pewnego przełomu oczekiwaliśmy w roku 1968, ale wiemy, jak to się skończyło.

Ludzie musieli w tamtych czasach znosić różne upokorzenia, a ci, co nie potrafili się dostosować, mieli większe trudności. Próby sprzeciwu były przysłowiowymi walkami z wiatrakami. Lecz było trzeba żyć, pracować, tworzyć - po prostu robić coś, by pozostawić po sobie i dla innych jakiś ślad. Niektórzy wprawdzie jakby chowali się do swej prywaty (obecnie jest takich większość), ale na szczęście było też dużo takich, którzy dali się z własnej woli lub też przez pewien nacisk zaangażować do pożytecznych działań. By jako tako „wyglądać", było wskazane zbierać dob-



Pingpongiści Sokoła Piast Końska: Leon Niesłanik, Tadeusz Stec, Karol Miech, Bronisława Niesłanikówna, Ema Molinówna, Józef Kaczmarczyk

re oceny lub przynajmniej zaświadczenia z różnych miejsc. Potrzebne działania koncentrowały się na rozwoju i upiększaniu miejsc zamieszkania oraz działalności społecznej.

Mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że lewobrzeżna część Końskiej (dzielnica Trzyniec Końska została w latach 50. przedzielona przez hutę) należała pod wspomnianymi względami do czołówki. Były naturalnie okresy lepsze i gorsze. Te lepsze to nowe drogi, komunikacja autobusowa, sklep samoobsługowy, mały park w centrum z pomnikami Jana Kubisza i Ofiarom Faszyzmu, sieć wodociągowa, cmentarna sala obrzędów, wreszcie duży basen kąpielowy z małym parkiem nad Bystrym i okazały Dom Kultury. Wśród organizacji społecznych przodowało zwłaszcza w latach 70. Koło PZKO, strażacy, Czerwony Krzyż, działkowcy, a w latach 60. działał tu nawet Klub Sportowy, swoisty spadkobierca powojennego Piasta. Dość formalnie działał Svazarm, a zwłaszcza Związek Przyjaźni Czechosłowacko-Radzieckiej. Była naturalnie organizacja partyjna, ta jednak nie miała wielkiego znaczenia i raczej nikomu nie ubliżyła.

Wspomnieć trzeba głównie ludzi, którzy byli motorami wszystkich działań. Znaczną pomocą był wtedy „nasz" Jan Koziełek, najpierw jako zastępca, a potem jako burmistrz Trzyńca. W latach powojennych znany był w Końskiej jako prezes wielkiej i aktywnej organizacji SMP i Piasta. Do tych najaktywniejszych należał już od końca wojny Paweł Chodura. Chodząc teraz częściej po cmentarzu, zauważyłem ze zdumieniem, że w tym roku mija już 20 lat od jego śmierci.

Nasz Paweł urodził się w Końskiej w rodzinie rolniczej jako najstarszy z czterech braci. Jako chłopiec pracował przed wojną w firmie budowlanej, w roku 1938 przyjęto go do huty. W czasie okupacji pracował jako Polak w ropickiej cegielni. Po wyzwoleniu przyjęty został do warsztatów mechanicznych huty jako kowal, doszedł aż do stanowiska majstra. Wymienienie wszystkich jego funkcji i zasług zabrałoby dużo miejsca. Były to związki zawodowe, partia komunistyczna, Miejska Rada Narodowa, straż pożarna a przede wszystkim PZKO. Zajmował najczęściej czołowe funkcje. Pozostał jednak skromnym człowiekiem i był przez obywateli niezwykle ceniony, bo w najróżniejszy sposób im pomagał. Na skutek złego stanu zdrowia przeszedł w roku 1969 na emeryturę i poświęcił się pracy społecznej. Znaleźć go można było wszędzie, gdzie było trzeba przyłożyć rękę do dzieła. Był doskonałym organizatorem i potrafił sobie dobrać odpowiednich ludzi do pomocy. W ostatnich latach żył z rozrusznikiem serca. Umarł przedwcześnie w 67. roku życia. Z trójki dzieci żyje już tylko córka Bronisława. Jedna z wnuczek - Michasia Raszka (uczy w naszym gimnazjum) - mieszka z mężem i dwoma synami w Końskiej na Podlesiu.

Trzeba też przypomnieć zasługi wielu innych, którzy z Chodurą współpracowali. Z już nieżyjących wymieńmy choć kilku: Karol Trombik, Rudolf Dänemark, Rudolf Josiek, Wiktor Kowalski, Jerzy Zwias, Rudolf Madeja, wreszcie długoletni prezes Komitetu Obywatelskiego Józef Kubisz, autor kroniki lat powojennych. Inni się postarzeli, a na ich następców chyba będzie trzeba jeszcze poczekać.

Nie wszystko, co zrobiono w tamtych latach, przetrwało. W Domu Kultury jest teraz piękna restauracja, filia Biblioteki Miejskiej, są lokale dla PZKO, miasto ostatnio zaczyna się troszczyć o mały park w centrum. Ale przez kilka lat nie działał basen wynajęty przez prywatną osobę. Nieczynna jest sala obrzędowa na cmentarzu, dewastacji uległ mały park nad Bystrym. Ale mamy dwie piękne restauracje, trzy sklepy spożywcze, naprawiono kawał drogi. W Radzie Miasta mamy teraz Zbyszka Chodurę i jemu chyba uda się jeszcze wiele zrobić dla tej części Końskiej.

Z organizacji społecznych po kilkuletnim zastoju słychać znów o PZKO, bez przerwy działa chór Zgoda razem z sąsiadami z Nieborów i Kanady, prowadzony przez niezmordowaną Irenę Małysz. Są imprezy towarzyskie. Na wycieczkach i wystawach koncentrują się działkowcy, próbują się aktywizować strażacy. Szkoda, że już w naszej sali gimnastycznej nie widać jak dawniej naszej młodzieży ani dorosłych.

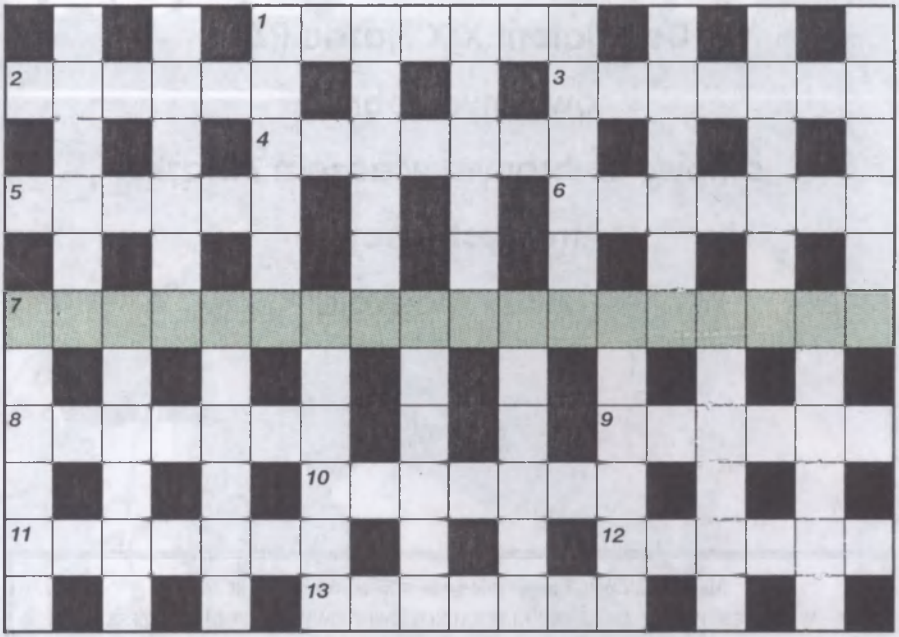
Przy okazji wspomnę ze smutkiem o zmierzchu Końskiej. Dla naszej zachodniej części utarła się nazwa Podlesie, a po drugiej stronie przemianowano czeski Puńców na Osówki, chociaż Osówka jest najwyższym wzniesieniem Końskiej. Po tej stronie huty jest przystanek kolejowy „Třinec-Konská". Ale niektórym ludziom obcym ta czeska nazwa nie przypomina, że nasza niegdyś wielka i znacząca wioska wywodzi się od konia.

OSKAR LANC



Jeden z zespołów SMP, w środku w garniturze prezes Koła Jan Koziełek

KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA KOMBINOWANA Z PRZYSŁOWIEM

POZIOMO: 1. Produkt spożywczy lub w przenośni niespodziewana przykrość. **2.** Państwo w Afryce (stolica Maseru). **3.** Graniczy od wschodu z Polską. **4.** Buda targowa. **5.** Muzułmański dom modlitwy. **6.** Dawniej atrament. **7. ROZWIĄZANIE DODATKOWE – PRZYSŁOWIE FIŃSKIE. 8.** Najwyższy szczyt w Tatrach Wysokich. **9.** Demon nienawiści w mitologii irańskiej. **10.** Oberek żartobliwie. **11.** Najcenniejszy kamień szlachetny. **12.** Pogardliwie o księdzu. **13.** Jeden ze stanów USA.

Wyrazy trudne: AESZMA.

PIONOWO (w porządku alfabetycznym): ADRIAN, ALASKA, ATABEG, EKSCES, KASTET, KORZEC, METEOR, OCHOTA, PIRUET, POGODA, POSTĘP, PROKOP, STRAUB, TIGRID, TUNIKA, UKLEJA, YAMAHA, ZŁOTKA.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe.

Rozwiązania prosimy przesyłać do końca listopada.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru wrześniowego: POEZJA TO MYŚLENIE W OBRAZACH.

Nagrody książkowe wylosowali: Janina Gurecka – Czeski Cieszyn
Mieczysław Piszczek – Stonawa
Renata Gałuszka – Sucha Górna

Delegatom XIX Zjazdu PZKO

owocnych obrad,

a nowo wybranym władzom Związku

trafnych decyzji

życzy redakcja

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny Ministerstwa Kultury RC: F 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN,
Tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI, Daniel KADŁUBIEC, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - fa LUBOMIR HORŇAK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168 Kč, z wysyłką pocztową 240 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701028/00 z dnia 27 VI 2000 r. z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE ZESPOŁY



SKRZECZOŃSKI ZESPÓŁ MUZYCZNY

Działalność zespołu muzycznego przy Miejscowym Kole PZKO w Skrzeczoniu datuje się od 1962 roku, kiedy to powstał zespół Meteor. Do 1983 roku, kiedy to zespół kolejno prowadzili bracia Zbigniew i Józef Kołtuniowie, Meteor dał ponad 500 występów na całym pezetkaowskim terenie, w Polsce, a raz nawet w byłej Niemieckiej Republice Demokratycznej. W swoim repertuarze miał nie tylko polskie piosenki ludowe i współczesne, ale również ludowe piosenki czeskie i słowackie. Występował także podczas Festiwali PZKO oraz był współorganizatorem sześciu edycji popularnych Muzycznych Jesieni.

Od 1 kwietnia 1983 roku zespół zmienił nazwę na Krater, przy czym funkcję kierownika artystycznego objął Zbigniew Ożóg, pełniąc ją do dnia dzisiejszego. Pod jego kierownictwem obecnie zespół składający się z czterech muzyków wystąpił około 300 razy na naszym terenie, w Polsce oraz raz w stolicy Austrii w Wiedniu.

W okresie ubiegłych 39 lat skrzeczoński zespół muzyczny łącznie wystąpił ponad 800 razy, przez jego szeregi przewinęło się około 50 muzyków, przy czym najdłuższym stażem w zespole może poszczycić się Czesław Bugdol, bowiem był członkiem Meteoru przez cały okres jego istnienia, a i teraz okazjonalnie muzykuje z Kraterem.

Za całokształt działalności zespół otrzymał od Zarządu Głównego PZKO złotą odznakę „Za zasługi".

Čs. tiskárna 6/2001

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

OT

P.P.
701 028/00
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

Wydawnictwo REGION SILESIA
po wyczerpaniu pierwszego wydania popularnej publikacji albumowej

„OLZA od pramene po ujście"

wznowiło jej nakład

O ile państwo jeszcze nie posiadają tej cennej książki, warto skorzystać z wyjątkowej okazji kupna po cenie hurtowej (300 Kč) bezpośrednio w wydawnictwie w Czeskim Cieszynie przy ulicy Hrabińskiej 12 albo za pośrednictwem redakcji Zwrotu.

Ta dwujęzyczna czesko-polska publikacja opisuje cały bieg rzeki – od źródła pod Gańczorką w Istebnej aż po ujście do Odry w Kopytowie koło Bogumina. Składają się na nią informacje z zakresu geografii, historii, przyrody, ekologii, etnografii, kultury, socjologii, przemysłu, gospodarki wodnej, rybołówstwa, turystyki i rekreacji. Książka zawiera dane statystyczne, utwory literackie, a przede wszystkim bogaty materiał ilustracyjny dokumentujący życie nad Olzą w przeszłości i obecnie.
Po prostu wszystko o OLZIE i kraju na jej brzegach!

„OLZA" powinna być w każdej biblioteczce domowej!

od pramene



OLZA

po ujście

ISSN 0139-6277

Zwrot

12
2001

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ



TACY BYLIŚMY



SZKOŁA GÓRNICZA W DĄBROWIE 1917 – 1919

I rząd u góry od lewej strony:

1. nierozpoznany, 2. Jan Zieliński z Kongresówki, 3. Rudolf Wygrys ze Stonawy, 4. Józef Cieślik z Wieliczki, 5. Józef Bystroń z Łazów, 6. Babisz z Łutyni, 7. Jan Dofek z Rychwałdu, 8. Kazimierz Bandas z Galicji, 9. Jerzy Bodzek z Czechowic, 10. Alojzy Tyrna z Galicji, 11. Leon Jaworek z Galicji, 12. Gabriel Waszek z Poręby, 13. nierozpoznany, 14. Józef Zbiegoń z Galicji.

II rząd środkowy od lewej strony:

1. nierozpoznany, 2. Paweł Lisztwan z Suchej, 3. Józef Lepiarz z Wieliczki, 4. Józef Kiedroń z Suchej, 5. Józef Czyl z Łutyni, 6. Paweł Jureczko z Pietwałdu, 7. Jan Sobol z Karwiny, 8. Menener z Karwiny, 9. Jan Toman z Karwiny, 10. Rudolf Niemiec z Karwiny, 11. Adolf Mrózek z Rychwałdu, 12. Józef Faltus z Galicji, 13. Dominik Janiszewski z Galicji.

III rząd od góry od lewej:

1.Józef Greniuch z Wieliczki, 2. Józef Husar z Łazów, 3. nierozpoznany, 4. Franciszek Piątkiewicz z Bochni, 5. prof. inż. Stanisław Niziński z Wieliczki, 6. dyrektor inż. Józef Szefer, 7. prof. Józef Chromik z Dąbrowy, 8. prof. Żebrok z Dąbrowy, 9. Ludwik Szybka z Dąbrowy, 10. Karol Heczko z Cieszyna, 11. Franciszek Moczek z Łutyni.

Na dole po obu stronach tablicy siedzą: Karol Rajnol z Łazów i Karol Smolik z Galicji.

Fotografia pochodzi z archiwum dr. Józefa Mazurka, a została odnaleziona w archiwum Emanuela Guziura przez jego syna Janusza.

Drodzy Czytelnicy,

znów minął kolejny rok, jak każdy obfitował w wydarzenia, jubileusze obchodzone z rozmachem, co wskazuje, że nasza kondycja w zakresie podtrzymywania polskości jest ciągle dobra. Jako redakcja staraliśmy się nadążać w odnotowywaniu tychże wydarzeń, co nie znaczy, że byliśmy wszędzie, w każdym zakątku Zaolzia, gdzie coś ciekawego się działo, bo to jest po prostu fizycznie niemożliwe. Tym niemniej mamy satysfakcję, tym większą, że potwierdzoną głosami czytelników, iż udało nam się utrwalić na kartkach Zwrotu, jak na kartkach kroniki, w postaci słów i fotografii, zapis naszej - Polaków na Zaolziu - historii współczesnej.

To, co udało nam się przelać na papier w Zwrocie, w dużej mierze zawdzięczamy Wam, drodzy Czytelnicy. Dlatego dziękujemy za informacje, zaproszenia, wspomnienia, dokumenty, fotografie i listy, które inspirują do pracy. Dziękujemy za wierność pismu. Niezwykle cenimy też sobie możliwość bezpośredniego kontaktu z czytelnikiem, a to ma miejsce każdego dnia.

Od 1998 roku nasz miesięcznik utrzymywał się w cenie 14 Kč, mimo poprawy jakości pisma w postaci kolorowych stron wewnątrz. Niezmieniana też była cena wysyłki, mimo że poczta zaskakiwała nas w tym zakresie wiosną każdego roku. Ale udawało nam się dotychczas pokrywać różnicę w kosztach realnych wysyłki w stosunku do kwoty pobieranej od czytelników środkami pochodzącymi z dotacji Stowarzyszenia Wspólnota Polska. Wszyscy zapewne wiemy, że kryzys ekonomiczny w Polsce pociągnie za sobą wyrzeczenia w wielu dziedzinach życia, toteż nie oglądając się na dotację, uznaliśmy, że podwyżka kosztów prenumeraty w roku bieżącym jest nieunikniona. I tak od stycznia 2002 pojedynczy numer Zwrotu będzie kosztował 15 Kč, co w prenumeracie odbieranej w redakcji czyni kwotę 180 Kč, a z wysyłką pocztową 264 Kč za rok.

Wierzymy, że ta minimalna, niezbędna podwyżka nie zniechęci naszych Czytelników do prenumeraty Zwrotu. Jednocześnie przypominamy - jak co roku. Wśród tych, którzy opłacą prenumeratę do końca marca 2002, rozlosujemy atrakcyjne nagrody, nie tylko książkowe.

Dziękując za wierność i wyrozumienie, składamy naszym Czytelnikom **z okazji Świąt Bożego Narodzenia życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności.**

Redakcja

Zwrot 12 2001

Rok LII, Nr 625
Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 20,00 Kč

W NUMERZE

3	XIX Zjazd PZKO	C.R.
6	Uchwały XIX Zjazdu PZKO	
8	Nad wynikami spisu ludności	TADEUSZ SIWEK
14	Stosunki polsko-czechosłowackie na przełomie wojny i pokoju (styczeń 1945–styczeń 1946) cz. 1	ADAM BIERNAT
21	Karp i inne ryby w tradycji świątecznej	JANUSZ GUZIUR
26	Ten teatr jest mi bliski. Rozmowa z Rudolfem Molińskim	CZESŁAWA RUDNIK
31	Scena Polska jubileuszowo	CZESŁAWA RUDNIK
35	Kronika: Sportowe zmagania in Skrzeczoniu, Wystawy Klubów Kobiet w Karwinie Starym Mieście i w Boguminie, Święto Niepodległości w Konsulacie Generalnym RP w Ostrawie, Seminarium o książce, Kto lata nad Śląskiem, Nowy kościół św. Barbary w Łąkach nad Olzą, Skarby z cieszyńskiej trówły.	
46	Poezja: Stanisław Józef Malinowski, Rafał Świć, Libor Martinek	
48	Władysław Sikora: Karpaty mityczne (2)	
54	Przez sito intymności	MAREK SŁOWIACZEK
55	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
60	Na półkach księgarskich	JAN SZYMIK
62	Zatrzymać się w środku Polski	C.R.
66	To i owo	
68	Fotograficy Zaolzia: Kazimierz Branny	
70	Mozaika	KAROL KAJZER

Numer zamknięto 14. 11. 2001

Na okładce: Jasełka przy kościele ewangelickim w Nawsiu – Boże Narodzenie 2000

XIX ZJAZD PZKO

W Ośrodku Kultury i Sportu w Kocobędzu odbył się 10 listopada XIX Zjazd Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej. 231 delegatów obradowało nad przyszłością największej polskiej organizacji w RC. Wśród delegatów PZKO znalazło się wiele osób, które są członkami również innych polskich organizacji, niektórzy delegaci reprezentowali jednocześnie najwyższe władze innych zaolziańskich stowarzyszeń i związków. Za stołem prezydialnym zasiedli: dotychczasowy prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa, wiceprezesi Halina Gawlas, Tadeusz Szkucik i Bronisław Sołczyk, przewodniczący Komisji Rewizyjnej ZG PZKO Wilhelm Zmełty oraz przewodniczący komisji statutowej Roman Suchanek. Na Zjazd przybyli także goście oficjalni, m.in. ambasador RP w Pradze Andrzej Krawczyk, dyrektor sekretariatu Rady ds. Narodowości Rządu RC Andrej Sulitka, konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis i konsul Małgorzata Filipek, wicehetman okręgu morawsko-śląskiego Zdzisław Wantuła, naczelnik Urzędu Powiatowego w Karwinie Karol Siwek, starosta Kocobędza Leona Konieczna i Czeskiego Cieszyna Henryk Sznapka, prezes Rady Polaków Wawrzyniec Fójcik, a także przedstawiciele sejmiku śląskiego w Katowicach, starosta powiatu cieszyńskiego Witold Dzierżawski, wiceprezes Rady Naczelnej Federacji Polskich Organizacji Kresowych w Warszawie Józef Staniek, przedstawiciel Polskiego Związku Katolicko-Społecznego w Warszawie Roman Chowaniec, delegacja Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, przedstawiciele polskich organizacji działających na Zaolziu.

Hymn „Gaude Mater Polonia" w wykonaniu Chóru Nauczycieli Polskich, który zaśpiewał także wiązankę pieśni ludowych i „Rotę", zainaugurował XIX Zjazd PZKO. Członkowie ZPiT Olza wnieśli sztandar związkowy. W pierwszej części obrad wysłuchano referatu sprawozdawczego za okres od ostatniego XVIII Zjazdu PZKO – 25 października 1997 roku, który wygłosił prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa. Sprawo-

zdanie z działalności Komisji Rewizyjnej przedstawił jej przewodniczący Wilhelm Zmełty, zaś sprawozdanie z działalności Sądu Rozjemczego Tadeusz Siwek. Prezes Zygmunt Stopa podał też wniosek „Programu działania na następną kadencję".

W „Programie działania na następną kadencję" znalazły się cele określone w Statucie Związku: *zachowanie tożsamości etnicznej polskiej ludności Śląska Cieszyńskiego oraz Polaków w RC przez wszechstronny rozwój kultury i oświatę, nawiązując do tradycji kultury rodzimej oraz tradycyjnych i współczesnych wartości kultury polskiej. PZKO ma za zadanie zahamowanie procesu zanikania naszej polskiej zbiorowości, utrzymanie i szerzenie naszej kultury regionalnej, promocję informacji oświatowej o naszym regionie, realizację zadań zabezpieczających nasz byt narodowy w warunkach wejścia RC do Unii Europejskiej.* Terenową bazą działalności PZKO pozostanie nadal Miejscowe Koło, a organem naczelnym Zarząd Główny PZKO. Prezes Zygmunt Stopa zaproponował utworzenie Sekcji Oświaty Obywatelskiej, Sekcji Przedsiębiorczości i Działań Prawno-Ekonomicznych, wezwał do aktywizacji Sekcji Wydawniczo-Internetowej. Sekcje należą do jednostek organizacyjnych podporządkowanych wprost Zarządowi Głównemu. Natomiast jednostką gospodarczą ma być tzw. zespół ośrodków gospodarczych, który oferuje usługi i posiada zdolność samofinansowania, tu prezes zaliczył Teatr Lalek Bajka, kostiumerię, ośrodek w Koszarzyskach, wydawnictwo Zwrot. PZKO powinno zapewniać: organizację życia kulturalno-oświatowego, rozwiązywanie problemów dotyczących sfery gospodarczej, organizację życia twórczego i naukowego, aktywizację młodych członków Związku, utrzymywanie kontaktów z Polską, współpracę z organizacjami polskimi w RC, współpracę z czeskim placówkami kulturalnymi, utrzymywanie kontaktów z posłami, radnymi i członkami przedstawicielstw.

Delegaci przyjęli poprawki do nowego Statutu PZKO oraz podjęli uchwały. Wśród uchwalonych wniosków znalazł się akces do Kongresu Polaków. Składki członkowskie do PZKO wynosić będą 50 koron od osoby na rok, z czego 30 koron odprowadzonych zostanie do Zarządu Głównego, 20 koron zostanie w Miejscowym Kole. Odbyły się wybory do najwyższych władz Związku. Z 17 kandydatów do Zarządu Głównego wybrano 15 osób, z 7 kandydatów do Komisji Rewizyjnej 5 członków, natomiast wszystkich 5 kandydatów Sądu Rozjemczego zostało jego członkami. Nowe organy zebrały się od razu, by wybrać prezesów. Zygmunt Stopa został ponownie prezesem ZG PZKO, Wilhelm Zmełty Komisji Rewizyjnej, a Danuta Chwajol Sądu Rozjemczego. Wspólna pieśń „Płyniesz Olzo" zakończyła XIX Zjazd PZKO. C.R.











Fot. FRANCISZEK BAŁON

UCHWAŁY XIX ZJAZDU PZKO

1. XIX Zjazd PZKO przyjmuje do wiadomości:

- Sprawozdanie prezesa ZG PZKO za okres 1998–2001
- Sprawozdanie z działalności Komisji Rewizyjnej za lata 1997–2001
- Sprawozdanie z działalności Sądu Rozjemczego za lata 1997–2001
- Sprawozdanie gospodarcze ZG PZKO
- Sprawozdanie z działalności REO za okres 1997–2001
- Aktualny stan majątków
- Sprawę hotelu Piast

2. XIX Zjazd PZKO uchwala:

- Statut PZKO w RC z przyjętymi poprawkami
- Program działania na następną kadencję
- Wysokość składki członkowskiej 50 Kč, z podziałem 30 Kč dla Zarządu Głównego, 20 Kč dla Miejscowego Koła.
- Na podstawie wniosków delegatów Zjazdu:

1. Na podstawie § 16 Ustawy o Stowarzyszeniach Zjazd Delegatów PZKO zobowiązuje nowo wybrany organ statutowy ZG PZKO do przygotowania do końca roku kalendarzowego 2001 umowy o współdziałaniu z Kongresem Polaków, a w późniejszym terminie z innymi organizacjami polskimi na Zaolziu, z określeniem celu współdziałania, sposobu jego realizacji, określeniem praw i obowiązków uczestniczących stowarzyszeń oraz wysokości środków, które na współdziałanie będą przeznaczone.
2. Akces PZKO do Kongresu Polaków na zasadach dotrzymywania samorządności.

3. XIX Zjazd PZKO zatwierdza:

- Wybór ZG w składzie: Barbara Bulawa, Jadwiga Karolczyk, Władysław Kristen, Rudolf Moliński, Władysław Niedoba, Leszek Richter, Tadeusz Siwek, Jerzy Stala, Zygmunt Stopa, Andrzej Suchanek, Tadeusz Szkucik, Józef Szymeczek, Józef Wierzgoń, Andrzej Wygrys, Jan Zyder.
- Wybór Komisji Rewizyjnej w składzie: Helena Bubik, Bogdan Hajduk, Paweł Łaboj, Paweł Pieter, Wilhelm Zmełty.
- Wybór Sądu Rozjemczego: Jan Cymorek, Danuta Chwajol, Józef Pilich, Jan Sznapka, Stanisław Zahradnik.

4. XIX Zjazd PZKO zobowiązuje:

- ZG PZKO przy współpracy TNP i Macierzy Szkolnej do opracowania materiału metodyczno-motywacyjnego w sprawie przyjmowania nowych członków PZKO z szeregów absolwentów szkół.
- ZG PZKO do opracowania w ramach Regulaminu Wewnątrzzwiązkowego wzorcowego regulaminu Miejscowego Koła PZKO.
- ZG PZKO do opracowania Regulaminu Wewnątrzzwiązkowego i do jego udostępnienia z dostatecznym wyprzedzeniem do zaopiniowania Konwentowi Prezesów, który jako organ doradczy i opiniotwórczy przedstawi swoje uwagi, a te zostaną włączone do RW.
- ZG PZKO do zwołania Konwentu Prezesów i przygotowania materiałów dla delegatów Zjazdu 15 dni przed Zjazdem (czy Zjazdem Nadzwyczajnym).
- ZG PZKO do zainicjowania działań w celu ratowania dorobku wydawniczego jako dziedzictwa naszej kultury.
- Do rozwinięcia przy współpracy z TNP szerokiej kampanii szerzenia i pogłębiania wśród nauczycieli wiedzy o regionie Śląska Cieszyńskiego, którą będą przekazywali swoim uczniom w szkole.



Fot. FRANCISZEK BAŁON

NAD WYNIKAMI SPISU LUDNOŚCI

Pierwsze emocje po ogłoszeniu wstępnych wyników spisu ludności z 1 marca br. już opadły. Czas przyjrzeć się szczegółom. Wiemy już, że w dniu spisu łączna liczba Polaków w Republice Czeskiej wynosiła 50 971 osób, tzn. o 8,4 tys. mniej, aniżeli dziesięć lat temu. Spadek wynosi 14,1%. Dużo to, czy mało? Gdzie nas ubyło najwięcej? Czy liczba Polaków gdzieś wzrosła? Na te pytania można już odpowiedzieć na podstawie danych, stopniowo udostępnianych przez Czeski Urząd Statystyczny.

Z ogólnej liczby Polaków w Republice Czeskiej 36 157, czyli 70,9%, to mieszkańcy Zaolzia, tzn. terenu dawnych powiatów Karwina i Cieszyn (bez Ostrawy). Na obszarze reszty kraju mieszkało w dniu spisu 14 814 Polaków (29,1%).

Absolutnie największe skupiska Polaków tegoroczny spis potwierdził w największych miastach Zaolzia:

	Miasto / gmina	Liczba Polaków
1.	Trzyniec	6 911
2.	Karwina	5 081
3.	Czeski Cieszyn	4 165
4.	Hawierzów	2 823
5.	Bystrzyca nad Olzą	1 494
6.	Wędrynia	1 347
7.	Jabłonków	1 234
8.	Orłowa	1 133
9.	Sucha Górna	957
10.	Olbrachcice	946

Poza Zaolziem najwięcej Polaków mieszkało w stolicy kraju Pradze i w innych czeskich wielkich miastach, najczęściej w Czechach właściwych na ich północno-wschodnich obrzeżach, tzn. geograficznie najbliżej Polski:

	Miasto / gmina	Liczba Polaków
1.	Praga	1 386
2.	Ostrawa	919
3.	Mladá Boleslav	670
4.	Liberec	435
5.	Brno	396
6.	Frýdek-Místek	238
7.	Jablonec nad Nisou	212
8.	Trutnov	202
9.	Hradec Králové	162
10.	Ústí nad Labem	157

Porównując wyniki obecnego spisu z wynikami spisu sprzed dziesięciu lat pogrupowanymi wg nowych jednostek administracyjnych Republiki Czeskiej, widzimy, że w większości obecnych regionów liczba Polaków spadła. Jedynymi wyjątkami są Praga i Środkowe Czechy.

Region	1991			2001			
	Liczba ludności	Liczba Polaków	% Polaków	Liczba ludności	Liczba Polaków	% Polaków	Wzrost/spadek liczby Polaków
Praga	1 214 174	1 339	0,11	1 178 576	1 386	0,12	+47
Środkowoczeski	1 112 882	1 267	0,11	1 129 627	2 123	0,19	+856
Południowoczeski	622 889	495	0,08	630 168	441	0,07	-54
Pilzeński	558 307	349	0,06	553 741	316	0,06	-33
Karlowarski	301 985	476	0,16	306 799	358	0,12	-118
Ustecki	824 461	1 935	0,23	826 380	1 582	0,19	-353
Liberecki	425 120	2 073	0,49	430 769	1 886	0,44	-187
Hradecki	552 809	1 895	0,34	554 348	1 812	0,33	-83
Pardubicki	508 718	721	0,14	510 079	637	0,12	-84
Wyżyna	521 068	264	0,05	521 212	250	0,05	-14
Południowomorawski	1 136 832	706	0,06	1 133 916	755	0,07	+49
Ołomuniecki	642 819	774	0,12	642 465	746	0,12	-28
Morawsko-śląski	1 283 275	46 639	3,63	1 277 095	38 249	3,00	-8 390
Zlinski	596 903	450	0,08	597 758	430	0,07	-20
Republika Czeska	**10 302 215**	**59 383**	**0,58**	**10 292 933**	**50 971**	**0,50**	**-8 412**

Sam fakt zmniejszenia liczby tych, którzy deklarują narodowość polską w obecnym spisie, nie jest zaskakujący. To skutek wyższej niż przeciętna krajowa umieralności związanej z wyższą średnią wieku polskiej grupy narodowej oraz postępującej asymilacji. Przy czym pierwszy czynnik - umieralność - dotyczy głównie Zaolzia, podczas kiedy drugi - asymilacja - całego kraju.

Zatrzymanie spadku liczby Polaków w Republice Czeskiej czy nawet liczebny wzrost naszej grupy narodowej może nastąpić jedynie wskutek wyższego przyrostu naturalnego lub imigracji. Pierwszy wymieniony czynnik w obecnej ogólnoeuropejskiej sytuacji demograficznej należy do sfery czystej teorii, w związku z czym realnie pozostaje tylko migracja i ta była przyczyną lokalnego wzrostu liczby Polaków w Pradze i w środkowych Czechach. Przyczyniła się do tego również zmiana metodyki prowadzenia spisu, wg której zgodnie z przyjętą w Unii Europejskiej normą do liczby mieszkańców danej miejscowości należy wliczać cudzoziemców przebywających na jej terenie okresowo. To tłumaczy rosnącą liczbę Polaków w Pradze, a zwłaszcza w prężnych ośrodkach przemysłowych, takich jak Mladá Boleslav (wzrost z 230 na 715 osób), Kladno (wzrost ze 130 na 208 osób) czy Brno (wzrost z 359 na 396 osób).

Wzrost liczby Polaków odnotowano też na Zaolziu - w Piotrowicach. Liczba Polaków w dniu 1 marca br. osiągnęła tam 738, podczas kiedy w roku 1991 tylko 553. A więc wzrost o jedną trzecią! Także tutaj jest to spowodowane faktem liczenia cudzoziemców przynajmniej okresowo zameldowanych na terenie gminy. W Piotrowicach znajduje się bowiem hotel robotniczy dla górników z Polski, którzy pracują w karwińskich kopalniach. Górnicy z hotelu robotniczego są w nim czasowo zameldowani i byli w tym roku liczeni razem ze stałymi mieszkańcami Piotrowic. Jest to widoczne z liczby cudzoziemców, która w Piotrowicach osiągnęła 323 osób, w tym 246 z długoterminowym, a 77 z krótkoterminowym prawem pobytu w Republice Czeskiej. W pozostałych porównywalnych gminach Zaolzia liczba cudzoziemców waha się w granicach od kilku do kilkunastu osób. Wzrost liczby Polaków w peryferyjnych gminach Zaolzia Sobiszowicach i Toszanowicach Dolnych nie jest statystycznie istotny, gdyż w obydwu wypadkach chodzi zaledwie o kilka osób.

Samo Zaolzie jako region też nie jest pod względem rozwoju liczebnego Polaków homogeniczne. Za wyjątkiem wspomnianego specyficznego przypadku Piotrowic oraz peryferyjnych Sobiszowic i Toszanowic Dolnych wszystkie pozostałe gminy odnotowały w ostatniej dekadzie XX wieku ubytek liczby Polaków. Jego wysokość jest jednak w różnych gminach różna: od niewielkiego ubytku w Boconowicach (ze 137 na 134, czyli o 2,2%), w Dziećmorowicach (ze 104 na 101 osób, czyli o 2,9%), w Jabłonkowie (z 1 307 do 1 234, czyli o 5,5%) czy w Trzycieżu (z 200 do 189, czyli o 5,5%) do dużego ubytku w Boguminie (z 1 111 na 741, co oznacza spadek o 33,3%), w Pietwałdzie (ze 135 na 91, tzn. o 32,6%), w Orłowej (z 1 658 do 1 133, czyli o 31,7%) i w Dąbrowie (ze 165 na 115, czyli o 30,3%).

Patrz tabela:

	Liczba Polaków		Wzrost / spadek	
	W roku 1991	W roku 2001	Absolutny	w %
Powiat Frýdek-Místek				
Boconowice	137	134	-3	-2,2
Bukowiec	521	445	-76	-14,6
Bystrzyca nad Olzą	1 697	1 494	-203	-12,0
Dobracice	18	13	-5	-27,8
Domasłowice Dolne	16	15	-1	-6,3
Domasłowice Górne	9	7	-2	-22,2
Gnojnik	187	158	-29	-15,5
Gródek	810	752	-58	-7,2
Hrczawa	7	6	-1	-16,7
Jabłonków	1 307	1 234	-73	-5,6
Koszarzyska	177	146	-31	-17,5
Ligotka Kameralna	281	237	-44	-15,7
Łomna Dolna	306	275	-31	-10,1
Łomna Górna	126	116	-10	-7,9
Milików	596	529	-67	-11,2
Mosty koło Jabłonkowa	806	731	-75	-9,3
Nawsie	997	890	-107	-10,7
Nydek	586	517	-69	-11,8
Pioseczna	266	216	-50	-18,8
Piosek	409	373	-36	-8,8
Ropica	442	391	-51	-11,5
Rzeka	104	101	-3	-2,9
Sobiszowice	5	10	+5	+100,0
Śmiłowice	185	152	-33	-17,8
Toszanowice Dolne	4	10	+6	+150,0
Toszanowice Górne	36	26	-10	-27,8
Trzycież	200	189	-11	-5,5
Trzanowice	216	198	-18	-8,3
Trzyniec	8 227	6 911	-1316	-16,0
Wędrynia	1 443	1 347	-96	-6,7
Wielopole	48	39	-9	-18,8

	Liczba Polaków		Wzrost / spadek	
	W roku 1991	W roku 2001	Absolutny	w %
Powiat Karwina				
Bogumin	1 111	741	-370	-33,3
Cierlicko	653	524	-129	-19,8
Czeski Cieszyn	4 865	4 165	-700	-14,4
Dąbrowa	165	115	-50	-30,3
Dziećmorowice	104	101	-3	-2,9
Hawierzów	3 782	2 823	-959	-25,4
Karwina	7 002	5 081	-1 921	-27,4
Kocobędz	235	221	-14	-6,0
Lutynia Dolna	329	248	-81	-24,6
Olbrachcice	1 133	946	-187	-16,5
Orłowa	1 658	1 133	-525	-31,7
Piotrowice koło Karwiny	553	738	+185	+33,5
Pietwałd	135	91	-44	-32,6
Rychwałd	240	185	-55	-22,9
Stonawa	563	408	-155	-27,5
Sucha Górna	1 252	975	-277	-22,1

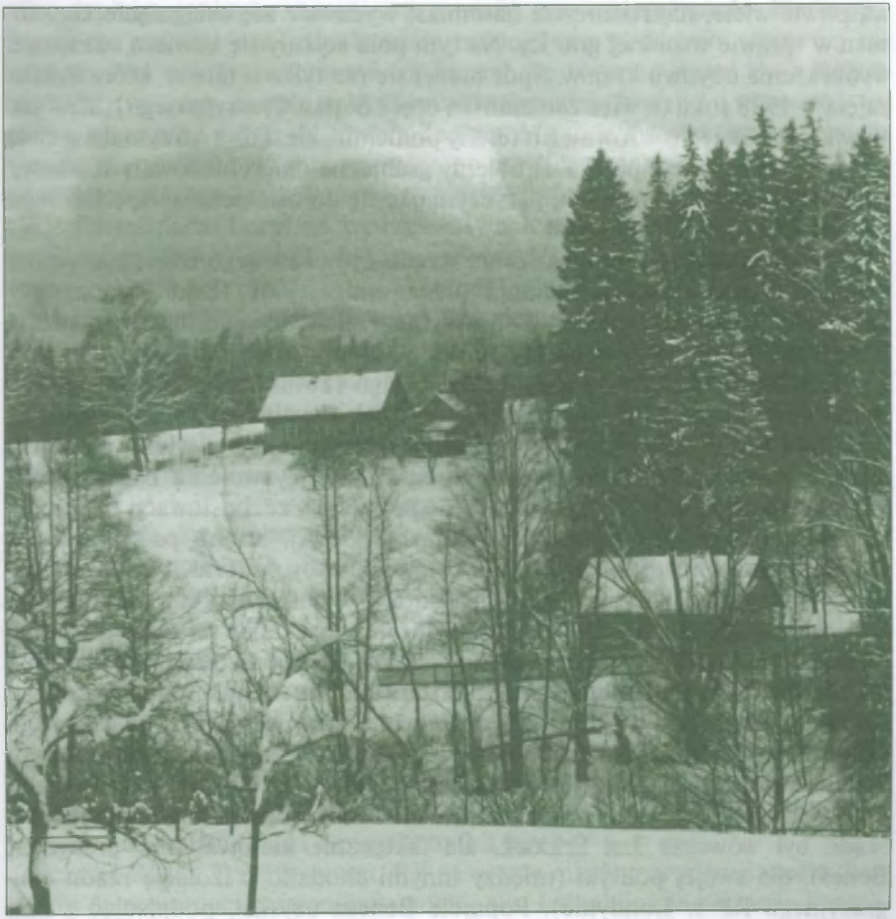
Z tabeli widać wyraźnie, że największe ubytki Polaków wystąpiły w przemysłowych miastach i gminach powiatu karwińskiego, natomiast najmniejszy spadek Polaków odnotowano w gminach beskidzkich. Zresztą, tabela mówi sama za siebie.

Ubytek Polaków warto porównać z innymi grupami narodowymi Republiki Czeskiej. W takim porównaniu nasza grupa narodowa prezentuje się względnie dobrze. Inne narodowości zanotowały podczas spisu o wiele większe ubytki, w związku z czym spadek liczby ludności polskiej w Republice Czeskiej jest w stosunku do innych mniejszości stosunkowo najmniejszy. Konkretnie: liczba Słowaków zmalała o 41,6%, Niemców o 21%, a Romów (tych zdeklarowanych) o 74,4%. Jedną z przyczyn ogólnego zmniejszenia liczebności grup mniejszościowych jest na pewno fakt, że w tegorocznym spisie narodowość zaszeregowano do tzw. pytań dobrowolnych i jej zadeklarowanie nie było konieczne. Efektem tego był wyraźny wzrost liczebny kategorii narodowości „pozostałe i bez odpowiedzi". W tej grupie w roku 1991 znalazło się zaledwie 31 877 osób, czyli 0,3% wszystkich mieszkańców kraju, podczas kiedy w tym roku było to dziesięciokrotnie więcej, bo aż 353 019 osób, co stanowi 3,4% mieszkańców Republiki Czeskiej. Jest prawie pewne, że wśród nich było wielu członków różnych mniejszości narodowych, którzy, żyjąc na pograniczu etnicznym, uniknęli w ten sposób męczącej nieraz autoidentyfikacji.

Innym ciekawym wnioskiem ze spisu jest fakt, że znaczące ubytki ludności polskiej zwłaszcza na naszym terenie w pewnej mierze rekompensował wzrost liczby Polaków w Pradze i jej okolicy. Wszystko wskazuje na to, że proces ten, który przebiega już od kilku dziesięcioleci, będzie kontynuowany i Praga będzie wskutek tego coraz bardziej widocznym ośrodkiem Polaków w Republice Czeskiej.

Także inne procesy demograficzne nie zatrzymają się po przeprowadzonym spisie ludności. Trzeba je będzie uważnie śledzić oraz analizować kolejne dane tak, jak będą udostępniane przez Czeski Urząd Statystyczny, aby móc z nich wyciągnąć kolejne wnioski. Na dzień dzisiejszy można podsumować: Mogło być gorzej.

TADEUSZ SIWEK



Fot. FRANCISZEK BAŁON

STOSUNKI POLSKO-CZECHOSŁOWACKIE NA PRZEŁOMIE WOJNY I POKOJU

(STYCZEŃ 1945 - STYCZEŃ 1946) CZ.1

W niniejszej pracy spróbuję opisać kształtowanie się stosunków polsko-czechosłowackich w końcowych miesiącach II wojny światowej, jak również po jej zakończeniu. Postaram się zarysować problemy, jakie przyszło rozwiązywać nowym rządom obydwu krajów. Kwestii spornych było niewątpliwie wiele, najtrudniejsze natomiast wydawało się osiągnięcie konsensusu w sprawie wspólnej granicy. Na tym polu stykały się bowiem odmienne wyobrażenia obydwu krajów. Spór toczył się nie tylko o tereny, które Polska zajęła w 1938 roku (a więc zaolziańską część Śląska Cieszyńskiego), ale - jak się wkrótce okazało - również o tereny poniemieckie, które otrzymała w swój zarząd administracja polska. Problemy graniczne długo blokowały rozmowy w innych ważnych kwestiach, przyczyniając się do osłabienia gospodarczego i politycznego obydwu krajów.

W niedługim czasie po utworzeniu Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej Polskiej doszło do jego uznania przez emigracyjny Rząd Tymczasowy Republiki Czechosłowackiej w Londynie (miało to miejsce 30 stycznia 1945). Jednak pierwsze kontakty polskich komunistów w Moskwie, zarówno z przedstawicielami rządu czechosłowackiego (zwłaszcza poprzez jego ambasadora w Moskwie Zdeňka Fierlingera), jak również z czechosłowackimi komunistami znajdującymi się w ZSRR, miały miejsce o wiele wcześniej, jeszcze przed utworzeniem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. W początkowym okresie, chcąc uzyskać poparcie Czechosłowacji dla umocnienia swojej pozycji na arenie międzynarodowej, strona polska unikała w rozmowach kwestii spornych (tak było chociażby podczas rozmów przedstawicieli polskiej Krajowej Rady Narodowej z ambasadorem Fierlingerem w Moskwie 20 czerwca 1944). Poza tym, nie posiadając na razie oficjalnej reprezentacji, miała w ręku znacznie słabszą kartę przetargową niż strona czeska. Sytuacja zmieniła się nieco po utworzeniu w lipcu 1944 Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Wówczas również strona polska mogła wpływać na Stalina. PKWN nie był jednak nadal oficjalnym rządem polskim. W tym momencie Stalinowi zresztą bardziej potrzebne było poparcie rządu czechosłowackiego w Londynie, z Eduardem Benešem na czele (premierem rządu był wówczas Jan Šrámek, ale faktycznie kierował nim prezydent Beneš), dla swojej polityki (między innymi chodziło o izolację rządu emigracyjnego RP w Londynie). Poparcie Beneša uzyskał, podpisując z nim

12 grudnia 1943 roku traktat polityczny wiążący Czechosłowację ze Związkiem Radzieckim. Sytuacja na korzyść Polski zmieniła się po przekształceniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (PKWN) w Rząd Tymczasowy. Odtąd mógł on liczyć na poparcie Związku Radzieckiego na równi z rządem czechosłowackim. Tymczasem radziecka dyplomacja stanęła przed zadaniem uzyskania dla niego jak najszerszego uznania.

Jeszcze w grudniu 1944 pojawiły się naciski na ambasadora Fierlingera, by rząd czechosłowacki nawiązał kontakty dyplomatyczne z PKWN. Gdy w kilka dni później ukonstytuował się Rząd Tymczasowy RP, ludowy komisariat spraw zagranicznych ZSRR nadal próbował skłonić rząd Beneša do nawiązania stosunków z nowymi władzami Polski. Te wysiłki, mimo początkowej niechęci ze strony Beneša (chciał, by najpierw wydano wspólne oświadczenie potępiające politykę zagraniczną sanacji), wspierał ambasador Fierlinger. Prezydent nakazał mu jednak ściśle trzymać się wydanych wcześniej instrukcji. Nie należy zapominać, iż musiał się również liczyć ze zdaniem rządu brytyjskiego. Przede wszystkim jednak nadal chodziło o ustosunkowanie się przez rząd polski do sprawy Zaolzia. Mimo iż kwestia uznania Rządu Tymczasowego RP była rozpatrywana po raz pierwszy na posiedzeniu rządu czechosłowackiego już 9 stycznia, to nie doczekano się wtedy pozytywnej decyzji. Beneš nadal liczył na wydanie oświadczenia potępiającego rządy sanacji, czego dowodem jest chociażby depesza do Fierlingera z 19 stycznia. Jego niechęć w tej sprawie nie była jednak na rękę Stalinowi, który postanowił wpłynąć na czechosłowackiego prezydenta, wykorzystując nierozstrzygniętą sprawę tzw. Rusi Podkarpackiej. Chociaż politycy czechosłowaccy nie liczyli raczej na jej utrzymanie przy swoim państwie (zgromadzenia, które postulowały przyłączenie tych ziem do ZSRR, zaczęli organizować Rosjanie po wkroczeniu na Ruś Podkarpacką od listopada 1944), to woleli zachować decyzję o jej ewentualnym oddaniu Rosjanom jako kartę przetargową na przyszłość. Armia Czerwona zbliżała się jednak powoli do spornych terenów i to od rozkazów wysłanych do dowódców radzieckich zależało, komu powierzą oni zarządzanie nimi. Te argumenty ostatecznie zaważyły, po kolejnych wymianach depesz pomiędzy rządem czechosłowackim w Londynie, a jego ambasadą w Moskwie, na decyzji Beneša o konieczności uznania Rządu Tymczasowego RP. Na nadzwyczajnym posiedzeniu rządu czechosłowackiego 30 stycznia sam apelował o to do jego członków i, mimo wciąż istniejących wątpliwości, rząd podjął decyzję zgodną z jego sugestią. Następnego dnia ambasador Fierlinger wręczył pismo z decyzją o uznaniu przedstawicielowi Rządu Tymczasowego RP w Moskwie Zygmuntowi Modzelewskiemu. W odpowiedzi na to Rząd Tymczasowy RP uznał rząd czechosłowacki w Londynie (nastąpiło to 2 lutego).

Pozycja Rządu Tymczasowego RP na arenie międzynarodowej uległa dzięki tym decyzjom oczywistemu wzmocnieniu. Jednak już te pierwsze kontak-

ty dyplomatyczne pokazały, jak trudne miały być jeszcze stosunki Polski i Czechosłowacji w nadchodzącym okresie. A przecież sprawa Śląska zaolziańskiego miała się okazać tylko jednym z problemów na drodze do ich pełnego uregulowania.

Mimo obustronnego uznania rządów stosunków polsko-czechosłowackich nie można było uznać za ustabilizowane. Wręcz przeciwnie, w najbliższym czasie miało dojść do poważnych konfliktów. Poza tym rząd czechosłowacki wciąż nie sprawował władzy nad terytorium swojego przyszłego państwa - Czechy były jeszcze pod kontrolą niemiecką, natomiast w wyzwalanej stopniowo Słowacji wiele do powiedzenia miała Słowacka Rada Narodowa, która uzyskała od rządu czechosłowackiego szeroką autonomię działania. Wreszcie nadal nieskrystalizowane były same stosunki czesko-słowackie.

Pierwsze nieporozumienia na linii rządów Czechosłowacji i Polski pojawiły się w momencie wyzwolenia Górnego Spisza i Górnej Orawy pod koniec stycznia. Pojawił się problem ich przynależności państwowej. Zarówno Górny Spisz, jak i Górna Orawa nie znajdowały się w granicach przedmonachijskiej Republiki Czechosłowackiej. Mimo prób przyłączenia tych ziem do Polski nie napłynęły żadne oficjalne instrukcje od rządu centralnego. Z kolei terenowe władze słowackie próbowały włączyć je do Czechosłowacji. Odbyła się w tej sprawie nawet akcja zbierania podpisów, która przyniosła zdecydowane poparcie dla tej idei wśród miejscowej ludności. Jednak pretensje do tych terenów ze strony rządu czechosłowackiego mogłyby oznaczać, że nie do końca chce się on trzymać granic sprzed Monachium, czyli przed okrojeniem terytorium państwa czechosłowackiego przez Niemcy, a wkrótce po tym przez Polskę i Węgry (a to dawałoby stronie polskiej argument w zbliżającym się nieuchronnie sporze o Śląsk zaolziański). W lutym pojawiły się natomiast pierwsze pretensje czechosłowackie do ziem znajdujących się w momencie wybuchu wojny w granicach Niemiec. W artykule „Naše Kladsko", opublikowanym w Československých listach (czasopismo to ukazywało się w Moskwie, było więc redagowane przez czechosłowackich komunistów), autor Zdeněk Nejedlý podkreślał konieczność włączenia Kłodzka do Republiki Czechosłowackiej. Uzasadniał to argumentami natury historycznej (ziemie te należały kiedyś do Królestwa Czeskiego), etnograficznej (ludność tych terenów oparła się germanizacji, można się tam porozumieć po czesku) i militarnej (jest to najsłabsze miejsce czeskiego pogranicza, granica wyznaczona jest sztucznie). Co ciekawe, autor w ogóle nie brał pod uwagę, że tereny te mogłyby być włączone do Polski i że rząd RP będzie wysuwał do nich pretensje (mimo iż ten uznawał Odrę i Nysę Łużycką za przyszłą granicę Polski). Ponadto zarówno przedstawiciele czechosłowackiego rządu londyńskiego, jak i komuniści czescy w Moskwie próbowali wpływać na rząd radziecki w sprawie Zaolzia. Otóż Fierlinger dostarczył w styczniu Zorinowi (radzieckiemu ambasadorowi przy rządzie londyńskim)

mapy i dane statystyczne dotyczące Zaolzia. Prosił też, by tereny te w momencie wyzwalania uznać za terytorium czechosłowackie. Podkreślił również po raz kolejny pretensje swego kraju do całości terytorium Zaolzia. Rząd polski był w tej kwestii przygotowany o wiele słabiej. Mimo więc rozmów jego przedstawicieli ze Stalinem i Mołotowem, podczas których wspominano o pretensjach polskich do Zaolzia, rozmówcy radzieccy nie otrzymali żadnej szczegółowej dokumentacji podobnej do przekazanej już wówczas przez stronę czechosłowacką. Dopiero po spotkaniach władz polskich z przedstawicielami Rady Odbudowy Śląska (ROS) zaczęto taką dokumentację przygotowywać. Miała się tym zająć właśnie ROS. Zaproponowała ona, by za punkt wyjścia do dyskusji przyjąć granicę, jaka obowiązywała po 1 października 1938. Było to o tyle nierealne, iż w tym czasie Beneš miał już wstępne zapewnienie Stalina o powrocie terenów oderwanych od Czechosłowacji po 31 grudnia 1937 roku. W zamian za to poparcie musiał jednak stwierdzić na piśmie, iż sprawa Rusi Podkarpackiej będzie w przyszłości rozpatrzona po myśli radzieckiej. Jej oderwanie było już jednak przesądzone wcześniej i Benešowi chodziło jedynie o to, by odwlec w czasie jego wykonanie oraz ewentualnie wynieść w przyszłości w zamian jakieś korzyści terytorialne, a także by jeszcze przez jakiś czas oficjalnie stać na stanowisku granic przedmonachijskich. Beneš, po uzyskaniu zapewnienia o poparciu radzieckim dla granic na Śląsku Cieszyńskim, mógł skupić się na sprawie nabytków terytorialnych kosztem Niemiec. Prezydent stał po stronie zwolenników umiarkowanych nabytków. Opowiadał się natomiast wyraźnie za wysiedleniem Niemców z przyszłego terytorium Republiki Czechosłowackiej.

W marcu 1945 doszło do mianowania posłów przez rządy Polski i Czechosłowacji. Posłem polskim przy rządzie czechosłowackim został Stefan Wierbłowski, natomiast czechosłowackim posłem przy Rządzie Tymczasowym RP Josef Hejret. W tym samym miesiącu doszło do jeszcze jednego ważnego wydarzenia, które miało później zaważyć na stosunkach polsko-czechosłowackich. Toczyły się bowiem rozmowy na temat programu przyszłego rządu czechosłowackiego. Projekt przygotowany przez komunistów zawierał również, w rozdziale poświęconym polityce zagranicznej, akapit dotyczący stosunków z Polską. Mówił on o konieczności zawarcia związku sojuszniczego z nową Polską i rozszerzenia umowy czechosłowacko-radzieckiej z grudnia 1943 w pakt trójstronny przeciw agresji niemieckiej, puszczeniu w niepamięć przeszłości i budowę przyszłości na zasadach poszanowania i słowiańskiego braterstwa. Zrezygnowano natomiast z postulatu przywrócenia granic przedmonachijskich, gdyż - po pierwsze - już postanowiono o odłączeniu Rusi Podkarpackiej, a - po drugie - twórcy programu mieli zamiar włączyć do Czechosłowacji tereny Kłodzkiego oraz części Raciborskiego i Głubczyckiego. Sprawę Śląska zaolziańskiego uznali natomiast za przesądzoną (Gottwald twierdził nawet, iż rząd polski sam nie

wierzy już w możliwość utrzymania go przy Polsce). Program rządu czechosłowackiego został oficjalnie ogłoszony 4 kwietnia w Koszycach (stąd nazywany jest programem koszyckim). W mieście tym miała się również mieścić siedziba rządu do czasu wyzwolenia Pragi. Tam również zjawili się delegaci Górnego Spiszu i Orawy, by zabiegać o włączenie ich ziem do Czechosłowacji. Rząd czechosłowacki poprzestał na razie na ogólnikowym poparciu. W tym czasie jednak wojskowe władze radzieckie zdecydowały o obsadzeniu granicy na Górnej Orawie i Spiszu, pozostawiając sporne tereny po stronie czechosłowackiej.

W tym czasie z kolei w Moskwie odbywały się rozmowy delegacji polskiej z Bolesławem Bierutem i Edwardem Osóbką-Morawskim na czele. 21 kwietnia doszło do podpisania „Układu o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy powojennej" między Polską a ZSRR. Komuniści polscy, którzy starali się dzięki swemu programowi narodowemu uzyskać poparcie w kraju, podjęli również w Moskwie rozmowy na temat Zaolzia. Udało im się uzyskać zapewnienie, iż Śląsk zaolziański do momentu ostatecznego rozwiązania problemu nie będzie podporządkowany ani władzom polskim ani czechosłowackim, ale radzieckim komendantom wojennym.

Tymczasem na odbywającej się wówczas, bez udziału Polaków, konferencji założycielskiej Organizacji Narodów Zjednoczonych Związek Radziecki starał się zapewnić międzynarodowe uznanie nowemu rządowi polskiemu. We współpracy z rządami Czechosłowacji i Jugosławii zaproponowano, by wystosować zaproszenie dla Rządu Tymczasowego RP. Z powodu braku poparcia większości delegacji nie doszło do tego, jednak w rezolucji rządy wyraziły nadzieję, że ukonstytuowanie się rządu polskiego uznawanego ogólnie umożliwi mu przybycie na konferencję. Rząd czechosłowacki, popierając stanowisko ZSRR, starał się wskazywać nie tylko na swoją wobec niego lojalność, ale też na wolę poparcia nowego rządu polskiego - co dawało mu mocny argument do ręki, zapewniało poparcie radzieckie i pozwalało w przyszłości wykorzystać politycznie ten fakt w trakcie rozmów z rządem polskim.

W tym momencie kończyła się właśnie druga wojna światowa, Niemcy mieli zostać już wkrótce pokonani i między rządami polskim a czechosłowackim, wchodzącym w ostatnią fazę przygotowań powrotu do Pragi, miało już wkrótce dojść do konfliktów granicznych. Bowiem, mimo że mocarstwa zaakceptowały żądanie Czechów i Słowaków w sprawie powrotu do granic przedmonachijskich, to sprawa ta okazała się być w rzeczywistości bardziej skomplikowana. Rosjanie bowiem wysunęli żądania w sprawie przejęcia Rusi Podkarpackiej (i otrzymali zapewnienie o jej przejęciu w przyszłości), Polska zaś chciałaby widzieć całość Śląska Cieszyńskiego, a więc i jego część zaolziańską, przy swoim terytorium. Także sami Czesi i Słowacy zaczęli wkrótce wysuwać swoje roszczenia terytorialne.

Teren Zaolzia został wyzwolony w dniach od 3 do 5 maja 1945 roku. Zgod-

nie ze wspomnianym już porozumieniem, osiągniętym podczas wizyty delegacji polskiej w Moskwie, władzę na tym terenie miała objąć wojskowa administracja radziecka. Stało się jednak inaczej; teren ten przekazano administracji czeskiej, a tworząca się administracja polska została usunięta. Administracja czeska przystąpiła do akcji wysiedlania Polaków, którzy przybyli na Zaolzie po zajęciu go przez polskie wojsko w 1938 roku (określano ich mianem okupantów). Dopiero po interwencji u radzieckich władz wojskowych akcję przerwano. Następnie Czesi rozpoczęli ewidencję ludności z podaniem przynależności narodowej, przy okazji w różny sposób skłaniając ludzi, by wyrzekli się polskości. Za Czechów uznało się wówczas większość Niemców. Chodziło o to, by odwrócić rzeczywistą strukturę narodowościową na tym terenie (nawet czeskie szacunki mówią o 105 tysiącach Polaków i 88 tysiącach Czechów).

W międzyczasie, 5 maja 1945, odbyło się w Koszycach ważne posiedzenie rządu czechosłowackiego, na którym zdecydowano o oddaniu Polsce terytorium Górnego Spisza i Górnej Orawy, by położyć nacisk na powrót do granic przedmonachijskich i osłabić tym samym argumenty polskie. W sprawie Zaolzia uznano, iż Czechosłowacja nie może pójść na żadne ustępstwa, natomiast nie zdecydowano się na razie na konkretne wystąpienie w sprawie zmian granic i uzyskania nabytków terytorialnych kosztem Niemiec. W maju doszło również do przybycia posła czechosłowackiego Josefa Hejreta do Warszawy i złożenia przez niego listów uwierzytelniających, co nastąpiło 18 maja 1945 roku. W dwa dni później doszło do przekazania stronie polskiej Górnego Spisza i Górnej Orawy. Jest oczywiste, iż rządowi czechosłowackiemu chodziło o utrzymanie ważnego gospodarczo terenu Śląska zaolziańskiego i tylko w tym celu zdecydował się na ten krok.

Wobec sytuacji na Zaolziu rząd polski zdecydował się na podjęcie interwencji. Najpierw, w nocie do rządu radzieckiego, przedstawił swoje racje, protestując przeciw działaniu czeskiej administracji, następnie zaproponował zwołanie mieszanej polsko-czeskiej komisji, która miałaby zająć się rozwiązaniem kwestii Zaolzia. Przy okazji strona polska podkreśliła negatywne stanowisko wobec zajęcia tych terenów w roku 1938 przez Polskę, podobnie zresztą jak w roku 1919 przez Czechosłowację. Zajęto się również przygotowaniem propozycji dla rządu czechosłowackiego do przyszłych rozmów. Wszystkie opracowane warianty zakładały pewne ustępstwa strony czechosłowackiej, choć z drugiej strony były korzystniejsze dla tego kraju niż linia graniczna z 1 października 1938 roku. Rząd czechosłowacki nie zgodził się jednak na negocjacje na warunkach polskich, sam za to podniósł kwestię przyłączenia do swego terytorium terenów „nieprzyjacielskich". Chodziło przede wszystkim o wspomnianą już Ziemię Kłodzką, a także część Głubczyckiej i Raciborskiej. Pod koniec maja możemy spotkać się z coraz szerzej prowadzoną w tym celu akcją. Pojawiały się artykuły prasowe, wypowiedzi

członków rządu. Postawienie sprawy korzyści terytorialnych na porządku dziennym przez władze czechosłowackie wynikało chyba z prowadzonej wówczas w Polsce kampanii powrotu Opolszczyzny do macierzy, a także interwencji Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii przeciwko przyłączaniu terenów poniemieckich do Polski, jako sprzecznych z ustaleniami jałtańskimi. Związek Radziecki odpowiadał, iż wprowadzana jest na te tereny polska administracja, co nie przesądza jeszcze, komu one przypadną. W każdym razie rząd czechosłowacki postanowił działać, zanim wszędzie znajdzie się polska administracja.

Nadal nieustabilizowana była sytuacja na Zaolziu. Częste skargi Polaków znalazły odbicie w skardze rządu polskiego z 13 czerwca, omawiającej nadużycia czeskiej administracji. Skargom na sytuację ludności polskiej na Zaolziu Czesi przeciwstawiali skargi ludności słowackiej Górnego Spisza i Orawy. Stawianie tu znaku równości było nadużyciem, gdyż polska administracja nie zdołała przejąć jeszcze tych terenów w swoje ręce. Ukazywały się utrzymane w ostrym tonie artykuły dotyczące Polaków na Zaolziu, między innymi w dzienniku Rudé Právo, organie prasowym Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Oficjalnej odpowiedzi rządu czechosłowackiego na zarzuty strony polskiej rząd polski jednak nie otrzymał.

ADAM BIERNAT

cdn.



Fot. FRANCISZEK BAŁON

KARP I INNE RYBY W TRADYCJI ŚWIĄTECZNEJ

Trochę historii nie zaszkodzi

Ryby jako pokarm służą człowiekowi od momentu jego pojawienia się, czyli od ponad 600 tys. lat. Rybołówstwo obok zbieractwa - a przed łowiectwem i uprawą roli - było bowiem u naszych przodków pierwszą formą zdobywania pożywienia. O umiejętnościach rybackich praczłowieka świadczą liczne ryciny ryb i stosowanych technik połowu pozostawione w jaskiniach, np. w grotach norweskich fiordów sprzed 5000 lat przed Chrystusem. Do wzrostu spożycia ryb walnie przyczyniła się tu sól jako środek konserwujący surowiec rybny. Nic dziwnego, że już 3500 lat p.n.e. ryby solone wraz z kaszą jęczmienną były głównym pokarmem ludów Mezopotamii. Ryby świeże, solone i suszone tworzyły z czasem jedno z podstawowych dań - nie tylko świątecznych - u Sumerów, w starożytnym Egipcie, Chinach i Japonii, a nieco później także u Rzymian.

Z rybami i rybołówstwem związanych jest wiele legend i mitów. Dawniej ryby utożsamiane były z różnymi bogami i bożkami, którym przypisywano wielką siłę, a u Inków nadprzyrodzoną moc. Sumerowie oddawali cześć rybom i składali je jako dary bóstwu wód, w Egipcie zaś wybrane ryby uważano za święte, wymagające mumifikowania. Od dalekich Chin aż po Europę ryby były też symbolem płodności i odnowy życia. Dzięki przyjemności czerpanej z ich połowu ryby wraz z delfinami były niezmiernie wdzięcznym tematem ściennych malowideł pałaców (w Knossos na Krecie już 2000 lat p.n.e.) oraz rysunków na misach i wazach antycznego Rzymu.

Ryby należą także do najstarszych symboli chrześcijaństwa, jako czyste jadło, w odróżnieniu od „nieczystego" mięsa zwierząt stałocieplnych. Ponieważ pierwsi chrześcijanie działali w basenie śródziemnomorskim, gdzie ryby od dawien dawna były poławiane i konsumowane, ryba stała się ich pierwszym symbolem. Czterech zaś apostołów, w tym Szymon i Piotr, było zawodowymi rybakami. Nic dziwnego, że św. Piotr został patronem rybaków (stąd pozdrowieniem niemieckich rybaków i wędkarzy jest Petri heil, a czeskich i słowackich Petrův zdar). Znana jest też biblijna opowieść o cudownym połowie ryb na jeziorze Genezaret (obecnie Tiberias). Z tego też względu powstanie greckiej nazwy ryb *ichtys* przypisywane jest początkowym wyrazom biblijnym: *Iezus* (Jezus) - *Critos* (Chrystus) - *Theu* (syn) - *Hios* (boży) - *Soter* (Zbawiciel).

Do dziś też w wielu krajach przetrwał rytuał odmawiania modlitwy przed połowem ryb (Chiny, Polinezja) czy odłowem stawów (w płd. Czechach w Rożemberku - znajduje się tu największy staw, niegdyś o pow. 711 ha, obecnie ok. 500-600 ha).

Ryby u dawnych Słowian były także chodliwym i cenionym obiektem chowu i handlu, jak miód czy futra. W Polsce dawniej ryby były jednym z ulubionych i cenionych produktów spożycia, a dania rybne zajmowały na stołach możniejszych poczesne miejsce. Stare źródła wymieniają tu głównie łososie, jesiotry, karpie, sumy, karasie, węgorze, liny, szczupaki, okonie. Ryby na stoły możnowład-

ców dostarczane były nie tylko z rzek, jezior i morza, ale z czasem ze sztucznie zbudowanych stawów rybnych.

Pierwsze wzmianki o stawach rybnych w Polsce pochodzą dopiero z XII--XIII wieku, choć wiadomo o wcześniejszych próbach chowu. Już w starożytnym Rzymie do dobrego tonu u każdego patrycjusza należało posiadanie kilku sadzawek (piscin) połączonych z morzem, do których wpływały ryby. W Japonii i Chinach ryby masowo hodowane były już ponad 5000 lat p.n.e. (za panowania dynastii Ming), w myśl starej maksymy chińskiej: *Jeśli dasz komuś rybę - będzie miał jedzenie na jeden dzień, jeżeli kogoś nauczysz hodować ryby - będzie miał jedzenie na całe życie!*

W XV-XVI stuleciu upowszechniany był w Polsce racjonalny stawowy chów ryb, przez co nastąpił olbrzymi rozwój gospodarki stawowej, zwłaszcza na Śląsku. Tam też gospodarka ta osiągnęła najwyższy w Europie - obok czeskiej - poziom i rozmiar produkcji. Płynęły też z niej wielkie zyski, skoro w latach 1564-65 w folwarkach królewszczyzn koronnych gospodarka rybna przynosiła aż ... 17,2% dochodu! Patrząc na obecny jej stan, łza się w oku kręci! Z tego też



okresu prawdopodobnie pochodzi staropolska maksyma życiowa: *Kto ma stawek i kawał roli - nie brak mu chleba i soli!*

Niemały udział w zyskach z gospodarki stawowej miał wywóz polskich ryb. W urbarzu cieszyńskim (1646 r.) zachowały się liczne wzmianki o wywozie, obok Krakowa i Gdańska, także na Węgry (w koszach... pieszo przez Beskidy) ryb żywych, solonych i suszonych. Te ostatnie wybornie suszyli, zwłaszcza pstrągi, osiedleni w Beskidach Wołosi. Także po okresowym kryzysie gospodarki stawowej (XVII-XVIII w.) od końca XIX w. aż do niedawna polskie stawiarstwo zajmowało czołową pozycję w Europie. W 1938 roku 7, 6 tys. polskich gospodarstw na 89 tys. ha stawów produkowało ponad 13 tys. ton karpia!

Wielkie zainteresowanie różnymi przywilejami książęcymi pozostawało w ścisłym związku ze wzrostem zapotrzebowania na ryby - jako danie postne. A dni postnych było naonczas do 50% w roku! Do stałych dni postnych zaliczano ta-

kże poniedziałki, środy i piątki. Nic dziwnego, że wobec dynamicznie rozwijającej się gospodarki stawowej i konieczności przestrzegania postów ryby, a zwłaszcza karpie, stały się podstawowym daniem wigilijnym większości Słowian, z Polakami na czele. Także u innych nacji ryby stały się nieodzownym składnikiem potraw świątecznych okresu Bożego Narodzenia.

Wigilia, vilija, christmas, vánoce... Co kraj, to w święta inna ryba

W każdym kraju święta Bożego Narodzenia, łącznie z Wigilią, obchodzone są inaczej, w zależności od tradycji, warunków klimatycznych, zamożności i upodobań kulinarnych. A jak w Wigilię i Boże Narodzenie konsumowane są ryby - u nas oraz bliższych i dalszych sąsiadów?

POLSKA. Kolacja wigilijna w Polsce, inaczej niż na zachodzie Europy, jest bezmięsna, co stwarza możność spożywania, obok tradycyjnych barszczy, klusek, kapusty z grzybami, kompotów, ciast, win i miodów pitnych znacznej różnorodności ryb. Aczkolwiek w Wigilię niepodzielnie u nas prym wiedzie **karp** (smażony lub gotowany), coraz częściej na stołach Polaków znaleźć można pstrągi, łososie, szczupaki, a nawet jesiotry i sumy, rzadziej, poza śledziami, inne ryby morskie. Panuje tu jednak dość silne regionalne zróżnicowanie upodobań rybnych.

W dawnej Polsce rodzinna wieczerza była najważniejszym momentem wigilijnego dnia. W chłopskich i ubogich domach już od XVII wieku stawiano zwykle 5-7 postnych potraw, za to w domach magnackich była ona prawdziwą ucztą składającą się z 12 dań. Były wśród nich głównie liczne dania rybne z karpiami na czele.

Przed Wigilią na Śląsku i większości kraju dość powszechnie spożywany jest postny **śledź** w marynacie lub oliwie. Koronne danie wigilijne na Śląsku Cieszyńskim i pobliskich Morawach to **karp** smażony lub panierowany w bułce i jajku, podawany z sałatką jarzynową lub ziemniaczaną oraz kompotem. Tradycyjne zupy to obok barszczyku z uszkami pikantna **zupa rybna**, gotowana z głów i podrobów rybnych (wpływy węgierskie). Dawniej w bogatszych rodzinach w Cieszyńskiem obowiązkowo była **ryba w galarecie** lub w zalewie owocowej. U górali beskidzkich po opłatku wigilijnym spożywano polewkę z domowego drobiu, która u biedniejszych zastępowała tradycyjnego i drogiego karpia, a następnie podawane były inne dania: gałuszki z masłem lub makiem, kompot z suszonych śliwek oraz ciasta (kołocze). Z kolei w dawnej Warmii i częściowo na Mazurach nie znano kolacji wigilijnej(!), spożywając kilka prostych dań (pomimo obfitości ryb w jeziorach). Dopiero po 1945 r., pod wpływem ludności napływowej, zaczęto przejmować zwyczaj wieczerzy wigilijnej z daniami rybnymi i łamania się opłatkiem.

CZECHY. Tu do wigilijnej wieczerzy zasiada się, podobnie jak w Polsce, po pierwszej gwiazdce. Tradycyjną potrawą wigilijną Czechów i części Słowaków jest zawiesista **zupa rybna** z dodatkami, smażony-panierowany **karp**, a także **pstrągi** i sałatki warzywno-ziemniaczane z kompotem wieloowocowym.

WŁOCHY. Wprawdzie w północnych Włoszech nie ma Wigilii (!), ale pod-



stawowym daniem świątecznym Włochów jest **ryba** (także morska) ze słodyczami w dużym wyborze.

FRANCJA. Nie ma tu także Wigilii i nie ma postu. Po Pasterce zaczyna się dla dorosłych wymyślna kolacja świąteczna (reveillon de Noël), gdzie ryby rzadziej są podawane.

NORWEGIA. Ryby w Wigilię spożywa się głównie w zachodniej części kraju (bliskość morza), we wschodniej króluje zaś wieprzowina i baranina. Z ryb podawane są **łososie, pstrągi, dorsze,** marynowane **śledzie** oraz **homary.**

WIELKA BRYTANIA. Na Wyspach Brytyjskich świąteczny posiłek spożywa się w pierwszym dniu Świąt Bożego Narodzenia. Honorowe miejsce na stole zajmuje pieczony indyk obłożony owocami i warzywami oraz pudding. Ryby rzadko spotyka się na świątecznym stole.

FINLANDIA. Nie ma tu postu, a święta trwają 3 dni. W Wigilię podaje się pięciokilogramową pieczoną szynkę z sałatkami, a spośród wielu ryb preferowany jest **łosoś**, rzadziej **pstrągi**.

GRECJA. W słonecznej Grecji w Wigilię mieszkańcy grają namiętnie ... w pokera, a wielu spędza czas na rozrywkach w nocnych lokalach. Najczęściej spożywają świątecznego indyka, nadziewanego pikantnym mięsem i ryżem. Dary morza i ryby konsumowane są w innych dniach roku.

BRAZYLIA. Tylko katolicy obchodzą tu Wigilię, a właściwie święta w całym kraju obchodzone są dopiero 25 grudnia. Tradycyjnym daniem świątecznym jest pieczony indyk, prosiak i szynka z sałatkami. Ryby spożywane są sporadycznie, głównie na wybrzeżu.

ARGENTYNA. Wigilię i Boże Narodzenie czci się szaleństwem fajerwerków, podczas którego spożywa się specjały, ale bez ryb - głównie mięsne (wołowe pieczone żeberka), winogrona i różne ciasta *(turron czy El Noche Vieja)*, zapijane winami musującymi i jabłecznikiem.

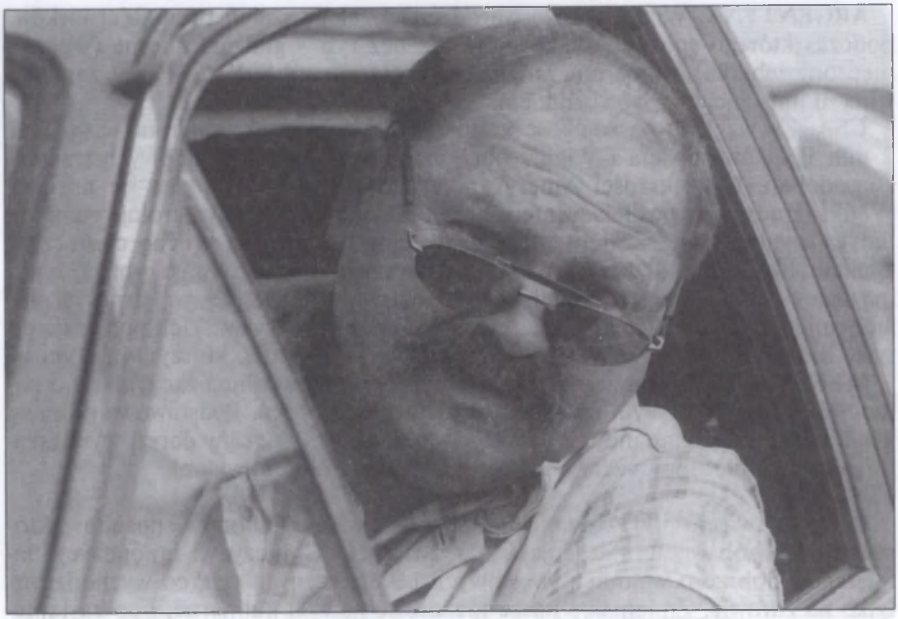
USA. Ze względu na wielkość kraju i znaczny odsetek emigrantów (w tym 2 mln Polaków) Święta i Wigilia obchodzone są według narodowych tradycji i upodobań. U większości Amerykanów „otwarty dom" zamyka się na czas Wigilii. Tradycyjny posiłek świąteczny jest raczej bez ryb, gdyż króluje rumiany indyk, szynka, ciasta z kremem, specjały pani domu oraz kruche ciasteczka. Ciekawostką jest tu fakt, że **karpie** w USA uważane są za ... chwast rybny (!), wymagający zwalczania, stąd też niska ranga naszego słowiańskiego karpia na stołach amerykańskich. Z tego też względu w wodach amerykańskich poławiają go tylko biedniejsi wędkarze, w tym głównie Słowianie, Żydzi, Murzyni i Latynosi.

MEKSYK. W dalekim i gorącym Meksyku kolacja wigilijna zaczyna się o północy i jest najbogatszym posiłkiem w ciągu całego roku. Podstawowe potrawy wigilijne to tradycyjny indyk i bacalao - rozmoczony suszony **dorsz**, wymieszany z grzankami, oliwą, czerwoną i słodką papryką oraz oliwkami.

Ryby na świecie przyrządzane są na wiele tysięcy, milionów sposobów, których nie sposób spisać. Przodują w tym zwłaszcza Chińczycy i Japończycy, pamiętający dobrze o walorach smakowych i dietetycznych ryb, co wychodzi im tylko na zdrowie. Zmieniając nasze niezdrowe nawyki kulinarne, i po zastąpieniu ich rybami pamiętajmy w Święta jednak o starej życiowej maksymie łacińskiej: ***Maladictus pescis in tertia aqua*** - Przeklęta niech będzie ryba w trzeciej wodzie! W pierwszej wodzie - ryba żyje, w drugiej wodzie - gotuje się, a przeklęta jest trzecia woda - do zapijania! Wnioski praktyczne z tej mądrej maksymy są oczywiste.

JANUSZ GUZIUR





TEN TEATR JEST MI BLISKI

ROZMOWA Z KIEROWNIKIEM ARTYSTYCZNYM SCENY POLSKIEJ TEATRU CIESZYŃSKIEGO RUDOLFEM MOLIŃSKIM

Umilkły jubileuszowe brawa, nim jednak spytam o plany na przyszłość, proszę powrócić jeszcze do przeszłości. Bo właściwie życie swoje związał Pan ze Sceną Polską. Ile to już lat?

Moja droga do Sceny Polskiej była typowa, w roku 1963 przyszedłem jako adept, po jednym sezonie poszedłem na studia do Krakowa. Wcześniej po maturze w 1961 roku zdawałem do Słowackiej Wyższej Szkoły Technicznej (SVÚT) w Bratysławie, bo taka była wola rodziców, i byłem tam pół roku, ale na geometrii wykreślnej załamałem się zupełnie. Pół roku pracowałem w Tesli w Rożnowie, a następnie poszedłem do teatru. W Tesli zarabiałem 1600 koron, w teatrze dostałem 600 koron. Ale nie to było istotne. Po studiach w Krakowie w roku 1969 powróciłem do Sceny Polskiej, ale po kilku latach - w roku 1978 - poszedłem do Polski, grałem w Krakowie w Teatrze Bagatela i w Bielsku.

Jaki był powód Pańskiego odejścia ze Sceny Polskiej?

W tamtych czasach po ukończeniu

studiów każdy z nas wracał do tego teatru, czuł, że jest to jego obowiązkiem, i chciał dać coś z siebie temu teatrowi. Może chciał dać więcej, niż ten teatr był w stanie przyjąć od absolwenta szkoły teatralnej, który, bardzo aktywny, od razu chciał wszystko pozmieniać, poprzerabiać na podobieństwo teatrów krakowskich. Ale muszę przyznać, że z dużym sentymentem wspominam tamte role. Jednak w pewnym momencie zaczynało mi tu być jakby przyciasno, chciałem robić coś więcej, czułem, że nie mogę się tu w pełni zrealizować, i stąd moja decyzja wyjazdu. Związane to było również ze stosunkami interpersonalnymi, jakie panowały wtedy w teatrze. I dobrze, że odszedłem, bo te pięć lat w Polsce bardzo dużo mi dało. Przede wszystkim pozbyłem się na zawsze kompleksu konieczności grania przez całe życie w jednym teatrze. Spojrzałem na nasz teatr inaczej, zobaczyłem, że wszędzie są przedstawienia lepsze i gorsze, a jeśli chodzi o widownię, to w dużych miastach jest ona bardziej anonimowa, emocje związane z wykonywaniem zawodu mają charakter czysto profesjonalny, a nie jak u nas dodatkowo jeszcze społeczny i towarzyski.

Po powrocie do Sceny Polskiej zajął się Pan również reżyserią?

Po powrocie zgłosiłem się, zresztą dzięki Wandzi Cejnar, która mnie bardzo namawiała, na studia reżyserii do Brna, zdałem egzamin wstępny i zostałem przyjęty. To też był dla mnie znakomity okres, bo poznałem teatr czeski. Zaimponował mi ten teatr, który realizm (nie mylić z socrealizmem) doprowadził na wyżyny artystyczne. Jest to teatr inny od teatru polskiego. To teatr ruchu, natomiast teatr polski bardziej pielęgnuje słowo i w słowie tkwi siła jego wyrazu. Należy uświadamiać sobie te różnice, nie żeby kopiować, lecz by trafić do widza. Uważam, że moim bezwzględnym obowiązkiem jako reżysera jest odpowiedzenie sobie na trzy zasadnicze pytania: co realizuję, gdzie i dla kogo. I podkreślam to dla kogo, bo to jest najważniejsze.

W tej chwili kieruje Pan Sceną Polską, jednocześnie będąc reżyserem i aktorem, jak Pan dzieli te obowiązki?

Mam etat reżyserski, a w sytuacji, kiedy nie reżyseruję dwóch spektakli, mogę również grać. Do grania, które jak gdyby odstawiłem trochę, być może wrócę.

Był Pan, można powiedzieć, dwa razy kierownikiem artystycznym, z przerwą w latach 1999–2000, czy ta przerwa pomogła Panu inaczej spojrzeć na ten teatr i na siebie?

Każdą zmianę staram się wewnętrznie przeanalizować i wyciągnąć z niej wnioski. Obecny powrót był innym powrotem, bo uświadomiłem sobie, że ta zmiana była konieczna. Gdyby jej nie było, to trzeba by ją wymyślić. Zacząłem tracić dystans do teatru, do widza, stałem się wręcz jego zakładnikiem. Zbyt serio brałem pretensje lu-

dzi. Okazało się, że kiedy mnie tutaj nie było, poszły pozycje, które wcześniej byłyby nie do pomyślenia, bo by mnie od razu wygwizdano. Ta przerwa była więc dla mnie szalenie ważnym do-świadczeniem. I jako człowieka, bo nauczyłem się wszystko traktować z większą rezerwą. I jako człowieka teatru, bo w tym czasie reżyserowałem w Polsce, znalazłem się w innym świecie. Kiedy Karol Suszka zaproponował mi objęcie z powrotem funkcji kierownika, rozmowy trwały miesiąc, bo miałem obiekcje. Przekonały mnie dopiero konkretne zadania. W tej chwili, kiedy dyrektorem jest Karol Suszka, kieruje się Sceną Polską zupełnie inaczej. Karol szefował Scenie Polskiej i Czeskiej, ma to zakodowane i jak gdyby wchodzi głębiej w znajomość przedmiotu.

Wspominał Pan już o emocjach. Właśnie na konferencji prasowej z okazji jubileuszu Sceny Polskiej Pana, jak również dyrektora Karola Suszki, wypowiedzi zdradzały emocjonalny stosunek do tego teatru. Jakie uczucia żywi Pan w stosunku do Sceny Polskiej?

To prawda, że tutaj podchodzimy emocjonalnie do tego, co robimy. Ten teatr jest nam bliski. Jest to specyficzny teatr, specyficzny widz, którego znamy, zamknięty teren, jeśli chodzi o przepływ widzów. Do tego dochodzą sentymenty związane z latami pracy w tym teatrze.

Był Pan jedną z osób, które przygotowywały jubileusz pięćdziesięciolecia Sceny Polskiej. Czy uważa Pan jubileusz za udany?

Dla mnie te uroczystości były bardzo udane, bo był to po długim czasie znowu moment, kiedy wzięli w nich udział ci najstarsi - założyciele i nastąpiła autentyczna integracja z młodą częścią zespołu. Dla mnie osobiście była to wielka satysfakcja, że oni się dobrze bawili, że i niedzielę spędziliśmy razem, że odwiedziliśmy groby naszych koleżanek i kolegów, że posiedzieliśmy razem. Było to właściwie spotkanie trzech pokoleń i teatr był tym podstawowym tematem, tym, co nas łączyło - starych i młodych.

I w tym momencie dla mnie było mniej ważne, kto przyjechał na jubileusz, kto przemawiał, czy były odznaczenia. Wiadomo, że w Polsce była zmiana rządu. Mamy życzenia od premiera Buzka z 19 października i od nowego premiera z 21 października, po prostu starali się, jak mogli. Oczywiście, że mam żal do ambasadora polskiego z Pragi, który nie dojechał, do Instytutu Polskiego w Pradze. Jeśli przyjeżdża ambasador czeski z Warszawy, to jego odpowiednik z Pragi też powinien być. Nie tylko Praga się liczy, my też tu jesteśmy. A jeśli chodzi o odznaczenia, będą, oczywiście, ale zostaną wręczone przy innej okazji. Tym razem postanowiłem zorganizować święto teatru - na scenie obok długoletnich, nadal czynnych artystów, Halinki Pasekovej i Pawła Niedoby, zajęli miejsce nestorzy i wszystko rozwijało się na luzie i swojsko. To, że było moim zdaniem tak miło, to też

wielka zasługa publiczności, która żywo reagowała na przeróżne sytuacje na scenie.

Czy można jakoś podsumować pięćdziesiąt lat teatru?

Tych pięćdziesiąt lat obchodzimy tylko dzięki temu, że dzisiejsi nestorzy byli tu i wtedy, w tamtych „pionierskich czasach", że założyli ten teatr i poświęcili się dla niego. Ja przyszedłem właściwie już do gotowego, może jeszcze nie do końca ukształtowanego zespołu, ale miałem już gdzie przyjść jako adept. Naszym zadaniem jest kontynuować ich pracę i nie roztrwonić tego, co oni zrobili. Wzruszające jest też to, że mamy grupę osób, które chodzą od samego początku na spektakle Sceny Polskiej. Naszym obowiązkiem, co jest specyfiką tego teatru, jest zdobywanie nie tylko widza teatralnego jako takiego, ale widza teatru polskojęzycznego. Chodzi nie tylko o gusty teatralne, ale dochodzi sprawa języka i świadomości narodowej.

I tu już możemy mówić o przyszłości, o perspektywach. Jaka wygląda koncepcja kierownika artystycznego Sceny Polskiej?

U nas nie można traktować widza wybiórczo, Scena Polska musi być teatrem repertuarowym z wszystkimi konsekwencjami. Żeby ten teatr był dobry, musi mieć repertuar zróżnicowany. Repertuar musi zawierać kilka pozycji tzw. popularnych. Nie mogę jednak zrezygnować także z pozycji ważkich. Równie istotny jest zespół aktorski - przed swoim odejściem zostawiłem zespół osiemnastoosobowy, a zastałem dwunastoosobowy. Teraz staram się go skompletować. W tej chwili Scena Polska liczy siedemnaście osób, a na pewno w marcu będą następne wymiany. Jest to proces jednego, dwóch sezonów, żeby zespół się ukształtował na kilka następnych lat. Bardzo ważne dla mnie jest angażowanie aktorów z Polski. Powinni poza znakomitym warsztatem aktorskim mieć świadomość konieczności pozateatralnej pracy społecznej. Ważny jest również ich język polski, którym posługują się na co dzień. Niemniej jednak trzeba się też usilnie starać o pozyskanie dla teatru młodych ludzi stąd, pomagać im. Natomiast nie da się tego robić na siłę.

Możliwości wyboru są z roku na rok ilościowo skromniejsze. Dla ilustracji - proszę pokazać mi w Polsce miasto trzydziestotysięczne, gdzie aż dwadzieścia pięć osób skończyło wyższą szkołę teatralną. Dziś uczelnie w Polsce są samorządne i same decydują o przyjęciu kandydatów. Nie ma stypendium rządu czeskiego, tylko stypendia polskie i już pierwszy próg do przekroczenia - egzamin wstępny przed komisją edukacji narodowej w gimnazjum - jest często problemem. Nasz teatr jest otwarty dla wszystkich, którzy chcą przyjść, staramy się pomóc, bo korzyści są obustronne.

Jakie są plany na najbliższą przyszłość?

W lutym zagramy „Śpiewnik galicyj-

ski", bo chcę nawiązać do spektakli muzycznych, które już tu robiłem. Przed dwoma laty mieliśmy z Leszkiem Mazanem zamówienie z Teatru Muzycznego w Gliwicach i stworzyliśmy scenariusz. Wiadomo - Mazan - szwejkolog, znawca Galicji, lojalny aż do obrzydliwości wobec cesarza Franciszka Józefa, prezes partii łysych, tak więc błysnęliśmy sobie znak pokoju, porozumieliśmy się i zrobiliśmy ten spektakl. Teraz będę go transformował na warunki Sceny Polskiej przy literackiej pomocy Reni Putzlacher. Kiedy Leszek Mazan opowiada o historii piosenek, pojawiają się z punktu widzenia dramaturgicznego bardzo ciekawe sytuacje. Na przykład: Bałucki napisał piosenkę „Góralu, czy ci nie żal" z happy endem, którego już my nie śpiewamy, o tym, że góral wrócił i miał pełny trzos; i to będzie prapremiera światowa. Chciałbym, żeby to była barwna mozaika piosenek z Mazanem w roli narratora. Następnie będzie „Rewizor" Gogola z Markiem Perepeczką w roli głównej. Posiłkujemy się gościnnymi gwiazdami, by uatrakcyjnić naszą ofertę. Na koniec będzie „Most nad Łucyną" Wiesława Adama Bergera i to będzie zwrot ku naszej rodzimej twórczości, kontynuacja tego, co już też robiliśmy. W planach na przyszłość są też reedycje tych spektakli, które miały jakieś znaczenie dla Sceny Polskiej.

Dziękuję za rozmowę.

CZESŁAWA RUDNIK



Fot. WIESŁAW PRZECZEK

SCENA POLSKA JUBILEUSZOWO

Wiele razy rozbrzmiewał hucznymi brawami teatr w Czeskim Cieszynie w sobotnie popołudnie 20 października, kiedy wierni sympatycy Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego dziękowali za pięćdziesiąt lat szerzenia na zaolziańskiej ziemi pięknego słowa polskiego obecnemu zespołowi Sceny Polskiej i nestorom tego teatru z okazji jego okrągłego jubileuszu. Nie zabrakło wśród gości honorowych Janusza Bobka i Piotra Augustyniaka, którzy w pierwszym przedstawieniu w historii Sceny Polskiej - „Wczoraj i przedwczoraj" Aleksandra Maliszewskiego, odegranym w sali hotelu Piast w Czeskim Cieszynie 14 października 1951 roku, wypowiedzieli pierwsze słowa. Dialog ten powtórzyli podczas uroczystości jubileuszowych, a brzmiał on:

- No więc jak tam, panie Władziu?
- Bo ja wiem...

SEMINARIUM TEATRALNE

Uroczystości jubileuszowe rozpoczęto wczesnym popołudniem. Pierwszym punktem programu było polsko-czeskie sympozjum naukowe, które zaszczycili swoją obecnością również naukowcy z Polski: prof. Eleonora Udalska z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach oraz prof. Jan Michalik i prof. Emil Orzechowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Powitania i prezentacji dokonał dyrektor Teatru Cieszyńskiego Karol Suszka, sympozjum prowadziła kierownik literacki Sceny Polskiej Renata Putzlacher.

Eleonora Udalska mówiła o „Dziadach" we współczesnych interpretacjach, o „Dziadach" jako dziele rozwijającym się, otwartym, niepoddającym się jednej poetyce. Emil Orzechowski, który podjął tematykę teatru narodowego, zacytował twierdzenie Krzysztofa Wolickiego, iż teatr narodowy to teatr w chwili rozpaczy, stwierdził, że społeczeństwo jednoczy się i buduje Teatr Narodowy w momentach zagrożenia czy kształtowania państwa, w sytuacjach kryzysowych. Temat Sceny Polskiej w Czeskim Cieszynie podjęły Aleksandra Humel i Mirosława Pindór z cieszyńskiej Filii Uniwersytetu Śląskiego. Od Maliszewskiego do Mickiewicza, czyli o jubileuszowych przedsięwzięciach teatralnych Sceny Polskiej referowała Aleksandra Humel, kiedyś bardzo blisko związana z tym teatrem jako kierownik literacki i przez wiele lat zajmująca się nim jako recenzent. Mirosława Pindór omówiła przygraniczną wymianę teatralną w latach 1945-2000, od przyjazdów na Zaolzie przed powstaniem Sceny Polskiej bielskiego teatru, poprzez różną intensywność występów Sceny Polskiej w Polsce i odwiedzin teatrów z Polski na Zaolziu.

WERNISAŻ WYSTAWY JUBILEUSZOWEJ

Podczas tak wielkiego jubileuszu, jakim jest półwiecze, nie może zabraknąć wystawy dorobku pięćdziesięciu lat. Teatr, jako że jest sztuką ulotną, trudno zamknąć w archiwum. Fotografia to jeden z niewielu dokumentów, które mogą przybliżyć go potomnym. Toteż przede wszystkim zdjęcia przygotowała na wystawę Renata Putzlacher. Ułożone chronologicznie - od powstania Sceny Polskiej aż po dzień dzisiejszy - przypominały o ludziach, którzy tworzyli ten teatr, o przedstawieniach, które najlepiej odzwierciedlały jego posłannictwo, o wydarzeniach, które stały się najbardziej godnymi zapamiętania w jego historii. Materiały zdjęciowe uzupełniały dokumenty, afisze teatralne. Gości oprowadzał po wystawie jeden z nestorów Sceny Polskiej Piotr Augustyniak.

KONFERENCJA PRASOWA

Kilkunastu przedstawicieli mediów z obu stron granicy przybyło na konferencję prasową, którą poprowadził dyrektor teatru Karol Suszka. Podał podstawowe dane dotyczące teatru, brakujące fakty można było uzupełnić, wertując zredagowaną przez Renatę Putzlacher publikację „50 lat Sceny Polskiej TD. Kronika lat 1951-2001". Znalazły się w niej materiały prasowe i zdjęcia z poszczególnych sezonów teatralnych, dane statystyczne dotyczące zespołu artystycznego i przedstawień. I tak w ciągu pięćdziesięciu lat przewinęło się przez teatr ponad 160 aktorów, 359 premier („Dziady" są 360. premierą) obejrzało około 3 milionów widzów. 178 razy odegrano spektakl z 1976 roku „Janosik, czyli Na szkle malowane". Poza Zaolziem teatr występował najczęściej w Sosnowcu (90 razy), Krakowie (80), Cieszynie (71), Żylinie (68), Bielsku-Białej (44), grał także w Wiedniu, Budziszynie, Wilnie i Lwowie. W chwili obecnej pracuje w Scenie Polskiej, podobnie jak w Scenie Czeskiej, 17 aktorów, zespół przygotowuje w sezonie sześć premier. Scena Polska jest teatrem objazdowym o systemie abonamentowym, w ostatnich latach, jak podkreślił dyrektor Suszka, prawie nie zmienia się ilość widzów wykupujących abonament, jednak ze względu na to, że teatr gra w salach dla dużej widowni, a nie jak dawniej w małych salkach, obniżyła się ilość przedstawień. Z odpowiedzi, często nacechowanych emocjonalnie i umieszczonych w kontekście własnych przeżyć i wspomnień, jakich udzielali dziennikarzom zgromadzonym na konferencji prasowej dyrektor teatru Karol Suszka i kierownik artystyczny Sceny Polskiej Rudolf Moliński, wynikało jasno, że teatr ten nie jest dla nich tylko zwykłym miejscem pracy, ale że związani są z nim uczuciowo.

PRZEDSTAWIENIE JUBILEUSZOWE

Uroczystą oprawę miały „Dziady" Adama Mickiewicza w reżyserii dyrek-





Fot. WIESŁAW PRZECZEK

tora Teatru Cieszyńskiego Karola Suszki, których premierowe przedstawienie zagrała Scena Polska na jubileusz. Wśród gości na widowni zasiedli m.in. ambasador RC w Warszawie Jan Misiarz, delegacja Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie z konsulem generalnym Markiem Masiulanisem na czele, wicehetman okręgu morawsko-śląskiego Zdzisław Wantuła, wikariusz generalny diecezji ostrawsko-opawskiej ks. Franciszek Kufa, naczelnik powiatu karwińskiego Karol Siwek, senator Emil Škrabiš, teatrolodzy z Polski, uczestnicy sympozjum teatralnego, prezes Rady Polaków Wawrzyniec Fójcik, prezes Zarządu Głównego PZKO Zygmunt Stopa, przedstawiciele teatrów, instytucji i organizacji kulturalnych.

Gorącymi brawami nagrodzono twórców przedstawienia jubileuszowego. Oklaski rozbrzmiewały niejednokrotnie już podczas spektaklu. Po „Dziadach" na scenę poproszono także tych nestorów Sceny Polskiej, którym czas i zdrowie pozwoliły przybyć na jubileusz. Byli to Emilia i Janusz Bobkowie, Anna Kluz-Rzyman, Janina Buzek-Matuszczak, Witold Rybicki, Piotr Augustyniak, Franciszek Chmiel. Teatr ufundował dla nich honorowy abonament Sceny Polskiej. Otrzymała go również dwudziestka najwierniejszych abonentów, którzy przedstawienia Sceny Polskiej oglądają od pięćdziesięciu lat.

Gratulacje dla Sceny Polskiej jako pierwszy złożył ambasador RC w Warszawie Jan Misiarz, pochodzący z Trzanowic, który wspominał swoje dawne spotkanie ze Sceną Polską w Hawierzowie jako pierwsze zetknięcie ze sztuką. Konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis usprawiedliwił nieobecność ambasadora RP w Pradze Andrzeja Krawczyka problemami zdrowotnymi. Podkreślił wyjątkowość Teatru Cieszyńskiego, jako że mieści dwa teatry narodowe pod jednym dachem. Przedstawicielka teatru z Bielska-Białej złożyła życzenia także w imieniu prezydenta miasta, a przede wszystkim przeczytała list gratulacyjny, jaki nadszedł z Warszawy, podpisany przez prezesa Związku Artystów Scen Polskich Kazimierza Kaczora, w którym m.in. znalazło się zdanie, iż działalność Sceny Polskiej ważniejsza jest od niejednej umowy międzynarodowej. Wicehetman Zdzisław Wantuła złożył kwiaty na ręce Emilii Bobek. Macierz Ziemi Cieszyńskiej przyznała Scenie Polskiej Medal Pawła Stalmacha, Zarząd Główny PZKO medal Za Zasługi w szerzeniu kultury. Były życzenia od wikariusza generalnego ks. Franciszka Kufy, w imieniu Kongresu Polaków od prezesa Wawrzyńca Fójcika, od prezesa Towarzystwa Nauczycieli Polskich Romana Wróbla, od kierownika Teatru Lalek Bajka Pawełki Niedoby, od przedstawicieli teatrów z Sosnowca, Gliwic, słowackiego Martina, a także od Janusza Klimszy, dyrektora artystycznego Teatru im. P. Bezruča w Ostrawie w imieniu teatrów ostrawskich, i Marka Mokrowieckiego, dyrektora Teatru im. J. Szaniawskiego w Płocku, których początki sceniczne związane są ze Sceną Polską.

Sobotnie uroczystości zakończyło spotkanie towarzyskie, zaś w niedzielę spotkali się byli i obecni członkowie zespołu Sceny Polskiej. Część kwiatów dla jubilatki złożono na grobach artystów najbardziej zasłużonych dla Sceny Polskiej.

CZESŁAWA RUDNIK

KRONIKA

SPORTOWE ZMAGANIA

12 i 13 października br. w skrzeczońskim Domu PZKO przebiegły dwa turnieje w tenisie stołowym. W piątkowe popołudnie w ramach współpracy pomiędzy dolnolutyńską szkołą i skrzeczońskim MK PZKO odbyły się podczas zbiórki harcerskiej mistrzostwa szkoły. Rozgrywki w obecności nauczyciela Zbyszka Letochy przebiegły w trzech kategoriach z udziałem 16 zawodników. Wśród dziewczyn z 6–7 klasy najlepsza okazała się Jolanta Tlolka, wyprzedzając Adrianę Sobkowiak i Marketę Liškę. W tej samej kategorii wśród chłopców zwyciężył Adam Czudek, drugie i trzecie miejsca zajęli Dawid Liška i Stanisław Król. Wśród chłopców z 8–9 klasy tytuł mistrza szkoły zdobył Bogdan Jarosz, pokonując w finale Tomasza Lacha, natomiast trzecie miejsce ex aequo zajęli Adam Janiczek, Zenon Kuder i Roman Sebera.

W sobotę przebiegły już 21. mistrzostwa skrzeczońskiego Koła. Tym razem chodziło o otwarte mistrzostwa Koła, bowiem w turnieju wzięli udział również reprezentanci MK PZKO Bogumin, Orłowa Lutynia i Orłowa Łazy. Sportowe zmagania z udziałem 18 zawodników przebiegły w czterech kategoriach. Rozgrywki młodzieży szkolnej zakończyły się następująco: 1. Marian Grabowski, 2. Marta Czapek, 3. Jakub Czapek. W kategorii kobiet pierwsze dwa miejsca zajęły reprezentantki MK PZKO Orłowa Lutynia Maria Stec i Maria Trombik, a na trzecim miejscu uplasowała się Barbara Guziur ze Skrzeczonia. Wśród mężczyzn do 50 lat najlepszy okazał się Zbyszek Letocha (Orłowa Łazy), drugie i trzecie miejsce zajęli zawodnicy gospodarzy Rudolf Grabowski i Stanisław Michalec. W kategorii ponad 50 lat tytuł mistrza skrzeczońskiego Koła już po raz 10 zdobył Tadeusz Guziur, wyprzedzając reprezentantów Orłowej Lutyni Pawła Niedobę i Zbigniewa Trombika.

W imieniu Zarządu skrzeczońskiego Koła nagrody najlepszym przekazał przewodniczący inż. Bogusław Czapek. Słowa podziękowania za pomoc przy organizacji obu turniejów należą się Marielli i Zbigniewowi Górniokom.

D.G.

WYSTAWY KLUBÓW KOBIET

Bogata w plony jesień jest tradycyjnie bogata w Kołach PZKO w „obfite zbiory" w postaci wystaw Klubów Kobiet.



Miejscowe Koło PZKO Karwina Stare Miasto zaprezentowało wystawę tamtejszego Klubu Kobiet w dniach 13 i 14 października. Panie uczciły wystawą swych robót ręcznych aż dwa znaczące jubileusze. W tym roku upływa bowiem 50 lat od rozpoczęcia działalności Klubu Kobiet przy MK PZKO w Karwinie Starym Mieście i 20 lat od otwarcia w tej miejscowości Domu PZKO. MK PZKO w Karwinie Starym Mieście liczy 95 członków. W Klubie Kobiet pracuje aktywnie 10 pań, następnych 8 udziela się sporadycznie.

Wystawę opatrzono mottem: *Nie próżnują nasze ręce,/ wytwarzają coraz więcej,/ nawet kiedy spoczywają,/ w myśli rodzą się nam wzory,/ nowe kształty i kolory.* Znalazły się na niej hafty, dzianiny, prace szydełkiem, suknie i garsonki uszyte przez Danutę Dzus, obrazki haftowane techniką krzyżykową, ceramika. Słowa uznania, jak stwierdził prezes Koła Jan Sznapka, należą się przede wszystkim przewodniczącej Klubu Kobiet Marii Kucharczyk, jak również byłej przewodniczącej, osiemdziesięciolet-

niej dziś Rozalii Uherek, a także wszystkim paniom, które przyczyniły się do zorganizowania tej wystawy. W otwarciu wzięły udział przewodnicząca Sekcji Kobiet ZG PZKO Henryka Żabińska i prezes frysztackiego zespołu pań Danuta Wałoszek.

Zwiedzający wystawę mogli skorzystać z bufetu, w którym nie zabrakło „jelit z kapustą", salcesonu, „zulcu" i ciastek.



MK PZKO w Boguminie miało wystawę Klubu Kobiet w swym Domu PZKO w sobotę 13 października. Wystawę robót ręcznych dopełniały kompozycje suszonych kwiatów oraz prace dzieci członków Koła, jak również uczniów bogumińskiej polskiej szkoły. Na zagajeniu wystawy była obecna przewodnicząca Sekcji Kobiet ZG PZKO Henryka Żabińska. I w Boguminie nie zabrakło bufetu z bigosem, parówkami i ciastkami przygotowanego przez panie.

F.B.

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI W KONSULACIE



Fot. FRANCISZEK BAŁON

Z okazji 83. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości na zaproszenie konsula generalnego Rzeczpospolitej Polskiej w Ostrawie Marka Masiulanisa do Konsulatu przybyli przedstawiciele życia politycznego i gospodarczego, kultury i nauki, kościołów i polskich organizacji społecznych na Zaolziu. Ambasador RP w Pradze Andrzej Krawczyk i konsul Marek Masiulanis przypomnieli drogę do niepodległości Polski i Czechosłowacji i wspólnotę najnowszych dziejów obu krajów w zakresie bezpieczeństwa narodowego. Coroczne listopadowe spotkania w Konsulacie to nie tylko wspólne uczczenie Święta Niepodległości obu państw wkraczających do wspólnej Europy, ale także okazja do kuluarowych spotkań polityków i działaczy polskich i czeskich.

E.S.

SEMINARIUM O KSIĄŻCE

Na zakończenie wystawy „Polska książka na Śląsku Cieszyńskim", która zorganizowana została w Bibliotece Regionalnej w Karwinie Frysztacie, odbyło się 31 października seminarium na ten temat. Ze względu na wielką liczbę osób zainteresowanych tematem – wśród słuchaczy znaleźli się również studenci Uniwersytetu Ostrawskiego i uczniowie karwińskiego Polskiego Gimnazjum – seminarium przeniesiono do sali kinowej w bibliotece w Karwinie Mizerowie. Jego organizatorami była oprócz karwińskiej Biblioteki Regionalnej Sekcja Historii Regionu ZG PZKO i Kongres Polaków w RC.

W programie znalazły się trzy prelekcje. Prelegenci podkreślali, że ze względu na z jednej strony bogactwo tematu, zaś z drugiej ograniczenie czasowe seminarium ich wypowiedzi muszą być tylko wyrywkowe. Ewa Mrowiec, pracownik Książnicy Cieszyńskiej w Cieszynie, mówiła o „Polskiej książce na Śląsku Cieszyńskim do podziału w roku 1920". Następne dwa referaty zajmowały się już tylko książką tej części Śląska Cieszyńskiego, która znalazła się w roku 1920 w Czechosłowacji. Stanisław Zahradnik poruszył temat „Polskiej książki na Zaolziu w latach 1920–1945", zaś Helena Legowicz omówiła „Druki zwarte wydawane na Zaolziu po roku 1945 do współczesności". W dyskusji nawiązano do poruszanych tematów, zastanawiano się też nad przyszłością polskiej książki na Zaolziu. Wszystkich zainteresowanych historią polskiej książki na Zaolziu, również tych, którzy nie mogli wziąć udziału w seminarium, odsyłamy do Oddziału Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie, gdzie można zamówić wydrukowane prelekcje.

C.R.

KTO LATA NAD ŚLĄSKIEM

W listopadzie ub. roku Towarzystwo Avion zaprezentowało w praskim Teatrze Na zábradlí oraz w brneńskim Teatrze Husa na provázku program oparty na eseju Bogdana Trojaka pod tytułem „Genius loci Slezska". Renata Putzlacher, pisząca po polsku poetka z Czeskiego Cieszyna, i Bogdan Trojak, piszący po czesku poeta z Wędryni, przygotowali wieczór poetycko-muzyczny w języku polskim, czeskim, gwarą i w jidysz, nazwany „Genius loci (geniusz loce?) Śląska". Po sukcesie w Pradze i Brnie realizatorzy uznali, że warto by pokazać ten program również na Śląsku, zwłaszcza że mówi o ludziach tam mieszkających.

W ten sposób 11 listopada na scenie Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie doszło do kolejnego z serii spotkań w „Kawiarni Avion, której nie ma...", zorganizowanego przez Towarzystwo Avion, Teatr Cieszyński i Kongres Polaków w RC. Spektakl nazwany tak samo jak jego zeszłoroczny pierwowzór „Genius loci (geniusz loce?) Śląska" był poszerzoną wersją tamtego z Pragi i Brna w nowej obsadzie. Scenariusz napisała i reali-

zacji podjęła się Renata Putzlacher. W programie zabrzmiały wiersze i esej Bogdana Trojaka, wiersze i teksty piosenek, z muzyką Zbigniewa Siwka, Renaty Putzlacher oraz brneńskiego śpiewającego poety Petra Čichoňa, fragmenty wierszy Pawła Kubisza, Čeňka Ostravickiego, Petra Hruški, Janusza Klimszy, Vojtěcha Kučery i Jacka Sikory oraz piosenki ludowe śląskie i żydowskie. Na scenie zagrały i zaśpiewały: zespół Zbig–Band oraz kapele Kamraci i Polynica z solistami Urszulą Niedobą–Szczepaniak i Andrzejem Niedobą. Wykonawcami poszczególnych ról byli: Ryszard Pochroń, Barbara Szotek–Stonawski, Kajetán Písařovic, Małgorzata Pikus, Józef Kurek, Barbara Humel i Dariusz Waraksa.

Bohaterami przedstawienia są Renata i Bogdan. Spektakl jest podróżą po Śląsku, widzianym oczyma przybyszów i autochtonów. Ostrawa, Orłowa, Karwina – kraj węgla, Cieszyn – rozdzielony na dwie części, Trzyniec z hutą, Wędrynia, Jabłonków – Republika Góralska z Beskidami i górą Czantorią to tylko niektóre z miejsc, gdzie zatrzymują się na dłużej, by lepiej przybliżyć ich klimat. Język polski i czeski, gwara śląska, kultura Ślązaków, Polaków i Czechów, i dawna żydowska mieszają się tu w swoisty konglomerat, w którym mieszkańcy tej ziemi poszukują swej tożsamości. I otwarta pozostaje kwestia, którą Bogdan Trojak tak ujmuje w swym eseju: *Jestem inny niż Polak, różnię się też od Czecha. Po czyjej stronie staną rycerze z Czantorii, kiedy będzie najgorzej?*

C.R.





Fot. WIESŁAW PRZECZEK



NOWY KOŚCIÓŁ ŚW. BARBARY W ŁĄKACH NAD OLZĄ

11 listopada po raz pierwszy zaprosił wiernych z Łąk nad Olzą na Mszę św. głos dzwonu nowego kościoła pod wezwaniem św. Barbary. Uroczystego poświęcenia świątyni dokonał biskup diecezji ostrawsko-opawskiej František Václav Lobkowicz. *Cieszy fakt, że i w tym regionie, w którym wycisnęła swe piętno działalność górnicza, wyrósł nowy budynek świątyni, która zastąpi stojący niedaleko stąd pierwotny kościół* – powiedział.

Kamień węgielny pod nowy kościół poświęcił Ojciec Święty Jan Paweł II na Welehradzie 3 lipca 1990 roku. Budowę kościoła według projektu Ladislava Mirta rozpoczęto w 1998 roku. Budowa pochłonęła ponad 8 milionów koron. Świątynia ma kształt łzy – łzy smutku po stracie starego kościoła, który stoi, lecz opuszczony, nie może służyć wiernym, gdyż przebywanie w nim jest niebezpieczne, bo znajduje się na terenie podkopanym, i łzy radości i wdzięczności za nowy kościół. W kościele mieści się około 150 osób, jest 60 miejsc siedzących. Dzwon i figurę Matki Boskiej z Lourdes przeniesiono ze starego kościoła, wciąż jeszcze trwa zbiórka darów pieniężnych na wyposażenie wnętrza.

C.R.

SKARBY Z CIESZYŃSKIEJ TRÓWŁY

O tym, jak wiele się dzieje w sferze kultury w Cieszynie po drugiej stronie Olzy, mogli się przekonać niejednokrotnie mieszkańcy Czeskiego Cieszyna i okolic. Za Olzę chodzi się na koncerty, do teatru na gościnne występy popularnych aktorów z najlepszych teatrów w Polsce, wystawy.

Nietuzinkową akcją zaprezentował się Cieszyn pod koniec września (28–30), realizując projekt „Skarby z cieszyńskiej trówły". W jego realizację zaangażowały się: Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Cieszyńskiej, Wydział Edukacji i Kultury Urzędu Miejskiego w Cieszynie, Biblioteka Miejska w Cieszynie, COK Dom Narodowy, Książnica Cieszyńska, Muzeum Śląska Cieszyńskiego, Państwowa Szkoła Muzyczna, Teatr im. A. Mickiewicza, Uniwersytet Śląski Filia w Cieszynie, Macierz Ziemi Cieszyńskiej, Cieszyńskie Towarzystwo Fotograficzne, Cieszyńskie Towarzystwo Muzyczne, Stowarzyszenie Rotunda, Stowarzyszenie Cieszyńskiej Młodzieży Twórczej, Bracki Browar Zamkowy. Nie bez przyczyny wymieniamy wszystkie te organizacje i instytucje, bowiem jest to okazja do pokazania niezwykłego bogactwa cieszyńskiego zorganizowanego potencjału intelektualnego. Nikogo też nie dziwiła ilość i różnorodność trzydniowych prezentacji kulturalnych, które rozpoczynały się w godzinach porannych, a kończyły późnym wieczorem. A można było m.in. wziąć udział w warsztatach dla cieszyńskiego historyka regionalisty oraz dla miłośników książki, uczestniczyć w pokazie charakteryzacji teatralnej i filmowej i w warsztatach teatralnych z Anną Seniuk czy warsztatach starego rzemiosła, zobaczyć, jak dawniej piwo warzono, wysłuchać recitalu harfowego w wykonaniu Ewy Jaślar i jej uczennicy Ani Trefon, obejrzeć wystawę starej fotografii i koronek i delektować się potrawami kuchni staropolskiej i regionalnej.

Cieszyn to także miasto poetów, toteż nie mogło ich zabraknąć w tych dniach. I tak odbyły się poetyckie rozmówki polsko-czeskie, Cieszyńska Noc Poetów i finał konkursu jednego wiersza „Granica". Nagrodzone wiersze (I, II i III miejsce) drukujemy w ramach działu poezji. Jury w składzie: Beata Sabath (przewodnicząca), Aleksandra Humel, Wilhelm Przeczek, Oldřich Šuleř przyznało I miejsce Stanisławowi Malinowskiemu z Cieszyna, II Liborowi Martinkowi z Opavy, III Rafałowi Świciowi z Warszawy. Ponadto wyróżnieniami nagrodzono Lecha Przeczka z Trzyńca, Lucynę Przeczek Waszkową z Czeskiego Cieszyna, Annę Mazur z Drogomyśla i Michała Bukowskiego z Wiednia.

E.S.

KUPISZ WŁAŚNIE TU

Na poddaszu PSP w Czeskim Cieszynie otwarto okazałą IZBĘ REGIONALNĄ





SKLEP RYBNY

Martin Tvrzník

ul. Velebnovského 153

JABŁONKÓW

telefon: 0659/357 523



oferuje przez cały rok bogaty asortyment żywych i mrożonych ryb

żywe karpie, tołpygi (tylko 39 Kč za kilogram!), szczupaki, sandacze, sumy, pstrągi należą do stałej propozycji w tym sklepie.

Na życzenie klienta zakupione ryby od razu oczyścimy i przygotujemy do wykorzystania według dyspozycji

PRZYJMUJEMY RÓWNIEŻ ZAMÓWIENIA TELEFONICZNIE



NAJLEPSZEGO KARPIA NA ŚWIĘTA BOŻĘGO NARODZIENIA KUPISZ WŁAŚNIE TU!

TEKST SPONSOROWANY

STANISŁAW JÓZEF MALINOWSKI

PSALM O BEZGRANICZNYM MIEJSCU

Nad wodami wspólnej rzeki
chodziliśmy
ciesząc się zawsze
miłością spotkania.

A drzewa w naszej krainie
powtarzały echem
radości nasze.

Ponad niewolą szarych dni
pieśni górują między brzegami.
Cóż zgnębić zdoła jasną dolinę?

Nad mostem jeszcze anioł uśmiecha się
skrzydlatym słowem.

To samo słońce i ptaków śpiew
warkoczem ziół splata nas.

Stary smak miodu
bursztynem już osiadł w pamięci
i cieszy.

Na źródle więc witam to odnalezienie
i błogosławię gościnnie.

Nad wodami szum błogosławię
co ucisza zgiełk w sercu.

Ostatni mrok jak smok pękł
bezgranicznie.

RAFAŁ ŚWIĆ

PO DRUGIEJ STRONIE GRANICY

wystarczy przekroczyć granicę
granicę codziennych słabości
granicę błahych potrzeb i oczekiwań
żeby zrozumieć

po drugiej stronie granicy
jak po drugiej stronie lustra
są nasze odbicia

granica nie wyznacza kresu
granica jest początkiem
od niej zaczyna się inny
ten sam
świat

w naszych myślach
słowach
są różnice
widoczne
zauważalne na pierwszy rzut oka

zbyt wyraziste
żeby można w nie było uwierzyć

nie wolno rezygnować
odchodząc
można stracić coś
czego nawet
nie zdążyło się
dotknąć

warto przekroczyć granicę
choćby po to
żeby uświadomić sobie
że słońce
jest wszędzie to samo
drzewa wszędzie dają cień
a woda z dwóch górskich strumieni
równie szybko
gasi pragnienie

warto przekroczyć granicę
poza nią
piękno
podarowane nam
naturalne i czyste
można podziwiać
bezgranicznie

warto przekroczyć granicę
którą jesteśmy oddzieleni
od nas samych

warto przekroczyć
granicę
kompleksów i uprzedzeń
żeby się przekonać
jak bardzo
jesteśmy do siebie podobni

LIBOR MARTINEK

(tłum. Kazimierz Kaszper)

TRAWA

Januszowi Wójcikowi

A może jeszcze któregoś lata zajrzę
do Dolnej Doliny koło Złotych Gór której
byłem wierny przez swoje młodzieńcze wakacje
i gdzie uczyłem się pokory i odpowiedzialności
przez odpowiedzialność za innych.

Już zaczął się lipiec lecz nie znalazł się nikt
kto zechciałby przyciąć włosy trawom miłosiernie
pokrywającym malutki cmentarzyk nawiedzany
w czasie świąt przez miejscowych i przyjezdnych
z paszportami

Trawa falowała wtedy wzdłuż i wszerz
w rytmie roztańczonego cichą pocztą zefirka
poranna rosa roznosiła po źdźbłach wieści
że przyjdę skoro świt i przykroję
łące sukienkę na lato
- pachniała mleczem dmuchawców -
ten zapach mnie nie opuszcza

Jesteś naszą siostrą miłosierdzia trawo
przykładem wiecznego dążenia do odnowy życia
wolności ofiarności i braku kompleksów
tożsamości

W końcu wszyscy kiedyś spłyniemy
z tobą



W Egipcie – kolaż WŁADYSŁAWA SIKORY

WŁADYSŁAW SIKORA

KARPATY MITYCZNE (2)

GDZIE CZANTORIA SIĘ WZNOSI

„Jedną z najpiękniejszych gór Beskidów Morawsko-Śląskich jest Czantoria. Otacza ją starodawna sława rycerzy zakutych w srebrne i pozłociste zbroje, którzy ponoć śpią wieki całe gdzieś w samym jej wnętrzu i czekają na zew, na hasło do boju ze złem i niesprawiedliwością. Bój ten rozegrany zostanie pomiędzy trzema gruszami stojącymi w trójkącie, na kilka mil od siebie oddalonymi. Jedna z tych grusz ma stać w Bobrku, druga w Skalicy, trzecia na Górnym Śląsku koło Pszczyny. Kiedy trąbka zagra do boju, z podziemnych lochów i krużganków Czantorii wypadnie na świat konnica rycerzy, aby zło wyplenić, aby miłość i sprawiedliwość rozsiać po całym świecie. Chwila ta nie nadeszła jeszcze. Rycerze śpią i czuwają. A lud pod Czantorią w długie wieczory opowiada swoim dzieciom dziwy rozmaite o owych rycerzach i śpiewa o nich starodawne pieśni". (Józef Ondrusz: O śpiących rycerzach w Czantorii)

Rycerze ci śpią na wielu miejscach Europy. Powiodą ich zaś do boju po kolei legendarni rycerze i królowie: Artur (Walia), Karol Wielki (Untersberg)... św. Wacław (Blaník), Bolesław Chrobry (Czantoria, Wawel), św. Jadwiga (Trzebnica), Bolesław Śmiały (Giewont)... W jakim zaś języku zabrzmi ów zew do boju, w celtyckim? atlantyckim? hiperborejskim?

Mówią fantaści ślęczący nad mapami starożytnej Europy, iż najstarsze obiekty megalityczne, świątynie, miejsca kultu etc. tworzą prawidłową sieć z liniami prostymi przecinającymi kontynent od północy na południe (tzw. „prosta Apollina" łączy duńskie grody Wikingów: Aggersborg, Fyrkat, Eskeholm, Traellerborg z Atenami) i od zachodu na wschód (prosta prowadząca od bretońskich kręgów kamiennych po niemieckie Karlsruhe, przecina Czechy z Wielkim Blanikiem, biegnie przez Cieszyn (Czantorię?) na Suchą Beskidzką i Jasło aż do Lwowa). Sieci te, złożone z pięcioboków, zdradzają przy tym znajomość zasady tzw. złotego cięcia. Skąd to się wzięło lub kto kazał całym generacjom epoki kamiennej mozolić się przy wznoszeniu takich obiektów, jak Stonehenge lub kamienne kręgi Carnacu?

Ano, bardzo dawno temu, na 10 tys. lat przed Chrystusem, ponoć wylądowali na Ziemi kosmici. Oni to albo też ich bezpośredni uczniowie, przedstawiciele jednej z poprzednich cywilizacji ludzkich na planecie Ziemi, latający nad Europą, zakładali stacje benzynowe (przepraszam: energetyczne), osady, miejsca kultu... „Zagospodarowywali" w ten sposób wyobraźnie naszych pogańskich przodków w takim stopniu, że z owymi miejscami wiązali potem niezwykłe podania o ukrytych skarbach, diabłach, ognistych zjawach lub śpiących rycerzach...

Czytamy u Kopalińskiego: „Śpiący rycerze - rozpowszechniona w Europie, zwłaszcza wśród ludów romańskich i celtyckich baśń-podanie o królu albo rycerzach śpiących w jaskiniach górskich albo podziemiach zamkowych. Mają się oni przebudzić, gdy „przyjdzie odpowiednia chwila", gdy „nadejdzie pora", aby walczyć o wiarę, wolność czy niezawisłość..." Zatem kiedy ma nadejść owa chwila naszego powrotu lub pozostania w legendarnej Europie?

Zwolennicy ezoteryki oraz miłośnicy mitologii Celtów sądzą, że „właśnie z okresu celtyckiego, kiedy to druidowie otwierali bramy innego świata, wywodzą się charakterystyczne cechy" śpiących rycerzy. Poszło o tzw. „istoty skądinąd", o „obcych". Większość różnych podań zgadza się tutaj w szczegółach: „Ktoś, kto wniknie przez bramę sidhe, doznaje udowodnionego przez Einsteina efektu względności czasu. W własnym przekonaniu spędzi taki we wnętrzu góry kilka godzin, na zewnątrz tymczasem minie kilka lat... O dramatyczności efektu „przejścia" świadczy również to, że „stamtąd" nie można do „nas" przenieść żadnego przedmiotu materialnego, aby nie uległ on transformacji, o której śnili alchemicy. To tutaj tkwią korzenie baśniowych i podaniowych efektów: rycerz wynagradza dziewczynę garścią zwykłej słomy (w przypadku Czantorii starymi podkowami lub mierzwą), ta dopiero w domu sprawdza, że źdźbła są ze szczerego złota"...

Według Andrzeja Kubika owe „wyrwy" w czasie mają... całkowicie racjonalne wytłumaczenie, możliwe na gruncie teorii tzw. światów równoległych, sformułowanej swego czasu przez rosyjskiego fizyka Moisieja Markowa. Markow utrzymywał, iż obok „naszego" świata istnieją także inne światy, oddalone odeń o rząd wielkości kwantów czasu - i to zarówno „w przód", jak i „wstecz" na jego skali. Ten nieskończony łańcuch światów ciągnie się za nami, przy czym im dalej w przyszłość, tym światy te bardziej różnią się od naszego.

I w ten sposób można odczytać beskidzkie podania o śpiących rycerzach w Czantorii.

GROTY I LABIRYNTY

Opowieść z mych lat dziecinnych: pies wpuszczony do groty w Czarcim Młynie na Girowej wyszedł okaleczony o ostre kamienie gdzieś tam na Morawach. Jitka Lenkowa w artykule „Mityczna świątynia podziemna" („Mytická podzemní svatyně") o górze Radhoszczu („Skryté skutečnosti" 24/2001) mówi o trzech podziemnych krużgankach biegnących stamtąd na Velehrad, do Turca oraz do Jabłonkowa. „Opowiadano o zabłąkanych owcach, które, przepadłszy po jednej stronie góry, pojawiały się po jej drugiej stronie". Jaskinie są tutaj „dziurami", podobnie jak u nas, na sąsiedniej Kniehyni zaś istnieje taki sam jak na Girowej Czarci Młyn. Na Tanecznicy zresztą tak samo poszukuje się zbójnickich skarbów. Idzie zatem o mit wołoski, który podążając z pasterzami i ich stadami grzbietami Karpat ze wschodniej Wierzchowiny, reagował na napotykane gronie z ich z kolei aurą podaniową.

Teść mój zagadnął mnie ongi w rozmowie o grotę pod szczytem Girowej, z której miał biec dokądś tam długi krużganek; dla górala z Bagińca sprawy te przybierały realne kształty...

Na ogół jednak przyzwyczailiśmy się, że różne sensacje i zagadki dotyczą raczej odległych stron świata - Himalajów, Pacyfiku, And... To tam gdzieś kwitły przecież dawne supercywilizacje, których bodaj ostatnią próbką była tajemnicza Atlantyda sprzed 10-12 tys. lat - praźródło rozległej wiedzy i sztuki starożytnego Egiptu z jego Sfinksem i piramidami. W ostatnich latach wszak zaczyna być w literaturze ezoterycznej głośno o tunelu o szklistych ścianach na pograniczu polsko-słowackim, odpowiedniku tzw. labiryntów legendarnej Agharty, świata podziemnej cywilizacji, która niegdyś, przed wieloma tysiącami lat, zamieszkiwała pierwsze kontynenty. Umieszcza się wspomniany tunel w rejonie Babiej Góry (Babiogórski Park Narodowy), bądź w Bielańskich Tatrach. Jego tajemnice starają się rozwikłać Miloš Jesenský z Robertem K.Leśniewiczem („Fantastická fakta" - 11-12/98: „Tajemství měsíční jeskyně, Měsíční jeskyně. Další díl záhady"). Idą zaś dwoma śladami: za opowieścią niejakiego Wincentego z relacji prof. dr. Jana Pająka z Nowej Zelandii, który z Kazimierzem Pańszczykiem napisał: „Tunele NOL spod Babiej Góry" - ISBNO 9583 380-7-8, Traktat, Dunedin, Nowa Zelandia 1998), oraz za dziennikiem oficera powstania słowackiego (1944), kpt. dr. Antoniego T. Horáka, opublikowanym w biuletynie National Speelogical Society - „NSS News" 3/65, przejętym następnie przez Jacques'a Bergiera z grupą INFO „Le libre del' inexplicable" (Paryż 1972),

po czesku: „Kniha nevysvětlitelného", Nakl. IŻ, Praga 1995). Na terenie polskim sprawę relacjonował też Kazimierz Bzowski: „Tunele Agharty" (Wiedza tajemna - 5/99)... Wincentemu jego ojciec przekazywał wieść o szklanym tunelu, kpt. Horák zaś trafił doń, kryjąc się przed działaniami wojennymi.

Zdaniem prof. Pająka tego rodzaju twory w postaci rur wytopionych w skałach podziemnych mogą powstać poprzez przemieszczanie się w nich obiektów, które są podobne lub tożsame z tymi, które on sam projektuje. Zwie je magnetokraftami; po przemieszczeniu się dyskoidalnego obiektu powinien pozostać tunel, ściany zaś powinny być po przelocie szkliste, najwyżej pokarbowane w poprzeczne „fałdy"; takie właśnie się tutaj obserwuje. Szkliwo babiogórskiego tunelu przemawiałoby za rzeczywistym przetopieniem się przez skałę jakiegoś niezwykłego obiektu. Tunel, odkryty przed niewiadomymi czasy, pełnił rolę ukrywanego w poszczególnych rodach „schronu". Jego tajemnica przechodziła z ojca na pierworodnego syna, na wypadek złych czasów.

Jak mówią o tym ustalenia, od końca XVI wieku w pobliżu Księżycowej Jaskini mieszkała rodzina Klimkowskich, zajmująca się, jak to w górach, zbójowaniem. Ślady wykonane ich ręką, z rodowym herbem, znaleziono w jednej z odnóg tunelu, w tzw. Słowikowej Studni po stronie słowackiej. Tunel biegnie pomiędzy Orawskim Podzamczem na Słowacji pod kościółkiem w Rabczycach do szczytu Diablak (1725 m) w Polsce, przecinając masyw Babiej Góry (1722 m). We wspomnianym kościółku znajduje się jedna z niewielu w kościołach figur diabła, wskazującego ręką w miejsce, w którym, jak się przypuszcza, znajduje się w podziemiach wejście do poszczególnych odnóg tunelu.

Podobne tunele mają tworzyć globalną sieć i zmierzać do Tybetu. Sprawa ta niezwykle interesowała w swoim czasie niemieckich nazistów. Na szklany krużganek ponoć natrafiono m.in. pod górą Shasta w Kalifornii, z zaskakująco gładką powierzchnią ścian. Jak zwykle w takich przypadkach teren ten objęła armia i o tunelu zapomniano. Po odwołaniu owej decyzji badano je co prawda, jako „połodowcowe przestrzenie pod powierzchnią ziemi", wyniki jednak pozostały tajemnicą. W opowieściach Indian owymi właśnie tunelami przyszła ludzkość z tajemniczego, zaginionego w wyniku katastrofy kontynentu. Pojawia się tutaj również szczególny talizman, który swymi promieniami topił skałę, ścinał drzewa i zamieniał piasek w skałę. Podobne ślady poprzedniej supercywilizacji znajdujemy w sferze protoegipskich legend.

2001

Fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



BIBLIOTECZNA DETERMINACJA

Książka na książce. Piąta na czwartej, dziesiąta na dziewiątej, piętnasta na czternastej, szesnasta otwarta. Rozczochrane kartki krzyczą z bólu - jak długo można stać, bez możliwości zajęcia pozycji horyzontalnej. Wszechwiedzący mechanizm działający za pośrednictwem zmysłów na mózg rzutuje dodatnio na inteligencję. Ujemne skutki zanotujemy w przypadku percepcji pracotwórczych, sklejonych w jedno, papierowych plansz mądrości, które znajdują się na indeksie. Zatrute drzewa owocowe będące ozdobą, rarytasem ogrodu intelektualisty, dają plon (zazwyczaj) raz na dwa lata. Analogicznie umysł, który korzysta i żywi się owocami tegoż drzewa, doznaje niekończących się wzlotów i upadków. W okresie największej klęski podreperuje on wprawdzie swój budżet umysłowy, ale nigdy nie osiągnie poziomu, jaki odnotowujemy w czasie wiosennego rozkwitu.

Cztery pory roku oddziałują na czytelnika tak samo jak „Chłopi" na kolejno idące po sobie regularnie, kalendarzowo lub widzi mi się, zmiany atmosferyczne, będące wynikiem astronomicznych perturbacji ziemskiego globu. Reasumując - pokarm pod postacią słowa zapewnia nam wprawdzie pewnego rodzaju (bliżej nieokreślony rodzaj, lecz domyśliwszy się: rodzaj-myśl, myśl-rodzaj) satysfakcję umysłową, którą pobieżnie można nazwać nasyceniem żołądkowym, ale soczysty kawał szynki wieprzowej uzupełni niezbędne dla organizmu ludzkiego kalorie. Pytanie tylko - co dla potomnych? Jeżeli przełkniemy jedno i drugie, pozostawiając po sobie wydalone resztki w postaci kału lub miernoty intelektualnej, którą można zamknąć w dwu grubych (bardzo rzadko), częściej spotykana wersja - dwu cienkich okładkach, co wydarzy się z energią wykorzystaną, wyrzuconą. Zmarnowaną? Danemu egzemplarzowi zostanie przyszeregowany odpowiedni numer i zamknięty w zakurzonym magazynie ma nadzieję, że od czasu do czasu ktoś zerknie na sygnaturę, stwierdzając z grymasem uczonego: To mi się przyda. Cytaty naszego wytworu zamieści w swej publikacji, by ta trafiła później do tego samego magazynu, na tę samą półkę i tak bez końca.

Magazyny książek, określane przez współczesnych bibliotekami, trzeba nieustannie rozbudowywać. Płodność elit (niestety) nie ma nic wspólnego z ich impotencją. Z obserwacji wynika, iż ciągłe przedruki cytatów i spostrzeżeń prowadzą do powielania znanych już wszystkim wzorców. Pisarz-literat, pisarz-publicysta, pisarz-pisarz. Relacje z pozoru tylko odmienne, różniące się imperatywem względnej odmienności. Wydźwięk zróżnicowanych nieco przeciwników sprowadza ich do punktu wyjścia - pisarza, czerpiącego tematy z natury niekonwencjonalne. Popijając w tym samym czasie (pisarz) ampułki z dużą zawartością jadu, pisze bzdury. Odbiorca nieświadom niczego, pochłonięty w pełni autorytetem, jakim nafaszerowano go poprzez czytanie utworów splamionych krwią zatrutego, uzupełnia w ten sposób „Tabula rasa" własnej tożsamości i tożsamości spadkobierców.

Zadra na palcu wskazującym dobro. Utożsamienie wodnego grzyba z pleśnią serową. Nie bądźmy powierzchownymi odkrywcami trzynastowiecznych wynalazków. Trzymając w ręku żarówkę, podłączył się do sieci. Błysnęło trzykrotnie. Zgasło. Co, kto - wszystko. Tak samo jak czapka na kaloryferze podgrzewa się jajko, analizując świat od dołu. Nic dziwnego, że kurczak wyskakuje ze skorupki. Upał, temperatura dodatnia nie podlegająca kontroli, wyciąga pióra i włóczkę. Rewers książkę - jest on słońcem, które wyciąga druki z nory; rozkazem bez polecenia; marnotrawstwem powodującym trwałe zniszczenia na kartkach papieru, oślich uszach, zdrowiu. Farba drukarska uzależnia, a pylica niezależna bestia, samoistnie spoczywa na grzbietach.

Książka na książce. Piąta na czwartej, dziesiąta na dziewiątej, piętnasta na czternastej, szesnasta na piętnastej, siedemnasta otwarta, osiemnasta na siedemnastej zamknięta. Nareszcie ktoś napojony miłosierdziem przywalił ból ciężarem łagodności. Zdenerwowany uderzył pięścią w siedemnastą, by dotkliwiej ujarzmić emanację duplikatów.

MAREK SŁOWIACZEK

NA NASZEJ SCENIE

„DZIADY" W SCENIE POLSKIEJ NARODOWEJ

Teatr Narodowy buduje naród wtedy, kiedy czuje się zagrożony. Kiedy deptana czy ograniczana jest jego wolność, kiedy trzeba przeciwstawić się złu. I wezwać do walki. Albo wtedy, kiedy powstaje nowy ład, kiedy naród potrzebuje zjednoczyć się w imię jakiejś idei.

W tym Teatrze Narodowym wystawia naród „Dziady". Bo „Dziady" są częścią dziedzictwa narodowego, tworzą jeden z elementów składających się na całość zwaną teatrem narodowym, polskim teatrem narodowym.

I właśnie o potrzebie i formach teatru narodowego i o różnych inscenizacjach „Dziadów" Adama Mickiewicza mówiono podczas sympozjum naukowego zorganizowanego z okazji jubileuszu pięćdziesięciolecia Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego. Kiedy przysłuchiwałam się słowom prof. Udalskiej na temat „Dziadów" i rozważaniom prof. Orzechowskiego o teatrze narodowym, uwierzyłam, że wystawienie „Dziadów" w tej chwili i w tym teatrze ma sens. Ponadto wpadła mi wtedy do głowy myśl śmiała, którą jednak teraz pozwalam sobie przytoczyć, mianowicie, by w drugim swoim półwieczu jubilatka poszerzyła nazwę na Scena Polska Narodowa. Ponieważ mieści się w definicji teatru narodowego i udowodniła, że na tę nazwę zasługuje.

Różne były głosy przed premierą „Dziadów" w Scenie Polskiej, która miała

miejsce 20 października. Czy aby na pewno „Dziady" są odpowiednią pozycją repertuarową obrazującą charakter i posłannictwo tego teatru, czy mogą służyć do podsumowania pięćdziesięciu lat i ukoronowania jubileuszu, czy nie należałoby przy tej okazji pokazać widzowi zaolziańskiemu raczej to, co lubi najbardziej, czyli pozycję lżejszego kalibru. A może teatr chce dać do zrozumienia, że schodzi na dziady? Okazało się jednak, że osoby na scenie i widowni zeszły się na dziadach, by wywołać ducha: jedności, patriotyzmu, polskości.

„Dziady" to szkolny przykład dramatu niescenicznego, czyli przeznaczonego przede wszystkim do czytania, które pozwala lepiej odebrać jego walory literackie, uważanego z różnych względów za trudny do wystawienia na scenie. Z drugiej jednak strony „Dziady", arcydzieło literatury narodowej, potężniej oddziaływać mogą na odbiorcę wystawione przez dobrego inscenizatora niż czytane w zaciszu domowego fotela. Luźna budowa dramatu, możliwość wieloznacznego odczytania jego przesłanek i idei stwarza dla autora adaptacji scenicznej zgoła niezliczone możliwości. Korzystają z nich reżyserzy, wyciągając z bogatego tekstu Mickiewicza myśli sercu swemu najbliższe.

Teatralna historia „Dziadów" zaczyna się równo przed stu laty, kiedy to w Teatrze Miejskim w Krakowie 30 października 1901 roku wystawił je Stanisław Wyspiański. Był to jedyny obcy dramat, jaki wyreżyserował. Inscenizacja była wielką ingerencją w tekst Mickiewicza, który podzielił Wyspiański na siedem odsłon. „Dziady" posłużyły mu zarazem jako wprowadzenie do własnego dzieła - do „Wyzwolenia", też z Konradem w roli głównej, które pokazał na scenie krakowskiej w dwa lata później. Przez następnych trzydzieści lat grano „Dziady" na sposób inscenizacji Wyspiańskiego, dopóki nie pojawiły się przedstawienia Leona Schillera: w 1932 roku we Lwowie, w 1933 roku w Wilnie i najwybitniejsze w 1934 roku w Teatrze Polskim w Warszawie, z muzyką Leona Schillera, scenografią Andrzeja Pronaszki oraz rolami Józefa Węgrzyna jako Gustawa-Konrada, Edmunda Wiercińskiego jako Księdza Piotra i Stanisławy Wysockiej jako Pani Rollison. Schiller stworzył dzieło teatru monumentalnego, krytykował Wyspiańskiego, właściwego przecież twórcę teatru monumentalnego, że jego „Dziady" były przykładem tradycyjnego teatru pudełkowego, brakowało im zwłaszcza obrzędowości, misteryjności. Najważniejsze powojenne inscenizacje to w pierwszym rzędzie ta wystawiona przez Aleksandra Bardiniego w 1955 roku w Warszawie, ze względu na sytuację polityczną pełna kompromisów. Następnie słynna inscenizacja Kazimierza Dejmka z Gustawem Holoubkiem w roli głównej, która w marcu 1968 roku zapoczątkowała rozruchy na tle politycznym. Wybitne przedstawienie stworzył w krakowskim Starym Teatrze w 1973 roku Konrad Swinarski, a główna rola Jerzego Treli przeszła do historii teatru. Dwukrotnie przymierzali się do „Dziadów" Maciej Prus, w 1979 roku w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku - w tym przedstawieniu w drodze na zesłanie odbywał się „psy-

choanalityczny seans zbiorowej wyobraźni", w 1984 roku w Teatrze im. Jaracza w Łodzi, i Jerzy Grzegorzewski, który zaoferował współczesne spojrzenie na dramat Mickiewicza i poprzez niego na nas, w 1987 roku w Teatrze Studio w Warszawie w spektaklu „Dziady - Improwizacje" i w 1995 roku w Starym Teatrze w Krakowie w przedstawieniu „Dziady - dwanaście improwizacji". W chwili obecnej „Dziady" także goszczą na kilku scenach teatrów w Polsce.

Po co te wyliczanki? „Dziadów" nie robi się bez oglądania się za siebie. Są zbyt ważną pozycją w dziejach polskiego teatru i w historii polskiej kultury. „Dziady" wystawia się, mając na uwadze poprzednie ich inscenizacje. Więc gdyby nawet twórca nowego przedstawienia twierdził, że odcina się od przeszłości, nie korzysta z poprzednich doświadczeń, wręcz nie chce wiedzieć, co było wcześniej, i tak mu nie uwierzę.

„Dziady" Karola Suszki wystawione w Scenie Polskiej w Czeskim Cieszynie nie były więc, jak wynika właśnie z powyższych przypomnień, całkiem nowym odczytaniem tekstu przez autora przedstawienia. Były wypadkową jego postrzegania teatru i Sceny Polskiej w nim, jego spojrzenia na naszą rzeczywistość poprzez rodzimą kulturę i tradycję. Powstały „Dziady" proste, oszczędne, wręcz ascetyczne, bez wielkich obrzędów i bez ogromnych emocji. Widz przyglądał się temu widowisku, ale sam pozostawał jakby obok, niewciągnięty w środek zdarzeń. Występował jako świadek, obserwator, chociaż nie do końca. Zapaliła się w nim jednak jakaś iskierka i tliła się nawet po zakończeniu przedstawienia. Iskierka, która nie pozwalała zapomnieć, że działo się coś ważnego. Że ktoś przypomniał o sprawach, o których nie tylko należy pamiętać, ale za które należy się bić.

Karol Suszka w zamieszczonym w miejscowej prasie wywiadzie przedpremierowym wyjaśnił, że akcja jego „Dziadów" dzieje się podczas postoju kibitek w drodze na Syberię i poszczególne obrazy są projekcją wspomnień zesłańców. Do tej opowieści wystarczyła mu skąpa dekoracja (scenografia i kostiumy Krzysztof Małachowski), głównymi elementami scenograficznymi były wozy (dziękuję, reżyserze, za wyjaśnienie, bo, widząc strażników przesuwających wozy, byłam zdolna pomyśleć, że to jakieś ponure wozy cyrkowe ktoś zostawił nie tam, gdzie trzeba, i zaraz pojawi się jakiś smutny klaun), które po otwarciu boku pokazywały swe wnętrze i stanowiły nowy element przestrzeni scenicznej, coś na kształt średniowiecznych mansjonów. W pierwszej części przedstawienia zagrało jeszcze naczynie z ogniem do wywoływania duchów, w drugiej części fotel Senatora. Ważnym składnikiem przedstawienia była muzyka Zbigniewa Siwka, który w sposób bezbłędny potrafił oddać czy spotęgować nastrój, a także łączyć sceny i wypełniać tak luki między nimi.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie... - rozpoczęła na początek kobieta. Lecz zanim podczas święta zmarłych doszło do wywołania duchów, weszła na scenę dziewczyna z książką, by przypomnieć historię miłości Gustawa, której

nie mogła doczytać. Tak dowiedzieli się widzowie o Gustawie (nic nie szkodzi, że w tej książce chodziło o innego Gustawa). On sam pojawił się po innych duchach jako dawno niewidziany uczeń Księdza Piotra. Zwięźle i krótko w ten oto sposób rozprawił się reżyser spektaklu z drugą, czwartą, a nawet pierwszą częścią „Dziadów".

Szeroko za to potraktował część trzecią, przede wszystkim zaś losy Konrada i Senatora. Gustaw stał się Konradem w sposób niezauważalny. Nie bazgrał niczego węglem na kamieniu ani kredą na ścianie. Scena z „Dziadów", którą najczęściej omawia się w szkole i najlepiej się pamięta, nie była reżyserowi przedstawienia w ogóle potrzebna. Wyeksponował natomiast wielką improwizację, na bok odkładając nożyce do przycięcia tekstu. Nieliczne, w porównaniu z literackim pierwowzorem, były rozmowy więźniów w celi, krótka, na jednym kolanie, modlitwa Księdza Piotra. Ważne dialogi toczyły się w salonie warszawskim. Wielkie pole do popisu miał Senator, we śnie, i na jawie, kiedy rozstrzygał o życiu lub śmierci np. młodego Rollisona. Spotkanie i pożegnanie Księdza Piotra z Konradem ukończyło przedstawienie.

Zasadniczym elementem tego spektaklu stał się aktor. Reżyser miał do dyspozycji kilka starych i kilka nowych twarzy, prawie debiutanckich. Czy więc w wypadku takiego na prędce skleconego zespołu aktorskiego można w ogóle mówić o grze zespołowej, o jakimś zgraniu z partnerem? Trzeba było patrzeć na spektakl, mając te fakty na względzie, nie szukać jednak jednocześnie w ten sposób usprawiedliwienia.

Najważniejsza postać - Gustaw-Konrad (Tomasz Kłaptocz) - był cichym, zamkniętym w sobie młodzieńcem. Swoją kłótnię z Bogiem rozpoczął spokojnym głosem od naiwnego pytania, by coraz bardziej zacietrzewiać się, coraz głośniej wymawiać swe żale, w końcu krzyczeć, patrząc w niebo, grożąc pięścią, nie ruszając się przy tym z miejsca. Może nie wygrał jako postać dramatu, ale chyba wygrał jako aktor. Ksiądz Piotr (Ryszard Malinowski) był przede wszystkim mądrym, doświadczonym człowiekiem, który pomimo chwili zwątpienia próbował dawać nadzieję. Senator (Paweł Niedoba) to najbardziej dynamiczna postać, zakochany w sobie fircyk, przeżywający mocno własne klęski we śnie, lecz przed innymi udający zucha, pielęgnujący swe życiowe emploi, lecz nieliczący się z uczuciami innych. Pani Rollison (Halina Pasekova) zakryła twarz, toteż głosem musiała oddać tragizm matki tracącej syna. Udane były wszechobecne Anioły-Diabły (Patrycja Czerwiec, Róża Miczko). W przedstawieniu wziął udział cały zespół Sceny Polskiej, część aktorów zagrała po kilka ról, tworząc całość zwięzłą i zrozumiałą.

Oby duchy wywołane przez czeskocieszyńskie „Dziady" były dla nas łaskawe!

CZESŁAWA RUDNIK





Fot. WIESŁAW PRZECZEK

W roku bieżącym Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w RC wydał książkę Jana Szymika **„Doroczne zwyczaje i obrzędy na Śląsku Cieszyńskim"**. Zachęcając czytelników do jej nabycia, przedstawiamy fragment.

DZIEŃ BOŻEGO NARODZENIA (25 XII)

Rano w Boże Narodzenie wstawano nieco później, bo dospać było trzeba poprzednią noc. Szczególnie dzieciom pozwalano pospać, ale tak, żeby wszyscy po śniadaniu zdążyli do kościoła na Mszę świętą. Bardzo wielu ludzi w ten dzień przystępowało do komunii. Droga powrotna z kościoła była też swego rodzaju „przeglądem mody", bo na tę Mszę ubierano się bardzo strojnie, często wykorzystując rzeczy otrzymane w podarunku pod choinką. Istnieje tutaj bowiem przekonanie, że w nowym trzeba najpierw pójść do kościoła.

Gospodyni na śniadanie dawała na stół brytfannę upieczonych, chrupiących jelit - kaszankę, krupnioki, gorącą domową kiełbasę z bułką lub chlebem oraz babkę z makiem i placek - *kołocz*, tzw. „piętrowy", tj. z warstwą maku i twarogu oraz posypką lub kołacz z jabłkami, a do tego białą kawę zbożową z dodatkiem prawdziwej. Po śniadaniu gospodarz zabierał ze stołu wigilijnego łupiny orzechów, rybie ości oraz te resztki z wieczerzy wigilijnej, których nie dawano trzodzie względnie domowemu ptactwu. Zanosił to wszystko do sadu pod drzewka owocowe, by w przyszłym roku hojnie obrodziły. Po wieczerzy wigilijnej stołu nigdy nie sprzątano, ponieważ z jadła musiały także skorzystać *skrzotki* - skrzatki i inne duszki domowe, a także dusze zmarłych przodków. Niektórzy już w nocy z Wigilii na Boże Narodzenie potrząsali drzewkami owocowymi, aby w następnym roku było co z nich strząsać, a drzewom, które nie owocowały, grożono nawet siekierą, że jeżeli w nadchodzącym roku nie obrodzą, zostaną ścięte.

Na obiad podawano zwykle wołowy lub kurzy rosół z makaronem i wątrobianymi kluseczkami, gęsinę, kaczkę, częściej jednak indyka, ziemniaki i sałatę z modrej kapusty oraz kompot z renklod i leguminę. Pierwsze Święto - dzień Bożego Narodzenia spędzano tylko w kościele i w domu, bo przecież u nas *nie godziło se w tak wielki święto chodzić po chałupach*. Przebywano przy wspólnym stole, delektując się jadłem i smakołykami, gawędząc, opowiadając, jak to *hań downi bywało*, z czego dzieci dowiadywały się o różnych zwyczajach i obrzędach z czasów dzieciństwa ich rodziców i dziadków. Nawet dzieci nie wypuszczano z domu na sanki, narty, łyżwy czy na dwór bawić się w śniegu i stawiać bałwana. Bawiono się z nimi, śpiewano kolędy

i pastorałki - często nawet te, *kierych nie godzi se śpiywać w kościele* - z pamięci czy też przeważnie z wadowickich kantyczek lub zbiorków pieśni bożonarodzeniowych jabłonkowskiego tkacza Adama Sikory.

Kolacja również była świąteczna, wystawna, a po niej zwykle dość wcześnie kładziono się do snu, bo i takie świętowanie jest męczące.

ŚW. SZCZEPANA MĘCZENNIKA (26 XII) - SZCZEPÓN

Dopiero w *Drugie Święto*, w Szczepana, już z rana przychodzili do domów kolędnicy - przeważnie chłopcy, ale też i dziewczynki - składając życzenia najczęściej słowem wiązanym i, w niektórych miejscowościach, głównie dolańskich, obsypując płeć żeńską owsem. W beskidzkiej Trójwsi i koło Jabłonkowa chodzili *połaźnicy*. Otrzymywali za to *kolęde* - podarunki w postaci wiktuałów, a nawet drobnych pieniędzy. Po południu amatorskie zespoły szkolne, parafialne czy grupy artystyczne organizacji społecznych i kulturalno-oświatowych odgrywały zwykle na scenach większych gospód, czytelni, domów robotniczych i katolickich *jasełka*, na które licznie przychodziła ludność, nie wyłączając nauczycieli i księży. Po przedstawieniu jasełek starsza młodzież, głównie służebna, była organizatorem tzw. *szczepóński zabawy* czyli krótko Szczepóna, tj. potańcówki, na którą przychodzili gospodarze. Częstowano się na niej wędzonką, gorącą domową kiełbasą, wódką i piwem, a dziewczyny nierzadko obdarzano też pomarańczami. Był to bowiem dzień wypłacania zarobków za cały rok, wypowiadania służby i angażowania do niej. Szczepón więc był również swego rodzaju „burzą pracy", ale też pożegnaniem się z tymi służącymi - *dziywkami i pachołkami* - parobkami, którzy odchodzili ze wsi na zawsze, opuszczając swoich gazdów - *siedloków, zagrodników i chałupników*. Z tą potańcówką związanych jest u nas kilka powiedzeń, jak:

Na świętego Szczepóna
dlo chasy ni ma póna.
Lub: *Na święty Szczepón*
każdy sługa sobiepón.

Na tę zabawę taneczną, czyli Szczepóna, muzykantów angażowali przeważnie parobcy jako najlepiej płatni służący, ale często podczas niej każdy mógł zamówić dla siebie „kawałek", od ręki płacąc na miejscu muzykantom. Lecz bywało i tak, jak np. w tej przyśpiewce:

Szóstke dała, aby tańcowała.
Szóstke wziyni, óna stoji w siyni.

W tej zabawie gospodynie - mężatki raczej nigdy udziału nie brały, a angażowanie dziewcząt, które chciały mieć u siebie za służące, odbywało się zwykle w domu ich rodziców. Bywało i tak, że matka, chcąc oddać swą córkę do służby, przychodziła z prośbą do gospodyni. Sieroty zaś przychodziły ze swoją opiekunką - niekoniecznie nią była najbliższa krewna. Niektóre służące całymi latami służyły w jednym gospodarstwie, a wtedy, gdy wychodziły za mąż, gospodarze wyprawiali im wesele oraz dawali *wybawe* - wyprawę.

ZATRZYMAĆ SIĘ W ŚRODKU POLSKI

PRZYSTANKI IX ŚWIATOWEGO FORUM MEDIÓW POLONIJNYCH

Już dziewięć razy zapraszał Tarnów do siebie dziennikarzy polonijnych ze wszystkich zakątków świata, by pokazać im Polskę taką, jaką powinni promować następnie w swoich krajach. W Tarnowie wymyślono Forum, toteż tutaj corocznie się rozpoczyna i nigdy nie zabraknie w programie czasu na zwiedzenie jakiegoś jego zakątka. Bo **Tarnów**, leżący na wschód od Krakowa na szlaku do Lwowa, dziś 120-tysięczny, którego nazwa pochodzi od krzaku tarniny, istnieje jako miasto od 1333 roku, toteż bogata jest jego historia i liczne są zabytki, które warto poznać: bazylika katedralna z XIV wieku, rynek z kamienicami z XV i XVI wieku i ratuszem, ruiny zamku Tarnowskich na Górze św. Marcina, pałac Sanguszków, Dom Mikołajowski z najstarszym w Polsce Muzeum Diecezjalnym (z 1888 r.), podmiejski dworek z Muzeum Etnograficznym ze stałą ekspozycją o historii i kulturze Romów, resztki pamiątek dawnej świetności żydowskiej. Ciekawe są też wyżynne okolice Tarnowa, pierwsza rzecz, na którą zwraca uwagę przybysz, to mnogość nowych domów, widocznie wielu mieszkańcom nieźle się powodzi.

Dziennikarski szlak wiódł w tym roku z Tarnowa do Łodzi z krótkim przystankiem w Kielcach. **Kielce**, stolica województwa świętokrzyskiego, leżąca u podnóża Gór Świętokrzyskich, krainy czystym powietrzem i zdrowym mlekiem słynącej, gdzie podobno świetnie się wypoczywa, zapisana jako miasto już w dokumencie z 1212 roku, szczyci się Wzgórzem Zamkowym z zabytkowym kompleksem sakralno-pałacowym, którego wyróżniającą częścią jest zbudowany koło 1640 roku Pałac Biskupów Krakowskich, dziś siedziba Muzeum Narodowego ze wspaniałymi wnętrzami i bogatymi zbiorami malarstwa i sztuki użytkowej. W Centrum Targowym całą wiosnę i jesień trwają wystawy, uczestnicy Forum trafili na IX Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego. Zaś w Kieleckim Centrum Kultury przedstawił się z porywającym spektaklem „Dla Ciebie Panie" Kielecki Teatr Tańca, modern-jazzowy zespół baletowy. Ta krótka prezentacja ziemi kieleckiej była zaproszeniem dziennikarzy na rok przyszły.

Na północ od Gór Świętokrzyskich rozpoczyna się Polska płaska, bez wyższych wzniesień, toteż turystów przyciągać musi atrakcjami innymi niż pasma górskie. Przykładem takiego regionu równinnego jest **województwo łódzkie**. Położone w sercu Polski, gdzie krzyżują się ważne szlaki komunikacyjne, i niedaleko Warszawy za swoje atuty uważa także różnorodność krajobrazu, lasy, sztuczne jeziora w dolinach rzek Pilicy i Warty z licznymi ośrodkami turystycznymi, zabytkowe budowle, bogatą historię i folklor.

Łódź - prawie milionowe miasto, którego historia sięga XII wieku, znane jest przede wszystkim z rozwijającego się od 1820 roku przemysłu włókienniczego. To „Ziemia Obiecana", którą rozsławił Reymont w powieści, a spopularyzował Wajda w filmie. Kiedyś tygiel narodów - Polacy, Niemcy, Żydzi, Rosjanie i inni (Czesi ciągle mieszkają w niedalekim Zelowie), i kultur do dziś zachowała pałace (rezydencje fabrykantów, np. Pałac Poznańskiego, gdzie teraz mieści się Muzeum Historii Miasta Łodzi), budowle sakralne, dawne fabryki (w jednej z nich znalazło siedzibę Centralne Muzeum Włókiennictwa), domy i całe dzielnice robotnicze (np. Księży Młyn - dzielnica, na którą składają się fabryka, rezydencja, osiedle domów robotniczych, remiza strażacka) z końca XIX wieku, czasu największego rozkwitu, które uznane zostały już za zabytkowe i stanowią przykład zabytków przemysłu. Przez środek miasta ciągnie się na przestrzeni ponad czterech kilometrów ulica Piotrkowska, chluba miasta i jego mieszkańców, a na niej puby, kluby, kawiarenki, luksusowe sklepy, część ulicy to deptak, gdzie możliwa jest przejażdżka rikszą, Piotrkowska to też Ławeczka Tuwima, Fortepian Rubinsteina, Kufer Reymonta - pomniki Galerii Wielkich Łodzian dla uczczenia pamięci sławnych rodaków, to wreszcie Aleja Gwiazd z nazwiskami aktorów na płytach chodnika, przypominająca, że Łódź to też szkoła filmowa.

A co zobaczyli dziennikarze polonijni wokół Łodzi? Już w roku ubiegłym podczas dorocznych dożynek obejrzeli leżące nad Pilicą **Spałę**, znany ośrodek wczasowy, i **Tomaszów Mazowiecki**, gdzie obecnie po raz drugi gościli w zakładzie Ceramiki Paradyż, polskiego producenta wysokiej jakości płytek ceramicznych, głównego sponsora Forum, który po roku mógł pochwalić się nową halą produkcyjną, jej budowę rozpoczęto we wrześniu 2000 roku, a pierwsze płytki miały zostać wyprodukowane 15 września br.

Rogów to Arboretum, założone w roku 1923, posiadające ponad 2000 gatunków i odmian roślin, głównie drzew ze strefy umiarkowanej ze wszystkich części świata, szczególnie bogata jest kolekcja klonów, drzew iglastych i różaneczników. To też Alpinarium z wieloma roślinami skalnymi w otoczeniu stawów, kaskad i wodotrysków. Oczywiście tak Arboretum jak i Alpinarium o każdej porze roku wygląda inaczej.

Rzadkie okazy drzew rosną też w parku wokół pałacu w Nieborowie, skąd lipowa aleja długości 7 kilometrów prowadzi do Arkadii, sentymentalno-romantycznego parku Heleny Radziwiłł. **Nieborów** przez długie lata należał do Radziwiłłów, którzy zgromadzili tam kolekcję obrazów, rzeźb, porcelany, sreber, stworzyli też bibliotekę liczącą ponad 6000 druków. Dziś to Muzeum Narodowe.

Między Rogowem i Nieborowem, na szlaku dawnej kolei wiedeńsko-warszawskiej leżą **Lipce Reymontowskie**. Założone w 1338 roku Lipce rozsławił kilkaset lat później Władysław Stanisław Reymont, umiejscawiając tam akcję swoich „Chłopów". Uczestników Forum Mediów Polonijnych powitały,

jakże by inaczej, „Weselem Boryny" w wykonaniu miejscowego Amatorskiego Zespołu Regionalnego im. Władysława St. Reymonta.

Nad rzeką Bzurą leży trzydziestotysięczne miasto powiatowe **Łowicz**, siedziba biskupstwa łowickiego. Któż nie zna łowickich pasiaków? Podziwiać można je, obok haftu, wycinanki, mebli i rzeźb, w dziale etnograficznym muzeum w gmachu pomisjonarskim na Starym Rynku. W muzeum jest też kaplica św. Karola Boromeusza z ekspozycją dzieł baroku i oczywiście dział historyczny. Nad miastem wznoszą się wieże bazyliki katedralnej, która w podziemiach ukrywa mauzoleum dwunastu prymasów Polski.

W odległości 7 km na zachód od Łowicza znajduje się skansen w **Maurzycach**, prezentujący na 17 hektarach charakterystyczną zabudowę wsi łowickiej od XVIII wieku, tzw. owalnicę o układzie rozproszonym i późniejszą tzw. ulicówkę. Na zamówienia grupowe przedstawiane jest tam widowisko „Wesele łowickie" i organizowany poczęstunek z kuchni regionalnej. Tuż obok na rzece Słudwi - zabytek klasy zerowej - pierwszy w Europie most drogowy spawany z roku 1929.

Piękno łowickiej kultury ludowej podziwiać można, jadąc z Łowicza na wchód do wsi **Sromów**. Znajduje się tam prywatne Muzeum Ludowe Rodziny Brzozowskich. Julian Brzozowski i jego najbliżsi rzeźbią w drewnie, ale także pochwalić się mogą np. wycinankami, a efektem pasji zbieraczej jest znajdująca się w jednym z pawilonów ich muzeum największa w Polsce kolekcja wozów chłopskich. Brzozowscy żyją z pracy na roli, rzędy niskopiennych jabłonek dają co roku wielkie, smaczne jabłka. Umieszczona w kilku budynkach ekspozycja ponad czterystu w dużej części ruchomych rzeźb, układających się w sceny Bożego Narodzenia, procesji Bożego Ciała, wesela łowickiego i innych, niespotykana nigdzie indziej, warta jest szerszej reklamy.

Szlak dziennikarzy polonijnych prowadził także przez **Skierniewice**, gdzie odbywało się właśnie coroczne Święto Kwiatów, Owoców i Warzyw. Jak smakuje kuchnia wojskowa, przekonano się w Nowym Glinniku po obejrzeniu pokazów sprawnościowych żołnierzy 25. Mazowieckiej Brygady Kawalerii Powietrznej im. księcia Józefa Poniatowskiego.

Forum zakończono jak zwykle w **Warszawie**, mieście zrodzonym po drugiej wojnie światowej od nowa jak Feniks z popiołów, a w tej chwili rozrastające się w nowoczesną europejską metropolię.

Być może Szanowni Czytelnicy Zwrotu wezmą ten numer do ręki podczas świątecznych dni grudniowych, kiedy jest czas na rozmowy z najbliższymi, i być może będą snuli pierwsze plany urlopowe. Proszę wtedy uwzględnić w tych planach Polskę! Naprawdę warto!

CZESŁAWA RUDNIK

Fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



ZA GRANICĘ Z EURO

Po pierwszym stycznia 2002 roku w dwunastu państwach Unii Europejskiej przestaną obowiązywać krajowe waluty. Belgia, Niemcy, Grecja, Hiszpania, Francja, Irlandia, Włochy, Luksemburg, Holandia, Austria, Portugalia, Finlandia na podstawie Traktatu w Maastricht zobowiązały się zastąpić swoje waluty narodowe jedną wspólną - euro. W ten sposób znikną: marka niemiecka i fińska, drachma grecka, peseta hiszpańska, frank francuski, belgijski i luksemburski, funt irlandzki, lir włoski, gulden holenderski, szyling austriacki i eskudo portugalskie. Do unii walutowej nie przystąpiły Dania, Szwecja i Wielka Brytania i waluty tych krajów będą nadal w obiegu.

Z dwunastu krajów Unii Europejskiej, w których od nowego roku obowiązującą walutą będzie euro, tylko Niemcy nie wprowadzą okresu podwójnego obiegu, kiedy będzie można płacić i dotychczasową walutą danego kraju, i euro. Markami będzie można handlować tylko do 31 grudnia 2001 roku. W innych krajach na początku przyszłego roku będą jeszcze podwójne środki płatnicze, w Holandii do 28 stycznia, w Irlandii do 9 lutego, we Francji do 17 lutego, w pozostałych ośmiu krajach do 28 lutego. Okres podwójnego obiegu pomoże płynnie wprowadzić do obiegu nowe pieniądze. Sumy zgromadzone na kontach walutowych zostaną 1 stycznia automatycznie przeliczone na euro. Kursy przeliczeniowe poszczególnych walut są stałe i wynoszą przykładowo za 1 euro 13,7603 szylingów autriackich, 1,95583 marek niemieckich czy 6,55957 franków francuskich. Jedno euro to sto eurocentów. W obiegu będzie osiem monet: 1, 2, 5, 10, 20 i 50 eurocentów oraz 1 i 2 euro. Banknotów będzie siedem: 5, 10, 20, 50, 100, 200 i 500 euro. Banknoty będą we wszystkich krajach jednakowe. Monety zaś jednakowy będą miały awers, natomiast różnić będą się narodowymi rewersami.

KARIERA SUPERMARKETÓW

Hiper- i supermarketów namnożyło się u nas w ciągu ostatnich kilku lat bez liku. Dla nas to nowość, która dotarła tu z Zachodu po zmianie klimatu politycznego. Wcześniej mieliśmy domy towarowe, które nie miały charakteru samoobsługowych gigantów. Dzieje supermarketów liczą już jednak ponad 150 lat.

Pierwszy dom towarowy otwarto w roku 1848 na Brodwayu w Nowym Jorku. Wymyślił go irlandzki emigrant Alexander Turney Steward, nauczyciel z zawodu. Bardzo dobry okazał się pomysł sklepu, w którym klient wie-

le różnorodnych towarów mógł kupić pod jednym dachem. Były tu jednak jeszcze lady, a towar podawał sprzedawca.

Drugim krokiem było otwarcie sklepów samoobsługowych. Pierwsze sklepy spożywcze, w których klient sam wybierał towar, powstały w roku 1912 w Kalifornii. W domach towarowych zaczęto wprowadzać samoobsługowy dział spożywczy. Początkowo płacono jeszcze za towar dopiero przy kasie znajdującej się koło wejścia, za tradycyjnym kontuarem. Wkrótce pojawiło się wejście obrotowe.

Pierwszymi kasami były zapisujące wszystkie operacje handlowe kasy, oparte na wynalazku Jamesa J. Ritty z Dayton w Ohio z roku 1879, który skonstruował je po obserwacji urządzenia zapisującego na statku liczbę obrotów śruby okrętowej.

W roku 1930 powstał w Nowym Jorku King Kullen o powierzchni kilku tysięcy metrów kwadratowych. Otwarty w trzy lata później gigant firmy Albers Super Markets Inc. użył po raz pierwszy w swej nazwie słowa supermarket.

W roku 1937 w Humpty Dumpty w Oklahomie pojawił się koszyk na kółkach z wózka dziecięcego. Był to pierwszy, skonstruowany przez kierownika sklepu Sylwana Goldmana, wózek sklepowy. Później wymyślono spinający wózki łańcuch, który można rozpiąć po włożeniu monety.

Jednym z najnowszych wynalazków jest kod kreskowy, ułatwiający m.in. pracę kasjerek. Po raz pierwszy użyty został w domu towarowym Marsh w Ohio, a znalazł się na gumie do żucia Wrigley's, której cenę zapisano w kasie 26 czerwca 1974 roku o godzinie 8.01.

POMNIK JULIUSZA SŁOWACKIEGO W WARSZAWIE

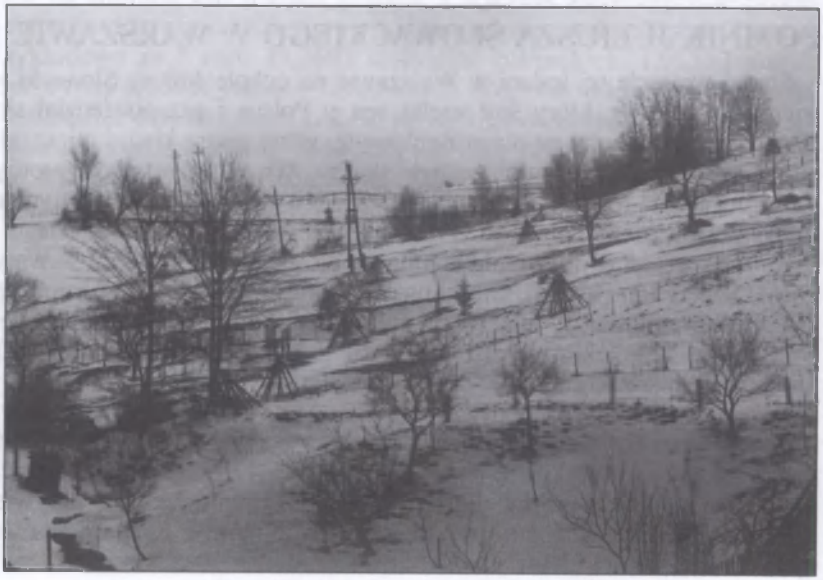
Stanął wreszcie tej jesieni w Warszawie na cokole Juliusz Słowacki, polski wieszcz narodowy, który śnił wielki sen o Polsce i przepowiedział słowiańskiego papieża. Stanął na placu Bankowym, gdzie pisarz kiedyś mieszkał i pracował jako urzędnik w ministerstwie skarbu. Wśród uczestników uroczystego odsłonięcia była również delegacja karwińskich gimnazjalistów, kontynuatorów tradycji orłowskiego Polskiego Gimnazjum Realnego im. J. Słowackiego.

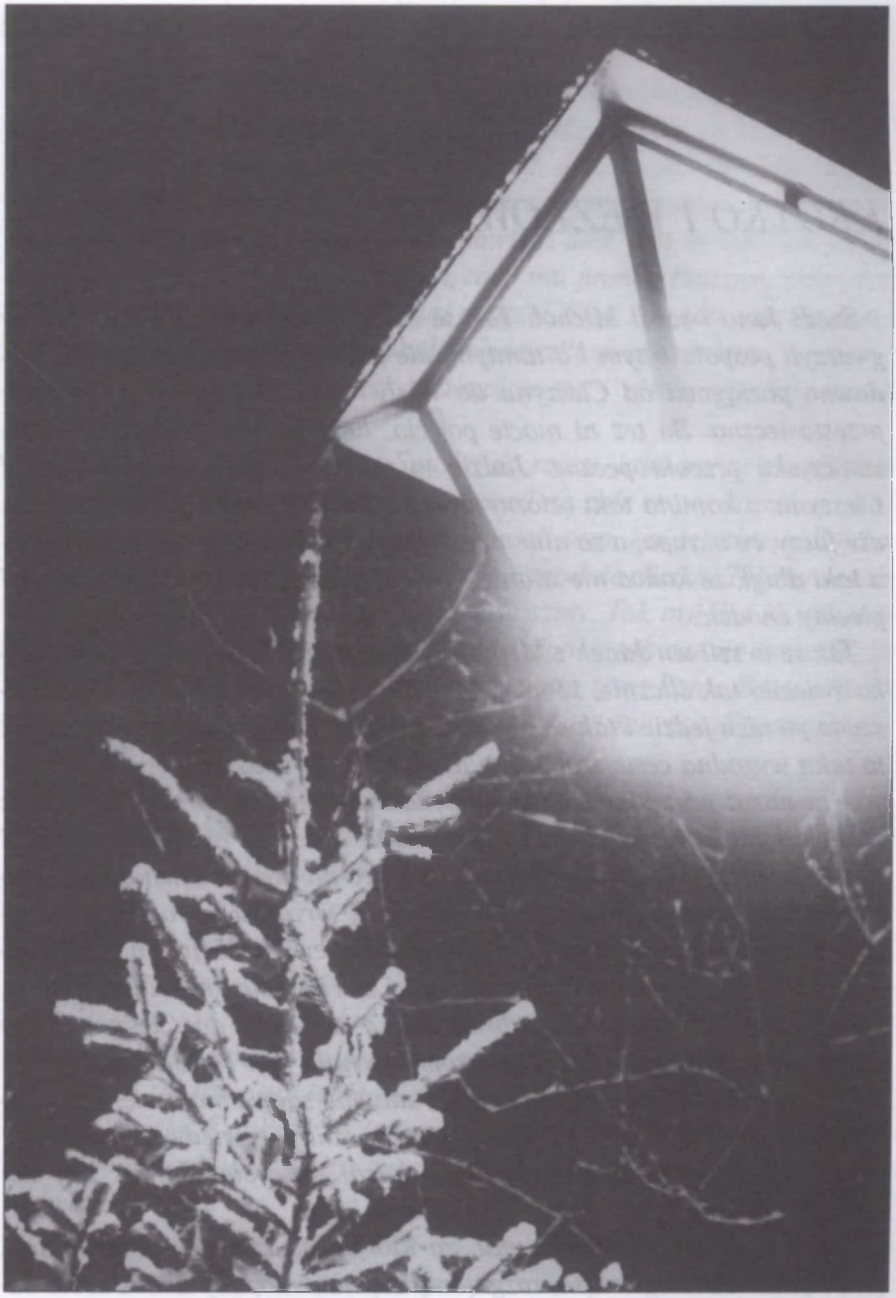
Kamień węgielny pod pomnik Juliusza Słowackiego poświęcił w Watykanie Ojciec Święty Jan Paweł II. Granit na cokół ofiarowały władze Ukrainy. Pomnik ze spiżu i granitu, który miał pierwotnie stanąć na tle fasady Teatru Wielkiego we Lwowie, zaprojektował jeszcze w roku 1932 prof. Edward Wittig. Gipsowy model pomnika zachowano w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Pomnik Juliusza Słowackiego stoi także - od roku 1899 - w parku w Miłosławiu. Jest to rzeźba Władysława Marcinkowskiego ufundowana przez hrabiego Józefa Kościelskiego. Natomiast w roku 1909, w setną rocznicę urodzin pisarza, jego pomnik dłuta Wacława Szymanowskiego, przywieziony z Paryża, odsłonięty został w kościele parafialnym w Krzemieńcu, rodzinnym mieście autora „Kordiana".

KAZIMIERZ BRANNY







KRÓTKO I WĘZŁOWATO

Szedł Jano i szedł Michoł. Tak se szli, fajeczki sobie pykali i tak se gwarzyli pospołu o tym i o tamtym, ale najwięcej o tej koleji, co to niedawno pociągnęli od Cieszyna do Wisły - jako też to z tego wygoda przestasieczno. Bo też ni mocie pojęcia, ludeczkowie złociści, co to za smoczysko przeokropeczne. Jadzie to taki srogi piec po szynach od Cieszyna, z komina taki cziorny dym się fachluje, ani z piekła, a fuczy, aże fuczy, co okropa, a za nim to telkownych wagonów celuchny łańcuch, a taki długi, że końca nie widno, i wszecko to dlo ludzi, aby nie musieli piechty chodzić.

Tak se to szli ten Janek z Michałem i tak se gwarzyli pospołu. Słoneczko świeciło tak ślicznie, że ach... A szli oni po tych torach, co to ta maszyna po nich jedzie i tak se stąpali z belki na belke i radowali sie, że też to taką wygodną ceste zrobili i to dlo ludzi i dlo maszyny.

A tu naroz od zadku nadjechała maszyna po tych torach, kaj Janek z Michałem spacerowali i jak nie gwizdnie zaroz za nimi z nagła, to ci sie też to przelękli. Jónek zdążył odskoczyć na bok, a Michała już maszyna najechała i zabiła na fleku. Jónek wrzasku narobił, że nieszczęście, i wołał za maszyną, a ta ani sie psiokrew nie obejrzała, jeno uciekała co sił ku Głębcom. Zaroz też ludzi zleciała się gromada i policja, i kiego jeno czechmana i zebrali Jonka do sądu do Cieszyna jako świadka przeciwko maszynie, któro przejechała jego sąsiada.

W Cieszynie zebrał się wysoki sąd i zaczyno sądzić maszynę, która była winna śmierci Michała. Ludzi zgromadziło się wtedy co niemiara. Wysoki Sąd zasiednął za trybunał i kazał przywołać Janka, aby ten wszystko dokumentnie opowiedział, jak to było.

Janek wystąpił przed trybunał, za którym siedział ten Wysoki Sąd, podkręcił wiechatego wąsa, rozglądnął się naokoło, aby dodać sobie od-

wagi, potem se odchrząknął i tak zaczął prawić: - Wysoki Sądzie. Tóż to było tak. To była niedziela, po obiedzie, słonko tak prześlicznie świyciło, że ach, a słowiki tak świyrgotały a świyrgotały, przecudnie przeca. Prawie żech też zjod łobiod, co mi staro przyszikowała, sięgom do kapsy po fajkem, żeby se po fajnym łobiedzie zakurzić, a tu klupie gdosi do dźwiyrzi. - Świadek, proszę się skracać - zaczął się niecierpliwić sędzia. - Czekejcie, Wysoki Sądzie, aż wóm opowiym dali, jaki to było - ciągnął se spokojnie gorol. Tóż jak zaklupoł, toch mu prawił: Proszim. Dźwiyrze sie otwiyrajóm, a tu sómsiod Michoł przyszeł. Siod se wedle mie na ławie i tak my se siedzieli i z fajek pykali, a gwarzili se tak społem.

- Do rzeczy mówcie świadek, skracajcie się - niecierpliwił się coraz więcej sędzia.

- Do rzeczi prawim, Wysoki Sądzie, do rzeczi, jako my se to siedzieli dóma. Potem prawi sómsiod, aby my poszli na pole se pogwarzić, na słóneczko i kapke pośpacyrować. Tóżmy poszli tam, kaj te sziny idóm, bo prawił Michoł, że po tym sie okropecznie wygodnie chodzi. Tóż my se tak śli w postrzodku, a kole nas po bokach te sziny. Tak my śli i śli, tak my se pospołu gwarzili i fajki my se pykali, a słonko tak cudnie świyciło, że uciecha. Tak szieł sómsiod kole mie - dej mu tam, Panie Boże, radość wiecznóm - i szeł jo, Jan, i tak my se śli oba, i tak my se gwarzili pospołu, i tak było pieknie.

Tu sędzia już nie wytrzymał, trzasnął pięścią w stół i wrzasnął: - Do stumilionskiego diabła, mówcie wreszcie chłopie do rzeczy albo przerwiemy sąd i basta. Gadajcie krótko i węzłowato!

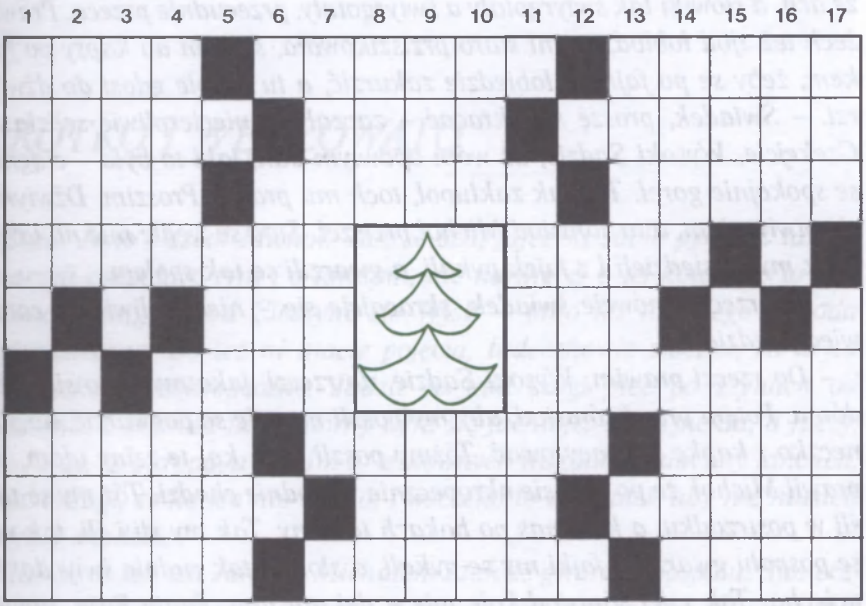
- Ach tak, tóż to wy chcecie krótko i węzłowato - dziwił się skromnie górol - to było trzeja tak od razu godać - po czym rozglądnął się po sali, chrząknął głośno i prawi:

- Tóż jak tak, to tak. Jak uż tak chcóm, to bedym rządził krótko i węzłowato. Ale jako by to psiakrew zacząć.

Podrapał się Jan z zakłopotaniem po głowie i w końcu powiada: - Tóż Wysoki Sądzie. Krótko i węzłowato to by było tak - tu szina, tu szina, szieł chłop po szinach, jadzie maszina, fuk maszina, chłopa ni ma. I to by było wszecko.

KAROL KAJZER

KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA

Wigilia jest dniem szczególnym, zwłaszcza w polskich rodzinach, które nie zapominają o obrzędach i zwyczajach naszych przodków. Do najbardziej podniosłych chwil w czasie Wigilii należy tradycyjny gest pojednania i miłości, czyli... (patrz rozwiązanie dodatkowe krzyżówki).

POZIOMO: A. Gęsta mgła z dymu i spalin; grzyb jadalny; władza cara. **B.** Ścięcie głowy; wezwanie, odezwa; awantura, kłótnia. **C.** Grupa ludów afrykańskich; pisarz szkocko-angielski; najdłuższe pióra w skrzydłach ptaków. **D.** Zaliczka; uwodniony siarczan glinowo-potasowy. **E.** Tytuł powieści Witkiewicza; trzonowy lub mądrości. **F.** Eksponat; miejscowość w Iraku. **G.** Drużyna; stolica Turcji; samochód. **H.** Naczynie stołowe; jezioro w Kanadzie i USA; żołnierz lekkiej jazdy. **I.** Indianin; czwarty ton skali muzycznej; pisarz i uczony z Egiptu (Husajn, 1889-1973).

PIONOWO: 1. Wada, usterka; litera alfabetu greckiego. **2.** Cierpienie fizyczne lub moralne; daszek nad paleniskiem. **3.** Załoga łodzi wioślarskiej; miejscowość w Zairze. **4.** Imię Lollobrigidy; organizacja eksporterów ropy naftowej. **5.** Obsługuje obrabiarkę. **6.** Wartość. **7.** Osłania przed słońcem wystawy sklepowe. **8.** Wulkan na wyspie Mindanao; „nowy" po angielsku. **9.** Rzeka, pierwiastek lub zwierzę; rozbija się o izbice. **10.** Rzymskimi cyframi 551; wyżyna w Nigrze. **11.** Ośrodek kultu religijnego chrześcijan w Izraelu. **12.** Porośnięta jest trawą. **13.** Zaszczyt. **14.** Francuski socjolog i filozof (Raymond, 1905-1983); przyjęcie zwykle wieczorne. **15.** Rysunek wgłębny; pisarz ludowy (Wojciech, 1908-1941). **16.** Miasto na Węgrzech; jeden ze stanów w USA. **17.** Grupa ludów azjatyckich; gromada psów myśliwskich.

Wyrazy trudne: AIR, AKAN, ARON, ILA, TAHA, TAI.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: A-10, D-1, E-7, H-4, C-13, D-6, G-8, B-4, H-11, A-1, G-3, B-2, G-17, I-2, D-12, I-9, A-17, F-5, H-10, B-9, A-7.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną rozlosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca grudnia.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru październikowego: IRONIA JEST POTWIERDZENIEM PUSTKI.

Nagrody książkowe wylosowali: Zdzisław Fierla - Karwina Mizerów
Emilia Nieborasowa - Trzyniec 6
Wanda Kalinowa - Sucha Górna

SPIS TREŚCI

ROCZNIK LII - NR 1-12 (614-625)

ARTYKUŁY OGÓLNE

A.F.: XXV Bieg Piastów, nr 5, ss. 72-73.

Borzyszkowski Józef: Kaszubi a Niemcy i Polacy - szczególnie w ostatnim stuleciu, nr 5, ss. 58-63.

C.R.: Młodzież i alkohol, nr 1, ss. 19-20, Nie bójmy się dwujęzycznego wychowania, nr 9, ss. 66-67, XIX Zjazd PZKO, nr 12, ss. 3-5.

E.S.: Przed Zjazdem Polonii i Polaków z Zagranicy, nr 3, s. 12.

F.B.: Nasza okładka, czyli kapela Olza, która gra i śpiewa już 25 lat, nr 6, ss. 49-52.

Folwarczny Gustaw: Wędrynianin Józef Szücs, nr 6, ss. 26-29.

Guziur Janusz: Karp i inne ryby w tradycji świątecznej, nr 12, ss. 21-25.

Jachnicki Józef: Działalność kulturalna jabłonkowian na przestrzeni lat, nr 11, ss. 60-63.

Kurier praski o Zaolziu, nr 9, s. 72.

Lasota Kornelia: Rola Towarzystwa Nauczycieli Polskich w działalności szkół na terenie Zaolzia, nr 2, ss. 8-11.

Milczewska Urszula: Sytuacja polskich emerytów i rencistów zamieszkałych za granicą, nr 8, ss. 16-21, nr 9, ss. 13-18.

Opioł Aleksandra: Jubileusz Polskiej Szkoły Podstawowej w Karwinie Nowym Mieście, nr 5, ss. 29-32.

Posłanie do młodych pokoleń Polaków w kraju i na wychodźstwie, nr 7, s. 22.

Redakcja: Drodzy Czytelnicy, nr 1, s. 1, Alojzja Franek, nr 6, s. 1.

Rezolucja XVII Zjazdu Federacji Światowej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów (Londyn 22-25 kwietnia 2001), nr 7, s. 21.

Rudnik Czesława: Spis ludności. Przyszłość naszej mniejszości zależy od nas samych, nr 2, ss. 3-6, Konkretne sprawy dotyczące życia społecznego nie mogą mi być obojętne. Rozmowa z senatorem Andrzejem Febrem, nr 5, ss. 3-11, Matura 2004, nr 5, ss. 50-54, Udany VII Festiwal Piosenki Dziecięcej, nr 6, ss. 30-34, Pasje Leszka Kaliny, nr 9, ss. 3-12, Jubileusz karwińskiej Średniej Szkoły Zdrowotnej, nr 10, ss. 63-65, Zatrzymać się w środku Polski, nr 12, ss. 62-64.

Rusek Tomasz: Cieszyn - Czeski Cieszyn, jedno miasto, nr 8, ss. 73-75.

Siwek Tadeusz: Nad wynikami spisu ludności, nr 12, ss. 8-12.

Stopa Zygmunt: Na progu nowego roku w nowym wieku i nowym tysiącleciu, nr 1, ss. 3-6, XIX Zjazd PZKO. Zjazd na styku stuleci, nr 11, ss. 3-11.

Stróżczyk Elżbieta: Patriota, nr 2, s. 1, Pochwała Kresów, nr 2, ss. 66-67, Świadectwo, nr 3, s. 1, Polonia i Polacy u progu nowego tysiąclecia, nr 6, ss. 3-9.

Uchwały II Zjazdu Polonii i Polaków z Zagranicy (1 maja 2001), nr 7, ss. 18-20.

Uchwały XIX Zjazdu PZKO, nr 12, ss. 6-7.

Uczniowie ID karwińskiego gimnazjum: Odwiedziny Pana Profesora, nr 7, s. 10.

HISTORIA, WSPOMNIENIA

Biernat Adam: Stosunki polsko-cze-

chosłowackie na przełomie wojny i pokoju (styczeń 1945 - styczeń 1946), cz. 1, nr 12, ss. 14-20.

Buława Bronisław: Jeden z nich, nr 2, ss. 18-19, Z pieśnią przez życie, nr 3, ss. 24-26.

Buława Edward: O polsko-czechosłowackich starciach z lat 1935, 1938 na styku cieszyńskim, nr 1, ss. 8-12, nr 2, ss. 13-17.

Danel Robert: Sędziwa i zasłużona, nr 4, ss. 18-21.

Do polskiej szkoły w nowych portkach, nr 2, s. 59.

Folwarczny Gustaw: Z pamiętnika Andzi Folwarcznej, nr 3, ss. 31-33.

Gajdzica Stanisław: Z Nydku rodem. Paweł Gajdzica (1895-1964), nr 1, ss. 13-16.

Górniak Józef: Wspomnienie o Wicie - Władysławie Michejdzie, nr 9, ss. 20-28, nr 10, ss. 29-33, nr 11, ss. 17-21.

Klenovský Jaroslav: Żydowskie zabytki na terenie Czeskiego Cieszyna, nr 8, ss. 69-71.

Korzenny Jan: Z góralskiej izby po najwyższe odznaczenia, nr 3, ss. 20-23, Gorzki uśmiech Michała Bałuckiego, nr 11, ss. 26-32.

Kula Józef: Pamięci Józefa Burka, nr 1, ss. 17-18, Tragiczne losy trzech łęckich świetlic, nr 4, ss. 22-24.

Molenda Bronisław: Wspomnienie o księdzu Karolu Kołtuniu, nr 9, ss. 29-32.

Nowak Krzysztof: Zaolziańskie baśnie i waśnie. Józef Kożdoń, nr 8, ss. 10-14.

Pamiętnik Józefa Kożdonia, nr 5, ss. 26-28, nr 6, ss. 22-25.

Pánek Jaroslav: Czesi i Polacy w tysiącletniej historii, nr 7, ss. 3-9, nr 8, ss. 3-9.

Rudnik Czesława: Gdzie jesteś, Karwino?, nr 8, ss. 31-35.

Wójcik Rudolf: II Zjazd Polaków z Zagranicy, nr 3, ss. 13-19, nr 4, ss. 12-17, nr 5, ss. 18-24, nr 6, ss. 16-20, nr 7, ss. 11-17.

Zahradnik Stanisław: Zaolzie w XX wieku. Próba podsumowania przemian społeczno-narodowych, nr 3, ss. 3-10, Złudne nadzieje lat 1968-1970, nr 4, ss. 4-11, nr 5, ss. 12-18, nr 6, ss. 10-15, W osiemdziesiątą rocznicę śmierci ks. Franciszka Michejdy, nr 11, ss. 12-16.

POLACY POZA KRAJEM

C.R.: Paryski Instytut Literacki - symbol wolnej Polski, nr 3, s. 61.

E.S.: Biblioteka w służbie emigracji, nr 2, s. 22.

Nowak Krzysztof: Dni polskie w Suczawie, nr 2, ss. 19-21.

KRONIKA

A.O.: Uroczystości Morcinkowskie, nr 11, ss. 35-36.

A.P.: XXXII Dożynki Śląskie w Błędowicach, nr 10, ss. 40-42.

A.S.: Olza, Nowina i solistka Urszula Niedoba-Szczepaniak gośćmi Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, nr 5, ss. 43-44.

A.W.: Miejscowe Koło PZKO w Dąbrowie, nr 6, s. 47.

C.R.: Gościli na kiermaszach książki, nr 1, ss. 38-39, Hity Café Avion w bibliotece, nr 1, ss. 40-41, Obradowali miłośnicy książki polskiej, nr 1, ss. 41-42, Wigilijka nauczycieli emerytów, nr 1, ss. 46-47, Życie i twórczość Władysława Reymonta. Wystawa w bibliotece frysztackiej, nr 2, ss. 38-39, Konwent Prezesów, nr 2, ss. 44-45, VI Regionalne Targi Firm Symulacyjnych w czeskocieszyńskiej Akademii Handlowej, nr 3, ss. 34-37, Wycieczki Sekcji Turystycznej MK PZKO w Sibicy, nr 4, ss. 32-33, Zebranie Rady Kultury ZG PZKO, nr 4, s. 34, Wystawa frysztackiego Zespołu Kobiet, nr 5, ss. 35-37, Konwent Prezesów, nr 5, ss. 46-47, Polski Związ-

zek Kulturalno-Oświatowy uhonorowany nagrodą Wojciecha Korfantego, nr 6, ss. 36, Mistrz krzyżówek Przekroju 2001, nr 6, s. 37, Lekcja historii z profesorem Pánkiem, nr 6, s. 38, Rowerem do źródeł Olzy, nr 7, ss. 34-35, Maj nad Olzą, nr 7, ss. 40-43, Frysztacki Klub Propozycji z aktorami Sceny Polskiej, nr 7, s. 46, 54. Gorolski Święto w Jabłonkowie, nr 9, ss. 38-39, Poezja ludowa w Kawiarence Pod Pegazem, nr 9, ss. 46-47, IX Światowe Forum Mediów Polonijnych Tarnów - Łódź - Warszawa, nr 11, ss. 34-35, Polska książka na Śląsku Cieszyńskim, nr 11, s. 44, Seminarium o książce, nr 12, s. 39, Nowy kościół św. Barbary w Łąkach nad Olzą, nr 12, s. 42, Kto lata nad Śląskiem, nr 12, ss. 39-41.

D.G.: Wszystko z ziemniaka, nr 1, s. 36, Wigilijka z folklorem, nr 2, ss. 36-37, Sportowe zmagania, nr 12, s. 35.

E.S.: Koncert Świąteczny w Trzyńcu, nr 2, ss. 33-34, Srebrne Spinki, nr 3, s. 44, Walne zebranie PTA Ars Musica, nr 5, ss. 38-39, 10 lat Towarzystwa Nauczycieli Polskich, nr 5, ss. 39-40, „Dzikie Łabędzie" w Bukowcu, nr 5, ss. 40-41, Święto kombatantów, nr 5, s. 45, „A jak siedniesz między wrony..." w Milikowie, nr 6, ss. 35-36, „Lufciorze" Wilhelma Przeczka w Łomnej Dolnej, nr 6, s. 44, Przedstawienie w Nawsiu, nr 6, s. 45, Koncert wiosenny w Mostach, nr 7, ss. 36-37, Wystawa z okazji Dnia Matki, nr 7, ss. 38-39, Spotkanie z ambasadorem, nr 7, s. 40, Jubileuszowe przedstawienie w Karwinie Nowym Mieście, nr 7, ss. 43-45, Łączka w Kromierzyżu, nr 8, ss. 42-43, Pożegnanie ze szkołą, nr 8, s. 44, Festyn ogrodowy, nr 8, s. 47, Scena w Domu PZKO w Gródku, nr 11, s. 39, Izba Regionalna w Cisownicy, nr 11, ss. 40-42, Orłowianie i łazianie dawniej i dziś, nr 11, s. 43, Konferencja o mniejszościach narodowych, nr 11, s. 45, Tradycje i folklor w regionie, nr 11, s. 47, Święto Niepodległości w Konsulacie, nr 12, s. 38, Skarby z cieszyńskiej trówły, nr 12, s. 43.

F.B: Pięćdziesięciolecie chóru Godulan, nr 1, ss. 35-36, „Kwiat paproci" w Jabłonkowie, nr 1, ss. 42-43, Nowy ośrodek Towarzystwa Ewangelickiego, nr 1, ss. 44-45, Przedstawienie szkolne w Koszarzyskach, nr 1, ss. 45-46, Wystawa Władysława Kubienia, nr 1, ss. 47-48, Spotkanie z kolędą w MK PZKO Czeski Cieszyn Centrum, nr 2, s. 35, Bal Gorolski po raz dwudziesty trzeci, nr 2, ss. 39-41, Noworoczne kolędowanie w Nawsiu, nr 2, s. 42, Bal Śląski, nr 3, ss. 38-39, Zespół Bystrzyca w karnawale, nr 3, ss. 40-41, Spotkanie przewodniczących Klubów Kobiet, nr 3, s. 42, Internet i PZKO, nr 3, s. 43, Cielsat w Cierlicku, nr 4, s. 37, Zjazd Gwiaździsty 2001, nr 4, ss. 38-41, „Pieczyni chleba" i „Łuskani fazoli", nr 4, ss. 42-43, Wystawa Władysława Ćmiela, nr 4, ss. 48-49, Dzień Nauczyciela w Bystrzycy, nr 5, ss. 33-34, Prezentacje fotograficzne, nr 5, ss. 37-38, „Bajki pani Bajki", nr 6, ss. 39-40, Wystawa na Podlesiu, nr 6, s. 42, Wystawa na Kościelcu, nr 6, s. 43, „Męskie złudzenia" w Suchej Górnej, nr 6, s. 46, Międzynarodowy Festiwal Muzyki Chrześcijańskiej, nr 8, ss. 36-37, Przedstawienie szkolne PSP w Sibicy, nr 8, ss. 40-41, Zakończenie roku szkolnego w PSP w Gnojniku, nr 8, ss. 44-45, Uhonorowanie miss, nr 8, s. 46, Tradycyjne dożynki w Gutach po raz 34, nr 10, ss. 35-37, Festyn Górski w Koszarzyskach, nr 10, s. 38, Żwirkowisko na rok przed jubileuszem, nr 10, s. 39, Pierwszy konkurs Hadynowski i Śląsk w Bystrzycy, nr 11, ss. 37-38, Równica w Hawierzowie, nr 11, ss. 45-46, Wystawy Klubów Kobiet, nr 12, ss. 36-37.

J.K.: Świąteczne spotkanie, nr 2, s. 33.
j.k.: Klub Seniora w Wędryni, nr 4, ss. 34-36.
J.W.: Radosne kolędowanie, nr 2, s. 38, Pożegnanie lata z folklorem, nr 11, ss. 36-37.
Kajzer Karol: „Roztomili ludeczkowie...", nr 1, ss. 34-35.
Kluz Lidia: Bal Ostatkowy w Gródku, nr 4, s. 44.
mus: Za rok znów zagra, nr 4, s. 44-45.
Obóz szkolny w Domku PZKO w Ligotce Kameralnej, nr 9, ss. 36-37.
on: Czantoryjka dla Józefa Wierzgonia, nr 2, s. 36.
Pawlas Lidia: Plastycy bilansowali, nr 4, ss. 46-47.
r: Odznaczenia dla członków ChNP, nr 2, s. 36, Ilja Racek w ZG PZKO i Kongresie Polaków, nr 2, s. 43.
red: Talinki. IV Przegląd Teatrzyków Dziecięcych, nr 6, s. 40-41, Prof. Józef Borzyszkowski w Karwinie, nr 7, s. 47, Chóry Hutnik i Sonantes śpiewały w Trzyńcu, nr 8, s. 42, Dożynki MK PZKO w Orłowej-Lutyni, nr 10, s. 34.
s: Doktor Jan Kwaśniewski w Karwinie, nr 5, s. 42, Romantyczny fortepian Wandy Miech, nr 5, ss. 49.
Sekcja Kobiet ZG PZKO: Po Babskim Festynie, nr 10, ss. 43-45.
Szynder Dariusz: Wakacje z Połonusami, nr 9, ss. 34-35.
T.G.: Obchody MOKiP-u, nr 1, s. 40.
T.T.: Kongres Ruchu Politycznego Coexistentia-Wspólnota, nr 5, s. 42, Dokumenty o wyborach do przedstawicielstwa okręgu ostrawskiego, nr 5, s. 43, Aktywne Koło PZKO Piotrowice, nr 8, s. 39, Inicjatywy Ruchu Politycznego Coexistentia-Wspólnota, nr 8, ss. 39-40, Uroczysta msza prymicyjna w Marklowicach Dolnych, nr 10, s. 34.
Wałoszek Janina: Nic dwa razy się nie zdarza, nr 7, s. 30.
Wierzgoń Józef: Na ludowo i folkowo, nr 7, ss. 30-31, Suszanie w Toruniu, nr 8, ss. 38-39.
wj.: Spotkanie przy choince w Ambasadzie RP w Pradze, nr 2, s. 33.

POEZJA

Bałucki Michał: Dla chleba, nr 11, s. 1.
Kamieńska Anna: Matka i ja, nr 5, s. 56.
Kubaj Karol: Wielkanoc 2001, nr 4, s. 1, nr 11, ss. 48-49.
Malinowski Stanisław Józef: Psalm o bezgranicznym miejscu, nr 12, s. 46.
Martinek Libor: Trawa, nr 12, s. 47.
Mikulski Wiesław Janusz: Z cyklu „Samotność gwiazd", nr 9, ss. 48-49.
Morcinek Gustaw: Piernikowe serce, nr 8, s. 1.
Nyczaj Stanisław: Z dedykacją naszym czasom, nr 2, ss. 52-53.
Przeczek Lech: Aforyzmy, nr 5, s. 55.
Przeczek Wilhelm: Stuletni kalendarz (fragment), nr 7, ss. 48-49.
Płoszewska Małgorzata: Kokarda na wietrze, nr 4, ss. 30-31.
Rusz Karolina: Otwarte niebo, nr 3, ss. 52-53.
Sikora Adam: Pochwała Jabłonkowa, nr 9, s. 1.
Sikora Władysław: Godzinki zaolziańskie, nr 1, ss. 28-29.
Słowiaczek Marek: Cztery zapachy główne, nr 6, ss. 60-61.
Soroczyński Tadeusz: W wiklinowym koszu, nr 10, ss. 48-49.
Śpiewak Jan: nr 5, s. 57.
Świć Rafał: po drugiej stronie granicy, nr 12, s. 46.
Twardowski Jan: Mamusia, nr 5, s. 56.
Zogata Jindřich: Z maszynopisu „Witraże drewnianego kościółka", nr 8, ss. 48-49.

PROZA

Filipowicz Kornel: Opowiadania cieszyńskie, nr 3, ss. 54-57.

Jaworski Kazimierz: Czytając Kamieńską, nr 2, ss. 24-32.

Kolińska Krystyna: Gustliczek, nr 8, ss. 22-30.

Marciniak Jerzy: Najlepszy sprzedawca, nr 9, ss. 50-55.

Morcinek Gustaw: Śnieg w słońcu, nr 8, ss. 51-55.

Sikora Władysław: O Chodurce z Rzeki, nr 4, ss. 50-55, Karpaty mityczne, nr 11, ss. 50-54, nr 12, ss. 48-52.

Ulč Ota: Ameryka i grzyby, nr 10, ss. 50-53.

SZKICE O LITERATURZE

C.R: Sto dziesięć lat minęło od narodzin Gustawa Morcinka, nr 8, ss. 61-62.

E.S.: Jubileusz profesor Krystyny Kardyni-Pelikánowej, nr 6, s. 67, Poetycki konkurs w Wąglanach, nr 7, ss. 70-71.

Firla Bronisław: Śladami Orzeszkowej i Mickiewicza, nr 10, ss. 59-62.

Kardyni-Pelikánowa Krystyna: Recepcja twórczości Cypriana Kamila Norwida w Czechach, nr 6, ss. 62-66.

Martinek Libor: Nad „Księgą urodzaju" oraz innymi książkami. Rozmowa z Wilhelmem Przeczkiem, nr 4, ss. 25-27, Przekłady i echa twórczości Wisławy Szymborskiej w Czechosłowacji i w Republice Czeskiej, nr 7, ss. 24-29, Zwyciężył kamień czy słowo?, nr 8, s. 50.

Przeczek Wilhelm: Karolina Rusz - poetka religijna, nr 3, ss. 50-51, O przyszłości książki, Internecie, sytuacji polskiej książki w Niemczech. Rozmowa z Małgorzatą Płoszewską, nr 4, ss. 28-29, Jindřich Zogata - poeta i pisarz Beskidów, nr 8, ss. 66-67.

Saw: Poetyckie pożegnanie XX wieku (Wspomnienie o Gabrielu Palowskim), nr 3, ss. 49-50.

Šajtar Drahomír: Poeta Jan Pyszko, nr 9, ss. 55-59.

Všetička František: Okay, Adamie!, nr 6, ss. 56-57.

OKRUCHY LITERACKIE

C.R.: Książka pełna aforyzmów, nr 10, s. 57, „Księga urodzaju" po czesku, nr 10, s. 58.

Przeczek Wilhelm: Okruchy nie tylko literackie... Zelów, Rożnów, Opawa, Lipsk, nr 1, ss. 22-27, Przykład czesko-polskiej współpracy, nr 10, s. 54, Rozmowa z kompozytorem Romanem Bergerem, nr 10, ss. 54-55, W obronie słowa, nr 10, ss. 55-56, Nowy tomik poetycki Tadeusza Soroczyńskiego, nr 10, s. 56.

„Walentynkę" daj mi luby, nr 2, ss. 69-70.

MŁODE PIÓRO

Adamec Maryla: Zagadka porannej ulicy, nr 1, s. 49.

Jedzok Dariusz: 23/01/2001, nr 3, ss. 58-59, My, nr 11, ss. 56-59.

Kołek Krzysztof: Czy w związku z wszechobecnym dążeniem do integracji grozi nam utrata własnej tożsamości?, nr 9, ss. 64-65

Kowalska Anna Maria, Lucie Macurowa, Alina Igonina: Czy przeżyje język fryzyjski?, nr 4, ss. 61-63.

Rusnok Barbara: Czy w związku z wszechobecnym dążeniem do integracji grozi nam utrata własnej tożsamości?, nr 8, ss. 58-60.

PRZEZ SITO INTYMNOŚCI

Słowiaczek Marek: Nocne rozmowy, czyli gwiezdne wojny z czaszką Hamleta, nr 1, ss. 50-52, Dziadek, nr 2, ss. 49-51, Oszołom, czyli rzecz o miłosierdziu, nr 3, ss. 26-29, Karolinka.

Pamiętnik pisany oczami, nr 4, ss. 58-60, Pałacz, nr 5, ss. 64-66, W ogrodzie zoologicznym spotkałem klauna z podbitym okiem i złamanym nosem, nr 6, ss. 53-55, Wszędzie dobrze, ale w niebie najlepiej, nr 7, ss. 50-52, Przez żołądek do zbawienia, nr 8, ss. 56-58, Tajemniczy poliszynel w Reju, czyli rozmowa trzech w obu końcach stołu, nr 9, ss. 59-63, Plansza do gry, nr 11, ss. 55-56, Biblioteczna determinacja, nr 12, ss. 54-55.

NA NASZEJ SCENIE

Humel Aleksandra: Wokół Aleksandra Fredry, nr 10, ss. 20-28.

Jaworski Kazimierz: Zakochani w Scenie Polskiej, nr 10, ss. 14-19.

Rudnik Czesława: Papierowe szczęście, nr 2, ss. 60-63, Bajkowe kolędowanie, nr 2, ss. 64-65, Z Kiplingiem w teatrze pełnym dźwięków, nr 3, ss. 66-68, Wieczór w Café Avion, nr 3, ss. 69-70, Urodziny Avionu, nr 4, ss. 66-68, Z Matołkiem w podróż dookoła świata, nr 4, ss. 68-70, Kogo szukacie, czyli misterium XXI wieku, nr 5, ss. 67-70, Przedstawienie wymyślone dla nas, nr 5, ss. 71-72, Szczęściarz w Scenie Polskiej, nr 6, ss. 70-71, „Ślicny" monodram Janusza Klimszy, nr 6, s. 72, Powrót Melpomenek?, nr 7, ss. 52-55, XII Międzynarodowy Festiwal Teatralny Na Granicy, nr 7, ss. 55-57, Seminarium teatralne w Wędryni, nr 7, ss. 58-60, Co słychać w Bajce, nr 8, ss. 63-65, Pięćdziesiąt lat Sceny Polskiej, nr 10, ss. 4-7, Teatr to mój drugi dom. Rozmowa z Haliną Pasekovą, nr 10, ss. 8-13, Chcę robić dobry teatr. Rozmowa z Karolem Suszką, nr 11, ss. 22-25, Dramat trzech sióstr i jednego brata, nr 11, ss. 64-66, Scena Polska jubileuszowo, nr 12, ss. 31-35, Ten teatr jest mi bliski. Rozmowa z Rudolfem Molińskim, nr 12, ss. 26-30, Dziady w Scenie Polskiej Narodowej, nr 12, ss. 55-58.

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

C.R.: Kornel Filipowicz i Cieszyn, nr 3, s. 60, Podręcznik Śląska Cieszyńskiego, nr 10, ss. 66-69, Książka o tożsamości Cieszyniaków, nr 10, ss. 68-69.

Jaworski Kazimierz: Z naszych wydawnictw w roku 2000, nr 1, ss. 56-58, Dramatyczny konflikt cieszyński, nr 4, ss. 64-65, Książka - biblioteka - szkoła w kulturze Śląska Cieszyńskiego, nr 8, ss. 71-73.

Kajzer Karol: O Kalendarzu Śląskim kilka refleksji, nr 6, ss. 68-69, Zbiór opowiadań gwarowych, nr 9, ss. 75-76.

Szymik Jan: Doroczne zwyczaje i obrzędy na Śląsku Cieszyńskim - fragment, nr 12, ss. 60-61.

Valenta Jaroslav: Fatalna książka o Śląsku Cieszyńskim lat 1918-1920, nr 9, ss. 73-74.

PLASTYCY I ICH DZIEŁA

F.B.: Darina Krygiel i Monika Milerska wystawiały w Orłowej, nr 3, ss. 46-48, Wystawa Władysława Ćmiela, nr 4, ss. 48-49.

Godek Beata Maria: Wystawa prac Bronisława Firli w Bielsku-Białej, nr 7, ss. 32-33.

Pawlas Lidia: Plastycy bilansowali, nr 4, ss. 46-47.

Polak Jerzy: Wystawa w Wiśle, nr 9, s. 69.

Rudnik Czesława: Artysta dłuta i pędzla Franciszek Świder, nr 1, ss. 30-33.

Sikora Władysław: Przypomnienie Henryka Nitry, nr 6, ss. 58-59.

FOTOGRAFICY ZAOLZIA

F.B.: Zaolziańskie Towarzystwo Fotograficzne, nr 1, ss. 52-53.

Folwarczny Gustaw: Tadeusz Gabryś - fotograf amator, nr 6, ss. 76-77.

Gabryś Tadeusz: nr 9, ss. 70-72.

Jaworski Kazimierz: nr 6, ss.73-75.

Michalik Bruno: nr 5, ss. 74-76.

Krygiel Radomir: nr 3, ss. 63-65.
Przeczek Wiesław: nr 1, ss. 53-55.
Santarius Marek: nr 2, ss. 54-57.
Zwyrtek Tomasz: nr 4, ss. 56-57.

ECHO WYDARZEŃ MUZYCZNYCH
E.S.: 75 lat Chóru Nauczycieli Polskich, nr 1, ss. 62-65.
Hanke Rajmund: Śpiewają, by żyć. Optymistycznie z Zaolzia, nr 7, ss. 61-63.
J.W.: Seminarium dla dyrygentów i śpiewaków, nr 11, ss. 74-75.
Opiołowa Aleksandra: Jubileusze stonawskich chórów, nr 11, ss. 67-70.
Suchanek Alojzy: Złote pasmo dla Collegium Iuvenum, nr 1, ss. 66-67.
Suszka Krystyna: Koncert kameralistów, nr 1, ss. 58-62, Wiosenny koncert Harfy, nr 7, ss. 63-67.
Wierzgoń Józef: Wielki piknik artystyczny. Święto Śląska, nr 10, s. 70, Spotkanie młodych muzyków Europy, nr 10, s. 71, Krajowy Zjazd Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, nr 10, ss. 71-73, Młodzież lubi śpiewać a jednak..., nr 11, ss. 71-74.

TRYBUNA CZYTELNIKÓW
H.S., S.P.: Nostalgiczne wspomnienia z lat szkoły podstawowej, nr 10, ss. 74-75.
Kondziołka Weronika: Biały rajd, nr 4, s. 74.
Kubienka Karol: Szanowna Redakcjo, nr 10, s. 73.
Lanc Oskar: Niezwykłe czasopismo z Cieszyna, nr 4, ss. 70-71, Z bliskiej nam przeszłości, nr 11, ss. 75-78.
Recmanik Karol: Stonawo, Stonawo..., nr 4, ss. 71-73.
vc: Ważniejsze niż wybory, nr 1, ss. 69-70.

TO I OWO
nr 7, ss. 72-73, nr 12, ss. 66-67.

ZE STARYCH KALENDARZY
Rady Gospodarskie, nr 1, ss. 76-77.

HUMOR SPRZED LAT
Z czego śmiali się nasi dziadkowie, nr 4, ss. 77-78.
Żarty z brodą, nr 7, ss. 69.
Humor zeszytów szkolnych, nr 9, s. 78.

POŻEGNANIA
Karol Polak: nr 1, ss. 72-73.
Emilia Bilan: nr 5, s. 76.
Antoni Kożusznik: nr 6, s. 73.

NASZE ZDROWIE
dur: Depresja zimowa, nr 1, s. 71, Dbajmy o kręgosłup, nr 4, ss. 75-76, Nasze chore stopy, nr 10, s. 76.

Z NASZEJ KUCHNI
Bałon Franciszek: Bachora, nr 10, ss. 46-47.
FAŁ: Zapiekanka z „ciastka ziemniaczanego" z jarzynami, nr 1, ss. 36-37.
Faworki czyli chrust, nr 2, ss. 46-47.

MOZAIKA
Babcia Malka: Co sie nóm przitrefiło, nr 1, ss. 74-75.
Boszczykowa Anna: Żniwa za downych czasów w naszy dziedzinie, nr 9, ss. 76-77.
Ciotka Milka: Namowy, nr 2, s. 77.
Francek: Na starej szachcie, nr 8, ss. 75-76.
Kajzer Karol: Sakramyncki hóncwóty, Utopiec gro w karty, nr 2, ss. 75-76, Krótko i węzłowato, nr 12, ss. 70-71.
Kubiczek Jan: Szukar czajori, Hugo, nr 10, ss. 77-78.
Mania: Kiesi a dzisio, nr 8, s. 76.
Pawlasowa Amalia: Chłop i młynorz, nr 3, ss. 74-78, Lusterko, Dwóch braci, nr 7, ss. 74-76.
Starzik - Też by sie tak niepieknie nie musiało mówić!, nr 6, ss. 77-78.
Starzik Wicek: Dobro rada nad złoto..., nr 5, ss. 77-78.

Zainteresowani kupnem książki

„OLZA od pramene po ujście“

reklamowanej w ZWROCIE nr 11/2001

mogą skorzystać z zamówień

za pośrednictwem kontaktu telefonicznego

pod nr: 0659/736 653, fax: 0659/736 404,

e-mail: region01@quick.cz

(dotyczy szczególnie zainteresowanych jednorazowym odbiorem większej ilości sztuk)

TEKST SPONSOROWANY

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny Ministerstwa Kultury RC: F 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN,
Tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168 Kč, z wysyłką pocztową 240 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701028/00 z dnia 27 VI 2000 r. z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE ZESPOŁY



TEATRZYK TK 4 – PSP TRZYNIEC 6

TK 4, czyli teatrzyk klasy 4, działa przy 2 PSP w Trzyńcu 6 Osiedlu. Na tegorocznym Turnieju Teatrzyków Dziecięcych TALINKI przedstawili spektakl Wandy Chotomskiej „Kabaret na jednej nodze" i zakwalifikowali się do udziału w 16 Konfrontacjach Amatorskich Teatrów Dziecięcych o Uśmiech Dziecka w Mysłowicach. TK 4 znalazł się w gronie jego laureatów, zaś reżyser kabaretu Halina Kowalczyk otrzymała jedną z nagród dla instruktorów. Zespół prowadzą: wychowawczyni klasy czwartej Anna Jeż i Halina Kowalczyk.

Aktualny TK 4, zwany też „trzynieckimi wróbelkami", nawiązuje do swych poprzedników – dwukrotnych laureatów TALINEK i zdobywców Pucharów Uśmiechu na Międzynarodowych Turniejach im. Marii Konopnickiej w Krośnie (1995, 1996).

W roku 1998 TK 4 przygotował spektakl, na który złożyły się wiersze Juliana Tuwima w czeskim przekładzie Jana Pilaŕa, i zwyciężył w eliminacjach powiatowych we Frydku Mistku, zaś w przeglądzie okręgowym w Ostrawie otrzymał wyróżnienie.

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

OT

P.P.
701 028/00
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE ZAOLZIE



RZEKA

Piękna dolina Rzeki jest tradycyjnym rejonem turystycznym i wypoczynkowym w Beskidach. Jest hojnie odwiedzana zarówno latem, jak i zimą, kiedy udostępnia stoki narciarskie zaopatrzone w wyciągi. Obok licznych prywatnych dacz dysponuje Rzeka wieloma ośrodkami rekreacyjnymi i pensjonatami. Obok obywateli Czech korzystają tu z wypoczynku liczni goście z Polski.

Rzeka jest również znana z kamieniołomów, w których wydobywa się słynny godulski piaskowiec.

Tu na obrzeżach Zaolzia nie ma już polskiej szkoły. Nadal jednak istnieje w Rzece Koło PZKO.

ISSN 0139-6277